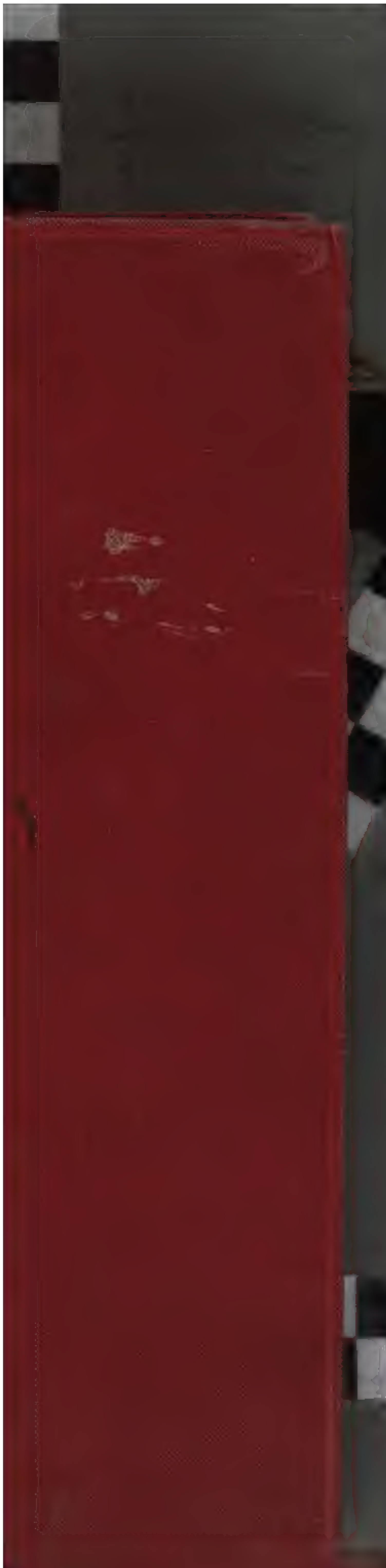
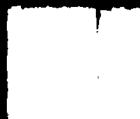








ADAM BEŁCIKOWSKI.

# ZE STUDYÓW

# NAD LITERATURĄ POLSKĄ.

WYDANIE PAMIĄTKOWE

ku uczczeniu 25-cio letniéj działalności literackiéj autora,

Z ŻYCIORYSEM SKREŚLONYM PRZEZ

D-ra Piotra Chmielowskiego.

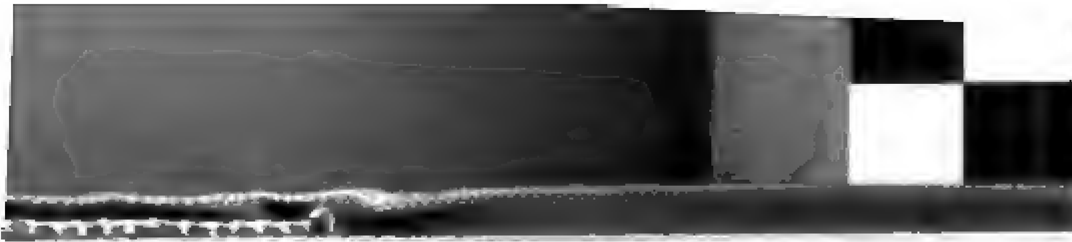
WARSZAWA.

STARANIEM I NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

1886.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Марта 1886 года.



PAMIĘCI

MATKI MOJÉJ, JULII,

W ÓSMĄ ROCZNICĘ JÉJ ZGONU.

*Kraków, 29 marca 1885 r.*

# SPIS RZECZY.

## WIEK XIX.

# ADAM BEŁCIKOWSKI.

W roku bieżącym upływa ćwierć wieku od czasu, kiedy na widownię literatury naszéj wystąpił pracownik, który następnie w kilku różnych rodzajach działalności literackiéj zaszczytnie dał się poznać. Nie szukał on nigdy rozgłosu, ale go znalazł; talent ściśle z pracą połączony a na pożytek ogółu obrócony musiał nań zwrócić powszechną uwagę. Adam Bełcikowski znany jest w kraju jako dramaturg, powieściopisarz, krytyk, historyk literatury, b. profesor Szkoły Głównéj i uniwersytetu jagiellońskiego.

Po 25 latach pracy należało mu się publiczne uznanię. Wyrazem jego jest wydanie tego zbioru jego studyów literackich, który czytelnikom polskim poda w skupieniu rozproszone dawniéj po czasopismach lub w nielicznych odbitkach rozprawy i szkice. Zbiór ten poprzedzam przedstawieniem działalności autora na polu twórczém. Nie będzie ono jakąś panegiryczną pochwałą; tylko miernota mogłaby jéj potrzebować i żądać. Bełcikowskiego zadowolni sumienna i bezstronna ocena tego, czego dokonał. Na wizerunek literacki nie czas teraz jeszcze. Bełcikowski jest w pełni sił i niejedną pracą wzbogacić może literaturę, niejeden rys swego talentu odkryć lub silniéj uwydatnić. Obecnie trzeba poprzestać na krótkim zarysie rozwoju jego działalności i jego uzdolnienia.

## I.

Adam Bełcikowski urodził się 24 grudnia 1839 roku w Krakowie, który był jeszcze wtedy stolicą miniaturowéj rzeczypospolitéj, pod opieką trzech sąsiednich rządów zostającéj. Jakkolwiek opieka ta ciążyła na wszystkich instytucyach, zawsze jednak Kraków był jedynym w kraju zakątkiem, gdzie stosunkowo najswobodniéj życie narodowe rozwijać się mogło, gdzie administracya, sądownictwo i szkoła w duchu i języku ojczystym były prowadzone. Przejawy wprawdzie tego swobodniejszego rozwoju nie ukazywały się zbyt często; czasopiśmiennictwo,

..., ... nauczycielem Bełcikowskiego był ojciec, kt
ł wyższego uniwersyteckiego wykształcenia, h
bierał i przepisywał starannie pieśni narodowe
eczka domowa, z powieści, romansów i dzieł his
żona, którą w przeciągu paru lat Adaś co do jed
—jakotéż teatr, w którym w najmłodszych swych
ywał gościem,—bardzo wcześnie podsycać zaczęły
lo zajęć i zabaw umysłowych. Szkoła jéj nie p
sze lata nauki szkolnéj Bełcikowskiego przypadł
enia umysłów w całéj Europie, a zarazem i w
rzeczpospolita krakowska już istniéć przestała; w
a austryackiego; ale niebawem nadszedł rewolu
tyle świetnych budził wszędzie nadziei, lubo ich
Lecz nawet po stłumieniu ruchu, w Krakowie prz
r. 1851) w szkołach przetrwał wykład czysto-pols
pobierał Bełcikowski w szkole wydziałowéj u św.
lne u św. Anny.

nnazyum św. Anny wprowadzono r. 1851 do wykł
ale tylko częściowo. Religia, język polski z zasa
mineralogia i botanika ze względów wyjątkowych
przednio po polsku. Jakie rozporządzenie to sku
bą, opowiada Stanisław Tarnowski, który w t
j w témże gimnazyum kończył nauki. „Po niemiec
y—powiada on—czytaliśmy, tłumaczyli, pisali
zmówić; ale w tym języku się uczyć, myśléć, od

mięci, a między to wstawiało się już własne, jakie Pan Bóg dał a chwilowa inspiracya podsunęła. Profesorowie rozumieli oczywiście nasze położenie prawdziwie rozpaczliwe, i byli względni, ale profesor języka niemieckiego nigdy nas przebłagać i ująć nie potrafił [1])."

Profesorem niemieckiego był ks. Eugeniusz Janota, Szlązak rodem a Polak uczuciem, który to uczucie studentem będąc krzewił na Szlązku, za co dostał się do więzienia. Wyszedłszy z niego, został księdzem bez powołania. Umysł jego zajmowały najogólniejsze filozoficzne zagadnienia, bez ładu, urywkowo. Ta mieszanina najróżnorodniejszych rzeczy przebijała się i w jego wykładach, zaczynanych często, niekończonych nigdy. Ani uczyć młodzieży, ani z nią postępować nie umiał. Inni nauczyciele mieli swoje śmieszności i słabostki, ale ogólnie byli lubieni, z powodu dobroci serca. Takim był profesor religii, ks. Jan Staroniewicz, z pozoru surowy, a w gruncie miękki; chętnie dopomagał na migi uczniom egzaminowanym wobec inspektora, przybierając minę sprytną, drwiącą; takim był nauczyciel matematyki, Ignacy Gralewski, co drżał, żeby uczniowi nie zadać pytania, na któreby ten odpowiedzieć nie potrafił... Dzielnym profesorem łaciny i greczyzny, lubo pod względem pojęć estetycznych zacofanym, był Andrzéj Oskard. Dyrektorem, a oraz nauczycielem mineralogii i botaniki, umiejącym trzymać uczniów w rygorze, był Ludwik Klemensiewicz. Najbardziéj zaś lubiono, najwięcéj podziwiano Zygmunta Sawczyńskiego, wykładającego historyę powszechną i literaturę polską. Urokiem wymowy, szerokiemi, na miarę uniwersytecką przykrojonemi poglądami, a wreszcie powierzchownością miłą i staranne według ostatniéj mody przybraną czarował on poprostu młodzież, chociaż zrażał niektórych uszczypliwemi żartami.

Ukończywszy gimnazyum św. Anny w 1859, wstąpił zaraz Belcikowski na wydział filozoficzny uniwersytetu jagiellońskiego.

Pod naciskiem niepowodzeń w wojnie włoskiéj, Austrya musiała się powoli wyrzekać systemu gnębienia narodowości w skład jéj wchodzących i robić coraz większe na rzecz ich ustępstwa. Ztąd i w uniwersytecie krakowskim duch i język niemiecki nie miał już wtenczas tego bezpośredniego władztwa co po roku 1850. Historyę polską zaczął wykładać w języku ojczystym, lubo w kierunku arcylegitymistycznym, Antoni Walewski, a dzieje literatury polskiéj Karol Mecherzyński. Wpływ obu tych profesorów na przekonania studentów oddziaływał tylko chy-

[1]) St. Tarnowski: „Szujskiego lata szkolne." 1885. Dalsza charakterystyka nauczycieli gimn. św. Anny oparta na słowach tegoż pisarza, który, jak wspomniałem wyżéj, sam szkołę tę przebył.

ba w ten sposób, że budził umysły ich do opozycyi. Poglądy monarchiczno-legitymistyczne Walewskiego w republikańsko nastrojonych młodzieńcach nie mogły znaléźć odgłosu; a zapatrywania Mecherzyńskiego, dla którego najznakomitszym poetą nowożytnym był Brodziński, wśród budzących się właśnie wtedy nietylko sympatyj ale i uwielbień dla Słowackiego, musiały się wydawać przestarzałemi, trącącemi nieco myszką pseudo-klasycyzmu, powszechnie jeszcze na drwiny romantyków wystawionego [illegible] ońców, twierdzące, że i ten pseudo-klasycyzm miał p[illegible]ywały się wtedy bardzo nieśmiało, a wychodziły z u[illegible]éj prawdomówności przyznać nie było można. Pomin[illegible] o braku serdecznych węzłów pomiędzy profesorami n[illegible]ających młodzież przedmiotów a słuchaczami, sam f[illegible]języku polskim wpływał ożywiająco na obudzenie za[illegible]i literatury ojczystéj. A gdy przytém i ogólniejsze czy[illegible]arodowéj wprawiały umysły wszystkich w stan gorąc[illegible]nteresowanie się sprawami ojczystemi coraz silniejszém się stawało, nic dziwnego, że wytworzyły się w uniwersytecie jagiellońskim warunki sprzyjające więcéj może niż kiedykolwiek rozwojowi uzdolnien, uszlachetnieniu serc młodzieży i zapaleniu ich ku celom i zamiarom niepowszednim. A była wtedy właśnie w Krakowie cała grupa różnorodnych talentów zarówno w uniwersytecie jak w Szkole sztuk pięknych. Szujski, Wojciechowski, Piliński, Tarnowski, Bałucki, Lubowski, Turski, Grottger, Matejko, Leopolski, Gryglewski: oto nazwiska spółczesnych sobie, niemal rówieśników, którzy się ze sobą spotykali, którzy ze sobą żyli, a w krótszym lub dłuższym przeciągu czasu talentem lub nauką zasłynęli. Wzajemna wymiana myśli tak różnorodnie uzdolnionych i zatrudnionych umysłów musiała oczywiście nader korzystnie wpływać na ich rozwój i udoskonalenie.

I Adam Bełcikowski, lubo wiekiem od innych młodszy, do téj grupy częściowo należał, z jéj najwybitniejszymi przedstawicielami się przyjaźnił i wraz z nimi w ówczesnym ruchu literackim, który się pod koniec r. 1860 i w Krakowie ożywił, dość czynny zaczął brać udział, nie zaniedbując naturalnie uczęszczać do uniwersytetu.

Pierwszą widownią literackich popisów Bełcikowskiego, jak i wielu z jego towarzyszy, było założone przez J. K. Turowskiego w ostatnim kwartale r. 1860 pismo dla kobiet p. n. „Niewiasta," które przetrwało do 5 lutego 1863 r. Tu Szujski pomieszczał swoje szkice historyczne („Anna Jagiellonka," „Marya Ludwika Gonzaga"), Edward Lubowski pisał o „Maryi Leszczyńskiéj," Michał Bałucki podawał

„wykład literatury polskiéj" i pierwsze swe kreślił powiastki; Bełcikowski zaś pierwsze swe drukował wiersze.

Niektóre z tych wierszy datą swego powstania sięgały jeszcze pobytu na ławie szkolnéj; podznaczone bowiem są r. 1855, 1857, 1859; inne napisane były już w uniwersytecie. Rzecz godna uwagi, że ten, co się w zakresie twórczości poetyckiéj miał głównie odznaczyć dramatami, lubo już wtedy posiadał oddawna w rękopiśmie tragedyę, nie podawał jéj przecież do druku, lecz się po raz pierwszy przedstawił ogółowi czytającemu jako liryk i dydaktyk. Treść jego pomysłów obracała się tu w kole zakreśloném promieniem romantyki. Dużo zachwytów nad przyrodą, trochę niezadowolnienia wywoływanego ustawiczną walką uczucia z zabiegami świata, wiele westchnień miłosnych i smutków, opiewanie przygód nadzwyczajnych, mających zrobić na czytelniku silne wrażenie: oto główne temata, z któremi młodzieniec występował w sonetach, romansach, fantazyach i anakreontykach („Potok" z r. 1855, „Pożegnanie minstrela" z r. 1857, „Biedny chłopiec," „Poranek wiosenny," „Ustawiczna walka," „Pokusa" z r. 1862). Oprócz oryginalnych podawał też w tym kierunku i tłumaczone z Wiktora Hugo („Przy księżycu") i Byrona („Pieśń Harolda do Inezy") poezye. Ale obok nich nie wahał się próbować sił swych w rodzaju opisowym i dydaktycznym, czém składał dowód, że wpływ profesora Mecherzyńskiego nie przeminął bez skutku, zwłaszcza, iż znajdował potwierdzenie w utworach Mickiewicza. Przepędzenie wakacyj r. 1861 na Podolu w okolicach Humania uprzytomniło jego pamięci poetę, uwielbianego przez naszego wieszcza ze względu na rymy, i nasunęło mu myśl opiewania znanéj z „arcydzieła" opisowego Zofijówki. Nie zraziła go ta okoliczność, że ogół czytający może już syt był uwielbień, szczodrze téj miejscowości przez Trembeckiego wygłoszonych, bo się pocieszał i pokrzepiał zdaniem, iż prawdziwie pięknéj rzeczy nie zdoła dostatecznie wysławić wieszcz nawet największy:

Jeśli wody w garść weźmiesz, czyż zaginie morze?
Czyliż wszystko ztąd zebrał, wyczerpał Trembecki?
Wszak mogę, chociaż w ducha największéj pokorze,
Powiedziéć, że ten kapłan poezyi świecki,
Co stracił namaszczenie na magnackim dworze,
Nie wyższy jak ów ślepy rapsodzista grecki,
Po którym jednak tylu dobywało Troi....

Zresztą świadomy jest młody poeta różnicy zachodzącéj pomiędzy stanowiskiem poetyckiém owego „świeckiego kapłana poezyi" a swojém własném: „On klasyk—dodaje Bełcikowski dla ostatecznego usprawie-

dliwienia wyboru tematu [illegible] inny sztandar godłem walki mojéj.“ Wyznać wszakże wypadnie, iż ten inny sztandar niezbyt wyraźnie odznaczony został w poemacie. Zewnętrzną formą wyróżnia się wprawdzie nieco „Zofijówka“ Bełcikowskiego od „Zofijówki“ Trembeckiego, gdyż trzynastozgłoskowe wiersze układają się u niego w stance, w traktowaniu opisów niema téj systematyczności co w poematach klasycznych; Bełcikowski bowiem nieraz [illegible] łasnéj twórczości, a opisy szczegółów poprzedzone są [illegible] dwojakiego wrażenia, jakiego doznał autor przypatr[illegible] raz na wiosnę, a drugi raz w wigilię św. Jana;— le[illegible] luźniona cokolwiek budowa pomieścić musiała z kor[illegible] e pierwiastki opisowe, co i utwór „kapłana, co stracił [illegible] magnackim dworze.“ Zastanawiając się nad całością, [illegible] ą można w szczególności to, co autor wypowiedział o świ[illegible] dmiany i nosi płaszcz ustawnie nowo nicowany.“ Tr[illegible] ołądź, lubo pod nowym sztandarem, nie wejść na ślady, tak wydatnie przez wielbionego poprzednika wyryte w dziedzinie poezyi opisowéj. A jeżelibyśmy chcieli koniecznie odnaléźć tu wpływy romantyczne, jeżelibyśmy chcieli dosłyszéć echa haseł, które się pod „nowym sztandarem“ zrodziły, to-byśmy je odszukać zdołali chyba w tym ustępie, gdzie autor poezyę uczuciową przeciwstawia zachodom i troskom rzeczywistości wyrzekającéj się uczuć a goniącéj za złotem:

> Industrya, kurs giełdy i ekonomije
> Polityczne—to sfery, gdzie żyć nam należy.
> Kto na to dotąd ślepy, ten sam się zabije,
> Ten krokiem samobójcy ponad przepaść bieży.

Pisze te słowa Bełcikowski z dążnością ironiczną, potępiając spółczesne sobie wyziębienie serc; nie traci przecież nadziei, że poezya nanowo prawo swe wśród ludzkości odzyska; mówi bowiem:

> A jednak jeszcze teraz gdzieniegdzie się kryje
> W piersiach świeżych choć starych, po sercach młodzieży,
> Ta wygnanka ze świata, poezyą zwana,
> Co kiedyś znów się zbudzi, większa—uwielbiana!

Z tą wiarą w nieśmiertelność natchnień poetyckich i w potęgę działania ich na ludzi, kończąc „Zofijówkę,“ odkłada poeta lutnię, uznając się sługą tylko téj pani wszechwładnéj“ i oczekując chwili, w któréj nanowo ją do rąk weźmie, przybrawszy się czy-to w „chlamydę Sofokla“ czy też w „togę Marona.“

Togę Marona (jeżeli przez nią rozumiéć mamy epikę) chwilowo

tylko przywdział Bełcikowski, ale z chlamydą Sofoklesową był już wtedy nieco zaznajomiony, a miał się następnie spoufalić bardzo blizko. Zanim ją jednak na jego barkach ujrzymy, należy nam jeszcze przyjrzéć się mu w innych kostiumach.

Najbliższe chronologicznie, a najbardziéj z „Zofijówką" pokrewne rodzajowo są dwa krótkie utwory opisowe: „Niebo" i „Noc na popasie podolskim." Są to starannie wykonane próby krajobrazów, a może raczéj wrażeń tylko przez nie wywołanych w duszy podróżnika, przejętego wspomnieniami lektury poetyckiéj. Krajobrazy te nie stają jasno przed wyobraźnią czytelnika, co dowodzi, że talentem plastycznym autor ich nie władał dostatecznie; ale téż z drugiéj strony nie przemijają bez wywołania pewnych uczuć w duszy, co znów zdaje się świadczyć o talencie liryczno-dramatycznym.

Z podróżą téż podolską związany jest ściśle list poetycki „Do doktora M." w Owsijówce, wyrażający uwielbienie dla bezinteresowności tegoż, zaznaczenie jego biedy, chęć policzenia się do jego przyjaciół, cichy smutek z zawiedzionych marzeń, a wreszcie pełne wyrozumiałości i rezygnacyi zdanie o losie ludzi zasłużonych na świecie. Wprawdzie głuchy step, otoczony błotem, obfitym pokryty bodiakiem, zdaje się mówić do doktora w Owsijówce: takiém szczęściem „darzę tych, którym w ich młodości ciasno na mym globie, co iskrę wyższych dążeń pielęgnują w sobie, coby chcieli rozrzucić to zgubne zarzewie po całéj méj przestrzeni,"—to jednak poeta wyszukuje dla doktora tego pociechę, że powoli zasługi jego uznane i uczczone zostaną:

I niech ci ta świadomość zapewnieniem będzie,
Że choć źle w świecie, ale niezawsze, niewszędzie,
Że choć uznanie ludzkie bardzo opieszałe,
Lecz im późniejsze, większą przynosi nam chwałę,
Że chociaż mało cenić nawykł świat zasługi,
W czém ci jeden zawini, odwdzięczy ci drugi.

Tęż wyrozumiałość, tenże spokój w przedstawieniu i ocenie o wiele boleśniejszéj sytuacyi znajdujemy także w poemacie Bełcikowskiego p. n. „Serafina." Przedmiotem tego dyalogu dramatycznego w 4 scenach, różnorodnemi wierszami napisanego, w formie całkiem idealistycznéj, jest zobrazowanie strasznego zawodu artysty. Samotną, marzącą, o swojéj piękności przekonaną, a więc zalotną Serafinę pozyskuje sobie rzeźbiarz Spirydyon, kocha ją głęboką, ale nie wybuchową miłością, wykuwa według niéj posąg, który oglądają: obojętni, znawca zarozumiały, książę pyszałkowaty, malarz i poeta, obaj zazdrośni, co pierwsi w duszę Serafiny zasiewają ziarno próżności, nęcąc obietnicą życia

wśród hołdów i tryumfów; wreszcie uprowadza ją Polys, wyobraziciel świata żądz i uciech. Spirydyon żegna swój ideał łzą i przepowiada Serafinie, że się w pogoni za rozkoszą i oklaskami zawiedzie; sam zaś zamierza otrząsnąć się z bólu, przerzucić tę jednę kartę z dziejów życia od łez wilgotną, sięgnąć po inne kwiaty, choćby cierniem zbrojne, byle tylko wypełnić „powinność;“ obiecuje sobie, że serce nie zdradzi trwogi, choćby pękać miało w piersi, gdyż, jak powiada:

> . . . . . . Nie szt … da sprzyja.
> Kto nie dojdzie d… pija, —
> Ten spełnił kielic… wy,
> Ten nie godzien p… wéj głowy...

W Spirydyonie wid… rzający się już ideał romantyczny artysty. miłość go … łomi w nim iskier natchnienia, obudza tylko męzką e… ość zadania życiowego, które nie na użyciu—jedynie ch… lega. Ale bo też i jego uczucie nie należy do rodzaj… , trawiących i niszczących wszelkie pierwiastki rozumowe i charakterowe. Wypowiadając stan swego serca przed Serafiną, Spirydyon powiada:

> Me serce nie jest kipiącym wulkanem,
> Ni purpurowém na zachodzie słońcem,
> Ni morzem groźną burzą rozhukaném,
> Ni bożéj pomsty na niebiosach gońcem.
> To lampa z alabastru, w któréj łonie
> Świeci się płomień jasny, choć żałobny,
> Co nigdy żarem pochodni nie płonie,
> Płomień do gwiazdy na niebie podobny.

Zapamiętajmy tę charakterystykę, gdyż podobnym do swego bohatera Spirydyona, pod względem stopnia natężenia uczuciowości, jest sam autor.

*

* *

W tym samym r. 1863, kiedy „Zofijówka“ i „Serafina“ wyszły z druku p. n. „Dwa poemata“ (Kraków, nakładem autora, str. 85), Belcikowski ukończył wydział filozoficzny uniwersytetu jagiellońskiego i zaczął się przygotowywać do egzaminów doktorskich. W ciągu tych przygotowań zarząd Szkoły Głównéj w Warszawie ogłosił r. 1864 konkurs dla wywołania współzawodnictwa w sprawie obsadzenia wakującéj jeszcze wtedy katedry historyi literatury polskiéj. Ponieważ Belcikowski głównie się wtedy zajmował studyami historyczno-literackiemi,

powziął więc myśl współubiegania się o katedrę i w tym celu napisał na oznaczony przez Szkołę Główną temat rozprawę o Reju. Rozstrzygnięcie konkursu przeciągnęło się dość długo, do czego przyczyniła się podobno najwięcéj ta okoliczność, że jedyna rozprawa, jaka uzyskała uznanie sędziów konkursowych, była utworem młodzieńca, co niedawno opuścił ławy uniwersyteckie i w literaturze nazwiska jeszcze nie miał. Załatwiono wreszcie sprawę katedry historyi literatury polskiéj w ten sposób, iż poza konkursem mianowano profesorem znanego od lat wielu krytyka, Aleksandra Tyszyńskiego, Bełcikowskiego zaś zawezwano w r. 1866 na docenta prywatnego z tą perspektywą, że po pewnym przeciągu czasu będzie mógł otrzymać posadę etatową. Tyszyński rozpoczął swe wykłady 1 października, Bełcikowski zaś 22 listopada 1866 r. Ponieważ Tyszyński miał objąć w swych prelekcyach całość rozwoju literatury polskiéj od najdawniejszych czasów, Bełcikowskiemu wypadło wybrać jakiś okres pojedyńczy, ażeby go przedstawiać w sposób wyczerpujący i specyalny; wybrał on najmniéj opracowany i najwięcéj lekceważony wiek XVII. Wykłady o literaturze tego okresu musiały być oczywiście nadzwyczaj pracowite. Rzeczą było całkiem naturalną, iż 27-letni literat nie mógł z poprzednich szczegółowych studyów znać piśmiennictwa, które po części słusznie za najmniéj ponętne dla umysłów dzisiejszych uchodziło; musiał zatém, chcąc się sumiennie z zadania swego wywiązać, sam najprzód w bibliotece wystudyować każdą lekcyę, musiał się dobrze douczać przedmiotu, który miał wykładać. Ztąd wynikło, że poglądy ogólne, szeregowanie zjawisk poszczególnych w grupy, zarysowywanie tła historycznego ustępowało miejsca rozbiorom szczegółowym i biografiom pojedyńczych osobistości. Bełcikowski rozumiał bardzo dobrze, jak należało wykład dziejów literatury prowadzić, lubo nie znał jeszcze wtedy, jak się zdaje, poglądów i metody H. Taine'a; wiedział on o ścisłym związku literatury z życiem narodowém i o wpływie piśmiennictw obcych na nasze, ale niepodobna mu było robić dwu rzeczy naraz: studyować autorów i dokonywać uogólnień wymagających dokładnéj znajomości całego rozwoju cywilizacyjnego w oznaczonym okresie czasu. Wolał więc zrobić rzecz jednę, przedstawić szereg studyów nad pisarzami—i zrobił dobrze, gdyż zamiast wątpliwéj wartości zapatrywań ogólnych dał słuchaczom wiadomości faktycznie pewne, przez siebie samego zbadane, zbogacił zatém skarbnicę naszéj wiedzy specyalnéj i zachęcił do studyów samoistnych nad chwilą rozwoju najmniéj zbadaną.

Ten atoli monograficzny sposób przedstawiania dziejów literatury nie mógł ku sobie pociągać wielkiéj liczby słuchaczów Szkoły Głównéj,

wykłady Tyszyńskiego, jako ogólniejsze, miały dnego, ale dla wszystkich wydziałów.

cye Bełcikowskiego w Szkole Głównéj trwały icki (1866/7). Zapowiadane już wtedy zmiany nowicie przekształcenie jéj na uniwersytet z ję osyjskim, odebrały mu nadzieję wszelkich nad r. 1868 opuścił więc Warszawę i wrócił do Kral ił obowiązki zastępcy nauczyciela w jedném z w następnym zaś znowu się habilitował jako d y polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim. Ale i łość zostały dla niego wkrótce zamknięte, kied ocenta historyi literatury polskiéj, Stanisława Ta profesorem zwyczajnym tego przedmiotu. Odt ał wykłady z historyi literatury powszechnéj techniczno-przemysłowém d-ra Adryana Ba ostał urzędnikiem w bibliotece jagiellońskiéj i dnia pracuje. Główném zaś zajęciem przez cał czycielskiéj i urzędniczéj była i jest uprawa pil literackiéj.

## II.

as oczekiwania na rozstrzygnięcie konkursu Szk i pisał w dalszym ciągu wiersze jak i za czasó

Po kamieniach się potok rozlewa,
Nad potokiem zadumany stoję...
Szumi ciągle fala hałaśliwa
I bez końca snuje srebrne zwoje.

Nurt za nurtem mą duszę porywa—
Dusza w potok myśli się zamienia,
Serce pieśnią melodyjną śpiewa,
Wtórząc szmerom płynącym strumienia.

Zabierał się też wówczas do przywdziania jeżeli nie togi Marona, to przynajmniéj Polowskiego kontusza. Znamy mianowicie początek pieśni II „Młodości pana naczelnika" (*Dziennik liter.*, 1865, N. 53), w którym opowiedział o miłości Kościuszki do Ludwiki na dworze marszałka. Epiczna strona nie przedstawia tu zalet zwracających na siebie uwagę; charakterystycznym jest natomiast ustęp, w którym za pośrednictwem szeregu porównań starał się uwydatnić powab miłości:

Trzebaby zebrać wszystkie barwy tęczy,
Napełnić język tony anielskiemi,
Posłuchać śpiewu, którym słowik jęczy,
Tchnąć w siebie zapach wszystkich kwiatów ziemi,
Widziéć raz światłość, co z ust boskich pała,
Gdy dech wlewają w ciało śmiertelnika:
Wtedyby może i pieśń wyśpiewała,
Jakie uczucie dwa serca przenika,
Gdy Bóg je łączy w pragnieniach czystości,
Gdy żyją piérwszém westchnieniem miłości!

Jak w tym ustępie złożył Bełcikowski najgorętsze swe wyznanie w duchu romantycznym, tak znowu w innym utworze p. n. „Śpiew komarów" (*Dzien. lit.*, 1865, N. 52) pozwolił najswobodniéj pobujać wyobraźni. Pomysł polega na tém, że komary kąsają panienkę, w któréj sercu fałsz, żeby zeszpecona bąblami nie mogła nazajutrz pójść do kościoła. Wykonanie całości było słabe; zabrakło autorowi lekkości i świeżości w przeprowadzeniu i odmalowaniu myśli; ale strofa początkowa, obrazująca lekki lot komarów, świadczy, że polotność fantazyi czasowo przynajmniéj i na krótką chwilę należała również do zasobów twórczych poety:

Lecimy tłumem
Z brzękiem i szumem,
Jak dworska w galonach parada,
Jak jakobinów gromada.
Kto w drodze stanie,
Żądłem dostanie,
Lub najmniéj nóżką po nosie.
Lecimy, płyniemy
W gwarnym rozgłosie,
W słońca promienistéj tęczy...
Przed nami, za nami
I brzmi i brzęczy:

Szum, szum, szum, szum.
Lecimy—płyniemy—wy wszyscy nam z drogi!
Zalejem jak lawa, jak ogień was srogi
Pokłujem, pokolem—i w nogi i w nogi!
Szum, szum, szum, szum...

Lecz obok tych romantycznych wycieczek w krainy marzeń i wyobraźni, obok tego swobodnego fantazyowania, pojawia się, niemal równocześnie, u Bełcikowskiego nuta zupełnie inna, świadcząca, że w duszy naszego poety, tak [illegible] znéj części młodzieży ówczesnéj, budziło się pojęcie pot[illegible] dotychczasowych marzycielskich urojeń na poważne i tr[illegible] nie się nad groznem położeniem narodu. Z nastroju ro[illegible] chodzimy w pozytywny; żądamy i dobijamy się pr[illegible] jaknajsmutniejszéj, bylebyśmy tylko mogli poznać ist[illegible] cia, bylebyśmy weszli na tory, które nas mają zaprow[illegible] mogącym się urzeczywistnić. Nastaje w umysłach pr[illegible] nia tego, co romantyzm rozdzielał stanowczo, t. j. twa[illegible] ci z piękną, pociągającą poezyą a w urzeczywistnieniu [illegible] zachodzą, rzecz naturalna, różne poglądy, czasami przeczące napozór saméj poezyi i wykluczające ją jakoby z rzetelnych życia czynników. Bełcikowski stał się jednym z najwcześniejszych wyrazicieli tego zwrotu umysłowego, który zamiast czucia stwarzającego nowe światy stawiał wagę rozsądku dla zmierzenia rzeczy istniejących. W *Dzienniku literackim* z r. 1865 (N. 54) pomieścił on wiersz p. n. „Rzeczywistość,“ będący wyrazem zmiany zaszłéj w umyśle autora i wielu, bardzo wielu jemu spółczesnych. Odtworzywszy najprzód ten stan wysokiego napięcia serc i wyobraźni, w jaki wprawiały je wieszczby poetów, wyznaje, iż spadł z tych wymarzonych szczytów, lecz nie upadł, tylko mocno stanął na ziemi:

Lecz jak kiedyś zatopić chciałem całą duszę
W nadziemskich ułudzeń zdroje,
Jak wszystko szczęście i wszystkie katusze
W powietrznych regionach z sobą się ścierały,
Tak dziś roztwieram ramiona
Jak dwa zręby twardéj skały,
Rzucam się na wzburzony prąd życia powodzi
I płynę przeciw niemu—czy mię w piersi godzi,
Czy mię na dół chce ściągnąć fala zapieniona!..
Lecz jak kiedyś ułudą malowane kwiaty,
Tak dzisiaj mocno kocham prawdę nagą...

Złudzeń poeta nie żałuje, żałuje raczéj tego, iż niegdyś „zaślepionym był ich niewolnikiem;“ gdyż w obliczu prawdy widzi większy powab niż w najświetniejszém malowidle ułudy:

Dopóki jestem tylko śmiertelnikiem,
Nie chcę patrzyć za gwiazdy—na ziemi zostanę,
Tu będę szukał szczęścia, goił każdą ranę,
Tu chcę wodzić ciekawym i czującym wzrokiem,
Tu serce moje uwiężę,
Tu myśli moje usidlę,
Niechaj zbadają wszystko, co ich wzrok dosięże,
Niechaj moje uczucie wszystkich bolów dozna,
Niech wszystkie ziemi rozkosze pozna,
Niech moja dusza, jakby dźwięczne echo,
Ozwie się każdym świata smutkiem czy pociechą!

Po tém oświadczeniu chęci podzielania doli wszystkich ludzi, bez wyniosłego wyróżniania się, a tém mniéj bez lekceważenia i pogardy dla ziemi i jéj spraw, poeta apostrofuje rzeczywistość i prawdę tak, jak dawniéj apostrofowano marzenie i natchnienie:

Rzeczywistości! w twoje rzucam się objęcie,
Prawdo! dotrzymam tobie wiary święcie.
Wy, jak dwie mistrzynie,
Bądźcie mi gwiazdą przewodnią,
Niech każdy krok, który uczynię,
Oświecon będzie waszą pochodnią!

Następnie, ze świadomością rzecznika nowego nastroju zwraca się do poetów, co się przed rzeczywistością wzdrygając, przeklinają tego, co jéj znaczenie podnosi, i upomina ich, ażeby się przestali bawić jak dzieci goniąc za błędnemi ognikami, żeby przestali bać się prawdy jak upiora, bo „rzeczywistość—to wielki twór boży!“ Zamiast przed nim się ukorzyć, wy—powiada autor do marzycieli-poetów — wy chcecie swoją myślą inne światy tworzyć, swe i ludzkości zmienić przeznaczenie wprzód, zanim jeszcze znacie je dokładnie?“ Próżne, szalone to usiłowanie, gdyż „strumień czasu aż w najdalsze pokolenie poniesie, co jest wiecznėm w światowym obszarze.“ Uznaje piękność i szlachetność marzeń, ale wykazuje ich bezowocność:

Wy czyste dusze, wy szlachetni marzyciele,
Na gwiazdach swoje rozpinacie trony;
Lecz was i waszych braci, wasze swięte cele
Depcze tutaj nogami podłość i niecnota;
Wasz duch marzeniem i snem uwięziony
Odnosi *tam* zwycięztwa, w bojach się szamota,
A krwawy pot wasz, męztwa waszego wawrzyny
*Tutaj* zdobią tryumfy chytrości i zbrodni..

Więc wzywa ich, by zeszli na ziemię i wzorem dawnych bohaterów, którzy czyścili—kraj swój z hyder i ze smoków, obrócili miecz,

jak miecz archanioła, przeciw ciemiężycielom cnoty i starli blask tryumfu z niegodnego czoła. Powód takiego wezwania do poetów i wogóle przemiany pojęć i dążności podaje Bełcikowski w słowach znamionujących dobrze ówczesny stan ducha:

Błogo marzyć... lecz gdy się prawda raz odsłoni,
Gdy marzenie snem marnym choć raz się pokaże,
Komuż wstyd nie wypali rumieńca na skroni,
Kto zechce znowu zasnąć, poić się w tym czarze!
Kto będzie tyle ślepy, nierozsądny tyle,
By zawsze być [illegible] lub złych ludzi;
Kto nie doszu [illegible] jéj własnéj sile,
Kto się ze zb [illegible]

To pożegnanie się [illegible] o krzepkie, prawdziwie męzkie uchwycenie się rzeczyw [illegible] szkodziło wprawdzie Bełcikowskiemu pisać, a przynajm [illegible] późniéj wierszy całkiem jeszcze tkwiących w romantyzm [illegible] ło bądźcobądź zwrot w jego pojęciach ważny, którego [illegible] odczuć w innych dziedzinach jego działalności. Wier [illegible] się autor w szeregi „młodych" zwolenników postępu i [illegible] ich sztandarem występował i działał. Wiersze już go rzadko kiedy nęciły. W r. 1866 w „Tygodniku illustrowanym" pomieścił parę erotyków („Bianco vestita," „Piękność"); w r. 1868 w „Kalinie" krakowskiéj umieścił „Syna baszy," który, pokochawszy jeńca polskiego, nie chciał go zabić, lecz gdy go siepacz ciężko ranił, dobił go z miłosierdzia i płakał po nim przez noc całą. Ostatnim, jak dotychczas, utworem rymowanym Bełcikowskiego jest „Wieczór w Czarnolesie" z r. 1822. Wprowadza tu autor Kochanowskiego, spowiadającego się ze swych uczuć, pragnień, dążeń i działalności. Użytemi tu po większéj części zostały słowa samegoż Jana z pism jego wyjęte. Zaczyna się rzecz od obrazu smutku po Urszuli; potém odmalowano ukochanie złotéj mierności i miłość kraju, przedstawiono potęgę Polski ówczesnéj, szczegóły życia czarnoleskiego, przypomnienie młodzieńczych miłostek i pochwałę żony. W końcu muza wieńczy poetę wawrzynem pod lipą czarnoleską i przepowiada mu cześć wieczną, którą składać będą nawet więksi naden wieszcze jako temu, co „jak Prometeus nowy pierwszą iskrę zatlił w niebie polskiéj pieśni narodowéj."

Poezya wierszowana nie była dziedziną właściwą dla Bełcikowskiego, gdyż nie posiadał łatwości i świeżości rymów, a ztąd w ich doborze znać przymus i naciąganie, często dla zrymowania dwu wierszy dodawać musiał autor wyrazy mniéj potrzebne, obniżające dosadność wyrażeń lub ich trafność. Czuł to widocznie sam Bełcikowski i dlatego

w większych swoich utworach posługiwał się prozą albo wierszem białym. Prozą pisał komedye i powieści, wierszem białym—dramata, oprócz jednego, całkiem młodzieńczego.

## XII.

Do twórczości dramatycznéj czuł Bełcikowski skłonność od samego niemal dzieciństwa. Wczesne zapoznanie się z teatrem, chętne uczęszczanie na przedstawienia zaostrzało w nim tę skłonność, a stan pewnéj niemocy, w jakiéj zostawała dramaturgia nasza za czasów jego kształcenia się, pobudzał młodą jego ambicyę, tak samo jak jego rówieśników, do spróbowania, czy téż on nie potrafi napisać czegoś, coby ubogą naszę literaturę dramatyczną wzbogaciło. Jeszcze tedy na ławach gimnazyalnych w siedemnastym roku życia utworzył Bełcikowski dramat pięcioaktowy prozą p. n. „Hunyadi.“ Autor ogłaszając go drukiem w kilkanaście lat po napisaniu, bo dopiero w r. 1870 (we Lwowie, str. 102), opowiedział, w jaki sposób utwór ten powstał. Przy czytaniu jakiéjś historyi powszechnéj umysł młodzieńca zapalił się szczególniéj jednym ustępem z dziejów, którego bohaterem był młody dwudziestoletni rycerz, który wcześnie w walkach z Turkami zdobył sobie zaszczytne wawrzyny i prędzéj jeszcze poddał swą głowę pod miecz kata, bez wyraźnego występku, bez winy szczególnéj. „Całe tło i szczegóły tego wypadku — mówi Bełcikowski — przemawiały silnie do mojéj wyobraźni: wieki średnie... walka z półksiężycem... ten rycerz młody, waleczny a jednak nieszczęśliwy... ulegający zdradzie i podłości swych nieprzyjaciół... z drugiéj znów strony ten król prawie dziecko nad wiek swój zepsuty, nie tyle sam może winien, ile jego służalcy, i schodzący również ze świata nagle i w tajemniczy sposób... Te postacie i ich dzieje rozbudzały w młodocianym umyśle idee, któremi tak ochoczo zapalamy się w poranku życia: ojczyzna... sława... miłość.. nieznane, niepojęte jeszcze przez młodą duszę, rzucały magiczne światło na bohaterów, przedmiot mojego marzenia, a światło to padało następnie na cały świat, rzeczywistość i własne uczucia... Z tych marzeń, uczuć i obrazów zrodziła się wreszcie jakaś całość niby w formę dramatyczną ujęta.“

Błędnym jednakże byłby wniosek wysnuty z tych słów autora, jakobyśmy w „Hunyadim“ mieli fantasmagoryę marzeń młodzieńczych o sławie, poświęceniu za kraj i miłości. Owszem widocznem jest w całym utworze staranie, by tylko rzeczywiste osoby i rzeczywiste motywa ich działania przedstawić. Już w tém młodzieńczém dziele odnajdujemy zasadniczy rys twórczości dramatycznéj Bełcikowskiego; jasne, rozumne pojmowanie zasad etycznych i wypływające z niego wynikliwe rozwijanie charakterów w dramacie działających. W utworze młodzień-

zym zazwyczaj spodziewamy się znaléźć nadmiar uczuć i bezład myśli, z których każda stara się objąć nadzwyczaj dalekie widnokręgi, a przynajmniej wylecieć poza ciasny obręb danéj sytuacyi; tymczasem w „Hunyadim" myśli trzymane są w karbach właściwych danemu położeniu i danemu charakterowi, a uczucia płyną wprawdzie wezbranym potokiem, ale nie wylewają się poza brzegi. Hunyadi jest dzielnym rycerzem i głęboko czującym kochankiem, ale żadna w nim namiętność nie stała się wyłączną dźwignią jego życia; upokorzenie go na ambicyi nie sprowadza w nim stanowczéj przemiany; wyrzuca on z siebie ciężące mu na sercu słowa oburzenia, lecz żadnego gwałtownego nie przedsiębierze kroku, by zetrzeć i zgnieść swych nieprzyjaciół; zawód w miłości również nie działa niszcz[illegible] i dzielność; mógłby wytrwać i nadal bez wiary w mił[illegible]obywatel; w jego słowach niema piorunujących zwro[illegible]ostrzegać się daje pewna sztuczna retoryka; wszędzi[illegible]aga nad namiętnością. Podobnież i Anna. To wielki[illegible]a dla Hunyadego, nie objawia się w jéj postępowaniu [illegible]końcu dramatu dowodzi swéj siły. Znaczna część sytu[illegible]wynika ztąd, że Anna, zamiast wyznać kochankowi we[illegible]przedzić go, iż król ją odwiedzał w celach zniesławi[illegible]ie posiadania, bawi się w półsłówka i niedomówienia [illegible]w stanowczych chwilach życia kieruje się rozsądkiem ([illegible]o prawda), a nie sercem. Inne postacie dramatu: słab[illegible]ący się powodować zausznikom, lubieżnik król Władysław Posthumus, czarne charaktery: hrabia Urban stryj i opiekun Anny, Ulrych hrabia Cilli, Szécsi arcybiskup strygonski i inni są skreślono dość szablonowo. Kompozycya dramatu jest bardzo luźna; zmiany miejsca odbywają się nadzwyczaj często; w ciągu akcyi wiele rzeczy się dzieje, ale mało się robi.

Autor pisząc „Hunyadego" nie tyle może miał przed oczyma Szekspira, ile jego naśladowców niemieckich; właściwych bowiem angielskiemu dramaturgowi cech, prócz częstéj zmiany miejsca, nie znajdujemy w „Hunyadim;" natomiast retoryka pisarzów giermańskich uwidocznia się niejednokrotnie, a w charakterystyce hrabiego Urbana możnaby wskazać rysy znamionujące Franciszka Moora. Z autorów polskich żaden chyba nie służył Belcikowskiemu za wzór, ani Słowacki, ani nawet Korzeniowski.

W dziesięć dopiero lat po téj próbie młodzieńczéj zabrał się Belcikowski do utworzenia nowego dramatu. Zdobyte w tym przeciągu czasu większe doświadczenie życiowe, głębsze zapoznanie się z dramaturgią europejską, większa wprawa stylowa, wszechstronniejsze opano-

wanie motywów dramatycznych dozwoliły autorowi z nieporównanie większą niż przedtém swobodą i pewnością siebie rozwinąć swe siły. Tym razem wybrał za przedmiot dramatu głośną sprawę z czasów saskich i napisał „Adama Tarłę” — w r. 1865; przeleżał ten utwór czas jakiś w rękopiśmie, przesłany był następnie na konkurs dramatyczny do Lwowa i został z pomiędzy wielu innych zaszczytnie wyróżniony. Drukiem ogłoszony był dopiero w r. 1869 w „Dzienniku literackim.“ Kompozycya jego nie jest jeszcze dostatecznie skoncentrowana, gdyż akcya toczy się trochę zarozwlekle; ale charaktery główne są już skreślone dobitnie, a styl zabarwił się tak, iż może służyć do odznaczenia rozmaitych usposobień i nastrojów, niéma w nim już owéj jednostajnéj patetyczności, jaką zauważyłem w „Hunyadim.“ Dzielny, sympatyczny bohater, pociągający ku sobie serca braci szlachty i niewiast, jest oczywiście środkowym punktem całego utworu. Autor umiał go istotnie w akcyi i w słowach, pełnych nieraz siły, utrzymać na tym poziomie, na jakim stawiają go uboczne wzmianki innych osób. Jestto zatém postać jednolita i konsekwentna od początku do końca. Przeciwnikami jego są: księżna Poniatowska i Niemiec Korn, będący w jéj usługach. Poniatowska, dumna, ambitna, bez serca, z zimną krwią gotowa poświęcić swego syna Kazimierza, niedołęgę i tchórza, byleby nasycić uczucie zemsty względem Tarły. Syna tego popycha do pojedynku z nienawistnym Tarłą, a gdy Kazimierz nie czując się obrażonym a prócz tego nie bardzo chcąc narażać życie, przeprasza go na placu spotkania, otrzymuje po powrocie ztamtąd policzek od matki, która jednak na tém upokorzeniu syna nie poprzestaje, gdyż nie o niego jéj idzie, lecz o zgniecenie Tarły. Za jéj zgodą Korn, przebiegły i przewrotny łotr, rozrzuca po mieście pamflet zniesławiający narzeczoną Tarły Rozalię księżniczkę Lubomirską, urodzoną z mieszczanki, a przytém rozsiewa pogłoskę, że Kazimierz jest pamfletu tego autorem. Wówczas Adam Tarło wyzywa Kazimierza. Lecz książę wojewoda Poniatowski, ojciec Kazimierza, ze względu, że pojedynek z Tarłą w owéj chwili byłby bardzo niepopularny, udaje się do króla Augusta III, ażeby skłonił wojewodę lubelskiego do zgody. Na wyraźny rozkaz królewski Tarło pozornie ustępuje, ale tajemnie umawia się z Kazimierzem o pojedynek przy pierwszéj nadarzonéj sposobności. Korzysta z tego Korn, skłania Kazimierza do przyjęcia pojedynku, obiecawszy mu, że sam niespodzianie Tarłę szpadą przebije. Pomimo ostrzeżenia i błagań Izabelli, siostry Kazimierza, kochającéj Tarłę, ten jedzie w zasadzkę i zostaje zabitym. Izabella, która dla przeszkodzenia morderstwu, sprowadziła marszałka Bielińskiego na miejsce zasadzki (niestety, zapóźno), widząc broczącego we krwi Tar-

pienie rozkazu królewskiego co do pojedynku,
omimo swego marszałkowstwa, uczuć w swém
rozę urzędnika, a nadto zbyt pochopnie uznał
h przez Korna za wykonawców kary boskiéj
dzie tego zdania, jakoby sprzeczném było z poję
kończenie dramatu, w którém niewinni giną,
rowi i cali, gdyż jako obraz życia dramat musi p
padki; ale mniemam, że kiedy się wypowiada sąd
ile możności uczynić bezstronnym. Adam Tar
wał na gorętszą i sprawiedliwszą mowę żałobną,
e słowa marszałka. Otrucie się Izabelli nie daje o
, gdyż jest wynikiem uczucia nie zaś rozumu.
estawiając dwa pierwsze dramata Bełcikowskieg
giem lat dziesięciu, można zauważyć podobieństw
Adam Tarło to Hunyadi, ten dzielny, młodo ginąc
ch warunkach otoczenia żyjący; Izabella to An
o i ginąca wraz z ukochanym; Korn to hrabia
zebierający w środkach. Wyższość obrobienia zn
w utworze wieku dojrzalszego.
Po napisaniu „Adama Tarły," Bełcikowski znow
dramat, a wziął się do tworzenia komedyj prozą.
m rodzaju sztuka, pisana za pobytu w Warszawie
a w „Kalinie" krakowskiéj r. 1869 ma napis: „Nie
ni." Jestto rzecz drobnych rozmiarów (1 akt);
na saméj sytuacyi, któréj nie do...

zwano zdrowego rozsądku. Dyalog jest żywy, ale nie posiada werwy komicznéj. O charakterach nie może tu być właściwie mowy: Inżenier jest jakiś gorączkowy, nierozważny, wielce niedomyślny, Edmund sprytniejszy, Cecylia zaś i Aniela uwydatniają w sobie tylko próżność; w słowach i znalezieniu się najwięcéj cech indywidualnych ma ojciec Cecylii Kąkolnicki, szlachcic tłusty, łatwo męczący się, na wszystko patrzący z gospodarskiego punktu widzenia, ale rozsądny; ztąd jemu to przypadła rola załagodzenia nieporozumień.

Zaraz po téj napisał Bełcikowski drugą krotochwilę w 1 akcie p. n. „Wizyta pana Feliksa“ (druk w „Kłosach i kwiatach“ r. 1869). I tu tak samo jak tam komizm leży w sytuacyach, niewspomaganych dowcipem słowa. Zaraz pierwsza scena pełna jest rzeczywistego komizmu. Hilary, mający córkę Adelę, na wszystko prosi, niezamożnego Feliksa, ażeby bywał w jego domu jaknajczęściéj, a to w celu zmuszenia wielce, karykaturalnie niezdecydowanego kamienicznika Melchiora do oświadczenia się. Feliks rolę tę przyjmuje, podbudza uczucie zazdrości w gruboskórnym Melchiorze, ale go nie może doprowadzić do stanowczego kroku i to tak dalece, że gdy już słowa oświadczyn przed Hilarym miał wykrztusić, skończył na powiedzeniu, że mu jest bardzo gorąco. Dopiero wywołana naumyślnie scena, w któréj Melchior widział się zmuszonym do pojedynku, wycisnęła z ust zarozumiałego w swéj kamienicy słowa oświadczyn, ale wówczas Adela wzgardziła nim, a wzięła Feliksa. Rozmowa w téj krotochwili jest żywa i niby wesoła, ale pozornie tylko, efekt ten bowiem wywołuje jedynie powtarzanie krótkich zwrotów, nie zaś istotnie dowcipne zestawienie myśli lub porównań.

Od tych krotochwil jednoaktowych przeszedł Bełcikowski do wielkich pięcio-aktowych komedyj historycznych. Twórcą takich u nas kompozycyj, jest, jak wiadomo, Józef Korzeniowski, który w „Wąsach i peruce“ starał się odtworzyć chwilę ścierania się dwu prądów cywilizacyjnych — głównie pod względem zewnętrznym, powierzchownym, lubo nie pomijał i głębszéj ich treści. Za przykładem Korzeniowskiego poszli Antoni Małecki („Grochowy wieniec“) i Józef Szujski („Dzierżanowski“ i in.). Wspólnym ich usiłowaniom udało się wyrobić niejakie prawo obywatelstwa temu rodzajowi dramatycznemu. Właściwém zadaniem komedyi historycznéj może być zbliżenie dla wyobraźni spółczesnych tła dziejowego, obyczajów i kostiumów minionych; przynajmniéj dotychczas nie udało się nikomu odnaléźć odrębnéj wewnętrznéj psychologicznéj cechy charakterów, któraby komizm ich przeciwstawiła komizmowi charakterów dziś żyjących. To téż i komedye historyczne Bełcikowskiego głównie mają na celu ową zewnętrzną charakte-

rystykę zwyczajów, obyczajów i mowy ubiegłych wieków, a dla silniejszego zaznaczenia historyczności powikłań opowiedzianych wprowadzają figury mające głośne imię w dziejach.

Pierwsza proba Bełcikowskiego w zakresie komedyi historycznéj ma znamiona dramatu. „Król Don Juan“ (drukowany 1869 w „Strzesze“ i osobno, we Lwowie) nie zawiera rzeczywiście scen prawdziwie komicznych, a komedya nazwany został chyba dlatego, że osnuty jest
na drobnych przygoda
ielkich wypadkach dziejowych.
Przedstawia on milostk
trzech stopniach: z dawno po-
rzuconą kochanką panią
e Teschen t. j. księżną Cieszyń-
ską), z zaczynającą go r
Kozel i ze świeżą, młodą, ładną,
namiętnie kochającą có
val, mającą szlachetne popędy,
szczerą i serdeczną. Po
zebieranie się, wdzieranie się do
rezydencyi królewskiéj
ny nocne, pojedynek dają dużo
ruchu akcyi i charakter
rygi dworskie. Postać króla od-
danego zmysłowości, u
nie wyzyskiwać uczucia innych
na swoję korzyść i mówić w tym celu bardzo ułudnie; postać jego doradcy, adjutanta, cynika przewrotnego, czasami dowcipnego (mianowicie w mowach „na stronie“) Randzau; postaci szlachetnego Wilhelma, kochającego Duvalównę, i jéj saméj są bardzo konsekwentnie przez ciąg sztuki przeprowadzone; najlepiéj zaś uwydatniony jest król i Randzau. Nieprawdopodobną wydaje się sytuacya, kiedy król w winiarni zrzuciwszy perukę i płaszcz klęka dla wyrażenia swych uczuć Duvalównie; inne natomiast nie odbiegają od zasad prawdopodobieństwa. Dyalog jest wogóle dość ożywiony, ale mało charakterystyczny; właściwie jeden tylko Randzau ma swój język. Tło polityczne rysuje się w głębi, lubo sprowadza rozwiązanie; hrabina Kozel uwozi Augusta do Saksonii przed grozą wojny szwedzkiéj; Duvalówna opuszczona przypatrując się odjazdowi, wpada w omdlenie.

Następna z kolei komedya historyczna Bełcikowskiego: „Dwaj Radziwiłłowie“ (Kraków, 1871) jest bardzo zręcznie, z życiem prowadzona i odznacza się w wysokim stopniu komizmem sytuacyjnym. Charakter Albrechta Radziwiłła, starego lisa, sensata, oratora, sofisty, posługującego się często słowami pisma s. i zadawalniającego samolubnie tylko swoje zachcianki, przebiegłego i podstępnego należy do najudatniejszych w naszéj literaturze dramatycznéj postaci obłudników i stanowi najprzedniejszą ozdobę komedyi. Charakter Janusza Radziwiłła, pomyślany i przedstawiony z początku oryginalnie, gdy go widzimy zatopionego w myślach i na los szczęścia przedsiębiorącego podróż po narzeczoną, mniejsza o to: Tenczynską czy Wisniowiecką, schodzi w dalszym

rozwoju akcyi na poziom zwykłéj roli stałego a czułego kochanka. Dobrze są utrzymane charaktery Katarzyny Potockiéj, kobiety dumnéj, śmiałéj, umiejącéj sobie radzić, a w dodatku dobréj i szlachetnéj, oraz królowéj Cecylii Renaty, wesołéj, zręcznéj, trzpiotki niby, a jednak rozumiejącéj rzeczy poważne i wielkie. Intryga komiczna zawiązana i rozwiązana dość zręcznie. Albrecht Radziwiłł zobowiązał się oświadczyć Janusza, a oświadczył sam siebie i otrzymał słowo matki Katarzyny Potockiéj. Idzie o to, kto dostanie jéj rękę. Sprawa pomiędzy dwoma spółzawodnikami opiera się aż o królowę. Ta dostawszy od starego dworaka Gniewosza list pisany przed czterema tygodniami przez Albrechta Radziwiłła do kasztelanowéj sieradzkiéj z oświadczynami względem niéj, pozwala chytremu ale tym razem ułowionemu w sidła lisowi doprowadzić jego konkury względem Katarzyny Potockiéj aż do uroczystéj chwili zaręczyn, zaprasza na te zaręczyny kasztelanowę sieradzką, przypomina Albrechtowi jego dawniejsze przyrzeczenia, i sprawia, że ten, chcąc wybrnąć z sytuacyi kłopotliwéj i śmiesznéj, zaręcza się z kasztelanową, gdy Janusz bierze Katarzynę, a przyjaciel jego Dominik Kazanowski siostrę jéj, Annę. Dwa pierwsze akty téj komedyi są wyborne, trzeci i czwarty mniéj dobre, bo rozwlekłe, piąty znowu zadowolnić może surowych nawet sędziów żywością dyalogów i szeregiem sytuacyj, nie tyle może komicznych, ile raczéj mocno naprężonych. Charakterystykę mowy wieku XVII (bez łaciny jednak) zachowuje autor tylko wówczas, gdy przemawia Albrecht Radziwiłł i poczęści Gniewosz; inne osoby posługują się językiem dzisiejszym. Tła politycznego niéma tu żadnego i król chory na podagrę nie ukazuje się wcale w komedyi; królowa zajęta jest tylko doprowadzeniem do skutku małżeństwa Janusza.

Najlepszą atoli z dotychczasowych komedyj Bełcikowskiego jest satyra społeczna p. n. „Protegujący i protegowani“ (w 3 aktach, drukowana 1874 w „Tygodniku Illustrowanym“). Jest w niéj dużo ruchu, sytuacyj komicznych sporo; charaktery dobrze pomyślane i konsenkwentnie przeprowadzone; następstwo scen w niczém nie razi poczucia prawdopodobieństwa; a jakkolwiek dowcipu słowa niéma tu wiele, to inne zalety brak ten w znacznéj części okupują. Najprzedniejszą postacią jest pan Radca, który ze Lwowa przyjechał do jakiegoś miasteczka na sesyę i swym przyjazdem wywołał całe zastępy protegowanych. Ten pan Radca, wielki człowiek powiatowy i wielki protektor, to charakter pomyślany śmiało i szeroko. Przedstawia on głupotę, nieuctwo (gdy opowiada, jak Dante spalony został razem z Husem i t. p.), nadętość, pyszałkowatość wobec niższych, serwilizm wobec herbów i wyższych

urzędników. Antytezą jego jest blado zresztą nakreślony August, który ukończył uniwersytet i pisuje do druku, dobrze, rozumnie pojmując obowiązki obywatelskie. W pannie Domicelli, wysłużonéj dworaczce hrabiego, dewotce i błudnéj wystawił autor ten rodzaj kobiet, co to śmiałością do czelności posuniętą i powoływaniem się na wpływy sfer wyższych terroryzują takich jak pan Radca urzędników i zmuszają ich do protegowania ludzi [illegible] egzemplarz mamy tu w panu Grzywce, byłym kreden[illegible]m. W ojcu Maryni, kochającéj Augusta, człowieku pr[illegible]gdyś panu Radcy dopomógł do ukształcenia, poznajemy [illegible] co rozumiejąc zmienione swe położenie względem [illegible] niższych poprzednio od siebie a późniéj na wyższy szc[illegible]h, są dla nich bardzo usłużni i pokorni, ale gotowi [illegible]anéin oburzeniem, gdy widzą, jak ci wyżsi wbrew sw[illegible]iałają. W żonie jego Pelagii widzimy poczciwość i r[illegible]w Maryni, spryt, oraz stałe — praktycznemi względam[illegible]uczucie. Dobrą też figurą jest Staś, protegowany z początku przez ojca Maryni, pustak, lekkoduch, nawet łobuz, który wszystek przyrodzony dowcip zużywa na wyłudzanie od krewnych pieniędzy, a o posadę stara się dlatego tylko, żeby osiągnąć jakiś stały dochód na rozrywki. Szereg tych osób przesuwa się przed nami w pierwszych dwu aktach; poznajemy ich w scenach żywo dyalogowanych i komicznych. Intryga właściwie w trzecim dopiero akcie zawiązuje się i rozwiązuje. Marynia wykrywając przeniewierstwo Grzywki, protegowanego przez pannę Domicellę, osłabia jéj względem niego uczucie i z protektorki robi ją jego przeciwniczką, a nawet (co mniéj trochę prawdopodobne) protektorką Augusta, którego poprzednio nie cierpiała. Ostatecznym bodźcem w postanowieniu Radcy, by popierać Augusta na posadę, stają się listy, które od hrabiego wyjednywała panna Domicella. Lekkomyślność, z jaką były pisane, gdy hrabia raz zalecał Grzywkę, a drugi raz go odrzucał, raz zapraszał pana Radcę na obiad, a drugi raz bez ceremonii go odpraszał, dobrze charakteryzuje usposobienie człowieka, pomiatającego ludźmi, któremu w gruncie rzeczy cała sprawa jest zupełnie obojętna, a listy owe pisze tylko na prośbę dawnéj swéj kochanicy.

W ciągu tych lat ośmiu, w czasie których pisał Bełcikowski komedye, znać ciągłe doskonalenie się jego talentu. Początkowa bladość i niewyraźność postaci nabiera z czasem barwności i dobitności coraz większéj; autor tworzy naprawdę charaktery komiczne (książę Albrecht, pan Radca), pomysły z początku drobne i błahe rozszerzają się i pogłębiają. Zasadnicza cecha komizmu u tego autora polega, jak wiemy, na

doborze sytuacyj śmiesznych, nie zaś na dowcipie wyrażenia; Bełcikowski uwydatnia téż ją zawsze bardzo szczęśliwie i umie przez nią wywołać efekta komiczne; nie ma ich wszelako w takiéj obfitości i w takiém natężeniu, żebyśmy mu przyznać mogli siłę komiczną w wyższym stopniu, żeby go można porównać z komedyopisarzami mającymi prawdziwy temperament komedyopisarski. Bełcikowski umie obmyśléć sytuacye komiczne i umie je przeprowadzić; ale sytuacye te nie cisną mu się pod pióro, nie gonią jedna drugiéj, nie tłoczą się w umyśle autora. Przytém brak zdolności chwytania i zestawiania subtelnych odcieni myśli i słów, brak dowcipu wyrazowego nie pozwala mu wyzyskać sytuacyj owych w sposób wyczerpujący, nie pozwala mu znaczenia ich komicznego podnieść i oświetlić należycie; krótko mówiąc, w zakresie komedyopisarstwa nie można Bełcikowskiego stawiać na równi ani z pierwszorzędnymi u nas tego rodzaju dramatycznego przedstawicielami.

## IV.

Właściwym rodzajem twórczości Bełcikowskiego jest sfera dramatu i tragedyi. Do niéj téż przeszedł nanowo, kiedy się na innych polach wypróbował; a przeszedł z zapasem sił zmężniałych wskutek kilkoletniego ich podsycania i ćwiczenia. Po dwu pracach młodzieńczych („Hunyadi," „Adam Tarło") nastąpił teraz szereg dramatów, to słabszych, to dzielniejszych, ale w każdym razie odznaczających się dobrém pojęciem kolizyi dramatycznéj i charakterami po większéj części jasno zarysowanemi i konsekwentnie przez ciąg akcyi przeprowadzonemi. Nie znajdziemy tu wprawdzie wielkich głębin psychicznych, ani téż bardzo oryginalnych pomysłów; autor bowiem lubi charaktery złożone z pierwiastków prostych, odrazu przez każdego ukształconego dających się zrozumiéć i ogarnąć; — nigdzie atoli nie spotkamy uchybień przeciwko prawdzie ducha ludzkiego, nigdzie naciąganych położeń, nigdzie fałszu moralnego. Wszystkie osobistości jego dramatów są to istotnie ludzie żywi, nie zaś maryonetki poruszane przez kuglarza autora; wszystkie mają swoję właściwą fizyognomię, swój świat uczuć, pojęć i popędów; wszystkie plastycznie rysują się w naszéj wyobraźni. Jedne mają więcéj cech indywidualnych, inne mniéj; jedne lepiéj są obrobione, inne gorzéj; jedne większą, inne mniejszą odznaczają się oryginalnością; ale niéma wśród nich chyba żadnéj takiéj, żeby jéj brak życia artystycznego zarzucić było można. Najsłabszą stroną i tych utworów jest styl. Bełcikowski pisze jasno, poprawnie, ale nie posiada zdolności obrazowania w wyższym stopniu, nie ma śmiałych rzutów i tych wstrząsających do głębi wyrażeń, któremi wielcy dramaturgowie tak potężnie dzia-

lają na umysły. Ztąd w scenach spokojniejszego nastroju zadawalnia styl ten w znacznéj mierze, ale w chwilach wybuchowych wydaje się on niedociągniętym do właściwéj nuty. Zresztą i pod tym względem są pomiędzy jego dramatami dość wybitne różnice.

Drugi okres swojéj działalności dramatycznéj rozpoczął Bełcikowski od tragedyi w 4 aktach p. n. „Franczeska di Rimini" (1873 r. w „Bluszczu"). Piękna, wzruszająca legenda przez Dantego unieśmiertelniona nastraja czytel [illegible] dla tego utworu, ale téż budzi wysokie wymagania w [illegible] który taki temat do obrobienia wybrał. Jeżeli gdzie, to [illegible] innaby była posiadać i lotność i siłę, ażeby odpowiedz [illegible] iom, jakie sam tytuł tragedyi nastręcza. Nie można [illegible] Bełcikowski nie zawiódł tych oczekiwań. Dwa pierw [illegible] dzie dobrze prowadzone, ale dwa drugie wydają się [illegible] pierwotne wrażenie, zwłaszcza że kulminacyjny punkt [illegible] rozmowa między kochankami bardzo blado wyszła z p [illegible] hociaż właśnie na jéj wyrobienie wszystkie siły wytężyć [illegible] było. Właściwie jedynym dobrze wykonanym charakterem jest Lanciotto Malatesta, bohater w rodzaju Ryszarda III i Franciszka Moora, brzydki do potworności, zły do okrucieństwa. Pokochał on Franczeskę, ale nie mając nadziei, ażeby mógł pozyskać jéj serce, chciał przynajmniéj posiąść jéj rękę. Za radą brata swego Paola, pięknego i dorodnego młodzieńca, kochanego w tajemnicy przez Franczeskę, -i przy zobopólnéj zgodzie rodziców stron, bierze on ślub z Franczeską, podstawiając swego brata. Ale ten brat wtedy właśnie pokochał bratowę i, pomimo przysięgi danéj Lanciottowi, za pośrednictwem tajemnego przejścia w zamku widywał się z ukochaną, szanując wszelako jéj czystość. Lanciotto, podejrzliwy bo niekochany, nie mogąc nakłonić Franczeski do oddania mu się jak mężowi, urządza zasadzkę. Przybywa Paolo, Franczeska pierwszy i ostatni raz go całuje i wypija truciznę. Wówczas wpada Lanciotto, przebija przebranego brata, poznając go dopiero po zamordowaniu; dowiedziawszy się, że uczucia tych dwojga ludzi były czyste a pełne męczarni, uwierzył w miłość i szlachetność ludzką, uznał się za zbrodniarza i sam się przebił. Pomimo tych kilku śmierci tragedya ma zamało rzeczywistéj tragiki.

Dramat w 5 aktach p. n. „Kmita i Bonarówna" (1875, Lwów) zajmuje głównie postacią bohatera; dramatyczności bowiem w tym utworze jest bardzo mało; historya-to raczéj dyalogowana. Ale Stanisław Kmita to charakter o wiele głębszy niż którakolwiek z dawniejszych postaci Bełcikowskiego. Pokochał on Zofię, córkę Bonara, bawiącą na dworze Bony. Zarówno brat jego, z powodu że Zofia jest luteranką i pochodzi z rodziny

mieszczańskiéj, nienawistéj Kmitom oddawna, jak i Bona, która Stanisława chciała ująć w pęta miłosne, nie życzą sobie tego małżeństwa i działają tak, żeby sam Bonar był mu przeciwnym. Oświadczyny Firleja, a następnie i zapomnienie Zofii o swéj pierwszéj, dziecinnéj miłości sprzyjają tym planom. Ale Stanisław zapomniéć nie może; ten „Włoch melancholiczny, co pod italskiém niebem się wylenił z szlacheckiéj skóry,“ przekonawszy się, że go Zofia nie kocha, — udaje wesołość, odpowiada czułemi a zręcznemi komplementami na fawory Bony, pije, hula, lecz w duszy ma „piekielną cierpkość, bo się upił „gorzkiemi łzami serca.“ Zaproszony na wesele Firleja z Zofią, skacze w przepaść ze skały zabierzowskiéj. Inne charaktery w tym dramacie, lubo mają fizyognomię własną, nie zaznaczają się przecież tak wydatnie, żeby o nich można było szczegółowszą pamięć na dłużéj zachować. Jeden chyba dworak Pełka, który nie chce miéć w nikim nieprzyjaciela, wszystkim służy i pocichu wszystkich zdradza, jest wybitniejszą figurą, ale dodać trzeba, że to wzmożony przewrotnością i zepsuciem charakter Gniewosza z „Dwu Radziwiłłów.“

Dramat w 5 aktach z r. 1876 p. n. „Król Mieczysław drugi" (drukowany najprzód w „Tygodniku illustrowanym" ze skróceniami, a w „Bibliotece uniwersalnéj“ r. 1880 w całości) nadał szerszy rozgłos nazwisku Bełcikowskiego jako dramaturga. Uwieńczony nagrodą na konkursie krakowskim i przedstawiony na scenie obudził wielkie zajęcie wśród krytyków i publiczności. Zgodzono się powszechnie, iż autor okazał w dyalogach taką siłę, jakiéj w poprzednich jego utworach nie było, że wyrobił sobie w potrzebnych miejscach humor rzetelny, że zadanie swoje pojął bardzo szeroko i w przeważnéj części wykonał je szczęśliwie. Z Szekspirowską swobodą, lubo grubemi rysami nakreślił postacie o namiętnościach potężnych i pozwolił im rozwinąć się w całéj pełni. Pod względem tylko układu zarzucono autorowi, iż napisał raczéj kronikę dramatyczną niż dramat skoncentrowany, gdyż przedstawić chciał całe dziewięcioletnie panowanie Mieczysława II. Uznać chyba wypadnie słuszność tego zarzutu, ale zarazem dodać trzeba, że nie uwydatniła krytyka téj nowego rodzaju tragiczności, jaki Bełcikowski w utworze swoim przeprowadził. Dzielny, w słowach pełnych siły panowanie swe zapowiadający król, który, wbrew radzie arcybiskupa Hipolita, nie chce występować wrogo przeciwko poganom we własném państwie, który ma kochankę Dobrówkę, poświęconą sobie, silną i mężną nawet w boju, a trzymającą się pogaństwa, taki władca traci królestwo, opanowane przy pomocy cesarza i kilku panów polskich przez Bezbraima, co się we wszystkiém okazał służką cesarza i papieża, sro-

gie na pogan wywierając prześladowanie. Jest-to niewątpliwie los tragiczny, ale tragiczność taką powszechnie u dramaturgów znajdujemy. Nowe w jéj skład pierwiastki wprowadza nasz autor dopiero po tych wypadkach. Mieczysław udawszy się na dwór cesarza Brzetysława, wtrącony został do więzienia, a gdy wyszedł z niego po gwałtownéj śmierci znienawidzonego Bezbraima, stał się pokornym, cesarzowi złożył hołd, wierną nawet w więzieniu Dobrówkę oddalił od siebie, rządy zdał na Ryksę, w uczta[...]stwie szukając zapomnienia doznanéj hańby. Otóż [...]wienie tego pozornego stanu bezmyślności, pod którą [...]zarpiące mózg i serce przypomnieniem czynów ojca [...]dzielności samegoż Mieczysława, stanowi ten nowy pi[...]u, jaki Belcikowski wystawił. Że na takie pojęcie [...]zysława wpłynęła poprzednio już obrobiona postać Sta[...]o zdaje się nie ulegać wątpliwości. Jak Kmita tak i M[...]ają miotające nimi smutki pod maską udanéj wesołości [...]rykami; tylko że Kmita robi to z wyrafinowaną lekkością i przybraną swobodą, ponieważ jest wychowańcem wieku humanizmu, a Mieczysław poprostu i w sposób gruby, jak syn wieku XII. Oprócz Mieczysława i dzielnéj Dobrówki dobrze narysowaną postacią w tym dramacie jest Masław, dowcipniś, samolub, którego Mieczysław w drugiéj fazie swego życia i panowania zrobił podczaszym, a który, po jego śmierci wśród obłąkania, zapowiada bunt przeciwko Ryksie, zimnéj, wyrachowanéj Niemce, czczącéj cesarza jak świętość i ubierającéj syna Kazimierza po mniszemu.

Po „Mieczysławie drugim,“ napisanym z werwą, nastąpiły dwa słabsze dramata.

Jeden z nich: „Król Władysław Warneńczyk“ (1877 w „Bluszczu“) wątek ma zaszczupły na 5 aktów; ztąd daleko w nim więcéj przygotowań aniżeli akcyi. Zdramatyzowanie znanego w dziejach wypadku: złamania przysięgi na żądanie kardynała, wypowiedzenia wojny Turcyi, i śmierci bohaterskiéj młodego, prawdziwie rycerskiego króla w otoczeniu dzielnych wojowników, Tarnowskich, Zawiszy—wymagałoby nadzwyczajnéj potęgi słowa, ażeby odpowiedziało tym wyobrażeniom, jakie ogół wyrobił sobie o tragicznym fakcie. Belcikowski pięknie naprawdę nakreślił postacie rycerskie, ale im nie udzielił dostatecznéj siły i jędrności słowa. Postać kardynała, człowieka przebiegłego o potężnéj woli, umiejącego trafiać w słabą stronę ludzi, gdy Hunyadego pociąga obietnicą królestwa bułgarskiego, Władysława zapala żądzą sławy, gdy na Hunyadego działa za pośrednictwem ambitnéj jego żony, Elżbiety—należy do najlepszych postaci naszego dramaturga. Natomiast

Grzegórz z Sanoka nie udał mu się. Nie celuje on ani dowcipem, ani trafnością czy głębokością spostrzeżeń i przestróg; prawość i religijność— oto cechy główne, niezbyt odpowiednie znanemu charakterowi naszego humanisty.

„Przysięga," dramat w 5 aktach, pisany w końcu 1877 r., a drukowany r. 1878 w „Wieku," szwankuje pod względem umotywowania wypadków wypełniających pomysł. Zakon krzyżaków chce złamać potęgę Władysława Łokietka przez wprowadzenie na tron polski króla czeskiego Wacława III, hulakę. Botenstein zaprzysiągł zakonowi, że nakłoni Wacława do walki z Łokietkiem i osadzi go na tronie; lecz przysięgi zapomniał, gdyż kochał Wiolę, która dla dogodzenia staremu ojcu wyszła bez wiadomości kochanka za wstrętnego sobie Wacława. Botenstein ujrzawszy Wiolę za przybyciem na dwór króla czeskiego, nie chce dopomagać jéj mężowi do wyniesienia, owszem utwierdza go w hulaszczéj bezmyślności; a gdy dla nadzorowania wysłańca przybywa wielki szpitalnik zakonu Meinhard, korzy się Botenstein początkowo przed tą imponującą postacią, przyrzeka znowu iść przeciw Polsce, ale gdy Wiola mu oświadczyła, że się otruje, powtórny krzywoprzysięzca zamordowuje Wacława, sam wyznaje swą zbrodnię, sam przebija się, a tymczasem kochanka zażywa truciznę. Ruch dramatyczny jest tu większy aniżeli w „Królu Władysławie Warneńczyku," żadna atoli z postaci w dramacie występujących nie może pozyskać sympatyi czytelnika. Wprawdzie miłość gwałtowna Botensteina i Wioli, miłość niezważająca na sławę, sumienie, przyszłość, jedném słowem namiętność niezwalczona i potężna ma być tym czynnikiem, co sympatyę zastąpić mógłby w pewnéj mierze przynajmniéj, lecz mdłość wyrażeń oraz częste wahanie się Botensteina czynią ujmę i temu żywiołowi. Wiola jako żona wiarołomna nie może być przedstawicielką dobrą wyłącznéj i wyjątkowéj namiętności, bo jeżeli w niéj miłość dla Botensteina była tak wielka, toby nie zważała nawet na boleść ojca zmuszającego ją do wstrętnego zamęźcia; dziwny zresztą kaprys tegoż połączenia swéj córki z królem-hulaką niczém nie jest usprawiedliwiony. A nakoniec—i to rzecz może najważniejsza — gdyby Botenstein przed wyruszeniem do Pragi, spytał się był o imię świeżo przez Wacława zaślubionéj żony, do czego miał nietylko wszelką sposobność, ale nadto całkiem uzasadniony samą misyą swoją powód; gdyby się był dowiedział, że tą żoną jest jego Wiola, wówczas dramat musiałby od samego początku przybrać zupełnie inny obrót. Zaniechanie takiego pytania wydaje się czytelnikowi niewytłumaczoném; a użycie téj niewiadomości Botensteina za spręż-

żynę poruszającą całą budowę dramatyczną jest pomysłem, którego zasadność obronić trudno.

Ostatnim, jak dotychczas, a zarazem najlepszym dramatem Bełcikowskiego jest niewątpliwie „Bolesław Śmiały" (1882 w „Ateneum" i osobno). Sam już pomysł szeroki i wielkich powszechnodziejowych zadań dotykający nadaje utworowi coś imponującego i pomnikowego. Mamy tu przed oczy wyobraźni przybliżoną potęgę kościoła średniowiecznego w zestawieniu [illegible] ością charakteru indywidualnego, popędliwego, ale s[illegible] skiego. Autor umiał utrzymać do końca moc duszy Bo[illegible] niżając ani czerniąc biskupa, a nieubłagane konsekwen[illegible] nastroju religijnego przeprowadził przedmiotowo a [illegible] esław pragnie trzymać wodze rządów w silnéj ręce, a za[illegible] swoje czy popędy urzeczywistnić; biskup Stanisław [illegible] temu wpoprzek, dając uczuć królowi swe potężne zna[illegible] dą za potęgą, odstępują wyklętego władcę, a nastę[illegible] ą odbywają pielgrzymkę, by przebłagać papieża. Bo[illegible] nie może zadać kłamu postępowaniu swemu, a jakkolwiek wobec Boga żałuje za swe grzechy ziemskie, nie myśli się ukorzyć przed papieżem i umiera w Osyaku, widząc tłumy ziomków dążące do Rzymu. Biskup Stanisław jest dobrym, szlachetnym człowiekiem, gotowym na upokorzenia, byle tylko nawrócić króla na drogę cnoty, ale jako poddany Rzymu władzę kościoła stawia ponad wszystko, przekonany święcie, że wszelka inna od tamtéj pochodzi. Obok tych dwu najwydatniejszych postaci, inne nie giną i każda w swoim zakresie przyczynia się do zobrazowania życia Polaków w wieku XII. Krystyna jest wierną do ostatniéj chwili kochanką króla, ale zrywa z nim stosunek po wyklęciu i pokutuje; ona także nie idzie do Rzymu, lecz chce jak pustelnica zamieszkać w chatce, w któréj ostatnie dwa lata życia swego przepędził Bolesław. Mścisław jest głęboko i szczerze do Krystyny przywiązanym mężem, nie znajduje ukojenia nawet w religii, lubo do jéj obrządków nałogowo przywykł; nie zostaje wszelako wraz z Krystyną, gdyż miłości od pokutnicy żądać nie może, idzie więc razem z tłumem pielgrzymów do Rzymu. Żelimir przedstawia charakter stały i twardy: broni on godności i wolności rycerstwa, kornie uznaje a fanatycznie wielbi wszechwładzę kościoła. Zbylut, podżegający Bolesława do bezwzględnego postępowania z biskupem, a opuszczający króla, gdy wskutek klątwy tłum się od tegoż odwraca, to lubo nie nowy u samego Bełcikowskiego, ale dobrze oddany typ dworaka. Akcya w „Bolesławie Śmiałym" rozwija się wprawdzie powoli, ale istotnie potęguje się ciągle aż do czwartego aktu, który nadzwyczaj plastycznie

przedstawiając okropne wrażenie, jakie wywarła na tłum klątwa rzucona na króla, jest kulminacyjnym w dramacie. Akt piąty to właściwie epilog, potrzebny dla psychologicznego rozwiązania charakterów Bolesława, Krystyny i tłumu. Dykcya wszędzie ściśle odpowiada usposobieniu osób nią się posługujących, a jakkolwiek brak jéj silniejszéj barwności i oryginalności, nie można przecież odmówić jéj siły w ustępach, w których przemawia natężone uczucie.

Tak się nam przedstawia dotychczasowy rozwój talentu Bełcikowskiego w zakresie dramaturgii; pomimo osłabnięć chwilowych widzimy w nim wzrost ciągły; w niższych nawet bowiem dramatach, gdy się je rozważa jako całość, znajdujemy wzmożenie się poszczególnych pierwiastków składających się na uzdolnienie dramatyczne: albo charaktery są lepiéj wyrobione, albo kompozycya jest udatniejszą, albo sytuacye więcéj mają jędrności, albo dykcya się doskonali. W „Bolesławie Śmiałym“ lubo mniéj jest potężnych zarysów charakterowych i mniéj silnych zwrotów stylu aniżeli w „Królu Mieczysławie II,“ to przecież kompozycya jest doskonalsza, bardziéj ześrodkowana, a wszystkie żywioły dramatyczne do większéj przyprowadzone harmonii. Można więc mieć uzasadnioną nadzieję, iż w dalszych dramatach żywioły te ukażą się nam jeszcze w wyższém spotęgowaniu; a zaznaczyć należy, iż dzisiaj już wśród spółczesnych naszych dramaturgów historycznych Bełcikowski pierwszorzędne zajmuje stanowisko.

*

* *

Ażeby całkowicie zarysować obręb twórczości belletrystycznéj Bełcikowskiego, potrzeba mi słów kilka powiedziéć o jego powieściach i nowellach.

Napisał on dwie powieści i dwie nowelle. Powieści pochodzą z roku 1872, nowelle z 1885. Zarówno w jednych jak i w drugich taż sama panuje metoda pisarska. Bełcikowski pojmuje powieść i nowellę jako epiczną opowiadanie, w którém zwolna i spokojnie rozwija się szereg wypadków mniejszego lub większego zakresu. Ani dramatyczne zatém naprężenie, ani obfitość rozmów, ale mniéj lub więcéj szeroka— stosownie do rozmiarów opowieści—epicka w znaczeniu dawném gawęda: oto cecha zasadnicza twórczości jego w tym rodzaju literackim. Temperament spokojny, myśl do refleksyi skłonna, ale umiejąca się powstrzymać od przeładowania utworu epizodami i dygresyami nienależącemi bezpośrednio do danéj sprawy, poprawność i czystość poglądu tycznego: oto co się głównie i przedewszystkiém odbija w jego opo-

wiadaniach. Nie wprowadza autor do nich ani zagadnień społecznych, ani sofizmatów jakiegokolwiek rodzaju, nie pozwala też bardzo bujać fantazyi; zdrowy rozsądek rozsnuwa tu wątek zdarzeń wziętych z dziejów lub obserwacyi, a wartość ludzi mierzona jest ich dobremi lub złemi postępkami.

„Dług honorowy“ (1872, Warszawa) jest-to powieść przedstawiająca na tle zepsucia społec[illegible]wskiego pod koniec zeszłego stulecia wyszlachetnienie [illegible] gracza Kazimierza za wpływem miłości dziewczyny [illegible] względem towarzyskim stanu, pomimo przeszkód, jakie [illegible]rzemiany stawiała mu własna namiętność oraz ludzie, [illegible]ielkoświatowa kokietka Dora. Żadna z postaci tu wpro[illegible]tanowiła nowości w naszéj literaturze powieściowéj, a [illegible]nie dowodził całkowitego opanowania materyału i swo[illegible]wania go. Autor całkiem dowolnie przenosi czytelnik[illegible] do drugiéj, nie opierając téj zmiany na wynikającéj z [illegible]owiadania konieczności.

Pod względem kompozycyi zupełnie podobną do „Długu honorowego“ była druga powieść, mająca napis „Patryarcha“ (1872, Kraków, dwa tomy). Główną osobistością jéj jest człowiek, który pod wpływem dążności „wieku oświeconego“ wyrobił sobie odrębne pojęcia co do ustroju społecznego i próbował myśli swe urzeczywistnić w obrębie majątków swoich na Podolu. Bardzo wiele rysów do skreślenia téj postaci wziął Belcikowski ze znanego dziwaka-filantropa Marchockiego, ale złączył z niemi inne, zanadto awanturnicze, które ogólnemu rysunkowi charakteru zaszkodziły; dwie przeciwne sobie cechy: zawziętość i łagodność nie zostały przez autora zharmonizowane w żywéj osobie, i dlatego ta obudziwszy z początku zajęcie czytelnika, traci je następnie. Inne figury, a między niemi nowy okaz kokietki (Wanda), nie są w takim stopniu wyrobione, ażeby za charaktery prawdziwie artystyczne uchodzić mogły; w ich rysach nie znajdujemy nic nowego ani doniosłego.

Nowella „Domowe ognisko“ (drukowana 1885 w „Prawdzie“) jest bardzo dobrym, niewątpliwie z natury schwyconym zarysem sytuacyi lekkomyślnego, ale uczciwego młodzieńca, który zawiązuje znajomość z młodą i piękną mężatką w celu przeprowadzenia z nią romansu, ale widokiem spokojnego jéj domowego ogniska wszelkie płoche myśli w duszy przytłumia. Wobec nadużycia scen podobnych we wprost przeciwnym kierunku, sam już pomysł zasługuje na wyróżnienie.

Druga nowella „Stary kawaler“ (drukowana 1885 w „Nowéj Reformie“) nader sympatyczny przedstawia nam obrazek, w którym sami prawie uczciwi ludzie występują. Długoletni znajomy pewnéj nauczycielki, którą kochał, ale z którą ożenić się nie mógł dlatego, że się lękał, czy potrafi byt jéj zapewnić, przywiązuje się do rodziny, składającéj się z matki i dwojga dzieci. Matka jest w dwuznaczném względem świata położeniu, gdyż jéj małżeństwo nie zostało uprawnionéın. Wtém mąż gdzieś daleko mieszkający umiera i pozostawia rodzinę bez pieniędzy i bez nazwiska. Stary kawaler ofiaruje kobiecie w takiém położeniu pozostawionéj swą rękę i donosi o całém zajściu swojéj staréj przyjaciółce, a ta przyjaciółka pochwala jego postępek i daje mu swe błogosławieństwo. Całe to opowiadanie ujęte jest w proste, serdeczne słowa, w których niéma nic na efekt, a które jednak silne a dodatnie wywierają wrażenie.

---

Bełcikowski jest nietylko twórcą belletrystycznym, ale także krytykiem i historykiem literatury. Najznaczniejszą część prac jego z téj dziedziny obejmuje zbiór, który czytelnicy mają przed sobą. Byłoby rzeczą niewłaściwą wdawać się na jego czele w ocenę poszczególnych artykułów w nim zawartych, a tak ułożonych, iżby stanowiły pewien ciąg historyczny. Powiem więc ogólnie tylko o ich charakterze.

Bełcikowski należy do szczupłéj jeszcze u nas garstki dobrych znawców i sumiennych badaczy literatury ojczystéj. Od czasu, kiedy zamierzywszy być profesorem, zaczął samodzielnie studyować pisarzy polskich, aż do dziś dnia nie ustaje w téj pracy, starając się nie tyle o bibliograficzne wyczerpanie przedmiotu, ile o wszechstronne poznanie i ocenę twórczości poetów i prozaików. Pracował dotąd przeważnie nad wiekiem XVII i XVIII, jakkolwiek nie pominął najważniejszych objawów poetyckich wieku XVI i XIX. Estetyczna strona twórczości ma w nim wytrawnego sędziego. Przyswoiwszy sobie metodę ścisłego, umiejętnego traktowania literatury, nie wynosi na pokaz całego rynsztunku, zapomocą którego zdobył znajomość danego przedmiotu, nie popisuje się całym zapasem erudycyi i cytat, ale skrupulatnie się z nim liczy i na wiatr zdań swoich nie wypowiada. Pisze przystępnie, jasno, piękną, nieposzlakowanie poprawną polszczyzną, gdyż pragnie, ażeby nietylko fachowi czytelnicy z wynikami poszukiwań jego i namysłu się zapoznali, ale także i przedewszystkiém, żeby ogół odniósł z nich

pożytek. O błyskotki stylowe nie ubiega się, zapewne w tém słuszn przekonaniu, że ten styl jest najlepszy, co najściśléj a zarazem na śniéj oddaje myśl autora. Zerwawszy stanowczo z feljetonową lek ścią i lekkomyślnością, umiał jednak połączyć szczęśliwie gruntown z wykładem popularnym, przejrzystym, a nieraz pełnym niewyszuka go wdzięku. I to właśnie stanowi jego niepospolitą w literaturze sługę, że w szeregu [illegible] ująco pisanych studyów przyczy się do ustalenia są [illegible] h pisarzach i rzucił jasne świa na wiele ciekawyc

P. Chmielowski.

# O ZNACZENIU HISTORYI LITERATURY

## I RZUT OKA NA CAŁOŚĆ NASZEGO PIŚMIENNICTWA.

### PRELEKCYA WSTĘPNA,

*miana d. 22 listopada 1866 r. w Szkole Główněj warszawskiéj.*

Niezbyt to dawne czasy, odkąd historyę literatury poczęto uważać za odrębną naukę i miejsce jéj pomiędzy umiejętnościami wyznaczono. Ściśle rzeczy biorąc, dopiero obecne stulecie dało jéj początek, bo dawniéj nie przechodziła ona granic gołych katalogów, lub téż biograficznych wiadomości o autorach. Dlatego historya literatury potrzebuje jeszcze dzisiaj pewnéj obrony i niejednego wytłumaczenia, jakiém prawem zalicza się pomiędzy umiejętności; chociaż i to przyznać należy, że dobiła się już rzeczywistego stanowiska, gdy wykładaną bywa po wszystkich wyższych zakładach naukowych i, w krótkim stosunkowo czasie, utworzyła sobie znaczną już własną literaturę.

Znaczenie, a zarazem przeznaczenie téj nauki najlepiéj da się rozpoznać, jeżeli przypomnimy sobie, zkąd wzięła początek, jakie jéj pochodzenie. Tym sposobem można się będzie przekonać, czyli ona jest tylko wymysłem pewnéj klasy ludzi, mających do czynienia z książkami, czy téż wynikła z rzeczywistéj potrzeby ducha ludzkiego, jako konieczny, historyczny wypadek umysłowego postępu.

Otóż przypatrując się rzeczy bliżéj, widzimy, że historya literatury winna swój początek zmianie, jaka zaszła w pojęciu historyi właściwéj, nie więcéj jak sto lat temu. Dzieła historyczne Montesquieu'go i Voltaire'a uważają za pierwsze, które ten przewrót sprawiły. Odtąd historya weszła na drogę nową, przestała być pragmatyczną opowieścią wydarzeń, a rzuciła swój wzrok badawczy na wewnętrzne życie narodów, na rozwój ich instytucyj, obyczajów, naukowości i sztuki — czyli jedném słowem zaczęła śledzić przyczyn zewnętrznych faktów w wewnętrznem usposobieniu i naturze narodów, a siebie uważać za sprawozdawcę duchowego rozwoju i postępu ludzkości. Ztąd-to stało się dzisiaj powszechném zdaniem, że historya jest właściwie tylko dziejami cywilizac[illegible]koro zaś raz sobie ten cel wytknęła, skoro poznała jest jéj prawdziwém przeznaczeniem, odtąd istnienie historyi litera-

tury stało się nieodzownie potrzebném. Albowiem historya właściwa chcąc spełnić zadanie jakiego się teraz podjęła, musiała sięgnąć głębiéj w zabytki piśmiennicze i obeznać się z niemi dokładnie; gdyż literatura ogarnia w sobie właśnie to, co historya poznać i zbadać pragnęła, to jest życie umysłowe narodów, w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu. Téj pomocy nie mogły jéj udzielić w tak wysokim stopniu żadne inne objawy ducha ludzkiego, ani religia, ani sztuki, bo te przedstawiają go tylko z jednéj strony, albo też w pewnych częściach; literatura zaś jest jakby zwierciadłem, w [illegible] w całéj swéj postaci ukazuje; ona obejmuje w sobie całą [illegible] k się ta w ciągu wieków rozwija.

Nie mówimy tu ju [illegible] powiadających dzieje, które są źródłami historyi, ale c [illegible] uwagę na inne działy literatury, które powstały z potrze [illegible] vili i nie miały na celu przekazywać pamięci zdarzeń św [illegible] też, jak się to szczególniéj w poezyi zdarza, były wypły [illegible] stanu lub usposobienia. Badanie właśnie pod [illegible] dzie [illegible] że się przyczyniać do rozświecenia dziejów i nadania [illegible] historyi właściwego jéj kolorytu i charakteru. W nich [illegible] vila obecna odmalowała swój wizerunek z całą wiernoś [illegible] e tak powiem, naiwnością, kiedy wyspowiadała się ze sw [illegible] śli, jakoby tylko przed sobą, nie myśląc o tém bynajmniéj, że późniejsze pokolenia słuchać jéj będą i na użytek swéj wiedzy każdy jéj wyraz obrócą. Historya właściwa nie ma dość czasu, aby zająć się rozpoznaniem dzieł podobnych, których każda literatura posiada niezliczone mnóstwo. Zajęcie się przeto płodami wymowy, poezyi, filozofii, a nawet pismami często niewielkiéj objętości i wagi, będącemi wyrazem czasowych potrzeb lub opinij, przekazane jest historyi literatury.

Postawmy się tylko na stanowisku przeszłości. Gdzież ona lepiéj mogła się skreślić?—czyli w tych dziełach pisanych z celem utrwalenia wydarzeń w pamięci ludzkiéj, gdzie, zwłaszcza przy ścieśnioném dawniejszych wieków wyobrażeniu o historyi, zaciasne były ramy, aby obok mnóstwa faktów i wybitnych osobistości, występujących na pierwszym planie, postawić cały tłum narodu i tym konturowym rysom, jakiemi dawniejsi historycy dzieje oznaczali, nadać żywą barwę i tło obejmujące całość? czy też było łatwiéj téj przeszłości chwilami — ale ciągle, urywkowo— ale o wszystkiem zdawać przed następnemi wiekami sprawę ze swoich czynności? To właśnie nadaje niezaprzeczone znaczenie historyi literatury. W prawdziwem jéj pojęciu ma ona być dopełnieniem historyi, ma w nią wlać tego ducha i to życie, jakiego często brakuje martwym kartom, które się zadowoliły podaniem gołych faktów i bezbarwnych wiadomości. Dlatego-to wyrzeczono już nieraz zdanie, że bez poznania literatury jakiego narodu, trudno poznać jego historyę. Możemy bowiem znać najdokładniéj jego dzieje i losy, jakich doznawał, ale jego duch i natura, jego usposobienie wewnętrzne, bez poznania literatury pozostaną dla nas zagadką. Jest-to toż samo, jak się dzieje nieraz z historyą pojedynczych ludzi. Biografowie podają daty ważniejszych wypadków ich życia, [illegible]ują ich złe lub dobre losy, stosunki publiczne i prywatne i t. d. Pomimo tego, chociaż

mamy podane najgłówniejsze rysy, nie możemy sobie z nich utworzyć całości obrazu—nie widzimy całego człowieka, bo nie czujemy jego duszy. Ale jeśli to był np. jaki autor, otwórzmy jego książkę, lub jeśli kto inny, przeczytajmy jeden list jego, choćby obojętny, dostańmy przed oczy jakieś świadectwo ludzi z nim żyjących, a natychmiast postać ta przedstawi się nam wyraźnie i z blaskiem życia na obliczu, bo wtedy zapuścimy oczy w głąb' duszy tego człowieka.

Uznając ten przymiot literatury, użyczyła jéj dzisiejsza historya miejsca na swoich kartach; niema teraz prawie żadnego historycznego dzieła, opowiadającego całość dziejów, w którémby się choć w ogólnych rysach historya literatury nie mieściła. Ale literaturze niedosyć na tym zaszczycie, jaki jéj historya wyświadczyła—jéj chodzi o to, aby dziejopisarstwu prawdziwą przysługę oddała. Sądząc z tego co dotychczas uczyniła i z kierunku w jakim postępuje, nie będzie zapewne przesadném zdaniem powiedziéć, że historya literatury dąży do zupełnego zlania się z historyą właściwą, i w tém prawdziwy swój cel upatruje. Dopiero wtedy, gdy wszerz i wzdłuż zbadamy literaturę, gdy wszystko, co kryje w głębi, na jaw wydobędziemy, można się spodziewać, że otrzymamy historyę w całém tego słowa znaczeniu. Wtedy ta myśl wieków, spoczywająca w literaturze każdego narodu, przeniknie nawskróś historyę i wleje w jéj żyły ciepłą krew prawdy i życia. Wtedy i historyozoficzne systemy, chromiące nieraz dla braku rzeczywistéj podstawy, znajdą dla siebie co chwila punkta podpory i słupy wytyczne; wtedy może nie będzie spotykać historyę zarzut, jaki jéj czyni Faust Goethego:

> ....przeszłość sędziwa
> Jest dla nas księgą z siedmią pieczęciami,
> I to, co duchem czasu się nazywa,
> Jest w gruncie rzeczy duchem kilku ludzi..

a ideje każdego wieku staną widomie przed naszemi oczyma i nie będzie możności kłaść na ich miejsce własnych domysłów i wyobrażeń.

Że takie są skutki dokładniejszego zapoznania się z literaturą, czyli postępu jaki jéj historya uczyniła, dowodzą dzieła historyczne najbliższego nam czasu. Nie uwolniły się one wprawdzie całkowicie od stronniczych albo tegoczesnych poglądów, widać jednak na nich, że więcéj niż dawniejsze płody posiadają zmysłu do pojęcia przynajmniéj charakteru minionych wieków. Zestawiwszy w myśli (ale tylko pod tym jedynie względem) Naruszewicza i którego z nowszych dziejopisarzy, dostrzeżemy bijącą w oczy różnicę między posągową jednostajnością zeszłowiecznego historyka a pełnemi barwy i ruchu obrazami współczesnych nam autorów. Zkądże ta różnica? Naruszewicz przewracał ręką foliały narodowych kronikarzy, a oczy miał utkwione na wzorach historyków starożytnych i w ich świetle widział dzieje własnego kraju; nowsze zaś pokolenie przejęło się więcéj życiem swych przodków, odgrzebując jego ślady w pomnikach dawnego piśmiennictwa.

Siedmiowiekowa przeszłość literatury leży przed nami. Dotąd tylko cztery pierwsze wieki zostały dokładniéj zbadane, następne ocze-

kują jeszcze ręki pracowników. Tu i owdzie wzięto się już do tego dzieła, donosząc kamień po kamieniu do przyszłego gmachu. Wiele może szczegółów, które z czasem pokażą się jeszcze, zdołają zmienić jakiś pogląd, objaśnić więcéj rzeczy, które dziś w pomroce zostają; ale mimo to, na tym stopniu na jakim obecnie nauka stoi, możemy już mieć ogólne wyobrażenie o całości naszéj literatury i widzieć drogę, po któréj od kilku wieków postępuje.

Literatura nasza rozpoczyna się od przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa. Co było prz [illegible] grubém milczeniem i ciemnością pokryte — w czas [illegible] nie wzrok nasz nie sięga. Mówią nam wprawdzie o [illegible]; wiemy, że Słowianie posiadali dwojakie pismo (gł [illegible] którego ich apostołowie używali, tłumacząc Pismo [illegible] owiański; można więc wnosić, że i Polska, jako należą [illegible] ludów, posiadała niejaką cywilizacyę, poniekąd i li [illegible] echodzącą tradycyą z ust do ust, bądź też przecho [illegible] Miłośnicy rzeczy ojczystych, zbytnim może uniesieni [illegible] ją, że tak koniecznie być musiało, tylko że duchowi [illegible] wadzonéj religii wyniszczyło do szczętu pogańskie pa [illegible] nego stopnia może to twierdzenie być słusznem, ale i to należy przyznać, że ta rodzima cywilizacya musiała bardzo słabe siły posiadać, jeżeli dała się stłumić i zniszczyć obcemu żywiołowi. W obcych i nam pokrewnych literaturach widzimy, że pomimo nacisku, jaki chrześcijaństwo na dawnego ducha wywierało, duch ten znalazł jednak sposobność pokazać się światu i złożyć świadectwo swojego niegdyś istnienia. Tak jest np. w literaturze niemieckiéj i czeskiéj, gdzie poemata bohaterskie i pieśni liryczne sięgają jeszcze czasów pogaństwa, lub jego duchem oddychają. U nas nic podobnego nie znajdujemy; literatura nasza wyrosła na gruncie cywilizacyi obcéj, przyniesionéj z religią. Najdawniejszym jéj zabytkiem są kroniki, pisane po łacinie przez ludzi duchownych, którzy na wypadki przez siebie opisywane patrzyli ze stanowiska swego stanu i swą mętną erudycyą wyobrażenia i podania narodowe zaciemniali. Dodajmy do tego od czasu do czasu powstające tłumaczenia z Pisma świętego lub pieśni pobożnych, a będziemy mieli całą literaturę z epoki tak nazwanéj piastowskiéj.

Słabe to oznaki życia umysłowego, témbardziéj, że duch narodowy w nich się prawie nie objawiał. Możnaby je porównać do pierwszego przebudzenia się rozumu w człowieku, kiedy nabiera świadomości o świecie zewnętrznym i biernemi oczyma wokoło siebie się rozgląda. Naród dowiaduje się o swem istnieniu, poznaje swe dzieje, ale niczem jeszcze nie pokazuje swego twórczego ducha. I nie tak prędko miała podobna dojrzałość nastąpić; wiele jeszcze przebyć musiał szczebli wykształcenia, nim rzeczywiście doszedł do téj twórczości.

Przedewszystkiem chodziło teraz o rozszerzenie wiedzy. Zaradziła téj potrzebie akademia krakowska, założona przez Kazimirza W. Przy niéj usadawia się naukowość, erudycya i szkolne wykształcenie. Prawo, medycyna, matematyka i filozofia scholastyczna pod jéj skrzydłami pierwszy raz osiedlają się w Polsce i przeważają stanowczo w li-

teraturze. Słoncem owéj epoki jest wielki nasz Kopernik. Nawet kronikarstwo w przeciągu dwóch wieków jedynego znajduje wyobraziciela w Długoszu. Ale zato widać już na nim wykształcenie i postęp w rozwoju umysłowym. Długosz pisze swoję historyę umiejętnie, pragnie swemu dziełu nadać pewną całość i doskonałość pomnikową, podczas gdy dawniejsi kronikarze nie z jednakową pilnością swoje prace prowadzili, według tego jak potrzebne wiadomości mniéj albo więcéj mieli na podoręczu.

Nowy zwrot naszéj oświacie i literaturze nadało odrodzenie się klasycyzmu i współczesna mu prawie reformacya. Język łaciński był u nas od początku literatury językiem naukowym i książkowym; już pierwsi kronikarze nasi znali wielu autorów rzymskich. Pomimo tego literatura starożytna nie wywierała wpływu na pisarzy poprzednich okresów; nie rozumieli oni jéj ducha, patrząc na nią przez szkła teologii i filozofii scholastycznéj; zepsuli nawet język, stosując go do pojęć i potrzeb nieznanych starożytności. Od połowy dopiero XV wieku zaczęto poznawać, że z literatury klasycznéj można się czegoś więcéj nauczyć niż pojedyńczych sentencyj języka, który następnie nikczemniał pod piórem kronikarzy i scholastycznych filozofów. Klasycyzm rozwiał wiele przesądów średniowiecznych, rozświecił wyobrażenia i rozszerzył widnokrąg umysłowy, otwierając przed nim skarby mądrości, nabyte na drodze samoistnego rozumu i myślenia, a obok tego wykształcił po raz pierwszy smak estetyczny i rozbudził poczucie pięknéj formy, tak w utworach poezyi jak prozy. Pod jego także wpływem, i to z powodu jego prawdziwie humanitarnéj natury, wiedza i oświata wyszły poza mury klasztoru i szkoły, rozpowszechniły się i stały się udziałem wszystkich wogóle stanów. Dotąd brali za pióro duchowni i niewielu świeckich, na których powołanie nauczycielskie kładło ten obowiązek; teraz niema już téj różnicy między stanami: przy rozszerzonéj oświacie pisze każdy, kto ma po temu potrzebne wykształcenie i zdolności. Do tego popularyzowania piśmiennictwa przyczyniła się także wiele reformacya, rzucając w tłumy zarody sceptycyzmu i myślenia, i tym sposobem rozbudzając chęć do objawienia swego zdania i do sporów na polu umysłowém.

Z tych to powodów przedstawia wiek XVI szczególną fizyognomię, która stanowczo odróżnia go od średnich wieków i czyni początkiem nowożytnéj historyi. Jest on w dziejach wiekiem usamowolnienia umysłów. I życie i nauka przybierają inną postać. Życie, porzuciwszy dawną ascetykę, staje się więcéj ziemskiém, nauka zaś, któréj wartość nikła niegdyś poza granicami szkoły, zaczyna znajdować cel w zastosowaniu do życia. Dlatego i literatura zaczyna się teraz ruszać w szerszém daleko kole, wyrażać i obejmować wszelkie potrzeby narodu. W niéj składa on swoje przekonania religijne, zapatrywanie się na stan rzeczy w kraju, w niéj wywnętrza swego ducha i charakter, powiadając jakim jest w swych publicznych sprawach, w gwarze swych zabaw, lub w ciszy domowéj zagrody. Poezya polska w tym dopiero czasie rzeczywiście się poczyna, teraz więc dopiero przychodzi naród do świadomości siebie samego, pragnie się wypowiedzieć i sam swój

obraz przed sobą zobaczyć. Sposób jednak, w jaki to czyni, nie jest zupełnie oryginalny. Świeży wpływ klasycyzmu daje się ustawicznie spostrzegać na dnie każdego ówczesnego ducha, lub też przyczepia się zewnętrznie do jego utworów. Rzadkie podówczas są takie wyjątki, jak Rej z Nagłowic, który swą oryginalność opłacił jednak wielu wadami.

Ten nagły wzrost i rozwój literatury nazywa się jéj złotym okresem. Po jednowiekowém istnieniu, z ustaniem tych sprzyjających okoliczności, pod jakiemi [illegible] literatura znowu chylą się do upadku. Studya klasycz [illegible] już tak gorliwych miłośników; duch klasycyzmu coraz [illegible] wdziwie pojmowany, a natomiast powraca zepsuta w [illegible] ycin łacina i bałamucąca umysły filozofia scholastyczn [illegible] którą Polska w XVI wieku się szczyciła, ustępuje miej [illegible] i bigoteryi. Wskutek spaczonego wykształcenia mło [illegible] ania dworskiéj mody, język narodowy się psuje, prz [illegible] razy, lub wtrącając w mowę całe frazesy łacińskie. [illegible] tyczne, mianowicie brak silnéj władzy i nierząd z tego [illegible] ły, zawichrzenia wewnętrzne i liczne wojny, jak np. s [illegible] ze swéj strony naukom i piśmiennictwu rozwijać się [illegible]

W tym także czasie po raz pierwszy literatury zachodniéj Europy, stanąwszy przez prace wielu swych znakomitych pisarzy jako wzory obok starożytnego klasycyzmu, a mianowicie literatury włoska i francuzka, znajdują u nas tłumaczy lub naśladowców i tym sposobem wpływają na nasze piśmiennictwo, przynosząc ze sobą nieznane dotychczas pojęcia. Klasycyzm ściera się wtedy pierwszy raz, a raczéj spotyka, z romantycznością, gdyż do walki pomiędzy niemi nie przyszło, ale owszem jedni i ciż sami pisarze tak pierwszemu, jak i drugiéj jednakowo hołdują. Z powodu właśnie tych nieodgraniczonych od siebie i nieodróżnionych pojęć, powstaje zamęt na polu umysłowem, zupełna samowola, gdzie każdy idzie według swego upodobania, aż nakoniec literatura, niemająca dosyć w sobie siły twórczéj, a nieoglądająca się na żadne wzory, wyradza się w potworne piśmiennictwo, pełne jedynie panegiryków i dzieł ascetycznych. Było to znakiem, że klasycyzm, który przed trzema blizko wiekami położono za podstawę naszej literaturze, utracił już żywotne siły i skończył swoję rolę, a zarazem zadanie, jakie miał w oświecaniu umysłów i w zaprawianiu ich do dobrego smaku.

Atoli, jak płomień lampy przed zagaśnięciem, zaświecił raz jeszcze, lubo odmiennem nieco światłem.

W połowie XVIII wieku ludzie dbali o oświatę krajową, widząc ostateczny upadek piśmiennictwa, obrócili swe oczy na Francyę, która pod owe czasy w cywilizacyi i literaturze całemu światu przodowała. Literatura francuzka wzrosła wprawdzie na gruncie klasycyzmu i sama się mieniła jego nieodrodną córką, jednakże późniejsza krytyka, która umiała dokładniéj rozróżnić i rozdzielić od siebie dwa wręcz sobie przeciwne światy: nowożytny i starożytny, nie przyznała jéj tego przymiotu i nazwała ją francuzkim pseudoklasycyzmem. W rzeczy saméj, na-

ród francuzki, pełen samodzielności i zdolności wynalazczéj, do ducha starożytnego domieszał swą własną oryginalność. Pomimo oburzenia, jakie ta literatura przy końcu zeszłego wieku w Niemczech, a na początku obecnego w całéj Europie przeciw sobie wywołała, w rozwoju ogólnym nowożytnéj cywilizacyi należy ją uważać za postęp, jako jeden krok naprzód, który uczyniły ludy europejskie, aby osiągnąć narodowe literatury. Albowiem, jeśli klasycyzm miał ustąpić miejsca nowym żywiołom, potrzeba było, aby wprzód zniszczył się sam w sobie i przemienił w rzecz zupełnie różną od swéj właściwéj istoty. Nie podnosi to bezwzględnie wartości pseudoklasycyzmu, ale tłumaczy dlaczego, stojąc na pograniczu dwóch światów, dwóch wielkich epok, ma tę dziwaczną postać, jaka nas razi np. w jestestwach żyjących, kiedy te stanowią przejście z jednego gatunku do drugiego.

Ten to francuzki pseudoklasycyzm zawładnął naszą literaturą za czasów Stanisława Augusta i oddał jéj pod wielu względami bardzo ważne przysługi. Pod wpływem bowiem nowéj filozofii, która zajęła wręcz nieprzyjacielskie stanowisko względem filozofii scholastycznéj, odżyły znów nauki i znikały od półtora wieku zakorzenione przesądy. Jak zwykle w takich razach się dzieje, kiedy nagła opozycya obudza się przeciw przeszłości, posunięto się nieraz w wyobrażeniach zadaleko, i powstając przeciw rzeczywistemu złemu, rzucano się i na świętości, których się dotknąć nie należało. Ale te niekorzystne następstwa prędko zniknęły, pozostało zaś to, co w istocie téj e[illegible] chlubę przynosi. Myśl narodu znowu zczerstwiała, postęp i ośw[illegible] stały się powszechném hasłem, a jeśli pisarze za Stanisława Aug[illegible] według dzisiejszych pojęć, nie otrzymują nazwy pisarzy narodow[illegible] nie można im tego zaprzeczyć, że pracowali i byli pisarzami [illegible] *narodu*. W logicznym rozwoju historyi, jakim Opatrzność zaws[illegible]ruje, przygotowywali oni rolę dla bujniejszych zasiewów swoi[illegible]astępców. Oni to, idąc śladami literatury francuzkiéj, popchnęli [illegible]stępu całe społeczeństwo i ugruntowali piśmiennictwo na nowyc[illegible] łkiem ideach. Ten ruch, raz nadany, zmuszał je postępować cora[illegible]éj i wyszukać sobie wreszcie treść i formę odpowiednią ducho[illegible]owożytnemu; gdyż, jak powiedzieliśmy wyżéj, klasycyzm francu[illegible], pomimo zewnętrznych pozorów, różnił się co do istoty od staroży[illegible]go; mieścił on w sobie ten zaród życia nowoczesnych ludów, któr[illegible]krótce po nim bujnie się rozwinął. Widzimy to np. w poezyi, szcz[illegible]nie dramatycznéj: gorące patos rozpycha prawie nałożone mu w w[illegible]dzonéj formie więzy; w filozofii duch ludzki oburza się i rzuca na [illegible]ystkie strony jak u Voltaire'a, albo téż jak u Rousseau'a wydaje [illegible]ne wykrzyki. Plastyczna i przedmiotowa klasyczność, jak ją pojm[illegible]ny w jéj najświetniejszych czasach, podobnych znamion na sobie nie [illegible]iła; należą one do właściwości nowożytnego ducha.

Na samym schyłku zeszłeg[illegible] stulecia ten duch nagle się przebudził i zażądał wszystkich praw jem[illegible] przynależnych. Zaczęto od opozycyi przeciw francuzkiemu klasycyz[illegible]owi, uznawszy go za niewierną kopię starożytnego, a [illegible] ostatniemu [illegible] zalety i całą wielk[illegible], wyrze[illegible] że [illegible] chrześcijański [illegible]

różne umysłem i wyobrażeniami od narodów klasycznych, powinny posiadać poezyę i literaturę opartą na ich własnym gruncie i odpowiednią ich naturze. Pierwszy raz zatém wypowiedziano ze świadomością siebie, że świat starożytny nie jest tą sferą, w któréjby ludzkość, przez 18 wieków dążąc do utworzenia sobie nowéj cywilizacyi, mogła żyć dłużéj jakby w swéj rodzinnéj krainie; po raz pierwszy pociągnięto dokładną granicę między dwoma przeciwnemi sobie światami i wzory klasyczne uznano za przedmioty leżące zewnątrz nowożytnego ducha, na które można patrzyć ... z których wiele można się nauczyć, ale których nie na... własnych swych pojęć i pozwalać, aby w istotę na... siąkały. Takie znaczenie miała zjawiająca się nagle rom... w krótkim czasie umysłowość całéj Europy przeobraz...

Pięćdziesiąt lat ... nas słyszéć po raz pierwszy ten wyraz i rozdzielił pisa... na dwa nieprzyjazne obozy. Zwolennicy nowéj szko... mierze albo tylko swego dobrego instynktu, który ... wał im przeczuwać postęp i polepszenie, albo też pow... niem, jakie na nich zrobiło kilka świetnych talentów ... się w zagranicznych literaturach. Zresztą nie wiedz... tku, do jakiego celu ten nowy zwrot zaprowadzi i co zrobić z tą romantycznością, która nawet jako wyraz była powszechnie niezrozumiała. I w istocie, narody germańskie i romańskie mogły mówić o romantyczności, bo rozumiały jéj znaczenie, mając przed wiekami w swéj literaturze epoki, w których kwitło ...ak nazwane romantyczne piśmiennictwo i wiele znakomitych płodów ...sobie zostawiło; ale u nas było to zupełną nowością, czémś nieokre...ném i nieznaném. Albowiem w całéj naszéj przeszłości niema jednéj epoki, gdziebyśmy widzieli literaturę rozwijającą się z pierwiastków narodowych, a tém bardziej ludowych; od samego początku nosi ona cudzoziemską szatę, odzywając się w języku łacińskim, albo téż naśladując raz lepiéj, drugi raz gorzéj wzory starożytne. Jakże było wrócić się do wieków średnich, kiedy tam nic się znaleźć nie dało? To chwilowe nieporozumienie stało się nawet bronią w ręku przeciwników nowéj szkoły, którzy w najlepszéj wierze mogli twierdzić, że romantycy chcą wynarodowić literaturę, kiedy odrzucając klasycyzm, przez kilka wieków zrosły i zespolony z duchem ojczystym, naśladują Niemców i Anglików. Tak np. pojmował rzeczy uczony Jan Śniadecki. Sam nawet Mickiewicz w przedmowie do swych ballad nie wytłumaczył się wyraźnie, ostateczny i właściwy cel téj nowéj poezyi był dla niego w teoryi jeszcze ciemnym. Pierwszy, jeśli się nie mylimy, Michał Grabowski odgadł prawdziwą istotę romantyczności, chociaż początkowo ze swem zdaniem nieśmiało występował, zapytując czyby nie należało widzieć w niéj nie powrót do średnich wieków, ale raczéj dążenie nowożytnych ludów do utworzenia sobie narodowych literatur.

Dzisiejsze pokolenie rozumie bardzo dobrze słuszność podobnego ... i na szczęście romantyka nasza niedługo, kilka lat zaledwie, ... ch średniowiecznego świata, na pastwę ... gend i ballad.

Literatura lat następnych i dalsza, aż do dnia dzisiejszego, wyrasta z nasienia przez nią rzuconego; przecież nikt teraz nie nazwie téj literatury romantyczną, bo przybrała już sobie inne, daleko właściwsze i rozleglejsze nazwanie.

Od wieku zatém XIX rozpoczyna się nasza nowa, narodowa literatura, i odmienną swoją naturą zupełnie oddziela się od całéj dawniejszéj, obejmującéj siedmiowiekową przeszłość. Można powiedzieć: po jednéj stronie mamy dzisiaj literaturę od XII do końca XVIII wieku, po drugiéj literaturę bieżącego stulecia. Tamta jest dla nas czémś minionem, zastygłém w dawném swojém życiu i nieruchomém, jest przeszłością, która zginęła w rzeczywistości, aby odżyć pod okiem sumiennych i sprawiedliwych badaczów, którzy z całą bezstronnością mogą ją przed sąd krytyki powołać.

Czémże więc jest ta dawna literatura i jaki miała obowiązek do spełnienia wobec cywilizacyi narodu? Jedném słowem można określić cały rezultat jéj usiłowań i oznaczyć tę metę, do któréj w ciągu swéj drogi doszła—iż była ona jakoby szkołą, gdzie pod kierownictwem obcych mistrzów i zapatrując się na obce wzory, odbierał umysł narodowy swe wykształcenie, aby z czasem samodzielnie daléj się rozwijać. Tak się ona zawsze nam przedstawi, ilekroć bez uprzedzenia rzucimy wzrokiem na cały jéj obszar i wartość jéj płodów ocenimy nie według miary ich czasu, ale według ogólnych wyobrażeń o sile i zdolności ludzkiego i narodowego ducha. Cała jéj siedmiowiekowa przeszłość jest tylko przygotowaniem do tego, co widzimy w teraźniejszości, czego możemy od przyszłości się spodziewać.

Weźmy np. pod uwagę poezyę, ten najbardziéj charakterystyczny dział literatury i najwięcéj ze wszystkich cechujący uzdolnienie narodów i postęp ich cywilizacyi. Poetyczne płody dawnych naszych pisarzy posiadają bardzo mało prawdziwéj siły twórczéj. W budowie ich większych utworów nie czuć téj niewidzialnéj ręki artyzmu, stawiającéj rusztowanie z całym chłodem rozumu, a wykończającéj dzieło z nierozważnym prawie pośpiechem zapału i natchnienia. Brakuje im wreszcie téj oryginalności, którą jednostki zwykły wtenczas tylko osięgać, kiedy całe społeczeństwo znajdzie się w stanie pewnéj dojrzałości umysłowéj i nawskróś jest przesiąknięte poczuciem swego samodzielnego charakteru. Ztąd-to nie widać, aby który z tych pisarzy stworzył dla siebie oddzielny świat poetyczny, świat ideału, w którym wszystko jest jego kreacyą i w którym on sam jeden powinien tylko przemieszkiwać; ale przeciwnie, odłożywszy na bok różnice talentu, pewne podobieństwo zbliża do siebie ich dzieła, bo wszystkie kształtowały się podług jednego wzoru, wziętego gdzieś z innych krajów albo czasów. Wszędzie tutaj widać naśladownictwo, powtarzanie mniéj lub więcéj odmiennemi wyrazy tego, co gdzieindziéj zasłyszano, i tę bierność właściwą każdemu umysłowi, ilekroć nie doszedłszy jeszcze do własnego sądu, występuje ze zdaniem *in verba magistri*.

Ale społeczeństwo nasze musiało przejść koniecznie tę szkołę; skoro nie było w możności z samego zaraz początku położyć za podstawę swéj cywilizacyi czysto rodzinnych żywiołów; musiało oddać się w nau-

opiero po przyjęciu jéj w swe soki żywotne,
vadzeniu dalćj dzieła na własną rękę.

Literatura zatém powróciła w XIX wieku do sw
n zaczerpnąć siły do samodzielnego życia. Wzię
ia i wydawania na świat zabytków literatury lud
w ustnéj tradycyi przechowanych, które dawni
pomijały, nie dbając i nie pytając się o ich istn
dopiero pokarmem nasycona, zaczęła literatura t
wkrótce, szczególniéj w poezyi, ozdobiła się dzi
sobie znamiona narodowego charakteru i samod
órców.

Atoli trzeba przyznać, że zrazu wyobrażenie o n
ci literatury było zbyt jednostronne i ograniczon
bném wyobrażeniem i dzisiaj jeszcze spotkać się
bardzo powszechnie, że literatura powinna się o
co wyszło z łona samego ludu. Bezwątpienia
nego rodzaju i duch ludowy są najwolniejsze od o
mieszek powszechnéj europejskiéj cywilizacyi; je
powrócić na tę drogę, dla naszéj literatury jest ju
Z przeznaczenia jéj wypada, że powinna być
społeczeństwa, a nie pewnéj jego części; nadto
zdobyczami, jakie duch ludzki w jakimkolwiek
nił, ale owszem usilnie o ich przyswojenie stara
nalność zaś narodowa literatury nie zależy od
odróżniających obyczajami lub zwyczajami jed
le od tego samodzielnego poglądu na świat i jego
pogodzić z wykształceniem i postępem, jaki resz
Mogli kiedyś Grecy rozpocząć swoję literaturę o
ych i te coraz więcéj wykształcając, doprowadzi
nałości i rozkwitu...

cie niedługo po odrodzeniu się swojém weszła literatura na tę wahanie się jéj było chwilowém i przypada właśnie na ten czas, ym nie pojmowała jeszcze co to jest romantyczność i dokąd ją vadzi.

Takim jest w ogólnych rysach obraz naszéj literatury. Rzucony ij został w tym celu, aby jedna z jéj szczegółowych części, którą ąć mamy, wyraźniéj się na tém tle odrysowała. Wiek tak zwany iryczno-makaroniczny, a w szczególności jego poezya, ma być niotem naszego zajęcia. Powyżéj staraliśmy się podać jego charystyczne cechy, odróżniające go od innych okresów. W całości yi literatury uważany on bywa jako okres upadku piśmiennictwa. vniéj może byłoby nazwać go czasem przejścia, z tém zastrzeże- że każda podobna epoka z natury swojéj bywa czémś niedosko- i niewykończoném, bo w niéj spotykają się z sobą dwa żywioły, ych jeden psuje się i rozpada, a drugi zaczyna dopiero swą czyn- nie jest dostatecznie rozwinięty. Z takiém określeniem epoka ta iie się zgadza: to, co stanowiło siłę złotego wieku, to jest klasy- utraca w niéj swe znaczenie i nikczemnieje, to zaś, na czém ie oparło się piśmiennictwo następnego okresu, to jest nowsza li- ra, a mianowicie francuzka, słabe zaledwie daje oznaki swego vu.

Z powodu właśnie téj swojéj różnolicowości, jest to epoka bardzo va i malownicza. Pomimo tego jednak odstręczała ona długo od historyków literatury i aż do najnowszych czasów najmniéj się ią zastanawiano. Wrażenie bowiem, jakie na pierwszy rzut oka j odbierano, nie mogło być bardzo korzystném, a wiele ze szcze- , które jéj najwięcéj interesu i znaczenia dodają, nie było zupeł- anych. Dopiero około dwudziestu lat temu obudzającéj się skrzę- w wyszukiwaniu i badaniu dawnych pomników, udało się wyna- ilka ważnych zabytków, które na tę epokę powszechną uwagę iły i w nowém ją świetle ukazały światu. Dzięki téj pieczołowi- przeszłość i wiedzę, posiadamy dzisiaj bez porównania więcéj yałów do téj epoki niż ci, którzy pierwsi podwaliny do historyi ury zakładali. Dotąd jednakże dzieło to nie jest jeszcze ukoń- m; okres panegiryczno-makaroniczny przez nikogo nie został e opracowany w tym stopniu, jak okres złoty i dawniejsze przez iewskiego lub Maciejowskiego. Niektóre szczegóły albo trafne ły, rozświecające wiele nieznanych dotąd rzeczy, o pojedyń- dziełach podali nam szczególniéj Szajnocha i Małecki; inni, jak arzyński, Nabielak, Przyłęcki, Władysław Wężyk, Edward Ra- ki, przysłużyli się piśmiennictwu bądź wiadomościami o odkry- rękopisach, bądź też wydaniem tychże. L. Siemiński w swych wych i powabnych biografiach naszych pisarzy zamieścił także do téj epoki należących. O ile więc obecny stan wiedzy do- , będę się starał w następnych lekcyach podać historyę lite- r poetycznéj tego okresu.

# MIKOŁAJ REJ Z NAGŁO

Literatura nasza od samego początku nie rozwija
narodowych, będąc płodem cywilizacyi, która raz
do nas przybyła. Duchowieństwo wzięło w
dząc ją w tym kierunku, jaki odpowiadał jego
giéj strony zasoby umysłowe, jakiemi duch nar
lzać, były tak szczupłe, że wobec nacisku, jaki
ywierały, przez ciąg kilku wieków nie dawał o
piastowska może tylko wykazać kroniki pisane
, którzy nabyli niejakiego wykształcenia na litera
éj ani gruntownie, ani dokładnie nie znali. Umi
i powierzchowna znajomość dziejów starożyt
pisaniu ojczystéj historyi najdziwaczniejsze częst
ia i zastosowania, były jedynym prawie owocem
a pierwszych Jagiellonów pojawiła się u nas filo
wtedy gdy gdzieindziéj zapominano już o niéj, i n
dla siebie urodzajne pole w murach akademii kra
nie rozszerzyła widnokręgu ducha w narodzie i
la wyłącznie języka łacińskiego, więcéj jeszcze
nego średniowiecznemi naleciałościami, niżeli w
Dopiero odradzające się na Zachodzie nauki hu
i dla Polski gruntowniejsze wykształcenie
orz z Sanoka starał się zaznajomić z niemi swych
cholastyczną pedanteryę. Ale ...

wnego stylu i oświeconych wyobrażeń, wiernie naśladowali starożytne wzory i stanęli na równi z najlepszymi pisarzami za granicą, którzy wówczas po łacinie pisali. Pierwszy raz wtedy nauka i oświata wyszły z murów klasztoru i szkoły. Znajomość łaciny stała się powszechną między szlachtą i bogatszém mieszczaństwem. Nie były to już czasy, o których opowiada Orzechowski [1]: „Prostość tedy ona święta przodków jakowa była, ztąd znać możemy, że za dziada mego po łacinie umieć szlachcicowi sromota w Polsce była; wszystkę cześć i chwałę swą z wojny przodkowie nasi miewali, to mnie ojciec mój powiadał.“ Z kancelaryi królewskiéj wychodziły wszystkie pisma po łacinie, sam król znał dobrze ten język [2]. Młodzież wyjeżdżała licznie na uniwersytety zagraniczne, aby się tam studyom klasycznym oddawać. Znalazło się wielu mecenasów, jak Gamrat, Piotr Kmita, Krzycki, Tomicki, którzy uboższych własnym kosztem za granicę wysyłali; odznaczenie się w literaturze łacińskiéj otwierało drogę do wysokich godności, do jakich doszedł z nizkiego stanu np. Dantyszek. Jednem słowem rozbudził się ruch umysłowy i zajęcie się literaturą i naukami. Były to więc czasy wielkiego postępu; zapomniano o scholastycznych wymysłach, a czerpano wiedzę z czystego zródła starożytnéj cywilizacyi—wyrobił się smak estetyczny, a z nim nauczono się także poprawnego stylu w prozie i poezyi, otrząsano się ze średniowiecznych przesądów, kształcąc umysł na dziełach, które i dzisiaj uznawane są za chlubne płody samoistnie rozwijającego się ducha ludzkiego.

Ale i w tym postępie było wielkie niebezpieczeństwo dla przyszłości naszéj literatury. O ile więcéj wzmagał się klasycyzm i łacina, o tyle mniéj mógł się spodziewać rozwoju język polski i piśmiennictwo na podstawie swojskiéj oparte. Dotychczas oba były w stanie zupełnego zaniedbania. Wszystko co przed XVI wiekiem po polsku zostawiono na piśmie, a jest tego niewiele, nie zasługuje na miano literatury i ma swe znaczenie tylko jako zabytki dawnego języka. Po większéj części są to tłumaczenia treści religijnéj, pieśni kościelne, psalmy, ułamki biblii i t. p., dokonywane w celach czysto religijnych. W czasach, o których mówimy, piśmiennictwo łacińskie doszedłszy do znakomitéj doskonałości i dobiwszy się w kraju wielkiéj powagi, groziło tém bardziéj przytłumieniem swojskich żywiołów. Język polski wykluczony ze dworu, z urzędu, ze szkoły, pogardzany przez pisarzy, mógł długo jeszcze pozostawać jak dotąd niewykształconym. Nie sięgając daléj, w samym autorze, o którym mamy mówić, znajdujemy skargi na tę niedbałość: „Ile słychamy od tych co daléj niż w Polszcze bywają, tedy postronni narodowie język (a podobno i dowcip) polski na małéj pieczy mają, jakoż téż z łaski bożéj nie bardzo się jest czym chlubić, gdyż niedbalszych ludzi nie masz jak Polacy, a coby się w swym języku mniéj kochali.“ [3]).

W takim stanie rzeczy zastała literaturę naszą reformacya. Wiadomo, że ona powszechnie, gdzie tylko się pojawiła, używała języków

[1]) Dyalog około exek. kor. pol.
[2]) Iustus Decius.
[3]) Rej w przedmowie do Wizerunku.

jû historycznego lub środkiem do przeprowad
olitycznych, jak po innych krajach Europy, nie
éźć sobie podstawy do trwalszego bytu. Że zaś
czas jakiś istniał, na to odpowiedzi szukać nal
owym, a szczególniéj szlachty, pomiędzy którą
zwolenników. Szlachta ówczesna znajdował
ie swego samowładztwa, zepsuta już była zbytki
izmem, jaki pomyślność polityczna i powszechny
owadziły. Już wówczas zagnieździła się pom
sejmikowania i perorowania, upodobanie w spo
olenia osobistéj powagi i próżności; jedném słow
z głębszego przekonania i rozsądnie wytknięte
zm otwierał jéj nowe pole, na którém mogła po
ć wobec króla, w najgorszym razie choć *pro f*
ującą religią, wobec zwierzchności duchownéj
do wypowiedzenia swych wybujałych myśli.
taj może większą rolę, niż wszelkie inne wzglę
chętnie mu przyklasnęła. Naśladownictwo, tal
kazało powtórzyć i w Polsce spory religijne,
któremu przynajmniéj wyższe rodziny szlachec
y. Dlatego protestantyzm w historyi polskié
po sobie zostawił, oświacie jednak narodowéj
że usunął na bok literaturę łacińską, a otworzył
lskiéj, tak że odtąd równolegle obok siebie post
y nowéj nauki rozpoczęli walkę na przekonania i
awiania pola od przeciwników dotąd zaniedbywan
, posługując się językiem łacińskim, uważając z
go i dzieł teologicznych za wyłączną prerogatywę
rał się, aby je podać do rąk ogółowi w języku sw

wał edykta przeciw heretykom, kazał palić książki dysydenckie z zagranicy sprowadzane, a duchowieństwo z oburzeniem nową naukę odpychało. Kiedy syn jego na tron wstąpił, zmieniła się natychmiast postać rzeczy. Zygmunt August nie miał zachowawczego umysłu ojca, opinie jego pod żadnym względem nie były surowe, a w walce dwóch wyznań zachował obojętność do tego stopnia, że nie można było poznać, któremu z nich więcéj sprzyjał. Niektórzy biskupi podzielali tę politykę króla i chętnie byliby się z pod obediencyi papiezkiéj wyłamali, ogół zaś ówczesnych dygnitarzy kościelnych stał bardzo nizko pod względem moralnym, i więcéj niż sprawy religijne zajmowały go dobry byt i świeckie interesa. Protestantyzm znalazł się przeto w korzystném bardzo położeniu: oporu stanowczego nie mógł się znikąd spodziewać, bo go nie postawiła nawet katolicka religijność narodu. Najznakomitsze w kraju rodziny, senatorowie świeccy i duchowni, otwarcie lub skrycie liczyli się wkrótce do zwolenników nowéj nauki; po całym kraju wznosiły się liczne zbory; protestanci odbywali publicznie synody i zgromadzenia, jednėm słowem, protestantyzm otrzymał równouprawnienie z katolicyzmem, choć tego żadne rzeczywiste prawo nie orzekło.

Od samego początku panowania Zygmunta Augusta rozwinęli także protestanci wielką czynność literacką. Ukazał się niedługo cały zastęp ich publikacyj treści nauczającéj i polemicznéj. Język polski i literatura wzbogaciły się tłumaczeniami biblii, postyllami, kancyonałami i t. p. Z grona pisarzy protestanckich wyszedł także Mikołaj Rej z Nagłowic i był jedynym z tych, którzy w tym czasie największy wpływ wywierali i wielkie nowéj nauce oddali przysługi. Później atoli opuścił on tę ciaśniejszą sferę działalności i stał się pisarzem narodowym. Dlatego pod obu temi względami będziemy go uważać i z rozbioru jego dzieł poznamy, jakie i tu i tam zajmował stanowisko.

Rej urodził się na Rusi Czerwonéj 1505 r. [1]). Rejowie, z dawnéj rodziny czeskiéj Werszowców pochodzący, właściwie w Małopolsce byli osiedli i dopiero ojciec Mikołaja „na chleb rycerski“ w te strony się udał. Był-to familiant znaczny i piękny posiadał majątek. Mimo to ambicya nie leżała w charakterze Rejów. „A był-to naród tych Rejów zawżdy cichy, skromny, poczciwy, nie bawiąc się nigdy żadnemi świeckiemi sprawami, tylko zawżdy spokojnego a poczciwego żywota swego szlacheckiego używali”—pisze Trzecieski. Ojciec Reja podobnegoż był usposobienia, mało więc dbał o wychowanie syna, zwłaszcza że ten był jedynakiem „i przy sobie go chował do lat niemałych.” Uległszy wre-

[1]) Chronodistych umieszczony pod jego wizerunkiem w Zwierciedle (Kraków 1568) daje liczbę 1405. Widocznie jest to błąd. Że jednak o wieku, w którym Rej się urodził, niema wątpliwości, a tylko o dziesiątki i jedności w téj liczbie rzecz się rozchodziła, można tedy z wszelką pewnością przyjąć r. 1505 za prawdziwą datę, którą także Jocher (Tom 2) ze wszystkich innych za najprawdopodobniejszą uznał. Zgadza się ona także z tém, co Friese przy roku śmierci Reja powiedział, jak niżéj zobaczymy.

kamy. Lecz wychowanie ówczesne wymagało
rzetarł się na dworze jakiegoś możnego pana.
ostał się Mikołaj na dwór Andrzeja Tenczy
omierskiego, którego dwór do najpolerowańszy
Był-to fakt ważny w życiu Reja. Skutkiem z
ieku wziął się tutaj pierwszy raz szczerzéj do
a praktyczna, zaczerpnięta z obcowania w towa
ze tak lubił, więcéj mu do przekonania przypad
la zaczął go używać do pisania listów polskich,
ie nie umiał i dopiero z czasem najwięcéj w o
nymi poznajomił się jako tako z tym językiem.
ł się jego wrodzony talent; a wstąpiwszy raz
ostępować daléj. Pierwotnéj przecież natury
ył: towarzystwo, muzyka, myśliwstwo, rozrywały
ducha, pełnego prostoty i samorodnych pomysłó
rzepędził na sejmikach, na dworach panów i mię
tylko nocami zwykł był zaglądać do książek
ość więc i pierwotne wychowanie nie zapowiac
o pisarza; autorem uczyniły go tylko wrodzone z
nawet najwyższy, w czasach, w których jak pod
eraturze tak niewolnicze naśladownictwo, bez od
będącéj w takich razach główną siłą autora, musi
najdzie stosownéj dla siebie pracy. Protestantyz
kie wskutek tego w Polsce wybuchły, podały R
vskazały mu pole, na którém zdolności swe mógł
rotestantów, nie potrzebował pisać po łacinie,
ym, jak wówczas pisano; nie potrzebował znać n
aików starożytnych, aby coś do nich podobnego
ka protestantów była daleko skromniejsza. Zna
wszych ojców kościoła

dy Rej jako pisarz protestancki. Przez całe jednak życie, mimo niezwykłéj nawet sławy, jakiéj używał, miał to zawsze na pamięci, że mu brakowało gruntownego wykształcenia, które sam widać kładł za niezbędny warunek autorstwa. We wszystkich jego dziełach, które prócz tego bezimiennie wydawał, czytamy skromne exkuzy, iż jest prostym a nieuczonym człowiekiem, że te książki „ze wstydem wydane," iż tylko „gdy synowie Izraelscy milczą, musi już kamienie wołać."

Zawód pisarski rozpoczął Rej od tłumaczenia Psalmów, które pojedyńczo wydawał. Z tych znane są dzisiaj tylko dwa: Psalm 113, drukowany u St. Szarfenbergera [1]), i Psalm 83, u Łazarza, a zatém nie wcześniéj jak 1550 r., bo w tym czasie jego drukarnia zaczęła być czynną. Znamy również pięć pieśni nabożnych Reja, pojedyńczo u Łazarza (bez dat) wydrukowanych [2]). Bezwątpienia jest to praca współczesna lub wydana bezpośrednio po owém luźném tłumaczeniu psalmów.

„Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego, syna Jakubowego rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka 1545" jest pierwszém obszerniejszém dziełem Reja. Dwanaście spraw obejmuje ten długi dyalog, będący tylko wierszowaną parafrazą znanéj historyi starego zakonu. Jak to już nieraz powiedziano, nie posiada on żadnéj dramatycznéj wartości. Sam Rej przeznaczył go do czytania, nie na scenę, i więcej niż o dramatyczność chodziło mu o sens moralny, jak to widać w dedykacyi Józefa królowéj Izabelli, córce Zygmunta I. Jedyną może zaletą są trafne rysy niektórych charakterów, co było rzeczą najłatwiejszą dla talentu Reja. Sługa Magon, ze swém złośliwém wścibstwem w sprawy domowe swego państwa, ma wiele prawdy w sobie i przypomina tych typowych sługusów starożytnéj komedyi. Również Achiza, panna służebna Zefiry, żony Putyfara, dobrze jest narysowaną w pochlebstwach, któremi panią obsypuje, a wyrachowanych na własną korzyść. Pięknie także i z niezwykłym u niego urokiem zaczęła się rysować w głowie Reja postać saméj Putyfarowéj, co to długo nie znając miłości i żartując sobie z niéj, ulega jéj nagle, poznawszy Józefa. Lecz te idealniejsze rysy, które prócz tego rzeczywisty zaród dramatyczności w sobie mieszczą, zatarł Rej niebawem swą rubasznością i prostactwem [3]).

Trzecieski, wyliczając pisma Reja, powiedział, że tenże napisał „Psałterz Dawidów i z modlitwami, który bardzo radzi ludzie czytali i śpiewali." Dla naszych historyków literatury i bibliografów stał się

---

[1]) Rok wydrukowania tego psalmu 1533, jak podaje Maciejowski, nie jest zupełnie pewny, albowiem data powyższa znajduje się tylko na drzeworycie ozdabiającym pierwszą stronę téj broszurki, który mógł być od niéj wcześniejszy.

[2]) Podał o nich wiadomość Chłędowski w swym spisie dopełniającym Bentkowskiego, Wiszniewski przedrukował je w historyi literatury, a Wójcicki w Zarysach domow. T. 4. Jedyne może dzisiaj egzemplarze tych pierwszych druków Reja posiada obecnie prof. J. Przyborowski.

[3]) Dokładnego wyobrażenia o tym dyalogu można nabyć z Teatru starożytnego w Polsce Wójcickiego Tom I.

ıem od listu 11, psalmu 8, a kończy się na liś
C III do Ff. V). Nie posiada zatém ani tytı
dto i psalmu 2, który Jocher z opisanego przez
toczył. Do porównania zatém pozostaje tylk
dziony przez Jochera (w Notach T. II) z psalmu
sce w egzemplarzu Biblioteki głównéj co do sł
gadza. Nadto egzemplarz ten ma przed każdym
o psalmie modlitwę, jak to w Psalterzu Jochera
jest również w ósemce. Liczba listów tylko się
Jochera miał ich 220 i jednego 221 brakowało,
na listów 326, a jeszcze więcéj niż jednego brak
że rzeczony Psałterz Biblioteki głównéj a Psal
u i tym samym, tylko widać są to różne wyda
nie zachodzi, czy to jest rzeczywiście Psalterz R
ko domysł Sobolewskiego. Mając przed oczam
przez Jochera i egzemplarz Biblioteki głównéj,
ępujących wniosków: Najprzód Psalterz ten je
y niema wyrazu „kościół“ tylko „zbór krześci
r.) „Tu prorok prosi a strony zboru krześcia
jest proroctwo o zebraniu świętéj cerkwi a zbo
" list 124 odw. „Tu prorok załobliwie opłakawa
e miały przydź srodze na zbor krześciyański z
go...” Następnie w modlitwach znajduje się częst
„nas“ bronił od fałszywych prześladowników“ i
„nauki omylnéj” (np. I. 18, 89 odwr., 93 odwr.,
to sensie protestanci, nawet sam Rej, zwykli
terz ten posiada „modlitwy,“ czego nie można,
uważać za słaby dowód, a przeto zgadza się z opis
ecieskiego. Po dedykacyi królowi Zygmuntowi
rszyki: „ku temu coby miał wolą czyść książki“

Psalterza z łaciny, tylko brał gotowe już tłumaczenia polskie i te pięknością swego języka czynił przyjemniejszemi dla ucha i czytania. Obok jego tłumaczenia, Psałterz np. Wróbla, trzymający się ściśle łacińskiego tekstu, lubo posiada zkądinąd wysokie zalety, wydaje się ciężko uczonym i pedantycznym. Ten sam wdzięk stylu i jego szczególny zakrój znajdujemy także w niniejszym Psałterzu, a nawet wyrażenia znane z innych pism Reja, których prócz niego nikt inny nie mógł użyć. Autor nie nazwany jest na tytule, nie podpisany pod dedykacyą, a na czele mieni się tylko „niektórym poddanym J. K. Mci“ (Jocher), co było stałym zwyczajem Reja. Ta nawet okoliczność, że egzemplarze zresztą dobre (jakim jest egzemplarz Biblioteki głównéj) na początku i na końcu nie dochowały się w całości, wskazuje, iż autorem musiał być nienawidzony przez duchowieństwo katolickie Mikołaj Rej. Niejeden zatém niszczył ślady autora i drukarza, najwidoczniejsze na tytule i w zakończeniu, aby ocalić dzieło samo, miłe mu dla języka lub rzadkości. Opierając się na tych powodach, można twierdzić z moralném przekonaniem, że Psałterz rzeczony jest rzeczywiście psałterzem Reja. Co do daty jego pojawienia się, musiał wyjść przed rokiem 1548, t. j. przed śmiercią Zygmunta I, albowiem temu królowi był dedykowany (Jocher); mylnie zatém Maciejowski podał rok 1555.

Do powyższego opisu Psałterza pozostaje nam jeszcze dodać, że jest pisany prozą, a zatém wierszowane owe luźne psalmy 85 i 113 (które tutaj posunięte są o jednę liczbę naprzód jako psalm 86 i 114) nie wchodzą do jego składu. W Argumentach i Modlitwach, które są dodatkami Reja, nie znajdujemy owych obelg i grubych wyrażeń, jakiemi w późniejszych pismach na kościół katolicki powstawał. Tu i owdzie tylko, jak wyżéj wspomnieliśmy, daje się czuć ten duch nieprzyjaźni, ale z umiarkowaniem i tylko w sprawie własnéj obrony użyty. Być może, iż Rej nie doszedł jeszcze do tego stopnia zaciętości jak późniéj, a może też musiał się oglądać na okoliczności, które przed śmiercią Zygmunta I-go na podobną zuchwałość nie pozwalały.

Polityczno-religijny zatém był naprzód kierunek Reja; ale wkrótce pokazał się jego talent z innéj strony. W r. 1557 wyszła Postylla [1]), dzieło obszerne, na trzy części podzielone, p. t. „Świętych słów a spraw pańskich które tu sprawował Pan a Zbawiciel nasz na tym świecie jako prawy Bóg będąc w człowieczeństwie swoim, Kronika albo Postilla polskim językiem a prostym wykładem, też dla prostaków krótce uczyniona.“ Już współczesnym dziwno się zdawało, zkąd Rej nagle do téj uczoności przyszedł, aby zdobyć się na podobny utwór. Sam Trzecieski nie mógł się obejść bez usprawiedliwiającéj uwagi: „bo acz był nieuczony, ale z czytania a ze zwyczaju tedy mu to już snadnie przychodziło.“ Zawiśc miała jednak w tym podziwie największy udział [2]). Ale

[1]) Na końcu 3-éj części czytamy: „A dokończyło się dnia V Stycznia R. P. 1557.“

[2]) Jan z Woźnik, także różnowierca, w piśmie „De Apostolica Jesu Christi doctrina“ i t. d. 1568, wyrzuca Rejowi jego występne i rozwiązłe życie i opowiada

z namowy i nalegania współwyznawców, został
tanckim. Oprócz strony nauczającéj jest w je
a, co z ówczesnego stanu religijnych walk mi
wało. Wyznanie swoje uznając jedynie za tal
prawdy," dowodami z Pisma św., dowcipem i s
niemania i wyśmiewa kościelne obrządki. Ile
unktu, język jego nie zna hamulca ni miary,
nki, rubaszne łajania i sarkazmy pełne najgru
lobnych ustępach z tłumacza słowa bożego przemi
paszkwilistę i pełnego jadu satyryka. Tam jedna
ictwa opuszcza i gdzie swych współwyznawców
miejsca pełne słodyczy i spokoju. Takim jest
nówi przeciw zbytniéj staranności o dobra ziems
yć za wzór kaznodziejskiego języka z najpięknie
mi: „Słyszałeś też od Pana swego iż ci i ptaszki i
przykład, jako są w dziwnéj opatrzności Bog
ego; a opowiadając ci iżeś ty jest w nierówniejsz
vsz też żeć tu nie wspomina jedno ptaszki niewin
żeć tu nie wspomina łopianu ani pokrzywy, je
iże się też ty jako niewinny ptaszek w myśli i se
nością jego a proś aby cię w tém podpomogło św
obietnic jego. Przywdziejże się farbą onéj pięk
wspominać raczy, która stoi w białości przed o
ięczną wonność podawa światu temu: a na lekars
ą wydawa ziarnka y korzonki swoje."
Postylla Rejowa była drugą z rzędu protestancką
wców luterskiéj konfesyi wydali 1556 r. Małeck
éj już po Reju wystąpił znów ze swoją Grzegórz

roku. Rejowa jednak największy wpływ wywierała i doszła do powszechnéj wziętości, szczególniéj (jak powiada Wujek w przedmowie do swéj Postylli r. 1584) „dla dworności a gładkości mowy języka polskiego.” Nawet duchowni innych wyznań, katoliccy [1]) i greccy [2]) używali jéj do swych kazań. Ta jéj wziętość była i dla Wujka powodem do wydania (na „przeciwne lekarstwo”) Postylli w duchu katolickim ułożonéj [3]).

Następne dzieło Reja: Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego, w którym jako we zwierciedle snadno każdy swe sprawy oglądać może: zebrany z filozophów y z różnych obyczaiów świata tego (1560 r.),” pisane jest wierszem. Na wstępie czytamy tu pochwały poetycznego talentu Reja: „Noster hic est Dantes...” pisze mu Trzecieski pod portretem; Roysius znów prof. prawa rzymsk. przy akademii krakowskiéj i także przyjaciel autora, przywiódłszy na pamięć pierwszeństwo Homera u Greków, Wirgila w Rzymie, odzywa się: „I ty Reju, Muz ulubiony wychowańcze, sam jeden przewyższyłeś w rymach swoich współziomków Sarmatów.” Zawiódłby się jednak, ktoby w Wizerunku szukał utworu artystycznéj fantazyi. Stworzył wprawdzie Rej pewną opowieść poetyczną, ale ta jest zbyt słabą, zanadto jednostajną i powtarzającą jedne i też same sytuacye, aby mogła zająć i rozciekawić wyobraźnię. Filozof (?) Hipokrates naucza w szkole moralności i zaleca swym uczniom, aby zawsze szukali prawdy, starali się o łaskę bożą (!), żyli cnotliwie i nabywali nauk, które cnocie ku ozdobie służą. Słowa nauczyciela zrobiły na jednym z młodych słuchaczy głębsze wrażenie. Chcąc dojść do samego źródła rozmaitych prawd i cnót, obchodzi po kolei najznakomitszych mędrców starożytności (przyczém na czas i miejsce Rej bynajmniéj uwagi nie zwracał), ucząc się od każdego, w czém który najwięcéj celował. Rozmawiając więc z nim ci filozofowie o wielkości stworzenia i obejmującego je rozumu ludzkiego, o marności, o rozkoszy, o płochości młodego wieku, o ożenieniu, gospodarstwie, prawdziwém szlachectwie, o duszy, o istności jednego Boga w trzech osobach (Platon w rozdziale 8), o wszechświecie, planetach, o niebie i piekle.

---

[1]) Przytoczymy tu ustęp z przedmowy Wujka do Postylli, odnoszący się do słów powyższych, a który może także posłużyć za świadectwo owéj skrzętności protestantów na polu literackiém, o jakiéj wyżéj mówiliśmy: „Bo iż inne pisania opuszczę, mają oni (t. j. protestanci) od kilkunastu jeźli nie od kilkudziesiąt lat. kilka Postyll swoim językiem polskim napisanych. Samem się tego napatrzał, iż nietylko w Miejskich y Slacheckich domach ale y między naszymi kapłany wiele się Postyll kacerskich zawadzało: a niektórzy ich y na kazania swoje już nie tylko po wsiach, ale y po miasteczkach używali; a zwłaszcza Rejowéj, która dla dworności a gładkości mowy języka polskiego między innymi górę otrzymała.“

[2]) K. Sakowicz w Epanorthosis, Kraków 1642 r., pisze: „Drudzy też z heretyckich Postyll kazania w Cerkwi ludziom powiadają, jak to jeden Pop za Lwowem mówił: Posłuchayte Chrestyane kazania światahо Reja. Co postrzegłszy X. Kuropatnicki Franciszkan będący jeszcze świeckim, wziął za to winy dwa woły od Popa y Postyllę onę Reiową.“ (Wiszn. VIII. 368).

[3]) Na karcie 149 Postylli Krak. 1584 r. przy słowach: „Napisali w omylnych Postyllach swoich....“ dodał Wujek na marginesie: Postylla Reiowa.

Z tėj treści widać, że wiele materyi dodawały Rejowi różne systemata filozofii starożytnėj, o ile on ją mógł znać i rozumiéć, jak sam w przedmowie powiada: „A ta sprawa książek tych jest ta, że jest rzecz zmyślona i z innych uczonych zebrana.” Cały zaś poemat jest wielką allegoryą, gdzie pod postacią młodzieńca możemy sobie każdego człowieka wyobrazić. Przez to przeniesienie sceny w świat starożytny i przez zajęcie się przedmiotami umiejętnemi i kosmopolitycznemi, nie traci jednak Wizerunek cechy narodowėj, ani autor swėj oryginalności. Rej zamało znał naprawdę du [illegible], zawiele improwizował sam ze siebie, aby pojedł w [illegible] atwiéj mu było włożyć w usta greckiego filozofa to, co [illegible] w jakiém miasteczku lub dworze szlacheckim. Pełne [illegible] ku takich obrazów, branych żywcem z codziennych i [illegible] zeżeń. (Obraz żarłoka w roz. 2, o fałszywém szlache[illegible] adętym bogaczu list 6, wizyta w sąsiedztwo roz. 6, po[illegible] a granicę, o prawém szlachectwie roz. 7, o niespraw[illegible] roz. 8). Każdy z tych ustępów jest albo dowcipny [illegible] szl[illegible] ówczesnego życia, albo ostrą na nie satyrą. Nie kied[illegible] ę Rej do wyższego natchnienia, które najczęściej w[illegible] dź pociąg do kreślenia natury, bądź też poważna jakaś [illegible] alna lub psychologiczna. Spotykamy się tu nieraz z cierpkim, pesymistycznym poglądem na świat, jaki zrodziło w pisarzu doświadczenie i znajomość wszystkich stron życia, jak np. następne słowa, tak żywo przypominające króla Leara:

„Prawie wszyscy chodzimy jako z komedyą,
Kiedy żaki ubiorą a potem je bają,
A ktoby z góry patrzał, jest się naśmiać czemu,
Temu światu marnemu, błaznowi prawemu.”

Z powodu Wizerunku porównywali współcześni Reja do Dante'a. Winniśmy przeto dać czytelnikom wyjaśnienie pod tym względem, zwłaszcza że niekażdy ma sposobność czytać Wizerunek, aby się przekonać, o ile to porównanie jest słuszne. Piekła nie opisuje Rej sam od siebie, ale ten opis kładzie w usta Abirona, niegdyś buntownika przeciw zakonowi Mojżeszowemu, a dziś sługi króla piekiel, którego ów wędrujący młodzieniec w swėj podróży spotyka. Abiron tłumaczy mu najprzód, że dusze aż do sądu ostatecznego cierpią w piekle tylko moralnie (rozpowszechnienie przez Reja tėj myśli w XVI wieku przynosi mu zaszczyt), a odpusty rzymskie nie im pomódz nie mogą. Następnie opowiada mu, kto się w piekle znajduje. Jest tam „nawięcėj kapłanów,” są i panowie, starostowie, przedajni sędziowie, kupcy, szynkarze, oszuści, rzemieślnicy, muzykanci, żołnierze, złodzieje, pijanice, kosterowie, gamraci, także Turcy, Tatarowie i Żydzi. Wchodzą potém obaj na wysoką górę i ztamtąd widzi młodzieniec unoszące się nad ziemią zjawisko hetmanów piekielnych, króla rozterków, warcholta; króla pychy, króla łakomstwa a zazdrości, króla opilstwa, żarłoka, i „piątego jenerała Lucifera.” Młodzieniec pyta jeszcze Abirona, dlaczego ludzie wiedząc o tak strasznėj karze, odstępują jednak Boga; ale Abiron odsyła go po odpowiedź do Solona, gdyż sam musi już wracać do swego pana

(Roz. 11). Wtrącił przeto Rej, jak Dante, swoich, a raczéj swego wyznania nieprzyjaciół do piekła, ale z saméj nawet treści domyśli się każdy, jak dalece nie dorównywają opowiadania i allegorye Reja wspaniałym i plastycznym obrazom włoskiego wieszcza! Do raju wchodzi wprawdzie ów młodzieniec osobiście, a zatém i Rej za jego śladami, ale oprócz krótkiego opisu rozkosznego sadu, który tak dobrze może być rajem jak i zwyczajnym ogrodem, resztę tego ustępu zapełnia teologiczna dysputa młodzieńca z Eliaszem. Do nieba Rej nas zupełnie nie wprowadza—nie leżało to nawet w zamiarze jego dzieła, którego przeznaczeniem było nauczać jak żyć należy, aby się tam kiedyś dostać. I to téż jest ostatniém pytaniem, jakie młodzieniec przy końcu wędrówki zadaje Arystotelesowi.

Jak już z powyższych słów widać, nawet i w tém dziele, które z przeznaczenia swego ma nauczać cnoty i mądrości, nie mógł Rej ustrzedz się stronniczego zapału i nienawiści przeciw kościołowi katolickiemu, a w szczególności przeciw duchowieństwu. Zasada celibatu i zakonów wydaje mu się przeciwną moralności i owszem wprost prowadzącą do rozwiązłego życia. Ztąd rzuca uszczypliwemi sarkazmy na księży i mniszki (Roz. IV) i przygania ostro rodzicom, którzy córkom zakonne mury zalecają. Tego rodzaju są także antikatolickie zdania i wtrącenie stanu duchownego do piekła w opowiadaniu Abirona. Należy jednak przyznać, że jest to pierwsze dzieło, w którém Rej pokazuje się godnym swéj sławy. Postylla mogła mu zjednać wziętość i imię, u współczesnych mianowicie współwierców, bo oddała w swym czasie wielkie przysługi sprawie dysydentyzmu; Wizerunek zaś wznosi się dążnością swoją ponad teraźniejszość i, odrzuciwszy niektóre stronnicze przytyki, zajmuje stanowisko, jakie przynależy każdemu dziełu, mającemu za cel: dobro powszechne i wyższą moralność. Trudno bowiem odmówić mu głębszéj filozoficznéj myśli, czy zwrócimy uwagę na pojedyńcze ustępy, czy też na jego całość. Rej osięga w Wizerunku dojrzałość talentu, a zapatrywanie się jego na świat nabiera pewności i prawie téj powagi, jaką podziwiamy u starożytnych myślicieli. Do podobnego sądu przyjdzie zapewne każdy, kto będzie patrzał więcéj na zamiar całego dzieła, na nieutrudzony zapał autora, którym się zawsze ku cnocie unosi i który go nigdzie w ciągu dosyć obszernéj pracy nie opuszcza, a nie będzie się zrażał prostodusznną jego rubasznością i satyrycznemi pociągami pióra. Jednak i ta strona ma dla nas wielką wartość. W niéj-to przekazał Rej potomności żywy obraz ujemnych stron swego społeczeństwa, jego wyobrażeń i obyczajów, a zarazem wielkie zasoby prawdziwie narodowego humoru. Pod tym względem Wizerunek stoi prawie na równi z „Żywotem poczciwego człowieka," a jeśli nie ma téj cechy wyłącznéj praktyczności i jeżeli cały układ jego jest odmienny, to pojedyńcze ustępy obu dzieł mają często takie ze sobą podobieństwo, jakie może mieć jedna i taż sama rzecz, raz wierszem, drugi raz prozą oddana [1]).

[1]) Można np. porównać co mówi Rej w Wizerunku o temperamentach (Roz. 8), o planetach srogich i łaskawych (Roz. 11), o prawém szlachectwie (Roz. 7) z odpowiedniemi ustępami w Żywocie.

W podobnym zamiarze nauczania, jak „Wizerunek," chociaż w różnéj zupełnie formie, napisany jest „Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków, kształty, przypadki i obyczaje są własnie wypisane. A zwłaszcza ku czasom dzisiejszym naszym niejako przypadające" (1562). Nazwa Zwierzyniec oznacza tyle co późniéj używana *Silva rerum*, bo rzeczywiście znajdują się tu najrozmaitsze rzeczy. Już w Wizerunku zwracał Rej uwagę nietylko na stronę moralną człowieka, ale dotykał także jego stosunków jako obywatela; tłem zaś jego obrazów był stan ogólny Rzeczypospolitéj. Wyraźniéj widać to jeszcze w Zwierzy[illegible] Rzeczpospolita uskarża się na swe nieszczęścia i winę ie[illegible] watowi. Ten radzi jéj, aby synom swym stawiła [illegible] ślady starożytnych mężów i zacnych ludzi w ojczyź[illegible] wnie się poprawią. Wątpi o tém Rplta, a to jéj zda[illegible] tańczyk, który się miesza do ich rozmowy [1]. Autor [illegible] widać nadziei, bo idzie za radą Prywata. W ośmio[illegible] ach opowiada anegdoty i przypadki z życia sławnyc[illegible] st starożytności (Roz. 1). W rozdziale 2 w podobnéj f[illegible] kterystykę zacnych domów w Polsce, poczynając od rc[illegible] (Zygmunt I, Zygmunt August, Bona, królowa węgie[illegible] ozdział ten jest najważniejszym dla nas z całego Zwierzyńca. Są to wprawdzie drobne obrazki pańskich i szlacheckich rodów, jakby miniatury, ale odznaczające się wielkiém wykończeniem i (o ile nas może historya w tém oświecić) najzupełniejszém podobieństwem. Rej nakreślił je z całą bystrością swego postrzegawczego umysłu i ze znajomością nawskróś serca i natury szlacheckiéj. Zdaje się, że każdy z tych obrazków odskakuje od tła tyle Rej umiał w nie wlać życia i tak odróżnić je od siebie. Widzimy w nich tę szlachtę, jakby ruszającą się i żyjącą, z jéj odrębnemi charakterami rodowemi, z jéj osobistemi przymiotami i wadami, wiemy prawie jak który wyglądał, czyli celował męztwem, dwornością lub nauką czy lubiał zaglądać do kufla lub rwał się łatwo do korda. Poeta, któryby umiał rozszerzyć te obrazy swą fantazyą, znajdzie w nich gotowe szkice figur do powieści lub epopei szlacheckiéj, a ci, którzy lubią zaglądać do herbarzów, podobniejsze tu ujrzą wizerunki swych przod-

[1] Jest to ważny dokument do historyi Stańczyka. Pokazuje on, że nie tradycya dopiero, jak się to nieraz zdarza, utworzyła z tego trefnisia figurę historycznego niemal znaczenia, lecz że już dla współczesnych był, że tak powiem, osobą polityczną. Dowodzi tego samo umieszczenie Stańczyka przez Reja w niniejszym dyalogu i oddana mu wyraźnie pochwała. Na zapytanie Prywata. „Kto to jest z postawą szaloną" odpowiada Rplta.

„Stańczyk ci był, lecz mógł Stanisławem prawie
Przezwać go, przypatrując się dziwnéj świeckiéj sprawie,
Bo się prawdy namówił w szalonéj postawie,
Gdyż ci, co im należy, milczą o téj prawie.
A gdzieś takich Stańczyków było jeszcze wiele.
Coby plewili obłudność, to wszeteczne ziele.
A prawdę świętą ludziom przed oczy miotali
A snadź mniéj z pochlebstwa więcéjby wygrali."

ków, niż u wszystkich heraldyków. Dla lepszego wyobrażenia damy tu parę urywków [1]).

Stadniccy mali wzrostem, ale u nich:

„Najdziesz wnet większy rozum niż pana samego.“

Gnojeńscy:

„Dobrą myślą a wolną zawżdy się parali.“

Ligęzowie:

„...rozum z cnotą pilnie rezumują.“

Grodzieccy:

„Ci choć się zająkają, lecz przedsię domówią
Wierz mi, iż się i chytrzy na ich nie obłowią,
Bo gdzie słów nie dostanie, szarszunem nadstawią,
Jako nawymowniejszy tak swą rzecz odprawią.“

Kaczkowski Kasper:

„Ten chociay jako wóz tarkoce po grudzie,
Ale przedsię wymówi wszystko jako ludzie,
A sprobuj go kędy chcesz w dworstwie i u prawa,
Ujrzysz, że cię potka wnet słuszna odprawa.“

Strusiowie:

„Struś to ma z przyrodzenia, iż gryzie żelazo,
Aleby się i w Polsce tych Strusiów nalazło.
Jest ich gniazdo w Podolu snadź lepsze niż s pirzem.
Każdego jeszcze we mchu może zwać Rycerzem.
Bo jeszcze się żadnego w tym nie doświadczyło,
Aby się kiedy w Kanię które wyrodziło.“

Pomiędzy temi wizerunkami umieścił Rej i swój własny. Tyle widać w nim szczerości i prostoty ducha, że musimy go uznać za prawdziwy. Ale jakże różnym przedstawi nam się wtedy charakter Reja od tego, jaki skreślił Jan z Woźnik (w piśmie: De apostolica Jesu Christi doctrina), albo opat Wereszczyński (w „Gościńcu pewnym niepomiernym moczygębom“)!

Mikołaj Rej z Nagłowic:

Już ty kołac jako chcesz botem podkowanym,
Już się więc tam przypatruj ścianom malowanym,
Biegaj za nastołkami a polewki chwataj,
A jako kędy możesz tak swe szczęście łataj.
Jam już tak doma siedząc obrał sobie pokój,
Bogum wszystko poruczył, ty tam z kim chcesz rokuj,
Bo tak słyszę iż ten Pan przed wszystkimi płuży,
A nikt na żadnym królu więcéj nie wysłuży.

---

[1]) Wiele z tych epigramatów przedrukował Wójcicki w Zarysach domow. T. 4 i w Historyi literatury Tom 2.

ı, znajdujemy także w późniejszém piśmie Reja
ka do poczciwego Polaka." Rozdział wreszcie cz
opisy figur allegorycznych (np. sławy, czasu, n
odszczuwacza), tudzież bajki, ucinki na rozmaite
dworstwo), daléj podobieństwa zastosowane z
ząt do przymiotów ludzkich, nakoniec epigram
ryczne na różne stosunki gospodarskie, sprzęty d
Widzimy przeto, że w Zwierzyńcu objął Rej
heckiego w owych czasach: sprawy publiczne, s
i życie domowe w wiejskiéj zagrodzie.

ruga część Zwierzyńca stanowiły: „Przypowie
h się może wiele przestrzedz." Ta część wydan
0 r.) p. t. „Figliki, albo rozlicznych ludzi przypa
od przybraném imieniem Adrianus Brandenber
Lublinensis [1]). Figliki są pierwszym objawem
szlachtą humorystycznéj literatury, znanéj pod na
któréj następnie wszyscy prawie najznakomitsi n
Odznaczają się one żartkim dowcipem i treściwé
iem, chociaż pod względem swawoli myśli i język
ki Kochanowskiego. Rej nie natrąca z lekka rzec
w półcieniu, jak się to dzieje u ludów lub w
owanych, ale wypowiada je w całéj obszernośc
naiwnego umysłu. Ze świadomością pewnie i ni
prawie w Figlikach życie szlacheckie. Jak nieg
ziło się wystawiać w komedyi obywatela, tak Rej
szanowanie przed zaszczytem szlacheckim od o
aci za cel śmiechu i żartów. Występujące w Fi
eszczanie, ludzie dworscy, niemoralne kobiety
iotem zaś: zepsucie obyczajów, frantostwo albo ch
umysłowe

wysep który zwano Pathmos, przez widzenia y przez Anyoly rozliczne zwiastowane były." (1565). W dziele tém powraca Rej znowu na drogę teologiczno-kaznodziejską; jak w Postylli objaśniał ewangelie na niedziele i święta, tak tutaj objawienie św. Jana. Wykład ten, jak pisze Trzecieski, miał być robiony podług Henryka Bullingera (1504—76), uczonego kalwina szwajcarskiego. Bandkie porównał dzieło Bullingera [1]) z Apokalypsą Reja i przekonał się, że tekst łaciński Objawienia św. Jana z Bullingera „wiernie tłumaczył, ale wykładu nie tknąwszy się Bullingerowskiego, sam sobie wykład nowy wypracował podług przekonania swego, jakie mu się zdawało być najpobożniejszém." (Bandkie Hist. drukarń 363). Prócz tego ze 100 rozpraw Bullingera Rej zrobił 85. Najpierwszą zapewne myślą, która przyjdzie każdemu, kto weźmie Apokalypsę do ręki, będzie ta ogromna różnica w nastroju ducha i w usposobieniu, jaka zachodzi pomiędzy jéj twórcą a jego tłumaczem. Dlatego nie dziwi nas bynajmniéj, że natchniony prorok przyszłości zginął zupełnie w rubasznym i tylko rozsądnym szlachcicu. Wzniosły apostoł, któremu za symbol nadano orła, nie mógł znaléźć wiernego tłumacza w Reju, który nie lubiał i nie umiał unosić się za sferę ziemską; opoka przyszłego kościoła miłości, jak mniemają filozowie i poeci XIX wieku, jakże mógł być zrozumiany przez wiek XVI, gdzie zaciekłe wojny religijne na oręże i pióra rozdzielały ludzkość na nienawistne sobie obozy? Rej użył też Apokalypsy jako nowéj broni przeciw katolicyzmowi, położywszy sobie za główne zadanie wyszydzić przed współwyznawcami kult i hierarchię rzymską. Nie uszły jego sarkazmów nietylko cześć świętych, ale i ceremonie katolickie.

Podobnie jak w Postylli, uderza również i na Aryanów, których więcéj jeszcze nienawidził niż katolików, za bardziéj niebezpiecznych dla świata uważał i którymi nadto pogardzał. Na początku zaraz Rozprawy 2-giéj broni bóstwa Chrystusowego, na liście 53 odwr. w tym samym sensie istności Trójcy św. dowodzi.

Nie zaniedbuje także i nauczać swych czytelników, bo tak w Apokalypsie jak i w Postylli, polemika i obrok duchowny są dwoma głównemi czynnikami. I tak o rozpustujących w niedzielę wyraża się właściwym sobie sposobem: „Albowiem to już drudzy mają sobie za rzecz powinną oszaleć na poły, gdy ten dzień święty przypadnie. Od kogoż nędzniku w ten czas objawienie masz? od kogoż w ten czas błogosławieństwo odnosisz? w jakim duchu pod ławę zachwycon bywasz? Znać będzie objawienie twoje od którego je boga miewasz po guziech twoich i po najeżonym łbie twoim, i kto cię strzeże i ktoć błogosławieństwo maczugą dawa." Czyż podobne objaśnienie tekstu Apokalypsy można nazwać objaśnieniem? a zarazem czyż podobne zjawisko na polu piśmiennictwa nie podaje nam klucza do rozwiązania zagadki, jak, w imię źle zrozumianego sekciarstwa, można podnosić miecz na bliźniego... Zaiste, czasy, które tak jednostronne poję-

[1]) In apokalypsim Jesu Christi... Basileae 1557.

cia miały, były tylko zdolne do tego. Wogóle Apokalypsa Reja może mieć dla nas li historyczne znaczenie; jak w Postylli tak i w niéj polemiczna szczególniéj strona jest interesującą i od innych ważniejszą tak pod względem ocenienia stanowiska samego Reja, jak i wyobrażeń owego czasu, które słowem przeszły w literaturę, a czynem w historyę.

W r. 1568 nareszcie wyszło ostatnie dzieło, które Rej wydał za swego życia: „Zwierciadło albo kształt w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako we zwierciedle przypatrzyć." Właściwie znajduje się tutaj [illegible] pism mniejszych lub większych; posiadają jednak waż[illegible] łączącą je myśl, dlaczego za słuszne uznać musimy [illegible] jął jednym, ogólnym tytułem. Najpierwszém, co mu [illegible] bezernosci i z wartości należy, jest Żywot człowieka p[illegible] znakomitsza praca autora, która sama jedna mogła n[illegible] zaszczytne miejsce, jakie w literaturze zajmuje, a bez [illegible] zapewne Reja tak wysoko potomność nie była podni[illegible] najlepsze zalety, jakie pokazał gdziekolwiek indzi[illegible] tutaj w silniejszym blasku: dar spostrzegania i chwyta[illegible] czynku, siła plastyczna w kreśleniu obrazów, ciągła [illegible] poszukiwaniu coraz to nowszych stron i szczegółów, wszędzie zdrowy rozsądek, pogodny pogląd na świat, najlepsze chęci dla rodaków, miłość cnoty i szlachetność umysłu—słowem, cały Rej, a w nim cała epoka w obrębie pewnego stanu odsłaniają się wzrokowi czytelnika, zajmując jego rozum i bawiąc wyobraźnię.

Rej przedsięwziął w tém dziele skreślić zasady jak człowiek poczciwy życie przepędzać powinien. Poznaliśmy go już z téj dążności nauczania; Postylla, Wizerunek, Zwierzyniec, Apokalypsa też samę miały tendencyę. Ale w Reju tkwiła jeszcze druga przeważna siła: odziewał on zawsze swoje myśli w formy zmysłowe, metaforyczne, czyli wysławiał się poetycznie. Nigdzie więcej jak w Żywocie nie połączył on tych dwóch momentów tak szczęśliwie, i ztąd też powstało dzieło, które każąc prawidła moralności współczesnym, jest dla następców żywym obrazem owéj epoki. Autor uskutecznił to zupełnie prostym sposobem: przedstawił życie jednego człowieka w rozmaitych porach wieku i we wszystkich niemal stosunkach, w jakich się szlachcic polski mógł kiedykolwiek znaléźć. Szlachtę bowiem miał Rej jedynie na względzie—nazwa Żywot człowieka poczciwego jest zaobszerną dla treści dzieła. Inaczéj też być nie mogło. Wszak wiemy, że ówczesny człowiek w Polsce skupił się prawie wyłącznie w szlachcicu, a talent Reja czysto-empiryczny chwytał się tylko przedmiotów, które go bezpośrednio otaczały, odbijał w sobie świat, w którym od urodzenia się oddychał; co zaś poza granicą tego świata leżało, było dla niego jakby ową próżnią, co się ponad atmosferą ziemi znajduje.

Plan całego Żywota jest przeprowadzony bardzo rozważnie i systematycznie. Rzecz podzielona jest na trzy księgi, z których każda o jednéj z trzech głównych pór życia ludzkiego traktuje. Au-

tor wychodzi z punktu zupełnie filozoficznego, zadając pytanie: dlaczego Pan Bóg świat i człowieka stworzył. Następnie rozróżniwszy w naturze ludzkiéj zło i dobro, dwoistość, którą grzech pierworodny sprawił, przechodzi do pojedyńczego człowieka. Każdy człowiek rodzi się pod pewną planetą, z których jedne są „dobrotliwe," a drugie „sroższe," i od tego zależą jego przyszłe obyczaje i postępki [1]). Prócz tego przyczyny różnych skłonności leżą także w samym człowieku, a mianowicie w czterech—jak je Rej zowie—„wilgotnościach," które składają ciało ludzkie i sprawiają różność temperamentów. Ale człowiek, tak wpływom natury oddany, posiada na nie hamulec w rozumie, któremu do pomocy dał jeszcze Bóg swoje przykazania. Tak więc jest wolna wola w człowieku, a tém samém moralność w świecie, których zadaniem wrodzone złe popędy poskramiać. I to jest właśnie celem dzieła; wszędzie ma ono nauczać: czego i jak strzedz się należy, a zarazem, jak przy pomocy rozumu i przykazań bożych żyć cnotliwie i tym sposobem być szczęśliwym. Zadanie swoje poczyna Rej od najpierwszych chwil dzieciństwa; tutaj już daje rady rodzicom, jak mają dzieci karmić, jak odziewać i czego wreszcie nauczać. Za najpierwszą rzecz w wychowaniu moralném uważa naukę religii i poznanie Boga; do innych mniéj wagi przywiązuje, lekceważy sobie nawet gramatykę, logikę i t. p., za grunt wykształcenia kładąc jedynie to, co charakter w człowieku może wyrobić. Nie zapomina przytém o fizycznych ćwiczeniach i zabawach umysłowych i uważa za rzecz pożyteczną, aby młody szlachcic umiał „konika osieść," z drzewcem do pierścienia gonić, „poszyrmować i poskakać i na lutence pograć." Radzi mu następnie, dla obtarcia się w świecie, jechać do cudzych krajów, a mianowicie tam, gdzie dobre obyczaje panują i gdzie są ludzie rozumni. Wtencza dopiero, wróciwszy do domu, może sobie odpowiedni stan obrać: „a zdałoćby się albo do dwora albo w stan rycerski albo żołnierski się udać." Widać jednak, że autor robił między temi stanami różnicę, bo o ile niekorzystnie wyraża się o dworskiém życiu, o tyle zachwala żołnierkę. Na tém kończy się księga pierwsza.

Człowiek z młodości wstępuje w wiek średni; potrzeba mu najprzód myśléć o założeniu rodzinnego ogniska. Z wielkiemi powabami wystawia Rej stan małżeński, uważając go za jedyny, który się Bogu podoba, nie szczędzi jednak przestróg, jak należy być bacznym w wyborze żony i na co najwięcéj uważać. Rozważa następnie obowiązki, jakie mogą przypaść szlachcicowi, kiedy już został słusznym obywatelem; jaki powinien być i co czynić, kiedy go zaufanie współbraci na posła wybierze, albo mu jaki urząd publiczny powierzy, lub wreszcie, co powinien doradzać królowi, a od czego powściągać go, jeśli do Senatu zostanie powołany. Z drugiéj znów strony naucza, jak się szlachcic ma w życiu prywatném zachować, aby godnie swemu

---

[1]) Rej przyswoił sobie tylko naukę swego mistrza Kalwina o przeznaczeniu (praedestinatio).

. - .., ...yc.. szlachcie jako gospodarz na
ı, i ujmująco kreśli przyjemności, jakie życie w
nastręcza, nie zapominając i o tém, że „czytać
nych rzeczy sprobować poczciwemu jest rzecz b
Trzecia i ostatnia księga naucza wreszcie, jak
należy. Autor uważa, iż pomimo doświadczeı
aleństwa młodości nieraz w późnym wieku się
łuszną rzeczą mu się wydaje wskazać prawą d
Lecz jeżeli w poprzednich księgach zalecał s
i cnoty, które człowieka światu i ludziom po
zynią, to tu natomiast o takich już tylko mów
go myśl do Boga i do przyszłego życia. Ton
poważniejszym, kaznodziejskim prawie; wiele
przypomnieniem nauk wyciągniętych z ewangelii,
jeszcze dawał; szerokie rozprawy o grzechach g
eologicznych, zajmują większą część téj księgi.
inne niedostatki: niedołężność i bojaźń blizki
i. Autor i na nie znajduje stosowne lekarstwa.
zułością, z jaką tylko przyjaciel mógłby w prz
rzygasłą nadzieję, przypomina starcowi te ciche,
e, niemniéj jednak przeto żywe przyjemności,
m gronie myśl swobodna, spokojne sumienie i
każdym dniem sprawiać mogą. Myśl zaś śmie
znością, któréj wszyscy podlegają, a która nie
człowieka, gdy żywot swój cnotliwie przepędził.
Oto jest w głównych zarysach treść Żywota,
eg myśli autora, nie może bynajmniéj dać czy
ia o sposobie, w jaki swój przedmiot traktowa
n rościć sobie nawet pretensyi, aby przez kry
do tego rezultatu, jaki Rej osięgnął, wlawszy

cznych ludzi i domacać się pulsu owéj epoki. W żadném inném dziele nie można poznać tak dokładnie charakteru obyczajów i zwyczajów szlachty polskiéj w wieku zygmuntowskim, oddanych z taką żywością, znajomością rzeczy i prawdą, coby z równą bezstronnością złe i dobre strony odkrywała. Obok niego możnaby jedynie położyć Dworzanina Górnickiego, który dwa lata przed Żywotem na widok publiczny wyszedł i w ściślejszym jeszcze ogranicza się zakresie. Biorąc zaś pochop z tytułu Górnickiego, sądzimy, że gdyby Rej był dał swému dziełu nazwę: „Szlachcic," byłby dokładniéj oznaczył rodzaj swéj pracy i czytelnika już na pierwszy rzut oka uprzedził, czego się ma daléj spodziewać.

W podanéj powyżéj treści widać, jak Rej wszelkich stosunków i okoliczności dotyka; stosownie do nich myśl jego nastraja się na rozmaite tony; od obrazów, które śmiało można nazwać satyrą pełną humoru lub fragmentami dowcipnéj komedyi, przechodzi do scen, które sprawiają na nas wrażenie sielanki niezepsutéj nadużyciem sentymentalności. Wśród tego daje się nieraz słyszeć głos głębokiéj prawdy i wyższego natchnienia, ale z taką prostotą i gorącością ducha wypowiedziany, że rozum nie ma potrzeby silić się na ich pojęcie, bo odrazu przylgnęły do serca i przekonania. Jak w życiu miesza się ustawnie dobre ze złém, lub radość ze smutkiem, tak i w Żywocie ten ton myśli często przechodzi nagle w inny znów i do pierwotnego stanu powraca, bo Rej słucha tylko skinienia natury, która jest nieodstępną jego towarzyszką.

Z drugiéj strony z zupełną łatwością możemy poznać i oznaczyć, jakie jest pojęcie Reja o moralności. Na każdéj prawie karcie wypowiada je jasno, otwarcie i podług niego sądzi złe lub dobre uczynki ludzkie. Pojęcie to jest nader umiarkowane; nie wymaga wiele od człowieka i ustawicznie ma tylko jego szczęście na oku, nie żądając bynajmniéj, aby dla cnoty robił ze siebie cierpiącą ofiarę. Żyć cnotliwie, znaczy u Reja zachować średnią drogę pomiędzy ostatecznościami, unikać występku, jako nadużycia, które za sobą złe skutki sprowadza, używać dóbr światowych, ale tylko w miarę, bo jeżeli tę przebierzemy, odejmiemy sobie sposobność i możność używania ich ciągle i długo. Horacyuszowskie: *medium tenuere beati* jest równie godłem Reja, któremu zawsze pozostaje wierny. Wszakże nie czyni on tego z upodobania w wygodnym epikureizmie i samolubstwie, uwzględnia raczéj tylko słabą naturę ludzką, któréj potrzeba w czémśkolwiek ustępstwo zrobić, aby nie popadła zupełnie w materyalizm lub apatyczne odrętwienie. Przy tém wszystkiém wymaga Rej od człowieka stałości charakteru i silnego przekonania o swéj nieskazitelności, i na tém jedynie prawdziwe szczęście zasadza: „A inszéj żadnéj pociechy nad tę ani znajdziesz, ani wymyślisz, jedno gdy będzie myśl zawżdy poczciwa a bezpieczna, wspaniała, i niczém nie zniewolona, nadobnemi cnotami i poczciwościami ozdobiona, sumienie bezpieczne, a jako kryształ przezroczyste, które na się ani przed Bogiem, ani przed ludźmi nic wszetecznego nie czuje, a jasne oczy ma na wszystkie strony, a nigdzie ich psiną nie pokrywa. To już do tego wszystkie inne pociechy snadnie się zbieżeć muszą. Bo gdzie pomierny a nadobny żywot, tam i dłuższe

zdrowie i dłuższe bogactwo. A gdzie piękne zachowanie a uczciwa sława, tam już u wszech miłość, i wszystkiego łatwe nabycie. Już tam i piękne biesiady, już tam i każde krotofile uczciwe i poskoki pomierne, wszystko się znaleść może." (Ks. II. list 144 odwr.). Taki pogląd na rzeczy zgadzał się zupełnie z duchem XVI wieku, który przez humanizm pozbył się średniowiecznéj ascetyki i w życiu politycznêm jak prywatném, w wykształceniu umysłowém i pragnieniach serca trzymał się sfery ziemskiéj i praktycznéj, a tém bardziéj przypadał do wrodzonego usposobienia szlachty polskiéj, lubiącéj swobodne życie i wesoły humor, podniecany towarzyską gawędą i szklanką dobrego wina lub miodu.

Dlatego i sposób, w jaki Rej zasady swoje przeprowadza, jest zupełnie praktyczny. Jeżeli chce odwrócić od jakiego nałogu lub występku, stara się obrzydzić je w oczach czytelnika, wystawiając dosadnie ich szpetność i złe skutki, np. utratę zdrowia, majątku lub dobréj sławy między współobywatelami, przeciwnie zaś w barwach jaknajwięcéj pochlebnych kreśli następstwa miernego życia i szlachetnych postępków, przypominając, że one nietylko są zasługą wobec Boga, ale także jedynie mogą zgotować dobry byt i szacunek powszechny. Przekonawszy nas już na drodze racyonalnéj, popiera jeszcze swoje twierdzenia przykładami z Pisma św. i z historyi starożytnéj [1]), jakoby dowodząc jego prawdy ze słów bożych i z rozumu ludzi nieoświeconych objawieniem.

Na jeden ważny punkt musimy jeszcze zwrócić uwagę. Mieliśmy już nieraz sposobność przekonać się o zapalczywém sekciarstwie Reja, gdzie tylko mógł bryznąć w oczy jadem lub szyderstwem inaczéj wierzącym. W Żywocie nie spostrzegamy nawet chęci ku temu. Kwestyj religijnych dotyka zaledwie tam, gdzie go konieczność do tego zmusza, tak że się zdaje, iż tego gorącego szermierza nagle indyferentyzm opanował. Odsunąwszy na bok rzeczywistą zmianę, jaka u Reja zaszła podtenczas w wyobrażeniach o stosunku stron wojujących i o jego własném stanowisku pośród téj walki — o czém niżéj obszerniéj wspomnimy — wytłumaczyć sobie można tę różnicę i w ten sposób, iż Rej z umysłu odsuwał wszystko, coby zdolne było którekolwiek sumienie podrażnić. Pragnął bowiem podać do rąk szlachcie książkę, z któréjby się czegoś nauczyła, a którą podyktowała mu miłość współbraci i szlachetne poczucie obowiązku, aby rzetelnych prawd życia udzielić innym, kiedy Bóg obdarzył go potemu i zdolniejszą głową i gorętszém sercem. Przy takim zamiarze musiał dbać o to, aby jaknajwiększe było koło czytelników, i uwolnić nawet sumienie niejednego od wyrzutów, że dzieło heretyckie chętnie brał do ręki.

---

[1]) Rej, nie znając dobrze literatury klasycznéj, nie posiadał także dokładnych wiadomości historycznych. Zapewnie czerpał najwięcéj z kompendyów, zbieranych w średnich wiekach i późniéj, w których historya ogranicza się na obfitym zbiorze anegdot. Popełnia przytém wiele rażących błędów, bezwątpienia wskutek niedbałości i nieuwagi, jak np. gdy Eurypidesa między filozofami wylicza, lub téż gdy cesarzowi Adryanowi każe prowadzić rozmowę z Dyogenesem.

Następującą po Żywocie rozprawę [illegible] już Rej oznaczył jako dopełnienie poprzedniego [illegible] tytuł: „Przemowa krótka do tychże ksiąg [illegible] człowieka każdego o przypadkach rozlicznych [illegible] W Żywocie [illegible] życie prywatne [illegible] uwagę jego [illegible] tu i owdzie [illegible] dotknął. [illegible] więc poniekąd obowiązany [illegible] powiedzieć [illegible] słowo. Krótka przemowa jest [illegible] tycznem dziełem, w którem Rej [illegible] więcej już i [illegible] złego niż dobrego [illegible] wytyka autor [illegible] błędów politycznych. [illegible] idą dalej: „Apophtegmata, to jest krótkie a [illegible] wiekowi [illegible] należące. Przez [illegible] Żywot poczciwego człowieka pisał [illegible] sione.” W Apophtegmatach, które, jak widzimy, są [illegible] epigramatami, [illegible] Rej to wszystko, co w Żywocie i w krótkiej przemowie [illegible] wyłożył. Uważał bowiem [illegible] krótkie [illegible] pamięci i chętniej [illegible] czytane. [illegible] prze- toć [illegible] rzeczy [illegible] szyka. [illegible] pszcz[illegible] i am[illegible] takż[illegible] wie[illegible] i we [illegible] szych [illegible] też [illegible] czas[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

..ui, pouincouny towarzyską gawędą i szklanką
du.
atego i sposób, w jaki Rej zasady swoje przeprc
praktyczny. Jeżeli chce odwrócić od jakiego
stara się obrzydzić je w oczach czytelnika, w
ch szpetność i złe skutki, np. utratę zdrowia, maj
między współobywatelami, przeciwnie zaś w ba
pochlebnych kreśli następstwa miernego życia i s
, przypominając, że one nietylko są zasługą w
dynie mogą zgotować dobry byt i szacunek pow
zy nas już na drodze racyonalnéj, popiera jeszcz
przykładami z Pisma św. i z historyi starożytnéj
jego prawdy ze słów bożych i z rozumu ludzi
niem.
a jeden ważny punkt musimy jeszcze zwrócić uw
az sposobność przekonać się o zapalczywém sek
lko mógł bryznąć w oczy jadem lub szyderstwe
. W Żywocie nie spostrzegamy nawet chęci ku t
ych dotyka zaledwie tam, gdzie go konieczność d
ię zdaje, iż tego gorącego szermierza nagle indy
Odsunąwszy na bok rzeczywistą zmianę, jaka
zas w wyobrażeniach o stosunku stron wojując
n stanowisku pośród téj walki — o czém niżéj ob
— wytłumaczyć sobie można tę różnicę i w ten s
u odsuwał wszystko, coby zdolne było którekol
ić. Pragnął bowiem podać do rąk szlachcie ksią
czegoś nauczyła, a którą podyktowała mu mił
etne poczucie obowiązku, aby rzetelnych prawd
kiedy Bóg obdarzył go potemu i zdolniejszą gło
Przy takim zamiarze musiał dbać o to, aby jakn

Następującą po Żywocie rozprawę mniejszych rozmiarów sam już Rej oznaczył jako dopełnienie poprzedniego dzieła, dając jéj tytuł: „Przemowa krótka do tychże ksiąg należąca do krześciańskiego człowieka każdego o przypadkach rozlicznych czasów dzisiejszych.“ W Żywocie albowiem życie prywatne szlachty zajmowało głównie uwagę jego i tylko tu i owdzie stosunków politycznych zlekka się dotknął. Czuł się więc poniekąd obowiązany i o sprawach publicznych powiedziéć swoje słowo. Krótka przemowa jest właśnie takiém politycznem dziełem, w którém Rej stan Rzpltéj rozważa. Jak widać, więcéj już i wówczas było złego niż dobrego, bo z ubolewaniem i smutkiem wytyka autor wiele błędów politycznych. Po „krótkiéj przemowie“ idą daléj: „Apophtegmata, to jest krótkie a roztropne powieści człowiekowi poczciwemu słusznie należące. Przez tegoż to co i Żywot poczciwego człowieka pisał, tylko dwiema wirszyki zebrane a zniesione.“ W Apoftegmatach, które, jak widzimy, są dwuwierszowemi epigramatami, zebrał Rej to wszystko, co w Żywocie, i w krótkiéj przemowie obszernie i systematycznie wyłożył. Uważał bowiem, że krótkie zdania moralne prędzéj czepiają się pamięci i chętniéj będą czytane: „A iż Polak jest tęskliwy a wielki zabawca na tropie, przetoć podawam ty Apophtegmata, to jest króciuchnemi słowy długich rzeczy rozważania, iż wżdy sobie przeczedszy i stego i z owego wirszyka, możesz sobie co upodobać a do pamięci przykować. Jako gdy pszczółka znosi miód z rozmaitych ziołek” [1]). Nakłoniła go do tego i ambicya narodowa i dbałąść o język ojczysty. „Tylko my Polacy takechmy byli w sprawach swych zadrzemali, że nie tylko takich powieści“—które się znajdują, jak Rej wyżéj powiedział: „i w greckim, i we włoskim, i łacińskim i inszych językach” — „ale i potrzebniejszych rzeczy takiechmy zaniechawali, a prawiechmy język swój, acz też nie bardzo foremny, tak byli zatłoczyli a zaniszczyli, żechmy mu czasem sami nie rozumieli“ [2]).

Apoftegmata dzielą się na niewielkie rozdziały, np. „o cnocie, o trzeźwości a mierności, marnotrawnik a skępiec, pyszny a pokorny, o prawiech z wolnością i t. p.“ W każdym z takich rozdziałów jest po kilkanaście epigramatów wyłącznie w materyi oznaczonéj tytułem. Formą wiersza i większą rozmaitością treści różnią się od poprzednich: „Apophtegmata krótsze z przypadłości czasów i rzeczy zebrane.“ Początkowe z nich, podobnie jak Apoftegmata dłuższe, są także moralnemi przypowieściami. Następnie idą „Apophtegmata na różne osoby,“ najczęściéj dowcipne lub satyryczne wierszyki na ludzi wszelkich stanów i zatrudnień, począwszy od króla, aż do biednego żyda, karczemnego grajka. Potém „Apophtegmata albo wirszyki na gmachy także i na inne rzeczy, jako kto sobie obierze.“ Po kilkanaście napisów zebrał tu Rej na rozmaite budynki i ich części, a nawet na łyżki i inne drobne sprzęty.

---

1) Przedmowa do Apoftegmatów.
2) W dedykacyi Apoftegmatów Piotrowi Zborowskiemu.

Dla lepszego zrozumienia przytoczymy tu przykłady.

Na wrota:

Kto tu jedzie temi wroty
Zostaw na polu kłopoty.

Na łaznie:

Próżno kąpiesz w wirzchu ciało,
Jeśli w środku co przywrzało.

Na dro

P
W

lub.

S
O

Podobną zupełnie łu do „krótkiéj przemowy do krześcianskiego człowie , przeprowadzenia rzeczy i tendencyi jest „Przemow szciwego Polaka stanu rycerskiego.“ Cała różnica międzý niemi zachodzi w tém, że „Przemowę“ tę napisał Rej wierszem i że w obrazie stanu Polski dorzucił kilka nowych szczegółów, które przedtém uszły jego uwagi. O tych więc tylko tutaj wspominamy. Są to wszystko kwestye żywotne owego czasu, poruszające umysły ogółu i niejedno autorskie pióro, a mianowicie Unia z Litwą, elekcya króla i wyłamanie się Wołoszczyzny z hołdu. Rej, skarżąc się na ciągłe odwłoki, jakich Unia doznawała, obwinia obie strony, choć przyznaje, że Litwie należałoby się „o to starać więcéj.“ Co do elekcyi, przewiduje on nieszczęścia, jakie nastąpią po bezpotomném zejściu ze świata ostatniego z Jagiellonów, jako też wewnętrzne rozruchy i intrygi możnych panów i dygnitarzy kościelnych [1]), których ambicyi pod ten czas dogodne otworzy się pole; radzi więc naprzód sposób elekcyi oznaczyć, „formułę uczynić,“ aby nieprzygotowanych nie zaskoczyła. Zresztą tak w téj przemowie, jak i w pierwszéj, kładzie wielki nacisk na niezgodę, jaka z powodu różności mniemań, z powodu licznych jak nigdzie sekt religijnych, jedność obywateli rozrywa, porządek kraju wichrzy i powszechną niemoralność i bezbożność sprowadza. Jak tam, tak i tutaj, nie stoi przecież na obojętném i pośredniczącém stanowisku, jakie zajął w téj mierze np. Kochanowski w swojéj Zgodzie, lecz jedyny sposób wyjścia z tego chaosu widzi w tém, żeby wszyscy Polacy trzymali się tylko gołych słów Ewangelii, czyli innemi wyrazy, aby porzucili katolicyzm i utworzyli sobie jako łącznię wszelkich opinij więcéj racyonalny a narodowy kościół.

[1]) Zdaje mi się, że tak należy rozumieć te słowa.

„A ktoż tego przyczyną, jedno ci Żubrowie,
Co się im coś dziwnego zawždy miesza w głowie.
Zda się im, iż na ten czas wszystko rządzić mają.“

Téj-to myśli poświęca Rej całą następną swą pracę p. t. „Zbroja pewna każdego rycerza krześciańskiego,“ którą można tak dobrze nazwać upominaniem Polaków do poprawy, jak i apologią protestantyzmu. Moralność bowiem i cnota tak ściśle są połączone dla Reja z nową nauką, iż bez téj pierwsze wydają mu się niepodobnemi. Widzi on z boleścią klęski, jakich pograniczne kraje wskutek wojen religijnych doznają; przeczuwa, że Polsce podobne niebezpieczeństwo zagraża, wewnątrz bowiem burzą się już niezgodne z sobą żywioły, a nieprzyjaciel brakiem czujności ośmielony zaczyna granice nachodzić. Są to oznaki gniewu bożego, na który Polacy zasłużyli, opuściwszy drogę prawdy i cnoty, oddając się wszelakiego rodzaju zbytkom i występkom, z naganną lekkomyślnością traktując najważniejsze sprawy religii i polityki, lub przenosząc płochą zabawę nad poważne zajęcie. „Albowiem my, gdy nam Pan mało pofolguje, a rozpuści nas w fortunach naszych, nie umiemy jedno piskać, skrzypieć, bębnać, kurzyć, piec, warzyć w nocy i we dnie, a o przyszłych rzeczach, albo o tym, czymby miał ubłagan być Pan nad złościami naszymi, albo jakoby téż karnością jaką pohamowany być mogły złości nasze, gdyż złościwi nigdy jedno ze strachem grzeszyć nie przestawają, najmniejszego słówka nie usłyszysz.“ Upomina więc gorąco do porzucenia grzechów i nawrócenia się do Boga. Ale tą skuteczną wiarą nie jest u Reja żadna inna, tylko ta, która miała słowom Chrystusa pierwotną czystość i prostotę przywrócić; ona jedna tylko może różnorodne zdania w sobie pogodzić i dosyć wewnętrznéj siły posiada, aby naród z upadku moralnego podźwignąć i dodać hartu zniewieściałym albo zepsutym duszom. W téj mierze tak się on odzywa: „Alebyś tak rzekł: Widzęć ja, iż jedna Ewanielia jest, ale ją różnie wykładają, a tak nie wiem, komu wierzyć. Oto nędzniku masz radę a naukę Pańską, iż ci każe probować ducha św. prawdy, dokładając tego, iż żaden nie jest duch św. prawdy, jedno który powiada prawdziwe słowa jego. Wżdyś nie jest tak sprośny, abyś nie rozumiał prawdziwego słowa Pańskiego, a fałszywego głosu najemniczego.“ A na inném znów miejscu: „Bo to jawnie zeznać musimy, iż przyniósł Pan do nas jasne upominanie swoje i nawiedzenie swoje, to jest Ewanielię swoję świętą, która była u nas z dawna jako popiołem przypadła. A podał nam ją tak łaskawie, nie tak, jako innym narodom, gdzie ją zawżdy pierwéj krwią srogą oblał męczenników swoich. Patrzajże, wiele ich jest między nami, którzy tu wdzięcznie od niego przyjmują to święte upominanie jego, to wdzięczne nawiedzenie jego.“

Zakończeniem wreszcie Zwierciadła, jakoby epilogiem polecającym nietylko tę pracę, ale i naukę w niéj zawartą, są dwie karty zatytułowane: „Do uczciwego a bacznego Polaka od tegoż co mu ty księgi podawa krótkie a przyjacielskie napomnienie.“

Rej jeszcze raz tutaj przypomina każdemu „miłemu poczciwemu bratu,“ aby zapatrując się na wzory dawnych filozofów i świętych mężów, o których mu w swém dziele mówił, niemniéj na przykłady własnych swych przodków, i „rozeznawszy pilnie, jaka jest różność wielka między cnotą a między niecnotą, między dobrą sławą a między złą,“ żył zacnie, zgodnie z wolą Boga, który tém więcéj karałby jego niecno-

ty, iż mając rozświecone poznanie co jest złém, a co dobrém, pierwsze jakoby naumyślnie wybrał.

Znajdujemy tu wreszcie ostatni płód Reja: „Tenże to s światem z dobrym towarzyszem swoim i z jego ozdobnemi przypadki żegnając się rozmawia krotkiemi słowy," którego jednak, sciśle rzeczy biorąc, za częśc Zwierciadła uważac nie należy. Jest-to bowiem osobiste wynurzenie się autora, jedyna, że tak powiem, jego praca egotyczna. Nigdy bezwątpienia nie napisał Rej piękniejszego wiersza! Jest-to jakby powszechna spowiedź szlachetnéj [illegible] nieraz po drogach błędu chodziła, zakosztowała wszy [illegible] świata, ale nigdy nie była z gruntu złą i przewrotną [illegible] łała w głębi tę moc wyższych charakterów, iż poznawsz [illegible] gła się z nich otrząsć z łatwością i wyjśc z téj proby cz [illegible] myśliciel-poeta, wypróżniwszy do dna kielich życia, staje [illegible] krawędzi grobu i woła ze Salomonem, iż wszystko ni [illegible] lko marność marności! Świat jest próżną obłudą; cnota [illegible] śledzoną; tylko ci, co zysków swych patrzą i namiętnośc [illegible] ają od niego obsypywani darami. Ale używanie tych [illegible] nie — znikomość jest drugim przymiotem świata. Dlate [illegible] si nad nią zapłatę, jakiéj Bóg cnotliwym w poczciwéj sł [illegible] a w wieczném szczęściu po śmierci udziela. Żegna się więc ze światem, z doczesnemi przyjemnościami, nie chcąc odtąd miéc z niemi nic wspólnego, żałując, że im nieraz zbytecznie hołdował, a umysł swój zwraca ku cnocie i Bogu.

„Ty też mój miły Panie z nieba wysokości
Przyjm więc ducha mojego, ziemia niech ma kości."

Zaiste, to ostatnie słowo wyrzeczone na ziemi godném jest Reja!

Oprócz dzieł, których przegląd podaliśmy czytelnikom, napisał Rej jeszcze wiele innych, dzisiaj już tylko z podania ich tytułów przez Trzecieskiego znanych. Tytuły te pouczają nas, że to były po większéj części pomniejsze pisma w rodzaju broszur, z których jedne kwestye religijne poruszały, drugie zaś były satyrycznemi często rozprawami o ówczesnych obyczajach i stosunkach socyalnych. Pisma te są następujące: „Katechizm dyalogiem, młodym ludziom potrzebny,"—„Spectrum albo nowy czyściec, aby się ludzie z starych błędów obaczyli" — „Kupiec," gdzie przedstawił „nadobną sprawę człowieka krześcijańskiego." „O potopie Noego" — Zatargnienie fortuny z cnotą," gdzie białogłowy „snadnie mogły swym powinnościom zrozumieć" Dyalogi dla dobrych towarzyszów: „Kostery z pijanicą," „Warwasa z Dikasem," „Lwa z kotem," „Gęsi z kurem," -dla kmiotków zaś: „Wojta z panem a plebanem, jako się też o swoich dolegliwościach rozmawiają" [1]) i „Księgi niemałe

[1]) Maciejowski wydrukował (w Dodatkach str. 154) odszukany urywek z tego dzieła, zwracając przytém uwagę na podobnéj treści wiersze wydane przez Ambrożego Korczbok Rożka 154[illegible] r., i domyślając się zarazem, że może właśnie to jest ów Dyalog Rejowy, albo, że Rej naśladował tylko Rożka (Dodatk. 547 nstpn. Wiszniewski bez żadnego powątpiewania przypisał rozmowę Rożka Rejowi i podał znaczne z niéj ustępy (VII, 52 nstpn.) Jest-to więc kwestya dotąd nierozstrzygnięta

de neutralibus.“ Mimo téj znacznéj liczby, dodaje Trzecieski, już wówczas wiele z pism Reja poginęło.

.Niedługo po wydaniu Zwierciadła zakończył Rej swoje życie ruchliwe i czynne, pełne zasługi dla współczesnych i potomności [1]).

Rozbierając pisma Reja, staraliśmy się zawsze o ile możności wystawić je w ten sposób, aby czytelnik miał wyobrażenie o ich charakterystycznych cechach i tendencyi, a zatém aby dążności i płody autorskie naszego pisarza dorzucały same rys po rysie do całéj jego osobistości. Te kilka ogólnych uwag, które nam jeszcze uczynić wypada, nie będą niczém innėm, jak tylko zebraniem tych rysów tu i owdzie rozrzuconych.

Przedewszystkiém musimy rozróżnić w Reju dwie strony autorskiego zawodu: jest on pisarzem protestanckim i pisarzem polskim bez względu na różność opinij.

Niewiele u nas na to zwracano uwagi, że Rej był jednym z głównych filarów piśmiennictwa protestanckiego w Polsce. Znany on jest ogółowi publiczności najwięcéj jako najpierwszy poeta w Polsce, mniéj już jako autor Żywota człowieka poczciwego. Ci zaś, co są świadomi dziejów literatury, pod względem protestantyzmu rozmaite znowu o Reju wydawali sądy. Dawniéj, szczególniéj w czasach reakcyi katolickiéj, datującéj już od Stefana Batorego, potępiano go bezwzględnie, uwłaczając nawet pamięci prywatnego życia, i jako zapamiętałego heretyka z łona prawowiernéj społeczności wyrzucano. Dzisiaj, przy wygaśnięciu namiętności religijnych, dzieje się wprost przeciwnie: dzisiaj przeważna liczba historyków literatury objawia zdania, jakoby Rej żałował błędu młodości i stał się napowrót szczerym katolikiem. Jedno i drugie twierdzenie jednak nie wyraża prawdziwego stanowiska Reja.

Poznawszy już cokolwiek bliżéj naszego autora, musimy przypuścić, że nie lekkomyślność, jak wiele głów tamtoczesnych, przeciągnęła go na stronę protestantyzmu, ale umysł głębiéj rzeczy biorący, rozsądny, a przedewszystkiém realny na każdym kroku i z tego powodu zgadzający się z duchem epoki, która reformę Lutra wywołała. Lecz ponieważ jego odstępstwo było właśnie dziełem téj osobistéj samodzielności, nie oddał on się żadnéj ze sekt ówczesnych trwale i bezwzględnie, a ostatecznie wobec kościoła katolickiego stanął nie jako dysydent tego lub owego wyznania, ale jako człowiek opozycyjnych dążności i filozof racyonalny. Ztąd w jego czynności na tém polu rozróżnić się dadzą te

---

Jakkolwiekbądź, dzieło to, gdyby nawet własnością Reja było, nic nie zawiera w sobie, czegobyśmy zkądinąd o nim nie wiedzieli. Wójt i pan narzekają na niedbałość i chciwość księdza, ksiądz znów ze swojéj strony na urzędy świeckie starosty, poborcy, sędziego i t. p., w czém mu i tamci pomagają. Kończy się zaś Dyalog satyrycznym obrazem zbytków tak mężczyzn jak kobiet.

[1]) Jedyną wiadomością o dacie jego śmierci jest podana przez Friesego (w Journal litteraire), który powiada, że podług chronodistychu:

ReIUs CessIt In astra, saLes perIere IoCIqVe
NeC taLem IngenIo LeChIa forte feret —

Rej umarł 1569 r., mając lat 64. (Jocher II, 147).

rozmaite okresy, jakie zwykle zmiana wyobrażeń religijnych w całych epokach lub narodach przechodzi.

Najpierwszą jego czynnością na tém polu było tłumaczenie Psalmów, które go jeszcze od ogółu protestantów nie odróżnia, ale pokazuje tylko podniesienie ducha, bez którego żaden przewrót jakiéjbądź natury nie jest możliwy. Rej pozostał tutaj jeszcze biernym członkiem swego społeczeństwa, podlegającym zewnętrznemu wpływowi. Czynnie już jako jeden z zapaśników s[illegible]e w Postylli, w Wizerunku, Apokałypsie i niekiedy w [illegible] Kult katolicki, pojęcie katolickie niektórych dogmatów [illegible] nim jednak poważnego przeciwnika, ufającego w siłę [illegible] logiki lub namaszczenia prawdziwego czy też urojone[illegible] dla niego przedmiotem szyderstwa i pogardy. Rej [illegible] wszystko, co według jego mniemania wzrosło przez [illegible] wiarę lub pseudofilozoficzne spekulacye całych wieków [illegible]kiem swemu destrukcyjnemu geniuszowi, nie zważając [illegible]éj namiętności, czyli na miejscu prawd obalonych zd[illegible] postawić. Jego bronią jest sarkazm i rubaszny dowc[illegible] nawet dobrowolne zaciemnienie prawdy. Rej nie wal[illegible] ole filozofii i teologii, na którém jedynie mógł godnie ze swymi przeciwnikami się rozprawić, nie rozumuje, nie dowodzi, ale oburza się, szydzi i gromi! Przypomina on w tym względzie podobne satyry średniowieczne (jak np. w Reineke Fuchs) i stoi na równi ze współczesnym sobie Rabelais'em.

Te to dzieła zjednały mu największą nienawiść u katolików, a sławę i popularność u dysydentów; dla nich to nazywali go ci ostatni „nowym Salomonem z własną mądrością." Żadne jednak nie mieściło jeszcze prawdziwego przekonania, jakie się w duszy autora wykluwało, ani jego ostatecznego słowa w rzeczach wiary.

Nastrój bowiem polemiczny i namiętny, w jakim się umysł Reja szczególniéj w przeciągu 10 lat od wydania Postylli objawiał, stracił wkrótce wiele ze swéj siły i gwałtowności. Zapatrywanie się na rzeczy nabrało więcéj chłodu pod wpływem głębszéj rozwagi i doświadczenia, które smutne tylko obrazy przed oczy mu stawiało. Środkowa i zachodnia Europa, place ustawnych bojów religijnych, mogły go łatwo przekonać, do czego dochodzi nieprzyjazne ścieranie się opinij. Polska nie doznawała wprawdzie smutnych skutków podobnych wojen, ale i w niéj dążenia nowatorskie, z których każde wywieszało za godło obdarzenie świata istotną prawdą, gmatwały się coraz więcéj w jéj rozumieniu, coraz więcéj sekt i obozów tworzyły, a do żadnego widocznego rezultatu nie dochodziły. Podobny widok mógł ostudzić w duszy Reja sympatyę do reformy, która właśnie, jak się spodziewał, miała udzielić więcéj światła i szczęścia ludzkości. Subtelności dogmatyczne, w które nigdy się nie zadawał, a które najwięcéj zgodę tamowały, odstręczały go od wszelkich sekt i ich zatargów; zwrócił więc swój umysł i serce jedynie ku gołym słowom ewangelii, nie pytając o ich rozmaite wykłady i rozmaitych tłumaczy. Wypełniaj przykazania boże, a naukę Chrystusa weź sobie za wzór życia, nie szperając w dociekaniu dogmatów i tajemnic — to jest najgłówniejsza treść przekonania, do jakiego

Rej doszedł, przez zastosowanie którego w życiu sądził, że można jedynie powszechną zgodę osięgnąć i moralności rzetelne podwaliny położyć. Dlatego też, ile razy odtąd kwestye religijne zaczepia, traktuje je, z nielicznemi wyjątkami, spokojnie i poważnie. Nie spotykamy się już z owemi wyrażeniami i obrazami pełnemi rubaszności lub sarkazmu, któremi lubiał przedtém darzyć aryanów i katolików. Widać w nim owszem jakąś wewnętrzną skruchę i wyrzut dla swoich czasów, że rzeczy tak wielkiéj wagi oddawały pod sąd namiętności i niedość wysokiego umysłu.

W tém usposobieniu napisane jest Zwierciadło. Rej odzywa się tu w tym sensie, że w Piśmie św. nie trzeba „mędrować,” że „rozumy nie w równéj klobie stoją jakoby właśnie stać miały,” że „nas mędrostki wszędy o to przyprawują, iż ani w Piśmie św., ani w sprawach Rzpltéj słusznie się obaczać nie możemy.” Nie daje nam to jednak bynajmniéj prawa do wniosków, jakoby Rej tym sposobem powracał znowu na łono kościoła katolickiego — owszem, choćbyśmy w Zwierciedle namacalnych wskazówek nie mieli, sam jego pogląd ogólny na rzeczy przekonywa nas, że stoi wobec tego kościoła na gruncie zupełnie protestanckim, a mianowicie w głównéj zasadzie reformacyi. Zmiana, którą dostrzegamy w usposobieniu Reja nie powstała bynajmniéj skutkiem skruchy i wyrzutów religijnego sumienia, ale była naturalném następstwem rewolucyi zaszłéj w jego umyśle, którego doświadcza każdy duch prawy i rozumny, ilekroć rozpuściwszy wodze myślom i pragnieniom, przychodzi do przekonania, że się posunął zadaleko i że ludzką i rozsądną jest rzeczą położyć sobie samemu granice. Tak więc pod koniec swego życia zajął Rej stanowisko więcéj neutralne i niezależne, zkąd z ubolewaniem patrzał się na „obłędności tego świata,” pragnąc gorąco, aby miłość zastąpiła miejsce dotychczasowéj waśni i doprowadziła do zgody, w któréj jedynie życie prawdziwie chrześcijańskie i sprawy Rzpltéj zakwitnąć mogły. Celom praktycznéj religii poświęcił wreszcie fanatyczne walki, w których i zwycięztwo i porażka były najczęściéj urojeniem.

Różnym przeto sposobem, z różném usposobieniem służył Rej opozycyi religijnéj, ale służył jéj do saméj śmierci. Zakres czynności, jaki mu przypadł na tém polu, jest tylko jemu właściwy. Podczas kiedy inni pisarze protestanccy rozbierali kwestye dogmatyczne, kiedy dowodzili pro albo contra na podstawach głębszéj lub płytszéj nauki, stosownie do sił swoich, biorąc na pomoc teologię i filozofię, to Rej ze swojéj strony bynajmniéj się w podobne głębie uczoności nie zapuszczał. Nie był on wynalazcą idei, ani jéj tłumaczem, ale wyłącznie propagatorem, który ją między publicznością upowszechniał; był tém, czém jest żołnierz, który uderza na nieprzyjaciela w miejscu i czasie wskazanym, nie pytając się o zamiary swego wodza. Jest-to więc stanowisko do pewnego stopnia podrzędne, niemniéj jednak ważne, gdyż najmędrsze plany bez siły i odwagi fizycznéj na niczém muszą spełznąć. Rej wykształceniem i charakterem do téj roli najwięcéj się nadawał. Nie prawiąc uczenie i głęboko, miotał na przeciwnika ostre pociski szyderstwa i dowcipu, które, jak wiadomo, ugodziwszy w cel, rzadko kiedy nie spra-

wiają rany i bólu, a które tak łatwo zniewalają sobie umysły płytsze lub swawolne. Możemy sobie wyobrazić, jaki wpływ musiał Rej wywierać na ogół szlachty, która w każdém jego słowie poznawała echo własnej natury i charakteru, która musiała kochać autora, co był kość z kości jéj bratem i tak jéj umiał do serca zawsze przemówić. Nie można jéj tego brać za złe, że oklaskiem swoim nawet słabe strony roli jego podnosiła, bo któraż epoka albo który naród może się poszczycić taką publicznością, żeby nie doznała zawrotu głowy, kiedy w powszechném zamieszaniu odezwie się głos donośniejszy i uderzy w jéj uczucia najbardziéj rozmiłowane [illegible] elką przysługę oddał Rej protestantyzmowi w tym ok[illegible] że nie potrzeba więcéj mówić; kiedy kardynał Hozyusz [illegible] zwalczyć różnowierstwo, pragnął koniecznie nawrócić [illegible] e zależało mu na zjednaniu sobie człowieka, którego pi[illegible] łos po całéj Rzpltéj. W Zwierciedle, zmieniając pogląd [illegible] sownie do tego i ton mowy, nie przybliżył się jednak do [illegible] nnymi. Jak mówiliśmy wyżéj, stanął on wtedy na uboczu [illegible] etylko od autorów religijnych, ale nawet od wszelkich w[illegible]

Więcéj daleko spos[illegible] niejsze pole do rozwinięcia zalet i do położenia zasług [illegible] pisarz narodowy. Nie jest on z liczby tych rzadkich geniuszów, których działanie przechodzi na własność powszechnej ludzkiéj cywilizacyi; należy wyłącznie tylko do swego narodu; płody jego umysłu tylko na polskim horyzoncie mogą znaléźć odpowiednie tło dla siebie. Ale w téj mierze jest on jedną z tych znakomitości literackich, które stanowiąc chwałę zygmuntowskich czasów, zapewniły sobie na zawsze zaszczytną kartę w dziejach piśmiennictwa.

Za najpierwszą zaletę liczy mu tradycya literacka to, że był pierwszym autorem piszącym w narodowym języku. Popełnia ona tym sądem grzech przeciwko prawdzie, ale zarazem dowodzi, jak popularném było imię Reja, że ono wyłącznie zrosło się z pamięcią narodu. Gdyż pominąwszy nieliczne i niewielkiéj wagi zabytki piśmiennicze polskie z epoki piastowskiéj i pierwszych Jagiellonów (o których wprawdzie wiek zygmuntowski prawie nic nie wiedział), upośledziła tych nawet pisarzy, którzy cokolwiek wcześniéj od Reja lub współcześnie z nim podobną przysługę Polsce oddali. Przed Rejem usunąć się musiał w cień i Marcin Bielski, który podjął nawet pracę wielkich rozmiarów i znaczenia [1], i Łukasz Górnicki [2] i inni pisarze protestanccy, jak Sekłucyan, Krowicki i t. d. Lecz podobna prerogatywa da się łatwo wytłumaczyć i zrozumiéć. Rej, że się tak wyrażę, umiał zaimponować współczesnym swą oryginalnością czysto narodową, popularnością dzieł, licznym ich pocztem, a wreszcie porywającą wymową. Skupiając w sobie pod religijnym i narodowym względem ducha swego czasu, musiał być również postawiony na jego czele. W rzeczy zaś saméj, je-

[1] Drukował 1555 r. Żywoty filozofów, a 1550 r. Kronikę świata.
[2] 1566 r. wyszedł jego Dworzanin

śli Rej nie jest pierwszym pisarzem polskim, jest jednym z pierwszych i więcéj zapewne niż inny przyczynił się do utorowania drogi dalszemu postępowi literatury polskiéj, usuwając ją z pod wszechwładnego panowania łaciny, które już bezmała sześć wieków trwało, a w tym czasie więcéj niż kiedykolwiek świetnéj przyszłości spodziewać się mogło. Szczególniéj jako poeta (dajemy mu tutaj w braku odpowiedniejszego to nazwisko) zasłużył się w téj mierze. Przed nim pisano wiersze albo po polsku, nie umiejąc nadać im należytego rytmu i rymu, albo więcéj i z większą chwałą po łacinie, gdzie wprawdzie wybornie skandowano, ale bynajmniéj nie ułatwiano tém samém zadania przyszłéj poezyi polskiéj.

Umiemy dzisiaj ocenić, jak wielką była śmiałość i zasługa tych ludzi, co w potężnym nawale literatury łacińskiéj i w czasie najświetniejszych jéj postępów pokusili się o zdobycie jeśli nie palmy pierwszeństwa, to przynajmniéj równouprawnienia dla ojczystéj mowy. Zaiste, tylko niewstrzymany prąd czasu, jakim reformacya unosiła umysły, mógł im dopomódz do uskutecznienia dzieła, tak, że nawet zwolennicy i przywódzcy ówczesnego klasycyzmu, jak np. Orzechowski, byli zmuszeni poddać się konieczności i rękę do téj pracy przyłożyć. Ale trudności napotykały ich nietylko w oporze przeciwników, lecz i w niedojrzałości samego języka, któremu powagę zjednać chcieli. Dotychczas niepiśmienny prawie, musiał szukać dla siebie pomocy i znalazł ją po części w naśladowaniu stylu łacińskiego, po części zaś—i to u najgorliwszych swych czcicieli—w tłumaczeniach Pisma św., gdzie po raz pierwszy mocując się z trudnościami na większą skalę, przyszedł do rozwinięcia sił. Naturalnym tego wynikiem było, że u wielu pisarzy musiał przybrać także ton i zakrój języka biblijnego. Wyraźne na to świadectwo, nie szukając gdzieindziéj, mamy w samym Reju. Styl jego, a mianowicie w dziełach prozaicznych, zdradza co chwila swoje pochodzenie. Jeżeli okresy Orzechowskiego lub Górnickiego przypominają potoczystość i pełnię okresów cyceroniańskich, z których każdy jest ukończoną dla siebie całością, to w Reju można powiedziéć, ze ich niema. Pisze on zdaniami zwykle krótszemi, uderzającemi w ucho na podobieństwo wierszów Pisma św.; każde z nich prawie zaczyna się nie od wyrazu głównego, zwracającego zaraz uwagę czytelników, ale od jakiegoś spójnika, przez co się dzieje, że całe rozdziały u Reja, całe nawet dzieła, są jakby jednym nierozerwanym łańcuchem zdań i myśli. Nabył on tego sposobu pisania z oczytania się w Piśmie św., zapewne najwięcéj w tłumaczeniach polskich; ztąd-to, pomimo że pisarze łacińscy byli mu po części dostępni, zachował wszędzie jaknajwiększą czystość języka i jest bezwątpienia jednym z tych nielicznych autorów, na którego powadze zupełnie polegać można, ilekroć nam chodzi o poprawność wyrażenia czysto-polskiego. Język ten brał on nadto z pierwszéj ręki, z ust narodu, i używał go, wyjąwszy wyżéj wskazaną manierę stylu, w sposób taki, w jaki zwykła rozmowa się toczy, co sprawiło tę niezrównaną prostotę Reja, która będąc wpływem samodzielności polskiéj, jest także dowodem mocy potrzebnéj do ogarnięcia materyału językowego. Równie silną i konsekwentną jest jego logika. Myśl Reja nie

... nadzwyczajna swoboda
bezpośrednie wylanie się duszy na papier, ta do
w. Uderza nas wprawdzie i razi częstokroć niezw
powtarzanie jednéj i téj saméj myśli różnemi wyra
e możemy jedynie na karb Reja policzyć, bo ona
m niemal pisarzom dawniejszéj literatury, choć
ą, podobnie jak Rej, wdziękiem samych wyrazów
stanowi mianowicie przenośny i obrazowy sposó
e autor posługuje się to przysłowiami, to upatrzon
zeczy lub charakterystycznemi epitetami własneg
ku. Trudno ostatecznie powiedzićć, co w nim te
czy poetyczna wyobraźnia, czy przejęcie się duche
szcie natura saméj mowy polskiéj, która dotycl
podnosi się mimowoli do dykcyi poetycznéj, a kt
usznie musiała większą jeszcze do tego posiada
ie bowiem te przyczyny mogły działać wspólnie, n
bie bynajmniéj. Takiemi przymiotami obdarzony
ia go za wzór *Prozy* polskiéj, ale i nie upośledza wo
isarzy. Sam nawet Skarga, tak słusznie dla złot
y, nie stoi wyżéj od niego; bo jeśli obudza często
ytelniku, co przecież z rodzaju jego pism wynika,
aciąganiem polszczyzny do konstrukcyi łacińskiéj,
e na tym samym stopniu wysłowienia się biblijnego
téj mierze mogła spuścizna po Reju pomnożyć

yginalność jest drugą zaletą Reja. Rzeczywiście by
nadzwyczajne na swój wiek zjawisko, które ukazani
gło rozbudzić nadzieję bardzo wiele obiecującą dla
literatura nasza była postępowała w tym stopniu i t
rozpoczął, byłaby zapewne doszła do wielkiéj or
nieszczęście Rej był ...

dów nowożytnych ukończyć się mogła. Polska, nie wchodząc wprawdzie nigdy za dawnych rzymskich czasów w zakres cywilizacyi, miała zapewne prawo oderwać się od niéj najwcześniéj, ale własne jéj siły były tak słabe, że nie mogła nietylko zrównoważyć téj ogromnéj masy wiedzy i wykształcenia, ale nawet i pomyśléć o podobnéj zuchwałości. Dwojaką oryginalność należy rozróżnić w Reju. Tę naprzód, która mu nadaje odrębną cechę w porównaniu z innymi autorami, a która jest tém samém jego osobistą. Wprawdzie w pismach religijno-polemicznych, jak w Postylli, w Apokalypsie, styka się w niejednym punkcie z ówczesnymi protestantami nietylko pod względem tendencyi, lecz nawet w sposobie wystawienia rzeczy; mimo to ogólna jego dążność i dzieła, jak Wizerunek lub Zwierciadło, jednają mu stanowisko, którego z nikim nie podziela. Niewielu pisarzy polskich, aż do najnowszych czasów, czerpało tak wiele ze siebie i umiało znaléźć w otaczającém ich życiu tak wiele materyału dla siebie. Nie idąc za żadną powagą, nie naśladując żadnego wzoru, podług swych wyobrażeń jedynie przerabiał rzeczywistość na myśli, będące żywym jéj obrazem. Ztąd Rej, będąc zawsze samym sobą, stał się także i oryginalnym narodowym pisarzem. Pojęcia różne od polskich, pożyczany sposób ich wypowiedzenia, były mu całkiem nieznane; tylko swym protestanckim duchem zwracał się ku reszcie Europy, ale nawet i w tym punkcie, jeśli mu przyjdzie wypowiedziéć zdania religijne, wspólne całemu światu podobnie wierzących, odziewa je w formy, które w nim gorące poczucie swojskości wyrobiło i które charakterowi ówczesnemu najwięcéj odpowiadały.

Tylko ten przymiot oryginalności w tak wysokim stopniu posiadając, mógł Rej zostawić w swych pismach obraz współczesnéj epoki. W tym obrazie widzimy wprawdzie tylko jeden szczególnie stan szlachty, ale w tym stanie właśnie skupiało się życie polityczne i umysłowe Rpltéj, a w wystawieniu jego nie brakuje żadnego istotnego momentu, żadnego szczegółu. Wyobrażenia religijne, życie towarzyskie, udział, jaki szlachcic polski mógł lub powinien był brać w sprawach Rzpltéj, jego przymioty i nałogi, zatrudnienia właściwe każdemu wiekowi, ówczesne zwyczaje, zbytki, obudzająca się dążność do materyalnych korzyści i wygód, wszystko to znalazło w Reju bacznego i wiernego malarza. Nie należąc do żadnego politycznego stronnictwa, nie goniąc za karyerą i względami, będąc zawsze niezależnym człowiekiem, a mając tylko dobro ogólne na celu, nie obawiał się w imieniu prawdy odsłonić ujemnych stron społeczeństwa, jak również (ponieważ nie mizantropia, nie zaciekłe upodobanie satyryka w błędach ludzkich kierowały jego piórem) umiał nawet gorycz wyrzutów osłodzić żałosném ubolewaniem, nadzieją lepszéj przyszłości i poprawy, ujmując przestępcę za serce okazaném współczuciem. Przypisuje on ówczesnym Polakom grunt charakteru szlachetny, pełen godności, pochopny do cnoty i znakomitych czynów [1]); Rzeczpospolita obudza w nim podziwienie i radość, ale „prze-

[1]) „Zbiegawszy już wszytki (narody) do swéj Polski zajdę,
Czego gdzie nie dostawa, to w Polaku znajdę.

-g...j także niektóre kwesty(
przez autora. Przytoczyliśmy już jego zdanie
kcyi. Niemniéj od nich zajmującą była wówc
grożąc ruiną wielu familiom szlacheckim i podając
terye do sporów i procesów, wiele hałasu narobiła
·zechowski (w Dyalogu około exekucyi korony
wnym egzekucyi. „I pana zawiedli (doradzcy),
się udać w jakieś exekucye, których się dawno l
wę swoję i przodków swoich, którą miewali z pod
brodziejstwa ich, na co już wiele ludzi oczy s
iż to sobie każdy, jeśli to beze krwie a bez mordu
ucia z domów swych będą wymiatować, nowe dział
albo zamiany wznawiać, domów swych, pracy swé
gać, dożywocia swoje, arendy albo inne prawa swoj
eż nieprzychylnie wyraża się o kwarcie (Przem.
eka) z tego szczególniéj powodu, że liczba wojsk
pieniądze będzie zaszczupłą, aby krajowi dać należr
szlachta zaś mimo to będzie się czuła uwolnioną od
kich.
Dokładniéj jeszcze kreśli Rej prywatne życie ówczes
o właśnie epoka, w któréj charakter szlachecki
ienia się w swych oryginalnych i jemu tylko właś
ch. Do wieku XVI prawie szlachectwo było głów
em, któremu Polska swój byt, po wielekroć podźwign
wreszcie swoję świetność zawdzięczała. Lecz kiedy
olta uczuła się, a raczéj uznała za zbytecznie silną, k
a doszła do wszechwładztwa w jéj zarządzie, nas
enie używania owoców zwycięztwa i przewagi. Szl

oddał się więcéj gospodarstwu rolnemu przynoszącemu zyski, polubił domowe wygody i stał się szlachcicem-ziemianinem [1]). Rej żył już w takiém społeczeństwie, a jako natura czysto polska i słowiańska, podobał sobie w sielskości. W Żywocie poczciwego człowieka takiego szlachcica-ziemianina najwięcéj miał na oku, i najpiękniejsze ustępy, w których jasno widać, że je z całą przyjemnością i wylaniem się pisał, są poświęcone pożyciu wiejskiemu. Ale nietylko sielankowe powaby posiadało to nowe ziemiaństwo; obojętność na sprawy publiczne lub przeniesienie własnych korzyści nad powszechne, odwyknięcie od zbroi, utrata hartu ducha i oddanie się próżniactwu, niepomiernym biesiadom i pijaństwu, zniewieściałość lubująca sobie w miękkich sukniach i pojazdach, były szkodliwemi następstwami długiego spokoju i pomyślności, których bardzo wielu na nic pożyteczniejszego obrócić nie umiało. Wyrodziło się nadto w szlachcie zbytnie przesądzenie swéj godności. Pamiętając, że oręż jéj i energia charakteru były przed wiekami twórcą Polski, czując, że na jéj barkach spoczywa gmach Rzpltéj, z pogardą spoglądała zwykle na niższe stany, lub dotkliwie czuć im swą władzę dawała. Rej, lubo tak silnemi węzłami złączony ze szlacheckością, pomimo całéj miłości, jaką pałał ku braci szlachcie, posiadał aż nadto czysty charakter i dobrą wolę, ażeby na te błędy zamknąć oczy z obojętném milczeniem. Wziąwszy do ręki Wizerunek lub Zwierciadło (lubo i w religijnych pismach na to dowodów nie brak), na każdéj prawie karcie widzimy oburzenie i żal, które jego szlachetném sercem na podobny widok miotały;— témbardziéj, że Rej cenił rzeczywiście szlachectwo i miał o niém wysokie i zaszczytne pojęcie, a za jego fundament i cechę szlachetność uczuć i godność umysłu uważał.

„A wszakoż jeśli kto będzie ozdobion stanem szlacheckim, jakoż się już to z dawna na świecie rozniosło, tedyć jeszcze nie to prawe szlachectwo, gdy cnotami nie będzie ozdobione, iż go tak zowią, albo iż sygnet z jakim herbem na palcu nosi, albo go na sznurze na szyi powiesi, albo iż się czerwonym albo zielonym woskiem pieczętuje, albo na wrociech nadobnych na tablicach herbów nawiesza albo przybija, albo iż się chlubi dziady, pradziady albo inszemi przodki swemi, toć jeszcze mało na tém.... Albowiem szlachectwo prawe jest jakaś moc dziwna, a prawe gniazdo cnoty, sławy, powagi i poczciwości."

---

[1]) Na to odstępstwo od dawnych obowiązków powstają między innymi Marcin Bielski w Śnie majowym:

„Różniejszych obyczajów są dziś synaczkowie,  
Którzy tylko macają, gdzie kupić zagony,  
Wolą drudzy coś sprawić, do Gdańska szafować,  
Zarosłe lasy kopać, stare wsi kupować,  
Upstrzyć panią w złotogłów, w axamit, w forboty,  
Niźli w pole wyjechać, leżeć pod namioty."

A Kochanowski w Satyrze:

„Kmieca to rzecz na on czas, patrzeć roli była,  
A szlachta się rycerskiem rzemiosłem bawiła;"

teraz zaś kopije na żerdzie kurom dają, a „w przyłbicach kwoczki siedzą."

Stosownie do tego wyobrażenia chciał on mieć w szlachcie ideał dobrych obywateli, którzyby się w publicznych sprawach odznaczali poświęceniem, rozumem i sprawiedliwością, w życiu zaś prywatném pracą, umiarkowaniem, miłością bliźniego i innemi towarzyskiemi cnotami. Ilekroć przyjdzie mu, jako przeciwstawienie do wad i występków, kreślic obraz poczciwosci i cnoty, czujemy, z jak wielką radością wewnętrzna zbiera na niego wszystkie jasne rysy, które mógł z charakteru społeczenstwa pochwycić. Albowiem Rej nie jest oszczercą swego narodu; jakkolwiek smiało [illegible] rza na złe, które go oburzało, to z równą także szczeros[illegible] wemu społeczeństwu wszystkie przymioty, i tak samo ni[illegible] ipułów w głoszeniu światu ich pochwały, jak za obowią[illegible] oczytywał jawną naganę zdrożnosci. To wszystko, co [illegible] epoce powiedział, jak również sama jego osobistosc i zas[illegible] ują nas, że szlachta posiadała, obok licznych stron ujem[illegible] zapewne dobrych przymiotów, którym jednak brakowało [illegible] u i energii, aby nie ustępować chwilowym namiętnosciom [illegible] ści, aby mogły uczynić z niéj ludzi dobréj woli, silnego [illegible] i bacznych na prawdziwe korzysci tak własne jak całe[illegible]

Poznalismy przeto R[illegible] n dotychczas: jako zwolennika i propagatora idei postępowych w religii czyli protestantyzmu, i jako pisarza szlachecko-narodowego. Jakie mu w tym drugim względzie nazwisko najwłasciwiéj się należy, trudno ostatecznie orzeknąc. Żadna bowiem z nazw. moralisty, dydaktyka, filozofa praktycznego, zwyczajnie mu nadawanych, nie określa Reja dokładnie, boc jest on wszystkiem tém razem, a oprócz tego jeszcze politykiem, statystą, satyrykiem, a niekiedy i kaznodzieją. Podobni pisarze w naszych czasach już się nie pojawiają; wydac ich może jedynie społeczenstwo, jakiém było ówczesne polskie, u którego główny kierunek ducha zwrócony jest ku życiu publicznemu; gdzie ustawiczne zachodzi oddziaływanie między interesem powszechnym a prywatnym; gdzie wszyscy należą do sądu wszystkich, jako solidarne bractwo z jednakowym mniéj więcéj nastrojem umysłu i charakteru; gdzie jest ciągła ruchliwosc ocierających się o siebie zdań i czynnosci. Rej nie wytknął sobie wcale pewnéj, ograniczonej sfery autorskiéj, lecz pisał stosownie do potrzeby czasu, pod wpływem wrażeń zewnętrznych, mając jedynie to na celu, aby pracami swemi przyniósł pożytek realny ojczyznie. Chciał zyć nauczac — bo to za najkorzystniejsze uważał, a obierał po temu sposób i srodki najodpowiedniejsze, najzgodniejsze z naturą swych rodaków i traktowanego przedmiotu. Dlatego to niepodobna jednem nazwiskiem pochwycic rozmaitych odcieni jego stanowiska autorskiego; róznorodnosc ich tém jedynie uwydatnićby się dała, iż był pisarzem narodowym, pojmującym istotne obowiązki kierownika i nauczyciela narodu.

Pozostaje nam wreszcie powiedziec jeszcze słowo o Reju jako poecie. Wiemy, jaką w téj mierze jest tradycya literacka. Sąd jednakże kompetentnych znawców i badaczów literatury wyrzekł stanowczo zdanie wręcz jéj przeciwne. Rej nie był poetą w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Wynika to już z dopiero co określonego przez nas jego

stanowiska. Posiada on wprawdzie jednę cząstkę poetycznego geniuszu, która jest zarazem najniższą bezwątpienia w hierarchii zalet poety, t. j. zmysłowe obrazowanie myśli, ale idealne pojmowanie rzeczy tego świata, obszerniejsza koncepcya artystyczna, zapał porywający serca i wysokie natchnienie, są zupełnie obce i niedostępne jego naturze. W czasie i okolicznościach, w jakich żył, nie mógł zostać poetą. Samorodny jego talent mógł tylko z narodu zaczerpać sił poetycznych, naród zaś znajdował się na tym stopniu cywilizacyi, gdzie jest zapóźno wydawać ludowych śpiewaków, a zawczas tworzyć poetów-artystów. Tylko ci, co pili z kastalskiego źródła literatury starożytnéj, mogli w owe czasy wznieść się do wysokości Parnasu. Ogólny nastrój ducha członków dawnéj Rzpltéj nie był bynajmniéj poetyczny, a tém mniéj artystyczny; cała nasza literatura, aż do najnowszych czasów, niemoże się poszczycić dziełami wielkiéj twórczości fantazyi. Pomimo szlachetnych uczuć, dramatycznych wydarzeń i świetnych czynów, jakie historya tworzyła lub przekazywała pamięci, przodkowie nasi, podobnie jak Rzymianie, nie znaleźli w sobie uroczego głosu poezyi dla obwieszczenia ich światu w dziele wartości prawdziwie narodowéj i poetycznéj, będąc ciągle porywani prądem coraz to daléj posuwających się wypadków i żyjąc zawsze w dotykalnéj a interesującéj obecności. Dlatego i Rej, lubo i całe nawet dzieła pisał wierszem i wiersz polski znacznie udoskonalił [1]), uważał mowę wiązaną nie za natchniony język Muz, ale za środek wrażający lepiéj w pamięć podawane nauki. Z ogółem swych ziomków podzielał on brak fantazyi, a nawet niechęć ku niéj, i uważał jéj utwory za przedmioty chwilowéj zabawy, o których po wielokroć z lekceważeniem się wyraża:

„Nie bawże się téż lada czém, bo mało tobie po Owidyuszu, po Horacyuszu, bo na cię trudny i fabułami zabawiony." (Żywot pocz. czł.).

Któryż poeta miałby serce wydać sąd podobny o poetach? W pojęciu surowém Reja te „fabuły" uwłaczały nauczycielskiéj godności autora, bo nie przynosiły czytelnikom moralnego pożytku i nie kształciły charakterów na dzielnych i szlachetnych synów koronnych. W tym celu podaje w Wizerunku przy podobnéj sposobności radę dla autorów, według któréj sam, przynajmniéj w najważniejszych swych pismach, zawsze postępował:

„A o tymby snadź wszyscy pisać i czyść mieli,
Czymby w poczciwéj sławie na wieki słynęli."

*Kraków, 1864/5 r.*

---

[1]) Rymowanie jednak u Reja bardzo często nie jest czyste. W zamknięciu Zwierzyńca (list 187) i w przedmowie do Figlików: „ku temu, co czyść będzie ty fraszki" użył formy ludowéj krakowiaka.

# JAN KOCHANOWSKI.

(Wizerunek piórem skreślony).

Lata nauki i praktyki życia dosyć długo trwały u Jana Kochanowskiego; za takowe bowiem uważać musimy, pominąwszy już dzieciństwo i pierwotne wykształcenie, czas poświęcony wędrówce po zagranicy, jako też i przepęd [illegible] wskim dworze, i te wreszcie lata, w których piastował je[illegible] godności kościelne. Długo, bardzo długo wahał się K[illegible] ze sobą postanowić; a choć bezwątpienia wrodzone ch[illegible] zawsze do tego stanu, który sobie też ostatecznie obra[illegible] być rozmaitych powodów, dużo racyj za i przeciw, któ[illegible] w zawieszeniu i z dnia na dzień stanowczą decyzyę odw[illegible]

Nareszcie natura [illegible] pki możliwych korzyści i karyery ustąpiły przed pragnie[illegible] znane tu i owdzie przeciwności, przykre doświadczenie, [illegible] głębszego poznania ludzi i interesów tego świata, prze[illegible] nię na tę pożądaną sercem stronę. Kochanowski rozstał się z dworem, złożył prebendy duchowne i wrócił do ojczystego Czarnolasu, aby tam do śmierci zagon uprawiać.

Wtedy-to zapewne, dumając nad tem co było i co jeszcze będzie, z oczyma wlepionemi w ukochane widoki rodzinnéj wioski, przywoływał sobie na pamięć ubogie lata (pieśń IV, 23):

> Wysokie góry i odziane lasy!
> Jako rad na was patrzę, a swe czasy
> Młodsze wspominam, które tu zostały,
> Kiedy na statek człowiek mało dbały.
> Gdziem potem nie był, czegom nie kosztował!
> Jażem przez morze głębokie żeglował,
> Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,
> Jażem nawiedził Sybilline lochy.
> Dziś żak spokojny, jutro przypasany
> Do miecza rycerz, dziś między dworzany,
> W pańskim pałacu, jutro zasię cichy
> Ksiądz w kapitule, tylko że nie z mnichy...

Dwie epoki życia pozostawały już poza naszym poetą w owej chwili, a obie niejeden głębszy ślad wyżłobiły w jego umyśle i niejedną bliznę zostawiły na sercu.

Piękna była młodość Kochanowskiego. Syn zamożnego szlacheckiego domu, młodzieniec utalentowany, chciwy wiedzy i nauki, z instynktowem pewnie przeczuciem w duszy, że kiedyś imię jego szeroko zabrzmi po świecie, z nadzieją więc najpiękniejszej przyszłości, a bez troski o dzisiaj i jutro, położywszy w kraju pierwszy fundament swojego wykształcenia, puszcza się w świat, aby na wsławionych akademiach nabyć tyle światła, ile go owe czasy dać mogły. Tam dostaje się pod najsławniejszych nauczycieli, obraca się w kołach najwykształceńszych społeczeństwa i żyje lat kilka na klasycznej ziemi, spotykając się co

chwila z wiekopomnemi jéj wspomnieniami, żyje pod południowém słońcem Italii i Galii, patrzy własnemi oczami na gęsto po nich rozsiane pomniki starożytnego geniuszu i sztuki.

Od wschodu czy na zachód słońce wóz swój toczy,
Nic milszego nad kraje Auzońskie nie zoczy.
(El. III, 4).

Nauka i sztuka wypełniają téż wszystkie jego swobodne chwile. We własnéj ich ojczyźnie studyuje z zapałem dawnych rzymskich mistrzów, a szczególnie poetów, i zapoznaje się z ich późniejszymi włoskimi następcami, przedewszystkiém zaś zadaje się z Petrarką, czego ślad pozostał w dwóch jego epigramatach we Foryceniach. Myśl jego przebywa ustawicznie w wyższych regionach poezyi i filozofii, a promienie ztamtąd padające ozłacają mu życie olimpijskim blaskiem. Oddycha téż pełną piersią, jak cała owoczesna humanistyczna epoka, co odrzuciwszy na stronę średniowieczną ascetykę i surowy, teologiczny pogląd na świat, przypominała swemi zasadami i zwyczajami ów błogi, młodzieńczy wiek, jaki ludzkość pod niebem starożytnéj Hellady przeżyła. „Świat jest piękny i temu, co chce, dać może dużo szczęścia; tylko umysł ludzki nie powinien ani zbyt wysoko sięgać, ani zbyt głęboko się zapuszczać i pozostać w téj sferze najbliższéj ziemi, w któréj żyły niegdyś Gracye i wszyscy tak bardzo do ludzkiéj natury zbliżeni bogowie olimpijscy“ — tak zdawał się mówić do siebie ówczesny świat, a zwłaszcza część jego najbardziéj wykształcona i cywilizowana, cały świat humanistów, i pełną téż czarą czerpał z ziemskich przyjemności i umysłowych rozkoszy.

Wśród takiego otoczenia i pod takiemi wpływami powstały pierwsze poetyczne utwory Kochanowskiego. Przebywając za granicą, żyjąc myślą z Horacym, Cyceronem i Wirgilim, a w rzeczywistości z cudzoziemcami najwięcéj, co najważniejsza zaś, trzymając się powszechnego wówczas w Europie zwyczaju, zaczął pisać naprzód po łacinie. Nie rozminiemy się także podobno z prawdą, jeśli zrobimy przypuszczenie, że uczuciem, od którego muza jego pierwsze odebrała natchnienie, była miłość. Zwyczajna to droga wszystkich poetów. Pełne karty erotycznych wynurzeń i skarg znajdował Kochanowski u swoich mistrzów, a sam także, czego wyraźne w całém swém życiu pozostawił ślady, gorące i zapalne miał serce. Wszak między jego Elegiami znaczna część miłości jest poświęcona.

Jakiego rodzaju to była miłość? widać to prawie na pierwszy rzut oka. Była to miłość Katullów i Tybullów, miłość, która niebacznych swoich czcicieli przyprawiała o śmierć, zanim doszli do męzkiego wieku. Te, które Kochanowski kochał i opiewał w swoich elegiach, były to kapłanki pafijskiéj Afrodyty, służebnice rozpasanéj i rozkosznéj miłości, jednèm słowem kurtyzanki, którym odżyłe wspomnienia dawnych zwyczajów greckich i rzymskich nadały urok i znaczenie starożytnych heter, podniosły je z pogardy, w jakiéj do niedawna były pogrążone, i oblały pewnym urokiem poetycznym. Jak owe dziewice weneckie, o których Kochanowski pisze w jednéj z Forycenij, były to

Cyrce nęcące czarodziejską postacią, Syreny nucące tkliwie, przy których

> Zapomnisz twéj ojczyzny. O! miéj na pamięci,
> Abyś z tych lubych siatek wydarł się szczęśliwie!
> Nie nie patrzaj, nie słuchaj, zamknij uszy, oczy,
> Bo cię słodycz ogarnie i rozkosz zamroczy.

W podobnych stosunkach krew i nerwy główną, a najważniejszą rolę gra złoto. Kończą się one zwyczajnie dość prędko, kiedy zabraknie podsycającego źró[illegible]

> Próżna miłość [illegible] bogi,
> Za nic pieśni c[illegible] e progi!
> [illegible] El. III, 17).

Nie lepszą od inny[illegible] a Lydya, do której Kochanowski miłością zapłonął. Mł[illegible] tyczną wyobraźnią, w najgorętszym wieku, bo w trzec[illegible] at, młody humanista, przepędzający za granicą żywot b[illegible] amych tylko męzkich towarzystwach swoich kolegów, [illegible] wego przystępu do domów prywatnych i niemyślący p[illegible] aby na obcéj ziemi szukać sobie dozgonnéj przyjaciółki, cóż dziwnego, że poszedł za prądem czasu, za przykładem swoich mistrzów starożytnych w poezyi, i na łonie pięknéj kurtyzanki szukał zaspokojenia pragnień serca. Nieszczęściem dla niego było tylko to, że do tych związków wnosił także pewną część szlachetniejszéj swojéj natury, że dla niego miłość nie była zupełną i nie mogła mieć powabu bez prawdziwej namiętności i bez uczucia. Rozkochany poeta dawał także serce i wzamian serca żądał. Tego nie mógł otrzymać; doznawał więc zawodu, czuł się oszukanym i cierpiał. Cierpiał tém więcéj, że mimo całego zaślepienia miłości, musiały mu się otworzyć niezadługo oczy. I odezwała się w jego piersi ta tak trudna napozór do pojęcia, a w rzeczywistości tak naturalna dysharmonia dwóch sprzecznych uczuć. „Odi et amo“ — musiał powtórzyć za Katullem.

> Ja nienawidzę jéj — dlaczego kocham razem?
> Jakże rozliczna myśl w moich się piersiach tai;
> Tu pała srogi gniew, tu miłość bije w strony,
> Skrwawione wnętrze me, rozwlekłe w dziewięć stai,
> Żarłoczne sępy dwa szarpają swemi szpony. .
> (El. II, 3).

Skargi i żale na kochankę mieszają się też ciągle do namiętnych wybuchów uczucia. Poeta wie dobrze, że ta miłość była dla niego nieszczęściem, że nie znalazł w ulubionej duszy równie pięknéj, jak ciało:

> Czarno mi owę chwilę jakiś wróg oznaczył,
> Kiedym cię bie, Lidyo, raz pierwszy zobaczył.
> Wtedym serce postradał, wtenczas-to, o droga!
> Długa moim boleściom wysnuła się droga.
> Biada mi, gdym się okiem do nea przyczepił,
> Żem twoje obyczaje i umysł prześlepił!
> (El. II, 6).

Rozgoryczenie stawało się coraz większe; wyrzuty i napomnienia nie trafiały pewnie do celu, spotykając się z obojętnością, albo nowym fałszem. Przyszło wreszcie do tego, że wiarołomstwo nie mogło już ulegać wątpliwości. Wtedy poeta rzucił kochance w twarz ogniste groźby i klątwy; przepowiadał sobie z jéj powodu rychłą śmierć, ale, jak romantyczny Gustaw, groził jéj także, że stawać będzie przed nią upiorem, by widokiem swoim dręczyć niewdzięczną i każdą rozkosz życia jéj zatruwać.

Ja wcześnie umrę, lecz nie ciesz się, sroga,
Bośmy za jedno i pomrzemy razem.
Gdy mię przeżyjesz, o biada ci, biada!
Będę cię dręczył z najmilszą rozkoszą;
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą.
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Będziesz złorzeczyć, żem umarł przez ciebie,
Przeklniesz swe wdzięki, twą duszę skalaną,
Zadymisz piekłom ofiarę siarczaną,
By mego ducha przebłagać w Erebie.
(El. II, 10).

Ale napróżno; sroga jéj wina musi być ukaraną i niegodna kochanka rzucona będzie:

Gdzie Danaidy, mężów morderczynie,
Bezdennéj stągwi napełnić nie mogą;
Gdzie potępieniec Ixion nie ginie,
Wplecion do koła, choć cierpi tak srogo;
Gdzie Syzyf kamień ku górze podchwyta,
Co wciąż odpada z góry pochylonéj;
Gdzie Ticiusa rozwlekłe jelita
Żarłoczne ptaki rwą swojemi szpony.
(El. II, 10).

Nigdy późniéj tak namiętne i rozpaczne dźwięki nie brzmiały na erotycznéj lirze Kochanowskiego; w elegiach czuć żar krwi młodzieńczéj i zarazem nieprzezwyciężony urok, jakim go pierwsza zapewne w życiu kochanka aż do zapomnienia się podbiła i zhołdowała.

Mógłby jednak kto mniemać, że te bolesne wykrzyki miłości, te sercowe cierpienia poety są raczéj dziełem imaginacyi, że je, w większéj przynajmniéj części, policzyćby można na karb naśladownictwa. Przypuszczenie to jest istotnie bardzo prawdopodobne, zważywszy jak często taż sama nuta powtarza się u wszystkich erotyków, zwłaszcza rzymskich. Kochają oni, podejrzywają, zazdroszczą, palą się ogniem żądzy i przeklinają swoje kochanki zupełnie tak samo, jak Kochanowski. Mimo to wszystko rzecz się miała inaczéj i cały ten romans bolesny musimy uznać za fakt historyczny. Potwierdza to sam Kochanowski w jednéj ze swych elegij (III, 7), wystosowanéj do Ossolińskiego, pisanéj zatém na trzeźwo, z tém uczuciem, z jakiém się pisze do zaufanego przyjaciela, w czasie gdy już otrząsł się ze swych więzów i wyleczył z miłosnéj gorączki. Wypowiada on właśnie wdzięczność swoję dla Ossoliń-

skiego, że mu pomógł do wydobycia się z tych dręczących go stosunków i z niedostatku, w jaki one bezwątpienia najwięcéj go wtrąciły, i że dla zupełnego wyleczenia się z téj choroby młodości, do powrotu do kraju go nakłonił. Choć nie z boleścią i z namiętnym szałem, jak w wierszach do kochanki, przedstawia on tu sam fakt w tych samych rozmiarach i barwach, na chłodno i z rezygnacyą, co tém większą obudzać musi wiarę:

> Niech sława s[illegible] święci,
> Bo kiedy na n[illegible] ło się mnóstwo,
> I miłość niepo[illegible] two,
> On mnie jeden [illegible] wybawił
> I w nieszczęśli[illegible] n nie zostawił.

Ze zbolałém pr[illegible] zczarowany w ideale, jakim dla każdego młodzienc[illegible] zaś dla poety, jest kobieta, ale także i z pewną już sław[illegible] y mu pisma, a między niemi i owa prawdopodobnie [illegible] lska: „Czego chcesz od nas, Panie, że Twe hojne da[illegible] ochanowski do ojczyzny. Tutaj znalazł wkrótce mec[illegible] dkanclerzego Padniewskiego, który zrobił go sekretar[illegible], a wkrótce, ponieważ dochody z tego urzędu wcale nie były znaczne, także proboszczem poznańskim i plebanem zwoleńskim. Dwie te ostatnie godności piastował Kochanowski bez święceń kapłańskich; była to *sinecura*, podług ówczesnych zwyczajów dawana także osobom świeckim zasłużonym, dla przysporzenia im intraty. Mimo to i ten następny dziesiątek lat, a czwarty w życiu poety, nie był dla niego wysłany różami. Życie dworskie nie przypadało mu do smaku. Nie będziemy o to obwiniali jego najwyższego pana, króla Zygmunta Augusta; ani w charakterze tego monarchy, ani w stosunkach ówczesnych nie widzimy zgoła powodu, dlaczego miałby niechętnym i nieprzyjaznym swojemu sekretarzowi się okazywać. Ale między królem a urzędnikiem dworu odstęp był bardzo daleki i od wyżyn tronu do stanowiska, jakie Kochanowski zajmował, ciągnął się długi bardzo hierarchiczny łańcuch, na którego ogniwa składali się ludzie różnych charakterów i niejednakowéj wartości. Życie dworskie ma i miało zawsze, a w owych czasach daleko więcéj jeszcze niż dzisiaj, właściwą sobie atmosferę, w któréj niekażdemu swobodnie oddychać. Kochanowski, jako człowiek wyższego umysłu, nie lubił krzywych dróg, a prostemi tak rzadko w świecie dworskim daleko zajść można. Jako poeta, wysoko pewnie nosił głowę i czuł swą godność; więc nie chciał i nie umiał uchylać czoła i bić pokłonów przed tymi, co wpływem i stanowiskiem chcieli mu imponować. Cenił także wysoce wolność osobistą, możność rozrządzania swą osobą i czasem, a wszelki przymus pod tym względem był mu nieznośny. Dodajmy do tego, że nie miał w sobie poziroméj ambicyi, że nie łaknął tytułów i godności, zwłaszcza czując, że w swym poetycznym talencie posiada tytuł do wyższego nad innych znaczenia, a pojmiemy łatwo, że trawiąc czas na dworze, żył tam tylko z dnia na dzień, nie jak u siebie, ale jak w gościnie, czekał tylko sposobności, aby w inny zawód się przerzucić.

Otwartą była dla niego droga i to niemałe obiecująca korzyści w karyerze duchownéj. Duchowieństwo byłoby z ochotą przyjęło do swojego grona człowieka takich jak on zdolności, wysoce wykształconego, władającego piórem po łacinie i po polsku jak nikt inny w Polsce. Nie brakowało téż do tego zachęty i namowy, a w perspektywie mogły się uśmiechać Kochanowskiemu bogate prelatury i w końcu która z infuł krajowych. Dostatki i zaszczyty nie byłyby go tu z pewnością ominęły. A jednak i na tę drogę nie mógł się zdecydować.

Stanęło mu na zawadzie i tutaj jego usposobienie. Do stanu duchownego nie czuł w sobie powołania; zanadto było w nim fantazyi, zanadto gorącéj krwi i chęci swobodnego używania życia. Okrywać się zaś płaszczykiem hypokryzyi, udawać to, czém nie był z natury, i oszukiwać świat, tając przed nim nawet drobne swoje ludzkie ułomności, byłby uważał za niegodne siebie, za rzecz uwłaczającą każdemu człowiekowi prawemu.

Tak przeszło znowu kilka lat Kochanowskiemu, w których stał jak na rozdrożu, nie wiedząc czego się chwycić. Życie dworskie nie było mu po myśli, karyera duchowna nie zgadzała się z usposobieniem i przekonaniem. A jednak trzeba się było trzymać klamki pańskiéj i nie rzucać kościelnych intrat, bo spuścizna po ojcu była, a przynajmniéj wydawała mu się niewystarczającą na życie bez troski, którego, jako poeta, choćby dla dobra swéj sztuki, pragnąć musiał.

Żył więc jak mógł i jak okoliczności kazały, bez zadowolenia dla siebie i bez celu widocznego na przyszłość. Obłuda, fałsz, niewdzięczność, tryumfy intrygi nad zasługą i cnotą, nikczemność ludzka, płaszcząca się przed potęgą i złotem — te wszystkie odwrotne strony medalu w życiu dworskiém, które mu się pod oczy nasuwały, napełniały go smutkiem, oburzały i wyrobiły w nim pewien pesymistyczny na świat pogląd. Pocieszał się jedynie czasem i przypominał sobie szczęśliwe chwile młodości w gronie swych kolegów i bliższych sercu braci niektórych po piórze. Zresztą dla odpędzenia frasunku, znajdując w tém chętnych a dobrych towarzyszy, on, co we Włoszech przywykł był do trzeźwości, zaglądał nieraz do dzbana i puszczał się na lekkie miłostki.

Nie pomylimy się zapewne, twierdząc, że z owego czasu pochodzić muszą wszystkie jego pieśni i fraszki, w których przebija pewna gorycz i zniechęcenie się do życia, w których poeta wysławia zalety Bachusa, lub opiewa łatwe zwycięztwa Wenery.

Takie jednak życie, choćby na chwilę sprawiało mu ulgę, takiemu człowiekowi jak Kochanowski wystarczyć nie mogło, Już sama ta okoliczność, że w niém schodziły się bezpośrednio i stawały obok siebie takie dwie ostateczności, jak zgryzota i szał, pokazuje wyraźnie, że ono nie mogło być dla niego naturalném. To téż po chwilach zapomnienia się następowała tém dokuczliwsza reakcya. W poecie, wytrzeźwionym z wina i z gorących afektów miłosnych, budziła się szlachetniejsza natura i oddawała go napowrót cięższemu jeszcze frasunkowi. Próżno wtedy starał się odpędzić go od siebie, próżno usiłował sam przed sobą

się usprawiedliwić: myśl, którą chciał na weselsze wyprowadzić tory, tém bardziej grzęzła w pesymistycznéj filozofii:

Zegar słyszę wybija,
Ustąp melankolija,
Dosyć na dniu ma statek,
Dobréj myśli ostatek.
U Boga każdy błazen,
Choć tu przymówki prażen,
A im się bardziéj sili,
Tę [illegible] nyli.
A [illegible] wiecie
U [illegible]
Dz [illegible] bliżko,
Że [illegible] ko.

Ni mniéj ni więcé [illegible] tę to samo, co tutaj nasz poeta, powiada także najtragic [illegible] cznych bohaterów, król Lear w chwili kiedy serce jego [illegible] najdotkliwszym z bólów. A podobnych wynurzeń jest [illegible] cze w Kochanowskim, że tylko przypomnimy znaną pow [illegible] kę „O żywocie ludzkim:“

Fraszki to [illegible] wiek myślimy,
Fraszki to [illegible] wiek czynimy i t. d.

Co było na to robić? Znosić dolę w nadziei lepszéj przyszłości i cierpiéć. To téż w tym środku szuka jedynie poeta lekarstwa dla siebie.

Janie, cierp jako możesz: przyjdzie ta godzina,
Że ludziom złym będzie swa zapłacona wina,
A Bóg pomści niecnoty i fałszywéj zdrady,
Którąś odniósł za swą chęć swieżemi przykłady.
Czyś ludzi nie znał?..

Czyś nie wiedział, zapytuje się daléj, że żyjąc między złymi, nie mogłeś się spodziewać, aby ci dobrze czynili?

To była zapewne jedyna jego zemsta na ludziach, którzy mu nieszlachetnością swoją zakrwawili serce, to było ostatnie może pożegnanie z temi sferami, z których się wydostać gorąco pragnął.

Wydostał się nakoniec, porzucił dwór i przeniósł się do Czarnolasu.

Niewielkie to było dziedzictwo, bo znaczny majątek ojca poszedł w podział między sześciu synów, a Janowi dostała się właściwie tylko połowa Czarnolasu, bo druga oddawna należała do jego stryja Filipa. Wspomagały go jeszcze znaczne dochody z probostwa poznańskiego i z plebanii w Zwoleniu; ale Kochanowski chciał mieć całkiem rozwiązane ręce, być panem swojéj woli, i niezadługo po złożeniu swego dworskiego urzędu, wyrzekł się także i kościelnych dochodów. Do życia ziemiańskiego, dalekiego od świata, potrzeba mu było zaludnić nieco swoję samotnię, mieć przy boku nierozłączną towarzyszkę, bez któréj „źle jest człowiekowi na świecie,“ potrzeba mu było pojąć żonę i stworzyć sobie ognisko domowe. A wymagały tego nietylko zajęcia i kłopoty gospodarskie, ale i serce poety, ciągle jeszcze świeże, młode i tęskniące do tego uzupełnienia swéj istoty.

Aby ten cel upragniony osiągnąć, nie wahał się Kochanowski większą część swego materyalnego bytu poświęcić.

Ożenił się więc z Dorotą z Przytyka Podlodowską, kiedy?... Jak wogóle w całéj jego biografii, nie mamy i o tém żadnéj dokładnéj daty; wiemy jednak tyle, że nastąpiło to w wieku dobrze dojrzałym, kiedy Kochanowski piąty już krzyżyk zaczął dźwigać na swych barkach. Znalazł żonę dobrą, gospodarną, łagodną i dbałą, jak o tém przekonywa każde słowo, ilekroć o niéj w swoich wierszach wspomina. Z wielkiém prawdopodobieństwem, choć bezwzględnéj pewności na to niema, wiersze wystosowane do Hanny odnoszą się także do jego żony, a z tych znowu widać, że uczucie Kochanowskiego dla niéj było miłością prawdziwą i silną, nie namiętną wprawdzie, jak za lat młodych, ale zato dającą mu istotne szczęście, wprowadzającą do domu spokój i zobopólny szacunek małżonków dla siebie.

Złota to strzała i krom wszego jadu była,
Którą mię niepochybna miłość ugodziła,
Bo ja w swém miłowaniu troski nie najduję,
Owszem radość na sercu niewymowną czuję—

powiada w jednéj z pieśni (II, 12), pisanych zapewne wtedy, kiedy jeszcze o rękę przyszłéj swéj żony się starał. A w drugiéj znów z tegoż samego czasu (I, 21):

Oczy dziwnéj piękności,
W których się wszystkie znajdują wdzięczności,
Dzień to błogosławiony,
Kiedy ja waszém sidłem opleciony.

Porównajmy te słowa z bolesnemi wyrzekaniami i klątwami jego wcześniejszych elegij, albo z cierpko-rubasznemi żartami wielu Fraszek, w których kreślił swoje swywolne amory, a stanie nam przed oczami cała różnica tych rozmaitych miłości i zobaczymy, że ostatnia z nich zdolną była uczynić naszego poetę szczęśliwym i zadowolonym z przedmiotu swych uczuć.

Tak, po wielu latach przykrych doświadczeń, rozczarowań, zawodów i goryczy, jaką go napawał widok przewrotnego świata, stawał wreszcie Kochanowski, jak żeglarz po licznych burzach, szczęśliwie u celu swojéj pielgrzymki. Bo podobne szczęście, jak w téj nowéj miłości, uczuwał także ze swego ziemiańskiego stanu. Nie żal mu było gwaru ni przyjemności wielkiego świata, nie żal świetnych widoków, zaszczytów i dostatków, jakiemi tam mogła łudzić go nadzieja, albo jakie mógł tam rzeczywiście choć w części pozyskać. Skromna ojcowizna wystarczała mu za wszystko, skoro do darów fortuny nigdy nie przywiązywał wagi, a do stanu swego i okoliczności zastosować się teraz umiał. Ograniczył swoje potrzeby, a przeto i powiększył dostatki; zaprzągł się do pracy na roli, jak zwykły ziemianin, nieumiejący nic więcéj, tylko orać swój zagon, a prostotę i mierność wziął sobie za stałe hasło życia i postępowania. Nie „w murowanym pałacu,“ ale w drewnianym domu „pracy swojéj,“

...ną, z jaką
...chodzącą wychwala swój stan ziemiański, przypo
...nem zadowoleniem, jako o rzeczy przykréj co ju
...ści, o tém, co mu na wielkim świecie nieraz ciąży

Łan ojczysty obsiewam, bądź mi dworze zdrowy!
Zwodne twe obietnice już mi wyszły z głowy;
Wolność u mnie nad perły, czysty strumień w polu
Milszy od libijskiego bogactwa Paktolu;
Obcych skinień nie słucham, w drzwi się nie napieram,
Ani pleców zamiękkich o ściany wycieram,
Bezobiednim godzinom nie złorzeczę z głodu,
Ni się dla kogoś w tłumie dobijam przechodu;
Do cudzéj woli mego czasu nie przyprawię,
I jak je myśl przynosi, tak godziny trawię;
Więc albo Sokratesa wartuję rozmowy,
Które uczą i serce i umysł mieć zdrowy,
Lub słucham pieni, jakie Sarmata wywodzi,
Których głos miękki łatwo z latyńskim się godzi;
Ani się wstydzę drobne jagnięta hodować —
Gorzéj u mnie u pańskiéj klamki gdzieś prostować.
(El. III, 15).

Na innėm miejscu, w wierszu „Marszałek," jak t...
...egna się znowu bez najmniejszego żalu z dochodam...
kościelnemi, wyłuszczając zarazem przyczyny, dl...
nad nie swoję ojczystą chudobę.

Potrzeba kłosy zbierać, nie chcę-li nauki
Uczyć się sobie trudniéj dla obrocznéj sztuki.
Przeto... mądrze to Bóg sprawił,
Kiedy ludzi różnemi sprawami zabawił.
Ten stworzywszy część ludzi chciwych na pieniądze,
Mnie, za co Mu dziękuję, stworzył bez téj żądze.
Ani ja dbam o pompę, ani o infuły;
Uczciwe wychowanie, to moje tytuły.
Więc kto będzie chciw na grosz i złoto miłował,
Ten będzie mojéj radzie wielce sie dziwował
...

z książek przyswoił on sobie szczególnie, jak to liczne wzmianki w jego pieśniach potwierdzają, piękną i wzniosłą naukę Platona o zaświatowych ideach, o téj doskonałości Boskiéj, któréj wszystko, co istnieje na ziemi, słabém tylko jest odbiciem. Ale i filozofia życia, któréj nauczyło go doświadczenie, toż samo mu powiadała. Jako poeta, pojmował on świat i jego stosunki przedewszystkiém uczuciem, któremu to, co tylko na materyalne korzyści jest obliczone, a moralnie człowieka nie podnosi, musi się wydawać błahém, bez znaczenia i wartości, choćby zimny rozum i zwyczajna ludzka logika inaczéj te rzeczy oceniały.

Jeden tylko był przedmiot, który Kochanowski za godny uważał, aby mu poświęcić życie — poezya i związana z nią sława.

Kochanowski był nawskróś poetą i tylko poetą. Nauka, którą posiadał w wysokim stopniu; polityka, którą się niekiedy zajmował; gospodarstwo, które jemu i rodzinie dawało chleb powszedni — wszystko to były dla niego rzeczy uboczne, a jedyną panią myśli i boginią, któréj całą swą duszę w służbę oddawał, była piękna Kaliope. Z poetów naszych dawnych niema może drugiego, któryby pod tym względem był do niego podobny, i żaden téż nie był w tak wysokim stopniu artystą, jak on. Kochanowski uważał swój zawód za wyższe, łaską Boga poświęcone powołanie i za rodzaj kapłaństwa. Miał to uczucie i przekonanie, że w jego naturze jest coś, co go od tłumów odróżnia, coś innego, coś, mówiąc poprostu, wyższego i lepszego, czém bogowie tylko swoich wybrańców obdarzają. Swój talent i swą poetyczną godność cenił wysoko i to pod dwojakim względem, bo wymagając dla niéj od ludzi uznania i robiąc dla niéj ze siebie wszelkie możliwe ofiary. Dla dobra to swojéj sztuki, dla oddania jéj się bez podziału, pragnął on zawsze i dobił się nareszcie niepodległości. Za jaką cenę doszedł do niéj, o tém już wspominaliśmy i wiemy, że nie przyszło mu to darmo. Ale Kochanowski nie czuł prawie wartości tego, co tracił; to, co zyskiwał, wynagradzało mu stokrotnie wszelkie ubytki. Odsunąwszy od siebie z namysłem i samowiedzą dary tego świata, spoglądał na nie z pewną pogardą, wiedząc, że nabył tym sposobem tém większego prawa czuć się dumnym z tego, czém był sam przez się, z daru niebios, bez pomocy tych materyalnych środków, które zwykle ludzi nad innych wynoszą. Była téż w Kochanowskim duma właściwa poetom, a tak różna od podobnegoż uczucia u ludzi wyższych w innych zawodach. Jak wielu innych poetów, jak naprzykład jeden z jego mistrzów Horacy, i on patrzył z zewnętrznem zadowoleniem na „monumentum aere perennius," który wzniósł siłą swego talentu, i oglądał się dokoła z uczuciem wyższości, że niema blizko niego nikogo, coby dzielnością pióra stanął z nim na równi, coby tak wysoko jak on wzniósł się w sfery poezyi i piękna i jak on zawładnął sercami ludzkiemi.

Wielki dyplomata, wielki wojownik, jak wogóle wszelkie inne wielkości tego świata, potrzebują dla zadowolenia swéj dumy mieć przed oczami widoczne rezultaty swojego działania i dowody swojéj potęgi; potrzebują widzieć, że tłumy gną się przed nimi w pokorze, że niejeden drży na ich skinienie, że wszyscy gotowi są na spełnienie każdego ich rozkazu. Inaczéj bywa u poetów i u tych, co jak oni

działają w świecie myśli i duchowe zwycięztwa odnoszą. Dokoła poety może być samotność i cisza; ludzie, dążąc każdy za swoim odrębnym celem, mogą się od niego odsunąć, na jego trudy i prace nie zważać, ani jego wpływu swoim oklaskiem i podziwem nie podniecać. Poeta niemniej będzie się jednak czuł wielkim i dumnym, bo dokoła niego snuć się będą eteryczne postacie, zaludniające to pustkowie, które go otacza, bo w jego piersiach krążyć będzie zdrój uczucia, napełniający go ciągle nowém życiem, choćby to, co czuje, u innych nie znajdowało oddźwięku. ... ma jeszcze przyszłość przed sobą. Wie on, że to, co ... łem: jego wzniosłe myśli, jego piękne obrazy, postacie ... rzez niego stworzone, żyć będą zawsze, i gdy jego sam ... aknie, powtarzać się będą przez długie wieki, ilekroć ja... ta weźmie do ręki książkę przez niego napisaną. To, co ... jego imaginacya, w co on raz tchnął swego ducha i uc... będzie w nieskończoności w tysiącach i milionach inny... serc. Spokojnie więc i z pewnością siebie może on ... hwilową obojętność świata i na to, że mu ten świat w mi... nie płaci; może, jak to w wierszu „Muza" uczynił Ko... wyrzutu dla ludzi, bez zgryzoty własnéj powiedzieć:

Sobie śpiewam a Muzom; bo kto jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?
Kto nie woli tymczasem zysku mieć na pieczy,
Łapając grosze zewsząd?—a podobno k'rzeczy.
Bo z rymów co za korzyść, krom próżnego dźwięku?
Ale kto ma pieniądze, ten ma wszystko w ręku
Jego władza, jego są prawa i urzędy:
On gładki, on wymowny, on ma przodek wszędy.
Niedziw tedy, że ludzie cisną się za złotem,
A poeta, słuchaczów prózen, gra za płotem,
Przeciwiając się świerszczom, które nad łąkami
Ciepłe lato witają głośnemi pieśniami.
Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty;
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy.
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony.
Przeto, jako was kiedykolwiek prosty gmin szacuje,
Panny, przy którym lotnego konia zdrój smakuje
Ja przedsię wam służę, a za czas poczytam
Sobie, że się dróg inszych, niż pospólstwo chwytam.
Wy mię w ziemię wzwodzicie, wy mię wyłączacie
Z liczby nieznacznéj i nad obłoki wsadzacie...

Cokolwiek dotąd powiedzieliśmy o tem, jak Kochanowski swój zawód pojmował, zdaje się, że w téj pięknej, poetycznéj spowiedzi znajdzie zupełne usprawiedliwienie. Jako przeciwieństwa, jasno i dosadnie oznaczone, stają tu naprzeciw siebie świat i poeta. Korzyści materyalne są po stronie innych ludzi, hołdujących temu światu; do nich należą władza, znaczenie, honory i dostatki; ale poeta ma znów wielkie korzyści moralne poezya podnosi go duchowo ponad „pospólstwo," jak to nazwał tu Kochanowski, ponad owo „profanum

vulgus," jak to nazywał niegdyś Horacy, a talent jego i zasługi zjednają mu sławę, która odda mu z lichwą to w potomności, co dzisiaj straci. Dlatego poeta, rozumiejąc dobrze, że większe korzyści są po jego stronie, chce pozostać w służbie Muz. Czuje on, że część lepszą obrał, ceniąc wyżéj nad dobra doczesne—ideał.

Ale jak każdy wyższy umysł, Kochanowski nietylko dla swojéj własnéj, lecz także dla sławy ojczyzny pracował i chciał pracować. Wiedział on, że sławą otaczającą jego imię przyozdobi naród cały. Ta myśl zapewne najwięcéj skłoniła go do tego, że dosyć wcześnie porzucił język łaciński, a w narodowym pisać począł. Przykład Ronsarda, jak ogólnie utrzymują, może na niego w tym względzie coś podziałał; ale silniejszym bodźcem było bezwątpienia to przekonanie, że dla sławy Polski pracując, skuteczniéj to uczyni, jeśli ojczysty język swoim talentem ozdobi i uszlachetni, jeżeli podniesie go do godności poetycznego języka. Zresztą Kochanowski nie pierwszym był na téj drodze i miał już przykład z innych rodaków w polskiéj mowie składających wiersze:

...już mię Rej poprzedził,
On naprzód z skłonnym Febem te skały prześledził...
I Trzecieski natchniony śpiewa hymn nadobny...
I Górnicki mojego nie ujdzie wspomnienia,
On, co wytwarza godne Orfeusza pienia...
(w Elegii do Myszkowskiego).

Wiedział nasz poeta o tém dobrze, jak bardzo talentem przewyższał tych wszystkich poprzedników, i późniéj, ofiarując temu samemu Myszkowskiemu Psałterz, przeświadczony o swojéj wyższości, o tém, że on jeden z nich doszedł do celu, pisał:

I wdarłem się na skałę pięknéj Kaliopy,
Gdzie dotychmiast nie było znaku polskiéj stopy—

ale będzie to zawsze świadectwem piękném o jego charakterze, że tych, co go w tym ciężkim zawodzie poprzedzili, nie zapomniał, że im nie odmówił swego uznania, a nas objaśnił, że to przykład rodaków, a nie cudzoziemca z nad Sekwany, na ten zwrot tak dla naszéj literatury korzystny najwięcéj wpłynął.

Kochanowski wiedział, że na sławę trzeba ciężko nieraz pracować, to też w tym ostatnim okresie swojego życia, w którym pożegnał się i wziął rozbrat ze złudzeniami i szałami młodości, w którym odsunął od siebie wszystko, co jego próżność i ambicyę drażnić mogło, w tym okresie, w którym oddał się całkiem na służbę Muz, a ducha swojego oczyścił i skupił jak nigdy przedtém, choć obarczony już obowiązkami względem rodziny i z roli wydobywający kawałek chleba dla niéj i dla siebie — pracuje usilnie piórem, tworzy coraz nowe dzieła, a dawniejszych, chroniąc je od zagłady, zajmuje się wydaniem. W sześciu ostatnich latach swojego życia drukuje on bez porównania więcéj, niż we wszystkich poprzednich. Do roku 1578 z pism jego wyszło drukiem zaledwie kilka i to głównie rzeczy okolicznościowych, bo tylko: Szachy, Zgoda, Satyr i Zuzanna z pieśnią „Czego chcesz od nas, Panie!" A mimo to Kochanowski był sławny i znany w całym

kraju. Pokazuje się, że inne wtenczas były stosunki literackie, że pismo ręczne nie ustąpiło jeszcze zupełnie niedawno wynalezionemu drukowi, że drukowano najwięcéj te rzeczy, które narazie były potrzebne i do praktycznego użytku służyły, a płody fantazyi rozchodziły się między prawdziwymi ich lubownikami najwięcéj w rękopisach i przez mecenasów poezyi, przez ludzi znających się na niéj, jako niezwykłe osobliwości były smakowane.

Około roku 1571 zaczał Kochanowski tłumaczyć Psałterz, jak to widać z jedynego w ory [illegible] ego jego listu do przyjaciela młodości, kanonika kral [illegible] tarza królewskiego, Stanisława Fogelwedera, a w roku [illegible] pierwsze wydanie tego dzieła u Łazarza w Krakowie [illegible] ażał Kochanowski za swoje *capo d'opera.*

> Zowa swego p [illegible] fiaruję,
> Cny Myszkows [illegible]

powiada, ofiarując to d [illegible] wych mecenasów i przyjaciół, któremu najwięcej był [illegible] ości i którego téż najlepszém czem mógł chciał uczci [illegible] acy mozolnéj poświęcił on temu przekładowi. Duch czasu, religijny i roznamiętniony sporami o wiarę i jéj dogmaty, ożywiał go i dodawał mu sił do tak trudnego przedsięwzięcia. Bez tego nie byłoby zapewne Kochanowskiemu starczyło na tak długi czas oddechu. Psałterz nie był dla niego martwą księgą z odległéj przeszłości, ale dziełem mającém dla całego żyjącego pokolenia stać się źródłem i podnietą wyższych uczuć. Nie jest to domysłem literatów (np. Mickiewicza w prelekcyach z literatury słowiańskiéj), że Kochanowski w przekładzie psalmów był nietylko tłumaczem, ale i samodzielnym, natchnionym poetą. W wyżéj wspomnionym liście do Fogelwedera znajdujemy kilka wierszy, tém cenniejszych, że jest-to jedyne osobiste wynurzenie się poety, rzucające choć w jednym punkcie światło na jego pracę literacką i sposób, w jaki ją wykonywał, a odnoszących się właśnie do rozpoczętego wówczas tłumaczenia Psalmów. Dziękuje naprzód Fogelwederowi za rady, których mu w téj mierze udzielał. „Co się tyczy reguły, którąś mi waszmość napisał, abych jéj strzegł in vertendo, jest bardzo dobra i pewna.“ Ale zaraz potém dodaje, jakby tłumacząc się, dlaczego za tą radą zupełnie iść nie może. „Jeno ja miewam czasem pisząc wizye, ukazują mi się dwie boginie: jedna jest *necessitas, claves trabales et cuneos manu gestans ahena* (konieczność, mająca gwoździe belkowe i kliny w spiżowéj dłoni), a druga *poetica, ne scio quid blandum spirans* (poezya niby pieszczotą tchnąca). Te dwie kiedy mię odstąpią, ani wiem, co z niemi czynię.“ Rozebrawszy te słowa ze szaty alegorycznéj, widzimy, że Kochanowski jak z jednéj strony uważał za potrzebne trzymać się w tłumaczeniu wiernie oryginału, tak z drugiéj nie mógł się oprzeć chęci, aby jego myśl rozkołysana słowami Dawida swobodnie pobujała sobie w sferze poezyi. A że téj chęci czynił zadosyć, że jéj zadowolenie prawdziwą uciechę artystyczną mu sprawiało, to pokazuje najlepiéj

zakończenie tego ustępu, tak naiwnie i jakby od niechcenia rzucone: „nie wiem co z niemi czynić.“

Dla nas dzisiaj Psałterz, z wyjątkiem że jest znakomitém studyum języka, nie ma już tego znaczenia, co niegdyś. Mniéj dzisiaj i rzadziéj nierównie niż w XVI wieku używamy książek do nabożeństwa i do głośnego śpiewania w kościele. Spółcześni jednak przyjęli go od poety z tém uczuciem, z jakiém był im przez niego ofiarowany. Żadne inne z dzieł Kochanowskiego nie doczekało się tylu wydań, co Psałterz, skóro do połowy XVII wieku dwadzieścia mniéj więcéj jego edycyj bibliografia wyliczyć może. Dowód to najlepszy, że poeta nie nadarmo przywiązywał tak wielką wagę do téj pracy, że czuł dobrze, czego ogółowi było potrzeba, a przy pomocy swego niezwykłego talentu potrzebie téj świetnie zadość uczynił.

Od wydania Psałterza coraz nowe pisma Kochanowskiego wychodzą z pod prasy drukarskiéj: Odprawa posłów greckich, Dryas polonice et latine, Epithalamium Krzysztofa Radziwiłła (w r. 1578), Aratus (1579), Pieśni trzy, De expugnatione Polottei, Lyricorum libellus, Threny (1580), ostatnie za życia Kochanowskiego jeszcze (1583), Jazda do Moskwy (1581), Epinikion, Epithalamium Zamojskiemu i Gryzeldzie (1583) i wreszcie w roku śmierci 1584: Elegiarum libri IV i Fraszki.

Razem z poprzednio podanemi czterema utworami było to wszystko, co za jego życia drukiem do wiadomości świata doszło. Jak widzimy, spora jeszcze liczba, między innemi wszystkie, z małemi wyjątkami, pieśni polskie, pozostały w rękopisie. Kochanowski zaraz po wydrukowaniu Psałterza (1578) nosił się z myślą i umawiał się już z wydawcą a przyjacielem swoim Janem Januszowskim, „jakoby rzeczy jego pisania wszystkie za żywota jego“ w téjże drukarni na świat się ukazały. Po części myśl ta została spełnioną, bo oprócz rzeczy późniéj powstałych, wiele utworów dawniejszych, jak łacińskie Elegie i Lyrica, jak Fraszki, rzeczywiście zostały w tym czasie wydrukowane. Spełnić tego zamiaru w całości nie pozwolił los Kochanowskiemu, tak że pierwsze zbiorowe wydanie (bez utworów łacińskich) wyszło dopiero po jego śmierci, staraniem żony i wspomnianego wyżéj Januszowskiego.

Bądź co bądź, w tym okresie życia widzimy u Kochanowskiego czynność literacką i wydawniczą tak wielką, jak nigdy. Dojrzałych lat swoich skrzętnie używał na to, ażeby po sobie bogatą zostawić spuściznę, a (o czém tu także nawiasowo wspomnimy) wiele najcelniejszych, najpiękniejszych jego utworów (Odprawa, Psałterz, Treny) w tym właśnie czasie powstało.

Równocześnie występuje on także na inném polu, biorąc żywy udział w ówczesnych politycznych sprawach. Zdarzało mu się czasem i dawniéj, że w kwestyach ogółu głos zabierał, szczególnie w Satyrze i Zgodzie, jako chłoszczący wady społeczne, że we „Wróżkach,“ które jednak pozostały w rękopisie i dopiero znacznie późniéj w dopełniających zbiorowe wydanie Fragmentach się ukazały, zastanawiał się nad stanem ojczyzny i na jéj dolegliwości rady dawał. Ale spo-

kojne, jednostajném korytem płynące panowanie Zygmunta Augusta nie pobudzało tak dalece ani jego umysłu, ani serca do podniesienia głosu. Dopiero gdy ze śmiercią tego króla naród stanął wobec niepewnéj przyszłości, gdy zabrakło dynastyi, gdy przyszła jedna i druga burzliwa elekcya, gdy różność interesów omało nie doprowadziła do wojny domowéj — wtedy, zapewne jak wielu innych, dotychczas na uboczu się trzymających, i poeta z Czarnolasu powiedział sobie, że jako obywatel i człowiek prawy ma obowiązek się odezwać, bo głos jego, podyktowan[illegible] sumienie i miłość ojczyzny, może dla niéj być pomoc[illegible] i grożące złe odwrócić.

Ale mniemasz podob[illegible]a „Marszałek") żeby tylko rymy
Poetowie tworzyli; ni[illegible]y
Krola musim obierać, [illegible]
I my na skargę musi[illegible]
Musim? czy radzi czy[illegible]błéj temu
I wierzysz, że to czło[illegible] swemu
Nie czym kwoli, ale [illegible]y,
Płynąć tam, gdzie go [illegible]ławany.

Szczery i otwarty [illegible]stkich swoich poezyach (niedarmo też powiedział o s[illegible]zéj nie piszę, jeno jako żyję"), tak i tutaj przyznał się poeta, że fala polityki gwałtem go wyrwała z jego wiejskiéj ciszy i z przybytku Muz, który w swym domu zbudował. Co chwila zdarzyło się coś, co go zabolało, oburzyło do żywego, lub rozgniewało. Król Henryk uciekł, więc Kochanowski pisze łacińską odę „Na zjazd stężycki," zachęcając rodaków do zapomnienia o niewdzięcznym i do wybrania nowego króla; Deporte, jeden z dworzan zbiegłego króla, wyśmiewa Polskę w złośliwym wierszu, więc odpowiada temu „Francuzowi krakającemu" ostro i surowo, tonem, na jaki zasłużył; to znów, gdy Tatarzy pustoszą Podole i tysiące niewolnika w jasyr biorą, z oburzeniem wyrzuca tę hańbę ziomkom:

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku!

Historya przekazała nam nadto wiadomość o jednem, jedynem, zdaje się, w ciągu życia osobistem wystąpieniu Kochanowskiego na publicznéj arenie. Było to na sejmie elekcyjnym w Warszawie, burzliwym i niezgodnym, gdzie miano obrać króla po Walezym. Kochanowski przemawiał także na tym sejmie, a piszący o tem Orzelski taką z tego powodu robi uwagę: „Ta mowa Kochanowskiego, człeka nieglupiego, zdawała się nieodpowiednia jego wziętości; jednak przez uszanowanie dla poety wysłuchano jéj powolnem uchem."

Może ktoś zdziwiłby się, usłyszawszy tak niekorzystne zdanie o księciu naszych poetów; my jednak wcale się temu nie dziwimy. Kochanowski politykiem nie był, dlatego że był poetą. Jako poeta, patrzył on na sprawy polityczne z tego bezwzględnego stanowiska, które się nie liczy z przypadkowemi okolicznościami i do potrzeb chwilowych zdania swojego nakłonić nie umie. Horyzont jego widzenia był zarozległy, dlatego to, co było najbliższe, a zatém najpraktyczniejsze

wzrokowi jego ujść mogło. Jako umysł wyższy, nie miał także namiętności politycznych, a jako charakter z gruntu prawy i uczciwy, żadnego interesu osobistego. To było przyczyną, że nie mógł mieć jasno wytkniętego przed sobą celu, co jest najpierwszym warunkiem dla każdego polityka. Ci, którzy robią historyę i politykę, przez to właśnie bywają silni, że namiętność lub interes przywiązują ich do pewnéj myśli, poza którą nic nie widzą, lub nie chcą widzieć, i na któréj urzeczywistnienie wszystkich swoich sił i środków używają.

Jam kapłan Muzy i nic mnie nie troska,
Czy cesarz zajmie stolice książęce,
Czyli Opatrzność niezmrużona Boska
Da nasze berło w Batorowe ręce.

Oto odpowiedź poety (w odzie Na zjazd warszawski), dana jak gdyby z wiedzą o tém, że potomność czytać kiedyś będzie, co historyk o jego polityczném wystąpieniu napisał. Dla Kochanowskiego obojętną mogło być rzeczą, kto królem zostanie, bo on nie liczył na zyski i nagrody, jakich się od zwycięzkiego pretendenta spodziewać było można; jemu chodziło o to, ażeby burzliwe bezkrólewie, będące dla innych ową mętną wodą, w któréj najłatwiéj ryby łowić, jaknajprędzéj się skończyło i żeby ten, co królem zostanie, „zagoił nasze stare blizny, ojczyźnie powrócił zgodę i sarmackie ludy przyzwyczaił, by starą karność miały przed oczyma, ażeby uderzył potężnie na zbytki i wyniszczył przekupstwa bezecnego narów“ (z ody Na zjazd warszawski).

Do żadnego stronnictwa politycznego Kochanowski nie należał. Jego polityka tkwiła w sumieniu i zdrowym zmyśle obywatela swój kraj kochającego. Chciał zgody i jedności w narodzie i rządu silnego w rękach króla, aby przytrzéć rogów zaczynającym wichrzyć oligarchom i okiełznać pokazującą się między szlachtą swywolę. Był to więc program polityczny bardzo prosty, ale dowodzący umysłu statecznego i niezepsutego złudzeniami o wygórowanéj, złotéj wolności szlacheckiego stanu. Nowatorstwa żadnego Kochanowski się nie chwytał; to, co było zgodne „cum moribus antiquis,“ zdawało mu się najzbawienniejsze; wszędzie téż i zawsze zachwalał prostotę, uczciwość i rycerskiego ducha dawnych czasów. Chociaż był poetą, zatém człowiekiem rządzącym się często fantazyą, nie dał się porywać nowym prądom i nowe idee nie zaślepiały go, ani oszołomiały, chociaż niejedna z nich pięknie wyglądała na oko. Kochanowski patrzył trzeźwo na te nowe zjawiska, a od zabłąkania się na drogę idealistycznych pojęć i pomysłów bronił go jego prawy, prostoduszny charakter.

W rzeczach wiary tak samo się zachowywał. Był on pod tym względem więcéj konserwatystą, niżeli zwykle przypuszczają ci, co go sądzą według słów „Satyra:“

Bracie! nie chcę się z tobą w rzecz wdawać o wierze,
Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w téj mierze;
Lecz jeśli ty inaczéj o sobie rozumiesz,
Jedź do Trydentu, a tam ukażesz, co umiesz.

Słowa te zwykle bywają tłumaczone w ten sposób, że Kochanowski w sprawach religii był obojętnym, że trzymał się pośredniéj drogi i ani za katolicyzmem, ani za protestantyzmem się nie oświadczał. Prawda, że nie był bigotem, ale z tego jak dobro narodu pojmował, wynikało u niego przekonanie, że Polska dawnéj wiary powinna się trzymać. Wyrazniej, nizeli w poetycznéj mowie, powiedział on, co o tém myśli, we „Wróżkach,“ politycznéj broszurze, pisanéj w tym samym czasie, albo mało co pózniej niż Satyr, ale zawsze za panowania Zygmunta Augusta, w tej epoce ży[illegible]wiek nie osłabił w nim jeszcze porywów, z jakiemi m[illegible]ę gorąco wszelkiéj nowości. „Roztargnęlismy się n[illegible]mite wiary“ — powiada we „Wróżkach“ — co złe j[illegible]zdawna od wszystkich przyjętą wzrusza... fundame[illegible]litéj wzrusza... zaczém pewny upadek idzie.“ Wyraź[illegible]powiedziane, że Kochanowski stał po stronie katolicyz[illegible]e z jakichs teologicznych powodów, nie dlatego, żeb[illegible]wiary prawdziwsze i zbawienniejsze dla duszy ludzk[illegible]wały, ale z uwagi, że to była religia od wieków zak[illegible]naruszenie i wprowadzenie nowéj pociągało za sobą za[illegible], rozdwojenie opinij, niezgodę i rozterki, zgubne dla c[illegible]ństwa kraju. Politycznemi, a raczéj patryotycznemi motywami kierował się w tém Kochanowski, potępiając dysydentyzm nie jako zapalony zelota katolicyzmu, ale jako Polak i obywatel, który i na tem polu pragnął jednosci narodu.

Batory został obrany królem (1575); polityczne pragnienia i ideały Kochanowskiego się spełniły. Nowy król wystąpił odrazu z energią i siłą, które przywracały Polsce nawewnątrz dawną „karność,“ a nazewnątrz jednały jéj poszanowanie, bezpieczeństwo i sławę. Poeta, który przedtém karcił satyrą grzechy i błędy publiczne, który nieraz wybuchał lirycznym żalem z powodu klęsk krajowych i psującego się porządku w Rzeczypospolitéj, mógł teraz nastroić lirę na inny ton i w pochwalną pieśń, albo w zwycięzki pean uderzyć.

Uczynił też to Kochanowski témbardziej, że znalazł do tego podniete w osobie najpierwszego dostojnika korony, męża posiadającego przyjaźń i zaufanie królewskie. Zawsze, odkąd tylko znamy go jako pisarza i poetę, miał on bliższe stosunki z najcelniejszemi w kraju osobistosciami. Do rzędu jego znajomych i przyjaciół należeli ludzie noszący najswietniejsze w Polsce imiona. Nazwiska Firlejów, Ossolinskich, Tarnowskich, Myszkowskich, Mieleckich i t. p. co chwila spotykają się w jego piesniach i elegiach. Przed nimi to, jako przed zaufanymi przyjaciółmi, wynurza się Kochanowski ze swoich osobistych uczuć, przed nimi zwierza się ze swoich poetycznych marzeń, rozkoszując się z nimi wspólnie pięknosciami poezyi, albo nakoniec z nimi wymienia mysli o sprawach publicznych i stanie Rzeczypospolitej. W czasie gdy Batory został królem, do liczby tych wysoko położonych mecenasów i przyjaciół poety przybywa Jan Zamojski. W jaki sposób przyszło do zbliżenia się tych dwóch ludzi do siebie, nie mamy w ubogiej biografii Kochanowskiego żadnej wskazówki. Domyslać się tylko można, że Zamojski pierwszy o za-

wiązaniu stosunków z poetą pomyślał. Człowiek wysoko wykształcony, wiedzący o tém, jaką potęgą jest słowo, zwłaszcza w społeczeństwach wolnych, nic dziwnego, że mógł zapragnąć, aby tak znakomite pióro i pisarza mającego sławę w kraju związać bliżéj ze środkowym punktem ówczesnéj polityki, to jest z królem i ze sobą, i talent jego zużytkować na korzyść programu politycznego. Kochanowski mógł bardzo wiele przyczynić się do spopularyzowania tych idej, do rozszerzenia między ogółem sławy króla, do uświetnienia jego znakomitych czynów, a także i do podniesienia uroku kanclerza. Od tego też czasu widzimy go w ciągłych stosunkach z Zamojskim, co chwila zajętego tém, aby świeży listek wawrzynu złożyć na skroni Batorego i okazać swój wysoki szacunek wspólnikowi prac jego.

Tym stosunkom zawdzięczamy naprzód jedno z najcelniejszych dzieł Kochanowskiego, tragedyę „Odprawa posłów greckich.“ Pan podkanclerzy wyprawiał „fest“ w Ujazdowie pod Warszawą na swoje zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną, zapraszał do siebie w gości króla i królowę, pragnął więc utworem pierwszego polskiego poety, jako człowiek dobrego smaku, dodać większego blasku tym godom. „Odprawa“ była 12 stycznia 1578 „podana na teatrum, przed królem j. m. i królową j. m.“ i godnie odpowiedziała zarówno nadziejom Zamojskiego, jak dostojności wysokich spektatorów. Kochanowski, pierwszy i ostatni raz występujący w niéj jako poeta dramatyczny, okazał się pojętnym uczniem starych greckich mistrzów. Prostota i siła wysłowienia, właściwe klasykom, zalecają szczególnie to dzieło i pokazują, do jakiego stopnia polski poeta zdołał się przejąć duchem starożytności. Pod względem jednak kompozycyi i przeprowadzenia charakterów „Odprawa“ należéć będzie podobno do utworów, które w pierwocinach sztuki się pojawiają. Dlatego zbyt śmiałém zdaje się być zdanie Mickiewicza, który „Odprawę“ do Ifigenii Goethego porównał. Tragedya Goethego jest skończoném dziełem sztuki; czy jednak byłaby niém, gdyby Goethe, jak Kochanowski, dwa wieki wcześniéj ją pisał? wątpić się godzi. Goethego poprzedziło dużo prób i wielkich nawet usiłowań na tém polu, do których przedewszystkiém należy klasyczna francuzka tragedya, i bez pracy tych poprzedników nie byłby on pewnie doszedł do takiéj doskonałości. Kochanowski zaś był jednym z pierwszych, którzy w Europie wskrzesić usiłowali zamarłe formy dramatu starożytnego; jeżeli więc nie osięgnął podobnego rezultatu jak Goethe, przyczyna tego leży nie w słabym jego talencie, ale w wielkiéj różnicy czasu.

W kilka miesięcy późniéj (w maju 1578 roku) Zamojski wydaje w Zamchu łowy dla króla. I tu znów Muza Kochanowskiego się odzywa. Tym razem jest to pieśń łacińska „Pan Zamchanus,“ na cześć króla ułożona i przed nim odśpiewana. Równocześnie pisze Kochanowski po polsku pieśń podobnéj treści: „Dryas Zamechska,“ w któréj wymowniéj jeszcze, głosem z serca płynącym, wita przez usta leśnéj bogini bohaterskiego monarchę:

Mnie jednéj, twoję dzielność i twe słysząc sprawy,
Serce mię mylnie tuszy, że cię z Bolesławy
Równo Polska kłaść będzie...

a daléj, spodziewając się po Batorym i wewnętrznéj naprawy, powiada znowu:

Łacno swą wolą, łacno objeździć królowi;
Pilecki, będąc panem temu tu Zamchowi,
I na niedźwiedziech jeździł. Prawo kolca twarde;
Komu je na nos włożą, powiodą i harde.

Rada, któréj dwa [illegible] to powtarzać Batoremu, i którą podając, poeta jak gd[illegible] o jego serca był wydobył...

Bolesławowskie c[illegible] nezadługo wistocie. W świetnych wyprawach Bato[illegible] wtórzyły się w ciągu lat czterech dawno niebywałe [illegible] amfy. Kochanowski śledził je pilném okiem, gorąc[illegible] nowego nabierał z nich natchnienia. Pieśnią łaci[illegible] ił zdobycie Połocka (1579), a kiedy Batory pokojem [illegible] win był pośrednikiem, ukończył swoje krwawe tru[illegible] wspaniałym, z klasyczną powagą napisanym epinik[illegible]

Czołem ci! czo[illegible] awiony!
Równego tobie nie znajdzie nikogo,
O mieczu Marsów, o synu Bellony!
Wrogów ojczystych niedaremna trwogo!

Zręczny Zamojski hołdy składane królowi umiał połączyć z chwałą swego domu; epinikion śpiewany bowiem był przy dźwięku liry przez królewskiego muzyka Krzysztofa Kłabonusa, w czasie drugiego wesela kanclerza z synowicą Stefana, Gryzeldą, i część téj uroczystości stanowił. Osobno prócz tego napisał Kochanowski dla nowożeńców piękne epithalamium, które również w podobny sposób przy tym akcie zostało wygłoszone.

Za te poetyckie przysługi należała się bezwątpienia Kochanowskiemu jakaś nagroda. Ale jak go i czém nagrodzić? była to rzecz trudna dla króla i Zamojskiego, którzy nieraz o tém myśleli. Poeta był dumny, a nie miał ambicyi i próżności; o tytuły i dostojeństwa nie dbał, a materyalnéj nagrody pewnieby nie przyjął. Zdaje się, że prawdziwém jest owo podanie o kasztelanii połanieckiéj, któréj przyjęcia Kochanowski miał odmówić. Jedynym więc dowodem łaski króla, a pamięci Zamojskiego, który bardzo sprawiedliwie sądził, że zasługi literackie równie z innemi powinny być oceniane i odznaczane, było to, że Batory jeszcze w końcu 1579 r. dał Kochanowskiemu przywilej, mocą którego nikomu innemu Psałterza jego tłumaczenia nie wolno było przedrukowywać i że w tym samym czasie mianował go wojskim sandomierskim. Wystylizowanie dyplomu na ten skromny urząd pokazuje, w jakim kłopocie byli król i Zamojski, aby coś takiego znaleźć, coby poeta mógł i chciał przyjąć. Wybrali nareszcie ten urząd, ponieważ „według zdania naszego najlepiéj przypada do jego usposobienia i do trybu życia.“ Że spokojnem tem zajęciem, nieodrywającém Ko-

chanowskiego od domu i od pióra, jak widać ze słów dyplomu, połączone też były pewne, bezwątpienia skromne dochody.

Wszystko więc na to się składało, ażeby wiek dojrzały poety uczynić szczęśliwym, o ile to jest na świecie możebne. Otaczała go kochająca i kochana rodzina, był w domu dostatek, chociaż bez zbytku, było imię nieskazitelne, z szacunkiem i podziwem po całéj Polsce wymawiane, było zapewnienie sławy pośmiertnéj. A gdy poeta poza dom okiem rzucił, widział ojczyznę do dawnéj chwały i znaczenia przywróconą, widział silną rękę króla, utrzymującą ład i porządek wewnątrz. Ztamtąd od tronu i od najbliższych niego dochodziły go także słowa uznania i szczeréj, przyjacielskiéj łaskawości. Zewsząd jedném słowem na życie jego, chylące się ku zachodowi, padały jasne i pogodne promienie.

A jednak:

„ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.....“

Tym ciosem, który mu zachmurzył niespodzianie resztę życia, była śmierć jednéj z pięciu jego córek. Któż nie zna imienia i żałosnéj historyi Urszulki, któż nie zna Trenów? Wielka musiała być miłość poety do téj zaledwie nad ziemię wzrosłéj istoty, jeżeli mogła jego piersią, zahartowaną już w walce życia, wstrząsnąć dotyla, że się z niéj tak silne, tak żałosne i tak długie wydobyły jęki. Ta głęboka boleść ojcowska tém świętszą powinna być dla nas, że jéj to właśnie zawdzięczamy arcydzieło między dziełami Kochanowskiego. Nigdy on nic równie pięknego nie napisał jak Treny, bo w niczém nie wylał tak aż do ostatniéj kropli tego, co w jego duszy było prawdziwie ludzkiém. Poeta może być znakomitym jako mistrz formy, jako biegły i wprawny kompozytor, jako bystry znawca ludzi i charakteru swéj epoki, jako mądry doradca w sprawach publicznych; ale największym jest wtenczas, i to się w nim najwięcéj ceni, jeżeli z głębi serca wydobył choć cząstkę tego, co w naturze ludzkiéj jest wieczne i nieprzemijające. Nie znamy w całéj literaturze powszechnéj drugiéj skargi ojcowskiéj nad śmiercią dziecka, tak rzewnéj i prawdziwéj, jak Treny. Z tego tytułu należałoby im się miejsce między arcydziełami nietylko naszéj, ale całéj europejskiéj literatury. I kiedyś Kochanowski pewnie się tego doczeka.

Boleść ta nie wytrąciła mu jednak pióra z ręki, choć blizna po niéj pozostała pewnie do końca życia. Już bowiem po śmierci Urszulki pisał Kochanowski ostatnie wiersze pochwalne dla króla i Zamojskiego, a w roku 1584, tuż przed zgonem, wydał elegie i po nich Fraszki, które też są ostatniém dziełem wydaném za jego życia, jakgdyby, przeczuwając, że niedługo już będzie gościł na ziemi, chciał ją pogodnym uśmiechem pożegnać.

Fraszki były jedném z najukochańszych dzieci jego ducha:

Fraszki nieprzepłacone, wdzięczne fraszki moje!
W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje...

odzywa się do nich poeta, nie tając się ze swą szczególną dla tych utworów słabością. Dla niektórych ludzi były we Fraszkach pewne słabe, a zwłaszcza drażliwe strony, których usunięcie byliby chętnie widzieli. Kochanowski atoli i tym słabym stronom pobłażał; wszystko we Fraszkach było dla niego drogie i przyjemne, bo i żart gruby i błaha anegdota przywodziły mu na pamięć jakieś wspomnienie z życia, jakąś chwilę, która była, a powrócić nigdy już nie miała, jakiś wesoły i szczęśliwy nastrój umysłu, skłonnego więcéj zwykle do powagi i smutnych dumań. Osobistych zwi [illegible] mnic" człowieka, z których pisarze nie chcą lub nie [illegible] powiadać się przed światem, jak sam to przyznaje, w [illegible] dziéj włożył poeta w swoje Fraszki. Nam dzisiaj tr [illegible] całości ich znaczenie, jak to i sam Kochanowski prz [illegible] ytniéj domyslności pod tym względem potomność pi [illegible] dź co bądź, bez Fraszek, bez zachowania w nich tego, [illegible] sza ich," nie znalibyśmy prawdziwéj fizyognomii poe [illegible] ego poważnego, często smętnego, albo oblanego bla [illegible] tchnienia, przybywa jeszcze przez to jeden rys, który [illegible] jaśnia i czyni więcéj zbliżonem do fizyognomii zwyc [illegible] ków. W innych utworach Kochanowski pokazuje s. [illegible] tą, myślicielem, gorącym patryotą, gorliwym zwolennikiem starożytnych mistrzów, namiętnym kochankiem wreszcie, ale nigdzie tak, jak w humorze i „dobréj myśli" Fraszek, nie widać typowego szlachcica polskiego z połowy wieku XVI. W nich-to odsłoniła się niejako strona prywatna życia poety, rzucająca zarazem światło na zwyczaje i obyczaje całego ówczesnego ogółu.

Niezłamany na duchu, choć nienajlepszego zdrowia, zdolny niejedno jeszcze piękne dzieło przysporzyć literaturze, umarł Kochanowski niespodziewanie w Lublinie 22 sierpnia 1584 roku, właśnie gdy miał stawać przed królem, bawiącym tamże na konwokacyi, i żądać od niego sprawiedliwości za zabójstwo spełnione w Turcyi na krewnym jego żony, Jakubie Podlodowskim.

Pierwszy Joachim Bielski zapisał to wydarzenie na karcie historyi następującemi słowy: „Na tejże konwokacyi w Lublinie umarł Jan Kochanowski herbu Korwin, poeta taki polski, jaki w Polsce jeszcze nie był, ani się takiego drugiego spodziewać możem;" pierwszy zaś wydawca jego dzieł, Januszowski, przedmowę swoję rozpoczął równie znaczącem słowem: „Jan Kochanowski on wielki..."

Potomność w zupełności potwierdziła te sądy spółczesnych. Kochanowski, jak był dla nich, tak pozostał po trzech wiekach i dla nas wielkim. Byli po nim prawdziwie nawet więksi poeci, ale i przy nich jego gwiazda nie zbladła. Zaszczytne miejsce, które niegdyś zajął na polskim Parnasie, zajmuje on dotąd i zajmować będzie, dopóki stanie ostatniego dźwięku téj mowy, któréj ojcem słusznie nazywać się może.

*Kraków 1884.*

# WIEK XVII.

## NOTATY O LITERATURZE I OŚWIACIE XVII WIEKU.

Żaden okres w dziejach nie stoi samoistnie sam przez się; wypadki każdego czasu są konieczném następstwem tych wypadków, które je poprzedziły. Tak i piśmiennictwo wieku XVII jest tylko dalszym ciągiem najświetniejszéj epoki, jaką w literaturze do naszego stulecia napotykamy. Ogólny charakter epoki makaroniczną nazwanéj jest ten sam co okresu złotego, a mianowicie stanowi go naśladownictwo klasyczności, używanie języka łacińskiego w piśmie, posługiwanie się w poezyi obrazami z mitologii i t. p. i jeżeli nie zapuścimy się w rzecz głębiéj, to jedynie większa i mniejsza doskonałość będzie pomiędzy niemi różnicą i odszczególnieniem.

Literatura zygmuntowska zawdzięcza swą świetność rozbudzonym siłom duchowym narodu. Siły te rozbudzone były najprzód przez poznanie i głębokie przejęcie się literaturą starożytną, która wtedy, jak obfity promień światła do ciemnego miejsca wpadający, rozjaśniła nagle umysły. Wiadomo, jak dokładne były u nas studya nad tą literaturą, jak umiano wziąć z niéj to, co się najwięcéj z duchem narodu i ówczesnym jego stanem zgadzało, a co zarazem jednę z najpiękniejszych stron klasycyzmu stanowiło, t. j. ducha obywatelskiego i majestatyczną prawie powagę, która pisarzy czyniła kierownikami społeczeństwa pod względem politycznym i obyczajowym; wiadomo również, do jakiego stopnia doskonałości doszła u nas znajomość prawdziwie klasycznego języka łacińskiego.

Następnie siły te rozbudzone były przez walki, jakie wówczas na polu politycznem i religijnem się toczyły. Szlachta walczyła z monarchią o przewagę, a choć bój ten miał fatalne za sobą pociągnąć następstwa, jakiś czas panowała równowaga, która trzymając obie strony w naprężeniu, była źródłem czynnego i pełnego ruchu życia politycznego. Dlatego wówczas kwitło ono w całéj okazałości. Z jednéj strony widzieć było można monarchię reprezentowaną przez zacny, szlachetny i dobroczynny ród Jagiellonów z całym blaskiem majestatu, a zarazem wszystkiemi błogosławieństwy, jakie charakter tych królów zlewał na poddanych — z drugiéj zaś strony naród pełen hartu i woli, oświecony

i czujący swe siły, który pragnie zrzucić z siebie wszelkie nawet pozory jedynowładztwa.

Walka religijna równocześnie prowadzona, bez krwi rozlewu jak gdzieindziéj, z mniejszą namiętnością, przeniosła się do izb sejmowych i na pole literackie. Tutaj wywoływała ona rozmaite dyskusye, zdania, projekty i systemata, których byt chociaż mógł być nietrwały, budził jednak chwilowe zajęcie, dawał umysłom do myślenia i oświecał je. Tolerancya, jaką wogóle [illegible] sprawiła ten sam błogi skutek, jak równowaga sił w w[illegible]narchizmem a szlachtą.

Stan ten, który ki[illegible]kicować staraliśmy się, nie trwał długo. Ale była to chw[illegible] ważna, stanowiąca o dalszych losach Rzpltéj, według [illegible] na jednę lub na drugą stronę się przechylą.

Literatura, pod wp[illegible]ych okoliczności wyrosła, przedstawia także widok peł[illegible] powagi. Zewnętrzna jéj forma, czy to język łaciński cz[illegible]łachetna i czysta; treść jéj obejmuje rzeczy wielkiej w[illegible] ustaw, dziejów albo obyczajów narodowych, kwestye [illegible], obchodzące najbliżéj i najmocniéj umysł i serce czło[illegible]o wielkie, wzniosłe i poważne. Jest-to niby widok imponujący wielkiego gmachu, poświęconego na jakiś cel wyższy.

Z ustaniem tych przyczyn musiała się zmienić postać rzeczy w literaturze. Powaga jagiellońskiéj królewskości upadła. Gminowładztwo szlacheckie odniosło pozornie górę, w rzeczywistości zaś z pod władzy królewskiéj dostało się pod opiekę i zwierzchnictwo oligarchii. Walka, którą wiódł naród z monarchią, nie ustała przecież, mimo odniesionego przez stan rycerski zwycięztwa, bo wielu z panujących pragnęło odzyskać utraconą powagę i władzę, do czego mocno przykład zagranicznych monarchij ich zachęcał. Ale ta walka straciła swoję dawną godność i szlachetność, z parlamentarnego sporu o formę rządu przerodziła się w wojnę dwu stronnictw kierujących się własnym interesem.

Rozdział ten odbił się także na literaturze; jéj płody zaczęły odtąd nosić godła przeciwnych sobie obozów. Widać to zarówno na poezyi jak i na prozie. W dziejopisarzach téj epoki postrzegać się daje zawsze pewna tendencya czasowa lub stanowa; jedni są stronnikami królewskości, drudzy szlachetczyzny, i częstokroć poboczne, całkiem egoistyczne względy kierują ich piórem, nierzadko także uprzedzenie i ślepota z braku wykształcenia odpowiedniego dla historyka.

W poprzednim okresie brali za pióro dziejopisarskie ludzie wysoko wykształceni, częstokroć obznajomieni z własnéj praktyki z sprawami państwa, piastujący godności biskupie i kanclerskie. Teraz puszcza się na to pole niejeden prosty szlachcic, który poczuł w sobie żyłkę autorską, i kreśli wypadki owych czasów z własnego, często bardzo ograniczonego zapatrując się na nie stanowiska. Posiadamy z téj epoki bardzo wiele pamiętników, które są nieraz cennym materyałem historycznym i nadają właściwy koloryt temu, co historya tylko w konturach narysowała, ale przy używaniu których postępować trzeba z całą ostrożnością i znajomością bliższych stosunków autora. Dosyć przypo-

mnieć, z jaką nienawiścią skreślił Jerlicz obrazy Jana Kazimierza („Kazi—pokój") i Maryi Ludwiki (Pani Karolica, która „plugawie umarła").

Stosunek szlachty do magnatów przyczynił się zapewne najwięcéj do zalania w téj epoce literatury powodzią panegiryków i szumnych dedykacyj, które, jak Kołłątaj powiada, miały po kilkanaście kartek, podczas gdy dzieło samo ledwie kilka ich liczyło. Należy przyznać, że znakomitsi pisarze niewiele dopuszczali się tego grzechu; panegirzyści tworzyli osobny rodzaj autorów-rzemieślników, a liczba ich była bardzo znaczną. Szczególnie gorliwemi w téj mierze okazały się zgromadzenia zakonne, mianowicie dwa wrogie sobie Pijarów i Jezuitów, przesadzając się nawzajem w zaskarbieniu sobie łaski dobrodziejów.

Oddając się w tę służbę stronnictw lub pochlebstwa, musiała literatura tracić nietylko pod względem moralnym, ale nawet pod czystoliterackim. Kiedy jednolitość i godność celów w okresie zygmuntowskim nadają jéj wartość niespożytą, bo ma w sobie coś z idealnéj podniosłości, która zawsze serce ludzkie ku sobie pociąga, o tyle w wieku XVII, posługując nieraz interesom stronnictw i czasowym korzyściom, pozbawiła się tego znaczenia i powabu.

---

Następne względy, pod któremi chcemy uważać różnicę téj epoki od poprzedniéj, a mianowicie wpływ literatury klasycznéj i wyobrażeń religijnych, zmuszają nas do rzucenia okiem na stan ówczesnego wykształcenia i wychowania. Ponieważ zaś zakon jezuicki na to niezaprzeczony wpływ wywierał, musimy zaczepić o jego historyę w Polsce.

Biskup Hozyusz, za bytnością swą na soborze trydenckim, słyszał tam bawiącego Laineza, jednego z dziewięciu założycieli zakonu Jezuitów, i tak się zachwycił jego oratorskim talentem, a szczególnie trzygodzinną mową przeciw kacerzom, iż postanowił sprowadzić to zgromadzenie do Polski, spodziewając się po niém silnéj pomocy w wykorzenieniu dysydentyzmu, nad czém sam z całéj duszy pracował.

Jakoż w roku 1564 na jego wezwanie przybyli Jezuici z Rzymu i z Niemiec do jego dyecezyi, do Brunsbergu. Jednak od narodu przyjęci zostali z niechęcią. W Brunsbergu dopiero w pięć lat po przybyciu mogli szkołę otworzyć, bo nie chciano do niéj dzieci oddawać. Dla złagodzenia tego wstrętu pisał Hozyusz listy do biskupów i magnatów, które wkrótce skutek odniosły; biskupi zakładali kolegia, a szlachta oddawała im swych synów na wychowanie. Już w 1565 powstało kolegium w Pułtusku, 1569 w Wilnie fundowane przez biskupa Protaszewicza, 1571 w Jarosławiu i w Poznaniu.

Liczniéj jeszcze podnosiły się kolegia za Stefana Batorego, który tak gorliwie pracował nad restauracyą w duchu katolickim i do tego stopnia sprzyjał zakonowi Lojoli, iż publicznie mawiał, że gdyby nie był królem, zostałby Jezuitą. Podniósł on kolegium wileńskie do godności akademii. Był to pierwszy uniwersytet w Europie, który Jezuici posiedli, a składał się tylko z dwóch wydziałów: teologicznego i filozoficznego. (Kołłątaj: Stan oświecenia). Za Zygmunta III wzrasta liczba kolegiów tak dalece, że zakon musiano podzielić na dwie pro-

wincyc, polską i litewską. R. 1616 było w obu prowincyach 30 zakładów jezuickich i 795 osób duchownych z tego zgromadzenia. Liczby te w ciągu czasu ogromnie się zwiększały, tak, że do r. 1741 liczono w obu prowincyach 151 zakładów, a 2,000 osób.

W r. dopiero 1579 czy też 1582 przybyli Jezuici na stałe mieszkanie do Krakowa. Już jednak dziesięć lat wprzódy wielu z najzdolniejszych profesorów i młodzieży akademii krakowskiéj przyjęło sukienkę zakonną. Z téj liczby byli: Wujek, Skarga, Stan. Grodecki, Herbert, Marcin z Uja[illegible] [illegible]ąglecki, Laterna. Ubolewał nad tém Kromer, pisząc do [illegible] [illegible]pomniałem Skargę poufale po raz drugi; przedziwni [illegible] [illegible]itów są mamiciele (fascinatores) ludzi osobliwie [illegible] [illegible]ych; cóż będzie, jeśli i ciebie jeszcze ułowią."

W Krakowie Jez[illegible] [illegible]tali przyjęci i umieli sobie ująć umysły; akademia kr[illegible] [illegible]ną i przyjazną dla nich się pokazała.

To dobre porozu[illegible] [illegible]dnak trwało. Jezuici pragnęli zapanować nad całém [illegible] Polsce i z tego powodu najgroźniejszą nieprzyjac[illegible] akademii krakowskiéj, która z przywilejów jéj nadanych była metropolią wszystkich zakładów naukowych w Rzpltéj i kierowniczką oświecenia narodowego. Według postanowień królewskich wszelkie zakłady naukowe na całym obszarze Rzpltéj mogły być tylko uważane jako filie, jako kolonie akademii, i zostawały pod jéj zwierzchnictwem. Takiéj władzy Jezuici nad sobą uznawać nie chcieli, i owszem postanowili tuż pod okiem akademii założyć szkoły zupełnie od niéj niezależne.

Przy kościele św. Barbary w Krakowie zaraz za swojém przybyciem zamyślili otworzyć gimnazyum. Akademia oparła się temu i przez całe trzy tygodnie rzecz ta roztrząsana była w przytomności króla, nuncyusza i biskupa krakowskiego. Jezuici byli zmuszeni przyrzec, „że w Krakowie nigdy szkół nie założą na uszczerbek przywilejów akademii."

To był początek głośnéj w swych czasach walki akademii krakowskiéj z Jezuitami, która wzmagała się z coraz większą zaciętością i przetrwała aż do rozwiązania zakonu. Obie strony pokazały w niéj stateczną energię i upór — oświata jednak krajowa nic na niéj nie zyskała, bo to nie były spory dwóch ciał naukowych o kwestye umiejętności i wiedzy, ale o prawo monopolu nauczania, które miało posłużyć dla dogodzenia z jednéj strony próżności, z drugiéj dla osiągnięcia celów zupełnie obcych nauce.

To pierwsze niepowodzenie nie odstraszyło Jezuitów; ustawicznie na synodach prowincyonalnych czynili zabiegi o założenie szkół w Krakowie; w roku zaś 1611 wyrobili sobie u Zygmunta III przywilej na przemienienie swego kolegium w Poznaniu na akademię, gdzie już istniała kolonia uniwersytetu krakowskiego, t. j. liceum akademickie.

Sejmiki Małéj i Wielkiéj Polski sprzeciwiły się temu i zobowiązały biskupa krakowskiego, kanclerza akademii krakowskiéj do bronienia jéj praw przed papieżem, nadto sam stan rycerski wysłał swego de-

legata do Rzymu. Papież, kardynał protektor i generał Jezuitów oświadczyli się przeciw uroszczeniu zakonu. Sejm warszawski więc nie dał przywilejowi królewskiemu swéj akceptacyi, król jednak obstawał przy nim upornie, mimo próśb i groźb sejmu. Dopiero wyrok kolegium kardynalskiego i bulla papiezka sprawę tę z tryumfem akademii rozstrzygnęły, i szkoła poznańska, już otwarta, została zamkniętą.

Jezuici po téj przegranéj zmienili na chwilę taktykę. W r. 1618 żądali, aby ich akademia przyjęła do uczestnictwa praw swoich. Jan Janidło, ówczesny rektor, odrzucił to żądanie. Znów więc zaczęła się walka i to z większą niż dotąd zaciętością. 1622 r. otworzyli Jezuici przy kościele św. Piotra w Krakowie, świeżo dla nich przez króla wybudowanym, kolegium za przywilejem Zygmunta III. Dla większéj świetności w dniu otwarcia tego zakładu urządzili Jezuici dysputę filozoficzną wobec licznego zgromadzenia szlachty i mieszczan, gdy nagle przerwało ją wejście kilku profesorów akademii i notaryusza z protestem w ręku, pod ekskomuniką wzywających zgromadzenie do rozejścia się.

Nowo założone jednak kolegium zostało, a nienawiść przybrała odtąd charakter nieodpowiedni godności zgromadzeń naukowych. Uczniowie obu szkół, pewni tolerancyi od przełożonych, a nieraz i podżegani od nich, wiedli z sobą liczne bitki na kije i pięście; 1625 r. przy podobném spotkaniu zginął jeden student, kilku odniosło rany, a nauczyciele nie szczędzili się nawzajem w polemicznych broszurach. Do takich należą np. Gratis akademika Brosciusza, i odpowiedź na Gratisa Jezuity Fryd. Szembeka, Obrona kolegium Mateusza Bembusa i Zniesienie obrony rektora Jakuba Najmanowicza — Memoriale exorbitancyi i procesu akademii krakowskiéj (ze strony akademii), Respons na dyskurs dwóch ziemianinów (ze strony akademii).

Tak więc mimo silnéj protekcyi, jakiéj doznawali od przychylnego im Zygmunta III, nie mogli Jezuici dopiąć swych zamiarów, aby zniszczyć znaczenie akademii krakowskiéj i w swoje dostać ręce przywileje przez nią dzierżone. Akademia miała w kraju powagę, którą jéj więcéj niż dwuwiekowa przeszłość i dawne zasługi i świetność nadały. Ztąd opinia publiczna nawet u tych, którzy pierwiastkowo przychylném lub obojętném okiem na Jezuitów patrzyli, obruszyła się na nich, kiedy się odważyli powstać przeciw poważanemu w kraju zakładowi. Nietylko stany świeckie na sejmikach i sejmach potępiały ich postępowanie i zamiary, ale nawet biskupi i kapituły. Dla zrównoważenia ich wpływu założył Jan Zamojski w 1595 r. akademię w Zamościu i wezwał do niéj nauczycieli z akademii krakowskiéj. Z tego powodu nie potwierdził jéj Zygmunt III i dopiero przez Michała Korybuta 1669 r. potwierdzenie otrzymała. W tym samym celu Radziwiłłowie zaprowadzili w Ołyce kolonię akademii Zamojskich. Pomimo więc licznych stronników mieli Jezuici i swych nieprzyjaciół.

Po śmierci Zygmunta III zachmurzył się bardzo ich widnokrąg. Władysław IV nie lubił nigdy Jezuitów [1]), a zaraz za wstąpieniem na

---

[1]) Sławny jest portret Zygmunta III w wielkiéj peruce, z któréj za każdym lokiem wyglądał Jezuita. Władysław IV był namalowany w postaci oczyszczającego głowę ojcowską z Jezuitów (Kołł. St. ośw. I, 61).

tron oddalił ich wszystkich z dworu. Sejm wydał uchwałę znoszącą szkołę jezuicką w Krakowie, a Ossoliński, niegdyś uczeń akademii krakowskiej, w czasie swego poselstwa w Rzymie, wyrobił podobny wyrok u papieża Urbana VIII. Nadto dla zmniejszenia wpływu Jezuitów sprowadził król z Włoch Pijarów, zakon świeżo przez św. Jana Kalasantego założony.

Otworzyli oni najprzód szkoły w Warszawie, a wkrótce po rozmaitych stronach Rzeczyp[illegible]o 28 ich zakładów naukowych, w których tylko elemen[illegible]cenia udzielali. Jednakże Jezuici lękali się i tego [illegible]ą na tych samych miejscach, gdzie Pijarzy mieli szk[illegible]oje i głosili, że Pijarzy nie są dość gorliwi w wierze. [illegible]rozpoczął z Pijarami, jak niegdyś z akademią, walkę [illegible]śnie, na każdym kroku starając się ich wyprzedzić [illegible]owstawały ustawiczne procesa i skargi, któremi oba za[illegible]zą nieraz przyczyną trybunały i sądy zarzucały. Spo[illegible] części wypadały niekorzystnie dla Pijarów i wogóle [illegible]wielkiego znaczenia, aż Konarski w połowie XVIII [illegible]iędzy nimi zaprowadził i tym sposobem wychowanie [illegible]ddał ręce.

Nie będziemy się rozszerzali nad dalszym ciągiem walki między akademią a Jezuitami, którzy ją wkrótce po śmierci nieprzychylnego im Władysława IV na nowo rozpoczęli. Wszystkie jednakże ich usiłowania od r. 1650 aż do zniesienia zakonu, aby jeśli już nie można było w Krakowie, założyć akademię w Poznaniu albo we Lwowie, pozostały bezskuteczne, chociaż wytrwałość Jezuitów była nieutrudzoną.

Na pozór sądząc, nigdy stan oświecenia nie był powinien być świetniejszym jak właśnie w téj epoce. Rzeczpospolita posiadała 4 akademie: krakowską, zamojską, wileńską, będącą w rękach Jezuitów, i kijowską, którą dla wyznania greckiego za Jana Kazimierza założono. Dwa zakony katolickie z powołania swego oddane wychowaniu (nie licząc już innych mniejszego pod tym względem znaczenia, jak Teatyni, Bazylianie i t. p.) posiadały liczne po całym kraju zakłady—każde wyznanie protestanckie, jak Lutry, Kalwini, Socynianie, Bracia Czescy, dla zapewnienia własnych interesów, wszelkiemi siłami podnosiło coraz nowe szkoły.

W rzeczy saméj liczba szkół i uczących się jest bardzo znaczną. Za Zygmunta III i Władysława IV było szkół wyższych chrześcijańskich 68, między temi 56 katolickich; słuchało w nich nauk przeszło 20,000 młodzieży. Szkółek elementarnych było najmniéj 1,500, a uczących się można liczyć na 30,000. W latach następnych, tak nieszczęśliwych dla Polski, liczba szczególnie szkół wyższych ciągle się pomnażała, około 1740 wynosiła ona ogółem 112 szkół wyższych, a uczniów w przybliżeniu 22,400.

Mimo to były to czasy wielkiéj ciemnoty, w których nietylko zatracono dawne światło, ale nawet zdrową myśl i naturalny rozsądek, nabywając natomiast zabobon, fanatyzm i najfałszywsze wyobrażenia religijne i społeczne. Wina tego upadku ciąży na tych samych szkołach, które nie spełniając swych naukowych obowiązków względem

społeczeństwa, używały ich za silne stanowiska, z których swój wpływ rozciągały do przeprowadzenia swoich prywatnych i samolubnych celów, wprost sprzeciwiających się oświacie.

Akademia krakowska wielkiéj niegdyś używała sławy, krótki jednak był czas jéj zasługi i świetności. W XV wieku zakwitły w niéj nauki medyczne i matematyczne—i to właściwie ugruntowało jéj sławę; inne bowiem gałęzie wiedzy: prawo i filozofia szczególniéj nie znalazły w niéj godnych reprezentantów. W wieku następnym ta świetność blednąć już zaczyna; akademia nie była zdolną zadowolnić wszelkich potrzeb wykształcenia i dlatego ci, którzy je chcieli dopełnić, musieli światła za granicą szukać. Pewna nieruchomość i martwość należała do cech téj akademii, tak że nietylko nie wchodziła dobrowolnie na drogę postępu, ale nawet wzdrygała się postępować nią za innemi. Prócz Kopernika, nie wydała ze swego łona ani jednego geniuszu, któryby dał początek nowéj idei, a choćby tylko rozpowszechniał idee gdzieindziéj wyrobione i przyjęte. Średniowieczność ze swym scholastycyzmem ustawicznie na niéj ciężyła. Do tego przyczynił się duch kasty, jaki się między nauczycielami wyrobił, zazdrośny wszelkiemu obcemu powodzeniu w rzeczach umiejętności, niecierpiący wszelkiego współzawodnictwa i osłaniający swą małość szatą z dawnych lat przechowaną powagi. Kiedy naród najwięcéj potrzebował światła, akademia kreowała doktorów, rozdawała honory, ale poza murami szkoły cała ich mądrość na nic się nie przydała. Od roku 1632 począwszy, żaden z profesorów nie wydał dzieła uczonego albo przynajmniéj pożytecznego.

Kiedy 20 lat przedtém (1610) biskup Tylicki chciał zaprowadzić w akademii potrzebne zmiany, akademia oparła się temu chwalebnemu zamiarowi. Ale téż doszła do tego, że jeden z jéj rektorów oświadczył 1660 r. przed biskupem Trzebickim, że profesorowie jéj zaledwie warci byli być mistrzami szkół niższych.

Przez walki z Jezuitami akademia zamiast się podnieść, upadała tylko. Mimo zwycięztwa stale jéj sprzyjającego, utraciła około 40 szkół na rzecz Jezuitów, a gorszą klęskę poniosła jeszcze przez to, że przyswoiła sobie system naukowy swych przeciwników. Tracąc więc tyle sił na spory, tyczące się jéj powagi na zewnątrz, zaczęła naśladować wiernie Jezuitów w sposobie nauczania i urządzeniach, które bynajmniéj nie miały nauki na celu, ale owszem były próżną stratą czasu i obałamuceniem umysłów.

Akademia, jak dwa wieki temu, trzymała się filozofii Arystotelesa według wykładu św. Tomasza; kto się promował na doktora filozofii, „musiał przysięgać, jako inaczéj nie będzie trzymał i uczył, tylko *juxta mentem divi Thomae.*” Ciż doktorowie filozofii byli obowiązani prawić po kościołach panegiryki na cześć świętych. „Systema Kopernika (który był niegdyś uczniem i chlubą téj szkoły) nie było przyjęte ani w astronomii, ani w fizyce... astronomia nie miała obserwatoryum, a fizyka zatrudniała się tylko metafizycznemi kwestyami.” Algebry zupełnie nie znano. Przez kilka, kilkanaście lat nie promowano na lekarzy.

O wszelkim wogóle postępie, jaki świat w naukach uczynił, nie chciano tu nic wiedzieć, zasłaniając się najczęściéj prawowiernością. Kiedy Załuski, biskup krakowski, będąc w zażyłości z Krystynem Wolfem, pragnął go sprowadzić do Krakowa, aby dał publiczny kurs matematyki i filozofii, akademia oparła się temu, aby heretyk miał w niéj wykładać. Załuski posłał tedy do Hali ks. Świątkowskiego dla udoskonalenia się pod Wolfem w matematyce i fizyce. Ale kiedy ten za powrotem nowe poj[illegible] [illegible]prowadzał, akademicy prześladowali go do tego stop[illegible] [illegible]gromadzenie opuścić. Patrzący na akademię krakowsk[illegible] [illegible]ą Wibicki powiada, że była... „jak ten odwieczny pos[illegible] [illegible]rzez podanie tylko bałwochwalcze wielbiono jakieś bó[illegible]

Na obronę jedna[illegible] [illegible]owskiéj musimy to powiedzieć, że wszystkie niemal [illegible] [illegible]sytety europejskie w podobnym stanie się znajdowały. [illegible] [illegible]chnął naprzód oświatę i rozszerzył okrąg umysłowy, [illegible] [illegible]m pojedynczych ludzi, wielkich myślicieli, a nie publ[illegible] [illegible]j. Dlatego słusznie powiada Kołłątaj: „Zgoła trzeb[illegible] [illegible]aniem rzetelném, iż lubo akademia krakowska co d[illegible] [illegible]: i umiejętności znajdowała się w bardzo nikczemnym stanie, był to jednak starożytny gmach, nie ustępujący w wielu ustanowieniach najsławniejszym w Europie akademiom," a na innéм znów miejscu: „szkoła główna paryzka i *sapientia* rzymska były zbiorowym wzorem krakowskich nauk aż do naszych czasów." Reformy w niéj, po wielu walkach z ciemnotą, zazdrością i intrygami, dokonał dopiero Kołłątaj 1780 r.

Akademia Zamojska, filia krakowskiéj, nie miała w swych dziejach ani jednéj chwili świetności. Opatrzoną była szczupło, bo roczny jéj dochód nie przeniósł nigdy 13,000 złp. dzisiejszych. Miewała zaledwie 8—14 profesorów, a liczba uczniów wraz z niższemi szkołami nie przeniosła nigdy stu.

Akademia posiadała jeszcze inne swe kolonie, jako to: kolonie akademickie i szkoły wyższe, odpowiadające mniéj więcéj dzisiejszym gimnazyom. Stan ich podobny był do szkół jezuickich, a nawet od nich były daleko nędzniejsze, dlatego nie będziemy o nich mówić osobno.

Szkoły jezuickie dzieliły się na pięć klas, z których dwie najwyższe zwano humaniora. Prócz tego przy wielu bogatszych kolegiach były 3 kursa filozofii i 4 teologii. Akademia wileńska posiadała również tylko dwa wydziały.

W trzech niższych klasach uczono wyłącznie gramatyki łacińskiéj podług osławionéj książki Emanuela Alwara Soc. Jez. zawiłéj i niezrozumiałéj. Kołłątaj, któremu w tych rzeczach można zupełnie zaufać, takie wydał zdanie o Alwarze, który od owych czasów wszedł u nas prawie w przysłowie i stał się typem dzieł bezużytecznych: „Była ona prawdziwie doskonałą książką dla nauczycieli i tych, którzy już umieli język łaciński, lecz wcale nieużyteczną dla dzieci." Przy stosownem więc objaśnieniu ze strony nauczycieli mogła się ta książka na coś przydać, ale nie było wolno ani na jotę od niéj odstępować, tak że tylko *machina*lna pamięć zatrzymywała coś z tych niezrozumiałych defini-

ł. Prócz tego od najpierwszych zaraz początków niemających nia o łacińskim języku uczono go po łacinie.

lwóch najwyższych klasach wprawiano młodzież do pisania po ozą i wierszem. Prozy uczono najwięcéj na Cyceronie, nie c jednak lepszych historyków i poetów; w poezyi podawano ata, podług których uczniowie pisali epigramy, ody, elegie, yło najwyższym stopniem doskonałości poetycznéj—panegiryki więtych, dla znakomitszych członków zakonu, dla duchownych h panów zgromadzenia. O poezyi w tych wierszach niema leżała ona całkiem na igraszce słów i rytmów i na dzikiém po- ojęć starożytnéj, w znacznéj części mitologicznéj poezyi, z mi- mi i ascetycznemi wyobrażeniami Jezuitów, tak jak się to z fi- olastyczną działo, gdzie Arystotelesa popierano doktorami nawzajem. Tak np. naśladowano eklogi Wirgilego w sielance Ignacy i pierwszy jego towarzysz Piotr Faber pod postacią Lisida."

ata te, których pamięć nam się przekazała, pokazują dokła- akim kierunku Jezuici rozwijali umysły młodzieży. Egzalto- a nich młodzież do bigoteryi i dewocyi, albo téż wysilała swą ą fantazyę, aby powiedzieć coś o rzeczy, która leżała zupełnie bem jéj doświadczenia i pojęcia. W jakim znów duchu kształ- i tę młodzież na przyszłych obywateli, widać z takiego np. te- ry był na list podany: „Do jednego z panów, aby na sejmie odatków uchwalać nie pozwalał."

obne dążności tém były niebezpieczniejsze, że szkoły podów- zupełnie wyjęte z pod władzy zwierzchności świeckiéj; Jezuici li całkowite pełnomocnictwo kształcić tak, jak to było zgodnie mi. Trudno się dziwić, że przy wpajaniu podobnych zasad stwa, kraj był bez obrony i bez wojska, a sejmy rwano jeden n.

i szkoły akademickie, t. j. zostające pod zwierzchnictwem uni- t krakowskiego, bawiły się w podobne niedorzeczności. Ich nic na lepszych tematach zaprawiali swój umysł do myślenia ądnego stylu. W kolegium akademickiém poznańskiém takie vano: Dlaczego świętych trzech królów gwiazda prowadziła do —Mowa potępiająca przeciw Herodowi królowi żydowskiemu, więtych Młodzieniaszków [1]). I biedny Herod został najniego- elżony barbarzyńską łaciną przez polskiego młodzieniaszka. ni zadaniami obciążano bardzo młodzież; w ciągu jednego roku sieli ich napisać.

maczono przytém i rozbierano autorów, ale największą uwagę na to, aby młodzież jaknajwięcéj z nich ustępów umiała na Dlatego to pradziadowie nasi mieli zawsze gotowy zapas różnych łacińskich, któremi pstrzyli swą rozmowę i pismo. Tym sposo- ócz innych przyczyn, wdzierały się w nasz język makaronizmy,

———

ałe to wypracowanie przedrukował Łukaszewicz w „Historyi szkół" I, 223

bo jeśli w szkole było dowodem uczoności umiéć na pamięć jaknajw
céj frazesów łacinskich, dlaczegóż i w dalszém życiu nie miał się każ
popisać swą erudycyą? Z greczyzny czytywano z początku niektóre w
jątki z Demokryta, Platona, Tucydyda, Homera, Pindara, ale od cz
sów Jana Kazimierza zupełnie tego języka zaniedbano, podobnie j
w akademii krakowskiéj i w szkołach akademickich.

Nauka języków klasycznych zupełnie przeto nie odpowiadała sw
mu celowi i daleką była od tego, co dziś filologią nazywamy. Jedyny
jéj celem było, aby się [illegible] isać jako tako po łacinie—przy p
dobnych tematach, jak [illegible] rudno nawet żądać klasyczności j
zyka i zaopatrzyć sw [illegible] żmaite cytacye. Na to zupełn
się nie silono, aby po [illegible] udowę języków klasycznych, a
zgłębić ducha pisarzy [illegible] przejąć ich wytworny smak i n
brać z nich prawdziwe [illegible] a o tym wspaniałym a dawno j
umarłym świecie. Dl [illegible] i inne szkoły nakazywały i pr
strzegały surowo, aby [illegible] et w domu między sobą po łaci
rozmawiali; a ci, któr [illegible] tém, że po polsku mówili, cz
tak zwani wówczas *po* [illegible] symywali ostre kary. Można so
wyobrazić, do jakiéj [illegible] yczajeli się dziesięcioletni chło
którzy bezwątpienia o [illegible] zoficznych lub teologicznych ze
bą nie dysputowali.

Ztąd-to znajomość klasycznej łaciny upadła u nas w téj epoce—
a w żadnym z pisarzy piszących po polsku nie znać prawdziwych i głęb
szych studyów nad literaturą starożytną. Zepsuta łacina coraz więc
się rozpowszechnia, zwłaszcza gdy Pijarzy przynieśli z sobą z Włoc
tak zwany styl Florida, który tam około r. 1640 powstał, a którego Je
zuici i inne ciała naukowe szybko się chwycily.

W poprzednim okresie byli u nas pisarze, którzy dorównywa
swym wzorom. Łacinska proza Orzechowskiego posiada całą klasyczn
wytworność i czystość, wiersze Krzyckiego pokazują głębokie przejęci
się duchem i formą starożytną. Kochanowski, pisząc po polsku, nada
swym myślom i językowi tok klasyczny, i zdołał w swych pieśniac
naśladować wiernie Horacego, a w „Odprawie posłów" dowiodł, jak jasn
i prawdziwe posiadał pojęcie o greckim dramacie. Nic podobnego ni
znajdziemy u poetów téj epoki — nie znać na nich zupełnie wykształce
nia klasycznego. Liczba piszących po łacinie zmniejsza się—a w dosko
nałości stylu łacinskiego jeden Sarbiewski tylko stanął na równi z po
przednikami. Nie żałujemy bynajmniej, że łacina wychodziła w piśmi
z używania, ale uważając, że w miarę jéj zaniedbania nie podnosił si
język narodowy, należy przyznać, żeby więcej może było pocieszającém
gdyby choć jednym językiem pisano czysto i poprawnie, niż że pomie
szano oba razem i zrobiono z tego dziwotworną mowę, która i myśl sa
mę musiała zeszpecić i wypaczyć.

Łacina ta, któréj w szkołach z takim mozołem uczono, tracił
w życiu coraz więcej swe znaczenie, zwłaszcza odkąd język francuzk
stawał się językiem dyplomatycznym i wyższych stanów. Ludzie dwor
scy i możni już podówczas nią gardzili i kładli obok z polszczyzną
a reszta mieszkańców mało co rozumiała. Tylko trybunały, sądy szla

checkie i miejskie, a nawet wsie pod prawem niemieckiém będące, w Wielkiéj i Małéj Polsce trzymały jéj się jeszcze. Znikczemniawszy zatém przez pospolite używanie i utraciwszy cechę wykwintności i poloru, stała się starym sprzętem wyszłym z mody, który pozostawiono do użytku tym, którzy nowszych posiadać nie mogli.

Podobną rolę odgrywała literatura klasyczna w téj epoce. Pisarze nasi żyli jeszcze po większéj części jéj reminiscencyami, była jeszcze ona dla nich bóstwem, przed którém uderzali czołem, ale serce ich było już dla niéj obojętne, nie oddawali jéj się z zamiłowaniem, więcéj ze starego zwyczaju i z braku własnéj twórczości, niźli z prawdziwéj potrzeby ducha.

Było to konieczném następstwem wychowania, jakie odbierali, a nawet powiemy, że wynikało z natury piśmiennictwa przeszłego okresu. Koleją tego świata każda rzecz doszedłszy do swego zenitu, staczać się musi następnie do upadku. Jakkolwiek literatura zygmuntowska świetnie się rozwinęła, brakowało jéj zapewne głębszych podwalin, bo była tworem naśladownictwa, które bardzo prędko się zużywa. Właśnie dlatego, że w poprzednim okresie klasycyzmu tak bardzo się rozszerzył, musiał się stać z czasem rzeczą powszednią i zwyczajną, która coraz więcéj traci przez używanie ze swéj sztucznéj pozłoty, aż w końcu pokaże się mniéj szlachetny kruszec. Pisarze i poeci XVII wieku nie czuli już konieczności i potrzeby, aby zblizka i dokładnie przypatrzyć się starożytnym wzorom, jak się to zwykle dzieje, gdy ktoś idzie już po utartéj drodze. Każda idea traci na swém znaczeniu po pewnym czasie, jeśli jéj druga nie odświeży i nowego życia nie doda. Wiek XVII żadnéj nowéj nie utworzył sobie, żył pracą poprzednich czasów, i gdy tamci ludzie naśladowali oryginały, ci byli naśladowcami naśladowców. Cóż więc wzięli z klasycyzmu? łupinę bez jądra, imię bez rzeczy, pozorny blichtr erudycyi, którym, sądzimy, że w najlepszéj nawet wierze, chcieli zaćmiewać oczy swego pokolenia.

Pod tym względem zachodzi podobieństwo między nimi a klasykami księztwa warszawskiego, którzy również szli pod sztandarem klasyczności, nie znając zupełnie pana, któremu służyli. Dziwne to są zaiste zjawiska w umysłowém życiu narodów. Brak jedynie samodzielności i gnuśność ducha mogą wytłumaczyć, jak ktoś ogłasza się prorokiem i obrońcą idei, którą pierwéj swą nieświadomością i zaślepieniem w rzecz istotnie od niéj różną przemienił, któréj nie poznał i nie zbadał. Jest-to jakby herezya lub fanatyzm w literaturze—utworzyć sobie bóstwo niezgodne z jego objawieniem, albo walczyć za sprawę w ślepéj wierze zasłyszanéj zaledwie zkądsiś tradycyi.

Powiedzieliśmy już raz, że pisarze nasi XVI wieku szczególniéj zapatrywali się na najpiękniejszą bezwątpienia stronę literatury starożytnéj, t. j. na jéj ducha obywatelskiego i humanitarnego, i czerpali z niéj wzory mądrości, instytucyj, które do własnego kraju zastosowywali, i obyczajów, które najwięcéj odpowiadały członkom takiego społeczeństwa, jakiém była Rzeczpospolita. W tym celu więc oddawali się studyom tych autorów starszych, którzy żyli i pisali w czasach, kiedy ich ojczyzna znajdowała się w zdrowym stanie swego żywota, i kiedy

zarazem literatura ich obchodziła złote wieki swego istnienia. Literaturą grecką daleko więcéj zajmowano się w XVI wieku, a z łacińskiéj najświetniejszy jéj okres z ostatnich lat Rzpltéj i pierwszych cesarstwa był jedynym prawie wzorem.

Inaczej miały się rzeczy w wieku XVII. Tutaj zaniechano nawet wkrotce nauki języka greckiego i ze szczególniejszém zamiłowaniem oddano się autorom rzymskim ze srebrnego i późniejszych okresów literatury łacinskiéj. Wpływ ich pokazuje się widocznie z tłumaczen, jakie wówczas po polsku [illegible] ady od czasów Jana Kochanowskiego, ktory trzeci [illegible] ł, nikt się nie dotknął do czasów Nagurczewskiego [illegible] o. Po jednym Kochanowskim nie znalazł się drugi tłu [illegible] ły dramat i liryka grecka leżały nietknięte. Horacyusz [illegible] czył Libicki 1617 r. Ale za to późniejsi rzymscy poeci [illegible] ilku nawet tłumaczy.

Z tego widac, że [illegible] znacznéj zmianie uległo i że weszły teraz do niéj ob [illegible] oły. Poezya XVI wieku owiana jest duchem obywat [illegible] m; jéj przedmiotem są sprawy publiczne, wydarzenia [illegible] t — możnaby ją nazwać niemal poezyą polityczną. Ta [illegible] kreśli życie prywatne i uczucia osobiste, nie daje im nig [illegible] łącznéj i wtedy zawsze jéj tłem jest całe życie Rzpltej. I z tego względu ma ona podobienstwo do czasów prawdziwie klasycznych starożytności, gdzie człowiek, jako istota odrębna, ginął zupełnie w obywatelu. Poezya egotyczna rzadkim jest tam wyjątkiem. Tylko tak silna bolesc, jak Kochanowskiego po utracie córki, mogła wywołac Treny i to w poecie, który ze wszystkich w swojéj epoce najwięcéj hołdował sztuce w poezyi i słuchał tylko natchnien własnego serca. Inni nie smieli używac jéj za wyraz swéj osobistosci i składac w niéj własnych uczuc. Teraz widzimy, że Polacy zaczynają smakowac i w innéj poezyi. Poeci rzymscy późniejszych okresów nie posiadają tych przymiotów, jak ich poprzednicy; z obszernej areny publicznego życia przenoszą się oni w ciasniejszy zakres życia jednostki, lubo i ten swiat wewnętrznego życia człowieka posiada także swój nieograniczony obszar i niedosięgnioną głębię. Poezya ich nie zostaje w scisłym związku i stycznosci z wypadkami dziejowemi, a raczéj ze zmianą stosunków życia, i oni także, jak reszta ich ziomków, cofają się w siebie i na miejsce ogółu stawiają na pierwszym planie pojedyncze indywiduum.

Jest-to pierwszy objaw nowożytnego ducha, gdzie człowiek, jako człowiek, czuje się w swiecie, którego więcéj jeszcze spotęgowało następnie chrześcijanstwo. Serce przeto człowieka i jego namiętnosci, uczucia całkiem osobiste, jak np. miłosc, stają się dla nich przedmiotami pierwszego znaczenia— role nauczycieli swego narodu przemieniają na role sztukmistrzów i artystów; nie udzielanie zdrowych rad, przepisów moralnosci i wpływanie na bieżące wypadki są teraz ich celem, ale rozbudzenie fantazyi w czytelniku i kreslenie jéj żywych i poruszających serce obrazów. Sztuka to dla sztuki, poezya dla przeniesienia w swiat poetyczny. Jest-li to postępem czy upadkiem? nie smiemy rozstrzygac, zwłaszcza, że kwestya ta, stosownie do czasów, w jakich żyje-

my, rozmaicie bywa sądzoną, i jedno jak drugie zdanie równie gorliwych znajduje obrońców i przeciwników. Najstosowniéj może byłoby oba te rodzaje zupełnie od siebie oddzielić i pozwolić każdemu iść w swym kierunku, bo zawsze znajdą się poeci, którzy będą szukać natchnienia w ideach swojego czasu, jak i tacy, których zagrzewa odwieczna a przecież zawsze nowa historya serca ludzkiego. Każdy naród powinien wiedzićć, kiedy ma jednych nad drugich przenosić. Arystofanes, podnosząc Aischylosa, potępił Eurypidesa, i trudno zaprzeczyć, żeby pierwszy nie był większym greckim poetą, żeby nie przewyższał swego następcy w plastyce i wielkości obrazów, w prostocie swéj kompozycyi i języka. A przecież Eurypides posiada znów to, o czém Aischylos nie miał jeszcze przeczucia—i większym jest od niego malarzem serca ludzkiego.

Ale powracamy do naszego faktu, że w duchu poezyi polskiéj dostrzegamy pewną zmianę, a mianowicie, że poezya osobistych uczuć, poezya fantazyi i serca ludzkiego zaczyna sobie w naszéj literaturze zdobywać stanowisko. Jakie inne wpływy, oprócz wspomnianych poetów rzymskich, działały jeszcze w téj mierze, powiemy na swojém miejscu, uprzedzając tutaj, że nie rozszerzamy téj zmiany do całéj naszéj poezyi ówczesnéj, ale tylko do pewnéj jéj gałęzi, która na niéj świeżo teraz wyrasta.

Tyle o stanie języka łacińskiego i o literaturze starożytnéj w téj epoce. Inne nauki we wszystkich ówczesnych szkołach miały tylko poboczne znaczenie. Historyi i geografii uczono wyrywkami i bez żadnego systemu przy objaśnieniach autorów starożytnych; historyi polskiéj na Florusie Pastoryuszu. Tylko „dla niektórych studentów kilka razy w tydzień po godzinie dawano matematykę,” trzymając się Euklidesa w tym wieku, kiedy Newton, Leibnitz i inni umiejętność tę daleko naprzód posunęli. Aby schlebiać rozszerzającéj się wówczas modzie, uczyli Jezuici języka niemieckiego i francuzkiego, „ale nie z takim rygorem jak łaciny; wolno było tych przykładów uczyć się i nie uczyć się na seryo, albo tylko się przypatrywać, być na lekcyi i nie być...” Na kursach teologicznych trzymano się teologii św. Tomasza, filozofię wykładano według Arystotelesa w sposób zupełnie średniowieczny, odrzucając zupełnie nowożytną filozofię, która właśnie w XVII wieku znaczne postępy uczyniła.

Powiedzieliśmy wyżéj, że i akademia krakowska innéj filozofii nie znała i znać nie chciała. Najprostsze więc pojęcia, które dziś znane są dzieciom w szkołach elementarnych, nie mogły się przedrzćć przez mgłę ówczesnéj ciemnoty. Pierwsi Pijarowie odważyli się oświecić trochę umysły, już na samym schyłku téj epoki, o któréj mówimy.

Około r. 1749 „czyli trochę wyżéj” wydrukowali „w jednym kalendarzyku politycznym niektóre kawałki z Kopernika, dowodząc, że się ziemia obraca, a słońce stoi.” Jezuici i inne zakony z ich namowy podnieśli krzyk na Pijarów i wydawali książki zbijające to niebezpieczne zdanie. Nawet na swych scenicznych widowiskach wyśmiewali pijarską filozofię. W jednym takim dyalogu wystawili filozofię „pod osobą klucznicy, czyli szafarki, krzątającéj się i rachującéj na to, że tych wszystkich potrzeb, co przedtém do kuchni dostarczano, na lekcyę do księdza

chowanie, pokazuje następujący przykład. Pewien R
na popisie szkół pijarskich, nie mógł sobie wytłum
em z machiny elektrycznéj wydobywają się iskry.
h czartowskich figlów położył pod korbę woskoweg
złamał się, a Reformat ogłosił fizyczne doświadczer
księżkie.

Pijarzy jednak, pomimo téj nieprzyjaźni i przesz
éj rozpoczętą drogą. Ustęp, który tu przytoczę z ks
że nam, czego się u nas zaczęto dowiadywać dopier
atém czego tak długo nie wiedziano, i jakie to prawd
byte napotykały zawzięty opór ze strony Jezuitów
pojonych scholastyką. Pijarzy tedy „coraz nowy jaki
zy z teraźniejszych wodzów filozoficznych i Kope
, Newtona, Leibnitza, dokazywali tego, że wszystki
oteryzm, czyli naukę *recentiorum*, według któréj
o słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak piecze
nia, nie ogień koło pieczeni. Że koloru niemasz żad
ko te barwy, które na nich widzimy: białe, czarne, z
te, sprawuje temperament oczu i światła, czego jest
lko np. w dzień zielone, w nocy przy świetle wyda
ból, świerzbienia i inne czucia nie mają swego pl
duszy, ponieważ ciało bez duszy nic nie czuje. Mni
ło nie czuje bez duszy, jak dusza bez ciała; orga
ganisty i organista bez organów, a jeśli czucie
ko w duszy, to téż i głos nie jest. Zgoła p
gusta III, jakoś wśród czasu panowania jego, w
lskich początek nowa filozofia, ale z wielką bojaźnią
nia; ośmieliła się zupełnie w końcu jego panowan

Nieprzyjazne więc współzawodnictwo dwóch za
iszy umysł niektórych Pijarów

cznych sztuk łamanych i byli zdolni po polsku lub po łacinie napisać panegiryk na wjazd biskupa lub wojewody, na śmierć lub wesele swego sąsiada lub protektora.

Było to napozór wykształcenie praktyczne i odpowiadające potrzebom narodu żyjącego ustawnie życiem publiczném na elekcyach, sejmach i sejmikach, na polu bitew. Jednakże praktyczność ta nie miała głębszéj podstawy, bo wychowanie nie kształciło człowieka w obywatelu Rzeczypospolitéj, nie obznajmiało go z dziejami ojczystemi i obcych krajów, nie zapoznawało z naturą, nie uczyło sądzić i myśléć, krępując ducha w więzy filozofii scholastycznéj i w miękkie kajdany wymyślnych ozdób retorycznych — nie dawano najmniejszego wybrażenia o świecie i nie dozwolono głębiéj zapuścić się po skarby w duchu ludzkim spoczywające. Napozór udzielano wiele wiadomości—ale pochodnia téj wiedzy nie miała światła: panowała ciemnota gorsza niż zupełny brak wykształcenia, bo to, jakie było, spaczało wyobrażenia i na błędne drogi wyprowadzało umysły.

Pod tym względem odniosło ono zupełnie pomyślne skutki. W całéj téj epoce najtęższe głowy nie są wolne od przesądów i wad odebranego wychowania. Nie było to następstwem powszechnego stanu w Europie, jak niektórzy niezupełnie szłusznie zapewniają, ale szczególnych krajowych okoliczności. W wielu europejskich narodach jestto epoka nadzwyczaj świetna w historyi rozwoju umiejętności i rozlaniu się prawdziwego światła. Najbliżsi wprawdzie sąsiedzi, Niemcy, przygnębieni klęskami 30-letniéj wojny, popadli w podobny letarg, zwłaszcza, że i u nich podobne przyczyny działały, zapomnieli o swéj literaturze, skazili język, a późniéj oddali się niewolniczemu naśladownictwu francuzczyzny. Ale w Anglii, we Francyi, cywilizacya nowożytna datuje się właśnie od tego czasu i ogromnemi krokami naprzód się posuwa. Tam pozbywano się przesądów, rzucano podwaliny do dzisiejszej umiejętności historyi, badano naturę i stworzono nauki przyrodzone—w filozofii wstąpiono na drogę oryginalną, odrzucając powagę Arystotelesa, a więcéj jeszcze jego scholastycznych komentatorów. Wystarczy przypomniéć, że to jest wiek Bakona Werulamskiego, Deskarta i Leibnitza, który w powszechnym upadku swéj ojczyzny utrzymuje sławę niemieckiego ducha. W tym samym właśnie XVII wieku powiedziano sobie na drugim końcu Europy: „*Cogito, ergo sum*”— i myśl podniosła i uszlachetniła to społeczeństwo, że byt jego rozwijał się i dochodził do coraz większéj świetności i siły. U nas prawda tego filozoficznego twierdzenia udowodnioną została w przeczącém znaczeniu.

Kiedy Jezuici byli niejako bronią zaczepną na zwalczenie herezyi i wolnego ducha — bronią odporną do tego samego celu była cenzura duchowna. Powstała ona jeszcze pod reformacyą, w krótkim czasie po wynalezieniu druku, kiedy powiększyła się łatwość udzielania myśli i rozszerzania zdań rozmaitych. Nie wszystkie jednak narody chciały ją przyjąć u siebie; przez XVI wiek, w czasie tak wielkiéj swobody religijnéj i tolerancyi, nie mogło być mowy o jéj zaprowadzeniu w Polsce. Chociaż zdarzały się już i wtedy wypadki, że tu i owdzie władze duchowne katolickie, albo i świecka zwierzchność (np. Zygmunt I wyda-

biskupi na wzór trydenckiego indexu wydawali i
bitorum jeden po drugim, że wkrótce 5 ich u nas l
państwa nie miały żadnego indexu osobnego dla siel
iego, którego trzymało się duchowieństwo, Polska p
tylko jednéj Hiszpanii przewyższyć się dała, kt
ych indexów.

Pierwszy taki index w 1603 r. wydał Bernard M
krakowski. Na mocy jego rozporządzenia odbył
rniach i spalono dzieła już dawniéj wydawane, jak:
vae, Bielskiego *Kronikę*, wszystkie druki Wierzbi
, Rodeckiego, Sternackich i t. p.

Przybyła więc jeszcze jedna przeszkoda tamująca sw
ennictwa i niepozwalająca przedrzéć panującéj cie
wano autorom procesa i palono ich dzieła, jeśli t
narazili się przewodnikom ówczesnym oświaty. J
m" Klonowicza 1600 r. niszczyli Jezuici. Drukarz
sa Broscyuszowego, za powodem Jezuitów oćwic
wskim; Fraszki Kochowskiego cenzura duchowna
cyatura wydała autorowi proces; Wacław Potocki o
eż miał proces. Nie darowano nawet spoczywając
vi Kochanowskiemu, pomawiając go o herezyę, z k
ł go Kochowski w Apologii, w „Niepróżnującém p
Podobnie i cenzura świecka nieraz postępowała. 1
unt III dekret powstrzymujący wydanie na widok p
tomu I, wydanego przez Herburta, ponieważ wiele
iętemi przez tego historyka. Żywot Władysława IV,
kiego, był spalony za czasów Jana Kazimierza, które
ieło to dedykował.

Dlatego kiedy Kochowski (w Niepróżnującém próż
ł śpiewać o światowym zakonniku, chociaż nic skan

giem powszechnéj literatury i nieraz ulegali jéj wpływom tłumacząc jéj dzieła lub naśladując je. Nietylko więc mieli przed oczami autorów greckich i rzymskich, ale także mniéj lub więcéj sobie współczesnych włoskich, francuzkich, angielskich, a szczególniéj tych, którzy po łacinie pisali.

Tym sposobem literatura nasza czuła się częścią powszechnéj europejskiéj literatury i o tym związku nie zapominała. Wiadomo, iż Kochanowski przybył do Paryża, aby się zapoznać z Ronsardem, wodzącym rej w ówczesném piśmiennictwie francuzkiem. Tenże Kochanowski przełożył *Szachy* współczesnego mu Hieronima Widy, najznakomitszego poety łacińskiego we Włoszech, i wprowadził pierwszy do naszéj poezyi formę sonetu, wykształconą szczególniéj przez Włochów. W poezyach religijnych Miaskowskiego daje się czuć wpływ owych religijnych poetów łacińskich we Włoszech, jak np. Sannazar, którzy biblię i dogmaty katolickie mieszali z mitologią. Górnicki tłumaczył *Dworzanina* 1566 z *Baltazara Castiglione*.

Szczególniéj zatém, jak z tego widzimy, oglądano się na Włochy, na co rzeczywiście zasługiwały. Włosi najpierwsi odgrzebali dawne pomniki literatury starożytnéj, najprędzéj i najwięcéj się na niéj wykształcili, tak, że opierając się na podstawie klasycyzmu, utworzyli literaturę, która wiele oryginalnych żywiołów w sobie mieściła, a mianowicie wcieliła w siebie średniowieczną romantyczność, a z nią ducha rycerstwa i cześć dla kobiet. Literatura włoska umiała pogodzić te nowe żywioły z tradycyami i formą literatury starożytnéj i dlatego wyrosła także na literaturę klasyczną. Dzieła Dantego, Boccacia, Petrarki, Aryosta i Tassa postawiły ją za wzór do naśladowania, nie mówiąc już o tém, że Włochy posiadały także bardzo wielu znakomitych poetów łacińskich. Tym sposobem Włosi, jako tacy, którzy najlepiéj wyhodowali u siebie studya klasyczne i w literaturze narodowéj najwięcéj się do starożytnych zbliżyli, zajęli z czasem ich miejsce, i jak dawniéj zwracano uwagę tylko na starożytną literaturę, tak późniéj zaczęto zajmować się włoską i ją naśladować.

Wpływowi temu uległy i inne kraje. Ludwik XII i Franciszek I starali się zaszczepić gust włoski we Francyi. Nie odniosło to jednak pożądanego skutku. Francuzi, formalizmowi zawsze więcéj hołdujący, nie mogli się przejąć ciepłem poezyi włoskiéj i wzięli z niéj tylko formy zewnętrzne.

Polska również oddawna miała najwięcéj na Włochy zwrócone oczy, jako na kraj, w którym znajdowała się siedziba głowy religii, jako na kraj najwięcéj w cywilizacyi posunięty i najwięcéj pielęgnujący nauki. Zewnętrzne przyczyny niemałą w tém odegrały rolę. Małżeństwo Zygmunta I z Boną torowało również drogę wpływowi włoskiemu. Zygmunt August na ten sposób był wychowany i na dworze jego zachowywano wiele włoskich zwyczajów i wielu Włochów się przewijało. Następnie kiedy język, ubiór i zwyczaje włoskie stały się modą europejską, nie potrzeba było nawet podobnych związków krwi, aby ten wpływ utrzymać. Jezuici przybyli do Polski z zagranicy i z Włoch, a tak dobrze położeni na dworze Zygmunta III niemało zapewne przyczynili

... odznaczała się świetnością ozdób; był
je pewien l'abbé francuzki, podróżujący po Pols
*age de Pologne dans 1688 et 1689, p. 46*), sala z gal
dna z największych w Europie. Teatr posiadał
ryę i stałą orkiestrę. Aktorowie włoscy utrzymali
wań; jeszcze według powyższego świadka grywali
aż zapewne nie zawsze najlepsze rzeczy; i z tego po
h ów l'abbé do farserów francuzkich. „Ale to wszy
wycało Polaków" (*mais tout cela passe pour admira*
i królowa wieczór zwykle przepędzali na komedy
zymał nadto nadwornego poetę teatralnego, Wirgili
włoskie sztuki pisał. Były to zaś po największ
i widowiska sceniczne, przy których można było
ystawę i maszynerye.
Tak 1635 r. przedstawiono na tym teatrze włoską
sza Paschati „Dafnis," którą następnie Twardow
ożył, ale niema śladu, aby w tłumaczeniu była kiedy
operę o świętéj Cecylii, w czasie wesela Władysław
enatą. Scenaryusz polski téj opery przechował się i
ojcicki w Teatrze starożytnym, tom 2. Zakończon
aletem: „Gladyatorowie." 1649 r. miasto Gdańsk prze
trze, umyślnie na to zbudowanym na przyjęcie
ncyi Maryi Ludwiki, operę utworu nadwornego po
j treścią była miłość Kupidyna z Psychą.
Znajomość języka włoskiego zaczęła się także roz
ci w Wilnie obok francuzkiego i niemieckiego język
łosku; na akademii krakowskiéj wykładano go także.
a wydał w Krakowie gramatykę włoską po polsk
ki trwał jednak tylko głównie za Zygmunta III i W
tce jednak zniknął prawie zupełnie.

większe, które aż jasność okien zasłaniały. Ci, którzy to widzieli, sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie i już nawet ministrowie podrygali na śpiew francuzki; sama tylko wolność polska nie miała w tém upodobania i wszystkiém tém pogardzała."

Królowa przyprowadziła z sobą także wiele młodych dam francuzkich, jaśniejących powabem i dowcipem, które z właściwą kobietom sztuką twardych Sarmatów na układnych lub sentymentalnych kawalerów przerabiały. Wiele z tych dam honorowych powychodziło za mąż za polskich panów i senatorów. Panna Gordon wyszła za Andrzeja Morsztyna, de Bethune za Jabłonowskiego, margrabianka d'Arquien za Zamojskiego, a powtórnym ślubem za Sobieskiego Jana, przyszłego króla; panna Bessaine za Denhofa, podkomorzego koronnego; de Mailly za Paca, kanclerza litewskiego. Tym sposobem z krwią polską spływała się francuzka, a następnie wyrabiała się i zmiana, jaką we fizyognomii ówczesnych obyczajów spostrzegamy, szczególniéj zaś w najwyższych warstwach społeczeństwa.

Na takim dworze musiała powstać galanterya, pozyskująca względy kobiet, polor zewnętrzny, jakim się wówczas francuzki dwór zalecał, a nawet to, co ważniejsze zapewne za sobą skutki pociągnęło, nieznana dotychczas polityka, zręczność dyplomatyczna, intrygi, a wreszcie większa swoboda towarzyska, która niszcząc dawniejszy rygor i surowość obyczajów, dodawała życiu powabu, ale téż wprowadzała do niego zepsucie i lekkość. Zjawił się także dotąd w Polsce nieznany „punkt honoru," a z nim zagęściły się i pojedynki. Już Morsztyn powiada:

„Ale to prawy szlachcic, co najmniejszą zmazę
Krwią zmyć gotów—tego ja szlachcicem zwać każę."

Odtąd dwór polski i wyższe stany miały już stale te własności i pozór, jaki dawniéj, z wyjątkiem czasów Zygmunta Augusta, na nim się nie pokazywał.

„Mieniał się dwór natenczas, i nie bez przyczyny
Pełen włoskiéj, hiszpańskiéj, niemieckiéj faryny,
Zazdrości ambitny: a za rządem czepców,
Najobfitsze jest żniwo plotków i pochlebców."

pisze W. Potocki o dworze w czasie około 1648 r. do Lipskiego.

Znajomość języka francuzkiego stała się odtąd prawie powszechną między panami, a nawet dostawała się w inne warstwy, szczególniéj między kobiety. Uczono go po wszystkich ówczesnych szkołach. Królowa Marya Ludwika sprowadziła do Warszawy 1654 r. Wizytki, a Marya Kazimira 1668 r. Sakramentki. Oba te zakony zajmowały się edukacyą kobiecą i udzielały jéj najwięcéj w języku francuzkim, ztąd polskie panny zapoznawały się z literaturą francuzką, a to najczęściéj lżejszą.

Takiż sam pozór miał dwór warszawski za Jana III, bo i wówczas jego duszą, a poniekąd i duszą całéj polityki, była jego żona Francuzka. Król sam oprócz innych języków posiadał francuzki i francuzczyzną przeplatał listy z wyprawy wiedeńskiéj pisane do swéj Marysieńki. Cały dwór królowéj, z wyjątkiem panien honorowych, 6 paziów, 6 lokajów i gwardyi, składali Francuzi, lubo Marya Kazimira, od 9-go roku życia

w Polsce wychowana, posiadała język polski i lepiéj nim mówiła niż wielu rodowitych Polaków. Za to królewicz Jakób nosił się po francuzku, był zupełnie zfrancuziały. Francuzki kapucyn, brat Ange, kazał w kościele Sakramentek po francuzku i zachwycał swą wymową królestwo i senatorów polskich.

Większego jeszcze znaczenia nabyła francuzczyzna za Sasów. Królowie ci nie umieli po polsku i bardzo mało po łacinie, konieczność zatém zmuszała do używania na dworze języka francuzkiego, bo niemiecki nie mógł się na nim przyjąć. Odtąd już francuzczyzna stała się wyłącznym językiem dworu i dyplomacyi.

Wtenczas to stało się także powszechnym zwyczajem wysyłanie synów po skończeniu edukacyi za granicę, a mianowicie do Paryża. Jeździli Polacy oddawna w cudze kraje po oświatę i nauki, od XV już wieku począwszy, ale przez długi czas Włochy były celem tych podróży, a zarazem rzeczywista chęć kształcenia się. Byli to ludzie niekoniecznie bogaci, a nawet w największéj części obcym kosztem tam wysyłani, którzy powracali do kraju z obfitym plonem. Późniéj w XVII wieku zwyczaj ten począł ustawać, zagnieżdżająca się w kraju ciemnota nie dawała czuć chęci do wyższego światła. Była to jedna z prezerwatyw, powstrzymująca dostanie się nowéj filozofii i nowych pojęć do Polski. Tylko więc niektórzy ludzie zamożni i z większych rodów wyjeżdżali jeszcze za granicę i to już do Francyi i tam się kształcili, tak np. Opaliński i Morsztynowie.

Z wiekiem XVIII te podróże, jak powiedzieliśmy, znów się zagęszczają, ale teraz inny już ich charakter. Nie chodzi tu już o nabranie gruntownego wykształcenia, którego gdzieindziéj prędzéj niż w kraju nabyć było można, ale o przyswojenie sobie języka francuzkiego i zewnętrznéj ogłady. Takie były cele tych młodych wojażerów. „Po kilkoletniéj podróży, powiada Kołłątaj, wracali oni do kraju nieumiejący o niczém więcéj mówić, tylko o komedyantkach, o teatrach," wprowadzając rozpustę, jaką zarażony był Paryż za czasów rejencyi Ludwika XV. Niektórzy rozsądniejsi posyłali synów do Lunevillu do króla Stanisława, których ten umieszczał w akademii przez siebie założonéj. W XVIII wieku, jak dzisiaj, wiele młodzieży wprzód mówiło po francuzku niż po polsku. Sułkowscy i Mniszchowie od 12-go roku życia dopiero zaczęli się uczyć po polsku, a często i „dorośli kawalerowie" z trudnością tłumaczyli się w ojczystym języku.

Ulegając wpływowi francuzkiemu, zrobiła Polska toż samo, co reszta Europy, nad którą Francya ze znanych z historyi powodów materyalną i moralną władzę, od środka zwłaszcza XVII wieku, rozciągnęła jako naród najwyżéj w cywilizacyi posunięty. Nie brakło do tego w Polsce także i zewnętrznych przyczyn, jak owe podwójne małżeństwo królów z Francuzkami, nieznajomość języka krajowego przez Sasów. Wpływ ten jednakże w epoce, o któréj mówimy, rozciągał się najwięcéj do stosunków politycznych i towarzyskich. Nadał on dyplomacyi polskiéj nowy kierunek, wywołał nawet kilka ważnych zdarzeń w naszéj historyi, jak np. owa niedoszła do skutku elekcya Kondeusza, moglibyśmy nawet powiedzieć, że i wyprawa Sobieskiego pod Wiedeń.

Ta francuzka polityka nienawistną była ogółowi narodu, jako płód zagraniczny i jako wbrew sprzeciwiająca się ustawom narodowym, a nawet zupełnie je podkopująca. Uważano ją na równi z dawnemi radami Kallimacha, które dawał Janowi Olbrachtowi, i z osławionym, choć niezupełnie słusznie, systemem Machiavella. Słyszeliśmy, jak się Pasek o Francuzach wyrażał. Kochowski Wespazyan w „Kamieniu świadectwa" t. j. obronie Jerzego Lubomirskiego, Mazarina i Richeuliego umieścił razem z Machiavellem i Sejanem pomiędzy harpiami i jędzami w Tartarze i tam kazał im knuć spiski na obalenie wolności Rzpltéj, bronionéj przez Lubomirskiego.

Literatura jednak francuzka, właśnie wówczas w rozkwicie swego pseudoklasycyzmu się znajdująca, nie może się podobnym wpływem poszczycić. Wciągu téj epoki zaledwie widać pierwsze początki dalszego jéj znaczenia. Literatura ta musiała się duchowi czasu wydawać niebezpieczną. Oprócz bowiem dzieł posiadających zalety sztuki pięknéj, jak ówczesny dramat i poezya francuzka, posiadała także wiele dzieł filozoficznych i innych oddychających duchem wolnomyślnym, postępowym. Coś podobnego nie mogło się pogodzić z ciemnotą, w jakiéj sobie umysły powszechnie upodobały. Dlatego dopiero natenczas, kiedy sobie zamierzono poprawić wychowanie, obalić przesądy i wprowadzić na drogę postępu, użyto do tego za broń literatury francuzkiéj, rozszerzając jéj znajomość i naśladując ją. Przez 100 lat, pomimo ciągłych związków dyplomatycznych z Francyą, mimo podróży tam odbywanych, mimo pokrewieństw zawieranych z rodzinami francuzkiemi, literatura tego kraju nie wywierała wpływu na naszę, chociaż ta, jako słaba i upadająca, gotową była na przyjęcie wszelkich zewnętrznych żywiołów. Tylko stany wyższe, posiadające język francuzki, znały ją w oryginałach. Ale za to w połowie XVIII wieku stała się wzorem naszym, a jéj naśladownictwo stworzyło nawet epokę całą, zwaną epoką Stanisława Augusta. Tak wielkiego wpływu nie wywarła u nas żadna literatura, oprócz starożytnéj, a ten, którego doznaliśmy od literatury włoskiéj w XVI albo XVII wieku, nie może iść z nim w porównanie.

Wyliczymy tutaj tłumaczy i naśladowców obczyzny, a wogóle tych pisarzy, którzy tworzyli związek z literaturą zachodniéj Europy i w mniejszym lub większym stopniu jéj duchem się przejmowali. Jako pierwszego należałoby tutaj położyć Piotra Kochanowskiego. Może nigdzie nie zhalazł w owe czasy Tasso i Aryost takiego jak on tłumacza, przynajmniéj niemieckie przekłady tych poetów, w kilkanaście lat po polskich dokonane, według świadectwa Gervinusa (*Geschichte deutscher Dichter, III, 117*), nie mają w sobie śladu wysokiego polotu i szlachetności oryginałów. Kochanowski przełożył Tassa *Jerozolimę* i większą połowę *Orlanda* Aryostowego, t. j. 1—25 pieśni, która dopiero przy końcu XVIII wieku przez Przybylskiego została wydaną. Ale tak dla czasu, jak i klasyczności języka, należy Kochanowski do poprzedniéj epoki, chociaż duchem przez te tłumaczenia swoje do obecnéj się zbliża. Seraf. Jagodyński dał także bardzo piękny przekład dramatu: *Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny.*

en-to Morsztyn i w swych lirycznych poezyach przej
kiéj i francuzkiéj poezyi, chociaż im z drugiéj stron
ić wielkiéj oryginalności. Pomiędzy jego lirykami
den wiersz tłumaczony z włoskiego poety Sannaz
*syche*, choć co do treści wzięta z mitologii, napisana
naku. To, co posiadamy z poezyj uchodzących za d
o, są to także same tłumaczenia: *Trzech sonetów* 
*iłości* z tegoż poety i *Tryumfu wiary* z francuzki
szącego na wzór włoskiéj ascetycznéj poezyi. Jerz
żył *Pastor Fido* z Gwaryniego (1695), przy którym
aczenie romansu p. t. *Piękny Polak* z Prechac'a,
rzez X. Ossolińskiego. (Historya miłostek Agnulfa
aw Potocki przełożył słynny w swoich czasach a
zny romans Johna Barclaya *Argenis* i napisał w du
anicznych poemat *Syloret*. *Telemak* Fenelona znalaz
błonowskim woj. rusk. (1726). Minasowicz przeło
*ryzeldy* z Bokkacyusza. Kochowski w swém: *Dzi*
*ie Sobieskiego pod Wiedeń* zapatrywał się widoczn
rzez Kochanowskiego *Jerozolimę* Tassa.

Ze samych tytułów tych dzieł, z których niej
st znane, i z kategoryi, do któréj one należą, możn
rzez nie nowy żywioł wpłynął na literaturę polską
ianowicie jest romantyczność, która stanowiła głów
nownego i umysłowego średniowiecznéj Europy,
XVII w. się dostała. Zjawiały się wprawdzie ju
óre jéj płody: jak np. „Historya o siedmiu mędrcac
owy Marchołta z królem Salomonem jeszcze 1521 r.,
użyć jako literatura dla klas niższych, i rzeczywiści
ścić sobie nie mogły. W XVII zaś wieku najznak

w układnem urojeniu i w obudzeniu zajęcia cel swój artystyczny zakładając. Staje się ona przyjemną literaturą, rozbudzającą ciekawość i zajmującą umysł przez wystawienie dziejów serca ludzkiego, mniéj więcéj wspólnych całemu ogółowi. W takich obrazach namiętność i wynikające z niéj cierpienia albo kary najgłówniejszą grają rolę, pomiędzy namiętnościami zaś—ta, która jest powszechną niemal, t. j. miłość. Dotąd w literaturze rzadko ona była przedmiotem poetów, a ci, którzy jéj czasami poświęcali swe pióro, nie sięgali nigdy do dna téj namiętności, dotykali jéj zlekka w sielankowym lub sentymentalnym sposobie. Tak śpiewał J. Kochanowski o swojéj Hannie, tak w kilku wierszach Sępa Szarzyńskiego nakreśliło się jego uczucie. Ale bo też w podobny sposób było z miłością i w życiu; owego uwielbienia dla kobiety, jakie duch rycerski na Zachodzie w umysły wpoił, u nas nie znano zupełnie—chłodniejsza strefa, życie sielskie lub obozowe, wreszcie brak estetycznego wykształcenia, które z duszą zarówno rozwija i zmysłowość w człowieku, nie rozpalały serc namiętnością, jak pod gorącém niebem Italii, pośród licznych a ludnych miast, gdzie więcéj podaje się sposobności do towarzyskich stosunków i do zepsucia. Ani platonizmu Petrarki, ani furyi włoskiéj, ani francuzkiéj galanteryi u nas nie znano. Miłość pojmowano tylko jako przywiązanie rodzinne w małżeństwie, jako lekką zalotność dla zaskarbienia sobie względów i wzajemności przed ślubem. Nie wpływała ona bynajmniéj na losy człowieka, bo nikt nie oddał się jéj całą, że tak powiem, duszą swoją. W dziejach innych narodów znajdujemy rozmaite przykłady téj do wysokiego stopnia wygórowanéj namiętności, pełne dramatyczności, a nieraz i nieszczęść; u nas parę zaledwie zdarzyło się podobnych wypadków i te przeszły w swych czasach niepostrzeżenie, bez sympatyi ogółu. Po większéj części nawet są one utworem późniejszych tradycyj i bliższe zapoznanie się z historyą coraz więcéj każe nam wierzyć, że w nich niekoniecznie serce i namiętność główną odgrywały rolę.

Teraz dopiero przez naśladownictwo obcéj literatury stała się miłość przedmiotem natchnienia poetów i na kartach poezyi XVII wieku wiele zabiera miejsca. Z nią razem pojawia się także w piśmiennictwie i kobieta, o któréj milczała prawie literatura XVI wieku, zajmująca się sprawami polityki i religii.

Od wieku zatém XVII datuje się u nas początek romansu i w tym to czasie przybywa ten nowy rodzaj poezyi do naszéj literatury. Te najpierwsze romansy są po największéj części tłumaczone lub naśladowane i posiadają barwy zupełnie obce. Pomimo tego doszły widać prędko do wziętości i wielu znajdywały czytelników. Przekonywują nas o tém kilkakrotnie nieraz powtarzane wydania, a niektóre świadectwa współczesnych, szczególniéj księży, którzy na podobną lekturę ze zgrozą patrzyli i naprzeciw niéj powstawali.

Jeżeli sobie przypomnimy, jaki był stan obyczajów w Polsce właśnie w téj epoce, ulegającéj tak bardzo wpływowi włoskiemu i francuzkiemu, który się nawet bezpośrednio udzielał przez napływ tych cudzoziemców do Polski, a szczególniéj na dwór królewski, wytłumaczymy sobie łatwo, dlaczego romans znalazł prędko tak licznych zwolenników, a szczególniéj zwolenniczki. Poniekąd ludzie ówcześni, a miano-

wicie z klas wyższych, żyli już w podobnych stosunkach, jakie romans opisywał, poniekąd zaś uważali je za swój ideał, albo téż cel swych pragnień.

Ideał ten jednakże, jeśli go będziemy mierzyć skalą dzisiejszych wyobrażeń, niezupełnie odpowiadał wymaganiom moralności. Romantyczność zawsze to posiadała do siebie, że obok wysokiéj idealności i wygórowanego sentymentalizmu, również prędko spadała na ziemię i bratała się z materyalizmem. Szczególniéj zaś prawo namiętności uchodziło w jéj oczach za najwyższy kodeks moralny, podług którego wszelkie winy i grzechy, których powodem była namiętność, łatwo zyskiwały przebaczenie, a nawet podnoszone były do rzędu zasług i heroicznych czynów. Taką moralnością rządzą się np. owe średniowieczne poemata rycerskie, których bohaterowie, podobnie jak w niektórych romansach i dramatach francuzkiéj literatury naszego wieku, powinni być, jak ktoś powiedział, na końcu odprowadzeni przez żandarma do domu poprawy. Cervantes, chcąc wyszydzić owe rycerskie poemata, genialnym instynktem obok Don Quixota postawił, że użyję tu dawnego wyrażenia, „sprośnego a grubego" Sancho-Pansę—jest on nietylko kontrastem owego awanturniczego ducha rycerstwa, ale oraz jego odwrotną stroną medalu.

Daleko niżéj jeszcze pod względem moralności od tych rycerskich poematów stoją nowelle i powieści, które, od Boccacia począwszy, wywołał duch sceptycyzmu i realnego zapatrywania się na stosunki tego świata. Literatura hiszpańska, włoska i francuzka posiada legiony podobnych utworów, które lubują sobie w skandalicznych przygodach i w cynicznéj nagości, z jaką kreślą obrazy z rzeczywistości zdejmowane. Sąd w téj mierze nie do nas należy — dzieła podobne pisali nieraz geniusze, jakich dziś rzadko napotykamy— ludzie ówcześni nie gorszyli się ich płodami, musiały więc być zgodne z duchem swego czasu—a nie można im zarzucać, że wystawiali w całéj jaskrawości kolorów toż samo, co dzisiejsze piśmiennictwo w półcieniu zostawia, albo otacza pewną mgłą ułudy. Wykształcenie moralne i estetyczne uduchowniło późniejsze pokolenia do tego przynajmniéj stopnia, iż chociaż w krainie wyobraźni szukają idealniejszego świata.

Podobnego rodzaju żywioł dostał się w XVII wieku do naszéj literatury. Płody, które na tym gruncie wyrosły, posiadają téż cechę owéj fantastyczności rycerskich czasów, jak cynizmu owych nowel i romansów. Rzecz w nich dzieje się zwykle gdzieś w dalekich krajach Południa lub Wschodu. Tém odznaczają już one swoje cudzoziemskie pochodzenie, a zarazem trzymają się przez to wiernie romantycznych tradycyj, które scenę działania lubią przenosić w strony nieznane. Pojawiają się w nich i zaklęte księżniczki i rycerze błądzący dla przygód po cudzych krajach, albo pod szatą prostego szlachcica lub człowieka z gminu ukrywający swe książęce pochodzenie. Mitologia plącze się z rzeczami świętemi; bohaterowie, pełni zasad chrześcijańskich, wzywają jednak starożytne bóstwa i modlą się w ich świątyniach. Miłość, w tych romansach opisywana, bywa zwykle zmysłową żądzą: kawalerowie i damy oddają się ślepo namiętności i przez to sprowadzają na sie-

bie nieszczęścia i kary. Poeci lubują sobie w opisach piękności kobiecéj, w których zwykle strona zmysłowa bywa podnoszoną. W podobnych razach, albo też w scenach z natury swojéj więcéj drażliwych, gonią widocznie za plastycznością i wykończeniem drobnostkowém obrazów. Wprawdzie mają oni zawsze sens moralny na oku i winnych zawsze przy końcu dosięga Nemezis, ale przez to nie zmniejszają wrażenia, jakie się odnosi przy czytaniu. Nuży przytém nieraz pewna rozwlekłość, a ten sposób pisania pokazuje, że sobie także przyswojono powszechną pod owe czasy, choć zupełnie fałszywą, w zagranicznych poetykach regułę, że poezya jest malarstwem w słowach.

Taki jest mniéj więcéj charakter tego nowego w literaturze polskiéj nabytku. Każdy prawie ze znakomitszych poetów tego czasu uległ temu naśladownictwu. Gust do niego wniosło do Polski kilku ludzi, którzy jeżdżąc za granicę i posiadając obce języki, zasmakowali w obcych literaturach. Zdaje się nawet, że niektórzy robili to w najlepszym zamiarze i chcieli dopomódz upadającemu w kraju piśmiennictwu, zasilając je nowemi żywiołami. Możnaby nawet sądzić, tworzyli oni pewną szkołę nowatorów, do któréj należeli szczególniéj Morsztynowie i Grotkowski. Literatura włoska, tak świetna pod owe czasy, i francuzka, która wkrótce także doszła do rozwoju i znaczenia, mogły im podać myśl, aby je postawić za wzory do naśladowania wtenczas, kiedy literatury starożytnéj naśladować już nie umiano, a podług zwietrzałych jéj tradycyj tworzono hojnie bez życia i barwy.

Po części zamiary ich odniosły skutek, szkoła ta wydała kilku znakomitszych ludzi, a Andrzéj Morsztyn należy bezwątpienia do najlepszych poetów tego wieku i zajmuje miejsce tuż obok Wacł. Potockiego. Nie można jednak tego powiedziéć o jéj p ł o d a c h, a mianowicie o tych pisarzach, którzy nie posiadali genialności Morsztyna. Ograniczyli się oni na samém tłumaczeniu lub naśladowaniu, zostawili kilka romansów podejrzanéj wartości, których przeznaczeniem jedynie było zabawić lubowników ówczesnéj belletrystyki—zresztą nie utworzyli nic oryginalnego ze wzorów, które mieli przed oczyma, nie wzięli bynajmniéj pochopu, aby w podobny sposób przedstawić życie narodowe i jego stosunki, czyli nie utworzyli bynajmniéj narodowego romansu.

Wprawdzie niektórzy z tych poetów, a mianowicie Wacł. Potocki, w tłumaczeniach swoich przemieniali niektóre rzeczy na sposób narodowy, ale to tylko co do języka, w którym używali wyrażeń czysto swojskich, będących nieraz rażącemi anachronizmami w powieści zupełnie niemającéj nic z Polską wspólnego, albo w epizodach, gdzie poruszali kwestye swego czasu i narodu. Tak postąpił Potocki w tłumaczeniu *Argenidy*, tak Morsztyn Andrzéj wmieszał do historyi *Amora i Psychy* królowę Maryę Ludwikę i jéj zamiary polityczne względem przekształcenia elekcyi.

Oprócz téj nowéj treści i ducha przybyły także przez to naśladownictwo literaturze naszéj nowe formy poetyczne, a mianowicie w budowie zwrotek. Dawniéj używano prawie jedynie strofy czterowierszowéj. W XVII wieku znajdujemy jaknajrozmaitsze strofy, które utworzyła poezya romantyczna; jako to: tercyna, sonet, sestina, a najwięcéj

tak jak niegdys klasyczność jawnie i głośno za wz
mimo to istniała i wpływ swój wywierała. Z teg
stanowiska wypadło, że często mieszała się z klas
tego są pojedyncze dzieła, w których nie można śc
waża, czyli wzory zachodniéj literatury, czy téż rz
cesarstwa. To połączenie było tém łatwiejsze, że
kan w niejednym punkcie stykają się z romantycz

Tak samo w obiorze drogi nie są zdecydow
scy: jeden i ten sam raz idzie za dawnemi tradycy
wą szkołą. W tém wszystkiém panuje pewne po
rackich, które bardzo charakteryzuje tę epokę. N
stanowczą, dlatego nigdzie nie dosięga doskonałośc
ktyzm literacki, z rozmaitych żywiołów zlepiając
swych części dobrze spoić nie może. Dodajmy do
wdziwie narodowy i swojski, przedstawiający się
checczyźnie i w oryginalnym jéj charakterze, tak
epoce, dopominał się także o swoje prawa, a będzi
nie o tém zamieszaniu umysłowém i różnolicowości
równaniu z poprzednim okresem, który mało wyda
nych jak Rej np., narodowość charakterystyczniéj
turze téj epoki.

Stało się to przez tę wolność wyboru, o kt
przez to, że wistocie nie uznawano żadnych praw
tycznych. W takim stanie rzeczy żywioł narodow
krępowany, robił sobie miejsce w piśmiennictwie i
pewną oryginalność, dosyć dziwaczną z pozoru, ró
ta epoka, pod rozmaitemi wpływami wyrosła.

Mamy tu na uwadze najwięcéj, jak w téj li
charakter szlachty. Nie wiele mamy pojęcia, jaki
kiem XVI, bo dawniejsza literatura ...

rozwinęły się w sposób więcéj oryginalny. Dlatego to wyobraźnię poetów i romansopisarzy bieżącego stulecia uderzyła szczególniéj ta właśnie epoka, bo w dziełach jéj literackich znaleźli najwięcéj dla siebie materyału, bo sama siebie najlepiéj skreśliła. Jest-to wielkim dowodem, że życie jéj było pełne kolorytu i szczególniejszego charakteru. Dlatego w téj tylko epoce mogła powstać taka *Wojna Chocimska* Potockiego, która nie wypełnia wprawdzie warunku epopei, ale z prawdziwie epiczną wiernością kreśli rycerskiego ducha narodu. Toż samo można powiedziéć o *Pamiętnikach Paska*; stały się one niby nasieniem i prototypem tych licznych utworów, w których poeci nasi ostatnie czasy Rzpltéj swém natchnieniem ożywiali.

Języki tych literatur, które z mniejszą lub większą doniosłością wpływały na piśmiennictwo polskie, wkrótce zaczęły działać, i to szkodliwie, na nasz własny język, kiedy mieszano obce wyrazy i całe frazesy do mowy ojczystéj.

To mieszanie języków nazwano makaronizmem, chociaż nazwa ta właściwie cokolwiek inne ma znaczenie.

Makaronizmy powstały we Włoszech przy końcu XV wieku. Ich twórcą był szczególniéj Don Teofilo Folengo, awanturnik, który dla jakiéjś kobiety uciekł z klasztoru i po 10 latach znów do niego powrócił. W tych prawdziwych makaronizmach mieszano wyrazy złacińszczone narodowéj mowy z rzeczywiście łacińskiemi, w celu wywołania komicznego wrażenia „dla śmiechu" (*causa ridendi*), jak powiada ich twórca Folengo. U nas jedynym płodem takiéj makaronicznéj poezyi jest *Macaronicon* Jana Kochanowskiego. Włosi i Francuzi mieli wielu poetów, którzy w tym rodzaju pisali.

Kołłątaj powiada, że makaronizmy powstały u nas za Stefana Batorego, który, nie umiejąc dobrze po polsku, łaciną sobie pomagał. Za nim poszli i inni, naśladując może przez pochlebstwo monarchę. To zdanie powtórzył i Maciejowski i zdaje się, że ma ono wiele słuszności. Przykład monarchów, nieumiejących po polsku, jak Batory i Zygmunt III, mógł bardzo wielki wpływ wywierać na ludzi mających z dworem jakąkolwiek styczność. Wiele do tego przyczyniło się i wychowanie szkolne, gdzie po łacinie studentom nawet między sobą mówić kazano i uczyć się na pamięć rozmaitych ustępów z autorów rzymskich. Język łaciński obracano na użytek praktyczny, mówiono nim i pisano w szkole i urzędach,—cóż więc dziwnego, że każdy miał zawsze na podorędziu gotowe frazesy lub wyrażenia techniczne. W wieku XVII wrócono się także do filozofii scholastycznéj, która posiadała właściwy sobie język na oddanie wszystkich swych subtelności i dziwactw. Podobne termina trudno było na polskie przetłumaczyć, a że filozofia ta zawładnęła bardzo umysłami, a ludzie, którzy się jéj albo na niéj opartéj teologii oddawali, nie umieli prawie myśléć, tylko według podanych formuł; ztąd i w ich piśmie odzywają się ciągle reminiscencye scholastyki i retoryrycznych prawideł, wypowiedziane językiem pełnym téj uczonéj łaciny.

Przez zaznajomienie się z literaturą włoską i francuzką również napłynęły do naszego języka różne wyrazy cudzoziemskie, od czego nie są wolni najlepsi nawet tych czasów pisarze. Tak np. znajdujemy

ıdał nasz język. Dodajmy do tego, że w wielu kl
wykluczony był prawie zupełnie i zastąpiony łaci
ną—pozostał więc tylko w ustach ludzi stanów naj
ısy literatury bynajmniéj nie wpływali i języka ks
e z tego nastąpiły skutki, pokazały dokładnie ostat
panowania Sasów.

„Za zepsuciem i znikczemnieniem mowy—powiada
nastąpić nikczemny styl, zaczém wstręt do czytania
awanych; wstręt czytelników zrażał pisarzy od pr
ıbcych; przyszło nakoniec do tego, że mowa polska
ń, do pism mistycznych (t. j. ascetycznych), do paneg
lnych lub pogrzebowych, na sejmikach i sejmach, i
się widziéć jakie liche tłumaczenia dzieł obcych."

To jednak należy zauważyć, że stosunkowo wiers
zarażone makaronizmem niżeli proza.

---

Czasy, o których mówimy, były wogóle w całéj E
szczęśliwe dla poezyi. Upadła ona we Włoszech
c podobną jak nasza przybrała barwę; w Hiszpanii
ezentowany przez Kalderona, utrzymywał jéj sławę
ıaniu z temi krajami świetniejszą miała poezyę, ale
ırównaniu z czasami, które wydały Szekspira; je
éj sława literacka zaćmiewała wówczas wszystkie in
ierem i twórcami swéj klasycznéj tragedyi. Tém wi
polską mógł ten los smutny spotkać, gdy wszystki
kich kraj się wówczas znajdował i jakie na ducha pis
lnie były jéj rozwojowi przeciwne.

Dwie są szczególniéj wady, które nas uderzają w te
fantazvi i skażony ...

kiedyś wielkiego ducha pokrywała, tchórzliwe schlebianie opinii, aby pod egidą uznanéj powagi zaskarbić sobie jéj łaski i ukryć własną swą małość.

Do porównań szukają ówcześni poeci przedmiotów jaknajosobliwszych i nieznanych, najnieodpowiedniejszych zatém swemu celowi i zużytych oddawna w starożytnéj poezyi i w bezustanném naśladownictwie. Nie rzeka w ogólności, albo jaka krajowa, ale Nil, Tyber i t. p. służą do porównań. Toż samo Alpy, Bałkany, góry Rodopy—nie mówiąc już o Marsach, Bellonach, Minerwach, Scypionach, Kamillach, ile razy męztwo lub wojna są opisywane. Powstawali na to nadużycie niektórzy lepsi poeci, jak np. W. Potocki w swéj fraszce p. t. „Na uczone wiersze:"

„Wolę prawdę powiedzićć, a ile gdy mi się
Wstydzić za to nie trzeba, zacny wierszopisie.
Chwalą inni twe rymy, lecz to wzgrześć (?) na Żyda,
Gdy mi się taki koncept ni na co nie przyda,
Którego nie rozumiem: same tylko Sparty,
Troje, Rzymy, Kartagi, twoje mają karty,
I starych i nowych pism i świeckich i świętych,
Tajemnice sekretów człeku niepojętych.
Że mię czasem weźmie chęć ku ich czytaniu,
Jakbym téż na niemieckiém gdzie siedział kazaniu."

Ale nie odniosły skutku podobne nauki, nie wstrzymały powodzi takich „uczonych wierszów," nadzianych erudycyą do przesytu.

Wyobraznia tych poetów widocznie pracuje nad tém, aby szukać poetycznych przenośni jaknajdaléj leżących od przedmiotu lub myśli, którą wypowiedzićć pragną. Chcąc ich nieraz zrozumićć, trzeba przejść w głowie całą skalę tak zwanéj assocyacyi idej, często zaledwie słabém podobieństwem zbliżonych do siebie, i rozwić ze szaty próżnych słów i wyszukanych obrazów ukryte w niéj prozaiczne zdanie. Np. gdy Twardowski chce powiedzićć (w Pałacu Leszczyńskich) że nauki znajdą w Leszczyńskim opiekuna, tak się wyraża:

„O jestli z nich (z uczonych) który,
Kto na godność i Muzy wzgardzone się skarży,
Tu im pole, tu i czas niedługi to zdarzy,
Że zakwitną Himerty, że wzbierze i ona
Wdzięczna Tempe za wodza tego i patrona."

Najprostszéj okoliczności nie wyrażą oni poprostu i zrozumiale. Chcąc powiedzićć, że już rano, pisze Twardowski:

„A gdy szumny Faeton pierzchliwe dzianety
Do słonecznéj w Eoo założy karety,
Jedzie książę..."

albo:

„Już po trzykroć słonecznych dostawa promieni
Złota Febe i szczupłą w zupełną twarz mieni."

ma oznaczać, że już trzy miesiące upłynęło. Jeżeli opisują przepych i wspaniałość, zaraz bogactwa Indyj i Wschodu dostarczają im poró-

Działa z murów ...
Różne insze palone, w same aż obłoki
Pałające Bufony i straszliwe węże
Po powietrzu strzelały, żarem się rozlęże
Głos w Garamantydzie słyszemy daleki:
Niech żyje król Kazimierz i przeżyje wieki
Trojakie Nestorowe!..."

Toż samo co mówimy o szczegółach w wysłowieniu
yeznych, musimy powtórzyć o całości większéj cz
natów. W ich kompozycyi niema prawie śladu art
ci. Nawet u najlepszych poetów, w których nie ra
k, ani owe górnolotne fantazye, jest ona zupeł
najlepszym razie trzymającą się toku historyczneg
ajmniéj, aby sztukmistrz-poeta położył swą rękę na
e, aby rzeczywistość przeniósł w świat idealny i w t
który jest niezbędnym warunkiem i cechą każdéj s

Inni czynią jeszcze gorzéj. Albowiem silą się na t
ś świat poetyczny, kiedy sił potemu nie posiada
najniesmaczniejsze allegorye, przenoszą się w t
, że wyobraźnia czytelnika, nie mając o nich wyob
h stosunków życia i z rzeczywistości, z trudem i p
lo nich dostać. Dowcipnie nakreślił Kołłątaj pod
azyę, chociaż miał na myśli najwięcéj panegiryk
ogołu ówczesnéj poezyi zastosować się dadzą: „...za
śnić dowcipnemu poecie. Postrzegł on potém na ja
znaczył albo imieniny, albo ożenienie jakiego Mece

Epoka ówczesna nie posiada żadnego ideału piękn
mówiliśmy już jakie pod tym względem pano
archia. Nie dostawało jéj także głębszéj myśli,
zaniedbane, zdrowszéj filozofii nie znano, a sch
... ... poglad na świat i życie. Po

czów—a mimo tego jakaś niedołężność w wypowiedzeniu tych myśli i uczuć, jakiś brak twórczości, zdolnéj nadać temu wszystkiemu niepożytą formę. Zapewne inny był wówczas kodeks estetyczny, podług którego oceniali się poeci: szum stylu, zamaszystość udająca siłę, nadmiar porównań i aluzyj udających erudycyę—wszystko to musiało udawać bogatą poezyę, gardzącą śpiewem więcéj snutym z rzeczywistości jaka otaczała poetę, a zatém więcéj prostym i naturalnym... Cała niemoc ich w tém, że jak Kochowski tak i inni żyli głową w świecie książkowym, co zaś w sercu brali z otaczającego ich społeczeństwa, to się zaledwie przecisnąć mogło przez gotowe formułki reminiscencyj klasycznych"—a my dodamy, że dlatego, ponieważ ta głowa w świecie książkowym żyjąca nie szukała w nim prawdziwego światła i błahe błyskotki przenosiła nad drogocenne kamienie, gdy po to z większą pracą do saméj głębi sięgnąć było potrzeba.

Tym sposobem poezya przestała być wylewem serca i natchnienia, bo to nawet było krępowane fałszywie zrozumianemi prawidłami i dziwotwornėm pojęciem o sztuce. Jest ona teraz niby uczoną igraszką, bo nie posiada prawdy żywotnéj w sobie.

Być może, iż do téj przesady fantazyi przyczyniło się także obznajomienie się z poezyą południowych narodów. Ta bowiem odznacza się właśnie przed innemi bogatą wyobraźnią poetów, nieraz nawet poświęcających dla niéj inne przymioty estetyczne. Przypomnijmy tu sobie tylko owe dramata hiszpańskie, znane powszechnie z kilku przekładów w naszym języku—ileż tam traci nieraz plastyczność dykcyi, zwięzłość i sama nawet dramatyczność przez to, że poeta rozpuszcza wodze swéj fantazyi i szybko z jednego obrazu w drugi przelatuje. Ponieważ literatura włoska wielkiego wówczas wszędzie używała znaczenia i także była powagą, mogli sobie jéj polscy naśladowcy pomyśléć, że należy zdążać za nią w też tropy. Ale nie wszystkim wszystko wolno—bujna fantazya, wrodzona tamtym z natury, odmówiła naszym poetom swych skrzydeł i, jak każdy bezskuteczny i nad siły zapęd, popadła w karykaturę i komiczność.

Z większą pewnością można twierdzić, że filozofia scholastyczna, dewocya i bigoterya, pod których wpływem wielu także pisarzów zostawało, była jednym z powodów do tego wypaczenia wyobraźni. Ten to duch pietystyczny podał i poezyę w służbę źle zrozumianéj religii, sądząc, że i wiersze i mitologia pogańska powinny służyć *ad majorem Dei gloriam*. W tym sensie pomieszał on myty starożytne z obrządkami i dziejami kościoła chrześcijańskiego, jakby chcąc pierwsze przez drugie uświęcać. W tym to dopiero okresie dedykowano swe dzieła N. Pannie — albo też pisano poemata jak ten np., którego twórcą jest jeden z najlepszych poetów, Kochowski, pod takim tytułem: „Ogród panieński pod sznur pism św. doktorów kościelnych, kaznodziejów prawowiernych wymierzony, a kwiatami tytułów Matki Boskiéj wysadzony, przez jednego najbliższego téj Matki i Panny niewolnika." Ale nietylko że znamię religii chciano wycisnąć na rzeczach najbardziéj świeckich, ale i naodwrót rzeczy całkiem trywialne i stosunki całkiem ludzkie mieszano tam, gdzie była mowa o tajemnicach i prawdach wiary. Dlate-

go powszechnie duchowieństwo ówczesne odznaczało się nawet w ka zaniach podobnemi wybrykami myśli i zboczeniem z drogi zdroweg rozsądku, rozszerzając te wady w umysłach ogółu. W. Potocki o pod bném kazaniu dowcipną napisał fraszkę:

*Białe konie.*

Grzebiąc szlachcica, co się starym białym koniem
Pieczętował, siła ksiądz dyskurował o nim,
Siła cnot, siła ... ał sierci
Przymiotów. ... godziny ćwierci,
Gdy sześć tak ... sprzęgał pojedynkiem,
Widzę w Rydw ... spody rynkiem.
I rzekę do ich ... rozśmieję:
Czy nie wyści ... złodzieję?...
Jeśli wam są n... ada, panie,
Kazać to dla j... ać kazanie.

O podobném kaza... W. Potocki w fraszce p. t. Kol da, gdzie proboszcz róż... onie rozdaje na kolędę. I tak: kr lowi konia Daryuszowe... e, królem swego pana uczynił szlachcie konia Trojans... go wyszło tylu bohaterów—żołni rzom konia św. Jerzego i t. p.

Moglibyśmy tu więcéj jeszcze przytoczyć przykładów, jak np. r zbierano słowa Pisma św. na pojedyncze wyrazy i do każdego z nic przywiązywano wyszukane znaczenia, wzięte z najpospolitszych rzecz lub wydarzeń. W podobny sposób ascetyka ówczesna bujała po falac fantazyi, puszczając ją samopas i tworząc śmieszne dziwolągi. Jeże tak było w prozie i w kazaniach, daleko gorzéj jeszcze, gdy podobna rę chwyciła za pióro do pisania wierszy i oddała się całkiem swemu n tchnieniu.

Ta wada przesadnéj fantazyi wspólna jest prawie wszystkim po tom, z wyjątkiem może W. Potockiego i Morsztyna. Morsztyn unikną jéj, zaprawiwszy gruntownie swój smak na literaturach zachodnic i władając po mistrzowsku rodzimym językiem. Potocki zaś posiada ogromną siłę poetyczną i choć nieraz zbyt się dał unieść fantazyi, zapę jego, choć zagórny, nie był przecież ciężkim, ani chromym, bo miał za wsze tyle myśli w zapasie, że mógł wypełnić niemi najszersze nawe obrazy.

Oprócz wspomnionych poetów, którzy czynem dowiedli prawdzi wszych pojęć o poezyi, byli zapewne i inni, czujący żywo jéj poniżenie Wymienię tu tylko Łukasza Opalińskiego, marszałka nadwornego kor ponieważ zalety jego pod tym względem nie były dotąd, o ile wiem przez nikogo podniesione.

Opaliński był znakomitym swego czasu politykiem i statystą, po siadał rozległą i gruntowną naukę; pisał np. dzieła językiem greckii i znał hebrajski. Dowiódł także, jak rozsądne i prawdziwe posiada wyobrażenie o poezyi. Widząc bowiem mnóstwo ówczesnych wierszo kletów, ludzi bez nauki i natchnienia, a zasypujących świat swemi ra *motami*, ujął się za godnością poezyi i napisał niewielkie dzieło p. t

Poeta, mające wykazać, komu właściwie ta zaszczytna nazwa się należy.

Ale jak prawie wszystkie najlepsze utwory tych czasów, i „Poeta" Opalińskiego zaległ w rękopisie gdzieś na półkach bibliotecznych i dopiero przy końcu XVIII w. został w druku wydany. Wiersz ten tyle zawiera zdrowych rad i wyższych poglądów na poezyę, że i dzisiaj możnaby je powtórzyć, a nawet do pewnego stopnia zastósować. Dziwić się tylko wypada, dlaczego nikt dotąd nie zwrócił na nie uwagi i nie oddał Opalińskiemu należytéj pochwały, zwłaszcza, że jego „Poeta" nawet jako utwor poetyczny niemałe posiada zalety i sprawdza to, co autor sam o sobie powiedział:

„Atoli przecie podobno rozumiem,
Że przeczytawszy przyznają, że i my
Możem mićć miejsce między pisorymy."

Opaliński bowiem pisząc, jakim poeta być powinien, wyręcza go niby w pracy i sam kreśli to zapały miłosne, to zapasy wojenne, to ostrą satyrę na stan polityczny kraju, to wreszcie unosi się wyższém religijném natchnieniem. Zaczyna:

„Któżkolwiek z was jest, co poetą słynie,
Komu udatny rym jak zechce płynie,
Kto piórem leje, tak że mu uczony
Wiersz snadno idzie i nie przymuszony,
Zdrów niechaj pisze i wieniec laurowy
Niech ma (pozwalam) koroną swéj głowy,
Jednakże przecie niech wie, że téż i my
Możem mićć miejsce między pisorymy.
Tegoć nie pomnę, bym Helikonową [1])
Wodę miał pijać, albo Parnasową
Górę nawiedzał, gdzie kto przemieszkiwa,
Choć nic nie umie, snadź poetą bywa.
Nie znam się nawet i z temi Muzami,
Które tych wszystkich czynią poetami,
Co ich wzywają. Ja to mam za baśnie,
Aby co darem przyjść mogło i właśnie
Jakobyś znalazł. Za pracę Bóg dawa
Wszystko, jako to ktoś mądry przyznawa.
Chyba żeby ten miał być pisorymem,
Co sobie głupiéj fantazyi dymem
Głowę zaraził i już tak rozumie,
Że wiersze pisać bardzo dobrze umie;
A on nieborak płonne chwyta słowa,
Z których pochodzi próżna sensu mowa,
Jedno się zgoła drugiego nie dzierzy,
Choć wiersz nie równy niemal nicią mierzy,
I acz na palcach syllaby rachuje,
Próżno się jednak biedzi i morduje,
Próżno łeb drapie i coraz zębami
Strzyże paznokcie nad złemi wierszami." i t. d.

---

[1]) Naśladowanie Prologu Perzyusza.

Do uzupełnienia tego, co tu o poezyi mówimy, należy nam jeszcze dodać kilka uwag o ogólnym charakterze pojedyńczych jéj rodzajów, jaki w téj epoce przybrały.

Prawdziwej *epopei*, w homeryczném jéj znaczeniu, nie posiada nasza literatura, tak jak i inne literatury zagraniczne, z wyjątkiem może niemieckiej, która swoje *Niebelungi* kładzie obok *Iliady*. Epopeja bowiem tworzy się tylko w zawiązkach narodu, w czasie jego młodocianéj naiwności. Narody czują wtedy, że podstawą ich społeczeństwa musi być sprawiedliwość, ład, [illegible] dobro jedném słowem. Z drugiéj strony wiedzą one, że te[illegible]bry staczać musi walkę z namiętnościami i interesem [illegible] najwięcéj uderza ich oczy w dążnościach ludów ni[illegible] i wrogich. Za przewódzców i za symbol téj walki tw[illegible] bohaterów, bez których epopeja istniéć nie może. P[illegible]stwo przychodzi do samowiedzy i występuje do téj wa[illegible]się jako abstrakcyjny ogół—jako naród bohaterowie [illegible] epopeja przechodzi w historyę. Jeżeli więc zdarzy s[illegible] już historycznych pokażą się usiłowania poetyczne na[illegible]brać muszą koniecznie barwę i krój historyczny.

Coś podobnego zdarz[illegible] w téj epoce. Jako charakterystyczną bowiem różnicę jéj od czasów dawniejszych, spostrzegamy to, że poezya jéj obfituje w utwory, które mają intencyę uchodzić za poemata epiczne.

W XVI wieku nie znajdujemy zupełnie podobnych poematów, początek ich datuje się dopiero od XVII w. Badając przyczynę tego zjawiska, tłumaczymy je sobie z powodów historycznych. Okres złoty naszego piśmiennictwa przypada na czasy, które się również w historyi trwałym prawie pokojem odznaczają, a jeśli zdarzyły się wojny, nie dotykały one tak bardzo interesów narodu, prowadzone były gdzieś na kresach Rzpltej —nie były walką o istnienie narodowe, albo też bojem dwóch wrogich sobie pierwiastków, dwóch narodów przeciwnych sobie pochodzeniem, religią, zwyczajami, z których każdy przeciwnika zgładzić usiłuje, by zapewnić zwycięztwo swéj idei. Podobnych prawdziwie epicznych walk dwóch niezgodnych żywiołów wtenczas nie było. Inaczéj mają się rzeczy w wieku XVII. W tym czasie prowadzi Polska wojny, które posiadają wszelkie warunki, aby stały się przedmiotem epopei—w wojnach tych zazwyczaj chodzi o jéj byt moralny i narodowy, i są to wojny na ogromne rozmiary. Przypomnijmy sobie z historyi, że od wieku XVII zaczynają się właśnie zapasy z Turcyą—wojna chocimska za Zygmunta III—zajęcie przez Turków Kamieńca za Korybuta—zwycięztwa Sobieskiego pod Chocimem i Wiedniem—oto znaczniejsze i pełne poetyczności jéj epizody. W tym samym także czasie weszła Polska w nieprzyjazne i niebezpieczne stosunki ze Szwecyą. Po dwakroć Szwedzi, różni zupełnie pochodzeniem i wiarą, zalewają całą prawie Polskę i zdaje się, że już ją ujarzmią! A wreszcie podobnéj natury są i wojny z kozaczyzną. One bowiem niszczyły porządek socyalny w Rzpltéj; szlachta i pisarze polscy uważali je zawsze za bunty chłopów, pragnących się wyłamać z poddaństwa. Budziły więc one wiel-

kie zajęcie w umysłach, bo oprócz niebezpieczeństwa, jakiém rzeczywiście groziły, zwycięztwo w nich otrzymane miało rozstrzygać, czy się utrzyma Rzplta w takim stanie w jakim jest, lub czy ze szkodą panującéj klasy nie przybierze innéj postaci. Podobnie jak w tamtych zewnętrznych, chodziło i w tych „domowych wojnach" o kwestyę bytu, a występowały w nich dwa przeciwne pierwiastki.

Nic więc dziwnego, że podobne wojny o wiarę z nieprzyjaciółmi krzyża, o istnienie polityczne lub o przewagę jednego stanu nad drugim, a które nadto sięgały nieraz od jednych granic Rzpltéj do drugich i w podstawie nią wstrząsały, uderzały wyobraźnię współczesnych ludzi i stawały się przedmiotem poezyi. Podobny przedmiot mógł był wyrość na prawdziwe dzieło poetyczne, gdyby się był dostał w ręce np. takiego Jana Kochanowskiego. Ale poeci i duch poetyczny XVII wieku zupełnie do tego nie byli zdolni. Wielkie ich poemata o wojnach, klęskach i bohaterskich czynach narodu przemieniły się na proste rymowane kroniki, tém jedynie różniące się od prozy, że ich autorowie wzywali Muzy, robili przy sposobności porównania poetyczne i w najlepszym razie jeden lub drugi obraz bitwy nakreślili z prawdą i siłą.

Od tych poematów nie stanowi wyjątku nawet „Wojna Chocimska" Potockiego, chociaż posiada wielkie zalety, które ją nad wszystkie inne podnoszą. Potockiego obronił od przesady i prozaicznéj poziomości jego znakomity talent, ale w głównéj zasadzie szedł on jednym torem z innymi i nie był geniuszem, któryby sobie nowe drogi wynalazł.

Nie należy jednak pogardzać temi ogromnemi foliałami, pełnemi nudnych wierszy, ale i dokładnych a ciekawych wiadomości historycznych. Niema tam poezyi, niema sztuki, ale mimo całego niedołęztwa formy przechował się w nich duch starodawnych czasów polski, ożywiający tamtowiecznych ludzi. Dla nas utraciły one wiele ze swego uroku, ale w owych czasach trud tych pisarzy nie był zapewne daremny. Współcześni ich i najbliżsi potomkowie pod cieniem lip domowego sadu lub przy cieple buchającego ogniem komina z rozrzewnieniem zapewne brali do ręki te księgi w grube deski oprawne i z chlubą i z zapałem czytali w nich o dziełach rycerskich swych synów lub ojców. A znajdowali tam szerokie opisy i imiona mniéj nawet znacznych uczestników wojen i wypraw, bo szata rymowa tych kronik pozwalała pisarzom na różne epizody i szczegółowe wzmianki o rycerzach, których prawdziwa historya milczeniem pominęła. Wiadomości podobnego rodzaju brali oni z naocznego świadectwa lub téż z ich towarzyszy, dlatego i w tych martwych zresztą poematach czuć nieraz ciepło życia i prawdy.

Liryka zachowuje charakter poprzedzającéj epoki. Opiewa ona także uczucia patryotyczne, opłakuje klęski lub uwielbia wojenne czyny, często krytykuje stan wewnętrzny kraju, czyniąc wyrzuty rządzącym lub rządzonym—podnosi swój głos na chwałę Boga i świętych, lubo nie odzywa się już tém Dawidowém pieniem, pełném natchnienia i czystéj wiary—często w niéj słychać ducha nietolerancyi, pietyzmu i ascetyki: zamiast się modlić, rozmyśla ona w takim razie

nad niedocieczonemi tajemnicami lub przybiera je w różnobarwne stroje fantazyi i egzaltacyi—wreszcie jest liryka, jak dawniéj, odgłosem swobodnéj myśli i narodowego humoru, czy to kreśli szczęśliwość ziemiańskiego życia, czy nakoniec z przekąsem wyśmiewa nowe zwyczaje, nowe mody, żądając staroświeckiéj prostoty i mierności.

Przybywa zaś do niéj jeden rodzaj prawie całkiem nowy, t. j. pieśń miłosna, która się zrodziła wskutku zmienionych stosunków towarzyskich, z większéj ogłady i z naśladowania obczyzny. Wspominaliśmy o tém, mówiąc [illegible] ratur zachodnich i zagranicy. Grotkowski, jak widać [illegible] ów, skłaniał się ku erotyce Petrarkowéj, opiewającéj [illegible] ść, t. j. uczucie podniesione do ideału, tak że w duszy [illegible] lzony, piękność cielesna i przeznaczenie natury stają [illegible] która nie troszczy się bynajmniéj o swoje urzeczyw[illegible] ń. Petrarka sam tego dowiódł: kochał się w Laurze, c[illegible] była żoną innego i matką kilkorga dzieci, a nadto, j[illegible] a odkryły, że miłość jego i poezya nie miały nic wspó[illegible] pisał Sonety o Laurze, choć już wygasło jego uczuci[illegible] yła ona dla niego zawsze ideą piękna, podniecającą n[illegible] do sztuki. Najznakomitszym jednak przedstawicielem [illegible] ki jest Andrzéj Morsztyn, który, choć wykształcony pod wpływem cudzoziemskich wyobrażeń, zachował jednak w swych pieśniach osobistą swą oryginalność.

Poezya dramatyczna uczyniła w téj epoce postępy, szczególniéj przez to, że się rozpowszechniło zamiłowanie do widowisk scenicznych. Dwory monarsze posiadały swoje teatra, choć na tych, jak widzieliśmy, grali najwięcéj Włosi włoskie sztuki i opery. Ale i szlachta i mieszczanie zasmakowali w podobnego rodzaju zabawie, jakby idąc za impulsem danym niegdyś od Jana Zamojskiego, który pragnął uświetnić swoje wesele z Gryzeldą Batorówną „Odprawą posłów greckich,” przez J. Kochanowskiego napisaną.

*Warszawa, 1866 r.*

## SŁÓW KILKA O NAJDAWNIEJSZÉM ROMANSOPISARSTWIE POLSKIÉM.

Ze wszystkich rodzajów literatury największéj popularności używa powieść i romans — czytają je wszyscy, bez różnicy prawie stanu i wieku; ten nawet, kto żadnej innéj książki do rąk nie weźmie, przebiega z ciekawością karty, na których ma nadzieję spotkać się z tym idealnym obrazem siebie i swoich bliźnich. Nie wchodząc w przyczy-

nę, dlaczego romans doznaje téj szczególnéj prerogatywy, powiemy tylko, że nie dzisiaj dopiero obudza on podobną sympatyę u ludzi i długie już wieki liczy swojego powodzenia. Lecz oglądając się na jego przeszłość, najwięcéj dla nas zajmującém będzie to pytanie: zkąd i kiedy w naszéj literaturze powstał ten rodzaj poezyi, jaki był jego początek i jego charakter.

Przyzwyczajeni jesteśmy widziéć w naszéj przeszłości samę tylko surowość i powagę, które bezwątpienia stanowią najogólniejsze i najgłówniejsze jéj znamię—ale w tém zapatrywaniu się jest także pewne złudzenie optyczne, sprawione przez zatarcie się szczególnych rysów i odległość kilku wieków. Z tego powodu romans zdaje się nie zgadzać ze zwykłym naszym poglądem na historyę naszéj cywilizacyi i literatury.

Oddawna jednakowoż zajmował on, choć wprawdzie podrzędniejsze miejsce w naszém piśmiennictwie, a jak dzisiaj pewna sfera czytelników i czytelniczek, tak i prababki nasze rozciekawiały swą wyobraźnię przygodami bohaterów i westchnienia wydawały nad ich losem. Dzisiaj te misterne na swój wiek książki, wyglądające mimo gockiego druku dosyć powabnie, albo te ogromne foliały, w pargamin oprawne, które niegdyś podobne uczucie budziły i niejedną łzą zostały zwilżone, leżą zapleśniałe po półkach bibliotek i każdy na nie z obojętnością spogląda. A przecież stanowiły one kiedyś pokarm umysłowy wielu pokoleń, były potrzebą ich ducha, wyrazem ich pojęć i zwyczajów.

Romans nie był w swych początkach oryginalnym płodem naszéj fantazyi i literatury. Opatrzność, hojna w swoich darach dla człowieka, w rozmaity jednak sposób wyposaża ducha poetycznego narodów. Młodzieńczą i swobodnie na świat patrzącą Grecyę obdarzyła epopeją i Homerem — myślące i w własne wnętrze zatopione ludy północne, rozwijając dane od niéj przymioty, utworzyły dramat w prawdziwém jego znaczeniu i wydały Szekspira—smętna i do marzeń skłonna dusza Sławianina w dumie najlepiéj swoje tęskne uczucia wyśpiewała. Tak znowu romans zawdzięcza swój początek szczególniéj ludom, które mu i nazwisko nadały—to jest ludom romańskim.

U nich to pod wpływem rozlicznych przyczyn utworzył się, dziś jeszcze tak nazywany, duch romantyczny, który w życiu znalazł swoje wyobrażenie w rycerstwie, a w literaturze najprzód w epopejach rycerskich, opiewających walki z Islamizmem, jak pieśń o Rolandzie i Cydzie, a następnie w owych poematach, których stałym prawie były tematem błędne pielgrzymki rycerzy, w celu znalezienia św. Graala lub udzielenia opieki uciśnionéj niewinności. Z tych dopiero poematów powstał w ciągu wieków rodzaj poezyi nazwanéj romansem, a mianowicie w czasie, kiedy rycerstwo traciło coraz więcéj ze swego znaczenia i idealności. Wtenczas poetyczna forma utworów fantazyi przeszła po największéj części na prozę, i z pominięciem innych idej średniowiecznego rycerstwa: walki za wiarę, honoru, feudalnéj wierności i t. p., jedna tylko, to jest miłość, przeważną w nich odgrywać zaczęła rolę. Odtąd datuje się początek nowożytnego romansu, na którego

rozwój w pierwotnych jego chwilach, oprócz owego romantycznego ducha, wpływał także niemało starożytny romans grecki i podania mitologiczne, gdyż właśnie w tym samym czasie przypadło także i odrodzenie się nauk humanitarnych, literatury klasycznéj.

Dla ludów nowożytnych romans ma podobne znaczenie, jakie w starożytności posiadała epopeja, t. j. ma być obrazem ich życia i społecznego rozwoju.

W ten sam bowiem sposób, jak niegdyś epopeja, wypłynął on z ducha swego czasu i był o[illegible] utworem. Musi jednak pomiędzy niemi zachodzić róż[illegible]cie zachodzi, która odmienne tym rodzajom poezyi zn[illegible]tórej przy utworach, powstałych w sposób tak samo[illegible]ukać w okolicznościach i warunkach ich pochodzenia[illegible]átém romans musi od starożytnej epopei tém się różni[illegible] jest duch nowszych ludów i ustrój ich społeczeństw[illegible] i porządku starożytnego świata. Z tego to powodu, [illegible]opeja wprowadza swych bohaterów na pole życia pub[illegible]czéj takie osobistości za swój przedmiot obiera, które [illegible] lub dziejowe posiadały znaczenie, — romans przenos[illegible]akres prywatnych stosunków, kreśli przedewszystkiem [illegible]człowieka i wnika w tajemnice wewnętrznego życia jego duszy. [illegible]na to pamiętając, łatwo sobie wytłumaczymy, że nie bez ważnéj i istotnéj przyczyny uczynił romans osią, około której obracą się ciąg opowiadanych wypadków, najindywidualniejsze z uczuć ludzkich, a zarazem najpowszechniejsze, to jest miłość. Pod wpływem bowiem tego uczucia wyrabia się najpierwéj istota człowieka, mającego stanowić kiedyś głowę rodziny, a przez rodzinę połączonego z resztą społeczeństwa. Charakter, jakiego się w tym okresie życia nabywa i który właściwie dopiero z uczuciem razem się rozwija, pozostaje już zwykle aż do grobowej deski. Słusznie dlatego ktoś powiedział, że stosunek mężczyzny do kobiety określa stosunek jego do ludzkości — jakim jest względem téj drugiéj połowy rodzaju ludzkiego, takim też będzie względem swoich współbraci, czy to w kole prywatnego życia, czy téż na obszerniejszej widowni publicznego zawodu. Skoro również i z drugiéj strony to najpierwsze uczucie stanowczo rozstrzyga o losie i usposobieniu kobiety, nic zatém dziwnego, że romans znalazł w kreśleniu miłości i towarzyszących jéj objawów psychologicznych punkt środkowy, około którego grupuje obrazy, mające być zwierciadłem otaczającego nas życia.

Nadto zmuszonym był do tego romans jeszcze i przez drugą okoliczność, która towarzyszyła pierwszéj chwili jego powstania. Powiedzieliśmy, iż on jest późniejszym płodem poematów bohaterskich, że pozbył się swojéj poetycznéj formy, a nadto pojawił w czasach, w których proza życia zaczęła przeważać nad poetycznością, i że właśnie zadaniem swém uczynił: rzeczywistość w jéj naturalnych barwach przedstawiać. Romans zatém, jest, że tak powiem, utworem mieszanym, położonym w środku pomiędzy dwiema odrębnemi sferami: między poezyą a prozą. Z tego wynika, że zarówno ku jednéj jak ku drugiej musi się skłaniać; przedstawiając obraz rzeczywistego życia, musi na tę jego część silniej-

sze rzucić światło, która w niém jest bezwątpienia najpoetyczniejszą. Wogóle bowiem życie nowożytnych narodów więcéj jest prozaiczném, niż w dawnym Rzymie albo Helladzie—zniknął z niego urok świeżości wypływającéj z większego zbliżenia się do natury, na miejsce prostoty organizmu państwowego, która podnosiła wartość jednostki, nastał sztuczny mechanizm naszego społeczeństwa, — poezyę dzisiaj znaléźć można jedynie w ciszy domowego ogniska albo w zakątku serca. Aby więc uczynić zadosyć żądaniom poezyi, podniósł romans szczególniéj tę uczuciową stronę naszego życia i w dziełach swoich użył jéj za najgłówniejszy akord, który wpośród mnóstwa innych tonów raz ciszéj, drugi raz głośniéj przebrzmiewa.

Takiemi własnościami obdarzony wyszedł romans z łona ludów romańskich, od samego już początku mieszcząc w sobie zarody odpowiednie dalszemu swemu rozwojowi. Wpływ jego dał się wkrótce uczuć po wszystkich literaturach europejskich (ustawami swemi, stopniem cywilizacyi, a poniekąd i wspólnemi żywiołami, narodowości podobne były do siebie). Cała zachodnia Europa, a nawet i Niemcy, wydały mnóstwo powieści i romansów, które, jakby konwencyjna moneta, zmieniając częstokroć swoje zewnętrzne szaty, przebiegały z kraju do kraju i wskutku swych przeobrażeń traciły nieraz znamiona swego pochodzenia tak, że trudno czasem właściwego ich źródła odgadnąć. Najwięcéj jednakże Francya zasilała fantazyę europejskich romansopisarzy i truwerów.

Do Polski nie tak prędko dostały się utwory tego rodzaju. Społeczeństwo nasze wzrosło i rozwijało się na warunkach odmiennych od zachodniego świata. Duch romantyczny nie przeszedł przez granicę Odry i Wisły — nie posiadaliśmy feudalnego rycerstwa z jego ideami honoru i czci dla kobiet, a tém samém nie posiadaliśmy także wykształconéj klasy ludzi świeckich, którąby utwory fantazyi ludowéj ozdobiła swojemi pojęciami, a własne myśli i marzenia podniosła do wysokości poezyi i sztuki. Lud prosty bajał bezwątpienia powieści o topielcach lub czarownicach i w cudownych klechdach wypowiadał senne mrzonki swojéj wyobraźni i ciemnoty — ale pomijano je z pogardą i nikt się nie znalazł, ktoby te nieszlifowane dyamenty podniósł z ziemi i nadał im połysk drogich kamieni. Tak było przez ciąg wieków średnich, właśnie w czasie najsilniejszego rozkwitu romantyzmu. Od początku XVI-go wieku oświata nagły postęp u nas uczyniła — ale równocześnie cała literatura oparła się na naśladownictwie klasycyzmu, którego duch coraz więcéj w ustawy Rzpltéj i w charakter narodowy przechodził.

Poeci nasi, podobnie jak w starożytnym Rzymie, mniéj uwzględniali w sobie człowieka, jego duchowne potrzeby, marzenia i myśli. Była-to zatém poezya przedmiotowa, plastyczna, różna naturą swoją od téj, którą stworzył romantyzm, zagłębiający się w życie psychiczne, kreślący uczucia osobiste i na pierwszym planie stawiający indywidualność człowieka. Prócz tego należy sobie przypomnieć, że główny czynnik romansu, t. j. miłość, tak w życiu prywatném jak i społeczném, zbyt podrzędne u nas zajmowała stanowisko. Miłość nie była nigdy podniesioną do wysokości idei, jak w wyobrażeniach zachodniego ry-

cerstwa lub poetycznych marzeniach Petrarki — nie wyradzała się również w ślepą namiętność, rozstrzygającą nieraz w tragiczny sposób o losach człowieka (jak u Abelarda lub Romea), jak w romansach XV wieku, gdzie zawsze prawie na głowy bohaterów zwala nieszczęścia i kary.

Historya przekazała nam z przeszłości parę zaledwie przykładów nad zwykłe przywiązanie rodzinne podniesionego uczucia. Królowa Jadwiga i Wilhelm, Barbara Radziwiłówna i Zygmunt August, przybliżają się poniekąd do podobieństwa z romantycznymi bohaterami. Ale dzieje ich serca nie [illegible] wrażenia na fantazyi dawnych poetów — w naszym dopi[illegible]ła ich poezya za godne dla siebie przedmioty i, jak no[illegible]toryczne dowodzą, minęła się o wiele z prawdą, przyp[illegible], które obce były samym działaczom tych wypadków. [illegible]o późniejszy daleko wymysł, krakowska tradycye o os[illegible]mitów, który rozpacz nieszczęśliwej miłości ukoił śmie[illegible] z Zabierzowskiéj skały, znajdujemy jedyny może z[illegible]w przykład wyegzaltowanego uczucia w młodym Żółk[illegible]u sławnego hetmana. Nie doznając wzajemności ko[illegible]zach w czasie wesołej uczty śmierć on sobie zadał, [illegible], pomimo że cenił młodzieńca jako człowieka rozumnego, tak, że wymierając się na wyprawę, uczynił go jednym ze współopiekunów swojéj rodziny, kazał samobójcę pochować za murami cmentarza, przeznaczonego dla prawdziwych chrześcijan. Czyn ten maluje dokładnie surowe wyobrażenia naszych przodków względem wszelkich wyskoków namiętności, którą świat romantyczny podnosił w swéj poezyi do ideału.

W takim stanie literatury i przy podobnych pojęciach moralnych romans zagraniczny, choćby nawet dostał się do Polski, nie mógł dostąpić wysokiego znaczenia. Pojawia on się jednakowoż już od początku XVI wieku, ale w bardzo skromnéj postaci, bez żadnych pretensyj do uznania i zajęcia przeważnego miejsca w literaturze. Utwory tego rodzaju przychodzą do nas najwięcéj z Niemiec, gdzie je pisano w narodowym albo też łacińskim języku, tłumacząc albo też naśladując z włoskiego lub francuzkiego. Po największej części przeznaczone one były dla zabawy klas niższych i wydawane przez ludzi nieznanych zresztą w literaturze, niekładących nawet swego nazwiska na książkach, które spekulacya na świat wypuszczała. Zresztą nie wywierają one żadnego wpływu na współczesne piśmiennictwo, żaden ze znakomitszych autorów nie zważa na nie, nie zapoznaje się za ich pośrednictwem z duchem romantycznej poezyi, —przemijają bez śladu jak dzisiejsze broszury straganowe, chociaż nie można wątpić, iż mocno poruszały umysłami pewnego koła czytelników.

Najpierwsza z tych powieści jest zarazem jednym z pierwszych druków polskich p. t. Rozmowy Marchołta z królem Salomonem, znane już od XII, a sięgające może aż V wieku. W téj postaci, w jakiéj Marchołta znano w Europie w wieku XV, był on powieścią ludową, stawiająca naturalny, tak zwany chłopski rozum klas niższych w silném przeciwieństwie do wykształconych pojęć wyższego społeczeństwa,

stanowi przeto niby odwrotną stronę owych rycerskich poematów i romansów, polegających na idealności i entuzyazmie. Podobnego rodzaju cynizmem, odzierającym świat z ułudy średniowiecznych marzeń, nacechowany jest także i Sowizdrzał„ który w XV wieku powstał w Niemczech, a w XVI u nas został przetłumaczony.

Do innéj kategoryi, bo do utworów czysto-romantycznego ducha, należą powieści o cesarzu Poncyanie czyli o mędrcach, któréj początku aż u odległych Indyan szukać należy. Daléj historya o Gryzeldzie, którą pierwotnie z podań ludowych napisał po łacinie Petrarka, a późniéj po włosku Boccacio. Postać Gryzeldy, tak czule i wiernie kochającéj swego surowego męża, znaną jest powszechnie nawet z dramatu w naszym jeszcze wieku napisanego przez niemieckiego poetę Halma. historya o Magielonie, o Fortunacie, o Królu greckim, o niewdzięcznych córkach w mieście Landzie, Lamonda i parę jeszcze utworów, o których tylko tradycyjną posiadamy wzmiankę w literaturze, dopełniają szeregu płodów romantycznéj fantazyi, na którą dzisiaj wzruszamy z pewném politowaniem ramionami, ale które kiedyś podobny rozgłos miały w świecie i na wszystkie języki były tłumaczone, jak w naszych czasach Tajemnice Paryża albo Nędznicy. W szeregu tym napotykamy tylko jeden utwór oryginalny, na którym jednak widocznie znać wpływ wybujałéj romantycznéj wyobraźni. Jest nim powieść p. t. Peregrynacya Maćkowa, złożona z najdziwaczniejszych konceptów, prawiąca np. o królu, który miał czoło szklane, a twarz z łupin orzechowych, a spoczywał na łożu, którego ściany były ze mgły jesiennéj, obicie z marcowego wiatru, letnią różą haftowane.

Odmienną znowu cechę noszą na sobie powieści, jak: *Fortuny i cnoty różność*, będąca dydaktyczną allegoryą, albo *Lukrecya* rzymska i chrześcijańska, utwór młodzieńczy Dymitra Solikowskiego, późniéj arcyb. lwow. i historyka—tudzież historya o Judycie. Dwie te ostatnie powieści osnute są na tematach obcych romantycznemu światu i zaczerpniętych z historyi, a nie z fantazyi ludowéj.

Tyle z powieści i romansu posiadamy w wieku XVI. Widzieliśmy powyżéj, że wobec stosunków przeważających w literaturze i społeczeństwie, romans nie mógł rościć sobie prawa, aby uczynił cóś więcéj nad zjednanie sobie sympatyi w tych warstwach narodu, które nie żyły właściwie życiem publiczném i dlatego skłonniejszemi się okazywały dla podobnych utworów uczucia i fantazyi. Z téj przyczyny uważając powyższe powieści za pierwsze, przemijające zwiastuny nowego żywiołu w naszéj literaturze, odnieślibyśmy początek właściwego romansu dopiero do wieku XVII, gdzie zmiana szczególniéj towarzyskich wyobrażeń pozwoliła mu znakomitsze zająć miejsce.

Począwszy bowiem od Zygmunta III, Polska coraz więcéj zaczęła cudzoziemczéć i oglądać się na wzory podawane jéj przez Włochy i Francyę. Dwór królewski i wyższe klasy uległy najprzód i najsilniéj temu obcemu wpływowi, który dał się uczuwać tak w polityce, jak i w codziennném towarzyskiém życiu. Stanowczym pod tym względem wypadkiem było przybycie do Polski królowéj Maryi Ludwiki, która

oknach królewskiego zamku. W życiu towarzyski
l tym wpływem zewnętrzna ogłada, galanterya w
awet i sentymentalność uczucia. Z francuzkim fra
i przodkowie o poważnéj todze Rzymianina, którą l
ści i myśli odziali.

Z drugiéj znowu strony nastąpiły także odpo
pojęciach literackich. Dotąd literatura klasyczna
arzy jedynym wzorem, ale od wieku XVII zwró
agę także i na nowożytne piśmiennictwo zachodnié
zególniéj we Włoszech stało już gotowe jako wzór
nzbyt świetnie się rozwinęło, aby nie zwrócić na s
ropy. Od Dantego aż do Tassa poeci włoscy prze
aturę swego narodu do jéj wysokości, iż treść bę
rześcijańskich, a mianowicie romańskich ludów, uję
a z klasycyzmu. W literaturze włoskiéj zatém prz
ntyczny i duch ten, wskutku naśladownictwa, dostał
j poezyi i wyobrażeń. Ze znanych arcydzieł poez
czono u nas Tassa, Aryosta i Petrarkę. Francuzl
m, dochodzący w téj porze właśnie do swego rozkw
hlubić podobnym wpływem na nasze piśmiennictwo
je i wyobrażenia francuzkie silnie władały polskiemi
ku. Oba te wpływy, włoski na literaturę, a francu
ść, wprowadziły do nas nieznane ideje honoru i miło
śnie czasy znalazła w Andrzeju Morsztynie najzdolı
w całéj dawnéj literaturze, i torowały drogę dla ro
ąd stać się umysłową potrzebą klas oświeconych.

Romans przeto od wieku XVII staje się częścią
ra dotąd obracała się wyłącznie w kole starożytneg
ajemy, dziwne sprawia wrażenie swoją odrębną fi

szlacheckiéj literatury, jaką była polska aż do XIX wieku. Potwierdzają to również liczne wydania tych utworów w tym nawet czasie, kiedy np. o dziełach Jana Kochanowskiego zupełnie zapomniano, przez sto lat przeszło nie wydając żadnego ich przedruku. Posiadamy prócz tego i inne jeszcze dowody rozpowszechnionéj szeroko literatury romansów, a mianowicie upominania poważniejszych ludzi, odciągających czytelników od tego rodzaju piśmiennictwa—wreszcie ówcześni literaci, mówiąc o swoich współkolegach z pewną chlubą, wspominają nawzajem o romansach przez siebie wydawanych, tak jak dawniéj chwalono przekład Psalmów albo patryotyczną odę.

Najpierwszym romansem do tego okresu należącym jest: Nadobna Paskwalina, tłumaczona z hiszpańskiego przez Sam. Twardowskiego, uważanego przez współczesnych i długo jeszcze potém za najpierwszego poetę z téj epoki. Utwór ten nie należy bezwątpienia do rzędu czysto-romantycznych płodów, gdyż widać na nim, że powstał w czasach, gdzie romantyzm mieszano już z klasycyzmem, a mianowicie pojęcia średniowieczne i chrześcijańskie przybierano w zewnętrzne ozdoby starożytnéj mitologii. Bohaterka tego romansu ma dowieść, że próżność kobieca i namiętna miłość są występkiem, który tylko ciężka pokuta może zagładzić. Uważając się bowiem za równą co do piękności Wenerze, obraża tém dumną boginię, która, chcąc się pomścić, roznieca w niéj gorące uczucie dla młodzieńca obojętnie te zapały przyjmującego. Paskwalina, posunąwszy się cokolwiek zadaleko, dla uniknienia wstydu i przebłagania zagniewanych bogów, udaje się do dalekiéj świątyni Junony, w któréj to podróży przebywając przez rozległe knieje i puszcze, jest wystawiona na rozliczne niebezpieczeństwa i przykrości, ale cierpliwém ich znoszeniem zyskuje przebaczenie bóstwa i w tryumfie powraca do rodzinnego swego miasta, do Lizbony.

Współczesny Twardowskiemu, jeden ze znakomitszych, lubo dotąd niezupełnie jeszcze znany poeta, Hieronim Morsztyn, przyswoił naszéj literaturze kilka powieści, które są może najcharakterystyczniejszym płodem średniowiecznéj fantazyi. Dwa jego zbiory tych powieści posiadają każdy dla siebie osobną tendencyę i myśl wspólną tym utworom. Jeden z nich, p. t. Filomachia, oparty jest na idei, którą widzieliśmy już w Paskwalinie, jakoż w trzech powieściach w nim zawartych bohaterowie i bohaterki po chwilowém szczęściu i przeszedłszy najrozmaitsze koleje i przygody, którym coraz nowe cierpienia stale towarzyszą, ulegają nareszcie ciężkiéj karze za gwałtowność swojéj namiętności. Najsławniejszą z nich po Europie jeszcze wXV wieku była historya o Zygismundzie i Gwizgardzie, która może dać wyobrażenie i o innych, zwłaszcza, że jak powiedziałem, w głównych rysach wszystkie są do siebie podobne. Otóż Zygismunda kocha się w dworzaninie ojca, Gwizgardzie. Ojciec uniesiony gniewem na córkę, zwłaszcza, że kochanek nie był szlacheckiego rodu, rozkazał go zabić i wyjąwszy mu serce, posłał je córce. Domyśliła się wszystkiego na ten widok Zygismunda i zażyła truciznę; ojciec nie długo ją przeżył.

Drugi zbiór Morsztyna, którego główną jest myślą wykazanie, że szczera miłość zwycięża w końcu wszelkie przeciwności, obejmuje Gry-

... czy naśladował
obcych literaturach nie można napotkać podol
ądź jak bądź, posiada wszystkie cechy średniowie
aterka téj powieści jest właścicielką pięknego kró
akiś czas w żalu po śmierci swych rodziców opusz
ałacu, położonym w głębokiéj puszczy, obiera mi
vien królewicz, zabłąkawszy się na łowach, dostaje
ynego ustronia, mieszczącego w sobie cudniejsz
Vzajemna miłość łączy wkrótce ich serca, ale zazd
n szczęście, a królewna czując, że to jest karą za
mierci rodziców uczynionego, oddala się ze swego
unem uderzony w ziemię się nagle zapada. Kr
ługo po rozmaitych krajach jéj szuka, wreszcie nie
éj ojczystym zamku za ogrodnika i kiedy czas żało
ię na turniejach, na których pierwszy dank odniósł
vionéj królewnie i rękę jéj otrzymuje. Osławion
adzwyczajności swych wypadków Banialuka nie
ak tylko jedną z tysiąca tych powieści o zaklęt
wiernych kochankach, które młodzieńcza fantazya
ıdów z siebie wysnuwała.

Przebiegając znakomitsze dawnéj literatury r
apotykamy także imię, głośno przed niewielu laty
vodu wydania dzieła innéj zupełnie treści. Wac
ajznakomitszego poematu rycerskiego: Wojny Choc
utorem dwóch najobszerniejszych utworów w daw
wie i za swoich czasów z nich tylko najwięcéj był
c zyskała mu imię poety Argenida, przetłumac
ynnego romansu szkockiego pisarza Barclaya. Ar
owieści, które dotąd u nas się pojawiały, tém szcze
st z tendencyą przeprowadzenia pewnych idei polit
bowiem pod greckiemi ...

clay Henryka IV) kocha Argenidę (która znowu jest symbolem Francyi) i doznaje od niéj wzajemności. Lecz będąc spotwarzony przed jéj ojcem, musi uciekać, a zawiść innych rywalów i najrozmaitsze przygody trzymają go zdala od Argenidy prawie przez ciąg całego romansu. To rozłączenie jest powodem ustawicznych cierpień dla dwojga ludzi, a autorowi daje sposobność do kreślenia rozlicznych obrazów, w których stan ich duszy przedstawia. Przedstawienie to odznacza się wielką psychologiczną prawdą, a jego wykonanie znakomitemi nieraz zaletami artyzmu. Pod względem poetycznéj wartości, w takim kształcie, w jakim posiadamy Argenidę, jest-to bezwątpienia najpierwszy z dawnych romansów. Potocki bowiem godnie odpowiedział oryginałowi i w wysokim stopniu posiadał przymiot niezbędny dla tłumacza, to jest władał mistrzowsko językiem.

Drugi jego romans p. t. Syloret, posiadający też samę zaletę pięknéj formy, duchem swoim odmienny jest od Argenidy i należy do liczby tych ściśle romantycznych utworów, gdzie osobiste uczucia, życie psychiczne i namiętności są głównym i jedynym przedmiotem poety. Zawiązek intrygi stanowi miłość żony Syloreta do swego pasierba Dauleta, którą ten w podobny sposób przyjmuje, jak niegdyś Hipolit oświadczenia Fedry. Wskutku tego występnego uczucia spadają nieszczęścia na całą rodzinę; winowajczyni się truje, a inni rozbiegają się na wszystkie strony świata, gdzie doznając to dobrych, to złych losów, przez dwa pokolenia nadaremnie odszukać się i połączyć starają, aż wreszcie szczęśliwe wypadki zgromadzają wszystkich u wspólnego ogniska.

Nie można z pewnością powiedzieć, czy Potocki jest autorem Syloreta, czy tylko tłumaczem—sam przyznaje się wprawdzie, że czerpał treść z różnych greckich i łacińskich pisarzy, to jest z mitologii, nowego greckiego romansu i tych autorów, którzy nieraz nowożytne powieści zachodniéj fantazyi po łacinie spisywali. Jeśli tak się wistocie rzeczy mają, natenczas Syloret byłby własnym jego utworem i dowodził wielkiego przejęcia się duchem późniejszych klasycznych pisarzy i romantycznéj literatury.

Potocki pisał jeszcze dwa inne romanse: historyę o Wirginii i historyę heroin Tressy i Gazeli, które jednak dotychczas nie są znane.

Ostatnim wreszcie utworem tego rodzaju, zasługującym na wspomnienie, jest *Eufrata*, romans Elżbiety Drużbackiéj, która za czasów saskich sama jedna utrzymywała honor naszéj poezyi. Mniéj tutaj cudownych i awanturniczych przygód, jak np. w niektórych powieściach Morsztyna lub w Sylorecie, nie tak ważna rola oddana miłości, a za to większa skłonność ku sentymentalizmowi, ku pokazaniu szczególniéj czystych i pogodnych stron duszy ludzkiéj, a nadewszystko widoczna dążność przeprowadzenia téj myśli, że cnota bywa w końcu zawsze nagradzana. Ten sens moralny uwydatniła autorka w osobie księżnéj Eufraty, która będąc pozbawiona przez srogość sąsiedniego króla swojego państwa i jedynéj swéj córki, odzyskuje napowrót swe straty przez szlachetność syna następcy po owym tyranie i przez poświęcenie się jego przyjaciela.

Takiém jest to najdawniejsze romansopisarstwo polskie, którego historyę w krótkich rysach przebiegliśmy, aż do czasów Stan. Augusta, to jest do chwili, gdzie pod wpływem francuzkiéj poezyi i filozofii i u nas rozwidniały się wyobrażenia estetyczne i myśl nadwątlona świeżéj zaczerpnęła siły. Wówczas to przypomniano sobie po długiém zapomnieniu, że obowiązkiem jest literatury stać się przedewszystkiém obrazem społeczenstwa, jego pochodnią na drodze postępu i oswiaty. Okiem myslącem rzucono wokoło siebie, zaczęto się badać i z filozoficznèm zastanowieniem rozważać swoje własne stosunki. Dowodem tego jest romans Krasic[illegible]yński, który parę zaledwie lat dziesiątek oddziela od p[illegible]ów, a który stanowczym krokiem przenosi się nagle [illegible] wieków srednich i z pola fantazyi na grunt ojczysty[illegible]e i dotykalne swojego społeczenstwa.

Czémże bowiem są [illegible]omanse przed połową XVIII wieku? Bezwątpienia [illegible]j literaturze i życiu. Są to naleciałości z innego zupe[illegible] przyniosło do nas usposobienie pewnéj chwili i pew[illegible]odu w czasie, kiedy w reszcie Europy straciły już sw[illegible]omanse te kreślą życie i człowieka według romant[illegible]oglądu i stają przed naszemi oczyma ze wszystkiemi [illegible] Nie brakuje w nich ani zaklętych księżniczek, ani dalekich pielgrzymek po lądach i wodach, ni przebranych książąt i królewiczów, ni dziewic rzucających się naoślep w objęcia miłosci, ani nawet wszystkowiedzących ptaków i mowę ludzką rozumiejących zwierząt. Widzimy w nich cały swiat zachodni z jego sredniowiecznemi pojęciami, ale nie spostrzegamy swoich współziomków takimi, jakimi byli w XVII albo dawniejszych wiekach. Zaspokojenie ciekawosci, zabawa wyobraźni i sentymentalne rozczulenie serca—oto jedyne korzysci, jakie z tych romansów odniesli liczni ich czytelnicy. Podobne zjawisko można sobie tylko wytłumaczyc ogólném osłabieniem umysłowém i czczoscią mysli, jakie panowały u nas w XVII i w połowie XVIII wieku. W braku samodzielnéj twórczosci rzucono się na pierwszy lepszy przedmiot, który jakiekolwiek zajęcie obudzał, i jak widzielismy, z dziwną w téj mierze postępowano lekkomyślnoscią i zacofaniem się, skoro w literaturach zagranicznych nie umiano wybrac prawie żadnego z ich arcydzieł romansopisarstwa i trzymano się uporczywie sredniowiecznych powiesci wtenczas, kiedy już Cervantes swoim Don-Quiszotem stanowczy im cios zadał.

Skoro jednak tak było, musimy przyjąć, że tak byc musiało, a uznając słabosć i niedostatecznosc tych utworów, które bardzo leniwo torowały drogę narodowemu romansopisarstwu, nie wahamy się jednak tego przyznac, że poniekąd oddawały one przysługę naszéj poezyi. Mianowicie zas wprowadzały do niéj indywidualnosć człowieka z jego wewnętrznèm, duchowém zyciem, i tym sposobem rozszerzając widnokrąg umysłowy, uzupełniały także jednostronnosc naszéj literatury. Jakkolwiek bowiem zaszczytne jest to stanowisko, jakie poezya zajmowała w czasach prawdziwie klasycznych Rzymu i u nas w wieku XVI, prawdziwą jéj wartosc i siłę jéj genialnych wyobrazicieli stano-

wi dopiero zdolność wystawienia człowieka nie w stosunku do zewnętrznych, chwilowych nieraz okoliczności, ale takim, jakim jest w głębi swojego serca, jakim wyszedł z rąk Stwórcy i natury.

Rzućmy jeszcze ostatni raz okiem na to dawniejsze romansopisarstwo w tym celu, aby je porównać z teraźniejszością.

Widzimy jak liczebnie słabo jest reprezentowane, bo wymieniliśmy prawie wszystkie jego płody, a co więcéj, jak małą jest jego wartość, szczególniéj w stosunku do narodowego rozwoju literatury. Myśl zatém i fantazya narodowa była prawie bezczynną na tém polu, skoro mogła się zadowolić obcemi utworami w niezmienionéj nawet postaci i barwie. Co innego widzimy w zachodniéj Europie. Tam wyobraźnia całych ludów pracowała od wieków nad stworzeniem sobie tego idealnego świata, w którym miała oglądać odbicie własnego swego życia—tam umiejętni sztukmistrze od dawien dawna brali w swe ręce te grubo materyały ludowych marzeń i nadawali im urocze formy poezyi—tam wreszcie przenikliwy wzrok myśli oddawna zatapiał się w wnętrze natury ludzkiéj i życia towarzyskiego. Dlatego nie powinniśmy się dziwić, że dzisiejsze nasze romansopisarstwo, nie posiadając tyle zasobów z przeszłości, nie wzrosłe nawet w swoich początkach na rodzinném polu, pomimo wielu swych zalet, pomimo talentu wielu swych autorów, nie ze wszystkiém jeszcze dorównywa romansopisarstwu zagranicznemu. Lecz owszem porównywając jego stan obecny z tym, w jakim nasz romans jeszcze przed stu laty się znajdował, należy mu przyznać bezwzględnie, że uczynił postęp ogromny, zdążając szybkim krokiem za innemi rodzajami poezyi, które go w dawnych czasach o wiele wyprzedziły. I te słów kilka, z któremi tutaj miałem zaszczyt się odezwać, nie miały ostatecznie nic innego na celu, jak tylko uwidocznienie téj różnicy, zaszłéj w ciągu jednego wieku, i nasunięcie myśli o tym nagłym postępie naszego romansopisarstwa.

---

## SAMUEL ZE SKRZYPNY TWARDOWSKI.

Rzadko który pisarz zgadza się tak z duchem swéj epoki pod wszelkiemi względami i tak dobrze jéj charakter wyraża jak ten, którego zwykle kładą na początku poetów XVII wieku. Mówimy tu o Samuelu ze Skrzypny Twardowskim. W pracach swych poetycznych idzie on wszystkiemi temi kierunkami, które stanowią charakter poezyi z tego okresu. Z jednéj strony trzyma się toru wskazanego kiedyś przez Jana Kochanowskiego, jakim postępowała poezya XVI wieku, z drugiéj zaś tłumaczy dzieła z nowszych literatur zagranicznych i po części ulega wpływowi romantyczności; wreszcie jest panegirystą w całém tego słowa znaczeniu, i jak można się domyśléć, wzorem i przykładem dla wielu swoich następców tego rodzaju. Nadto Twardowski jest także

pierwszym twórcą tych rymowanych kronik, które w tym czasie dopiero się pojawiać zaczęły.

Mało wiemy o szczegółach jego życia. Najprawdopodobniéj urodził się 1600 roku, a umarł około 1669 r., jak się tego można domyśléć także z jednego ustępu wiersza Kochowskiego: Muza słowiańska na koronacyę Michała króla 1669, gdyż w ten sposób mógł się tylko o świeżo zmarłym wyrażać:

> Gdzieżby się Polska o téj dobie miała,
> Słodki T… …ie zajrzała
> Mantuey… …skie dymy
> …my.
>
> Lecz że p… …am nieba i t. d.

Twardowski był … …cia Zbaraskiego, kiedy ten odbywał 1621 r. poselstwo … …u zawarcia traktatu po wojnie chocimskiéj. „Po śmier… …isze Siarczyński) r. 1627 przeniósł się w służbę książą… …h, którym sypie bez miary pochwały, jakby za to był … …ę zdaje, wieszał się i przy Łubieńskich, coby pokazy… …na cześć téj rodziny pisane. W jednym z nich Twa… …ię przynajmniéj godownikiem, jeśli nie dworzaninem St. … …biskupa płockiego:

> A my wokoło twego siedząc stołu,
> Cererze żyznéj ofiarujem wołu. .

Późniéj dosłużywszy się widać jakiéj takiéj fortuny, zamieszkał na wsi i zajmował się rolą. Na końcu bowiem swéj rymowanéj historyi p. t. Władysław IV, wydanéj 1650 r., mówi: „Partus jest nie rzekę, któreby temu należało dziełu, ale tot curarum w gospodarstwie szczupłem i kłopotów wiecznych. A to cózkolwiek jest, w dorywczą tylko, canis more bibentis Nilum, gwałtem wypuściłem na świat.” Niepokoje wojenne, jakich Polska tak często doznawała za Jana Kazimierza, przerywały i Twardowskiemu spokój i obcowanie z muzami. Kiedy Chmielnicki Zbaraż zajął, uciekł i nasz poeta ze swéj siedziby Zarubiniec, unosząc ze sobą swe rękopisy. Opisuje to wydarzenie z żałośliwém sercem w Wojnie domowéj, str. 36.

> . . . . . Tużem téż nie czekał
> I ja dłużéj i równo z drugiemi uciekał.
> Przyznam się nie leniwiéj fanty procz domowe
> Milsze z sobą, a zbiory wiotche papierowe
> W małém pudle umośszy. Lubo (co za dziwy?,
> Uciekał i Pindarus w tym jednak szczęśliwy,
> Że gdy Teby gorzały, Filip mu ochronił
> Jego tam Muzeolu. Mego nie obronił
> Żaden dźwięk Apollinow, ani głos łabędzi
> Niebieskiéj Melpomeny! O słodkiéj pamięci
> Dziedzino! o nad Hible, kochańsza pasieko,
> Tożeś od swéj ozdoby bardzo dziś daleko.

Trzymanie się klamki pańskiéj wywarło stanowczy wpływ na utwory Twardowskiego w większéj ich części. Z początku pisał pane-

giryki Zbaraskiemu, Wiszniowieckim, Leszczyńskim i innym panom polskim, następnie kiedy doszedł już do pewnéj sławy, ośmielił się podnieść głos na chwałę swych monarchów, a nawet kiedy okoliczności kazały, nie wahał się witać Karola Gustawa jako zbawcę Polski.

Pierwszą jego pracą była: Przeważna legacya j. o. Krzysztofa Zbaraskiego... od najj. Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego do najpotężniejszego sułtana cesarza tureckiego Mustafy, w r. 1621... wydana w Kaliszu tegoż roku.

Twardowski należąc do tego poselstwa, notował sobie rzeczy ważniejsze i z tego potém swą pracę ułożył: „któréj (legacyi) memorabilia będąc téj drogi comes, notowałem był prywatny dyaryusz, a potém per otium wierszem ojczystym illustrowałem" powiada w przedmowie.

Legacya jest wielkim panegirykiem na cześć ks. Zbaraskiego, chociaż nadaje jéj niejaką przedmiotową wartość i większy interes opisanie tych wrażeń, jakich Twardowski doznał w czasie podróży i pobytu w kraju różnym tak dalece od Polski naturą, religią i zwyczajami. Zaczyna się od wywodu rodziny Zbaraskich i wyliczenia czynów posła i jego przodków. Następnie opowiada Twardowski powód téj legacyi, t. j. wojnę turecką z r. 1620 i 21 i dwa jéj najważniejsze epizody: bitwę pod Cecorą i oblężenie obozu pod Chocimem. Zbaraski został wysłany od Rzpltéj dla zatwierdzenia preliminaryów pokoju jeszcze pod Chocimem spisanych. Atoli ówczesny wezyr Dziurdżi nie sprzyjał Polakom i pragnął wojnę odnowić. Twardowski podnosi tedy zasługę posła i jego trudy, aby rzecz przywieść do skutku i zwalczyć serajowe intrygi. Niewielką pomoc dali mu w tém: matka sułtana i przeciwnik wezyra, Daud, który wkrótce swoję ambicyę życiem przypłacił. Nareszcie Dziurdżi został z urzędu zrzucony, a nowy wezyr bez trudności pokój zawarł.

Taka jest treść „Legacyi," którą urozmaicają nadto opisy okolic i budynków Konstantynopola. Niektóre z tych opisów, jak naprzykład Bałkanów, są rzeczywiście piękne. Również mogły zająć ciekawość Polaków, mających z Turcyą tak wiele do czynienia, wiadomości, jakie Twardowski podawał o tureckiéj religii, zabobonach i obyczajach narodowych. Pomiędzy innemi znajduje się także ciekawy i długi epizod o sławnéj Roxolanie. Kończy się zaś ten dyaryusz podróży i poselstwa, bo tak trzeba nazwać tę pracę pomimo jéj poetycznéj formy, wzmianką o ostatnim jeszcze czynie Zbaraskiego, t. j. o udziale, jaki brał w wyprawie szwedzkiéj, i o śmierci, która go tam spotkała.

Legacya jest utworem młodocianéj muzy Twardowskiego, może dlatego posiada siłę w wyrażeniu i treściwość, które ją wyżéj stawiają nad inne jego historyczne poemata.

Niema w niéj nagromadzenia niepotrzebnych porównań i wymuszonych podlotów natchnienia, jakiemi gdzieindziéj często grzeszył. Opowiadanie odznacza się prostotą i wdziękiem nawet w tych miejscach, gdzie poeta w wyższym nastroju się odzywa, a gdzie późniéj trudno mu przychodziło uniknąć napuszystości. Nawet surowy krytyk pisarzy polskich, Braun (w XVIII wieku), wyraził się o tym utworze z pewną

pochwałą. Legacyę skrócił i wydał po łacinie prozą Sam. Kuszewicz w Gdańsku, 1645 r.

Od wydania Legacyi przez lat 10 nie mamy śladu czynności poety. Od r. 1631 datują się dopiero jego najpierwsze wiersze okolicznościowe, panegiryki dla różnych dygnitarzy pisane, przez niejakiś czas jedyne płody Twardowskiego, a po śmierci autora przez Jezuitów w r. 1682 p. t. Miscelanea selecta... zebrane i wydane.

W Miscelaneach jest wiele rzeczy z talentem napisanych; całe nawet wiersze wolne są nieraz od przesady i mitologicznéj erudycyi i odznaczają się szczególnie językiem wyrobionym, zwięzłym, nakształt owéj plastycznéj precyzyi Horacego. Ale większa część ma wady cechujące zawsze panegiryczność: niedorzeczne alluzye, przesadę uczucia i nadętość w słowach. Twardowski chcąc napisać wiersz młodziutkiemu Wiszniowieckiemu, tak go zaczyna:

Skądem niebieskiéj pełen dziś otuchy,
Co mię za wieszcze porywają duchy!
Że wzbity póry ku górze nie swemi,
Zdam się, zdam sobie chodzić nie po ziemi?

Wystawmy sobie, że bohater którego poeta ma opiewać, jest dzieckiem nie wyszłém jeszcze może z kołyski, a zrozumiemy całą śmieszność podobnego natchnienia.

W jednym z najdłuższych panegiryków tu umieszczonych p. t. Pałac Leszczyńskich, a napisanym z powodu objęcia generalii wielkopolskiéj przez Bogusława Leszczyńskiego, mamy doskonały przykład podobnego rodzaju utworów, a szczególnie ich kompozycyi, pozbawionéj wszelkiego smaku. Rzecz zaczyna się opisem wspaniałego pałacu bogini Sławy, znajdującego się niby w Poznaniu (!). W tym pałacu umieszczone są wizerunki wszystkich przodków Leszczyńskiego, których dzieje i czyny poeta opowiada. Następnie Sława przyjmuje w swojéj rezydencyi żyjących Leszczyńskich, przyczém znów czytamy pochwalne ich biografie. Lecz nagle przez metamorfozę, „rzecz zwyczajną poetom" (zwłaszcza ówczesnym!), urojony zamek Sławy przemienia się w pałac Leszczyńskiego, a uczta niebian, przy któréj sam Apollo przygrywał i ambrozyę i nektar podawano — w huczną biesiadę u stołu generała... Jéj opis więcéj nam do serca przypada, niż fantastyczne obrazy gościnności w domu bogini.

W Miscelaneach także znajduje się wiersz, w którym Twardowski Karolowi Gustawowi trwałe nad Polską przepowiada panowanie, p. t. „Omen królowi szwedzkiemu, wymuszona przy zgubionéj natenczas ojczyźnie poesis." Ten dodatek nie znajdował się zapewne na pierwotném, luźném wydaniu wiersza. Nie wiadomo czyjéj on jest ręki, czy samego poety, czy téż tych, co go chcieli w oczach narodu uniewinnić. Wiersz ten bowiem musiał wielkie w swoim czasie zrobić wrażenie. Zwrócił na niego uwagę Braun i powiada: „że ludzka niedołężność autora w nim się pokazała, który w owém zamieszaniu ojczyzny, przez tylu nieprzyjaciół rozdartéj, nie mógł dojrzéć nigdzie przyświecającego

słońca pokoju. Lecz nie wątpię, że żałował potém swéj nierozważnéj przepowiedni."

Nie można jednak myśléć, aby Twardowski napisał ten wiersz tylko dla jakiegoś zysku i przez pochlebstwo. Wprawdzie byłoby to dosyć do wiary podobném, skoro nasz poeta przez całe życie pisał panegiryki i zawsze kogoś uwielbiał. Ale tym razem byłoby to zawiele! Z samego tego wiersza, jak i z innych jego pism, należy raczéj sądzić, że go napisał ze szczerego przekonania i w najlepszéj wierze. Twardowski był monarchistą i chociaż swoją drogą schlebiał często wysokiéj szlachcie, podzielał zdanie wielu ówczesnych ludzi, którzy rzeczy głębiéj brali, że gminowładztwo szlacheckie i tak zwana „złota wolność," będąca jakby delikatnym synonimem do wyrazu trochę ostrzejszego: „nierząd," muszą Rzpltę przyprowadzić do zguby:

Znak pierwszy (a powiem to śmiele)
Zguby naszéj — konstytucyi wiele —

mówi w wierszu: Na sejm zerwany w Warszawie 1639, na którym toczyła się sprawa o książęce tytuły. Dlatego całą duszą był on za zmianami, które Władysław IV chciał na korzyść królewskości przeprowadzić. Klęski, jakich Polska doznała za Jana Kazimierza, a szczególnie wojna ze Szwedami, którzy całym prawie krajem zawładnęli i króla z państwa wypędzili, była w oczach Twardowskiego tym kresem nieszczęścia, do jakiego Bóg chciał Rzpltę za jéj grzechy doprowadzić. Stan rzeczy musiał się przeto odmienić—i Twardowski ujrzał w Karolu Gustawie zbawcę i odnowiciela ojczyzny, który miał rozkiełzaną swawolę ująć w karby i rząd silniejszy zaprowadzić.

Należy także wspomniéć o znajdujących się między Miscelaneami czterech Trenach na śmierć córki jedynaczki, Maryanny, ponieważ ten rodzaj poezyi stał się u nas sławnym przez Kochanowskiego. Główne myśli i wyrażenia przypominają żywo nieśmiertelne żale Jana z Czarnolasu. I Twardowski „ledwie się ucieszył z wdzięcznéj swojéj córy"— i on wolałby: „Bodaj była nie weszła" — i on cierpi podwójnie, widząc boleść żony, z którą wspólnie nic mu nie pozostaje:

„Jedno z różanymi
Miéć się prędko za tobą stopeczkami twymi."

Jest-to zatém, jak widzimy, najzupełniejsze naśladowanie. Czemu dziwić się nie można, bo Kochanowski, wypisawszy swą boleść z głębi serca, utworzył genialne dzieło i wyczerpał przedmiot zupełnie, tak, że późniejszym trudno było zdobyć się na oryginalność; chcąc nie chcąc, musieli go naśladować, bo coś nowego wynaléźć mógł tylko bardzo znakomity talent.

Do rzędu panegiryków Twardowskiego, z jakich po większéj części Miscelanea się składają, należy wielki panegiryk, osobno wydany: Książę Wiszniowiecki Janusz, koniuszy koronny... przypomniany

świeżo r. 1646,—gdyż jak się z przedmowy dowiadujemy, gotowy już był przed dziesięciu laty, lecz autor czekał z wydaniem, aż synowie księcia podrosną, aby im mógł podać ojca za przykład. Jest-to w genealogicznym porządku pochwała czynów Wiszniowieckich, szczególnie zaś koniuszego. Do właściwości tego rodzaju płodów należy ustęp, gdzie Wiszniowiecki rozmyśla, kogoby pojął za żonę... wtém zjawia mu się Merkury i wpływa na jego postanowienie, oświadczając, że księżniczka Konstancya za żonę mu przeznaczona.

Przykład dany z [illegible] cie od dworu królewskiego, sprawił, że Twardowsk[illegible] n natchnieniom łatwo ulegał, zaczął tłumaczyć poem[illegible] atur zachodnich. R. 1635 był przedstawiony na zamk[illegible] ski dramat Jeremiasza Paschati p. t. „Dafnis." Tw[illegible] ył go wkrótce (niema jednak śladu, aby w tym pol[illegible] był kiedy grany): „Daphnis w drzewo bobkowe prz[illegible] rakowie 1638.

Dafnis nie jest [illegible] storałką, widowiskiem scenicznem, dającém sposo[illegible] ęcia deklamacyi i patosu. Zawiązanie wprawdzie jes[illegible] pollo, zabiwszy smoki Pitona, chlubi się z tego czynu [illegible] óra, którego strzały w zniewieściałe tylko serce uderzają. Obrażona tém Wenus pobudza do zemsty swego syna. Za jego sprawą Apollo, spotkawszy w lesie Dafnidę, gorącą ku niéj zapałał miłością, ale Dafnis przyjmuje ją obojętnie, a nawet ze wstrętem. Żale i prośby Apollina tchną gorącą nieraz namiętnością i zniewalają współczucie czytelnika obrazowym i pełnym siły językiem. Ale kompozycyi dramatycznéj brakuje tu zupełnie: są to liryczne sceny wynurzeń serca, gdzie główną rzecz przeplatają epizody do niéj ściśle nienależące, t. j. rozmowy pasterzy i pasterek o tajemnicach i kłopotach serdecznych, posiadające wszystkie zalety wirgiliuszowéj sielanki.

Trzeba także nadmienić, że poemat ten pisany jest w stancach, najczęściej nierozrywanych przez dyalog, co dla prawdziwego dramatu byłoby niepodobieństwem i nazbyt sztuczną formą.

Nigdzie może język Twardowskiego nie jest tak wdzięczny, tak daleki od zwykłéj mu przesady, jak w tém tłumaczeniu. Apollo, znajdując po długiém szukaniu śpiącą Dafnidę, tak się odzywa:

Owoż i moja kochanka szukana
Na miękkim darniu sama się złożyła,
Żeby niewczasem przykrym zmordowana
Ciężkim podobno członkom co ulżyła;
Jako gdy Febe rannym dżdżem zmaczana
Na swym Jacyncie oczu przymrużyła,
Nad rubin krwawy i światło miesięczne
Ku śmiechu usta skłoniły się wdzięczne.

Południa skronie ogniem jéj pałają,
A pot perłowy spada na jagody,
I taszęta drobne jéj przyśpiewywają,
Łagodne szemrząc pochlebują wody
I Fawonicyi ze stron powiewają,

Słodki sen nosząc i ucieszne chłody.
Lewą się wsparła, w prawéj trzyma ręku
Konia na wodzy, a sajdak u łęku.

Cóż czynisz serce, że się nie wydzierasz
I zbiega swego nie poimasz śmiele,
Tać to jest Dafnis, dla któréj umierasz
I trawisz nocy niespanych tak wiele?
Czemuś w opale, czemu nie nacierasz,
Oto masz w ręku swych nieprzyjaciele,
Masz obłów wdzięczny, który gdy uronisz,
Rączym go potém Pegazem nie zgonisz.

Cóż gdy lituję i żal mi, żal srodze,
W pół tak uciesznéj przebudzić ją chwile...

Dafnis jest jednym z najpierwszych pojawów téj poezyi miłosnéj, która w téj epoce dopiero się rozwinęła. Do tego rodzaju należy także romans wierszem: Nadobna Paskwalina, z hiszpańskiego świeżo w polski przemieniona ubiór.

Przytoczę tu obszerniéj jego treść dla dania wyobrażenia o tym rodzaju literatury przed półtrzecia wiekiem. Czasy nowsze i starożytne, pojęcia chrześcijańskie i mitologia dziwnie tu są z sobą powiązane, co jest stałém prawie znamieniem powieści, jaka się wówczas pojawiła w Polsce.

Rzecz dzieje się w Lizbonie za czasów Filipa. W tém to mieście i w tym to czasie Wenus, wygnana przez Turków z Cypru, zakłada sobie pałac. Obudza to niezadowolenie Paskwaliny, dotąd najpiękniejszéj tam kobiety, a przytém kokietki w całém znaczeniu tego wyrazu, obsypywanéj pochwałami i hołdami młodzieży, która ją z samą Wenerą równała. Paskwalina uwierzyła temu chętnie i uniosła się dumą, za co Wenus postanowiła ją ukarać i namówiła Kupidyna, że wzbudził w sercu Paskwaliny do Oliwara nieodwzajemnioną miłość, Paskwalina zaprosiła go listownie na schadzkę, ale Oliwar, który właśnie kochał się w innéj, pomimo pokus namiętności, dał jéj odmowną odpowiedź. Paskwalina dręczy się miłością i wstydem i lęka się obmowy, témbardziéj czyhającéj na nią, że dotąd była dla wszystkich dumną i niepokuszoną. Za radą tedy swéj piastunki Stelli udaje się do świątyni Minerwy, któréj ksieni daje jéj poważną naukę, że swe nieszczęście winna przypisać gniewowi obrażonéj Wenery i własnéj próżności, po radę zaś i pomoc odsyła ją do świątyni Junony, dając jéj na drogę talizman z przestrogą, aby o nim dobrze pamiętała. Paskwalina puszcza się w drogę w pielgrzymiém ubraniu, przebywa przez dzikie knieje i pustynie, gdzie nieraz doznaje gościnności ubogich rybaków i pasterzy, ale gdzie także jednéj chwili nie jest pewną życia przed dzikiemi zwierzętami. U stóp laurowego drzewa Apollo kładzie trupem lwa, który już miał się rzucić na nią. Paskwalina nie wie zrazu, kim on jest, lecz Apollo przyjmuje ją w swym domu, opowiada jéj o swych czynach i o miłości do Dafnidy, którą również gniew Wenery tak nieszczęśliwie zakończył. Ztamtąd udaje się Paskwalina do Dyany, która znów jéj opowiada o Akteonie, o porwaniu Prozerpiny i Adonisie,

... —poczem usypia sne
zbudziwszy się, widzi swą szkodę i na rozkaz W
skwalinę, zostawiając ją na łup zwierząt. Ale p
ją z więzów, a Paskwalina, zabrawszy talizman
do świątyni Junony, gdzie się marności światow
wany warkocz ucina. Bez żadnych trudności pow
ny. Wenus, dowiedziawszy się o jéj powrocie i w
wszechnym szacunkiem, odpędza od siebie Kup
z rozpaczy.

Paskwalina, szczególnie w rozdziale pierw
więcéj w sobie powieściowego żywiołu, wystawio
jomością serca kobiecego. Podróż jéj do Junon
w czasie tego doznaje, są pokutą za jéj błędy, a
niem jéj szczęśliwości prostych ludzi, połączonéj
życia, o jakich ona, wychowana w zbytku, wy
Wszystkie zaś powieści, jakie w czasie swéj drogi
tego, aby jéj pokazać nieszczęliwe skutki namięt
skwalinie niema takich rażących scen, niebardzo
ścią, jakie napotykamy naprzykład we wcześnie
ściach Hieronima Morsztyna.

Dwa ostatnie dzieła Twardowskiego są właś
mi historyami, mającemi uchodzić za poemata boh
nasz autor dał początek. Pierwszym z nich jest „
polski i szwedzki" r. 1650. We wstępie sam au
rodzaj utworów, które mając za cel podać rzecz
zmyśleń poetycznych, a zatém i bez artystycznego
ją jednak wiersza dla nabrania większego powa
telników:

Króla powiem wielkiego w wolnie ...

To, co tutaj Twardowski o swych dziełach powiedział, da się zastosować do wszystkich prac tego rodzaju. Bardzo często u nas, a nawet można powiedzieć powszechnie, takie tylko znaczenie wierszom przypisywano. Rej jaknajwyraźniéj na kilku miejscach się przyznaje, że dlatego pisze wierszem, ponieważ te łatwiéj w pamięci się zatrzymują. Używano zatém formy poetycznéj, nie dbając o to, czy treść będzie jéj odpowiadała. Jest-to dowodem niezbyt wysokiego estetycznego smaku. I rzeczywiście dawniejsza literatura nasza posiada wielkich pisarzy, znakomitych myślicieli, rozumnych statystów i historyków, wielu pięknie i gładko piszących rymotwórców, ale poetów, rozumiejących swe powołanie, do wieku XVIII ledwie kilku się znajdzie.

„Władysław IV" jest przedewszystkiém panegirykiem tego monarchy, którego Twardowski uwielbiał nietylko z dworactwa, ale z przekonania politycznego, widząc w nim króla, który i sławą wojenną naród ozdobił i przez politykę swoję mógł krajowi wewnętrzny ład zapewnić. Twardowski stawia osobistość Władysława zawsze na pierwszym planie i przypisuje mu zasługi i w takich nawet wydarzeniach, w których, jak wiemy z historyi, król ten małoznaczącą grał rolę, jak mianowicie w wyprawie moskiewskiéj za życia Zygmunta III i w wojnie chocimskiéj. Pod tym względem rażące zachodzi przeciwieństwo między nim a Wacławem Potockim, który wyraźnie wyrzuca królewiczowi bezczynność.

Zwykłym sposobem takich poematów „Władysław IV" zaczyna się *ab ovo*, że tak powiem, nie trzymając się owéj reguły Horacego, którą utworzył z wzorów prawdziwéj epopei, aby odrazu *in medias res* wkraczać. Przez to już samo zdradzają te poemata swą prozaiczną naturę i pochodzenie. „Władysław IV" zaczyna się więc od urodzenia i wychowania królewicza. Do jego historyi wiąże poeta wszystko, co się za jego życia zdarzyło w dziejach lub jaki związek z nim miało. Opisuje więc wojnę moskiewską za samozwańców, podwójną wojnę turecką, t. j. cecorską i chocimską, który to przedmiot już raz w Legacyi był pod jego piórem. Daléj podróż, jaką królewicz po skończeniu téj wojny po Niemczech, Belgii i Włoszech odbywał. Jest-to, podobnie jak Legacya, dyaryusz podróży, bez poezyi w opisach, którą Twardowskiego nie natchnęły ani Alpy, ni piękna natura i przeszłość Italii, ale tak dokładny, że jeśli Twardowski sam z królewiczem nie był, musiał go pisać według czyich notat. W punkcie IV opisuje ostatnie wojny szwedzkie za Zygmunta III, jako będące w związku z późniejszą za Władysława IV, śmierć Zygmunta III, elekcyę nowego króla, wjazd jego na koronacyę do Krakowa i poselstwo Ossolińskiego do Rzymu z oznajmieniem o wstąpieniu na tron nowego monarchy. Punkt wreszcie piąty zawiera zwycięztwa odniesione przez Władysława IV w pierwszych latach jego panowania. Przy końcu obiecał jeszcze Twardowski opisać dalsze czyny królewskie, ale do tego nie przyszło.

Jak więc z treści widać, utwór ten jest tylko prostą biografią panegiryczną. Czasem odezwie się tu Muza Twardowskiego i na wyższy nastrój, jeśli mu przyjdzie naprzykład opisywać bitwy, albo gdy się je go patryotyczne uczucie rozbudzi. Ale i wtenczas, lubo podobne ust

czynią zaszczyt sercu autora, wyszukane przenośnie i fantazya upstrzona erudycyą mało nam wynagradzają prozaiczność reszty jego rymów.

Nie posiada już téj panegirycznéj cechy ostatnie dzieło Twardowskiego: „Wojna domowa z Kozaki i Tatary, Moskwą, potém Szwedami i z Węgry," przez lat dwanaście za panowania najjaśn. Jana Kazimierza króla polskiego tocząca się..." (Kraków, 1660). Autor ma tu na oczach cały naród, nie króla samego; choć prawda, że tym królem nie był już uwielbiany przez niego Władysław. W pięciu księgach, które według swego zwyczaju punktami zowie, opowiedział dzieje Polski w nieszczęśliwym dla niéj czasie od 1648 do pokoju oliwskiego. Pod względem poetycznych zalet, a raczéj niedostatków, „Wojna domowa" stoi na równi z „Władysławem IV," chociaż autor zaczyna ją z Wirgiliuszem:

Wojnę powiem okrutną...

Więcéj jednakże budzi w nas interesu dlatego, że się tu częściéj odzywa struna uczuciowa autora, a przez to i charakter i duch ożywiający ludzi tamtowiekowych. W „Wojnie domowéj" Twardowski szlachetniéj nam się przedstawia, bo zapomniał śpiewać panegiryków, a przejął się nieszczęściami kraju. Często tutaj rozmaite okoliczności wywołują liryczne ustępy, w których Twardowski narzeka na te ogromne klęski, jakie się wtenczas na Polskę zwaliły, lub téż karci swych ziomków i ich nierządowi, zbytkom i prywacie winę nieszczęścia przypisuje. Nad wszystkiém zaś góruje myśl religijna, że to złe jest zasłużoną karą od Boga, i nadzieja w Jego miłosierdziu. Ten duch prawdziwie wyższy, który dawniejszym pokoleniom, mimo wszystkich ich błędów i przywar, nadaje pewien urok w naszych oczach, ożywiał Rzpltę przez długie wieki i często dawał się widzićć w naszéj literaturze. Długosz na podobnéj myśli zbudował niegdyś swój systemat historyczny, a jednym z jéj ostatnich i pięknym odgłosem jest wyobrażenie o wpływie Opatrzności na dzieje ludzkie, jakie Potocki w swéj „Wojnie chocimskiéj" wypowiedział. Poezyi epicznéj, równie jak dramatycznéj, wyobrażenie takie dodaje wiele wewnętrznéj siły i podnosi ją do godności natchnionéj sztuki, nauczycielki narodów.

Dla naszych to humorów i bezdennych zbytków,
Niekaranéj swéj woli, wnętrznych nieufności,
Pychy i rozbujanéj aż nadto wolności,
Zaczymeśmy ku niebu wylecieli wyżéj,
Tym na dół sturbowani upadliśmy niżéj.
Niechajże co cierpimy teraz nas nie boli,
A przecież się świecimy, przecież od soboli
Grzbiety wasze szumieją i materyj złotych...

W taki sposób powstaje często na polityczne błędy lub szkodliwe urządzenia krajowe, naprzykład pospolite ruszenie, które szczególnie w tym czasie dało dowód swéj nieużyteczności i niedołęztwa. Tak o sejmie zerwanym:

Rozbita ta machina tylkoż dla jednego
Posła głosu? O takli bez względu żadnego

Na to wszystko, cokolwiek zawierasz w swém łonie,
Zdrowia, fanty, ozdoby i zronione skronie
Wdzięcznym szronem? i żywych i umarłych oraz
Pociechy nieskończone, przepadać masz coraz
Ojczyzno nieszczęśliwa? Że chcąc mieć inaczéj,
Rzecze kto: nie pozwalam? Życzyłbym ci raczéj
(Z żaluli to wymówię) wielkich tych wolności,
Nieco skrócić. Zaczymbyś w swojéj dojrzałości
Rady prędsze i głowę spokojniejszą miała,
Gdybyś ani niewoli zupełnéj nie znała,
Ani całéj swobody...

Z podobném zdaniem, które wówczas nie wszystkim mogło się podobać, nieraz się Twardowski odzywał.

„Wojnę domową" pisał on widać współcześnie z wypadkami. Znużony pracą, w podeszłym już wieku podjętą i dlatego nieposiadającą tych przymiotów, jakie dawniejsze jego utwory nieraz ozdabiały, a bardziéj jeszcze przygnębiony ciągłemi klęskami kraju, miał już zamiar rzucić pióro i skończyć wprzód nim wypadki doszły do rozwiązania:

. . . Zaczem poglądając
Na rzeczy też z daleka i widząc dalekam
Nadzieję ztąd pokoju, bodaj go doczekam
Laty i affekcyą przyciśniony swoją,
Czymem ja miał za łaską Melpomeno twoją
Pracę tę nieskończoną i niespanych wiele
Nocy ukoronować...

Ale pomyślniejsze wiadomości polityczne nowych sił mu dodały i doprowadził opowiadanie do pokoju oliwskiego, czego, jak powiada, doczekać już się żywym nie spodziewał.

Twardowski był od współczesnych bardzo wysoko ceniony dlatego bezwątpienia, że umiał trafić do smaku swéj epoki, która wymagała od poezyi kwiecistéj deklamacyi i blichtru erudycyi; dlatego także, jak przyznają mu jego współzawodnicy w poetycznym zawodzie (Kochowski, Gawiński, W. Potocki), że pierwszy w obszernych poematach przedstawił dzieje narodowe — a w pracach tych patrzano więcéj na treść i zamiar autora, niźli na wartość literacką —nazywano go polskim Wirgiliuszem; tak Kochowski pisze:

Onci to nasz słowiański Wirgili dowcipny,
Mars polski, Samuel ony Twardowski z Skrzypny,
Którego heroiczna Muza jest téj cery,
Że przeszła Enniusza i chlubne Homery.

I późniejsi krytycy a pierwsi twórcy historyi naszéj literatury uważali go za koryfeusza téj epoki, za najznakomitszego w niéj poetę. Poszukiwania dopiero lat ostatnich i odkrycie kilku nieznanych przedtém poematów pokazały, że byli w tym czasie więksi od Twardowskiego poeci. Szedł on rzeczywiście za dawną tradycyą poezyi polskiéj, biorąc sprawy publiczne za jéj przedmiot i będąc pełen ducha obywatelskiego, którego ślady widoczne w jego pismach. Ale on może pierwszy ze znakomitych poetów dał przykład do owych panegiryków, które w ręku następców, idących za powagą uznanego poety, godność poe-

zyi pomżyly, i odzywał się tym językiem przesadnym, który pozornym blaskiem chciał udać wdzięk i fantazyę, a górnolotnością natchnienie. On także ulac za modą i przykładem dworu zamiłowanego w cudzoziemczyznie, przekładał zagraniczne utwory, które wprawdzie pod względem prostoty i wdzięku języka najwięcéj między jego dziełami posiada[illegible] zalet, ale które bynajmniéj literatury nie wzbogaciły, Twardowski mógł do przekładu wybrać sobie tyle innych lepszych daleko poematów.

*Warszawa, 1866 r.*

---

## O SATYR[illegible]CH XVII WIEKU.

Na literaturze téj [illegible] się znany axiomat, że ostateczności się stykają. W [illegible]iem czasie, gdzie w życiu politycznem objawiało się p[illegible]podobanie błędów i wad, podkopujących fundamenta[illegible] gdzie nie było końca wzajemnym pochwałom, uwielbianiu się i podnoszeniu pod niebo mierności lub napuszystéj dumy, czyli w tym okresie pochlebnych dedykacyj i szumnych panegiryków, pojawiły się także najwięcéj oburzeniem i żółcią napełnione, nielitościwie swój czas smagające satyry. Są one niejako odwrotną stroną tego medalu, któremu po wierzchu starano się nadać połysk jaknajświetniejszy. Autorowie tych satyr bezwiednie dopełniali obrazu swéj epoki, mieszając do świetnych i jaskrawych barw, w których ją przedstawiano, koloryt czarny i cienie uderzające kontrastem. Czuli oni różnicę, jaka zachodziła między rzeczywistością a powszechną prawie opinią, dającą się najwyraźniéj słyszéć w literaturze, a podnoszącą ludzi i wypadki nad ich wartość, łudzącą się pozorami. Pochlebstwo i zaślepienie, wystawiające wszystko w różowéj barwie i nieprzeczuwające następstw, obudziły w ich duszach żal i oburzenie.

Z tego to uczucia należy sobie tłumaczyć gorycz ówczesnych satyr. Przedstawiają one swoje społeczeństwo, jego tak prywatne jak i publiczne życie, w tak niekorzystném świetle, że gdyby wszystko, co swemu wiekowi zarzucają, było prawdą, musielibyśmy stracić zupełnie dobre wyobrażenie o naszych przodkach z owych czasów. Ostrość jednakże tych rysów trzeba złagodzić, pamiętając na to, że wywołał ją bezwątpienia ten duch kontrastu, który chwyta się zawsze skrajnego zdania, również niezupełnie sprawiedliwego, jeżeli dostrzeże, że wyobrażenia ogólne grzeszą jednostronnością i przesadą. Ani w panegirycznéj literaturze XVII wieku, ani w satyrach niema bezwzględnéj prawdy -szukać jéj trzeba w pośrodku.

Do ówczesnych satyryków można zastosować wiersz, który A. Perzynsz położył kiedyś na czele swych satyr. Właśnie w téj epoce przełożono u nas pierwszy i ostatni raz tego ostrego przygania-

cza obyczajów rzymskich, a przekładu tego dokonał Mar. Słonkowicz, prof. akad. krak. 1651 r. Perzyusz stawiał sam siebie na biegunie przeciwnym ówczesnym poetom, którzy dymem pochwalnym kadzideł dobijali się łaski mecenasów, podobnie jak my dzisiaj stawiamy naszych satyryków na drugim krańcu małodusznych lub bezmyślnych panegirzystów:

„Anim ust zmoczył w zdroju Pegazowym,
Ani pamiętam snów na dwuwierzchowym
Parnasie, żebym zaraz siał wierszami.
Rzekę Pireńską bladą i z Muzami
Tym zostawuję, których obraz zioły
Swemi bluszcz zdobi: ja wieśniak napoły
Apollinowi wiersze swe przynoszę.
Papugę witać, kto sposobił proszę?
Kruków kto niegdy jak z pudła pozdrawiać,
Sroki kto uczył słów naszych wymawiać?
Mistrz słów uczonych i dowcipu dawca,
Brzuch, z przyrodzenia słów niezwykłych sprawca...”

Ten sam realizm, z jakim tu nie tai się, a nawet chwali Perzyusz, zrywając z poetami, a nawet poetycznėm natchnieniem, ponieważ to pobudkom materyalnym nieraz powodować się dało, stanowi także cechę satyryków XVII wieku, widną zarówno we formie niedbającéj o artyzm poezyi, częstokroć prozaicznéj, jak i co do treści, kiedy zrywają wszelkie zasłony mogące pokryć szpetną nagość ludzi i ich życia.

Nim zaczniemy mówić o naszych satyrykach, nie od rzeczy będzie przyjrzéć się, jakie też wyobrażenie miała o nas reszta Europy, jak nas gdzieindziéj krytykowano i jakie w nas znajdowano złe strony. Od czasu, kiedy tron polski stał się elekcyjnym, zaczęto się więcéj nami zajmować, bo interesa innych mocarstw ze stanem i położeniem Polski ściśléj się zespoliły. Właśnie około połowy XVII wieku pisano o nas dosyć za granicą. I tak, pisał o stanie Polski Anglik Tomasz Lansius (przed r. 1655) w swojéj Konsultacyi, dając zarówno pochwały jak i nagany. Chwalił nas Maksym. Mosch, ganili przeciwnie Achacy Oxelli i Hovol w swéj angielskiéj książce: Diet r. 1653.

Ale największéj doniosłości było bezwątpienia zdanie szkockiego poety, słynnego na całą Europę Jana Barclaya. To nadto, co on o Polsce powiedział, było u nas najwięcéj znane i wywołało nawet opozycyę literacką. W historyczno-satyrycznym romansie swoim p. t. Satyricon Euphormionis Lusini skreślił Barclay pogląd na charakter i obyczaje ludów europejskich p. t. Icon animorum praecipuarum nationum Europae. W rozdziale 8-ym Ikonu mówi także o Polsce, naprzód o jéj położeniu, o naturze i płodach ziemi, następnie o zwyczajach i charakterze narodowym.

„Życie Polacy po największéj części twarde prowadzą—powiada Barclay—bo klimat u nich przykry, ani ich obyczaje nie posiadają ogłady naszego wieku i ztąd niekiedy dzikiém jest ich usposobienie. W domach zajezdnych przyjmują podróżnych w sposób od-

mienny od naszych krajów. Zaprowadzają ich do pustych izb, gdzie światło tylko przez szczeliny zrobione w ścianach się dostaje i które na wiatry i zimno są wystawione. Niema tam łóżek do spoczynku, ani stołu do jedzenia, ściany gęsto zbite gwoździami; na tych podróżni tłumoki swe po porządku zawieszają; na ziemię zaś ścielą wiele słomy i to zastępuje w owych domach gościnnych miejsce łóżek. Dlatego podróżujący w tym kraju tak się wybierają w drogę, jak gdyby cały dom z sobą nosili. Zabierają ze sobą żywności, łóżka na wozach przewożą, aby w owych nagich zajazdach mogli od głodu i zi [illegible] ć. Narodowi temu wrodzona jest srogość i swawola, [illegible] ją nazywają, do tego stopnia, że teraz dopiero zniósł [illegible] prawo od wieków istniejące, według którego zabójc [illegible] kary i sądu, jeśli na ciało zabitego rzucił pewną [illegible] przez toż prawo oznaczoną. I nie ceniliby tak lek [illegible] go, gdyby z wrodzonéj srogości umysłu nie uważ [illegible] ri ludzkiéj za małe przestępstwo. Nienawidzą sam [illegible] iska nietylko poddaństwa, ale nawet sprawiedliwe [illegible] i. Król do zachowania praw krajowych siłą i broń [illegible] szany. Szlachta siebie samę opłakanemi przywileja [illegible] aby według nich mogła nawzajem sobie krzywdy wyrządzać bezkarnie; królowi bowiem nie przysługa prawo karania występków. Sobie samym nazbyt ufają; i takaż sama swawola jak w wolności, obyczajach i rubasznem życiu, panuje także w pojmowaniu religii i rzeczy świętych, o których wolno jest jak się podoba myśleć i mówić, ponieważ zarozumiałość nie pozwala mądrym być według cudzego zdania. Ztąd różność tam w umysłach i stek wszelkich odszczepieństw, jakie kiedykolwiek dawne wieki kalały. Każdy ma za bardzo wiele zaszczyt swéj rodziny, szczególnie przed cudzoziemcami i nieznającymi ich stosunków. Skłonniejsi srożyć się niż oszukiwać i sami prędzéj dadzą się zmódz podstępom niż przemocy."

Takie wyobrażenie posiadała zagranica o Polsce. Barclay umiał często w swych twierdzeniach pochwycić prawdę, ale nie był wolny od uprzedzenia, które nieznajomość rzeczy za sobą sprowadzała. Dopiero 1648 r. wyszła odpowiedź na krytykę Barclaya. Napisał ją Łukasz Opaliński, późniéj marszałek nadworny, brat młodszy satyryka Krzysztofa, który właśnie w ciągu 10-ciu lat 1638—1648 cofnął się od życia publicznego i pisaniem pożytecznych książek zajmował. Dzieło to wyszło po łacinie pod tytułem: Obrona Polski przeciw Janowi Barclay'owi (Gdańsk, 1648), a Opaliński zbija w niém zdanie po zdaniu twierdzenia angielskiego pisarza, popierając swe dowody ustawami krajowemi i powagą autorów klasycznych (przytacza i greckich w oryginale).

Ale obrona jego niezupełnie na korzyść Polski musiała wypaść, co spowodowało Bentkowskiego do powiedzenia, że „zleby było, gdyby każda obrona w ten sposób miała być pisana."

Jeszcze wcześniéj przed rozprawą Opalińskiego pojawiło się 1647 roku tłumaczenie Ikonu Barclayowego. Tak przynajmniej powiada tytuł. Tekst jednakże łaciński, tu przywiedziony, i przekład jego polski,

oba w wierszach, odmienne są od tekstu Barclayowego, który jest prozą pisany. Zdaje się, że autor, wziąwszy sobie za tło Barclaya, zmodyfikował jego zdania, odrzucając wszystko rażące lub przesadne i z własnego doświadczenia uczynił tę satyrę podobniejszą do rzeczywistości. Poetycznéj wartości nie posiada ona żadnéj, bo w krótkich wierszykach, w najprostszych zdaniach rzuca tylko rys po rysie.

## Andrzéj Rysiński.

Za panowania Władysława IV, nie wiadomo w którym roku, wyszła niewielka broszura p. t. „Satyr polski na twarz dworską," gdzie pod dedykacyą Dobiesławowi Cieklińskiemu podpisał się jako autor And. Rysiński.

Zwykle w historyi literatury na wiarę kogoś, co się rzeczy bliżéj nie przyjrzał, podawano tę satyrę za pierwsze wydanie drugiéj p. t. „Satyr na twarz Rzpltéj w r. 1640." Być może, iż rzadkość tych Satyrów stała się przyczyną błędu, albowiem drugi, z powodu widocznéj przychylności dla lutrów, a niezbyt przyzwoitych wyrażeń o duchowieństwie, był niszczony. Rzecz się ma jednak inaczéj. Pierwszy Satyr jest tylko krytyką na zwyczaje dworskie, na górny animusz, intrygi wzajemne i rozrzutne życie dworaków—co już sam tytuł powinien był pokazać. Drugi zaś maluje ujemne strony całego społeczeństwa, wady w rządzie, zbytki rozmaitych stanów i t. p. Podobieństwo pomiędzy nimi zachodzi tylko co do formy naśladowanéj z Kochanowskiego, bo w obu wprowadzeni są na scenę Satyrowie przemawiający do czytelnika.

W takim więc razie trudno wyrzec z taką pewnością, jak to dotąd czyniono, że autorem drugiego Satyra jest także Rysiński. Przemawia jednak za tém pewna analogia między oboma pismami i przyrzeczenie, którego się należy domyślić ze słów Satyra dworskiego, że autor i o ogólnym stanie Rzpltéj pisać zamierza. Tym sposobem satyry te byłyby dopełnieniem się wzajemném, nie są zaś jedną i tąż samą.

„Satyr polski na twarz dworską" mniéj zasługuje na uwagę z powodu swéj obojętniejszéj treści; ważniejszym nierównie jest drugi. Powiedzieliśmy, że formy pożyczył sobie autor od Kochanowskiego; był to zresztą sposób pisania satyr bardzo upowszechniony. Co do treści zaś ustaje wszelkie podobieństwo z Kochanowskim. Rysiński idzie daléj tym torem, na który wszedł już był Klonowicz, zaprawiając swe słowa nie attycką solą, ale goryczą żółci. Pod tym względem stoi on na równi z Opalińskim i tém tylko różni się od niego, że nie tak szczegółowo wystawił wszystkie stany i wszelkie stosunki życia. Inne czasy innych téż miały poetów niż szczęśliwsze wieki zygmuntowskie, gdzie złe, chociaż nieraz już widoczne, zasługiwało tylko na łagodniejsze napomnienie, albo karcone było rubasznym humorem Reja.

Na samym wstępie autor, mający już w głowie cały ponury obraz, jaki o obyczajach i przywarach swych ziomków nakreślić zamierzał, zastanawia się nad sobą i pyta:

Mówić mam, czy zamilczéć?...

i byt całego kraju. W sejmie widzi prywatę prz
ogólném, brak zdrowéj i życzliwéj rady, próżn
czczych oracyach i gadaninach, niesforność i u
który prowadzi do rokoszów i zrywania sejmów:

..Cóż, czy i pełn
Nie mówimy gębami, że czasem samom
Ruszamy i murami i Izba jak w wrzaw
A wszystko o wolnościach i o praw po
Dawnoż one Rokosze drudzy pamiętan
Dawno już to po dwakroć sejmy rozry
I czasem tak w fakcyach rugujem się s
Że roznosić na szablach, że się i oknan
Zrzucać chcemy? A tylko jakobyśmy
Pieszczoną tę swobodę swą ukołysali.

Wytyka potém dalsze wady w zarządzie Rz
du wojsku, kupowanie urzędów i cudzoziemcz
z obyczajów dawną prostotę, a z serca szczeroś
Tą cudzoziemczyzną dwór królewski się zarazil
swych zwyczajów i moralności.

Siła było i innych mów pomiędzy nami
O téj dworskiéj ślizkości, jako personam
Niegodnemi koronne stołki zasadzone,
Cudzoziemcy pokoje jak trzciną natknio
I nikt się do prezentu i chóru nie zgodz
Tylko kto po francuzku, kto po włosku c

Pełno tam pochlebców i owych polityków, k
sadą Machiawela:

To jest myśl mieć wesołą, czoło otworzo
Oczy jasne każdemu a serce

rozmaite sposoby, nieraz najniemoralniejsze, jakich się chwytali klienci dla zjednania sobie przychylnych głosów deputatów:

Prosząc naprzód na bankiet z paniami pospołu,
Gdzie przy winie gorącém u strojnego stołu
W znajomości zachodzą i braterstwa nowe,
Spore na to kielichy pełniąc kryształowe.
Tamże słuszność spraw swoich za każdą podaną
Rozwodzą, okazują, ani nie ustaną,
Aż wszystkich na nieswoich nogach rozprowadzą.
Choć czasem i drugiego na Tureczka [1]) wsadzą,
Co nigdy się nie wróci; drugiego polano
Że polewką umyślnie [2]), aż za to posłano
Rysią mu ferezyę. Drugim, księży zwłaszcza,
Nie żaden wstyd po trzeźwu upomnieć się płaszcza,
Drugim poszlą to wódek, to Piotrkowskich krupek
Na złocistych miednicach, choć się tych skorupek
Nie upomną na wieki. Drugim podrzucają
Konwie srebrne i czary, a choć się gniewają
I chcą w rzeczy wyrzucać, przecie pod oknami
Rzadko gdzie ich znajdują. A jeśli nie sami,
Nie pogardzą przynajmniéj panie Deputatki.

Używali klienci jeszcze i innych niegodziwszych środków, przywodząc deputatom swoje córki i żony... A Rysiński musiał prawdę powiedzićć, bo oskarża ich o toż samo i późniejszy o sto lat satyryk Antoni Poniński. (Sarmaticus seu Satyrae).

Postawiwszy tym sposobem występki publicznego życia pod pręgierz, wiele grzechów znajduje autor i w prywatném. Zaczyna od kobiet. Gani przyjmowanie stroju cudzoziemskiego, na który sadzą się nawet chude szlachcianki. Mężatkom wyrzuca pokątne miłostki, matkom złe wychowanie i zły przykład dawany córkom, które od najpierwszéj młodości nabierają smaku do zakazanego owocu, słuchając chętnie mów nieprzyzwoitych i wdając się w tajemne rozmowy z męzką młodzieżą. U mężczyzn powstaje na powszechną i długo za narodową prawie uważaną wadę, t. j. na zbytki w bankietach i pijatykach:

Że na jednym bankiecie dział z ojczyzny wszytek
Pożre drugi, i na co krwawy pot wytłoczy
Z czoła Ociec, on oraz marnie to roztoczy
I uleje pawiment w rynsztok Małmazyą,
Jakoby gdzie Tokaje albo miał Kandyą.
Kuchnia smierdzi perfumy cynamonowemi,
Gdzie tylko zwierzynami na zuchwał samemi
Od jeleni i łosi zastawione stoły;
Tychli nie masz, to w octach całe czasem woły
Kruszą winnych. Z cukrów zaś, faryn i migdałów,
O! jakich tam nie robią dziwnych specyałów,
Gdy nietylko bażanty i strusy i pawie
I co lata po wietrze i chodzi po trawie,
Ale morskie baleny, foki i delfiny,
I inne tam formują nagie Meluzyny.

---

[1]) Na konia tureckiego, który potém zostaje przy deputacie dla zjednania sobie głosu.
[2]) Szyk słów taki: że (ponieważ) polano umyślnie polewką.

Chłoszcze także i przeciwną wadę, t. j. sknerstwo i chciwość, o co najwięcéj dygnitarzy kościelnych obwinia, powiadając, że spędzają żywot na próżniactwie i bawią się lichwą.

Wogóle obraz tego czasu, o dwa przeszło wieki od nas oddalonego, a w którym my widzimy zwykle samą prostotę, prawość sumienia i moralność, w ponurych barwach został odmalowany przez Rysińskiego. Jednakowoż Rysiński naszkicował go tylko pierwszemi liniami—wykończył go zaś z całą dosadnością i jaskrawością kolorów w niewiele lat po nim wojewoda poznański

## Krzysztof Opaliński.

Opaliński pochodził z rodziny starożytnéj, od XII już wieku zapisywanéj na kartach historyi, ale nadto odznaczającéj się często gruntownem wykształceniem, dobrą głową i miłośnictwem nauk. Takim był Łukasz Opaliński, młodszy brat Krzysztofa, takim stryj ich Jan, „wielki miłośnik i tłumacz Tacyta," po śmierci ojca opiekun Krzysztofa od 14-go roku jego życia. Sam Krzysztof odebrał wyższe wykształcenie za granicą, zwiedził Włochy, a uczył się szczególnie w Lowanium, gdzie już stosunki z uczonymi ludźmi zawiązał. Powróciwszy do kraju, mając mało co więcéj nad lat dwadzieścia, przemawiał często na sejmikach, a zawsze „uczenie i śmiało." W dwudziestym ósmym roku życia został już wojewodą poznańskim i w tym to czasie pisze o nim ks. Albrecht Radziwiłł w swym pamiętniku, iż dał się słyszéć „Wojewoda poznański Opaliński, pierwszy raz zasiadłszy krzesło senatorskie, w wymownéj ale przesadnéj i za oklaskiem goniącéj mowie." Opaliński występował w opozycyi przeciw królowi Władysławowi IV i ztąd jednał sobie wziętość między szlachtą. Niedługi tylko czas w 1645 r., gdy jeździł w poselstwie do Francyi po Maryę Ludwikę, zostawał w lepszych z dworem stosunkach. Pogorszyły się one stanowczo ze śmiercią Władysława IV. Jan Kazimierz został na tron po nim obrany, Opaliński zaś wszelkiemi siłami pragnął wyjednać koronę dla jego brata, księcia Karola. Cofnął się zatém zupełnie od życia publicznego i w tym czasie r. 1649 tuż po pokoju zborowskim (bo wspomina o nim w satyrach), siedząc w swym Sierakowie, zdala od dworu, oddał się zajęciu literackiemu. Owocem tego *otium* obrażonego magnata były „Satyry albo przestrogi do naprawy rządów i obyczajów w Polszcze należące," wydane po raz pierwszy w r. 1650 bezimiennie i bez miejsca druku. W innych wydaniach (a było wszystkich siedm czy ośm) zmieniono tytuł Satyr, nazywając je to „Iuvenalis redivivus" to „Icon animorum albo Zwierciadło." Późniejsze wydania, a mianowicie z r. 1698, są gorsze i niezupełne, bo opuszczono w nich satyry na duchowieństwo.

Pięć ksiąg satyr można, co do ich treści, podzielić na trzy rodzaje. Pierwszy, w którym przedstawione są ujemne strony życia prywatnego; drugi, który roztrząsa stan Rzpltéj, wytykając wady prawodawstwa i rządu; trzeci wreszcie tworzą rozprawy moralne w kształcie listów pouczających. Ostatni rodzaj z natury swojéj najmniéj zasługuje na

uwagę i bezwątpienia jest najsłabszą częścią satyr, bo w nim nie miał autor sposobności rozwinięcia swego daru spostrzegawczego i plastyczności obrazów. W tych to satyrach rozbiera on takie np. zdania moralne, jak: zadowolnienie z losu, cnota czyni szczęśliwym, mądry nie zważa na zdania gminu i t. p.

Obfitsze daleko w treść i bez porównania wyższéj wartości są dwa inne rodzaje. W czterdziestu przeszło satyrach (bo pierwszy rodzaj zaledwie ich pięć lub sześć liczy) karci Opaliński najrozmaitsze wady i występki wszystkich prawie stanów, czyli one czynią ujmę naturze, czy téż przynoszą szkodę krajowi. Zła edukacya dzieci, zbytki i zepsucie kobiet i mężczyzn, fałszywe nabożeństwo lub oziębłość w wierze, lenistwo, samochwalstwo, pyszne nieuctwo, obmówcy, młódź wyrodna lub marnotrawiąca spuściznę po ojcach: oto przedmioty jego satyr, kreślących życie prywatne. W ten sam szczegółowy sposób wystawione i sprawy publiczne. Są tu satyry: na bezkrólewie, na niesprawiedliwe rozdzielanie urzędów, na przeniewierstwo grosza publicznego, na brak obrony krajowéj, na niekarność wojska, na powszechne pijaństwo i t. p.

W tych obszernych ramach wypowiedział Opaliński tyle złego o swych współziomkach, ile nigdy ani przedtém, ani potém od nikogo nie usłyszeli. Odmówił on swemu wiekowi wszelkich cnót moralnych i politycznych, tak, że mamy przed sobą obraz zepsucia i upadku, jak równego szukać tylko można w Perzyuszu lub Juwenalu, poetach w zgniliznę i rozkład przechodzącego starożytnego świata. Wrażenie z jego satyr tém silniejszy odnosi skutek, że autor nie złagodził ostréj i przerażającéj nieraz treści zewnętrzną nawet formą. Jest ona szorstką i nieokrzesaną—a pominąwszy nawet brak rymu, który poezyi nadaje wdzięk i harmonię, w wierszu Opalińskiego nie widać żadnych innych znamion sztuki i artystycznego obrobienia rzeczy. Posiada on tylko jeden przymiot poetyczny, mianowicie plastyczność przedstawienia do wysokiego posuniętą stopnia. Plastyczność ta przypomina silny język rejowski. Wszystkie postacie wprowadzane na scenę są pełne ruchu i życia—znać, że ich obraz brany z rzeczywistości i schwycony na gorącym uczynku. Dlatego również nie czujemy, aby Opaliński miał najmniejszą chęć ich zidealizowania — nakreślone są one w całéj swéj nagości, z rubasznością właściwą charakterowi poziomych istot, a nieraz z całym ich cynizmem.

Z tych to powodów osobistość autora Satyr, od czasu ich pojawienia się, była dziwném zjawiskiem w naszéj literaturze. Nie wiedziano, jakie wyrzec o niéj ostateczne słowo, czyli potępić tę bezwarunkową surowość i nieuzasadnioną wyraźnie przesadę, czy téż uznać zasługę męża, który z nieugiętością Katona ośmielił się rzucić swym ziomkom nagą prawdę przed oczy. Zostawiono ją więc niewytłumaczoną i w półcieniu—jakby zostawiając do wyboru, czyli kto woli widzieć rzucone na nią ciemność czy światło. Kochowski napisał o nim w Klimakterach, mówiąc o jego śmierci: „Opaliński, znakomity nauką, wymową, powagą senatorską, odznaczał się w sprawach publicznych. Od Władysława IV wysłany w poselstwie do Francyi po królowę Ludwikę przyczynił zaszczytu swemu narodowi, a sobie sławy; lecz sądząc, że nie zo

stał w miarę zasługi nagrodzony, wziął z tego pochop do skrytéj nienawiści. Po publicznych zajęciach oddawał się literaturze... i sam wydał książkę pod tytułem: „Przestrogi," która, w ojczystym języku napisana, rzymskim oddycha wdziękiem i dowcipem. Szkodliwém było dla sławy tego znakomitego męża, że pod koniec życia w wojenne zadał się trudy, gdyż jego mienią sprawcą przyjęcia protekcyi szwedzkiéj."

Łagodniejszy jeszcze sąd o jego charakterze i roli politycznéj wydał Rudawski: „Był-to mąż wysokiego umysłu... Bardzo wielu ganiło mu wielkie rozumienie o sobie, ale mała to skaza w mężu senatorskiéj godności." Potocki Paweł (w *Centuria virorum illustrium*) chwali jego „rzadką uczonoś [illegible] a wdzięczną godność formy." Krytyk Braun na pocz [illegible] ku (1723) pierwszy powstał przeciw przesadnéj poch [illegible] cznych w Satyrach. „Co do poetycznéj wartości, po [illegible] a przypisuje Kochowski, niema bowiem wdzięku (ve [illegible] dzo rzadki w tych wierszach, a sztuka poetyczna praw [illegible] cza w porównaniu z Kochanowskim, Twardowskim [illegible] nitymi poetami polskimi. Rzeczy prawdziwe wydał o [illegible] wierszach i błędy Polaków w rządzie, w religii, na [illegible] waniu, w zbytku, życiu i obyczajach, tak duchowień [illegible] mieszczan i chłopków otwarcie karci i sądzi, naślad [illegible] Persyusza. Oby ludzie (dodaje na pochwałę Opalińskiego), gdy nie chcą się kajać Boga surowemi napomnieniami, zechcieli, smagani podobnego rodzaju sarkastycznemi pismami, zrozumieć i uprzedzić grożące im niebezpieczeństwo. Zresztą, moralnego człowieka książka ta zabawi, występnego sprawiedliwie skarci."

Takie zdania o autorze Satyr wychodziły na widok publiczny ze strony ludzi jemu współczesnych lub najbliższych czasem. One to już postawiły tę postać w dwuznacznym półcieniu —obok pochwały zdolności i wysokiego umysłu, kazały się domyślać pewnéj skazitelności w charakterze. Ale surowsze były te, które prywatnie z rąk do rąk w rękopisach rozchodziły się po kraju, nie mając odwagi ukazać się na światło dzienne, ale i przedmiot swego potępienia wciągając ze sobą w ciemności. Na autografie Satyr Opalińskiego współczesna może jemu ręka umieściła napis łaciński, podany naprzód przez Załuskiego do wiadomości powszechnéj: „Autorem téj książki jest C. O. P. P., ten sam, który był szczególnym doradzcą i sprawcą poddania Wielkiéj Polski Karolowi Gustawowi, zkąd takim ktoś skarcił go epigramatem:

Opaliński! występki, któremi tchniesz cały,
Zarzucasz innym, a sam pełen jesteś zbrodni.
Prawdziwe czy zmyślone zarzucasz im błędy,
Wiedz to, że są źli ludzie, aleś ty najgorszy.
Niesłuszność, niepobożność i zgwałcona wiara,
To jest w tym, to jest w owym, a w tobie zaś wszystko.
Tyś Szwedowi królestwo, króla, wszystkie prawa
Zaprzedał — wstydźże się więc i żałuj na wieki!"

W podobnym duchu odzywał się także wiersz p. t. „Orzeł do Wielkopolanów na przyjazd króla szwedzkiego do Gniezna" i inny

znajdujący się w rękopisie w Bibliotece Ossolińskich p. t. „Na Satyry, pisane w r. 1650, respons Pana Marcina Nieborowskiego, Podkomorzego Sochaczewskiego 1658"—gdzie mówi do Satyra:

A ty jakobyś nie w Polsce schowany,
Żeś nic polskiego widzę nie ulubił,
I owszem ostrém piórem jéj zwyczaje
Zcenzurowałeś i podałeś światu,
I téj cnéj matce, która cię zrodziła
I tak wysoką uczciła godnością,
Należytego odjąłeś honoru,
Formując dyskurs do swego humoru,
Po którym cię znać, nie dzikiego męża.
Znać dobrze, żeś się schował między ludźmi,
Obce narody ciekawie zwiedziwszy,
Cudzoziemskich się napiłeś humorów
I staropolską zmieniwszy naturę,
Przystroiłeś się cale w cudzą skórę,
Przeto do ładu nic ci nie przypadło,
Cokolwiek w naszéj Polsce się znajduje,
A satyryck'e byś napełnił karty,
Wszystkoś upatrzył, wszystkoś ponotował...
A byłożby téż co pisać o tobie,
Byś nie spoczywał pod zimnym kamieniem...

Co daléj następuje, jest wyliczeniem politycznych grzechów Opalińskiego.

Podobnie sprzeczne sądy przeszłości: z jednéj strony znakomite imię pozostawione na kartach naszych historyków, a z drugiéj obrzucone hańbą przez głos opinii, obudzały zawsze ciekawość poznania téj dwulicowéj osobistości, a zarazem i chęć ocenienia, o ile możemy zawierzyć słowom Satyr i z charakteru poznać prawdę albo fałsz jego obrazów. Najwięcéj dotąd zajął się tą sprawą zasłużony nasz historyk Szajnocha, poświęciwszy Opalińskiemu osobne studyum. Rezultat jego badań wypadł bardzo niekorzystnie dla autora Satyr. Oprócz poddania Wielkopolski Karolowi Gustawowi, które, już przez dawniejszych historyków wspomniane, dotąd głównie na pamięci Opalińskiego ciężyło, przypisał Szajnocha jemu także poduszczanie do rokoszu beresteckiego, wskutek którego odniesione świeżo nad kozakami zwycięztwo żadnéj korzyści nie przyniosło, i wykazał jego ciągłą opozycyę przeciw królom, wynikłą jedynie z pobudek osobistéj urazy i dumy.

Biorąc zatém Satyry do ręki, trzeba mieć w pamięci charakter i usposobienie ich autora—to nas nauczy, jakiém okiem na jego dzieło patrzyć się mamy. Opaliński wziął się do pisania w czasie, kiedy popadł w niełaskę u dworu, a raczéj, kiedy zawiedziony w uroszczeniach, z dumą i zawiścią go porzucił. Był-to zarazem czas wielkich nieszczęść krajowych (początek panowania J. Kazimierza), czas zamieszek, nieładu i rozstrojenia umysłów. Wolny od zatrudnień publicznych, a posiadający z natury czynnego ducha, postanowił zużytkować jego siły na inném polu i wziąwszy pióro do ręki, rozmyślał, co ma pisać: historyę czy rymy? sielanki czy pieśni?... Ale widok stanu Rzpltéj, powszechnie panujące złe obyczaje, jak o tém powiada w przedmowie,

a my możemy dodać, że i nastrój własnego ducha, zaczęły mu kreślić przed oczami obrazy zasługujące na chłostę — i w ten sposób powstały Satyry.

Nie można przeczyć, żeby w nich nie było wiele prawdy. To, co Opaliński powiedział, potwierdza w znacznéj części historya i niejeden z ówczesnych poetów, jak Twardowski, Wacław Potocki, Kochowski, których nie można posądzić o złośliwą zawziętość i nieprzyjazne uczucie dla swych ziomków. Wyrazy ich są nieraz równie gorzkie, a oburzenie graniczy prawie z rozpaczliwém potępieniem. Ale posiadają oni przytém to, czego brak zupełnie w Opalińskim czuć się daje, a mianowicie łagodzą oni ostrość swych wyrzutów współczuciem i żalem spoczywającym na dnie ich serca. Tego właśnie nie dostaje Opalińskiemu. Jest-to niby nieubłagany sędzia, który wyzuwszy się z ludzkich uczuć i trzymając się tylko całéj surowości litery prawa, wydaje bez litości wyroki na potępionych z zupełném przeświadczeniem, że winnych tylko zasłużony los spotyka. Zdaje się, jakoby Opaliński, pisząc Satyry, zerwał wszystkie nici sympatyi łączące go z narodem i krajem. I rzeczywiście, obrażona duma odziała jego piersi w taki stalowy pancerz. Czuł on w sobie, może być że i całkiem słusznie, siły i zdolności do przewodniczenia braci szlachcie i do wodzenia reju na polu dyplomacyi i polityki. Z natury, choć może i z obrachowania, był on trybunem szlacheckim, gardłującym za całością swobód swego stanu wobec królewskości. Pomimo jednak tego nieprzyjaznego stanowiska, jakie zabrał względem tronu, pragnął również, ażeby dwór królewski starał się o zjednanie go sobie i sam przyciągnął go do siebie, aby tym sposobem stanął w pośrodku między tronem i najbliższymi jego doradzcami a między szlachtą jako rozjemca narodowy, trzymający w swym ręku togę pokoju lub wojny między spierającemi się stanami.

Od obu jednak stron doczekał się zawodu. Szlachtę odstręczyła od niego wielka ambicya magnata, a dwór i króla dumna postawa trybuna. Dlatego to uderza Opaliński w Satyrach obosiecznym mieczem, wyrzucając stanowi rycerskiemu nieposłuszeńswo i nieuszanowanie królów i wystawiając tych ostatnich jako męczenników szlachty, a z drugiéj strony obwinia monarchę o kierowanie się cudzoziemczyzną i zagraniczną, wstrętną dla uczucia polskiego polityką.

Powtarzamy, trudno zaprzeczyć, że Opaliński wypowiedział bardzo wiele gorzkiéj prawdy, ale ponieważ jéj nie złagodził ani powabem sztuki, ani ludzkością duszy, satyry jego raziły zawsze i rażą zbyt ostremi rysami i nad miarę ciemnym kolorytem, który autor nieraz z demoniczną jakąś złośliwością na swych obrazach rozpościera.

Oprócz uprzedzenia do swego narodu, pochodzącego z pewnéj urazy i zawiedzionéj w nadziejach dumy, był może jeszcze drugi powód, dlaczego Opaliński swych ziomków w ten sposób potępił. Domyślamy go się ze słów przytoczonego wyżéj wiersza Nieborowskiego, który, jako współczesny autorowi, mógł znać jego charakter i zapatrywanie się na rzeczy. Otóż Nieborowski wyrzuca mu to szczególnie, że rozmilowawszy się w obczyźnie, utracił zmysł do należytego i sprawiedliwego pojmowania stosunków rodzinnego kraju. Podobne sfałszowanie sobie

wzroku przez zapatrzenie się dłuższe w jakiś przedmiot jest nietylko prawem fizyologiczném, ale i psychologiczném. Mamy nawet jednę satyrę Opalińskiego, w któréj mówiąc o zarozumiałych nieukach i niedowarzonych erudytach w Polsce, stawia naprzeciw temu, i bardzo słusznie, stan naukowości za granicą, gdzie nie zadawalniają się pozornym blichtrem, ale nauki gruntownie uprawiają i wiedzę z pierwszego źródła biorą. Wiemy nadto, że Opaliński kształcił się i podróżował za granicą, że tam miał związki i znajomości z wielu uczonymi ludźmi— możemy zatém wierzyć temu twierdzeniu, że Opaliński pod pewnym względem kierował się pojęciami zagranicznemi, że było wiele rzeczy w Polsce, na które patrzył niechętném lub lekceważącém okiem.

W jego satyrach jednakowoż nie widać bynajmniéj nic obcego i nienarodowego; owszem zna on na wylot naturę swéj współbraci szlachty, ich słabości, wady i przywary, a każda postać przez niego skreślona jest pełna naturalnéj prawdy. Chcąc zaś oddać rzeczy z podobną plastycznością i tak zgodnie z rzeczywistością, potrzeba mieć zmysł i poczucie do ich zrozumienia. Dlatego policzylibyśmy Opalińskiego do rzędu często podówczas napotykanych ludzi, którzy ulegając zagranicznéj cywilizacyi i przeobrażając się w niejednym względzie pod jéj wpływem, zachowywali mimo to grunt swego charakteru takim, jakim go utworzyła natura właściwa ich społeczeństwu. Ludzie tacy przejmowali z zagranicznych wzorów zewnętrzną ogładę, przejmowali się postępowemi pojęciami, obcemi wyobrażeniami o polityce, o formie rządu i t. p., ale w swych zwyczajach, w usposobieniu moralném, w życiu powszednićm pozostawali niezmienni i ztąd ich postępki, ich sposób życia w rażącéj nieraz były sprzeczności z wygłaszanemi przez usta zasadami.

W ten sposób tłumaczymy sobie pogląd Opalińskiego na stosunki krajowe, a zarazem jakim sposobem, mając głowę pełną wyobrażeń gdzieindziéj zaczerpniętych, zdołał tak trafnie pojmować i oddać w obrazach swych satyr świat najbliżéj go otaczający. Wykształceniem, polorem zewnętrznym magnat nawpół zcudzoziemczony, sercem i nawyknieniami był szlachcicem XVII wieku, jak tylu innych. Ztąd łatwo mu było pochwycić charakter i koloryt swéj epoki, a zwłaszcza ludzi swego stanu. Zna on wybornie naturę i wady ówczesnéj szlachty, ludzi wojskowych, dworaków; z prawdą i bezwątpienia z żyjących wzorów kreśli rozmaite ułomności moralne, przedstawiając udanych świętoszków, dewotki, przesądne elegantki, marnotrawnych synów, obłudnych przyjaciół, niepozbytych niczém natrętów i t. p.

Ale pomimo tego ten właśnie rodzaj satyr, gdzie opisuje stosunki życia prywatnego, największą zdaje się grzeszyć przesadą. Bo znając charakter naszéj przeszłości i narodu, śmiało możemy twierdzić, że lubo w owych czasach wiele było zbytku, nierozsądnego naśladownictwa obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pijackich bankietów i wiele nawet pozioméj podłości, jednakże pewnie ówcześni mężowie nie truli dla posagu swoich żon arszenikiem, ani ojcowie z obawy przed chciwością synów nie potrzebowali zażywać mitrydatowego antidotum.

Daleko prędzéj może nas przekonać Opaliński, że jest prawdą to, co powiedział o politycznym stanie Rzpltéj—jak wspomnieliśmy, może

pod tym względem powołać się na świadectwo historyi. Nie on pierwszy powstawał na tego rodzaju błędy, wyprzedzili go w tém ludzie znanej prawości i wielkiej używający sławy, jak ów mądry Jan Ostroróg, jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka piszący o naprawie Rzpltéj, albo Mikołaj Rej, pełen uczucia i serdeczności. W samym Opalińskim nawet widać, że brał na seryo swój urząd Katona Cenzora i wytykając występki publiczne i niedbałość o powszechne dobro, przejęty był żywo tym nieszczęsnym stanem i szczerze pragnął złe wykorzenić. W tych satyrach porzuca on nawet niekiedy zwyczajny sobie ton ostry, pozbywa się żółci i bez żadne[illegible]zaicznym chłodem statysty lub ekonoma politycznego, [illegible]e dla kraju kwestye. Z tego powodu niektóre satyry [illegible]glądają prawie jakby naukowe jakieś rozprawy. W in[illegible]re pisze w zwykłém sobie rozgorączkowaném i nami[illegible]iu, czuć wyraznie, że zapominał choć chwilowo swéj [illegible]rwatnych pasyj, a jedynie chęć publicznego dobra i go[illegible]wy narodu jego ręką kierowała. Czuć nieraz, powta[illegible]bije mu serce na myśl obecnego upadku a dawnych złot[illegible]h czasów. Wtedy pomimo tkwiącéj w nim osobistéj ura[illegible]hęci do swojskich ustaw i zwyczajów i przyznawania [illegible]ści, z gorącém uczuciem zwraca się ku ideałowi przeszłości i swemu polskiemu sercu daje przewagę nad wykształconą obcemi wyobrażeniami głową.

Z tych to przyczyn, że Opalinski pomimo braku wyższéj sztuki, dowiódł jednak w swych satyrach wielkich zdolności poetycznych, kiedy potrafił nadać im życie i niezwykłą nawet plastyczność, jako téż iż pomimo przesady i żółci rozlanéj po jego dziele, sprawiedliwie wytykał błędy spółziomków i wiele rzeczywiście mądrych rad udzielał, satyry jego, obudzające z jednéj strony nienawiść i oburzenie na swego autora, zjednały mu z drugiéj rozgłośne imię w naszéj literaturze, a nawet zyskały uznanie tych, którzy jego osobę potępili. Szajnocha naprzykład, wykazawszy niegodne postępki Opalinskiego w życiu politycznem, powiada o jego książce: „jest ona jedyną po nim spuścizną, która może obudzić w nas żal prawdziwy, że publiczne życie autora tak fałszywy wzięło kierunek."

Téj książce także ma Opalinski zawdzięczyć w największéj części tę niekorzystną sławę, która ciąży na jego pamięci... De Noyers, sekretarz królowéj Maryi Ludwiki, pisząc o jego śmierci zaszłéj 9 stycznia 1656 roku, powiada, że Opalinski „umarł nagle, wydając wielki krzyk..." Podobnym krzykiem, ale wydanym przez duszę, była jego książka. Jego głośne i przenikliwe brzmienie zwróciło na Opalinskiego uwagę potomności...

Przy tém, co napisano o nim na kartach historyi, byłby pozostał mniéj znanym, nie tak sławnym, ale zapewne byłby policzony między tych poważnych senatorów, którzy nie odznaczyli się wprawdzie wielkiemi czynami oręża, ani świetnym geniuszem w pokoju, ale stali przy tronie jako jego podpory i czcigodni ojcowie narodu. Satyry wyłączyły Opalinskiego z téj ciżby, znacznéj tylko przez liczbę i powagę stanu, ale uczyniwszy go rozgłośnym, przydały do téj świetności i cień złéj sławy.

Idzisiaj więc pozostaje Opaliński, jak przedtém, w półcieniu i w półswietle. Ale nie pochodzi to już z niedokładnéj znajomości téj postaci, nie z braku wiadomości o niéj, tylko wypływa z natury jego charakteru i stanowiska w przeszłości. Człowiek ten był w życiu sprzecznością dla innych, a nieraz i sam dla siebie—z téj przyczyny pozostał i dla nas dwulicowym, dwójznacznym i wątpliwym, wzbudzającym zarówno szacunek i uznanie, jak odrazę i niewiarę. Nie można mieć dla niego sympatyi, jaka otacza przez długie wieki wielu z naszych pisarzy, ale także nie można odmówić szacunku jego zdolności, bystremu wzrokowi i gorącemu nieraz sercu. Człowiek ten zresztą nie stoi osamotniony w swéj epoce. Chcąc go dobrze zrozumiéć, trzeba go uważać na tle swojego czasu i w gronie podobnych do niego postaci; trzeba sobie przypomniéć, że właśnie pod owe czasy Radziejowski za osobistą krzywdę i obrazę mścił się naprowadzeniem na Polskę króla szwedzkiego; że wówczas żył Jerzy Lubomirski, używający zrazu wielkiéj sławy, otoczony wielką czcią i obsypany zaszczytami dla usług oddanych Rzpltéj i tronowi, a następnie rokoszanin rzucający się na króla i niszczący w domowéj wojnie zbawienne dla Polski zamysły i nadzieje; że to jest czas wreszcie takich ludzi jak Hieronim albo Andrzéj Morsztyn, którzy przejąwszy się duchem zagranicznym, lekceważyli narodowy obyczaj i ojczyste ustawy, i pragnęliby byli inny pozór nadać życiu społecznemu i inną formę urządzeniom krajowym, choć ich osobiste uczucia i usposobienie nieraz się tym szeroko zakreślonym planom sprzeciwiały. Wogóle jest-to czas dążących do upatrzonego celu własnym torem osobistości, jakie wydać może oligarchia, biorąca nad innemi stanami przewagę—i czas nowatorów, którzy w powszechném rozstrojeniu i nieładzie gotowi się chwycić nie zawsze nawet odpowiednich i zbawiennych środków, byle tylko choć gwałtownėm lekarstwem zapobiedz niebezpieczeństwu chwili. Ludzie tacy, wobec sądu swojego czasu i potomności, mają zawsze pewne słabe strony na sobie i nie mogą wyrosnąć na jednolite, posągowe postacie, w jakich przed oczami późniejszych wieków stają bohaterowie narodowi. Najczęściéj tą słabą stroną, psującą wrażenie ich rzeczywistych zasług, bywa osobista jakaś namiętność... Do takich ludzi swéj epoki należy Opaliński, podobny do nich jako ambitny obywatel i jako niezadowolniony z istniejącego stanu nowator.

W czasach, kiedy koryfeusze satyry pisali dzieła, które wyglądają nieraz na oszczerstwo narodu, niedziw, że ludzie mniejszych zdolności, lub zakreślający sobie szczuplejsze daleko granice w swych poglądach, popadali łatwo w płytkość, płaskość i trywialność. Czyli mówiąc innemi wyrazami, satyryczne ówczesne pisma mniejszéj wartości i wagi, wywoływane najwięcéj przez chwilową potrzebę, a nawet przez jedno jakieś przypadkowe wydarzenie, schodzą bardzo często do poziomu paszkwilu, a często w tym wyłącznie celu były pisane, aby posłużyć za paszkwil, za środek do wyszydzenia pewnego stronnictwa, pewnéj klasy ludzi lub pewnéj osobistości. Jeżeli przypomnimy sobie, jaki był wówczas wewnętrzny stan kraju, a mianowicie ustawiczną, a nie zawsze szlachetną walkę między tronem a szlachtą, jako téż stosunek, w jakim stanęły do siebie na równych dawniéj prawach ścierające się ze sobą

tyzm, a z takiego związku mógł się zrodzić tylko pło
cechy poziomości umysłowéj i zepsucia moralnego.

Wspomnę tutaj o celniejszych przynajmniéj obj
teratury.

**Sejm piekielny albo popis wszystkich piekielnych przed książęciem Lucyperem dzicem całego piekła** (1628, 1752, 1807). Satyr czajów, w duchu ludowym napisana. Każdy z dy Lucyperem sprawę ze swych czynności, oświadcz piekłu przysporzył. Spraw publicznych ta satyra wiera ciekawe wiadomości o czarach, gusłach i cza ówczesnéj wiary ludu. Najniższe téż warstwy społec jéj przedmiotem. Oprócz znanych nazwisk: Luc Asmodeusza i t. d., przychodzą tu narodowe imiona Rogalec, Czarownik, Latawiec, Lelek nocny (bies zł Frant, Klekot, Paskuda, Zaletnik.

**Nowe zwierciadło modne dzisiejszego dowane damom polskim, które się modno ba Łącznowolskiego ofiarowane** (1678, 168 rzona przeciw zbytkom kobiet w strojach, gdzie p. t. „Heraklit...“ nad nieszczęsnemi skutkami mo a w drugiéj p. t. „Demokryt...“ próżność mody wysz pisuje ta satyra nietylko stratę pieniędzy, ale i nie jakich Polska za jéj grzechy od lat pięćdziesięciu i moralne zepsucie kobiet. W końcu przytoczona powiastka o pewnéj elegantce w Holandyi, któréj du i żaby opadły za utajony przy spowiedzi grzech z Autor umiał się nieraz trafnie i dowcipnie wyrazić, ja

Niech co pokaże moda, czegoby nie trzeba,

wykazać, jak bardzo i jak często interes osobisty przemagał wówczas nad dobrem ogólném. Ale zarazem czuł, jak i wiele innych pisarzy, że mówiąc przeciwko prywacie, popadnie w podejrzenie jakoby na wolność nastawał. Widać, jak oba te pojęcia, choć całkiem niesprawiedliwe, pomieszano ze sobą. Broni się więc w przemowie do czytelnika przeciw temu zarzutowi i przywodzi znaczący przykład Solona, który chcąc Ateńczyków do odzyskania Salaminy nakłonić, udawał szalonego. „Tobie także uczynić przyjdzie, jeślić się ta rozmowa o wolności i prywacie widzi przykra, przyjmij ją jak od szalonego...” Jak autor wystawia ówczesny stosunek obywateli do kraju, można mieć wyobrażenie zaraz z samego początku:

Jam téż ktoś i jam coś: cóż się dziwujecie?
Zgadnijcie mi ktom ja jest—płaci (pewnie) nie zgadniecie.
A chcecież że Wam powiem? Zowią mię Prywatem,
Mięso zjadłszy, Ojczyznę rad częstuję gnatem...

Satyr nowy z choréj głowy (9 stron) wyśmiewa nierząd i popłoch pod Piławcami, gdzie było trzech hetmanów. Podobną satyrą na gnuśność rycerstwa i zdrożność obyczajów jest: Lech wzbudzony i lament jego żałośny, widząc tak utrapione państwo r. 1649. Wiszniewski nazywa ten utwór, „piękną satyrą.”

Były także satyry na życie dworskie, w których szczególnie się odznaczył na początku XVII wieku Jan Dzwonowski (około 1621).

Obiecadło dworskie albo żywot służałych (b. m. i r.). Według Bentkowskiego „i myśli i wysłowienia nie mają nic osobliwego.”

Forma albo wizerunek postępków stanów wszelakich wieku teraźniejszego, która pokazuje przestrogi, według których się bez szkody w stanie swoim każdy sprawować ma (1684 r.). Przyłączony tu jest „dworski lexyk,” z którego kilka przykładów może dać wyobrażenie ówczesnych opinij i przewrotności w pewnych sferach:

Blasphemus—dworzanin, Consolatio—dzban piwa, Dissolutus—szlachecki animusz, Expoliator—żołnierz, Factiosus—polityk, Inimicus—sąsiad, Prodigus—dobry człowiek, Virtutum cultor—prostak.

Najjaskrawszym wyrazem paszkwilu są okolicznościowe wiersze pisane na różnowierców. Pojawiały się one i w poprzedzającéj epoce, jak np. „Anatomia Martinusa Lutra” z 1546 r. i „Poselstwo z dzikich pól od Sowizdrzała do małocnotliwéj drużyny” r. 1606; nawet Krzycki pisał ostre wiersze na Lutra, ale pisma podobne z XVII wieku przewyższają je w płytkości i małoduszności.

Bentkowski wylicza cztery takie paszkwile. O dwóch z nich, jako mnie znajomych, mogę dać bliższe wyobrażenie.

List o kozakach polskich do D. Martyn Luter od śląskich i czeskich Efangelików przez X. Nikiel Habspert Minister Ferbi Dei Zboru wrocławskiego z Niemieckiego na Polskiego przełożony R. P. 1636. Jest-to niby list od ewangelików do Lutra ze skargą na psotę, jaką Lisowczycy pewnemu ministrowi wyrządzili w Wrocławiu, nasypawszy mu do pluder prochu i podpaliwszy go; pisany zepsutą polszczyzną.

Nalewajko do tego ministra (po rusku), dając mi
ıki o greczyźnie. Rabin rozmawia o nim ze szk
›y nawrócił ministra na wiarę żydowską, bo ina
dów po grecku nauczy i Talmudy przepadną i t. p.
Przeciw aryanom znów wymierzona jest satyra p
ara 1652, gdzie autor miota potwarze na pewnego
a łucławskiego, oskarżając go, że łotrował i rozbijał
czyna.
W podobny sposób nie oszczędzali i innowiercy
ı Rzenczycki, zapalczywy kalwin, w satyrze: Żyw
onego i poczciwego człowieka... 1644, pow
eństwo, szczególnie na Jezuitów, których nawet ni
ych bliźnich, wyszydza zakonników i obrzędy kościel
Nakoniec i walka między tronem a szlachtą, niezad
ıdzał często dwór królewski albo też polityka dwo
chęć stronnictw, tak często się wówczas ścierających
wiły także i w piśmiennictwie ślady po sobie. Ni
wać za broń paszkwilu i pamfletu, a nienawiść w ob
razach, w gwałtownych wybuchach, szukała dla
i. Tak jeszcze wcześniéj nieco, z natchnienia dwor
o téż króla samego napisano: „Paskwiliusz dworny"
Atheneum Kraszewskiego z roku 1845), wymierz
ıchcie. Płody te jednak obiegały po największéj cz
›iach po kraju i dzisiaj napotykamy je dosyć często
›isach i Silvach rerum. Ich styl i język jest tego rod
w druku na widok publiczny się pokazywać — wyr
j godności i w najgrubszych słowach o osobach naw
›nych i nieraz takich, które bynajmniéj na podobne
wały. Potomność umie dzisiaj rozsądzić, komu podob
przynoszą—czyli ich przedmiotom, czy ich autorom.

według pseudoklasycznego pamfletu, mieliśmy kiedy romantyków? Przeciez nimi nie byli ani Kochanowski, ani Krasicki, ani Rej nawet.

Prawda, odpowiem; ale oprócz poetów, których wymieniłeś, łaskawy czytelniku, było u nas jeszcze wielu i bardzo wielu poetów i wierszopisów, którzy albo nie zasłużyli na to, albo też nie byli tyle szczęśliwi, aby późniejsze wieki miały ich imiona w żywéj pamięci. Bardzo tam wiele jeszcze rzeczy w naszéj literaturze, leżących gdzieś głęboko pod pyłem bibliotecznym i w starych nietykanych foliałach; nic więc dziwnego, że to albo owo nie dochodzi do powszechnéj wiadomości, jeśli dopiero od niedawna zaczęli ludzie z powołania tém się trudniący odgrzebywać z zapomnienia, albo wydobywać z ciemności wieków zapleśniałe książki i postacie skazane dotąd na obojętność i niepamięć. To, co tutaj mam zamiar powiedziéć, nie jest rzeczą bardzo nieznaną, ale i za to można ręczyć, że nie jest powszechnie znaną, jakby na to zasługiwało.

Na dwa wieki przedtém, nim romantyczność odprawiła swój tryumfalny wjazd na nasz Parnas, dzięki tak dzielnym wodzom jak Mickiewicz, Malczeski, Zaleski i inni, a zatém w wieku XVII, pojawiła się ona na polu naszéj poezyi w postaci mdłéj i nieśmiałéj, jak pierwszy fijołek z pod śniegów zimowych. Pojawiła się, wydała kilka kwiatków zaledwie spostrzeżonych i schowała napowrót pod ziemię w oczekiwaniu przyjaźniejszego dla siebie słońca. A klasyczność, jak dwa wieki przedtém, tak znowu dwa wieki potém była jedyną i wszechwładną panią, jedynym kwiatem na niwie literackiéj, który kwitł i rozrastał się, czasami pełen kolorów i zapachu, to znowu bezbarwny, ale zawsze starannie pielęgnowany i szanowany.

Te dwie muzy, klasyczna i romantyczna, które podzieliły się panowaniem nad całą poezyą, jaką dotychczas świat wydawał, we wszystkich prawie językach i między wszystkiemi narodami ziemi, dziwnie są urocze, wspaniałe i potężne. Pomyślmy sobie tylko: Homer, Sofokles, Horacy albo Szekspir, Byron, Mickiewicz, lub wreszcie Goethe, który wyssał z jednéj i z drugiéj co miały najlepszego — to ich dzieci i ich twory! Czyż to niedosyć zapłodnić i wydać na świat takie geniusze? czyż to nie zaszczyt pochlubić się takiém potomstwem?

Która z nich dwóch w hierarchii poetycznéj wyższy szczebel zajmuje, nie będę rozstrzygał, boć podobno nie jest to dotąd rzeczą rozstrzygniętą i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Czyliż mogłeś kiedy, czytelniku, sumiennie sobie odpowiedziéć, który kwiat jest piękniejszy: stulistna woniejąca róża, czy też lilia śnieżnéj białości i wysmukłych kształtów?

Co do mnie, wiem, że równie byłbym zachwycony kobietą, którąby natura obdarzyła wdziękami medycejskiéj Wenus, jak i tą, któraby nosiła na swém obliczu świętość murillowskiéj Madonny. Trudny więc wybór i między temi dwiema muzami, niemniéj pięknemi od najpiękniejszych ziemianek; obie one czarują, obie zachwycają serce i wyobraźnię! obie zatém kochać i wielbić potrzeba.

Klasyczna muza wychowała się pod niebem Hellady, gdzie kwitną drzewa oliwne i laurowe. Zkąd się tam wzięła? czy tam się urodziła,

nie jak z nad brzegów Dunaju i Wisły, rozchodziły
a rodzimej poezyi, które później wyrastały w kw
ią wylaną we wzajemnych zapasach europejskich lu
h dla siebie stałych siedlisk i tworzących pierwsze p
óźniej jeszcze wypielęgnowane westchnieniem czułych
i trubadurów, którzy opiewali piękność kobiecą,
aleczność rycerstwa. Były to czasy pierwszéj roman
, jeżeli chcemy być sprawiedliwymi, czasy właściwe
ntyczności, bo to, co później tą nazwą ochrzczono, by
ą potrawą, albo rzeczą, która ni ztąd ni zowąd przy
go się jéj nazwiska.

Ta młodociana muza romantyczna musiała się je
rzyć przed klasycyzmem, który swoją potęgą i blask
opejskich narodów, będących długo tego mniemani
innéj poezyi, jak ta, którą przekazali światu Pind
ner albo Wirgili. To było hasłem renesansu i całéj
lo XIX wieku, który przypomniał sobie, że byli ki
, co nie śpiewali o Marsach i Afrodytach, lecz o chrz
aniołach, że byli skaldowie i bardowie, co nie znali
Fingala i Nibelungi — że byli wreszcie Dante, Petrark
rzali w strunę, jakiéj nie było na greckiéj ani rzyms
ecież wydawała wdzięk piękny i potężny, sięgający d
serca.

Ten dźwięk ludziom XIX wieku wydał się więcéj
céj zbliżonym do tego głosu, jaki tajemniczém brzmi
w ich duszy, i dlatego powiedzieli sobie, że wolą słuc
wolą uderzać w te struny nieznane starożytnym, bo
iadają ich pragnienia i to, co się w nich dzieje.

Wiek XIX jednem słowem przywrócił poezyi now

To wszystko, co dotąd powiedziałem, zmierzało do tego, aby wprowadzić czytelnika do pewnego ogrodu na wsi. Nie jest-to ogród dzisiejszy, ale taki, jaki mógł być za czasów Władysława IV.... napół nasz i swojski, a napół z włoska przystrojony. Tu nasza lipa lub długowłosa brzoza, tam znów bukszpany nizko strzyżone i rzęd drzew pomarańczowych w donicach, a w ich cieniu Nimfa niezgrabnie z kamienia wyciosana, rozkoszująca się w swoich wdziękach, albo Faun wygrywający na piszczałce.

Upał nieznośny; zdaje się, że włoskie słońce pochyliło się ku naszéj stronie i zionie gorącem. Kwiaty pomdlały, drzewa postulały swoje liście i tylko słońce kroczy po niebie śmiałe, żarzące i jasne. Zdaleka słyszysz szmer niewielkiego strumyka i wodę, która skąpo sączy po kamieniach skały, z obfitego niegdyś źródła. Ten przygłuszony szmer czyni na tobie orzeźwiające wrażenie, zdaje ci się, że zmysłem słuchu spływa na ciebie ochłoda.

Pod cieniem rozłożystego świerka, na wielkim omszałym głazie siedzi młody człowiek. Suknia na nim zagranicznego kroju, lekka, prosta, zdradzająca trochę niedbałość, ale ubierająca go bardzo wytwornie. Włos miękki w bujnych kędziorach spada mu na szyję i zlekka przysłania czoło potem zwilżone.

Twarz tego młodzieńca piękna i rozumna. Oczy pokazują bystrość umysłu, a po rysach rozlał się w téj chwili ten blask, który dziwnéj piękności dodaje nawet najniekształtniejszemu obliczu, a który tryska tylko z duszy nastrojonéj na ton wyższy i podniesionéj nad poziom powszednich myśli.

Ten młodzieniec, to Andrzéj Morsztyn, a ta chwila jest dla niego kontemplacyą miłości, poetyczną ekstazą podwójnego szczęścia: kochanka i poety.

Na jego kolanach, niedbale porzucony, spoczywa dość gruby zwój zapisanego papieru. Morsztyn przerzuca go gorączkowo, na niektórych stronicach dłużéj swój wzrok zatrzymuje, potém podnosi oczy w górę, jakby gonił pamięcią jakieś miłe i drogie wspomnienia, i znowu opuszcza głowę na pismo i przerzuca je daléj.

Ten manuskrypt, to jego własne wiersze. Przy przerzucaniu kartek można łatwo dostrzedz dwa tytuły, grubszemi wypisane literami; jeden z nich brzmi: Kanikuła, drugi: Erotyka. Są to dzieje jego serca.

Gdzieś niedaleko od tego ogrodu, zapewne we wsi sąsiedniéj, a może i w téj samej, przebywa jego kochanka. Morsztyn kocha i marzy...

Nie myślcie jednak, żeby to był marzyciel z profesyi—taki nie byłby z pewnością poetą i człowiekiem, którym jeszcze po dwóch stuleciach można zaprzątać czyją ciekawość.

Andrzéj Morsztyn, pomimo młodego wieku, znany był wtedy ze swego rozumu, chociaż o wierszach, które teraz w ręku trzyma, nic a nic świat jeszcze nie wiedział. Nawet sekretarz królowéj Maryi Ludwiki, Francuz Des Noyers, nieszafujący bynajmniéj pochwałami dla Polaków, wychwala jego trafność zdania, naukę i biegłość w obcych językach. Po łacinie musiał się Morsztyn w szkołach nauczyć, po francuzku i po wło-

łody poeta, i to poeta w całem tego słowa znaczeniu,
najzdolniejszych polityków swojego czasu, a że w spr
olitéj znakomitą odegrał rolę, o tém świadczą wyr
azimierza i Jana Sobieskiego.

Już w tym czasie, kiedy jeszcze kochał się na z
e, Morsztyn stawiał pierwsze kroki na drodze dy
łodu bawiąc na dworze jako pokojowiec królewski,
ny wysyłany bywał w rozmaite strony kraju. Znał
opis jego zostawił w wierszu p. t. „Rzeki."

Morsztyn był człowiekiem nowego kroju, jednym
między tymi, którzy uderzali czołem przed polity
yszeliego i świetnością monarchizmu we Francyi.
olita nie miała dla niego wiele powabu, a szczególn
rzucenia jednę wielką wadę: brak silnego rządu.
k dla wielu innych, była Francya, a dla tego ideału
ć dawne tradycye. O tém wszystkiém opowiada sz
zmiankują biografowie Morsztyna.

Ale, co dla nas ważniejsza, takim samym nowat
poezyi. Klasycyzm grecko-łaciński nie smakowa
ajwięcéj dlatego, że za jego czasów była to potraw
lgrzewana. Naśladowanie poetów starożytnych stało
eotypowém, konwencyonalném... była to już strun
by wydała dźwięk metaliczny, świeży, przypadający
ice i umie czuć żywiéj i mocniéj. Włosi mieli już w
teraturę klasyczną co do formy, romantyczną duch
zasach ronsardowych, zaczęli także brząkać na lir
Iorsztyn wsłuchał się w te nowe śpiewy i czuł, że n
ierssze o swéj kochance za przewodnictwem Petra
iż Horacego lub Tybulla.

Morsztyn jest przedewszystkiém poetą miłości. P

Zostaw to innym—to twoje roboty:
Pieśń składać gładką i łacne zaloty."

Dlatego nazwaliśmy Morsztyna romantycznym poetą. Miłości nie poświęcali u nas swego pióra poeci, których miano za uczniów i zwolenników klasycyzmu, chociaż ich mistrzowie: Horacy, Anakreon, Tybul i inni zostawili po sobie niejednę perłę erotycznéj poezyi. Prócz tego, lubo miłość u Morsztyna przybiera bardzo często zmysłowe i swywolne kształty Owidyusza albo Anakreonta, wydobywa ona także z jego piersi jakieś tony głębsze, więcéj uduchownione, mniéj zadowolone z rozkoszy ziemskich, jakieś dysharmonijne akordy, będące oznaką walki między materyą i duchem, które nie zgodziłyby się z naturą klasycznéj poezyi, a bardzo podobne są do głosów tegowiecznych poetów, przeklinających ziemię, że im szczęście nieba odbiera, i tęskniących w niebie za swojemi ziemskiemi ideałami.

Dlaczego Morsztyn nazwał jednę część tego rękopisu, który widzieliśmy w jego rękach, dziwacznem trochę mianem: „Kanikuła?"

Miał on do tego słuszny powód. Namiętnością i gorącą miłością pałało w onéj porze jego serce, a niebo zsyłało żar i spiekotę na jego głowę. Cierpienia moralne i fizyczne, wywołane temi dwoma pożerającemi go ogniami — to treść tego cyklu jego pieśni i piosnek. Palące oczy kochanki i niemniéj palące słońce—to powody jego utrapień i źródło jego natchnienia. Serce w nim gore i wszystko gore dokoła.

To mi nad głową przykrym ogniem świeci,
To mi miłości płomień w sercu nieci.

Poeta cierpi w téj podwójnéj walce, a przecież znajduje w niéj rozkosz. Ucieka przed spieką do chłodu, a błogosławi trwałéj pogodzie, która mu pozwala często widywać kochankę; namiętność burzy spokój jego duszy, a przecież jest dla niego nektarem bogów.

W wielu razach przypomina on nam Goethego, pod którego piórem wszystko nabierało kształtów i znaczenia.

Nastrój poety w tym cyklu pieśni jest przeważnie lekki, swywolny, częstokroć nawet lubieżny; ale namiętność, choć najgorętsza, obok swywolnego uśmiechu i wesołego pląsania, ma drugą jeszcze stronę, poważną i głęboką. Jak każde gwałtowne uczucie, nie może się ślizgać po powierzchni, bez sięgnięcia do dna duszy i poruszenia innych potęg tam spoczywających. To też namiętność poety uszlachetnia się tutaj często naiwną, czułą sielankowością, a nawet cierpieniem serca. Ten sam człowiek, w którym kochanka swym strojem, powabami swojego ciała, rozbudza zmysłowość i rozstraja duszę, przemienia się w cichego wielbiciela i sługę zadowolonego tém, że może z nią razem oddychać jedném powietrzem, podziwiać świeżą zieleń drzew i przysłuchiwać się szemrzącemu strumykowi, jak arkadyjski pastuszek ze swoją Dafnis lub Amaryllą... I w tym samym znów człowieku odzywają się smętne, melancholijne dźwięki czułości, niby echo bólu, jaki w głębi serca spoczywa.

Tę głębszą, niszczącą siłę namiętności określił w wierszu p. t. „Jedwabnica."

Różne z niéj nici dowcipem swym pędzę
I w tém dumaniu tak się bardzo topię,
Że trumnę sobie kuję i grób kopię."

Szczególnie ostatni wiersz Kanikuły „Venegio
lerza tém wezbraném aż do szalu uczuciem. Jest-t
aczenie z Sannazara (żył 1458—1530 r.), ale który
umaczył drugiego, nie czując tego samego co on? W
eta zakochana, pod wpływem władnącéj nią namiętn
viadomość siebie; nie umie ona zdać sobie sprawy
e wie, czy to miłość, czy myśl jakaś burzy spokojnośc
oże przyjść do jasnego pojęcia téj myśli.

Ten ton głęboko-namiętny, prawdziwie uczuci
aham się nazwać romantycznym, przeważa w drugi
ieśni Morsztyna, w „Erotykach," lubo i tutaj znajda
ych główny wdzięk stanowią galanterya i dowcip. I
m zaparciem się samego siebie; szczęście i los jego
współczucia kochanki; osobistość własna i jéj żądz
lealna władzę miłości. Uskarża się na swoje oc
rzedmiot ukochany, powiększają jego boleść; odsyła k
ojąc się, że mu ją zaczęsto przypominać będzie; lęka si
u Kupidyna, iglicy z jéj włosów; zadawala się s
nciałby nawet pokryć tajemnicą swe uczucie, jakby
n zanadto górę wziąć nad sobą pozwolił; zazdrości
ı, bo, jak powiada:

„Wam ręka tylko, a mnie dusza mdleje."

Co więcéj, uczucie jego podnosi się nieraz do i
ia, jak w wierszu „Do panny," gdzie kochankę na
wa, jasną godności gwiazdą, przeczystą duszą w

W wierszu p. t. „Stan" jeszcze lepiéj skreślił poeta tę potęgę miłosci nad sobą. Piękny to wiersz! żadne słowo nie stoi tam naprózno, a każde jest jakby mistrzowskiém uderzeniem młota w ręku rzezbiarza:

Pytasz jak się mam? co za moje życie?
Takie jak ty chcesz. To jest mianowicie
Żałości pełne, ciemnością nakryte,
Głodne pokoju i w troski obfite,
Skąpane we łzach, stałe w złym humorze,
Ciższe niźli noc, burzliwsze niż morze i t. d.

Tak Morsztyn w różny sposób przebiega całą skalę miłości, a na jego poetycznéj palecie są wszelkie barwy do odmalowania tego uczucia.

Rozkosz i czułość, swywolny żart i tęsknota, boleść i niezakłócona namiętnością swoboda igrają naprzemian jak kolory tęczy, w które rozpryskuje się jeden słoneczny promień miłości. Poeta obznajmia nas przytém z najdrobniejszemi nieraz szczegółami swego romansu i otwiera przed nami arkana swych dziejów miłosnych. „Kanikuła" i „Erotyki" są w szczupłych ramach dramatem lirycznym, a z rozrzuconych w nim rysów możemy sobie wyobrazić całą sytuacyę. Tłem tego obrazu jest natura wiejska w czasie gorącego lata. Najważniejsze momenta akcyi widzieliśmy już dotąd, a oprócz tego są jeszcze sceny drobniejsze, jakby dla ich połączenia i wypełnienia obrazu, kiedy poeta opowiada, jak widział w czasie choroby spadające jéj włosy, albo jak nad brzegiem strumienia na bujnéj murawie słodkie chwile z nią przesiadywał.

Nie brakuje tu nawet i odwrotnéj strony medalu—obok tego promienia i światła pada także i pasmo cienia. Poeta kocha czule, z całą siłą namiętności; ale kochanka go zdradza, przenosi nad miłość mamonę i oddaje swe uczucia innemu.

Wtedy w pokornym jéj słudze i uległym wielbicielu z równą potęgą wybucha pogarda i nienawiść, tém większe, że były niezasłużoną odpłatą za ofiary, jakie kochanek składał niewiernéj z całéj swéj duszy i ze wszystkich swych uczuć. Dwa są wiersze téj treści: „Do wiarołomnéj" i „Miłość zerwana." Ten drugi jest arcydziełem w swoim rodzaju, z powodu stylu i głębokiéj prawdy psychologicznéj; pomiędzy najpiękniejszemi utworami nawet najnowszych poetów mało zapewne dorówna mu siłą wyrażenia. Kipi on cały szlachetną dumą i gorzką ironią:

Włos złoty, czarne oko, śmiech różany
Już mię w powtórne nie wprawią trudności,
Kiedym szczęśliwie z pęt twych rozwiązany
I miłość nowéj pozwala wolności.
Tyś węzeł twardo zerwała związany,
Jam zgasił ogień, co mi suszył kości;
Tak, dla twéj złości i z rozumu rady
Już w doświadczone nie zapadnę zdrady.

Kochałem, prawda, i byłem stateczny,
Póki-ć usługi moje wdzięczne były;
I byłby taki ogień pewnie wieczny,

Darmo się na twą gładkość, przedtém duży
Na serce moje rynsztunek, tak sadzisz:
Strój twój, frasunek, gładkość i przymioty,
Wszystko to za nic—cnoty-m ja chciał, cnoty!

Szaloną miłość, trochę afekt ślepy
Rozrzutne twoje uleczyły chęci,
Serca mi więcéj nie skrwawią oszczepy
Miłości, ani kłopot w głowę wleci;
I jeślim czynił przez niebieskie sklepy
Przysięgę, chować twe łaski w pamięci,
Teraz zaś klątwą wyrzekam się drugą,
I nieprzyjaciel chcę być—byłem sługą.

Zdaje się jednak, że mimo swéj srogości, ta burza
a, bo poeta, po cierpieniach miłości i nienawiści s
eźwiony, obiecuje kochance drugą księgę pieśni we
y dotrzymał słowa?... nie wiadomo. Może ta druga l
zie w pyle bibliotecznym, ukryta w jakiém silva rer
ie siebie niegodném. To przecież pewna, że złotow
rdon de Huntlej, dama honorowa królowéj Maryi L
58 została jego żoną.

Teraz z większém jeszcze zapewne prawem może
język miłości muzie polskiéj pierwszy raz się w Mor
; pierwszy raz osobiste uczucie podniesione zosta
rsztyn pokazał, że jest ono także potęgą, która może
rzytłumić inne władze ducha ludzkiego, zniweczyć
oprowadzić do tego, że ten ogień wypali wnętrze
niém próżnię, jeśli go nie przygasi wzajemność i sp
tego niecierpliwość i cierpienie ważnemi są czynnika
, jak w każdéj namiętności. Jeden z biografów Mor
to jest coś podobnego do owéj furyi włoskiéj. Nie m

tów.., cielesność była niejako miarą siły ich imaginacyi, bo, jak Morsztyn pisze do pani Rejowéj, starościny małgoskiéj:

I wiersz nie dobry, kiedy nie swywolny.

Trudno mu zresztą poczytywać za winę, że nie chciał być jednostronnym i skreślił rzecz we wszystkich jéj odcieniach. Gust podobny panował już wtenczas szczególnie w wyższych warstwach, tak jak niższe miały znowu swą rubaszną jowialność, którą nie pogardzali ani Kochanowski, ani Potocki w swoich fraszkach. My widzimy te czasy w idealniejszych trochę barwach, niż je miały rzeczywiście—jest to złudzenie perspektywy, która zaciera drobniejsze szczegóły widoczne dopiero w takich obrazach wieków, jakie podają najszczersze wywnętrzania się poetów.

Nie będziemy mówić o formie zewnętrznéj jego poezyj; z wyjątków przytoczonych można już o niéj sądzić. Morsztyn włada znakomicie językiem, który zawsze powolny jest jego myśli, jak rącze rumaki w ręku biegłego woźnicy. Ten język, i to w wieku makaronicznym, jest taki poprawny i czysty! Zdarzą się czasami, że Morsztyn zawiele słów używa, ale można zaręczyć, że gdyby był chciał popracować trochę nad swemi wierszami, opiłować je cokolwiek, i te skazy byłoby mu łatwo wywabić. Dowcip, dar inwencyi, obfita fantazya, snująca nieprzerwanym ciągiem coraz nowe obrazy, widoczne na każdéj karcie—silny umysł i pewna genialność tryskają prawdziwie poetycznemi myślami i głębszym na świat poglądem. Morsztyn jest także oryginalnym. Cośkolwiek mitologii znajdziemy w jego wierszach, ale zresztą barwy poetyczne, przenośnie i porównania brane są z otaczającego poetę świata, wyczerpnięte ze samego przedmiotu. Widać na każdym kroku, że Morsztyn patrzał na świat własnemi oczyma, co w owéj epoce poetom nader rzadko się zdarzało. Naśladowcą francuzczyzny jest może niekiedy w galanteryi, która jednak bywałemu w świecie dworakowi i dyplomacie w krew już przejść musiała. Włoska literatura pożyczała mu form swoich: sonetu, stancy, sestiny, i do pewnego stopnia wpłynęła na nadanie odmiennego tonu jego duszy i uczuciu—ale zresztą Morsztyn nie potrzebował bynajmniéj oglądać się na innych poetów, bo miał umysł bystry, czuł wszystko żywo, a poezya była najsilniejszém tętnem jego serca.

Tyś i mych myśli uciecha jedyna,
Z tobą się szczera, dobra myśl mi wszczyna,
Z tobą zabawa, z tobą próżnowanie
Za zysk mi stanie.

odzywa się w jedném miejscu do swojéj lutni.

Powiedzieliśmy wszystko, co tylko mogliśmy powiedzieć o Morsztynie, przy jego pieśniach miłosnych, bo te są najcelniejszém jego dziełem, najwięcéj dającém mu prawa do sławy. Ten umysł rozległy nie poprzestał przecież na jednym zakresie, a jak jego erotyczna lira miała rozmaite struny, tak było mu i łatwo brać inne lutnie do ręki i na nich równie dzielnie wygrywać.

ą odbyć, i przy téj sposobności opisuje ówczesną W
Pisze znów w czasie słabości list do Stanisława Mo
bardzo prosta, zapytuje go bowiem żartem, w jakiéj
lekarstwa; ale nim przyszedł do tego zapytania, wy
a i napoje całego świata, jakie Stanisław w domu i
żach pijał, umiejąc każde trafnie scharakteryzować:

Żeś tedy wina, piwa, mleka, miody,
Wódki i wody, soki pił i smrody,
Pytam się, bracie, jak biegłego w trunku,
W jakim jest dekokt u ciebie szacunku?

W pieśniach tych pospolitych, niby traktujących
znych, nie zwierzył się Morsztyn, jakby się spodziew
iém słowem ze swego poglądu politycznego. Pod
otykamy tylko w dwóch niedługich wierszach, um
dzy Epigramatami i Fraszkami,—z których niejedna
iem czystéj wody—a zgadza się ono zupełnie ze zn
atrywaniem się poety. Myśl ta lakonicznie, ale d
na:

Czegóż chce więcéj ta kraina z nieba,
Mając dość sławy, obrony i chleba?
Rządu potrzeba.

Ten swywolny i namiętny kochanek, ten dowcipny
także i wiersze religijne, i to w rozmaitych dobach
ałéj pełni młodości i wtenczas, kiedy mu już siwizna
ypruszyła. Jest-to epilog godny jego erotycznéj mu
ełnienie jego światowych pieśni, kipiących od chęci
zy. Bez podobnego zwrócenia ducha w siebie od po
i przyjemności, z których niejedna jest grzechem,
ie wyobrazić żadnego wyższego umysłu. Morsztyn
ozdwojeniu i w walce z sobą, jakby jaki Byron nam

Jest pomiędzy temi wierszami jeden, p. t. „Pokuta w kwarantannie,” pisany w czasie choroby, może w przeczuciu bliskiéj śmierci. W nim to szczególnie skreślił poeta swoje cierpienia moralne, męki, jakie mu zadawało sumienie, obracając w grzech to, co w chwilach lekkomyślności i młodzieńczego szału uważał za radość i szczęście. Jest-to biografia duszy, historya wewnętrznego życia, bez któréj obraz każdego charakteru będzie blady i niepewny, przypominająca wyznania świętego Augustyna, lub konfesye Russa, bo także jest szczerą spowiedzią jednego z tych namiętnych duchów, kruszących się przed Bogiem, o których powiedział inny nasz poeta, Stanisław Grochowski:

Bo upadłszy, wstają święci!...

Już z samego tego usposobienia poety wynika, że duch religijny jego pieśni nie mógł być owym biblijnym nastrojem, który się stał niejako klasycznym w tym rodzaju naszéj poezyi, ani téż serdeczném wylaniem się prostodusznego umysłu. Przypomina on raczéj poetyczny mistycyzm św. Franciszka z Asyżu, lub św. Teresy, reformatorki zakonu karmelickiego—więcéj niżli modlitwy, jest w nim ascetycznéj medytacyi, którą smak ówczesny ubarwiał fantazyą, pragnąc kwiatem poezyi przystroić religię i pobożność.

Zbieg okoliczności wyrządził Morsztynowi tę krzywdę, że jego wiersze, przygotowane już do druku, ugrzęzły gdzieś w zapomnieniu i przez dwa wieki świat o nich nic nie wiedział, nie znając tym sposobem najznakomitszego, obok Wacława Potockiego, poety w epoce Wazów i Sasów. A nawet kiedy przed 30-tu niespełna laty rękopis ten wynaleziono, wydrukowano -go pod fałszywém nazwiskiem Zbigniewa Morsztyna, któremu może nigdy przez głowę nie przeszło, aby się rymami zabawiać.

Za swego życia Morsztyn Andrzéj znany był jedynie z dwóch tłumaczeń.

Roku 1661 odbywał się sejm w Warszawie, po świeżo ukończonych długich i uciążliwych wojnach. Król był w dobrym humorze i wszyscy cieszyli się, że nareszcie odetchną w spokoju. Należało uczcić tę nową erę uroczystą jaką zabawą i dworzanom królewskim przyszło na myśl, ażeby zagrać teatr, na którym zwykle w owe czasy sami tylko Włosi i Francuzi w Warszawie się popisywali. Ta myśl musiała się szczególnie podobać Morsztynowi, który miał w sobie wiele artystycznych skłonności i z muzami na dobre się już wtedy pobratał, bo całą księgę swych miłosnych pieśni miał gotową w rękopisie. Wziął się zatém rączo do wykonania planu i przetłumaczył „Cida albo Roderika, komedyę hiszpańską,” przez któréj napisanie Kornel ugruntował swoję sławę. Bezwątpienia wybór był znakomity, zaszczytnie świadczący o smaku naszego poety, bo była to w owéj epoce najpierwsza tragedya.

Dworzanie królewscy przybrali się w kostiumy hiszpańskich grandów i w obecności ich królewskich mości na zamku warszawskim odegrali „komedyę hiszpańską.” Morsztyn nie zapomniał dodać do niéj na początku prologu, w którym Wisła, wystąpiwszy na scenę w swoim symbolicznym stroju, śpiewała pochwałę obecnych króla i królowéj.

eresującym szczególniéj jest dla nas ustęp, w któr
ncyę poetyczną, jakiéj sobie wówczas nawet zan
oczył od rzeczy i razem z Kupidynem przeniósł się n
ryi Ludwiki. Tutaj zdarzyła mu się dobra sposobn
rn kadzidła na cześć królowéj i powiedziéć kilka pr
mentów o urodzie i rozumie téj zresztą niezwykłéj
nie skąpo także obdzielił pochwałami nadobny frau
nny Bessaine, d'Arquien (późniejszą żonę Jana III),
gorąco ukochaną Angielkę, Katarzynę Gordon, któ
olów (jak widzieliśmy) i któréj postawił tak piękny
pieśniach ten najpierwszy u nas poeta miłości.

*Kraków, 1871 r.*

---

# WACŁAW Z POTOKA POTOCKI.

## I.

### Rzut oka na charakter literatury XVII w

Jak pojedyńczym ludziom, tak i całym epokom d
sprawiedliwość. Świat wydaje o nich sądy sprzeczn
i prawdą, unosząc się w pochwałach lub naganie ni
zém stronniczością, któréj jedynym często powodem
czy, nieświadomość lub zaślepienie. W podobnych
zkie skorszemi się zwykle pokazują w potępianiu i w
téj wartości, chwytając pierwszą lepszą przyczyn
zętnie ujemne strony, a tam nawet, gdzie wzrok ich n

kli z pośpiechem, nie czekając sprawdzenia swego domysłu, że od śmierci prawie Zygmunta III aż do Stanisława Augusta zupełna w naszéj literaturze noc panowała, że piśmiennictwo doszedłszy do szczytu swego rozwoju w zygmuntowskich czasach, późniéj nagle w przepaść się stoczyło. Niejeden, kto silnie wierzy w ciągły postęp ludzkości, na pierwszy zaraz rzut oka poznałby niezgodność podobnego twierdzenia ze swojém przekonaniem i orzekł bezwątpienia, iż trzeba bliżéj badać przyczynę téj zmiany, a ona pokaże się czém inném, niż się wydaje na pozór; że ta różnica pomiędzy dwoma wiekami może być różnicą nie stopnia, ale rodzaju; że to, co się zwykle upadkiem nazywa, jest chwilą przejścia, jeszcze nieoznaczoną wyraźną barwą lub jawnie pokazujacym się duchem. Ale podobny dowód abstrakcyjny pozostawiamy filozofii— jéj to jest zadaniem dowieść, czy rzeczywiście w dziejach czynów ludzkich lub umysłowości odbywa się tego rodzaju falowanie, jak na powierzchni morza albo téż w ruchu wahadła, czy téż ludzkość odbywa tylko jeden ruch, dążący zawsze do coraz wyższéj, do coraz większéj pod każdym względem doskonałości. Ze swojéj zaś strony powiemy poprostu, że niekorzystny wyrok, jaki historya literatury wydała o tych stu latach od połowy XVII do połowy XVIII wieku, był skutkiem niedokładnéj znajomości literatury tych czasów, niedostatecznego jéj zbadania.

Nie możemy obwiniać o to historyę literatury, a tém bardziéj historyków. Robili oni to, na co stać było ich siły. Winą to raczéj było okoliczności, winą saméj literatury téj epoki i czasów, w których istniała. Epoka ta bowiem sama o sobie nie miała jasnego wyobrażenia, za swych koryfeuszów uważała pisarzy, którzy bynajmniéj nie są jéj najznakomitszemi osobistościami, a nie znała prawie najpiękniejszych swych talentów. Szczególniéj doznawała tego losu poezya i poeci. Samuel Twardowski i Wespazyan Kochowski byli w swych czasach najwięcéj cenieni, ich uważano za wyobrazicieli poezyi, ich wychwalano i za wzór stawiano — inni poeci pozostawali w cieniu, mało znani, bez rozgłosu i powszechnego uznania, a prace ich spoczywały bezużytecznie w rękopisach i dopiero późniéj od czasu do czasu wychodziły na widok publiczny, nie będąc i wtedy należycie zrozumiane przez społeczeństwo, które nie wiedziało, że one właśnie są jego wyrazem i najistotniejszym wypływem ducha swego czasu. Dopiero w ostatnich latach zwrócono większą uwagę na tych pisarzy, zaczęto odszukiwać starannie ich płody i wyrabiać sobie prawdziwe zdanie o ich stanowisku i wartości. W najświeższym dopiero czasie ujrzała nasza literatura kilka nowo-zjawiających się postaci w tém piśmiennictwie, z których najznakomitszymi są bezwątpienia: Andrzéj Morsztyn i Wacław Srzeniawa Potocki. Poetom tym przyznano dzisiaj powszechnie znakomity talent, a ich zjawienie się przyćmiło nawet dawną świetność współczesnych im, a szczęśliwszych na drodze sławy współzawodników. Dlaczego zaś w swoich czasach nie ceniono ich tak, jak na to zasługiwali? dlaczego poezya okresu zwanego panegiryczno-makaronicznym, pozbawiona tych dwóch największych jéj ozdób, jak i całe piśmiennictwo wogóle była długo zapoznawaną i lekceważoną? na to pytanie znajdziemy bezwątpienia od-

łynęło silnie, więcéj nawet powiemy, dało początek n
twu. Pisarze nasi popchnęli literaturę torem ubit
at starożytny i nacechowali ją widoczném znamien
a. To przejęcie się duchem klasycznym przybrało
wet niż gdzieindziéj rozmiary i głębiéj w istotę naro
nie. Nietylko prozaicy naśladowali Cicerona, a p
Horacego, ale cały ustrój Rzeczypospolitéj zaczęto
ór dawnéj rzymskiéj republiki. Ciekawą i poucza
zbadać bliżéj powstanie i rozszerzenie się téj idei—
zić można, w następstwach swoich pokazała się ona
eczypospolitéj nadała pewną martwość, sprowadziła
ie się w przeszłość, które nie pozwalało Polsce roz
ad państw nowożytnych i za podwalinę jéj bytu poło
szkodliwą utopię.

Podobny stan, jaki widzimy w literaturze i w życiu
gł trwać długo. Wszelkie naśladownictwo pod obu
dko się zużywa, płód na takim gruncie wybujały tra
żywotne siły. To téż od początku XVII wieku polit
atura wychodzą z formy, jaka im została od zewnąt
cznie chylą się do upadku: jednemu i drugiéj brakow
runków dalszego rozwoju i istnienia. Odmiana stan
dnie potrzebną—i politykę i piśmiennictwo należało
éj—i chociaż pokazywały się różne do tego usiłowan
ak bez stanowczych rezultatów. Tym sposobem pis
o się na jedném miejscu. Dobroczynny niegdyś w
syczněj widocznie osłabł—nie znajdowała już ona ta
dowców i pojętnych uczniów jak Kochanowski, S
zechowski; wykształcenie udzielane przez Jezuitów i
ve odciągało umysły od prawdziwego jéj pojęcia i

w rzeczywistości niż z imienia. Nie podniosła ona jawnie i głośno sztandaru rokoszu, ale tu i owdzie starała się obejść ścieśniające ją granice, w milczeniu i nieznacznie przeprowadzić swe cele i wypowiedzieć myśli leżące na sercu ówczesnego społeczeństwa. Jak bowiem w życiu publiczném obstawanie przy raz przyjętéj formie sprowadziło za sobą także jéj rozkład i spaczenie się, a ztąd i nową, przynajmniéj dla nas zdala na to patrzących, fizyognomię wieku, tak podobnie i w literaturze powaga klasycymu nie zdołała zapobiedz napływowi świeżych i niezgodnych z nim żywiołów.

Począwszy od Zygmunta III, dwór królewski stracił dawny patryarchalno-narodowy charakter, jakim się za Jagiellonów odznaczał. I w polityce i w zwyczajach zapatrywał się na zagraniczne gabinety i cywilizacyę. Również wielu z magnatów zaczęło porzucać dawną surowość sarmacką i powagę z rzymskich przejętą wzorów, a nasiąkać duchem nowożytnéj szewaleryi, ogłady i miękkości. Dwa wówczas były narody, stojące na czele cywilizacyi i nadające ton reszcie Europy: Włochy i Francya—pierwsze przez świetny rozwój sztuki i literatury, druga przez swe dworskie obyczaje i do wysokiéj doskonałości doprowadzoną dyplomacyę. Otóż przymioty tych narodów zwróciły na siebie także i oczy Polski: zrazu dał do tego pochop dwór królewski i arystokracya, z czasem znaleźli się zwolennicy nowości i pomiędzy szlachtą.

Tym sposobem literatura włoska, a po części i francuzka, zaczęły działać na nasze piśmiennictwo. Zacząwszy od tłumacza Jerozolimy wyzwolonéj, Piotra Kochanowskiego, ciągnie się przez cały ten okres długi szereg pisarzy tłumaczących lub naśladujących dzieła zachodniéj Europy. Serafin Jagodyński, Samuel Twardowski, trzej Morsztynowie, Jerzy Lubomirski, Wacław Potocki, Grotkowski i inni należą do téj liczby. Nie tak wprawdzie stanowczo i wyłącznie, jak niegdyś starożytny klasycyzm, literatury nowożytne uznane zostały za wzory i pewną powagę, a mianowicie zaś w poezyi [1]).

Nowy jednak ten żywioł różnił się wielce duchem swoim od klasycyzmu, będącego ciągle i zawsze właściwą podstawą naszéj literatury. Piśmiennictwo włoskie (które na nasze wywierało wpływ niemały), tak jak je stworzyli Dante, Boccacio, Petrarka, Aryost i Tasso, dwom różnym od siebie potęgom zawdzięcza swoje znaczenie. Pisarze ci podnieśli przez to literaturę swego narodu do téj wysokości, iż treść, będącą własnością chrześcijańskich a mianowicie romańskich ludów, ujęli w formę przejętą z klasycyzmu, i tym sposobem utworzyli całość odpowiadającą warunkom sztuki. W literaturze włoskiéj zatém, dopóki nie popadła w upadek, który się rozpoczyna jeszcze przed końcem XVI w., przeważał duch romantyczny i duch ten wskutek wyżéj wska-

---

[1]) Tak St. Herakl. Lubomirski (z końcem XVII wieku), mówiąc o doskonałości stylu w swych Rozmowach Artaxessa i Ewandra, po rzymskich zaraz włoskich poetów za przykład stawia.

ym przeciwnikiem i spędzić go ze stanowiska.
Przy podobnym podziale władzy w świecie umy
o swoje prawa także i żywioł narodowy, repreze
charakterze szlacheckim, a krępowany dotąd prz
asycznych wzorów i przepisów. W okresie zygmunt
ał on się czasem na powierzchnię literatury, jak w Zb
wiczu, a szczególniéj Reju. Ale wnet powaga klas
ukrywać napowrót głowę pod togę Rzymianina.
asycyzm zwolniał w swéj surowości, to jest kiedy ni
niéj, podążać w jego ślady, żywioł narodowy częściéj
zywał i nadał nawet ze swéj strony pewną oryg
iennictwu. Nie przypadkowo, ale zgodnie z duc
ogły dopiero teraz powstać w literaturze takie „Pa
eślące z całą swobodą i dosadnością flamandzki obr
arakteru, albo téż „Wojna chocimska" Potockiego
edzmy to naprzód, nie zapatrując się na uznane wzo
edział poeta chrześcijańsko-rycerskiego ducha swéj e
ch tego okresu znalazły dla siebie wyraz i rycerskoś
l w zapasach z półksiężycem, i ascetyczna dewocya,
zuici, i rzutna rubaszność, którą w nim zrodził humo
ychowanie—i to wreszcie, co tak malowniczo szlache
zwano. Najnowsi nasi pisarze XIX wieku, szukając
w dla swych poematów i romansów, najwięcéj na t
zy i z niéj najobficiéj czerpali. Jest-to dowodem po
enia, dowodem, że ta epoka wybitnie sama siebie skr
Rzucając teraz po tém, cośmy powiedzieli, jeszcz
ten okres piśmiennictwa, widzimy, że nie posiadał o
ideału, że na polu umysłowém panowała pewna sam
nic. Istniejące prawo (klasycyzm) nie było ściśle

dzo wiele. Mowę polską podniosła do godności języka piśmiennego, za przedmiot swój obierała najważniejsze sprawy życia politycznego i religijnego, rozszerzyła widnokrąg umysłu narodowego, zapoznając go prawie ze wszystkiém, co z nauki, sztuki i mądrości zaczerpnęła w świecie starożytnym. Téj pełnéj znaczenia treści odpowiadała także i forma zewnętrzna, w któréj starano się dorównać klasycznym wzorom. Z powodu zatém tego ścisłego zastósowania się do jednego tylko a doskonałego wzoru, znamionuje tę literaturę pewna skończoność, jednolitość i harmonia, a wspaniała nieraz jéj postać zniewala nas dla siebie i wbudza uszanowanie.

Piśmiennictwo następnéj epoki nie posiada podobnych zalet, traci tę majestatyczną powagę klasyczności, a główne jego znamię, jak powiedzieliśmy, stanowi przeciwnie jakieś rozrzucenie umysłowe i anarchia w sferze literackiéj. Ale pragnęlibyśmy z drugiéj strony zwrócić i na to uwagę, że wady tego rodzaju są poniekąd wynagrodzone niektóremi korzyściami i zaletami, które może być, że są właśnie wypływem i następstwem tych stron ujemnych. Kiedy rozerwano pęta klasycyzmu, burząc przez to skończony kształt literatury i wykoślawiając regularność jéj rysów, usamowolniono równocześnie swojego ducha i pozwolono mu w mniéj powabnéj postaci, ale oryginalniéj się objawiać.

Takiém było piśmiennictwo, które wydało z siebie Wacława Potockiego.

## II.

## Czasy Potockiego i pierwszy cykl prac jego: romanse i Jovialitates.

Życie Potockiego nie obfituje w szczególne wypadki. Przeszło mu ono podobnie, jak tysiącom innéj szlachty albo wielu z jego braci po lirze. Potomek niezamożnéj choć starodawnéj rodziny Śreniawitów, pochodzącéj, jak sam w Poczcie herbów pisze [1]), od znakomitego rodu Kmitów, urodził się około 1622 r. W męzkich latach około 1652 służył wojskowo na wojskach kozackich, zapewne w pospolitém ruszeniu, a spłaciwszy ten dług krajowi, osiadł na ojczystéj roli we wsi Łużna, niedaleko Biecza na karpackiém Podgórzu. Tam otaczała go rodzina: troje dzieci i dwóch starszych od niego braci, których łączył z naszym poetą stosunek serdecznéj miłości. Spokojne te i szczęśliwe chwile zakłóciła po raz pierwszy 1673 śmierć starszego syna, Stefana. Odtąd częściéj podobne ciosy dosięgały Potockiego. Przeżył on jeszcze i dwoje młodszych dzieci: Zofię i Jerzego, żonę i braci, tak że przy końcu życia ujrzał się zupełnie osamotniony. Sam zaś umarł najprawdopodobniéj między 1696 a 97 r. Jedyną godnością, jaką w swém życiu piastował, było podczaszostwo krakowskie, nadane mu od Jana III, prócz tego sejm 1683 mianował go komisarzem do granic szlązkich [2]).

[1]) Na str. 84: „Potoccy z Potoka w wojew. krak. w powiecie lelowskim, że ich Okolski opuścił, mianuję krótko, że od Kmitów idą."

[2]) Wiadomości o życiu Potockiego i niektóre bibliograficzne czerpane ze szkiców Szajnochy Tom I.

Życie więc Potockiego, odkąd mógł czuć i pojmować otaczające go stosunki i wypadki dziejowe, wypadło na czasy Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III, na czasy pełne nieszczęść i przemian politycznych, ścierania się sprzecznych żywiołów i uderzających nieraz boleśnie serce i wyobraźnię wydarzeń. W ciągu tych lat doznaje Rzeczpospolita po raz pierwszy klęsk, które wstrząsają jej podstawy i zagrażają bytowi. Najazd Karola Gustawa, bunty kozaczyzny, zajęcie Kamieńca przez Turków—oto najważniejsze epizody tych nieszczęśliwych czasów. Niemniej nieb [illegible] stan wewnętrzny. Rokosze przeciw tronowi powstają [illegible] iedykolwiek śmiałością; możni panowie stają w opozy [illegible] wi i szlachcie, która widząc, że oni pragną zarazem o [illegible] anu rycerskiego i w sobie skupić całą władzę, oburza [illegible] nieraz po stronie zagrożonej królewskości. W dyplo [illegible] achodzą także zmiany wzniecające rozdwojenie. Gab [illegible] patruje się na zagranicę i ulega szczególniej wpływow [illegible] tej myśli, że zastósowawszy sprawy krajowe do zagr [illegible] doda mu potrzebnej siły i zapobieży nierządowi. Za [illegible] tu i owdzie stronników między klasami wyższemi, c [illegible] uca go, potępia i walczy przeciw niemu. Podobnez zgorszenie wywołują w szlachcie szerzące się coraz więcej na dworze i między arystokracyą cudzoziemskie zwyczaje i cywilizacya; pragnie ona pozostać wierną starodawnym tradycyom, lecz nie rozwijając swych własnych sił i zasobów ducha, a odrzucając wszystko co obce, popada w ciemnotę i wsteczność. Niedołężne wychowanie młodzieży, wpływ Jezuitów na umysły dopomagają temu. Wyradza się nietolerancya, dochodząca niekiedy do prześladowań religijnych, bigoterya i ascetyzm, a zarazem brak rozumnego pojmowania stosunków politycznych i niedbałość w sprawach publicznych, pokładająca w dobrych losach swoję nadzieję.

Ale ciemny ten obraz ma jednę stronę jaśniejszą, która uwalnia tę epokę od zarzutu zupełnego upadku moralnego i politycznego.

Niebezpieczeństwo, grożące ze strony Turcyi, utrzymuje w narodzie iskrę szlachetnego poczucia o swém stanowisku w Europie, zapasy z islamizmem rozbudzają w nim ducha bohaterstwa i rycerskiej dzielności. Nigdy więcej, jak w tym właśnie czasie, nie była Rzplta przejętą przeświadczeniem, że jest przedmurzem chrześcijaństwa, że jéj obowiązkiem walczyć w obronie krzyża i ewangelii. Głęboka wiara i religijność, wrodzona od początku narodowi, pod wpływem tej myśli potężnieje na polu czynów i nabiera majestatycznej wielkości.

Taki widok roztaczał się przed oczami Wacława Potockiego. Jako syn swego wieku, musiał on jednakowoż patrzeć nań nie z bezwzględnego stanowiska, jakie w stosunku do przeszłości mogą zająć późniejsze czasy, ale z punktu widzenia pewnego stronnictwa lub stanu. Dlatego też wzrok naszego poety nie sięga poza horyzont szlachecki, i głos jego, ilekroć sądzi swe czasy i wypadki, jest prawie zawsze wyrazem uczuć i myśli jego stanu. Ale ponieważ nim odzywa się człowiek stojący zdala od politycznych zatargów, niewmieszany w osobiste interesa i obcy namiętnościom, jest-to zarazem głos pełen szlachetności i rozumu.

Ze wszystkich jednak idej, poruszających tą epoką, jedna szczególniéj przylgnęła do jego serca: w Potockim najwyraźniéj uwydatnił się i w nim znalazł najgodniejszego głosiciela ów duch rycersko-religijny, zrodzony przez walki z półksiężycem.

Potocki, o ile dziś nam w téj mierze wiadomo, zaczął pisać w dość późnym wieku. Ziemianin osiadły na roli i zajęty gospodarstwem, chociaż i książką niemało, przez wrodzony tylko talent chwycił za pióro, nie roszcząc sobie prawa, aby świat słuchał jego głosu, albo go sławą otaczał. I raz zacząwszy, pisał ciągle i pisał nadzwyczaj wiele. Nie ufając jednak swym zdolnościom, wstrzymywał się od ogłaszania swych prac drukiem, tak, że z wyjątkiem dwóch, wszystkie zresztą zachował w rękopisach.

W pracach Potockiego nie da się z tego powodu, że nie wychodziły na świat za swojém powstawaniem, zaprowadzić ścisły chronologiczny porządek. Płody jednak, uznawane zwykle za najpierwsze, pokazują pewien dyletantyzm literacki, jeżeli można tak nazwać autorstwo Potockiego, w którém czynił zadosyć tylko swéj chęci do wierszowania. Jakież to bowiem są jego najpierwsze utwory? Oto: Argenida, Syloret i Jovialitates.

Mówiliśmy wyżéj, że w tym okresie więcéj niż dawniéj pisarze nasi zwracają uwagę na współczesne literatury zagraniczne, chociaż i w zygmuntowskim wieku tłumaczono i przerabiano niektóre celniejsze dzieła, jak np. Szachy Kochanowskiego z Vidy, Dworzanin Górnickiego z Castiglioniego, Jeftes Zawickiego z Buchanana. Wskutek tego zamiłowania w zachodniéj literaturze pojawiły się także u nas powieści i romanse, które wkrótce liczyły bardzo wielu czytelników. Z obyczajami zachodniemi weszło także w modę czytanie romansów, będące podtenczas podobnego rodzaju potrzebą dla delikatniejszéj fantazyi, jak owe formy etykiety i polor dla życia towarzyskiego, kształtującego się na sposób zagraniczny. Już w XVI wieku mieliśmy takie powieści, przeniesione żywcem z zachodniego świata do Polski, ale szczególniéj w wieku XVII nabrała znaczenia literatura romansowa, kiedy prawie wszyscy najznakomitsi poeci poświęcali jéj swoje pióro. Tak Samuel Twardowski przełożył z hiszpańskiego Nadobną Paskwalinę, tak Hieronim Morsztyn wydał dwa zbiory nowel p. t. Antipasty małżeńskie (*antipast* znaczy przysmak) i Filomachia, zawierające w sobie płody romantycznéj fantazyi, znane oddawna w Europie pod różnemi postaciami, jak historya o Zygfrydzie i Gwizgardzie, Bryzeldis albo też księżniczka Banialuka. Podówczasy głośnym po całéj Europie stał się romans Jana Barclaya, rodem Szkota (pisał 1582—1611), p. t. Argenis, który przed wyjściem na świat przekładu Potockiego przetłumaczony już był na język francuzki, hiszpański, włoski i niemiecki [1]).

---

[1]) Znalazł się nadto kontynuator Argenidy, Ludwik Gabryel Bugnocyusz, którego poemat został przełożony na polskie p. X. Waleryana Wyszyńskiego 1743 r., a wydany w Wilnie 1756 (nie „około 1753," jak pisze Bentkowski).

: Opaliński, młodszy brat znanego satyryka, wystąpił
w piśmie p. t. *Polonia defensa contra Joannem B*
rona Polski przeciw J. Barclayowi), gdzie punkt za
nia zagranicznego pisarza.
Treść tego ogromnego romansu, najobszerniejszeg
j literaturze, jest następna: Poliarch, nieznany m
ch krajów, kocha Argenidę, córkę Meleandra, król
znaje od niéj wzajemności. Lecz wskutek intryg i os
, możnego pana sycylijskiego, musi opuścić Sycy
ctwo. Lykogenes marzy także o pozyskaniu ręki A
ęciu krajem. Podnosi wreszcie jawny bunt przeciw
mbrot, syn królowéj maurytańskiéj, który się pozna
oliarchem w czasie jego tułactwa, jako téż Radyroban
pomagają w téj wojnie Meleandrowi; Lykogenes :
i zabity przez Archombrota. Radyrobanes kusi
genidy, a widząc jéj niechęć, zamierza podstępem ją
zamiar jego się wydał, zmuszony jest opuścić Sycy
der Archombrota za męża Argenidzie przeznacza.
uje się, że Poliarch jest rzeczywiście królem Gali
i on w Maurytanii, gdzie królowéj wielkie oddał usłu
rby zabrane jéj przez korsarzy i pokonawszy Rady
natce chciał się pomścić za sukcesa Archombrota. I
ı do Maurytanii, gdzie się spotykają obaj rywale i p
ch i Archombrot, a następnie wyprawia obu do Sycy
eandra, z których się pokazuje, że Archombrot jest
z pierwszéj jego żony a siostry królowéj maurytań
eto otrzymuje rękę Argenidy i królestwo.
Szczególnego interesu dodawała temu romanso
głośnym ta nadto okoliczność, że był on wielką alleg
clay wystawił ówczesne stosunki i osobistości europe

poświęconych rozmaitym kwestyom politycznym. Potocki, tłumacząc podobne miejsca, przenosił się duchem do Polski, i chociaż trzymał się wogóle danéj myśli, nadawał jéj jednakowoż swojską barwę i przekształcił odpowiednio do krajowych stosunków tak dalece, że używał wyrażeń, które tylko polskim instytucyom mogą odpowiadać, podczas gdy w oryginale łacińskim wypowiedziane są one z niejakiém naśladowaniem kolorytu starożytności. Ztąd dziwnie wyglądają podobne ustępy przy całości owianéj duchem klasycyzmu, i w ustach tych Archombrotów i Meleandrów uderzająco brzmią wyrazy: sejmik, szlachta, elekcya i t. p. Ale taki był przyjęty u nas sposób tłumaczenia. Wszystko, co się spraw publicznych dotyczyło, musiało być zupełnie spolszczone, powiedziane swojskim kolorytem, bo i pisarz i czytelnik przejęci byli nawskróś życiem polityczném i w niém największy interes znajdowali [1]).

Tym sposobem podała się Potockiemu sposobność wypowiedzenia swego zdania o stanie i rządzie Rzpltéj. Jak wszyscy prawie nasi pisarze, ludzie daléj i jaśniéj widzący niż ogół, ganił on te instytucye, które, wychodząc z nazbyt idealnego pojęcia o szlachetności i poświęceniu się pojedyńczych jednostek, wyrodziły się w ciągu wieków i stały przyczyną rozprzężenia. Pragnął on ograniczyć gminowładztwo szlacheckie, nie dać się rozwinąć oligarchii, podnoszącéj wówczas głowę, a wzmocnić i rozszerzyć władzę królewską, i w tym celu zaniechawszy elekcyi, zaprowadzić tron dziedziczny. Oto jeden z tych ustępów (część I, roz. 15), gdzie goście przy stole króla Meleandra toczą rozprawy, jaka jest najlepsza forma rządu.

Wiem ja, wiem te narody i co się w nich dzieje:
Ślicznie kwitną, niestety! bo już są na schyłku,
Prawda, kwitnęły przedtém, teraz już posiłku,
Albo że prościéj rzekę, żądały zadatku
Na swoję elekcyę, do tego upadku
Tamto przyszło królestwo, a nie znajdziesz iny
Oprócz téj elekcyi cudownéj przyczyny.
Wiem, póki dawnych państwo ojcowiców plemię
Choć obrane rządziło, syn wstępował w strzemię
Rodzicielskie: i przyznam, że ptak białopióry
Całego prawie świata przenosił Arktury.
Zbytki wprzód, ambicya do tego obrzydła
Wypierzywać oboje poczęła mu skrzydła.
Nakoniec, co to kładziesz między ich ozdoby,
Śmierć im pewną gotuje i otwiera groby.
Bo tam jako się skoro król z światem pożegna,
Otwierają swej woli wrota *Interregna*,
Gdzie kto duższy, ten lepszy: nuż kaptury owe,
I dotąd stoją one kaptury bezgłowe,
Aż przyjdzie elekcya, kędy hurmem bieżą
Konkurenci, i w sztuki koronę porzeżą.
Jednych obietnicami, drugich gotowizną
Korumpują; a trzeci ledwie kość oblizną,
Ledwie ją na bankiecie winem spłucze mocném,

---

[1]) O tym zwyczaju przyjętym w tłumaczeniach zamieścił Maciejowski interesujący rozdział w swém Piśmiennictwie, w tomie 2.

się niewolnicz
życia, nacechowany swojskim charakterem, pokazuję
wyrażeniach wprost z potocznego życia wziętych. T
wielką dzielność poety w władaniu mową wiązaną, l
w Argenidzie energią, malowniczością i obfitością w
mu niezmierną łatwość wierszowania. Zobaczmy to n
m przykładzie.

Argenis, dowiedziawszy się o mniemanéj śmierci Poli
do swojéj ochmistrzyni Selenissy (cz. I, rozdz. 7):

Tedy mi umrzéć bronisz i zagoić razem
Rany, co samém może zleczyć się żelazem?
Nieujesz słowa swoje, chcąc mię wędzić żywo.
Mocneż to, Selenisso, miłości ogniwo!
Tém serce zachełznane, a prawdziwiem rzekła,
Nie na ostre żelazo, lecz pójdzie do piekła.
Piołun żyć, cukier umrzéć, gdzie ten los dosięże,
I z miłym przyjacielem na świecie rozprzęże...
To rzekłszy, ścięła zęby i sama się razem
I rękę opuściła ku ziemi z żelazem.

Albo cokolwiek daléj:

Kiedy po długim deszczu i sprzykrzonéj słocie
Rozpostrze na niebieskim słońce kołowrocie
Grzywy swoje promienne—trawy, kwiaty, listy
W rozmaitych farb barwy i kolor złocisty
Maluje; tak Argenis kroplom łez perłowym
Siła ozdoby dała śmiechem choć jałowym.
Śmiech był, lecz w uściech tylko—bo serce i oczy
Od śmiechu i od wszego pocieszenia boczy [1]).

Te to zapewne zalety poetycznego języka zjednał
ie wprzód jeszcze, nim Argenida w druku się po
wski (Niepróżn. próżn. str. 318) umieścił go mię
... Argenidy. Podziek

Późno się albo kryje, albo śmiałek chroma...
Sobie i Muzom piszę, nie frasując głowy,
Choć na tym szlaku zbieram za wami podkowy...

odpisał on Kochowskiemu w swoich *Jovialitates*.

Dlatego Argenida wyszła dopiero po śmierci Potockiego 1597 r. Wydawcy jéj, warszawscy Pijarzy, powiadają w przedmowie, że przeszło 18 lat [1]) leżała w rękopisie i teraz dopiero dla sławy narodu zostaje wydaną: ....„my nie chcąc tłumić tak zacnego wierszopisa i chwalebne zewsząd, bo prawdziwie *heroicum carmen* zagubiać, wiekopomnéj sławie i imieniu polskiemu ofiarujemy."

Podobnego rodzaju utworem, jak Argenida, jest „Syloret albo prawdziwy obraz nieosłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami męztwa..." wydany dopiero 1764 r.—romans pełen najrozmaitszych przygód, jakich doznają trzy po sobie następujące pokolenia. Syloret w podeszłym wieku żeni się z młodą Arsiną. Ta kocha się w swym pasierbie Daulecie, i kiedy mąż za sprawami kraju z Rodus się oddala, wyjawia mu swoję miłość. Daulet postępuje sobie z macochą podobnie jak Hipolit z Fedrą. Zemstą zapalona Arsina zamierza go otruć, lecz kiedy Daulet dla spokojności domowéj nagle ojczyznę opuszcza, przygotowaną dla niego trucizną truje się Xifil, własny syn Arsiny. Arsina zabija się z rozpaczy i wstydu. Na to powraca do domu Syloret, a poznawszy rzecz całą, udaje się w świat na odszukanie Dauleta. Tymczasem Xifil, ponieważ lekarz nie trucizny lecz opium jego matce udzielił, przebudza się ze snu. Długo nie wie on, gdzie się brat i ojciec podziewają. Doszedłszy więc do lat dwudziestu, puszcza się w podróż, aby ich wynaléźć. W czasie swojéj wędrówki otrzymuje męztwem rękę królewny Teolindy i jéj królestwo. Wkrótce jednak zmuszają go nieprzyjaciele uciekać ze swego państwa. W pogoni, na prośby Teolindy, która obawia się dostać w ręce wrogów, zabija ją i rzuca w rzekę. Ale rana królowéj była słabą; wyratowana z wody powraca na tron i rządzi w imieniu swego małego syna Eumenesa. Tymczasem Xifil, po rozłączeniu się z żoną, dostaje się do króla egipskiego Psamenita i do wysokich dochodzi godności. Podobnego losu doznał i Daulet, który po długiém tułactwie i wędrówkach, w czasie czego siostrę Fascelinę w Taurydzie poznał i ztamtąd uwiózł, przybywa do Persyi, gdzie u Astyagesa, Cyrusa i Kambyzesa w wielkich zostaje łaskach. Z Kambyzesem udaje się on do Egiptu i tam spotyka się niespodzianie z bratem Xifilem. Po śmierci Kambyzesa jeden zostaje królem armeńskim, a drugi egipskim, i obaj następnie idą w świat szukać ojca, którego rzeczywiście w Chaonii znajdują. Czynią późniéj wyprawę na Pergam, lecz przed starciem się wojsk poznaje Xifil, że jego żona Teolinda, którą za zabitą uważał, panuje w tém mieście. Tak pełni radości wszyscy się nakoniec znajdu-

[1]) Data powyższa jest bardzo niedokładną. Kochowski bowiem jeszcze w 1673 wydaném Nieprożn. prożn., a zatém na 23 lat przed ogłoszeniem Argenidy, pisze, że: „dziewiętne minęły jéj lata." Chociaż i z tego wyrażenia, będącego powtórzeniem horacyuszowskiego: „*nonum prematur in annum*," nie można wnosić, aby koniecznie 9 lat przed r. 1673 była napisaną.

ogólném zadowolnieniem, bo Eumenes znalazł na d
swoję Astymonę, którą był Delfin z morza wyratow
żeni; Atys dostaje Ancestrę, a Teucer inną pannę.

Sam Potcoki, czy téż wydawca Syloreta, wyraził
ans ten został „w starodawnéj historyi z różnych gre
pisarzów wyjętéj i odmalowanéj," a przez naszego a
polskim żywszemi kolorami wznowiony." Tę jedy
azówkę co do jego pochodzenia. Czy więc Potocki mi
uż romans pod ręką i ten tylko przetłumaczył, czy téż
cznych powieści i z ustępów dawnych greckich i now
sów, które często, nawet wtedy gdy w narodowéj fo
m krążyły, po łacinie bywały spisywane—złożył w sw
ę całość—nie możemy z pewnością powiedziéć. To tyl
ątpliwości, że obca fantazya zasilała ten utwór, ktokc
utorem.

Ale za to, podobnie jak w Argenidzie, podziwiać mu
, w jaką polski poeta oblókł treść czy to wziętą, czy
kądinąd. Stance Potockiego, ta forma wsławiona pı
ów i pojawiająca się bardzo często w naszéj poezyi
ypominają śmiały i bogaty język Słowackiego. Niech
za siebie mówi.

W czasie nieprzyjacielskiéj pogoni Teolinda błaga X
go ręki, aby się nie dostać do niewoli (str. 96 i 97):

> Kędy Araxes twarde brzegi łomie,
> Stanąwszy rzecze: drogi przyjacielu,
> Gdy nam tak grzeszy fortuna widomie,
> Nie masz prócz śmierci na jéj złość fortelu.
> Wolę tu umrzéć, niźli żyć we sromie;
> Kto życiem gardzi, nie trzeba słów wielu,
> Pieści się z ciałem przez to umysł miękki—

Nie samę tylko swoję broń nią skropisz:
Drukuj na sercu moje nią kochanie,
I ze łzami ją pomięszawszy, to pisz:
Może być piękna (inna) i mieć siła złota,
W miłości nigdy nie będzie jako ta.

Więc Xifil:

To rzekłszy, tnie ją. Lecz raz drżącéj ręki
Ledwie że zwierzchniéj kęs uszkodził skóry;
Siła mu miłość, siła zawój miękki
Ujął pochopu, choć miecz spadał z góry.
I pchnąwszy z konia zemdlałą przez lęki,
Sunie jako ptak uniesiony pióry,
Że choć po piasku, nie znać konia w biegu,
Araxowego trzymając się brzegu.
Ledwie mu przyszło miecz do pochew schować,
Nie obejrzy się choćby szło o gardło.
Nie zwykło bowiem serce tak żałować,
Co szczęście oczom bolesnym wydarło.
Zapomniał konia cuglami kierować,
Zda mu się, że go w miejscu coś przywarło,
I że na miejscu stoi jako wryty—
Chociaż koń piasku nie tyka kopyty.

Powiedzmy jeszcze słowo z powodu tych romansów. One-to wprowadziły do naszéj literatury, a bezwątpienia i w stosunki towarzyskiego życia, pojęcia właściwe romantycznemu duchowi. Pomiędzy zaś temi najgłówniejszą rolę odgrywała miłość, która w ciągu kilku wieków rozmaicie była pojmowaną i przedstawianą przez poetów. W utworach tego rodzaju, które się do nas dostały, po większéj części z późniejszych już czasów pochodzących, straciła ona swoję idealną podniosłość, w jakiéj wystawiał ją jeszcze platoniczny Petrarka. Nie zaprzeczając twórcom podobnych romansów i powieści, że dążyli zwykle do szlachetnego celu, nie możemy zamilczéć, że w ciągu swéj drogi zbaczali często na manowce i sens moralny chcieli osiągnąć przez środki tu i owdzie niezbyt moralne. Podobny więc żywioł nowém zupełnie był zjawiskiem w naszéj literaturze, która wszedłszy kiedyś na tor wskazany przez starożytną klasyczność w czasie najdzielniejszego jéj rozwoju i przedmiotem swoim uczyniwszy życie publiczne i religię, teraz dopiero podążała w ślady Owidyusza i romantycznych śpiewaków, zapuszczając się w kreślenie dziejów serca ludzkiego i jego namiętności.

Nową także postacią była zjawiająca się na polu literatury kobieta. Na kartach poezyi z zygmuntowskich wieków, napełnionych szczękiem oręża, gwarem sejmów i sejmików, nabożnym głosem psalmów, podrzędne ona tylko zajmuje stanowisko. Teraz, ze zmianą wyobrażeń społecznych, i idąc za przykładem włoskich i francuzkich pisarzy, zaczęli także i nasi poświęcać więcéj uwagi kobiecie i wystawiać ją w swych utworach. Miłość i kobieta zrobiły w XVII wieku wyłom w naszéj literaturze i szybko zajęły w niéj miejsce, jakie w zagranicznych literaturach posiadały. Poeci nasi zaczynają kreślić wdzięki kobiece, odkrywając w nich nowe piękno dla swéj wyobraźni—i to w duchu swego czasu, z niemałym pozorem zmysłowo-plastycznego uczucia—zaczynają wnikać w głębię serca i badać tajemnice niewieściego chara-

odpowiada (str. 25):

Bogata, zwykle męża lekceważy;
Uboga, będzie na rodzinę kradła;
Nadobnéj, zawsze trzeba chować straży;
Szpetna, jakby téż kto liznął kowadła,
Ledaczego się młodéj więc zabaży,
A stare, wadzą podejrzeniem stadła,
Przykre z nią życie, niemiła swoboda,
Prawie codzienna kłótnia, rzadka zgoda.

Wysokiéj, siła wychodzi na bramy;
Mała, do złostki skłonna i do plotek;
Dworka, nic tylko stroje, figle, kramy;
Domowa trusia, jako morski kotek,
Choć się na strojach francuzkich nie znamy,
Nakładzie na się petrocin i błyskotek,
Jeśli się kędy dowie o biesiedzie,
Choć nieproszona w pół baranczu jedzie.

Do romansów Potockiego należy także: „Smutna p
ościwa nadobnéj Wirginii dziewicy rzymskiéj ośn
j. w stancach) opisana r. 1652," z któréj ułamek, obejn
łoszony został po raz pierwszy w Kraszewskiego Ath
n I [1]). Treść téj powieści — która podług powyższé
jpierwszą z wydanych dotąd prac Potockiego—znaną
ymskich; ogłoszony zaś z obszernéj całości ułamek
wili, kiedy Appiusz przysądza Wirginię jéj mni
kończy na opisie wzburzenia umysłów, jakie po jéj śi
zwątpienia jest-to również tłumaczenie, bo ogłoszo
ie ślady kompozycyi i artystycznego układu, jakieg
ic oryginalnych, nie można się spodziewać po Poto
zbę płodów tego rodzaju powiększa jeszcze: „History
azeli," ukryta dotąd w I tomie rękopisów Potockiego

rozmaite," wydana po raz pierwszy 1747 r., przedtém zaś znana w odpisach, których wiele widział jeszcze Juszyński [1]). Wyjąwszy kilka pieśni nabożnych, umieszczonych na samym początku, wszystko zresztą jest tutaj owocem dobrego humoru poety, bo nawet nagrobki pisane dla rozmaitych stanów i osobistości historycznych (np. dla kilku królów i hetmanów) zalecają się lekką ironią nad nędzą życia ludzkiego, albo téż satyrycznym tonem. W tych ulotnych wierszach, pisanych pod wpływem dorywczego wrażenia, chwytał Potocki na gorącym uczynku wady i śmieszności swoich znajomych i sąsiadów, przerabiał na treściwe powiastki krążące po ustach anegdotyczne wypadki z życia dworskiego i ziemiańskiego, albo téż w satyrycznych epigramatach wypowiadał swoje literackie i polityczne przekonania, karcąc zarówno tych, co pisali uczone wiersze przeładowane makaronizmami, jak i tych, co się nierozsądnie złotą wolnością chlubili.

Taką cechę przeważnie dydaktyczno-satyryczną noszą na sobie anegdoty i powiastki umieszczone w pierwszéj części Fraszek. Już i tutaj jednak wślizgnęło się niejedno, co mogło obrazić uczucie przyzwoitości, dlatego Potocki, uprzedzając podobne zarzuty, sam pierwszy się obwinia (str. 231):

Zakończyły się Fraszki, skończą się i lata;
Taka od wieków trwałość mizernego świata.
Dosyć Fraszek i nazbyt, Wacławie, tych bredni!
Żal się Boże strawionych na tém godzin i dni.
Byś jeno sam nie płakał, gdy chcesz innych śmieszyć,
I żartem ci to może i żartem człek zgrzeszyć;
Trzeba będzie z każdego słówka zdać rachunek,
Kędy i myśli ludzkie pójdą na szacunek...

Ta myśl poważna i żałobna, jaką poeta obleka swój umysł wobec światowych żartów i płochości, przenosząc się nagle duchem aż na sąd pozagrobowy, i nas także zniewala nie odwracać z lekceważeniem oczu od drugiéj części jego Fraszek, gdzie na nowo i głębiéj jeszcze w ten sam grzech popada, ale poszukać raczéj w kodeksie moralnym i estetycznym paragrafu, który mógłby go z podobnéj winy oczyścić.

Druga bowiem część Fraszek składa się właśnie z samych tylko tłustych konceptów i rubasznych historyjek, dla których Fraszki Potockiego potępiono więcéj niż któregokolwiek z innych pisarzy [2]).

Potocki ostrzega w przemowie sam czytelnika, aby ich nie brał do ręki, jeżeli pragnie poważniejszéj lektury, a biorąc, aby umiał zrobić

---

[1]) Juszyński wydał o Jovialitates sąd bardzo surowy: „Zawsze niegodne druku, długo były w rękopisach zabawką lekkomyślnych; widziałem je w wielu domach porządnie przepisane."

[2]) Podobnie jak Juszyński, wyraził się o Jovialitates Załuski w swéj Bibliotece poetów polskich, zaprzeczając twierdzeniu ks. Jabłonowskiego, jakoby ta książka z jego zbiorów wydaną została i mówiąc, że gdyby on był jéj wydawcą, byłby ją znacznie przetrzebił i wyrzucił wszelkie nieprzyzwoitości (hirci luxuriantis olentum redolentia). Dodał przytém, że rękopis jaki posiadał, w innym był ułożony porządku i zawierał wiele rzeczy nieznajdujących się w druku. (Bibl. poet. pol. 72).

w nich wybór, i wyraznie zapowiada, że tylko niektórym wolno je czytać:

Precz ztąd matrony, precz panny i mniszy,
Precz, kto swobodnych żartów nie rad słyszy.
Choc ani nagość mojém rozumieniem,
Ani każdą rzecz zwać swojém imieniem
Jest wszeteczeństwo, tak i ciało człecze
Gdy kto wymieni, już plugawo rzecze.
Czystemu [illegible]a, choć słucha,
Tak gołe c[illegible]

Według tego rozum[illegible]rtu i podobnych utworów polegala na nazywaniu rzec[illegible] ale

Tu kres, d[illegible] stroni...

W ten sposób dobrz[illegible]umaczy owę rubaszną jowialnośc naszych praojców, [illegible]my pogodzić z wyobrażeniem o większéj czystosci oby[illegible] ich czasów panowała. Żart pozostawał tylko żartem [illegible]można powiedzieć, tylko na ustach, a nie w mysli, i dc[illegible]dził—raz wypowiedziany, ginął bez śladu na umysle. Uważano go tylko za pusty wybuch wesołości, nie za regułę życia i wzor do nasladowania, jak się to dzieje wtenczas, gdy wyrafinowane zepsucie pod płaszczykiem dowcipu lub filozoficznego cynizmu do pęzekonania się zakradnie. Była to tylko naiwnosc i prostota owych czasów, które, jak sam Potocki, nie wzdrygały się nazywac rzeczy po imieniu. Darujmy mu przeto jego chwilową swawolę, w ktorej powazny umysł, na podobienstwo wrazliwego dziecka, zapomina nagle o swoich troskach i przez łzy się śmieje.

Prace podobnego rodzaju żadnemu poecie, a więc i Potockiemu, nie przyniosą zaszczytu i nie ugruntują jego sławy. Historya literatury nie może jednak o nich przemilczéc, już to dlatego, że były tak często i ogólnie powtarzającém się zjawiskiem, już to z tego powodu, że są waznym przyczynkiem do historyi obyczajów, pozwalając nam wejrzéć w prywatne życie ówczesnych ludzi, w głąb' ich usposobienia i w tryb domowego pożycia, co niezawsze występuje na widok u wielu dawnych poetów, pokrywających swe mysli obcą formą klasycyzmu. Jowialnosc i dobry humor były jedną z przewazniejszych stron charakteru szlacheckiego, a do nas przeszły najwięcéj w takich Figlikach Reja, Fraszkach Kochanowskiego, w Żartach Potockiego. W pismach Jana z Czarnego lasu, wyspiewanych na ton Horacego, w Sielankach Szymonowicza i jemu podobnych, w których znac tak wyraznie wpływ greckich i rzymskich idyllistów, ginie nam z oczu rubaszna, ochocza, skłonna do zabawy i smiechu postać szlachcica—znajdujemy ją znowu we Fraszkach z właściwym jéj niby flamandzkim kolorytem, w całéj pełni życia i charakteru. Te drobne wierszowane urywki, ułozone nieraz z prawdziwym dowcipem, zawierają w sobie najgłówniejsze rysy, często cały wątek do narodowéj komedyi. Możnaby nawet powiedziéć, że żywioł komedyopisarski, nie znajdując u nas na scenie dosyc obszernego dla siebie pola, bo, jak wiadomo, szlachta nie lubiała się widzieć na

teatrze, objawił się w formie więcéj odpowiadającéj narodowemu usposobieniu, t. j. w formie towarzyskiéj gawędy, do jakiéj Fraszki mogły być użyte.

To mając na względzie, możemy Potockiemu i wielu innym przebaczyć nagość ich słowa. Jeżeli czém zgrzeszyli ci ludzie—to chyba otwartością, gdy wypowiadając w swych utworach swoje pojęcia o najważniejszych sprawach publicznych, gdy wznosząc głos na chwałę Bogu, lub pieśnią ulżywając swoim najdotkliwszym cierpieniom, nie wstydzili się obok tego odsłonić także i strony ułomnéj swojéj ludzkiéj natury, zstępując z piedestału narodowego wieszcza między tłum zwyczajnych śmiertelników. Od podobnéj szczerości odwykliśmy dzisiaj w literaturze — nie pozwalają na nią rozpowszechnione pojęcia estetyczne, a nieraz może i hipokryzya poetów.

Jovialitates nie są jedynym płodem swawolnéj i żartobliwéj muzy Potockiego; spotkamy się niedługo z niemi w Poczcie herbów, a więcéj jeszcze spoczywa ich w niedrukowanych rękopisach [1]).

## III.

## Drugi cykl: poemat religijny „Nowy zaciąg.“

Odkąd literaturę klasyczną świat nowożytny dokładniéj poznał, epopeja Wirgilego i Homera stała się przedmiotem jego zazdrości. Ludy nowożytne, zapominając o oryginalnych swych utworach podobnego rodzaju, powstałych w świecie romańskim i germańskim, pojawiających się także i w Słowiańszczyznie, pragnęły posiadać *epos* w swojéj poezyi i sądziły, że otrzymają je na drodze naśladownictwa. W ten sposób powstała epika Tassa i Kamoensa, która lubo treść swoję czerpała ze świata chrześcijańskiego, romantycznego, układała ją jednakże na wzór starożytnych, a szczególniéj Wirgiliusza. Usiłowania te nie wydały w końcu oczekiwanych owoców; nie stworzyły bynajmniéj epopei, którąby można postawić na przeciwnym krańcu, ale na jednéj linii z opopeją starożytną.

Prędzéj do tego celu mogła doprowadzić inna droga, na którą weszły niektóre umysły. Za prawdopodobieństwem przynajmniéj udania się podobnéj próby przemawia logiczność rozumowania, które kiedyś odbywało się może bezwiednie, dzisiaj zaś dla nas jest domysłem popartym historycznemi faktami. Otóż ci, którzy sądzili, że najprędzéj można dojść do epopei nowożytnéj tym sposobem, jeśli się

---

[1]) Prof. Mecherzyński odszukał ostatniemi czasy w Bibl. Jagiel. rękopis z XVII i pierwszych lat XVIII wieku, jakieś *Silva rerum* szlacheckie, gdzie obok innych rzeczy, przeważnie dokumentów historycznych, znajduje się także zbiór żartobliwych epigramatów p. t. „Wetów Parnaskich Lutnia pierwsza r. 1694.“ Wiele z tych epigramatów znane nam są już z Jovialitates jako płody Potockiego. Czy toż samo można powiedzieć o reszcie, a zatém czy cała ta Lutnia jest kopią jakiegoś rękopisu naszego poety, czy téż zbiorem uczynionym przez jakiegoś zwolennika podobnéj poezyi z różnych autorów, o tém ze swojéj strony nie umiem nic stanowczego powiedzieć.

c *epos* religijno-chrześcijańskie, znaczyło tyle, co st
żytne.

Z téj zasady wychodził—i nie inne miał zamiary
ıconym, a Klopstock w Messyadzie. Czyli jednak ı
zeczywiste *epos*, czyli téż tylko piękne i wspaniałe
ehaj estetyka odpowiada; nam chodzi jedynie o wskaz
unku w poetycznych umysłach.

Uczucie religijne było oddawna i w Polsce jedném
leł natchnienia. Lecz kiedy dawniéj, jak za czasów
ki, silne i żywe uczucie religijne wylewało się w pot
k XVII obrał sobie spokojniejszą formę epopei, p
ch, dla wypowiedzenia swego religijnego ducha.

Wogóle literatura XVII wieku posiada pewną sk
ów opisowych, którą możnaby nawet uważać za je
rakterystycznych. Utwory tego rodzaju mają w mn
rów uchodzić za poemata bohaterskie, za prawdziwe
wiście ówcześni czytelnicy, nawet ze sfery literackiéj
ażają. Dla nas jednakże są to tylko poronione pł
zaiczność opowiadania lub uboczna jakaś dążność ı
zyą. Okres panegiryczno-makaroniczny wydał wiele
ych historyj i zalał literaturę setkami pseudoepiczı
gijnych, przestraszających nieraz czytelnika samym sı
ż niektóre do tysiąca blizko stronnic dochodzą.

W tych religijnych epopejach, którym z konieczn
to nazwisko, nie chodziło autorom, podobnie jak i w o
h kronikach z dziejów ojczystych, o zadosyćuczynieni
ki, o stworzenie charakterów i poetyczne przedstawi
wątku historyi starego zakonu lub ewangelii snuli oı
uniesienia lub religijne pojęcia. Wiadomo zaś jakie
wieku XVII, wychowanym pod wpływem Jezuitów.

kiego sumienia zagadnieniach. Zdaje się nieraz, że Bóg dla nich przebierał się w habit jakiegoś mnicha albo szlachecki kontusz. Jest w tém zniżeniu się do ziemi może pewna naiwność — jednakże musi ona w nas wstręt obudzać, kiedy przypomnimy sobie, że w wieku XVII ludzkość oddawna już wyszła z niemowlęctwa, że źródłem téj naiwności nie była rzeczywista prostota ducha, ale obskurantyzm, rozszerzany w celu powstrzymania postępu i swobodnéj myśli ludzkiéj.

Toż samo musiało się dziać i z religijnemi utworami poezyi, kiedy ich nadto nie uszlachetniła godność sztuki, o któréj wówczas nie miano zupełnie wyobrażenia. Tym sposobem tuż przy najwznioślejszym przedmiocie znalazła się trywialność myśli i wyrażenia, a poemata te podobne są do owych obrazów na chorągwiach wiejskich kościołów lub téż do figur stojących przy drogach, które struże wprawdzie ręka pobożna, ale także nieumiejętna i niewykształcona.

Przykładem podobnego skażenia treści i poniżenia przedmiotu jest właśnie utwór religijny Potockiego, o którym mamy mówić, t. j. „Nowy zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa, Syna bożego, nad światem, czartem, śmiercią i piekłem" i t. d., lub téż, jak druga część tytułu powiada: „Krzyż albo żałosna historya krwawéj męki i niewinnéj śmierci Chrystusa Pana" i t. d., napisana, jak na tytule wyrażono, dnia 1 sierpnia 1680 r., a drukowana w Warszawie 1698 [1]).

Jak z charakteru wyżéj wskazanego podobnych utworów wypada, w Nowym zaciągu dadzą się rozróżnić dwie strony. Pierwsza liryczno-dydaktyczna zapełniona jest rozprawami (przybierającemi nieraz ton polemiczny) o dogmatach wiary, pobożnemi apostrofami do chrześcijańskiego czytelnika i nieprzyjacielskiemi napadami na Judasza i żydów męczących Chrystusa. Tę stronę nawet za główniejszą uważając, nie rozminiemy się zapewne z zamiarem autora, gdyż on sam widocznie mniéj przywiązywał wagi do drugiéj, w któréj swój przedmiot według Pisma św. opowiada. Wyobraźnia poety w téj części epicznéj bardzo małą odgrywa rolę i zamiast uwydatniać rysy nakreślone w ewangelii, zaciera je albo wykoszlawia. Téj plastycznéj wypukłości, jaką zwykle epopeja posiada, nie widać w Nowym zaciągu—wszystko tu blade, nieruchome i niedołężne. Jeżeli zaś czasami poeta stwarza jakiś obraz lub sytuacyę, podobny utwór wypada jaknajnieszczęśliwiéj i figury przez niego wprowadzane stają przed naszemi oczyma jak niezgrabnie strugane jasełka, niekształtne i chwiejące się na wszystkie strony. Weźmy za przykład te tylko parę wierszy ze sceny w Ogrójcu (str. 44):

Kiedy tak Jezus Piotra z porywczości karze,
Malchus, że już nie ujdzie między sekretarze—
Złodziejów tak biczują, którzy rzeżą trzosy,
Albo im uszy, albo urzynają nosy—

---

[1]) Drugie wydanie w Krakowie 1745 r. Z powyższéj daty napisania Nowego zaciągu (1680 r.) powstała bezwątpienia mylna wiadomość Niesieckiego i Jabłonowskiego o wydaniu, które miało warszawskie z r. 1698 poprzedzić. Zwrócił na to uwagę Szajnocha (Szkice historyczne I, 233), ale niedostatecznie błąd wytłumaczył.

...tora, kiedy nagle w tak dramatycznéj scenie przyp...
...łą operacyę przy odebraniu rany i mówi o cyruliku,
...myśli jednego z tych pejsatych żydków, którzy za jeg...
...éj tém rzemiosłem się trudnili. Tutaj odstąpił on od
...wał się sam od siebie i w duchu swego wieku, i wyda
...dysharmonijny. I znowu z powodu tego ucha mal...
...alluzyę do niewiernych żydów:

> Ogłuszeli synowie Abrahama, na nie
> Dziś odrzuciwszy Abra, cham tylko zostanie...

... następnie do chrześcijan głuchych na słowa Chry...
...szy „dla kształtu przy ciele" i którym „więcéj niż lu...
...by ośle."

Utwór ten już z góry skazany był na dopuszczeni...
...komiczności nie na swojém miejscu, skoro w nim wy...
...takie figury jak Judasz albo żydzi męczący Chrystusa.
...ański może je uważać tylko jako wyobrażenie złego pie...
...zeniem na nie spoglądać. Właściwością jest zaś wogó...
...owéj, a następnie i każdéj innéj, dopóki przez estetyc...
...ie nie dojdzie do pojęcia złego w całéj jego zgrozie i
...iałości, że wystawia je sobie w postaci komicznéj i sz...
...zatan, jakim go sobie stworzyły wieki średnie, niepo...
...zatana miltonowskiego, a dyabeł polski, pomimo swojé...
...kiéj, jest dosyć głupim, aby go można oszukać i wydrw...
... nas nie posiadał wyższych nad te pojęć, a Potocki nie
...ego wieku. Na każdéj karcie jego historyi męki chry...
...naléźć przykłady takiego obrażenia najpierwszych ...
... kilka jeszcze pojedyńczych wierszy i wyrażeń może ...
...wyobrażenie o duchu i stylu tego utworu. Kiedy np. au...
...e Judasz za 30 srebrników Chrystusa sprzedał, dziwi ...

Nie z większą godnością przemawia nieraz sam Chrystus; np. kiedy zapytuje przybyłych po niego żołnierzy do Ogrójca:

Kogo szukacie? śmiało fuknie na nich, że tu
Włóczycie się... (39).

Podobnie jak i w moralnych refleksyach do czytelnika autor często zbyt dosadnych wyrażeń używa, mówiąc np. przy policzkowaniu Chrystusa:

Jeśli cię gniew do pomsty, łakomstwo do zysku
Niepobożnego wiedzie, daj sercu po pysku (str. 52).

To wiedząc, każdy bezwątpienia przyzna, że farby używane przez Potockiego do jego obrazów niepodobne są do tych, jakie Rafael kładł na swoje religijne płótna. Najwznioślejszy przedmiot, jaki można znaléźć w historyi chrześcijaństwa, został w najlepszéj wierze znieważony przez ciemnotę wieku. Prawda, że w saméj już jego wielkości leży ogromna trudność, bo osobistość taka jak Chrystus jest prawie niedostępna dla fantazyi poety, mającego do czynienia ze światem wewnętrznym, który w tym wypadku należałoby zbudować na nowéj zupełnie podstawie i wyrzucić z niego namiętności, te zwykłe sprężyny czynów ludzkich [1]). Prawda także, że wielkość idei przygniata tutaj formę, jaką nadaje sztuka— ale większą jeszcze szkodę wyrządziły przedmiotowi pojęcia ascetyczne i duch dziecinnie-nabożny owych czasów. On to zniżył rzeczywiście sam przedmiot i sprawił, że dziś spoglądamy na podobne utwory z pewném lekceważeniem i ubolewaniem.

To też i co do zewnętrznéj formy, pod względem rymotwórczym, Nowy zaciąg stoi najniżéj ze wszystkich prac Potockiego. Opuściła go widocznie wrodzona mu siła wierszowania, a jego mowa wiązana w téj pracy może jedynie rymami różni się od zwyczajnéj prozy. W ten sposób bowiem zwykła się mścić poezya, kiedy ją w najdotkliwszém miejscu obrazimy, zapoznając jéj prawdziwą istotę [2]).

Nowy zaciąg nie był jedynym płodem religijnego natchnienia poety, podobnie jak *Jovialitates* nie wyczerpały jego humorystycznéj muzy. Wiele pieśni nabożnych, hymnów, całe nawet ascetyczne poemata obejmuje wyżéj wspomniany zbiór rękopisów Potockiego.

---

[1]) Niejeden już poeta stargał na podobnym przedmiocie swe siły. Tak np. Klopstock. W naszéj literaturze z nowszych czasów Przenajświętsza rodzina Zaleskiego, pomimo zalet języka i poetycznéj malowniczości, pomimo nawet udzielanych jéj pochwał, wydaje mi się bladym i ckliwym utworem, bo sztuczny nastrój, na jaki sili się poeta, nie zastąpi wspaniałéj prostoty ewangelii, nadającéj temu wypadkowi cechę prawdy i naturalności, które pod piórem XIX wieku przemieniły się w manierową czułostkowość.

[2]) I tutaj nie możemy się zgodzić z Załuskim, który powiada (Bibl. poet. pol., str. 72), że według jego zdania cała ta książka jest złota, że wiersze Nowego zaciągu oddychają dziwną pobożnością i godnością poetycką. Załuski, co jego zasługom i znakomitości bynajmniéj nie uwłacza, nie miał prawdziwego wyobrażenia o poezyi, jak np. w Ep. Minasowicza, o którym jeszcze Bentkowski powiedział, że Załuski spaczył jego talent; zresztą łatwiéj przebaczyć swawolę we Fraszkach niż komiczność i trywialność w historyi męki Chrystusa.

## IV.

### Cykl trzeci: Poczet herbów (Nowy Merkuryusz), Pełna.

Inny zupełnie otwiera się nam widok, kiedy rzucimy wzrokiem na resztę prac Potockiego. To, cośmy widzieli dotychczas, nie wyróżnia go bynajmniéj od innych wierszopisów téj epoki, gdyż wyjąwszy zalety formy, a mianowicie ten gorący i bystry język Potockiego, treścią dzieł powyższych stoi on na równi z duchem literackim swego czasu i nic nowego do jego skarbnicy [illegible] ırgenida i Syloret powstały niejako dla dogodzenia ów [illegible] ıkturze romansów; *Jovialitates* były znaną formą poetycz[illegible] do nich brany z powszedniego ziemiańskiego życia, kt[illegible] sza myśl nie porusza; Nowy zaciąg wreszcie jest tak p[illegible] s wielu ówczesnych płodów tego rodzaju i niczém, bo [illegible] ch nie przewyższa.

Powiedzieliśmy już [illegible] otockim uwydatniła się jedna szczególniéj idea, mianow[illegible] XVII wieku pobudzająca żywo umysły i wlewająca w [illegible] éj krople świeżéj krwi i życia, t. j. duch chrześcijańsko-r[illegible] przejął się nawskróś tym duchem, który, ogólnie rzecz[illegible] ił jedyne i główne tętno jego serca, najwyższy szczyt jego natchnienia, do którego zawsze i wszędzie, jako do swego ulubionego ideału, podnosi oczy, nawet i wtedy, gdy głos jego przez nikogo więcej nie jest słyszany, ginąc w zaciszu wiejskiego domostwa razem z owemi foliałami rękopisów, składanemi na półkach przez autora.

To przejęcie się duchem swéj epoki stanowi prawdziwe znaczenie Potockiego w literaturze. Przez nie stał on się dla nas zwierciadłem tych wieków, dając nam poznać najszlachetniejszą ich stronę, a zarazem siebie samego wyszczególnił pomiędzy wszystkimi poetami z całej przeszłości. Przyglądając się bowiem naszéj dawnéj literaturze, przeglądając nawet jéj utwory z najświetniejszych czasów, ze złotego wieku, nie widzimy żadnego poety, którego rymy, podobnie jak Potockiego, brzmiałyby tak głośno od szczęku oręża, a natchnienie wznosiło się tak wysoko, upojone myślą chwały z pogromienia nieprzyjaciół krzyża i cywilizacyi. Rej i Jan Kochanowski zostawili nam w swych pismach obraz społeczeństwa przepędzającego życie na gwarnych sejmikach i sąsiedzkich zjazdach, albo téż na łonie spokoju, w błogiém zadowolnieniu i przestawaniu na swym losie, bo takie były ich czasy, kiedy pod rządami dwóch pierwszych Zygmuntów panował w kraju spokój i pomyślność, pozwalające oddawać się z całą swobodą przyjemnościom towarzyskiego i sielskiego żywota. Nawet późniejsze lata, gdzie wrzała ustawna wojna, gdzie tryumfy i klęski miotały sercem narodu i poetów, wydając niejeden tak zwany poemat bohaterski, nie wydały poety, któryby dorównał w téj mierze Potockiemu. Samuel Twardowski pisał ogromne wierszowane historye, pełne opisów wojen i bitew, oddychające nieraz wojowniczym zapałem i szlachetném uczuciem; Wespazyan Kochowski zaczął opiewać, naśladując włoskich epików a szczególniéj Jerozolimę wyzwoloną Tassa, wyprawę Sobieskiego pod Wiedeń, naj-

wdzięczniejszy przedmiot, jaki mógł urość pod piórem genialnego wieszcza na wspaniały poemat: ale mimo wszelkich dobrych chęci i zalet daleko im jeszcze do téj wzniosłéj myśli, do tego wysokiego poglądu, którym odznacza się umysł Potockiego, łączący w sobie gorące uczucie religijne ze szlachetném pojęciem swego obywatelskiego obowiązku, kiedy ideę rzucającą blask na całe społeczeństwo ukochał i popierał ze wszystkich sił swéj duszy.

Pod tym względem zawdzięcza Potocki bez zaprzeczenia wiele także okolicznościom czasu, na który jego życie przypadło. W wieku zygmuntowskim myśl narodowa, nie dźwigana w górę przeciwnościami losu, z upodobaniem pozostawała bliżéj ziemi, prozaiczniała do pewnego stopnia, nie doznając przeciwności uszlachetniających ducha, i nie mając pragnień, których urzeczywistnienia od niebios jedynie oczekiwać można; późniejsze czasy, szczególniéj Jana Kazimierza (opiewano przez Twardowskiego), przygniotły natomiast zbyt ciężko umysł narodu, aby mógł zdobyć się na wyższe poetyczne natchnienie, potrzebujące zawsze choć krótkich chwil spokoju i niezachmurzonego na świat spojrzenia. Aż oto nastaje wiek Jana III, wszystkie klęski i dolegliwości tkwią jeszcze żywo w myśli narodu, ale zarazem niezwykłą rozbudza w niéj siłę widok tryumfów tego króla i nadzieja wypełnienia najgorętszych życzeń, pielęgnowanych już prawie od wieku, jeżeli islamizm upadnie, a zwycięztwo krzyża zapewni spokój Polsce i Europie. Wtedy zjawia się także poeta, który podziela te wszystkie nadzieje i pragnienia, przeczuwa je i wypowiada, a nawet roznieca w coraz większe płomienie i do poetycznéj wysokości podnosi. Tym poetą jest Wacław Potocki. Żyjący w wieku idealnych dążności, staje się sam duchem idealniejszym od swych poprzedników na polskim Parnasie.

Jako najpierwszą pracę, będącą niejako wstępem do tego cyklu utworów, położymy tutaj: Poczet herbów szlachty korony polskiéj i t. d., wydany po raz pierwszy i ostatni w Krakowie 1696 r., jeszcze za życia autora. Dzieło to jest herbarzem szlachty polskiéj, napisanym w wierszach, a wzorem do niego był Potockiemu *Orbis Polonus* Szymona Okolskiego, który wiadomości heraldyczne ozdobił panegirycznemi pochwałami szlacheckich rodzin i rozmaitemi alluzyami w duchu teologiczno-scholastycznym. Potocki jednak oprócz wywodu herbów nie powtarzał treści Okolskiego i tylko na jego podobieństwo urozmaicał przedmiot do pewnego stopnia poetycznemi dodatkami.

Wydawca Pocztu, drukarz Schedel, dedykował tę książkę synom Jana III, autor zaś sam umieścił na jéj czele dedykacyę donośniejsze mającą znaczenie, która na samym zaraz wstępie pokazuje cel i charakter tego utworu. Potocki bowiem poświęcił swój herbarz rycerstwu polskiemu, zaszczytnemi i pełnemi sympatyi nazywając je słowy: „Dzieł wiekopomnych, niezwyciężonego serca, nieprzełomionéj siły, niezrównanéj odwagi, miłośnikom ojczyzny, żwawym wiary św. obrońcom; pod znakiem krzyża Chrystusowego zostającym w wojsku JKM. Pana Miłościwego Żołnierzom, mnie wielce miłościwym Panom”— a wskazawszy następnie na przykłady przodków, którzy nabyli kiedyś

Drzec się dział ottomańskich; przez ich szabel (
Cnota i wieczna sława plac sobie rozpostrze.

Z tego już widać, że Potocki pojmował szlach
kon rycerski, jakim było pierwiastkowo, a za war
pienia, do piastowania go po przodkach, uważał jedy
skie, a szczególniéj obronę wiary przeciw pogaństw
achectwo było rodzajem służby bożéj, a herby widc
i wspomnieniem położonych zasług.

Potocki rozpoczyna swój Poczet od herbów kra
ch w Polsce królów elekcyjnych, a następnie przec
acheckich. Najprzód zawsze przywodzi on począteł
lamutny, np. kiedy herb Junosza (baran) wyprowadz
albo Topor od podobnegoż niby herbu amazonki Mi
ersz pochwalny o tym herbie, gdzie robi różne al
rożytnéj i Pisma św., do czego mu herby, będące sy
lawały sposobność, a duch ascetyczny wieku wiele (
ału, szczególniéj w tak nazwanych przez niego *Th*
herb Janinę (tarcz) porównywa z Chrystusem, jako
em przeciwko nieprzyjacielowi duszy — wreszcie wi
herbownych, najczęściéj współczesnych autorowi, po
yryczne, dokończają téj ilustracyi herbów, dokonan
ctę. Te to krótkie panegiryki lub satyry, nadające
kiego właściwy powab w oczach ówczesnych i dzisi
w, były bezwątpienia pierwiastkowo okolicznościo
opiero późniéj do Pocztu zostały wcielone. Potocki
tutaj nie obwija w bawełnę, o osobach znanych i
dzie bez wymienienia ich po nazwisku, pisząc częstok
amaty albo rubaszne dykteryjki. Niejeden zapewn
żywego dotknięty, a drudzy znowu znajdowali właś

Żeby, póki przez Polskę Wisła w morze płynie,
Inszego herbu Orzeł nie brał po Janinie—

gdyż:

Jako Chrystus z kościołem i jako mąż z żoną,
Tak z królem Pospolita-rzecz ma być złączoną.

Wszystko znowu, co mówi o Wazach i o domu rakuskim, nacechowane jest widoczną niechęcią i wstrętem do wszelkiéj obczyzny. W wyobrażeniach swoich bowiem jest on konserwatystą i stoi silnie przy zwyczaju staroświeckim, hołdując *moribus antiquis*. Takim się także pokazuje w częstych przycinkach wymierzonych na szlacheckich neofitów, szczególniéj tych, którzy za pieniądze podszywali się pod klejnot szlachecki [1], jako też w wyobrażeniu o bezwzględnéj równości szlachty między sobą:

Szlachtaśmy wszyscy w Polsce, bracia równi sobie,
Niechaj nie presumuje nikt w wyższéj ozdobie,
Do Niemiec z tém Xiążęta, Graffowie i Grabie! (str. 24).

Herbarz Potockiego, w tym duchu napisany, musiał być popularną książką między szlachtą, która tém nadewszystko w jéj myśl trafiała, że nie traktowała przedmiotu jako suchy materyał historyczny, jako zbiór genealogicznych wiadomości, ale tchnęła weń ciepło życia, ubarwiła uczuciem, a nawet namiętnością, wystawiła z tą miłością, z jaką szlachta na swoje herby patrzała. Nietylko bowiem były one dla niéj przedmiotem chluby, a nieraz pobudką próżności, ale ceniła je ona jako symbole pewnych cnót domowych, jako zadatki szczególnéj łaski bożéj dla siebie, która ją tym sposobem od ogółu odróżniła. Dlatego to nazywała szlachta swe herby klejnotami. Potocki podzielał w zupełności to wyobrażenie: i dla niego herb był jakąś rzeczą mistyczną, któréj podobieństwo albo prototyp spostrzegał nieraz w słowach Pisma św.; i on bił czołem przed starożytnością rodu, dającą niejako rękojmię dzielności i cnoty; i on przenosił z dumą szlachectwo polskie nad wszystkie zagraniczne tytuły hrabiów i książąt, a nawet nad elektorów niemieckich.

Nie ośm osób, ośmdziesiąt, lecz tysięcy braci
Polska ma elektorów—wszyscy kandydaci...

ale zarazem żądał, aby za te szczególne łaski odwdzięczano się zasługami. Mówił on niejako do szlachty: „Te klejnoty wasze krwią nabyte— jeśli pragniecie być ich godnymi, bądźcie jak wasi ojcowie rycerzami, walczcie za wiarę chrystusową i wytrwajcie w bożym zakonie, nie ustępując z drogi cnoty, bo w przeciwnym razie nic wam odwieczne herby nie pomogą i lepszym będzie szlachcicem, kto świeżo przez własne zasługi ten zaszczyt sobie pozyska.

---

[1]) Mówiąc o herbie Ręka:

Dziś nie z strzałą, nie z szablą, co pogaństwo nęka,
Z szydłemby albo z łokciem należała ręka
Drugiemu, co w szlachecki katalog się wdziera:
Oknem lezą komu drzwi złoto nie otwiera (str. 608).

...ostremi wyrazy jéj domatorstwo:

Lecz któż dziś bywszy panem wioski drugiéj, t
Wojnę służy?—pieniądze zbierają dla dzieci,
A dopieroż możniejszy? Raz dość, zdarzy-li się,
Obóz widzieć: ostatek lat trawią na flisie.
Wolą pługiem niż szablą, choć zdrowi, choć mło
Na sławę robić—kiedy w Polsce to uchodzi;
Wołem szlachectwo sławnych przodków orząc r
Niźli koniem odnawiać w kampaniej wolą
Patrzmyż na senatorskie, dygnitarskie krzesła,
Wielu téż w nie fortuna żołnierzów doniesła?
Rzadko kto nie domator, rotmistrzami wiele,
Nie wiedząc, prócz gdy święcił chorągiew w koś

...o zniewieściałość przejmującą się cudzoziemskiemi ...tułami zagranicznemi goniącą:

Wygasła już do sławy chęć w synach koronnych!
Bo cóż po tém, choć jeżdżą po krajach postronnyc
Nie pogańskie nam głowy, dokazawszy sztuki,
Ale nikczemne ztamtąd przywożą peruki.
Zgasła miłość ojczyzny—owszem z nią na udry
Chodzą, tak drogo płacąc garść włosów i pludry,
Którzy nigdy pogańskiéj nie widziawszy głowy,
Nietylko nie uciąwszy, kupują herb nowy (str. 5(

Dla téj to właśnie dążności, którą poeta nieraz ...ada, a zawsze domyślać się jéj każe, policzyliśmy P... ...du tych jego utworów, w których objawił się duch ...ający powietrze owéj epoki i serce Potockiego. Jest- ...i alarm do walki, któréj zwycięzców w Pełnéj ...ńskiéj opiewał [1]).

W r. 1678 odebrał Jan III, stojący wówczas na szczycie sławy i popularności, z powodu swoich i swéj żony imienin powinszowanie, które niemało zapewne ucieszyło jego serce. Powinszowanie to napisaném było (i wydaném w tymże samym czasie) przez W. Potockiego, a wyrażało jego hołd i uwielbienie dla pogromcy Turków, z któremi i gdzieindziéj, szczególniéj w Poczcie herbów, po wiele razy się odzywał [1]). Mimo to jednak, że głos swój na ton pochwalny nastroił, słychać w nim nie pochlebstwo małodusznych panegiryków, w jakich owe czasy obfitowały, ale szczere uznanie z głębi serca pochodzące, okraszone swobodą humoru i wypowiedziane z godnością. Długo już albowiem bolał poeta nad niedolą kraju, a szczególniéj nad klęskami zadawanemi mu przez Turków — napróżno wyglądał po królu Michale pomszczenia téj krzywdy, a doczekał się nowéj i cięższéj jeszcze hańby, jaka na Polskę przez utratę Kamieńca spadała. Głosem Tyrteusza rozbudzał wtedy Potocki, jak szczególniéj w Wojnie chocimskiéj, rycerskiego ducha, przypominając narodowi jego upadek i obowiązek. Nareszcie w Sobieskim ujrzał urzeczywistnienie swych zaklęć i nadziei i na cześć jego w lutnię uderzył, kiedy zwycięzkie imię Jana III rozwiązało nanowo język jego natchnieniu, znużonemu przeszłemi klęskami,

---

W drugim zaś od samego końca podaje bliżéj miejsce, gdzie się wtedy znajdował:

I zaraz z Szczebrzeszyna porwawszy się lotem,
Ku Warszawie gdzie nie wiem obróci się potém.

Autor zatém Merkuryusza, pisząc go, znajdował się w Szczebrzeszynie, t. j. jeśli przypomnimy sobie ówczesne wypadki, w obozie związku, jaki utworzyło wojsko starego zaciągu, opowiadając się przy swoim hetmanie Sobieskim, zaraz po porażeniu Tatarów opisaném w Merkuryuszu, przeciwko konfederacyi gołąbskiéj. Z tego wypada, że autor był uczestnikiem wyprawy Sobieskiego przez siebie opisanéj, że służył pod nim wojskowo i do jego stronników należał. Ta okoliczność nie zgadza się ze znanemi szczegółami o życiu Potockiego. 1672 r. mógł on miéć najmniéj lat 50 i zapewne nie porał się już rycerskiém rzemiosłem, i synów już swoich, jak Stefana, który umarł w następnym roku w powrocie z wyprawy tureckiéj, wysyłał na wojnę. Nie można także wątpić, iż gdyby miał jakikolwiek udział w bojach Sobieskiego, byłby z chlubą zapisał to w swoich dziełach, gdzie tak często o Sobieskim i o jego czynach szeroko rozpowiada. Wreszcie apostrofa do króla Michała: „Nie stój, Michale, nie stój!“ i t. d. widocznie napisana jest z wyrzutem i niechęcią:

...Przerwij wszystkie zabawy, wsiadaj na koń z tronu,
Nie daj darmo próżnować tak pięknemu gronu
Krwi szlacheckiéj: niech tryumf odniesiem od świata,
Że nam nie żal, gdy mamy królem swego brata —

czegoby pewnie nie był uczynił Potocki, sądząc po wielu ustępach jego pism, gdzie o Michale z największą przychylnością się wyraża.

Poprawniejszy przedruk Merkuryusza podług trzech spółczesnych rękopisów podał L. Nabielak w tomie VI Biblioteki Ossolińskich, mianując bez żadnéj wątpliwości autorem Potockiego, ale także nie popierając tego twierdzenia żadnym dowodem, choć może być, iż znajdzie się jaki na owych trzech znanych mu rękopisach. Dlatego nie widzę i ja powodu zmieniać swoje zdanie.

[1]) Ambr. Grabowski przedrukował 1845 r. ten wiersz w Ojczystych spominkach t. I, i za jego autora uznał W. Potockiego, na co rzeczywiście znajdują się w Pełnéj wyraźne wskazówki: „sam bowiem, choć się nigdzie z nazwiska nie wymienił, mówi, że jest Podczaszy z Potoka i do herbu Śreniawa się przyznał.“ Jest to zatém jedna z tych dwu prac, a zarazem pierwsza, które wyszły na świat za jego życia.

... pychy jego pychy.
Znikną te za przybyciem prawdziwéj pokuty,
A on jak żaba z wieże z swojéj spadnie buty,
Ten tylko jeden szczebel, po którym się wspina
I na hardo poganin karze: nasza wina.
Niedługo pod herbownym, ojczyzno! puklerzem,
Którego dziś święcimy imię, się rozszerzym.
Zdarzy to miłosierny Bóg, że z naszym Janem
Przebywszy Czarne morze, staniem nad Jordanen
I będzie tam drugi raz pogańskie narody
Jako je chrzcił przy Dniestrze we krwi, miasto wo

Tym sposobem zeszły się na wspólném polu dwa
ny, a dwie te postacie, poety i bohatera jego pieśni,
tłem na zachmurzonym widnokręgu owych czasów
pożarem niestrawione ściany domostwa, którego in
się w gruzy pogorzeliska.

Wypowiedzenie prawdziwego uwielbienia, jakie P
a Jana, i ciepło serca, przechodzące częstokroć w p
owi najgłówniejszą zaletę Pełnéj. Nie powiemy je
ie była ona wolną od powszechnych wad panegiryk
piano alluzyami i niesmacznemi igraszkami dowci
sam grzech popełnia, kiedy np. przynosi królowi n
swoje gniazdo ojczyste, i Śreniawę, herb swéj rod
n królestwa (Jan i Marya) używa do rozmaitych po
ściami ewangelii, przychodząc wreszcie do téj dowci

Jan Chrzciciel, Jan apostoł, Jan król trzeci w rzędz
A żaden bez Mariej na świecie nie będzie.

ątpienia, trafiał on temi słowy w myśl Sobieskiego,
o-sentymentalnie kochał swą Marysieńkę.

Ale prawdziwe talenta posiadają to do siebie, że
drugimi mniéj u nich raża — umieje ...

tę okokoliczność uwagę czytelników, mówiąc o panującéj w owym wieku samowoli, anarchii literackiéj, która, potworna wprawdzie na pierwsze wejrzenie, zawiera jednak w sobie pewne zarody oryginalności. W utworach to podobnego rodzaju wydobywała się nieraz na wierzch narodowa samodzielność, rodzimy zwyczaj i obyczaj, szczególne a nawet osobliwe pojmowanie sztuki i poezyi. Pod piórem jednak takiego Potockiego, podobne wybryki fantazyi i wykroczenia względem dobrego smaku nabierają szlachetności i zdają się zmierzać do jakiegoś rozumnego celu. To, co u innych, nieobdarzonych tak wysokim talentem, jest tylko prostém dziwactwem—u niego staje się oryginalnością; ta droga, która innych prowadzi na manowce, jego wiedzie w strony posiadające wprawdzie dzikość pierwotnéj natury, ale także jéj świeżość i rodzime piękności. Niezawsze i Potockiemu udaje się to szczęśliwie, lecz między jego wierszami napotykają się nieraz prawdziwie wzniosłe i piękne, choć na ich utworzenie wpływało tylko własne uczucie poety, wyobrażenia jego wieku, a nie zapatrzenie się na klasycyzm, jedyny wzór, jaki podówczas posiadano. Do tych szczęśliwych ustępów policzylibyśmy np. wiersze, wyjęte z zakończenia Pełnéj, gdzie po wynurzeniu życzeń pomyślności ziemskiéj, przychodzi wreszcie poecie życzyć królewskiéj parze podług starego zwyczaju „w niebie korony.”

Żywszy potém ile człek myślą zapamięta,
I w tém chętnéj fortuny doznacie faworu,
Bo próżno, kto się rodzi nikt nie ujdzie moru.
Bóg umierał, królowie, i swe zaległ groby!
Jedna was noc, bez żalu, bez łez, bez choroby
Na tron posadzi, kędy i świat i śmierć zrzędną
Hardą zdepczecie nogą; kędy wam nie zwiędną,
Nie ze złota, nie z pereł, dopieroż nie z zioła,
Zdobiąc dostojne skronie i królewskie czoła,
Godziny, dni i lata, wieki nieprzeżyte,
Z wyboru gwiazd, cnót waszych, korony uwite.

Te gwiazdy, będące monumentami cnót nieboszczyków i wieńcem nad ich głową zawieszone, są tak pięknym wymysłem, a przecież nie zaczerpniętym z fikcyi starożytnych poetów, tylko z pojęć czysto narodowych i chrześcijańskich.

## V.

## Dalszy ciąg cyklu trzeciego: Wojna chocimska.

Wojna turecka za Zygmunta III była nietylko w dziejach wypadkiem wysokiego znaczenia, ale znalazła także i w literaturze szeroki rozgłos. Równocześnie prawie z wypadkami kreśliły jéj historyę pióra dziejopisarzy i wierszopisów, chcących uwiecznić wydarzenie, które ważnością swoją zajmowało umysły i przemawiało do wyobraźni. Los albowiem całego kraju zależał od tego, czyli jeden oszańcowany obóz powstrzyma albo nie następującą na Polskę nawałę turecką, a wszystka szlachta dzieliła osobiście chlubę zwycięztwa, do którego każda prawie rodzina się przyczyniła, wysyłając na pole walki choćby jednego swego

... obudzał. Pomiędzy innemi odznac
h wojen, skreślony pobieżnie przez Samuela Twardo
wszém jego, a podobno i najlepszém dziele, t. j. w
go (1621 r.). Późniéj znowu opisał ją tenże san
zerniéj w swojéj rymowanéj historyi o Władysławie
więcając całą jednę pieśń (drugą) tym wypadkom.

Przed niewielu dopiero laty dowiedziano się, że W
ostawił także poemat, którego przedmiotem jest Wc
ękopisu został on po raz pierwszy wydany r. 1850 w
jna chocimska, poemat bohaterski w dziesięciu części
eja Lipskiego podwojew. sand. i t. d. Wkrótce jedna
ha udowodnił, że prawdziwym autorem jest Wacław

W pół wieku właśnie po stoczonym na polach ch
lazł się godny jego głosiciel, poeta, który stał się osta
poezyi, silącéj się na wysławienie wielkiego dziejow

---

[1]) Bentkowski w t. I Hist. lit. wylicza sześć tego rodzaju wie
dzy r. 1620 a 28, których autorami byli: Promiński Marcin, Pas
macz Gwagnina), Bolanowski Jan, Zimorowicz Bartłomiéj, Witk
otr Napolski.

[2]) Dla zupełności tylko niniejszéj pracy powtórzymy na tém
jsze okoliczności tyczące się historyi tego poematu, a znane pows
vy wydawcy i z monografii Szajnochy o Wacławie Potockim. O
zycki podał pierwszy wiadomość o Wojnie chocimskiéj, ogłaszaj
a, że posiada rękopis znakomitego poematu z XVII wieku, i wz
ania; przytém uznał za autora Wojny chocimskiéj Hieronima I
cowski podjął się wydania; ale kiedy choroba a następnie śmie
v uskutecznieniu tego zamiaru, uczynił to Stanisław Przyłęcki we
ławca znowu podał za jéj autora Andrzeja Lipskiego podwoj. sa
ak Nowoszyckiego jak i lwowskiego wydawcy co do nazwiska a
pis nie posiadał karty tytułowéj, opierały się na ...
. Jednakże słabość ...

Według wszelkiego bowiem prawdopodobieństwa, pisał Potocki swoję Wojnę chocimską między r. 1669, gdzie Michał Korybut na tron wstąpił, a r. 1672 najdaléj, bo nie wspomina w niéj o wzięciu przez Turków Kamieńca, co bezwątpienia byłoby nieraz w ciągu pracy na myśl mu przyszło, zwłaszcza kiedy mówi o niefortunnym na to miasto ataku cesarza Osmana. Powtórzyło się zatém i w tym razie, co zwykle się dzieje, że poezya, stanąwszy w pewnéj odległości od przedmiotu, po upływie dopiero pewnego czasu jest w możności donośnym głosem to wypowiedziéć, o czém zamilczała, albo z lekka tylko w teraźniejszości napomknęła. Trzeba jednak zawsze, aby czas, który się takiéj pracy podejmuje, był podobny do chwili, którą opiewać zamyśla, aby posiadał podobne dążności i zdołał pojąć ducha ożywiającego minioną przeszłość. Takim właśnie był czas powstania poematu Potockiego, gdzie nowa burza od wschodu wisiała w powietrzu i wkrótce wybuchła bojem przypominającym czasy chocimskie.

Po długiéj dedykacyi Janowi Lipskiemu, gdzie szczególniéj uderza w oczy niechęć Potockiego ku wszystkim królom obcego pochodzenia, tak że z całéj ich historyi jedna tylko Wojna chocimska wydaje mu się sławnym i godnym pamięci czynem, rozpoczyna się rzecz poematu obszernym lirycznym wstępem. W krótkich wyrazach zapowiada Potocki swój przedmiot, jak to czynili wszyscy epicy począwszy od Homera, i wzywa do swego dzieła pomocy z nieba, zwracając jednak prośbę nie do pogańskiéj muzy, lecz do chrześcijańskiego Boga. Przepyszna to apostrofa, w majestatycznych i groźnych wyrazach wypowiadająca myśl głęboko chrześcijańską, gdzie poeta odniesione zwycięztwo przypisuje sprawie samego Boga, który hardych i pysznych upokarza:

Boże! którego nieba, ziemie, morza chwalą,
Co tak mdłém piórem jako władniesz groźną stalą,
Co się mścisz nad ostatnim tego domu węgłem,
Gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłém—
Ciebie proszę, abyś to, co tu twojéj wdzięce
W tém królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył: boć to jest dzieło twéj prawice:
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
Przez tych, którzy swą siłą od ciebie zawiśli.

Tutaj zastanawiając się nad ludzkością, dlaczego bezustanne wojny ją krwawią, znajduje poeta ich przyczynę w grzechach ludzkich, które Bóg takiemi klęskami karze. Ta myśl, powszechna zresztą w owych czasach, wypowiedziana jest w kilku dziwnie pięknych wierszach, wysoko poetycznych, jakich mnóstwo w Potockim, tuż obok całkiem prostych wyrazów, rzuconych jakby od niechcenia:

Grzechy nasze, o Panie! za któremi w tropy
Na pierwszy świat chodziły ognie i potopy,
Dziś, nie w wodzie dla tęcze, nie w ogniu z Gomorą,
Ale się w własnéj swojéj krwi czyszczą i piorą.

I to przypomina poecie, że były podobno kiedyś wieki złote, gdzie chciwość i zazdrość nie uzbrajały ludzi na siebie, jak się to dzisi-

...mnie cóż po tem brać prowincyę cudzą?
Są ambony, niechże was kaznodzieje budzą
Z tego snu...

który, jak powiada, naród popadł, oddawszy się zbyt

Ale tutaj spostrzega, że zadaleko dał się unieść s
zapędowi, i pobudza się do przystąpienia do rzecz
ron lub Słowacki, przypominając sobie właściwy za

Polską naszą Bellonę na teatrum świata
Sarmackiego prowadzę: tężby jeszcze (niszczące) l
I czas z ojcy naszymi miał zagrześć pożerny?
Nie da Bóg swéj roboty!—otwieraj, odźwierny,
Wrota, gdzie na szerokiéj méj ojczyzny sali
Wielcy bohaterowie będą się pisali!

ywa się, otwierając scenę krwawego dramatu.

Wszystko dotychczas jest własnością poety—to, co
ie tylko do niego należy.

Każdemu bezwątpienia przy czytaniu Wojny choc
pytanie, zkąd Potocki treść do niéj czerpał, skoro n
można widziéć, że to nie jest utwór wyobraźni, a
łą wiernością historyczną dokonane, autor zaś san
ładnie wypadków, ponieważ te zaszły prawdopodobni
urodzeniem. Na to pytanie odpowiedział sam Poto
ępie do Wojny chocimskiéj:

Ale twemi stopami, o wielki Jakóbie
Sobieski, postępując, dobrze wróżę sobie (str. 64).

yrazy powyższe brać należy całkiem dosłownie. F
viedziéć, że dobrze sobie tuszy, ponieważ opiewa ten
ry przed nim opisał Jakób Sobieski, wyznaczony od
m na wojnę chocimską, w dziele p. t. *Commentatori*

téj wojny, którą pomiędzy dwoma państwami, związanemi trwałym pokojem od czasów Zygmunta I, rozdmuchiwały napady kozackie na Turcyę, sięgające nieraz aż pod sam Stambuł, a z drugiéj strony tatarskie na południową część Rzeczypospolitéj, dopóki sprawa wołoska ostatecznie ich nie poróżniła. Następnie opowiadą dwie nieszczęśliwe wyprawy Żółkiewskiego na Wołoszczyznę, ukończone klęską pod Cecorą, tak że w drugiéj dopiero części przystępuje do Wojny chocimskiéj, która wszystkie już zresztą dziewięć części poematu wypełnia. Niema więc bynajmniéj powodu rozbierać ten poemat i treść jego przedstawiać: znaczyłoby to tyle, co powtarzać historyę wojny chocimskiéj, gdyż Potocki krok w krok postępuje za swojém prozaiczném źródłem, i nie posiada własnéj, że ją tak nazwę, poetycznéj treści.

Natomiast wypada bliżéj oznaczyć naturę téj poetycznéj parafrazy, jaką Potocki w swéj Wojnie chocimskiéj uczynił, ponieważ to posłuży nam za podstawę do ocenienia jego utworu i wyznaczenia mu właściwego stanowiska.

Otóż co do saméj budowy poematu, co do ciągu opowiadania, jest ono ustęp za ustępem powtórzeniem Sobieskiego. Potocki pisał swój poemat, trzymając w jednéj ręce Pamiętniki Sobieskiego, a w drugiéj pióro, z którego płynęły dźwięczne i natchnione rymy. Niekiedy jednakowoż zdarzają się zboczenia, zmiany i dodatki nawet co do saméj rzeczy. W tym razie dodaje Potocki jakąś nową okoliczność, jakiś fakt, którego nie znajdujemy w Sobieskim, a który zaczerpnął może z tradycyi rodzinnych uczestników téj wojny, albo téż z innych o niéj pamiętników, albo wreszcie dodał z własnéj wyobraźni ze względów artystycznych. Tak np. opisanie narady w obozie tureckim i następny potém epizod, w którym poeta maluje myśli niedające zasypiać tak Chodkiewiczowi jak i Osmanowi (część V, str. 224—228), są utworem Potockiego, dodatkiem wstawionym w opowiadanie dla pełności obrazu poetycznego. Jego własnością jest także wycieczka Osmana pod Kamieniec i szturm daremny do téj twierdzy (cz. IX, str. 380), rzecz zaczerpnięta zapewne z tradycyi, skoro w niéj znajdują się takie legendarne wyrazy, jak owo powiedzenie Osmana, który stanąwszy nad przepaścią tamującą mu drogę do Kamieńca, zapytał:

Kto kował te kamienie? kto skały obrywał?
Bóg! rzeką.—Słuszna i on żeby je zdobywał!

Niema również w Sobieskim modlitwy Lubomirskiego (cz. VIII, str. 334), kiedy ślubuje Bogu świątynię, odebrawszy z rąk Chodkiewicza naczelne dowództwo, lubo znajduje się ona w Petrycym [1], jednak innemi cokolwiek umotywowana okolicznościami. O dawniejszych czynach Lisowczyków Sobieski trzy tylko wiersze napisał, podczas gdy Potocki użył nadarzającéj się sposobności, aby ich pochwale znaczny ustęp poświęcić (cz. III, str. 144—5).

---

[1]) *Rerum in Polonia ac praecipue Belli cum Osmano Turcarum Imperatore gesti finitique historia*, str. 123.

...miejsce owe ustępy o Lipskich, je
ych w poemacie, nakreślone z całą miłością i ciepł
nie znowu, porzucając bezstronną przedmiotowość
iada poeta po wiele razy na własną rękę swą poga
irków.

Nakoniec, jak się samo z siebie rozumie, własnc
isy pór roku i dnia, wszystkie prawie wielką malo
aczające, tudzież liryczne ustępy, wyśpiewane prze
haterów téj wojny, albo téż bardzo ostrą często sa
ojętność na sprawy ogółu, zniewieściałość i cudzoz
asów.

Niekiedy znowu przedstawia Potocki wypadki, i
ątpienia tylko wzgląd estetyczny nim kierował.
edy Sobieski po wyliczeniu którzy posłowie dla r
stali wysłani za granicę, umieścił zaraz odpowiedzi p
ch od dworów zagranicznych, Potocki (cz. II) prz
ydarzenia, jako niebezpośrednio po sobie następując
łami, co więcéj odpowiada wymaganiom poezyi
wnym krokiem z rozwojem wypadków, a nie łącząc
wil czasu nawet wtedy, kiedy wspólnością myśli są p
iie mężną obronę odciętéj od reszty wojska garstki
bieski (str. 49) jako pojedyńczy, odrębny wypadek,
tocki (cz. III) umieścił go tuż przed wyjściem k
lskiego, jako mający z tém naturalny związek. Tal
eski chorągwie prywatne panów i królewicza wymie
ie, t. j. wtenczas, kiedy zostały przyrzeczone, a zatém
em, Potocki późniéj je opisuje (cz. III, str. 152—6
chwili, kiedy konno i zbrojnie stawiają się na plac w

Tego rodzaju są zmiany, które Potocki, nie z
ego źródła, w poemacie zaprowadził. Zresztą ...

źródle, biorąc ze Sobieskiego poetyczne myśli, obrazy i porównania. Niktby bezwątpienia nie wątpił, że to poeta sam od siebie się odzywa, czytając np. następne wiersze:

> Częstokroć po zwierzyńcach przechodząc się hardy
> Sułtan, gdy patrząc na lwy cieszy się i bardy,
> Razem ognie kozackie urażą go w oczy (str. 70)—

a przecież rysy tego obrazu, przedstawiającego rzecz z malowniczością poezyi, a nie ze szczegółowością historycznéj prozy, miał już Potocki w swojém źródle podane [1]). Podobnież i niektóre porównania (lubo te po największéj części są oryginalną własnością Potockiego), jak np. Żółkiewskiego z Emilusem (str. 86):

> Tak rzymski Emilus, choć z okrutnym żalem,
> Wolał trupem w przegranéj paść pod Hannibalem —

albo Koniecpolskiego z Warronem (str. 87):

> Tak Warro...
> Że nie zaraz rozpaczał, nie zaraz się trwożył...

były już przez historyka użyte [2]).

Od Sobieskiego także przejął Potocki ogólne, a nieraz i szczegółowe rysy do charakteru osób występujących w téj sprawie. Tak naprzykład charakter Osmana skreślony jest zupełnie według Pamiętników:

> Na Achmetowym tronie, ledwie pierwsze progi
> Dzieciństwa przestąpiwszy, siadł Osman, co z bogi
> Górną porówna myślą część młodości, głupi...
> . . . . . . . . . . dosyć ten miał buty
> Z natury, ale kiedy przystąpiła ku téj
> Opinia, którą w nim zauszni pochlebce
> Budzili, już nie ziemię, samo niebo chłepce...
> Tak szczęśliwe początki monarchiej jego
> Coś mu prognostykują, coś wróżą większego.
> Jednym się oceanem, jednym światem nie chce
> Kontentować, tém serce wychełznane łechce,
> Że mu nic bezdrożnego o co się pokusi,
> Sama nawet natura posłuszna być musi (str. 74, 75) [3]).

Jak wogóle Pamiętniki Sobieskiego bardzo się podawały do podobnéj parafrazy poetycznéj, gdyż napisane przez naocznego i czynnego świadka wydarzeń, a przytém przez człowieka wykształconego na wzorach rzymskich, łączą w sobie do pewnego stopnia dokładność i żywość pamiętników Cezara z retoryczną ozdobnością Liwiusza.

---

1) *Nonnunquam etiam imperatoribus oculos hortorum suorum amoenitate oblectantibus, triste et pudendum obiiciebatur spectaculum: fumantes nempe undique pagi...* Sobieski str. 6.

2) *Puduit Żolkiewium, ut alterum Paulum Aemilium, ne enim cladi suae superstes esset...* Sob. str. 13. *Stanislaus vero Koniecpolius... Varronis illius exemplo non desperavit.* Tamże.

3) *Verum Osmanus tantis fortunae obsequiis insolens, latissimi imperii vastitate tumens, ingenio ferox, aetate furens, in ipso extremae adulationis sinit inter innumeras blandientium mancipiorum illecebras enutritus, non unum Oceanum, nec unum orbem insana libidine ac plus quam humano fastu metiebatur: imo quasi naturae etiam dominus, nihil furori suo invium, nihil potentiae inaccessum, nihil fortunae invictum putabat.* Sob. p. 9.

przypatrzywszy się dokładniéj rzeczy, możemy po
wyższy był, co najmniéj, zbyt pośpiesznie wyda

Przypomnijmy sobie znane w literaturze
epiczne. Czyli one są prawdziwemi epopejami ja
bohaterskiemi poematami jak Jerozolima wyzwolo
tazyi ludowéj, czy poetów-artystów, zawsze w ni
grywa wyobraźnia: wypadek jakiś historyczny d
puls poecie, stanowi dla niego tło, na którém roz
snego utworu. Lud-poeta albo poeta-artysta b
tylko najgłówniejsze rysy, wypełnia je całkiem
koloryt według własnego upodobania lub pojęcia.
rya wojny trojańskiéj, gdyby nas była doszła w p
staci, wyglądałaby inaczéj niżeli dzisiaj w Iliadzie
nasze dzieje, nazywane bajecznemi, nie są rzeczywi
dokończonemi rzutami jakiéjś epopei, dlatego że
cisnęła na nich swoje znamię. Ale tym sposobe
ryczny przemienia się w poezyę, a ten, który podob
dopiero tworzy czyli jest poetą. W epopei nie
ścisłość, ani nawet o prawdę historyczną—tam wyp
ją tylko praw dyktowanych przez poezyę, które po
serca wydobywa. A chociaż Napoleon I, porównyw
bardzo słusznie powiedział, że „dziennik Agamem
ratniejszym w opisie odległości i czasu, tudzież
działań wojennych," jednakże każdy zapewne przyz
nie było bynajmniéj spisywać dyaryusz oblężenia T
zaraz wierszu swéj epopei zapowiada on z góry, że
wojny trojańskiéj, ale tylko gniew Achillesa. Nal
właściwości poezyi, że nad ogół z jego zbiorowemi
si zawsze jednostkę, w jedném sercu mieszczącą
Homer, opisując wszystkich wogóle G...

wymaganiom sztuki, które często stają w przeciwieństwie z prawdą historyczną; musi rozwinąć się na własnym swoim gruncie i z właściwego sobie pierwiastku stworzyć świat poetyczny, który się jéj dopiero otwiera w życiu wewnętrzném człowieka, w historyi serca ludzkiego. Ztąd logika poezyi różni się od logiki historyi i, jeśli można tak powiedziéć, jest logiczniejszą od niéj: kiedy bowiem historya pyta się tylko o prawdę dokonanych wydarzeń, nie wchodząc w to czyli one są wyjątkami— czy nie—od powszechnego porządku świata, poezya opiera się na odwiecznych i stałych prawach natury ludzkiéj, pod które poddaje ludzi i ich czyny. Poeta zatém musi posiadać w duszy ideał swego bohatera i ideał porządku świata, a dopóki nie skreśli nam skończonego psychicznie charakteru i nie wskaże, pod warunkami pewnéj epoki i stopnia cywilizacyi, jego związku z otaczającym światem, nie możemy powiedziéć, że utworzył prawdziwie poetyczne dzieło. W występującéj na polu czynów osobistości powinniśmy widziéć także człowieka z niezatartém znamieniem swego rodzaju: dlatego Achillesa homerowego widzimy nietylko w boju przeciw Trojanom, ale i w jego samotnym namiocie, kiedy gniewa się o porwanie mu branki, leje łzy nad stratą przyjaciela i lituje się nad nieszczęśliwym ojcem Hektora; dlatego również Tasso nie poprzestał na opisie zdobycia Jerozolimy, jak go mógł znaléźć w jednym lub drugim średniowiecznym kronikarzu, ale wprowadził do swego poematu i kobiety-bohaterki, i czary i wróżki, bo chcąc skreślić to, co historya o tém wydarzeniu powiedziała, musiał dopełnić obrazu i tém także, co o charakterze rycerstwa zapisały dzieje albo przechowała tradycya. Chcąc zaś podobnym warunkom i wymaganiom poezyi zadosyć uczynić, musi poeta z pola historyi, więcéj zewnętrznie kreślącéj wypadki, przenieść się w serce ludzkie i w swoję własną wyobraźnię: tam znajdzie on dopiero ducha dla swoich bohaterów i stworzy charaktery, tam dla opisanego wydarzenia znajdzie koloryt, światło i cienie, i da nam obraz poetycznie wykonany. Bez podobnego zaś wyemancypowania się z więzów historyi, dzieło jego pozostanie w najlepszym razie utworem, posiadającym niektóre poetyczne ozdoby, przemawiającym do nas językiem zapału i poetycznéj plastyczności, podobnie jak historya rzymska Liwiusza.

Otóż właśnie tego usamowolnienia się od historyi niema zupełnie w Potockim. Bierze on, jak powiedzieliśmy, Pamiętniki Sobieskiego do ręki i te przekłada z łacińskiéj prozy na polskie wiersze, postępując z Wojną chocimską podobnie, jak uczynił z Argenidą Barclaya. Poemat jego zatém nie jest owocem samodzielnéj woli poety, ani jego twórczości, ale idzie za naturalnym, historycznym biegiem wypadków, na których przeistoczenie, z wyjątkiem zmian wyżéj wskazanych, a mniéj ważnych, sztuka i wyobraźnia poety bynajmniéj nie wpływała. Dlatego Wojna chocimska w swojéj całości nie jest utworem poetycznym, a zatém i epopeją być nie może, i talentowi tylko autora przypisać należy, dlaczego ciż sami, którzy podobne dzieła Twardowskiego nazwali wierszowanemi kronikami, utworowi Potockiego nie odważyli się odrazu nadać tegoż nazwiska. Gdybyśmy posiadali tytuł, przez samego poetę swemu dziełu nadany, z pewnością nie byłoby ono nazwane poematem

...a, tak nazwana archit
wzniesioną podług zasad sztuki i z zadowoleniem
a następnie, że i w kreśleniu charakterów Potocki
się twórcą, nie stworzył sobie bohatera, i do zewnę
nia ludzi, jakie, jeśli nie w każdéj historyi, to przy
tnikach Sobieskiego spotykamy, nie dodał poetyczn
trze ich serca i duszy. Bohaterowie Wojny chocims
nami w tym jedynie nastroju ducha, jaki w nich w
śnie chwila, jeden szczególny wypadek, t. j. tocząca
wojna. Jakimi oni są ludźmi poza polem walki, o
tockiego nie nabieramy wyobrażenia. Dlatego to
polskich niczém szczególnie nie różnią się od siebie—
tylko jedna myśl i jedno uczucie: być mężnym i pok
wiem poeta nie patrzał się na nich okiem psychologa
stacie te wyglądają jakby marmurowe posągi, a nie w
kolorytem i blaskiem oka—wyciosane są potężną ręką
go wzoru, i stoją jakoby typy odwagi i rycerskiéj cn
się nam ze strony ogólnie ludzkiéj natury: są to char
się więcéj od zewnątrz niż na wewnątrz, żyjące nie w
lirycznêm natchnieniem poety. Jest w nich wprawd
tość, że naprzykład Chodkiewicz jest doświadczonym
dzem, który jednak mimo tego pragnąłby z przeważaj
ków stoczyć walkę w otwartém polu, aby zbliżająca się
nie przekazała komu innemu zwycięztwa; że Lubom
wie się co chwila do boju i przy każdéj sposobności
ną obraża, nie naśladując w tém hetmana, który ich
owaniem nie chce zbytecznie drażnić; że Sobieski
Ulissesem téj wyprawy, miarkując zapał Chodkiewicz
mirskiego, i pokładając większą nadzieję w rozsądnéj
męztwie stawiającém wszystko na jednę kartę: ale
ość jest wywołana tylko ...

do plastycznego wystawienia rzeczy, co jest jednym z najgłówniejszych przymiotów epiki, że posiadał ogromną siłę wyobraźni, która mu stwarzała obrazy jasne, wyraźne i potężne, tego dowiódł w wykończeniu szczegółów, niezawiśle od tego, czy znalazł do nich pewne przygotowanie w Sobieskim, czy téż czerpał je sam z siebie. Na każdéj prawie karcie „Wojny chocimskiéj" można znaléźć na to przykłady: bądź maluje nam poeta bitwy staczane całemi siłami przeciwników, bądź pojedyńcze walki mąż przeciwko męża, czy opisuje marsowatą postawę szyków polskich albo zniewieściałe tłumy tureckie, czy kreśli uroczysty szmer modlitwy z ust wojowników albo huk dział wstrząsający ziemią i niebem. Fantazya naszych malarzy i rysowników ma tutaj niewyczerpane skarby dla siebie; opisy Potockiego proszą się o to, aby je przenieść na płótno lub papier. Któż przy czytaniu naprzykład owego ustępu (część III, str. 164—7), gdzie garstka Kozaków, broniąc się w nieprzystępnéj jaskini przeciw całéj potędze Osmana, nareszcie po czterech dniach, wycieńczona głodem, opuszcza „swój zamek luby," rzuca zuchwałemu Osmanowi „pod nogi zimne samopały" i powiada mu:

. . . . . . . „poznasz z naszéj cery,
Żeć nas brzuch wydał"—

nie zostanie uderzony siłą wyrażenia i prawdą, z jaką Potocki skreślił mężnych synów Zaporoża, tych bohaterów niewyszłych jeszcze z rąk natury [1]).

Homeryczną prawdziwie plastyczność, wykończającą obraz z drobiazgową skrzętnością snycerza, dbałego o najmniejsze wyżłobienie i wypukłości, pokazał Potocki w opisie naprzykład pojedynku Piotra Lipskiego z Arabem, który jest jego zupełnie oryginalnym pomysłem:

Tam Piotr Lipski Araba upatrzywszy, który
Pod forgą w złocistéj żórawią misiury,
Znaczny koniem po rzędzie i jedwabnéj kiecy,
Wysokie miał ramiona i szerokie plecy,
Siła broił nad inszych, siła świata zbawił,
Już i konia zmordował, już się sam ukrwawił,
Sam nam późni wygraną, sam bitwę odnawia;
Więc go z boku zajeżdża i nieznacznie zławia.
Postrzegł tego poganin i prosto nań jedzie,
Wprzód go dzidą pomaca, ale się zawiedzie,
Bo obojczyk wytrzymał; toż jako się zbliży,
Chce pchnąć szablą Lipskiego kęs kirysu niżéj,
Lecz mu raz zmylił, i nim Arabin powtórzy,
W piersiach mu bystry pałasz po sam krzyż zanurzy.

Albo jakiémż życiem i siłą tchnie obraz, kiedy dwudziestu kilku ranami okryty Zienowicz, wsparłszy się na szabli, stoi jak słup w potokach krwi tureckiéj:

Słał mostem trup pogański mąż serdeczny póty,
Aże pod nim szwankował koń dzidami skłóty;

[1]) W większéj części jest ten ustęp własnością Potockiego. W Sobieskim niema ani mowy starego Zaporożca, ani odpowiedzi Osmana.

- ...i sztykowych; tak go przyjaciele
Opłakawszy, z życzliwéj czeladzi gromadą
Na gotową lektykę wybladłego kładą.
Trzy dni żył, duszę potém zbawiennym obrokiem
Opatrzywszy, umiera wiecznym jęty mrokiem;
Nie umiera, nie w wiecznym śmierć go mroku k
Nie da mu cnota umrzéć, która wiecznie żyje! (st

Ale ważniejszą jeszcze stronę, niźli ten epiczny ı szczegółowych obrazów, i właściwą dopiero zaletę „W( stanowi gorący liryzm rozlany po całym utworze. kiem czujemy to, co Potocki w swéj przedmowie jedyną dla niego pobudką do napisania „Wojny c chęć wysławienia czynów dokonanych na polach choo cie jest tutaj bez przerwy podniesioném—bierze udział ku wojowników, miesza się między nich na placu wal trudy i modlitwy i dodaje coraz świeżéj siły zapałowi i zy; ono jest tym magicznym punktem światłości, z któ urok na całe dzieło, zniewalając nasz umysł i serce. swoich bohaterów nie uczuciem artysty dla swego twor rodaka: poetę i opiewane przez niego osobistości łączy r patya i wspólna idea. Ztąd to liryczne uczucie wypow w wielu prawdziwie lirycznych ustępach, gdzie poeta z odchodzi, puszczając swobodnie wodze natchnieniu, j okoliczność w nim obudza, ale słychać je nawet wśró zgiełku bitew, słychać je w mowach samych wojownik mówią, czy działają, zawsze przez nich przemawia p więc, co, ze stanowiska estetyki rzeczy biorąc, byłoby chocimskiéj," gdybyśmy chcieli ją za epopeję uważać, nadaje wartość i najcenniejszy przymiot stanowi, kie( przypisywać poecie myśli, któréj nie miał, i dzieło jeg ..zém je sam mieć pragnął.

będący, to jest duch chrześcijańsko-rycerski, rozbudzony w nim przez współczesne wypadki, a do ideału przez głęboką religijność podniesiony. Dwie te ideje spojone są z sobą nierozdzielnie, przechodzą jedna w drugą, dodając sobie nawzajem znaczenia albo blasku. Poeta nietylko z téj przyczyny wysławia chocimskich wojowników, że są jego współziomkami, ale i dlatego również, że walczyli za wiarę Chrystusa. Widzieliśmy przy „Poczcie herbów,” jakie miał wyobrażenie o obowiązkach szlachty—otóż jak tam pobudzał do krwawéj służby bożéj, albo jak w „Pełnéj” uwielbiał jednego z jéj pracowników, tak w „Wojnie chocimskiéj” wznosi głos na pochwałę całego społeczeństwa, całego pokolenia, które życie swoje kładło za Ewangelię. Bóg, dla ukarania chrześcijan za grzechy, zesłał na nich potęgę otomańską—odeprzéć ją, jest ich powinnością, gdyż inaczéj dzieło odkupienia Chrystusowego w niwecz się obróci; ale i wtenczas, kiedy swych przeciwników szczęśliwie pokonają, nie powinni mniemać, że to się stało za ich sprawą, gdyż Bóg sam jeden ma w swojéj dłoni losy świata: taka jest filozofia poety z XVII wieku, który dla chwały Boga poświęcał nawet narodową i osobistą dumę. Najsilniéj wypowiedział on to pojęcie na samym zaraz początku poematu w przytoczonym przez nas ustępie; w podobny sposób zakończył także swoję pracę:

> Tobie, tobie, monarcho szerokiego świata,
> A czci cię żadna potkać nie może odpłata
> Za twoje dobrodziejstwa, któremi (przez szpary
> Na nasze patrząc grzechy) krom końca, krom miary
> Swoje raczysz stworzenie — mostem przed bogatym
> Posławszy ciała nasze twoim majestatem,
> Niesiemy hołd powinny i wieczne trybuty,
> Pełne usta twéj chwały i serce pokuty;
> Tobie w piersiach, podniósłszy tryumfalne palmy,
> Święty pean przez hymny głosimy i psalmy:
> Twoja to wiktorya, twój fest, twoje dziwy,
> Że Turczyn, który samym strachem końskiéj grzywy
> Wielkie kruszył fortece i narody gładził,
> Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził
> O szczyptę twoich ludzi...

Czémże więc będzie „Wojna chocimska,” zwłaszcza, jeśli udzielimy ucha dźwiękom tych dwóch strun lirycznych, brzmiących uroczyście i głośno przez cały utwór poety? Nie jest to epopeja: Potocki nie myślał jéj pisać. Epopei narodowéj, homerycznéj, nie byłby utworzył, bo na nią minęła już pora i innych potrzeba do niéj pracowników. Mógł wprawdzie, idąc za przykładem Kamoens'a lub Tass'a, rzucić się w naśladownictwo Wirgiliusza, przywołać do boku chrześcijańskich hetmanów i tureckich bejów mitologiczne bóstwa i zrobić coś podobnego, jak w sto lat późniéj Krasicki—ale tego, z pewnością wyrzec można, Potocki uczynić nie chciał. Cały ten przybór epiczny, dość nieszczęśliwie wynaleziony, a ciągłém powtarzaniem zużyty, obrażałby zapewne jego poczucie obywatelskie i religijne. Kiedy chodziło o sławę ogółu i sprawę chrześcijaństwa, naga prawda wydała mu się najpowabniejszą boginią, a to, co ona mówiła, tak wzniosłém i potężném, że wobec jéj słów znikłoby najsztuczniejsze zmyślenie. Surowość sumienia i przekonania

## VI.

## Peryody i niewydane pisma.

Oprócz „Wojny chocimskiéj" została w tych cz
ydaną, chociaż w części tylko, inna jeszcze praca Po
rach po Onacewiczu znalazł L. Nabielak żale W
ierć swego syna Stefana, zmarłego we Lwowie 20
powrocie z wojny tureckiéj, p. t. „Peryody" (niby
go bolesnego przedmiotu dotykał poeta w innych, d
ch pismach, jak w *Jovialitates* (str. 85), gdzie pisze „
efanowi,—jak w „Poczcie herbów," gdzie kilkakrotnie (
5), przy okolicznościach obudzających w nim te przyk
olewa nad śmiercią trojga swoich ukochanych dzieci.
Wszystkie dotychczas przez nas poznane pisma Pc
przedmiotowéj, bo chociaż wszędzie domieszany jest
iéj ilości, przedmiotem ich nie jest osobistość poety, a
alne uczucia i stosunki, ale świat zewnętrzny i spra
ące. Tak się rzecz ma w romansach Potockiego, w
," „Poczcie herbów" i w reszcie jego poematów. Utwó
az mamy mówić, jest czysto egotyczny; wypływał z wy
ącego jedynie poetę i kreśli stan jego duszy tém wyda
ny. Może zatém stanowić piękne zakończenie prac
óry mając tyle serca dla interesów kraju i wspó
guje na to, abyśmy udzielili ucha bolesnym skargom
szy.

Ośmnaście jest wszystkich „Peryodów" w rękopi
k, ogłaszając je z rękopisów Zakładu imienia Ossolińs
wodami (Bibl. Ossol. t. IV r. 1864 i t. VI r. 1865), ni
ak całkowicie, opuszczając „Peryod" 2, 4, 9 i 14. Jak

lasu. Jak wiadomo, wszyscy jego następcy w tym kierunku szli jego torem, trzymając się nieraz niewolniczo danego wzoru. Nawet poeci rozgłośniejszego imienia i większéj samodzielności, jak naprzykład Samuel Twardowski, powtarzali myśli i całe wyrażenia Kochanowskiego. Najpierwéj zatém, kiedy posiadamy dzisiaj choć w części „Peryody" Potockiego, nasunie się każdemu pytanie: czy nasz poeta, podobnie jak tylu innych, naśladował klasyczne w swoim rodzaju dzieło Kochanowskiego? Pod tym względem możemy z wielką pociechą przecząco odpowiedzieć. Znajdujemy wprawdzie (w Peryodzie VII) apostrofę do Jana Kochanowskiego, z powodu żalów nad śmiercią Urszulki, pokazującą, że Potocki miał na myśli jego „Treny" pisząc „Peryody," i znajdujemy nawet niektóre podobieństwa w rzeczy saméj, kiedy naprzykład Potocki przypomina sobie przymioty swego syna, albo jego pożegnanie przed wyjazdem na wojnę, podobnie jak w Kochanowskim wzbudzają wspomnienia: sprzęty i ubiór niegdyś do jego córki należące: ale pomimo tego zbyt wielka jest różnica pomiędzy dwoma poetami, pomiędzy ich literackiemi i artystycznemi pojęciami, aby Potocki na podobieństwo innych dał się kierować swojemu przewodnikowi. Kochanowski, twórca i wyobraziciel poezyi XVI wieku, jest przedewszystkiém klasykiem nawet i w „Trenach," gdzie, jakby się zdawało, rodzicielska boleść powinna była przygnieść sobą wszelką obcą formę i pojęcia z tak odległego świata zaczerpane. Wiek XVII zaś, jak wiemy, nie hołdował już do tego stopnia klasycyzmowi, a Potocki, jeden z jego najsilniejszych duchów, większéj nierównie niż kto inny pozwalał sobie swobody. Dlatego i bolesne jego uczucie nie mogło się pomieścić w formie stworzonéj przez Kochanowskiego. Potocki rozrzuca ją i puszcza natchnienie bez wodzy na obszerne fale swego umysłu, jakby romantyk jaki przędąc myśli jednę z drugiéj i zapuszczając się głębiéj niż Kochanowski w tajemnice świata i ludzkiego żywota. Szczególniéj bowiem częste i obszerne filozoficzne dumania, które zrodził bezwątpienia w naszym poecie kontemplacyjny i ascetyczny duch wieku, odróżniają „Peryody" od „Trenów." Coś podobnego znajduje się i w Kochanowskim, ale rozpaczliwe jego wykrzyki, dochodzące aż do chwilowego zaprzeczenia nieśmiertelności, wywołane są tylko obecnym stanem poety, jedną bolesną chwilą życia, podczas kiedy u Potockiego tego rodzaju melancholijne myśli zdają się być zwyczajnym prawie nastrojem ducha, podobnym do owego wewnętrznego rozdwojenia, jakie w ludzkości zrodziło chrześcijaństwo średnich wieków i jakiego nowożytny romantyzm użył za dźwignię swéj poetyczności. Możnaby powiedziéć, że w Kochanowskim poniesiona dopiero strata zrodziła to widzenie rzeczy w czarnych barwach i bez niéj poeta nie byłby nigdy zwrócił oczu na nędzę i niedolę życia,—w Potockim zaś ten cios świeżo doznany potrącił tylko strunę bolesną oddawna w sercu naciągniętą, tak, że uderzona przezeń, wyśpiewała wszystkie ponure marzenia i smutki, które przez długi czas w sercu poety ciążyły.

Dlatego, z wyjątkiem początkowych „Peryodów," gdzie poeta nie wierząc prawie w wielką swoję stratę, ma nadzieję zmiękczyć swoją bo-

Raz widzi podobieństwo żywota ludzkiego do kaga
le zabraknie oleju i światło gaśnie (Peryod V); to zn(
świat wydaje mu się wielką „suszarnią" śmierci, do
owoce ziemi się dostają.

Pod tym względem zasługuje mianowicie na uwag
ta rozwija w nim głęboki i wspaniały pogląd na bi
o dwa czynniki, składające świat i nim poruszające,
urę i fortunę. Pierwsza, wiecznie tworząca, wszyst
owrót w niwecz obraca.

Wszystko, jak z ziemie poszło, tak się w ziemię wraca.
Toć przez lat sześć tysięcy pasmo ten świat wodzi,
Jedno psuje, drugie z téjż materyey rodzi.

Druga znowu, ciągle odmienna i nigdy niemogąca
albo zaspokoić ich obawy o przyszłość, wiecznie w
owieka. Istnienie przeto w ciągłéj niepewności między
i wieczny niepokój, jaki budzą w sercu ludzkiém u
onad niemi rozum trzymający je w karbach,

Toć są formy całego ludzkiego żywota.

Pomimo to ludzie, chwilowi tylko mieszkańcy ziem
i interes w tém życiu: każdego przywiązuje do ziemi
eja lub namiętność. Dla poety jednak ze śmiercią syn
urok, nic go do niego nie wiąże:

...Tu, tu padły me żądności śniatem,
Już mi nic po weselu, nie chcę być bogatym.
Precz roskosz i uciecha, precz sława z honorem.
W tym mię, w tym kącie grubym okrytego worem
Śmierć zastawszy wywiedzie, pewnie nie wywlecze,
Podam jéj obie ręce, i w tém pod jéj miecze

Wielu przyjaźni wielu i rozkoszy
Z upatrzonego portu respekt spłoszy.
Lecz na cóż ludzkie zbierać mam przygody?
We mnie téj, we mnie niestatkowi wody
Niech się napatrzy, we mnie niechaj czyta
Każdy, co zwykło potykać rozbita.
Nie trzeba Scylli, Charybdy i fale,
Bo na kogo Bóg dopuścić chce żale,
Niech się od lądu na włos nie oddala —
Potka go smutne rozbicie u pala,
Ledwie że nagi i na desce gołéj
Wnijdzie, zkąd wyjście miał w grobowe doły.
Któż dalszy nad nią wszelkiéj był żeglugi?
Domku mojego trzymając się strugi,
Która tak gęste daje przez się brody,
Mniemałem głupi, że dojdę bez szkody
Gdzie port każdemu jeszcze przed pieluchy
Na nowym świecie naznaczono suchy:
Ala dziś tonę z całą moją flotą,
Bo to nie żywot u mnie żyć sierotą [1]).
W tobiem żył, w tobie, drogi synu, tonę —
I choć nie wodę lecz łzy piję słone;
Wiatry i żagle, wota i nadzieje
Wszystko to morze łez moich zaleje.

Niema zatém w „Peryodach" tego stopniowania uczucia jak w „Trenach" Kochanowskiego, niema téj różnorodności bolesnych tonów, podnoszących się aż do wykrzyku rozpaczy i spływających się wreszcie w wewnętrzną harmonię. Niema téż i ukojenia boleści. Jeszcze w Peryodzie XVII, przedostatnim z rzędu, cały świat wydaje się poecie znikomym, a jedna tylko jego strata rzeczywistością. Człowiek jednak upojony namiętnością i mniemaną wielkością swoją nie obaczy się, że to wszystko mara i próżność, aż śmierć go zajdzie. Cała księga świata jest zbiorem podobnych znikomości: najpotężniejsi mocarze, najsławniejsze grody i państwa giną po chwili istnienia:

Lecz i świat, i człek, i to wszystko co na świecie,
Snem, marą, bańką, bajką na śmierci pomiecie.

---

[1]) Te czternaście powyższych wierszy przypominają w główném myśli XVII Tren Kochanowskiego, a mianowicie ustęp:

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,—
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.
Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie, —
A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi w co dać szkody.
Lecz Pan, który gdzie tknąć widzi,
A z przestrogi ludzkiéj szydzi,
Zadał mi raz tém znaczniejszy,
Czymem już był bezpieczniejszy —

lecz łatwo poznać, jaka jest różnica w obrobieniu tegoż samego przedmiotu przez dwóch niepodobnych do siebie poetów.

...wczas, gdy Bóg mu syna
ż może kiedy nastąpić?...
Ta przewaga filozoficznych rozmyślań, poczętych w
i, stanowi, jak powiedzieliśmy wyżéj, charakterystyc
lów. Przedewszystkiém widzimy tutaj tylko zranio
y nas w jego głąb' wprowadza, i słyszymy jękliwy
gnącego się w wszelaki sposób wywnętrzyć. Wobec
zu nawet przyczyna tych skarg i bólów, a syn, kt
kiwał, pozostaje dla nas prawie nieznaną i mniéj int
ością, bo całą naszę uwagę zajmuje ojciec w smu
eró pogrążony. Inaczéj mają się rzeczy w „Trenach" K
Tam narzekania snują się po złotéj nici radosnych
léj chwili uczucie podnosi się i upada jak fala — zdaj
nienia szczęścia czynią poetę niepamiętnym na cios o
e przypomina on sobie swe położenie i w boleść zapad
„Trenom" ten urok, jaki artyści lub poeci osiągają
anie kontrastów, jaki malarze przez światło i cien
zkach stwarzają, i z tego także powodu obok rozpacz
przed naszemi oczyma druga postać, Urszulki, stw
ę w chwilach bolesnéj tęsknoty, przywołującéj mu
ę na pamięć. Urszulka jakby geniusz natchnienia un
enami"—widzimy ciągle przed sobą jéj obraz plastyczn
— wiemy o jéj przymiotach i talentach zarówno jak
zimy ją krzątającą się po domu, któremu swém szczebi
dodawała, albo téż gości wdzięcznym ukłonem witają
atém, którą Kochanowski ze studyów klasycznych na
za się i to jego dzieło, poczęte w całkiem osobistém ucz
ném natchnieniu. Chociaż, gdy nie możemy w podo
wczo rozstrzygać, i ten domysł dałby się uczynić, że
nego wypowiedzenia uczuć była dla...

należą do liczby tych okolicznościowych utworów, które Potocki w *Jovialitates* umieszczał. Zdrowy pogląd na świat, dowcip i humor stanowią niezaprzeczone zalety. Najlepszym pomiędzy niemi jest bezwątpienia „Bankiet włoski.” Wyborny to obraz zwyczajów dwóch różnych narodowości! Gościnny Włoch chciałby uraczyć szlachcica polskiego, częstując go sałatą, przyprawnym móżdżkiem, galaretą, pieczonemi żabkami i wreszcie kieliszeczkiem wybornego Lachryma Christi. Ale gość „od głodu ledwie nie zapłacze” i przybiegłszy do swéj gospody, krzyczy na czeladź: Dawaj po włoskiéj uczcie kapustę z bigosem!

Na tych utworach, najpóźniéj wydanych, kończymy przegląd dzieł Potockiego. Jakkolwiek liczba ich jest już i tak znaczna, szczególniéj zważając na wielką niektórych obszerność, zawierają one przecież tylko jednę część tego, co Potocki w swém życiu napisał.

Tu i owdzie, jak w Bibliotece Ossolińskich, znajdują się jego rękopisy rozproszone; ze szkiców zaś Szajnochy znanym jest powszechnie spis wszystkich prac niewydanych, uczyniony przez Załuskiego, kiedy jeszcze posiadał je w swéj bibliotece, przeniesionéj późniéj do Petersburga.

Zdaje się, że ten spis wyczerpnął zupełnie rękopiśmienne prace W. Potockiego, skoro „Metamorfozy,“ o których wspomina ks. Józ. Aleks. Jabłonowski we wstępie do swego poematu o św. Eustachym, są tém samém, co znane Załuskiemu, a przez L. Nabielaka bliżéj opisane (Bibl. Ossol. 1864, t. IV) „Zebranie przypowieści,“ i skoro przez „Satyry,” o których pisze Juszyński, należy bezwątpienia rozumiéć „Odjemek herbów szlacheckich,” za które to nieoględne wiersze poeta „o mało rozpusty swojéj wieżą nie przypłacił, a to za paszkwil na panów Rożnów.” Jak widać z tego spisu, są to w części utwory ascetyczno-liryczne, w których bezwątpienia duch religijny Potockiego żywotniejszém odzywa się uczuciem, niż u wielu ówczesnych wierszopisów tego rodzaju,—w części znów treści nauczającéj i moralnéj, i nakoniec żartobliwe wiersze w guście *Jovialitates*, przechodzące podobno rubasznością wszystko, co znamy dotychczas z pism Potockiego do téj kategoryi należących. Do poznania osobistości poety i jego poetycznego natchnienia najważniejszém bezwątpienia byłoby wydanie religijnych utworów, bo możemy naprzód prawie być pewni, że zawierają niejeden płód wielkiéj wartości i wysokiego liryzmu.

## VII.

### Zakończenie: talent poetyczny i stanowisko w literaturze Potockiego.

Za swoich czasów imię Potockiego nie było wcale rozgłośne. Oprócz wspomnienia Kochowskiego w „Niepróżnującém próżnowaniu,” niema podobno żadnéj więcéj u współczesnych, wzmianki o naszym poecie. W oddalonéj od świata podkarpackiéj wiosce ukrytego nie wyprowadziła sława na widownię literatury, kiedy sam, tając swe rękopisy, zdawał się jéj w tém przeszkadzać. Pośmiertni jego wydawcy hojniejszy-

ż do drugiéj połowy bieżącego stulecia, sądy wydaw
iebardzo korzystnie dla niego wypadały, upokarza
wobec Twardowskich i Kochowskich. Kilka zdań pc
zyliśmy już poprzednio przy sposobności. Sam jedn
ki (Dykc. poetów pols.) z pośród innych krytyków, s
pojedyńcze utwory Potockiego, wypowiedział o nim
odkrył niektóre znamiona jego talentu. Powiada on
ą jest łatwość, z jaką Potocki wiersze pisał, i zdaje s
nu trudniejszą"—a daléj znowu mówiąc o „Poczcie he
ię potrzeba płodności imaginacyi, iż potrafił każdego
aś historyę ułożyć"—lubo ta łatwość i płodność wyd
łatwością w kleceniu wierszy."

Tak więc dopiero od ogłoszenia „Wojny chocims
udowodnienia przez Szajnochę, że W. Potocki jest jéj
ię sława naszego poety. Wtedy to, kończąc swą rc
Szajnocha: „Gdy zaś powszechna na Wacława Potock
ła, natenczas przez zlanie się dwóch różnych napozór
ława Potockiego i autora „Wojny chocimskiéj," pr
naszéj literatury poetycznéj jedna rzeczywista, rzeczy
postać. Lekceważony dotąd Potocki urośnie autorstwe
imskiéj" w swoję przyrodzoną wysokość... Piękności
kiéj" zachęcą do bliższego przypatrzenia się reszcie
pociągną za sobą uznanie niepospolitéj wartości nade
charakterystyczne cechy téj reszty pism, mianowicie o
nor poetyczny, zwrócą tém większą uwagę na tęż sam
chocimskiéj." W swoim zaś ogóle okażą się wszystkie
branym skarbcem charakterystycznych rysów wyobra
wysłowienia się czasu swego — prawdziwie poetyczné
swojéj epoki." (Szkice histor. I, 251).

Potocki jest bez zaprzeczenia poetą, posiada bowiem wszystko, co poetę stanowi: wysoki umysł, bogatą wyobraźnię, gorące serce i władzę nad słowem. Miał zatém z czego zaczerpnąć treść do swych utworów i nadać jéj należytą formę. Ale musimy na to pewien nacisk położyć, przymioty te spoczywały w nim w surowym niejako stanie. Pomimo wszelkich zalet, pracom jego poetycznym brakuje ostatecznego wykończenia, tego tchu ze sfer wyższych, który dziełom sztuki nadaje znamię artyzmu, cechę prawdziwéj piękności, niespożytéj wiekami i do całego świata jednako przemawiającéj. Pytamy się, który z utworów Potockiego, nie wyjmując nawet „Wojny chocimskiéj," mógłby przełożonym być na obce języki i zająć wyobraźnię cudzoziemców podobnie, jak nas zajmują znakomite dzieła poezyi europejskiéj?... Nie doszedł on do téj wysokości, bo mu brakowało odpowiedniego wykształcenia, a raczéj rozwoju umysłowego, którego nie było w możności dać mu jego społeczeństwo i jego epoka. Nie mówimy tu w téj myśli, jakoby Potocki nie posiadał dość nauki i znajomości literatury, i owszem, z dzieł jego, a mianowicie z przedmowy do „Wojny chocimskiéj" widać, że miał szerokie pod tym względem wiadomości. Ale jest jeszcze innego rodzaju ukształcenie, które wsiąka mimowoli, ale w samą głębię ducha jednostek z całéj cywilizacyi narodów i epok, a to nie mogło udzielić Potockiemu siły do wzniesienia się na sam wierzchołek Parnasu.

Dotąd mieliśmy już nieraz sposobność poznać rodzaj twórczości poetycznéj Potockiego. Widzieliśmy, że się ona zawsze na miejscu zatrzymuje, ilekroć przyjdzie wznieść zgodnie z pojęciem sztuki całą budowlę utworu. Tutaj ustaje wyobraźnia poety i albo zupełnie nie troszczy się o poetyczne przekształcenie materyału, jak w „Wojnie chocimskiéj," albo nieszczęśliwie się do tego zabiera, jak nieraz w „Nowym zaciągu," albo téż wreszcie tworzy dzieła, jak „Poczet herbów," do których nie potrzeba zupełnie poetycznego planu i porządku. Ale za to wyobraźnia ta odzyskuje całą swą dzielność, skoro tylko ma kreślić poecie szczegóły i pojedyńcze obrazy, a ustępy „Wojny chocimskiéj" najlepszym są dowodem, do jak wysokiego może dochodzić stopnia. Wtedy to staje się ona nagle potężną przez swą plastyczność i posągowość, jakby w najlepszych dziełach klasycznéj poezyi, albo téż puszczona bez wodzy przez poetę przebiega z obrazu w obraz, z myśli w myśl, jakby słuchała natchnień romantycznéj muzy, biegnącéj naoślep, gdzie tylko nowy jeszcze kwiat urwać się spodziewa. To zdanie się na wolę fantazyi jest stałém znamieniem pism Potockiego. Nie brakuje on nigdy w myślach, nie odrzuca żadnéj dlatego, że jest zbyteczną i niekoniecznie potrzebną do całości obrazu, ale zbiera wszystkie, jak je w swéj drodze jego umysł napotkał. Przez to także pozbawia on swe wiersze klasycznéj miary i skończoności, a nieraz nawet niestosownie je rozwleka.

Ażeby podobne zalety poetycznego umysłu wystąpiły wyraźnie przed nami, musiało narzędzie, służące do wykonania zewnętrznéj formy, posłuszném być każdemu skinieniu i nagięciu ręki poety. To téż Potocki włada językiem jak mało który z naszych pisarzów. Wierszo-

—, gdzie natchnienie rzeczywiście było pod
awie słowie podawał nowy rys albo obraz poetycz
sał bez wyższego polotu, lub gdzie przedmiot min
e wstydził się oddawać go w całéj prostocie i nag
n wreszcie, mimo pojawiających się tu i owdzie wy
lko z łaciny, ale z włoskiego i francuzkiego nalecial
go wieku do polskiéj mowy i do pism wszystkich,
etów, jest wszelako poprawnym i czystym. Ja
zynić uwagę, że poezya okresu makaroniczno-pen
leko dotkniętą była makaronizmami, niżeli proza. Kt
szechną wadę wieku, stanowiącą jednę z jego cech cha
ziwi się zapewne, nie znajdując jéj w poezyi. U
czególniéj, jeśli przy dziele poetyczném autorowie p
owy lub uwagi na marginesach: w przedmowach i
tykamy bezwątpienia frazesy i wyrazy łacińskie, po
c są przynajmniej od pierwszych całkiem wolne; b
yna tego leży w lepszém urobieniu naszego poetycznego
zyka,—być może, iż wypłynęło to także z natury sam
j forma stanowi część istotną dzieła; poeci zatém ówc
ania wrażenia estetycznego, nie mogli tak zuchwale t
k, jak to czynili prozaicy.

Z natury talentu Potockiego, jak ją dopiero okr
ż naprzód się domyślić, jaką drogą on poszedł w swo
e należy mu wyznaczyć stanowisko. Poeta, który nie
utworzenia skończonéj całości, a z drugiéj strony
obraźni i obfitości myśli, iż mógł swobodnie zapusz
ezyi, musiał porzucić naśladownictwo klasycyzmu,
zezeń stworzonéj, i pozbawiony tego przewodnika
asnych zdolności i usposobienia. Jakoż rzeczywiście P
ziel swoich nie pokazuje nawet chęci

łącznie na stronę włoskiéj i francuzkiéj literatury, hołdując romantyzmowi [1]), sam jeden Potocki przed wszystkimi poszedł drogą, jaka się otwarła w tym okresie wskutek nieoznaczonych literackich pojęć, a zerwawszy tradycyjną nić naszéj poezyi, która wszystkich znamienitszych poetów od czasów Kochanowskiego na uwięzi trzymała, podniósł głos na nutę narodową, wypowiadając rzeczy swojskie w sposób najzgodniejszy z ich istotą. Cóż mu było po wzorach ód i hymnów, jakie starożytność przekazała, kiedy na cześć Sobieskiego śpiewał swoję „Pełnę?" Gdzie mógł znaléźć przykład do naśladowania, kiedy zamyślał opowiadać legendy i dykteryjki o herbach i o szlachcie? A nawet tam, gdzie mógł był (jeśli nie chcemy powiedziéć: powinien) zapatrywać się na klasyczne arcydzieła poezyi, jak pisząc „Wojnę chocimską," nie uczynił tego bynajmniéj, sądząc, że dla godnego uwielbienia tego wypadku wystarczy mu prawda podana przez historyka i własne uczucie.

Z tego powodu, zważając nadto na wysoki talent Potockiego, możemy go uznać za wyobraziciela poezyi w całym tym okresie, tak jak w poprzednim był nim Jan Kochanowski. Z tą jednak różnicą, że śpiewak z Czarnego-lasu był zarazem i twórcą swego okresu na wzór klasyczności się kształtującego, podczas gdy Wacław Potocki jest tylko wypływem, dzieckiem epoki goniącéj resztkami klasycznych pojęć i wyłamującéj się z pod wszechwładnéj ich powagi.

Jednakże tę wyższość i zalety pod pewnym względem musiał Potocki, podobnie jak cała jego epoka, opłacić niektóremi, bardzo nawet widocznemi wadami. Poezya tego okresu wogóle nie posiada żadnego stałego ideału, jak go wiek XVI znalazł we wzorach klasycznych, albo wiek XVIII we francuzkich, a narodowa oryginalność, ani sam Potocki nie był zdolny stworzyć go własnemi siłami ducha. Widać to na pi-

---

[1]) Morsztyn przez swoje wykształcenie europejskie, przez ciągłe ocieranie się, jako dworak i dyplomata, o dwór królewski, pełen wówczas cudzoziemskich zwyczajów, nabrał znajomości i upodobania w literaturze włoskiéj i francuzkiéj, która w owéj porze nie wykształciła jeszcze swego oryginalnego pseudoklasycyzmu i naśladowała piśmiennictwo Włoch i Hiszpanii. Wszystkie pisma Morsztyna pokazują ten wpływ, pod jakim powstały tak jego liryki miłosne, jak i epiczny poemat „Psyche," gdzie przedmiot mitologiczny traktowany jest z fantazyą, a nieraz z lekkością romańskiego ducha, tak wreszcie i jego „Cyd," tłumaczony z Corneille'a, wahającego się jeszcze w tym dramacie między klasycyzmem a romantycznością. Przez to zaznajomienie się z literaturą nowożytną odniósł Morsztyn jednę wielką korzyść, a mianowicie nauczył się zapatrywać na życie i świat własnemi oczyma, nie tak jak poeci trzymający się dawnéj rutyny, którzy ni myśli swojéj, ni uczucia nie mogli otrząsnąć z pleśni starych foliałów, będących źródłem ich natchnienia, i z téj treści przetrawianéj bezustannie, a przecież niezużytkowanéj w świeży sposób, nieodczutéj z nowém życiem.

Ten sposób pojmowania sztuki, przy wysokiém wykształceniu i znakomitych zdolnościach do poezyi sprawił, że niema bezwątpienia w tym okresie poety, któryby przeszedł Morsztyna w artyzmie pomysłu i formy wiersza, któryby pisał z taką siłą i życiem, i dawał w swoich płodach dowód tak wielkiéj samodzielności osobistéj. Pod tym względem, jako poeta-sztukmistrz, niższym jest od niego nawet W. Potocki. Ale ten posiada znów inne zalety, które go nad Morsztyna podnoszą i ostatecznie jemu palmę pierwszeństwa w poezyi XVII wieku oddają.

.....skiego, znajdujemy również ogrom
itych kamieni bez wartości. Natchnienie jego niezaw
ilami się podnosi, chwilami upada—i częstokroć pełz
nie prozy, do którego ściąga je albo przedmiot niesz
ra obrany, albo też usposobienie chwili, w któréj po
t, i zamiast odrzucić pióro, ratował się swoją łatwoś
„Argenida,“ „Syloret“ i „Wojna chocimska,“ jako
najmniéj pozwalająca autorowi zbytniego rozpuszcz
ż liryczne wiersze mniejszych rozmiarów: „Pełna“ i „
ą po większéj części od tego zarzutu, ale za to *Joviai*
ąg“ i „Poczet herbów“ grzeszą albo w całości, albo w
pach rażącą prozaicznością.

Puszczając się bez busoli w ręku na obszerne morze
Potocki pełnemi żaglami, rączo i śmiało, nie bez teg
zawadzić nieraz o szkopuł, albo nie osiąść na miel
arzony od natury darami, ale nie przeniknąwszy taj
mając o nich wyobrażenia, nie mógł wyrość na skońc
yby wzbogacił swój naród arcydziełem — i został tyl
prowizatorem, któremu płyną bez przerwy szczęśl
spaniałe wiersze, jeśli przedmiot jest téj natury, że da
uciem i znajdzie prawdziwą sympatyę w sercu poety. I
ności Potockiego były daleko większe, niżeli jego dziel

Jedném z najwidoczniejszych znamion samorodności
nego stopnia oryginalnością, lubo ta ostatecznie nic ni
nie utworzyła szkoły oryginalnéj poezyi polskiéj, jest w
erowi narodowemu humor, tak obficie po pismach Po
. Ten to humor naprzykład stanowi obok uczucia ob
ną zaletę „Pełnéj,“ tego prawdziwie serdecznego po
go może żaden inny z monarchów nie odebrał. Z tym
m opowiada Potocki i „Wojnę chocimską“ ...

wiem Kochowskiego, że umie w swych wierszach oddać każdą okoliczność i uczucie, radość li czy smutek, mówi z powodu tego ostatniego:

„Materya jakich mnie obfita."

I nam się zdaje, że smutek, melancholijność leżała na dnie téj duszy. Być może, iż zrodziły ją dopiero z czasem bolesne ciosy, jakich Potocki przez śmierć swych dzieci doznawał, ale mogła ona być także wrodzoném jego usposobieniem. Gdyż wogóle spostrzegamy w Potockim umysł poważny i kontemplacyjny, co najwyraźniéj się pokazuje w jego filozoficznych refleksyach nad światem i dolą ludzką, w jego pysznych apostrofach do Boga, jakich wiele napotykamy w „Wojnie chocimskiéj." W prawie natury zaś leży, że niema głębokości bez cienia a tam, zkąd wydobywają dyamenty i złoto, promienie słoneczne nigdy nie dochodzą. Pod tym względem Potocki, tryskający nieraz humorem ze zbolałego serca, podlegałby tylko ogólnemu prawidłu mądrych i szlachetnych umysłów, jakich przykłady obficie podają nam dzieje. Molier, który tyle już milionów ludzi pobudził do śmiechu, sam był milczący i zgryźliwy.

Podobnie jak obca powaga nie działała na Potockiego literackie pojęcia, tak i w wyobrażeniach społecznych pozostał wolnym od cudzoziemskiego wpływu i obyczaju. Po wiele razy objawia on tę niechęć ku obczyźnie, z powodu któréj potępia nawet całą dynastyę Wazów. Tak samo i cudzoziemska mowa i zwyczaje, zagraniczna polityka, którą się królowie i dyplomaci polscy przejmowali, wprawiają go za każdém przypomnieniem w oburzenie, i kiedy wielu z ówczesnych poetów, jak Twardowski, Morsztynowie, Grotkowski hołdowali polorowi włoskiéj i francuzkiéj cywilizacyi, rozszerzającemu się na dworze królewskim i między arystokracyą, Potocki zawsze z pogardą o nim się wyraża, jako o zarazie starodawnych cnót i prostoty. Ostrym, satyrycznym tonem gromił on podobnego rodzaju nowatorów, lubo nieraz do téj satyry mieszały się także łzy rozczulenia; piórem „omoczoném we łzie" ubolewał poeta nad modnemi zbytkami i zniewieściałością, które kraj wystawiały na klęski i upokorzenie od Turków i Tatarów.

Już nawet i meczety tamte widzą kraje;
Wolno im jako braciéj, a my na to śpimy,
Najdziem jeszcze czym się im ten rok okupimy,
Choć téż będą w Haliczu zimować i w Bełzie.
Aleć mię zniosło pióro omoczone we łzie.
. . . . . . . gdy przeszłe ozdoby
Wspominając, otwarte na się widzi groby [1]).

Jako bezwarunkowy zwolennik swojszczyzny i dawnych tradycyj, w równości szlacheckiéj widział on jedyny i najwyższy ideał społeczeństwa. Ale pod tym względem czasy Potockiego o wiele się już zmieniły: na miejsce gminowładztwa coraz silniéj następowała oligarchia kilku

[1]) „Wojna chocimska," str. 196.

rodziny.

> Drugi osiadł pół Polski, że już i tytułu
> Niemasz przedeń w Koronie, więc do prot
> Cesarskiego, o wstydzie! o hańbo! o bredn
> Leci, wziąwszy tysiąców po grabstwo do
> Aż komes albo książę..... [1])

Wszystko, jedném słowem, co swoje, co ro miłością i chciałby na wieki w starożytnéj zachow względem, można powiedziéć, że jego widnokrąg j czony, a wzrok utopiony w przeszłości nic sięga Potocki pokazuje się synem swego wieku. Nie poz dziejów powszechnych, do którego Polska, szczegó elekcyjnych, coraz więcéj była wciąganą, i kraj sw czéj poza jego granicami nic już na świecie nie w tocki, bardzo nawet śmiały i postępowy co do ust wnętrzném urządzeniu, jak np. w zniesieniu elekc mniéj konieczności zastosowania się w wielu raza europejskiéj i do zdążenia za postępem ogólnéj cyw wieku XVII i jego oczy częstokroć łuską pokrywał sze myśli i poglądy wydobył on z własnego serca, w wykształceniu. A jak w téj mierze duch czasu szk go działać, można powziąć wyobrażenie z téj nap że Potocki, podobnie jak ogół ówczesny, jak uczen wieku, nie wierzył w system Kopernika, a nawet żartował [2]). Jest to wprawdzie okoliczność doty

---

[1]) „Wojna chocimska," str. 145.

[2]) O czém dziś siła nasi mędrkowie ...

i wiadomości, ale rzucająca światło na cały umysł człowieka, kiedy wyobrażenia nasze nigdy nie są odosobnione od siebie, ale ciągną się nieprzerwanym łańcuchem, zaczepiającym jedno ogniwo o drugie.

Takim będąc, należy Potocki do liczby tych pisarzów i poetów szlacheccyzny, których szereg Mikołaj Rej kiedyś rozpoczął. Wszystkie głośniejsze imiona naszéj literatury do końca XVII wieku w tym szeregu pomieścić się dadzą, bo rzadkiemi są wyjątki, jak np. Jan Kochanowski, u którego kosmopolityczny artyzm ma także obok swojskiéj myśli pewne znaczenie,—albo jak szkoła tych nowatorów w poezyi XVII wieku, jak Andrzéj Morsztyn, najcelniejszy jéj wyobraziciel, którzy osobiste uczucia, wewnętrzny świat duszy, czynili przedmiotem i ideałem swego natchnienia. Z całéj téj szlacheckiéj, politycznéj poezyi Wacław Potocki obrał część najlepszą dla siebie. U innych przeważa zwykle satyra, w któréj skreślone społeczeństwo nie podnosi się prawie nad ziemię — Potocki zaś polotem swéj gorącéj duszy przeniósł je w idealniejsze sfery i w jaśniejących barwach wystawił: jego piórem została zapoteozowaną przeszłość i na jaw pokazane najlepsze instynkta społeczeństwa.

Ale był to także łabędzi śpiew téj poezyi, która, wydawszy najszlachetniejszego swego wyobraziciela, na schyłku XVII stulecia umilkła. Potocki ostatni uderzył w tę strunę, a po nim nikt jéj więcéj nie dotknął. Nastali potém poeci ascetyczni lub moralni w czasach saskich, poeci filozoficzni i dydaktyczni za Stanisława Augusta, wszyscy czerpiąc natchnienie w powszechno-chrześcijańskiéj lub w powszechno-postępowéj myśli; nastali wreszcie romantycy i nowa nasza poezya, szukająca dla siebie szerszéj podstawy w żywiole ludowym i ogólno-narodowym — ale pieśń zaśpiewana przez Potockiego nie znalazła już swojego barda. Idea szlacheccyzny skończyła swój polityczny żywot zaraz z początkiem XVIII wieku, ostatnim zaświeciwszy promieniem w konfederacyi tarnogrodzkiéj, więc zamilknąć musiała także jéj lira. To, co dzisiaj w tym rodzaju tworzą poeci (jak Pol naprzykład), jest tylko sztucznem wskrzeszeniem przeszłości, dziełem intuicyi poetycznéj i sztuki, ale nie bezpośrednim życia wypływem.

*Warszawa, 1867.*

---

## OKRUCHY LITERACKIE.

### Stanisław Serafin Jagodyński.—Dominik Morolski.—Józef Bielawski.

Kto ma do czynienia ze staremi szczególnie książkami, temu wpadnie nieraz do rąk rzecz godna zanotowania. Częstokroć nie jest to nic nazbyt ważnego, drobniejsza jakaś wiadomość lub okoliczność; ale gdyby nie to przypadkowe napotkanie jéj, niktby jéj pewnie naumyślnie nie szukał, albo gdyby jéj szukał, nie tak prędkoby ją znalazł i dużo musiałby wprzódy przerzucić książek i w nich się naszperać. Dla

ldka książeczka ascetycznéj treści: „Allegoriae albo
ących, wynaleziona dla unurzenia dusze w Bogu,"
zysztofa Chaleckiego. W książeczce saméj niema n
Krzysztof Chalecki nie zajaśniał téż przez nią, a
będzie w literaturze. Znalazłem jednak przy niéj
k, w rodzaju przedmowy do czytelnika, który zwró
agę z téj przyczyny, że pod nim przeczytałem pod
afin Jagodyński." To już chociaż niezbyt rozgłośne
e imię w literaturze XVII wieku. A o autorze, noszą
mało wiemy!... może ten wierszyk, nieznany zresz
książeczce p. Krzysztofa Chaleckiego, coś nam o nim
óby jeden szczegół w ciemném dla nas jego życiu.

Najprzystępniejszą, jedną z najbliższych nam i n
tpliwie w naszych czasach rozpowszechnioną biografi
jest króciótka wiadomość, jaką o jego życiu przy w
h jego pism w „Bibliotece polskiéj" podał wydawca
K. Turowski, r. 1860. Ta biografia tak powiada: „S
Jagodyński, syn Kaspra, urodził się na Żmudzi, na p
ku. Chodził najprzód w Wilnie do szkół jezuickich
niéj 1619 przeniósł się do Krakowa, gdzie go w dopi
n roku, podczas letniego kursu, za rektorstwa Jakób
w i kanonika, wpisano w poczet uczniów Akademii
d.

Książeczka p. Chaleckiego większą część tych wia
vicie datę urodzenia Jagodyńskiego i czasu, w którym
dzić, stanowczo zbija. Wydaną ona była u Leo
Wilnie, właśnie w tym samym 1613 r., w którym J. K
Jagodyńskiemu rozpoczynać naukę w szkołach jezu
zony przy niéj wierszyk Jagodyńskiego składa się z d

była z jakichkolwiek względów, czy z talentu, czy z urodzenia, osoba autora, tém znakomitsze musiało być także pióro, które dziełu świeżo ogłoszonemu aprobatę literacką niejako dawało. W tym wypadku mamy właśnie do czynienia ze znaczną wcale figurą. Pan Krzysztof Chalecki pochodził z możnéj rodziny litewskiéj, z jednego z tych rodów szlacheckich, które blizko z magnatami się stykały. Jego ojciec, Dymitr, był podskarbim W. Ks. Litewskiego, starostą mohilewskim i brzeskim, on sam miecznikiem litewskim i także jakimś starostą, bo choć Niesiecki nic o tém nie wie, taki tytuł daje mu w wspomnianym wierszyku Jagodyński, znający zblizka i pewnie dobrze te rzeczy. Taki dygnitarz pewnie lada kogo nie brałby sobie za literackiego protektora.

Z tych wszystkich okoliczności wypada, że Jagodyński musiał daleko wcześniéj się urodzić niż to zwykle podają jego biografie, że w r. 1613, w którym pana Chaleckiego polecał czytelnikom, nie mógł być kilkunastoletnim młodzieniaszkiem i prawie dzieckiem, ale autorem posiadającym już pewną reputacyę, a zatém człowiekiem liczącym sobie co najmniéj około lat trzydziestu.

Wydawca jego pism w „Bibliotece polskiéj" nie znał tego wierszyka przy książeczce p. Chaleckiego na czele umieszczonego, lecz pomimo to dziwić się wypada, że inne znane mu okoliczności i daty nie naprowadziły go na to, że Jagodyński w czasie przez niego pierwszy raz nieco dokładniéj oznaczonym urodzić się nie mógł. Znany albowiem był temuż wydawcy inny wiersz łaciński, panegiryk na wesele tegoż p. Chaleckiego z Eleonorą Stvoebichin (Niesiecki zapewne mylnie nazywa ją Stichinówną), przez Jagodyńskiego, w tymże samym r. 1613 wydany, a nadto między pismami Jagodyńskiego, przez siebie przedrukowanemi, wydał on inny podobny utwór, napisany znów na wesele innego Chaleckiego, Aleksandra z Anną Magdaleną Wojnianką, podkanclerzanką W. Ks. Lit., p. t. „Nymphika," który również w nieodległym od poprzednich czasie, bo w r. 1617, u Józefa Korczana w Wilnie był drukowany. Obie daty znanych mu tych prac powinny go były objaśnić, że Jagodyński ani w 13, ani w 17 roku życia ani polskich, ani témbardziéj łacińskich wierszy pisać i z niemi podczas uroczystości familijnych rodziny wcale na Litwie znacznéj publicznie występować nie mógł.

Dla przyszłego biografa Jagodyńskiego z omówionych tu przez nas trzech wierszy, wystosowanych wyłącznie do Chaleckich, wypada tylko ten pewnik, że nasz poeta w owym czasie miał lub szukał swoich mecenasów w téj rodzinie, że może według zwyczaju owoczesnego był w téj epoce u nich dworzaninem i że urodzony na Żmudzi, nie oddalał się jeszcze od stron ojczystych daleko, bo przemieszkiwał na Litwie. Ale wkrótce miał się przenieść w miejsca zupełnie inne. W rok po wydrukowaniu swoich „Nymphik" w Wilnie, drukuje on albowiem swoje satyryczne epigramata p. t. „Grosz," poraz pierwszy w Krakowie r. 1618, a następnie w r. 1619 znajdujemy go zapisanego w metryce studentów Akademii krakowskiéj.

Ta ostatnia data, niewątpliwie pewna, bo jaknajwyraźniéj w me-

tryce akademii zapisana i przez nas naocznie sprawdzona, przemawiałaby pozornie za twierdzeniem Turowskiego o wieku naszego poety i nasze własne obliczenie mocnoby się zdawała zachwiewać, chyba gdyby, co jest nieprawdopodobném, udało się komu wyszukać, że było w owych czasach dwóch Jagodyńskich tychże samych dwóch imion chrzestnych (Stanisław Serafin). Jagodyński urodzony na początku XVII wieku, a w r. 1619 zaczynający swoje nauki akademickie, to jedno do drugiego bardzo dobrze licuje, bo wiek między np. rokiem 17 a 19 życia, to właśnie najzwyczajniejszy czas owych nauk, zwłaszcza w owéj epoce, gdzie po skończeniu lat 13-tu na akademię się zapisać było można. Ale pozostaje zawsze jedna trudność: owe wiersze polskie i łacińskie, drukowane na kilka lat przedtém, stają zawsze w drodze w przyjęciu tych dat za pewne. Trzeba więc chyba inaczéj tę okoliczność sobie wytłumaczyć.

Tłumaczymy ją sobie poprostu tém, że Jagodyński w późniejszym, w dojrzałym już wieku na akademię się zapisał. Zdarza się to i dzisiaj, a zdarzało zawsze, że ludzie nawet starsi w poczet studentów wstępowali. Jagodyński, przerzucony nieznajomemi nam kolejami losu do Krakowa, znalazłszy się może w korzystniejszych niż dotąd warunkach, zapragnął może uzupełnić swoje wykształcenie, douczyć się tego, czego dotąd uczyć się nie miał sposobności, może znęciły go wykłady którego z wybitniejszych profesorów: dość, że z jakiéjkolwiek przyczyny mógł zapisać się na akademię, choć już dawno minęły mu lata, w których zwyczajnie te studya się odbywa.

Odtąd Kraków lub jego najbliższe okolice musiały być stałą siedzibą Jagodyńskiego, wszystkie bowiem jego późniejsze prace (Dworzanki, Maszkary mięsopustne, Wybawienie Ruggiera i Pieśni katolickie), bez wyjątku w Krakowie były drukowane. Los téż poszczęścił mu i podniósł go o jeden stopień wyżéj w jego karyerze, bo z przypuszczalnego dworzanina panów litewskich został, dzięki swemu dowcipowi i krotofilności (jak się wyraził Siarczyński), posunięty na dworzanina królewskiego. To przynajmniéj z pewnością wiemy, że z dworem królewicza Władysława odbywał podróż za granicę, do Niemiec, Belgii i Włoch. Domyślamy się, że do orszaku królewicza wzięty był nie z innego powodu, tylko jako poeta i literat, który będąc biegłym w piórze, mógł się do uświetnienia téj wycieczki młodego księcia przyczynić, czy to przez jéj opisanie, czy téż przez dowody swojego dowcipu i literackich wiadomości, któremi wobec cudzoziemców mógł pochlebne złożyć świadectwo o ogólném wykształceniu swych współziomków. Okoliczność ta przemawia również za dojrzalszym już w owe czasy wiekiem Jagodyńskiego, bo młodzieniec zaledwie dwudziesto lub dwudziestokilkoletni zapewne nie mógłby był jeszcze zdobyć sobie powszechnéj opinii, że podobnemu zadaniu podoła, i sława jego nie byłaby jeszcze doszła tak wysoko, bo aż do ucha królewskiego. Królewicz Władysław wyjechał w tę podróż, jak powiada Twardowski Sam. w swéj wierszowanéj panegirycznéj biografii: „Władysław IV," dnia 17 maja 1624 roku, a z pierwszą wiosną następnego roku powrócił do kraju.

Jedynym plonem literackim Jagodyńskiego z téj podróży, a zarazem najlepszą bezwątpienia jego pracą poetyczną, było tłumaczenie jednéj z tragedyj, jakie dla królewicza dawano we Florencyi, p. t. „Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny,“ po włosku napisanéj przez Saracinelli'ego. Wizyta we Florencyi należała do najcelniejszych epizodów téj podróży, a mianowicie nigdzie, jak zapewnia Twardowski, a czemu łatwo wierzyć, znając tradycyjne zamiłowanie sztuk pięknych dworu florenckiego, nie rozwinięto tyle przepychu i okazałości w rozmaitych widowiskach, jakiemi dostojnego gościa uraczyć chciano. Ludzie i zwierzęta występowali na arenach przed koronowanymi widzami; szermierze i atleci walczyli z sobą o lepsze, a rozjuszone lwy, lamparty, niedźwiedzie i brytany, szarpały się kłami i pazurami dla ich przyjemności, a oprócz tego i szlachetniejsze igrzyska muzy miały także otwarte dla siebie szranki. Więc naprzód dawano tragedyę:

„O Orszuli świętéj,
Z towarzyszek tak wielą od Attyle ściętéj,“ —

a następnie: „Dnia drugiego w pałacu arcyksiężnéj saméj“ ową „Scenę Ruggierową,“ ze wszystkiemi cudami i sztukami dekoracyi, maszyneryi, śpiewu i baletu, która szczególnie widzom, a mianowicie Polakom, podobać się musiała, skoro ją nadworny poeta podróży królewicza dla utrwalenia i pamięci tego wrażenia na język ojczysty przełożył i w Krakowie 1628 r. wydał. Być może, ponieważ nie znamy pierwszéj z tych sztuk o św.. Urszuli i nie wiemy, co w sobie zawierała,—że skłoniły go do tego przekładu pochlebne apostrofy, wprost do osoby, królewicza w Ruggierze wystosowane. Tłumacz podał tym sposobem do wiadomości całego ogółu polskiego, co zagranica na pochwałę młodego Władysława głośno i w świetném zebraniu książąt i panów wypowiedziała, i chociaż nieoryginalnym utworem wywiązał się przez tę pracę z obowiązku, który na przyjęcie go w poczet towarzyszów królewicza najwięcéj bezwątpienia wpłynął.

Po wydaniu Ruggiera ustają prawie wiadomości o życiu Jagodyńskiego. W „Encyklopedyi powszechnéj“ Orgelbranda znajduję tylko wzmiankę, że późniéj jeszcze nasz poeta, snać zachęcony powodzeniem pierwszego przekładu, przetłumaczył niektóre utwory Petrarki i tłumaczenie to, mające dotychczas spoczywać w bibliotéce Zamoyskich w Warszawie, królowi Władysławowi IV dedykował. Ztąd, jak słuszny czyni wniosek autor owego artykułu, widać, że przekład ten najwcześniéj 1633 r. był zrobiony lub ukończony. Odtąd głucho już zupełnie o Jagodyńskim. Niebardzo płodny przez całe życie, może zamilkł teraz, a może i umarł wkrótce, co znowu przemawiałoby za naszém obliczeniem i za posunięciem daty jego urodzenia dość daleko wstecz od końca w. XVI.

O innych jego pracach należy się jeszcze powiedziéć słów kilka. Jagodyński w pewnéj epoce swego życia, najpewniéj po przeniesieniu się do Krakowa, musiał się także zajmować heraldyką, skoro niejaki Giermański Stan., wydając (w Krakowie 1621 r.) krótki zbiorek heraldyczny, ten sam podobno, który późniéj przez Górczyna był powtarza-

ny p. t. „Summaryusz klejnotów albo herbów,“ dodał na tytule, że był „z różnych autorów, a mianowicie z Bielskiego, z Paprockiego i scriptów S. S. Jagodyńskiego zebrany.“

Niepewny i nieznany jest czas, w którym powstała i poraz pierwszy była wydana jedna z jego prac, którą może więcéj od wszystkich przysłużył się ogółowi, choć dotychczas mniéj powszechną zwracała na siebie uwagę. Jest-to zbiór śpiewów kościelnych p. t. „Pieśni katolickie nowo-reformowane i z polskich na łacińskie, a z łacińskich na polskie przełożone, niektóre téż nowo złożone.“ Jagodyński jest więc tych pieśni poczęści tłumaczem i to dwojakim, bo łacińskie przekładał na język polski, a polskie na łaciński,—poczęści zaś oryginalnym autorem. Z trzech różnych wydań tego dzieła, które posiada Biblioteka Jagiellońska, jednemu brakuje tytułu, na dwóch zaś innych wyrażone jest tylko miejsce druku: „Cracoviae, in officina Francisci Caesari,“ widoczną jednak jest rzeczą, że są to książki, pochodzące z końca w. XVII, wtenczas kiedy drukarnia Cezarych była już własnością trzeciego z rzędu Franciszka, wnuka pierwszego jéj założyciela. Wydania te równoczesne są zatém z edycyą, opisywaną zwykle przez naszych bibliografów, a wydaną także w téj saméj drukarni r. 1695 (Encyklopedya i Siarczyński mylnie podają r. 1595).

Jeżeli w ostatnich latach XVII w. tyle było różnych wydań téj książki, można śmiało przypuszczać, że dawniéj, t. j. za życia Jagodyńskiego i w czasie bliższym jemu, musiało także być niejedno, a nawet dosyć znaczna ich liczba. Ze znanych, a powtarzających się co parę lat wydań ostatnich, widać, że to była książka popularna i ulubiona, że pobożni czytelnicy musieli wiele jéj egzemplarzy zużywać, że jéj do podniesienia ducha w domu i do nabożeństwa w kościele używano. Tymczasem, kiedy ją Jagodyński wydał raz pierwszy i kiedy późniéj on albo inni te wydania powtórzyli, przez pół wieku niema najmniejszego śladu.

Już Juszyński chwalił ten zbiór i zaszczytnie go wyróżniał od późniejszych, szczególniéj w czasach zepsucia literatury i przesadnego ascetyzmu, wydawanych śpiewników, mówiąc o nim: „Nie masz tu owych piosnek, które pełne prostoty (prostactwa) i nikczemności umieszczone były późniéj we wszystkich kancyonałach.“ Rzeczywiście, wszystko, co było najlepszego w tym rodzaju, począwszy od „Bogarodzicy,“ umieszczonéj tu również, jak i inne pieśni z tekstem łacińskim, zebrał Jagodyński w swoim śpiewniku, na którym téż znać, że go układał człowiek wykształcony i z prawdziwym smakiem poetycznym.

## II.

Jan Dominik Morolski nie jest osobistością znaną w naszéj literaturze. Gdyby nie był zostawił po sobie kilkunastukartkowéj książeczki, niktby nawet nie wspomniał jego imienia. Książeczką tą są wiersze, napisane na zgon jego żony Zofii z Kłosowskich, zmarłéj w piętnastym roku życia, po dwóch zaledwie miesiącach małżeństwa, wydane w Krakowie 1628 roku p. t. „Pamiątka śmierci małżonki Jana Dominika Morolskiego w Krakowie Roku Pańskiego 1627 podczas jubile-

uszu wielkiego chwalebnie zmarłéj i pochowanéj!“ Z powodu tych wierszy wspomniany był Morolski przez Juszyńskiego i Siarczyńskiego z dawniejszych, z nowszych przez „Encyklopedyę powszechną” Orgelbranda i p. Faleńskiego w jego studyum o Trenach J. Kochanowskiego. Jednozgodnie wszyscy piszący o nim przyznają mu talent, chwalą jego wiersz piękny i język, i prawie wszyscy widzą w nim jednego z licznych naśladowców Trenów, które śmierci Urszulki zawdzięczają swój początek.

Nie mam nic przeciw pierwszemu z tych zdań. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że w wierszach Morolskiego widać talent, któregoby się nawet nikt nie domyślał, biorąc poraz pierwszy do ręki książkę, napisaną przez autora tak mało znanego, przez autora, który dawszy raz tak znakomity dowód biegłości w piórze, nigdy już potém niém nie ruszył. Ale na to zgodzić się nie mogę, aby on pisał swoje żale „wzorem Kochanowskiego,” aby był naśladowcą wielkiego naszego poety. Nie znając obcych zdań wyrażonych o nim, kiedym jego „Pamiątkę śmierci” czytał, uderzyła mię w tych wierszach ta przedewszystkiém okoliczność, że ten pisarz od wielu innych naśladowców bliższy co do czasu Kochanowskiemu, tak bardzo od tego wspaniałego i pociągającego wzoru się oddalił i na własny sposób to, co czuł, wyśpiewał.

Powiedziałbym, że pod tym względem możnaby postawić Morolskiego narówni z Wacławem Potockim w jego Peryodach, t. j. żalach na śmierć syna pisanych. Potocki także nie naśladuje Kochanowskiego i dlatego p. Faleński, który nawet najmniejszego znaczenia pisarzów w tym rodzaju w rzędzie naśladowców Kochanowskiego pomieścił, jego całkiem słusznie w swojém studyum pominął Kochanowskiego Treny są dziełem klasyczném, nietylko w tém znaczeniu, że są doskonałém dziełem sztuki, ale także i dlatego, że na nich, jak zresztą na wszystkich jego utworach, znać charakter i ducha renesansu czyli odrodzonego klasycyzmu. Potocki żył i pisał, kiedy literatura z pod wpływu klasycyzmu się usamowolniła, kiedy on działał więcéj pośrednio w połączeniu z innemi zupełnie czynnikami, i kiedy nadto duch ascetyczny i wyobrażenia chrześcijańskie, zasymilowawszy się stanowczo z duchem narodowym, przemogły nad tradycyami starożytnego Olimpu. W środku pomiędzy nimi co do czasu stojący Morolski nosi również na sobie wybitne znamiona swéj epoki. Jest-to dziecko renesansu chylącego się do upadku, poezya jego mocno przypomina smak zwany roccoco, a podstawną jéj artystyczną formą możnaby powiedziéć, że są wszechwładnie w owe czasy panujące wszędzie concetti. Jednę myśl przerabia on i powtarza w najrozmaitsze sposoby i kształty, linie proste lub regularne koliste mu nie wystarczają, tworzy on arabeski gnące się w przeróżnych kierunkach i uderzające oko swą wyszukaną formą. Możnaby zarzucić mu śmiało nienaturalność, posądzić go, że żal swój i płacz udaje, gdybyśmy tego ducha czasu nie wzięli na uwagę, tak daleko mu od klasycznéj prostoty Kochanowskiego i od potężnego religijnego uczucia w Potockim.

Z tego téż powodu wynika ten naturalny wniosek, że Morolski do Kochanowskiego zupełnie jest niepodobny. Dawniejsi pisarze gołosłownie to tylko twierdzili, jakby wystarczało im to dowodzenie, że

jak Kochanowski pisał żale na śmierć córki, tak Morolski na śmierć żony—ergo musiał go naśladować. P. Faleński, lepiéj rzecz zbadawszy, był sprawiedliwszy i w sądach swoich ostrożniejszy. Więcéj niż dziewięć dziesiątych wierszy Morolskiego, mianowicie nagrobki i epigramata w najrozmaitszy sposób jeden i ten sam temat obrabiające, które, jak na pierwszy rzut oka widać, z poezyą Kochanowskiego nie mają nic a nic wspólnego, usunął z pod zarzutu, czy téż od pochwały naśladownictwa. Naśladowanemi wydały mu się jedynie „właściwe Treny w liczbie trzech, mające już wiele wspólnego z Kochanowskim, mianowicie téż trzeci z rzędu, w którym powtórzono obraz Orfeusza i Nioby, jak jest w Trenie Kochanowskiego XIV i XV."

Zajrzyjmy więc w te ustępy i porównajmy je ze sobą.

Morolski pisze tak:

„Orpheus ociec cudowney muzyki,
Pozbywszy przez śmierć miłéj Eurydiki,
Aza się śmierci lęka? aza swego
Ochrania zdrowia osierociałego?
Sam się w podziemne drze gwałtem krainy,
Do niedostępney ludziom Proserpiny,
Nie dba, choć tam pies z troistą paszczęką.
Mieć a postradać to u niego męką—

a daléj zaraz potém:

Jeśli Niobe matka nieszczęśliwych
Dzieci, tak płacze y krzyczy nieżywych,
Że się od żalu i lamentów siła,
Żywa w nieszczęsny kamień obróciła.
Barziey przystoi mężowi sierocie" i t. d.

U Kochanowskiego czytamy, najprzód w Trenie XIV:

„Gdzie te wrota nieszczęsne, któremi przed laty
Puszczał się Orpheus szukając swéj straty?
Żebych ja téż tą ścieszką swéy najmilszéj córy
Poszedł szukać, y on bród mógł przebyć, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie,
I w lasy nie wesołe cyprysowe żenie.
A ty mię nie zostaway, wdzięczna lutni moja!
Ale ze mną pospołu podź aż do pokoja
Surowego Plutona; owa go, to łzami,
To temi żałosnemi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moię namilszą dziewkę jeszcze wróci..."

Z Trenu znów XV, opuściwszy kilka wierszy z początku, zaczynamy od apostrofy do Nioby:

„Nieszczęsna matko! (jeśli przyczytać możemy
Nieszczęściu, co prze głupi swój rozum cierpiemy),
Gdzie teraz siedm twych synów i dziewek tak wiele?
Gdzie pociecha? gdzie radość i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty, nieszczęśliwa,
I podobno tak długo nad swą wolę żywa,
Obłapiasz zimne groby, w ktorych, ach niebogo!
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo;
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone,

Albo deszczem gwałtownym na ziemie złożone!
W którą nadzieję żywisz? czego czekasz więcéj?
Czemu śmiercią żałości nie zbywasz co prędzéj?
A wasze prędkie strzały, albo łuk, co czyni
Niepochybny o Phoebe i mściwa bogini!
Albo z gniewu (bo winna), albo więc z litości,
Dokonajcie prze Boga! jéj biednéj starości.
Nowa pomsta, nowa kaźń hardą myśl potkała,
Dziatek płacząc Niobe sama skamieniała!
I stoi na Sipilu marmor nieprzetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany,
Jéj bowiem łzy serdeczne skałę przenikają
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,
Skąd zwierz i ptastwo pije, a ta, w wiecznym pęcie
Tkwi w rogu skały, wiatrom szalonym na wstręcie.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie."

Naśladownictwo w poezyi polega na używaniu tych samych motywów w działaniu, tych samych rysów charakteru, albo też wreszcie tych samych obrazów poetycznych. Tutaj, naturalnie, o tych ostatnich głównie mogłaby być mowa. W czémże widać to naśladownictwo? Gdyby Morolski był chciał, w szeroko nakreślonych obrazach Kochanowskiego, w tysiącznych ich szczegółach, z których w każdym myśl może znaléźć podnietę do nowego obrazu, mógłby był czerpać, zaiste, obficie. Ale porównawszy jego słowa ze słowami Kochanowskiego, musimy przyznać, że tego nie uczynił. Wspólność jego z Kochanowskim ogranicza się, można powiedziéć, do samych tylko nazwisk Orfeusza i Nioby. Że te dwie mitologiczne postacie tu przytoczył, porównywając, podobnie jak Kochanowski, ich los ze swoim, czyż do tego potrzeba było naśladować nieśmiertelne Treny? W owych czasach mitologia była na porządku dziennym; kto tylko chodził kiedy do szkół i uczył się łaciny, nietylko z tych, co się późniéj pióra imali, ale nawet z braci szlachty, co chodziła za pługiem lub wyprawiała harce z Tatarami, znał ją z pewnością lepiéj niż dzieje własnego kraju. Morolskiemu, kiedy opiewał własne bóle, te dwie postacie żałobne stanęły przed oczami, podobnie jak Kochanowskiemu, nie dlatego, żeby mu się przypomniały Treny, ale dlatego, że to były porównania powtarzane wówczas bez końca, z któremi każdy spotykał się niemal codziennie i u autorów starożytnych i u pisarzy ojczystym językiem piszących,—że to były porównania, nie waham się powiedziéć, powszechnie kursujące w owéj epoce jako zdawkowa moneta. Pożyczać jeden od drugiego nie byłoby potrzeba tego, co wspólną wszystkich było własnością.

Kto zresztą był ten Morolski, jaki był jego stan i jakie losy? nie wiemy o tém nic. Może jakie wyjaśnienie mógłby nam dać nagrobek jego żony, bo opłakana tak gorąco przez męża, musiała być przez niego i jakim kamieniem grobowym uczczona. Ale los i téj wskazówki drobnéj nam odmówił. Zofia Morolska pochowana była w Krakowie w kościele Wszystkich Świętych, a kościół ten zburzony, już od wieku blizko nie istnieje.

papierze wydrukowaną, pod szumnym tytu
Józefa Bielawskiego, niegdy Generała Adjutanta
. X. Litewskiego."

Któż z nas nie zna nazwiska pana generała a
elkiéj W. Ks. Litewskiego? nie z jego pism zapewne,
niepamięci fali," ale z tego, że niegdyś ostrzyli
wój dowcip literaci z czasów Stanisława Augusta, a
erski. Satyrykom i krytykom możnaby jednak nie
zez co nieraz człowiek ściągnie na siebie ostre wy
ych bliźnich? Można przecież i nie miéć talentu i pis
zasługiwać jeszcze na cięgi i na pośmiewisko, który
często bywał pan generał adjutant. Ale właśnie
j broszurze, któréj bodajby był przez wzgląd na
gdy Bielawski nie wydawał, mamy wyraźny i niezbi
co otrzymał od swych współczesnych, całkowicie zas

Jak ze wstępu w rodzaju dedykacyi widać, „Obr
ny był, a prawdopodobnie i napisany w r. 1806. C
już więc upłynęło od chwili, kiedy z polecenia k
ziwić się należy, dla czego król jemu to polecił, i czy
go był w owe czasy np. Bohomolec) otwierał Biela
wy w Warszawie nad wszelki wyraz słabą swoją k
" a siedmdziesiąt już blizko lat liczył sobie wtedy a
awdę, obowiązujący każdego, nietylko adepta muz,
wania siebie samego! Tę swoję pracę, niezawodnie o
arował Bielawski właśnie co urodzonemu potomkowi
dziny, któréj po nazwisku wymieniać nie widzimy po
ając sobie, „że (jak się wyraża) ten rysunek życia m
ogę do nieśmiertelnéj chwały, zaszczepi w nim chęć d
bania się i szacunek największy dla płci ślicznéj, któré
winniśmy; rozciągnie sławę jego po całéj Europ

„obrazu życia;" jest tylko kilka pochwał oddanych sobie bez żadnéj ceremonii i dowodzących niezmiernéj płytkości umysłu autora.

Życiem odebrał, duszę wlał Bóg w ciało,
Komuż się więcéj nademnie dostało?
Cieszę się z zdrowia, które w oddychaniu (?),
Poświęca duch mój Muzom i kochaniu.

Tak się poczyna ten „obraz," poczém zaczyna się Bielawski chwalić, że nigdy nie pragnął cudzego dobra, że „myśl dumna i chciwa" nigdy mu snu nie przerywała, że nikomu nigdy nie pochlebiał, przyjaciół nie zdradzał, nie miał nigdy kart w ręku,

Lecz tylko lutnię, albo pióro wieszcze (!)·

Najbardziéj rażącą w tych pochwałach, bez ogródki sobie oddawanych, jest zarozumiałość, z jaką wyobrażał sobie, że jest znakomitym poetą i że imię jego do nieśmiertelności ma prawo. Z miną zwycięzcy i tryumfatora przypomina dawne swoje spory literackie, i pokonanie przeciwników, których, zaiste, zwyciężyć był zasłaby, przypisuje potędze swojego pióra.

Wzywam na świadków Nieba i Warszawy,

(także szczególne zestawienie!)

Jeżelim piórem sięgał cudzéj sławy,
Lub zębem złości o dom czyj zawadził,
Albo dopełnić zbrodni komu radził.
Kto mi tak podły w życiu krok pokaże,
Niech mię z pamięci i z serca wymaże,
Niech z ksiąg Parnasu wydrze imię moje,
A swoim Feba okryje pokoje (?).
Żem się zasłaniał, Greków idąc torem,
Zaostrém trochę od napaści piórem,
Nie mnie winujcie, lecz wściekłego człeka,
Co kąsa, gryzie i za drzwiami szczeka.
Mych obowiązków (!) prawa dopełniłem,
Gdy z chwałą Muzów (!) tę Hydrę uśpiłem.

W uwadze objaśnia, że to odnosi się do dwóch Satyr, które napisał na tych, co paszkwile piszą.

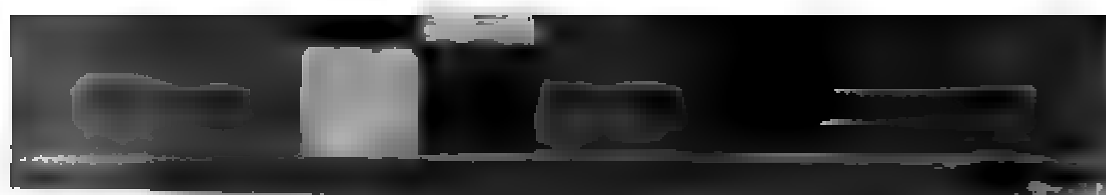
Wiele śmieszności jest w tém stawieniu się na piedestalu i wielki brak rozumu widać w tém zaślepieniu miłości własnéj, które człowiekowi na schyłku życia będącemu nie pozwalało widziéć, ile był wart i co rzeczywiście zrobił na świecie. Śmiesznym jest także Bielawski ze swoją galanteryą dla płci pięknéj, z którą tu co chwila na plac wyjeżdża, zwłaszcza, jeśli weźmiemy na uwagę, że to czyni w wierszach ofiarowanych nowonarodzonemu dziecku, które, gdy do pewnych lat przyjdzie, ma z „tego obrazu życia" czerpać dla siebie naukę i przykład do naśladowania. „To jest pewna (powiada w Notach), żem wszystko (to wszystko, zaprawdę, bardzo jest niewiele) winien Muzom i kochaniu; miłość stworzyła mi drogę do cnót, do nauk i do chwały (!?)," i następnie przytacza ustęp „z mych piosneczek:"

Zapewnieniom Bielawskiego, że był poczciwym
złowiekiem, że się nie spodlił żadnym brzydkim czyn
:yć całkowicie. Doczekał on się spokojnéj i pogodn
ıych już latach, kiedy często innych dręczą troski i d
smacznego snu w łóżku nic nie przerywało." I tego ı
:ować, choć za wielką zasługę poczytywać nie możn
)ią najlepiéj, na oba uszy, którym myśli w głowie ı
ıaklepią się w ciasnym widnokręgu ograniczonego u
ıbkostwie.

Jedném słowem, był-to typ płytkich umysłów
ıieszny dlatego, że nie poznawał swéj nicości i pozc
:go przeciwnicy literaccy nie wyrządzili mu żadnéj
niego cel pośmiewiska. On sam nic lepszego sobie
ł i zdanie ich jaknajzupełniéj potwierdził.

*Kraków, 1883.*

# CZĘŚĆ II.





# WIEK XVIII.

## ELŻBIETA Z KOWALSKICH DRUŻBACKA.

### I.

Kobieta-autorka w dawnéj naszéj literaturze była zjawiskiem tak osobliwém, że do połowy prawie XVIII wieku, oprócz owéj Zofii z Pieskowéj Skały, która, zaprawdę, więcéj jest znana dzisiaj badaczom przeszłości, niż była swoim współczesnym, nie spotykamy się w piśmiennictwie z żadném niewieściém imieniem. Bądźcobądź albowiem, literatura należy do zajęć publicznych, a zajmowanie się nią idzie znowu w parze ze znaczeniem w społeczeństwie nietylko pewnych stanów, ale, jak doświadczenie naucza, i płci nawet. Trudno zatém spodziewać się, ażeby w czasach, gdy: *mulier tacet in ecclesia* było pewnikiem przez wszystkich przyjętym, kobieta podnosiła głos tak donośnie, jak go zapomocą pisma i druku podnieść można.

Niełatwo sobie także wyobrazić, jakąby mogła być rola kobiety w piśmiennictwie tego rodzaju, jak nasze w wieku XVI i XVII, że już do czasów literatury łacińskiéj sięgać nie będziemy—w piśmiennictwie, noszącém na sobie wybitny charakter polityczny. Nawet poezya, zawsze i wszędzie dla natury kobiecéj najprzystępniejsza, nie stanowiła wyjątku od tego ogólnego znamienia literatury i była przedewszystkiém albo echem wojennéj surmy, albo téż satyrą spółczesną. Uczucie indywidualne, takie właśnie, jakie w sercu kobiecém najchętniéj się przechowuje, z rzadkiemi bardzo wyjątkami, nie znajdowało w niéj miejsca; nie była téż i imaginacya najpierwszém jéj źródłem, a poeci nasi, ze szkodą bezwątpienia saméj poezyi, brali częściéj niż od niéj natchnienie od rozumu.

Ale z biegiem czasu, skutkiem poczęści naturalnego rozwoju, a poczęści zagranicznych, z Zachodu dostających się do nas wpływów, zmieniały się stosunki spółczesne, a także i charakter literatury.

Już w połowie XVII wieku widoczny jest przełom w stanowisku kobiet, które wychodzi wtedy poza obręb dawnych patryarchalnych wyobrażeń. Dwie królowe Francuzki, zasiadłe wówczas na tronie prawie bezpośrednio po sobie, w rządach i polityce rzeczypospolitéj dużo bardzo znaczyły i rola ich publiczna stała się ważniejszą nawet od roli owéj królowéj Bony, która w polskim niewieścim świecie wieku XVI

...jąc się nawet niczego, uleg
w sprawach nawet publicznych dawali sobą powod
Później, za czasów saskich, razem z innemi fra
wyobrażeniami, ten wpływ kobiecy, tak przemożny
alu, rozwielmożniał się coraz bardziéj. Chociaż nie w
o przecież na królewskim dworze i w klasie najośw
lającéj, w arystokracyi—galanterya i kult kobiecy k
nadobre. Dość tu będzie zapewne przypomnieć taki
był August II, którego życie prywatne zostawało cią
akiéjś kobiety i który nadto ulubienicom swoim i w
wach pozwalał często odgrywać role niemałego znac
na któréj wówczas emancypowały się kobiety, nie była,
uczytną; mimo to jednak nie można zaprzeczyć faktow
e stopni, po których w hierarchii społecznéj wyżéj si
eli to było źle z ich strony, nie można chwalic także
ę drogę z taką skwapliwością torowali, którzy im ją w
ami i wysypywali kwiatami.

Ale równocześnie to dwuznaczne stanowisko, jaki
wieścia na wielkim świecie XVII i XVIII wieku dobija
także i do starania o większe upięknienie swojego um
o, zaprawdę, wykształcenie gruntowne i naseryo, był
wymagań ówczesnéj mody, zadowalającéj się najpłyt
wnością i pozorem bez wartości; ale było to zawsze coś
niż nic, i jakkolwiekby i ta korzyść problematyczną w
gła, dobrze to przecież było, że obok koronek, parf
przychodziły także dla ówczesnych dam i książki franc
Książki te miały w sobie niemało trucizny, szczególnie
owéj epoce więcéj zapewne niż dzisiaj dawały się łu
wybierając pomiędzy pożytecznem a przyjemnem, ch
więcéj bawiło i więcéj ich słabościom pochlebiało...

wierszowanych historyj ze Starego testamentu i z Żywotów świętych, obok pobożnych lirycznych rozmyślań, pojawiały się także przekształcone do niepoznania tragedye francuzkie i liche, ale z niemałém zamiłowaniem przez dyletantów tłumaczone romanse.

Jakąkolwiekby była wartość tych utworów, o co nam obecnie nie tak bardzo chodzi, to pewna, że one wprowadzały do literatury nowy pierwiastek uczuciowy i indywidualny. Dawniejsza literatura, podobnie jak jéj wzory klasyczne, przeważnie rzymskie, była przedmiotową i człowiekiem zajmowała się więcéj jako obywatelem i członkiem Rzplitéj, niż jako osobną jednostką, posiadającą swoje osobne także moralne prawa, prywatne cnoty i osobiste namiętności. Piśmiennictwo z czasów saskich stanęło już na tym punkcie zwrotnym, gdzie człowiek jako człowiek, jako pewne indywiduum, niezależne od okoliczności politycznych i spółczesnych, w jakich żyje, staje się przedmiotem badania dla myśliciela i przedmiotem natchnienia dla poety. W przeciwstawieniu do politycznéj, możnaby taką literaturę, a zwłaszcza poezyę, nazwać psychiczną.

Piśmiennictwo z czasów nieco późniejszych, z czasów Stanisława Augusta, mimo całéj swéj politycznéj wagi i patryotycznego celu swych dążeń, mając za swój prawdziwy fundament ideę filozoficzną, postępowało daléj w tym samym kierunku po drodze humanitarnéj.

Nie trzeba tego dowodzić i tłumaczyć, wystarczy zapewne powiedziéć, że literatura z takim charakterem daleko prędzéj niż dawniejsza mogła do grona swych przedstawicieli policzyć także kobiety i znaléźć pomiędzy niemi swoich lubowników i pracowników.

Po tym wstępie, którego celem było wyłuszczyć jaknajkrócéj, dlaczego tak późno spotykamy się z pierwszém nazwiskiem kobiecém w naszéj literaturze, przystępujemy do właściwego przedmiotu.

## II.

O życiu Drużbackiéj wiemy bardzo niewiele, i z tych wiadomości, jakie o niéj mamy, bezwątpienia zasługuje na wiarę to jedynie, co powiedzieli ludzie spółcześni: Andrzéj Załuski, Janocki i Krasicki. Późniejsi, a dość liczni jéj biografowie częstokroć pozwalali sobie dopełniać ten niekompletny obraz i dla zaokrąglenia całości, dla nadania swemu opowiadaniu więcéj życia i barwy, usuwali wątpliwości, robiąc je całkiem pewnemi faktami, lub téż dodawali niektóre rzeczy z własnéj fantazyi, rzeczy, które mogą być zresztą bardzo prawdopodobne, lecz nie opierają się na żadnéj podstawie, ani powadze, z przeszłości. Nie wiemy więc z pewnością naprzód o tém, zkąd Drużbacka była rodem. Janocki powiada, że pochodziła z Wielkopolski, a lubo późniejsi pisarze po największéj części poszli za nim, byli i tacy, którzy z Rusi Czerwonéj ród jéj wyprowadzali. Powodem téj niezgodności była zapewne ta okoliczność, że niewiadomą również jest rzeczą, z których Kowalskich nasza autorka pochodziła. Niesiecki wymienia trzy rodziny tego nazwiska: Kowalskich Korabiów, Abdanków i Wieruszów. Gdzieby gnieździli się Abdankowie, o tém zupełnie milczy; o Wieruszach można się z niego dowiedzieć, że stale trzymali się Wielkopolski, podczas gdy jedna

... jéj ... wydał, była już w p(
w jednym z wierszy tam umieszczonych powiada:

„Stan mój wdowi już dawno żałobą przyćmiony,“

w drugim jeszcze wyraźniéj lata swoje wydaje, wspo
młodym wnuku.” Z tego więc można się domyślać, że
końcu XVII wieku, albo téż na samym początku
młodym wieku, jak pisze Załuski, przebywała na d
mirskich Sieniawskiéj, kasztelanowéj krakowskiéj, i,
s ważném, tutaj większą część swoich wierszy napisał
poświadcza kilka jéj wierszy panegirycznych, na cze
ła Sanguszki marsz. w. ks. lit. pisanych, zapewne rezy
vorze tego pana. Wogóle przepędziła ona znaczną c
wielkich dworach, co lubo w końcu jéj się sprzyk
młodszych latach dosyć się musiało podobać, bo niem
wodu do przypuszczenia, żeby do tego była przez o
zyjazne albo ubóstwo zmuszoną. Oprócz dworó
Sanguszków, przebywała także często, według tradycy
ola w Zgodzie senatorskiéj, w Dubiecku u Krasickich,
a przyjaźń ją łączyła. Ignacy Krasicki widywał ją tan
j młodości i wierszy jéj uczył się na pamięć. Potwie
anie ta okoliczność, że późniéj ksiądz biskup war
ierszami pozostałemi po Drużbackiéj w rękopisie niem
ał; miał taki manuskrypt w ręku, może powierzony m
éj znajomości przez samę Drużbacką, poprawiał go i
i w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych,“ mniej w
t po śmierci poetki, wydrukował.

Za mąż wyszła Elżbieta za Kazimierza Drużbac
owych Drużbackich herbu Lew, którzy, jak Niesiecki
na w powiecie sądeckim kwitnęli.“ Późniéj stamtąd d

cka, osierocona już przez śmierć męża, musiała jeszcze na starość i zgon swoich wnucząt opłakiwać. Jedna z jéj wnuczek pozostałych przy życiu, może jedyna, weszła późniéj w związki małżeńskie z Dembińskim i była rodzoną babką po kądzieli naszego znakomitego komedyopisarza Aleksandra Fredry. W Janockim, mianowicie w jego książce: „Polonia literata,“ wydanéj w roku 1750, znajduję wzmiankę o niejakim Michale Drużbackim, autorze rozprawy w języku polskim wydanéj p. t. „Dyalogi przeciwko filozofii Kartezyusza.“ W jakim stosunku byłby ten Drużbacki do naszéj poetki, nie jest mi wiadomo, ponieważ jednak Janocki nazywa go w r. 1750 „młodzieńcem“ i ponieważ widać w nim pewne skłonności literackie, być może, że to był nieznany nam syn Elżbiety, który albo młodo umarł, albo téż, jak jego stryj, Józef, do jezuitów wstąpił. Na ostatnie przypuszczenie naprowadzałaby ta okoliczność, że wymieniona jego rozprawa w drukarni jezuitów we Lwowie (1746 r.) była drukowaną.

Po śmierci męża Drużbacka, jak pisze w roku 1755 Janocki, mieszkała we wsi u siebie i dzieliła swój czas między gospodarstwo a czytanie dobrych książek. Że obok tego nie przestawała pisać i dość często zapewne zaglądać do znanych sobie i przyjaznych dworów pańskich, o tém wiemy z jéj pism i z jéj zeznań własnych. Lata jednak coraz podeszlejsze, wrodzone jéj uczucie religijne, a wreszcie i bolesne ciosy, które raz poraz odbierała, odrywały ją coraz bardziéj od świata, jego zgiełku i próżności. Bo niedosyć na stracie męża i nieletnich wnucząt: przeznaczeniem naszéj poetki było, ażeby wszystkich najbliższych swemu sercu pogrzebała. Jakoż widziała jeszcze i śmierć jedynéj swéj córki Maryanny Wiesiołowskiéj i opłakaniu téj świeżéj straty, podobnie jak niegdyś swoim zmarłym wnuczętom, poświęciła znów czuły, serdeczny wiersz, wydrukowany już po jéj śmierci w r. 1769 przy historyi Eufraty. Osamotniona, zniechęcona do świata i zbolała na duszy, Drużbacka postanowiła resztę swego życia oddać Bogu i w modlitwie szukać dla siebie ulgi i uspokojenia. W klasztorze pp. bernardynek w Tarnowie obrała sobie mieszkanie, bez wykonywania zakonnych ślubów, i tam umarła.

Kiedy? to znowu przez długi czas było wątpliwém i błędnie podawaném; ale dzisiaj podobno to już rzecz wyświecona. Krasicki, jéj blizki znajomy, sam jeden ze spółczesnych podał datę jéj śmierci w „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości,“ pisząc: „umarła w Tarnowie 1752 roku, w wieku podeszłym.“ Data to jednak jaknajfałszywsza i jeśli nie jest błędem drukarskim, dziwić się potrzeba, jak Krasicki mógł się tak pomylić. Bardzo słusznie dlatego poprawił go Bentkowski, powołując się na Janockiego, który w 1755 mówił o niéj, jako o osobie żyjącéj, i w swojéj historyi literatury napisał: „umarła około 1760 r.“

Późniejsi biografowie opuścili potrzebne bardzo określenie Bentkowskiego „około,“ i ztąd znów powstała okrągła, ale również błędna data, powiadająca, że Drużbacka w 1760 r. umarła. Temu twierdzeniu zaprzeczała jaknajoczywiściéj objaśniająca uwaga do wspomnianego wyżéj wiersza na śmierć córki Maryanny, w któréj powiedziano, że został przez Drużbacką napisany „podczas odprawiających się egzekwij

ym zapisku kościelnym podana, zdaje się być tylko
bardzo często się to zdarza, że nawet najbliżsi krewn
nie przypominają sobie w pierwszéj chwili dokładni
zyka, a cóż dopiero ludzie dalsi, jakimi dla Drużb
vscy bernardyni.

Razem z tą wiadomością o dacie śmierci umieszcz
zinnéj r. 1869) przez Siemieńskiego listy Drużback
ych szczegółów do jéj biografii nie przydają. Dowiadu
ko, że w r. 1736 miała „honor służenia" (lubo, jak si
tko) j. o. księżniczce córce Michała Czartoryskiego
az z mężem (od lat 12 przed r. 1737) wieś Cieplice
ego kaszt. krak., miała rozmaite straty gospodarskie i
niéj z powodu sąsiedztwa niejakiego pana Witosław
awie pod protekcyę ks. Michała Czartoryskiego się
ie, ponieważ w ostatnim z tych listów z r. 1740 nic o
na i pisze tylko od siebie w liczbie pojedyńczéj, gdy
. 1737 w liczbie mnogiéj pisała, możnaby się domyś
arł w czasie między temi dwiema datami.

III.

Córka szlacheckiego dworu, a następnie żona szlac
po niezbyt wysokim, urzędem, Drużbacka musiała m
nie, jakie wogóle pobierały szlacheckie panny. Wyk
ynało się i kończyło na nauce czytania i pisania i wys
kobiet owéj epoki. Wielkie damy, do magnackich
zyły się oprócz tego i rozumiały po francuzku; wy
osobem niektóre kobiety w dawniejszych czasach zn
ciński. Drużbacka nie należała do wielkich dam; (o
posiadałá zatém, jak to poświadcza także znający i

mówcach, filozofach i poetach, a wreszcie do nabycia nieodzownych wówczas dla każdego piszącego, a szczególnie dla poetów, wiadomości o klasycznych bożkach i boginiach, o opiekunce mądrości Minerwie, o władzcy na Parnasie Apollinie i o jego wdzięcznym orszaku, z muz i nimf złożonym i t. p. Drużbacka nauczyła się sama tego wszystkiego i nie umiała z pewnością mniéj, z wyjątkiem łaciny, od wielu innych poetów z w. XVII przynajmniéj, bo w XVIII, a zwłaszcza około jego połowy, zaczęto już tych rzeczy pilniéj przestrzegać, tak, iż poeci z czasów Stanisława Augusta byli to ludzie już gruntownie, a przynajmniéj wszechstronnie wykształceni. Czasami jednak spotykają się w jéj pismach ślady tego dorywczego wykształcenia i samouctwa, kiedy naprzykład nasza poetka każe lekarzom króla Dawida czytać Pliniusza, albo téż Nemrodowi wystawienie piramid przypisuje. Chociaż i to powiedzieć należy, że podobne anachronizmy, będące dziś dla nas czémś zadziwiającém, zdarzały się dosyć często nietylko kobiecemu pióru, ale wielu innym pisarzom, zwłaszcza poetom dawniejszym. Nie gorszono się tém bynajmniéj w owe czasy, a podobny *lapsus* pamięci szedł w najgorszym razie na karb licencyi poetycznéj, jeśli w najlepszym nie uszedł uwagi naiwnego czytelnika, wierzącego święcie temu, co było drukowane, albo niedomyślającego się nawet grubéj pomyłki autora. Przytém, jak nie przebaczyć Drużbackiéj tych drobnych grzeszków nauki, gdy zawsze taka skromna, zawsze z taką pokorą przypominająca co chwila swoje nieuctwo i uginająca czoła przed wszystkimi, co się znali na łacińskich i francuzkich książkach i skończyli retorykę i poetykę!

Ta jéj pokora i świadomość o tém, czego jéj brakowało, obok zdolności, która wynagradzała wszystko i obstała za najcięższą uczoność, da się chyba porównać z tą genialną dobrodusznością Reja, który, choć się nie ćwiczył w żadnéj szkole, był przecież mistrzem w swoim rodzaju.

To podobieństwo między pierwszą poetką a pierwszym poetą naszéj literatury (zatrzymujemy bowiem w tym wypadku to tradycyjne tylko nazwanie Reja) rozciągnąć się jeszcze da i do téj okoliczności, że Drużbacka niemałą część swego wykształcenia i zbogacenia umysłu, tak samo jak Rej, zawdzięczała otarciu się o wielki świat po magnackich domach. Niekażdy może z tego osiągnąć korzyści, ale dla umysłów pojętnych, rozumnych, znajomość ludzi często za najlepszą stanie szkołę. Pod wiejską strzechą rodzicielskiego lub mężowskiego domu poetka nasza, lubo mogłaby zapewne czuć się spokojniejszą i szczęśliwszą, nie byłaby jednak doznała ani tylu rozmaitych wrażeń i uczuć, ani nie poczyniła tylu spostrzeżeń, które dla talentu twórczego niezbędnym i drogocennym są kapitałem. W tych pańskich siedzibach panowały wykwintne maniery, dobry smak i polor światowy, a przytém prąd życia płynął tam daleko bystrzéj niż gdzieindziéj. Namiętności i afekty w sferze pomyślności i dostatków prosperują bujnie, jak kwiaty w cieplarniach; intrygi i komeraże gromadzą się tam, gdzie jest nadzieja zysku i korzyści, a interes każe odgrywać ludziom najrozmaitsze, najcharakterystyczniejsze role w komedyi życia, każe im być i Tartufami, i pasożytami, i trefnisiami, którzy za dobry obiad pozwolą się naśmiać dosyta ze swéj osoby. Dla człowieka myślącego, dla pisarza i poety, obfite to żniwo po-

imaginacyę i uczucia delikatne, czułe na każde dotkni
) świata. Musiał to oprócz tego być w niéj przymi
:zy, skoro najpierwszy jéj biograf, Janocki, w liczł
h wiadomości, jakie o niéj podał, nie omieszkał umie
ardzo charakterystycznego, na całą jéj osobistość rzu
że miała usposobienie nadzwyczaj żywe, czyli, jak on
voim Słowniku uczonych Polaków pisze: „sie hat ein
es Naturell."

To właśnie usposobienie żywe, dające możność odczu
vania się przedmiotami, uczyniło z Drużbackiéj poetk
et przy wielu innych zdolnościach, kobieta z niewielk
wykształceniem, dla któréj pióra niewszystkie przedm
kiego, były odpowiednie i przystępne, nie byłaby zaj
tak chlubnego stanowiska, jakie od wieku z górą Druż

W tém to usposobieniu prawdziwie poetyczném szuk
tego „instynktu natury," którym, jak Krasicki powiad
do rymotwórstwa," i za jego jedynie sprawą mogło
la przykład, co może sama przez się moc i dzielność u
Załuski Andrzéj pisze, że większą część swoich wie
iąc na dworze kasztelanowéj Sieniawskiéj. Zdaje się
o to być jeszcze za czasów jéj panieństwa. Ale długo
te nie były drukowane i tylko na piśmie się rozchodz
mi. Opiewając rzeczy święte i pobożne, mówiąc nie
szechnie znanych, a pozwalając się czasem innych, lu
ielką dla nich korzyścią, domyślać, wreszcie opisując
gie i miłe niejednemu i czyniąc aluzye (wyraźniejsze
współczesnych niż dla nas) do wydarzeń, które wć
y po całych powiatach i województwach, wiersze te mo
podobać nawet tym, co w poezyi ani smaku, ani sądu n

dnym, i sam miał nieprzezwyciężoną pasyę do rymów. Gdyby wszystkie swoje pisma wierszowane był wydał, wyniosłyby one zapewne kilka grubych foliałów, nie licząc jego wielkiéj bibliografii polskiéj, którą także—rzecz dla naszego wieku zapewne monstrualna—wierszami napisał.

Nieznane nam są szczegóły, kiedy i w jaki sposób zawiązały się stosunki i znajomość pomiędzy nim a Drużbacką. Może być, że zbliżył ich poraz pierwszy do siebie wiersz, jaki Drużbacka z okazyi założenia biblioteki w Warszawie, która w r. 1745 na użytek publiczny oddaną została, na cześć Załuskiego napisała. Chociażby to było fałszywém przypuszczeniem, mamy wszelkie prawo się domyślać, że znajomość istniała już na parę lat przed wydaniem pieśni Drużbackiéj, bo oprócz wspomnianego wyżéj wiersza, znajdujemy tam i kilka innych, do niego wystosowanych. W jednym z nich powiada nadto Drużbacka, że Załuski „kazał jéj pisać,“ a zatém że pewnie jakaś część wierszy, w r. 1752 wydrukowanych, była już po tém daniu zachęty napisaną, co upływu pewnego czasu domyślać nam się każe. W każdym razie pisma Drużbackiéj musiały już być znane Załuskiemu i być w jego rękach jeszcze przed rokiem 1750, kiedy Janocki, sekretarz i bibliotekarz Załuskiego, w „Polonia literata“ już ją najsławniejszą w Polsce poetką nazywał i jéj poemat: „Opisanie czterech części roku” oceniał „według zdania sędziów w sprawach literatury najpoważniejszych.” Nie ulega wątpliwości, że tym najpoważniejszym dla Janockiego sędzią nie był nikt inny, tylko Załuski.

Zebrawszy pisma Drużbackiéj, i jak się pokazuje z tego, co po jéj śmierci pozostało, wszystkie, jakie do owego czasu z pod jéj pióra wyszły, wydrukował je Załuski w Warszawie r. 1752 w publikacyi, któréj nadał tytuł: „Zebranie rytmów przez wierszopisów żyjących lub naszego wieku zeszłych pisanych.” Wiersze Drużbackiéj zajmują pierwszy tom tego „Zebrania” i mają znów osobny swój tytuł: „Zbiór rytmów duchownych, panegirycznych, moralnych i światowych, w. imci pani Elżbiety z Kowalskich Drużbackiéj, skarbnikowéj żydaczewskiéj.” Dwa następne tomy obejmowały rymy samegoż wydawcy, a dwa ostatnie wreszcie — jego przyjaciela, Epifaniusza Minasowicza.

Zdaje nam się, że to umieszczenie Drużbackiéj w pierwszym tomie było już pewnym rodzajem odznaczenia, a nie zawadzi może dodać i to, że ten tom pierwszy z wierszami Drużbackiéj został tak dobrze przez ówczesnych czytelników przyjęty, że Załuski, we dwa lata późniéj tom trzeci drukując, mógł z niemałą dla siebie pociechą powiedzieć, że z pierwszego „już ledwie gdzie egzemplarza dostanie.”

Od tego jednak czasu tylko raz jeszcze, to jest w r. 1847, Bobrowicz w swojéj Bibliotece kieszonkowéj klasyków polskich przedrukował pisma Drużbackiéj, w innym nieco i podobno w gorszym od pierwszego wydania porządku i bez dopełnienia ich nawet temi rzeczami, które już przed jego wydaniem po różnych czasopismach były drukowane.

## IV.

Na dwa lata przedtém, nim wiersze Drużbackiéj zostały wydrukowane, pomieścił ją już Janocki w poczecie współczesnych pisarzy,

w przytoczoném już powyżéj dziełku p. t. „Polonia literata.“ Nazwana ona jest tutaj jeszcze swojém nazwiskiem z domu, chociaż już dawno była zamężną, a prawdopodobnie i wdową. Sława jéj już wtedy musiała być bardzo ustaloną i szeroką, skoro Janocki nie wahał się utworów jéj wogóle nazwać lepszemi od prac wszystkich poetów współczesnych, a o jéj właśnie wtenczas napisanym poemacie: „Opisanie czterech części roku“ powiedzićć, że „niema nad niego nic ładniéj i poprawniéj w języku polskim napisanego.“ Chwalił ją także już przedtém i książe Ulryk Radziwiłł koniuszy w. ks. lit., biblioman i człowiek [illegible] ensyą do poetycznego wieńca, choc muzy, ledwie gwał[illegible] awały na jego rozkazy.

Nie z pro[illegible] ą Rzemienia—

zaczynał książę koniuszy [illegible] hwalny, igrając ze słowami, według ulubionego zwy[illegible], bardzo miernych wogóle poetów, i robiąc aluzyę do [illegible] poetka mieszkała, a sam ten początek może już dać w[illegible] rtości jego panegiryku.

Ale najszczodrzejs[illegible] oczekała się Drużbacka przy wydaniu swych wierszy. [illegible] Minasowicz umieścił na końcu jéj rytmów dwie stance, [illegible] powatym stylu, to prawda, ale nazwał w nich autorkę i [illegible] i „Minerwą.“ Andrzéj Załuski dał znowu na początek dedykacyę, w któréj „ten zbiór rytmów, od Muzy polskiéj wypracowany“ i „ten skarb Skarbnikowéj“ ofiarowa czterem księżnym z rodu Czartoryskich, polecając zarazem Drużbacką ich znawstwu i względom, jako „Safonę polską,“ jako „Archi-poetryą naszego więku,“ jako „najpierwszą poetryą i rymopiskę, bodaj i z rymopisów żyjących celującą, płci swéj ozdobę, kraju sarmackiemu zaszczyt przynoszącą damę,“ i pewnym będąc, że każda z tych mecenasek „tę drogocenną w koronie naszéj perłę nad erytrejskie perły kosztowniejszą aprobacyą swoją osądzi.“

Tak wysoko ceniona i postawiona przez swoich współczesnych, Drużbacka utrzymała się na swojém stanowisku nawet i w następnéj epoce, która o poezyi miała inne i daleko więcéj wykształcone pojęcie. Mieliśmy sposobność widziéć już, jakie zdanie miał o niéj Krasicki, również i to, jak zajmował się pozostałemi po niéj pismami, które wydając z druku, bezwątpienia za godne uważał, aby wydarte zostały zapomnieniu nawet w tych czasach, gdy byli już tacy poeci, jak Naruszewicz, Zabłocki i sam książę biskup warmiński. Ale nawet jeszcze i późniéj Franciszek Ksawery Dmochowski, w mowie mianéj na pochwałę Krasickiego, uznał jéj zasługi dla swego czasu i zalety poetyczne jéj pióra, powiadając: „Do ożywienia gustu w poezyi niemniéj przyłożyła się i Drużbacka, rzadka naówczas kobieta, i choć materye od niéj traktowane, po większéj części nie są poetyckie, znajdują się przecie w jéj wierszach, stylem gładkim i rymowaniem niepospolitém układanych, wyrazy prawdziwie piękne.“

To ocenienie, wprawdzie chłodniejsze i trzezwiejsze od ogólnikowych i przesadnych panegiryków Załuskiego i jemu podobnych wielbicieli Druzbackiéj, jest niezaprzeczenie najtrafniejszą i najsprawiedliwszą jéj krytyką. W dalszym ciągu naszéj pracy z małemi wyjątkami bę-

dziemy musieli przyznać, że zgadza się ono także z dzisiejszemi pojęciami i z naszém wyobrażeniem o Drużbackiéj.

Tymczasem nie dziwmy się bynajmniéj, że współcześni z takiém uniesieniem naszę poetkę przyjęli i tak wielkiemi ją obsypywali pochwałami. Mieli oni do tego bardzo słuszną racyę. Talent Drużbackiéj był rzeczywiście Feniksem i unikatem w całym zastępie ówczesnych poetów, pomiędzy którymi brakło nietylkó ludzi z natchnieniem, ale nawet takich, którzyby porządnie wiersz napisać umieli. Przesada i nienaturalność do najwyższego stopnia, ckliwe jakieś, a z wielkim jednak mozołem wyszukiwane koncepta, często wreszcie i rażące bezsensa składały się na ówczesną poezyę. Daremniebyś w niéj szukał świeżości myśli, prawdziwego zapału i żywszego uczucia, daremnie choćby najmniejszego znaku, że ten, co pisał te wiersze, myślał także i o czémś innéin, nietylko o tém, jakby złożyć kadencyę i dobrać końcówki do swoich rymów. Jeśli zaś szczęśliwym przypadkiem się zdarzy, że w takim niby poemacie znajdzie się sens zdrowszy, to znów będzie on tak ciężki, tak abstrakcyjny, tak daleki od wszystkiego, co autora dokoła otaczało, że najcierpliwszy nawet czytelnik owych czasów czuł się zapewne zmuszonym złożyć książkę, ażeby się od nudów i daremnéj fatygi uwolnić.

Nic dziwnego zatém, powtarzamy, że kiedy pojawiło się cóś, co przemówiło do uczucia, co było proste, naturalne i prawdziwe, co mówiło o rzeczach swoich i takim językiem, jakim wszyscy śmiertelnicy przemawiali—to takie nadzwyczajne zjawisko musiało się wszystkim spodobać i zostać zaszczytnie wyróżnione z mnóstwa innych poronionych płodów muzy. Dlatego téż jesteśmy o tém mocno przekonani, że nietylko literaci i krytycy (jakimikolwiek oni byli) unosili się wtenczas nad Drużbacką, ale że jéj sława była także powszechnym głosem narodu. Gdyby szlachta i szlachcianki, gdyby wielcy panowie i wielkie damy za czasów Augusta III nie byli tak skrzętnie czytywali jéj wierszy, nie byłyby one tak rozchodziły się w rękopisach, jak o tém poświadczają współcześni, i zapewne Załuski nie byłby w przeciągu dwóch lat rozprzedał całego nakładu pierwszego tomu swojego „Zebrania rytmów."

Chróściński Wojciech Stanisław, jakkolwiek dzisiaj bardzo mało znany, był ostatnim lepszym poetą w czasach saskich, ale należy on jeszcze do początku XVIII wieku. Za czasów Drużbackiéj do rzędu poetów liczyli się: trzej książęta Jabłonowscy, którzy szczególnie pisali historye o świętych; księżna Radziwiłłowa, po któréj pozostały niesmaczne i niedorzeczne komedye; Epifani Minasowicz. który bez cienia talentu napisał mnóstwo wierszy w najrozmaitszym gatunku; hr. Ulryk Radziwiłł, znany nam wielbiciel Drużbackiéj, autor poematu pod śmiesznym tytułem: „Słowo Nic w swojéj przyzwoitości;" nakoniec Andrzéj Załuski, człowiek bardzo światły i uczony, gorący miłośnik ojczystéj literatury, najczcigodniejszy obywatel, ale z tém wszystkiém lichy poeta, u którego poezya była więcéj słabością i dziwactwem, aniżeli powołaniem.

Utwory wymienionych tutaj pisarzy zapisała bibliografia; historya literatury rozważa je jako znamiona czasu, w którym dobry smak upadł, a zdrowa myśl się spaczyła. W dziejach poezyi nie mają oni znaczenia

ch bodaj skromne, znajdzie się przecież jakieś osobn
turze. Miejsce zaś takie wyznacza się zwykle dla ty
sobie cóś, co ich odróżnia od innych, cóś sobie wła
crystycznego, czyli innemi słowy, choć jednę szczy
onego daru, którego natura nigdy dwóm ludziom w
ości nie udziela.

V.

Załuski podzielił w tytule wiersze Drużbackiéj
anegiryczne, moralne i światowe. Podział ten zatrzym
st trafny i treść pism naszéj poetki dobrze charakteryz
Do duchowych poematów należą: Opisanie życia
a króla izraelskiego, Historya św. Maryi Egypcyanki (r
746), wreszcie najkrótszy z nich: „Święta Marya Magd
a stała się ohydą płci białogłowskiéj w grzechach swoi
zdobą w pokucie, stateczną w miłości Jezusa, aż do śmie
Gdzieindziéj już, mówiąc o jednym z poetów XVI
ajznamienitszym, o Wacławie Potockim, mieliśmy spo
ziéć, co myślimy o tego rodzaju utworach, nadzwyczaj
aturze XVII i XVIII wieku. Odtąd nic nie wpłynęło n
ego zdania i powtórzyć tu toż samo musimy, że były to
ody poronione i należące do najsłabszych prac nawet
órzy w innym rodzaju chwalebnie się odznaczyli.
Wszyscy ci poeci nie umieli się brać do rzeczy; tra
o ze stanowiska religijnego i to z tą naiwnością, jaką
ach religii ich wieki, zapominając zupełnie o tém, że ty
ytków poezyi, jakie spoczywają w księgach świętych,
otykać ręka wysokim artyzmem uświęcona. W poezy
, nie wystarcza dobra i ...

co się stało, nie przestawał na stronie zewnętrznéj dziejów, na przedstawianiu ich w świetle polityczném, ale sięgał do głębi duszy tych ludzi, którzy byli sprawcami wypadków, w ich namiętnościach i sumieniu szukał źródła, a zarazem i moralnéj wartości ich czynów. Słowem, biblia traktuje historyę tak, jak ją traktować powinien poeta, to jest przedewszystkiém patrząc na stronę psychiczną. Jest ona téż dlatego bardziéj poematem niżeli historyą.

Ten poemat jednakowoż, daleko więcéj niż każdy inny, można parafrazować i z jego treści brać tematy do nowych poematów; albowiem i to jest charakterem biblii, że kreśli ludzi i wypadki tylko grubemi liniami, dając sposobność tym, co z niéj czerpią natchnienie, cieniowania i rozprowadzania kolorów. Ale te rysy są zawsze wielkie i potężne; niekażdy talent zdoła dojść do ich wysokości i kontury przez nie nakreślone własną twórczością wypełnić. Oto trudność, o którą łamały się najczęściéj usiłowania poetów, biorących przedmioty z biblii. Trzeba znakomitego artyzmu i ogromnéj siły twórczéj, aby nie obniżyć skali pierwowzoru, który jeszcze i tę ma niedogodność, że jest przez wszystkich znany, że każdemu prawie od lat dziecięcych wbił się w pamięć i wyobraźnię zapełnił swemi obrazami, pełnemi prostoty, uroku i wspaniałości. Odstąpienie, choćby nawet dość nieznaczne, od tych pierwotnych linij, obniżenie tonu, który taką powagą i majestatem brzmi z kart Pisma świętego, odejmuje wnet przedmiotowi całą jego wartość, a dzieło sztukmistrza, niedość natchnionego i niepoświęconego na tłumacza wielkich głosów biblii, czyni dla nas niesmaczném, ckliwém, albo poprostu zmienia je w karykaturę.

Na nieszczęście, musimy przyznać, że nasze religijne poemata z XVII i XVIII wieku bardzo często do téj ostatniéj kategoryi zaliczyć się dadzą.

Historya Dawida Drużbackiéj nie jest téż niczém więcéj, tylko prozaiczném opowiadaniem dziejów tego męża, według ksiąg Samuelowych i pierwszéj Królewskiéj. Autorka, podobnie jak inni owocześni poeci, piszący historyczne lub religijne poemata, nie zadaje sobie tego nawet trudu, aby zrobić jakąkolwiek kompozycyę artystyczną. Krok za krokiem, od namaszczenia Dawida przez Samuela począwszy, aż do jego śmierci, postępuje tym porządkiem, jakim biblia wydarzenia opowiada. I gdyby na tém poprzestała, byłoby jeszcze dobrze; ale, zwyczajem również tradycyjnym, przeplata często gęsto opowiadanie lirycznemi ustępami które są albo pobożném westchnieniem jéj duszy, albo rozwlekłemi morałami, albo téż jakiemiś aluzyami do współczesnych społecznych i obyczajowych stosunków, i dlatego najczęściéj ironią i satyryczną żółcią zaprawne. Ile podobne ustępy szkodzą estetycznemu wrażeniu, zrozumie łatwo każdy, kto wie jak trudno pogodzić tragiczność z komizmem. Aby te dwa tak sprzeczne żywioły skojarzyć, potrzeba być nie talentem, ale geniuszem, i tylko takiemu Szekspirowi może się udać postawić błazna obok Lira i nie zrobić z tego dziwactwa lub niedorzeczności.

Aby czytelnikom dać dowód, że w ocenianiu tego, jak i innych w podobnym guście utworów, nie powodujemy się jakiémś uprzedze-

Jakże się tylko Dawid korony dochrapał,
Jak złote berło w rękę zamiast kija złapał,
Jak potraw smacznych i jak mocnych trunków
Tak się na wiele złego przeciw Panu ważył.

Albo znów prorok Natan przychodzi upomnić
popełniony przeciw Uryaszowi. Prologiem do téj d
wy między Dawidem a prorokiem, która się ma o
czasie, kiedy królowi syn się urodził, są takie słowa

Przybył Natan do zamku na walną publi
Obrzezania synaczka, nie na pijatykę;
Nie po to, żeby przyniósł w prezencie szk
Synowi, ale ojcu wytarł kapitułę.

Przy takiém traktowaniu rzeczy, niema co n
poetka zdolną była odtworzyć charaktery, tak silnie
kreślone w biblii. Wychodzą one z pod jéj ręki
sunku, zniżone do poziomu prostackiego ascetyzm
pierwotna wysokość nie mogła być przez autorkę d
ona sobie w sposób bardzo prosty, bo nie zważając z
blii, swoje własne pomysły w miejsce jego wstawia.

Weźmy naprzykład jeden ustęp z końca, gdzi
Dawida i ostatnie jego słowa do Salomona. W bibl
wdziwie Szekspirowska. Dawid upomina syna, ab
zakonie Mojżesza i zachowywał ustawy Pańskie, b
być pewien, że on i jego potomstwo na tronie się ut
kazuje mu w ostatniéj swojéj woli i zemstę nad Joa
gdyż dwóch hetmanów zabił, i przebaczenie dla synó
on sam już dawniéj przebaczył. Są to bezwątpieni
odkrywa się rodzicielska i królewska dusza Dawid

słowy na ustach, tak, jak umiera w biblii? Dopóki Dawid żył i miał czas do poprawy, można było jego grzeszków nie obwijać w bawełnę, ale gdy mu już brakowało czasu do pokuty, wystawiać go jako zatwardziałego grzesznika, znaczyłoby to jedynie siać zgorszenie między wiernymi. Dlatego téż autorka cały ten polityczny i pod względem psychicznym bardzo głęboki ustęp opuściła, a na jego miejsce włożyła w usta Dawida długą perorę, w któréj Salomonowi prawi zwietrzałe morały, aby był ojcem sierotom i wdowom, poddanym krzywdy nie czynił, służącym płacił rzetelnie, nie słuchał „plotek płonnych," kochał matkę i żonę i t. p.

Dla celów praktycznych moralności autorka z całą bezwątpienia świadomością i z umysłu usunęła to, co jéj zawadzało, a podobne operacye literackie możnaby wykazać nietylko na wielu miejscach jéj utworu, ale i we wszystkich innych pseudopoematach tego rodzaju. Nie przeczymy, że to zmyślone kazanie Dawida może być więcéj budującém od jego autentycznych słów w biblii, ale z tém wszystkiém w poezyi jest ono tylko mizernym płodem wyobraźni, nieumiejącéj ocenić wielkości rzeczywistéj prawdy i poetycznéj wzniosłości.

O dwóch innych duchownych poematach Drużbackiéj, o Maryi Egypcyance i Maryi Magdalenie, możemy nieco pobłażliwiéj się wyrazić. W każdym razie przedmiot tu był łatwiejszy i wymagania mniejsze. Obie te pokutujące grzesznice mogły być prędzéj przez autorkę zrozumiane, niż osobistość Dawida, w któréj łączyły się ze sobą i królewskość, i człowieczeństwo, i poetyczna natura. Dzieje Egypcyanki i Magdaleny są téż tylko historyami prywatnemi, podczas gdy życie Dawida do historyi całego narodu należy i co chwila w wielkie, polityczne sprawy wkracza. Na pochwałę Drużbackiéj powiedziéć należy i to, że w tych dwóch historyach opowiadanie utrzymane jest w stylu nieco szlachetniejszym, do czego przyczyniła się zapewne niemało ta okoliczność, że wogóle niema w nich tych dygresyj, w których autorka nasza zwyczajem wieku nadużywała poetyckiéj swobody i nazbyt mieszała *sacra profanis*.

Bohaterowie tych wszystkich trzech historyj są to ludzie, którzy byli grzesznikami, a późniéj przez pokutę dobijali się świętości. Ten wybór przedmiotu nie jest dziełem przypadku, ale przyczynę swoję ma w charakterze autorki. Nie kierowały téż nią w tym razie jakieś względy artystyczne, ale usposobienie i potrzeby serca. Jak wszystkie natury poetyczne, i ona była także skłonną do szukania ostateczności. Dusze tego rodzaju, a wiemy, że dusza Drużbackiéj była wrażliwa i pełna życia, bo nas o tém i ona sama w swoich poetycznych spowiedziach nieraz przekonywa, szał i przyjemności życia często ją za sobą porywały i, kto wie, może więcéj, niż się domyślamy, tlało na jéj dnie namiętnego ognia. Ale takie dusze mają także w sobie dziwną drażliwość na najcichsze nawet szepty sumienia; po chwilach zapomnienia budzi się w nich nagle refleksya i ścisły, surowy rachunek z samym sobą się zaczyna. Wtenczas małe zboczenia, które dla innych są chlebem powszednim, urastają do miary grzechów i przestępstw, a cóż dopiero mówić, jeżeli, jak zwykle w ułomném ludzkiém sercu, znajdą się i rzeczy-

wiste grzechy i winy? W ten sposób w czułém takiém sercu, przy żywéj do tego imaginacyi, rodzi się smutne przekonanie, że się jest wielkim grzesznikiem, że swoje błędy pokutą potrzeba okupić.

W pododném usposobieniu Drużbacka często musiała się znajdować. Dodajmy do tego, że z natury była skromną i pokorną, do skruchy zatém skłonną, że była głęboko religijną i żyła w wieku, w którym ludzie tak łatwo jak dzisiaj swoich słabości sobie nie przebaczali. W ten sposób dopiero będziemy mogli zrozumieć te częste jéj utyskiwania nad sobą, że jest „największ[illegible] ż[illegible] „się poczuwa do wielkich zbrodni" i t. p., o czém, zn[illegible] e, bogobojne i cnotliwe, anibyśmy nie pomyśleli i cze[illegible] ém wyraźném jéj zapewnieniu wierzyć nam się jeszcze [illegible]

Dla ulżenia więc [illegible] u sercu pisała autorka te wiersze, utożsamiając się w[illegible] okutującymi grzesznikami. Nie natchnienie poetyczne i [illegible] ć przedmiotu podawały jéj pióro do ręki, ale religijna [illegible] pobożna.

> Nie z ci[illegible] ch szpieguję...
> Lecz sz[illegible] rzedtém grzeszyli...
> Pragnę, [illegible] uaczyli,
> Sposobu [illegible] ę dostali—

pisze we wstępie do Maryi Egypcyanki, a liryczne wynurzenia w tym sensie znaléźć można zawsze na początku i na końcu każdéj z tych trzech historyj. Niektóre z nich należą niezaprzeczenie do najudatniejszych jéj wierszy, bo znać w nich prawdę i głębokie uczucie, które przy tworzeniu poetkę do samego wnętrza wstrząsało. Nikt zapewne nie zechce odmówić tych przymiotów, a oprócz tego i niemałéj siły, przytoczonemu poniżéj ustępowi. Bardzo dokładnie wyjaśnia on nam także podmiotowy stosunek poetki do tych jéj poematów, które, jakkolwiek niezupełnie temu pojęciu odpowiadają, do epicznéj poezyi policzyć należy.

> Ja, że do większych (niż Egypcyanka) poczuwam się zbrodni,
> Bo życie moje samym było grzechem
> Gniew z zemstą palą mocniéj od pochodni, —
> Natchnienia Boskie pozbywałam śmiechem,
> Nie znam co cnota dobrego uczynku,
> Przez co w sumieniu nie mam odpoczynku.
> Zaczem gdy mię wiek coraz cięższéj gnębi,

(przypominamy, że Marya Egypcyanka pisana w r. 1746)

> Rozum strofuje, czas umierać każe,
> Wieczność niemylną uważam coraz głębiéj,
> Z czém się przed Sędzią surowym pokażę,
>     Który gdy rzecze: idź w bezdenne huty!
>     Znasz śmierć, sąd, piekło, a nie znasz pokuty?
> Ach! straszne słowa, niechżé was nie słyszę!
> Niech mię przywalą góry i pagórki!
> Niech mną jak suchą trzciną wiatr kołysze!
> Niech mię roztoczą [illegible]
>     Niech mię Bóg zrówna z [illegible]
>     Wszak mię nie z skały, ale stworzył z gliny

## VI.

To, co Załuski moralnemi rytmami Drużbackiéj nazywa, są to powieści i alegorye.

Powieść była już wtedy od wieku rodzajem poezyi, prawie przez wszystkich znaczniejszych poetów naszych uprawianym, mianowicie od tego czasu, kiedy nowożytne literatury, naczelne zajmujące w owéj epoce stanowisko, jak włoska i francuzka, zaczęły wywierać wpływ także i na nasze piśmiennictwo, dotąd wyłącznie wzorów klasycznych się trzymające. Dawniejsze z tych powieści były głównie obliczone na obudzenie ciekawości w czytelniku, nadzwyczajne i nadnaturalne przygody rozmaitych bohaterów były zwykle ich treścią, a stare średniowieczne romanse rycerskie bezwątpienia pierwszym wzorem i źródłem. Późniéj, zwłaszcza od końca XVII wieku, zaczęły przybierać więcéj charakter nauczającéj alegoryi, a wkrótce potém, mniéj więcéj w czasach Drużbackiéj, przeobrażały się w powieści sentymentalne, mające na celu obudzenie tkliwych uczuć i litości dla bohaterów, którzy niewinnie, częstokroć będąc wzorem cnoty i doskonałości, wystawiani byli mimo to na ciężkie przeciwności i nieszczęścia, dopóki Bóg się nad nimi nie zlitował i wkońcu należytéj nagrody im nie oddał.

Przeglądając utwory Drużbackiéj, będziemy mieli zresztą więcéj sposobności z charakterem téj przeszłowiecznéj beletrystyki się zapoznać.

„Fabuła o książęciu Adolfie, dziedzicu Roksolanii”—taki ma tytuł pierwsza z tych powieści. Jéj bohater jest mądrym i szlachetnym władzcą jakiegoś dzikiego kraju, nazwanego przez autorkę Roksolanią, ale niemającego żadnéj wspólności z ziemią przez Klonowicza opiewaną. Pewnego razu na polowaniu burza zapędza Adolfa do jaskini, w któréj spotyka jakąś starą kobietę. Od niéj dowiaduje się, że ta lodowa jaskinia jest mieszkaniem Eola i wiatrów. Jakoż wkrótce Adolf przekonywa się o prawdziwości jéj słów, na noc bowiem schodzą się wiatry do jaskini na spoczynek. Brakuje tylko jeszcze Zefira, ulubieńca matki, owéj staréj kobiety, co naturalnie obawę o los tego pieszczoszka w jéj sercu wznieca. Ale nareszcie i Zefir przychodzi i opowiada, że bawił tak długo na wyspie szczęśliwości, u bogini Fortuny. Opowiadanie jego o cudach owéj wyspy i wdziękach jéj pani roznieca w Adolfie miłość do bogini i chęć osobistego jéj poznania. Nakłoniony jego prośbami, Zefir podejmuje się zanieść go na wyspę, przyodzianego w zielony płaszcz, który Adolfa niewidzialnym ma uczynić. Trzymając go więc pod pachą (bo wytłumaczył sobie, że na barkach byłoby mu zaciężko) unosi go przez powietrze, przyczém Adolfowi przychodzą nieraz skrupuły do głowy, że się zbyt nierozważnie na podobną podróż ryzykował. Przybywszy na wyspę, Zefir zostawia Adolfa samego. Nasz bohater znajduje tam stoły wspaniale zastawione i z ochotą się posila, bo przez całą podróż tylko powietrze łykał. Martwi go jednak to, że nigdzie nie widzi żadnéj żyjącéj istoty. Nareszcie zjawia się paw' (symbol pychy i nadętości, nieodzowny na dworze Fortuny) i prowadzi Adolfa przed pałac bogini. Pyszny to pałac: z dyamentów, rubinów i szmaragdów, osadzony na szczerém złocie! Wielkie tylko dla Adolfa strapie-

I Adolf razem z niemi; lecz kiedy stanął oko w ok
jéj tak go olśniła, że zapomniał o bożym świecie
płaszczu. Płaszcz spada mu z ramion, i bogini sp
truz dostał się do jéj pałacu. Ale gniewy natural
Adolf pozyskał jéj miłość. Odtąd żył szczęśliwy,
ko, czego dusza zapragnie. Pewnego razu jednak,
snych, bogini pyta go z uśmiechem: „Powiedz n
długo, myślisz, że jesteś tu ze mną?"—„Trzy ty
Adolf.—„Grubo się mylisz—woła bogini plaszcząc
trzysta lat już żyjemy ze sobą."— „Trzysta lat!"—
myśla się. Napastują go skrupuły sumienia:

Trzysta lat, rzecze książę zadumiały,
Jako w szczególnéj żyję tu rozkoszy?
Żadnéj u świata przez to nie mam chwały,
Młodość dni moich nikczemność rozproszy,
Nie wiedząc w jakiéj mam ojczyznę por
Podłość sam w swoim poznaję humorze.
Książę bez księztwa, pan pustego państwa,
Nikt mnie nie pozna, owszem, za chimerę
Każdy poczyta, bez sług, bez poddaństwa,
Inszą w mym kraju zastanę manierę
Krewnych nie znajdę, tylko historyje
Zastanę, kto z nich umarł, a kto żyje.
O sobie samym będę czytał księgi,
Żem zginął w puszczy, żem się gdzieś zapodzia
Choćbym tysiączne wypełniał przysięgi,
Już mi nie wrócą to, co poszło w podział;
Sławym po sobie żadnéj nie zostawił,
Tę tylko, żem się polowaniem bawił...

Jak Odysseus za dymem rodzinnéj Itaki tę

długo musiał czekać, ażeby dostać go w swe ręce. Nie jest to bowiem nikt inny, tylko Czas, w którego morderczych uściskach Adolf umiera. Epilog łatwy już do odgadnienia. Zefir donosi bogini o śmierci kochanka, a ona, naturalnie, wylewa nad jego losem łzy bolesne.

Nietrudno także domyślić się morału téj alegorycznéj powieści, fantastycznemi wymysłami ozdobionéj, że szczęście ludzkie nie jest wieczne, że choćby nawet kto, jak ów książę Roksolanii, mógł przez lat trzysta go używać, przyjdzie nareszcie czas, który temu wszystkiemu koniec położy. Czyli, mówiąc słowami autorki, zamykającemi ten poemat:

> Adolf zwierciadłem, co po świecie krążył,
> Miał piękną żonę, w dostatku po uszy
> Brodził, przecie on do terminu dążył.
> Sam czasu szukał, który go w punkt skruszy.
> I nam toż będzie, co dowodnie wiémy,
> Że się dla Czasu na ten świat rodzimy.

Odkładając to, cobyśmy o „Fabule o księciu Adolfie" powiedzieć mogli, na późniéj, przystępujemy do drugiéj powieści: „Historya chrześcijańska księżny Elefantyny Eufraty." Powieść ta nie należy do zbioru przez Załuskiego wydanego; wyszła ona osobno, jako bezwątpienia już późniéj napisana, i to po śmierci autorki, r. 1769 w Poznaniu.

Rzecz téj „historyi" dzieje się w Afryce. Księżna Eufrata, z królów Wielkiéj Tunety pochodząca, wyszła za mąż za Tarkwiniusza, króla wyspy Elefantyny, leżącéj, jak geografia powiada, na granicy Egiptu i Etyopii i znanéj dzisiaj pod nazwą *l'ile fleurie*. Eufrata była chrześcijanką, mąż zaś jéj, mimo swego rzymskiego nazwiska, poganinem, jak go nazywa Drużbacka, a dokładniéj i naszym wyrażając się językiem—muzulmaninem; księżnie zatém tylko w tajemnicy wolno było swoję religię wyznawać. Opowiadanie rozpoczyna się od zwięzłego zawiadomienia czytelnika, że król Tarkwiniusz został zamordowany, i to zapewne niedługo po pobraniu się z Eufratą. Eufrata, podówczas właśnie ciężarna, szczęśliwie uszła śmierci, ukrywszy się gdzieś w gęstwinie za ogrodem, a gdy po ustąpieniu rozbójników do pałacu powróciła, powiła córkę, ochrzciła ją potajemnie i dała jéj imię Astella. Dla pozoru zaś i dla bezpieczeństwa dziecka pozwoliła następnie na to, że Astellę zaniesiono do meczetu i tam znów nad nią nowe, pogańskie ceremonie odprawiono. Ale do czasu tylko utrzymała się tajemnica, że Eufrata i jéj córka są chrześcijankami, a gdy ją odkryto, nowy król, imieniem Kornut, rozkazał zabrać Astellę matce i wraz z mamką umieścić w pałacu, pod strażą pewnéj Murzynki, Eufracie zaś dał do wyboru albo publicznie „oddać ofiary Amonowi, afrykańskiemu bożyszczowi," albo przygotować się na długie więzienie.

W tém smutném położeniu znalazł się niespodziewany wybawca, w osobie niejakiego Moroksyta, jednego z niewolników króla Kornuta, wistocie zaś będącego, jak późniéj zobaczymy, daleko ważniejszą figurą. Moroksyt, który pracował w ogrodzie, słyszał często przez zakratowane okno płacz dzieciny, lamenty mamki i Murzynki, ulitował się nad niemi i, dowiedziawszy się całéj historyi, postanowił je wyba-

wić. Porozumiawszy się więc tajemnie z Eufratą, wyprowadził wszystkie na przygotowany bat i kanałem prowadzącym do morza uciekł szczęśliwie, wraz z książęcą rodziną, na małą, zapomnianą od ludzi wysepkę Trystynę. Nie była ona jednak tak pustą, jak się zdawało; od dawnego czasu, chroniąc się przed okrucieństwem Kornuta, mieszkali na niéj pustelnicy, wyznawcy wiary Chrystusa. Pomiędzy nimi więc przez trzy lata przebywała księżna Eufrata z córką. Po upływie tego czasu, Kornut okrutny umarł nagłą śmiercią, a syn jego Roksol, wstąpiwszy na tron, obwołać kazał po całém królestwie, że Eufrata może bezpiecznie powracać [illegible] brać swoje prawe dziedzictwo, Elefantynę. Eufrata [illegible] ak dowierzała nowemu królowi i dopiero po zapewnien[illegible] óry w tym celu cichaczem udał się do stolicy i usposo[illegible] ie tam wybadał, opuściła swe schronienie na wyspie i [illegible] słanym po nią przez Roksola z wielką okazałością p[illegible] éj dawnéj stolicy Tessy. Król Roksol przyjął ją jakn[illegible] przyjaciełsku i z wielkiém uszanowaniem, i na pokoja[illegible] swoje przyrzeczenie zwrócenia jéj Elefantyny powtór[illegible] rzyjęciu odegrała się także inna, dla wszystkich, nie w[illegible], ciekawa scena. Król Roksol poznał w Moroksycie s[illegible] go przyjaciela, który dla niego wiele cierpiéć się nie wahał. O tem wszystkiém dowiedziano się teraz z ust wdzięcznego i rozczulonego Roksola; zdziwienie było powszechne, tak, że, jak się Drużbacka wyraża:

> Eufrata rozumie, że jest na operze
> Nowoskomponowanéj. .

Aby nagrodzić przyjaciela, Roksol przyrzeka Moroksytowi rękę swojéj krewnéj Tespiny, księżniczki Korsary, która też na wezwanie swego kuzyna przybywszy, z chęcią na ten wniosek się zgodziła. Wspaniałe gody odbyły się w królewskim zamku. Po skończeniu uroczystości, Eufrata miała wyjechać do swéj Elefantyny, nim to jednak nastąpiło, Roksol, który od pierwszego zobaczenia poczuł miłość ku Astelli (nic w tém niema nadzwyczajnego, jak na tamtoczesny romans, że ta Astella była zaledwie kilkoletniém dzieckiem), prosi matki o jéj rękę w przyszłości, przyrzekając czekać, aż młodziutka księżniczka dorośnie. Eufrata, naturalnie, zgadza się na to i odjeżdża do swego państwa.

Tutaj następuje przerwa długich lat kilkunastu i właściwie kończy się historya Eufraty. To, co daléj następuje, są to już dzieje drugiego pokolenia.

Astella rośnie, dojrzewając dla Roksola, który tymczasem mądrze i łaskawie rządzi swem królestwem, a Eufrata wiernie go naśladuje w swojém. Ale dorastająca Astella ściąga na siebie swojemi wdziękami oczy rozmaitych książąt nubijskich; słyszy o tém Roksol i trwożyć się zaczyna. Niespodziewany, bez poprzedniego zapowiedzenia, zjawia się pewnego razu w stolicy Eufraty i, nie mogąc jeszcze Astelli zaślubić, prosi, aby mu dla pewności została zaręczoną.

Gdy się stało, po co przyjechał, wraca do domu i, aby czas, który mu pozostaje do poślubienia Astelli, na czémś pożyteczném przepędzić, postanawia prowadzić wojnę z królem Numidów, który jeszcze za życia jego ojca dwie prowincye od jego państwa odebrał. Gotuje się do téj wojny; obywatele chętnie na nią składają olbrzymie sumy, „młodzi książęta i hrabiowie“ afrykańscy śpieszą mu zewsząd na pomoc, płynąc „morzem Kaspijskiém,“ gdzie „Scylle na nich warczą.” (Już-to z historyą i geografią Drużbacka w częstéj bywała niezgodzie). W rok niespełna Roksol pokonywa Numidę i odebrawszy co swoje, wraca w tryumfie do Tessy. Właśnie gdy wjeżdżał w zamkową bramę, spotyka posłańca od Eufraty, młodego „hrabiego” Ryksydora (także jeden z owych „afrykańskich hrabiów”) z listem, w którym mu przyszła jego teściowa donosi, że Moroksyt z żoną swą Tespiną i małą córką Meropą, płynąc do niéj w odwiedziny morzem, gdzieś zginęli bez śladu. Król, rozżalony tą wiadomością, wysyła bezzwłocznie kilka statków i wielu „kawalerów” ofiarujących swe usługi, w celu odszukania przyjaciela i jego rodziny. Po niejakim czasie przychodzi nowa wiadomość (może trochę zawcześnie) od Eufraty, że Moroksyt z Tespiną już się znaleźli. Niezadługo przyjeżdżają i oni sami na dwór królewski i opowiadają swoje przypadki, jako od Karyna herszta rozbójników morskich pojmani byli i uszli śmierci tylko dzięki wstawieniu się i błaganiom jego żony, a wreszcie, że wyswobodzenie swoje z niewoli winni staraniom Roksola. W tym wypadku jedno ich tylko spotkało nieszczęście: w czasie zamieszania przy napadzie, córka ich Merope nie wiadomo gdzie się podziała i dotąd odszukać jéj nie zdołali. Wkońcu, przybywając właśnie z domu Eufraty, pod świeżém wrażeniem tego co tam widzieli, wynoszą pod niebo księżnę i piękność, cnoty i rozum Astelli, jaknajusilniéj doradzając Roksolowi, aby, chociaż jeszcze czas wyznaczony nie upłynął, zamiast w niepokoju i tęsknocie pędzić życie, coprędzéj wziął ślub z Astellą. Roksol przyjmuje tę radę, wysyła Ryksydora do Eufraty, a ten i matkę i córkę do stolicy króla sprowadza. Roksol bierze ślub „prywatny” z Astellą, poczém jeszcze na lat dwa matce pod opiekę ją oddaje. Ale teraz jest już spokojny i pewniejszy przyszłości. Po weselu wszyscy znów się rozjeżdżają: Eufrata z córką do Elefantyny, Moroksyt z żoną do Korsary, a Ryksydor wreszcie do swojéj ojczyzny Salanty. Tego ostatniego w drodze spotyka wypadek: Statek, na którym płynął, uniesiony burzą, rozbija się o jakąś kępę, i Ryksydor byłby utonął, gdyby szczęśliwém zdarzeniem rybak, łowiący niedaleko ryby, nie był go wraz z jego służącym wyratował. W chacie rybaka szuka biedny rozbitek schronienia i posiłku, a gdy tam przypadek swój rybakowi i jego żonie opowiada, wchodzi niespodzianie do izby młoda dziewczyna w prostém ubraniu, ale cudnéj piękności:

Kończy słowa Ryksydor, pannę widzi młodą
Wchodzącą: twarz bogini, ale podłą modą
Suknia na niéj jakby upleciona z pręcia,
Bez formy, bez żadnego w stanie jéj zacięcia;
Nogi bose, a głowa kwiatkami upstrzona,
Jak alabastr tak białe jéj widać ramiona;

Oczów bystrość sokoła, włosów czarność kruka
Przeraża hrabię..

Więc zdziwiony, pyta rybacką parę, czy to ich córka, czy wnu-czka? Ani jedno, ani drugie; jest-to dziecko, uniesione niegdyś prze rybaka, gdy rozbójnik Karyn na jakiś okręt napadł, czyli, jak Ryksydor z téj opowieści wyraźnie widzi, owa zagubiona córka Moroksyta i Tespiny, Merope. Na drugi dzień za hojną zapłatę rybak oddaje dziewicę Ryksydorowi i o [illegible] anty, gdzie matka już jego śmierć opłakała. Radość wię [illegible] Ryksydor opowiada swoje przygody, kto jest ta dzie [illegible] matki zawitał, i jakim sposobem z nim razem tu się do [illegible] wozi Meropę do rodziców i w nagrodę za to jéj rękę, k [illegible] éj chwili gorąco pragnął, otrzymuje. O tém szczęśli [illegible] w téj chwili zanosi kuryer wiadomość do Tessy, aby [illegible] go się weselono.

Sensem moralny [illegible] tarzającym się w podobnych historyach, kończy się i [illegible] fracie:

Otóż ta [illegible] pliwości cnoty:
Z wolą [illegible] a przykre obroty
Płaci szczęściem doczesnem, laurem wieńczy skronie,
Po długiém życiu w wiecznéj osadzi koronie.

Jest jeszcze i trzeci romans Drużbackiéj, w rodzaju takim samym jak Eufrata, niewydany nigdy w druku, który w manuskrypcie p. Wł. Chomętowski miał pod ręką i obszerną treść jego w „Kronice rodzinnéj" z r. 1869, w rozprawie o dawném romansopisarstwie polskiém podał. Tytuł téj powieści opiewa: „Ortoban, książę i wódz najwyższy wojska monarchii północnéj, córka jego imieniem Teolida, przyjaciółka jéj Akwilla. Awantur téj księżniczki opisanie."

Powołując się na to, co p. Chomętowski napisał, moglibyśmy nie powtarzać tutaj za nim treści Ortobana; jednakowoż, aby czytelnik znalazł bez szukania gdzieindziéj na jedném miejscu to, co do całości obrazu należy, chociaż krótkiemi słowy damy mu wyobrażenie o tém, co ta powieść w sobie zawiera. Ortoban, ów, jak go autorka zowie, „książę północnéj krainy," po stracie żony poślubia młodą osobę, a córkę swą z pierwszego małżeństwa, Teolidę, oddaje do klasztoru. Teolida poznaje tam hrabiego Aurelego, który dla odwiedzenia swéj krewnéj często do furty klasztornéj przychodził. Poczuwszy skłonność do urodnego młodzieńca, Teolida błaga ojca gorąco, aby ją wziął na świat z klasztoru. Ortoban nie śmie tego uczynić bez zezwolenia macochy. Wtedy Aureli gwałtem pragnie uprowadzić Teolidę z klasztoru, lecz zamiar jego zawczasu zostaje odkryty i uniemożebniony. Ortoban wkrótce potém umiera. Macocha bierze Teolidę do domu i baczną nad nią rozciąga opiekę; Teolidzie nic wolno krokiem za próg stąpić, a jedyną jéj towarzyszką jest dodana za dozorczynię Akwilla, która, szczęściem, po niejakim czasie prawdziwą przyjaciółką dla niéj się staje. Macocha nienapróżno to wszystko czyniła, bo niezadługo, według ułożonego po swéj chęci planu, wydaje Teolidę za Alcydona, syna księcia Litawera.

Aureli, dowiedziawszy się o tém, zrozpaczony, wybiera się w podróż na Wschód i tam wkrótce do niewoli perskiéj się dostaje.

Teolida tymczasem smutne życie pędzi w małżeństwie, zaniedbywana od męża, który dla niéj prędko zobojętniał, w samotności i tęsknicy trawi godziny. Chodząc pewnego razu po ogrodzie, dla rozrywki wsiada do łodzi na brzegu stojącéj i płynie wzdłuż rzeki. Wtém zrywa się gwałtowna burza, łódź się przewraca i ona, wraz z towarzyszką swą i sternikiem, wpada do wody. Co się daléj z nią stało o tém nie wiedziała, ale kiedy znów otwarła oczy, przyszedłszy do przytomności, dowiedziała się, że się znajduje w chacie rybaków perskich, którzy ją uratowali. (Jak widać, strasznie blizko musiało być od kraju Teolidy do Persyi!). Król perski, usłyszawszy o zjawieniu się na jego ziemi jakiéjś obcéj a znakomitéj i pięknéj damy, sprowadził ją na dwór i, jak się łatwo domyśléć, gorącym afektem ku niéj zapłonął. Teolida, aby ujść jego oświadczyn, udaje, że nie rozumie po persku i odpowiada mu zawsze po polsku. Pewnego razu, przechadzając się po ogrodzie, spostrzega z wielkiém zadziwieniem między więźniami swego kochanka Aurelego. Uzyskawszy od dozorcy pozwolenie rozmówienia się z nim, układa plan wspólnéj ucieczki. Ale tym sposobem dowiedział się także król perski, że Teolida mówi jego językiem; występuje więc ze stanowczém żądaniem, że chce się z nią żenić, a wkrótce zaczyna i grozić. Wtedy Teolida zdobywa się na czyn niebezpieczny, uwalnia z więzów Aurelego i razem z nim ucieka. W podróży długiéj i utrudzającéj (dlaczegóż nieszczęśliwa nie wracała tą samą rzeką, która ją tak prędko z ojczyzny do Persyi zaniosła?) spotykają w przecudnéj okolicy, podobnéj do ziemskiego raju, w prześlicznym domku, ustrojonym kwiatami, dawną powiernicę Teolidy, Akwillę. I ona doznała różnych przygód, od czasu rozłączenia się z księżną. Umarł jéj mąż i straciła syna. Duch zmarłego męża kazał jéj się udać w podróż, przyrzekając, że znajdzie syna i przyjaciółkę. W czasie podróży zjawił jéj się znów święty Ksawery i sygnetem swoim wycisnął dla niéj na karcie pieczęć, która jak magnes miała jéj służyć za przewodnika. Skoro za przewodnictwem téj karty przybyła do domku, który obecnie zamieszkuje, ukazał jéj się ten sam święty powtórnie i powiedział: „Nie szukaj syna, bo on między błogosławionymi w niebie.” Teolida, wysłuchawszy opowieści przyjaciółki, postanawia pozostać z nią w tym pustelniczym domku i żegna się z hrabią Aurelim, który z niechęcią i stroskany z nią się rozstaje, poprzysięgając sobie wieczną dla niéj wierność:

Na stoliku kamiennym, gdzie stał, wyrytował
Dwa wiersze, jak rozstania z miłością żałował:
Bądź świadkiem, ty kamieniu, w twardości probierny,
Że byłem, jestem, będę Teolidzie wierny.

Księżna Teolida poświęciła się odtąd wyłącznie modlitwie i Bogu.

Tak więc w téj historyi, nie tak jak zwykle we wszystkich podobnych, cierpienia i stałość kochanków zostały wynagrodzone szczęśliwém połączeniem.

A teraz kilka słów sądu naszego o tych świeckich powieściach Drużbackiéj.

Wogóle są one lepsze i jako utwory poetyczne stoją wyżéj od jéj biblijnych historyj. Wymagania były téż tutaj daleko mniejsze. Niema żadnego oryginału, z którym porównaćby je można; nie trzeba także było wiele podnioślejszego uczucia i głębszéj myśli w kreśleniu scen i charakterów; nie było wreszcie tego pięknego, a wszystkim znajomego materyału, Biblii, który można albo godnie zużytkować, albo téż przez nieumiejętność p[illegible] [illegible]stko, co się dzieje w Fabule
o księciu Adolfie, albo [illegible] ociaż jak w pierwszéj w sfery
fantastyczne przechodz[illegible] zwyczajnego poziomu uczucia
i, wyjąwszy znów niek[illegible] ne wydarzenia, zwykłych sto-
sunków ludzkich. An[illegible] ającemi dziejowe znaczenie, ani
z wielkiemi, prawdziwi[illegible] osobistościami, jak naprzykład
król Dawid, nic tutaj p[illegible] lo czynienia. Jéj zadanie pole-
gało jedynie na tém, ab[illegible] mniej więcéj zaokrągloną i opo-
wiedzieć rzecz zajmują[illegible] Taki rodzaj był bezwątpienia
odpowiedniejszy dla ta[illegible] ej, dla jéj poetycznego natchnie-
nia, niewzbijającego się [illegible] o, ani niesięgającego zbyt głę-
boko.

Najlepszą z tych powieści jest niezaprzeczenie Fabuła o księciu Adolfie. Alegorya w niéj zawarta i jéj treść najważniejszą stanowiąca jest dobrze pomyslana i zręcznie a jasno przeprowadzona, opowiadanie zas, zmysłową szatą téj alegoryi będące, tworzy kompozycyę nader udatną i szczęśliwą. Jak na rzecz fantastyczną, może trochę zamało w niéj fantazyi i zaciekawiających komplikacyj; ale mimo téj prostoty, powieść nie wlecze się ciężko i oschle, a to głównie dzięki lekkiemu, z wielką swobodą, a tu i owdzie z wdziękiem płynącemu wierszowi. Tych konceptów przesadnych, tych igraszek fałszywego dowcipu i niesmacznych, nierozsądnych porównań, jakiemi tak często owczesna poezya, w braku prawdziwéj poetycznéj imaginacyi i dobrego smaku się posługiwała, nie znajdziemy w téj powieści, chociaż i Drużbacka sama w innych swoich utworach w podobne trywialności nieraz wpadała. Czuć, że w księciu Adolfie rzecz główna mocno ją zajęła, że o niéj tylko myśląc, chciała ją jakby jednym tchem wypowiedzieć, i to było zapewne przyczyną, że nie zbaczała z prostéj drogi, nie robiła niepotrzebnych dygresyj i mając ciągle swój przedmiot na oczach, jakby model do skopiowania, którego wiernie trzymać się należy, używała tylko potrzebnych rysów, a nie zapuszczała się ani w objaśniające uboczne uwagi, ani nużące uwagi *od siebie*, tak ulubione przez ówczesne gawędziarskie rymotwórstwo. Jedném słowem, jest-to rysunek czysty, dlatego że przedmiotowy.

Pomimo tego, mimo zalet, które jéj chętnie przyznaliśmy, nie nazwalibyśmy jednak Drużbackiéj, za przykładem innych pisarzy, ani „perłą" naszéj literatury, ani powieści o księciu Adolfie „znakomitym utworem." Głównym, jedynym, można powiedzieć, przymiotem, wartość jéj nadającym, jest forma,—ta forma powierzchowna, którą tworzy język i wiersz, i ta druga, wewnętrzna, już bezpośrednio z treścią

się stykająca, którą stanowi kompozycya. Ale myśli prawdziwie głębokiéj, a zwłaszcza nowéj i oryginalnéj, któraby własnością była wyłączną poetki, treści jakiéjś trwałéj, którąby ząb czasu nie tak prędko się chwycił, poemat ten, zdaniem naszém, nie posiada. Alegorya ta jest dzisiaj dla nas bardzo już zwietrzałym komunałem, a można napewno przypuścić, że i w czasach Drużbackiéj nie była także żadną nowością. Duch owéj epoki mógł wprawdzie więcéj w podobnych rzeczach od nas się lubować i téj przyjemności nadużywał podobno aż do przesytu, ale my dzisiaj trzymamy się wszyscy tego zdania: że alegorya jest albo kolebką albo grobem poezyi: że jest płodem jéj niemowlęctwa albo upadku, jak to właśnie było w czasach Drużbackiéj, w których ona była lepszą od innych, ale nad nimi jako wyższy geniusz się nie unosiła. Odsunąwszy zaś nabok alegoryę, czém nas ten poemat może więcéj zainteresować, czém mógł nawet do współczesnych przemówić? Czy osobistością swojego bohatera? Ależ ten książę Adolf, to prawdziwe stworzenie z „mgły i galarety," jakiś kosmopolityczny rycerz, skopiowany ze setek rozmaitych figur tego rodzaju w zagranicznych romansach, bez żadnego śladu, ani nawet bez intencyi narodowego charakteru i obyczaju. Podobne do niego postacie dobre były w zagranicznych romansach, bo tam choćby i licho nakreślone, chociażby przez czas, przez powtarzanie bez końca wyblakłe były i mgłe, to przecież przypominały one oryginały, które kiedyś, przed wielu może wiekami, miały na sobie wszelkie znamiona prawdy, odmalowane były z natury i życia tamecznego społeczeństwa. Ale dla szlachcica polskiego w wieku XVIII czém mógł być taki książę Adolf? Najczystszą fikcyą, wierutną bajką, istotą nie z tego świata, niezrozumiałą dla niego i nic do niego niemówiącą, która nie mogła mu dać żadnego poetycznego złudzenia, bo w życiu, w świecie, w dziejach swoich i tradycyi z niczém podobném się nie spotykał, i większą wiarę mogły w nim wzbudzać upiory i dyabły z rogami (bo w te, niestety! zanadto czasami wierzył), niż istnienie podobnego rycerza. A bez téj wiary w możliwość znalezienia w życiu tego, co się widzi w poezyi, bez téj złudy, która dla czytelnika choć na chwilę staje się równie prawdziwą jak rzeczywistość, jakaż jest wartość poezyi?... A dla nas czém jest dzisiaj taka figura, jak książę Adolf? Niesmacznym i obojętnym, jeżeli nawet częstokroć nie wstrętnym manekinem, na którym autor jak może drapuje jakiś cudzoziemski kostyum i usiłuje w nas wmówić, że pod temi fałdami drgażywe ciało, którém poruszają wola i uczucie.

To samo moglibyśmy powtórzyć i o Eufracie, a nawet i o nieznanym nam w całéj rozciągłości i z naocznego widzenia Ortobanie, bo sama już treść jego, choć z drugiéj ręki pochodząca, dostatecznie nam jego charakter i rodzaj pokazuje. Tylko że w Eufracie niema tych zalet formy, które Adolfowi pod pewnym względem niemałéj wartości dodają. Wiersz téj powieści, chociaż miejscami lekki i wdzięczne pióro poetki przypominający (naprzykład w przytoczonym powyżéj ustępie, gdzie zjawienie się i postać Meropy opisuje), jest wogóle więcéj zaniedbany, niekiedy całkiem prozaiczny i bezbarwny, niekiedy znów, zgodnie z gustem owéj epoki, przez niesmaczne koncepta trywialny.

Kompozycya również nie tworzy tak udatnéj i zaokrąglonéj całości; owszem, jest-to poemat trochę zarozwlekły, pisany jakby bez planu z góry ułożonego, gromadzący wypadki za wypadkami bez widocznego celu i słusznéj przyczyny, jakby tylko dlatego, ażeby czytelnika (zwłaszcza tak naiwnego, jakich podobne powieści znajdowały w połowie XVIII wieku) zadziwić niezwykłemi i awanturniczemi przygodami. W chwili, kiedy historya Eufraty już się prawie wyczerpała, autorka nawiązuje do niéj nową historyę o jéj córce i oprócz tego przyczepia jeszcze powieść o nowéj parze kochanków, o Ryksydorze i Meropie, z nowemi, ale w gruncie rzeczy podobnemi do dawniejszych wydarzeniami. W ten sposób postępując, możnaby każdą taką historyę w nieskończoność przeciągnąć i skończywszy z jedną generacyą, przechodzić do drugiéj, trzeciéj, a chociażby i do dziesiątéj. Fantazya niewieleby się przytém utrudziła, bo po tylu romansach, jakie w tym guście napisano, każdy autor miał pod ręką do wyboru mnóstwo rozmaitych awantur o porwaniu przez rozbójników, o zaniesieniu w odległe kraje przez burzę, o cierpieniach w niewoli u nieprzyjaciół i cudowném z niéj wybawieniu i t. p. Potrzeba było tylko sięgnąć, a z tego zapasu, nagromadzonego przez wieki, dałaby się z łatwością wydobyć treść choćby na kilka tomów takich nadzwyczajności. Bo o cóś rzeczywiście nowego, o cóś takiego, coby było owocem własnych spostrzeżeń poety, jego znajomości świata, serca ludzkiego i otaczających go stosunków, nie chodziło tutaj bynajmniéj. Ówcześni autorowie nie poczuwali się do tego obowiązku, a czytelnicy nie mieli téż do nich podobnéj pretensyi. A szkoda! bo ileżby na tém i tamto społeczeństwo mogło było skorzystać i my także dzisiaj, gdyby w utworach, kosztujących bądźcobądź niemało pracy, a czasem, jak właśnie w Drużbackiéj, i niemało talentu, zamiast cudownych, fantastycznych przygód takich naprzykład „afrykańskich hrabiów," znalazło się bodaj kilka szczęśliwych rysów z owéj przeszłości, kilka scen przedstawiających życie, na jakie ci autorowie patrzyli i w jakiém udział brali, kilka chociażby lekkich szkiców, oddających charaktery spółczesnych im ludzi. O ileż w téj mierze wyższą jest taka „Wojna chocimska" Wacława Potockiego z końca XVII wieku, która, chociaż nie jest dziełem czystego natchnienia poetycznego, bo w całości swéj na kronikę mocno zakrawa, tyle jednak ma w sobie żywotnego i tak często, mniejsza o to, że może grubszemi rysami, stawia nam przed oczy obraz swych czasów, ich pragnień, wyobrażeń i uczuć; a jak olbrzymi skok zrobił w naszém romansopisarstwie taki, o niecałe tylko lat trzydzieści późniejszy, Ignacy Krasicki, kiedy w swoim „Doświadczyńskim" albo „Panu podstolim" z teatralnego świata kosmopolitycznych bohaterów bez krwi i kości przeniósł nas do wnętrza dworu polskiego, na trybunał lubelski, a nawet choć w przelocie pod słomianą strzechę wieśniaka.

## VII.

Alegoryami, w całém tego słowa znaczeniu, są dwa obszerniejsze wiersze Drużbackiéj, o których z kolei mówić nam wypada. Powieść

schodzi tutaj na drugi plan, nie tak jak w księciu Adolfie, gdzie sama przez się ma pewne znaczenie, a główną rzeczą jest sens moralny i obrok duchowny.

„Forteca od Boga wystawiona, pięcią bram zamknięta, to jest: Dusza ludzka z pięcią zmysłami" — taki jest tytuł pierwszéj alegoryi, a treścią jéj, jak zobaczymy zaraz, nic innego, tylko historya pierworodnego grzechu człowieka i odkupienia. Taż sama treść, będąca jedném z najgłębszych religijno-filozoficznych pojęć, po wielekroć razy stawała się przedmiotem dla poezyi i znajdowała w niéj swoje uzmysłowienie, dość powiedziéć bowiem, że już pierwsze karty Genezy, najpierwsze prawie jéj słowa, w poetycznéj formie tę myśl przedstawiają. Z późniejszych utworów najsławniejszym stał się poemat Miltona, w którym poeta trzymał się w głównych rysach opowiadania w Piśmie św. skreślonego i przedstawił rzecz tak samo, jak ją tam znalazł, chociaż rozszerzoną w wielki i świetnym kolorytem jaśniejący obraz. Drużbacka inaczéj zrobiła, a mianowicie tak, jak jéj kazał duch wieku, niemający do poezyi prawdziwego zmysłu: porzuciła wielki wzór, wynalazła sobie inny aparat poetyczny, ale od tego, który był gotowy w Piśmie św., nieskończenie słabszy i prozaiczniejszy. Zamiast wprowadzić na scenę żywych ludzi i ich namiętności, jak to czyni Biblia, opowiadając o grzechu pierwszych rodziców, postawiła nam przed oczy abstrakcyjną duszę i tę potém rozanalizowała, poćwiertowała na rozmaite cnoty i błędy i kazała im występować przed nami, jak to było modném i ulubioném w ówczesnéj poezyi, w postaci upersonifikowanych istot niby ludzkich. Zaiste, jest-to proceder dosyć zawiły, omijający prostą drogę, wyszukujący sobie z umysłu trudności, aby wkońcu zrobić gorzéj to, co w łatwiejszy sposób lepiéj mogło być zrobione. Z tego powodu jest on wcale ciekawy, i jak się odbył, musimy z tém czytelnika bliżéj zapoznać.

Dusza ludzka, jak już wiemy z tytulu, przedstawiona tu jest w postaci fortecy (jakby już sama natura nie wskazywała, że do jéj zmysłowego objawienia się daleko stosowniejszą jest postać i ciało człowieka); Bóg tę fortecę wystawił doskonale, urządziwszy do niéj pięć bram, to jest pięć zmysłów. Lucypera wzięła zatém zazdrość, gdy widział to dzieło tak doskonałém i mającém używać szczęścia, które on ze swymi szatanami utracił. Tu porównanie, zaprawdę, mocno chromieje, bo jakże forteca może używać szczęścia? Lucyper zwołuje sejm i zapowiada towarzyszom, że tę fortecę trzeba zdobyć. Jeden z szatanów podejmuje się pochlebstwem i zdradą opanować jednę bramę, t. j. słuch, i w tym celu odzywa się do niéj temi mniéj więcéj słowy, jak w Biblii szatan do Ewy, mówiąc do zmysłów:

Krzywdać nieznośna trzymać was w prostocie
W tym pięknym gmachu, a zabronić doznać
Co przyzwoite mądrości istocie,
Co jest dobrego i co złego poznać;
Na tym to rozkosz zawisła terminie,
Że co chcę tylko, to wszystko uczynię.

Na taki sposób skruszona „brama" (która tu rolę biednéj, ale dla wyobraźni nierównie piękniejszéj Ewy odgrywa) otwiera się i wpuszcza

do fortecy Lucypera z całą jego czeredą. Ale między obywatelami fortecy, t. j. różnemi władzami duszy, smutek niezadługo powstaje; czują, że złe zrobiły. Aby odegnać od nich tę melancholiczną reflexyę, Lucyper ogłasza im, że pod jego rządami radować się tylko i weselić będą. Jakoż zaczyna się zabawa:

> A wtém kapela zagrała na sali,
> Maski parami wchodzą w różnych strojach;
> Tu Regencya Fortecy zachwali
> Wesołość, ktor
> Niedługo myśl
> Taneczn ... gi.
>
> Już menuety z
> Tańce angielsl
> Kapryole též u

a potém:

> Tancem ... szady,
> Smaczne ... ochłodzą,
> Po chwi ...

wreszcie:

> Lucyper zasiadł do gry faraona,
> Na stołach stoją w butlach wina główne,
> On sam bank trzymał, złotem rzucał suto,
> Przysłał mu weksel w momencie pan Pluto,

I pomyśléć, że te maskarady, orgie i szulerki odbywają się nie gdzieindziéj, tylko w naszéj duszy, służącéj w téj chwili za salę balową, że uczestnikami tych godów są takie osobistości, jak: nasza pamięć, wola, sumienie i t. d.—to, zaiste, trzeba podziwiać tamtoczesny smak poetyczny, trzeba z pewnym smutkiem patrzyć na to, jak imaginacya ówczesna niepojętych i niemożliwych dla nas łamanych sztuk dokazywała, aby w rezultacie spłodzić rzecz tak niedorzeczną i trywialną... Ale idźmy daléj, zostawiając samemu czytelnikowi robienie sobie podobnych uwag, do których wiele jeszcze znajdzie sposobności i które, jak się zdaje, same mu się narzucać będą.

Przez te zabawy, przez to pochlebianie zmysłom, Lucyper zjednał sobie duszę, w któréj też odtąd wszystko przemieniło się i odwróciło na złe i do występku skłonne. Ale Pan dowiedział się wkrótce o tém i zapłonął gniewem. Stanęła przed nim sprawiedliwość i zażądała kary na niewiernych, z drugiéj strony jednak miłosierdzie zaniosło prośby za nimi i błagania. Bóg posyła więc naprzód proroków, których napomnienia nie pomagają, a potém swego Syna, aby tę fortecę zajętą przez szatanów z rąk im odebrał. Obywatele, ściśnieni oblężeniem, poznają swoje głupstwo, ale nie wiedzą, jak złe odrobić. Wreszcie postanawiają, aby niektórzy z nich złożyli naradę nad tém, co czynić. Więc wiara, rozum i sumienie zbierają się na tajemne posiedzenie do otchłani. Ponieważ tutaj ciemno, spełniając zatém swój urząd oświecicielki:

> Wiara dobyła krzesiwa z pudełka,
> Udziela ślepym szczupłego światełka,

Rozum od wiary swój stoczek zapalił,
Aleć jaskinia w światło nie uboga...

a potém:

Szczerość ich sama, a nie polityka,
U maleńkiego zasadza stolika,
Na którym swoje regestra rozkłada
Smutne sumienie i przez punkta czyta,
Kto co źle zrobił.

Rachunek sumienia źle bardzo wypadł, winy pokazały się ciężkie i godne wielkiéj kary, więc:

Dusza przypadła zającem pod skibę,
Radaby tysiąc plag wzięła po grzbiecie,
Albo żeby ją płatano za rybę,
Niżeli świecić oczyma przed sądem,
Mając twarz sprośnym osypaną trądem.

Wszyscy powstają z gniewem na duszę, że weszła w konszachty z szatanami. Wtém zjawia się pokora i powiada, że tu nie czas składać winę jeden na drugiego, ale że trzeba zanieść suplikę o przebaczenie. Z polecenia więc całego zgromadzenia sumienie spisuje stosowny dokument, zaklinając Pana przez miłość Jego Syna, którego na śmierć za grzesznych wydał. Lecz kłopot nowy — nikt z tą supliką iść nie chce:

Wiara się skarży, że na siłach spadła,
Rozum kokoszą czarną łeb obłożył:
Wola powiada, że taki frukt zjadła,
Co ją struł; zapach nos w pokrzywę włożył,
Smak żołądź gryzie; dotknienie za ciernie
Chwyciwszy, choć je kole, trzyma wiernie.

Musieli aż losy kostkami rzucać i te rozstrzygnęły, że dobre uczynki téj misyi podjąć się mają. Zaledwie jeden z nich gdzieś w kącie znaleziono, tak ich dusza miała niewiele, ale i ten wymawia się aż do zbytku prostodusznemi, a tém więcéj niepraktycznemi słowy:

Kompanko moja (mówi do wiary) wymów mię hołotę...
Cóżby za honor miał parlament z posła,
Słać do monarchy w legacyi osła.

Dusza w kłopocie pada wreszcie na myśl, żeby wyprawić westchnienie, którego obraz wcale dowcipnie kreśli:

Wyślę westchnienie, bo to pocztarz letki,
Nie potrzebuje pokarmu, napoju,
Skrzydeł dobędzie z serdecznéj kaletki,
Wody zażyje z łez pokutnych zdroju.

Westchnienie z pomyślnym skutkiem odprawia poselstwo. Monarcha, przeczytawszy suplikę, daje przebaczenie. Westchnienie powraca z wesołą wieścią i zdaje sprawę ze swego poselstwa, zkąd, naturalnie, radość wielka w téj duchowéj fortecy, zakończona obietnicą, że nigdy już swego Pana nie odstąpi.

Daleko lepsza, prostsza w swoim układzie i z naszemi estetyczne-

mi pojęciami zgodniejsza jest druga alegorya: „Snopek na polu życia ludzkiego związany" i t. d. „W Karpackiéj puszczy" mieszkająca Sylwia, pod któréj imieniem niewątpliwie samę poetkę rozumieć należy, przypominając sobie grzechy swego życia „młodości zbrodnie" (jak się wyraża), przeraża się także myślą śmierci, która wszystkich nieochybnie spotkać musi. Gorzkie te rozpamiętywania odbywają się na samotnéj przechadzce pomiędzy skałami.

Puściła w głębie myśl, jak w przepaść morza...

piękném słowem wyraża [illegible] Działo się to o świcie, a Sylwia szła coraz daléj za[illegible]ała w ciemną i gęstą puszczę. Wtém nagle usłyszała [illegible]em, a niezadługo spostrzegła z przestrachem o kilka [illegible] wychodzącą lwicę. (Mówiąc nawiasem, cała ta scena [illegible]na początek Boskiéj komedyi, choć można być pewnym [illegible]gdy jéj nie czytała, a prawdopodobnie nawet nie ni[illegible]). Ale obawa Sylwii ustąpiła wkrótce, gdy zobaczyła, [illegible]zę przemienia się w istotę do ludzkiéj podobną, chociaż [illegible]cą, bo zupełnie taką, jak zwykle malarze śmierć malu[illegible]

Prawda, że [illegible], nazbyt blada,
Junktury żyłmi jak drutami spięte,
Znać nigdy nie śpi, nie pije, nie jada.
Wnętrzności widać przez żebra wygięte;
Gdzie oczy były, tam głębokie doły,
Tam gdzie mózg mieszkał, jakby nalał smoły.

Wistocie jest téż to śmierć. Zaczyna się rozmowa; śmierć przedstawia Sylwii swoję moc i potęgę, któréj nic na świecie nie zdoła się oprzéć i nikt nie uniknie, i rozkłada w jéj oczach, na poparcie swéj mowy, snopek (zkąd tytuł poematu), składający się z koron, mitr, hełmów, pancerzy i t. p., które są wszystkie jéj zdobyczami. Kończy, zwracając się do Sylwii, ażeby ciągle o niéj pamiętała i żyła z tą myślą, że ona jéj szuka, a wtedy bać się jéj nie będzie; upomina wreszcie, ażeby nawet do najdroższych istot zbytecznie się nie przywiązywała, bo i takie związki są przemijające i śmierć je kiedyś przetnie:

Nie wiąż się sercem do dzieci, do wnucząt,
Bo krótkie z niemi są twoje pieszczoty.

## VIII.

Pozostają nam jeszcze, zawsze podług podziału Załuskiego, dwa rodzaje poezyj Drużbackiéj do przejrzenia, panegiryczne i światowe.

Drużbacka przez całe życie swoje zostawała w rozmaitych stosunkach, bądź pewnéj zażyłości i przyjaźni, bądź zależności z różnemi polskiemi domami, lub wreszcie w stosunkach literackich, jak z wielkim ówczesnym mecenasem literatów, Andrzejem Załuskim. W takich warunkach musiała jéj muza jednym składać hołd wdzięczności, u drugich zaskarbiać sobie łaskę grzecznością i choćby przyzwoitém pochlebstwem, do trzecich wreszcie odzywać się szczerą, z serca pochodzącą skłonno-

ścią. W takich warunkach wszyscy poeci pisali i zawsze pisać będą wiersze pewnym osobistościom poświęcone i, co za tém idzie, zawsze mniéj lub więcéj panegirycznego zakroju. Taki panegiryzm nie jest téż bynajmniéj grzechem wobec poezyi, a jeżeli dzisiaj panegiryści wieku XVII i XVIII tak surowo, aż do ośmieszania ich, bywają sądzeni, to z tego powodu, że przebrali wszelką miarę w swych pochwałach i konceptach, że się brali do nieswoich rzeczy, przystępując do poezyi bez najmniejszego talentu, a co więcéj, nie mając żadnego poetycznego celu na oku, ale zwykle tylko jakieś czysto materyalne i nieraz wcale mizerne widoki. Drużbacka wyróżnia się chwalebnie od całéj téj rzeszy dosiadającéj niezdarnie swojego napuszonego i wiatrem wydętego Pegaza, bo miała naprzód rzeczywisty talent i, pisząc wiersz komukolwiek poświęcony, myślała zawsze o tém, aby go zrobić utworem poetycznym, a potém umiała zachować w pochwałach miarę i godność i dawała je zawsze z pewnym, mniejszym lub większym, ale szczerym i rzeczywistym współudziałem serca. Najczęściéj także kieruje nią jakaś myśl głębsza, a jéj pochwalném piórem uczucie uznania względem wyższéj jakiéjś zasługi, dla całego społeczeństwa położonéj. Jeżeli w wierszu: „Aplauz Najjaśniejszemu Królowi Augustowi III" chwali tego monarchę, że za jego czasów wojny ustały, że nauki zaczynają kwitnąć w Polsce i z tego powodu porównywa go do rzymskiego Augusta, to my, wiedząc z historyi, jak drogo ten błogi pokój, w którym można było tylko „jeść, pić i popuszczać pasa," został okupiony, i jak mało, czyli nic raczéj, król ten do wskrzeszenia nauk przyczynić się nie był zdolny, uczujemy bezwątpienia grubą w tym panegiryku przesadę i prosty fałsz nawet. Ale z drugiéj strony musimy conajmniéj w połowie od zarzutu uwolnić poetkę. Bo z jakiéj racyi, przy jakiéj sposobności ona ten wiersz napisała? Oto z tego powodu i wtedy, gdy Załuscy w Warszawie założyli bibliotekę, gdy rzeczywiście nastąpiła chwila, że w Polsce otrząsać się z dawnéj ciemnoty i moralnego upadku poczęto. Król August III nie przyłożył ręki do tego dzieła, nie zasłużył na wdzięczność potomnych, ale wobec spółczesnych miał to szczęście, że odrodzenie umysłowe za jego rządów się poczęło. Spółcześni więc, którym to leżało na sercu, mogli dla niego, jako dla wyobraziciela całego społeczeństwa, czuć szacunek i wdzięczność, zwłaszcza jeśli, jak Drużbacka, z jego imieniem także imię prawdziwych sprawców tego czynu połączyli.

Całkiem już zasłużenie odbiera od niéj pochwały Andrzéj Załuski. Drużbacka, poczuwając się do osobistéj dla niego wdzięczności, bo on ośmielił ją do pisania i dodawał zaufania w siebie, dziękuje mu za tę zachętę, za tę, jak się przez skromność wyraża, niezasłużoną pobłażliwość, co bezwątpienia powinna była uczynić. Ale z uniesieniem o wiele gorętszém płyną jéj słowa wtedy, gdy o jego publicznych zasługach, o tém, co dla całego narodu i jego oświecenia zrobił, przychodzi jéj się odezwać. Z powodu wspomnianego niedawno założenia biblioteki, porównywa Załuskiego do Sykstusów IV i V, założycieli biblioteki watykańskiéj, i do egipskiego Ptolomeusza, a z całego wiersza téj okoliczności przez nią poświęconego widać, jak trafnie oceniała doniosłość tego faktu i jak dobrze pojmowała, że podźwignięcie się i wzmo-

Szukać człowieka w sarmackim ...,
Znajdzie czas wielu, co poradzą godnie,
I tych, co wolność ocalą w pałaszu;
Postronne oko, gdzie tylko cel zmierzy,
Ujrzy w Sarmatach legistów, żołnierzy.

Podobnego rodzaju pochwała przestaje być panegi
chlebny wiersz z okazyi, że się ktoś w jaśnie oświeco
ł lub ożenił, że ktoś, może i niebardzo na to zasługu
lek senatorski lub infułę, z nieodzownemi przy téj sp
ni i aluzyami do starożytnego herbu, świetnéj parent
wego splendoru — to już raczéj powinne złożenie hoł
ywatelskiéj cnocie, wyrażenie pełne godności swojéj
spełnionemu przez nią zaszczytnie czynowi. A jeżel
największą w tém wszystkiém szczerość, jeżeli spot
żde niemal słowo wypłynęło z serca przepełnionego
goś wewnętrznego popędu, który musiał głośno się w
tylko z szacunkiem i uwielbieniem patrzymy na prz
wał, ale także i na tego panegirystę, który wiedział
walić. A któżby odmówił tego przymiotu Drużbacki
stopnia za to, co Załuski dobrego dla kraju uczynił,
go wdzięcznością, żeby gotowa była krwi sobie z ser
mu z niéj ofiarę, a gdy jéj się zdaje, że to już kre
ego wnuka, jak niegdyś Izaaka, poświęciłaby na to:

Chociażbym chciała krew z serca wysączyć,
Na wdzięczną łask twych poświęció ofiarę,
Lecz trudno kroplę z wielkiém morzem łączy
Pod stopy nie śmiem sypać prochy stare.
Wnuka młodego mam, ten będzie znaki
Ofiary, gdy go oddam z Izaakiem.

Przy dwu innych jeszcze okolicznościach muza ]

Uczyń to, żebyś upirów (!) wypędził,
Co ludzi dławią, a po nocy chodzą,
Wyżeń ich z Polski...
Ledwo nie codzień przechodzące mnichy
O niczém więcéj nad to nie gadają,
Jak się umarli z grobów przez wytrychy
Szatańskie mocą na świat dobywają.

Świadczy to zaszczytnie o rozsądku i postępowym duchu poetki, lubo zresztą dodać należy, że w wielu względach wyższa nad przesądy swego czasu, Drużbacka wierzyła jeszcze we wrzącą w ampułce krew św. Januaryusza, w to, że św. Dyonizyusz areopagita odciętą swoję głowę w ręku nosił, a ciało św. Ksawerego po śmierci kazało się w inną trumnę przełożyć.

Wiersze wystosowane do różnych członków rodziny Sanguszków i Lubomirskich, tudzież odpowiedź na pochlebny dla poetki wiersz Ulryka Radziwiłła, nie mają tego ogólnego znaczenia co powyższe, bo z prywatnych tylko stosunków i osobistych uczuć pochodziły. I w nich jednakowoż nigdzie Drużbacka należytéj miary nie przechodzi, nie wpada w służalcze pochlebstwo i przesadę, a chociaż chwali gorąco, wie, co ma w kim pochwalić i urojonych cnót i wielkości nie przydaje opiewanym przez siebie osobistościom. Jeżeli zaś czasem puści i mały dymek kadzidła, to tak zręcznie, stosownie i z pewnym wdziękiem, że się gniewać na nią o to nie można, owszem, trzeba przyznać, że bez tego obejść się nie mogło. Kiedy np. chwali wdzięki księżny Barbary Sanguszkowéj marsz. w. ks. lit. „w stroju polowym" i powiada między innemi:

Gdybym Hektorem lub Parysem była,
Dla niéjbym Troję drugi raz spaliła...

to czujemy, że to może trochę zawiele, że to zbyt wygórowana hyperbola, ale musimy przyznać wielki talent poetce, że zamiast jakichś niezwykłych przymiotów ducha i serca, które bądźcobądź rzadko się na świecie zdarzają, chwaliła w marszałkowéj to, co najczęściéj i bez rozminięcia się z prawdą w kobiecie pochwalić można, nie podnosząc jéj tém samém ponad zwykły poziom śmiertelników, jak to u nieudolnych panegirystów owéj epoki było we zwyczaju.

## IX.

Przegląd utworów Drużbackiéj, nazwanych przez Załuskiego światowemi, przez którą to nazwę rozumiéć należy wiersze ulotne i okolicznościowe treści świeckiéj, rozpoczniemy od „Opisania czterech części roku."

Charakterystyczną dla ówczesnych religijno-filozoficznych wyobrażeń jest polemika z ateistami, umieszczona na wstępie do tego poematu. Jeden dowód to więcéj, że w owe już czasy przesiąkały do Polski, szczególnie między warstwy wyższe, czysto materyalistyczne pojęcia o świecie, przez niektórych francuzkich i angielskich filozofów wygłaszane, będące za granicą właśnie na porządku dziennym, a do nas

razem z innemi artykułami mody przybywające. Po rozprawie z takiemi pojęciami, która, trzeba to przyznać, z poetycznym zamiarem autorki nie ma wiele wspólności i była tylko niejako potrzebą chwili wymuszona, przystępuje Drużbacka do właściwego swego zadania.

Opis wiosny jest ze wszystkich wierszy naszéj poetki najsławniejszy. Kto nawet nie wie nic prawie o Drużbackiéj i temu jeszcze wiadomo, bodaj z jakiéj książki szkolnéj, że opisywała wiosnę. Mało téż wistocie pomiędzy jéj wierszami znajdziemy takich, któreby temu wyrównały w prawdziwości natchnienia i we wdzięku słowa. Sam zaraz początek jest jakby westchnieniem mimowiednie wyrwaném z piersi, przejętéj do żywego widokiem cudów natury:

O! złoty wieku w postaci dziecinnéj,
Wiosno wesoła, toć się pięknie śmiejesz,
Wszystko twéj ujdzie płochości niewinnéj,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolno-ć jak dziecku, dla swojéj zabawki.
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki i t. d.

Następnie podniosłość natchnienia nieco się obniża. Z lirycznego wybuchu nad pięknością wiosny przechodzi poetka do chłodniejszego, epickiego jéj opisania. Kreśli ją tak, jak ją widywała własnemi oczami tam, gdzie człowiek najbliżéj się styka z naturą — to jest na wsi. Opisuje ciepłe wiosenne deszcze, zieloność trawy, pękające ze swych osłonek kwiaty, śpiewy ptaków i nowe życie, jakie wiosna budzi w całym zwierzęcym rodzaju. To bezwątpienia stanowi poetyczniejszą część w pięknościach téj pory roku i w obrazie, jaki o nich dała autorka. Ale kobieta wychowana i żyjąca w wiejskim dworze, gospodyni i szlachcianka polska z wieku XVII, nie mogła pominąć i drugiéj, może prozaiczniejszéj strony, ale zbyt ściśle zrośniętéj z życiem i naturą ludzi jéj stanu i czasu, nie mogła pominąć także wiosennych zasiewów, szczepienia drzew i oczyszczania sadów.

Niecały ten opis jest zapewne tak piękny, jak samo zaczęcie, jednak choć w innym sposobie, znajdą się tu jeszcze ustępy niemniéj zaszczytne dla pióra poetki. Wiosennego śpiewaka, słowika, nie braknie w żadnym opisie wiosny, ale niewszędzie jest on tak szczęśliwie skreślony, jak przez Drużbacką:

Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowéj rosie;
Słychać go w łozach, słychać w ciemnym lesie,
A gdzie strumyczek, szemrząc, płynie wązki,
Pluszcze w skrzydełka, skoczywszy z gałązki.

Jest-to maleńki obrazek, lecz wykończony jaknajdokładniéj. Nie brakuje w nim niczego, co charakter słowiczego śpiewu stanowi: ani wdzięcznych przemian w głosie, ani rosy porankowéj, ani cienistéj między drzewami ustroni, ani szmeru strumyka, nad którym ten śpiewak natury najchętniéj sobie obiera siedlisko.

Nie wahamy się powiedzieć, że ze wszystkich czterech pór roku opis wiosny jest najpiękniejszy. Znać tutaj tę siłę pierwszego natchnie-

nia, które najżywszém i najprawdziwszém odzywa się uczuciem. Nie możemy wiedzieć, czy poetka od samego początku miała zamiar opisać wszystkie części roku, czy téż dopiero gotowy już opis wiosny, który tak szczęśliwie jéj się udał, zachęcił ją do tego, aby i inne pory w podobny sposób opisała; ale przypuścić jesteśmy bardzo skłonni, że, jak się to nieraz w rocznikach sztuki powtarzało, raczéj to drugie było prawdą. Bądźcobądź, to także pewna, że opisy wszystkich czterech pór są kreślone na jeden sposób, według jednéj raz przyjętéj metody. Jak widzieliśmy w opisie wiosny, że przedstawiona jest pod postacią wesołego, uśmiechniętego dziecka, tak i każda z następnych pór wprowadzoną bywa przed nasze oczy naprzód w pewném dla siebie uosobieniu; lato jako Cerera w wieńcu z żyta i pszenicy, z sierpem w jednéj, ze snopem w drugiéj ręce; jesień jako „panna mężna," to jest dojrzała w latach i rosłéj postaci, z winnym liściem na głowie i z koszem owoców; zima wreszcie jako „stara, poważna pani," blada na twarzy i ze wszelkich ozdób obrana.

Drugą częścią składową opisu jest zawsze obraz natury i jéj zjawisk, właściwych każdéj porze; trzecią wreszcie skreślenie zatrudnień gospodarskich, a mianowicie pracy w polu. Mytologia i różne jéj powiastki służą często gęsto do okraszenia tych obrazów, ale nie powiedzielibyśmy, żeby ta w owoczesnéj poezyi tak zwyczajna ornamentyka dodawała im dzisiaj w naszych oczach powabu. Dzisiaj wolimy i cenimy więcéj bezpośrednie wrażenie poety, jego samodzielne spostrzeżenia, czy to w dziedzinie psychologicznéj, czy fizycznéj piękności. Używanie zatém w celach poetycznych mytologii, tak słusznie wyszłe dzisiaj ze zwyczaju, było wistocie tylko reprodukcyą i wspomożeniem ubóstwa własnéj wyobraźni. Nie zachwycamy się więc dzisiaj opisem naprzykład burzy letniéj, jak ją kreśli Drużbacka, wprowadzając na scenę zamiast gromadzących się chmur, jakąś mytologiczną maszynę ognistą, ciągnioną przez lwy afrykańskie, z któréj Jupiter rzuca na ziemię pioruny i ciska race; ani nie wzbudzi w nas podziwu nawet wspaniałe letnie słońce, rozlewające dokoła złociste światło, a przedstawione przez poetkę w postaci tak dawno znanego, spowszedniałego od tylu wieków Faetona, który wjeżdża na krąg niebieski białemi rumakami,

Sam w złotéj szacie, strojny staromodnie,
Nad głową promień, a w ręce pochodnie.

Nam dzisiaj większą uciechę dla serca i większe zadowolenie estetyczne przynoszą te obrazki, które poetka, patrząc na nie własnemi oczami, zbierała ze swojéj ziemi i ze zwyczajów swego ludu. A na szczęście i takich tu dosyć się znajdzie; przechowały się w nich rysy prawdziwe i naturalne, z których jedne należą już do niepowrotnéj przeszłości, inne zaś dotychczas jeszcze w życiu i zwyczajach pozostały. Oto naprzykład opis żniwa:

Tylko co wyszedł ten mandat od tronu (to jest od wyższych potęg natury że czas już zbierać zboże),
Co żywe biegnie jak wojsko na czatę;
Każde się schyli do swego zagonu;

Matka podeprze drągiem z dziećmi chatę,
Tę, co przy piersi, mizerną dziecinę
Bierze na plecy, związawszy w płachcinę.

Gdzie okiem rzucisz, pełne pola ludzi,
I niby mrówki, sam to tam biegają;
Niech ich ta praca nie gnębi, nie trudzi,
Chociaż się przy niéj kiedy napijają,
Oprócz że z tych dwóch wójt czy podstarosta
Grzbiet leniwemu korbaczem ochłosta.

Cieszy cza [illegible] łopka,
Nie dba, ż [illegible] smaży,
Coraz pod [illegible] pka.
Probując [illegible] ały;
Zką [illegible] opatrzności Nieba,
Że [illegible] będzie miał chleba.

Pozostawiamy czyt [illegible] nanie sobie w myśli obrazu przytoczonego z tém, co [illegible] k widział w czasie żniwa we wsi polskiéj, bo chcielib [illegible] tutaj jeszcze jeden niemniéj udatny i wierny obrazek [illegible] z pola do stodół:

Wiot na ob [illegible]
Psują namioty, zewsząd atakują.
Ostrem widły ztąd i owąd mierzą,
Póki do gruntu szańców nie zrujnują;
Znajdziesz tam księdza oraz z bakałarzem,
Zamiast oręża chodzą z kałamarzem.

Tak wziąwszy z pola zdobycze ładowne,
Uchodzą spiesznie w otwarte stodoły,
Będzie dać z czego podatek, pogłówne,
Będzie się dzielić czém z Żydem napoły;
Szlachta korzenno jadać ma ochotę,
Gdy Wisłą spuści pełną zboża flotę.

Jakże wyborni, jak nasi są ten ksiądz z bakałarzem, poważnie pośród żeńców zapisujący dziesięcinę, a jak niezrównany ten Żyd, niby nawiasowo a ironicznie przez poetkę wtrącony, -ten Żyd, bez którego żaden szlachcic i chłop polski obejść się nie może, który musi należyć do podziału owoców, chociaż do pracy nie należał!

„Opisanie czterech elementów szkodliwych i pożytecznych: ziemie, wody, ognia i powietrza" miało bezwątpienia służyć za obocznik do opisu czterech pór, i jak zwykle każda rzecz wywołana jedynie przez drugą, nierównie mniéj posiada zalet i wartości. Poetka bierze się do przedmiotu zbyt prozaicznie, z planem naprzód chłodno obmyślonym, i systematycznie wylicza naprzód szkody, a potém pożytki, jakie każdy z żywiołów ludziom przynosi. Wygląda to jakby wypracowanie ucznia, któremu profesor zadał temat: jakie są zalety, a jakie wady téj lub owéj rzeczy. Dużo tu także rozmaitych alegoryj i tych niesmacznych aluzyj, przez które ówczesne umysły, jakby sadząc się na niezwykłe koncepta, zbliżały do siebie i porównywały ze sobą rzeczy najniepodobniejsze i najodleglejsze. Jeżeli poetka powiada naprzykład, iż do pożytków

wody należy to, że się w niéj łowią perły i że woda młyny obraca, zgodzimy się na to i zrozumiemy to dobrze; ale jeżeli za zaletę liczy wodzie i to, że wyswatała Rebekę, że przy studni Chrystus rozmawiał z Samarytanką; albo znów, mówiąc o ogniu, że ognista miłość skłoniła Chrystusa zejść na ziemię—to czujemy, że idzie zadaleko, że zestawia rzeczy niemające ze sobą nic wspólnego, że wymyśla jakieś metafizyczne prawdziwie przymioty, którychby nietylko żaden naturalista, ale żaden logicznie myślący człowiek w wodzie ani w ogniu nie znalazł. Spotykają się jednak i w tym wierszu ustępy wolne od zwyczajnéj w owéj epoce przesady, od tego gwałcenia fantazyi do rzeczy niebywałych i niemożliwych, w których poetka jest naturalną i słucha rzetelnego, spaczonemi wymysłami wieku niesfałszowanego natchnienia. Do takich należą: opis morowego powietrza, na które poetka, jak sama świadczy, własném patrzyła okiem; opis burzy morskiéj, równie udatny, choć tylko z fantazyi kreślony; do takich bardzo piękny idyliczny obrazek, który, obok wielu innych miejsc, u Drużbackiéj dowodzi, jak żywo odczuwała naturę i jak delikatnym a pełnym wdzięku penzlem umiała ją malować. Poetka powiada w tym ustępie, że nie chce opisywać morza, bo go nieświadoma, niechaj inni to czynią...

A ja przy rzekach zabawię tymczasem,
Rozmawiać będę z ciekącemi strużki,
Wolę drewnianym rządzić się kompasem (nie
[magnesowym. jak żeglarz na morzu),
Uważać, jako subtelne paluszki
Grają, dźwięk czyniąc po kamieniach drobnych
I do uśpienia każdego sposobnych.

A daléj jeszcze w tym samym ustępie:

Wnijdę do lasów, gdzie pasterze trzody
Pasą w dni letnie, a w czasy gorące,
Widzę, że i tam są potrzebne wody,
Gdzie się ścigają promyki ciekące;
Jeden za drugim pod skałę do zdroju
Biegnie, chcąc zażyć chłodnego napoju.

Ten obraz czystego i cichego źródła, tak trafnie podpatrzony i podsłuchany przez poetkę, pokazuje, że wszystkiemi zmysłami, całą duszą wżyła się w naturę, że nią się tak upajała, jak to chyba późniéj czynił jeden tylko Słowacki.

Nigdy téż jéj natchnienie nie jest tak prawdziwe, nigdy w jéj wyobraźni nie tworzą się tak piękne, poetyczne pomysły i nigdy jéj słowo tak swobodnie, a z takim powabem nie płynie, jak wtedy, gdy widok natury przemówi do jéj duszy, gdy jéj przyjdzie piękności i cuda stworzenia opisywać. Czujemy wtedy, że ją ogarnia prawdziwy zapał, niekłamany ogień poetyczny,—że kreśląc te obrazy, doznawać musiała sama téj przyjemności, jaką sprawia przestawanie z najulubieńszym dla nas przedmiotem. Drużbacka rozkoszowała się naturą, była w niéj zakochaną i odkrywała w niéj piękności, dla innego oka niewidzialne. Prostota serca, umysł obcy konwencyonalności i powszednim a błahym zajęciom świata, a oprócz tego także i pewna gorycz na widok zepsucia

i przewrotności, szerzących się w wyższych szczególnie warstwach społeczeństwa, o które się ocierała, popychały ją na łono natury i tam kazały, jak tylu innym idylistom, szukać straconych gdzieindziéj ideałów.

Jest jeszcze jeden wiersz, do téj kategoryi należący, nieużywający sławy „Czterech pór roku," ale bodaj czy od nich nie piękniejszy: „Pochwała lasów... od pewnéj pasterki." Bez wahania ośmielimy się zaliczyć go do najcelniejszych, najlepszych sielanek polskich i jesteśmy pewni, że Szymonowicz chętnieby go uznał za swój utwór.

W pierwszych dwóch [illegible] sielanki Drużbacka wypowiada własnie to, co powyżé[illegible]erystyczny jéj umysłu i twórczości poetycznéj podaliś[illegible]

Zważywsz[illegible]roty,
I chodzę[illegible]e,
Mając w [illegible]choty.
Niech kto[illegible]ci się śmieje,
Nie[illegible]się z swéj prostoty
Las[illegible] niecnoty.
Nie umier[illegible]eść w ucho,
Łaciny ni[illegible] prawnych,
Wody spr[illegible]było sucho,
O Cyceror[illegible]sławnych,
Więc, kto tych czasów w téj nie ćwiczon szkole,
Niech pasie bydło, albo kopie role.

To jest motyw poetyczny: poetka, zniechęcona do swiata, zwraca się całém sercem do natury. I zaraz potém następuje piękna apostrofa do samotnych lasów i kniei i niemniéj piękny opis poranku:

Lasy kochane, zielone chłodniki,
Drzewa, przyjemny szum dające z siebie,
Trawy, pagórki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie,
Zdrowszy mi napój z waszych źrodeł żywych,
Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych.
Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, już ci pasterz okoliczny
Nie zaśpi, a ptak wyśpiewuje wszelki,
Ci trzody owiec żeną między wrzosy,
Te mokre skrzydła otrzą pują z rosy.

Wśród tak opisanéj z niepowszednim talentem sceny rozwija się właściwa akcya idyliczna. Zasługuje ona na uwagę i przez to, że jest zupełnie oryginalną. Zwykle wszyscy sielanko-pisarze, tak obcy jak i nasi, wprowadzają na scenę rozkochaną jaką parę, albo też jednego przynajmniéj zakochanego pasterza, rozwodzącego swoje miłosne lamenty przed przyjacielem i towarzyszem. Sielanko-pisarze nasi dawniejsi zachowują w tém pewien takt poetyczny, nie popadając w przesadę i nienaturalną sentymentalność; za to idyliści późniejsi po Drużbackiéj, z czasów pseudo-klasycyzmu francuzkiego, aż do śmieszności posunęli tę romansowość w niczém do natury niepodobnych pasterzy i pasterek. Drużbacka postąpiła sobie inaczéj; romans usunęła zupełnie, a sielanka jéj jest do tego stopnia czystą i dziewiczą, że poetka, jakby

nie chcąc skazić swéj wyobraźni kreśleniem męzkich figur, wprowadziła do niéj same tylko osoby swojéj płci, same pasterki. Zebrawszy się one nad źródłem, pod cieniem jaworu, co robią? nad czém czas spędzają? Może rozmawiają o swoich Korydonach i Dafnisach? może wynurzają się ze swemi serdecznemi bólami lub nadziejami? Bynajmniéj. Pasterki myją i czeszą jedna drugą, rozmawiają o kwiatach, jak i gdzie które rosną, chwilę pofiglują ze sobą, gonią się i przewracają po trawie, potém wiją sobie wieńce, posilają się chlebem i masłem i popijają ten bankiet kryniczną wodą... a tymczasem owce pasą się między krzakami jałowcu. Tak nadejdzie i wieczór, owce idą spać do szałasu, a pasterki do chaty chróścianéj,

Mleka zsiadłego na misce glinianéj
Podjadłszy...

Przyznać potrzeba, że ta prosta w treści i w układzie sielanka prawdziwszą jest od wielu innych. Znać po niéj, że kreślona była z natury, że Drużbacka, pisząc ją, nie oglądała się na żadne wzory, choć tyle, i to bardzo dobrych, mogła ich mieć nawet we własnym języku.

## X.

„Elegie" Drużbackiéj (w liczbie pięciu) nic uderzającego ani charakterystycznego w sobie nie mają. Są to poetyczne rozmyślania na różne religijno-filozoficzne temata, uwidocznione dla czytelnika już w samych tytułach: Jak się świat obraca nienawiścią lub téż miłością; Nie kocha miłość, lecz na wędę łowi; Niewszystko złoto co się świeci; Niedobrze się zgadza niebo z ziemią, i Próżna jest ucieczka,—krzyż, od którego uciekasz, zawsze trwa. W tym rodzaju poważnéj, refleksyjnéj poezyi, autorka, która napisała Żywot św. Magdaleny, Snopek i t. p., dosyć już złożyla prób swojéj zdolności i Elegie do jéj sławy pod tym względem nic nowego nie dodadzą. Zauważyliśmy w nich tylko jednę rzecz, która im bynajmniéj za pochwałę nie służy, mianowicie dla nas przynajmniéj te elegie mają w sobie cóś niezrozumiałego, a zwłaszcza pojedyńcze myśli wydały nam się tak nieraz ciemne, że trudno dojrzéć w nich związku między sobą. Czytając je, doznawaliśmy wrażenia podobnego, jak kiedy kto patrzy na stary, zakopcony i zniszczony przez czas obraz, w którym nie widzi się wszystkiego co malarz niegdyś wymalował, lecz tylko niektóre lepiéj zachowane części. Jakaby tego była przyczyna? nie możemy powiedziéć; albo błędy drukarskie zeszpeciły tak tekst do niepoznania i sfałszowały go, albo też autorka, zwykle jasno i dokładnie się wyrażająca, w tych wierszach w jakąś ciemność myśli i słowa popadła. Najpiękniejszym we wszystkich elegiach wydał nam się następujący ustęp:

Jedno na świecie lśni się tylko słońce,
W jednéin królestwie jeden król się rządzi,
Jedne miłości doskonałéj końce
I jedna miłość niebieska nie błądzi.
Widzisz, promienie jak rozrzuca ryte

Z niebieskich gmachów, gdzie lustr idzie spory,
Jak na zachodzie zamki niedobyte
Słonce w obłokach w piękne stawia wzory.
Pierwéj się będą gwiazdy pluskać w wodach,
Gwiaździste konie pierwéj ziemia sprzęże,
Niż wychowany w rozkoszy ogrodach
Niebieskich pieszczot z łatwością dosięże.

Ustęp powyższy wyjęty jest z elegii: Niedobrze się zgadza niebo z ziemią, czyli, jakby się można inaczéj wyrażać: nie można dwom panom służyć, a kto nieba pr[illegible]ien lgnąć do ziemskich rozkoszy.

W rodzaju elegiczny[illegible]acka jeszcze i inne wiersze, z których nieobjęte w wy[illegible]znane są jednak z tego, że późniéj w rozmaitych czas[illegible] wydrukowane. Ale o tych będziemy mieli sposobność[illegible]ić. Teraz zaś, nie zastanawiając się nad niektórem[illegible]ierszami naszéj poetki, choć pomiędzy niemi są i wcal[illegible]. opisanie ciekawych oczu Akteona, mały lecz z pew[illegible]ykończony obrazek, musimy bliżéj jeszcze przypatrzyć[illegible]orom, w których jéj talent z nowéj pokazuje się stron[illegible] to wiersze satyryczne.

Satyra Drużbackiéj nie dochodzi miary kunsztownych dzieł Krasickiego, pod względem siły charakterystyki nie dorównywa nawet Naruszewiczowi, lecz pomimo tego, obok jéj sielankowych pieśni, uważalibyśmy ją za to, co Drużbacka najlepszego po sobie zostawiła. Jest w téj satyrze dużo zmysłu spostrzegawczego, błyszczy w niéj często dowcip, wprawdzie nie z tą dozą atyckiéj soli, jak w księciu poetów Stanisławowskiéj epoki, lecz tu i owdzie znajdzie się kilka żywo skreślonych obrazków, kilka charakterystycznych postaci ówczesnego społeczeństwa, z właściwą im fizyognomią i kolorytem epoki—a to już powinno wystarczyć, ażeby tym kilku utworom satyrycznym Drużbackiéj zapewnić miejsce w literaturze, należne każdéj pracy umysłowéj, noszącéj na sobie znamię twórczości i będącéj, czy w mniejszym, czy w większym zakresie, wizerunkiem wiernym swojego czasu.

Sfera, w któréj Drużbacka swoje spostrzeżenia robiła, jest dosyć ograniczona. Stanowi ją wyłącznie wiejski dwór szlachecki, i to głównie dwór wyższéj szlachty, albo pałac magnacki. Nie żyła ona na wielkim świecie, w stolicy, w codziennym wirze ludzi i wypadków, jak późniejsi satyrycy Krasicki i Naruszewicz, nie brała żadnego udziału w sprawach publicznych, w życiu politycznem rzeczypospolitéj, jak to na wielką skalę praktykował, choć z niewielką dla siebie chlubą, o cały wiek wcześniejszy od niéj Opaliński. Całe życie spędzając na wsi, w swoim szlacheckim dworku, albo czasami w pańskich pałacach w odwiedzinach lub na rezydencyi, widziała ze świata tylko tyle, ile się z niego przesunęło między czterema ścianami komnaty lub woskowanego salonu. Rozmaitości więc typów, różnorodności figur z uderzającą w oczy odmiennością stanu i powołania u niéj nie znajdziemy. Jak powiedzieliśmy wyżéj, kilka zaledwie postaci stanowi cały personel satyryczny naszéj poetki. Ale postacie te są dosyć ciekawe i choć nie z całą dokładno-

ścią sztuki, nie z zupełném wykończeniem, odrysowane prosto z natury i z wierném, jak się zdaje, podobieństwem.

W wierszu „Opisanie odmiany czasu, który teraz więcéj wznieca miłości w damach, niż w kawalerach i t. d.“ mamy jeden taki rys satyryczny do charakterystyki owéj epoki. Widać z niego, że i w owe czasy było już dużo takich, co polowali na posagi i którzy, więcéj niż na wdzięki niewiast, chciwi byli na ich złoto. Poetka uskarża się na to i, jako przykład jak być powinno i że dawniéj było inaczéj, przywodzi Apollina goniącego za Dafną z gorącéj dla niéj miłości, Jowisza, który pokochawszy Danaę, nie żałował dla niéj złota, i innych podobnych mytologicznych kochanków. Lubo ze satyrycznym zakrojem, wiersz ten istotną satyrą nie jest, bo obok charakterystycznego żywiołu, epickiego w nim zupełnie brakuje. Całkiem do niego podobny jest także i drugi, który powstał w ten sposób, że pewien senator podał Drużbackiéj jako temat niektóre „Punkta dla poprawienia zepsutych obyczajów polskich,” a Drużbacka mową wiązaną jako „Reskrypt na wyżéj wyrażone punkta” to opisała. Poetycznéj wartości nie ma ten wiersz wiele, lecz dosyć jest ważny jako materyał do historyi obyczajów i cywilizacyi, bo opisuje niektóre ówczesne, a bardzo upowszechnione między szlachtą wady. Do rzędu tych zalicza Drużbacka: ówczesny styl makaroniczny i przesadny, czyli, jak ona się wyraża:

Mowa, styl listu, kompliment tak dziki,
Można go zrównać dziś z Babilończyki...

Daléj: do niepotrzebnéj uniżoności posuniętą grzeczność, czyli, jak ona to nazywa, adoracyę w słowach i piśmie; potém zły zwyczaj, że sąsiad sąsiadowi służącego odmówi, psa mu ukradnie, albo na jego gruntach bez pozwolenia poluje, za grzech żaden sobie tego nie mając. Najciekawszy może jest punkt ostatni, w którym Drużbacka napomina kobiety, aby odzwyczaiły się w gniewie lub przestrachu szafować nieprzyzwoitemi słowami. A trzeba wiedzieć, że napomnienie to wystosowane jest nie do ogółu, albo do niższego stanu kobiet, ale do „najzacniejszych dam,” to jest do kobiet wyższego towarzystwa, do ówczesnych dam salonowych, strojących się podług ostatniéj paryzkiéj mody i rozmawiających po francuzku.

Tytuł innego wiersza: „Na kompanią frank-masonów dla panów i na kompanią de Mops dla dam” obznajmia czytelnika z jego treścią. Drużbacka powiada, że oba te towarzystwa za jéj życia z Paryża do Polski razem z innemi modami przyszły. Co są frank-masoni, o tém i dzisiaj dobrze wiemy, ale drugie towarzystwo, „Kompania de Mops” było tylko chwilową zabawą ludzi znudzonych i niemających co lepszego robić. Według tego, co Drużbacka o tém mówi, widać, że było to towarzystwo kobiece, założone na wzór innych poważnych towarzystw i sekt, z pewnemi regułami i honorowemi odznakami, które za godło i za szczególny przedmiot swéj adoracyi wzięło sobie mopsa. Jaki był dalszy cel tego towarzystwa, jaka może ukryta jego dążność, o tém nam nie wiadomo. Drużbacka, czyniąc wybór między temi dwoma zagranicznemi nowatorstwami, całkiem słusznie uważa masonów za cóś le-

Z niebieskich gmachów, gdzie lustr idzie spory,
Jak na zachodzie zamki niedobyte
Słońce w obłokach w piękne stawia wzory.
Pierwej się będą gwiazdy pluskać w wodach,
Gwiazdziste konie pierwéj ziemia sprzęże,
Niż wychowany w rozkoszy ogrodach
Niebieskich pieszczot z łatwością dosięże.

Ustęp powyższy wyjęty jest z elegii: Niedobrze się zgadza niebo z ziemią, czyli, jakby się można inaczéj wyrażać: nie można dwom panom służyć, a kto nieba p[illegible]nien lgnąć do ziemskich rozkoszy.

W rodzaju eleg[illegible]acka jeszcze i inne wiersze, z których nieobjęte w wy[illegible] znane są jednak z tego, że późniéj w rozmaitych czas[illegible] wydrukowane. Ale o tych będziemy mieli sposobnoś[illegible]nieć. Teraz zaś, nie zastanawiając się nad niektórem[illegible]wierszami naszéj poetki, choć pomiędzy niemi są i wcal[illegible]p. opisanie ciekawych oczu Akteona, mały lecz z pew[illegible]ykończony obrazek, musimy bliżéj jeszcze przypatrzyć [illegible]worom, w których jéj talent z nowéj pokazuje się stro[illegible]ą to wiersze satyryczne.

Satyra Drużbackiéj nie dochodzi miary kunsztownych dzieł Krasickiego, pod względem siły charakterystyki nie dorównywa nawet Naruszewiczowi, lecz pomimo tego, obok jéj sielankowych pieśni, uważalibyśmy ją za to, co Drużbacka najlepszego po sobie zostawiła. Jest w téj satyrze dużo zmysłu spostrzegawczego, błyszczy w niéj często dowcip, wprawdzie nie z tą dozą atyckiéj soli, jak w księciu poetów Stanisławowskiéj epoki, lecz tu i owdzie znajdzie się kilka żywo skreślonych obrazków, kilka charakterystycznych postaci ówczesnego społeczeństwa, z właściwą im fizyognomią i kolorytem epoki—a to już powinno wystarczyć, ażeby tym kilku utworom satyrycznym Drużbackiéj zapewnić miejsce w literaturze, należne każdéj pracy umysłowéj, noszącéj na sobie znamię twórczości i będącéj, czy w mniejszym, czy w większym zakresie, wizerunkiem wiernym swojego czasu.

Sfera, w któréj Drużbacka swoje spostrzeżenia robiła, jest dosyć ograniczona. Stanowi ją wyłącznie wiejski dwór szlachecki, i to głównie dwór wyższéj szlachty, albo pałac magnacki. Nie żyła ona na wielkim świecie, w stolicy, w codziennym wirze ludzi i wypadków, jak późniejsi satyrycy Krasicki i Naruszewicz, nie brała żadnego udziału w sprawach publicznych, w życiu politycznem rzeczypospolitéj, jak to na wielką skalę praktykował, choć z niewielką dla siebie chlubą, o cały wiek wcześniejszy od niéj Opaliński. Całe życie spędzając na wsi, w swoim szlacheckim dworku, albo czasami w pańskich pałacach w odwiedzinach lub na rezydencyi, widziała ze świata tylko tyle, ile się z niego przesunęło między czterema ścianami komnaty lub woskowanego salonu. Rozmaitości więc typów, różnorodności figur z uderzającą w oczy odmiennością stanu i powołania u niéj nie znajdziemy. Jak powiedzieliśmy wyżéj, kilka zaledwie postaci stanowi cały personel satyryczny naszéj poetki. Ale postacie te są dosyć ciekawe i choć nie z całą dokładno-

ścią sztuki, nie z zupełném wykończeniem, odrysowane prosto z natury i z wiernėm, jak się zdaje, podobieństwem.

W wierszu „Opisanie odmiany czasu, który teraz więcéj wznieca miłości w damach, niż w kawalerach i t. d.“ mamy jeden taki rys satyryczny do charakterystyki owéj epoki. Widać z niego, że i w owe czasy było już dużo takich, co polowali na posagi i którzy, więcéj niż na wdzięki niewiast, chciwi byli na ich złoto. Poetka uskarża się na to i, jako przykład jak być powinno i że dawniéj było inaczéj, przywodzi Apollina goniącego za Dafną z gorącéj dla niéj miłości, Jowisza, który pokochawszy Danaę, nie żałował dla niéj złota, i innych podobnych mytologicznych kochanków. Lubo ze satyrycznym zakrojem, wiersz ten istotną satyrą nie jest, bo obok charakterystycznego żywiołu, epickiego w nim zupełnie brakuje. Całkiem do niego podobny jest także i drugi, który powstał w ten sposób, że pewien senator podał Drużbackiéj jako temat niektóre „Punkta dla poprawienia zepsutych obyczajów polskich,“ a Drużbacka mową wiązaną jako „Reskrypt na wyżéj wyrażone punkta“ to opisała. Poetycznéj wartości nie ma ten wiersz wiele, lecz dosyć jest ważny jako materyał do historyi obyczajów i cywilizacyi, bo opisuje niektóre ówczesne, a bardzo upowszechnione między szlachtą wady. Do rzędu tych zalicza Drużbacka: ówczesny styl makaroniczny i przesadny, czyli, jak ona się wyraża:

> Mowa, styl listu, kompliment tak dziki,
> Można go zrównać dziś z Babilończyki...

Daléj: do niepotrzebnéj uniżoności posuniętą grzeczność, czyli, jak ona to nazywa, adoracyę w słowach i piśmie; potém zły zwyczaj, że sąsiad sąsiadowi służącego odmówi, psa mu ukradnie, albo na jego gruntach bez pozwolenia poluje, za grzech żaden sobie tego nie mając. Najciekawszy może jest punkt ostatni, w którym Drużbacka napomina kobiety, aby odzwyczaiły się w gniewie lub przestrachu szafować nieprzyzwoitemi słowami. A trzeba wiedzieć, że napomnienie to wystosowane jest nie do ogółu, albo do niższego stanu kobiet, ale do „najzacniejszych dam,“ to jest do kobiet wyższego towarzystwa, do ówczesnych dam salonowych, strojących się podług ostatniéj paryzkiéj mody i rozmawiających po francuzku.

Tytuł innego wiersza: „Na kompanią frank-masonów dla panów i na kompanią de Mops dla dam“ obznajmia czytelnika z jego treścią. Drużbacka powiada, że oba te towarzystwa za jéj życia z Paryża do Polski razem z innemi modami przyszły. Co są frank-masoni, o tém i dzisiaj dobrze wiemy, ale drugie towarzystwo, „Kompania de Mops“ było tylko chwilową zabawą ludzi znudzonych i niemających co lepszego robić. Według tego, co Drużbacka o tém mówi, widać, że było to towarzystwo kobiece, założone na wzór innych poważnych towarzystw i sekt, z pewnemi regułami i honorowemi odznakami, które za godło i za szczególny przedmiot swéj adoracyi wzięło sobie mopsa. Jaki był dalszy cel tego towarzystwa, jaka może ukryta jego dążność, o tém nam nie wiadomo. Drużbacka, czyniąc wybór między temi dwoma zagranicznemi nowatorstwami, całkiem słusznie uważa masonów za cóś le-

przez całe życie „dworską juchą,” spostrzegła wreszcie, że znikomości i marności tylko dotychczas służyła. Bo czémże dwór i jego życie? To „teatrum,” gdzie obłuda i podstęp odgrywają naprzemian najpierwsze role. I w téj chwili staje jéj przed oczami wyraźny i dosadny obraz podobnych scen, na które nieraz patrzyła. Przestrona sala pałacowa błyszczy od zwierciadeł i światła, zaczyna się taniec, goście chwalą sobie hojność gospodarza i wesołą zabawę. Alići dwóch albo trzech ichmościów odłącza się od towarzystwa, staje na boku i nuż obmawiać i zbierać wzorki z obecnych.

Patrz, j [illegible] na wlecze;
Na téj [illegible] tare!
Znać w [illegible] brano miarę.
Ta jak [illegible] fant chwieje,
Ta zaś [illegible] wiatr wieje,
Szum, s [illegible] kogo niesie,
Czyli wi [illegible] w lesie?..
Ten w o [illegible] albo w żyto
Często z [illegible] ci zbito;
Powłocz [illegible] nim ścieżka,
A w opa [illegible] kiszka...

„Otóż to, powiada [illegible] dworskie, piękna zabawa!”

Żadna godzina w pracy nie wakuje,
Ten szyje buty, ów suknie nicuje.

Inni inaczéj znowu pracują. Oto jakiś świętoszek z pozoru, a hultaj w duszy, skoro świt zrywa się na nogi, bierze w rękę paciorki i „napchany wór” świeżych nowinek, i biegnie do pana, pocichu, pod pokrywką miłości bliźniego, by dla dobra jego duszy siać potwarze i plotki o swoich towarzyszach i współdworakach. Pan rad widać z tego; niegodziwy hipokryta musiał mu się dobrze podlizać i naszarpać cudzéj sławy, bo go z tłomokiem podarunków od siebie wypuścił, a nasz dworak, jeszcze bardziéj ucieszony, szepce sobie ze złośliwym uśmiechem pod nosem:

Więc to przypiszę Boskiéj opatrzności,
Modlitwie (rzecze) w wielkiéj gorącości,
Którą codziennie klepiąc, to przyznaję,
Że kto wstał rano, temu Pan Bóg daje.

Jako trzecia wreszcie z takich niepochlebnych dworskich figur, występuje plotkarz. Podobny on nieco do owego hipokryty, lubo nie tak zły i przewrotny. Bawi się plotkami, może nie w żadnym niegodziwym celu, ale z zamiłowania i wrodzonéj do tego skłonności. Każdemu jest przyjacielem i każdemu narzuca się ze swoją radą i pomocą, ale tylko dlatego, aby mu ludzie otwierali serca, a on z nich najtajniejsze ich sekreta mógł czytać. Nic złego ztąd nie będzie (tak zaręcza najsolenniéj), sekret dla niego rzecz święta; możemy mówić otwarcie, nikt nas tu nie podsłucha (i ogląda się dokoła, czy niema jakiego niepotrzebnego świadka). Ale zaledwie wydusił od przyjaciela tajemnicę, kręci się jak na rozpalonych węglach i, nie mogąc się doczekać, co daléj mó-

wie będzie, biegnie pomiędzy ludzi i rozpowiada świeżą nowinę, rozumie się, w trójnasób ją powiększając.

Więc jakże śród takiego świata i w takiém społeczeństwie wytrwać długo? Poetka téż bez żalu rozbrat z niém bierze i pod swą skromną, spokojną i cichą strzechą resztę żywota spędzić postanawia. Książka i robota wystarczą jéj za wszystkie rozrywki, a gdy będzie samotną, nikt jéj nie zdradzi, nie obmówi i nie połaje. Z dziwną prostotą i rzewnością napisane są te ostatnie wiersze, w których cała szlachetna jéj dusza się maluje:

Mnie zazdrość, siedząc w kąciku, nie bierze,
Życie osobne, że szczęśliwe, wierzę;
Życie kochane bez granic, bez zgraje,
Nikt mnie nie zdradzi, nikt mnie nie połaje.
Cichość spokojna, książka i robota,
Z temi rozrywka, gdy przyjdzie ochota.
Tych się nie strzegę, choć z niemi rozmawiam,
One nikogo i ja nie obmawiam.
Więc póki Boska wola żyć mi każe,
Póki śmierć mego imienia nie zmaże,
Póki grób z ciałem mém się nie powita,
Osobność kochać będę, z dworem kwita.

Kończy się więc ten wiersz podobnym elegicznym tonem, jak się zaczął. Widać, że umysł, co go tworzył, dosyć już był zmęczony walką z życiem, że uczuwał pewną gorycz i zniechęcenie do świata, widząc z jednéj strony jego znikomość, a z drugiéj przewrotność... To, a następnie dotkliwe ciosy familjne, doprowadziło téż Drużbacką w końcu do większego jeszcze odsunięcia się od ludzi i do zamknięcia się z modlitwą i myślą o Bogu w celi klasztornéj.

## XI.

Oprócz Zbioru wydanego przez Załuskiego i historyi o Eufracie, drukowanéj w parę lat po śmierci autorki, zostawiła Drużbacka niemało jeszcze utworów w rękopisie, z których tylko pewna liczba, bądź w całości, bądź w ułamkach, różnemi czasy na widok publiczny wydaną została. Przyniosło to dość znaczną szkodę sławie autorki, bo chociaż w tych pismach późniéj wydrukowanych, albo dotąd w bibliotekach spoczywających, nic podobno takiego nie znajdziemy, coby na ocenienie wartości lub rodzaju jéj talentu wpłynęło, nie można także zaprzeczyć, że te właśnie utwory należą do najlepszych, jakie z pod jéj pióra wyszły. Znać po nich, że smak estetyczny poetki, zapewne pod wpływem nowych prądów, dających się już wtedy bardziéj uczuwać w literaturze, oczyszczał się i wyszlachetniał, że jéj uczucie, przeszedłszy twardą szkołę życia, zahartowane w niéj, lecz niezłamane, nabrało silniejszego metalicznego dźwięku i głębokości tonu, że w końcu swego życia, nie dbając już prawie o sławę i poklask świata, wtedy tylko brała się do pióra, gdy czuła potrzebę wypowiedzenia tego, co jéj mocno na sercu leżało.

Pierwszy Ignacy Krasicki zrobił użytek z téj rękopiśmiennéj spu-

ścizny i w jedenaście lat po śmierci Drużbackiéj (1776) w Zabawach przyjemnych i pożytecznych (tom XIII, część II) wydrukował kilka z niéj wierszy, z pewnemi poprawkami [1]), a mianowicie: „Niemasz czego sobie życzyć długiego życia na tym świecie," „Do wnuka" (przedrukowany także 1801 przez ks. J. K. Bogusławskiego w 2 tomie jego „Mów i wierszy moralnych autorów klasycznych"), „Pożegnanie Ulissesa z synem Telemakiem," „Lais" i utwór mytologicznéj treści, w siedmiu niewielkich pieśniach: „Cefal i Prokris."

Długi czas potém nic nie było słychać o rękopisach Drużbackiéj i nic z nich nowego na świat nie wyszło. Dopiero w r. 1816 Dziennik wileński (w tomie IV podał szczegółową wiadomość o dwóch takich zbiorach, o jednym, który miał się znajdować u jakiegoś wnuka czy siostrzeńca poetki, mieszkającego w Równem na Wołyniu, i o drugim, który ks. Mamert z Fulsztyna Herburt odziedziczył po swoim ojcu, zmarłym w końcu 1803 r. w Kowlu. Ks. Herburt darował ten rękopis do biblioteki uniwersytetu wileńskiego, a wprzód jeszcze krótką treść jego i niektóre wyjątki udzielił redakcyi Dziennika wileńskiego, która je w swém piśmie umieściła. Rękopis ten, opatrzony na końcu własnoręcznym podpisem autorki, przepisany został przez niejakiego p. Dulskiego w r. 1754 w Rzemieniu i darowany przez Drużbacką „dla zabawy" dobremu jéj przyjacielowi, pułkownikowi Józefowi Jakubowskiemu. Podług opisu ks. Herburta, rękopis ten zawierał w sobie szesnaście następujących wierszy: „Jabłoń złota w hesperyjskim osadzona grodzie," „Srzeniawa szczęśliwym płynąca duktem," „Na wiązanie j. w. jmci pani Izabelli z Poniatowskich Branickiéj," „Weturya Rzymianka, do Polski wprowadzona" (wszystkie cztery treści panegirycznéj), „Z przypowieści Salomonowych (wzór mężnéj i cnotliwéj niewiasty), „Szczęśliwy a niestateczny amant," „Czyste i godziwe amory" (wiersz, któremu własna historya autorki za tło służyła), „Klemens (Branicki) łaskami w Mościskach słynący" (panegiryk), „Memoryał wnukowi mojemu, p. Józefowi Wiesiołowskiemu," „Kontrakty mościskie," „Zawód niemały na lwowskich kontraktach" (oba ostatnie treści humorystycznéj i z własnego życia poetki), „Portret hipokrytów," „Lais, dama koryncka," „Pożegnanie Ulissesa" (oba drukowane już przez Krasickiego), „Ofiara Bogu z sześciorga wnucząt swoich zmarłych" i „Fikcya poetyczna," poemat drukowany także przez Krasickiego p. t. „Cefal i Prokris." Oprócz wyjątków po kilka wierszy z każdego prawie z tych utworów, wydrukował nadto wtedy Dziennik wileński z tego rękopisu w całości znane już z Zabaw Krasickiego: „Memoryał wnukowi mojemu" i „Pożegnanie Ulissesa." Dodać jeszcze mogę, że według tego, co mi wiadomo, rękopis powyższy przeszedł podobno niedawno z rąk ks. Polkowskiego do biblioteki hr. Branickiego w Suchéj w Galicyi.

---

[1]) Jakiego rodzaju były te poprawki Krasickiego, można widzieć porównawszy np wiersz przez niego wydrukowany w Zabawach p. t. „Niemasz czego sobie życzyć długiego życia na tym świecie," z tym samym wierszem wydrukowanym bez poprawek w Pamiętniku warszawskim 1823, p. t. „Żal w starości."

W kilka znowu lat po Dzienniku wileńskim bo w r. 1823, Pamiętnik warszawski (tom VI) podał jeszcze dwa wiersze Drużbackiéj: „Ofiara Bogu po stracie sześciorga wnucząt zmarłych“ i „Żal w starości.“ Ten ostatni, mimo zmienionego tytułu, jest tym samym, co wydrukowany przez Krasickiego wiersz: „Niemasz czego sobie życzyć długiego życia na tym świecie.“

Odtąd nic już więcéj z rękopisów Drużbackiéj nie drukowano, chociaż zdarzała się do tego bardzo dobra sposobność, kiedy w Lipsku 1837 nowe wydanie jéj dzieł zrobiono. Ś. p. Wł. Chomętowski, we wspomnianym wyżéj artykule w Kronice rodzinnéj (1869) podał tylko wiadomość o jednym jeszcze rękopisie, który miał pod ręką, zawierającym „zbiór nieogłoszonych drukiem i nieznanych po większéj części utworów poetycznych Drużbackiéj.“ O ile ta druga kategorya, to jest utwory dotąd nieznane, była w tym rękopisie reprezentowaną, nie możemy z pewnością wiedziéć, bo Chomętowski dokładnie używanego przez siebie manuskryptu nie opisał. Z tego jednak, co o nim powiedział, możemy przypuszczać, że wspomniane przez niego wiersze „Do panien i kawalerów, z okoliczności romansowych przygód,“ które „w rubasznych niekiedy zastosowaniach przypominają nam dawne żartobliwe opowieści czyli gawędy“—do rzędu całkiem nieznanych i w szczegółowo opisanym manuskrypcie ks. Herburta nieznajdujących się policzyćby należało. Do zupełnie nieznanych należy także romans o Ortobanie, przez nikogo przedtém nigdzie niewspomniany, którego treść Chomętowski pierwszy według swego manuskryptu podał, a my za nim tutaj powtórzyliśmy. Nakoniec z wiersza „Czyste i godziwe amory“ (wymienionego również w opisie manuskryptu Herburtowskiego) przytoczył Chomętowski następujący ustęp, w którym poetka w żartobliwy sposób odpierała docinki znajomych, prześladujących ją z okoliczności przyjaznego stosunku z pułkownikiem Jakubowskim:

Nie pracuj, Kupidynie, nad Tyrysem i Filidą,
Bo już w stopień miłości gorącéj nie wnijdą;
Ustała w tych amantach Wenerze ofiara:
Tyrys ostygł, a Filis do amorów stara.

Tak więc z utworów Drużbackiéj, w manuskrypcie pozostałych, dotychczas ogłoszone są drukiem tylko: Żal w starości (albo Niemasz czego sobie i t. d.), Do wnuka, Pożegnanie Ulissesa, Lais, Cefal i Prokris, i Ofiara Bogu po stracie sześciu wnucząt zmarłych. Jakkolwiek szczupła jest liczba tych utworów, na podstawie jednak ich znajomości ośmieliliśmy się wyrazić powyżéj zdanie, że ogłoszenie całego manuskryptu drukiem byłoby się z pewnością do powiększenia sławy autorki przyczyniło. Każdy z tych wierszy bowiem posiada pewne zalety, a wszystkie wogóle tę wytrawność pióra, do jakiéj się w najpiękniejszym czasie autorskiego zawodu dochodzi. Taką naprzykład powiastkę: Cefal i Prokris wyżéj byśmy postawili od Fabuły o księciu Adolfie, bo jest w niéj wdzięk, właściwy językowi Drużbackiéj, a kunszt poetyczny i treść (wzięta zresztą ze znanego mytologicznego podania) nierównie wyższe. Z prostotą w naturalnym rozwoju i z plastyczną dosadnością

rzecz cała opowiedziana, robi wrażenie artystycznego dzieła i to w czystym i dobrym smaku, tak, że zdawaćby się mogło, że poetka musiała znać podobne a znakomite utwory klasycznych i włoskich epików. Takie zaś znowu wiersze, jak „Do wnuka,“ a szczególnie dwa elegiczne „Ofiara Bogu“ i „Żal w starości,“ co do głębi natchnienia i powagi dykcyi nie mają bezwątpienia równych sobie pomiędzy pismami Drużbackiéj.

Dla poparcia naszego zapatrywania się, przytoczymy choć wyjątki z tych wierszy.

„Ofiara Bogu“ tal [illegible]

Wiosno! [illegible] raduje przyjścia,
Nadziej[illegible] [illegible]tego liścia,
Za liści[illegible] [illegible]więdłym kwiatem
Owoc w [illegible] [illegible]sy latem.
Nawet i [illegible] [illegible]enieją,
Choć się [illegible] pniach skrzypiące chwieją;
Konar z [illegible] ziemi,
Jeszcze [illegible] świeżemi.
Opaczn [illegible] [illegible]szym chwila
Wczas r [illegible] ka z sił wysila,
Niektoś [illegible] wiośnie
Latoroś[illegible] [illegible]nż nie wyrośnie.

„Żal w starości“ smutniejsza to jeszcze elegia, bo oddycha jaką Salomonową apatyą i goryczą dla życia. Musi téż to być jeden z najpóźniejszych wierszy Drużbackiéj (niema go w manuskrypcie z r. 1754) pisany na schyłku życia w celi zakonnéj, kiedy ją już odbiegły wszystkie pociechy, jakie na świecie miała, a od smutków śmierć tylko uwolnić mogła. Oto początek tego wiersza, według druku w Pamiętniku warszawskim, który tekst Drużbackiéj bez zmiany podaje:

Nie wiem, kto sobie lat życzy przeciągu,
Jabym dla siebie czasy chciała skrócić,
Gdyby planety w zodyacznym krągu
Raczyły bieg swój w półroczny obrócić,
Gdyby zegary skracały godziny,
Minuty jeszcze dzieląc w odrobiny.

Tak uprzykrzone w mojém życiu chwile,
Żebym dziś rada weszła do grobowca,
Tam z umarłymi spocząćby mi mile,
Gdzie złożył kości mędrzec, gdzie wymowca

Niechęć to do życia wyrodziła w niéj myśl o próżności i złości tego świata:

Co za nagroda, kto długo świat widzi?
Co w nim ukochał, to potém obrzydzi!

Żałować wypada, że humorystycznych wierszy naszéj autorki, znajdujących się w rękopisie, jak: „Kontrakty mościskie“ i „Zawód niemały na kontraktach lwowskich,“ dotąd nigdzie nie wydrukowano. Humor i to w bardzo dobrym gatunku, nie płaski lub rubaszny, ale zaprawny deli-

katną ironią, należał do najcelniejszych przymiotów jéj talentu, a czém on być może w tych dwóch jéj wierszach, tego ponętny wcale przedsmak dają nam cztery wiersze z „Kontraktów mościskich," przez Herburta (w Dzien. wil.) przytoczone:

Pocóż mię państwo wieziecie do Lwowa?
Kontrakty lubią złoto i monetę!
Znać rozumiecie, że pieniężna wdowa...
Nikt nie łakomy na starą tandetę.

## XII.

Drużbacka żyła w złych dla literatury czasach. Było to dla niéj i korzyścią i stratą. Korzyścią, bo w ogólném przyćmieniu umysłowém mogła tém łatwiéj zajaśniéć, a stratą — bo talent jéj nie znalazł dla siebie, aby wyrość i rozkwitnąć, tak dobrze uprawionéj roli, jak ją uprawił dla Kochanowskiego klasycyzm, a dla Krasickiego literatura francuzka. W powszechném zdziczeniu wyobrażeń literackich, smaku i stylu, już w czasie późnego jéj wieku pojawiły się pierwsze usiłowania ku lepszemu i pierwsze, wcale jeszcze słabe próby odrodzenia, czynione przez And. Załuskiego, Konarskiego i Bohomolca. Samorodny talent, naturalność, brak ówczesnéj pod wielu względami szkodliwéj uczoności, nieznajomość szkodliwych jeszcze teoryj i przepisów ówczesnego szkolarstwa, sprawiły wprawdzie, że Drużbacka wolną pozostała od wielu powszechnych w tamtéj epoce błędów i czystego natchnienia poetycznego w sobie nie zabiła, ale z drugiéj strony, pozostawiona własnym tylko siłom, a co gorsza, otoczona niezdrową dokoła atmosferą, nie dokonała tyle i nie doszła do tego kresu, do jakiego w innych warunkach jéj zdolności mogły ją były doprowadzić. Poetyczny jéj zawód nie biegnie linią prostą, coraz więcéj w górę, do pewnego kulminacyjnego punktu, ale się kręci jakby linią łamaną, to podnosząc się, to staczając nadół, a w pismach jéj pełno jest nierówności. Są niektóre utwory całkiem chybione, inne znowu udały się jéj bardzo dobrze; w niektórych miejscach jest prozaiczną aż do zbytku, gdzieindziéj czuć w niéj rzeczywiste natchnienie; raz popada w płaskość niesmaczną, a znowu o kilka lub kilkanaście wierszy daléj wychodzi z pod jéj ręki prawdziwy brylant poetyczny; niekiedy jest przesadną i goni za trywialnemi konceptami, właściwemi swéj epoce, a niekiedy znów pełna prostoty i naturalności, jak poeci z wyższém namaszczeniem i z najlepszych czasów. Jéj styl także, jéj język i forma wiersza pokazują tę chwiejność i niejednostajność siły. Wdzięczny czasami, gładki i lekki wogóle, świadczy o wrodzonym talencie poetycznym i o łatwości składania wierszy; ale brak mu także często wyrobienia i jasności, brak téj pełnéj, pewnéj siebie formy, którą podziwiamy w Kochanowskim. Krótko mówiąc, Drużbacka nie jest klasycznym, to jest wyborowym i wzorowym pisarzem, co nie przeszkadza jednak, żeby niektóre jéj utwory, a znów niektóre ustępy w innych, do pięknych dzieł poetycznych policzone być nie miały.

Największa liczba jéj pism należy do epiki, zabarwionéj jednak

dość mocno ustępami dydaktyczno-lirycznemi. Do wysokości prawdziwéj, bohaterskiéj epopei wznieść się nie umiała i nie możemy téż miéć do niéj o to pretensyi, wiedząc jak wielu innym i nierównie większym od niéj poetom to się nie udawało. Powieści epickie skromniejszego zakroju i obrazki poetyczne za to stanowią między jéj pismami jeden z najlepszych rodzajów, jak tego przykładem Fabuła o ks. Adolfie, Cefal i Prokris, Lais i t. p. Kreślenie wybitnych i głębszych charakterów leżało bowiem poza zakresem jéj zdolności, ale gdzie potrzeba było tylko pewnéj łatwości i gładkości w opowiadaniu i pewnego wdzięku w opisie, tam Drużbacka czuła się zupełnie na swoim gruncie i powziętemu zadaniu z chlubą sprostała. Z téj także przyczyny jéj obrazki natury i opisy sielskie, przy rozwiniętym w niéj wysoko zmyśle na piękności przyrody i zamiłowaniu w niéj, posiadają bardzo wiele powabu i poetycznych zalet. Utwory satyryczne wreszcie dają również zaszczytne świadectwo o jéj darze spostrzegania i przedmiotowego przedstawiania rzeczy.

W lirycznych wierszach, których stosunkowo daleko mniéj u niéj, panuje ton poważny i najczęściéj elegiczny. Do wylewu uczuć w téj formie skłaniają poetkę albo sprawy publiczne, szczególniéj dotyczące stanu oświecenia i umoralnienia powszechnego, albo bolesne rodzinne ciosy, albo wreszcie głęboka jéj religijność. Ta ostatnia odbrzmiewa nietylko w jéj lirycznych utworach, będąc niejako akordem, w którym inne tony się spływają, ale nadto przewodniczy jéj jako główna i zasadnicza myśl we wszystkich prawie bez wyjątku pracach. Drużbacka wszystko, złe czy dobre, szczęście czy nieszczęście, odnosi do Boga; On dla niéj jest ostatniém i pierwszém słowem tak w świecie ludzkim, jak i w naturze. Dlatego téż często cel pobożny i moralny staje u niéj wpoprzek i przeszkadza artystycznemu celowi. Religijność ta jest zresztą u naszéj poetki czystszą i szlachetniejszą, niż u wielu ówczesnych umysłów; ma ona u niéj siedlisko w sercu, płynie ze szczeréj, prostodusznéj wiary, i lekki tylko spada na nią cień od tak pospolitéj wówczas scholastycznéj nauki teologicznéj.

W Drużbackiéj nie znajdziemy ani śladu fałszywéj sentymentalności. Czuje ona mocno, ale nie chorobliwie, i na świat patrzy realnie a trzeźwo, nie przez sztuczną nieraz i z umysłu wywoływaną mgłę złudzenia. Jest-to umysł prosty i czerstwy, obdarzony rozsądkiem i talentem, biorący rzeczy tak jak są i pozwalający na siebie oddziaływać światu zewnętrznemu, bez dodawania do tego ze swojéj strony jakiegoś niepotrzebnego fermentu. Pogoda duszy stanowi téż wybitny rys w jéj charakterze. Śmieje się z całego serca, gdy jest potemu racya i sposobność; z humorem dostrzega drobnych wad i słabości ludzkich albo swoich, zna wartość i piękność przyrody i wesołych chwil życia. Z drugiéj znowu strony, gdy nieszczęście albo grzechy i błędy naszéj natury zamącą spokój jéj myśli i sumienia, nie wpada w przesadę goryczy, nie wytwarza sobie w imaginacyi większego złego niż ono jest rzeczywiście, ale nawet zniechęcona do świata, znajduje pewną jeszcze przystań dla skołatanego umysłu w religii i wierze, pewne uciszenie serca w rezygnacyi. Jak z chęcią i przyjemnością wewnętrzną uży-

wała pomyślnéj doli i szczęścia, tak mężnie i cierpliwie, bez słabości i popadnięcia w jakąś moralną omdlałość, znosi dolegliwości i ciężary życia. Ztąd-to zapewne pochodzi, że jéj skala poetyczna jest wcale rozległą i pełną rozmaitości, że znajdują się w niéj powaga i ironia, humor i smutek, żart i boleść, splecione w jeden wieniec tak, jak się naprzemian w każdém życiu ludzkiém splatają. W Drużbackiéj była czysta natura, uczucie niefałszowane, dlatego tak różnorodnemi dźwiękami, nieraz tak powabnemi i żywo nas przejmującemi mogła się odzywać jéj dusza. Urodziła się poetką, ale wykształcenie i nauka mało jéj dały pomocy, ogólny stan oświaty i wyobrażeń niekiedy szkodliwie na nią wpływał, więc też zostawiła po sobie pisma, które ślady tego wszystkiego na sobie noszą, ślady talentu i niedostatku wielu estetycznych pojęć.

To, co w końcu powiedzieliśmy, służyć ma za streszczenie niejako dawniejszych naszych uwag, po całéj téj pracy, stosownie do nadarzającéj się potrzeby, rozrzuconych. Czytelnik zresztą sam dopełni sobie téj charakterystyki, jeśli przypomniéć sobie zechce, co przedtém już było powiedziane.

*Kraków, 1880.*

# DWIE EPOKI NASZEGO PSEUDO-KLASYCYZMU.

Ostatnim wyrazem literatury XVII wieku była literatura z czasów saskich, czyli z pierwszéj połowy XVIII stulecia.

Do tego czasu właściwie należałoby odnieść to niekorzystne zdanie, jakie historya literatury wyrzekła o całym okresie tak nazwanym panegiryczno-makaronicznym czyli jezuickim. Wiek XVII posiadał niektóre zalety i kilka znakomitych talentów, w jego piśmiennictwie tliła się jeszcze iskra żywotna, a najcięższym jego błędem to bezwątpienia było, że nie umiał ująć swoich pojęć literackich w pewne karby, że postradawszy godność klasycyzmu, a przerzucając się częstokroć na pole romantyczności, służył dwóm panom, i jak w takich razach zwykle bywa, obydwóm służył niewiernie. W tym to czasie traciła literatura polska to wysokie stanowisko, na którém ją odrodzenie się nauk w wieku XVI postawiło. Historycy literatury różne tego upadania podają przyczyny; za najgłówniejszą jednak i najnaturalniejszą należy uznać zły system naukowy, panujący we wszystkich szkołach Rzeczypospolitéj.

Całą winę tego systemu zwalają na jezuitów. Lecz chociaż prawdą jest, że oni do tego systemu wiele się przyczynili i ze wszystkich sił go popierali, prawdą jest również i to, że i inne zakłady naukowe, niebędące w ich rękach, tym samym systemem się rządziły i w niczém nie stawiły opozycyi dążeniu jezuitów, bo nawet ów zacięty spór akademii krakowskiéj z tym zakonem był sporem o władzę, a nie o zasady. Musimy zatém przyznać, że siły żywotnéj, że prawdziwego geniuszu naukowego zabrakło w całym narodzie. Wiek XVI był, jak się zdaje, czasem zbytecznego wysilenia; myśl ludzka nazbyt swobodnie rozbujała w tym czasie, nadto skrajne i do ostateczności dochodzące zasady

wyszły na jaw i zaczęły obiegać między ogółem; po takim stanie rzeczy musiała nastąpić reakcya, cofnięcie się wtył i rozmyślne przytłumianie wszelkich pojęć przechodzących zwyczajne granice. Przestraszono się zbytniéj wolnomyślności, a bojąc się dalszych niebezpieczeństw, wypowiedziano wogóle wojnę wszelkiéj samodzielności umysłowéj. Dlatego to czczy formalizm bez treści zawładnął większością ówczesnych umysłów i przyprawił wreszcie literaturę o moralne suchoty. Za panowania Sasów wybijała godzina jéj śmierci, bo w jéj życiu było tyle siły i powabu, ile w zwatloném ciele suchotnika.

Powiadają niektó[illegible]owym czasie podzielała tylko smutny stan nauki i pis[illegible]éj Europie panujący. Tego zdania jednak nie można p[illegible]we. Wprawdzie we Włoszech zagasła dawna świetnoś[illegible]iemczech nie było wcale lepiéj niż u nas, ale gdzieindz[illegible]ogniska, które miały nowém światłem rzucić na Eur[illegible]ém, że dzisiaj jeszcze oświecamy się jego promienmi[illegible]stworzył klasyczną literaturę francuzką, niemającą d[illegible] wszystkich miru, lecz pomimo tego wspominaną zawsz[illegible]Francuzów, a z uznaniem i szacunkiem przez ludzi, kt[illegible]awdziwego pojęcia o jéj znaczeniu i zasługach. Ten kla[illegible]y późniéj pseudo-klasycyzmem francuzkim, nie był bynajmniej niewolniczém naśladowaniem starożytności, ani niezręcznem spaczeniem klasycznego ducha. Francuzi do nauki, zaczerpniętej u Rzymian i Greków, dodali wielką dozę własnéj oryginalności i w obce formy wlali wiele ze samych siebie. Dość będzie przypomniéć imiona Kornela, Moliera, Lafontena, a nawet i mniej samodzielnego Rasyna, nie mówiąc już o późniejszym Wolterze, Russie, i porównać w myśli tych pisarzy z autorami klasycyzmu, aby poznać tę ogromną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy starożytnym klasycyzmem a tą literaturą francuzką, która w tém bezwątpienia największy grzech popełniła i naraziła się na pociski nieprzyjaciół, że przybrała sobie nazwę niewłaściwą i, rzec można, ujmującą wiele jéj własnym zaletom godności.

Ale oprócz literatury pięknéj, oprócz utworów pokazujących wysokie wykształcenie smaku, ten sam wiek XVII (mówimy tu ciągle o zagranicy) może się także pochlubić płodami, które świadczą o wielkiej dojrzałości i sile umysłu. Ten wiek XVII stworzył nowożytną filozofię, która odrzuciwszy powagę Arystotelesa, dotąd zawsze za jedyny dowód prawdy służącą, ośmieliła się myśléć i zastanawiać sama przez siebie. Bakon Werulamski i Deskart stali się ojcami filozofów aż do naszych czasów, a metoda, przez nich w filozofii przyjęta, wpływała i wpływa do dziś dnia na rozwój wszelkich umiejętności opartych na podstawie empiryi. Ta zasada samodzielnego badania była ogromną zdobyczą ducha ludzkiego, i czas, który jej nadał prawo istnienia w świecie umysłowym, może ją uważać za wielki zaszczyt dla siebie. Najprędzej wpływ téj zasady pokazał się na dziejopisarstwie, a wiek XVII może to również liczyć do swych zasług, że położył podwaliny do dzisiejszéj historyografii. Do pisania dziejów wprowadzono krytykę, przyszedłszy do tego poznania, że są w historyi rzeczy zapisane w księgach jako prawdziwe i rzeczywiste fakta, ale zarazem sprzeciwiające

się zdrowemu rozumowi; oprócz tego zaczęto pojmować, że większym pokarmem dla ducha i istotném zadaniem historyi jest poznać dzieje wewnętrzne narodów, rozwój ich pojęć religijnych, prawniczych i filozoficznych, niż najefektowniejsze opisy bitew i najściślejsze wyliczanie członków panujących rodzin.

W porównaniu z temi tak chlubnemi objawami sztuki i umiejętności za granicą, to, co u siebie widzimy, dowodzi tylko, że Polska przez jakiś czas zapomniała dawnego zwyczaju, aby równym krokiem zmierzać za resztą Europy. Zwyczajnie do téj chwili napotykamy w naszéj literaturze odzwierciadlanie się w mniejszych lub większych rozmiarach, z więcéj lub mniéj pomyślnym skutkiem, tego wszystkiego, co się stało zasadą albo przymiotem powszechnéj literatury europejskiéj. Z pisarzów zaś XVII i pierwszéj połowy XVIII wieku nie można się nawet domyślić, co się współcześnie działo w świecie umysłowym. Żaden z tych poetów nie nadał swym wierszom znamion sztuki, jaką wówczas Francuzi ujęli w ścisłe reguły i przepisy i jakich przykłady na swoich dziełach dawali; co się zaś tyczy wiedzy i oświaty, a mianowicie filozofii, to ten okres do tego stopnia wstecz się cofnął, że wskrzesił filozofię scholastyczną, którą niegdyś nauki humanitarne z wielkim pożytkiem dla ludzkości o śmierć były przyprawiły. W jednym tylko autorze z samego końca XVII wieku, w Herakliuszu Lubomirskim, znaleźliśmy ślady, że mu nieobcy był ruch umysłowy, jaki się w Europie odbywał. Zresztą nie słyszano nawet o imionach wielkich myślicieli, jak gdyby nigdy nie istnieli; a kiedy późniéj imiona te, wskutek częstych stosunków politycznych, doszły do polskich uszu, rzucili na nie klątwę ci, którzy w każdym płomyku światła obawiali się herezyi i odszczepieństwa. Jedném słowem, jeżeli od śmierci ostatniego Zygmunta nie postępowała literatura naprzód i żyła tylko resztkami ubiegłéj epoki, to z początkiem XVIII w. stała za innemi wtyle do tego stopnia, że chcąc w nią wlać więcéj życia, należało odrobić wszystko to, nad czém gdzieindziéj od stu lat pracowano. Dlatego słusznie powiedział jeden z autorów, już do tego czasu należących, że Polska za jego dni znajdowała się jeszcze w XV wieku. Ciemnota i nieudolność ze wszystkiemi swemi złemi następstwami, tak w polityce jak i w literaturze, były znamieniem owych czasów, w których samowolnie panowały nierząd, makaronizmy i panegiryki.

Nakoniec nadeszła chwila, gdzie kilku przynajmniéj ludziom otwarły się oczy, gdzie ten i ów przyszedł do porównania stanu innych krajów i swojéj ojczyzny. Jak każda chęć poprawy, stało się to w czasie, kiedy rzeczy do szczytu złego już doszły. Za panowania Sasów widzimy pierwsze oznaki budzącéj się świadomości, że oświatę i literaturę należy na nowe pchnąć tory i nowéj dla nich wyszukać podstawy. Zrazu są to usiłowania, że tak powiem, natury prywatnéj, podjęte przez ludzi wysoko położonych, którzy właśnie z powodu swego stanowiska mogli prędzéj zaczerpnąć coś z cywilizacyi zagranicznéj. Ludzie ci, jak np. książęta Jabłonowscy lub książę Ulryk Radziwiłł, obznajmiwszy się z literaturą francuzką, dają poznać niektóre jéj utwory w przekładach na język ojczysty, oddają się umiejętności podług nowych stwo-

rzonéj zasad, gromadzą książki po swych domach, prowadzą między sobą korespondencye o rzeczach naukowych i literackich. Większego znaczenia nabywa ten ruch w nowym kierunku od czasu, kiedy się do niego przyłączyli dwaj bracia Załuscy i St. Konarski. Za ich wystąpieniem to, co dotychczas było rzeczą, jak się wyraziliśmy, prywatną, staje się rzeczą publiczną. Nowi ci reformatorowie odzywają się głośno do całego narodu, wzywając go do poprawy swéj oświaty i swych urządzeń politycznych. Należy bowiem podnieść ten fakt i nie spuszczać go z oka, że reformy literacka i polityczna szły z sobą ręka w rękę. Bystre umysły tych mężów trafnie oceniły nierozerwany związek, jaki między jedną a drugą zachodzi. Położywszy sobie za zadanie podnieść swój naród z upadku, musieli leczyć razem i zewnętrzne objawy choroby, jakie się już na organizmie Rzeczypospolitéj pokazały, i wzmocnić ten organizm wewnętrznie, aby na przyszłość zapobiedz podobnemu nieszczęściu. Bezwątpienia polityczny upadek Polski, wadliwość wielu jéj ustaw i rządu, a ztąd i zagrażająca utrata niepodległości, dały pierwszy popęd do pragnienia reformy i poprawy, a w dalszém następstwie wyrobiło się to przekonanie, że chcąc ten groźny stan rzeczy odmienić, należy sięgnąć do źródła złego i na miejsce panującéj ciemnoty wnieść światło i cywilizacyę. Dlatego to w ciągu tego okresu napotykamy w naszéj literaturze dzieła i pisma, z których jedne prostują wyobrażenia naukowe i literackie, a drugie wyobrażenia polityczne, domagające się głośno i wyraźnie odrzucenia zastarzałych nałogów i przesądów i zastosowania się do ogólnego postępu. Już w tych czasach, t. j. jeszcze za Sasów, postawiono literaturę francuzką jako wzór dobrego smaku i źródło światła. Najwyraźniéj wypowiedział to Józef Załuski. Jakoż w połowie XVIII wieku w ciągu kilku lub kilkunastu lat pomnożyły się znakomicie tłumaczenia francuzkich autorów: Kornela, Woltera, Boala i Moliera. Prócz tego, za sprawą głównie Konarskiego, do zakładów naukowych pijarskich wprowadzono nowy system; w tych szkołach po raz pierwszy mówiono o Kartezyuszu, Leibnicu i Lockem; po raz pierwszy robiono doświadczenia fizyczne, nie wyklinano systemu Kopernika; czuwano nad czystością języka i obznajmiano młodzież ze smakiem estetycznym, panującym we francuzkiéj literaturze.

To wszystko stało się jeszcze przed wstąpieniem na tron Stanisława Augusta. Aż do jego czasów nie widzimy wprawdzie oryginalnych dzieł polskich podług nowych zasad pisanych, nie napotykamy nawet w pismach samychże reformatorów, jak np. Józef Załuski, ni w prozie ni w poezyi tego wyrobionego smaku i stylu, jakim się ich następcy odznaczają, ale chociaż nowe zasady w czyn jeszcze nie przeszły, ogłoszone już zostały za obowiązujące i wskazaną droga, jaką oświata i literatura postępować winny.

Objęcie tronu przez Stanisława Poniatowskiego, jeżeli nie było zbawiennem dla politycznego wzmocnienia się Polski, dla literatury jednak było nader korzystne. Nowy król był wysoko wykształconym człowiekiem, za hasło swoich rządów wziął oświecenie narodu, a idąc za pochlebnym przykładem Ludwika XIV, podjął się mecenasostwa literatury. Od téj też chwili zaczyna się nowy obraz naszego piśmien-

nictwa, którego fizyognomię odznacza kilka cech odrębnych i jemu właściwych.

Najpierwszą i najogólniejszą z tych cech jest wpływ literatury francuzkiéj jako źródła nowych pojęć i smaku. Zaczęliśmy zapatrywać się na Francuzów w tym czasie, kiedy w ich świecie umysłowym panował wszechwładnie Wolter, a ze wszystkich gałęzi literatury najpotężniéj rozpostarła się filozofia. Dlatego i nasza literatura tego okresu nosi na sobie przeważnie charakter filozoficzny; we wszystkich pisarzach grunt i treść istotną stanowi pierwiastek rozumowy, z upośledzeniem innych władz duszy ludzkiéj. Najwyraźniéj pokazuje się to na poezyi; nie mamy w tym czasie utworów poetycznych, wywołanych przez uczucie lub wylewających z siebie bogactwa wyobraźni. Poeci Stanisława Augusta nie pragną bawić, zachwycać i zapalać serca, lecz nauczać i oświecać; wszyscy prawie, i to najznakomitsi, uprawiają dydaktyczny rodzaj poezyi, piszą bajki, satyry, albo nawet, jak to czyni Trembecki w „Zofijówce," wykładają swoje systemata filozoficzne. Powszechną ich dążnością i najgorętszém pragnieniem jest przelać w naród te pojęcia, na których wyrosła nowożytna cywilizacya; ztąd niekiedy, jak np. w Węgierskim lub Zabłockim, daje się czuć nawet lekceważenie swojskich obyczajów, a mianowicie z najbliższéj przeszłości. Do historyografii dostaje się krytyka, w którą uzbrojony pisze Naruszewicz Dzieje Polski, stanowiące epokę w literaturze. Kwestye polityczne i literackie roztrząsane bywają ze stanowiska filozoficznego (jak np. w Staszycu), a prawa człowieka, podniesione przez francuzkich filozofów, wpływają na zmianę ustaw Rzeczypospolitéj, jak się to działo na sejmie czteroletnim, gdzie ułożono nowy stosunek stanów do siebie. Wolnomyślność owego wieku zaczepia nawet religię; nie widać wprawdzie u naszych pisarzy wyobrażeń skrajnych i w ostateczność wpadających, lecz u wielu z nich przebija lekceważenie dawnéj tradycyi religijnéj, a bardzo częste są ataki wymierzone przeciw nadużyciom i ciemnocie stanu duchownego. Co do formy zewnętrznéj, skorzystała literatura od Francuzów również bardzo wiele, i jeżeli nas zadziwia postęp, jaki w krótkim czasie i nagle uczyniła umysłowość, zarówno winniśmy pochwały naszym autorom za doskonałość stylu, za oczyszczenie smaku podług zagranicznych przykładów. Poezya podniesioną została do godności sztuki; nie wolno było zaniedbywać jéj istotnych prawideł tak jak w poprzednim okresie, gdzie przybierała kształty surowéj natury, a nieraz i barbarzyństwa. Nawet w porównaniu z wiekiem XVI wyższość pod względem formy pozostanie przy poezyi Stanisława Augusta. W tamtych czasach wyjątkami byli poeci z artystycznem poczuciem, jak Jan Kochanowski albo Szymonowicz,—w epoce, o któréj mówimy, zasady sztuki stały się prawem powszechném, zrosły się z pojęciami poetów i stały się normą wymagań ze strony czytelników.

Z tego pod pewnym względem cudzoziemskiego pochodzenia literatury wypływa także jéj niezwyczajny stosunek do ogółu narodu, stanowiący jedno z jéj charakterystycznych znamion. Większość ówczesnego społeczeństwa stała jeszcze na innym stopniu cywilizacyi i żyła w innéj sferze duchowéj niż tych kilkudziesięciu pisarzy, którzy mogli

liczyć jedynie na poparcie szczupłego grona zwolenników, wykształconych na sposób zagraniczny. Literatura wzięła sobie za zadanie narzucić téj większości pojęcia zkądinąd zaczerpnięte, a wykorzenić z niéj wiele z tych, które przez długie lata stały się dla niéj naturą i rzeczą uświęconą. Tym sposobem utrzymał się w niéj ciągle charakter reformatorski, opozycyjny i zaczepny. Ta okoliczność była również przyczyną, że ludzie używający pióra ujrzeli się w pewném odosobnieniu od reszty społeczeństwa, przyzwyczaili się uważać siebie za osobny obóz względem wspól [illegible] zy swoje szeregi, po raz pierwszy w Polsce utworzył [illegible]

Literatura, wystę [illegible] publiczny z podobném przedsięwzięciem i uorganizow [illegible] stopnia w jedno ciało, stała się potęgą, z którą opinie [illegible] ary rachować się musiały. Powtórzyło się w tym cza [illegible] go przedtém jedynie w czasie reformacyjnych walk [illegible] ładу. Wszelkie myśli i plany, szczególniéj ze strony [illegible] hem ożywionych, torowały sobie zwyczajnie drogę d [illegible] przód przez pióra poetów i publicystów. Ztąd to ut [illegible] o np., który odbierał natchnienie od króla, są przewa [illegible] cznéj; ztąd także uważał Niemcewicz za stosowne przy [illegible] komedyą „Powrót posła" umysły do zmian w urządzeniu Rzplitéj, jakie konstytucya 3 maja miała zaprowadzić. Niektórzy posądzają z tego powodu tę nową literaturę o kokieteryjność; nie możemy jednak potwierdzić tego zdania, bo trudno dopatrzéć w naszych pisarzach chęci stania się narzędziem stronnictw i frakcyj, a témbardziéj osobistych interesów. Tu i owdzie zdarzyły się wprawdzie podobne wypadki, ale wogóle cała ta literatura tworzyła tylko jedno stronnictwo postępowe, przepełnione najlepszemi chęciami, prostujące albo karcące błędne pojęcia tych, którzy bądźjakbądź przy starym porządku rzeczy pozostać pragnęli. W znacznéj części ci nowatorowie dopięli swego celu; ich zasady, chociaż powoli, wsiąkały w ogół. Prawdą jednakże jest i to, że przez czas długi prowincye oddalone od Warszawy nie doznawały i nie chciały uznać tego wpływu i sama Warszawa scentralizowała w sobie działalność literacką i jéj skutki, zjawisko, które w dawniejszych czasach nigdy się nie pokazuje.

Podobnie jak o kokieteryjność, bywa niesłusznie posądzaną ta literatura o brak narodowości i o chęci wynarodowienia Polski. Zarzuty tego rodzaju słyszeć się dają zarówno od ludzi, którzy, broniąc osobistych lub kastowych interesów, musieli potępić tę literaturę za jéj wolnomyślne pojęcia, jak i ze strony tych, którzy, nie umiejąc zrobić różnicy między naszym a XVIII wiekiem, chcieliby w upłynioném stuleciu znaléźć podobne pojęcie o narodowości, jakie my dzisiaj posiadamy. Jak jednym tak i drugim podają niektóre strony stanisławowskiéj literatury gotową broń do ręki.

Literatura ta, jak powiedzieliśmy, pod względem treści i formy zapożyczyła się wiele u Francuzów. Jednakże musimy to wziąć na uwagę, że niema podobno literatury ani wieku, któryby podobnie nie czynił. Wymiana i przyjmowanie obcych myśli i pojęć wciąż się odbywały i odbywają w powszechnéj literaturze europejskiéj, i zdaje się, że

rozstrzygnięcie kwestyi o narodowość zależy najczęściéj od zastosowania, jakie się robi z temi obcemi nabytkami. Ośmielimy się zatém powiedzieć, nawet wbrew znakomitym powagom, które co innego utrzymują, że tego rodzaju wyroki o epoce Stanisława Augusta wypływały jedynie z tego, że pozór brano za rzecz istotną. Pisarze XVIII wieku, pomimo francuzkiéj powierzchowności ich utworów, pomimo zasad z francuzkiéj filozofii i cywilizacyi czerpanych, byli jednakże nawskróś narodowymi, nie mniéj wcale jak pisarze zygmuntowscy, pomimo ich starożytnego zakroju i pokostu, a może więcéj niż pierwsi romantycy, którzy wyobrażenia zkądinąd brane udawali za własne i ojczyste. Mają oni zawsze na myśli swój kraj i naród; jego dobro i potrzeby są celem, którego nigdy nie tracą z oka; to, co piszą, zrośnięte jest z rzeczywistością i z życiem, którego każdy objaw odbija się w ich utworach, albo téż przez nie bywa sprowadzony. Jedném słowem, Rzeczpospolita i jéj sprawy są ustawnym, prawie jedynym, a w każdym razie najgłówniejszym przedmiotem ich pism i myśli. I nie mogło być inaczéj w téj literaturze, która z góry sobie ten cel wyznaczyła, aby oświecić naród i wpłynąć na jego odrodzenie. Pod jéj cudzoziemską niekiedy szatą bije serce szczero-polskie; ich pojęcia, wykształcone przez zachodnią cywilizacyę, zmierzają do przelania w naród nowéj siły i życia. Ztąd także znamieniem téj literatury jest wielka jéj żywotność, któréj w żaden sposób nie można zaprzeczyć, jeżeli tylko weźmiemy na uwagę ten wielki wpływ, jaki na swoje społeczeństwo wywarła. Chociażby z tego tylko jednego względu musi upaść zarzut nienarodowości: literatura, pozbawiona narodowéj podstawy, nie znajdzie między narodem odgłosu, i zamiast go kształcić i przeobrażać, pozostanie sztucznym cieplarniowym płodem, który utrzymuje przy życiu amatorstwo pewnéj liczby wykształconych umysłów.

Pod względem czysto literackim i naukowym postęp téj literatury, szczególnie w porównaniu z najbliższą przeszłością, był ogromny i w zadziwienie wprawiający. Jak z mózgu Jowisza zbrojna Minerwa, tak ona wynurzyła się nagle i niespodzianie z ducha narodu w powabnéj i uszanowanie wzbudzającéj postawie. Dzieła pisane za czasów Stanisława Augusta są dzisiaj jeszcze składem wiedzy i mądrości, mianowicie co do politycznych stosunków i stanu Rzplitéj. Oczyszczenie języka, wyrobienie smaku, nadanie pięknych form stylowi, tak w prozie jak i w poezyi, są to zasługi, które zawsze pozostaną zaszczytem tego okresu, a których nawet jego przeciwnicy odmówić mu nie mogli. Pracą i talentem takich mężów jak Krasicki, Naruszewicz, Trembecki albo Staszyc, wynagrodziła literatura to długie zaniedbanie się i stanęła narówni z innemi narodami Europy.

Wypadki polityczne, nagła a nieszczęśliwa katastrofa powstrzymała w biegu tę pracę tak gorliwie i z takim skutkiem rozpoczętą. Z utratą niepodległości utraciła Polska zarazem naturalną podstawę rozwoju swojéj cywilizacyi, jaką daje życie polityczne, nieskrępowane przemocą. Pisarze stanisławowscy, którzy z najlepszemi nadziejami wzięli się kiedys do dzieła, zostali tém nieszczęściem osobiście dotknięci; wypadły im pióra z ręki, jako bezużyteczne narzędzie. Przez kilka lat

czynność literacka prawie zupełnie ustała; z drugiego końca Europy dochodziły tylko głuchém echem pieśni legionów tęskniących do ojczyzny. W kraju z powszechnéj ruiny chciano uratować przynajmniéj język i zabytki przeszłości. W téj myśli zawiązało się w Warszawie pod rządem pruskim Tow. prz. nauk, które skupiło znowu w sobie rozpierzchłe przez jakiś czas siły umysłowe. Podobna instytucya była wówczas konieczną potrzebą, bo Warszawa, rojąca się niedawno od literatów i żyjąca w pełni życiem umysłowém, jak gdyby w szale po odniesionych klęskach, oddała się jedynie lekkomyślnym zabawom i uciechom.

W tym samym czasie, na większe rozmiary i z nierównie większym skutkiem niż Tow. prz. nauk, ratowali narodowość i oświatę polską dwaj mężowie: ks. A. Czartoryski i genialny T. Czacki. Za ich wpływem i staraniem zezwolił cesarz Aleksander na wskrzeszenie w zmienionéj postaci uniwersytetu wileńskiego i na założenie liceum w Krzemieńcu, a późniéj w Kijowie. Prócz tego założył Czacki na Wołyniu, Podolu i Ukrainie mnóstwo szkół początkowych. Nigdy przedtém, ani potém, nie było w tych stronach tyle światła [1]).

Uratowanie narodowości w przechowaniu ojczystego języka i narodowéj przeszłości było głównym celem wszystkich myślących ludzi owego czasu. Oddano się zatém najwięcéj badaniu historyi ojczystéj, i z tych czasów, chociaż dokończenie Dziejów Naruszewicza w małéj tylko części i niezupełnie szczęśliwie się powiodło, posiadamy wiele dzieł, które pozostaną na zawsze chlubą literatury (Hugo Kołłątaj, Czacki, Jan Potocki). Nie tak szczęśliwe były inne gałęzie piśmiennictwa, a mianowicie poezya. Zabrakło jéj najpierwszego warunku, t. j. życia politycznego, i nie miała gruntu, z któregoby ciągnęła pożywne soki. W pierwszych latach XIX w., oprócz patryotycznych wierszy legionistów w dalekich krajach, mamy tylko tłumaczenia Przybylskiego i Dmochowskiego, którzy arcydzieła różnych i niepodobnych do siebie wieków i narodów tłumaczyli na jeden i ten sam konwencyonalny sposób. Ta konwencyonalność, zapuściwszy raz korzenie, szerzyła się coraz więcéj w poezyi. Napozór w czasach księztwa warszawskiego i późniejszych, kongresowego królestwa, miała być poezya dalszym ciągiem tego, co w okresie Stanisława Augusta powstało i wyrosło. Wzory pozostały też same; klasyczni poeci francuzcy nadawali ton i byli naśladowani przez naszych poetów, jak Osiński, Koźmian, Feliński i Wężyk. Wistocie jednak wielka teraz zaszła zmiana. Tym nowszym poetom brakuje wogóle życia i znać na nich wielki odskok od rzeczywistości. To, co stanowiło siłę stanisławowskich poetów, co rozbudzało ich natchnienie, zniknęło dla ich następców. Nie mieli przed sobą wielkiego celu, do jakiego tamci zawsze zmierzali, nie mieli na sercu tych rozmaitych interesów, w imieniu których tamci walczyli. Kilka patryotycznych ód

[1]) Za przykładem tych dwóch mężów zaczęły inne znakomite domy zbierać narodowe pamiątki (jak świątynia Sybiili w Puławach), tworzyć zakłady naukowe (Ossolińskich), zgromadzać prywatne biblioteki.

jest jedynie oznaką zajęcia się poezyi publicznemi sprawami. Zresztą oderwali się ówcześni poeci od krajowych stosunków, najwięcéj może z tego powodu, że uczynić inaczéj nie było im wolno,—albo téż zwrócili się ku przeszłości, kiedy obecność nie dawała przedmiotów natchnienia. Jak w XVIII wieku panującemi formami poezyi były satyra i bajka, tak teraz przeważyły poemata opisowe i tragedye. Wolter i Russo zastąpieni zostali przez Delilla i Rasyna. Poezya nasza w tym kształcie miała podobieństwo do czasów Ludwika XIV we Francyi, i można powiedzieć, że wpływ literatury francuzkiéj działał u nas w odwrotnym kierunku, t. j. że wprzód zaczęliśmy ulegać wpływowi klasycyzmu z jego drugiéj epoki, a potém dopiero naśladowaliśmy taki, jakim był w swoich początkach. Idei filozoficznéj ani politycznéj, tak jak za czasów Stanisława Augusta, w téj poezyi nie było; została w niéj tylko idea estetyczna i historyczna. Pierwszą posunięto do przesady; nigdy może jak wówczas nie uznawano do tego stopnia zasady sztuki dla sztuki; poezyę ujęto w tak ścisłe karby i granice, że w nich wyzionęła prawie ducha; forma zewnętrzna stała się jedynym celem i najwyższą chlubą. Równie niekorzystnie wyszła i idea historyczna. Badanie dziejów nazbyt jeszcze było podówczas świeże, nie odtworzono jeszcze fizyognomii minionych wieków z ich szczególnemi cechami i charakterem. Dlatego postacie naszych dramatów historycznych z tych czasów nie mają na sobie ani dziejowych, ani narodowych znamion, ani ich tło nie zgadza się z temi wyobrażeniami, jakie dziś o przeszłości posiadamy. Przy ogólnie panującéj konwencyonalności w poezyi nie lepiéj musiała wypaść także czysto-ludzka, psychiczna strona tych tragicznych bohaterów, tak, że te utwory, nie bez wpływu w swoim czasie na patryotyczne uczucia publiczności, robiły i robią dzisiaj jeszcze wrażenie tylko przez patetyczną i pełną retoryczności deklamacyę. W podobny sposób pojmował i odtwarzał historyę także i romans, który u nas na wzór Walter-Scotta pisać poczęto.

Dwaj poeci różnili się w owych czasach od panujących wyobrażeń: Woronicz i Niemcewicz. Oni obaj posiadali to, czego brak przyprawiał innych poetów o martwość i konwencyonalność,—posiadali gorące uczucie bieżących wypadków i losów kraju. Dlatego myśl ich nie oderwała się na podobieństwo innych od rzeczywistości, a w wysłowieniu rzeczy leżących na sercu społeczeństwa widzieli oni większą zaletę, niżli w zadosyćuczynieniu przepisom poetyki Boala i Horacego. Niemcewicz przez cały swój długi poetyczny zawód posiadał tę giętkość umysłową, przy pomocy któréj umiał się przejąć interesami i duchem epoki; Woronicz zaś pojmował poezyę jako prorockie namaszczenie i z tego powodu obcym musiał pozostać manierowanéj i nazbyt sztucznéj poezyi swoich czasów.

Niezaprzeczoną zaletą tych dwóch pierwszych dziesiątków lat bieżącego stulecia pozostanie wykształcenie mechanizmu językowego do wysokiéj doskonałości. Pod tym względem postąpiono daléj niż w okresie Stan. Augusta; wzbogacono język nowemi wyrazami, wyrzucono z niego te łacińskie naleciałości, których używali jeszcze stanisławowscy pisarze; stylowi w prozie nadano potoczystość i dźwięczność okresów,

a w poezyi dosadność i zwięzłość wyrażenia. Późniejszym pisarzom z epoki romantycznéj dostał się już gotowy ten spadek do ręki, i nie można wątpić, że bez niego, pomimo szerszych i żywotniejszych pojęć, nie byliby z takim skutkiem wpłynęli na świetność literatury.

Od r. 1815, w czasie najświetniejszych tryumfów klasycznéj szkoły, zaczynają się tu i owdzie wykluwać nowe wyobrażenia. Dostaje się do Polski zrazu wieść głucha i niezrozumiana o romantyczności, która w Anglii i w Niemczech stanowczy przewrót literatury sprawiła. Pisma czasowe zaczynają umieszczać o tych wypadkach niektóre wiadomości, podawać rozprawy o tym nowym kierunku poezyi, a wreszcie w prasie peryodycznéj i książkowéj pokazują się od czasu do czasu przekłady utworów nowym duchem owianych. Ogół publiczności nie pojmuje tego zjawiska, nie wie, co to jest ta romantyczność, któréj samego nazwiska zrozumiéć nie może; literaci widzą w niéj jakiś wymysł filozofii niemieckiéj, pomieszanéj ze średniowiecznéin barbarzyństwem. Jan Śniadecki, jedna z największych powag naukowych, rzuca groźny wyrok potępienia na sprawę, która bynajmniéj pod sąd matematyka i fizyka nie należała. Ale dezercya z pod sztandarów klasycyzmu objawia się nawet w gronie naszych już pisarzów. Brodziński podejmuje rzuconą przez Śniadeckiego rękawicę i pisze obronę romantyczności, wystawiając jéj znaczenie i dążność. Odtąd zaczyna się ten spór tak sławny w naszéj literaturze. Klasycy upierają się przy swojém, dąsają się na nowatorów i czynią ich przedmiotem żartów i szyderstwa; nowatorowie swoją drogą postępują wręcz daléj, rozszerzając z każdym rokiem koło swych zwolenników. Na uniwersytecie warszawskim Osiński i Brodziński wykładają równocześnie zasady literatury, każdy ze swego stanowiska. Filozofia niemiecka, a mianowicie jéj część estetyczna, zaczyna przechodzić w pojęcia i tém się staje dla nowéj szkoły, czém dla XVIII wieku była filozofia francuzka. Badania historyczne, docierające do jądra narodowości przez bliższe poznanie ludu i jego zwyczajów, jak to czynił Zoryan Chodakowski, przyczyniają się ze swojéj strony do poparcia zasady romantyczności.

Przez pewien czas jednakże romantyczność nie posiadała u nas świadomości siebie saméj. Jeszcze dla Mickiewicza, jak to napisał w przedmowie do swych ballad i romansów, ciemny był ostateczny cel téj poezyi. Klasycy widzieli w niéj tylko naśladowanie Niemców i Anglików, których nie chcieli uznać za wzory doskonalsze od francuzkich, a romantycy pierwszemi swemi utworami potwierdzili po większéj części to mniemanie. Na Malczeskim i Goszczyńskim widać wpływ Byrona, a na Mickiewiczu w początkach jego zawodu wpływ niemieckich poetów. Pomimo to, przeczuwano w romantyczności siły dotychczas nieznane, które literaturze i oświacie nowe miały nadać życie i podnieść naród duchowo. Cała młodzież zaciągnęła się pod jéj sztandary, a za nią poszła większość narodu. Mochnacki i Grabowski wyświecili teoryę nowéj poezyi i na przykładach z dzieł już przez nią dokonanych wykazali jéj wyższość nad wrzekomym klasycyzmem. Ujrzano w niéj rozbudzenie się narodowego ducha i wezwanie do objawienia jego siły na polu czynów. Wiadomo powszechnie, jak wiele ruch romantyczny

wpływał na powstanie 29 listopada. „Konrad Wallenrod” i „Oda do młodości” były pobudką i hasłem dla ludzi, którzy je rozpoczęli. K. Koźmian w swych pamiętnikach nazywa Mickiewicza wajdelotą téj rewolucyi.

Rok 1830 jest także epoką stanowczą dla literatury. Klasycyzm ustępuje zupełnie z pola, nie mogąc się ostać wobec romantyczności, która dowiodła swéj siły i wpływu nad narodem. Z drugiéj znów strony romantyczność przychodzi do samowiedzy i poznania swego prawdziwego przeznaczenia, również wskutku tego politycznego faktu. Odtąd nabywa ona przekonania, że powinna się stać narodową, że zwrot ku wiekom średnim, jaki w zagranicznych literaturach uczyniono, był tylko sięgnięciem do źródła narodowości i chwilowym manewrem do odparcia francuzkiego klasycyzmu. Odtąd także znikają w naszéj literaturze klasyczne tragedye, poemata dydaktyczne, satyry i bajki, podobnie jak ballady, romanse i tryolety, niemające nic wspólnego z naszym duchem i dziejami. Na ich miejsce występuje poezya, czerpiąca natchnienie albo z wypadków bieżących, z pojęć i uczuć poruszających sercem żyjącego pokolenia, albo téż zasilająca się spuścizną przeszłości, któréj naturę i rysy charakterystyczne wiernie odtwarza. Tym sposobem przywrócony został związek z rzeczywistością, przerwany na chwilę, albo słabo utrzymywany przez klasyków na początku tego stulecia, a chociaż życie polityczne narodu nie powróciło, poezya ten brak umiała zawsze wynagrodzić. Pojęła ona, że te narody, które nie mają własnych rządów, żyć jeszcze nie przestają i mają swoje dzieje, jeśli nie utracą swego ducha i poczucia narodowości. Ztąd losy narodu, jego myśli, pragnienia, cała jego moralna istota, odzwierciadlają się w téj poezyi i literaturze, do któréj romantyczność była tylko pierwszym krokiem i pobudką, a co więcéj duch narodowy, przeszedłszy w ciągu kilku wieków przez niejedną szkołę, wykształciwszy się na różnych wzorach, doszedł do samodzielności i dojrzał tak, że więcéj niż kiedykolwiek pokazał się zdolnym do oryginalnego tworzenia. Wiele z tych rzeczy, które po r. 1830 napisali nasi poeci i powieściopisarze, jest zupełnie niepodobne do tego, co wydały inne europejskie literatury; jest-to własność wyłączna polskiego ducha, która mu w świecie umysłowym oddzielne nadaje stanowisko.

*Lwów, 1869.*

---

# O NARODOWYM CHARAKTERZE I ZASŁUGACH LITERATURY Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA.

Wielka jest różnica między nazwą złotego wieku, nadawaną literaturze Stanisława Augusta, aż do czasu pojawienia się u nas romantyczności, a nazwą pseudo-klasycyzmu, jaką ochrzczono tęż samą literaturę po zwycięztwie przez nową szkołę odniesioném. Kiedy w XVIII

i w początkach XIX wieku mówiono i wierzono powszechnie, że od czasów Kochanowskiego drugim prawdziwym poetą w Polsce był dopiero Krasicki, w r. 1830 Mochnacki, wprowadzając nowych wieszczów na Parnas narodowy, strącał ich poprzedników z tronu przez pół wieku zajmowanego uroczystém i bezwarunkowém orzeczeniem, iż oni nie są poetami. Nawet już późniéj, kiedy ochłódł zapał walki, kiedy na placu pozostali tylko zwycięzcy, a dawne wyobrażenia stały się już niepowrotną przeszłością, wobec któréj ginie wszelka zawziętość i namiętność, z katedry kolegium francuzkiego w Paryżu odzywał się Mickiewicz z pewnćm uprzedzeniem i nieukrytą pogardą dla epoki Stanisława Augusta. Dzisiaj tę epokę spotyka los może jeszcze gorszy—obojętność. Literatura nowsza, odbijająca najgorętsze nasze uczucia, poruszająca żywotne dla nas kwestye, całego naszego ducha objęła w posiadanie. W czasy minione bardzo rzadko spoglądamy, jakby nam się zdawało, że od dziś dnia dopiero istniejemy; pokładamy nieograniczoną ufność w przyszłości i sądzimy, że niema ani jednego głosu w tych umarłych pokoleniach, któryby mógł być naszym przewodnikiem i doradzcą. W rzeczy saméj nie znalazłby się może ani jeden między dawnymi poetami i pisarzami, któryby wytknął drogę przyszłości i był dla nas tém, czém naprzykład Dante dla Włochów—genialnym duchem, postępującym na czele każdego nowego pokolenia. W ciągu swego politycznego bytu i po jego upadku przebyliśmy tyle rozmaitych przewrotów umysłowych i tyle doznaliśmy zmian losu, żeby nam nie wystarczała jedna gwiazda polarna, choćby nawet był między naszymi nauczycielami umysł tak genialny jak Dantego. Nikomu z ludzi żyjących w wieku XVI nie przeszło przez głowę, co jego naród może spotkać we trzy wieki późniéj. Mimo to obejrzéć się za siebie idąc naprzód, poznać drogi przeszłości dążąc w przyszłość, porównać swoje wyobrażenia z pojęciami o téjże saméj rzeczy dawniejszych ludzi, nietylko ciekawém jest zatrudnieniem dla badaczów, z chęci wiedzy i oświecenia przerzucających stare księgi, ale byłoby również zbawienne dla ludzi żyjących wyłącznie w teraźniejszości, dla ludzi, którzy jeśli nie występują przeważnie na polu czynów, to przynajmniéj wyrabiają zasady i pojęcia, przechodzące w ogół narodu. Nieraz już uczyniono sprawiedliwą uwagę, że obecna nasza literatura zbyt jest jednostronną i jednokierunkową: toż samo da się powiedziéć o naszych wyobrażeniach politycznych i społecznych. Sądzimy, że znaleźliśmy prawdę, skoro tylko ujrzymy jéj jednę, choćby maleńką cząstkę, i nie mamy ochoty posunąć się o kilka kroków w jednę lub drugą stronę, stanąć na inném miejscu, aby z różnych stron spoglądać na postać téj bogini.

Mało jest zdań tak powszechnie przyjętych i z taką wiarą przyjmowanych jak mniemanie, iż literatura Stanisława Augusta nie była narodową.

Zdanie to pochodzi od pierwszych czasów romantyczności. Nie dziwimy się bynajmniéj temu, iż ono wówczas powstało, ale nie możemy sobie wytłumaczyć, dlaczego do dziś dnia się utrzymuje. Romantyczność mogła cóś podobnego powiedziéć, tak jak w ciągu procesu jedna z prawujących się stron może bardzo łatwo uczynić jakiś zarzut

stronie przeciwnéj, patrząc się na rzeczy jedynie ze swego stanowiska, chociaż w dalszym przebiegu sprawy sędziowie się przekonają, że zarzut ten był stronny, a zatém niesłuszny. Tego wyobrażenia o narodowości, jakie miała romantyczność, nie mógł miéć okres pseudo-klasyczny, tak jak go również nie miał ani wiek XVII, ani nawet złoty wiek zygmuntowski. Narodowość przed wiekiem XIX ograniczała się na jednym stanie, który stanowił całe społeczeństwo, cały naród; w literaturze zaś nikogo to nie raziło w oczy, jeśli myśli i zdania tego jednego stanu powleczone były pokostem starożytnego, klasycznego ducha. Dotychczas nikt podobno nie posądzał naszych pisarzy z XVI wieku o brak narodowości, a przecież wobec dzisiejszych pojęć stoją oni pod tym względem zupełnie narówni z literaturą Stanisława Augusta. I jednym i drugim obcém było zarówno to pojęcie narodowości w literaturze, jakie przynosi tu ze sobą romantyczność, szukająca źródła i pierwiastku narodowego nie w tych klasach społeczeństwa, które mniéj albo więcéj były zawsze wystawione na działanie powszechnéj cywilizacyi, ale w najniższych warstwach narodu, gdzie tradycya i duch narodowy utrzymać się mogły bez skazy w pierwotnéj czystości. I nie można brać za złe literaturze XVIII wieku, iż tego nie uczyniła, bo do tego postępu, do tego rozszerzenia granic narodowości, raczéj do prawdziwego jéj utworzenia, potrzeba było innego porządku rzeczy na świecie, potrzeba było wiele przewrotów politycznych i umysłowych, potrzeba było takiéj rewolucyi francuzkiéj, która pierwsza wypowiedziała ideę narodowości i w łono narodu przyjęła stany, dotychczas stojące na uboczu albo z pogardą odpychane... O tém wszystkiém pisarze Stanisława Augusta zaledwie słabe mieli przeczucie.

Po raz drugi czyniąc tu porównanie między temi epokami, musimy i teraz powtórzyć, że nikt ani za swoich czasów, ani późniéj nie wyrzucał zdrady przeciwko narodowości naszym zygmuntowskim pisarzom, chociaż ci występowali ze zdaniami Lutra i Kalwina, podobnie jak pisarze Stanisława Augusta, lubo daleko skromniéj i nie tak śmiało dawali w swych pismach do poznania, że im nie są obce zasady Woltera i encyklopedystów. Któż z nas dzisiaj nie przyzna, że dobrymi Polakami i z charakterem nawskróś narodowym byli taki Rej, Modrzewski albo Orzechowski? A przecież gdybyśmy ich chcieli sądzić podług miary z epoki Sasów, podług owego fałszywego ideału o charakterze narodowym, możeby więcéj jeszcze nie odpowiedzieli wymaganiu niż Trembecki albo Węgierski.

Ci to filozofowie francuzcy, którzy niemały wywarli u nas wpływ na najlepsze umysły XVIII wieku, ściągnęli na swoich adeptów największą burzę i najsurowszy wyrok potępienia. Chcąc stawać w obronie naszych pisarzy, należałoby może rozpocząć od obrony téj nad słuszność osławionéj filozofii, ale czujemy aż nadto słabość swoich sił pod tym względem i poprzestaniemy na przytoczeniu kilku słów skreślonych przez człowieka, którego rozum i bezstronność dają wszelką rękojmię prawdy. „Byli to ludzie (powiada lord Macaulay o filozofach francuzkich XVIII w.), którzy, obok wszystkich swoich moralnych i umysłowych błędów, pragnęli szczerze i usilnie poprawić dolę rodu ludzkiego;

którym wrzała krew w żyłach na widok okrucieństwa i niesprawiedliwości; którzy walczyli jako męże, wszelkiemi siłami ducha, przeciw temu, co w ich oczach było nadużyciem; którzy nie w jednéj ważnéj sprawie stawali wpośrodku między potężnymi a uciśnionymi..." Ci filozofowie zatém nie musieli być tak straszni, jak ich nieraz malują niedorośli adepci filozofii i powieściopisarze. Dlaczegóżbyśmy także mieli wyrzucać naszym pisarzom z XVIII wieku ich filozofię i wolnomyślność, zwłaszcza kiedy oni, nie podnosząc skrajnych i w ostateczność niekiedy popadających zasad filozofii francuzkiéj, wzięli z niéj, można powiedzieć, to tylko, co było najlepsze: chęć rozszerzenia oświaty i wolności w celu ratowania ojczyzny?

Bo to, a nic innego było ich celem. Widząc swój naród na krawędzi przepaści, pragnęli go powstrzymać od zguby. Środki, jakich ku temu używali, były bezwątpienia najodpowiedniejsze i najzbawienniejsze, jeżeli prawdą jest, że chcąc ratować czy pojedyńczego człowieka, czy cały naród, trzeba rozpocząć pracę od wewnątrz, od krzepienia i oczyszczenia ducha. Ta droga prowadziła prosto do celu. Polska odrodzona na umyśle, Polska rozumna, rządna i wolna nie w jednym tylko stanie, ale we wszystkich klasach społeczeństwa, byłaby zdolną stawić czoło wszelkim zewnętrznym napaściom i nie dopuścić naruszenia swéj niepodległości. Czyliż tym ludziom myślącym i piszącym możemy przypisać winę, że tak się nie stało, czy im możemy nawet czynić wyrzuty, że do niestosownych udali się leków? Wypadki polityczne szły nagłym, przyśpieszonym krokiem i na samym początku ich dzieła powstrzymały naszych pracowników i zniszczyły ich robotę przynajmniéj w części, to jest o ile ta miała polityczne cele na oku. Nie przeczuwali oni bezwątpienia, że katastrofa nastąpi tak rychło, z zadziwieniem i trwogą ujrzeli nagle, że grom przed ich nogami pada — wtenczas, kiedy oni daleką jeszcze drogę widzieli przed sobą. Ich nadzieje zostały zawiedzione, ich usiłowania spełzły na niczém, ale przy nich zostanie chwała, że mieli chęć i odwagę zabrać się do dzieła, że nie tracili nadziei we własne i narodu siły, porzucając owe nierozsądne zaufanie, zakorzenione w narodzie w czasach największego nierządu, a poniekąd trwające do dziś dnia, że bez naszego współdziałania, bez pracy nad rozwinięciem sił ducha i środków materyalnych, zbawi nas od wszystkiego złego — cud Opatrzności!

Innym sposobem chciała ratować ojczyznę konfederacya barska i powstanie Kościuszki, ale równym sposobem nie spełniły swego zamiaru. Dlaczego? Bo narodowi brakowało tego, co mu pragnęli wlac w ducha myślący ludzie XVIII wieku, bo klątwa dawnych nałogów i błędów, przedstawianych i dawniéj i teraz częstokroć jako właściwości naszego charakteru, ciężyła jeszcze nad nim i paraliżowała najlepsze w gruncie zamiary. Chcąc się ratować, należało najprzód wyjść z tego zaczarowanego koła, a powtarzamy: pisarze XVIII wieku chcieli z niego wyrwać swój naród.

Potrzeba reformy politycznéj w Polsce oddawna czuć się dawała; jeszcze w XVI wieku wołano głośno o naprawę Rzplitéj. Powszechném było poczuciem, że organizm Rzplitéj nie jest dość silnie zbudowany;

stosunki rządzących stanów do siebie były dość luźne, nieobwarowane pewnemi prawami, ztąd cały ustrój wewnętrzny cierpiał na chaotyczny niepokój i wystawiony był na ciągłą walkę równych co do siły żywiołów. Tylko wielka rewolucya, przechylająca szalę na jednę lub na drugą stronę, mogła położyć koniec temu stanowi. Do tego jednak nie przyszło. Ponawiające się rokosze, walki sejmowe między tronem a narodem, wreszcie zrywanie sejmów utrzymywały Rzplitę w ciągłéj gorączce, nie sprowadzając jednak stanowczéj kryzys. Przyzwyczajono się wreszcie do tego stanu rzeczy i zaczęto go uważać za normalny. Dopiero przeobrażenie umysłowe, jakiego Polska doznała w drugiéj szczególnie połowie XVIII w., zdobyło się na krok więcéj od wszystkich dawniejszych stanowczy i najwięcéj zbliżony do téj rewolucyi, która Rzplitę mogła była ocalić. Konstytucya 3 maja była bezwątpienia największą reformą ze wszystkich projektowanych i poczynanych w celu naprawy Rzplitéj.

Ale nic dziwnego. Wiek XVIII, na którym ciężyło całe brzemię od paru wieków nagromadzonych błędów i nadużyć, musiał najsilniéj czuć potrzebę zwalenia ze swych bark tego ciężaru. Nigdy różnica między Polską a resztą Europy nie uderzała więcéj w oczy. Europa przeobrażała się pod względem umysłowym i politycznym, w Polsce widoczny był zastój i zacofanie się. Ogół narodu nie wiedział o tém, ale znaleźli się ludzie, którzy rzuciwszy wzrokiem poza granice swego kraju, uczuli zarazem konieczność nastrojenia się do ogólnéj harmonii europejskiego społeczeństwa. W ten sposób powstali reformatorowie XVIII w. i taką była ich myśl, myśl zresztą nienowa i nie pierwszy raz się pojawająca. Dążyć za resztą Europy było stałém prawem naszéj historyi i cywilizacyi od czasów związania się z Zachodem przez wspólność religii. Na mocy tego prawa powstała u nas królewskość w miejsce sławiańskiego gminowładztwa, przeniosła się do nas z nad Renu filozofia scholastyczna, na mocy tego prawa podniosło naszą literaturę odrodzenie i rozpaliła umysły walka reformacyjna. Jednę tylko możnaby znaléźć różnicę w tém podążaniu za innymi między XVIII wiekiem a dawniejszemi. Przez ciąg całych średnich wieków, a następnie i w początkach nowożytnéj historyi, jak w wieku XVI najwyższym ideałem tak umysłowego rozwoju jak i politycznego porządku rzeczy był zarówno dla reszty Europy jak i dla Polski świat starożytny, a mianowicie państwo rzymskie. W wieku XVII to zapatrywanie zmieniać się poczęło. Ludy europejskie dochodziły do dojrzałości, tworzyły sobie oryginalną, nowożytną politykę i cywilizacyę. Gabinet Ludwika XIV nie miał nic wspólnego z tradycyami Hellady i Rzymu, a Bakon lub Kartezyusz rozpoczynali filozofować na nowo i na własną rękę, wyłamując się z pod powagi Arystotelesa. W XVII wieku zyskała Francya taki wpływ i urok w oczach całéj Europy, jakiego dotychczas nie posiadało żadne nowożytne państwo, nie wyjmując nawet świętego rzymskiego cesarstwa. Stanąć zatém o ile możności narówni z resztą Europy znaczyło i dla naszych reformatorów tyle, co zbliżyć się jaknajwięcéj do Francyi.

Nie potrzebujemy powtarzać, że ta reforma miała u nas podwójny kierunek: umysłowy i polityczny, i dla nieuchybienia prawdzie wspo-

mnimy tylko, że już w XVII wieku czyniono u nas podobne usiłowania. Zamiar zaprowadzenia sukcesyi tronu za Jana Kazimierza wyrósł pod wpływem francuzkiego monarchizmu, a Morsztynowie już w tym samym czasie tłumaczyli francuzkie tragedye. Obie te próby uderzały odrazu w najsilniejsze strony i dlatego może pozostały tylko próbami, po których nastąpiło dosyć długie milczenie aż do chwili, gdzie nie tak głośno i śmiało podjęto znowu zaniechaną na jakiś czas robotę, prowadząc ją z większą usilnością i wytrwaniem.

Nic smutniejszego [illegible] w Polsce w początkach XVIII wieku. Wszyst[illegible] kademickie (t. j. zostające pod zwierzchnością akademi[illegible] znickie i pijarskie wreszcie, nie dawały więcéj światła, j[illegible] ach największéj ciemnoty wieków średnich. Nie było [illegible] n owego świetnego odrodzenia przed półtora wiekiem; [illegible] kuchenną łaciną, ale nie dano poznać wartości ani jed[illegible] ) autora; powrócono do filozofii Dunsa Skota i św. [illegible] d klątwą były nazwiska Kartezyusza i Bakona; nie [illegible] ale wprawiano uczniów do pisania panegiryków na [illegible] wego dygnitarza; wierzono lub przynajmniéj tolerowa[illegible] syzmy i upiory, ale za heretyka miano tego, ktoby się [illegible] doświadczenia fizyczne, a cóż dopiero utrzymywać z Kopernikiem, że się ziemia naokoło słońca obraca. Trudno również o tak nędzne, z wszelkiej żywotnéj siły obrane piśmiennictwo, jak to, które z końcem XVII w. i przez połowę XVIII-go zmarnowało tyle papieru i farby drukarskiéj na puszczanie w świat nizkiém pochlebstwem zaprawnych panegiryków albo lichych tłumaczeń najlichszych zagranicznych romansów, albo wreszcie ascetycznych wierszydeł, przestraszających imaginacyę czytelnika obrazami ostatecznego sądu i piekła, odzierającemi najwznioślejsze ustępy Biblii z ich poezyi przez poziomość lub rubaszność swego języka. Poezya szlachecko-rycerska, satyra polityczna, z których niegdyś tryskało życie narodowe, zamilkły zupełnie — jak gdyby cały naród przemienił się w płaszczących się dworaków i obojętnych na świat anachoretów. Stłumienie ducha było jaknajwyraźniejsze, żadna śmielsza myśl w nim nie postała; sprawy publiczne pozostawiono na Opatrzność; ten tylko może dbał o nie i był ich ciekawy, kto przy nich osobistego zysku mógł się spodziewać; wierzono we wszystko bez braku: i w to co jest prawdą i w to co fałszem, aby tylko w żadnym punkcie nie zgrzeszyć przeciwko wierze. Całe mnóstwo narodu zdało się przemienioném w jednę bezwładną, obojętną na wszystko masę, która w ostatnim razie mogła służyć jedynie za ślepe narzędzie w obcéj ręce, jeśliby ta zbyt wielkich rzeczy od niego nie wymagała. Gdyby Filip II lub nawet nasz Zygmunt III miał był podobnych poddanych, ująwszy im tylko trochę nie zresztą nieznaczącéj buty, byłby zapewne bardzo szczęśliwy i zadowolony ze swego ludu.

W tym samym jednak czasie znaleźli się ludzie, lubo w dość szczupłej liczbie, którzy nie zgadzali się z panującym stanem oświaty i politycznych wyobrażeń. Zrazu były to usiłowania bez wielkiego rozgłosu i wpływu, kończące się na zadowoleniu własnych potrzeb duchowych,

bez narzucania ogółowi przepisów i praw, że powinien dla swego dobra tą a nie inną drogą postępować. Wszystkich tych ludzi owiewał wiatr z Zachodu wiejący i porywał za sobą prąd francuzkiéj cywilizacyi. Na samym krańcu XVII wieku stoi osamotniony w ówczesném społeczeństwie Herakliusz Lubomirski, niepodobny ani do dawnych klasyczno-szlacheckich pisarzy, ani współczesnych sobie panegirystów i ascetyków, chociaż ta różnica pokazuje się w jedném tylko jego dziele, nie ocenioném dotąd podług wartości, t. j. w Rozmowach Artaxessa i Ewandra, bo w reszcie swych utworów, mianowicie w swych wierszach, Lubomirski zadawał kłam własnéj swojéj teoryi. Takiego, jakim go widzimy w tych Rozmowach, musimy załączyć do liczby ludzi nowych, do reformatorów, którzy literaturę i politykę chcieli pchnąć na nowe tory, do ludzi z ostatnich lat czasów saskich i panowania Stanisława Augusta. Wszystko, czego ci pragnęli, znajduje się już w książce Lubomirskiego, lubo w ogólnych zarysach: otrząśnienie się z makaronizmów, zwrot ku literaturom nowożytnym, przyswojenie sobie zdobyczy naukowych przez Europę poczynionych i wreszcie zastosowanie polityki krajowéj do polityki, panującéj wówczas wszędzie z wyjątkiem jednéj Polski. „Podobieństwa wzajemnych interesów czynią przyjaźni stałe i trwałe między królestwami..." powiada Lubomirski na jedném miejscu swych Rozmów. Czyż nie czujemy, wyprowadziwszy z tych słów zawarte w nich wnioski, że to jedno zdanie burzy cały polityczny system, jakiego się trzymała Polska, system oparty na uczuciowości i idealném braterstwie chrześcijańskich ludów...? Z tych kilku słów widać, że Lubomirski bliżéj był duszą Machiavela i Richelieu'go, niżli tradycyi swoich ojców, a ogólna myśl jego politycznego poglądu była taż sama, jaką wypowiedział później w sto lat blizko Staszyc, kiedy przepowiedział Polsce, że „zginie, jeżeli w prawach wolności osobistéj i własności ziemi, jeżeli w ustawie swego wewnętrznego rządu nie będzie stosować się do politycznego krajów związku."

Dzieło Lubomirskiego, gdyby nie było padło na nieprzygotowaną do zasiewów rolę, mogłoby było wielki wpływ wywrzeć na swoje pokolenie. Tego znaczenia nie mogły nigdy dostąpić usiłowania późniejszych trochę nowatorów, jak ks. Józef Aleks. Jabłonowski albo Ulryk ks. Radziwiłł, którzy zbierali książki, zakładali biblioteki i towarzystwa, oddawali się badaniom dziejów z zastosowaniem nowożytnéj krytyki, albo którzy, jak sławny towarzysz Sobieskiego, hetman St. Jabłonowski, niezgrabnym wierszem tłumaczyli Lafontena i Telemaka. Wszyscy oni jednak ułatwiali zadanie przyszłym reformatorom i byli jakby słabym świtem wschodzącéj jutrzenki. Król-filozof Stanisław Leszczyński, Stanisław i Andrzéj bracia Załuscy, wreszcie Stanisław Konarski—wszyscy sobie współcześni i duchem pokrewni, byli przeznaczeni dopełnić albo próbować tego przeobrażenia, jakie Polska zdolną była uczynić w ciągu XVIII wieku tak w życiu politycznem jak i umysłowém.

To, co ci ludzie doprowadzili do skutku, da się streścić w następnych słowach: istniejąca forma rządu została poddana krytyce, uznana za wadliwą pod wielu względami i potrzebującą zmiany w duchu no-

wożytnéj polityki; dawne wychowanie jezuickie zostało sparaliżowane i poczęści przynajmniéj zastąpione postępowém, jakie na się wzięli pijarzy i kolegium Konarskiego w Warszawie; niektóre przesądy i zabobony zostały potępione ze strony władzy duchownéj; powstało w kraju kilka bibliotek prywatnych, pomiędzy któremi biblioteka Załuskich przewyższała ilością książek wszystkie dotąd istniejące w Polsce; makaronizmy w piśmie i w mowie zostały potępione; za wzór dobrego smaku została ogłoszona literatura francuzka. Jak więc widzimy, wszystkie ideje, około których obracała się praca wewnętrzna narodu w ciągu panowania Stanisława Augusta, poruszone były przez tych ludzi jeszcze przed śmiercią drugiego Sasa.

Ówczesne stosunki polityczne Polski przyczyniły się bardzo wiele do przyśpieszenia i wprowadzenia w życie tych reform. Nigdy jeszcze nie zostawała Polska w tak blizkich i nieprzerwanych stosunkach z Francyą, jak w wieku XVIII. Otoczona zewsząd nieprzyjaznemi państwami, w tym czasie tak krytycznym dla siebie, zwracała się z nadzieją pomocy i przyjaźni na Zachód, do państwa mającego interes w jéj utrzymaniu i do narodu sympatyzującego z nią swoim charakterem. Można śmiało powiedzićć, że urok Francyi dla Polski był większy niż dla któregokolwiek innego narodu w Europie; innych pociągała Francya ku sobie wyższością swéj polityki i cywilizacyi, Polaków prócz tego chwytała za serce jako jedyny przyjaciel i obrońca, chociaż więcéj w tém było naszego zaślepienia i ułudy, niżli rzeczywistych chęci i przysług ze strony Francyi. Wszyscy nasi reformatorowie, przez czas dłuższy, po kilka lat przebywali we Francyi, a król Stanisław Leszczyński, otrzymawszy dożywotni tron w Lotaryngii, stał się pośrednikiem pomiędzy obu krajami, który gorliwie nad tém pracował i tego pragnął, aby oświata francuzka jaknajprędzéj i jaknajobficiéj dostawała się do jego ojczyzny. Przyjmowaliśmy zatém tę zagraniczną cywilizacyę nietylko jako konieczność historyczną, ale téż jako dar ofiarowany przez przyjazną rękę.

Nie odrazu jednakże ta literatura francuzka nauczyła nas jak tworzyć swoję własną. Reformatorowie z czasów saskich, jak Konarski, jak Załuski Andrzéj, znali dobrze przepisy estetyków francuzkich i historyę literatury francuzkiéj, nie doszli jednak w swojéj wiadomości do tego stopnia, aby pisać na wzór Francuzów. Wątpimy, aby nieznana oryginalna tragedya Konarskiego „Epaminondas" pokazała się podobną do utworów Kornela i Rasyna, te zaś tragedye, które pisali Andrzéj Załuski lub nawet więcéj od niego zbliżający się do francuzkich wzorów Wacław Rzewuski, niekorzystne dają wyobrażenie o twórczym talencie tych pisarzy i o ich zdolności naśladownictwa. Załuski, który pierwszy wypowiedział głośno i wyraźnie wyższość literatury francuzkiéj, który swojém zdaniem o Atalii, że „jak świat światem nie mieliśmy i miéć nie będziemy piękniejszéj tragedyi" (w Przed. T. II. Zbiór Rytm.), ogłosił niby herold wszechwładne odtąd panowanie nowego smaku i pojęć literackich; pisał, takjak współcześni mu jezuici potwornych rozmiarów i kształtów mysterya o sądzie ostatecznym i znieważeniu Eucharystyi, w tłumaczeniach jedynie niektórych fran-

cuzkich autorów składając hołd wyznawanéj przez siebie teoryi. Podobnie jak on, i inni zajmowali się tylko tłumaczeniami, w których ręką nieumiejętną zacierają artystyczne cechy oryginałów. Daleko jeszcze było do tego, co późniéj za czasów Stanisława Augusta widzimy, kiedy nasi pisarze, odbywszy szkołę u Francuzów, przejąwszy się ich smakiem i zasadami, tworzyli dzieła oryginalne, na których oprócz obcego wpływu znać bardzo wyraźnie samodzielną rękę ich twórców. Przez jakiś czas zatém był to wpływ jedynie bierny—wskazaną tylko była droga, ale nie odważano się i nie miano siły w nią się puszczać.

Za wstąpieniem na tron Stanisława Augusta szły rzeczy przyśpieszonym krokiem, wszystkie okoliczności sprzyjały rozwinięciu się oświaty w nowym duchu. Na tronie siedział król, który ze wszystkich obowiązków, jakie na monarchach ciężą, najzdolniejszym był do tego, który im nakazuje utrzymywać i rozszerzać światło w narodzie. Nie było w Polsce króla, któryby posiadał wyższe i gruntowniejsze od Stanisława Augusta wykształcenie; a nawet kiedy niedługo potém tron jego otoczyło liczne grono zdolnych i uczonych mężów, Stanisław August jako erudyt, jako znawca sztuk pięknych, a nawet jako pisarz (czego mamy dowody np. w jego korespondencyi) nie ustępował z nich żadnemu i mógł się czuć między nimi jako równy między równymi. Z całego téż jego panowania najjaśniejszą kartę stanowi ta, która zawiera dzieje literatury. Mecenasostwo piszących i piśmiennictwa objął człowiek najwyżéj w kraju stojący, od którego spływały łaski i zaszczyty na wszystkie pojawiające się talenta. Zniesienie zakonu jezuickiego usunęło ostatnią tamę nowego porządku w wychowaniu i literaturze, a majątkiem tego zakonu uposażona Komisya edukacyjna, najlepsza w Europie ze współczesnych magistratur naukowych, otrzymała swobodne pole działania. Z jéj ramienia reformowano zakłady naukowe i pisano książki dla młodzieży; wszystkie prawie umysły, które pod koniec bytu Rzplitéj odznaczyły się szlachetnością i zdolnościami, należały do pokolenia wyrosłego pod skrzydłami téj dobroczynnéj instytucyi, wychowanego podług nowych zasad i w duchu postępowym. Klęska poniesiona przez Polskę, kiedy dokonano na niéj pierwszego rozbioru, nie powstrzymała tego ruchu umysłowego, ale owszem dodała mu więcéj siły i znaczenia. Po odebranym od zewnątrz ciosie stało się prawie ogólném przekonanie, że trzeba wzmacniać się na wewnątrz dobrym rządem, przemysłe i oświatą wynagrodzić poniesioną stratę i zabezpieczyć się od drugiéj podobnéj na przyszłość. Wszystkie siły najświatlejszych i najdzielniejszych ludzi były ku temu celowi skierowane, tak, że czas między pierwszym a drugim podziałem jest właśnie epoką najświetniejszą dla literatury i postępu.

*Kraków, 1868.*

---

# PIERWSZY SCENICZNY PISARZ POLSKI.

(Ks. Franciszek Bohomolec S. J.).

Józef Bielawski otworzył swojemi „Natrętami," przerobionemi b… najmniejszego talentu z „Les Facheux" Molier'a, pierwszy publiczn… teatr polski w Warszawie 19 listopada 1765 r. i później wystawił je… cze podobnéjże wartośc… „Dziwaka." Obie te komedye zniknęły b… dzo prędko i niepowrot… a za niemi i autor ich z dziejó… literatury, w któréj jeż… kie wspomnienie po sobie, to n… więcéj dzięki uszczypli… om Węgierskiego, chłoszczący… jego nieudolność i zaro… litości. Niepowodzenie Biela… skiego, brak innych kon… , nietylko oryginalnych ale n… wet tłumaczonych, wys… nię teatralną autora, który z… mując się od niejakiego … dramatyczną i teatrem, nie m… słał wcale o tém i prete… ego nie rościł, żeby zostać kied… Thespisem polskim. W… iem: co umieścić na repertuar… co grać? ci, którzy się z… i wystawieniem sztuk wówcz… zajmowali, przypomniel… ieją jakieś komedye polskie, w i… nym wprawdzie celu a nie na teatr publiczny pisane i liczące już trz… wydania do owéj pory. Były to komedye ks. Franciszka Bohomolca.

Bohomolec (ur. 1720) od lat już kilkunastu (od r. 1752) bawi… w Warszawie jako nauczyciel retoryki w jezuickiem kolegium, pe… niwszy przedtém przez jakiś czas podobny urząd także i w Wilnie. R… toryka w systemie dawnéj edukacyi ważnym była i bodaj nie najwa… żniejszym przedmiotem. Szkoły tamtych czasów to miały głównie n… oku i na to były obliczone, aby kształcić uczniów swoich na przyszłyc… posłów i marszałków sejmów i sejmików, na przyszłych deputatów try… bunalskich. Krasomówstwem i swadą dochodziło się do wziętości i p… wagi między bracią szlachtą, a co zatém idzie, do ziemskich i krajowyc… godności i do senatorskich krzeseł. Młody syn szlachecki zaledwie n… uczywszy się czytać i pisać, zaczynał się już uczyć szermierki język… wéj na wszelki sposób i przy pomocy wszystkich do tego przydatnyc… nauk. Do tego służyła mu scholastyczna dyalektyka, ze wszystkien… swojemi subtelnościami i sztuczkami; w tym celu uczył on się na p… mięć poetów łacińskich, mających wzbogacić jego imaginacyę pełnen… życia i plastycznemi obrazami; dla nabrania gibkości języka, płynnoś… w wymowie i nadania jéj trafnych a energicznych zwrotów, ślęczał o… pacholęcych lat nad Cyceronem. Poeci i mówcy, zwłaszcza starożytn… choć czasem i swoich nie pomijano, górą byli w ówczesnej edukacy… Na historyę, geografię, matematykę i nauki przyrodnicze mniéj uważ… no, uczono ich tylko przypadkowo przy autorach klasycznych, alb… i całkiem je pomijano. Ale nie dosyć na teoryi. Tych przyszłyc… mówców sejmowych, sejmikowych i trybunalskich, trzeba także był… zawczasu oswajać z publicznem wystąpieniem i przyzwyczajać ich d… „pięknéj prezencyi" na przyszłość. Praktyka w wymowie zatém, ćwi… czenie się w wypowiadaniu swych myśli, zarówno w prozie, jak i wie…

szem, a następnie wygłaszanie publiczne tych utworów, dużo, bardzo dużo miejsca zajmowały w programie tamtoczesnych nauk. Młodzież szkolna pisała podług przedstawionych jéj wzorów oracye i panegiryki na najrozmaitsze temata i przy każdéj sposobności, bądź mową wiązaną, bądź niewiązaną, witała biskupów odbywających wjazdy do swéj dyecezyi, senatorów zasiadających po raz pierwszy swoje krzesła, dobrodziejów szkół lub zakonów, zwiedzających te zakłady, wogóle wszystkich mniejszych lub większych dygnitarzy, na których cześć i starsi także w owych czasach zwykli byli i czuli się obowiązani układać i drukiem do wiadomości potomnych podawać podobne elukubracye. Nierzadko te płody pacholęcéj muzy, jako „Oratorskie zabawki" młodzi tego lub owego kolegium, przejrzane zapewne okiem nauczyciela i jego piórem wygładzone, na większy zaszczyt szkoły i ku pociesze rodziców, wychodziły z pod prasy drukarskiéj na światło dzienne.

Za jeden ze środków wykształcenia serca i umysłu, a zwłaszcza za dobre ćwiczenie w krasomówstwie, uważano także oddawna przedstawienia teatralne. Młodzież wszystkich szkół dawała w dnie pewnych uroczystości kościelnych lub szkolnych dyalogi, przy których jako widze uczestniczyli nietylko współuczniowie, ale i inni przez zwierzchność szkolną zaproszeni goście. W czasach przewagi jezuitów w edukacyi publicznéj układano na ten cel najwięcéj albo tragedye z dziejów starożytnych i historyi kościoła, albo téż alegoryczne sztuki, w których uzmysławiano jakąś sentencyę moralną, albo nawet dogmat religijny w podobny sposób, tylko naturalnie w nierównie gorszy, bo bez ich geniuszu, jak to czynili Lope de Vega i Calderon w swoich Autosach. W bibliotekach naszych zalegają stosy podobnych tragedyj i alegoryj, bądź wykończonych zupełnie, bądź téż spisanych tylko jako sumaryusze, dla lepszego zoryentowania się widzów, jako smutna pamiątka nizkiego poziomu wyobrażeń literackich, choć może jako pożądany i smaczny pokarm dla molów.

W czasach, o których mówimy, w czasach Bohomolca, jak wogóle w całéj edukacyi, tak i w tém dawaniu publicznych widowisk przez młodzież szkolną, wiele rzeczy na lepsze się zmieniło. Konarski przeprowadził już wtenczas swoję reformę wychowania. Zasłużony ten prawodawca edukacyi postępowéj nie odrzucił przedstawień teatralnych młodzieży, tylko inny im nadał kierunek. Jak wogóle w całym swoim planie wykształcenia wziął sobie za wzór spółczesną cywilizacyę, naukowość i literaturę francuzką, tak i scholastyczne tragedye i alegorye, fabrykowane przez niepowołanych mistrzów, zastąpił prawdziwie wzorowemi i klasycznemi utworami francuzkich dramaturgów. Miejsce dawnych Kodrusów, Scypionów afrykańskich, Depozytów łask i miłości bożéj, Niewinnych Józefów i t. p. zajęły teraz (od r. 1743) na teatrach w szkołach pijarskich: Polyeukt, Cynna, Atalia, Alzyra i t. d. Konarski niektóre z tych tragedyj francuzkich sam tłumaczył i na wzór ich napisał oryginalnie odszukanego niedawno Epaminondasa.

Jezuici, nie ślepi na wartość nowości, wprowadzonych przez Konarskiego, i uchylając czoła, może we własnym dobrze zrozumianym interesie, przed zdrowym i koniecznym postępem, bez oporu, ale i bez

ostentacyjnych przewrotów w swoim systemie, przyjęli reformę edukacyjną i stosowne zmiany w swoich szkołach zaprowadzili. Rozumie się, że i teatr szkolny nie mógł zostać takim, jakim był. Wobec bohaterów Corneilla i Racina, których przedstawiali uczniowie pijarscy, alegoryczne, niesmaczne i napuszone figury ich dyalogów bardzoby rażąco i niepokaźnie wyglądały. Należało te opatrzone i wyszłe z mody jasełka zastąpić czémś inném. Ale czém?

Fakta pokazały, że literatura francuzka dosyć jest bogata, że jéj skarbów wystarczy d[illegible] o harmonizujących z sobą zakonów, że jeśli pijarzy, [illegible] wsi, zabrali z niéj na swoję własność Corneilla, Racin[illegible] la jezuitów, choć później zdążyli, pozostał jeszcze niezły [illegible] Iolière.

Nie moglibysmy [illegible] yć, czy wistocie tak było, czy rywalizacya dwóch zak[illegible] rzeczywiście była powodem tego podzielenia się ró[illegible] mi francuzkiéj literatury, bo jeżeli taki domysł z fakt[illegible] uwa, to z drugiéj strony mogła także i osobistość tego [illegible] reformowania jezuickiego teatru szkolnego się podjął, i [illegible] i wybór literatury dramatycznéj niemało wpłynąć. O [illegible] ohomolca, a znamy go dosyć dobrze, całe usposobienie [illegible] go temperament i skłonności nadawały się bardzo dobrze do tego, azeby więcéj niż w poważnéj, koturnowéj tragedyi lubował sobie w humorystycznéj i wesołéj, komicznéj muzie.

Ksiądz profesor retoryki w jezuickiém kolegium był jednym z typowych okazów polskiego duchowieństwa. Pod jego zakonną sutanną czuć było szlachcica z dziadów i pradziadów, jakim też był wistocie. Dobrych obyczajów, nawet w czasach tak wolnych jak epoka Stanisława Augusta, niedający nigdy zgorszenia i złego przykładu, nie był jednak Bohomolec ani ascetą, ani bigotem, ani przesadnym ludzkich słabości karcicielem. Wesoły humor godził się u niego z powagą stanu, a uczciwa zabawa z zajęciami człowieka oddanego nauce i pióru. „Nie była dziką cnota jego: użyczał się towarzystwu i wielce miły w posiedzeniu dobranych przyjaciół, umiał łączyć wesołość żywą z przykładnością nienagannego życia.“ Tak pisał o nim Krasicki, znający go osobiście i dobrze. Towarzyski z natury, jak każdy prawie Polak, chętnie szukał kompanii, umiał się bawić, i co więcéj, zabawić drugich. Zadowolniony z losu, niedoznający nigdy zgryzot ambicyi, bo ani za karyerą, ani za honorami nigdy się nie ubiegał, po dziennéj pracy za najlepszą nagrodę uważał wesołe, bez przymusu towarzystwo, w którem można było i swobodnie pożartować, i uśmiać się, i wypić jeden i drugi kieliszek dobrego wina. Nic dziwnego, że według własnego wyznania był: „zawsze wesół i zawsze rumiany, i że na twarzy jego, wcale pełnéj i dobrą tuszę całéj osoby pokazującéj, jak nam ją przedstawiają kopie z obrazu malarza Marteau robione, igrał zawsze prostoduszny, swobodny i jowialny usmiech.

Tradycya literacka przekazała nam nadto kilka charakterystycznych szczegółów o jego prywatném życiu i osobistém usposobieniu. Sądząc według znanéj przypowieści: powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś,—można z nich na smiało wyciągać pewne wnio

ski o charakterze Bohomolca. Szlachcic, wprawdzie nie z senatorskiego ale z zamożnego rodu, prawdziwy karmazyn, a przytém profesor w szkole przemożnego jeszcze wówczas zakonu, człowiek uczony i pisarz z pewném imieniem, dobiera on sobie zawsze towarzystwo, które ani jego urodzeniu, ani powołaniu zdaje się nie odpowiadać. Najszczerszym jego przyjacielem jest najprzód bogaty kupiec warszawski, Grzegórz Łyszkowski. U niego to przepędza ksiądz profesor swoje wieczory; nie między bracią zakonną, ale między uczonymi, nie w gronie koligatów ze stanu szlacheckiego, ale w domu mieszczanina warszawskiego szuka wytchnienia i bawi się w towarzystwie jego żony Anulki, syna Maciusia i kilku jeszcze zapewne tego gatunku gości. Bo jemu tam najlepiéj i najwygodniéj, bo on lubi swobodę, żarty i śmiechy, bo nie znosi rozmowy ciężkiéj i pedantycznéj, bo chce zapomniéć o ważnych interesach kiedy ma ochotę się bawić. Wesoło téż i zabawnie musiało tam być u pana Grzegorza; dobre wino z własnéj, nieźle zaopatrzonéj piwnicy odchodziło nie na żarty i podsycało bez końca dobry humor gospodarza i gości, skoro na tych posiedzeniach urodziła się słynna i po całéj Polsce późniéj powtarzana pieśń Bohomolca: „Kurdesz nad Kurdeszami:”

Każ przynieść wina, mój Grzegorzu miły!
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły,
Niech i Anulka tu usiądzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Skoro się przytknie ręka do butelki,
Znika natychmiast smutek serca wszelki,
Wołajmyż tedy, dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!...

Ale niedługo kieliszek jest zamały,

Pod stół kieliszki, pijmy szklanicami!

woła podochocony poeta, a w końcu, zgodnie ze świeżą tradycyą czasów saskich, i tém naczyniem gardzi:

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz ztąd szklanice, naczynia ułomne,
Po staroświecku pijmy puharami:
Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!

Że w tém ostatniém wezwaniu jest trochę ironii, to czuje się dobrze, a ztąd i widać, że do ostateczności, wyrażonéj tu słowami, w wesołém towarzystwie u pana Grzegorza naprawdę nie przychodziło.

Późniéj, gdy „Grzela,” który swych gości „przewyższał wiekiem,” może już nie stało, najmilszym dla Bohomolca był dom Jana Czempińskiego, doktora medycyny, konsyliarza j. k. mości, niewątpliwie także mieszczańskiego rodu. Charakter tych zabaw był znowu inny. Nie było tu téj hulaszczéj czasem wesołości co u pana Grzegorza, nie spełniano wina szklanicami i puharami. Zwykłe towarzystwo składali: gospodarz, człowiek zacny i oddany rodzinie; pani domu, osoba młodziutka i wykształcona, i kilkoro już starszych dzieci z pierwszego małżeństwa, któ-

re wspólnie ze swą przybraną matką z zamiłowaniem oddawały się muzyce. Pani konsyliarzowa i dzieci grały naprzemiany na „klawicymbale,” na arfie, na skrzypcach, podczas kiedy ksiądz profesor z panem konsyliarzem, siedząc naboku przy lampce wina, swobodnie sobie gwarzyli, lub przysłuchując się muzyce, uśmiechali się do siebie. Ciche i skromne było to mieszczańskie towarzystwo, a że dobrze w niém było Bohomolcowi, że się w niém bawił całém sercem i szczęście znajdował, to poświadcza ta okoliczność, że on, który w swém życiu zaledwie kilka wierszy napisał, n[illegible]ść bez tego, ażeby pamięci tych zebrań i państwu Czem[illegible]go wiersza nie poświęcić:

Wdzięcz[illegible]sane me chwile,

rozpoczyna się wrzewn[illegible]ersz i kończy wsposób podobny:

Wpośró[illegible]nadzenia
Nikną n[illegible]apienia,
A serce,[illegible]a znudzone,
Znajduj[illegible]ione.
O miły [illegible]ta
Osładza[illegible]ięta,
Twojéj [illegible] prawdziwy.
Że choć [illegible]ywam szczęśliwy.

Tam więc, gdzie były serca szczere i proste, gdzie kwitnęła nieudana wesołosc, gdzie nie potrzeba było przymuszania się i etykiety, gdzie swobodnie przy pogadance lub muzyce można było popijać ulubione winko, a gdy przyszła ochota, nie oglądając się na przepisy wielkiego świata, trysnąć żartem, który dobra myśl zrodziła, tam wrodzona skłonnosć ciągnęła najwięcéj Bohomolca, tam był w swoim żywiole.

Nie wynika z tego, żeby ksiądz profesor i w inném towarzystwie nie potrafił się był znaléźć i odegrać pewnéj wybitniejszéj roli. Jako pisarz, jako jedna z inteligencyj krajowych, należał on także do zwykłych gości „obiadów czwartkowych,” a więc do towarzystwa najwyższéj arystokracyi i z rodu (dość przypomniéć, że król tym obiadom prezydował) i z rozumu, skoro tam byli i Krasicki, i Naruszewicz i Trembecki. Jeżeli inni przynosili tam rozległą naukę, dowcip lub swiatowy polor, Bohomolec nie należał również do liczby tych, za których król „ponosił wszystkie ekspensa,” lecz przydawał rzecz nie mniéj cenną i w towarzystwie pożądaną: szczerą, staropolską wesołosc. Powiadają nawet, że to właśnie owa piesn o Kurdeszu nad Kurdeszami tak bardzo podobała się królowi, że go z tego powodu do grona swych czwartkowych gości powołał. Choć niebardzo chce nam się wierzyć téj opowieści, choć zdaje nam się, że to raczéj jako dla redaktora „Monitora” i „Wiadomości warszawskich,” jako dla wydawcy dawnych historyków polskich, wreszcie jako dla autora znanych jeszcze z czasów ostatniego Sasa komedyj, otwarły się dla Bohomolca podwoje królewskich komnat, z tém wszystkiém prawdą jest zapewne, że Kurdesz zrobił Bohomolcowi szczególną sławę nietylko między bracią szlachtą, ale i między literatami, i ze z powodu téj piosnki zasłynął on jako specyalista w swoim rodzaju. Możnaby nawet bardzo łatwo zrobić to przypuszczenie, że

król, mając takiego gościa w swym domu, zapragnął talent jego zużytkować dla okrasy swoich obiadów, i nie chcąc być niższym od pana Grzegorza, którego Bohomolec swą pieśnią uwiecznił, mniéj albo więcéj wyraźnie dał mu do poznania, że godziłoby się, aby i dla „czwartkowych obiadów" cóś podobnego uczynił. Taki początek musiała miéć według naszego domysłu „Pochwała wesołości," którą Bohomolec na jedném z tych posiedzeń wygłosił, a którą, wraz z dwoma następnemi wierszami, dla ich rzadkości całkowicie tutaj przytaczamy:

Ten, mém zdaniem, dobrze żyje,
Ten na długie lata godzi,
Kto pod miarą winko pije
I piosnkami troski słodzi.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki.
Ustępuje wnet frasunek,
Znika serca utrapienie:
Skoro usta czują trunek,
A uszy wesołe pienie.
Po szklaneczce i t. d.
Aleksander tak żył wielki:
Skoro ucichła Bellona,
Przynoszono wnet butelki,
Przy nich szły śpiewaczek grona.
Po szklaneczce i t. d.
Tak czynił i nasz Batory,
Miłośnik uczonych hojny,
Lubił piosnki i likwory,
Nawet podczas trudów wojny.
Po szklaneczce i t. d.

Precz posępne mędrców czoła,
Naukom zły humor szkodzi:
Milsza jest mądrość wesoła,
Wino myśli mądre rodzi.
Po szklaneczce i t. d.
Pitagor nauki brzmieniem
Z przywar swe serce wybawił,
A Dyogen beczki cieniem
I siebie i drugich bawił.
Po szklaneczce i t. d.
Powraca nauk wiek złoty,
Pracujących pan zasila:
Pan dodaje sam ochoty:
Cwartek dla nas złota chwila.
Po szklaneczce i t. d.
Trudy rozkosz niech przeplata,
Umiejmy czas dobrze trawić,
Bodajbyśmy w setne lata
Tak się mogli jak dziś bawić!
Po szklaneczce i t. d.

Jak widzimy, Bohomolec nie zawiódł nadziei króla; „Pochwała wesołości" jest wyborną pieśnią przy winie, a co także ważna, zupełnie niepodobną do Kurdesza. Zniknęły w niéj bez śladu owe szklanice i puhary i niema w niéj tego zmysłowego lubowania się napojem dla samego picia i upojenia się. Wspomnienia wielkich królów, mądrości i nauk występują natomiast na plac, a zwłaszcza ten uroczy, przez poetów starożytności tak często opiewany, związek Bachusa z Apollinem, muz przewodnikiem. „Wino myśli mądre rodzi," wino obudza dowcip i fantazyę, rozwesela człowieka, a więc dlatego używajmy go i pijmy!... O ile wiemy, pieśń ta jest także jedynym historycznym dokumentem, malującym nam charakter tych „sympozyonów" XVIII wieku, charakter epikurejski w prawdziwém tego słowa znaczeniu, w którym rozkosze zmysłów i ducha naprzemian się z sobą przeplatały.

Biesiadnicy królewscy z zapałem tę pieśń przyjęli. Możemy sobie wyobrazić, że gdy Bohomolec skończył, wszyscy jak byli, z wyjątkiem naturalnie króla, ruszyli z miejsc i kieliszkami w kieliszek poety, z okrzykiem: vivat! stuknęli. Może w téj saméj chwili Krasicki (bo jemu, który taką satyrę „Do króla" na poczekaniu na pokojach królewskich napisał, było to łatwo) z podziękowaniem niejako Bohomolcowi zaimprowizował drugą pieśń „z téjże okazyi," w téj saméj miarze i w tym samym rytmie, używając w niéj dla dobitniejszego wykazania pokrewieństwa Bohomolcowego refrenu:

To mi mędrzec zawołany,
Co z szklaneczką mądrość godzi:
Trunek pieśnią przeplatany—
Ten zapala, tamten chłodzi.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki.
Fraszka taka mą lrość dzika,
Co pozorem smutnym straszy:
Pieśń powabna myśl przenika,
Sercu wesołość od flaszy.
Po szklaneczce i t. d.

Smutek się tam nie zaplątą,
Gdzie szklaneczka myśli żarzy·
Wiwat syn Anekreonta,
Z podobieństwa myśli, twarzy.
Po szklaneczce i t. d.
Wieńczmy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce:
Dobre nam się czasy wróżą,
Niech się rodzą Bohomolce!
Po szklaneczce i t. d.

Obsypany powin [illegible] sor retoryki, nazwany przez sławnego już wówczas [illegible] kreonta, niejako Anakreontem wtórym, czuł dobrze, ż [illegible] gi wiersz okolicznosciowy udać mu się może, to niedos [illegible] ą siedzibę zająć na Parnasie, i dlatego bez udanéj sk [illegible] a przeswiadczeniem, że tak jest wistocie, dał potém Kr [illegible] " na wyrażone przez niego pochwały. Prosty to wier [illegible] zalet, ale malujący doskonale charakter i osobistośc j [illegible]

Niejakiś Rusak (z Białéj Rus [illegible]
Ani bogaty, ani wcale golec [illegible]
Anakreonta synem jest nazw [illegible]
Że zawsze wesół i zawsze ru [illegible]
Wesół jest zawsze, kontent z swego stanu,
Nie naprzykrza się niedostatkiem panu,
Będąc od niego obdarzon tak hojnie,
Że żyć wygodnie może i spokojnie.
Nie drażni jego chęci śmierć prałata,
Ani go gniewa wiek długi opata,
Gdy inni za łby idą o ich gratki,
On śpi spokojnie, kontent z swéj intratki.
Jeśli zaś czasem urwie się intrata,
Wnet na siwaka swego dzielnie wsiada
I wraz z bystremi w zawod leci wiatry,
A smutek przed n m pierzcha aż za Tatry.

[illegible] uje jasne i wielkie tytuły,
[illegible] jak należy poważne infuły;
[illegible] tnych honor spogląda z pociechą,
[illegible] dość ma na tém, że jest prostym kle- [chą.
Przydał mu dobry pan teraz ozdoby,
Gdy między zacne pomieścił osoby
Jego konterfekt [1]), może już być zatém
Choć malowanym zwany literatem.
Że zaś jest wesół, rubaszny, rumiany,
Anekreontem ztąd może być zwany;
Lecz jego pieśni nie warte zalety
Téj, w któréj słyną greckiego poety.
Twoje to, książę, świadczą dzieła sławne,
Żeś zrównał wielkie rymopisy dawne
I dałeś poznać z wielorakiéj pracy,
Żeś polski Homer, Maro i Horacy.

Łatwo pojąć, dlaczego Bohomolec, takiego będąc usposobienia, nad poważne aleksandryny francuzkiéj tragedyi mógł przenieść Moliera, i kiedy chodziło o to, aby teatr w kolegiach jezuickich stosownie do wymagań postępu zreformować, wprowadził go na scenę szkolną.

Ale Konarski miał łatwiejsze zadanie. Corneilla lub Racina dosyć było z małemi wyjątkami przetłumaczyć, aby ich podać młodzieży szkolnéj do nauczenia się na pamięć i wyrecytowania potém w teatrze. Tragedya jest pokarmem literackim, który bez skrupułów i obawy można podać młodym umysłom, bo ona podnosi namiętności i stosunki ludzkie do ideału, człowieka stawia na piedestale i z ułomnéj i słabéj istoty robi go bohaterem. Świat odbija się w niéj nie w prawdziwém ale w powiększającem zwierciadle, mającém prócz tego tę jeszcze własność, że w niem to wszystko, co złem w rzeczywistości i w naturze, nie kusi i nie pociąga, ale obudza wstręt i odstrasza. Co innego komedya. Ona maluje życie, jakiém jest, z drobnemi, błahemi i ułomnemi

[1]) Ludwik Marteau z polecenia królewskiego malował wszystkich uczestników obiadów czwartkowych, pomiędzy nimi także i Bohomolca; portrety te były umieszczone w galeryi zamkowéj.

stronami człowieka; ona aktorów i widza ściąga do poziomu rzeczywistości, do téj prozy, wśród któréj wszyscy zwykle żyjemy i którą dlatego bardzo dobrze czujemy i rozumiemy. Kto bohatera tragedyi uważa za istotę ponad zwykłą miarę ludzką podniesioną, z którą zwyczajni śmiertelnicy ani w dobrém, ani złém nie mają nic wspólnego, ten w postaciach komedyi odnajdzie bardzo łatwo swoich sąsiadów, znajomych i siebie samego, i będzie miał ochotę to albo owo z nich sobie przyswoić, to albo owo z nich naśladować. Wobec audytoryum złożonego z kilkunastoletniéj młodzieży może się podnieść zasłona zakrywająca aktorów tragedyi, ale podnieść przed jego oczyma zasłonę komedyi — to rzecz dosyć dla ich umysłów i serca niebezpieczna. Mogłyby zawczasu poznać odwrotną stronę medalu tego świata, i albo zawczasu nią się zgorszyć i zepsuć, albo niebacznie z nią razem i tém, co jest w życiu wyższego i szlachetnego, pogardzić. Zawczesne skosztowanie owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego rodzi albo sybarytów i cyników, albo mizantropów.

Rozumie się, że przedewszystkiém część erotyczna stanowić musiała najważniejszy szkopuł w tych sztukach odgrywanych przez młodzież. Nie wypadało z najprostszych względów pedagogii i przyzwoitości, aby szkoła sama uczyła młodzież tego, co od niéj oddalać wszystkiemi sposobami była powinna. To więc, co się nazywa romansem w tragedyi lub komedyi, musiało być opuszczone lub do niepoznania zmienione. Takiemu samemu losowi musiały także ulegać wszelkie role kobiece, bo niepodobieństwem było w grono szkolnych aktorów wprowadzić towarzyszki płci żeńskiéj, a nie zgadzało się także, z ówczesnemi zwłaszcza obyczajami, aby młodzież męzka brała na siebie role kobiece, a co zatém idzie, także ich kostium i maniery. „Wolimy ustąpić wszystkich tych powabów i ozdób, których inni od słabszéj płci pożyczają, niż młódź polską, do męzkich i rycerskich dzieł urodzoną, w niewieście z młodu wprawiać obyczaje i do tego przyuczać, od czego ich wiek jeszcze daleki być powinien"—tłumaczy dosadnie tę rzecz Bohomolec w przedmowie do swoich komedyj.

Odpowiednio do swego celu przerabiał więc Bohomolec Moliera. A nie przychodziło mu to łatwo. „Ja, trzymając się swego zwyczaju (skarży się w wyżéj wspomnianéj przedmowie), wiele trudności zużyłem w przerabianiu... komedyj... tak je musiałem łatać i kleić, żebym i komedyj sztukę zachował i płci niewieściéj do nich nie przypuścił. Co z większą mi przyszło pracą, niż kiedym inne z mojéj osnowy robił."

Wierzymy temu bardzo, wiedząc, że osią, około któréj obraca się intryga komedyi tak w Molierze jak i wszędzie zresztą, jest miłość. Tę oś zastąpić inną, zmienić ją tak, żeby widz nawet istnienia jéj pierwotnego się nie domyślał, było zadaniem, nad którém ksiądz profesor retoryki dobrze pocić się musiał. Radził téż sobie jak mógł.

Przypatrzmy się niektórym jego sposobom.

W komedyi Moliera „L'Etourdi," którą Bohomolec przerobił p. t. „Nieroztropność swym zamysłom szkodząca," młody Leliusz kocha się w niewolnicy Trufaldyna, Celii, i pragnie ją pozyskać; co téż się i spełnia, kiedy się w końcu pokazuje, że Celia jest córką Trufaldyna, a nie

jest siostrą Leliusza. Ten przedmiot gorących pragnień Leliusza Bo homolec przemienia naiwnie w jakiegoś śpiewaczka Hipolita, któreg kupiec Trufaldyn ma na sprzedaż, a którego Leliusz z wielkiego ama torstwa do muzyki pragnie koniecznie nabyć i w tym celu posługuje si rozmaitemi przebiegamii i podstępami swego wiernego lokaja Figlackiego

Gdzieindziéj znowu w „Les Facheux" cała gromada ludzi rozpra wiających o każdéj porze i o byle czém, zatrudniających bez pytani i proszenia innych swoją osobą, cała gromada natrętników jednem sło wem, przeszkadza ciągle [illegible] nie może swobodnie widzieć si i porozumieć z ukocha[illegible] Orfisą. W „Natrętnikach" Boho molca Alkander równ[illegible] opędzić téj rzeszy gadułów i sa mochwałów, i co jedn[illegible] nie, to drugi zaraz się zjawia, al Alkandrowi nie chodz[illegible] schadzkę z kochanką, tylko o to ażeby się mógł bez świ[illegible] ić ze swym starym stryjem o in teresach majątkowych[illegible] in, ów nieśmiertelny „szlachcic mieszczanin," jak sobi[illegible] zypominają, układa poza plecam swéj żony, a za pośre[illegible] ywego Doranta, miłosną intryg z piękną markizą Dor[illegible] w komedyi Bohomolca „Pan d czasu," ma daleko niew[illegible] nienia; zapalił on się do tego, że by być grafem i genera[illegible] óla holenderskiego przeciw Per som, i zostaje na tym punkcie podobnie jak pan Jourdain przez najle pszego niby przyjaciela Dorenięgo oszukany.

O małżeństwie wolno jednak mówić w komedyach szkolnych Bo homolca. Ile razy też akcya sztuki wprost do małżeństwa prowadz zachowuje nasz autor osnowę u Moliera znalezioną. Tak się rzecz m w komedyi „Rada skuteczna," będącéj przeróbką z „Le mariage forcé, i w komedyi „Mędrkowie," w któréj, podług tytułu sądząc, czytelnik ni domyśliłby się znanych całemu światu „Les femmes savantes." Że stary Sga narel (Anzelm u Bohomolca), opamiętawszy się, iż głupstwo chce zrobi pragnie zerwać umówione swoje małżeństwo z młodą kokietką Dorimeną i że do dotrzymania słowa zmuszony zostaje kijem i grozbą szpady jé brata, całą tę rzecz zostawił Bohomolec nienaruszoną, podobnie ja i w „Mędrkach" to, że „bel esprit" Trissotin (Sawantem u Bohomolc nazwany) ostrzy sobie, mimo całéj swéj uczonéj powagi, nie na żart apetyt na młodą Henrykę, kochającą Klitandra, i którą przy pomocy za ślepionych w nim sawantek (u Bohomolca są to bracia Henryki, ow „Mędrkowie") byłby otrzymał, gdyby się nie był dał złapać w sidła zrę cznie nań ustawione, i swoich majątkowych także pragnień zawczasu ni był zdradził. Jednak i w tych obu komedyach role kobiece są wykluczon i albo zastąpione przez role męzkie (jak poczęści w „Mędrkach"), alb też przez opowiadanie włożone w usta występujących męzkich aktorów

Bohomolec zmienia także czasami charakter Molierowskich ko medyj, naginając je do stosunków i obyczajów swego kraju. Nie p trzeba mówić, że to również nie na korzyść tym komedyom wychodz Pan Jourdain, jako „mieszczanin-szlachcic" jest nietylko typowy okazem swéj epoki, ale typem dorobkiewicza po wszystkie czasy, dla tego, że dorobiwszy się majątku, albo może pomnożywszy fortunę p ojcu odziedziczoną, wpada w manię wielkości, chce bądzcobądz by

szlachcicem, zapiera się swojego dawnego stanu, utrzymuje, że tylko złe języki mówiły, jakoby ojciec jego był kupcem, chce gwałtem wszrubować się w wyższe sfery i z chęci nierozsądnego ich naśladowania popełnia tysiączne głupstwa i szaleństwa. W komedyi „Pan do czasu," jak ją Bohomolec z „Bourgeois-gentilhomme" przerobił, ginie cała typowość, a wiele traci i komiczność téj figury, bo autor polski umysłową jéj metamorfozę robi dziełem nie ducha czasu, nie popędów ambitnych spanoszonego rotiuryera, ale raczéj dziełem przypadku. Hernar, przerobiony w téj komedyi z pana Jourdain'a, jest-to jakiś woźnica, który, wygrawszy na loteryi, chce się zabawić w pana, puszcza pieniądze na wszystkie strony, uczy się filozofii, tańca i fechtunku jak jego prototyp, ale robi to wszystko bez ambicyi pana Jourdain'a, aby przez to się uszlachcić i przejść do wyższéj klasy społeczeństwa; a kiedy wreszcie całą fortunę, spadłą mu niespodzianie z nieba, przehulał, powraca do dawnego swego rzemiosła. W tém przedstawieniu rzeczy wielka jest różnica i ginie wszelka tendencyjność komedyi, jéj tło społeczne i znaczenie. Że jakiś biedak, dorwawszy się ni ztąd ni zowąd pieniędzy, odurzy się nagłém szczęściem, że mu się głowa zawróci i zechce naśladować życie tych, którym nieraz w głębi serca zazdrościł, gdy jak np. i ten Hernar patrzał na ich zbytki i marnotrawstwo, marznąc lub nudząc się na koźle tego powozu, którym ich przywiózł przed teatr lub dom gry,—to z podobnego wydarzenia można bezwątpienia wysnuć pewien sens moralny, dla młodzieży mającéj dopiero wstąpić w życie szczególnie przydatny, ale nie będzie w niém wcale ani tego morału estetycznego, ani obrazu tych prądów społecznych wiejących w pewnych epokach po świecie, jakie z mistrzowską obserwacyą skreślił Molier w panu Jourdain'ie. W komedyi przerobionéj przez Bohomolca różnica stanów, ich wzajemny do siebie stosunek, ich walka obustronna, ich charakter wreszcie z dodatniemi i ujemnemi zaletami nie wchodzą całkiem w grę. Dlaczego? Ze względów estetycznych możnaby wiele w téj mierze zarzucić Bohomolcowi, z uwagi jednakowoż na okoliczności i stosunki, w których pisał, należy mu przyznać, że miał słuszność, przeistaczając w ten sposób „mieszczanina-szlachcica." W téj postaci, jak go stworzył Molier, w ówczesnéj Polsce i na ówczesnéj scenie polskiéj nie miałby on racyi bytu, jeżeli teatr ma być zwierciadłem tego, co się w rzeczywistości dzieje. U nas pod owe czasy nie było panów Jourdain'ów; żaden mieszczanin nie zamarzył nawet o tém, aby się ukradkiem wkręcić między dobrze urodzonych lub wejść między nich gwałtem, tak niedostępną się wszystkim wydawała ta forteca szlachectwa i tak nieprzebytym wałem rozdzielone od siebie były te dwa stany. Autor polski wiedział o tém dobrze i najmniejszą aluzyą nie chciał podrażnić panujących wyobrażeń, a wszelkiemi siłami się starał, aby usunąć i zatrzéć w obrazie skreślonym przez Moliera to wszystko, co w nim było z charakteru historycznego i społecznego epoki, coby mogło nasunąć myśl, że przejście z jednego stanu do drugiego jest rzeczą możliwą, że pomiędzy ludźmi żyjącymi na jednéj ziemi i w jednym narodzie jest jakiś łącznik społeczny, mogący wyrównać istniejące przedziały, że wogóle poza szlachtą istnieje jeszcze jakaś część narodu, która może mieć do czegoś pretensye, kiedyś z niemi wystąpić i stać się

kwestyą do rozwiązania. Najlepszy dowód na to, że Bohomolec, który zwykle przyznaje się zkąd wziął swoję komedyę, przy „Panie do czasu" ani słowa nie wspomina o Molierze, a co więcéj w „argumencie" zapewnia czytelnika, że „ta komedya jest ułożona z owéj historyjki, która się naszych czasów we Włoszech przytrafiła." Tak bardzo chodziło mu o to, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za pierwotną tendencyjność téj sztuki, że nie chciał nawet, aby czytelnik przypomniał sobie lub domyślił się, że jest jaki związek między pierwowzorem Moliera a jego pracą; bo sam tytuł o [illegible] stawienie tych dwóch wyrazów: mieszczanin i szlachci[illegible]ę rażącém, nieprawdopodobném i nienaturalném... A [illegible] jego biografii, że sam bratał się (choć było to nieco pó[illegible] z mieszczanami, a poznamy następnie z jednéj jego k[illegible] od poprzednich o jakie lat dziesięć, że śmiało, z wiel[illegible]ą, kiedy pojęcia nagłemu przeobrażeniu ulegać zac[illegible] samę kwestyę socyalną i dopomina się o prawa pola[illegible]

„Les femmes sav[illegible] przerobione na „Mędrków," straciły także w téj nowéj [illegible] pierwotną fizyognomię. Przyczyna tutaj była inna; pióra [illegible] nie krępowały w tym wypadku względy na stosunki [illegible] społeczne, ale przedewszystkiém znane nam już warunki jego szkolnego teatru. Śmieszne sawantki. Filaminta, Armanda i Belisa zostały zastąpione przez dwóch braci: Henryka i Ferdynanda, nudnych pedantów, niemających żadnego zmysłu do praktycznego życia i dających się wodzić za nos chytremu Sawantowi. Przez tę przemianę płci aktorów komedya straciła wiele na swéj naturalności i na komizmie. Uczoność bowiem właściwa jest mężczyźnie, i niema w tém *a priori* nic komicznego, jeśli mężczyzna naukom się oddaje; jak z drugiéj znowu strony mężczyzna, którýby przez to, że się nauce poświęcił, zrobił się śmiesznym, albo którýby zamiłowanie do nauki do jakiéjś egzaltacyi i do uczonego sentymentalizmu posunął, jest może możliwém, ale zawsze wyjątkowém tylko zjawiskiem. Całe ostrze satyry stępiło się tym sposobem, choć słuszność i to przyznać każe, że u nas i wówczas nie miało ono w kogo godzić—nie mieliśmy hotelu Rambouillet i polskie *bas bleux* nie istniały. Klasyczny w swoim rodzaju „bel esprit" Trissotin Molierowski spadł także o parę stopni niżéj w swojéj wartości estetycznéj jako Sawant Bohomolcowy. Ale i o to nie będziemy naszego autora winić, uwzględniając tę okoliczność, że z otoczeniem i społeczeństwem swojém rachować się musiał, a jak się nawet i na tym przykładzie pokazuje, rachować się z niemi dobrze umiał. Taki Trissotin był wyrobem i okazem pewnego typu we Francyi Ludwika XIV, która miała akademię z jéj „nieśmiertelnymi" i salony uczone, na których umiejętność i filozofia, albo przynajmniéj pewne ich próbki, pielęgnowane były w pachnącéj atmosferze kwiatów i perfum narówni i jednocześnie z dworską galanteryą. Taki Trissotin byłby w Polsce nie na swojém miejscu, może nawet niezrozumiały — nic dziwnego, że przemienił się trochę w bakałarza, cytującego łacińskie formułki filozofii scholastycznéj i przemawiającego z makaroniczną górnolotnością. Takich uczonych mieliśmy zawsze dosyć, a wtenczas najwięcéj.

Za ogólną regułę wziął sobie także Bohomolec, aby skracać Molie-

ra ile się tylko da. Wszystko, co jest cieniowaniem myśli, co służy do wybitniejszego oddania charakteru czy to pojedyńczych figur, czy społecznego tła, wszystkie prawie subtelności i delikatności takiego poetycznego dowcipu, jakim był twórca Tartuffa, przerabiacz jego systematycznie opuszcza, zostawiając tylko to, co jest do akcyi niezbędne i co naprzód ją posuwa. Molier pod jego ręką robi się suchym i martwym. .Zapewne kierował on się w tém głównie względem na swoich niepełnoletnich aktorów, którymby trudno było oddać z całą precyzyą jaśniejące świetnym kolorytem i umiejętnie światłem i cieniem obdzielane figury Molierowskie, i jest to dla niego okolicznością łagodzącą surowość naszych sądów, ale zawsze smutno to patrzéć, gdy w naszych oczach roślina o bujném i pełném woni kwiecie, o liściach świeżych i zielonych, pod wpływem zimnego wiatru traci jednę po drugiéj te swoje ozdoby i staje przed nami jako naga łodyga, niby szkielet bez ciała.

Bohomolec przerabiał oprócz Moliera i innych autorów. „Ojciec nieroztropny" (komedya w 1-ym akcie) z łacińskiéj komedyi jezuity ks. Karola Porée, „Filozof panujący" z ks. Lejay S. J. „z niejaką odmianą," według jego własnego wyznania, są przełożone; „Bliźnięta" wywodzą swój początek od podobnéjże komedyi Plauta, z wielu a wielu naturalnie odmianami, i nie mają nic wspólnego z „Les Ménechmes ou les Jumeaux" współczesnego prawie z Bohomolcem Regnarda; „Chełpliwiec," „Dziwak," „Statysta mniemany," „Ubogi hardy" i „Ubogi pokorny," a wreszcie może i „Junak," będą bezwątpienia także obcego, najprawdopodobniéj francuzkiego pochodzenia. „Na wzór włoskich ułożona" komedya: „Arlekin na świat urodzony" odznacza się téż właściwym sobie charakterem. Bohater jéj Arlekin jest-to rodzaj komicznego Dyogenesa. Rozgniewał się na świat, że nie był dla niego szczodry i hojny, jakby sobie tego życzył, i osiadł *par dépit* na pustyni. Aliści niedługo świat (a nawet Warszawa, jak to Bohomolec przerobił) zjawił się, w postaci dwóch chcących sobie z filozofa zażartować młodzieńców, na pustyni i ofiarował Arlekinowi wszystkie swoje dobra: pieniądze, tytuły, wysokie urodzenie i stare wino. Nowożytny Dyogenes zapomniał wnet i wyrzekł się swéj mizantropii, i w najlepsze zaczął się w pana bawić, używać życia i wszystkich swoją socyalną wyższością kłuć w oczy, dopóki owi dwaj młodzieńcy, mając już dosyć zabawy i zdemaskowawszy fałszywego filozofa, nie oświecili go, że cała jego pańskość, jego honory i bogactwa były tylko żartem. Jest-to więc właściwa włoskiéj scenie alegorya, w szaty komicznego dyalogu przybrana, z tym sensem moralnym, że ludzie odwracają się od świata i gardzą nim, kiedy jego rozkosze i dobra są dla nich owemi niedojrzałemi winogronami z bajki, a godzą się z nim i lgną do niego chętnie, kiedy on daje im możność zaspokojenia swych pragnień i żądz; że mizantropia, jak opozycya w polityce, pod maską pogardy świata kryje najczęściéj doznany zawód i pragnienie posiadania tego, co jest w rękach innych, czy się to nazywa złotem, władzą czy kobietą.

Ponieważ Bohomolec już w przedmowie nam powiedział, że między temi komedyami są także takie, które „ze swojéj osnowy robił," nie potrzeba zapewne mówić czytelnikom, że tych jego oryginalnych utwo-

rów ze szczególną ciekawością szukaliśmy. Wyznać jednak musimy, że to rozpoznanie nie jest łatwe. Bohomolec zwykle przerabiał, przemieniał i przeistaczał treść stosownie do swych celów, zostawiał niektóre sceny z oryginału, a inne od siebie dodawał; zmieniał płeć i nazwiska osób, a czasem także i ich charakter, tak, że trzebaby chyba przetrząsnąć całą literaturę komiczną francuzką, włoską, a nawet starożytną, aby na pewno powiedzieć, gdzie sobie czego pożyczył, zkąd co skorzystał. Jedynie tylko słabość albo brak akcyi dramatycznéj, widoczne w niektórych komedy [illegible] rakterystyczne rysy zdjęte ze swojskich stosunków [illegible] mogły dać niejaką wskazówkę i utwierdzić co do mys [illegible] komedya z jego własnéj obserwacyi i z pod jego pió [illegible] cy wyszła.

Chociaż bowiem, [illegible] rzeczy wynika, komedye Bohomolca, jako naśladow [illegible] e z obcych pisarzy, kosmopolityczny mają charakte [illegible] ności ogólno-ludzkie przedstawiają i karcą, to jedna [illegible] stosunkowo nieliczna, część ma niejakie cechy narodo [illegible] i, bądź też w niektórych figurach lub scenach. I t [illegible] jciekawsza dla nas strona tych utworów. Jakie też o [illegible] dy i narowy widział komedyopisarz polski z poło [illegible] u w swojém społeczeństwie? O wszystkich, a zwłaszcza z całą otwartością satyryka i ze wszelkiemi szczegółami, nie mógł, rozumie się, przez wzgląd na swoich szkolnych aktorów, mówić, ale i w tém, co nam powiedział, dopełniwszy to sobie własną wyobraźnią i koniecznemi następstwami, możemy ujrzéć choć w ogólnych, najważniejszych rysach obraz téj epoki, tém godniejszy uwagi, że z owych czasów, oprócz Drużbackiéj, nie mamy podobno więcéj takich malarzy obyczajowych.

Otóż i z komedyj Bohomolca widać, że prąd zachodni powiał już silnie w téj pierwszéj połowie XVIII wieku po obszarach Rzeczypospolitéj. Fizyognomia dawnéj Polski radykalnie pod jego wpływem się zmieniała i wycierała się na niéj coraz bardziéj starożytna patyna: surowość obyczajów, patryarchalność familijna i rycerskość topniały jak śnieg od promieni słońca. Rozumni i poważni, głupi i lekkomyślni ludzie zarówno zwracali swe oczy ku Francyi. Pierwsi brali ztamtąd naukę, światło i postępowe społeczne i filozoficzne pojęcia; drudzy, a takich zapewne było więcéj i łatwiéj im to przychodziło, brali dla siebie wzory zbytków, zepsucia i najświeższych mód. A pełnemi garściami mogli je byli wówczas z Francyi czerpać; wszakże to niedawno tam minęły czasy regencyi, a obecnie Ludwik XV, wstąpiwszy na tron, otwierał szerokie pole rządom pani Chateauroux, Pompadour, Du Barry i jak się tam one wszystkie nazywały. Jak wszystkim myślącym, ta nowa społeczna choroba nie mogła się podobać i Bohomolcowi, a nie podobała mu się z dwojakiéj przyczyny: jako szlachcicowi staréj daty, czującemu w swych żyłach prawdziwą krew sarmacką, i jako księdzu—pedagogowi, który z doświadczenia wiedział, że ta zaraza szkodliwych nowości szczególnie i najprędzéj młodych głów i serc się czepiała.

Typ takiego człowieka przesiąkłego zgnilizną moralną i mającego

w życiu tę jednę zasadę moralną, aby nie mieć żadnych zasad, i przy jéj pomocy żyjącego bez pracy i wygodnie cudzym kosztem według znanego aksyomatu: *mundus vult decipi*, przedstawił, jak mógł i umiał, w komedyi p. t. „Figlacki, polityk teraźniejszéj mody." Polityk?... Tak, ale nie w znaczeniu dzisiejszém tego wyrazu,—bo w tém używano wtenczas miana: statysta,—tylko w znaczeniu człowieka wypolerowanego, człowieka żyjącego podług zasad niby wyższego świata, człowieka modnych wyobrażeń jednem słowem. U takiego to „polityka," któremu bardzo dobrze wiedzie się z jego bezczelnością i wyzyskiwaniem drugich, niejaki Pomocki chciałby się nauczyć téj sztuki życia. Figlacki daje mu zaraz na początek takie nauki:

„Najprzód, chcąc u ludzi mieć powagę, nie trzeba się z podłymi (ludźmi nizkiego stanu) pospolitować... Dlatego do kościoła bardzo rzadko trzeba chodzić. Zostawmy pospólstwu nabożeństwo, a naszego stanu ludziom tém się bawić nie przystoi."

Pomocki. A mszy świętéj przynajmniéj we dni święte nie wolno słuchać?

Figlacki. Jeśli wm. pan będziesz miał kiedy kompanię równą sobie, możesz przyjść na mszę dla zwyczaju... Na kazaniu zaś uchowaj Boże bywać... Cóż bowiem wm. pan tam usłyszysz? Oto, oto: (*mówi tonem kaznodziejskim*) jeśli zgrzeszysz, jeśli obłudnie żyć będziesz, jeśli ukrzywdzisz bliźniego,—będziesz w piekle. Piękna ceremonia! A przystoi to uczciwemu człowiekowi słuchać...

Pomocki. A o spowiedzi co wm. pan mówisz?

Figlacki. Toż samo, co i o kazaniach! Dla utrzymania pospólstwa w swéj powinności są postanowione spowiedzi, nie zaś dla ludzi uczciwych... teraz inszy świat, insza moda, insze obyczaje.

Pomocki. A wiara czy taż sama?

Figlacki. Wszystko teraz inaczéj.

Pomocki. Jakaż przecie?

Figlacki. Oto taka: z katolikami bądź wm. pan katolik, z kalwinami kalwin, z lutrami luter i tam daléj.

Pomocki. To i z cyganami cygan, z żydami żyd?

„Fe!—odpowiada zgorszony Figlacki, a zaraz potém ze względu na praktyczność dodaje — chybaby tego pożytek wm. pana wyciągał."

Pomocki, chcąc dotrzeć do jądra kwestyi, zaczepia następnie w swych pytaniach najkardynalniejsze dogmata i metafizyczne prawdy:

„A piekło za to nie będzie?" pyta cokolwiek zatrwożony zbyt radykalnemi pojęciami swego nauczyciela — ale ten ma gotową odpowiedź:

„Oho! już dawno piekła niemasz!... Odważniejszy świat teraz niż przedtém.

Pomocki. A dusza w teraźniejszych czasach czy jest?

Figlacki. A jużci podobno że jest.

Pomocki. Taż dusza czy umiera, czy nie umiera?

Figlacki. Może umiera, może i nie umiera. A do tego jak wm. pan chcesz. Ja przyznam się, że jeszcze duszy nie widziałem.

Pomocki. A Pan Bóg czy jest?

Figlacki. Jak się wm. panu zda?
Pomocki. Mnie się zda, że jest.
Figlacki. A widziałże go wm. pan?
Pomocki. Widzieli go i widzą święci.
Figlacki. A wm. pan z tymi świętymi gadał?
Pomocki. Sama natura mię uczy, że jest Bóg i koniecznie być musi...

Figlacki. Wm. pan nie znasz dobrze swojéj natury. Ale dajmy pokój téj rozmowie—urwwa Figlacki. któremu w gruncie rzeczy obojętne były te kwestye [illegible]brego stołu i łatwego przychodzenia do pieniędzy.

Czuć zanadto k[illegible]tego powstawania na szerzącą się niereligijnośc, ale [illegible]go tego dyalogu możemy mieć wyobrażenie, że rzecz[illegible]leko zaszły, jeżeli było trzeba i można obnażyć tak p[illegible]ady wszystkie rany niedowiarstwa, indyferentyzmu, [illegible]rderstwa rzucającego się na religię. Wolnomyślne poj[illegible]uzkiéj, a więcéj jeszcze sybarytyzm i materyalizm o[illegible]y się wspólnie na wytworzenie tego antyreligijnego pr[illegible]epoznania zmieniał sposób myślenia i moralną fizyog[illegible]h mu się cząstek społeczeństwa.

Nie wszyscy zapewne ludzie z modnego świata dochodzili do tego stopnia niewiary i zwątpienia co zdemoralizowany nawskroś Figlacki. Inni poprzestawali na obojętności i lekceważeniu religii, jak np. inny znowu typ owéj młodéj generacyi porzucającéj obyczaje przodków, młody Starski w komedyi „Paryżanin polski,” który przyznaje wprawdzie: „Jestem katolik *etquidem* dobry,” ale chodzenie do kościoła, modlenie się z książki, zachowywanie postów i tym podobne praktyki religijne zostawia dla ludzi prostych.

Drugą, główną wadą, którą Bohomolec widział u swych spółczesnych i za godną skarcenia uważał, była francuzczyzna i to wszystko, co się pod tém ogólném mianem zwykle u nas rozumie. A więc niepotrzebne mówienie językiem francuzkim, nierozsądne małpowanie zagranicznych, niezawsze dla nas odpowiednich zwyczajów, lekkomyślność w postępowaniu, przywiązywanie zbytniéj wagi do stroju i świecideł, wreszcie miękkość obyczajów i zniewieściałość, a wszystko to w połączeniu z pogardą dla tego, co jest swojskie i narodowe, począwszy od języka aż do podgolonéj czupryny i wąsów. Ta francuzczyzna dwojakiemi drogami szła do nas: albo ją przywozili młodzi panicze, którzy wysłani dla zadosyćuczynienia modzie na edukacyę do Paryża, nic, oprócz pewnego blichtru, ztamtąd nie wywozili,—albo téż zaszczepiali ją w młodych umysłach francuzcy nauczyciele, guwernerowie, którzy dopiero w Polsce po największéj części ludźmi wykształconymi i pedagogami nagle się stawali, bo w swojéj ojczyźnie oddawali się całkiem innym, z edukacyą nic wspólnego niemającym zajęciom.

Jednym z takich paniczów jest młody Starski, główna figura, od któréj bierze tytuł wspomniana już komedya „Paryżanin polski.” Powrócił on właśnie z edukacyi w Paryżu do domu i wszystko tutaj nudzi go i strasznie mu się nie podoba. Niewolnikiem mody jest on aż do śmie-

szności. Oto sen go morzy okropnie, z całéj duszy pragnąłby iść spać, ale gdy i lokaj radzi mu, aby to uczynił, odpowiada mu pompatycznie: „mam-li ja dla snu modę przestąpić?" Na lekkomyślne wydatki pożyczył trzysta dukatów, i gdy ojciec się o tém dowiedział, dla usprawiedliwienia się podaje mu rejestr rzeczy, na które te pieniądze wydał. Przeczytać ten rejestr, a co więcéj zrozumiéć go, była to dla biednego ojca Herkulesowa praca. On w życiu swojém nigdy podobnych rzeczy nietylko nie widział, ale i nie słyszał o nich, a w dodatku wszystkie miały jakieś zakazane, niezrozumiałe dla niego nazwiska. „Jam całą noc te rejestra przewracał, ale bodajbym tak nie znał choroby, jak nie znam żadnéj rzeczy, które on pokupował"—skarży się stary Starski przed lokajem i u niego szuka pomocy: „Ty czy nie poznasz, czytaj ten rejestr." Lokaj Leopold lepiéj jakoś zna się na tych rzeczach; czyta rejestr i objaśnia pana.

Leopold. Tunken, czerwonych złotych 6.

Starski. Co to za tunken, u kata? Całą noc nad tym tunkenem astrologowałem.

Leopold. I wm. pan tego nie znasz?

Starski. Ale zkąd mam to znać!

Leopold. To nic innego nie jest jako tabaka.

Starski. Tabaka zaś?... sześć czerwonych złotych za tabakę? Chyba że on cały sklep tabaki zakupił.

Leopold. Przepraszam. Nie było jéj więcéj jak dwa funty. Wm. pan rozumiesz, że ta tabaka jest z naszego świata? jako żywo. Jest-to tabaka wielkiego świata, *du grand monde*. I to jeszcze szczęście, że funta dostał za trzy czerwone złote.

Starski. Co za bieda! Za tabakę tyle! Czytaj daléj.

Leopold (*czyta*). *Un petit miroir* czer. złotych 30. I upewniam wm. pana, że cale piękny ten *miroir*.

Starski. Ale cóż to takiego, powiedz mi po ludzku.

Leopold. Jest-to zwierciadełko małe weneckie. Ale piękne, upewniam wm. pana.

— „Za zwierciadełko 30 czerwonych złotych!..."—woła Starski zrozpaczony marnotrawstwem syna, ale Leopold umie mu na swój sposób tę wysoką cenę wytłumaczyć:

— „Ale, nie mów wm. pan zwierciadełko, bobyś mu ceny ujął, po polsku go nazywając, ono dlatego tak drogo może kosztować, że się po francuzku nazywa.

Daléj idą w rejestrze wydatki stołowe, równie jak toaletowe dla ojca niezrozumiałe: „*Du roti, du cochon, des ecrevisses, des oeufs...*" „Stój! stój!—odzywa się Starski, gdy mu je Leopold czytać zaczyna—co to za potrawy? jabym i jednéj ich sylaby nie strawił!"

Wogóle całe zachowanie syna nie podoba mu się; nie takim pewnie wyobrażał sobie, że powróci z edukacyi w Paryżu. To też zawiedziony w nadziejach, skarży się boleśnie: „Co ja pocznę z tym synem! serce mi przeszywają jego postępki. Czy uważałeś, jak on na jedném miejscu nigdy nie ustoi, jak coraz inaczéj swe nogi układa, jako podczas rozmowy śpiewa, gwiżdże, fechtuje ręką, a po francuzku i do tych

nawet gada, którzy tego języka nie rozumieją." Jedném słowem, ze szlacheckiego syna zrobiła się w Paryżu śmieszna i wykrygowana lalka.

Ile mógł, skorzystał także z téj paryzkiéj edukacyi i lokaj młodego Starskiego, który mu tam towarzyszył i na pana się zapatrywał. Wstydząc się nazywać jak dawniéj Marcinem, przezwał się „de Martiniere" i ustawicznie zatrąca po francuzku temi kilku słowami, które do jego twardéj głowy przylgnęły.

Jakich nauczyciel [illegible] podobni zfrancuziali panicze, przedstawia nam Boh[illegible]yi „Urażający się niesłusznie o przymówki," w osobi[illegible] bohaterem téj komedyi, słabéj zresztą i bez żadnéj pr[illegible] łody Głupski, każdą rzecz biorący do siebie i o wszys[illegible] (co tutaj dla nas mniejsze ma znaczenie) i który „lub[illegible] dę wyraża Bohomolec w „argumencie" téj komedyi), [illegible] się nauczyć przestawania z ludźmi sposobem francu[illegible] jaźń z Bywalskim, powracającym z Francyi, nic nie [illegible] elce chełpliwym człowiekiem." Blagier, jeden z owych [illegible] rąbiących głośno o sobie, umysłową swoję nędzotę za[illegible] ciągłém powtarzaniem „u nas w Paryżu," to znów „à la [illegible] Głupskiego uczył tańczyć, kłaniać się modnie i tym podobnych rzeczy, niebardzo umysł trudzących. Jeśli zaś kiedy zaglądał do książki, to w celach całkiem praktycznych, z nauką żadnéj spólności niemających, bo całą jego bibliotekę składały trzy książki: „L'information pour nettoyer les dents," „De la manière," to jest o sposobie, którymby można twarz, naturalnie szpetną, przez różne artyficyalne wódki i farby poprawić i ozdobić, i „L'art de plaire aux Dames." Ze składu i doboru téj biblioteki można sobie wyobrazić, jakiego rodzaju to był mistrz, co miał uczyć naszego młodzieńca „sposobem francuzkim."

Dobrych i pożytecznych rzeczy nie nauczył go nic, trochę błahych i zewnętrznego poloru dodających. Ale byli jeszcze gorsi od niego. Naprzykład ów „Figlacki, polityk teraźniejszéj mody" w drugiéj komedyi Bohomolca, pod tymże samym tytułem, będącéj niby dalszym ciągiem téj, w któréj Figlacki przedstawił nam się jako nauczyciel niedowiarstwa i bezbożności. Komedya ta w znacznéj części jest przerobiona z Moliera „Les fourberies de Scapin," niektóre jednak rzeczy, mianowicie niektóre znamienne rysy obyczajów, o które nam tu teraz chodzi, dodał w niéj Bohomolec od siebie. Figlacki nie jest tutaj prostym tylko lokajem jak Scapin, jest on guwernerem, którego sławny bogacz Łakomski wziął do swego syna. Co do wykształcenia nie stoi jednak wyżéj od Scapina; cała różnica między nimi ta, że Figlacki, będąc Polakiem, umie jeszcze drugi język, francuzki, którego nauczył się w nieszczęśliwym dla siebie wypadku, bo na galerach francuzkich. To dało mu tytuł i prawo być wychowawcą bogatego panicza polskiego. Pyszni się téż wielce ze swéj francuzczyzny i mocno w nią dufa. „Wiesz wm. pan (odzywa się), że u nas teraz, kto po francuzku nie umie, choćby był najmędrszy, za prostaka bywa sądzony," a broniąc tak cudownym trafem zdobytego swojego stanowiska, wykształcenie publiczne w szko-

łach stanowczo potępia: „Wszak wm. pan wiesz (to znowu druga jego allokucya), że szkoły poczynają teraz z mody wychodzić. Do prywatnéj domowéj edukacyi wszyscy się teraz rzucają.”

Pod takim guwernerem idzie téż szczególnym trybem nauka. Uczeń, według wyrażenia jego mentora, pojętny „jak sadło” w jednéj rzeczy dał się tylko wyćwiczyć: „w karty tnie wyśmienicie.” Pierwszym, który go ogrywa na sto dukatów, jest własny jego nauczyciel, Figlacki. Ale gra szła tylko na słowo, pojętny elew nie ma pieniędzy, chodzi więc o to, aby tę setkę dukatów wyłudzić od ojca. Figlacki jest i w tém kierownikiem swojego ucznia, i różne jego podstępy, naśladowane z Moliera, jakby z worka łakomego skąpca te pieniądze wydostać, stanowią treść sztuki. Dla złagodzenia gniewu ojca i pocieszenia go po stracie, syn popisuje się przed nim postępami, jakie poczynił w naukach; wita go napuszystą, makaronizmami nadzianą przemową (styl makaroniczny jest również bardzo często u Bohomolca przedmiotem satyry) i chwali się ze swoją francuzczyzną.

„*Ibis in urbem* do wozowni serca mojego (tak brzmi ta przemowa), miłościwy ojcze, skierowawszy kordyalne kółka karocy respektu twego i po olimpicznych wojażowawszy grandecach, zasiądziesz krzesłem propensyi mojéj regalizowany, a bagaże ojczystych klejnotów złożywszy pod daszkiem synowskiego afektu *arma virumque canes. Canes nunquam canescens* przez Saturnowe wieki *in auge meritorum.* Czego synowską życząc addykcyą, impet mego przywitania tą kotwicą utrzymuję, *rumpitur invidia rumpantur ilia Codro.*”

Wysłuchawszy cierpliwie téj apostrofy, któréj pewnie nic a nic nie rozumiał, i kontent z erudycyi syna, zagaduje go ojciec: „A po francuzku, słyszę, dobrze już umiesz?” „Oui, apres diner Monsieur. Je vous souhaite la bonne nuit,” odpowiada syn ni w pięć ni w dziewięć, ale ojciec równie z tego kontent, bo równie nic nie zrozumiał.

Ostro i nie obwijając nic w bawełnę, smagał Bohomolec, o ile mu warunki jego komedyj pozwalały, rozpanoszoną już i wtenczas u nas francuzczyznę. Za czasów Stanisława Augusta nie było prawie satyryka lub komedyopisarza, któryby tegoż samego nie robił. Pisarze XIX wieku, aż do Słowackiego i Korzeniowskiego, uważali także za jeden z pierwszych swoich obowiązków walczyć przeciw téj uporczywéj manii. Późniejsi, a nam współcześni, zwolnieli nieco w tym zapale. Czy może dlatego, że zobaczyli poprawę? Bynajmniéj; sprzykrzyła im się widać ta walka bezowocna i dali za wygranę.

Nie tak dosadnie i, przyznajmy to, rysami, mającemi w sobie mniéj swojskiego charakteru, kreśli Bohomolec niektóre jeszcze z tych wad polskich, które nie przyszły do nas z Zachodu, ale oddawna zakorzenione stanowiły ujemną stronę tego, co się wtedy sarmatyzmem nazywało. Komedya „Myśliwy,” w znacznéj przynajmniéj części zapewne oryginalna, wyśmiewa manię polowania, któréj z uszczerbkiem dla poważniejszych zajęć i obowiązków, ze szkodą często dla interesów, młodzież szlachecka szczególnie hołdowała. Młody Robert jest właśnie takim zapalonym myśliwym. Polowanie nie daje mu czasu przypilnować sukcesyi, którą mógłby dostać od umierającego stryja. On ma co innego do

czynienia· nabił sobie głowę psem, którego koniecznie chce kupić, a nie ma na to pieniędzy. Usłużny a obfity we fortele lokaj jego, jak wszyscy zresztą lokaje dawnéj komedyi, począwszy od niewolników Menandra i Planta, zapomocą dość zręcznie przeprowadzonéj (może pożyczonéj od kogo) intrygi, wybawia go wreszcie z tego kłopotu. Robert posiada prócz tego wszystkie kardynalne wady nałogowych myśliwych: kłamie bezczelnie i chwali się bezwstydnie, ilekroć znajdzie się kto, co o jego myśliwskich czynach chce słuchać, ma rozmaite najnierozsądniejsze przesądy w swéj sztuce, do swego ulubionego psa przywiązuje tak wielką wartość, że gotó [illegible] by jego wyżła uderzył.

Więcéj jeszcze ob [illegible] ł innéj komedyi: „Junak." Jeżeli kiedy, to zdaje się [illegible] saskich, w których szlachecki animusz, podsycany do [illegible] yami, w burdach, awanturach i ustawicznéj rąbanini [illegible] siebie jedyne pole popisu, a w których Bohomolec [illegible] omedye pisał, komedya na ten temat była bardzo na c [illegible] miejscu. Junaków wówczas była nieskończona liczb [illegible] rz i wtedy i znacznie jeszcze później bił na nich swo [illegible] piórem. Szkoda tylko, że Bohomolec, który tyle prz [illegible] w miał w życiu przed oczyma, nie posiadał ani werwy [illegible] chcckiego zacięcia Paska, ani poetycznego talentu Pola. Jego Junak jest zanadto konwencyonalnym typem; szlacheckiego zawadyaki, chociażby nawet był ze szpadą u boku a nie przy karabeli, w nim nie widać. Nikogo onby pewnie na seryo nie nastraszył. To, co mówi o swych bohaterskich czynach i odwadze, zbyt jest nieprawdopodobne i przesadne aż do śmieszności. „Bo gdybym się rozgniewał (odzywa się np. w jedném miejscu), tedy skry z mych oczu wypadające mogłyby w perzynę to miasto obrócić." Nie umie on się ani dobrze maskować, ani nie ma dość taktu, aby junakieryi swojéj choć pozór prawdziwego męztwa i bohaterstwa zachować. Czasami jednak ma autor dosyć komiczne pomysły. Kiedy np. niejaki Dorant, nałajawszy, ile mu się podobało, naszemu junakowi, odszedł, ten odzywa się do swego służącego Frontina:

„Frontinie, co on powiedział?"

Frontin. Powiedział, że wm. pan tchórz jesteś.

Robert. Jakto? gdzie on jest? zaraz go tym pałaszem rozpłatam! Uciekł!... biegaj za nim jaknajprędzéj.

Frontin. Czy mam go tu sprowadzić?

Robert. Nie. Ale uważaj gdzie pójdzie i potém mnie oznajm.

Pomimo dosyć słabego wykonania, widać jednak, że Bohomolcowi tendencya i sens moralny téj komedyi bardzo na sercu leżały, że przeciw junakieryi i manii pojedynkowania się, z niéj wypływającéj, nie na żarty na harc wychodził. Szeroko bowiem rozprawia i o téj wadzie i o honorowych przesądach ogólny wtenczas walor mających, ze szkodą akcyi obciążając rozumowanemi dyskusyami swoję komedyę. I ze stanowiska religijnego i z filozoficznego zbija fałszywe pojęcia o honorze i potrzebie pojedynków, i sięga nawet do zaprzeczenia racyi przyjętym i utartym w społecznych zwyczajach wyobrażeniom. „Ale ja nie wiem, zkąd to prawo, że gdy kto nie chce się pojedynkować, trzeba mu ustąpić

z pod chorągwi lub regimentu“ — przemawia do junaka Roberta jego rozsądny sługa Frontin, a przez usta jego autor, który chciał, aby nawet tak delikatne i wiekami uświęcone pojęcia o wojskowym honorze poddane zostały krytyce zdrowego rozumu i od przesądów uwolnione.

Takiego to rodzaju były, jeżeli zdołaliśmy w tym szkicu dać czytelnikowi dostateczne o nich wyobrażenie, te komedye Bohomolca, zwykle „szkolnemi” nazywane. Pisane „dla zwyczajnéj szkół naszych rozrywki,” nie w zamiarze, „aby kiedy pod drukarską prasę podpaść miały,” gdy tu i owdzie znalazły poklask, ukazały się w druku i stały się do pewnego stopnia epokowém w naszéj literaturze zdarzeniem. Mimo wszelkich niedoskonałości bowiem, mimo tego, że niewiele w nich oryginalnéj pracy polskiego pisarza, trudno zaprzeczyć, że w nich po raz pierwszy pokazała się forma komedyi, odpowiadająca warunkom sztuki i sceny w téj fazie, jak ją do wieku XVIII francuzcy szczególnie pisarze wykształcili. Następców Bohomolca było zadaniem formę tę do literatury naszéj wprowadzoną wypełnić treścią narodową i oryginalną twórczością. Nie omieszkali oni tego uczynić, i od czasów Niemcewicza i więcéj od niego utalentowanego Zabłockiego powiedziéć téż możemy, że komedya polska istnieje.

Komedye „szkolne” Bohomolca były przed pierwszém ukazaniem się w druku, przed r. 1755 zatém, według zeznania autora (w przedmowie I tomu) „na różnych teatrach już po kilkakroć wyprawione.” Rozumie się, że jest tu mowa o teatrach szkolnych, bezwątpienia tylko jezuickich, najprawdopodobniéj w kolegiach tego zakonu: wileńskiém i warszawskiém, w których Bohomolec był profesorem. Uwagi późniejszych biografów naszego autora uszedł jednakowoż ten fakt, że były one także wystawione na publicznym teatrze warszawskim i to bezpośrednio po nieudanych próbach Bielawskiego. Fakt ten poświadcza nader wiarogodna w rzeczach sceny polskiéj powaga. „Zbyt krótko trwało *początkowych* sztuk Bohomolca powodzenie, które szczególniéj dla nabrania czystéj wymowy i, jak wtedy mówiono: pięknéj prezencyi, dla szkolnéj młodzieży pisane, przed żądającą wyższego rodzaju widowisk publicznością nie mogły być długo wystawianemi”—powiada Wojciech Bogusławski (w Dziełach IX, 327), historyę teatru polskiego spisujący, według czerpanych u źródła wiadomości. W zimie zatém roku 1765 na 6, produkowały się przed publicznością warszawską komedye „szkolne” Bohomolca, nie wszystkie bezwątpienia, najniezawodniéj te, które z Moliera były przerobione. Nie zadowolniły całkowicie publiczności, nie utrzymały się na repertoarze. „Nastąpiły na ich miejsce prawdziwie dramatyczne dzieła, z francuzkich autorów przełożone, jako to: Rozkochany filozof (Destouches'a), Timon odludek i t. p.” (Bogusławski, tamże), ale pierwsze to wstąpienie na deski publicznego teatru i względne, otrzymane na nich, powodzenie, zachęciły i popchnęły Bohomolca do dalszych na tém polu usiłowań.

Niedługo, bo jeszcze w tym samym sezonie teatralnym, przy końcu zimy 1766 r., zaczynają się pokazywać nowe, na inny sposób, już nie dla szkół, ale „na teatrum” pisane jego komedye.

Bibliografowie wyliczają sporą liczbę tych komedyj, powstałych

w r. 1766 i 1767, jako to: *Małżeństwo z kalendarza*, *Marnotrawca*, *Staruszkiewicz*. *Staruszka młoda*, *Nagroda cnoty (?)*, *Ceremoniant*, *Monitor*, *Czary*, *Pan dobry* i *Pijany*. My, z żalem to musimy wyznać, nie znamy wszystkich. Komedye Bohomolca należą do rzadkości bibliograficznych. Dawniejsze, szkolne, czterykroć za życia autora drukowane i późniejsze w części osobno, a potém w ogólnym zbiorze także w tym samym czasie wydane, nigdy już później nie doczekały się nowych edycyj i, powiedzmy prawdę, nie doczekają się i w przyszłości. Miały one niegdyś tylko chwilowe, a dla literatury mają tylko historyczne znaczenie. Dzisiejsi czytelnicy bardzo niecb [illegible] wyjątkowych wypadkach, braliby je do ręki, bo nie ma [illegible] tycznéj formy, która płodom poetycznym jedynie trv [illegible] Z biegiem czasu przeznaczone są zatém na zagładę [illegible] możnych w rzeczy polskie bibliotekach Jagielloński [illegible] mogliśmy zaledwie zebrać wprawdzie wszystkie pi [illegible] yj szkolnych, ale tylko trzy komedye z liczby późni [illegible]

Pierwszą z tych k [illegible] lżenstwo z kalendarza," wystawiona na scenie 4 m [illegible] d niezwykle uroczystych okoliczności. Dnia tego p [illegible] W. X. Litewskiego, z okazy imienin brata królewski [illegible] podkomorzego koronnego, dawał u siebie obiad, na k [illegible] ą rodziną i wielu dygnitarzami przytomnym być raczył. Po obiedzie całe to towarzystwo z królem na czele wysłuchało komedyi po raz pierwszy wówczas granéj, którą właśnie była wspomniana wyżéj komedya Bohomolca.

„Małżeństwo z kalendarza" miało większe od jego dawniejszych sztuk powodzenie. Bogusławski nazywa je „zabawną" i „pierwszą wogóle lepszą komedyą polską." Ale miało także to szczęście, czy nieszczęście, że zaalarmowało mocno opinię publiczną, że jak późniéj „Sarmatyzm" Zabłockiego, albo „Powrót posła" Niemcewicza, pobudziło namiętności i ściągnęło na siebie gniewy tych, co się z tendencyą autora nie zgadzali. Krzyk na Bohomolca musiał powstać niemały i skargi z wielu stron się odzywać, skoro, jak niegdyś Molière, jak za naszych czasów Dumas syn, widział się zmuszony, podając swą komedyę do druku, zaopatrzyć ją w przedmowę i bronić swych poglądów przed opinią. A chodziło o rzecz wcale ważną, bo kiedy „jedni oświadczyli swe upodobanie," to „drudzy się na nią (na komedyę) rozgniewali, z téj najbardziéj przyczyny, iż się zdała chcieć szkodzić honorowi narodu naszego." Oskarżenie brzmiało więc o zbezczeszczenie narodu, o herezyę narodową, ni mniéj ani więcéj!

Wistocie Bohomolec obrał sobie tym razem przedmiot wielce drażliwy. Dawniéj, kiedy wyśmiewał niedowiarków, zfrancuziałych paniczów, ladaco guwernerów, kiedy nawet powstawał przeciw więcéj swojskim zawadyakom i myśliwcom, ponad swojego psa nic więcéj niewidzącym, mógł był sobie narazić kilku lub kilkunastu *petit-maitrów* warszawskich, jednego lub drugiego przybłędę z Francyi, albo swojskiego chowu Herkulesów i Nemrodów. Ale w „Małżenstwie z kalendarza" zaczepił to, co znaczna większość ogółu uważała wówczas za tradycyjną świętość; uderzył, bez ogródki i bez ozłacania pigułki, na

wyobrażenia niedawno jeszcze przez wszystkich za prawdziwe i zbawienne uważane, a wtenczas zaledwie cokolwiek zachwiane; ośmielił się wystawić na scenie i publicznie ośmieszyć wady nie ogólnie ludzkie, lecz specyalnie narodowe: ciemnotę średniéj szlachty, zabobonność i stanową arogancyę. Nie dosyć na tém, ośmielił się wypowiedzićć, że bardzo blizko szlachty, prawie narówni z nią, stoi stan, o którym ona słyszéć nie chce—stan mieszczański.

Postacią, na któréj głównie spoczywa tendencya téj komedyi, jest pan Staruszkiewicz. Jest-to ziemianin, który urodził się, wyrósł i żyje na wsi, cały oddany gospodarstwu. „Wiesz, że mój ojciec (powiada jego córka Eliza) w gospodarstwie zanurzony, rzadko między ludźmi bywał i dlatego nie zna się na nich.” Przyjechał teraz do Warszawy wcale nie z wielką ochotą, jedynie dlatego, aby wydać za mąż córkę za niejakiego Marnotrawskiego. Przyszły zięć jemu przypadł do gustu, bo był człowiekiem według jego wyobrażeń, ale bynajmniéj nie Elizie, która wychowała się w Warszawie u siostry ojca, pani Bywalskiéj, kobiety rozsądnéj, a przytem z innym, więcéj postępowym na świat poglądem. Eliza, podczas bytności swojéj w mieście, poznała niejakiego Ernesta, pochodzącego z rodziny cudzoziemskiéj, ale pułkownika w wojsku Rzeczypospolitéj, pokochała go i za niego tylko iść pragnie. Gotowy więc jest konflikt między wolą rodzicielską i córki, między starym a nowym światem. Który z nich wyjdzie zwycięzko w komedyi, zależéć to będzie od większéj lub mniejszéj dozy prawdy w nich się mieszczącéj, od większych lub mniejszych sił ich moralnych.

Pan Staruszkiewicz niewiele téj siły ma w sobie. Poziom jego umysłowy jest bardzo nizki. Wierzy w sny jak najłatwowierniejsza kumoszka. Zaledwie powitał Elizę: „Jak się masz córko?” drugiém zaraz jego pytaniem jest: „Co się dziś śniło tobie?“ Za Ernesta (oprócz innych przyczyn, które niedługo poznamy) nie chce jéj wydać także dlatego, że miał sen wczorajszéj nocy o owieczce (która miała reprezentować córkę) i o dwóch wilkach: złym i dobrym, z których złym, według jego najlepszéj wiary, musi być Ernest. Eliza chciałaby odwlec przynajmniéj dzień ślubu z niemiłym konkurentem, dla zyskania na czasie, ale pan Staruszkiewicz, równie jak w sny, wierzy także w przepowiednie kalendarskie:

„Dziś ten akt koniecznie być musi, jeśli chcesz być szczęśliwą“— mówi do córki.

Eliza. Za cóż to koniecznie dzisiaj?

Staruszkiewicz... Czytaj, patrz, co o dniu dzisiejszym kalendarz pisze: „Dziś dobrze brać ślub, kto chce miéć małżeństwo pomyślne i dzieci piękne.” Widzisz. Drugiego dnia takiego w całym kalendarzu nie znajdziesz.

Pod tym względem zostaje on wierny swym zasadom do ostatka, bo kiedy późniéj małżeństwo z Marnotrawskim, który się i zadłużonym utracyuszem i względem swego protektora aż do brudoty niewdzięcznym pokazał, i w jego także oczach niemożliwém się stało, sam przynagla do natychmiastowego ślubu z Ernestem, ani na dwadzieścia cztery godzin odkła-

dac go nie chce, „bo takiego drugiego dnia dobrego w całym kalendarzu niema.“

Wogóle pan Staruszkiewicz musiał być z liczby tych, którzy, jak ów szlachcic w satyrze Naruszewicza: „Chudy literat,“ z całego kramu księgarskiego wybierali dla siebie tylko:

Receptę na dryakiew i kalendarz nowy,

bo kalendarz był dla niego alfą i omegą wszelkich wiadomości, jak w sprawach życia, tak w gospodarstwie i w nauce. Mówiąc o przyszłém urządzeniu się zię [illegible] vnia ich o swéj pomocy w tych słowach: „Ja was sam n [illegible] sekretów gospodarskich, które z pewnego starego kale [illegible] tem wypisałem.“ A na innem znowu miejscu chwali [illegible] omości sztuki lekarskiéj. „Otto przeszłego tygodnia zac [illegible] ek, mój poddany, tak ciężko, że mu nawet nasz sławny [illegible] ılik nie mógł dać rady, a ja go za kilka dni doskonale [illegible] ę wyższość swoję nad cyrulikiem Moszkiem zawdzi [illegible] kiewicz również kalendarzowi, a bezwątpienia był naj [illegible] odobne sekreta kalendarzowe więcéj są warte niż zda [illegible] ultetów medycznych w Europie.

Tak zacofany w s [illegible] nie może przyjść do harmonii z swojém warszawskiém [illegible] otoczeniem, ani z siostrą, panią Bywalską, ani z córką Elizą, i niemało sobie krwi napsuje tém, co słyszy z ust jéj służącej Agaty, ciętéj warszawianki, w rodzaju tych Finett, Dorin i innych typowych subretek komedyi francuzkiéj, która nadto z piętra patrzy na wszystkich parafian i z uczuciem własnéj wyższości powtarza: „My, co w Warszawie mieszkamy.“ Co chwila téż utyskuje i skarży się pan Staruszkiewicz na Warszawę i jéj zepsucie: „Jakto ta Warszawa odmienia ludzi i najlepszych!“ albo: „Te warszawianki mają język za katy wyprawny!“ albo mówiąc do córki: „Widzę w tobie piękne przymioty, choć troszkę zarażone warszawskiém powietrzem.“ On wszystko chciałby miéć po starodawnemu; nawet wesele córki, które ma się odbyć w Warszawie, chciałby odprawić w ten sposób, jak się to działo według odwiecznych zwyczajów na prowincyi, ze wszystkiemi dla młodszego pokolenia nieraz niesmacznemi już ceremoniami. „Już mam jednego kawalera (mówi do siostry, przedstawiając jéj swój plan wesela), który będzie za wieniec dziękował. Ale trzebaby drugiego oratora, który przy marcypanach będzie miał mowę. Co się tyczy tańców, wszystko rozporządziłem. Słodki taniec, albo jak nazywają Marszałka, ja sam będę tańcował. Jeszcze ja potrafię wszystkie korwety, choć stary jestem. Po tym tańcu będzie Drabant...

Bywalska. Ale teraz już tego niema zwyczaju.

„Tém gorzéj!“ — odpiera pan Staruszkiewicz.

Tę predylekcyę jego do oratora, Marszałka i Drabanta, choć widocznie Bohomolcowi się to już nie podobało, jaknajchętniéj mu darujemy i do rzędu jego wad i śmieszności zaliczać jéj nie mamy zamiaru. Zdaje nam się, że nie byłoby to wcale słuszne i sprawiedliwe. Tak dobry sobie Drabant jak menuet lub kadryl, i ani to ludzi poprawi, ani wykształci, ani podniesie moralnie, czy według téj czy owéj muzyki tańczyć będą. I owszem, tylko w zamiarze przechowania drobnéj

pamiątki z przeszłości, zacytowaliśmy tutaj ten porządek wesela, jaki sobie pan Staruszkiewicz układał.

Cośmy dotychczas o nim i z jego ust słyszeli, chociaż niebardzo dla niego, jako dla przedstawiciela typu ziemiańskiego pochlebne, nie byłoby jeszcze wywołało gniewów i oburzenia na autora. Śmieszności téj figury mogły być łatwo uważane za śmieszności ludzi wyjątkowych. Ale teraz przystępujemy do tych jego rysów, przez nakreślenie których cały naród szlachecki, albo przynajmniéj znaczna jego większość, mógł się czuć obrażonym i pokrzywdzonym, bo w tych rysach wypowiadał autor swoje opinie społeczne, dla niego niekorzystne i niemiłe do słuchania.

W dyskursie między panem Staruszkiewiczem a ową ciętą subretką Agatą, zaatakował Bohomolec najprzód wyobrażenie o wyższości szlachectwa polskiego nad inne, nieuznawanéj wprawdzie *de facto* nigdzie, ale między ogółem niższéj szczególnie szlachty należącéj do artykułów wiary bardzo mile w głębi serca pieszczonych.

Pan Staruszkiewicz nie ma nic do zarzucenia pułkownikowi Ernestowi, temu, którego jego córka kocha—„Jedna jest tylko w nim przywara...“

Agata. Mnie się zda, że żadnéj w nim niema przywary.

Staruszkiewicz. Oj jest, i brzydka.

Agata. Jakaż przecie?

Staruszkiewicz. Ta, że nie jest szlachcic.

Agata. Jam słyszała, że szlachcic, i wm. pan sam mówisz, że jest dobrego urodzenia.

Staruszkiewicz. Cudzoziemiec a szlachcic! ha, ha, ha!

Agata. Albo to i cudzoziemcy nie mają szlachty?

Staruszkiewicz. Jakie ich szlachectwo? chłopi wszystko.

Po takim aksyomacie znowu na Agatkę koléj rozśmiać się głośno: „Ha, ha, ha!“

W rozmowie na ten sam temat z panią Bywalską, pan Staruszkiewicz łagodzi nieco swój sposób wyrażenia, choć w gruncie rzeczy od wyobrażeń swoich ani na cal nie odstępuje. Na jéj zapytanie, zadane również w celu bronienia sprawy pułkownika Ernesta: „Albo to niema między Niemcami szlachty?“—odpowiada naiwnie: „Może i są“ i zaraz dodaje: „Ale jakie to ich szlachectwo? Polskie szlachectwo, grunt; to prawdziwe szlachectwo.“ Dlaczego? możnaby go zapytać, gdyby on sam natychmiast swojego zdania nie motywował: „Co mi po ich bohaterstwie, kiedy żaden z nich na sejmikach pokazać się nie może. Pan Ernest godny jest człek: ale mi takiego zięcia potrzeba, któryby mię i na sejmiku mógł poprzéć.“ Oto argument — i nie głęboko zaiste sięgający.

O co zresztą chodziło Bohomolcowi i innym podobnie myślącym w téj kwestyi asymilowania cudzoziemców i przygarniania ich do społeczeństwa polskiego, to widzimy ze słów postępowéj, jakby ją dzisiaj nazwano, pani Bywalskiéj: „I owszem do tego trzeba cudzoziemców, żeby się rzemiosła mnożyły, żeby się nowe manufaktury zakładały, żeby handel zakwitnął, żeby ekonomia była polepszona.“ Przed stu przeszło

laty nie miano może zaufania do szlachty, aby ona zdolną była do podniesienia tak potrzebnego handlu i rzemiosł, a z pewnością nie miano odwagi, aby jéj kazać miarą, łokciem i warsztatem się zajmować, i dlatego chciano ją w téj pracy wyręczyć cudzoziemcami — także wówczas jeszcze nie niebezpiecznymi.

Pan Staruszkiewicz, który córkę chce wydać tylko za prawdziwego szlachcica, i Agatce zaleca także na męża swojego „mastelarza," Chudeckiego, z téj najwięcéj racyi, że i on choć nie *possesionatus*, ale *bene natus*. „Czy nie [illegible] hcic?" zapytuje, stawiając najsilniejszy swój argume[illegible] również „zarażona warszawskiém powietrzem," da[illegible] ną odprawę: „A mnie kat po jego szlachectwie!..." N[illegible] maczyć téj zbałamuconéj głowie, jakie jest znaczeni[illegible] ie omieszkuje uczynić tego pan Staruszkiewicz, rozwij[illegible] lepaną teoryę o ważności klejnotu i rzekoméj równ[illegible] „Ale dziwna jesteś! albo nie wiesz, że każdy szlach[illegible] em, senatorem i... i..."

— „I mastelarze[illegible] a dowcipna Agata, z jego wybujałych marzeń ściąg[illegible] rzeczywistości. Kiedy potém pan Staruszkiewicz do[illegible] gatce podoba się lokaj Ernesta, Johan, z oburzeniem wo[illegible] ięc u ciebie lepszy ten chłop lokaj niż szlachcic?" Agata, która nie jest także do tego stopnia demokratką, żeby się aż do chłopa zniżyć miała, odpowiada urażona: „Przepraszam, nie chłop. Nie znasz się wm. pan na ludziach."

Staruszkiewicz. Co? będziesz mię uczyła?

Agata. Bo nie chłop.

Staruszkiewicz. Jakże? to on szlachcic?

Agata. Ani chłop, ani szlachcic. Może być co średniego.

„Cóż to takiego średniego?" — zapytuje, naprawdę zdziwiony pan Staruszkiewicz, bo on dotychczas tylko o dwóch kategoryach ludzi słyszał, i otrzymuje w odpowiedzi to, co wówczas było kwestyą świeżą, wiszącą w powietrzu i mającą przyjść niedługo na porządek dzienny:

„Mieszczanie, lud uczciwy, którzy téż nie są wprawdzie szlachta, ale téż nie są chłopi."

Pan Staruszkiewicz nie spodziewał się téj odpowiedzi; myślał, że posłyszy nazwisko, które się nigdy nie obiło o jego uszy, a usłyszał, że tu chodzi o mieszczan, których znał dobrze i zawsze identyfikował z chłopami, usłyszał nowe głupstwo i wybuchnął śmiechem: „Ha, ha! Nie są chłopi! ha, ha!"

Wszystko, co nie szlachcic, to u pana Staruszkiewicza chłop, a co chłop, to—nie powiada on tego nigdzie głośno, ale między wierszami można to u niego czytać,—to nie człowiek. Agatka nietylko z jego ust; ale i wielu innych „parafianów" musiała podobnych zdań się nasłuchać, skoro ich pogląd na sprawy społeczne mogła streścić w tém drastyczném i wiele mówiącém powiedzeniu: „U nich kto nie szlachcic, to gorszy za psa."

A teraz, poznawszy te wyobrażenia pana Staruszkiewicza i jego pory w kwestyach socyalnych z ludźmi „zarażonemi powietrzem war-

szawskiém," przyznasz czytelniku, że śmiało i z wielką odwagą cywilną prawił nauki szlachcie ten jezuita komedyopisarz, w sposób dosadniejszy i drażliwszy niż to czynią naprzykład pisarze naszych, z przewrotności i warcholstwa okrzyczanych czasów; i nie będziesz się dziwił, że podczas przedstawienia téj komedyi zakipiała nieraz gniewem krew u spektatorów z ówczesnego parteru; kiedy w słowach, które słyszeli, dosłuchiwali się jakoby lekceważenia szlachectwa, poniżania rodowitéj szlachty na korzyść chociażby zasłużonych cudzoziemców, wyszydzania ciemnoty i przesądnych pojęć swoich spółziemian, i podnoszenia niemal do wysokości stanu szlacheckiego tych mieszczan, którzy dotąd w kraju za nic się nie liczyli i byli kupą bez znaczenia, a nie obywatelami.

Nie wiemy dokładnie, kiedy Bohomolec wszedł w bliższą styczność z królem i z otaczającymi go ludźmi, ale choć za to nie moglibyśmy z tego właśnie powodu ręczyć, zdaje nam się, że w téj jego komedyi słychać echa tych rozmów i dyskusyj politycznych, które się nieraz na królewskim zamku, pewnie i podczas czwartkowych obiadów, prowadziły, i widać odbicie tych wyobrażeń, któremi przejęty był król i inni ludzie postępowi, torujący drogę odrzuconemu zbiorowi praw Zamoyskiego i późniejszéj przyjętéj z entuzyazmem ustawie 3-go maja. Kto wie nawet, czy sam król bezpośrednio nie wpłynął na powstanie téj komedyi, czy nie był Egeryą Bohomolca i nie polecił mu pchnąć w świat te opinie i wyobrażenia, które tak bardzo jego poglądom i widokom politycznym odpowiadały? W każdym razie jest to bardzo prawdopodobne.

Niema bynajmniéj w sobie tendencyi tak ciężkiéj wagi i tego niemal politycznego charakteru komedya w trzech aktach: „Staruszka młoda"—ale zawsze jest-to obrazek, również z natury pochwycony, innych warstw ówczesnego społeczeństwa i innego, nowego w Polsce, modnego świata. Z treści komedya ta przypomina dosyć „Hrabinę d'Escarbagnas" Moliera, bo i tu rzecz chodzi o to, że stara, i dobrze stara, bo 60-letnia Umizgalska gwałtem chciałaby się wydać za mąż, i że w tych swoich usiłowaniach pada ofiarą podstępu, bo młodzi ludzie, w jéj domu bywający i napozór starający się o nią, oszukują do czasu panią Umizgalską, a w końcu jeden z nich żeni się z prawdziwym przedmiotem swych zapałów, z jéj siostrzenicą Agnieszką. Z figur téj komedyi jedna tylko pani Umizgalska ma niektóre rysy charakterystyczne; inne postacie są blade i bez wyrazu. Stara kokietka, mimo swego wieku jest pełna pretensyj; jéj służąca Katrynka wyraża się o niéj: „Powiedziéć, że ona szpetna, zaraz ją migrena porywa." Względem kobiet młodych i ładnych zazdrosna aż do używania tak naiwnego sposobu, że zakrywa kwefem twarz swéj siostrzenicy, aby przy niéj na porównaniu wobec mężczyzn nie stracić. Z koniecznéj przyzwoitości, zachowując mimo całéj swéj śmieszności resztki jeszcze zdrowego rozsądku, objawia głośno, choć o to ani pytana, ani proszona (co ją znowu śmieszną czyni), że nie ma już pretensyi liczyć się ani do najpiękniejszych, ani do bardzo młodych, a brak wdzięków i powabu młodości chciałaby sentymentalizmem zastąpić i schwycić konkurenta

na to, że „w dobroci serca nikomu nie ustąpi.“ Przed ludźmi, a najbardziéj przed mężczyznami, którychby chciała zawieść przed ołtarz, wypiera się jaknajuroczyściéj swych matrymonialnych zamiarów: „Przyznam się wm. panu, że ja do małżeńskiego stanu całe straciłam ochotę...“ albo: „Nie myślę tego stanu (wdowy) odmieniać.“ Aby jednak tém maskowaniem swoich najszczerszych chęci nie odstraszyć i nie zbić z toru jakiego zbyt naiwnego pretendenta, nie zapomina zaraz potém dodać: „Z tém wszystkiém, gdybym była pewna o dobrém sercu ku mnie jakiego godnego kawalera, nie miałabym przyczyny mu bronić ręki mojéj.“

Nienowe to zap[illegible] w czasach Bohomolca te rysy, któremi starą zalotnicę [illegible] dźcobądź, figura ta ma to historyczne znaczenie, że pc[illegible] dowód, iż w ówczesnéj Polsce można było już znaléźć [illegible] plarze kobiet, przykrojone bezwątpienia podług wzor[illegible] m, jak pod wielu innemi względami, dawał nam wie[illegible] i wersalskiego dworu. Przed wiekiem jeszcze, kobie[illegible] byłaby poważną matroną z różańcem w ręku; w dru[illegible] III. stulecia taki duch lekkomyślności ją podleciał, [illegible] bawić w salonową damę, gotową romansować z mł[illegible] ą téj nadziei, że jéj się jeszcze uda konkieta.

„Monitor“ nareszcie, komedya w jednym akcie, jest utworem okolicznościowym, jedynym ze znanych nam, którego treść i myśl przewodnią wysnuł Bohomolec, niemal możnaby powiedziéć, z wypadków własnego życia. Jako główny redaktor i wydawca czasopisma „Monitor“ przyjął na siebie, według jego słów własnych, „obowiązek służenia krajowi, pokazując obywatelom, jakimi oni być powinni, aby byli mu pożyteczni,“—a pełniąc ten trudny urząd kierownika i cenzora publicznego, niejednemu się naraził i niejedne wzbudził przeciw sobie niechęci. Krytykę, nicującą wady ogółu, drażliwsi brali do siebie i gniewali się, że „Monitor“ ich opisywał i plotki o nich robił, a w gronie redakcyi tego pisma widzieli tylko złośliwych, pragnących się bawić cudzym kosztem.

„Potrzeba wiedziéć, że to jest banda z kilku złożona, którzy z nas żartują“—powiada jedna z osób téj komedyi, według swojego rozumienia przedstawiając tendencyę i cel „Monitora.“

W pewnéj karczmie na popasie zbiera się cała kompania tych nieprzyjaciół „Monitora,“ a są pomiędzy nimi panie: Mędnicka, Umizgalska, Wymyślnicka,—panowie Pieniacki, Staruszkiewicz, Łakomski, Hajdamakiewicz i Łykaczewski. Nazwiska tych osób określają już ich charaktery, o stosowne rysy psychologiczne zresztą autor niewiele się starał, i zmieścić tyle różnorodnych charakterystyk w jednoaktowéj komedyi byłoby może dla niego niepodobieństwem. Wystarczy dla nas, że te figury są przedstawicielami tyluż rozmaitych wad i przywar, bądź narodowych, bądź naleciałych z zagranicy, które „Monitor“ bronią śmieszności i rozumowych przekonywań starał się wykorzenić i usunąć ze społeczeństwa. Całe to towarzystwo zgromadziło się w karczmie w tym celu, aby pochwycić Ochotnickiego, jednego z owych złośliwych

Monitorów, i za wszystko, w czém im dokuczył, przynajmniéj go obić. Tymczasem nim to nastąpi, skarżą się przed sobą po kolei na to, co każdemu „Monitor“ wytknął i jak go opisał. Ochotnicki zjawia się, zaczyna mówić, broni się, odpiera zarzuty i przekonywa wszystkich, że niczyjéj osobistości nie tykał, ośmieszając wady, których naturalnie żaden z tych panów, ani żadna z tych pań w sobie nie mają. Kończy się rzecz tryumfem, bo pochwałą „Monitora,“ wygłoszoną przez usta przybyłego starosty: „Podobnym pismom Anglia swój polor i potęgę poczęści jest winna.“

Z téj treści już widać, że jest-to apologia „Monitora“ i zręcznie, choć bez dowcipu, napisana satyra, ale nie zajmująca swoją intrygą i rozwinięciem charakterów komedya.

Po przerwie lat kilku, które były zarazem czasem upadku sceny polskiéj w Warszawie, zmuszonéj po kilkunastu zaledwie miesiącach istnienia ustąpić przed cudzoziemskiemi widowiskami, a szczególnie przed ulubioną od publiczności operą włoską, kiedy w. r. 1774 książę August Sułkowski stanął na czele teatru i nową dla sceny polskiéj rozpoczął erę, sztuki Bohomolca, mianowicie jego komedye późniejsze, weszły powtórnie na repertoar i razem z kilku, dawniéj z francuzkiego przełożonemi, bawiły przez czas niejaki publiczność. Wtedy to występowali w jego komedyach Kazimierz Owsiński, Karol Świerzawski, Barbara Sierakowska, Hempiński — aktorowie, którzy talentem swoim dobrze się zapisali w dziejach teatru polskiego.

Dodajmy do tego, że Bohomolec, jak był pierwszym scenicznym komedyopisarzem polskim, tak był również i pierwszym librecistą. Z polecenia króla, który w teatrze korpusu kadetów chciał zrobić doświadczenie, czyby się nie udała opera polska i przez Polaków śpiewana, napisał r. 1770 *intermezzo* w jednym akcie, z kilku piosnkami p. t. „Nędza uszczęśliwiona.“ Czy dla braku kompozytora muzyki, czy z innych niewiadomych powodów, nie przyszło na razie do wystawienia téj sztuki i została tylko wydrukowana. Myśl Bohomolca nie przepadła jednak marnie. W kilka lat późniéj (r. 1778) Kamieński dorobił muzykę, a W. Bogusławski rozszerzył sztukę na dwa akty, i w ten sposób powstała pierwsza opera polska.

Działalność teatralna Bohomolca, jego zasługi i znaczenie w literaturze dramatycznéj, nie były przeto tak skromnemi i tak niewielkiéj wartości, jak sobie to częstokroć wyobrażamy. W komedyach szkolnych wprowadził on, wprawdzie w zmienionéj nie na korzyść postaci, po raz pierwszy Moliera na scenę i do literatury polskiéj; a późniéj, w czasach najkrytyczniejszych dla narodowego teatru, bo w samych jego początkach, kiedy dopiero próbował pierwszych swych kroków, gdy zwłaszcza brak polskiego repertoaru mógł dla niego stać się ciosem zabijającym go na miejscu,—nie kto inny, tylko Bohomolec za dwoma nawrotami ratował go od przedwczesnéj śmierci i dowiódł swemi utworami, że chociaż nie posiadał świetnych, nadzwyczajnych w tym kierunku zdolności, potrafił jednak zajmować i bawić publiczność, i to sprawić, że z niechęcią i obojętnością nie odwracała się od sceny polskiéj.

Przy wielu innych był téż bezwątpienia teatr ulubioném dla niego zajęciem; oddawał mu się chętnie, ile razy mógł i ile razy tylko zdarzyła się do tego sposobność. W kolegiach jezuickich był nietylko autorem ale dyrektorem i reżyserem teatrów szkolnych; dla publicznego teatru w Warszawie w przeciągu krótkiego czasu, a więc z jaknajwiększą gotowością, napisał kika nowych sztuk; będąc przełożonym drukarni pojezuickiéj i wydając w niéj dawnych historyków i poetów, nie zapomniał o nowych komedyopisarzach, i pragnąc czém można było ubogą literaturę dramatyczną ... d 1774 r. „Junaka“ Stan. Mycielskiego, a do księci... podolskich kilkakrotne, wcale dowcipne, wierszowan... w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych*, 1775) o poz... w druku jego „Panny na wydaniu.“ Wreszcie po r... owu dyrektorem teatru, kiedy mu powierzono (zape... czynił) dozór i przewodnictwo rządów w teatrze korp... cziwy Bohomolec przypomniał sobie znowu przy téj ... profesorskie czasy, gdy młodzież szkolną w sztuce ... ał, a że mu to sprawiało przyjemność prawdziwą, dc... omieszkał tego faktu (również przez biografów pomij... owie do wydanego przez siebie „Junaka“ Mycielskiego ...

Uprzedzenie i jakaś fatalność do dziś dnia ścigają pamięć tego czynnego i pierwszego, co do czasu, naszego komedyopisarza. Gdy kto wspomni o komedyach Bohomolca, to zwykle w tym sensie, w jakim się mówi o wierszach Baki. Zkąd się to wzięło? dlaczego tak nieusprawiedliwiona opinia się ugruntowała? Zdaje nam się, że przyczyna tego leży w zwyczajnéj płytkości sądów ludzkich, które lubią wydawać wyroki na podstawie pierwszéj lepszéj, z samą rzeczą niemającéj często nic wspólnego okoliczności. Bohomolec był księdzem,—to podobno najwięcéj zaszkodziło jego komedyom. Ludzie nie byli przywykli, żeby księża pisali komedye, nie mogli sobie wyobrazić, aby komedya, napisana przez księdza, była dobrą—ergo wywnioskowali, że komedye Bohomolca muszą koniecznie być liche. Nic nie pomogło, że komedye te były kilka razy drukowane, że przez lat parę grywano je w stołecznym teatrze, że jeszcze przez ten czas setki, tysiące widzów, między którymi było wielu wcale i bardzo mądrych, bawiły się temi komedyami i oklaskiwały je nieraz — o tém wszystkiém ogół zapomniał i utkwił mu w głowie tylko sąd, który może kiedyś porodziła złośliwość jakiegoś niedowarzonego dowcipnisia.

W roku, w którym piszemy te słowa, minęło właśnie lat sto od śmierci Bohomolca (1784). Nikt ani wspomniał o tém, ażeby jakimkolwiek sposobem uczcić tę rocznicę pamięć skromnego, choć na wielu polach zasłużonego pisarza. Nie śmiemy naszéj pracy poświęcić temu wspomnieniu, ale gdy nas nikt w tem godniéj nie wyręczy, niech ona służy choć za przypomnienie wspomnienia.

*Kraków, 1884 r.*

# ADAM NARUSZEWICZ, JAKO POETA.

*Szkic.*

Mówić o literaturze przeszłego wieku, a nie zawadzić zaraz na początku o „uczone obiady” czwartkowe, jest prawie niepodobieństwem. Na posiedzeniach tych, po królu, na którego bezwątpienia najprzód zwróciłoby się wasze oko, gdybyście tam byli przytomni, najgłówniejszą odgrywał rolę człowiek w suknię duchowną dosyć zaniedbaną przybrany, z orderem św. Stanisława na piersiach, wysokiego wzrostu, w ruchach szorstki i niezgrabny, nieodznaczający się powabami ciała... Ale nie chcąc uchodzić przed nikim za uprzedzonego w téj mierze, reszty portretu dokończę własnemi wyrazy tego człowieka, jak się raz przy sposobności, dla pamięci przyszłych pokoleń, odmalował. Otóż powiada on o sobie:

Prawda, że masz nos jako gałka na kościele,
Oczy w studni, żeś blady, dziur na twarzy wiele,
Gębę nieco szeroką...

Przyznacie, że postać wcale nieujmująca. Człowiek ten musiał posiadać innego rodzaju dary i zalety, jeśli na polerownym dworze Stanisława Augusta i między tylu jasnemi gwiazdami, błyszczącemi na literackich posiedzeniach, nie zniknął w pomroce, ale owszem, jak powiedzieliśmy, zwracał na siebie szczególną uwagę. Zwykle on zagajał posiedzenia, a odzywał się bardzo dowcipnie i z wielkim humorem. Ale téż przy żywéj rozmowie oblicze tego człowieka wcale już inaczéj wyglądało: zapadłe jego oczy nabierały ognia duszy, a cała twarz oblewała się szlachetnym wdziękiem.

Nawet i poza obrębem obiadowéj sali, człowiekowi temu, widocznie jednéj z ówczesnych znakomitości literackich, niejeden mógł pozazdrościć faworów monarszych. Nigdy król nie zapominał o nim, i korzystając z różnych sposobności, dawał mu dowody pamięci, jakich tylko od najpoufalszych przyjaciół spodziewać się można. Raz posyła mu bogaty pierścień, drugi raz znowu zegarek, w czasie choroby odwiedza go w jego własnym domu, a nawet kiedy dla duchownych rekolekcyj ulubieniec zmuszony był opuścić jeden obiad czwartkowy, tęskniący za nim monarcha przysyła mu butelkę wina ze swego stołu. Nie trzeba już mówić o tém, że intratne beneficya, probostwa i biskupstwa spotykały często szczęśliwego literata, zaopatrując go obficie w materyalne potrzeby. Sławy szerokiéj, uznania od najwyższych osób także mu nie brakowało, bo król dawał do tego pierwszy przykład, na wszelaki sposób czcząc w nim zasługi literaturze oddane. Medal „bene merentibus,” order św. Stanisława nie zdawały się jeszcze królowi dla niego wystarczające; więc kazał swemu rzeźbiarzowi zdjąć popiersie z jego osoby i wystawił je w salach swojego zamku; kazał wybić osobny, dla niego tylko przeznaczony medal, na którym umieszczono wizerunki dwóch najszczęśliwszych (przynajmniéj w owych czasach o obu tak myślano) naśladowców i uczniów Horacyusza: Sarbiewskiego i Naruszewicza.

wne pod wpływem literatury francuzkiéj, od
mowania — flecik, jak powiada, „u Rodanu
skoro powrócił z zagranicy, oddali mu ojcowi
lencie poetycznym Naruszewicza dowiedzia
wnocześnie ze śmiercią Augusta III (1763).
w obowiązku napisać uroczystą odę z powodu
Ta oda dała go po raz pierwszy poznać św
wiedzieć, panegiryk lepiéj wprawdzie od innyc
dobny do reszty tych małodusznych utworów
storyi, wobec tego, co wiemy o Auguście III, v

*Le roi est mort, vive le roi!...* Poeta, kt
świata wielkość, powitał również nowowschod
Moszyński, stolnik koronny, uczcił elekcyę S
niałym fajerwerkiem... Naruszewicz uczcił faj
szem. Tym razem nie pomyliła się tak bardz
August stał się protektorem literatury, a nicz
mego Naruszewicza.

Wszyscy poeci z tych czasów wielbili kr
broczyńcę, bądź jako swego opiekuna i refo
jednak tyle co Naruszewicz nie napisał na jeg
językiem statystyki, najlepiéj dzisiaj zrozumiał
dwadzieścia jeden od Naruszewicza, dwadzieś
jest uwielbieniu Stanisława Augusta. Profes
sposobności jednał łaskę monarchy dla siebie i
cał jego wspaniałomyślność. I król nie okaza
téj pochlebnéj muzy... cieszył się nowy August
cego, a nad Naruszewicza nie było wówczas l
Krasicki i Trembecki nie dawali się słyszéć...

Powoli stosunek ten między poetą a kr
jacielski związek ...

gdy starość oniemi jego lutnię, za którój pochwalne tony ma dzisiaj przyjaciół i opiekunów?... wtedy

Byó mu w szpitalu z poety na schyłku...

Więc rzewnie i z całą otwartością odzywa się do króla:

Bez kęsa chleba, bez roli zagonu,
Wstyd mi, lecz muszę dolę mą otwierać:
Użal się królu z wysokiego tronu,
A nie daj z głodu na starość umierać.

Ale czyż Naruszewicz tylko przez pochlebstwo lub przez wdzięczność za kawałek chleba uwielbiał króla?... Bezwątpienia, nie zapominał on co winien swemu Augustowi, który

..... za dwu dawnych stoi,
Bo mię i karmi i Tokajem poi,—

lecz było także cóś z czystego uwielbienia, cóś z serdecznego afektu w tych pochwałach.

Może być, iż współcześni, patrząc na niego oczami ciała, lepiéj znali Naruszewicza; ale czyż to się nie zdarza, że świat w ludziach nad ogół wystających, codziennie i w drobnych sprawach życia z nimi się spotykając, to tylko widzi, co najlepiéj przypada do zwyczajnéj miary człowieka? My, którzy umarłych możemy tylko z ich dzieł sądzić i z tych odtwarzać sobie żyjącego niegdyś ducha, nie zgodzimy się ze znanym, złośliwym epigramatem, jakim rzucono w oczy szczęśliwemu ulubieńcowi króla:

Lachowski prawdę mówił — jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał — biskupem i panem.

Panegiryzm, któremu Naruszewicz niejednę kartę poświęcił, wielbiąc to króla, to inne wysoko położone osoby, został jednak przez niego uszlachetniony. Nie powiemy, że zupełnie— bo i on kazał wyśpiewywać wszystkim dziesięciu muzom na cześć nowonarodzonego dziecka, nie czekając aż czyny dowiodą, jaki to będzie bohater; i on, pisząc do podeszłéj matrony w imieniu wnuków, utrzymuje na jéj pociechę, że równie nadobna jak w młodości, że jéj wdziękom musi ustąpić Cyntia; i on nie waha się nadać poważnego tytułu ody błahemu wierszowi na eleganckie sanie pewnéj wielkiéj damy...

Ale pamiętajmy, że ten człowiek wykształcił się i dojrzał jeszcze za czasów, kiedy całe prawie piśmiennictwo panegirykami było zalane; pamiętajmy i o tém, że był profesorem poetyki w jezuickiém kolegium.

Drugą wadą, która w niego przeszła z ogólnego ducha wieku, z któréj Naruszewicz rzadko się otrząsa, jest zbyteczne przeciągnienie lirycznéj struny—napuszystość. Oh, jak często nasi lirycy tém fałszywém natchnieniem grzeszyli! Podobnie jak wielu innych, i Naruszewicz przecenił siły swego talentu... Wyrównać Pindarowi, a nawet Horacemu, nie tak łatwo; a przecież dawni lirycy ich tylko mieli ciągle na oczach, lękając się śpiewać naturalnym głosem, jakim ich Pan Bóg obdarzył. Ztąd i Naruszewicza poetyczny zapęd bywa zawsze zawielki w stosunku do uczynionego skoku... Aby zagłuszyć powstającą z tego dysharmonię, zatrzéć tę nierówność kolorów, wszczyna poeta brzęczący

Siejąc perły wilgotne po trakcie sz
Srebrnowłosa jutrzenka...

Czyliż nie wdzięczniéj, chociaż na niższą
naiwny Szymonowicz:

Słoneczko, śliczne oko, oko dnia jas

Albo jak wam się podobać będzie to od
oklepane upostaciowanie zwady, która

..... z rozpaczy trzęsąc warkocz smo
Wściekła—w pochodniach własnych

Naruszewicz sądził w prostocie, a raczéj
nosci swych poetycznych wyobrażeń, że prz
tego rodzaju uczyni zadość duchowi poezyi
Suida i inni piszą, że dytyramb „z natury sw
mny, różnorymny, nowych słów wiele mający
niezwyczajną radością uniesieni, nie za składe
swego bystrością i zapędem iść powinni." Narusze
napisać dytyramb „z okazyi zupełnego zdrowi
cóż czyni?... Rozpoczyna swój wiersz tak zdal
było rozpocząć — od odezwy do słonca:

O ty! co wiecznie krążąc wkoło płod

szamota się, jak w burzliwej fali rozbitek, w
zużywa niepotrzebnie połowę mitologii, przerz
w rozmaite formy wrotek i rytmu — a to wsz
idzie za zapędem swego umysłu, podczas gdy m
tylko w nas wmówić temi sposobikami i sztuc
lu uniesiony i... natchniony.

Otóż macie poetę, którego zabiła poetyka

.....Bóg ci pewne przepisał prawidła,
On lotne lekkiém pierzem przyodziawszy skrzydła,
Rzekł do natury: tobie w dziale czasy skore
Póki świata oddaję: ja pan—wieczność biorę..

Ci zaś znowu, co w poezyi szukają rozwiązania lub potrącania zagadnień ludzkość obchodzących, muszą być wdzięczni Naruszewiczowi za wiersz „O powinności człowieka w towarzystwie ludzkiém," gdzie samoluba, który cofnął się w zacisze domowe przed walką z przewrotnym i zepsutym światem, upomina do stawienia się w szeregu walczących przeciw złemu:

Możeż się cnota w ciemnéj nocy kryć rozumnie,
Gdy występek z otwartém czołem chodzi dumnie?
Czyliż nie wiesz, iż zaszczyt jedynie prawdziwy,
Jedna świata ozdoba — człowiek sprawiedliwy?...

Wistocie, głębsza, filozoficzna myśl ukrywa się bardzo często w lirykach Naruszewicza, nawet tych, które z innych względów pełne są wad i grzechów... tak jak drogocenna perła znajduje się wpośrodku potwornych i bezużytecznych zwierzokrzewów.

Ostateczności się stykają... Poeta, który z całych sił puszczał się w ślady Pindara i Horacyusza, równocześnie zniżał się także na padół cichéj, potulnéj sielanki. Gdybyśmy mieli do czynienia z twórczym, oryginalnym umysłem, z poetą na seryo natchnionym, nie spotkalibyśmy się zapewne z podobném zjawiskiem... Tacy poeci mają zwykle stałą fizyognomię, o niezmiennych rysach. Tego prawa jednak nie możemy stosować do Naruszewicza, ani wogóle do wieku XVIII. Ten wiek XVIII był bardzo chaotycznym w swych wyobrażeniach; ztąd pełno w nim niespodzianek, sprzeczności iześlizgiwań się ze zwyczajnéj kolei natury. W tym wieku XVIII, w którym umysłami i wiarą rządziła filozofia Woltera, w którym na twarz kładziono róż i muszki, a na głowę przyprawne, pudrem posypane włosy... w tym samym także wieku do ulubionych płodów poezyi należała sielanka. Zaiste, ta naiwna muza gór sycylijskich dziwnym sposobem tutaj się zabłąkała! Jak tu pogodzić z wiekiem XVIII tę pieśń spokoju, mierności, szczęścia na łonie natury, przenoszącą człowieka w złote wieki, których podobno nigdy na świecie nie było? Dziwnéjby, zaprawdę, potrzeba było sztuki, aby śród tego racyonalnego społeczeństwa, aby patrząc codziennie na kawalerów we frakach i perukach, na wyróżowane damy w robronach, — przerzucić się nagle duchem do niewinnych pasterek i spokojnych rolników... Ówcześni poeci ułatwili sobie wprawdzie tę robotę, bo ich pasterki i rolnicy dziwnie są podobni do sentymentalnych kawalerów i dam spotykanych po salonach, a wszystko, co mówią, jest fałszem wymyślonym na stłumienie tego głosu, który z głębi duszy byłby się czémś zupełnie innem odezwał, gdyby go sztuczną paplaniną nie zagadywano... Czyż nie zdarzyło się wam być kiedy w towarzystwie, w którém każdy z gości zajęty jest czém inném niż zabawą, a przecież wszyscy się bawią? Gdyby im można zajrzeć w serce, zobaczylibyście, jak je ugniata jakaś myśl ciężka. Ale oni dla przyzwoitości chcą zapomnieć o niéj... postanowili nie psuć sobie

humoru. Więc na ich twarzach uśmiech, na ustach plotki miejskie, albo sprawozdanie z ostatniéj komedyi — nad nimi zaś duszna i parna atmosfera, w któréj każdemu tak źle oddychać, że dopiero wróciwszy do domu, między czterema ścianami, jeden i drugi otrze pot z twarzy, westchnie, albo groźnie czoło zasępi... Cóś podobnego było z ową sielanką przeszłego wieku.

W dziedzinie poezyi istnieje prawo uciekania przed rzeczywistością zbyt bolesną lub zbyt prozaiczną na łono bezwzględnego idealizmu. Naprężenie stosunków społecznych oburza poetę lub sprawia mu cierpienie, nienaturalność i przesada w życiu i zwyczajach nie przystaje do prostéj godności jego umysłu. Ludzie i świat mu obrzydli... ale jednak żyć potrzeba... więc żyje życiem sztucznèm, marzeniem o spokojniejszym i cnotliwszym świecie.

Dajcie mi kącik mały, już mi owe zbrzydły
Pałace, pochlebnemi uplątane sidły,
Gdzie zazdrość, okrutniejsza nad rodzaj pajęczy,
Wije siatki na cnotę, a bąk muchę dręczy;
Gdzie wysługi powinnéj nie biorą nagrody;
Gdzie częstokroć być głupim potrzeba dla mody.
O, jakbym to ja sobie, kontent z dobréj wioski,
Słodki żywot prowadził i wolny od troski!...
Tubym sobie wygodny domek wyprowadził
I bujną go dokoła lipiną osadził,
Zkądby sny lekkoskrzydłe w słoneczne pożogi
I słodki wietrzyk w moje zalatywał progi...

I tak daléj i daléj duma sobie Naruszewicz w jednéj z tych chwil, kiedy mu się uprzykrzyło gwarne życie dworskie, pełne intryg i fałszu, kiedy wzdycha do wiejskiéj siedziby, od któréj chciałby zdaleka trzymać wszystko, co jest płodem wyrafinowanéj cywilizacyi, i podłego skąpca, i nadętego literata, i kusego eleganta...

I dotąd wszystko dobrze, zgadzamy się na taką sielankę; wieje od niéj natura i prawda. Ale kiedy na scenę wyjdą Dafnidy i Amarylle, kiedy pasterze zaczną rozumować nad swemi sentymentami, kiedy się cała widownia zaludni Faunami, Nimfami i Dryadami, które w oczach nowożytnego człowieka mają znaczenie maryonetek, kiedy naprzykład Naruszewicz gości z czwartkowych obiadów: takiego Krasickiego, Nagórczewskiego i innych, przybierze w słomiane kapelusze z kwiatami i da im instrumenta muzyczne do ręki, a sam biskup-poeta, usiadłszy nad strumieniem, zanuci na „smutnéj fletni,” oczekując z utęsknieniem przybycia swych towarzyszy: — natenczas z uśmiechem będziemy spoglądać na to rozckliwione uczucie i nie damy wiary téj muzie, która tylko

..... po nadbrzeżnych czasem krzakach chadza,
Czasem się pod drzew gęstych cieniami ochładza,
Depcąc młode kwiateczki; czasem téż na trawce
Uległszy, rymy wiąże tobie ku zabawce,
Tobie saméj, ma Dafne...

Więc niechaj Dafne rozkoszuje się nad temi rymami... dla nas już minął wiek złoty.

Nasz poeta pojmował również bardzo dobrze tę prawdę. Rozumiał on, że ani panegiryczna lub salonowa liryka, ani mdła sielanka nie odpowiadają godności poezyi i potrzebom czasu. Poddawał się im na chwilę, więcéj z przyjętego zwyczaju i mody, niż z wewnętrznego przekonania. Ulegał téj chorobie, ale miał także peryody czerstwości ducha. Kiedy na jedném miejscu powiada:

My szluby, my mauzole, wjazdy i rodziny
Piejąc, wieńczym łożnice, bramy i grobsztyny.
Skutek na dzieła nasze czarne kładzie znamię:
Gnuśnik wjeżdża, łotr leży, a któś wiarę łamie..—

wtedy gorzko się śmieje z niedorzeczności swego wieku i swojéj własnéj, i w panegiryzmie spostrzega jego odwrotną stronę—satyrę... Duch wyższy, natchnienie, poczucie obowiązku wskazały mu jak palcem, że poezya nie jest stworzona do łechtania ludzkiéj próżności, ani na igraszkę rozpieszczonego umysłu.

Czas nie potemu brząkać bałamutnie..
Grzmi wkoło niebo; jeszcze pora nie ta,
Niech *filozofem* zostanie poeta.

W tém wyznaniu poetycznéj wiary ginie Naruszewicz panegirysta, Naruszewicz szumny liryk, Naruszewicz sielankopisarz, a pozostaje poeta-myśliciel, który siły ducha ku dobroczynnym i wyższym kieruje celom. I w rzeczy saméj, w owym czasie żaden z poetów nie mógł nic lepszego uczynić, jak zostać filozofem. W porze pierwszego romantyzmu odmawiano im wprawdzie z tego powodu nazwy poetów, ale my dzisiaj jesteśmy już podobno bezstronniejsi. Zakres poezyi rozciąga się na całego człowieka, dlaczegóżby więc nie miały się zdarzać peryody w życiu ludzkości, w których nad poezyą serca przeważa poezya głowy? Zarówno trzeba być poetą, czy przy stwarzaniu ideałów, czy przy odwzorowaniu rzeczywistości, zarówno do wywołania platonicznych uczuć, jak i sarkastycznego śmiechu, i zdaje się, że trudnoby było na łuty odważać, kto jest większym poetą: Petrarka czy Molier?... Każdy jest panem we właściwym sobie zakresie.

Naruszewicz nie wyrzekł napróżno słów powyższych. Był on filozofem-poetą nawet już w wielu swych lirycznych utworach, chociaż tutaj filozofia obciążała nieraz lot natchnienia i ody przemieniała w rymowane traktaty. Zato na inném miejscu filozoficzny na świat pogląd, przewaga rozumu nad fantazyą, mogły mu wielką oddać przysługę. Domyślacie się, że mówimy o satyrze. Zostawszy satyrykiem, trafił dopiero Naruszewicz w ducha swego czasu i dla swych uczuć znalazł najodpowiedniejszy język.

Dziwnym wypadkiem jego satyry wyszły na świat w tym samym roku (1778), co satyry pierwszego naszego mistrza w tym rodzaju, Krasickiego. Oddawna téż porównywano z sobą obu satyryków. Jednego nazwano Juwenalem, drugiego Horacym. W tém konwencyonalném otaksowaniu, ulubioném zawsze przez pseudokrytyków, jest wiele słuszności. Naruszewicz, w którym z natury był pewien zapęd liryczny, wytykając błędy, nie mógł na nie spoglądać z tym chłodem ironii, ce-

chującym Horacyusza i Krasickiego, a natomiast popadał łatwo w to oburzenie Juwenalowskie, które równo z gniewem zapala i natchnienie poety. W tém jednak obaj są do siebie podobni, że zeszli z toru naszéj dawnéj politycznéj satyry, Opalińskiego naprzykład, a przenieśli ją więcéj na pole stosunków codziennego życia. Poeta-psycholog, do wyższego wprawdzie stopnia w Krasickim niż w Naruszewiczu, staje obok myślącego obywatela i nie gardzi bynajmniéj przykładem, jaki mu gdzieś z drugiéj strony Europy, z nad Sekwany, daje satyra sztucznie ręką Boala wypie[illegible] [1].

W satyrze, opróc[illegible]e niezmiennéj natury ludzkiéj, szukamy także wizerun[illegible], niejako miniaturowego wykonczenia portretu, kt[illegible] ogólnych rysach nakreśliła. Ale powiecie: czyż moż[illegible]kom? Wszyscy prawią swym współczesnym, że są [illegible]ni swoich ojców, że zapomnieli cnót starodawnych, tak,[illegible]éć, kiedy żyli ci przykładni ojcowie, kiedy na świecie [illegible] Ten sam wiek XVI, któremu przyganiał Kochanow[illegible]ł Rej z Nagłowic, był ideałem dla Opalińskiego, gdy [illegible]źniéj napadła go ochota słowa gorzkiéj prawdy powie[illegible]owi. A znowu sam nawet postępowy Krasicki czyż [illegible]raz powrócić do prostoty, jaka w domu jego dziada panowała?... Uprzedzenie tylko, uprzedzenie i dziwna mizantropia kieruje piórem satyryków... nikt im nigdy dogodzić nie może, więc własną żółcią świat obryzgują.

Tak jednakowoż nie jest. Mamy wiele środków do kontrolowania satyryków i możemy się przekonać, iż rzadko obecność w przesadzonych im się barwach przedstawia. Satyrycy popełniają tylko jeden błąd, ściągający na nich podejrzenie fałszu — widzą ideały w przeszłości, kiedy raczéj w przyszłość powinni spoglądać.

Świat, który karcili nasi komedyopisarze i satyrycy XVIII wieku, miał podwójne oblicze. Na jedném z nich wyryło się moralne zepsucie cywilizacyi zachodniéj — poczęści z jéj winy, poczęści z winy jéj naśladowców—na drugiém wyrastały szpetne narośle. W tych obu kierunkach wypuszczali zabójcze groty swego dowcipu i Krasicki, i Węgierski, i Zabłocki... więc też i Naruszewicz nie mógł nic innego odkopiować ze swego modelu.

Literatura i cywilizacya francuzka oddały w owym czasie niemałą przysługę naszemu społeczeństwu; one to wyrwały je z wiekowéj ciemnoty, a nauczyły rozsądku i smaku, dwóch rzeczy, których w poprzedzającym panegirycznym okresie tak często brakowało polskiemu piśmiennictwu. Ale czyż wszyscy uczniowie z udzielanych lekcyj jednakowy pożytek odnoszą? Słabe i płytkie umysły nic bynajmniéj nie skorzystały, porzucając dawne przywary dla nowomodnéj filozofii i zagranicznych zwyczajów. Nad wszelki wyraz trzeźwa nauka obcych

---

[1] Satyra II Naruszewicza „Szlachetność" jest tłumaczeniem satyry V Boala „a M. le marquis de Dangeau," a jego satyra VIII „Małżeństwo" — początkiem satyry X tegoż francuzkiego autora.

myślicieli zawróciła im głowy, podobnie jak niegdyś jezuicka scholastyka i wsteczne pojęcia społeczne. Cała młodzież, szczególniéj w stolicy, poszła za prądem nowych wyobrażeń. Włożyć na siebie frak i perukę, rozmawiać o literaturze, i to ile możności po francuzku i cudzemi frazesami, natrząsać się po salonach z religii, a filozofię pod niebiosa wynosić, przytém grać hazardownie, pędzić życie próżniacze, umizgać się do kobiet, pojedynkować o nie i niejednę zgubić przez swą lekkomyślność—oto wszystko, co, jak im się zdawało, można było wyczerpnąć z ksiąg Woltera i Russa. Wygodna filozofia! żadnych obowiązków, a pełno przyjemności... wszystkiego można używać, a o nic się nie troszczyć.

Vivat Francuz! ten pokój ma świat z jego łaski—

woła w uniesieniu radości Fircyk Zabłockiego.

Podobnych wizerunków modnego stołecznego towarzystwa znajdzie się bardzo wiele w satyrach Naruszewicza. Jest tu np. taki improwizowany filozof:

. . . . . . . . . łeb misterny,
Co obwąchał kawiarnie Paryża i Berny,
Co głowę wymeblował modnemi nauki,
Umie robić pomadę, nastrzępiać peruki,
Zna się na wszystkich zgoła księgach, w jaką które
Czy w cielęcą oprawne, czy w baranią skórę...

albo też inny, grubsza już zwierzyna, Epikurejczyk i materyalista, który wyrobił sobie zasadę: używać jaknajwięcéj... bo za grobem wszystko się kończy:

Ni człek, ni pies nie idzie w elizejskie pola...

Jest tu i modny panicz, co bez grosza w kieszeni, ugania się w złocistéj karecie po ulicach, wietrząc gdzieby jeszcze przydybać jakiego poczciwego wierzyciela:

Teraz u kominiarza sto talerów szuka,
U stróża wziął dwanaście, dziesięć u hajduka,
Dziesięć z płaczem wycisnął, co pod świętym Janem
Przedaje baba krupy, siedząc pod straganem...
Czém jeździ, w co się stroi, gdzie mieszka, czém płaci,
Cudze to są nabytki.

Czereda szulerów o ponurym wzroku kroczy powoli za tą złoconą biedą, która bodaj czy nie jest nieśmiertelnym typem w pewném mieście... Daléj znowu w bogatym ekwipażu, ciągnionym przez rumelskie rumaki, pośpiesza wystrojona dama... jedna z tych, o których powiedział Naruszewicz:

Z łaski waszéj nanowo mamy świat stworzony,
Gdy w pierwszéj niewinności wspólne były żony...

Przed nią na przodzie siedzi l'abbé, „duszny dyrektor piękności," mówiąc językiem Węgierskiego... Jadą na bal. Tam również zapewne dąży i ów pieczeniarz, obłudnik i pochlebca, zmieniający się jak kameleon, który

Potrząsa charakterem (co za wyborne wyrażenie) jak Żyd starym fantem,

ilekroć spostrzeże nadzieję zysku lub wykwintnego obiadu.

Takie i tym podobne postacie nasuwały się poecie, takie spotykał na ulicach miasta w swoich obserwacyjnych przechadzkach. Żadna może z tych figur, które witały ukłonem znajomego dygnitarza-poetę, albo z obojętnością go mijały, nie wiedząc kto się ukrywa pod tą niepokazną suknią, nie domyślała się, że mu służą za gratisowe modele do studyów nad swoim wiekiem. Poeta jednak studyował, patrzył pilnie, stawał na chodnikach, przypatrując się maskaradzie, jaką świat wyprawia:

...staniem oto na bliskim tu trecie (powiada do „miłego Walka“),
Gdzie się róż [illegible] prowadzą
Do zamku i [illegible] gromadzą
Najliczniéj red [illegible] śdéj chwili
Boga, krola, p [illegible] wodzili.

Niedziw zatém, iż [illegible] sznych masek, dla których całe życie było nieustającą m [illegible] zagał jeszcze inne, podlejszego gatunku, nacechowane c [illegible] i hypokryzyą, mógł z oburzenia i wstrętu rzucić wy [illegible] na cały swój „wiek zepsuty,“ w którym, aby uchodzić [illegible]

Dosyć jest nie [illegible] sole sromoty—

iż mógł dojść do tego smut [illegible], że głupstwo rządzi światem, że wszyscy ludzie są głupi:

Wszyscy ludzie bez braku chorują na głowę.
Choć jeden wziął funt głupstwa, a drugi połowę.

Bolesny, zaiste, rezultat doświadczenia, gorzki owoc tego realnego na świat poglądu, jaki poeci przeszłowieczni wzięli sobie za zasadę, kiedy w końcu trzeba powiedzieć z owym osłem Boala:

Na honor, jak my, człowiek jest tylko bydlęciem!

Nie gorszmy się jednak temi poetami zbytecznie... w ich cierpkich słowach jest wielka boleść.

Naruszewicz, który pod względem sztuki, języka i dowcipu nie dorównywa wzorowéj satyrze Krasickiego, w jednym jednakże punkcie daleko za sobą go zostawia. Krasicki umiał chwytać wady ogólnoludzkie i śmieszności niedowarzonéj cywilizacyi, ale nie spotykamy u niego tych wybitnych, swojskich postaci, nakreślonych z prawdziwie rodzimym humorem, które tak szczęśliwie wyrastają z pod pióra Naruszewicza. Znać, że biskup warmiński dystyngowane koła więcéj sobie upodobał, że się obawiał może zejść z drogi przez klasyczną satyrę wskazanéj, skutkiem wycieczek na grunt ojczysty, gdzie trzeba się było spotkać z dawnymi jowialistami, z takimi satyrykami jak Rej albo Klonowicz. Naruszewicz, przeciwnie, wyglądał i za rogatki stolicy i przypatrywał się z ciekawością niejednemu wioskowemu lub zagonowemu szlachcicowi, który dla interesów opuszczał na chwilę parafię i przybywał do miasta. W widokach podobnego rodzaju uderzała go szczególniéj najgłówniejsza z ujemnych stron tego społeczeństwa wiernego tradycyi—ciemnota.

Kto czytał satyrę Naruszewicza „Chudy literat,“ temu musi utkwić w pamięci postać tego szlachcica w Cerwantesowskim stylu, który

przybywszy na sądy do Warszawy, napotkał przypadkiem lichy kram z książkami i nagle wpadł na ten koncept, że możeby to dobrze było przywieźć na wieś cóś drukowanego. Ale wierszy wzdraga się on kupić, bo „to błazeństwo;” nie chce kupić i historyi, bo mu z niéj nowomodni historycy powyrzucali „i Wendy i Lechy;” odrzuca ze wzgardą dzieła o gospodarstwie, bo mu i bez książek pszenica się rodzi; i po długim targu, przewróciwszy kram cały, kończy na tém, że zabiera do domu

Receptę do dryakwi i kalendarz nowy.

Z takiéj biblioteki zapewne niewiele mądrości wejdzie do gł ow czytelnika, czyli, jak Naruszewicz się wyraża:

Więc jako też kto czyta, tak potém i prawi:
Pali Euxyn; na piaskach papierowe stawi
Okręty; bohaterów na powietrzne sadzi
Wozy i przez obłoki gryfami prowadzi,
Zamienia ludzi, w wilcze przyodziawszy skóry;
Nosi baby na łyse przez kominy góry,
Widzi Abla z Kainem na miesięcznéj zorze,
I solone syreny prowadzi przez morze.

Ten kupiec recepty i kalendarza nie odżałowałby nigdy czasu straconego nad książką; woli on na inny sposób i daleko przyjemniéj przepędzać swoje chwile—on

Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
Gadając z panem Żydem, kto w karczmie nocował,
Wiele śledzi wysprzedał, wódki wyszynkował.

I któżby oddał to błogie farniente za zmudne ślęczenie nad książką? Wszak bez tego może on się zupełnie obejść — czy będzie mądry czy głupi, jednakowo znajdzie swój herb w Niesieckim; sąsiedzi niemniéj będą go wenerować, a na swe imieniny lub na swój pogrzeb może się spodziewać, że go nie minie sążnisty panegiryk, który go zrówna z jakiém bóstwem mitologiczném, lub z którym bohaterem wojny trojańskiéj... od wieku stało się to już powszechnym zwyczajem. A zresztą czyż to tylko mądrą głową można się przysłużyć i zasłużyć? Od czegóż sejmiki i sejmy, jeśli się nie stają polem popisu dla dzielnych animuszów?... Tamten pan możny ma w tém interes, aby obrady publiczne nie przyszły do skutku, więc przywdziać jego barwę i zawołać z innymi:

. . . . Myśmy gotowi umrzéć za twe zdrowie!
Każ nam, panie, rozegnać sejmik; na skinienie
Twoje wszystko tak pierzchnie, jak przed słońcem cienie,
Będą zmykać przed nami szlachta i urzędy.
Każ cudzy dom najechać, lub sąsiada kędy
Kijmi obić...

Nie każdy może czuć ochotę i zdolności do takich ryzykownych wystąpień na polu publiczném. Ale czyż mało pochwał zjednał sobie w całym powiecie ów Piotr czy Walenty za swoję zelozyę, którąby filozofowie w stolicy może fanatyzmem nazwali?

Ten, pełen sentymentów o wiarę gorliwych,
Własnym spalił dekretem pięć czarownic żywych.

A drugich pięć mniéj winnych utopiwszy w rzéce,
Na pamiątkę swych czynów wystawił kaplicę.

Więc na co tu rozumu, zachwalanego przez nowatorów, kiedy i bez niego jest dobrze i było dobrze przez wiek cały?... Niech sobie biskup warminski woła na żaki: „Trzeba się uczyć, już minął wiek złoty..." nasz kupiec recepty i kalendarza powróci do gawędki z arendarzem.

Inaczéj myslał Naruszewicz. Widząc, co się koło niego dzieje, zasępiał się, tetryczał i rzucił pogardliwe słowa na niepoprawnych:

Ni serca do c [illegible] u do rady.

Nie chciano slucha [illegible] nodziei, więc kaznodzieja opuscił mównicę. I skonczy [illegible] „modlił się tylko i dumał" (słowa Tańskiéj), a jeżeli n [illegible] chwilę radości, to chyba wtenczas, kiedy pięknym le [illegible] siadłszy na snopie zboża, rozmawiał z żeńcami o cich [illegible] lejskiego żywota. Na wsi, na łonie natury, umarł ten [illegible] salonów i światowych wielkości, poznawszy może, iż [illegible] ra mu ostatnie chwile słodziła, piękniejszą jest daleko o [illegible] dekoracyj, w jakie swoje sielanki przybierał; dozna [illegible] ogiéj pociechy, iż kiedy dzieła rozumu ludzkiego, kiedy [illegible] ludzkie napoją serce zgryzotą: wtedy jeszcze pozostaje wiecznotrwałe dzieło rąk boskich, które swym balsamem orzezwi piers zbolałą...

Ale jeszcze chwilę cierpliwości, łaskawy czytelniku. Pogrzebalismy już Naruszewicza, więc możemy całą prawdę o nim powiedzieć. Bo czyby też nie można zajrzeć trochę w jego prywatne życie, w te skrytki serca, które naszą tylko są własnością, z któremi przed swiatem starannie się taimy, a które zbadać swiat zawsze bywa najciekawszy?... Kiedy mowa o wielkim mężu stanu, o jakim uczonym, co tworzy nowe systemy, nikt się nie pyta, jak ten człowiek wyglądał w szlafroku, jakie były powszednie słabostki i namiętności szarpiące jego sercem. Lecz o życiu prywatném poety każdy chce wiedzieć, a co więcéj, swój sąd wydawać. Biedni ci poeci! ich najczęściéj dosięga złosliwosć i obmowa... Prawda, że oni sami po większéj części są temu winni. Otworzysz tylko książkę, a widzisz w niéj całego człowieka od stóp do głowy, od najbłahszéj słabostki do najszczytniejszéj mysli. Tak książka wszystko ci wygada: czyli jéj twórca podochocił się kiedy winem, czy lubownikiem był smacznych obiadów, albo czy kiedy nie miał kawałka suchego chleba; powie ci ona, kogo i jak kochał, czy duszą, czy zmysłami; kogo i za co nienawidził; dlaczego mu było trudno znaléźć przyjaciela; w co wierzył, a w co nie wierzył; co potępiał i za czém tęsknił; ona ci odkryje w nim dumę, odsłoni wyrzuty sumienia, zdradzi szaleństwa, dziecinne zachcenia, policzy nawet chwile głupstwa... Masz przed oczami cały protokół z jego życia—możesz się nim zabawić i w końcu powiedzieć: był tak dobry jak ja, dlaczegóż chce być sławnym?... Zaprawdę, godnym pożałowania jest los poetów!... Każdy, kto zechce, patrzy na ich życie jak na panoramę i widzi najskrytsze tajemnice ich duszy—jak gdyby za to zapłacił.

Naruszewicz żył na wielkim świecie, bardzo często w towarzystwie

kobiet i to dam pierwszéj piękności i dowcipu; Naruszewicz był poetą, więc człowiekiem żywszéj wyobraźni i krwi gorętszéj—czyżby się zatém nie miał kochać i doświadczyć niejednéj romansowéj przygody? Ale Naruszewicz był także biskupem... Nic to nie znaczy. W XVIII wieku nie robiono wielkiéj różnicy między stanem duchownym a świeckim, zwłaszcza w tak delikatnych sprawach. Obliczono, że pod owe czasy było w Polsce tylko czterech biskupów niepodlegających zarzutowi. Pomiędzy tymi czterema niema obu naszych poetów: ani Krasickiego, ani Naruszewicza... Nie można było widać pochwalić jego moralności, ale przeciwnie, spotykały go często przycinki i nagany... opinia publiczna gorszyła się jego postępkami. Nie wiadomo, Trembecki czy Węgierski puścił o nim w świat złośliwy epigram:

Jeśli dobrze
Było w bobrze
Biesiadować w zakonie,
Wstyd poecie
W fiolecie
W cudzéj kochać się żonie—

a późniejsze, lubo także spółczesnego człowieka świadectwo, powiada bez ogródki, że z ówczesnych jezuitów Naruszewiczowi „jednemu tylko można zarzucić wolne, nieprzystojne i głośno gorszące życie.”

Szukamy w wierszach Naruszewicza dowodu na te zarzuty i nie możemy go znaléźć. Oprócz kilku sielankowych westchnień, oprócz przekleństw miłości w tym guście jak:

Szalony i po stokroć szalony mém zdaniem,
Kto lekceważąc pokój, bawi się kochaniem—

oprócz wyraźnéj nieprzyjaźni i wstrętu do małżeństwa, który zmusza poetę do wypowiedzenia satyrycznego dylematu:

Pytaj się wszystkich mędrców, żaden nie wie,
Czy żony Bóg dał dobry, czyli w gniewie—

oprócz wreszcie tego jedynego namiętniejszego wykrzyknika do jakiéjś czarnobrewy:

Śliczna brunetko moja, mój ty ogniu żywy!—

niema w poezyi jego ani galanteryjnych umizgów, ani śladów gorącéj namiętności.

Ale są ślady goryczy i cierpienia z doznanych obelg i potwarzy. Bardzo często musiały złośliwe wieści tego rodzaju dochodzić do uszów poety, kiedy we własnéj obronie aż dwie ody napisał. Mamyż wierzyć cudzemu świadectwu, czy téż samemu Naruszewiczowi, który powiada, że bezinteresowną przyjaźń, jaka go z niektóremi damami łączyła, brano za gorętsze uczucie? Zdaje się, że sądu wydawać tu nie należy. Sam poeta zostawił tę sprawę rozsądzeniu własnego sumienia, zasłaniając się tarczą godności ludzkiéj przeciw obcym wyrokom—i jakim był, takim chciał pozostać:

Jako nie mierzę drugich własną piędzią,
Tak sobie jestem i pragnę być sędzią,
Nie dbam na ludzkie języki, a tobie
Sprzyjam, cna pani, nim ulegnę w grobie.

tretów pomijają plamy i wyrzuty skóry, a star
przebijającego przez rysy ich oryginałów. Dla
by najmniejszą do tego przywiązywać wagę, ż
re wino, dobry stół i wesołość niezawsze zgodną
cie ta albo owa piękność była dla niego Egerią
ło tylko jego osoby, sprawiło przelotną radość
jego sercu i razem z nim zamarło na wieki.
ludziach tego rodzaju—ich dzieła i charak
w ułomnościach ludzkiéj natury, ale w myśla
kresu spraw osobistych przechodzą na pole ogól

A Naruszewicz miał taki charakter. D
swojém życiem i szlachetnemi dążnościami, wi
stępowaniu i w tych wierszach, w których wy
nie osłaniając go fałszem ani obłudą. Inaczéj
Naruszewicz nie umiał i ze sprawiedliwą dumą

Mój umysł w sidła nikogo nie chwy
W nim wszystko widać, jak z wierzc
I serce moje każdy z gruntu czyta.

*Kraków, 1868.*

---

## JEDEN ROZDZIAŁ Z MONOGRAFII O IGN

(Wykształcenie Krasickiego. — Charakter poezyi XVII

...Krasicki, nim wystąpił na widok publiczn
życie do swojéj roli. Wogóle w wieku XVII
i uczono gruntownie; wymagania ówczesne
były nawet posunięte niżli np. w pierwszéj

mienie. Człowiek ten wiedział bardzo wiele, bardzo dokładnie i gruntownie. Posiadał wiadomości niemające styczności z jego rodzajem pisania, które niejeden dzisiejszy pisarz uważałby za zbyteczne i niepotrzebne dla siebie. Znał kilka języków starożytnych i nowszych, literaturę klasyczną i nowożytną, rozczytywał się w nich nietylko dla zaspokojenia ciekawości, nietylko dla tego, aby mógł napisać swoję historyę rymotwórstwa i rymotwórców, ale z głębszém zastanowieniem się i z krytyką, w któréj kształcił się jego smak i zmysł estetyczny, sięgający do gruntu rzeczy. Wątpimy, aby Krasicki poszedł za cudzém zdaniem, za krytyką wyczytaną w jakiéj francuzkiéj książce, kiedy w Doświadczyńskim rozbiera charakter Molierowskiego Mizantropa: „Namiętności dobrze są wyrażone, zbytek osobliwości doskonale wytknięty. Ale zda mi się, iż autor kilku rzeczy w swojém dziele nie spostrzegł. Naprzód albowiem, czyniąc swojego odludka cnotliwym, zdał się nieznacznie przestawać na tém, iż cnota ma w sobie jakowąś odrazę. Cnotliwemu mizantropowi odjął największą cnoty zaletę—roztropność, gdy umieścił w ustach jego niedyskretne i niewczesne krytyki. Przydał mu nadto zbyteczną miłość własną, gdy go wystawia idącego wbrew obojętnym nawet zwyczajom towarzystwa." Podobno z tego stanowiska nie zapatrywano się u nas nigdy dotąd na dzieła sztuki; dawniejsi krytycy woleliby podobno zamiast tego powiedzićć, że Molier — to drugi Plautus, odrodzony Menander, lub inną tym podobną niedorzeczność, podobnie jak nie byliby zapewne przystali na zdanie Krasickiego (w Rozmowach zmarłych), że Homer jest większym od Wirgiliusza poetą. Literaturę polską współczesną sobie i dawniejszą znał w całéj obszerności. Książki z czasów Zygmuntowskich, jak Dworzanina Górnickiego, z „rozrzewnieniem" brał do ręki, i to nie raz, ale często się w nich rozczytywał — (Pan Podstoli); umiał wybrać pomiędzy poetami Jana Kochanowskiego za wzór dla siebie co do czystości języka i prostoty, i słusznie nazwał go „mistrzem;" nie uchodziły wreszcie jego uwagi pisma nieposiadające żadnéj wartości, ważne tylko jako osobliwe symptomata umysłowe, jak ów wzór pisania listów: „Polak sensat, w liście humanista, a w dyskursie statysta," albo niezgrabnym wierszem przez Jarzewicza uczyniony Opis Warszawy.

Takąż samą dokładność i szczegółowość widzimy w jego znajomości historyi. Nietylko że głębiéj pojmował znaczenie dziejopisarstwa w literaturze i w życiu, kiedy powiadał: „Mniejsza rzecz wiedzićć daty i nazwiska; ale w tém rzeczy istota, aby umićć sądzić tych, których nazwiska są nam obwieszczone; iść do źródeł, z których państwa wzrost brały, a z których upadek poniosły; wielbić cnotę w jéj prawych miłośnikach..." (Uwagi); nietylko że we wszystkich prawie swych dziełach składał dowody sprawiedliwego i prawdziwego poglądu na przeszłość i charakter swego narodu, a w pismach, jak Rozmowy zmarłych lub Historya, okazywał znajomość pragmatycznéj historyi, ale nadto w studyach swoich nad dziejami zapuszczał się nieraz w szczegóły, które przyzwyczajeni jesteśmy znajdować tylko u ludzi fachowych. Wiadomém było Krasickiemu, co Xenofon pisał o ogrodach perskich, kiedy i w jaki sposób zakładano drogi w rzymskiém imperium; umie on opisać

gę, zwłaszcza jeśli będziemy pamiętać, że t
łach architektury, sztuki dla profanów najmn
przemawiającéj. „Wspaniała w katedrze
kaplica — powiada on — równać się może :
kturami w Europie; w kościele tarnowskim
skiego i zięcia jego Ostrogskiego, książęcia .
nacyi, wpośród Rzymu stacby mogły i zyskać
i cudzoziemców zadziwienie." (Uwagi). Nic
o tych dziełach, a mianowicie o pierwszém
i estetycy dzisiejsi, a pochwałę, jaką tym
ludzie fachowi XIX wieku, poprzedziła pocl

Krasicki rozpoczął zawód pisarski od a
w Monitorze. Pismo to, od r. 1765 właśnie
chodzące, pragnęło być organem, przez któ
pojęcia udzielać się miały narodowi. Nie mo:
lazło odpowiednią liczbę czytelników, odpow
w przystępnéj formie zamieszczało artykuły
ralności i wiedzy. Krasicki, jak i inni, pisał d

Nie to współpracownictwo jednak roz;
nym i cenionym pisarzem, ulubionym poetą
i satyry, które zaczęły powstawać około 176
dłuższy pobyt przyjechał do Warszawy. Utw
kopisach obiegały po publiczności, która j
drukowanych Krasicki podpisywał się tylko c
i druga okoliczność kazałaby wnosić, że o sław
gał, że nie myślał z autorstwa robić zawodu
wiersze jako płody szczęśliwych jedynie chwil
go humoru, nieobowiązujące do wytrwania na

Poezya w Polsce przechodziła przez ...

siąknięte są liryzmem, stanowiącym ich najpiękniejszą zaletę; uczucie rycersko-patryotyczne wylewało się przedewszystkiém w téj liryce.

Ale tak w wieku XVI jak i w XVII wspólne było tło i grunt téj poezyi — t. j. rzeczywistość narodowego życia. Wypadki historyczne i rozmaite objawy charakteru szlacheckiego podawały treść tym poetom, dopóki idea, stanowiąca podstawę Rzpltéj, nie utraciła swego znaczenia i żywotności. Od wieku XVIII wiedziano już dobrze, że ta idea nadal nie wystarczy, iż ustrój Rzplitéj zmienić potrzeba na nowych warunkach. Nic więc dziwnego, że w tym wieku nie mamy już dawnych szlachecko-rycerskich poetów. Ich miejsce zajęli teraz poeci ascetyczni, czyli mówiąc innemi wyrazy: idea polityczna zastąpioną została ideą religijną, idea ściśle narodowa — ideą ogólnie ludzką.

Żaden z tych poetów nie zasłużył się poezyi, ani nawet polskiemu piśmiennictwu, to jednak należy przyznać, że droga, którą obrali, była rozszerzeniem umysłowego widnokręgu. Jakkolwiek niekształtne i potworne mogą być ich wiersze i pojęcia, poczynili oni jednak pewne zdobycze w krainie ducha. W dawnéj poezyi strona ogólnie ludzka, strona humanitarna była dosyć zaniedbaną; rzadko który z naszych poetów był zarazem filozofem, znawcą i badaczem serca ludzkiego, co jednak od czasów Homera stanowi może największą wartość poezyi. Tajemnice ducha i serca ludzkiego, wszystkie te metafizyczne i psychologiczne pytania, które zadaje sobie każdy człowiek przez całe życie, od najpierwszych lat młodości, były dla tych poetów lasem dziewiczym, nietkniętym prawie przez ich stopę. Poeci religijno-ascetyczni dopiero, owi rymotwórcy zaciekający się w tajemnicach i dogmatach wiary, owi głosiciele nadprzyrodzonych cudów, sądu ostatecznego, mąk i nagród na drugim świecie, przerzucili się w tę nieznaną dotąd dziedzinę. W ich utworach wystąpił człowiek nie jako cząstka pewnego społeczeństwa, działająca i myśląca pod wpływem pewnych okoliczności i stosunków publicznych, które działały więcéj na jego zewnętrzne stanowisko do świata, niż na jego bezwarunkowo ludzką naturę,— ale jako istota moralna, postawiona w stosunku do Boga, do swego sumienia, zastanawiająca się nad swém i swego rodzaju przeznaczeniem na ziemi, bez względu na formę rządu, na wypadki dziejowe i chwilowo panujące zwyczaje. Człowiek w swojéj naturze, człowiek filozoficzny i, że tak powiem, abstrakcyjny, zajął przedewszystkiém uwagę tych poetów.

Rozumie się, że ich pogląd był również jednostronny, kiedy patrzyli na świat i jego rzeczy tylko ze stanowiska religijnego, był jednakowoż więcéj zbliżony do poglądu humanitarnego, jeśli zważymy, jak wielka jest spójnia, jak wiele punktów stycznych między teologią a filozofią. Miejsce zatém przedmiotowéj obserwacyi świata i miejsce uczucia budzącego się pod wrażeniem zewnętrznych, historycznych wypadków, zajęło rozmyślanie nad kwestyami obchodzącemi na tym i na drugim świecie człowieka, jako istotę obdarzoną rozumem i czuciem. Wierszopisom ascetyzmu nie chodziło o poprawę obyczajów z tej przyczyny, aby Rzplitéj dobrze się działo, lecz dla zbawienia duszy; ich uczucie rozbudzało się nie z powodu klęsk lub pomyślności, jakich kraj i obywatele doznawali, lecz na widok zatwardziałego grzesznika lub na

wspomnienie dobroci Opatrzności, która tylu i tak wspaniałemi darami obdarzyła duszę ludzką.

To przejście, zdaje się, było konieczném do rozwoju poezyi w tym kształcie, w jakim ją za Stanisława Augusta widzimy. Jak polityka i walki religijne w okresie Zygmuntowskim, jak późniéj dewocya i ascetyzm, tak w drugiéj połowie XVIII wieku na dnie literatury i poezyi leżała filozofia. Przybyła ona do nas z Francyi, jako najsilniejsza dźwignia cywilizacyi, w téj postaci, jaką jéj nadali Wolter i encyklopedyści. Zadaniem téj filozofii było burzyć dawne przesądy i przestarzałe ustawy, o co u nas wszystkim reformatorom i całemu temu pokoleniu chodziło, jako téż nauczać i oświecać masy, które u nas przez półtora wieku zaniedbane, koniecznie tego światła potrzebowały. Wszyscy, którzy w Polsce mieli pretensyę do myślenia, dawali swój głos za postępem; wszyscy, którzy pragnęli postępu, musieli być zwolennikami filozofii. Tym sposobem dla jednych stała się ona potrzebą duchową i środkiem zaradczym przeciw złemu, dla drugich modą i polem popisu, wogóle zaś powszechném hasłem wieku. W rozkrzewianiu umiejętności i wiedzy ujrzano środek podniesienia ojczyzny z upadku, a wszyscy pisarze wzięli sobie za zadanie nauczać i prostować pojęcia.

Do takiéj dążności ogólnéj musiała się zastosować także poezya; nie pora teraz była dla niéj zbierać wonne, lecz bezpożyteczne kwiaty na polu imaginacyi, albo przemawiać z zapałem do uczucia — chłód sceptyczny, bolesne doświadczenia, troska o przyszłość wyziębiły serca: zaczęto się rachować z sobą, roztrząsać dawne błędy i obmyślać na nie lekarstwa. Daleką była od tego wieku owa szczęśliwa naiwność, która z przyjemnością może się oddawać ułudom wyobraźni. Myśl realna i trzeźwa wszędzie przeważała, jak się to zwykło dziać w tych okresach historyi, gdzie równie szlachetni jak i wyzuci z szlachetności przeczuwają kataklizm grożący społeczeństwu; jedni i drudzy zbierają wtenczas wszystkie siły rozumu; jedni w tym celu, aby powstrzymać ruinę gmachu, drudzy — aby przy tym upadku unieść jaknajwięcéj dla siebie. Kto tylko rzuci okiem na te czasy, musi przyznać, że nie było do czego się zapalać, że wszystko musiało wywołać albo szyderstwo, albo gorzką skargę na usta. Ileż przesądów, zabobonów i uprzedzeń, pozostawionych przez niedawną przeszłość, tkwiło jeszcze w narodzie, a wszystkie należało wykorzenić, karcić i gromić; ileż śmieszności i fałszu napłynęło z nową cywilizacyą, któréj ujemne strony, jak to zwykle bywa, przylegały najłatwiéj do ogółu!

Obyczaje i charakter narodu pod tym podwójnym wpływem przedstawiały dziwną mozajkę ścierających się z sobą nieprzyjaznych żywiołów. Wyobraźmy sobie siedzących obok siebie przy jednym stole, jak się to często wówczas zdarzało, szlachcica-ziemianina dawnéj daty, który nie wyjrzał poza granice swéj parafii, dla którego Nowe Ateny były najmędrszą w świecie książką, a jezuicki panegiryk najwznioślejszą poezyą, który w nierządzie czasów saskich widział ideał Rzplitéj, a w *liberum veto* źrenicę wolności; i wyobraźmy sobie jednego z ówczesnych ptimetrów, który niedawno co powrócił z Paryża, przywiózł sobie ztamtąd frak i perukę, jaki tom Woltera lub Rusa, który tam nasiąknął

uwielbieniem dla monarchizmu Ludwika XIV, albo téż krążącemi w powietrzu ideami o równości stanów, o wolności sumienia,—który wreszcie widział paryzki balet i przedstawienie Moliera — czyliż ci dwaj ludzie zgodzą się z sobą, czyż nie ujrzymy w nich dysharmonii niszczącéj i rozdwajającéj naród? A co więcéj, czyż możemy przypuścić, aby ktoś trzeci, który nie był ani zacofanym Sarmatą, ani niedowarzonym modnym filozofem, mógł się na to zgodzić, aby takie dwie przeciwne sobie jednostki, takie dwa obozy istniały obok siebie w narodzie, nie przynosząc mu korzyści, nie odpowiadając jego celowi, nie dając mu rękojmi przyszłości? Przypomnijmy sobie daléj, że w tym czasie Polska jako państwo upada; jéj dawne polityczne ustawy nie są w możności jéj utrzymać, a przecież znajdują obrońców i zwolenników; ludzie rozumniejsi na wszelki sposób starają się walące się podpory zastąpić nowemi; robią to na gwałt, z pośpiechem i ztąd nieraz chybiają w środkach i sposobach. Żywioł szlachecki z całą swoją tradycyą uważa się za jedynego wyobraziciela narodowości; reformatorowie, jak Zamoyski, Czartoryscy, a późniéj Hugo Kołłątaj i inni twórcy konstytucyi 3-go maja, siłą się narzucić mu dobroczynne, ale wstrętne dla niego pojęcia; nie znajdując u swoich poparcia, ludzie nowych idej szukają częstokroć pomocy u obcych, naturalni nieprzyjaciele kraju stają się sprzymierzeńcami i rozjemcami niezgodnych stronnictw, zachowując dla siebie całą korzyść każdego zwycięztwa. Ta walka wewnętrzna skupia się około tronu i szamoce nim na wszystkie strony; król, który otrzymał koronę z rąk narodu, ale podług woli rosyjskiéj imperatorowéj, jest niewolnikiem swoich poddanych i obcego monarchy: i jedni i drugi nie wierzą mu, i on im nawzajem wierzyć nie może; chwieje się z jednéj strony na drugą, wszędzie obudza niezadowolenie, a nigdzie nie znajduje pomocy... Jedném słowem, ostatnie lata Rzpltéj przedstawiają widok chaosu—wszędzie niejedność, walka i niepewność w polityce, w religii i zwyczajach. Ten, kto pragnął choćby ogarnąć wzrokiem ten zamęt, choćby na jednę chwilę zapanować w swym duchu nad tym chaosem, musiał wyzuć się z afektu, który byłby go przeciągnął na jednę ze stron walczących,—zaprzéć się uczucia, któreby mu kazało rzucić się w ten wir za innymi, i spojrzéć dokoła chłodném okiem rozsądku. Dodajmy do tego, że ogólny duch wieku, panujący w całéj Europie, udzielał poparcia temu jednostronnemu kierunkowi umysłu. Rozum ludzki, bałamucony długo rozmaitego rodzaju przesądami, uciskany przez ślepe poddanie się powadze starożytnéj mądrości, prowadząc dzieło zaczęte przez Kartezyusza i Bakona, otrząsał się wszelkiemi siłami z narzuconego mu jarzma, szukał prawdy i rozcinał każdą choćby najpiękniejszą łupinę dla dojrzenia jądra, dla wybadania treści rzeczy. Co tylko nie wytrzymało krytyki rozsądku, co jakąkolwiek powłoką osłaniało istotę rzeczy, zostało uznane za niepotrzebne i odrzucone. Wszakże był to wiek, w którym Wolter pozwalał sobie lekko żartować z Platona i posyłał go na naukę do Locka, nie z innéj jak tylko z téj przyczyny, że grecki filozof zanadto wzniośle i ozdobnie się wyrażał [1],— wiek, w którym

---

[1]) *Essai sur les moeurs et l'esprit des nations.*

sama w sobie, miała wytknąć sobie cel rz
niem nie miało być stwarzanie ideałów, ale
dzie od swego ideału odbiegli. Nauczać, jedn
i wyraźnie musiała poezya tego wieku, który
się szczycił. Satyra jest dlatego w tym czas
a satyrycy największymi i najprawdziwszymi

Dlatego to Krasicki, jak wielu innych
i satyry i przez cały ciąg autorskiego zaw
różnemi postaciami, kierunek dydaktyczny,
niem literatury owego wieku. Był on dzieck
ni, a znakomitym stał się przez to, że z
i wyrazić.

Bajki Krasickiego są arcydziełem swego
turze; ani przed nim, ani po nim nic ich nie
dorównało. To, co stanowi główny przymiot
tkiéj powiastce charakterystycznych rysów d
moralnego, któryby prawie gwałtem przema
nia, —nikomu lepiéj się nie udawało jak Krasi
tego bezwątpienia ściśle przedmiotowa obser
dają o Szekspirze, że z téj przyczyny doszed
czności przedstawienia i jasności w kreśleniu
jakby bóg olimpijski unosił się zawsze pona
dał do siebie przystępu namiętnościom, które
samo można powiedzieć o Krasickim już p
krokach po drodze poezyi. Patrzał on spokoj
go sprawy, rozważał, kombinował, ważył z
a nigdzie nie dorzucał swego afektu, swoich s
wiony na wysokim stopniu w społeczeństwie,

Pomiędzy bajkami Krasickiego dają się wistocie rozróżnić trzy kategorye: jedne wypłynęły z rozważania ogólnéj natury ludzkiéj, drugie są rezultatem doświadczeń zebranych w życiu dworskiém, z historyi królewskiego pałacu, a trzecie—nauką wyciągniętą z wypadków politycznych, krytyką czynów dokonywanych na widowni dziejowéj. Oddzielić jednak ściśle tych trzech kategoryj od siebie nie jesteśmy w możności, a tém bardziéj domyślać się i wykazać, jaka okoliczność tę albo owę bajkę wywołała, chociażby to były nawet wydarzenia powszechnie wiadome i tak w swoim czasie jak i dzisiaj wstrząsające umysłami. Nikt nie mógłby zaręczyć, analizując bajki Krasickiego pod względem historycznym, za prawdziwość swoich domysłów. Jedynie tylko tradycya osób otaczających zblizka poetę mogłaby nam dać klucz do podobnego tłumaczenia. Ale tradycya milczy — może niedosyć dbano o zachowanie jéj pamięci późniejszych pokoleń — może poeta sam zacierał wszelkie jéj ślady, ukrywając jak zręczny dyplomata sprężyny swoich czynności w tajemnicy autorskiego gabinetu.

Bo tę tajemnicę pociąga za sobą sama już natura bajki. Wypowiada ona światu otwarcie i śmiało prawdy pełne goryczy, ale unika jéj zastosowania do pewnych osób i okoliczności tak dalece, że po większéj części przenosi swoję widownię w świat zwierzęcy, czyniąc wybitne instynkta i cechy czworonożnych stworzeń zwierciadłem ludzkich wad i namiętności. A zresztą czyżby Krasicki tak jak każdy inny bajkopisarz, nie był chybił swego celu, gdyby nam był wyraźnie naznaczył powody i okoliczności, z których jego bajki powstawały? Prawda poetyczna, a nawet nie potrzebujemy czynić tego wyszczególnienia, każda prawda jest ogólną i da się zastosować do wszystkich czasów i pokoleń, skoro zawsze w głębi naszego serca leży jedna i taż sama natura ludzka. Czyliż więc bajka, któréj przedewszystkiém chodzi o przedstawienie prawdy, o wydobycie z charakterów i czynności odwiecznych praw rządzących światem, nie powinna unikać wspólności z szczegółowemi wypadkami? Skoro tylko jéj zadaniem jest nauczać, może być abstrakcyjną i w ten sposób ułożyć nietylko swój sens moralny, ale i swoję osnowę, aby wszędzie i zawsze była zrozumianą. Zastosowanie się do tego prawa nadaje zarazem bajce jéj formę i cechę artystyczną. Krasicki nie mógł lekceważyć tego względu i, jako prawdziwy poeta, ukrył chwilowe pobudki, przemijające wydarzenia pod obszerną szatą sztuki, nie czyniąc ze swoich bajek krytyki téj lub owéj czynności, pamfletu na tę lub owę osobistość, ale przedstawiając w nich niezmienny obraz ludzkich błędów wiecznie się powtarzających, ilekroć tylko zejdziemy z drogi rozsądku.

Przed wiekiem XVIII bajkopisarstwo prawie u nas nie istniało, tak jak i dzisiaj nic bezmała nie znaczy na szali piśmiennictwa. Tylko wiek racyonalny może wydać z siebie i znaléźć upodobanie w tego rodzaju utworach. Kilka zaledwie figlików Reja dałoby się podciągnąć pod tę kategoryę, chociaż i te nie odpowiadają prawdziwemu pojęciu apologu. Pierwsze tłumaczenie Ezopa datuje od samego końca XVII w. (r. 1686). Dopiero epoka saska, a więcéj jeszcze Stanisława Augusta, lgnęły coraz bardziéj do bajkopisarstwa. St. ks. Jabłonowski pomię-

bajek Naruszewicza (1778). W następnym
sicki pierwsze cztery księgi swoich bajek
Bajki nowe, pokazały się dopiero w pośmi
uczynioném przez Dmochowskiego.

Znaczna część bajek Krasickiego jest p
niem. Ale podobno bajkopisarze, więcéj niż
mo czynili. Ezop, Fedr, Lafonten bardzo cz
go własne natchnienie; co do formy zaś, c
jego bajkach widoczny jest wpływ poprzedn
rech księgach poeta przejął się duchem staro
treściwość i, co za tém idzie, wybitna, w c
charakterystyka, są tutaj stałém znamienien
widać; jest tylko rysunek konturowy, ale wyra
nic więcéj nad to, co potrzeba, nie jest powied
w téj epigramatycznéj formie, któréj obojęt
a główną rzeczą dojście jaknajprostszą i najk
go sensu. Po cztery albo sześć wierszy mają n
szczupłe ramy muszą wystarczyć dla całego
oszczędność słów, tak rys każdy jest obliczo
kameach, niby miniaturowe emalie. Pojmujen
dobnym stylem mógł zadać śmiertelny cios
skich i trochę dawniejszéj, rozwlekłéj, niemo
do końca.

Co innego znajdujemy w części drugiéj,
taj widocznie Lafonten jest wzorem. Ściśnięt
rozszerza się; obrazy, z nie tak wielką może p
ślone, nabywają życia i nowego powabu przez
tyczna malowniczość, imaginacya zajmują sw
spostrzegacza i moralisty. Jeżeli tam był

z przywiedzionych przykładów niema bynajmniéj najpierwszych warunków bajki: nic się tam nie dzieje i niema żadnych charakterów; zostało w nich tylko to, cośmy uznali za szczególne różnice dwojakiego sposobu traktowania.

*Kraków, 1868.*

---

# FRANCISZEK ZABŁOCKI.

*Szkic.*

Barwisty nadzwyczaj i różnowzory jest obraz czasów Stanisława Augusta i literatury pod nim zakwitłéj. Wstawiony w środek między dwie różne od niego duchem i istotą epoki, między panegiryczno-ascetyczną z końca XVII i początku XVIII wieku a między romantykę naszego stulecia, pieniącą się od zapału i egzaltacyi, ten wiek filozoficznéj niewiary i chłodnéj satyry jeszcze więcéj nas uderza kontrastem swego wyrazu oblicza. Wyobraźmy sobie to młode pokolenie, które nagle ze scholastycznéj ciemnoty i fanatyzmu przerzuca się w filozofię Rusa, Woltera i encyklopedystów, podnosząc ją w górę jako godło i hasło swego postępowania i celu; wyobraźmy sobie tych nowatorów-poetów, opuszczających naraz jeden dawny patryarchalno-religijny Parnas, wytrzeźwiałych z zachwytu i uwielbienia dla tych rzeczy, które od wieków przyzwyczajano się cenić i głosić, a wdziewających natomiast okulary chłodnego rozsądku na oczy, aby bez uprzedzenia i na zimno rozglądnąć się po świecie, wyśmiać co godne śmiechu, zniszczyć co nie wytrzyma krytyki rozumu. Wprawdzie są pomiędzy nimi i tacy, którym nie wystarcza głowa i rozum; ci szukają rozkoszy dla wyobraźni i serca w krainach wymarzonego, złudnego świata sielankowych pasterzy i bawią się tém nadobném cackiem, nie mogąc zgodzić się z taką jaka jest rzeczywistością, a nie mając dość siły, aby rzucić się duchem aż do wysokości prawdziwego ideału...

Ale nie jest to dzisiaj mojém zadaniem. Widzę, że chęci zadalekoby mnie uniosły, a to, co wam dzisiaj chcę podać, ma być tylko szczupłych rozmiarów szkicem, lub jeśli się uda, drobną miniaturą, streszczającą w sobie pokrótce to, co na obszerném płótnie wyraźniéj i zrozumialéjby się przedstawiło.

Przypuśćmy zatém, że tło już podmalowane, że na tém tle w najdalszéj perspektywie widać francuzkich pisarzy z czasów Ludwika XIV i XV, mianowicie Lafontena, Boala, Woltera, Rusa, Moliera, poniekąd Kornela i Rasyna, którzy przez wpływ swego geniuszu zmieniają u nas dawny porządek rzeczy i swojém tchnieniem napełniają całą umysłową atmosferę. Bliżéj nas zobaczymy wtedy opiekuna reform i postępu na drodze literatury, króla Stanisława Augusta, we francuzkim fraku i peruce, ale z pragnieniem w sercu, aby i obok niego zabrzmiały tak piękne i dobrane chóry muz, jak nad Sekwaną upajały niegdyś serce Ludwika XIV, ów wzór wszystkich monarchów XVIII wieku. Obok króla zostaje jeszcze dosyć miejsca dla innych tamto-

wiecznych mecenasów, a było ich kilku, którzy dla uczonych i poetów otwierali swoje domy i nakrywali stoły. Wreszcie pokazują się i właściwi bohaterowie nasi, prozą lub wierszem zapisujący na tym obrazie swoje nazwiska i kreślący postacie. Według tego jak doznawali łask monarchy albo możnych panów, grupują się dokoła swoich protektorów. Ale co ważniejsza, różnica ich polega nietylko na tém odmienném stanowisku towarzyskiém, lecz sięga daleko głębiéj, w istotę ich ducha i natchnienia. Przypatrzmy się Krasickiemu, Naruszewiczowi lub Trembeckiemu, dla których [illegible] est tém, czém słońce w systemie planetarnym; czyż oni [illegible] pełnie inaczéj niż taki Karpiński lub Kniaznin? Róż[illegible] dwiema grupami jest tak znaczna i wyraźna, że nie [illegible] wczesnych poetów podzielić na poetów królewskich i ka[illegible]

Dwie zatém rzecz[illegible] za pierwszém wejrzeniem na tę literaturę: mianowicie w[illegible] j cywilizacyi, jako jéj właściwy twórca i duch ożywczy, [illegible]em protekcyjny, przyjęty razem z francuzczyzną, jako j[illegible]a, system, który u dzisiejszych myślicieli ściągnął na s[illegible]ienia. Coby się było stało bez tego systemu, czyby lit[illegible]została w nieudolności, jak za czasów saskich, czy też wcześniej jeszcze niż w XIX wieku oryginalności przejęłaby się życiem?.. nie będziemy sobie podobno umieli na to odpowiedzióć, jeśli nie zechcemy popaść w filozoficzną mrzonkę, wyrosłą na tém anti-historycznóm: *gdyby nie*. Dość, że téj literaturze, jaka w drugiéj połowie XVIII wieku się utworzyła, wcale dobrze się działo z jéj mecenasami i protekcyą.

Król Stanisław August robił ze znakomitości literackich biskupów i szambelanów swego dworu, obdarzał je pensyami lub bogatemi tabakierami, a nadto lubił się niemi otaczać, widzieć je w swém towarzystwie, dopuszczał je do przyjaźni i poufałości z sobą; nic więc dziwnego, że każdy, czujący w sobie pewne zdolności, wzdychał do tych zaszczytów i skoro tylko mógł, dążył do Warszawy, w nadziei zrobienia karyery i pozyskania sławy. Król co tydzień dawał dla swych poetów i uczonych czwartkowe „rozumne“ obiady. Tam dowcip, wiedza, wykształcenie umysłu miały składać swój haracz gospodarzowi i gościom, którzy chętnie rozkosze umysłowe łączyli z przyjemnościami dobrego stołu i wina; tam także otwierała się zwykle pierwsza brama każdéj świeżo wzrastającéj sławie. Kto był wprowadzony na czwartkowy obiad, otrzymywał niby krzesło w francuzkiéj akademii.

Na jednym z takich obiadów około r. 1780 ofiarował królowi Franciszek Zabłocki swoję komedyę p. t. „Fircyk w zalotach," z zastosowaną do téj okoliczności odą.

Nie był-to jednak pierwszy występ autora. Zabłocki, młody, trzydziestoletni wówczas człowiek, posiadał już imię znakomitego poety i utrwaloną sławę; król obdarzył go już był medalem „bene merentibus," udzielanym wyższym tylko zdolnościom pomiędzy ówczesnymi literatami. Ale do tego uznania i zaszczytów doszedł Zabłocki zwyczajną w tamtéj epoce drogą. Urodzony na ówczesnym Wołyniu, czując w sobie zapewne rozbudzające się poetyczne skłonności, ściągnął za innymi

do Warszawy i tutaj dał się najprzód poznać ze swego talentu Naruszewiczowi. Za możném orędownictwem otrzymał sposób utrzymania, posadę sekretarza w Izbie edukacyjnéj, która ubogiego literata wydobyła z niedostatku, i zyskał szybko nagrodę swego talentu i pracy— sławę. Odwdzięczając się swym dobroczyńcom, wielbił téż Zabłocki w uroczystych odach ich łaskę i przychylność. Zdaje się jednak, że mimo protekcyi tak wysokich osób, niezupełnie był ze swego losu zadowolony. Na brak sławy nie miał zapewne potrzeby się uskarżać, ale stosunki materyalne musiały nieraz przyciskać jego umysł, a honorowe służalstwo dla mecenasów napawać goryczą jego dumną i szlachetną duszę. Nie bez osobistéj zapewne pobudki tłumaczył on satyrę Boala, w któréj biedny poeta, nieumiejący schlebiać i zniżać karku, z pustą kieszenią i w lichém odzieniu żegna niewdzięczną stolicę, zawiedziony w nadziejach, a zgorszony powodzeniem małodusznych chwalców i podnóżków. Boleśnie uczuwał widać upokarzającą rolę protegowanego, gdy inny, oryginalny już swój wiersz rozpoczął od tak gorzkich wyrazów:

Gdy czytam płód méj pracy, com z nią, wieszcz ubogi,
Drzymał w kącie nieznany i ziemskie czcił bogi,
Upatrując jakiegoś zysku promyk lichy,—
I płacz mnie rzewny bierze i niewczesne śmiéchy.
Bo jakąż, nieraz myślę, mam korzyść z téj sztuki,
Którą gardzą surowi mędrce i nieuki?
A gdy czasem przez litość swe dadzą przyznanie,
Ja chwałę mam za obiad, afront za śniadanie...

Tak się odzywał poeta, o którym piszą nam, że był „wesołym, dowcipnym, czasem nawet płochym, lubił wytworność w ubiorze i wszelkie towarzyskie zabawy.” I jedno i drugie może być prawdą; dusze poetyczne lubią godzić w sobie podobne przeciwieństwa. Swoboda, chęć życia, szał lekkomyślny, goniący za drobnemi, a dla nich nieraz tak powabnemi przyjemnościami świata, są to instynkta ich poetycznéj natury; napady melancholii, zgryźliwość i pewnego rodzaju mizantropia, goryczą nazewnątrz się wylewająca, są to przymioty nabyte przez doświadczenie i rozczarowania. Dusze poetyczne mają zwykle wielki zapęd, cóś je nagle wstrzymuje w biegu, następuje gwałtowne wstrząśnienie i cofnięcie się we własną głębię. Przez taką twardą szkołę życia, obdzierającą serce ludzkie z zapału i entuzyazmu, musiał przejść Zabłocki, kiedy w ostatecznym rezultacie utworzył sobie zdanie zbyt niepochlebne, mizantropijne prawie o ludziach i towarzyskich stosunkach.

Albo téż powiem dla twojéj przestrogi:
Człek człeku wilk jest, człek człeku zazdrości,
Żalu nie wzbudzisz, płacząc żeś ubogi,
A wzbudzisz zawiść, będąc w pomyślności...
Jakże i z kim żyć? z wszystkimi i z nikiem,
Zawsze otwarcie niby, przecież skrycie;
I to jest, co się zwie być politykiem,—
Tak, kto roztropny, swe urządza życie.

Czyż nie czujecie, czytając te wiersze, że z oczu tego poety spadła owa łuska zaślepienia, która czyniąc ślepym na bieg tego świata, otwiera wzrok duchowy na idealne krainy? Ten człowiek spotkał się

oko w oko z rzeczywistością, a nie chcąc uledz jéj przemocy, postanowił dobrowolnie zastosować się do jéj wymagań. Cóż tedy pozostaje czynić temu człowiekowi, jeżeli urodził się poetą? Zapał swych uczuć schować na dnie serca, a zimno i rozważnie kreślić światu jego rzeczywisty wizerunek, powtarzając mu za każdym rysem, w czém odbiegł od swego ideału. W ten sposób powstają satyrycy i komedyopisarze, i nie inny był porządek naszéj Byronowskiéj poezyi.

Satyra leżała w duchu tych ludzi XVIII wieku. Poeci ze zdolności nie byli przecież poetami z natchnienia. Całą ich duszę ogarnęła filozofia XVIII wieku, sceptyczna, rozkładająca i burząca. Ich zadaniem było niszczyć przesądy, wykorzeniać zastarzałe pojęcia, przygotowywać grunt pod nowe zasiewy. Przedewszystkiém oni nauczali, wyprowadzając na jaśnię zdrożności i błędy, a z drugiéj strony stawiając za wzór dobre przykłady. Najwięksi poeci tych czasów są to bajkopisarze i satyrycy. Od satyry zaś do komedyi krok tylko jeden; stoją one na jednéj wyżynie, w jednéj sferze, a różnią się tylko formą; poćwiartuj satyry Krasickiego na dyalog, a będziesz miał sceny z komedyi, ma się rozumiéć z komedyi Molierowskiéj, któréj przedewszystkiém chodzi o charaktery i wizerunek obyczajów.

Zabłocki, obdarzony zdolnościami dramaturgicznemi, do komedyi obrócił swego satyrycznego ducha. Jak dla całéj epoki, i dla niego literatura francuzka była wzorem, a ojcem duchowym i szczególnym patronem Molier. Rozpoczął on od tłumaczenia sztuk francuzkich na użytek warszawskiego teatru, przerabiał i naśladował bardzo wiele; śród tego utworzył także kilka oryginalnych, aż znękany nieszczęściami i zgryzotą, porzucił pióro na samym schyłku XVIII wieku.

Teatr polski w Warszawie zawdzięczał swe istnienie Stanisławowi Augustowi, który zaraz po wstąpieniu na tron (1764) kazał zebrać towarzystwo aktorów grających po polsku. Dotychczas nie było nigdy podobnego towarzystwa. Wiemy wprawdzie, że kiedyś grano „Odprawę posłów greckich“ Kochanowskiego na dworze Jana Zamoyskiego, że na zamku królewskim przedstawiano Janowi Kazimierzowi „Cyda" tłumaczonego przez Andrzeja Morsztyna, lecz były to widowiska amatorskie, na które składała się młoda szlachta i dworzanie, bo zresztą stały królewski teatr, począwszy od Zygmunta III i późniéj, tworzyli francuzcy i włoscy aktorowie, przedewszystkiém śpiewacy i baletnicy. Ten Stanisławowski teatr zmiennych co chwila doznawał losów, to upadając w spółzawodnictwie z operą włoską, która nieznanemi dotąd rzeczami i doborem artystów przyciągała do siebie publiczność, to znowu odnosząc nad nią górę, kiedy nim kierowali ludzie z poświęceniem, jak Wojciech Bogusławski, albo zasilali go swemi pracami tacy jak Zabłocki i Niemcewicz. Bądź jak bądź jednak, czy pomyślność jego była mniejsza lub większa, skoro tylko teatr wszedł do rzędu publicznych rozrywek, potrzeba było dla niego autorów i sztuk, których dotychczas literatura polska zupełnie nie posiadała. Dla Zabłockiego stanęło tedy otworem pole popisu, a sztuki jego stały się ozdobą sceny.

Cóż może komedyopisarz wyprowadzać na scenę? Oto społeczeństwo to, śród którego żyje. Szczęście dla niego, jeśli spółczesny mu

świat posiada warunki do stworzenia komedyi potrzebne. Zabłocki pod tym względem był szczęśliwym. Dawny świat ze swemi zwyczajami i pojęciami rozpadał się w gruzy; to, co z niego na przekór nowemu porządkowi pozostać chciało, sterczało osamotnione, pozbawione wspólnego tła i właściwego sobie gruntu, wzbudzając swą niezwyczajnością, przestarzeniem chęć do śmiechu i uczucie komizmu. Nie o wiele szczęśliwszém było i nowatorstwo. Ta świeżo z pod obcego klimatu przesadzona roślina nie odrazu mogła się na naszym przyjąć gruncie; jak wszędzie tak i tutaj wiele w tém naśladownictwie było powierzchowności i przesady, bo dla ogółu łatwiéj przyswoić sobie zewnętrzność i pozory, niż istotę rzeczy. Więc świeża znowu komiczność, nowe dziwactwo i nierozsądek, zasługujący na chłostę i wyszydzenie.]

Posłuchajcie treści następującéj komedyi. W jednéj wiosce, osiadłéj przez drobną, zagonową szlachtę, mieszka przez płot dwóch sąsiadów, nienawidzących się—jak sąsiedzi: Marek Góronos i Jan Chrzciciel Żegota. Waśnią ich między sobą są jakieś tam spory o spłacheć roli, ale więcéj daleko ambicya rodowa. Żona Żegoty odważyła się zająć w kościele pierwsze miejsce przed panią Góronosową. Takiéj obrazy nie można puścić płazem, jeśli prochy przodków, zapisanych tak chwalebnie w herbarzach i na grobowych kamieniach, nie mają się poruszyć w trumnach z oburzenia! Prócz tego Góronos zbyt ma czułe serce, aby we wszystkiém woli swéj małżonki nie uczynić zadość; jego sługa Walenty, znający sprawy wewnętrzne domu, dobitniéj nawet tę rzecz wyraża:

Żona z niego i kozła zrobi i barana,
Jak zechce, jak mu zagra, tak on tańczy,—słowem
Możnaby słusznie osłem nazwać go domowym.

Skoro więc pani Ryksa czuje się obrażoną, Góronos musi wypowiedziéć wojnę sąsiadowi, chociaż zbytkiem odwagi wcale nie grzeszy. Nie bardzo także wojowniczy jest i przeciwnik. „Otóż i mój przędziwąs"—powiada o nim służący Wojciech—

Co wąsem, jakby miotłą, powietrze zamieta;
W tych wąsach całe jego męztwo i zaleta.

I Burzywoj wreszcie, siostrzeniec Góronosa, a trzeci z głównych rycerzy, więcéj ma przymiotów Albertusa niżli dzielnego Rembajły. Pozwala się bezkarnie obić chłopom, wykrzykując potém z oburzeniem:

..Bez pałasza miałżem pójść na pięście?!

a kiedy już przychodzi do stanowczéj bitwy przeciwników, obskoczony woła żałosnym głosem: „Wujaszku! biją mnie!" Ponad tymi małodusznymi bohaterami góruje animuszem Ryksa. Okropna téż to kobieta. Niech się nikt nie spodziewa przegadać ją: wrodzone zdolności i trunek, którego obficie używa, czynią z niéj niezwyciężoną przeciwniczkę. Ale to jeszcze mało. Te przymioty zbledną wobec czynów, jakiemi zajaśnieje w samej akcyi. Kiedy wreszcie jéj wymowa i przewaga moralna nad mężem roznieciła sąsiedzką wojnę, Ryksa zjawia się sama na placu boju, każe sobie „przynieść pistolety," a mężowi dodaje ducha temi słowy:

Ja ci pierwsza w łeb kulą, tylko myśl o zgodzie!

Nieustraszona, zapalczywa ze złości, wykrzykuje na głos przed przeciwnikami swoje wojenne hasło:

. . . . . . . . . . . Prawo moje
Do najpierwszéj w kościele ławy, przy tém stoję!

Niemniéj gorące usposobienie pokazuje i przy innéj sposobności. Syn Żegoty i córka Góronosów, jak wypada na dzieci wrogów w komedyi, kochają się potajemnie. Kiedy pewnego razu pani Ryksa przy głupkowatym Walentym znalazła list miłosny do córki pisany, o taki ją to gniew przyprawia ... za strzelbę, mierzy do biednego posłańca, i tylko wda... żywoja przypisać należało, że strzelba w powietrze w... Walenty postanawia sobie:

„Odtąd z nią ... stawiam harmaty."

Te wrogie i wzb... zażegnywa wreszcie rozsądek trzeciego sąsiada, Skarb... miłość dwojga kochanków, jak niegdyś śmierć Romea i ... podobni kochankowie w „Zemście" Fredry. Wyborn... tyczniejsze bezwątpienia są te sceny piątego aktu, kie... schodzą się przed polubownym sędzią. Jak tu przesad... mnéj uprzejmości i w adoracyi na wyscigi Góronos i Ż... spr... rę regent, jak Góronos i Żegota nie mogą znaléźć dość wyrazów na pochwałę Skarbimira: „Bo to rozum, i serce, i pióro, i ręka!" -„Jak mądrze, pięknie mówi!"—„Marmuru, cedru godne zdanie"—chociaż za plecyma co innego między sobą szepcą. Parafiańska to grzeczność, dochodząca do uniżoności, i nawyknienie do niedawno przebrzmiałych, bezsensownych panegiryków. Wiele słów fałszywych, ani krzty uczucia.

To też gdy przychodzi pokazać szlachetność w czynie, serca ich nagle twardnieją. Każdy z przeciwników chce być w urzędowym akcie pierwszy umieszczony. Regent zdobywa się na adwokacką prawdziwie stylizacyę:

Między panem Żegotą Janem, z jednéj strony,
A w tęż naodwrot, między jegomością panem
Markiem Góronos z jednéj, a Żegotą Janem
Z drugiéj strony, czyniącym, stroną i powodem...

Ale i ten wybieg nie zadowolił ambitnych sąsiadów i dopiero zręczny manewr kochających się dzieci nakłania ich do podania sobie ręki ku zgodzie.

Czémże ma być ta komedya? zapytacie. Autor dał jéj tytuł *Sarmatyzm*, i niejeden już za złe mu to poczytywał. Bardzo łatwo jednak można obronić Zabłockiego co do tego zarzutu. Komedya ta chłoszcze tylko jednę część społeczeństwa, które jak za murem stało za tradycyą lat dawnych, i wyszydza pewne tylko przywary, nienależące bynajmniéj do jego istoty, a wyrosłe na niém jak grzyby na pniu szlachetnego drzewa w owym czasie, kiedy w szkołach już zaszczepiano w umysł młodzieńczy pogardę rozumu, fanatyzm, niesforność, junakieryę i herbową próżność. Nikt nie zaprzeczy, że te istoty ograniczone i małoduszne, szukające chluby w swéj ciemnocie i grubych nałogach, szkodliwe dla społeczeństwa, a pragnące kierować jego losami, zasługi-

wały na wystawienie pod pręgierzem publicznéj opinii, jak to bez litości i względów Zabłocki uczynił.

W innéj swéj komedyi, nienoszącéj jak poprzednia tak wybitnie miejscowego piętna, może być nawet, że naśladowanéj podług obcego jakiegoś wzoru, wyszydził znowu inną, dość powszechną wadę, która również była skutkiem fałszywego kierunku, jaki umysłowi i sumieniu nadało pietystyczne wychowanie. Zabłocki, gorliwy zwolennik nowéj oświaty, jéj idei i postępu, podobnie jak w Sarmatyzmie, *con amore* wystudyował charakter *Zabobonnika*, który wierząc we wpływ duchów i nadzmysłowego świata na sprawy ludzkie, w prognostyki, czary i upiory, krwawą w sercu stacza walkę między bojaźnią kary niebios a materyalnym interesem. Jego syn, Damon, pokochał i poślubił tajemnie ubogą panienkę Melissę. Rozżarty Anzelm, który właśnie pragnął ożenić syna z bogatą jakąś dziedziczką, postanawia gwałtem ich rozwieść. Damon szuka pomocy u sługi ojcowskiego, Filutowicza, który znając dobrze słabość pana, na jego zabobonnym duchu opiera swoje plany, aby go odwieść od zgubnego dla młodéj pary zamiaru. Tego człowieka trzeba zastraszyć, napełnić jego wyobraźnię przepowiedniami nieszczęścia, wmówić w niego chorobę i śmierć, jako nieodzowne następstwo gniewu żywionego przeciw synowi. Sprawa jednak nie poszła jak z płatka. Anzelm jest twardy i zawzięty; równie jak zabobon zaślepia go interes i chciwość; prognostyki i wróżby, któremi Filutowicz go straszy, odpycha zrazu z wielką odwagą od siebie:

. . . . . Gdyby mi przyszło doczekiwać
Ostatniego nieszczęścia, a na mój zgon marnie
Gdyby całéj Warszawy zaskomlały psiarnie,
Gdyby wszystkie puszczyki, sowy, nietoperze,
Nareszcie same bisy... Niech mię raczéj bierze!...

i tak rzuciwszy kostkę, posyła po prawnika, któryby się zajął rozwodem. Dozę lekarstwa potrzeba zatém zwiększyć. Filutowicz przebiera za jurystę swego kolegę Frantowicza. Śród najgorszych wróżb staje on przed Anzelmem, a na dobitkę opowiada mu tragiczną ze Szlązka historyę o podobnym rozwodzie, który pod ciężarem klątwy nieszczęśliwéj małżonki skończył się śmiercią wszystkich sędziów i powodów. Anzelm, drżąc na całém ciele, drwi sobie jednak z tego strasznego przykładu.

**Frantowicz.** ...Więc po filozofsku
Myślisz waćpan i z Szlązka nie boisz się wniosku?
**Anzelm** (*drżąc*). Tak, tak, po filozofsku.
**Frantowicz.** Doprawdy? nie żarty?
**Anzelm.** Nie, nie żarty.

Było to wysilenie heroiczne. Zostawszy sam, Anzelm czuje wyrzuty sumienia i wyprzysięga się téj filozoficznéj zuchwałości.

Czyliż trzeba mi było na me stare lata
Zachwiać się w bacznem zdaniu i udać się torem
Tych nowych filozofów złego teraz świata?
Niestety! uwiodłem się błahym punkt-honorem...
Tłumiłem, prawda, w sobie te pierwsze zasady
Roztropnego myślenia z pokarmem przyjęte,

kto to taki, tak bardzo dręczy go
się zabobonowi. Filutowicz wpatruje się
go chorobę. Anzelm potnieje ze strachu,
z gorzkim uśmiechem zapytuje Filutowicz
wne?" Kiedy i służąca Reginka, wciągnięta
robę, Anzelm żałosnym tonem już się odzy

Musi to już być doprawdy, że ja j

tém się pocieszając, że syna przed śmiercią

Jeszcze pierwéj nim umrę, połamię

Wprawdzie grożące niebezpieczeństwo
wrócić, niech tylko opuści go gniew na sy
krwi wzburzenie. Lecz Anzelm łatwiéj ni
dilemma:

Umrzeć lub nie rozwodzić? Otóż um

Po téj decyzyi wierzy już w swą chor
ka. Zginąłem!... Taki słaby, że ledwo na no
ginki; a nawet kiedy Damon, poruszony skruc
była podstępem na jego łatwowierność, wi
i zdradę:

Hultaj! pragnie mojéj śmierci!

Nadchodzi i zawezwany lekarz. Na pr
wykrzyk Anzelma:

Ginę! ginę!

Recepta. Co znowu?
Anzelm. Alboż nie mówiono
Waćpanu?...
Recepta. Gdyby słowo...
Anz. Wszak ja umrę por
Rece

Cała rzecz, pstro mu w głowie i od rzeczy gada;
Dawna ci to już jego, że jest głupi, wada.

Anzelm, wodząc po nim badawczym wzrokiem, złowrogo dla siebie tłumaczy te słowa:

Zapewne zgadł co na mnie. Znać to po osobném
Szeptaniu, nie widząc mię do życia podobnym.

Kiedy zaś Recepta, nie mogąc go przekonać, powiada głośno i wyraźnie:

Mówię to i dowodzę, że Anzelm nie chory,
Lecz tylko głupi.

„Ja mam być głupi!" woła nasz zabobonnik i rzuca się jak w objęcia zbawcy na szyję Frantowicza, który znów teraz przyjął na siebie rolę lekarza, wierzącego w chorobę Anzelma.

Ah, mój cyruliku,
Niechajże cię uściskam. W twojéj mądréj głowie
Znajduję moje życie, mój honor, me zdrowie!

Prawdziwa nędza ducha ludzkiego! Charakter nakreślony z gorzką, pogardliwą prawie ironią dla słabości człowieka, z jaką Molier tworzył swego *Malade imaginaire* albo Tartuffa...

Jeżeli ostrze dowcipu w téj komedyi było zwrócone w stronę przeszłości i ze skrupulatnością anatoma rozcinało jéj przesądy dla lepszego ich wykazania, niejeden wszakże raz, rzucony przy sposobności, od niechcenia, dostał się także modnym zwyczajom i zfrancuziałemu życiu. Syn Anzelma, Damon, należy już do nowego pokolenia, i mimo szlachetnego w gruncie charakteru, nie jest bez grzeszków i wybryków, w jakich ówczesna złota młodzież naśladowała przykład dany z zagranicy. Filutowicz, Frantowicz i Reginka, są to istoty, które bardzo prędko przesiąkły nawskróś nową atmosferą i na które modna cywilizacya wywarła wpływ przez odrobinę zewnętrznego poloru i wewnętrzne zepsucie. Bystrém okiem dojrzeli oni ujemne strony wyższego świata i tajemnice buduarowe, chociaż spoglądali na nie z przedpokoju.

Lecz Zabłocki wprowadził nas i do samego wnętrza salonu w komedyi p. t. *Fircyk w zalotach*. Rzecz wprawdzie dzieje się na wsi, ale występujące osoby są całkiem salonowe, należą do towarzystwa żyjącego w stolicy; ludzie to z polorem, elegancyą, noszący modne fraki i peruki, dalecy od sarmackiéj gburowatości i przesądów zabobonnika, owszem tworzący sobie pewne systemata filozoficzne, zgodne z duchem racyonalnéj filozofii. Ich wady i śmieszności inną będą miały cechę, niż tych figur, którećmy dotychczas poznali.

Do domu Arysta, na wieś, przybywa niespodzianie młody panicz z Warszawy. Autor nazwał go Fircykiem. Dziś razi nas ta nazwa, ale wówczas nie było przywiązane do niéj znaczenie całkowitéj nicości moralnéj, w jakiém się teraz używa. Fircyk Zabłockiego nie jest bynajmniéj niedowarzonym półgłówkiem, niezdolnym do niczego jak wypomadować swe kędziory, wdziać lakierowane kamaszki i całą rozmowę zbywać głupowatym śmiechem, mającym oznaczać zadowolenie z siebie i dowcip. Owszem, jest-to dandys otrzaskany na wszystkie strony po

salonach, rzutny, wygadany, zwyciężający serca kobiet swoją śmiałością i pewnemi zdolnościami umysłu. Trzeba wielkiego doświadczenia lub niewzruszonéj cnoty, bo inaczéj może się stać rzeczywiście niebezpiecznym człowiekiem,—tak umie zagadać do serca, ugłaskać je, ująć sobie i na zabój rozkochać. Lecz niestety! obok tych zalet jest on wietrznikiem, zrywa kwiaty i rzuca je w téj saméj chwili. Kiedy teraz przyjechał na wieś, tuziny alabastrowych łon gonią go westchnieniami z Warszawy. Nie czyni on tego ze złego serca; jego służący Świstak utrzymuje, iż „natura w nim dobra i szczera,“ a służący zwykle oceniają dobrze charaktery swych ... ko lekkomyślność jest przyczyną jego błędów. W téj ... stoi nigdy myśl o obowiązku, o przyszłości; uczucie ... ę dla niéj rzeczą błahą, która może sciągnąć na człowi... ech i szyderstwo. Tych lekkich skrzydeł, któremi unosi ... nie obciążają mu wyrzuty sumienia. Duch wieku i ów ... , w tym kształcie jak ją zastosowali do życia podobni ... lnia go od nich zupełnie. To też i Fircyk ma swoję filoz... ą z owego źródła, którąby można nazwać cyniczno-s... hajcie naprzykład jego pojęć o małżeństwie:

. . . . . . . . . . . . . Nie myślę
Bynajmniéj z moją żoną kalkulować ściśle.
Zysk czy strata, jak padnie. Będę-li w tym cechu,
Że się ze mnie śmiać zechcą, pierwszy dam ton śmiechu.
I prawdę mówiąc, rzecz ta nie warta niesnaski.
Wiwat Francuz! ten pokój ma świat z jego łaski.

Czyż to nie jest abnegacya swéj osobistości? W podobny sposób zgrywa się bez żalu w karty, i mając nadzieję, że niezadługo zmarnuje ojcowski majątek, decyduje się łatwo ożenić z jaką babą starą i brzydką, byle bogatą i nieobiecującą żyć nazbyt długo. Ale i nasz bohater zaszłapał. Na wieś ściągnęła go podstolina, młoda wdówka i krewna Arysta. Fircyk po raz pierwszy się zakochał. Dlaczego? zapewne z téj przyczyny, że podstolina trudniejszą się od innych pokazała do zdobycia. Jéj nie można było zwyciężyć galanteryą, grzecznościami i zuchwałym atakiem; wymagała miłości poważnéj, uczuciowej, nawet sentymentalnéj. Do tego Fircyk nie był zdolny. Ustępując na pozór podstolinie, poważne jéj argumenta w żart obraca. Podstolina powiada mu, że na zjednanie serca mało lat dziesięciu; Fircyk przystaje na to, bo wszakże Jakób lat czternaście służył o Rachelę, ale zważając na różnicę wieku, na odmienne zwyczaje, na rozmaite osobiste względy, redukuje on czas do kilku tygodni, do dwóch dni wreszcie. Podstolina oświadcza mu znów, że jego żarty ją gniewają.—Dobrze, powiada,

„Kończę żarty i nudne zaczynam wzdychanie,“

ale wpadając w afektacyę, żartuje daléj jak przedtém.

Nawet i wtenczas, gdy staje z podstoliną dla spisania aktu ślubnego, nie opuszcza go lekkomyślność i najprzód chciałby sobie utorować ścieżki do swobody. Kto ciekawy jego intercyzy, niech przeczyta przedostatnią scenę Fircyka, albo lepiéj całą komedyę; godniejsza ona tego, niż wiele z nowoczesnych utworów.

Podobny człowiek musi zawsze psuć szyki ludziom poważnym, sensatom, zwłaszcza takim jak Aryst, którzy uznali powagę za stosowną dla siebie rolę, chociaż ciągle z niéj wypadają. Aryst, jest-to również zwolennik postępu, poczynając od garderoby, bo ubrawszy się we frak i perukę, wylicza cały regestr modnych gracików, jakie służący ma mu podać:

Tabakierka, pulares, etui, lornetka,
Wódka pachnąca, grzebyk, nożyczki, szczypczyki...

i wszystko to pcha w kieszenie, począwszy, jak powiedziałem, od garderoby aż do filozofii. Szczególniéj ta filozofia zawróciła mu głowę tak, że wszelkiemi siłami postanowił być filozofem, to jest człowiekiem bez namiętności.

Nieszczęściem Aryst ma dwie silne namiętności: lubi karty i jest zazdrosnym o swoję powabną a przytém trochę trzpiotowatą żonę. Z przybyciem Fircyka te dwie namiętności się rozbudzają. Lekkomyślny gość zgrywa go na pierwsze powitanie; Aryst żałuje, że dał się skusić do przestąpienia swych zasad; obudza się w nim filozoficzna rozwaga:

Mam żonę, będą dziatki; i dzieciom i żonie
Krzywdę czynię, cobym miał dla nich zbierać—trwonię.
Bóg mię skarał tą chęcią do gry zapalczywą!
Przysiągłem nie grać. Widzę, że przysiągłem krzywo.

Ta kolizya z samym sobą niedokończonego filozofa-amatora jest doskonałą sprężyną komicznego charakteru. Co innego głoszą jego sentencye, a co innego pokazują czyny. Lecz więcéj jeszcze niż tą szulerką zamącił Fircyk spokój jego duszy przez poufałe rozmowy i samotne przechadzki z żoną. I jedne i drugie nie grożą Arystowi żadném niebezpieczeństwem; Fircyk i powabna Klarysa układają tylko plany, jakby podstolinę nakłonić do małżeństwa, ale wyobraźnia Arysta w jaskrawszych widzi rzeczy kolorach, niżby na filozofa przystało. Jego moralna równowaga znów się chwieje i wpada w gniew i namiętność—śmieszne, bo bez przyczyny.

Jakkolwiek i z tych postaci śmiać się nieraz można, jakkolwiek przez ich ogładę i zewnętrzną świetność przebija nieraz nędza ducha i moralne zepsucie, to przecież widać, że autor miał dla nich więcéj pobłażliwości, więcéj spółczucia, niż dla figur, któreśmy w poprzednich komedyach widzieli. Sam Fircyk nie jest bynajmniéj postacią, któraby na deskach teatralnych mogła upaść pod ciężarem zabijającego ją śmiechu; do ówczesnego parteru mógł on się raczéj odezwać: „Jestem hulaka, bałamut, marnotrawca, ale jestem synem społeczeństwa, które przewodniczy swemu wiekowi. Nie jestem wart wiele, ale mógłbym daleko być lepszy, gdybym nie wziął był z téj postępowéj cywilizacyi tylko tego, co najlepiéj mojéj lekkomyślności dogadza. Z tém wszystkiém nie jestem wcale głupi, i wasz rozsądek rozweselający się moim widokiem nie podchwyci mię na niedorzeczności, którąbyście mogli wyśmiać.“ Nietrudno nam odgadnąć, dlaczego Zabłocki w téj komedyi delikatniejszych użył rysów, dlaczego nie popadł w karykaturę, jak nieraz w Sarmatyzmie, albo w tak gorzką, mizantropijną satyrę, jak

w Zabobonniku—był on także synem swego czasu, nie potępiał go, lecz chciał tylko niektóre zboczenia sprostować.

W jego utworach moglibyśmy dużo jeszcze wynaléźć charakterystycznych typów i scen komicznych,—w takiéj naprzykład komedyi jak *Mężowie poprawieni*, gdzie małżonek bałamucący się z jakąś pseudo-baronową, wystawiony na próbę zazdrości przez swą żonę, poznaje jak to nieprzyjemnie być zdradzonym i na dobrą powraca drogę. Pełne powabu, lekkości i dramatycznego ruchu są także wodewile Zabłockiego. *Balik gospodarski* przypomina Cyrulika sewilskiego; jest tam i Rozyna w osobie Kasi, i doktor Bartoło w osobie Orgona, i sam Cyrulik w osobie przebiegłego lokaja. Albo *Żółta szlafmyca*, którą Czesław dostaje na kolendę od Merkurego, jakiż to cenny podarunek! Za jéj pomocą przekonywa się, że żona ma pokątne miłostki, że przyjaciel domu korzysta niegodnie z jego kasy, że go lokaj kradnie, a przyszły zięć dybie tylko na majątek. Naturalnie, przekonawszy się o tém, z nowym rokiem zaprowadzi on inny porządek w gospodarstwie domowém.

Możebyście pragnęli nakoniec dowiedziéć się krytycznego zdania o Zabłockim? Otóż jeżeli całéj literaturze Stanisława Augusta, pomimo jéj naśladownictwa i obcego pozoru, nie odmawiacie wartości, jeśli oddajecie co im się należy takim pisarzom, jak Krasicki lub Trembecki, to pomieśćcie w liczbie najznakomitszych autorów tego czasu także i Zabłockiego; to bowiem pewna, że ani przed nim, ani po nim nigdy komedyopisarstwo tak nagłego i wielkiego nie uczyniło kroku, jak przez jego prace.

*Warszawa, 1867.*

## FRANCISZEK KARPIŃSKI.

(Ur. 1741, zm. 1825 r.).

*Wspomnienie z okoliczności postawienia pomnika temu poecie w Kołomyi, w dniu 16 września 1880 r.*

Kiedy pół wieku temu szkoła romantyczna, po zaciętéj walce z przeciwnikami, otrzymała plac boju i panowanie swoje w literaturze bez podziału i ograniczenia rozpostarła,—pomiędzy wielu innemi ogłosiła wówczas, jako niezachwiany artykuł poetycznéj wiary, że pisarze z czasów Stanisława Augusta, tak nazwani klasycy, a właściwie pseudoklasycy, wiązanéj mowy używający, poetami bynajmniéj nie byli i jedynie tytuł rymotwórców służyć im może. Dlaczego romantycy tak bezwzględny i surowy wyrok wydali,—wyrok, którego potomność nie potwierdziła i nigdy w całéj rozciągłości potwierdzić nie może,—dla nas, patrzących dzisiaj z pewnego oddalenia, jest rzeczą całkiem zrozumiałą, a nawet powiedziéć jesteśmy gotowi, że inaczéj być nie mogło. Poezya z końca XVIII wieku nie posiadała nic z tego, co według romantycznych pojęć istotę poezyi stanowi, a to naturalnie musiało wystarczyć, ażeby ją z téj dziedziny zupełnie wykluczyć.

Wistocie ta klasyczna poezya jest trzeźwa i chłodna, pomimo rodzimej treści, powleczona na zewnątrz cudzoziemskim pokostem. A co najważniejsza, jest z gruntu racyonalna, przemawia wyłącznie do rozumu,—imaginacyi zaś, a zwłaszcza też uczuciu bardzo mało, prawie nic nie daje pokarmu. Jak ją pogodzić z pojęciem poezyi romantycznem, wymagającem natchnienia upajającego, rozbudzenia fantazyi, choćby drastycznemi środkami, a mianowicie wzruszenia serca, choćby do najgłębszych uczuć, choćby do łez?

Ta klasyczna poezya znała zresztą siebie samą bardzo dobrze, wiedziała czem jest, a za dowód tego może posłużyć i ta okoliczność, że poetę, który prawie sam jeden różnym był od innych współczesnych, nazwała poetą serca. Nazwa podobna możliwą tylko była przed laty stoma; przed laty pięćdziesięciu albo dzisiaj któżby śmiał użyć takiego pleonazmu, kiedy te dwa pojęcia w wyobrażeniu naszem nierozłączne są od siebie?

Karpiński dla swoich współczesnych był szczególnem zjawiskiem, a dla nas również się to dziwnem wydaje, że mógł pojawić się takim, jakim jest, w owej epoce: jakby nas zadziwiło, gdyby kwiat jakiś wyrósł w obcej dla siebie strefie. Może dałoby się wytłumaczyć tem, że Karpiński urodził się pod słomianą strzechą skromnego szlacheckiego dworku, na samym krańcu Rzeczypospolitej, na zapadłem Pokuciu, dokąd nie dochodziło nawet echo tego, co się na wielkim świecie działo; że żył zdaleka od owego wielkiego świata, w którym streszczała się ówczesna cywilizacya, na którym rozgrywały się losy polityczne narodu i jego literatury; że później, co on swojem nieszczęściem nazywał, przeznaczenie tak niespodziewanie nim pokierowało, że gdy się garnął wszystkiemi siłami do tego wielkiego świata, ten świat zbył go obojętnoscią, nie chciał go uznać za swojego i prawie odepchnął od siebie.

W wieku indyferentyzmu i niewiary, kiedy nad umysłami panował sceptyczny Wolter, a nad sercami materyalistyczne zepsucie, dochował Karpiński w całej czystosci gorącą religijność swoich przodków. Biskup Krasicki żartował sobie, wprawdzie nie z religii, ale z niektórych sług ołtarza. Trembecki wygłaszał filozoficzno-religijne poglądy pełne najczystszego materyalizmu, a Węgierski szydził potrochu z wielu rzeczy, które dawniej za swiętość uchodziły. Karpiński w tym samym czasie układał pieśni nabożne, pełne głębokiej i naiwnej wiary do tego stopnia, że mogły przejść w usta ludu i stać się wyrazem jego prostych uczuć religijnych; tłumaczył i przerabiał z dawniejszego przekładu Kochanowskiego „Psałterz Dawidowy," aby ten pieśnioksiąg Starego Zakonu zrobić znów przystępniejszym i popularnym dla swego wieku, i tym sposobem do rozbudzenia w nim silniejszej wiary się przyczynić. Pochopu i natchnienia do tego nabrał on nie zkądinąd, tylko z przykładu i obyczaju panującego w rodzicielskim domu, a kiedy z niego już wyszedł, świat, w którym żył potem, nie mógł także tych jego uczuć oziębić, ani przekonań odmienić. Całą młodość przeżył Karpiński na wsi albo po małych miasteczkach, gdzie patryarchalne od wieków panowały wyobrażenia i stosunki; krótki pobyt w Wiedniu nie mógł go także zepsuć; pojechał się tam uczyć i dopełniać swego wykształcenia, i z lu-

dźmi, mianowicie mogącymi na niego wpłynąć, niewiele tam miał styczności. Kiedy po raz pierwszy pojechał do Warszawy, to jest właśnie w to miejsce, gdzie, jako w stolicy politycznego i umysłowego życia narodu, sposób jego myślenia mógł rozmaitym ulegać wpływom—był już w tym dojrzałym wieku, w którym zwykle człowiek swoich zasad nie zmienia i z drogi, po któréj przywykł iść, czy ona dobra jest czy nie, nie tak łatwo zdoła się przenieść na inną.

Ogólny zatém prąd niereligijny w warstwach wyższych i nadających ton cywilizacyi nie miał miejsca i czasu, aby go dotknąć. Jak się wychował w prostéj i sercem nawet najgłębsze tajemnice pojmującéj wierze, tak dotrwał z nią do ostatka życia; a jeśli zaszła w niéj jaka odmiana, to tylko na korzyść, to tylko taka, że jego przekonaniom dodawała godności i podniosłości. Wiara jego była ową staropolską wiarą: która tak pięknie krzewiła się po wiejskich dworkach szlacheckich; była gorącą miłością Boga, zgadzaniem się z Jego wolą, ufnością i nadzieją w Jego dobroci, miłosierdziu i łasce. Zagłębianie się w dogmata, ascetyczna ekstaza średniowiecznych bogomodlców, albo używanie religii za sztandar i hasło politycznych stronnictw i celów, jak się to dzisiaj niekiedy praktykuje, nieznane były ludziom owych czasów i owéj wiary. Bóg, jak ich tego sam Chrystus w modlitwie swojéj nauczył, był dla nich przedewszystkiém Ojcem, do którego się z pokorą, ale bez niewolniczéj obawy, w swoich radościach i smutkach udawali. Wielbili Jego wielkość i korzyli się przed nią, ale zarazem wierzyli, że obciążeni grzechami i słabościami ludzkiemi, mogą pomimo to stanąć przed Jego tronem, wynurzyć Mu swoje prośby i pragnienia z całą otwartością i z nadzieją osiągnięcia skutku.

W podobnéj to myśli napisał Karpiński swój piękny i szczytny wiersz: „O wielkości Boga.” Postawiwszy sobie przed oczy potęgę i wszechmoc Stwórcy, wyraziwszy nad nią swój podziw i zdumienie, spogląda na siebie i porównywa swą małość z Jego wielkością.

Potężny Boże na ziemi i niebie!
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potém oczy obrócę na siebie,
Jak mię ta wielkość upokarza nizko!
Przecież chociażem istotą tak małą,
Pójdę do Ciebie... Twa dobroć mi znana!
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzeć do samego Pana.
Ale odarty, jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi mojéj starłem,
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem...
Przecież ja pójdę, cokolwiek mię czeka,
Pójdę do Ciebie, bo mi powiadano,
Że byleś Ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwym widziano.
Tak jak dziś jestem niedołężnym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoją,—
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosę głupstwa i nikczemność moją.
Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszać;

Jeszcze ich mojém przybyciem pocieszę,
Bo powiem: że ja idę Cię przepraszać.
Gdzie będą Twoi aniołowie stali,
Pójdę; i jak im przypomnę zdaleka
Ich towarzyszów, co poupadali,
Nad ułomnością zlitują się człeka.

Ta śmiała dusza, wdzierająca się tak natarczywie i nieustraszenie do nieba, między hufce błogosławionych i aniołów, wznioślejszą zaiste i godniejszą człowieka zanosi modlitwę, niż gdyby w martwém milczeniu padła twarzą na ziemię i oczu podnieść do góry się nie odważyła.

Poznajemy z tego jednę także stronę w usposobieniu moralném Karpińskiego, godną uwagi. Ten wychowaniec jezuitów, wypromowany przez nich na bakałarza św. teologii, namawiany kilkakrotnie do wstąpienia do zakonu, pomimo całéj swéj religijności nie przesiąkł jednakowoż ani dewocyą, ani fanatyzmem, ani zabobonem, ani żadném wogóle z tych zboczeń, które w owe czasy tak często prawdziwą wiarę kaziły. Jego pojęcia religijne są czyste, niema w nich ani śladu téj trywialności, która bądź w dobréj wierze, bądź z umysłu, wzniosłość religii do poziomu maluczkich i płaskich spraw powszedniego życia poniżała. Nawet w téj pobożności i w tych religijnych przekonaniach, na które patrzył w rodzicielskim domu i które z niego wyniósł, umiał on odróżnić z biegiem czasu, w miarę rozwijającego się swego umysłu, prawdę od fałszu i oddzielić ziarno od plewy. Gdy rozum jego dojrzał, gdy go wykształcenie oświeciło, nie wahał się przyznać, że wiele wyobrażeń, któremi karmił się za młodu, nie zgadzało się z prawdziwą czystością wiary; nie wahał się w podeszłym już bardzo wieku, stojąc nad grobem, napisać w swoim Pamiętniku, że wiek jego dzieciństwa „wiekiem był wiary zabobonnéj i przywidzeń,“ i mimo czci, jaką przez całe życie wyznawał dla swych pobożnych rodziców, nie miał sobie tego za grzech, ażeby cudowne zjawienia, jakie mieli, ich wiarę w pokazywanie się duchów i upiorów, w czarownice, przepowiednie i wróżby, nazwać poprostu tém, czém były wistocie: zabobonem i przesądem.

Dosadnym i wymownym wyrazem téj czystości jego przekonań jest wiersz: „Przeciwko fanatyzmowi.” Kreśli najprzód obraz fanatyzmu w ten sposób:

Krzyż w jednéj ręce, żelazo ma w drugiéj,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy;
Tak świat obiega, jak jest w sobie długi:
Wszystkiego dotknie i z gruntu poruszy.
Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany,
Dojdziesz go czarnym zostawionym śladem;
Lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany;
Pije łzy cudze, tuczy się swym jadem.

W przeciwstawieniu do tego ponurego obrazu, wypowiada daléj, jaką jest prawdziwa wiara i czego wymaga:

Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię,
Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
Ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię,
Jako jednego ojca jedne dzieci.

Bogi narodów w stolicę sprow

W końcu zwraca się z apostrofą do
z tego względu, że nie wzniecała w swém
unikała fanatyzmu.

A jeśli jeszcze chcemy przykładu, jak
popatrzmy na ostatnie karty jego Pamiętni
szy ośmdziesiąt lat życia, kiedy każdéj ch
śmierci, czyni rodzaj powszechnéj spowiedzi
tam na jednèm miejscu—nieczęsto kwapiłem
mój, na słońcu wschodzącém siedzącego i og
czone." Jak to pięknie powiedziane, że w
z Psalmów, a przez podobieństwo wyrażenia
słowo Wiktora Hugo o tym księżycu, podno
jak hostya w ręku kapłana.

Religijność, któréj szukać należy niet
bożnych i Psalmach, ale w duchu wielu inny
nionych miłością Boga, cnoty i prawdy, t
chrześcijańską moralnością,—stanowi jednę z
jących Karpińskiego w rzędzie ówczesnych po
jeszcze tém charakterystyczném znamienic
szczególnie poznać i według którego jego po
sobie wyobrazić. Takiém indywidualném zn
dla czego wiek jego nazwał go poetą serca.

Jako poeta miłości, pomiędzy współcze
dynym, a poprzedników bardzo niewielu lic
i słabo uderzała w strunę miłosną, a dziś po
to nastąpiła zgoda, że się to działo z téj przyc
ścią nazywa, w dawniejszém życiu towarzys
Kochano się i żeniono u nas

Morsztyn wyższym od niego był w tym rodzaju; był téż w całéj naszéj dawniejszéj poezyi najpierwszym śpiewakiem miłości. Czuł głęboko i namiętnie, a uczucia swoje w malowniczych oddawał obrazach, ale ani na publiczność, ani na piśmiennictwo, żadnego temi miłosnemi pieśniami nie wywarł wpływu, bo je uwięził w manuskrypcie, z którego podobno nawet odpisów nie dałoby się wynaléźć.

Za czasów Karpińskiego świat już bardzo się był wypolerował: kobiety w życiu towarzyskiém, a nawet i politycznêm, doszły już do pewnego, a jak właśnie w epoce Stanisława Augusta, zbyt przeważnego nawet znaczenia. Kochano się wiele i na wszystkie strony, zawiązywano i równie łatwo zrywano niedozwolone stosunki; szukano rozkoszy i rozrywki w silniejszych uczuciach; dopuszczano się często rozpusty i przesadzano w galanteryi: ale prawdziwéj miłości w tém nie było, więc nie było i materyału dla poezyi, a natchnienia dla poety.

Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób kochał się Karpiński, jakiego rodzaju była jego miłość i jakie miała znaczenie w jego życiu.

Pod tym względem bardzo cennym komentarzem są jego Pamiętniki. Wspomnieniom swych kochanek nie poświęca on w nich zbyt wiele miejsca; ich wizerunki jednak, które kreśli, i to, co o własnych swoich uczuciach powiada, posiadają w sobie dotyla charakterystycznych rysów, że o naturze jego miłości możemy sobie dokładne utworzyć wyobrażenie.

Karpiński zaczął się kochać bardzo młodo, po raz pierwszy, kiedy jeszcze słuchał „głupiéj (jak się wyraża), perypatetycznéj" filozofii w Stanisławowie u jezuitów, nie mając więcéj jak lat dwadzieścia. Pierwszą jego kochanką, pierwszą Justyną, była Marya Bröselłówna, córka kapitana saskiego, z Turkułówny urodzona, a wtenczas już, co bezwątpienia dla młodych marzycieli ma pewien poetyczny urok, sierota bez ojca i matki. Na całém Pokuciu uchodziła za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę. Daléj pozwólmy mówić samemu poecie:

„Moja do niéj miłość była niewinna, jak ona; po całych prawie nocach ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz w piersi pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność, jeszcze mi od ojca mojego wpojone, jakże daleko mocniéj ta niewinna panna we mnie ugruntowała! Ona to jest moja Justyna, do któréj tę najpierwszą z moich sielanek: „Tęskność na wiosnę, do Justyny" napisałem i którą pod tém imieniem tyle razy potém wspominałem. (Na innêm miejscu powiada Karpiński, że tylko trzy sielanki do téj Justyny napisał). Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyceniem się; lat kilka (sądzimy, że dwa lub trzy) i ja w mojéj niewinnéj i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jéj zyskowne trafiło się zamęźcie,—bo prędzéj przybiega szczęście, kiedy go pięknéj a cnotliwéj kobiety oczy zawołały,—a ja ubogi, wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jéj, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potém rzecze: „ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędy kopać będę;" jużem się do niéj wracał i byłbym tego nie żałował, ale jéj i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśléć małżeństwo."

Rozstał się więc z Justyną i, by uśmierzyć żal po jéj stracie, postanowił z tych miejsc się oddalić: porzucił Pokucie i udał się do Lwowa, na słuchanie teologii.

Co każdego w téj historyi pierwszéj miłości uderzy, to najprzód te niezgodne z sobą, według dzisiejszych pojęć, dwie okoliczności, że Justyna była tak cnotliwą i cały ten stosunek był tak niewinny, a z drugiéj strony, że ta piękna i młodziutka panienka lubiła i mogła „po całych prawie nocach“ rozmawiać i bawić się z młodym mężczyzną; powtóre: ta zbyt po[illegible]cya, to dobrowolne zrzeczenie się ze strony kochanka i [illegible]cznych związków bez żadnego gwałtowniejszego wstr[illegible]iejszego nawet bólu, spełnione jedynie pod wpływem r[illegible]o przyszłość.

Po kilkoletnim po[illegible]ie (a jak nam się znów zdaje, najwięcéj w trzecim roku [illegible]ed r. 1763), przybył Karpiński na Pokucie dla odwiedz[illegible]kającéj przy jego bracie, wówczas proboszczu w Cho[illegible]a mil od tego miejsca mieszkali państwo Ponińscy, staro[illegible]. Karpiński poznał się z nimi, a że oboje byli ludźmi [illegible] zabrał ściślejszą z nimi znajomość i do ich domu się prz[illegible] niejakim czasie (pisze poeta) przyszło mi się rozkochać w jejmo[illegible] to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza, do wszystkiego, co dobrém jest, powodem była dla mnie.“ Z innych względów, pani Ponińska zupełnie różną była od Brösellówny. Nie była, zdaje się, tak piękną, bo, jak ją Karpiński opisuje, lubo miała wzrost hoży, ciało najbielsze, rękę najpiękniejszą, ale twarz niewiele przyjemną; przytém o lat czternaście była od niego starszą. Na młodego poetę wywarła zapewne wrażenie jéj wyższość umysłowa i wykształcenie. Druga Justyna lubiła czytać książki i dysputować; można się domyślać, że ze swoją wiedzą i nauką ostentacyjnie nawet występowała, że był to rodzaj, w owe czasy już dosyć modny, kobiety uczonéj, sawantki. Z tych powodów stosunek Karpińskiego do niéj przybrał właściwy sobie charakter. Pani Ponińska przyjęła na siebie rolę niejako Mentora, kierującego krokami niedoświadczonego Telemaka. Uczyła go początków języka francuzkiego, przestrzegała jeśli w towarzystwie nie znalazł się jak należy, i „sam-na-sam, jak prawdziwa przyjaciółka,“ różne nauki dawała. Pomiędzy nimi najważniejsze były zapewne te, które „młode zapędy“ poety utrzymywać miały na wodzy. Ponińska była „skromna, cnotliwa kobieta,“ była przykładem „nienaruszonej wiary małżeńskiej,“ nielada więc miała zadanie, ażeby pohamować zapały młodzieńca, o którym wiedziała, że ją kochał i którego sama lubiła. Małe koncesye, zdaje się, że Karpiński czasem otrzymywał: robiono je, wybierając z dwojga złego mniejsze, jako nagrodę i jako zachętę dla utrzymania go na dobréj drodze. Tak zręcznie i dyplomatycznie postępując, druga Justyna osiągnęła swój cel: „najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała“ i „więcéj lat dziesięć trzymała mię w szczęśliwych więzach.“ A były jednak czasami i chwile bardzo krytyczne. Tak naprzykład, kiedy mąż Ponińskiéj wyjechał w poselstwie za granicę z doniesieniem do dworów europejskich o zaszłéj śmierci Augusta III i żonę samę z Karpińskim w domu zostawił

Namiętność poety wzmogła się tém więcéj, ale tém więcéj także „cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała.“

Można sobie wyobrazić, ile przez dziesięć lat takich stosunków ciężkich westchnień wyszło z piersi poety i ile razy szukał dla siebie ochłody i ulgi w wylaniu na papier swoich tłumionych uczuć i niespełnionych pragnień.

Dość długa przerwa w tym stosunku nastąpiła, gdy Karpiński w początkach konfederacyi barskiéj wyjechał do Wiednia, dla uzupełnienia swojego wykształcenia. Wiedeń używał wtedy nienajlepszéj reputacyi pod względem moralności; Karpiński bał go się i, będąc w drodze, w Krakowie, poprzysiągł sobie w kościele żyć jaknajskromniéj w téj stolicy, uważanéj za „najrozpustniejszą...” Wspomnienie Justyny szło za nim...

Gdy w końcu 1770 r. powrócił w rodzinne strony, znalazł stan rzeczy zupełnie odmienny. Ponińska była już wdową i wolną. Karpiński też wistocie „więcéj już sobie obiecywał,“ ale znalazł Justynę jeszcze surowszą. Przyjęła go najgrzeczniéj, trzymała jednak jak przedtém zdaleka. Naturalném następstwem tak dawnego i serdecznego stosunku zdawało się małżeństwo. Zapewne sam Karpiński pierwszy o niém wspomniał, tak przynajmniéj z jego roli wypadało. Ponińska znowu się zawahała; bała się téj różnicy czternastu lat, jaka była między nimi. Sprawa małżeństwa poszła tedy w odwłokę. Poeta bawił tymczasem przy Justynie i nie mógł się na nic stanowczego zdecydować. Raz pragnął najgoręcéj połączyć się z nią ślubem małżeńskim, to znowu zaczynał zastanawiać się nad jéj usposobieniem i obawiać jéj humoru „ustawicznie prawie sprzecznego.“ Już wtedy, kiedy pierwszy raz ją poznał, spostrzegł w niej zamiłowanie do dysputowania; z wiekiem musiała ta chęć odznaczenia się rozumem coraz więcéj wzrastać, a w końcu stać się zbyt imponującą.

Łatwo zrozumiéć, że kobieta z takiém usposobieniem niebardzo się mężczyźnie podoba, że na ostatku taki profesor nie w todze, ale w spódnicy, staje się przykry i nudny. Stygnął więc pomału Karpiński w swoich żądaniach, a stygnął tak widocznie, że i Ponińska spostrzedz to musiała. Nie wzięła mu tego jednak za złe, może w głębi serca przyznała mu słuszność; rozstała się z nim jak dobra przyjaciółka, a na pożegnanie, w dzień jego imienin (a że taki czas wybrała, dowód to także jéj delikatności) darowała mu pięć tysięcy złotych, jako pomoc dla zabezpieczenia sobie przyszłości.

Tak w sposób nieco prozaiczny, malujący wcale niekorzystnie naszego kochliwego bohatera, zakończył się ten dziesięcioletni romans, w którym zaledwo słaby brzask cechy poetycznéj dopatrzéć można. Z pewnemi odmianami przypomina on stosunek między panią Stein a młodym Goethem, a to nie ulega wątpliwości, że żadna kobieta, nawet i pierwsza Justyna, nie wywarła tak stanowczego wpływu na naszego poetę jak pani Ponińska.

Dla Karpińskiego jednak czas miłości jeszcze nie przeszedł. W kilka lat póżniéj pokochał się w Franciszce Koziebrodzkiéj, córce

starosty olchowieckiego, od którego trzymał wieś w dzierżawie i który był dla niego najszczerszym przyjacielem. I tu znów bożek miłości dziwnie się dla niego przyjaznym i wrogim pokazał. Panna była ładna, posażna, kochała go wzajem,—i znów się z nią bawił, lecz na nieszczęście była już komu innemu zaręczoną. Tego swojego narzeczonego ona nie lubiła i, jak Karpiński pisze (mamy nadzieję, że nie są to próżne przechwałki, bo inaczéj bardzoby to źle o nim świadczyło), zapomniała się tak daleko, że dała mu poznać, ażeby ją wykradł. Ale wzgląd na przyjaźń ojca wstrzymał naszego poetę od tak grzesznego kroku; nastąpiła w jego sercu walka między uczuciem kochanka a honorem. Jakże on miałby zdradzić zaufanie tego człowieka, który kochał go jak syna, który dobrze mu czynił, który pozwalał mu być ze swą córką na stopniu poufałości, wierząc w jego uczciwość i honor i nie przypuszczając zapewne, żeby mógł mieć względem niéj jakieś myśli?... Honor zwyciężył. Panna poszła za swego narzeczonego „i była nieszczęśliwą,“ dodaje z pewném współczuciem Karpiński.

O dalszych dziejach jego serca niewiele już mamy do powiedzenia. Mimo posuwającego się naprzód wieku, piękność kobieca robiła na nim zawsze wrażenie, i to tak silne, że niezawsze mógł być jego panem, że pod jego wpływem tracił równowagę moralną i robił krok niezręczny lub rażący. Kto czyta jego Pamiętniki, tego zastanowić musi scena, jaką miał w Wilnie w domu pewnéj pięknéj i młodéj pani, z domu Radziwiłłówny. Przybył do niéj, mając sobie polecone doniesienie smutnéj nowiny o śmierci blizkiego jéj krewnego. Przypadkiem w owéj chwili ta pani nie dokończyła była jeszcze swéj toalety... wyszła do niego pośpiesznie, usłyszawszy, że przyszedł z ważną wiadomością. Widok, jaki miał przed sobą, tak rozstroił Karpińskiego, że język wypowiedział mu posłuszeństwo; zaczął smutny komplement i, olśniony pięknym widokiem, skończyć go nie umiał. „Tak znowu—dodaje na swe pocieszenie—żal cudzy nie miał tyle siły, ażeby się oparł wzruszeniom piękności obaczonéj.“

Ostatnią wreszcie wiadomością, jaką mamy o stanie jego serca, jest ta, że mając już cóś około lat pięćdziesięciu, zamierzał się ożenić. Nie mogąc spełnić z rozmaitych przyczyn za młodu co było najgorętszém jego pragnieniem, jeszcze na schyłku lat męzkich chciał sobie tę stratę powetować. Tym razem bohdanką jego była jakaś wdowa. Rzeczy zaszły już tak daleko, że Karpiński „dla dokończenia“ tylko potrzebował wyjechać do swojéj przyszłéj. Ale wtém pani Branicka, siostra królewska, u któréj wówczas przebywał, wystąpiła ze stanowczą opozycyą. Zapewne patrzyła na tę sprawę jaśniéj niż nasz zacietrzewiony poeta; pewnie nieraz robiła mu uwagi i perswazye, ale to wszystko nic nie pomagało. Karpiński taką miał niepowstrzymaną chęć do tego hymenu, że trzeba było użyć na niego przymusu i niemal gwałtu. Pani Branicka kazała mu też poprostu zamknąć konie i pojazd. Przyszły nowożeniec musiał zostać na miejscu; potém, chłodniéj się nad tém zastanowiwszy, nie wybrał się już drugi raz w drogę do ulubionéj i pani Branickiéj przyznał późniéj słuszność, pisząc w swoich Pamiętnikach, że z ową wdową „zapewne byłby najnieszczęśliwszym.“

Oprócz tych uczuć i kochanek, których pamięć sam poeta w swoich wspomnieniach zapisał, wiele jeszcze innych wzruszeń i wrażeń, mniéj albo więcéj silnych i trwałych, czasem może z jednym dniem przemijających, przeszło przez jego wrażliwe i kochliwe serce. Oprócz jednéj i drugiéj Justyny, pieśni jego opiewają wiele innych postaci kobiecych: Temirę, Rozynę, Palmirę, Faustynę, Zosię i t. d. Może być, że czasem pod różnemi imionami, dla zatarcia śladu, dla zachowania tajemnicy, ukrywa się jedna i taż sama osoba; ale może być także, że to są nowe przedmioty natchnień poety, o których żadnéj wiadomości historycznéj nie mamy.

Tak więc Karpiński kochał się z małemi przerwami prawie ciągle. Miłość była potrzebą jego duszy i najsilniejszą w niéj namiętnością. Cała młodość, od lat bardzo wczesnych, przeszła mu na wzruszeniach serca; wiek męzki nie był także bynajmniéj od nich wolny, i kiedy już pochylał się ku starości, kiedy może nie jeden siwy włos się pokazał, a dawny zapał młodzieńczym już nie gorzał płomieniem: wtedy jeszcze z żalem i smutkiem żegnał się poeta z temi uczuciami, które były największą rozkoszą jego życia. Mimo wszelkich zawodów i przeciwności, wspominał sobie z tęsknotą chwile spędzone niegdyś „pod umówionym jaworem“ z lubą Justyną, i melancholijne wydobywając tony z gitary, z niechętną rezygnacyą przyśpiewywał sobie:

„Już ja nie ten, com był wczora!“

Czas róż przeminął, a poeta, upajając się tak długo ich wonią, gdy się już tego wyrzec było potrzeba, żałował młodzieńczéj pory swojego wieku.

Lata moje ustąpiły!
Nie wiodą tak o mnie spory,
Jak się dziewczęta kłóciły
Za czasów pięknéj Lindory.

Dzisiaj podstarzały
Próżno dla kochanki
I śpiewam dzień cały
I przynoszę wianki.

Schylam się już do wieczora:
Już ja nie ten, com był wczora!

I taką piosenkę powtarzał sobie z westchnieniem jeszcze... czy wiecie kiedy?... Jeszcze wtedy, gdy lat ośmdziesiąt nachyliło jego głowę ku mogile. Jakże poznać po tém „poetę serca,“ jak znać pieśniarza, ktory przedewszystkiém był śpiewakiem miłości; jak charakterystyczne to dla człowieka, którego dusza była tak zapalną i tak całą siłą oddana temu uczuciu! U innych poetów zwykle ta pora miłości przechodzi z czasem nieznacznie i bez obudzenia podobnéj za sobą tęsknoty; inne uczucia zajmują u nich z kolei miejsce uczuć młodości, a oni nie czują w sobie próżni po nich i nie zwracają ze smutkiem oczu na niepowrotną przeszłość, która najsłodsze radości życia ze sobą zabrała. Karpiński bolał nad tém, że tak było, że tak być musiało, bo byłby pragnął, żeby było inaczéj; bo ten ubytek w sercu przykro mu się czuć dawał, i nie widział nic innego, coby go zastąpić mogło.

Może być, że ta jego bezustanna tęsknota, to echo młodości, tak późno w życiu jeszcze się odbijające, miały swoję przyczynę w téj okoliczności, że pragnienia jego nigdy całkowicie zaspokojone nie zostały.

Żadna z jego kochanek nie została jego żoną, żadna nie należała do niego całkowicie. Miłość drażniła go i nęciła ku sobie, jak Tantala, i zawsze usuwała od niego zupełne szczęście, a wątpliwości nie ulega, że nasz poeta niczego właśnie tak gorąco sobie nie życzył, jak zaspokojenia swoich uczuciowych pragnień. W jednéj swojéj filozoficzno-poetycznéj rozprawie, w liście, jakie w owe czasy były bardzo częstą formą literacką: „O szczęściu człowieka,“ wystosowanym wprawdzie do kobiety, najwyższą szczęśliwością, jakiéj człowiek może doznać na ziemi, mieni on przecież miłość, i to taką, która istotném dobra ulubionego bez przeszkody będzie posiad[illegible] inaczéj, jak wbrew jego wyobrażeniom i najgorętszym [illegible] powały sobie z nim zawsze losy! Do posiadania dobr[illegible] nigdy dojść nie mógł. Pokochał pierwszą młodzieńcz[illegible] pierwszą Justynę. Miłość ta, odwzajemniana z jéj strony, [illegible]ka i musiał się z nią rozłączyć, bo oboje byli ubodzy i lo[illegible]ionéj nie chciał zawiązywać. Pokochał się w drugiéj [illegible] znowu była mężatką. I znowu dziesięć lat przeszło na [illegible]eaniu i tłumieniu ognia palącego się w jego piersi, a m[illegible]lla niego niby bezowocną i męczącą pracą Syzyfa. Znalazł [illegible] i trzecią kochankę, ale i tutaj musiała stanąć na zawadzie nowa prz[illegible]eszkoda: stanął pomiędzy nimi obowiązek przyjaźni i honoru,—a tak szczęście, które mógł był posiąść, którego znowu był blizko, przemieniło się dla niego w wewnętrzną walkę z uczuciami i w nowy żal z rozłączenia. Gdyby te kochanki nie były przynajmniéj dla niego wzajemne; gdyby wzdychał był naprożno, nie odbierając od nich oznak przychylności uczucia; gdyby te słodkie dnie były mu przechodziły na samotném i rozpaczliwém dumaniu nad ich obojętnością i zimném sercem,—może jeszcze wtedy los poety byłby znośniejszy, bo wtedy nie doznawałby tych ciągłych pokus, nie widziałby tych zwodniczych majaków szczęścia, które w powietrzu rozpłynąć się miały, gdy ku nim ręką sięgnął.

Chociaż zapewne nie brakło mu i na przeciwnościach tego rodzaju. W autobiografii swojéj nie wspomina o takich wypadkach, ale w wierszach żali się i skarży często na obojętność, na zmienność i niestateczność. Musiał więc i tego doznać nieraz w swém życiu: chwilowo od kochanek, ktore podzielały jego uczucia, a stale od takich, które zimno przyjmowały jego westchnienia, albo też łudziły go tylko.

Ciągle więc i zawsze kochanie się było u niego gonieniem za czémś niepochwyconém, dążeniem do celu, którego nigdy nie miał osiągnąć, było ustawicznem dręczeniem się i umartwieniem rozkoszném. Bo w takim stanie, w takich okolicznościach, bywa także dużo powabu i ponęty, dużo tego, co naszemu sercu smakuje. Wszakże według jednozgodnego zdania wszystkich poetów, a zapewne i wszystkich ludzi, gdybyśmy ich opinię o tém znać i słyszeć mogli, nawet bóle miłości są dla kochającego serca rozkoszą! I ta właśnie okoliczność, że miłość jego była tego rodzaju, że jéj na drodze stawały ciągłe przeszkody, że nie miała możności (bo mówiąc szczerze tak jak było, na chęciach do tego jéj nie brakowało) zejść w dziedzinę rzeczywistości,—to nadaje jéj pewien charakter idealny, to ją przybliża do pewnego stopnia do

abstrakcyjno-platonicznego jéj ideału. Szczególnie stosunek poety do drugiéj Justyny, do pani Ponińskiéj, rozumie się w pierwszych latach swego rozkwitu, ma w sobie cóś Petrarkowego. Jak Laura, tak i druga Justyna jest kobietą zamężną, a zatém z góry zapowiedziane ma już jéj wielbiciel, że zwyczajnemi związkami ślubu połączyć się z nią nie może. Ponieważ miłość w tych warunkach byłaby występną, więc jak Petrarka, tak Karpiński otacza ją tajemnicą. Może być, że ta tajemnica była aż nadto przezroczystą, ale to zdaje się być pewném, że poeta wierzył w jéj utrzymanie. Jeżeli mu potrzeba było napisać dla niéj wiersz, o którym wszyscy mieli i mogli wiedziéć, że się do niéj odnosi (a jest trzy takich wierszy na jéj imieniny), to pisał stylem prawie urzędowym, chłodnym i poważnym; rozwodził się nad jéj cnotami i mówił szeroko o swym szacunku i poważaniu, ale więcéj nic nad to nie powiedział. Prawdziwe swoje uczucia, to wszystko, co mu na sercu leżało, wypowiadał dopiero wtedy, gdy pisał do Justyny, do osobistości niby zmyślonéj, albo którą mogła być ta lub owa inna kobieta. Cnota, wiara małżeńska i oddalenie nakazywały Petrarce wyrzec się wszelkich dalszych nadziei, wszelkich względów ze strony kochanki, a podobnież surowość drugiéj Justyny trzymała Karpińskiego w przyzwoitém od niéj oddaleniu. Pomimo to trzymała go także długo „w szczęśliwych więzach;“ nasz poeta, wstrzymywany co chwila w swych erotycznych zapędach, wytrwał jednak lat dziesięć przy jéj boku, gorzał przy niéj z miłości, a choć wiedział, że napróżno, nie odstępował jéj, poświęcał jéj chwile swoich marzeń, uwielbiał ją w swoich pieśniach, nie spodziewając się może za to innéj nagrody oprócz przyjaźni i braterskiéj przychylności. Bądźcobądź zatém, obok młodzieńczéj namiętności musiał być w tym jego stosunku pewien wyższy duchowy pierwiastek, a w drugiéj swojéj Justynie uwielbiał on nietylko to, co w jéj postaci jemu się podobało i na jego zmysły wrażenie robiło, lecz także pewne przymioty jéj serca i charakteru. Ze wszystkiego widać, że pani Ponińska, do pewnego czasu przynajmniéj, imponowała mu wyższością umysłową, że uważał ją pewnie za kobietę, tak przez przymioty towarzyskie jak i wykształcenie, niezwykłą. Bardzo więc łatwo mógł także widziéć w niéj ideał, który warto było wielbić i opiewać dla niego samego. Dodajmy jeszcze, że ten ideał w téj właśnie roli i z téj duchowéj strony najchętniéj mu się przedstawiać lubił, że druga Justyna brała na siebie obowiązek być jego przewodniczką i nauczycielką moralności, że wygłaszała przed nim i wpajać w niego się starała zasady cnoty, przyzwoitości i surowych obowiązków życia.

Zrobiwszy powyżéj częściowe porównanie z Petrarką, bynajmniéj nie mieliśmy na myśli, żeby co do nastroju poetycznego stawiać z nim narówni Karpińskiego i widziéć w téj mierze między obydwoma podobieństwo. Byłoby to rzeczą fałszywą i wręcz sprzeciwiającą się prawdzie. Kochanek Justyny uderza w ton daleko niższy i nie byłby zdolny za kochankiem Laury wznieść się w wysokie, abstrakcyjne sfery, w których przedmiot jego miłości przestaje być prawie istotą ludzką i kobietą, a staje się wymarzoną ideą i bezcielesnym przedmiotem natchnienia, tak jak np. miłość ojczyzny, uczucie honoru lub sławy. Po-

dobniez dalekim jest także Karpiński od téj tragiczności uczuc, którą, jak niedawno jeden znakomity pisarz zauważył, w świat poetyczny po raz pierwszy Szekspir w „Romeu i Julii" wprowadził, a która w poezyi naszego wieku, w takim Byronie, Mickiewiczu, poczęsci w Mussecie, tak wymownych znalazła przedstawicieli. Miłosc Karpinskiego była wogóle dramatyczna, ale zatrzymywała się zawsze na czas na tym punkcie, od którego miałaby się zacząc tragiczna katastrofa. Z pierwszą Justyną rozstał się z żalem i smutkiem, ale dobrowolnie i bynajmniéj serce mu nie pękało z rozpaczy, jak Gustawowi; bynajmniéj nie przeklinał jéj za to, że rękę swą [illegible] lała. W romansie z Franciszką Koziebrodzką podobnież w [illegible] hwili miał siłę z placu ustąpić i nie dopuscic do rozwoju [illegible] zyi w swojéj duszy; a wreszcie i w stosunku z drugą Justyną m [illegible] ny także ani szarpiących serce uczuć, ani gwałtownych jakichś [illegible] na zewnątrz. Z położeniem swojém niepewném i nie [illegible] m [illegible] szłości Karpinski wcale rozsądnie się zgadzał, choć pra [illegible] a wypadku wielką pomocą była mu także kochanka, powa [illegible] mająca nad nim władzę i przewagę.

Uczucie Karpinskiego trzyn [illegible] ię stale umiarkowanéj strefy; w chwilach szczęsliwych nie podn [illegible] ię do ekstazy, ale poprzestawało na słodkiem zadowoleniu, tak jak w chwilach przeciwności nie dochodziło do zwątpienia i rozpaczy, lecz rozpływało się w teskny żal i smutek. Podobniez i pod innym względem nie dosięgało wysokosci ideału, jak również nie staczało się w te poziomy, gdzie pospolita, nieraz szpetna panuje zmysłowosc. Było to uczucie dosyc powszedniéj miary, takie, do jakiego mniej więcej zdolny jest kazdy człowiek z tkliwém sercem i uszlachetnionym od natury albo przez wykształcenie umysłem. Przeważa w nim tęsknosc i idyliczny smutek, jako następstwa przezytych doswiadczen i okolicznosci, towarzyszących prawie każdéj jego miłosci; rozwesela je i oblewa jakby różaném swiatlem jutrzenki swoboda serca, pewnego rodzaju płochosc, kosztująca słodyczy żywota z bezmyslnoscią motyla przebiegającego po kwiatach, umiejąca w najdrobniejszej rzeczy znaléźc dla siebie przyjemnosc i uciechę. Nie można wreszcie i tego zaprzeczyć, że w sposobie jego kochania się, w jego temperamencie, była także pewna doza zmysłowosci właściwéj jego wiekowi; że miłosc jego nie była ani tak podniosle idealną jak u dawnych włoskich poetów, ani tak głęboko duchową jak zwykle u romantyków, lecz, że przymieszywało się do niej niemało czysto ziemskiej pożądliwosci. Duch czasu nie pominął także i serca Karpińskiego, a choć niém nie owładnął całkowicie, choc go ówczesne zepsucie i zmysłowosc nie zaraziły sobą, zostawiły przecież na niém lekki slad swojego wpływu.

Z tego, cosmy dopiero powiedzieli, wytłumaczyć sobie można łatwo, dlaczego piesni miłosne Karpińskiego stały się tak popularne. Trafiały one do tego przeciętnego usposobienia, w ten ton pośredni uczucia, jaki na świecie jest najpowszechniejszy. Ówcześni kawalerowie i kochankowie, ówczesne panny po szlacheckich wiejskich dworach, umieli na pamięć i odspiewywali przy dzwiękach modnéj także wów-

czas gitary te pieśni, bo one zgadzały się z ich własnemi uczuciami, wyrażały je w ten sam sposób i tak samo, jak oni czuli i myśleli. Tak się kochać, jak się kochał Karpiński, ci ludzie mniéj więcéj wszyscy mogli i potrafili; naturalnie więc język jego był dla nich zrozumiały, a w jego uczuciach łatwo swoje własne odnajdywali. Przez pół wieku, można śmiało liczyć, po dworach szlacheckich, po ogrodach i gaikach wiejskich, gdzie świergotały w powietrzu ptaki, gdzie szemrał strumyk chłodny, gdzie były młode serca, w których miłość się wykluwała, rozlegały się czułym głosem nucone słowa poety:

Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły
I cóś tam klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem—

bo owoczesne Laury z podobném uczuciem oczekiwały swych kochanków, bo w chwilach urojonéj nieraz zazdrości i słodkich wyrzutów z gorącém sercem odpowiadały, tak jak w sielance naszego poety, na uściśnienia lubych dłoni, pocałunkiem nagradzały ich stałość i doznaną niesprawiedliwie przykrość, a potém, gdy śmiałość kochanków daléj się posuwać pragnęła, wskazywały im na bielejące na wschodzie zorze i uciekały coprędzéj do domu nawpół w trwodze, czy matka jeszcze nie wstała, a nawpół uszczęśliwione, że słońce przyszło tak w sam czas na pomoc ich skromności.

Tego rodzaju naiwno-sielankowa miłość, jaką czuł i opiewał Karpiński, w któréj łączyły się gorącość uczucia z prostotą i czystością obyczajów, jakże była różną i daleką od miłosnych stosunków wielkiego świata owéj epoki, tego wielkiego świata, w którym obracali się prawie wszyscy inni poeci w końcu przeszłego wieku. To też oni wszyscy, jak w wielu innych względach, byli sceptykami i w miłości; znaczną część życia przepędzali na intrygach i komerażach romansowych, jak Trembecki, odbywali po kilkadziesiąt pojedynków za kobiety, a żaden z nich nie napisał ani jednego wiersza, w którymby znać było prawdziwe uczucie miłości. Poznawszy wszystkie słabe ich strony w buduarowych przygodach, Węgierski szydził potém i natrząsał się z kobiet niemiłosiernie; wspomniany wyżéj szambelan królewski i poeta umiał co najwięcéj być wobec nich galantem, a tacy biskupi-poeci, o których tajemnych stosunkach powszechnie było wiadomo, choć się do nich przed światem przyznać nie mogli, musieli za kulisami zostawiać swoje uczucia, i rzeczą jest zaiste zadziwiającą, jeżeli któremu, jak Naruszewiczowi, wyrwał się tak rażący w ustach kościelnego dygnitarza wykrzyk, widocznie w chwili zapomnienia wydany:

„Moja śliczna brunetko, mój ty ogniu żywy!“

Inaczéj było u Karpińskiego i dlatego mógł on zostać „poetą serca.“ On czuł prawdziwie, miłość nie była dla niego igraszką i rozrywką, ale uczuciem, choć słodkiém i życie ubarwiającém, jednak głębszém i szlachetniejszém. Kochał się nieraz, a jednak zawsze jakby po raz pierwszy; serce jego nie stępiało w zmysłowości i rozkoszach, a przez rozliczne i różnego rodzaju wzruszenia w ciągu długich lat, przez tęsknoty i zadowolenie, przez radości i smutki, przez wewnętrzny niepo-

kój i chwilowe uspokojenia, co wszystko u niego ciągle naprzemiany po sobie następowało, nazbierało się w jego piersi dużo treści, dużo uczuciowego materyału, który następnie na przedmioty poetyczne mógł być zużytkowany. Kielicha rozkoszy nigdy nasz poeta nie dopił do dna, więc pić go mógł długo i zawsze ze smakiem; kiedy inni byli już dawno przesyceni, on uczuwał jeszcze niezaspokojone pragnienie. „Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyceniem się," powtarzamy znowu jego własne wyrazy, które tak dobrze jego dzieje uczuciowe malują, a zarazem i naturę jego poetycznéj twórczości tłumaczą. Jego struna miłosna dźwięczała zawsze świeżo i czystym głosem, bo fibry jego duszy w ciągłém były naprężeniu, w ciągłéj gorączce, a siły ich natężenia nie zwalniały ani nuda, ani przesyt.

Ażeby tworzyć, Karpiński nie potrzebował nic więcéj, tylko wylać z siebie to, czego jego serce było pełne. I tak téż robił, szczęśliwszy w tém od wielu innych poetów, którzy nie posiadając podobnego w swém wnętrzu zapasu, wysilają mózgi i imaginacyę na stworzenie sobie idealnego świata takiego, jakiego nigdy w rzeczywistości nie zaznali. U naszego poety dwie te rzeczy są w zupełnéj ze sobą harmonii, w najściślejszéj zgodzie. Zmyślenie i prawda przystają u niego do siebie, jak dwie jednakowe figury geometryczne. „Śpiewa, jak ptaszek," powiedział o nim Mickiewicz, a gdy to mówił, czuł zapewne całą wagę tych wyrazów, że oddaje w nich największą, jaka może być, pochwałę poecie lirycznemu, może nawet miał na myśli owego śpiewaka w znanéj balladzie Goethego, w którym ten poeta ideał takiego pierworodnego natchnienia przedstawił i też same słowa w usta swemu bohaterowi włożył: „Śpiewam, jako ptak śpiewa" (Ich singe, wie der Vogel singt).

Ta prawda uczucia stanowi téż największą siłę Karpińskiego i jego poetycką wartość. Ten przymiot posiadając, mógł on się uchronić od wielu wad i słabych stron swojego wieku. Jemu to zapewne zawdzięcza najwięcéj, że nie popadł w „przesadę szkolną," w nienaturalność i górnolotność, jakiemi mogły go napoić ćwiczenia i wzory szkolne, i jakie widać tak często jeszcze u Naruszewicza, ilekroć do wyższego natchnienia podnieść się usiłuje. Karpiński był nieprzyjacielem wszelakiéj pedanteryi i scholastycyzmu tak w naukowości (przypominamy jego wyrażenie się o owoczesnéj filozofii), jak szczególnie w poezyi. W Kniaźninie nie podobała mu się właśnie ta jego „przesada," czyniąca utwory tego poety nieco chłodnemi i sztywnemi, i radził mu, „ażeby więcéj prostéj a tkliwéj natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą." Wzorami jego byli prawdziwi klasycy, poeci greccy: „tkliwy Wirgili" i Horacyusz, ale pojmował także bardzo dobrze, w czém i o ile od nich należy być odmiennym, aby nie stać się niewolniczym naśladowcą i duchowi czasów swoich odpowiedzieć. Nawet wszechwładna w owéj epoce mitologia poetyczna nie znajdowała w jego oczach łaski. Rozumiał to, że starożytny Olimp ze wszystkimi swoimi mieszkańcami stał się już oddawna czczą nazwą, odartą ze znaczenia. „Za co miasto Apollina (powiada w rozprawie „O wymowie") niema być słońce? miasto Dyany księżyc?

gwiazda miasto Cynozury? piękność miasto Wenery? sprawiedliwość miasto Temidy?“ a wyżéj nieco z wyraźném lekceważeniem szydzi sobie z nierozsądnego zwyczaju poetów, na jakich patrzał w młodości swojéj, a którzy i późniéj niezupełnie jeszcze ze świata zniknęli: „Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz wszystkich bogów i boginie poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił; już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozerpiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Bellony synem.“ Jak w wyobrażeniach religijnych uwolnił się od zabobonów swego wieku, tak wcześnie także umiał się otrząść z niedorzecznych praktyk i przesądów literackich.

Dzięki téj naturalności i prawdzie, uchylił on się więcéj, niż jego spółcześni, także od wpływu panującéj wtedy francuzkiéj literatury. Znakomitych poetów Stanisława Augusta nie można nazwać naśladowcami; zadużo mają oni na to w sobie przyrodzonego talentu, zadużo swobody w myśli i słowie. Jednakże widać po nich, że jednemu, wprawdzie zdaleka ale w imponującéj postawie, stoi przed oczami Boileau, drugiemu Wolter, innemu znowu Molier. U Karpińskiego nie znać podobnego zapatrzenia się, i, mówiąc otwarcie, nie wiemy na kogo w ówczesnéj poezyi francuzkiéj, chorującéj na brak uczuciowości, mógłby się zapatrzyć on, poeta serca. Daleko prędzéj możnaby go przybliżyć w piesniach do Goethego, a w filozoficznych lirykach, bo i takie są między jego płodami, do Schillera. Ale tych obu, przy małéj znajomości języka niemieckiego, pewnie nawet nie czytał, i sława téż o nich dopiero przy schyłku jego długiego życia do nas przyszła, t. j. w czasie, kiedy on już dawno z poezyą wziął rozbrat.

Karpiński śpiewał zatém jak „ptaszek“ ze siebie, bo to, co przeszedł, co przemyślał i przeczuł, dawało mu podostatkiem na to treści, i śpiewał w sposób swój własny, nie obniżając, ani podwyższając tonów swojego uczucia, bo tak nakazywało mu jego pojęcie o prawdzie i naturalności w poezyi. Natchnienie brał z tego, co go samego bezpośrednio dotknęło; treść i przedmiot z tego, co sam widział i doznał. Transcendentalnéj poezyi nie znał i nie uznawał, bo się urodził na śpiewaka i poetę, i pozostał nim, ponieważ jéj uznawać nie chciał. Życie i świat, tak zewnętrzny jak i jego duchowy, dostarczyły mu dosyć materyału; potrzeba go tylko było umiéć użyć, a on posiadał (jako poeta posiadać musiał) tę sztukę. „Mnie los dał serce tkliwe, poznanie ludzi i pióro w rękę, ażebym to pisał, co mi serce powiedziało,“ odzywa się o sobie do swego przyjaciela Prozora, w tych już dalszych latach, w których człowiek może znać siebie samego i być swym własnym krytykiem.

Wiele moglibyśmy przytoczyć przykładów téj prawdy, tego powtórzenia rzeczywistości w jego poezyi,—poprzestaniemy na jednym tylko. Poeta pogrążony w smutku, po rozstaniu się z Rozyną, przeprasza przyjaciół przybyłych do niego w gościnę, że z téj przyczyny nie może ich przyjąć jak należy; przeprasza ich głosem, w którym czuć mocno znękanie przykrém wydarzeniem dotkniętego serca:

Goście wy moi, moi przyjaciele,
Jakże was smutno przyjmuję!
Rozyna moja zabrała wesele,
Samego siebie nie czuję.

Umysł jego nie ma potrzebnéj jeszcze swobody; zajęty wspomnieniem rozstania, o niém tylko myśléć i mówić zdolny: więc wobec przyjaciół przypomina sobie znowu tę chwilę:

Przyszedł nieszczęsny moment pożegnania:
Żegnam słodkiemi wyrazy...
Mnie się Rozyna po dwa razy kłania,
S[illegible] dwa razy.
Kiedy [illegible] raz przestąpiła,
D[illegible] szygnięcie;
Ona co[illegible] emówiła:—
Ja[illegible] świecie.
Gdy się [illegible] z miłością swarzy,
Na[illegible] stąpiłem;
Jeszczem [illegible] chwycić jéj twarzy,
K[illegible] m.
Wresz[illegible] ość przybiegła
I [illegible] e czuła;
Jedna z [illegible] i zaległa,
A [illegible]

Jak w całym tym opisie poeta nic nie uronił z rzeczywistości! Widzimy tę scenę, jakbyśmy byli jéj naocznymi świadkami, nie braknie w niéj najmniejszego rysu, a każdy jest charakterystyczny i malowniczy. Jest-to wierne powtórzenie tego, co się działo i jak się działo, dokonane z prostotą właściwą poezyi wtenczas, jeżeli się opiera na prawdzie. Cały przebieg pożegnania, ze wszystkiemi jego epizodami, jak i doznawane przy tem uczucia kochanków, występują z plastyczną siłą, przypominającą żywo sposób kreślenia podobnych sytuacyj przez Mickiewicza.

Tym też sposobem stało się rzeczą możliwą, że Karpiński doszedł w swych utworach do wysokiego artyzmu. Jak każdemu prawdziwemu poecie, który pisze z natchnienia, który czerpie pomysły z własnego wnętrza, i jemu było łatwo znaleźć odpowiednią formę, która niby sama i od niechcenia znajduje się zawsze w podobnym wypadku. Taki znawca jak Mickiewicz powiada o jego pieśniach, że są między niemi takie, które dałyby się położyć obok najpiękniejszych Goethego. A nie jest to mała pochwała, zważywszy, że z dzieł Goethego, z wyjątkiem naturalnie nieporównanego Fausta, zwyczajnie pieśni na pierwszem kładą się miejscu. W tym rodzaju w poezyi polskiéj Karpiński nie ma też rywala. Morsztyn czuł od niego silniéj i namiętniéj, Mickiewicz nauczył późniejsze pokolenia głębszéj, duchowéj miłości; Słowacki opromienił ją opalowemi tęczami marzeń; ale jako pieśniarz miłości, jako ten, co utrafił najlepiéj w ton ogólnéj uczuciowości, który wyśpiewał te rozmaite drobne uciechy i tęskne a rozliczne smutki kochania, nie przekraczając poza granicę i ponad skalę pieśni, jest Karpiński bez wątpienia u nas jedyny. Podziwiać w nim potrzeba tę lekkość i prostotę wysłowienia obok słodyczy i śpiewności; podziwiać tę rozmaitość form, w jakich swoje zwrotki układa, nie oglądając się na wzory klasyków, ale idąc za popędem własnego poczucia. Jest-to pieśniarz w ca

lém tego słowa znaczeniu. Jego poezya nie rozgoryczy, nie rozstroi człowieka, nie zentuzyazmuje go tak, żeby rzeczywistość straciła wartość w jego oczach, ale sprowadzi harmonię w jego sercu i da mu to uspokojenie i pogodę wewnętrzną, jakie zwykle sprawia w nas muzyka.

Wreszcie, czyż nie należy wspomnieć i o tém, że już wówczas, w wieku XVIII, w epoce nawskróś klasycznéj, kiedy się jeszcze nikomu o tém nie śniło, on w oryginalności swojéj dochodził tak daleko, że jakby przeczuwał znaczenie poezyi gminnéj i między swemi pieśniami zostawił także i taką „Pieśń dziada sokalskiego," i „Pieśń mazurską," i „Mazurka" z zacięciem tak czysto narodowém i ludowém, że, zdaje się, pod tym względem nic nie pozostawiają do życzenia:

Dobra noc Jacenta,
I wam, usta czyste,
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste! (Mazurek).

Pieśń, i to pieśń miłosna, była i jest największą chwałą naszego poety. Do opiewania tego uczucia wiodła go wrodzona skłonność, szukał go najchętniéj wszędzie, nawet w odległéj przeszłości historycznéj, kiedy wychwalał romantyczną wierność i stałość w miłości młodego Tęczyńskiego, kiedy w dumie o Ludgardzie, którą poezya polska może słusznie do klasycznych swoich wierszy policzyć, kreślił z przejmującą dramatycznością i z całą prawdą psychologiczną stan duszy zawiedzionéj w swoich czuciach i zrozpaczonéj kochanki i żony. Mimo to jego „tkliwe serce" zdolne było znać i objąć w sobie inne także uczucia. Jak wiele miejsca zajmowała w niém wiara i religijność, to widzieliśmy już przedtém. Filozoficznym rozmyślaniom i poglądom poświęcał on również czasami swoje poetyczne pióro. Między wierszami téj kategoryi niektóre, jak „Czas," „Smutek," są, dla dzisiejszych czasów przynajmniéj, niebardzo smacznemi allegoryami. Najwyżéj zapewne wzniósł się w wierszu „Do mądrości," o któréj wysokie swoje pojęcie, jako o mistrzyni życia i cnoty, a nie zbiorze bezcelowych nieraz wiadomości, z prawdziwym polotem pięknemi skreślił słowami. W innych nakoniec, jak w wierszu: „Na posągi rolnictwa i poezyi," „Do wolności," zwyczajem wielu dawniejszych poetów wzdycha do minionego wieku złotego, do stanu pierwotnéj prostoty, jako do ideału szczęścia na ziemi. Ale wogóle dla jego uczuciowego usposobienia filozofia nie miała wiele powabu; lekceważył sobie dawniejszą scholastyczną dla jéj niedorzeczności, a nowsza encyklopedystów i Woltera (którego zresztą jako zdolnego pisarza cenił) odstręczała go od siebie bezreligijnością i materyalizmem. Co najwięcéj był Karpiński zwolennikiem téj praktycznéj moralnéj filozofii, która zasadza się na pełnieniu cnoty i czynieniu dobrze, a w rezultacie przynosi nie metafizyczną wiadomość wszechrzeczy, ale zadowolenie wewnętrzne i pogodę umysłu nawet w przeciwnościach i niedolach tego świata. Jest-to taż sama filozofia, którą wyznawał np. także i Jan Kochanowski.

My bardzo krótko żyjemy
I nic o jutrze nie wiemy, —
Za cóż ten kwasić czas mały!
Nieba nie na to go dały;
Niech niewolników złota strach obleci,
Czego się trwożyć mają boskie dzieci?

Po drodze tkanéj cierniami,
Kwiaty rzucając przed nami,
Idźmy, nie dbając na bole,
Choć nas co czasem ukole;
Tam, powiadają, gdzie bez kolców róże,
Każda się rana prędko zgoić może.—

śpiewa w wierszu „O uspokojeniu z cnoty," podobnym z treści i nastroju, lubo nie tak wzniosłym, do pięknego hymnu Schillera „Do radości" (An die Freunde), a w innym znowu „Przeciwko samobójstwu" również w podobnym duchu:

Przez takie cierniowe drogi
Idąc, kwiat rzucam pod nogi;
Idąc, śpiewam bez mruczenia
Pieśń mojego przeznaczenia.

Silném echem odbijały się także w jego piersi współczesne wypadki polityczne, rozmaite kwestye społeczne i wogóle cały stan kraju. Nie żył on na widowni wydarzeń, w stolicy, na dworze królewskim, jak po większéj części inni spółcześni poeci, ale zdaleka, na prowincyi, w zaciszy wiejskiéj, setkami nieraz mil od wiru światowego oddzielonéj. Pojmował téż rzeczy i ludzi okiem téj szlachty wiejskiéj, politykującéj na wizytach i zjazdach sąsiedzkich i według własnego usposobienia, uczuciem więcéj niż rozumem. Jego współtowarzysze na Parnasie, jak Trembecki, Naruszewicz, czasem nawet i Krasicki, pisali programy polityczne, wystawiali korzyści i niekorzyści rozmaitych aliansów, odzywali się w duchu i w interesie tego lub owego stronnictwa; on zaś prowadził politykę uczuciową, cieszył się z tego, co było pomyślném dla kraju; unosił nadzieją, gdy szczęście téj lub owéj strony zaświtało; bolał i płakał, kiedy jaka klęska się zdarzyła. W kwestyach społecznych najwięcéj zajmowała go niedola ludu wiejskiego, o który ciągle się ocierał, z którym żył i pracował razem na roli. Przemawiał za polepszeniem jego bytu, za oswobodzeniem go z obowiązków pańszczyźnianych. Między innemi trzechaktowa komedya „Czynsz," posiadająca i pod względem artystycznym, mianowicie w charakterystyce osób, pewne zalety, poświęcona jest téj tendencyi. A przemawiał w słowach dobitnych, czułych, zdolnych trafić do serca przez żywe obrazy upadku i nędzy téj zaniedbanéj części społeczeństwa. Z wypadków politycznych, każdy, który silniéj wstrząsnął narodem, obudzał także żywe jego zajęcie i współudział. Płakał nad rzezią humańską, rokował sobie wiele z czteroletniego sejmu, uwielbiał i zachęcał patryotów jak Stanisław Małachowski, Adam Czartoryski; cieszył się z ustawy 3-go maja, a nie mogąc innym sposobem, mścił się na austryackiéj biurokracyi, na galicyjskich kreishauptmanach, wyśmiewając ich razem z ich cyrkularzami, uniwersałami i małżonkami „pełnemi sadła," za to, że mu jego rodzinne Pokucie w kordon zabrano, a „Pieśń dziada sokalskiego" oddał rzeczywiście pewnemu żebrakowi z tamtych okolic, chodzącemu z lirą do śpiewania, „za co on biedny potém od Niemców ucierpiał." I nietylko poetycznóm swojém piórem wojował za tę sprawę; przed sejmem czteroletnim napisał także prozą cztery listy w materyi politycznéj do Małachowskiego, A. Czartoryskiego, Karola Radziwiłła i Szczęsnego Potockiego, w których przedstawiał potrzebę zaprowadzenia dziedzicznego tronu i obrania królem Fryderyka pruskiego. Kiedy nareszcie przyszedł czas, że wszelki ratunek okazał się niemożebnym, że wszystkie plany i zamiary zawiodły, że potrzeba było rozstać się z nadzieją,—kiedy jedném słowem ostateczna katastrofa zapadła, wybuchnął Karpiński takim żalem, w tak silny

akord uderzył na swojéj lutni, jak żaden z jego rówieśników-poetów. Inni poniemieli z przerażenia, pióra powypadały im z ręki; on jeszcze miał dosyć siły, aby wyśpiewać: „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta,“ istotnie swoję pieśń łabędzią, napisaną na początku panowania Cesarza Pawła, mniéj więcéj w 56 roku życia.

„Ty śpisz, Zygmuncie!“ zaczyna poeta, budząc tém jednéṁ imieniem całą świetność przeszłości i przeciwstawiając jéj zaraz potém odmienną od niéj teraźniejszość słowami, jakby z ust Dantemu wyjętemi:

Gorzkie wspomnienia!... gdy szczęście przeminie,
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?...

Jest wiele siły, wiele nad zwyczajną u Karpińskiego skalę podniesionego uczucia w tym obrazie powszechnych nieszczęść, jakie przed oczami nam roztacza:

Gdzie spojrzysz: rozpacz, trupy, zgorzeliska!

a kiedy się odzywa:

Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!
W tém ciele była milionów dusza!—

zdaje nam się, że to napisał Mickiewicz w jednéj z najszczęśliwszych chwil natchnienia. Szkoda, że przy samym końcu ta podniosłość uczucia się obniża. Poeta wyzuwa się z wszystkiego, coby go mogło pocieszyć i umocnić,— zostaje mu tylko cicha rezygnacya:

Łzy mi tylko jedne
Zostały!...

Powiedzieliśmy: szkoda — i spostrzeżenie to o Karpińskim już dawno było zrobione i nieraz powtórzone. Jeszcze Brodziński w r. 1827, czytając na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk wspomnienie o zgasłym przed dwoma laty poecie, przypisał jego charakterowi owę słowiańską bierność, czyli „męztwo obronne,“ jak on to nazywa, a Mickiewicz z tego powodu powiedział o nim wswoich prelekcyach, że „był to kmieć polski, kmieć słowiański, Słowianin z nad Dunaju, zabłąkany pośród Polaków,“ i co więcéj, z tego powodu nie chciał mu nawet przyznać tytułu narodowego poety. Sądzimy, że byłoby to jednak posuwać się zbyt daleko, daléj, niżeli pozwala sprawiedliwość. Karpiński nie miał w sobie téj energii ducha, téj niezłomnéj i niezachwianéj wiary, jakich przykład dali na sobie późniejsi poeci, a w pierwszym rzędzie pomiędzy nimi sam Mickiewicz. Ale czy jego współcześni mieli jéj więcéj? Na to odpowiada cała poezya Stanisława Augusta i to głuche milczenie, jakie w niéj nagle po katastrofie się zrobiło. Mickiewicz, jako przeciwny Karpińskiemu przykład, przytacza Niemcewicza, chociaż uznaje go niższym pod względem sztuki, nierównającym się z Karpińskim ani natchnieniem, ani co do formy; ale trzeba wziąć na uwagę, że Niemcewicz, podobnie jak Woronicz, śpiewak Sybili, należeli do młodszego pokolenia, że sama młodość dodawała im więcéj siły, nie licząc już tego hartu, którego nabyć mogli, wyrósłszy i wychowawszy się już w trudniejszych okolicznościach, w chwilach ciągłéj walki i prób ustawicznych. Karpiński, przeciwnie, zasięgał jeszcze téj miękkiéj, najwię-

céj zniewieściałéj, że nie powiemy zniedołężniałéj generacyi, jaką epoka Sasów wydała. Prócz tego, był on z natury poetą serca; uczucie łagodne, tkliwe i delikatne, było mu wrodzone. Siły i męztwa nie „obronnego,“ ale czynnego, możnaby raczéj żądać od innych współczesnych poetów, od takiego Trembeckiego, którego organizm zdolny był zmierzyć się z wszelkiemi przeciwnościami; od takiego Krasickiego, którego rozległy rozum i zimna krew czyniły sposobnym do walki i do wytrwania. Karpińskiego zaś godziłoby się może zostawić takim, jakim był. Niewątpliwie byłoby lepiéj, gdyby nie miał w sobie tyle miękkości, gdyby nie był wylewał tyle łez i w nich szukał jedynego ukojenia, wtenczas, gdy było potrzeba zebrania wszystkich sił i woli nieugiętéj. Ale jego można przynajmniéj zrozumiéć i wytłumaczyć; można w nim widziéć słabości, ale była to słabość czysta i bez plamy, ugięcie się pod ciosami losu, ale nie uniżenie hańbiące w nadziei korzyści i zysku. Swiadectwem i przykładem na to jego wiersz do osobistego przyjaciela, księcia Repnina, pisany, wiersz, w którym czuć bolesne zwątpienie, ale przytém pełen godności, a jak na owe czasy, nawet śmiały i otwarty. Takim, jakim był, Karpiński spełnił swoje przeznaczenie w literaturze i zajął w niéj zaszczytne miejsce. Jeżeli nie było w jego duszy tego lechickiego pierwiastku, który naszym przodkom tęgość charakteru i wojowniczego ducha nadawał, to było w niéj dużo téj słowiańskiéj, spokojnéj a poczciwéj natury, która również jedno z naszych znamion narodowych stanowi. Tę stronę i tę część narodowego charakteru, jako pisarz i poeta, Karpiński pięknie w sobie przedstawił i w pismach swoich wymownie odmalował. To powinnoby już wystarczyć, tém nabył on już prawa do naszego szacunku i wdzięczności i wymagać od niego czego dać i czém być nie mógł, zdaje się, znaczy wymagać zawiele.

Pod innym jeszcze względem ściągał on na siebie zarzuty o słabość charakteru. Uderzającém jest rzeczywiście w jego Pamiętnikach to ciągłe utyskiwanie na los, na swoje ubóstwo, gdy przecież wiadomo, że niedostatku ani nędzy nigdy nie cierpiał; ta ustawiczna obawa o przyszłość, gdy był wolny od wszystkich obowiązków i nieobarczony rodziną, wreszcie te skargi na ówczesnych mecenasów, jak na króla: „żeby mi datek jaki z siebie ofiarował wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotne, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali;“ albo znowu gdzieindziéj: „gdyby był król albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawieniu losu mojego myśleli, byłbym mógł zapewne nierównie więcéj dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczéj do roli.“ Dodajmy do tego jeszcze to wieszanie się u klamki pańskiéj, jak u Ad. Czartoryskiego, dla którego umyślnie w tym celu drukował i dedykował pierwsze swoje wiersze: Sielanki; to rezydowanie cierpliwe i długie po dworach pańskich, jak w domu siostry królewskiéj Branickiéj, jedynie w nadziei, że mu odda jaką korzystną dzierżawę. Porównawszy w myśli te wszystkie żale naszego poety, te jego zabiegi o kawałek chleba, o fortunę, z tą wyższą obojętnością o jutro, o byt materyalny, z jaką naprzykład Mickiewicz w świat się rzucał i która go nie opuściła nawet i wtedy, gdy nie o samym sobie tylko miał myśléć; porównawszy je z ową gorącą

modlitwą Słowackiego, że byle tylko posiadł sławę, gotów jest na wszystko, choćby los jego był jaknajnędzniejszy: to zaiste, postać Karpińskiego wiele straci na tém porównaniu w naszych oczach i w nienajpochlebniejszém przedstawi się świetle.

Lecz podobne porównanie nie byłoby słuszne. Nie trzeba go mierzyć miarą naszych, ale jego własnych czasów i wyobrażeń. Nie trzeba go porównywać z Mickiewiczem i Słowackim, ale z Krasickim, Naruszewiczem, Trembeckim i innymi, na których szczodrobliwość króla i prywatnych mecenasów hojnie spływała. Mecenasostwo leżało w duchu i zwyczajach owéj epoki. Literatura, nie doznając tego szerokiego poparcia, jakie znajduje dziś, mniéj więcéj wszędzie, u publiczności, szukała go u możnych jednostek, a literaci uważali pensye i inne dobrodziejstwa, które od mecenasów otrzymywali, za słuszne wynagrodzenie swéj pracy i talentu. Kto się odznaczył zdolnością i jakiémś dziełem, rościł sobie prawo do takiéj nagrody, jak każda inna zasługa na polu publiczném położona. Kto nie otrzymywał takiéj nagrody, mógł to uważać za uczynioną sobie krzywdę, albo téż za nieuznawanie swoich zdolności i zasług. I otóż właśnie zdaje nam się, że w ciągłych utyskiwaniach Karpińskiego przeważało to drugie uczucie, chociaż on może niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę, albo nie w zupełności swoję myśl odkrywał. W gruncie rzeczy nie powoduje nim może tyle zawiedziona chęć korzyści, ile uczucie, że nie podług tego, jak zasłużył, dostąpił u swych spółczesnych uznania i sławy. Może to więcéj jest literacka zazdrość, niżeli pragnienie zbogacenia się. Tamtych nagradzają i obdarżają, myślał on sobie zapewne, bo ich uważają za godnych tego, bo uznają ich talent, bo to, co napiszą, im się podoba; mnie nikt nic nie dał, ani dać nie myśli, więc widać uważają mnie za mniéj godnego, a moję zdolność za mniejszą i słabszą.

Czy rzeczywiście tak ludzie o Karpińskim myśleli? czy dlatego nie otrzymał ani pensyi, ani żadnego beneficyum, że podług ówczesnych sądów nie stał narówni z tymi, którzy brali nagrody? Możnaby na to i *tak* i *nie* odpowiedzieć. Talent jego musiano wprawdzie uznać, ale był-to talent odmiennéj natury od tych, jakie wówczas popłacały. Inni poeci widzieli w nim coś od siebie różnego, coś takiego, co nie harmonizowało z tym tonem, jakim oni śpiewali, a zatém obok całego szacunku, jaki dla niego mieli, mogli nie czuć całéj jego wartości, tak jak się to częstokroć zdarza, że artysta, mający jakąś własną manierę, nie tak łatwo albo wcale nie uzna talentu, który na inny rozwija się sposób. Dla króla zaś i innych wielkich tego świata, czy poezya Karpińskiego mogła stać w równéj cenie z tém, co inne spółczesne talenta produkowały? Im potrzeba było ludzi kierujących opinią i wpływających na nią, ludzi, którzyby rozumieli prądy czasu i czuli byli na wszystkie zmiany w atmosferze politycznéj, którzyby słowem swojém przeważali zdania na ich stronę i w ich interesie,—jedném słowem, potrzeba im było ludzi więcéj rozumnych niż uczuciowych, poetów, którzy swemi satyrami wpływali na obyczaje i pojęcia ogółu, którzy w swoich okolicznościowych wierszach brali za przedmiot wypadki polityczne i na te nie z uczuciowéj ale z dyplomatycznéj raczéj strony się zapatrywali. Takim człowiekiem

i poetą Karpiński nie był zaiste. Na polityce, jak ją rozumieją dwory królewskie albo mężowie stanu, on się nie rozumiał, a swojemi sielankami i pieśniami, w których wypowiadał dzieje i uczucia swego serca, śpiewał swoje żale i tęsknoty, uwielbiał wdzięki albo cnoty swoich Justyn, Palmir i innych kochanek, w których zachwycał się cudami natury, szmerem strumyka lub szelestem liści,—czyż mógł dopomódz co do wpływu na kraj i obywateli królowi, albo do znaczenia jakiemu magnatowi? Broń, którą on tak dzielnie władał, w owe czasy ani użyteczna, ani szkodliwa nie była dla nikogo, a ciężkie chwile, w których żył, nie były dla takiego, jak on, [illegible]

To była zapewne n[illegible] syna, dlaczego nie miał szczęscia do ówczesnege wiel[illegible] edy się zaczął garnąc do niego, było to już dosyc pó[illegible] w ro[illegible] 0 a czterdziestym prawie swego życia przybył po raz pierwszy do [illegible]rszawy, aby objąć przy Czartoryskim G. Z. P. urząd sekretarza in[illegible]esów politycznych. Naruszewicz przedstawił go po kilku dniach k[illegible]owi „na rozumnym obiedzie,“ a król przyjął go komple[illegible] [illegible]nek Justyny będzie i w Warszawie kochany.“ Ale oz[illegible]ia widać nie było; przypominał się Karpiński jeszcze [illegible], ale znowu otrzymał tylko komplement: „honor w[illegible] [illegible]robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz. kiedy ja na tronie jestem.“ Tymczasem i stosunki z księciem Czartoryskim się zerwały, mówiąc wyraznie, zerwane zostały przez księcia, któremu poeta nie przypadł do smaku. Trzeba było ratowac swoję egzystencyę w inny sposób: podwakroc ofiarowano mu, raz z poręki Czartoryskiego, drugi raz króla, nauczycielstwo paniczów z magnackich domów. Karpinski przyjmował tę „niewolniczą funkcyę guwernera,“ nie mając nic lepszego do wyboru, ale i rzucał niebawem, nie mogąc podołać przykrym jéj obowiązkom. Wreszcie po wielu zabiegach, po długiém wyczekiwaniu, otrzymał pustą kolonię na Litwie, wykarczował ją, uprawił i przez długoletnią pracę dorobił się i wsi własnéj i dość znacznego kapitału.

Na wsi, wsród ludu wiejskiego, z którym razem pracował na roli, dla którego układał piesni nabożne, któremu nadawał prawa i przepisy moralnosci, jakby patryarcha Starego Zakonu, w codziennéj styczności z naturą, któréj piękności czuł tak żywo, ten „kmieć słowiański“ więcéj był na swojém miejscu, niżeli na wielkim swiecie.

Na to, ażeby w tym swiecie zrobić szczęscie, Karpinski nie był stworzony; na to był on nazbyt prosty i szczery, zanadto jeszcze z nauk ojcowskich przesiąknięty milością prawdy. Nie umiał nagiąć się i zastosowac do obcych wyobrażeń, nie umiał potakiwac i ukryc własnego zdania; brakowało mu znajomosci swiata i zręcznosci, popełniał często kroki fałszywe, świadczące o pewnéj jego naiwnosci i o tém, że nim taki krok postawił, nie obejrzał się wprzódy dokoła siebie. To też przyszedł niedługo sam do przekonania, że ta jego „niedworność“ często mu szkodziła. Dodac do tego należy, że swojém wystąpieniem szorstkiém mógł nieraz rzeczywiscie zrazic wyższych od siebie, że częstokroc wydaje się jakby naumyslnie pozował ze swoją spartanską cnotą i prawdomównoscią, i że w głębi duszy chował zawsze niechęc sza-

raczkowego szlachcica ku karmazynom i mitrom. Ileż-to w jego pamiętnikach, a czasem i w wierszach, znajdzie się inkryminacyj przeciw magnatom, którym wszystko złe w kraju i całe nieszczęście przypisuje; jak często spotkać się można tam ze zdarzeniami i zdaniami, z których widać, że naprzeciwko ich arystokratycznéj dumie stawiał Karpiński swoję dumę plebejowską! Sama nawet powierzchowność nie czyniła go sposobnym do salonów i wielkich dworów. Brodziński, który przynajmniéj raz w życiu widział go na jedném z posiedzeń Towarzystwa przyjaciół nauk, powiada, że twarz jego „odznaczała raczéj uczciwego i pracowitego wieśniaka, niżeli czułego poetę i męża z wielkim światem obeznanego.“ Tak więc zarówno jego przymioty jak i wady, to, co w jego talencie było niezwyczajnego, jak i to, czego może brakowało jego wykształceniu, przeznaczały go na to, ażeby żył i trzymał się zdaleka od tego świata i ażeby ten świat łaskawym się dla niego nie okazał.

Długo jednakże Karpiński nie mógł się pogodzić z tą myślą, długo czuł się pokrzywdzony, ciągle nowe żywił nadzieje i do końca życia czuł niechęć ku pewnym sferom i ludziom, że został zawiedziony. Kiedy z pierwszéj swojéj wycieczki w świat, po rozstaniu się z Czartoryskim i po guwernerce u Sanguszki, powrócił do domu, do skromnéj swéj dzierżawy w Dobrowodach, wtedy-to napisał tę sławną, tak popularną elegię: „Powrót z Warszawy na wieś,“ w któréj wypowiedział cały swój żal i całą gorycz rozczarowania. Któż nie zna, kto nie umie na pamięć przynajmniéj pierwszych czterech wierszy téj elegii, które stały się przysłowiowemi:

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnofarbne, piec niepolewany
I nizka strzecha moja!.. Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.

Te ulubione miejsca, tę nizką strzechę porzucił kiedys w widokach szukania gdzieindziéj poprawy losu. Ale jakże się przeliczył! Ze wstydem, powracając do swéj chudoby, musi sobie teraz powiedzieć:

Com zyskał na wysokie pańskie pnąc się progi?
Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem...

a daléj:

Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.

A przecież żądania jego nie były wygórowane:

Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny;
Gdziebym się nic nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojnym będąc na tém, co stan mierny niesie:
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.

Szczęśliwy! Życzenia jego, choć później, spełniły się wszystkie

w zupełności. Trzydzieści ostatnich lat swojego długiego życia przepędził na własnym zagonie, w wygodnym domu, przy pracy koło gospodarstwa i roli, znajdując rozrywkę w książkach i gitarze, w rozmyślaniach filozoficzno-moralnych, których owocem była najulubieńsza mu, pięknym językiem napisana książka: „Rozmowy Platona,“—wreszcie w zabawie z dziećmi, z któremi bawić się w starości najmiléj mu było. Miał też poszanowanie i przyjaźń u sąsiadów, otoczył się rodziną po swéj siostrze i kochał ją. Pamięć lat młodych, błogiéj miłości, którą tak lubił karmić swoje s... ...iała się przed jego oczami we wspomnieniach ze swe... ...ubił opowiadać, a potém i spisał w tych piosenkach, kt... ...t za młodu, a z rozrzewnieniem do końca dni swoich p... ...góż mu więcéj było potrzeba?... A jeżeli mimo to nagab... ...mi jakaś czarna melancholia, jeżeli życie ciężkie mu się... ...ło, to chyba było to tylko winą téj starości, która wszys... ...ponuremi barwami powleka.

Czuły kochanek, ... ...z i skromny ziemianin, umarł w 84 roku życia, spoko... ...piał, a na kamieniu, który miał pokrywać jego wieczne... ...kazał sobie wyryć też same słowa, któremi przed tylu ... ...oję siedzibę z roczuleniem powitał:

Oto mój dom ubogi!

*Kraków, 1880.*

---

# WIEK XIX.

## GŁÓWNE PRĄDY POEZYI POLSKIÉJ W XIX WIEKU.

### I.

Dwie kwestye zostały w tych czasach rzucone ludzkości i sprawiły takie wrażenie, jakie robi piorun upadający pod nasze nogi: kwestya socyalna i tak zwana teorya Darwina. Pierwszą odkładam zupełnie nabok, o drugiéj chcę słów parę powiedzieć.

Wzbudziła ona rozmaite uczucia w różnych obozach; materyaliści zobaczyli w niéj swój całkowity tryumf, idealistów napełniła ona zgrozą i obawą. I jedni i drudzy są w błędzie, dopuszczają się przesady. Doniosłość téj teoryi nie jest tak wielka, nie może ona zniszczyć tego, co jest: bytu i natury człowieka, jaką jest obecnie, jakikolwiekby mu początek nadawała. Naturalny wybór mniéj doskonałych organizmów, wskutek którego miał się wytworzyć tak wspaniały organizm ludzki, podobny jest do połączenia chemicznego. Różne żywioły łączą się w niém w jedno ciało, naturą swoją całkiem odmienne od swych pierwiastków; nikt nie powie np., że woda jest tém samém, co składające ją wodoród i kwasoród. Człowiek jest człowiekiem, odkąd posiada właściwą sobie naturę, władze umysłu i duszy, różniące go stanowczo od zwierzęcości; czém był przedtém, to nie należy do niego, ani do jego historyi. Jakikolwiek byłby jego początek, nie może on go wstydzić, poniżać i spychać z zajmowanego stanowiska, ani téż ta okoliczność nie zdolna mu odebrać jego przymiotów. Choćby twierdzenie Darwina było prawdą (a dotychczas podobno jest tylko hypotezą), nie może nam ubliżać, ale owszem można je uważać za zapowiedź i obietnicę coraz doskonalszéj świetności. Jeżeli widzimy dzisiaj, jak wielka zachodzi różnica między zwierzęcym a ludzkim stanem, czyż nie możemy sobie pomyśléć, do jakiéj dojść możemy doskonałości przy warunkach, jakich Opatrzność rozwojowi naszemu może udzielić gdziekolwiek, czy tu na ziemi, czy w sferach innych wszechświata.

Dla objaśnienia tego, co powiedziałem, wezmę przykład. Czyż patrząc się na motyla z tęczowemi barwami na skrzydłach, myślimy o tém, że był kiedyś pełzającą po ziemi gąsienicą albo martwą i bezkształtną larwą? Cóż to ubliża geniuszowi Platona, który myślą wznosił się ponad światy, że w niemowlęctwie piastunka podnosiła go z ziemi ile razy upadł, albo czy to wstydzić może Kopernika, który obliczał drogę

i ruch planet, że w dzieciństwie swojém nie wiedział, ile ma palców u ręki?

Do czegóż zmierza ten wstęp, napozór może niemający nic wspólnego z przedmiotem? Oto chciałem tylko powiedzieć, że najgrubsze nawet teorye materyalistyczne nie zdołają zniweczyć rzeczywistości tego faktu, że w człowieku jest jakaś iskra boża, jakaś strona duchowa, która istnieje i istnieć będzie, zjakiegokolwiek początku ród człowieczy byśmy wywodzili.

Ta iskra boża obj [illegible] l na świecie w tém, co możnaby nazwać poczuciem poe [illegible] dcza to historya wszystkich narodów, bo oprócz wła [illegible] że religia i filozofia (to jest to, co najwięcéj podnosi du [illegible] najprzód w formie poetycznéj się pojawiały. Słusznie [illegible] no poezyę za nauczycielkę wyprowadzającą ludzkość [illegible] i, a podanie o Orfeuszu i Amfionie nietylko jest pięk [illegible] także symbolem wielką prawdę w sobie zawierającym. [illegible]. szukać tak daleko. W czasach historycznych znany n [illegible] e wpływ Homera na historyę i cywilizacyę Grecyi; [illegible] ą jéj religii, jéj sztuki; w nim wojownicy, jak Aleksa [illegible] i swoich ideałów. Również dla wykształcenia narodowego potężne jest znaczenie takiego Szekspira lub Miltona w Anglii; ileż razy politycy, lordowie parlamentu angielskiego cytowali przy wnoszonych przez siebie bilach wiersze wielkiego dramaturga, uważając poetę za powagę nawet w rzeczach polityki. Ciekawą rzeczą byłoby także wybadać i roztrząsnąć, ile z dzisiejszéj swéj potęgi zawdzięczają Niemcy tak popularnemu u nich geniuszowi Getego i Szyllera. Wreszcie ileż już pokoleń na obu półkulach świata wykształciło się na Biblii, będącéj w znacznéj części utworem poetycznym.

U nas wyraźniejszy i głębszy wpływ literatury, szczególnie poezyi, pokazuje się może po raz pierwszy w końcu XVIII wieku. W tym czasie, gdzie w atmosferze duchowéj górowała filozofia zagraniczna, a z drugiéj strony, gdzie rozumy się wysilały na wynalezienie środków reformy i zbawienia kraju, była ona poezyą racyonalną, dydaktyzm i satyra w niéj przeważały. Wywierała téż ona wpływ na fakta wielkiéj wagi, popularyzowała pojęcia, które miały zmienić ustrój polityczny i podnieść naród. Weźmy największy z tych czasów fakt: konstytucyę 3-go maja. Jakie jéj główne zasady i cele? Rozszerzyć władzę królewską, zrównać stany, utworzyć z Polski państwo nowożytne. Weźmy teraz do ręki Satyry Krasickiego i Naruszewicza, satyryczne wiersze Trembeckiego, komedye Zabłockiego, naprzykład taką: „Sarmatyzm,“ komedyę Niemcewicza „Powrót posła...“ jaka jest tendencya tych utworów, główna ich myśl? Taż sama, co w konstytucyi 3-go maja.

Ale większe zadanie miała jeszcze poezya XIX wieku. Polska jako państwo, jako naród niepodległy, upadła—poezya więc miała utrzymać jéj ducha narodowego, nie dać umierać przeszłości, zachować jéj pamięć i podnosić ku lepszéj przyszłości; miała jéj zastąpić wszystkie niemal dźwignie cywilizacyi, które mają na swe usługi wolne narody. Stan polityczny i społeczny w zewnętrznych faktach nie istniał, został rozbity, a zadaniem téj poezyi było, przenieść Polskę w duszę i w serce

każdego Polaka, zarazem utrzymywać w nim wszystkie przymioty człowieczeństwa, kształcić go, rozwijać i uszlachetniać w nim uczucia. Cały skarbiec przeszłości i przyszłych dążeń miał się w niéj zamknąć. Duch polski, ograniczony i ścieśniony w działaniu, miał się streścić i skupić w natchnięniu poetyczném, i poezya miała się stać całym majątkiem narodowym, być tém o czém poeta powiada:

O! wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi a młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

## II.

Po grobowéj porozbiorowéj ciszy nastąpiły niedługo burzliwe lata Napoleońskich wojen: legiony, księztwo warszawskie, wyprawa na Moskwę. Upadek Napoleona, nowe nieszczęścia i kongres wiedeński wprowadziły znów naród w normalne koleje. Życie polityczne w ciasnych granicach konstytucyi kongresowego królestwa nie mogło wystarczyć, trzeba je było zastąpić szerszém życiem duchowém. Takie, jakie dostało się w spadku po przeszłym wieku, nie było dostateczne, nie odpowiadało potrzebom. Trzeba było stworzyć jego nowe zasady i warunki. Ten poród nowego ducha odbył się w tak nazwanéj poezyi romantycznéj.

Romantyczność była czémś obcém dla Polski, nie była uprawnioną z przeszłości ani historycznéj, ani literackiéj, zadosyć jednak czyniła ówczesnym potrzebom. Za główne pierwiastki romantyczności można uważać nową niemiecką filozofię i dążenie do narodowości. Filozofia ta, najidealniejsza ze wszystkich, uduchowiała jednostki, była więc taką, jakiéj potrzeba było Polsce, aby nad stan rzeczywisty podnieść umysły, nauczyć je, aby same w sobie znalazły siłę do oparcia się politycznym przeciwnościom, stawiły naprzeciw sile fizycznéj potęgę moralną i zapomocą téjże ratowały swą indywidualność narodową. Dążenia patryotyczne, zawarte szczególnie w romantyczności niemieckiéj, tém więcéj jeszcze schodziły się z dążeniami i uczuciami Polaków.

Ta forma literacka i poetyczna walczenia z nieprzyjacielem była także dogodną z téj strony, że musiała być dozwoloną tam, gdzie czyny albo opozycya na polu polityczném ściągały na siebie karę i prześladowania. Bo wistocie w duchu téj romantyczności tkwiła rewolucyjność tak u nas jak i wszędzie. Niemcy znałazły w niéj broń przeciw uciskowi Francuzów; Byron wyzywał do walki ludzki i boski porządek na ziemi; francuzki romantycyzm żył i oddychał ideami socyalnemi, zasianemi w grunt francuzki szczególnie przez wielką rewolucyę.

Rozbudzenie ducha narodowości, wypielęgnowanie pragnienia wolności i niepodległości nie miało jednak być jedyném zadaniem polskiéj romantyki. I pod innemi względami wpłynęła ona stanowczo na cywilizacyę, na życie umysłowe. I tak najprzód stworzyła ona prawdziwe i wierne pojęcie przeszłości historycznéj. To było dotychczas niejasne, w poezyi i literaturze przedstawiane i kreślone podług jakiegoś szablonu, pociągnięte werniksem kosmopolitycznego klasycyzmu. Przy-

pomnijmy sobie ówczesną tragedyę, owe Barbary, Ludgardy, owych Żółkiewskich i t. d.; postaciom tym brakuje najprzód prawdy życia, a zatém i prawdy historycznéj. Tak samo kreślił Koźmian w Ziemiaństwie obrazy ojczystéj natury i zwyczajów, patrząc na nie oczyma Wirgiliusza. Nawet Śpiewy historyczne Niemcewicza, który był patryotą do głębi serca, nie mają na sobie narodowego i historycznego znamienia i dlatego nie zdołały się przyjąć, nie stały się tém, na co je poeta przeznaczał: pieśniami narodu. Żadna z nich nie doszła do tego znaczenia, co nawet taka pieśń [illegible] autora: „Wanda leży w naszéj ziemi" i t. d.

Jakże inaczéj prze[illegible]eszłość w utworach pierwszych romantyków: w Zaleskim [illegible]oszczyńskim! Postacie ludowe Zaleskiego, jego Kozak[illegible]porożców, ukraińskie dziewczęta, są wprawdzie zid[illegible]rawdziwém odbiciem tego, co istniało. Typowemi pos[illegible]ch poznaje się naród, jakim był kiedyś, są także figury p[illegible]o stworzone: miecznik, wojewoda, a wreszcie Mary[illegible]kobiety, jaki tylko na polskiéj ziemi mógł znaléźć dla [illegible]ry. Toż samo należy powiedzieć o obrazie Ukrainy, skr[illegible] Goszczyńskiego w Zamku kaniowskim. Ci poeci wsk[illegible] drogę, a [illegible] ich przykładem do tego zbioru postaci narodowych, do tych obrazów przeszłości, kreślonych z prawdą historyczną, przybywało późniéj coraz więcéj, przybyły niektóre genialniejszą ręką jeszcze kreślone, tak, że po półwiekowéj pracy poezya nasza może się poszczycić, że stworzyła charakter poetyczny naszych dziejów i wskrzesiła z martwych już niejednę z postaci minionéj przeszłości. Widoczną jest rzeczą, o ile przez to przysłużyła się teraźniejszości, utrzymaniu i rozwojowi idei narodowéj, przez zachowanie jéj początków i rozmaitych jéj objawów w ciągu kilkuwiekowego istnienia. Można powiedzieć, że dzisiaj lepiéj czujemy, czém byli i jacy to byli nasi praojcowie, niżli ci ludzie żyjący np. przy końcu XVIII wieku, kiedy Polska istniała jeszcze w swéj odwiecznej postaci, kiedy oni dotykali jeszcze bijącego pulsu Rzeczypospolitéj.

Życie uczuciowe otrzymało także nowy zwrot i nowe siły od téj powstającéj poezyi. W tym kierunku najsilniejszy był wpływ największego z poetów polskich: Mickiewicza. Zrósł on się z ostatniemi latami naszych dziejów, był poczęści twórcą idej poruszających społeczeństwem, poczęści zaś najdoskonalszym ich wyobrazicielem. Duch jego rośnie i olbrzymieje w miarę ważności mających się odbyć wypadków, toruje im drogę, albo je obejmuje sobą.

Wpływ jego był odrazu tak wielki, swą sławą napełnił tak prędko całą Polskę dlatego, że uderzył w najczulszą stronę narodu—w serce, spełniając wiernie to, co w wierszu „Romantyczność" podaje za najlepszy sposób odgadnięcia tajemnic świata:

Miéj serce i patrzaj w serce.

Serca podówczas, po téj racyonalnej poezyi XVIII wieku, po filozofii materyalistycznéj w tymże czasie panującéj, po téj poezyi manierowanéj, formułkowatéj początków naszego stulecia i po braku wszel-

kiéj filozofii w początkach tego stulecia, dosyć były wychłodłe. Głębszego, silniejszego uczucia nie znać w poezyi tych czasów. Miłość przez nią opiewana jest albo galanteryą, mającą pokryć dla przyzwoitości zmysłowe pragnienia, albo téż ckliwą sentymentalnością. Pod obiema temi formami ukrywa się jedno i toż samo: próżnia serca. Pieśń Karpińskiego: „Już miesiąc zaszedł" i t. d. była najwyższym szczytem uczuciowości, dlatego téż wszystkie dusze, które z natury zachowały jéj iskrę, nuciły tę pieśń z rozrzewnieniem przy monotonnych dźwiękach gitary.

Takiż sam chłód był w rzeczach wiary. Nie chcemy powiedziéć, aby ówczesny ogół był bezbożny i niereligijny. Owszem wiara, i to ta zwykła, u powszednich umysłów najlepiéj prosperująca, była, jak jest i dzisiaj i od wieków już w Polsce. Ale nie miały jéj umysły wyższe; to, co stało na świeczniku literatury i naukowości, ignorowało wszelką wiarę gorętszą, podnoszącą duszę nad poziom. Nie było w nich więcéj wiary jak tyle, ile potrzeba, aby się dostać do królestwa niebieskiego. Brakowało zaś téj wiary, która na ziemi stwarza cuda i podnieca człowieka do niezwykłych czynów. Sceptycyzm przeszłowieczny, mający w swoim czasie racyę bytu, w stuleciu naszém stał się obojętnością. Świat nadnaturalny, świat ducha zupełnie był obcym dla ówczesnéj poezyi, bynajmniéj ona się tam nie zapuszczała. Te głębiny były dla niéj wstrętne i oburzała się na nie wszędzie, gdzie je tylko spostrzegła. Ztąd pomiędzy innemi czuła także odrazę do poezyi ludowéj, mieszającéj zwykle oba światy ze sobą i lubiącéj poza zmysłowemi formami świata domyślać się jakichś istot duchowych i niewidzialnych. „Jest więcéj rzeczy na ziemi i niebie, niż o tém śniło się naszéj filozofii"—mówi Hamlet, ale poezya pseudoklasyczna nie chciała nic słyszéć ani o filozofii, ani o rzeczach poza nią będących.

Mickiewicz wystąpił do walki przeciw chłodnéj, bezduchowéj klasycznéj poezyi w imieniu serca i ducha, aby im przywrócić przynależne prawa. Taki jest główny charakter pierwszych jego utworów: Ballad i romansów, jako téż czwartéj części Dziadów.

Ballady wprowadzają nas w świat wierzeń ludowych. W tym świecie pełno jest cudowności i nadnaturalności; ani jednéj, ani drugiéj nie można poznać i dopatrzéć się rozumem: chcąc je zobaczyć, trzeba dla nich otworzyć swoje serce. Dzieją się tam rzeczy wykraczające za granice praw przepisanych przyrodzie, a dzieją się jedynie mocą uczucia i wiary.

Łatwo zrozumiéć, że umysł polski w podobnéj poezyi mógł znaléźć jeszcze coś więcéj, a nie samę tylko naiwność gminną, wierzącą w cuda. Ta poezya uczyła go także sięgać po rzeczy napozór niepodobne do osiągnięcia, których spełnienie nie zgadzało się z chłodnym i rozważającym wszystkie okoliczności rozsądkiem,—powiadała, że byle chciał i mocno pragnął, może zwyciężyć to, co się zdaje być przeszkodą nieprzebytą i siłą fizyczną nie do zwalczenia. Wyższość ducha nad materyą była już w Balladach stanowczo wypowiedzianą i w tym duchu kazał poeta szukać broni przeciwko materyalnéj potędze.

Obok Ballad w najpierwszych utworach Mickiewicza znajdowały

się drobne wiersze, w których poeta osobiste uczucia i miłosne swoje cierpienia wypowiedział. Takim językiem, jakiego tu Mickiewicz użył, zwykle w naszéj poezyi nie spowiadano się z uczucia. W dawniejszéj literaturze jeden tylko A. Morsztyn, poeta z wieku XVII, podobnemi odzywał się tony. Te wiersze jego jednak były nieznane aż do najnowszych czasów. Mickiewicz tutaj zstąpił do samych głębin uczucia. Jego miłość nie jest sielanką, galanteryą, ani sztucznym platonizmem— jest to namiętność wzruszająca całą duszę i biorąca ją pod swoję władzę. Nic też dziwnego, że dźwięk jego pieśni oczarował całe ówczesne młode pokolenie i zatarł w j[illegible]stkich dawniejszych, nawet najsentymentalniejszych [illegible]imo całéj przewrotności świata i fałszu szeroko po nim [illegible] natura ludzka uczuwa cześć dla prawdy i lgnie do niéj n[illegible]ściach Mickiewicza była prawda, i dlatego schwyciła wsz[illegible]

Nie była to jednak [illegible], jakby się może komu naposór zdawało, ta okoliczność [illegible]ż stworzył nowe krainy miłości. Związek mężczyzny i k[illegible]kie zadanie i znaczenie w naturze, a tém samém i w s[illegible]-na tym związku, można powiedzieć, osadzone są fundam[illegible] towarzystwa ludzkiego. W dziedzinie sztuki i poezyi miłość [illegible] jg[illegible]dzi odgrywa bardzo często najważniejszą rolę. Nadać więc temu uczuciu kierunek prawdziwy, uszlachetnić je, otoczyć blaskiem idealności, znaczyło tyle, co wlać w społeczeństwo i poezyę tyléż podnioślejszych myśli i uczuć i uduchownić je. Stosunek kobiety do mężczyzny daje, jak wiadomo, do pewnego stopnia miarę cywilizacyi narodów; nie popełnimy przeto przesady, jeśli powiemy, że wszelki postęp na téj drodze jest także postępem narodowego wykształcenia.

Najwznioślejszym a zarazem najradykalniejszym wyrazem tego uczucia jest czwarta część Dziadów. Wiele miał racyi Mochnacki, mówiąc, że od czasów Romea i Julii nikt nie wyśpiewał piękniejszéj pieśni o miłości. Najwymowniejszym w téj pieśni jest kontrast otaczającego świata do uczucia, walka konwencyonalności z miłością. Rozsądek i zwyczaje społeczne pozornie biorą nad nią górę —ale walka, tu skończona, ciągnie się daléj w sferach idealnych, i tam uczucie odnosi stanowczo zwycięztwo. Namiętność w nieszczęśliwym bohaterze tego poematu dochodzi do marzycielstwa, i to właśnie sprawę uczucia ratuje. Wymarzył on sobie idealny związek nie dwóch osób, ale dwóch dusz— związek, którego rozerwać nie zdoła nietylko śmierć, ale nawet śluby małżeńskie przez jednę z tych osób z innym człowiekiem zawarte. Gustaw, który stracił Marylę na ziemi, spodziewa się odzyskać ją w niebie, a co więcéj, mimo jéj wiarołomstwa, nie przestaje jéj kochać. Jest to wistocie apoteoza miłości i tryumf miłości wsferach abstrakcyjnych, o jakim rzadko który poeta pomyślał — i znowu taż sama wyższość ducha nad wszelkiemi warunkami fizycznego świata.

Powiadają, i bardzo łatwo temu wierzyć, że przykład Gustawa stworzył bardzo wiele bladych kopij, w których było wszystko: cierpienia, rozpacz, narzekania, oprócz tego jednego, że w sercu nic nie było. Zalety wielkich ludzi często u ich naśladowców przemieniają się

w tyleż wad i śmieszności. Z tém wszystkiém nie zmniejsza to wartości i znaczenia poezyi Dziadów—jeśli ona choć w tysiącznéj jednostce oczyściła namiętność i jéj uczuciu dodała choć jeden światlejszy promyk. W każdym razie przyznać należy, że ona musiała się przyczynić do zaszczepienia w umysłach pewnego idealizmu, bez ktorego nigdzie niema ani nie było cywilizacyi.

Wreszcie pomiędzy pierwszemi utworami litewskiego wieszcza mamy także Grażynę, poemat będący w dziwnéj harmonii z resztą płodów z pierwszéj jego epoki. Nie będę się zastanawiał nad jego wartością artystyczną i literacką—wystarczy powiedzieć, że był on stokroć lepszą epiczną pracą od wszystkich robót tego rodzaju naszych pseudoklasyków, tak wiele rozprawiających o epopei i mających zawsze na ustach Homera i Wirgiliusza. Główną uwagę musimy tu zwrócić na ideę tego poematu, którą jest poświęcenie. Nie bez téj logicznéj konieczności, która często, mimo nawet ich wiedzy, kieruje ludźmi, za wyobraziciela téj cnoty obrał poeta kobietę, t. j. tę właśnie połowę rodu ludzkiego, w któréj według praw natury nad wszystkiemi władzami duszy góruje uczucie.

Cały naród, z małemi wyjątkami, uznał w Mickiewiczu, zaraz za pierwszém pojawieniem się, narodowego wieszcza. Wpływ jego był ogromny, niewidziany w dziejach polskiéj poezyi. Zapalił on serca, podniósł myśli i zawładnął nad niemi. Odtąd przez długi czas miał téż nad niemi panować.

Były to właśnie czasy ciężkie i niespokojne. W czasie najważniejszym, ostatnie kilka lat przed 29 listopada, Mickiewicz przepędzał w Rosyi. Zdawało się, że związek między poetą a krajem został zerwany. Tak jednakże nie było. Ta nić duchowéj spólności, którą Mickiewicz nawiązał wcześnie w swém sercu, rozciągnęła się, ale nie pękła. Poeta, nienależący w niczém do ówczesnych prac politycznych, w duchu swoim zajęty był tąż samą myślą, która cały kraj owładnęła. Idee polityczne, zamiary, w najbliższéj przyszłości mające się spełnić, zajmowały żywo jego wyobraźnię, aż wreszcie znalazły dla siebie wyraz w kreacyach poetycznych.

Za pierwszy polityczny poemat Mickiewicza, zdaje mi się, można uważać Odę do młodości. Był to program przyszłości w najogólniejszych zarysach. Istniejący porządek trzeba było zburzyć, bo nie było w nim ani wolności, ani światła, ani miłości—tylko... ciemnota i nienawiść. Tę rolę pchnięcia ludzkości na nowe tory poeta przeznaczał dla młodości, uważając tém samém rozsądek i doświadczenie za rzeczy przy tém przebrażeniu niepotrzebne, a nawet zawadzające. Wiadomą jest rzeczą, ile zarzutów i skarg posypało się z téj przyczyny na niego. Byli ludzie, których Oda do młodości przyprawiała o wściekłość, i kiedy poeta już umarł, ci ludzie, także już nad grobem stojący, nie mogli mu jéj zapomnieć i rzucali na jego mogiłę obelgami. Na ten zarzut, że zwykle ludzie młodzi w obronie owéj sławnéj Ody stają, możnaby im także odpowiedzieć, że i ich wyrok nie jest bezstronny, bo go wydają kiedy są już starymi. Ale po co ten spór niepotrzebny! prawda leży

w istocie rzeczy, a poeta posłuchał tylko natchnienia natury. Czyż można żądać od jesieni, ażeby się przystroiła w kwiaty wiosny, albo od zimy, aby wydawała owoce lata? Jeżeli przypuścimy potrzebę zmiany i postępu w świecie, musimy to zadanie zostawić młodości, bo starość pewnie go się nie podejmie. Chyba, że postęp nie ma istnieć w świecie... wtenczas podrzyjmy księgę dziejów i zaprzyjmy się naszéj cywilizacyi.

Uczucie kraju nie polemizowało jednakże w ten sposób z poetą, ale przyjęło jego słowa sercem, tak jak one z serca powstały.

Witaj jutrzenko.......
Za tobą zbawienia słońce!

Oto sens moralny, jaki znaleziono w Odzie do młodości, a który odpowiadał tak dobrze ówczesnym pragnieniom i nadziejom. Uczuciem odgadnięto, że w formie wzniosłéj, pełnéj ognia i zapału ody, poeta wyśpiewał pieśń gwałtownych przemian—a czy te przemiany miały się udać czy nie, tego wówczas nie badano, nie zastanawiano się nad tém, a tém bardziéj nie wymagano, aby się nad tém zastanawiała poezya. Gdyby to było zadaniem poezyi, natenczas musiałaby się wyrzec właściwych sobie i daleko szczytniejszych przymiotów. Jéj przeznaczeniem jest: widzieć bezwzględną prawdę, stwarzać ideały—winą zaś to jest innych ludzi nie poetów, jeśli świat dalekim jest od prawdy, jeśli na nim niema ideałów.

## III.

Konrad Wallenrod, napisany w czasie przymusowego pobytu Mickiewicza w Rosyi (r. 1827 był już gotowy w rękopisie), jako utwór sztuki i przez wpływ, jaki wywarł na swój czas, większe jeszcze ma znaczenie. Epoka spisków i tajnych towarzystw znalazła w nim swoje wyobrażenie. Ze strony psychicznéj badając jego genezę, jest on także wynikiem ówczesnego stanu moralnego i zewnętrznego położenia, w jakiém był poeta. Mickiewicz sam zalicza ten czas do najszczęśliwszych chwil swego życia. Pobyt w Moskwie i Petersburgu był dla niego czasem owacyj i tryumfów, jakich nigdy, w kraju będąc, nie doznawał. Uwielbiany przez świat wyższy w obu stolicach, zapraszany do arystokratycznych salonów, przyjęty mile i zaszczytnie przez najpierwszych poetów i literatów rosyjskich, pędził życie swobodne i pełne rozmaitości. Do tego trzeba wiedzieć, że młodzieńcze burze, wichrzące w jego piersi, ucichły. Jeszcze więzienie u bazylianów w Wilnie wyleczyło go ze smutków młodości i owéj melancholii, w jaką wtrąciła go nieszczęśliwa miłość, a poczęści także zapewne i owo romantyczne rozmarzenie ducha, niezadowolnione z istniejących stosunków i każdéj, jakąby ona była, rzeczywistości. Realne cierpienia, porównanie swoich osobistych nieszczęść z ogromem klęsk co chwila spadającym na cały naród, zmężniły umysł młodego marzyciela i dodały mu hartu.

Taki więc zahartowany przybył już do Rosyi. Ta okoliczność, że oddalił się od stron rodzinnych i stracił z oczu chwilowe i smutne obrazy jakich tam wtenczas nie brakło, jako też, że osobiste stosunki były tak dla

niego pomyślne — to wszystko mogło sprawić bardzo naturalnie, że poeta cieszył się swobodą umysłu, dotąd niedoznawaną. Ztąd powstały nawet na niego skargi o obojętność dla sprawy narodowéj, zapomnienie swego szczytnego powołania i t. p. Najszczersi przyjaciele Mickiewicza podobne wyrzuty czynili mu w swoich listach, a pomiędzy innymi jeden z najdawniejszych towarzyszy, J. Czeczot. Mickiewicz bronił się jednak przeciw podobnym przypuszczeniom, przyznając jedynie, że jego spokojność umysłu jest tylko indywidualną, że tylko od indywidualnych namiętności jest wolny,— i każąc się tym sposobem domyślać, że wszystko to, co zamąca myśli jego przyjaciołom, co wstrząsa gwałtownie ich sercami, w jego duszy zarówno ma siedlisko. Ale najlepszą obroną jest w téj mierze dzieło, które wówczas utworzył: Konrad Wallenrod.

Treść historyczną, jaką znalazł do swego poematu w dawnych kronikach, poeta nagiął do swego położenia i osobistości. Konrad Wallenrod, przebywający między Krzyżakami jako przyjaciel i członek ich zakonu, jest bezwątpienia wyobrażeniem poety, który żył wówczas między obcymi, a z uczuciami swojemi taić się musiał. Gdzieidziéj miałem sposobność wykazać, o ile historya dodała poecie wątku i w jaki sposób przez niego przekształconą została.

Mianowicie ten pomysł poety, że Konrad Wallenrod był Litwinem i że klęski, jakich zakon za jego rządów doznał, były z umysłu i z planu na Krzyżaków sprowadzone, zrobiły z niego innego zupełnie człowieka, inną postać, niż prawdziwy, historyczny Wallenrod. W tym domyśle poetycznym leży téż całe znaczenie poematu. Wallenrod staje się przez to mścicielem ojczyzny, który dla téj myśli swojéj poświęcił najdroższe uczucia serca, miłość Aldony, porzucił kraj i współziomków, skazując się na długą wędrówkę między obcymi i na nienawistny pobyt między wrogami, a co więcéj, który dla téj miłości swego narodu dopuścił się zbrodni prywatnéj, mordując prawdziwego Wallenroda w Palestynie, i zbrodni politycznéj, kiedy oszukał swych nieprzyjaciół tak dalece, że mu władzę nad sobą oddali, i mając ją w ręku, naprowadził ich podstępnie na zgubę.

Ale Konrad Wallenrod mógł powiedzieć, że nie miał innego wyboru. Ojczyzna podbita i pokonana nie miała siły walczyć wstępnym bojem z nieprzyjacielem przemożnym, więc Konrad wyrył sobie głęboko w sercu tę zasadę, jaką w młodości słyszał niegdyś z ust Halbana:

. . . . . . jedyna broń niewolników jest zdrada.

Zasada bezwątpienia niemoralna i przypominająca inną podobną, że cel uświęca środki. Niejednokrotnie téż z rozmaitych obozów wychodziły zarzuty na poetę, jakoby tego rodzaju idee chciał w umysł narodowy wszczepiać. I ze stanowiska religijnego i patryotycznego powstawano przeciw téj zasadzie. Ogół wszelako sądził inaczéj i inne z poematu wysnuwał wnioski, które ani religii, ani polityce, ani obywatelstwu się nie sprzeciwiały. W Konradzie Wallenrodzie ujrzano, w pierwszych

czasach pojawienia się jego, nie zdradę, krzywemi drogami wiodącą do szlachetnego celu, ale wielką miłość kraju, która nie szczędzi żadnego poświęcenia. Próżne były, zdaje się, obawy, aby bohater Mickiewiczowski mógł spaczyć charakter narodowy i nauczyć go tak zwanéj machiawelistycznéj polityki; prędzéj możnaby mu zarzucić inną ujemną stronę, a mianowicie zwątpienie i pewnego rodzaju rozpacz. Bo Wallenrod nie myśli o niczém inném, tylko o zemście, o zniszczeniu nieprzyjaciół, to zaś, coby potém uczynić można dla kraju swego, w jaki sposób możnaby [illegible]pszyć, to, zdaje się, zupełnie w jego planach nie stało [illegible]go, że mu się wydawało rzeczą niepodobną do spełnien[illegible]

Charakter Wallenr[illegible]m artystycznym niedostatecznie wykończony; do tego w[illegible]enia się domieszana jakaś słabość, brak decyzyi i se[illegible]szcze więcéj czynią widoczną tę ujemną stronę, gdyb[illegible]iecznie jéj się dopatrywać i nie widzieć szczególnie ty[illegible]śli poety, jaką tchnął w swój utwór.

Nietylko własne p[illegible]e uczucia skreślił poeta w tym utworze. Konrad Walle[illegible]oetycznem odbiciem całego stanu owej epoki, oddanéj, jak już powiedzieliśmy, spiskom, sprzysiężeniom, wogóle tajnym przygotowaniom do mającego nastąpić wybuchu. Poeta i tu stał się echem i wyobrazicielem swego czasu, lecz ze swastrony także na ducha i umysły współczesne niezmiernie wpłynął. Wrażenie tego poematu, tak cudownego szczególniéj w pojedyńczych obrazach i scenach, było ogromne. Zrozumiano odrazu allegoryę, jaką poeta prawdziwą myśl okrył, a słowa o poświęceniu i miłości dla kraju nowego zapału dodały sercom, trawionym podobnemi myślami. Przyjaciele i nieprzyjaciele Mickiewicza przyznają, że Konrad Wallenrod wraz z Odą do młodości przyczyniły się wiele do przemian społecznych. „Mickiewicz był minstrelem, a raczéj Wajdelotą ostatniéj przemiany," powiada jeden polityczny i literacki jego przeciwnik. Ktoś inny swojem bystrém okiem spostrzegał w duchu i zamiarze poematu „piekielne nauki." Podobno także Konrad Wallenrod był głównie przyczyną, że Mickiewicz nagle opuścił miejsce swego zamieszkania.

Do téj samé/j epoki należący „Farys" w tym samym napisany jest duchu i tworzy pewnego rodzaju *pendant* do Ody do młodości. Taż sama zapędliwość ducha, toż samo zuchwalstwo myśli. Farys w swéj jeździe po pustyni nie da odstraszyć się ani wstrzymać żadnemi trudnościami, z męzką dumą wszystkie zwalcza, przebywa stepy i góry, stacza walkę z huraganami i wszystko zwycięża, aby w głębi pustyni odetchnąć szeroką piersią swobodnie, jako wolny człowiek. Znaléźć w nim alluzyę do ówczesnych stosunków i usposobienia bardzo łatwo, i w ten sposób zapewne brano wtenczas wszystko, co wyszło z pod pióra poety, zwłaszcza, że bez symbolu, bez allegoryi o podobnych rzeczach mówić nie było można.

Nastąpił wreszcie dzień 29 listopada i dziewięciomiesięczna walka. W tym czasie Mickiewicz był daleko, w Rzymie, i przez ciąg powstania

na placu boju nie postawił nogi. Zarzucano to nieraz Mickiewiczowi; jeden z młodszych poetów napisał wiersz pełen żółci i ironii, posądzając go o brak odwagi i obojętność. Ale Mickiewicz w rzeczy saméj nie miał co robić wtedy, kiedy słowo stało się czynem. Poezya, przysposabiając umysły, skończyła już swoję rolę. Kiedy wydarzenia ze sfery duchowéj przeszły w rzeczywistość, tam poezya, a szczególnie taka jak Mickiewiczowska, wysoko duchowa, w sferach ideału się obracająca, straciła już swoję moc i znaczenie. Trudno od niéj żądać, aby kierowała krokami politycznemi albo ruchami wojsk—a to wtenczas było głównie na porządku dziennym. Znane jest mniemanie Platona o ideach wszechrzeczy w nadświatowych sferach umieszczonych, kiedy już kształty ich zmysłowe w materyalnych objawach się urzeczywistniły. Coś podobnego dzieje się także z poezyą. Kiedy zapłodni umysły swojemi pojęciami i uczuciem, unosi się w idealne krainy, z rzeczywistością spraw i wydarzeń nie chcąc mieć nic wspólnego. Tak samo i Mickiewicz, jak czarodziéj, co zaklął i wywołał duchy, usunął się ze sceny, na któréj teraz one same swoje role odegrać miały.

Mickiewiczowska poezya nie była także do tego zdolna, aby się stać wojenną surmą, budzącą zapał i męztwo podczas bitwy. Nie waham się powiedzieć, że była do tego zawysoką, zawzniosłą. Mickiewicz napisał kilka wierszy okolicznościowych podczas rewolucyi, ale te nie dochodzą miary innych jego dzieł i niższe są nawet od niektórych utworów w tym rodzaju innych poetów.

Rewolucya znalazła innych dla siebie poetów. Gaszyński, Garczyński, Gosławski i inni śpiewali pieśni obywatelskie i wojenne. Słowacki dał się także poznać po raz pierwszy kilku rewolucyjnemi wierszami. Ale najsilniejszym płodem téj muzy są „Pieśni Janusza" (Wincentego Pola). Znaczenie ich nie było tylko chwilowe. W Pieśniach Janusza w dziwny sposób nastąpiło to zespolenie poezyi z rzeczywistością, którego trudno było dokonać natchnieniu Mickiewicza. Pisane na bębnie w obozie, w czasie marszu, niemal we wrzawie bitwy, oddychają one tém powietrzem wojenném, czuć w nich, powiedziałbym, zapach prochu i słychać szczęk szabli. Wojownicy Janusza nie są to jacyś fantastyczni rycerze, na kosmopolityczny sposób zarojeni, jak się to często daje widzieć w innych utworach tego rodzaju; są to z ciałem i kośćmi... żołnierze, uderzający junacko na armaty, drwiący sobie z nieprzyjaciela, umizgający się w czasie marszu lub na placówce do dziewcząt, grackie ułany, bohaterskie bez wszelkiéj fanfaronady czwartaki,—żołnierze, którzy ze swobodną myślą i sercem idą w ogień. Jest tam także i szlachta sejmikująca według dawnych tradycyj, z zamiłowaniem oddana dysputom politycznym i przy szklance miodu decydująca o losach kraju i Europy; są zakonnicy, jest wreszcie i lud, w znakach i zjawiskach niebieskich szukający wróżby przyszłości.

Z rewolucyą 29 listopada kończy się zarazem pierwsza doba nowéj poezyi; w téj epoce możnaby ją nazwać poezyą wojującą. Walka tak nazwana klasyków i romantyków toczy się w téj epoce. Na polu

teoretyczném kończy ją w przeddzień powstania M. Mochnacki swoją książką „O literaturze XIX wieku,” z któréj wydaniem się śpieszył, aby jéj nie wyprzedziły wypadki polityczne, a z drugiéj strony dla niéj odwlekał wybuch powstania. O téj walce bardzo już wiele pisano i w rozmaity sposób charakteryzowano występujące w niéj obozy. Najlepiéj podobno skreślił ją Mickiewicz w „Prelekcyach literatury słowiańskiéj,” mówiąc, że to była walka o panowanie nad duchem narodu ludzi genialnych i ludzi rutyny, bez natchnienia i ducha. Zwycięztwo z prawa silniejszego zostało przy pierwszych. Dowiodła téż ta nowa poezya i na polu praktyczném, przez swój wpływ na umysły, swojéj siły i znaczenia. Przez lat dziesięć była ona kierownikiem i sterownikiem myśli i uczuć narodu, towarzyszyła pochodowi jego dziejów, była wyrazem jego dążności. Przyczyniła się wreszcie, jak widzieliśmy, do wywołania faktu historycznego wielkiéj dla nas doniosłości; przez ciąg wypadków służyła także często za godła i hasła; wiersze z Ody albo z Konrada Wallenroda stały się popularnemi we wszystkich sferach społeczeństwa.

Ta poezya, zespoliwszy się tak silnie z wypadkami historycznemi, dotknęła się tym sposobem ziemi. I wyszło jéj to na dobre, jak owemu bohaterowi mitologicznemu, który ilekroć dotknął nogą ziemi, nowych sił nabierał. Dotychczas bowiem ta nowa poezya miała niejeden obcy żywioł w sobie i nierzadko cudzoziemskim charakterem się powlekała. Pierwsze idee i przykłady téj poezyi przyszły do nas z zagranicy, z poezyi tak nazwanéj romantycznéj. Nie można zaprzeczyć wpływu obczyzny nawet na najpierwszych ówczesnych poetów naszych: Byrona widać nieraz w Maryi Malczeskiego, w Konradzie Wallenrodzie; wpływ Szyllera i Göthego udzielał się Mickiewiczowi w Balladach i w Dziadach. Mickiewicz w swojéj korespondencyi wyraźnie przyznaje się do tych dwóch wpływów, początkowo na niego działających: angielszczyzny i niemieczczyzny. Poezya jednakowoż, która przez kilka lat istnienia tak bardzo w życie duchowe narodu się wplotła, była wróżką i apostołką krwawych wypadków, ich świadkiem i towarzyszem,—musiała przez to samo pozbyć się tych znamion obcego pochodzenia, jakie jeszcze na niéj były, i uwolnić się z pod wpływu cudzoziemczyzny. Ważne w teraźniejszości i dla następnych pokoleń wydarzenia musiały stać się dla niéj treścią obfitą, z któréj mogła nadal czerpać, jako już ze swego własnego skarbca. Jéj przeznaczeniem teraz być musiało: opiewać te wypadki, które głęboko odczuł cały naród, jako téż, ponieważ te usiłowania nie doprowadziły do pożądanego celu, szukać znowu nowéj drogi, nowych idej, któreby zdolne były podtrzymać słabe nadzieje i nie dać upaść wierze w polepszenie. Jak gdyby podsycona tą krwią niedawno wylaną, poezya rosła daléj z nową potęgą, i jak w pierwszym lat dziesiątku, kiedy szła jeszcze za prądem całéj Europy, nazywała się romantyczną, tak odtąd porzuciła tę nazwę i mogła się nazwać narodową, bo z życia narodu, z ojczystego jedynie gruntu i z tego ziarna krwawych i bolesnych wydarzeń, czerpała swoje siły i swoję treść duchową.

Jak wogóle cała prawie literatura, tak szczególnie poezya po

upadku powstania przeniosła się w obcą ziemię, na emigracyę. Wszyscy poeci, znani jeszcze przed rewolucyą, jak i ci, co podczas powstania dopiero poznać się dali, mniéj albo więcéj skompromitowani, musieli opuścić ojczyznę. Ta okoliczność, że poezya przez długi czas prawie wyłącznie poza granicami kraju żyje i rozwija się, należy do jéj cech charakterystycznych.

Przez następnych mniéj więcéj lat dziesięć Mickiewicz tak jak przedtém dzierży panowanie nad umysłem narodu. W czasie tych lat dziesięciu pojawiają się wprawdzie inni znakomici poeci, z nowemi występujący ideami, ale wpływ Mickiewicza ich przygłusza i dochodzą oni do znaczenia i do kierownictwa nad umysłami dopiero późniéj, a po najwiękazéj części w czasach nam już bardzo blizkich i najbliższych.

## IV.

Sprawa upadła, lutnia polska wylała nad tém także łez kilka... Tu znowu kilka pięknych pieśni Pola, do Pieśni Janusza policzonych. Oczekiwano, ażeby i Mickiewicz uczcił jakim poematem najświeższe wypadki, ale prócz kilku pomniejszych wierszy, późniéj dopiero wydanych, o jednym epizodzie powstania, nie mamy nic, coby pokazywało, że duch poety przejęty był wydarzeniami chwili. Jednak Mickiewicz wkrótce, bo w r. 1832, wydał poemat ściśle polityczny: trzecią część Dziadów.

Zkąd się dostała ta nazwa poematowi, w którym niema nic o tym obrządku starożytnéj Litwy i zaledwie ostatnia, krótka scena nam go przypomina? Z tego powodu, że jest on w bezpośrednim związku z poematem przed laty dziesięciu pod tym tytułem wydanym, a łączy je z sobą nie jedność idei i treści, lecz jedność osoby. Bohater jest ten sam. Przypominacie sobie owego Gustawa, co w rozpaczy po stracie kochanki uległ moralnéj śmierci, przestał żyć dla świata, ażeby żyć dla swojéj boleści i wspomnień serca. Ten Gustaw umiera po raz drugi. W prologu poematu pierwszą osobą, którą spotykamy, jest Gustaw w samotnéj celi, czyli raczéj jest to Mickiewicz. Na ścianie więzienia pisze on słowa łacińskie, znaczące: „Gustaw umarł 1823 r. 1-go listopada,"— na drugiéj zaś stronie: „Tu narodził się Konrad 1823 r. 1-go listopada." Jest-to więc chwila, w któréj odbyła się moralna metampsychoza bohatera i poety. Gustaw i osobiste uczucia, miłość i jéj cierpienia umierają, a rodzi się w nim Konrad, który kocha nie osobę, ale kraj cały,—który cierpi nie z powodu osobistych nieszczęść, ale smutkami kraju,—który życie ma poświęcić nie marzeniom miłości, ale myśli o losach kraju.

Zapytywano nieraz, dlaczego Mickiewicz już po dokonanym fakcie zwrócił się ku dawniejszéj przeszłości. Wypłynęło to z natury jego geniuszu. Są poeci, którzy przedewszystkiém lubią to idealizować, w świat poezyi przenosić, co sami przeżyli, co ich bezpośrednio dotknęło. Tak czynił zawsze Göthe, tak Dante umieścił siebie w pośrodku swoich sfer zaświatowych, nieba, czyśca i piekła, tak

Byron wcielał się zawsze w swoich bohaterów, pokazując, że oni są właściwie tylko nim, tym poetą, co ich stworzył. Tak u Mickiewicza w wielu balladach, w czwartéj części Dziadów, w Wallenrodzie, własne doświadczenie dało treść i było pobudką do tworzenia. Z wypadków politycznych losy „filaretów“ i „promienistych,“ które wraz z innymi podzielał, najlepiéj zapewne odczuwał; dlatego swych towarzyszy i siebie zrobił bohaterami swego poematu.

W wyborze tego tematu było także wiele szczęśliwego instynktu poetycznego. Krwawa karta ówczesnych dziejów Polski staje się przez to jeszcze tragiczniejsza [illegible] ateczny czyn, nie wybuch powstania, ale przygotow [illegible] e wrzące nienawiścią i cierpieniem żywioły, które w [illegible] ły, są przed nasze oczy postawione. Wiadomo, że [illegible] niejsze są, większy artystyczny efekt czynią te psychic [illegible] walki namiętności, które katastrofę sprowadzają, ni [illegible] pzanie. Gdyby nam tak sucho powiedziano, że Otello [illegible] ani dla niego, ani dla niéj nie czulibyśmy tyle sympat [illegible] tenczas, kiedy widzimy Otella pasującego się z zazdro [illegible] ującego się tym jadem, a Desdemonę z całą naiwno [illegible] fałszywe kroki i biegnącą bez przeczucia w przepaść. [illegible] cy mieli ten zmysł wysoko artystyczny, że takie katastrofy, szczególnie jeśli to były zabójstwa na sobie lub innych dokonywane, usuwali z przed oczu publiczności. Fantazya widzów miała przez to otwarte niezmierzone pole, podrażniona mogła sobie stwarzać większe efekta, niżby to zdołał uczynić na scenie poeta.

Konrad w pierwszych scenach poematu prawie ciągle milczał, nie brał udziału w rozmowie, nie opowiadał o prześladowaniach, nie robił nad niemi uwag jak inni. Słuchał tylko wszystkiego, jakby zbierał z tych opowiadań dla siebie zasób myśli i uczuć. Wybuchnął dziką pieśnią, porwany jakiémś widzeniem, skreślił je w niezrozumiałych słowach — ale wylał wezbrane fale ducha dopiero wtenczas, kiedy go towarzysze w celi opuścili, kiedy został w samotności. Swych uczuć i myśli nie mógł wypowiedzieć przed ludzmi, bo na to brak mu było słów, mowa straciła swoję moc tam, gdzie tylko duch mógłby do ducha bezpośrednio przemawiać. A zresztą ktożby zdołał pojąć całe jego uczucie? Jego pieśni głos mógł tylko grzmieć w głębiach jego duszy, albo na wysokościach niebios. Bóg i natura mogą tylko słuchać tego śpiewu, który odpowiada ich wielkości, bo jak oni jest nieśmiertelnością. Ta wiedza tworzenia nieśmiertelności obudza w poecie dumę, szczytne poznanie swych sił, tak, że nietylko czuje się w téj chwili wyższym nad wszystkich poetów, ale także zbliżonym przez ten swój przymiot do wszechmocności Boga. Mocą ducha swego chce on się przeto wznieść ponad światy, w te sfery, gdzie się stykają z sobą świat materyalny i Duch panujący nad nim, jego twórca, a celem téj drogi jego jest przyjrzéć się, kto jest tym, który światem rządzi, według jakich praw sprawuje te rządy, jakie są jego zamiary i uczucia dla ludzkości.

Naprzeciw Stwórcy staje poeta uzbrojony w dwie potęgi: w potęgę myśli, a więcéj jeszcze w potęgę uczucia, którém ukochał nie jedne-

;złowieka, nie jedno grono wybranych przyjaciół, nie ludzi spół-
mych sobie, ale cały kraj w jego przeszłości i przyszłości. Przez
moc uczucia czuje się uprawnionym żądać od Boga, aby mu
ał władzę nad duszami ludzkiemi, i tém uczuciem, które ma,
e rządzić niemi, bo przekonany jest, że gdyby świat poszedł za
) wolą, za temi pojęciami idealnemi o doskonałości, jakie w duszy
lkiego poety powstać mogą, mógłby osięgnąć to, czego nie ma, o co
czy, nad brakiem czego cierpi — to jest mógłby być szczęśliwym.
iejące stosunki, taki porządek, jaki jest na świecie, nie zadawalniają
ty, obudzają w nim pogardę, boleść, i świat z niemi wydaje mu się
małym, tak nikczemnym, że należy wątpić czy jest dziełem dobroci
kiéj, że siłą ducha możnaby go łatwo przemienić, zburzyć, a na to
jsce zaprowadzić inny stan rzeczy, któryby ludzkość uszczęśliwił.
y dokonać tego, poecie potrzebna jest tylko ta władza nad duszami
;zuciami ludzi, jaką ma Bóg—téj władzy więc domaga się od niego.

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wywrzéć na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzę mém skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę:

Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno:
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie!

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tém się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!
Mówią, że Ty tak władasz!

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył:
Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył
I większe niźli Ty zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Ale na to żądanie w odpowiedzi odbiera: milczenie. Bóg nie
ychyla się do jego prośby. Prośba ta zatém musi się sprzeciwiać je-
zamiarom. Ten porządek świata, jaki poeta chciałby zniszczyć,
ienić, jemu musi się podobać, dlatego zapewne, że łzy, boleści i cier-
nia świata niczém są u niego wobec jego wyroków i planów — że
; nie jest miłością, ale zimnym rozumem.

Milczysz! milczysz!— Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,
Zrozumiałem coś Ty jest i jakeś Ty władał.
Kłamca, kto Ciebie nazwał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą,
Myślą, nie sercem, składy broni Twéj wyśledzą.

Konrad pojmujący świat uczuciem, pragnący to uczucie nadać

za najwyższe prawo ludzkości, aby w niéj mogły zapanować sprawiedliwość i szczęście,— Konrad, którego całe życie, cały duch skupił się w uczuciu, tego Boga, przyglądającego się chłodno krwawym dziejom świata, wyzywa przeto do walki, czując się silniejszym w téj mierze od niego, i żąda zdania rachunku, dlaczego przeznaczył ludzkości za ziemską dolę takie męczarnie i katusze:

...Jeszcze raz Ciebie wyzywam—
Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam —
Milczysz? — Wszakżeś z szatanem walczył osobiście?
Wyzywam Cię uroczyście!

Nie gardź mną: ja nie jeden. Choć sam tu wzniesiony,
Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,
Mam ja za sobą wojska, i mocy, i trony:
Jeśli ja będę bluźnierca.

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niźli szatan.
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca!
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem...

I na to wyzwanie żaden głos z nieba nie odpowiedział Konradowi. Przejęty zgrozą i bólem, chce krzyknąć z głębi serca, aby obwołać Stwórcę nie Ojcem świata ale tyranem, kiedy w téj chwili wysilony na duchu, przerażony zuchwalstwem swego zamiaru, pada bez przytomności na ziemię.

Trudno było wyśpiewać szczytniejszą pieśń boleści! Boleść to jest tak wielka, że dusza podnosi bunt przeciwko Bogu, rzucając w niebo to pytanie: dlaczego świat cierpi? dlaczego są narody tak nieszczęśliwe? Przecież Bóg, który jest twórcą i rządzcą świata, nie powinienby tego dopuścić — bo wszystko to musi się dziać zgodnie z jego wolą...

Krzyk to rozpaczy do ostatniéj instancyi zaniesiony, głos żądający, aby Bóg zdał sprawę z téj tajemnicy, jaką otacza swoje rządy nad światem, bo rozum ludzki ani serce ludzkie pojąć nie może, dlaczego te sprawy Ojca świata są tak straszne i okropne. Jeżeli tylko zimny rozum rządzi światem, jeśli Stwórca dla swego stworzenia nie ma serca — natenczas duch poety wypowie mu posłuszeństwo, wyrzeknie się jego ojcowstwa, wyda mu wojnę jak nieprzyjacielowi, a to w imię cierpień swoich bliźnich, dla których ma więcéj uczucia niżli On.

Gorszono się też tą improwizacyą Konrada, widziano w niéj dumę i bluźnierstwo. Jednak nawet w księgach starego zakonu mamy pieśni Joba, treścią swoją bardzo do niéj podobne. To pytanie: dlaczego istnieje zło i nieszczęście na świecie, nigdy podobno nie przestanie zajmować wyższe duchy i czujące mocno dusze. Jest to jedna z zagadek tego świata, a nie można brać za złe tym śmiałym umysłom, które puszczą się nawet w ciemny labirynt zwątpienia, aby tylko znaléźć jéj rozwiązanie. Pytanie to jest całkiem naturalne w rozumie ludzkim, naturalną także i boleść, jaką sprawia ta niedocieczona tajemnica. Na uniewinnienie poety możnaby powiedziéć, że najczystsze dusze, najszlachetniejsze serca właśnie podobne pytania

podnoszą: odsłaniają te bolejące rany ludzkości, wiedzione miłością i współczuciem dla cierpiących. Bóg też pewnie ani takich skarg, ani takich buntów za grzech im nie poczyta.

Bóg nie odpowiedział Konradowi, my jednak mamy tę odpowiedź i wytłumaczenie strasznéj zagadki. Otrzymujemy je w dalszym ciągu poematu, w celi księdza Piotra. I on, jak Konrad, czuje głęboko swe cierpienia, ale zanosi je przed tron Boga z pokorą ducha. Dla téj to zapewne przyczyny, poeta, chrześcijańskiém uczuciem wiedziony, pozwolił jemu widziéć w objawieniu to, co dla Konrada, szturmującego do nieba z tytaniczną dumą, pozostało zakryte.

V.

Kto miał być owym zapowiedzianym przez poetę Mesyaszem, rozmaicie odgadywano, bo do słów jego wielką przywiązywano wagę. Powszechne niemal było mniemanie, że poeta miał na myśli jakiegoś pewnego człowieka, znanego jemu i innym. Domyslano się więc, że rozumiał przez owego Mesyasza samego siebie, albo Towiańskiego; to znów widziano w nim (podówczas) księcia Ludwika Napoleona (XLN, pierwsze litery nazwiska były niby owém „czterdzieści i cztery“ z widzenia ks. Piotra), a wreszcie i księcia Czartoryskiego (sorok czetery). Można jednak z pewnością powiedziéć, że Mickiewicz nie myślał o żadnéj szczególnéj osobie, a chciał skreślić obrazowo tylko postać wielkiego człowieka wogóle, jak go sobie wyobrażał. W tym samym czasie kiedy „Dziady“ na świat wychodziły, napisał Mickiewicz do jednego z pism politycznych: „O przyszłym wielkim człowieku“ i z artykułu tego widać jasno, że oprócz takiego ogólnego pojęcia, nie miał zresztą żadnego innego, nic bowiem pewnego o nim nie powiada, czyni tylko domysły i kreśli idealny jego charakter. Również owe atrybuty dawane przyszłemu Mesyaszowi w widzeniu księdza Piotra nie ściągają się bynajmniéj do pewnéj osobistości, a co ma oznaczać owe „troiste oblicze“ i „troisty tron,“ to wytłumaczył nam dostatecznie poeta w ostatniéj swojéj prelekcyi w Collége de France, przytaczającej właśnie ustęp z owego widzenia ks. Piotra. „Człowiek ten z troistém obliczem i z troistym tronem ukazał się już Izraelitom, Francuzom i Słowianom,“ ma zatém trzy oblicza dlatego, że ma trzy różne cechy tych narodowości, pomimo pewnéj wspólności ich misyjnego charakteru; ma trzy trony, bo był ideałem, władzcą duchowym trzech narodów. Jest to człowiek wyższy, z charakterem, jaki te trzy ludy tylko zdołały nadać swym wyobrazicielom—człowiek z natchnieniem bożém, poświęcający się jak Chrystus dla całéj ludzkości, rozciągający swą działalność na cały świat. W dziejach bowiem tylko tych trzech ludów, Izraelitów, Francuzów i Słowian, widzi Mickiewicz tego rodzaju misyę cywilizacyjną, humanitarną; inne narody pracują tylko dla swych szczegółowych interesów, nie dla całéj ludzkosci.

Idea mesyaniczna również jest treścią „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego.“ Jako najwyższy ideał historyi, zaraz na

pierwszych stronach Ksiąg Narodu Polskiego postawiona jest społeczność chrześcijańska, która obejmuje całą Europę pracującą w celach bożych i połączoną w braterstwo przez ewangeliczną naukę miłości. Według zdania Mickiewicza, był okres w historyi europejskiéj spełniający ten ideał, mianowicie wieki średnie. Tutaj bowiem spostrzega on fakt szczególnéj natury: wyprawy krzyżowe, będące wspólném usiłowaniem chrześcijaństwa, podjętém w celach tylko idealnych. Temu powołaniu chrześcijańskiemu sprzeniewierzyli się wkrótce królowie i odciągnęli od niego ludy. Narody odstąpiwszy Chrystusa, zaczęły sobie tworzyć osobne bóstwa, [illegible] ołdować egoistycznemu interesowi i materyalnym celo[illegible]

„Królowie tedy, [illegible] Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany i postawili je [illegible] narodów i kazali im kłaniać się i bić się za nie.

„I tak zrobili król[illegible] tów bałwana i nazwali go Honor; a był to ten sam ba[illegible] czasów pogańskich nazywał się cielcem złotym.

„Zaś Hiszpanom z[illegible] na, którego nazwał Preponderancyą polityczną, albo [illegible] czną, czyli mocą i władzą; a był to ten sam bałwan, który Asyryjczycy czcili pod imieniem Baala, a Filistynowie pod imieniem Dagona, a Rzymianie pod imieniem Jowisza.

„A zaś Anglikom zrobił król bałwana, którego nazwał Panowaniem na morzu i Handlem; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniéj Mamonem.

„A zaś Niemcom zrobiono bałwana, który się nazywał Brodsinn czyli Dobrobyt; a był to ten sam bałwan, który się nazywał dawniéj Molochem i Komusem.

„I kłaniały się ludy bałwanom swoim.“

W tym samym duchu pisane daléj i Księgi Pielgrzymstwa Polskiego. Przedewszystkiém pragnie poeta utrwalić współwygnańców wiarę, że ich nieszczęście jest tylko czasowe i że wybawienie z wygnania nastąpić musi.

„A wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający.“

Wychodztwo téż jest niby ludem wybranym między poganami Egiptu i Babilonu. Całości jéj ducha i cnót narodowych chce poeta bronić i ostrzega ją o niebezpieczeństwach zepsutej cywilizacyi, wśród któréj przebywa; napomina rodaków, aby nie przesiąkali egoizmem, materyalizmem, bałwochwalstwem mamony i rzeczy doczesnych, bo oni są jakoby apostołowie wśród pogan, przeznaczeni do dania Europie prawdziwego Boga.

Byłoby jednak szkodliwą rzeczą zastosowywać mesyanizm do polityki. Był on apoteozą bezwzględną całéj przeszłości, a takie ubóstwienie siebie samych prowadzi do zaślepienia i wytrwania w błędach. A nie ulega wątpliwości, że w obyczajach i wyobrażeniach narodu wiele było i jest do poprawienia. Polska upadła nie z winy swoich do

brych przymiotów (coś podobnego byłoby okropną nielogicznością historyi!), nie szlachetność, bezinteresowność, nie wolność ją zgubiły, ale wady tym przymiotom przeciwne: prywata możnych domów, niedbałość o swe własne sprawy, swawola całego stanu szlacheckiego, a ucisk klas niższych. Od wieku XVI począwszy, wszyscy światli i cnotliwi obywatele czuli potrzebę otrząśnięcia się z tych błędów i coraz głośniéj, coraz rozpaczliwiéj wołali o poprawę Rzeczypospolitéj!

Przepowiednia zjawienia się jakiegoś nowego Mesyasza mogłaby również być teoryą w swoich skutkach nader szkodliwą. Zbawienie w ten sposób otrzymane byłoby cudem, łaską Opatrzności, na nią więc możnaby się zdać zupełnie i nie potrzebaby do tego własnéj pracy i zasługi. A jednak historya nie potwierdza wszechmocności podobnych opatrznościowych ludzi. Wielcy mężowie, co wiedli narody, znajdowali społeczeństwa przygotowane do spełnienia wielkich dzieł i czynów. Cezar znalazł jeszcze resztki owéj *virtus romana*, téj obywatelskiéj dzielności, któréj sam padł ofiarą, umierając z ręki republikanów; Napoleon w swojéj epoce nie stał sam jeden, tylu innych wielkich ludzi oprócz niego wydała rewolucya, chociaż ich także pochłaniała. Cała rewolucya pracowała dla niego, jéj idee były natchnieniem francuzkiego narodu; Napoleon nadał tym ideom kierunek, używał ich za środki i narzędzia, i upadł, kiedy porzucił tę podstawę swego działania, na któréj założenie składały się siły całego pokolenia.

Najszczytniejszą w mesyanizmie, największą jest bezwątpienia ta idea humanitarna, którą jest nawskróś przesiąkły. Poeta ciągle o tém pamięta i ciągle to przypomina, że kraj pracował na polu dziejów nietylko dla siebie, lecz i innych uwolni z letargu. Wszędzie jego przeznaczeniem, powołaniem, celem wskazanym przez poetę, czyli raczéj dojrzanym przez niego w jéj historyi, jest dobro ludzkości. Ze szczuplejszego obrębu patryotyzmu przenosi on umysły w rozległą sferę człowieczeństwa. Nie przewaga jednego narodu nad drugim, nie zwycięztwa nad innymi, nie samolubne zamknięcie się w sobie jest jego i Polski ideałem, ale braterstwo ludów i dobro ich wspólne. Jest to najwyższy cel, jaki sobie może założyć historya. Myśliciele i poeci domyślają go się, przeczuwają go w przyszłości. Niemałą więc zasługą Mickiewicza, że był jednym z pierwszych apostołów podobnéj idei. Wszczepiał on narodowi myśli, które podnosiły go na wysoki stopień prawdziwéj cywilizacyi, prowadziły go do ideału doskonałości ludzkiéj.

Pan Tadeusz jest ostatnim utworem poetycznym Mickiewicza. Dzieło to osobliwsze między płodami poety. Nie rzuca idei w teraźniejszość, nie przynosi poglądów ani teoryj politycznych; z tendencyami dnia, z potrzebami chwilowemi nie ma nic wspólnego—jest w całém tego słowa znaczeniu obiektywną poezyą tego, dotychczas tak bardzo subiektywnego poety. Pan Tadeusz jednak wypłynął także z gorącéj miłości ojczyzny stworzyła go ta tęsknota, o któréj poeta mówi:

Litwo! ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!

Oblicze poety zwrócone w przeszłość z miłością patrzy w zwyczaje i obyczaje ojców, słusznie téż nazwano Pana Tadeusza epopeją. Czém Homer był dla Grecyi, tém jest Mickiewicz w Tadeuszu dla nas. Jak na Homerze wyrosła cała cywilizacya i historya grecka, jak za jego pośrednictwem utrzymywała się tradycya i związek między zamierzchłemi i młodszemi czasy, tak kiedyś Pan Tadeusz stanie się podobną Iliadą. Gdy resztki przeszło[illegible] żywe wspomnienia zamrą, wówczas w tym poemacie, j[illegible]wany, przechowa się charakter narodu, i z tego poematu [illegible] pokolenia będą się uczyć i poznawać te obyczaje na[illegible] powszechna cywilizacya coraz więcéj ze świata usuwa.

Odtąd twórczość poetyczna [illegible] a prawie zupełnie w Mickiewiczu. Zabiły ją zapewne kłopoty [illegible]ego życia, zajęcia profesorskie, a najwięcéj religijno-polityczna mistyka. Poeta wkrótce stał się jednym z najgorętszych zwolenników nauki Towianskiego. Czém był, czyli raczéj czém jest towianizm, bo jego echa dotąd się jeszcze odzywają, nie jest do téj chwili dostatecznie wiadomém. To jednak można za prawdę uważać, że właściwym jego twórcą był Mickiewicz. Idee mesyaniczne stanowią grunt towianizmu, i one to z ust Towianskiego powróciły znowu do Mickiewicza, a w ich abstrakcyjnych sferach rozpłynęła się jego poezya, dotarłszy do swéj ostatecznéj granicy w trzeciéj części Dziadów.

Przy końcu jego zawodu powtórzyć możemy to, o czém wspomnieliśmy już dawniéj: Mickiewicz jest twórcą całéj epoki, najsilniejszym jéj duchem i najpłodniejszym w idee. Przekonamy się o tém nawet po jego najbliższych następcach.

Może przeciw porządkowi chronologicznemu będę najprzód mówił o Krasinskim, bo poezya jego jest dalszym ciągiem Mickiewiczowskiéj, bezpośredniém jéj następstwem. Ale nie można powiedziéć, aby Krasinski daléj ją poprowadził, aby nowe wlał w nią idee — on rozszerzył je tylko, rozpostarł po obszerniejszéj przestrzeni.

Ostatni kraniec Mickiewicza jest dla niego punktem wyjścia, a zarazem osią, około któréj obraca się ciągle geniusz poety i jego kreacye.

Z wyjątkiem dwóch: „Agaj-Hana“ i „Nocy letniéj,“ wszystkie utwory Krasinskiego są poematami politycznemi, kwestye narodowe lub socyalne są ich tematem, odgrywają się one na tle historyi obecnéj lub minionéj, ale zawsze w zastosowaniu do teraźniejszości.

Mając do czynienia z podobnym poetą, dobrze jest nakreślić sobie naprzód jego ogólny pogląd na historyę. Jest on w najkrótszéj treści taki: ludzkość przeszła już dwie doby swego życia: pierwszą, pogańską

w którój tęskniła za prawdą i pracowała nad wcieleniem w siebie Ducha bożego; drugą, chrześcijańską, w którój ludzkość przez objawienie otrzymała słowo boże, ale przyjęła je za podstawę swego bytu tylko w połowie, bo jedynie w stosunkach osobistych i rodzinnych; na ewangelii utworzyła się jedynie moralność prywatna. Trzecia więc doba jest teraz konieczną i nadejdzie, doba Ducha świętego, w którój słowo boże stanie się czynem, przejdzie w stosunki międzynarodowe, kiedy miłość, ta główna zasada ewangelii, stanie się także zasadą polityczną, tak jak dotychczas była jedynie podwaliną moralności prywatnéj.

W tym poglądzie poczęści widzimy historyozofię Szellinga i cały mesyanizm Mickiewicza. Dla téj idei szukał poeta form rozmaitych i we wszystkich jego utworach ona się powtarza.

Spotykamy się z nią najprzód w Niedokończonym poemacie, wydanym najpóźniéj, już po śmierci poety, ale który uważać należy za pierwszą część Nieboskiéj komedyi. Tłem tego utworu jest poetyczna historyozofia aż do najnowszych czasów. Mamy tu ową dobę pierwszą, w którój ludzkość pracuje i mozoli się nad wydobyciem ze siebie wiekuistéj prawdy; kapłani chaldejscy i egipscy zarówno jak Platon wzdychają do niéj, pragną ją ujrzéc i przeczuwają jak w półsenném marzeniu. Z przyjściem Chrystusa ta prawda się objawia, a przez drugą dobę ciągną się trudy i krwawe prace nad wcieleniem téj prawdy i urzeczywistnieniem, nad przemienieniem słowa w czyn i życie. Pracują nad tém Albigensowie, Templaryusze, Różokrzyżowcy, Wolni mularze — sekty i stowarzyszenia potępiane i niszczone, nieraz ogniem i mieczem, przez istniejące władze: świecką i duchowną, przez tych, co rządzą światem niezgodnie z myślą i słowem Chrystusa. Przez obie więc te doby ludzkość wśród potu i krwi prze się do swego ideału — napróżno. Osięgnąć może go dopiero kiedyś w przyszłości. Tym sposobem poeta doszedł aż do chwili obecnéj. Stan teraźniejszy, jak go widzi i kreśli, nie wygląda jednak na zapowiednię blizkiego szczęścia. Ludzkości daleko jeszcze do nieba; poczęści zagrzęzła ona w piekle, poczęści cierpi w czyścu. Ustęp p. t. „Sen“ daje nam obraz tego stanu obecnego. Pieklem jest tutaj wszystko, co ma początek z podłości,—wszelka zatém niesprawiedliwość, którój doznają ludy i pewne stany. Na to piekło skazane są ciemne tłumy ludu, mordujące się na rozkaz, bez wiedzy za co i po co; proletaryat, który w nędzy zabija się, truje po fabrykach i warsztatach; daléj kobieta, którój ustawy krajowe i stosunki towarzyskie nie postawiły narówni z mężczyzną, kobieta ceniona podług wartości swego ciała—nie duszy. Piekłem jest wreszcie giełda i pieniądz, które pochłaniają wszystkie siły duchowe człowieka i czynią go sługą materyi. Czyścem znowu ziemskim nazywa poeta te cierpienia i nieszczęścia, na jakie pewna część ludzkości jest skazaną z tego właśnie powodu, że za prądem ogólnym świata iść nie chciała, że nie służyła materyalizmowi.

Z tego stanu, w jakim się świat znajduje, wyjść jednakże musi, jeżeli królestwo boże ma istniéć na ziemi. Pierwszym jego krokiem na téj drodze do góry co być musi? Usunięcie niesprawiedliwości jednych, a cierpień drugich. Świat dotąd składa się z ciemiężców i ciemiężonych;

chodzi o to, ażeby wszyscy przemienili się w ludzi wolnych i szczęśliwych. Zagadnienie trudne zaiste do rozwiązania, nasuwające się przecież mimowoli jako najwyższy ideał każdemu szlachetnemu umysłowi.

W podziemiach weneckich, w ostatniéj scenie poematu, zbierają się chóry narodów pragnących wolności. Prezes tego zgromadzenia przyjmuje młodzieńca, bohatera poematu, do tego tajemniczego związku i odkrywa mu sposób, w jaki świat dojść może do szczęścia i wolności po wiekowych walkach [illegible] Tą drogą jest miłość ewangeliczna. Przeciw tym [illegible] się głos naczelnika chóru polskiego Pankracego, — n[illegible]raża on za ideologię, za fantastyczne marzenia, „któ[illegible] pełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Słowia[illegible] musi wyglądać jako jedno morze krwi." Nie przez [illegible]czenie ma się dokonać metamorfoza świata, lecz p[illegible] zniszczenie. To, co było przeciwném dotąd dobru, p[illegible]ciu ludzkiemu, ma zginąć, być wyniszczone mieczem i [illegible]ąpienie Pankracego rodzi niezgodę w chórach narod[illegible] równo dążący do jednego celu, do wolności, dzielą się n[illegible] łonie tych wojowników wolności narodowéj powstaje w[illegible] wewnętrzna, socyalna, pod godłami arystokracyi i demokracyi.

Losom téj walki poświęcony jest drugi poemat: „Nieboska komedya." Młodzieniec dorósł tutaj w męża i stanął na czele arystokratów. Pankracy dowodzi demokracyą. Oba obozy przedstawione w ohydnem świetle, tak, że niema między niemi wyboru — jeden wart drugiego. Demokraci są nieludzcy, okrutni, mordercy i materyaliści pragnący używać; arystokraci podli, nikczemni, ludzie małego serca i ciasnego umysłu. Mąż (hrabia Henryk) nie wierzy w zasady swego stronnictwa, czuje pogardę dla niego, ale walczy do ostatniego dla dochowania wiary przeszłości, dla dumy rodowej i przez nienawiść przeciwników. Pankracy działa wszystko w złéj wierze; tych, dla dobra których niby się poświęca, używa za narzędzia swego egoizmu i dumy, niszczy i wywraca dla nasycenia pragnienia krwi i zemsty. Cały poemat, w tak rozpaczliwych kolorach przedstawiający stan społeczeństwa, robi dlatego ujemne wrażenie. Niema w niém nic dodatniego, nigdzie prawdy. Hrabia Henryk ginie samobójstwem, zwyciężony przez demokratów. Pankracy w pierwszéj chwili tryumfu upada bez duszy, rażony jakby ramieniem bożém. Zjawia się wreszcie prawda w postaci Chrystusowego krzyża, objawiającego się w téj chwili Pankracemu; umiera on wołając: *Galilaee vicisti!* — to jest przyznając fałsz swoich zasad i dążności, a prawdę tym, którzy w miłości widzieli jedynie zbawienie świata.

Pomimo tego rozwiązania łatwo zgodzić się z Mickiewiczem, który o Nieboskiéj komedyi powiedział: „poemat ten jest niczém więcéj tylko jękiem człowieka genialnego, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społecznych, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby mógł dojrzeć ich rozwiązanie." Nie wzniósł się zaś może dlatego, i

zbyt widoczny bierze współudział w téj walce, że historyczny jego pogląd i poetyczne natchnienie krępowała pewnego rodzaju namiętność. Nie patrzył bezstronném i nieuprzedzoném okiem w te sprawy, dlatego nie podniósł się do wysokości sędziego i pojednawcy. Byłoby także pytaniem, czy ten poemat jest tak bardzo narodowym, czy raczéj nie ma na sobie kosmopolitycznéj barwy. Na emigracyi pod owe czasy byli wprawdzie arystokraci i demokraci, ale ich spory i kwasy nie miały tak groźnéj postaci, nie były najważniejszą kwestyą dla narodu. Dlatego rysy, jakiemi poeta skreślił tę walkę, można znaléźć prędzéj w rewolucyi francuzkiéj, w komunie paryzkiéj 1871 r., niźli w społeczeństwie polskiém.

## VII.

W podobny sposób rozwiązuje poeta także zagadnienia polityczne. W bojach i wojnach narodów, podobnie jak w walkach socyalnych, jest siła i przemoc, a z drugiéj strony słabość i uciemiężenie; jedni więc dopuszczają się niesprawiedliwości, drudzy nienawidzą ich za to. Pojednanie może nastąpić tylko w duchu miłości.

Téj myśli poświęcony jest Irydyon. Jest to Grek, który na światowładnym Rzymie chce pomścić krzywdy i upodlenia swéj ojczyzny. Wybiera do tego drogę fałszu i podstępu, a następnie miecz i pożogę. Nie osięga jednak celu. Chrześcijanie w katakumbach odmawiają mu w stanowczéj chwili pomocy, bo Chrystus zabronił nienawidziéć nawet wrogów i rozlewać krew. Tam, gdzie Irydyon miał zwyciężyć, zwyciężają oni mocą słowa bożego, mocą duchowéj siły ewangelii. Chrześcijaństwo pokonywa stary Rzym, owłada nim, ale—wiemy to już z ogólnego poglądu poety — nie spełnia w pierwszéj dobie dziejów swojego posłannictwa; nie uwidomia się w rzeczywistości, i dawne, pogańskie zasady rządzą polityką świata.

Idea sprawiedliwości—bo w gruncie rzeczy w jéj imieniu Irydyon występował—musi jednak uzyskać zadosyćuczynienie. Irydyon téż żyje przez te długie wieki drugiéj doby, jak żyje pragnienie ludzkości dojścia do szczęścia i wolności. Spełnienie tego ideału pokazuje mu poeta w przyszłości, przenosi go w drugą ojczyznę, która ma przejść niewolę jak Grecya, ale przez którą ma się spełnić to, co było celem usiłowań Irydyona: szczęście i wolność świata. To przyrzeka mu głos boski; wybawienie narodów ma być dziełem nie zemsty, nie wojny i mordów, ale dziełem miłości zapowiedzianéj przez słowo boże, kiedy ta przejdzie w ducha ludzkości i z martwéj litery, jak dotąd, stanie się czynem.

W logicznéj analogii z poprzedniemi rozwiązuje także poeta kwestyę wiary i religii. Jego wyobrażenia w téj mierze znane nam są już poczęści z Niedokończonego poematu i z Irydyona, ale poświęcił on nadto téj kwestyi osobny utwór p. t. „Legenda.” Mamy tu powiedziane, że kościół dawny, kościół św. Piotra (ów „kościół urzędowy” z prelekcyi Mickiewicza) w niedługiéj przyszłości ma runąć, bo był tylko abstrakcyą, dogmatem, reprezentował wiarę, ale nie zastosował jéj do życia. Na jego miejsce ma powstać nowy, kościół owego „purpurowego

kardynała" z poematu, t. j. św. Jana, ukochanego przez Chrystusa apostoła, który kładł głowę na piersiach mistrza. W tym-to nowym kościele zjawi się Duch św., pocieszyciel obiecany przez Chrystusa, którego przyjście będzie spełnieniem wieków.

W takim-to czasie, kiedy świat dojdzie do ewangelicznéj doskonałości, prorokuje poeta lepszą dolę dla kraju. Czas ten ma już być blizki, a za jego poprzednika uważa poeta Napoleona, torującego nowe drogi, podobnie jak Cezar przygotował świat do chrześcijaństwa i ułatwiał jego rozszerzenie się. Idea [illegible] rozbudzona w ludach przez Napoleona, wielkiego jest [illegible] znaczenia. Ażeby ludzkość mogła utworzyć harmonię, [illegible] jedyncze tony w akordzie, muszą brzmieć czysto i zg[illegible] tryumfalną téj błogiéj przyszłości jest „Przedświt." Z bo[illegible] nieszczęść poeta podnosi się na wyżynę niebiańskiéj r[illegible] widząc w objawieniu tę przyszłość narodu.

W rażącéj niezgo[illegible] stością znalazła się jednak niedługo ta pieśń światła, [illegible]. W owe czasy na emigracyi i w kraju rozpoczął s[illegible] tyczny w celu działania na lud i złączenia się z nim. [illegible] okracyi przynajmniéj nie przyznają, ażeby w tym ruchu [illegible] oś innego, zwłaszcza nieprzyjazne zamiary przeciw szlachcie. Poeta jednak, jak wielu innych, zobaczyli w téj robocie demagogię zwiastuna socyalnéj wojny, rzezi i t. p. Ztąd powstały „Psalmy przyszłości," a szczególnie trzeci z nich „Psalm miłości," wymierzony przeciw mniemanym demagogicznym dążnościom. Poeta zaklina rodaków, aby nie kalali przeszłości, która nie znała bratobójczych wojen; przypomina zasługi szlachty, która była twórcą Polski i bez któréj niema narodu, i jedyne ocalenie widzi w jedności i miłości wzajemnéj stanów:

Jeden tylko, jeden cud·
Z szlachtą polską polski lud!

Nastąpił nieszczęsny rok 1846 i rzeź galicyjska. Poeta ujrzał w tém wydarzeniu potwierdzenie swego przeczucia i obaw, dowód słuszności swoich poetycznych widzeń i przestróg. Dowód to jednakowoż, jak powiemy niżéj, więcéj pozorny niż rzeczywisty. Wskutek tych krwawych wydarzeń powstały znowu dwa nowe „Psalmy" (Żalu i Dobréj woli), które pokazują najmocniejsze utrwalenie poety w jego politycznéj wierze i w natchnieniu, które mu przynosił duch jego poezyi. Najwyższym szczytem tego poetycznego optymizmu, z jakim spoglądał na sprawy polityczne i rzeczywistość, jest bezwątpienia wspaniały, majestatyczny „Psalm Dobréj woli." Pomimo błędów i win w przeszłości Polski, pomimo jéj nieszczęść i cierpienia w obecnéj chwili, poeta jakby zaprzeczając temu wszystkiemu, jakby nie widząc tego, śpiewa z nietajoną radością:

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie! —

bo w historyi widzi tylko jedno: istnienie w narodzie ducha bożego, który podnosi go nad inne ludy. Doczesne losy, zdaje się, nic go nie obchodzą, ziemska ojczyzna znika mu z oczu, przenosi on Polskę w sfery

niebieskie, duchowe, idealne, i chce, ażeby ona jak Chrystus powiedziała: „Królestwo moje nie jest z tego świata.” Łatwo pojąć, że drugi, inny od niego naturą poeta, mógł mu zrobić ironiczny zarzut:

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą znieść niewolę,—
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot rajski na księżycu.

Co się powiedziało o słabych stronach mesyanizmu Mickiewiczowskiego, to jeszcze z większą słusznością da się powtórzyć o mesyanizmie Krasińskiego, doprowadzającym rzeczy do ostateczności. Wychodził on poza rzeczywistość, nie obliczał się ani z przeszłością, ani z przyszłością, stracił z oczu naturalne warunki życia i historyi. Wprawiał dusze w szał, a zarazem mógł w nie wprowadzić bierność; przysposabiał je na bezbronne ofiary, które kupiły się pod sztandar idei, głosiły zasadę, ale nie brały się do pracy, do ich przeprowadzenia, bo one muszą z konieczności siłą swoją moralną zwyciężyć, tak jak niegdyś chrześcijaństwo. Co innego jednak idea polityczna, a co innego religijna. Ta chce rozciągnąć swe panowanie nad duchem, tamta okazać swą moc na zewnątrz, gdzie właśnie napotyka opór idei przeciwnéj; musi ją więc pokonać lub sama ginąć. Wpływ Krasińskiego najwyraźniéj pokazał się w wypadkach 1861 i 62 roku, gdzie nienaturalność i brak konsekwencyi w téj zasadzie na jaw wyszły. Demonstracye bierne, nabożeństwa, pieśni po kościołach śpiewane doprowadziły i doprowadzić musiały do wybuchu — co w myśli poety bynajmniéj nie leżało, czego jego program narodowy nie pragnął.

Mistycyzmowi Mickiewicza i Krasińskiego zaprzeczały wypadki i historya; lecz musiał się także i w poezyi odezwać z protestem głos jakiś, jeśli ta nie miała być jednostronną i wyrażać wszystkie te prądy uczuć, które wstrząsały narodem, lub które w nim rozbudzić było można. Tym głosem protestującym był Juliusz Słowacki.

Mickiewicza możnaby uważać za syna epoki konspiratorskiéj— w poematach politycznych poza ten czas on nie wychodzi; Krasińskiego wyhodowały czasy emigracyi, gdzie się lęgły i krzyżowały z sobą rozmaite teorye wybawienia ojczyzny; Słowackiego stworzyła rewolucya, wtenczas pojawiają się pierwsze jego płody. Ten charakter chwili czynu pozostał mu na zawsze. Każdy poeta, nawet każdy człowiek ma ten czas, w którym jego duchowa istota powstaje, w którym świat najsilniéj na umysł i serce działa, i kiedy to, że tak powiem, zasiewa się w ducha idea, właśnie w tym czasie górująca, przeważna. Dalsze życie jest rozwinięciem, rozrostem tego ziarna.

Pomijam młodociane utwory Słowackiego, ale jego Kordyan powstał bez żadnéj wątpliwości z rywalizacyi z Konradem Mickiewicza. Konrad był człowiekiem myśli, myślą chciał burzyć i stawiać trony, zmieniać porządek świata. Naprzeciw niego Słowacki utworzył Kordyana, człowieka czynu. Tłem poematu jest spisek koronacyjny z r. 1828. Kordyan jest motorem w téj sprawie. Czyn to jednak źle dobrany. Królobójstwo w walkach narodów nie prowadzi nigdy do celu; na miejscu jednego króla będzie drugi. Pominąwszy ten wielki błąd, jestże Kordyan i tak ideałem człowieka czynu? Bez wahania można odpowiedzieć:

nie. Musiałby to być człowiek z żelazną wolą, zimnym a głębokim rozumem, nawet z ogromną prostotą ducha, który nigdy nie dałby się uwieść marzeniom lub fantazyi; jedném słowem coś podobnego jak Kromwell, Napoleon lub Washington. Ale Kordyan żyje przedewszystkiém wyobraźnią i sercem, zapał i uczucie pchają go do działania; jest to człowiek z marzącą i wrażliwą duszą, jest to poeta Słowacki, ale nie człowiek czynu. Idzie, aby zabić, a dręczy go strach, przywidzenia stają mu na drodze, i pada bez przytomności na progu, udręczony swoją wyobraźnią. Gdzież tu są przymioty męża, który czynem miałby zbawić swój naród? Jeśli ten czyn jemu samemu złym się wydawał, po co go przedsiębrał? jeśli był dobrym w jego oczach, dlaczego się wahał i lękał?

Więcéj pożyteczne mogło być to, co Słowacki w wielu innych swych utworach powiadał. Był on tym poetą, który miał odwagę odsłaniać bolące rany i ujemne strony narodu. Ów Chrystus narodów, Baranek mesyaniczny, cierpiący za innych i dla innych, cokolwiek inaczéj w jego poezyi wygląda. Kiedy mesyanizm idealizował przykrą rzeczywistość i ozłacał nieraz to, co było szpetném, Słowacki nie wzdrygał się wystawiać rzeczy w całéj nagości i mówić gorzkich prawd.

I dalsza i bliższa przeszłość Polski nie była w oczach Słowackiego bez skazy; historya nie jest dla niego taką idealną, czystą kartą, jak dla poprzednich poetów. W życiu polityczném widzi on błędy i wady, i w tych upatruje przyczyny upadku. Najjaskrawszym wyrazem tego poglądu jest zapewne „Grób Agamemnona." Spotykamy się tu najprzód z zawstydzającém wspomnieniem powstania 31 roku, ze wspomnieniem owych „półrycerzy żywych," co niepodobni do towarzyszów Leonidasa, przeżyli upadek sprawy. Daléj wystawiona jakby pod pręgierz postać szlachcica w złotym pasie, czerwonym kontuszu... postać imponująca butą, a nikczemna brakiem moralnéj wartości. Poeta każe Polsce wyrzec się tych zewnętrznych znamion przeszłości, a raczéj stanąć nagą jak bohaterski trup Leonidasa. Zbyt to zapewne surowy sąd, lecz nie z nienawiści, nie z niepoznania przeszłości wydany: dowodem postacie szlachty (jak np. w dramatach), stworzone przez poetę z urokiem i sympatyą. Na dnie tego sądu leży bezwątpienia myśl postępowa, piękna i humanitarna; poeta chciałby, aby jego rodacy wyzuli się z tych przywar, słabości i małostek, przez które umysły tępieją i nikczemnieją, a stali się wielkimi przez rozum, szlachetność i podniosłość ducha, jak bohaterowie starożytni, ideały dla całéj ludzkości.

Z tego, cośmy powiedzieli, widać już, jak bardzo różnił się on także w zapatrywaniu się na kwestye socyalne z Krasińskim. Mówiąc krótko, Słowacki stał na stanowisku demokratyczném. Przeszłość nie czarowała go i nie więziła jego umysłu swym urokiem, w szlachcie nie widział przodowników narodu, nie chciał różnicy stanów w Polsce, a raczéj lud wydawał mu się nadzieją przyszłości, skoro rola szlachty się skończyła.

Nie dziw, że Słowacki odpowiedział na „Psalmy" Krasińskiego (wierszem „Do autora Psalmów"). Na miejsce mesyanicznéj teoryi postawił on inną, zupełnie jéj przeciwną. Postęp i przyszłość świata widział w radykalnych zmianach, w bezwzględném przeobrażeniu, którego miał dokonać nie Chrystus z słowem miłości, ale „Duch rewolucyo-

nista,"—świat miał dojść do szczęścia i ładu nie przez pokój i pojednanie, ale przez wielkie kataklizmy i bolesne walki. Na tę odpowiedź Krasiński znowu odpowiedział (dwoma ostatniemi Psalmami). Zapytał z gorzką ironią przeciwnika, do czego jego teorya prowadzi? i wskazał na świeże wówczas wydarzenie, na rzeź 46 roku, jako niezbędne owoce podobnéj teoryi i dowód jéj szkodliwości. Dowód to jednak więcéj pozorny, jak wspomnieliśmy wyżéj, a bynajmniéj przeczuć i poglądów Krasińskiego niestwierdzający, bo rzeź była właśnie wybuchem nienawiści, nie objawem miłości, któréj przyjście on w niedalekiéj przyszłości zapowiadał (w Przedświcie). Ale choćby nawet to wydarzenie przemawiało za Krasińskim, czyliż z tego wypada, że takie teorye jak jego zdolne są podobnym wydarzeniom zapobiedz? Cały przebieg dziejów nas przekonywa, że na świecie nic się nie dzieje bez walki, bez cierpień. I nie może być inaczéj. Nikt lepiéj jak autor Irydyona i Nieboskiéj nie wiedział, że na świecie są potężni i słabi, panowie i niewolnicy, tacy co mają nazbyt i tacy co nie mają nic. Jedni chcą zatrzymać to, co posiadają, — drudzy chcą posiąść to, czego im brakuje. Naturalną więc jest walka, bo żadna strona nie zrobi ustępstwa. Autor „Psalmów" powiada, że powinni robić ustępstwa, ale co zdoła ich sprowadzić na wspólny grunt miłości dla porozumienia się i pojednania? czyż on w Irydyonie, w Nieboskiéj albo gdzieindziéj wypowiedział to słowo zaklęcia, pod którego czarem serca do téj miłości by się nakłoniły? czy powiedział, kto ma zrobić krok pierwszy?... Cel, jaki sobie wytknął, zaiste wielki — ale drogę, drogę do tego celu pokazać, to byłoby jeszcze większą zasługą wobec ludzkości... Biorąc rzeczy tak jak są, nie można się łudzić, że nim sprawiedliwość i miłość przejdą w życie narodów, nim staną się prawem mocniejszego na świecie, muszą jeszcze stoczyć niejednę ciężką walkę i krwią i znojem okupić swe zwycięztwo.

Tak trzeźwo i jasno na świat patrzący Słowacki zamącił jednak w końcu swego ducha towianizmem, który gorszy na niego wywarł wpływ, niż na innych. W Mickiewiczu, w Krasińskim mistycyzm należał do ich poetycznego organizmu. Mickiewicz doszedł do niego stopniowo, w logicznym rozwoju swego talentu, i był sam twórcą mesyanizmu. Krasiński patrzył na dzieje i świat ze stanowiska filozoficznego, abstrakcyjnego; cała jego poezya ma charakter refleksyjny, z teoryami mistycznemi nader zgodny. Słowacki zaś górował nad nich wyobraźnią, to była naczelna władza jego ducha, a usidlona w mistycyzm, nie mogąc z nim się pogodzić, poczęła stwarzać poecie fantastyczne rojenia i mary. Z owych czasów pochodzi „Król-Duch," w którym Słowacki wziął sobie za zadanie odgadnąć i odsłonić tajemnicę ducha narodowego w rozmaitych okresach dziejów. Ten duch narodu, według poematu, wciela się w jego wyobrazicieli i przez metampsychozę przechodzi z jednego w drugiego. Nieszczęściem, poeta nie oparł się na filozoficzném dostrzeganiu, na historycznêm badaniu przeszłości, ale stosownie do swych celów i wyobrażeń stworzył sobie fantastyczną przeszłość. Nie ma ona więc prawdziwego charakteru, a ztąd także poglądom Słowackiego, ani wnioskom, jakieby się z nich dały wyprowadzić, wierzyć nie

można. Przypomnieć na tém miejscu się należy, że w najświetniejszym swym okresie Słowacki lubił często patrzéć w tę odległą przeszłość, by sobie rozjaśnić początek Polski, a ztąd także i dalsze jéj przeznaczenie. Fantastycznemi obrazami tych urodzin Polski są „Balladyna" i „Lilla Weneda." Z bliższéj przeszłości, oprócz dramatów jak np. „Mazepa," „Horsztyński," zasługuje szczególnie na uwagę poemat „Beniowski." Możnaby zrobić przypuszczenie, że Beniowskiego wywołał Pan Tadeusz (jak Kordyana Kor [illegible] tę różnicę, że Mickiewicz opisywał spokojny, sielski [illegible] a Słowacki wybrał sobie za przedmiot burzliwe, pe [illegible] sy konfederacyi barskiéj.

Na tém zakończę. [illegible] yczerpałem przedmiotu, o którym tomy możnaby pis [illegible] tylko na wskazaniu głównego szlaku, jakim szła myś [illegible] ezyi, i najważniejszych wpływów, jakie z niéj prze [illegible] kę. Zastanowiłem się głównie nad trzema postaciami, [illegible] wyobraziciele epoki—inni, choć niektórzy z wielkim tal [illegible] iększéj części ubitym przez nich gościńcem, albo téż nie [illegible] podobnéj doniosłości.

W zadziwienie [illegible] ta poezya XIX wieku. Literatura nasza święci najp [illegible] y okres nie w wieku XVI, pod szczęśliwém berłem Zygmuntów, ale w wieku XIX.

A jakaż zasługa tych poetów? Ta, że stali się żyjącemi organami téj myśli i tego ducha, że utrzymywali życie umysłowe w narodzie, że myśleli i czuli za niego i o nim, i tym sposobem całemu społeczeństwu nie pozwalali zasnąć w bezmyślności i apatyi. Nie wszystkie idee przez nich rzucone możemy uznać za prawdziwe lub zbawienne, niektóre może są całkiem fałszywe—ale o każdéj z nich powiedzieć trzeba, że jest szczytną, że podnosi godność i moralność narodu. A czyż to niedosyć, czyż to nie jest bardzo wiele! Wprowadzać jakieś społeczeństwo na najwyższe stopnie ludzkości, udoskonalać jego ducha, znaczy to tworzyć w niém wewnętrzną siłę, — znaczy to kłaść zasługi w obliczu narodu, ludzkości i Boga. Niema na świecie nic doskonałego bezwzględnie, wszystko, zwłaszcza co się nowego rodzi, jest niedołężne i słabe, choć może mieć w sobie zarazem zarody przyszłej doskonałości i mocy. Co było ułomnego, z czasem się wyprostuje; co było niepotrzebnego, odpadnie—ale ta treść wzniosła i święta zostanie, rozwinie się w kształtach skończonych i z potęgą prawdy w swém wnętrzu.

Takich myśli wielkich, wzniosłych, wzmacniających w nas wiarę, utrzymujących nadzieję, poeci XIX wieku wiele nam ze siebie dali,— otwarli nam sfery ducha, których przedtem nie znaliśmy, uszlachetnili w nas uczucia i podnieśli przez to naszę narodową i ludzką godność.

*Kraków, 1872 r.*

# ROMANTYCZNOŚĆ PRZED MICKIEWICZEM.

Pierwsze lata XIX wieku pamiętne będą na zawsze w dziejach poezyi. Ruch tak nazwany romantyczny dopełnił wtenczas zmiany w pojęciach o literaturze, a zwłaszcza o poezyi, która to zmiana stanowi jednę z najważniejszych epok w dziejach europejskiéj umysłowości. Albowiem pomimo pierwotnéj poezyi ludowéj i rycerskiéj u romańskich, germańskich, jako téż słowiańskich narodów, pomimo Szekspira, Cerwantesa, hiszpańskich dramatyków, pomimo poniekąd Petrarki i Dantego—nad całą nowożytną literaturą aż do téj chwili unosił się duch klasyczności. Wewnętrzna wartość dzieł starożytnych, ich niezrównany artyzm i głęboka prawda życia w nich ukryte sprawiły, że nowożytne narody odbiegły dla nich i porzuciły swoje własne pieśni, rapsody rycerskie i powieści, od chwili, w któréj zapragnęły wyższéj oświaty i skończonéj sztuki. Obok Sofoklesa, w późniejszych czasach, nie mógł się utrzymać nawet potężny Szekspir, i kiedy w dziełach swoich stworzył już ducha prawdziwéj nowożytnéj dramatyczności, pojawiali się jeszcze po nim poeci, którzy woleli iść staremi śladami klasycznych dramatyków... Tak ustawicznie, choć w rozmaity sposób, aż do końca XVIII wieku, pokazuje się przewaga klasyczności. Od pierwszych początków nowożytnéj cywilizacyi przytłacza ona swoją potęgą, zaśniewa swą majestatycznością rodzime pierwiastki europejskich ludów, i odtąd przez kilka wieków wpływ jéj, choć niezawsze równie silny, nigdy jednak zupełnie nie znika; są chwile, w których ustępuje z Hiszpanii, ale w tym samym czasie widać go we Włoszech; kiedyindziéj traci swoje znaczenie w Anglii, ale równocześnie z większą siłą pojawia się we Francyi i w Polsce; w Niemczech zaledwie pokonany w swojéj pseudoklasycznéj, francuzkiéj postaci, odradza się w kształtach Getowskiego klasycyzmu.

Ruch romantyczny wypowiedział bardzo ważną zasadę: że ludy nowożytne, religią i pojęciami, urządzeniem społeczném różne od starożytnéj klasyczności, w stworzeniu dzieł umysłowych nie powinny się na nią oglądać; ideał klasyczny, choć doskonały i skończony, pomimo wszelkiéj również doskonałości naśladownictwa, nie mógł być przez nowożytnych w zupełności odczuty ani spełniony. Z téj zasady wyszła druga, niejako logiczne jéj następstwo, że każdy naród powinien mieć swoję własną, rodzimą literaturę, co do treści i formy utworzoną z zasobów jego narodowego ducha.

Można zatém ruch ten nazwać chwilą wyemancypowania nowożytnych literatur, a zarazem przyjścia do samowiedzy swéj odrębności i odmiennego powołania. W ten sposób zapatrując się na rzeczy, możnaby także ruch ten uważać za początek nowéj epoki, trzeciego z porządku wielkiego okresu w rozwoju literatury powszechnéj, bo pierwszym z nich byłaby w takim razie cała literatura starożytna, oryginalna i samodzielna w swoim rozwoju; drugim piśmiennictwo ludów nowożytnych do wieku XVIII, w którym klasyczność i nowożytne pojęcia z sobą się ścierają lub łączą, chwilami siebie zastępują—epoka za-

tém niejednolita, na dwa przeciwne prądy wystawiona; trzecim nareszcie, okres poczynający się od tego romantycznego ruchu, który literatury nowożytnę wyswobadza od wpływu starożytności i dąży do tego, aby one rozwijały się w podobny sposób jak to starożytna czyniła, z własnych swoich pierwiastków, zgodnie z duchem i potrzebami dziejów, o kilkanaście wieków naprzód od starożytności posuniętych.

Historya mogłaby nam tylko wytłumaczyć powody tego zjawiska, tak obfitego w następstwa. Nie wdając się w to jednakże, można ogólnie powiedziéć, że najważniejszym bezwątpienia powodem było przyjście do dojrzałości nowożytnych ludów, które w ciągu kilkunastu wieków próbując nieraz sił swoich, a częściéj jeszcze ćwicząc się w szkole starożytnych, poczuły się pełnoletniemi i przyszły do przekonania, że już czas przestać chodzić za skazówkami i śladami nauczycieli. Widoczną także jest rzeczą, że przy końcu XVIII i w początkach XIX wieku indywidualność narodów rozbudza się po całéj Europie. Wielka rewolucya francuzka, wojny Napoleońskie mogły się przyczynić i bezwątpienia do tego się przyczyniły. Te fakta historyczne, widoczne w historyi umysłowéj i politycznéj Europy, zdolne są wytłumaczyć i wyjaśnić powstanie romantycznego ruchu.

Dlatego téż trudnoby z całą słusznością i ścisłością powiedziéć, który naród jest twórcą tego ruchu, bo biorąc rzeczy tak jak były, należy on do całéj niemal Europy. Francya dodaje mu zarzewia politycznego, budząc uśpione narodowości; Anglia wygrzebuje dla niego z zapomnienia Osyana, północnego Homera, i daje mu swego Szekspira; Niemcy niszczą powagę francuzkiego pseudoklasycyzmu i wprowadzają do poezyi ważny nader czynnik: swoję idealną, duchową filozofię; Słowianie w tym samym prawie czasie, lub nieco późniéj, zbierają lub wynajdują swoje pieśni serbskie, swój Rękopis Królodworski, swoję Wyprawę Igora na Połowców, albo, jak Zoryan Chodakowski, rozkopują swoje kurhany i horodyszcza dla znalezienia w nich pamiątek narodowéj przeszłości. Niemcy, których zwykle za przewódzców tego ruchu uważają, mają wistocie tę zasługę, że samowładztwo francuzkiego pseudoklasycyzmu pierwsi odarli z uroku i ograniczyli—co było niejako prologiem romantycznego ruchu—i że następnie ujęli te nowe dążności w pewien system, utworzyli z nich nową szkołę i pierwsi nadali im nazwę romantyczności.

Stało się to na samym początku bieżącego stulecia na uniwersytecie w Jenie. Fichte, a następnie Szelling wykładali tam swoję filozofię subiektywno-idealną, stawiającą jaźń człowieka wyżéj ponad świat przedmiotowy i zmysłowy. Ten punkt wyjścia filozofii niemieckiéj, wprost przeciwny zapatrywaniu się filozofii greckiéj i duchowi klasycznemu, otwierał naoścież wrota romantyczności, przeznaczając na właściwe pole poetycznego natchnienia i tworzenia — nieskończoność, zamkniętą w duchu i uczuciu ludzkiém. Od téj filozofii było blizko do wieków średnich, w których, po raz pierwszy podobne poczucie w narodach rozbudzone zostało przez pojęcia religijne chrześcijańskie i przez wiarę w nadnaturalność, wyniesioną przez te narody z ich północnéj ojczyzny. Cuda i cudowność wieków średnich, ich przesądy i zabobony

otrzymywały przez tę filozofię niejako usprawiedliwienie, umiejętne wytłumaczenie i sankcyę. Boć jeśli jaźń człowieka wyższą jest nad naturę, to może jéj rozkazywać, omijać albo téż odmieniać jéj niewzruszone prawa...]

To téż umysły młodych słuchaczy tych niemieckich filozofów uczyły się niewstrzymaną siłą popchnięte do téj epoki początkowéj narodów nowożytnych, a zwłaszcza do poezyi ludowéj i rycerskiéj, powstałéj w czasach poprzedzających wpływ i przewagę klasycyzmu. Instynktem odgadnięto, że pomiędzy nimi a tą literaturą zachodziło bliższe powinowactwo duchowe niż to, które ich mogło łączyć z renesansem, pseudoklasycyzmem, a zwłaszcza téż z samym klasycyzmem starożytnym. Grecy i rzymscy poeci zostali stanowczo nabok usunięci—pozostawieni tylko wspomnieniu, jakby prochy naddziadów w drogocennych urnach przechowane, a ich miejsca oddano poetom nowożytnego świata i religijną czcią ich otoczono. Na firmamencie poezyi zajaśnieli znowu trubadurowie i minnesengery, bardowie i skaldowie, Dante, Szekspir, Kalderon—wogóle ci poeci, którzy wypowiadali ducha nowożytnego, na których dziełach nie znać klasycznego podmuchu, bo tworzyli je podług ideału nieznanego starożytnemu artyzmowi i poezyi. Za słońce tego nowego, czyli raczéj nanowo rozświecającego się systemu planet, uznano powszechnie Szekspira, jako największy geniusz chrześcijańskiéj poezyi i odwrotny biegun zarazem Homera jak i greckich tragików.

Jak w każdym jakimkolwiek przewrocie na świecie, w każdém powstawaniu czegoś nowego, i w tym romantycznym ruchu było wiele chaosu, zamieszania, niekiedy złudzenia i bałamuctwa. Umysły wiedziały, że czegoś chcą, odgadywały instynktowo czego chcą, ale na razie trudno było ująć swe pragnienia w pewną formułę i definicyę,—początek nowéj drogi, a nawet cel jéj ostateczny były znajome i wiadome, saméj drogi tylko widzićć nie można było. Romantycy wiedzieli, że zwracają się ku wiekom średnim z tego powodu, że w nich leży źródło i zaród nowożytnéj poezyi; wiedzieli również, że wracając do téj ludowéj, oryginalnéj poezyi, robią to samo, co niegdyś zrobili Grecy, kiedy ze swoich rapsodów, przedhistorycznych mytów i Homerowskich pieśni utworzyli swoję oryginalną literaturę, która późniéj dostąpiła zaszczytu klasyczności. Jakim sposobem jednak z wieków średnich, po upływie tak długiego czasu, przejśćby można do obecności, jak połączyć z sobą te dwa ogniwa łańcucha, rozbite jakby klinem wpływem klasyczności, która przed czterema wiekami w literaturę europejską wtargnęła—o tém zapewne nie miano jasnego wyobrażenia. Więc przez dłuższy czas, nie mogąc wybrnąć z zaklętego koła wieków średnich, jak po kopalniach podziemnych bez kagańca, zanurzano się w przeszłości uczuciem i pojęciem, zapominając, że życie, które jéj oddawano, należało się teraźniejszości.

Romantyka niemiecka wpadła szczególnie w ten obłęd i nie wytrzeźwiała podobno z niego, aż dopiero kiedy późniejsza poezya realistyczna oblała ją zimną wodą... Gniewy i gromy niemieckiego Jowisza, Goethego, który ze zgorszeniem patrzał na romantyków, widział w nich barbarzyńców i burzycieli tego pięknego gmachu, który on wystawił,

nie miały tego skutku i nic nie pomogły... Autor pierwszéj części Fausta niesłusznie się jednak gniewał... Romantycy robili daléj toż samo, co on niegdyś wspólnie z Szyllerem rozpoczął, kiedy uwalniał niemiecką literaturę z kajdan francuzkiego pseudoklasycyzmu. Geniusz Goethego i Szyllera popchnięty był później ku prawdziwemu klasycyzmowi, w jego sile i zaletach szukał trwałéj podstawy dla niemieckiego ducha, ale rzeczy musiały iść inną, właściwszą sobie koleją: romantycy musieli nanowo nawrócić na dawne ślady i iść daléj porzuconą w połowie przez poprzedników drogą.

Niemcy byli w ś[illegible] pierwsi, co dali wyraz temu romantycznemu ruchow[illegible] teoryę romantyzmu i zapomocą swoich pism filozofi[illegible]ych rozszerzyli ją po świecie,— poetów większego z[illegible] europejskich w duchu romantycznym jednakowoż [illegible]zęść praktyczna pozostawiona była innym narodom, [illegible]glikom. Walter-Skot, Moore, szczególniéj Byron st[illegible]ami téj nowéj poezyi i pierwsi dowiedli jéj żywotneg[illegible]ron zajaśniał nagle nad Europą jak krwawa kometa, c[illegible]ystkich na siebie. Z niemieckich poetów cała Europa u[illegible]a romantyków Szyllera, który umarł na samym początku tego ruchu, i Goethego, który mu się wszystkiemi siłami opierał. Mieszano wprawdzie tym sposobem dwie epoki niemieckiéj literatury z sobą, ale w pojęciu rzeczy nie mylono się tak bardzo. Szyller i Goethe nie należeli do szkoły nowych romantyków, ale ta szkoła wyrosła z posiewu przez nich w przeszłości rzuconego i była jednym więcéj krokiem naprzód na drodze przez nich rozpoczętéj.

Tak w przeciągu lat kilkunastu dokonało się w połowie Europy przeobrażenie z gruntu pojęć literackich i powstała całkiem nowa literatura i poezya...

Do roku 1815 o tym ruchu i o téj zmianie w naszéj literaturze mało wieści. W przeszłym jeszcze wieku Krasicki na sposób klasyczny, dla zapełnienia czasu kiedy fryzyer czesał jego głowę, przełożył Osyana, podał wiadomość w swoim zbiorze biografij rymotwórców o Szekspirze, wymienił nazwisko Goethego i Szyllera... i na tém się skończyło. O Byronie nic nie słyszano, nie znano literatury współczesnéj niemieckiéj ani angielskiéj. Katastrofy i burze polityczne, jakie w tym czasie co chwila wstrząsały Polska, upadek Rzeczypospolitéj, późniéj wojny Napoleońskie były bezwątpienia najważniejszą przeszkodą do zajmowania się losami literatury.

Więcéj postępowym był teatr, który chcąc istnieć, nie mógł się trzymać żadnéj szkoły i dla przynęcenia publiczności musiał urozmaicać repertuar, a ztąd wprowadzać na deski dramatyków najrozmaitszego rodzaju: klasyków francuzkich i swoich, romantyków i tych, których szkoła romantyczna do siebie zaliczała. Jeszcze 1790 r. pod dyrek[cją] Bogusławskiego grano w Warszawie Emilię Galoti Lessynga. Szeksp[ira] niektóre sztuki były także, niekiedy po kilka razy jedna, tłumacz[one] przez Bogusławskiego, Osińskiego i t. d. i wystawiane na scenie, [a] najczęściéj podług przerobienia Ducisa, który gwałtem chciał niesforn[e]go poetę ująć w karby francuzkiéj poetyki. Hamlet, Król Lir, Otel[lo]

Romeo i Julia stały się w tym kształcie znane publiczności polskiéj. Makbeta podług Szyllerowskiego przekładu przetłumaczył Regulski 1812 r.; jedno z tłumaczeń Hamleta dał w r. 1805 także z niemieckiego J. N. Kamiński. Najdawniejszém z tych tłumaczeń będzie zapewne Romeo i Julia, w przekładzie Kossakowskiego bisk. wil. podług Ducisa. Nie należy także pominąć milczeniem, że 1794 r. po raz pierwszy grano komedyo-operę W. Bogusławskiego: „Cud czyli Krakowiaki i Górale," która dawała niejako przedsmak poezyi szczerze narodowéj.

Późniéj za czasów księztwa warszawskiego przedstawienia tragedyj klasycznych przeplatano często świeżemi dramatami niemieckiemi w duchu szalonéj romantyki. Grano Zschockego, Spiessa, Schrodera, awanturnicze przygody rycerzy średniowiecznych, zjawianie się duchów na scenie, z potrzebnym do tego aparatem maszyneryi, bawiły publiczność i jednały jéj względy dla tego rodzaju widowisk. Osiński, który jako dyrektor teatru musiał robić pewne ustępstwa dla Szekspira, gorszył się tem nie bez racyi, zdając sprawę ze stanu sceny narodowéj w r. 1809, i tylko pragnieniem publiczności widzenia na teatrze coraz cos nowego tłumaczył ten skład repertuaru, do którego wchodziły takie sztuki, jak Maska żelazna albo Abelino bandyta wenecki, „płód dziwactwa i niesklejności." Od końca XVIII wieku począwszy, tłumaczono także bardzo wiele sztuk aż nazbyt płodnego Kotzebuego. Z dramatów Szyllera najdawniéj były przełożone (r. 1801): Don Karlos i Fiesko przez Merliniego; późniéj od r. 1820 ukazywały się tłumaczenia Andrzeja (Dziewica Orleańska) i Kazimierza (Marya Stuart) Brodzińskich, bezimiennego we Lwowie (Marya Stuart) i innych. Klawigo Goethego przełożył 1821 r. Aleksander Fredro.

Ale co się działo na teatrze, najczęściéj z potrzeby i wyrachowania przedsiębiorców, aby kasę napełnić, to nie mogło być uważane za jakąś normę dla literatury i wpłynąć na zmianę zasad i smaku u literatów. Ducisowska romantyczność Szekspira była tolerowaną, bo mogła czasem zabawić publiczność i miała na sobie stempel francuzki; nowych romantyków niemieckich nie potrzebowano się obawiać, ani zważać na nich, bo ich utwory same siebie potępiały. Literatura szła więc daléj po torze ubitym jeszcze za czasów Stanisława Augusta—tylko coraz ociężaléj, krokiem coraz powolniejszym, nie przeczuwając nawet potrzeby reformy i wielkiéj rewolucyi, jaka niezadługo miała się odbyć w jéj łonie. Kilku pisarzy z poprzedzającéj epoki, zasłużonych i poważnych, kilku późniejszych po większéj części tłumaczy, składało ówczesne grono literackie w stolicy, dla którego punktem środkowym było Towarzystwo przyjaciół nauk. W innych stronach ruch literacki prawie nie istniał, a jeśli był gdzie jaki, to ciążył ku Warszawie... W tym samym czasie tylko K. Brodziński w Warszawie i J. N. Kamiński we Lwowie, w świecie literackim jeszcze nieznani, nauczywszy się po niemiecku w szkołach galicyjskich, rozczytywali się w dziełach niemieckich, a mianowicie w ulubionym przez obu Szyllerze i filozofach, którzy położyli zasady nowéj estetyki.

O nowym ruchu umysłowym za granicą, o poezyi romantycznéj pierwszą wiadomość znajduję dopiero w r. 1816 w Pamiętniku war-

Następujący potém przegląd poezyi polskiéj w najcelniejszych jéj wyobrazicielach aż do końca XVIII wieku prowadzi go do tych wniosków, że literatura i poezya polska początek swój zawdzięcza starożytnéj klasyczności, która tym sposobem weszła w ducha narodowego, z nim się skojarzyła i stała się jego własnością; że daléj z romantycznością zagraniczną nie mamy nic wspólnego, bo nie mieliśmy nigdy rycerskiéj poezyi wieków średnich, ani téż nowoczesna idealnosć i mistyczność niemiecka nie przypada do naszego umysłowego usposobienia.

Ostateczny przeto wypadek rozumowań Brodzińskiego jest ten, że „oryginalni poeci nasi i starożytni pisarze są najszczęśliwszą dla nas skazówką“—czyli mówiąc dokładniéj, ponieważ istotnie oryginalnych poetów do końca XVIII wieku nie mieliśmy, że poezya polska rozwijać się powinna na wzorze starożytnéj klasyczności, według tego, jak ją pojęli i narodowi przyswoili pisarze z okresu złotego i niektórzy z epoki Stanisławowskiéj.

I romantyczności jednak chciał Brodziński przeznaczyć pewne uczestnictwo w dalszych losach naszéj poezyi. Po kilkakroć odzywa się w tym sensie, że obok uszanowania, jakie winniśmy klasyczności (prawdziwéj), „przyzwoity wybór z romantyczności, narodowi właściwy, nie może i nie powinien zepsuć gustu naszego, ale owszem nadać mu pewniejszy kierunek, albo téż, że „powinniśmy obiedwie połączyć..." Wobec tego, co o niezgodności romantyzmu z naszą przeszłością i duchem wypowiedział, żądanie takie wydaćby się mogło sprzecznością autora z samym sobą. W gruncie rzeczy jednak takiéj sprzeczności w nim niema. Brodziński odrzucił romantyczność zagraniczną, ale chciał utworzyć nową, narodową, dla któréj przykład obcych narodów mógł być pochopem i potrąceniem. Jeżeli Niemcy z właściwości swojego ducha, swoich obyczajów i ze swojéj historyi wydobyli swoję poezyę, tém samém prawem i Polacy powinni jéj w tych samych źródłach poszukać. Brodziński miał przed oczami dość wyraźnie te źródła nowéj poezyi. Jako najpierwsze z nich wskazywał naturę—wzór, „z którego czytać nikt się od nikogo nie nauczy." Stosownie do natury, do rzeczywistości życia, powinnaby i poezya polska pojmować świat i historyczną przeszłość, która nieuprzedzonemu oku inaczéj się musi przedstawić niż przeszłość innych ludów, niżby naprzykład wieki średnie Niemcowi lub Anglikowi. To również, co do nowoczesnéj poezyi wniosła idealność i mistyczność niemiecka, możnaby obficie wynagrodzić tą tęsknotą, jaką uczuwać musiał poeta polski, ze stanowiska teraźniejszości patrzący w minione i znikłe bez śladu wieki... Dziwnie pięknie wyraził autor to pojęcie w ustępie ku końcowi rozprawy, zaczynającym się od słów: „Romantycznością naszą są..." i t. d.

Brodziński przeczuł dalsze losy poezyi polskiéj, odgadł jéj charakter i zakreślił szeroki plan, który w parę dziesiątków lat miał zostać dopiero spełniony. Narazie jednakże nie osiągnął czego pragnął... jak strzał dalekonośny, chybił bliższego celu. Jego poetyczne widzenie nowéj poezyi polskiéj nie zostało zrozumiane, a swojém pojęciem klasyczności i romantyczności nie zadowolił ani klasyków, ani romantyków. Romantycy zarzucali mu jeszcze w lat kilka potém, „że jest zbyt

umiarkowanym i zbyt ostrożnym w zachęcaniu młodzieży polskiéj do kształcenia się na drodze, którą tegocześni niemieccy i angielscy pisarze ozdobili mnóstwem pomników ręką geniuszu wzniesionych“; (M. Mochnacki w Dzien. Warsz. 1825); żądali od niego jasnych i gruntownych pojęć estetycznych (M. Grabowski w Dzienniku Warsz. 1828) i uznawali, że „Brodzińskiego rozprawa, chociaż piękna i wszystkim się podobająca, nie przekonała jednak nikogo, bo nie położyła żadnych zasad romantycznéj teoryi.“

Wprzód jeszcze spadł na Brodzińskiego grom z Parnasu klasycznego. Warszawscy klasycy wprawdzie milczeli; nie bardzo byli pochopni do pióra, w estetyczne rozprawy wdawać się nie mieli ochoty, bo o romantyczności nie wiedzieli nic więcéj nad to, że jest zgwałceniem przepisów Arystotelesa, Boala i Laharpa; woleli więc wzruszać ramionami i z ironicznym uśmiechem spoglądać na dwudziesto siedmioletniego prawodawcę, który dotychczas, znany zaledwie z kilku okolicznościowych wierszy, nie był bynajmniéj powagą, któréjby warto było odpowiadać. W obronie zagrożonego klasycyzmu podniósł się głos Jana Śniadeckiego, uczonego matematyka i fizyka, obeznanego z filozofią, mianowicie z francuzką, byłego rektora uniwersytetu wileńskiego, wzorowego i poprawnego pisarza—jedném słowem jednego z najuczeńszych i najzasłużeńszych mężów w kraju. Na samym początku 1819 r. wydrukował on w „Pamiętniku wileńskim“ rozprawę: „O pismach klasycznych i romantycznych,“ w któréj, po komplimencie powiedzianym Brodzińskiemu, wziął sobie pozornie za cel energiczniéj wystąpić tam, gdzie znowu dla klasyków Brodziński był zanadto umiarkowanym, i silniéj powściągnąć młodzież polską „od polubienia i naśladowania przywar sąsiedzkich.“

Wistocie zaś rozprawa Śniadeckiego walczy z najgłówniejszemi pojęciami Brodzińskiego i stara się je obalić. Definicye klasyczności i romantyczności, na których oparł się Brodziński, zupełnéj tutaj ulegają zmianie. Według Śniadeckiego bowiem, klasycznémjest to wszystko, „co jest zgodne z prawidłami poezyi, jakie dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmochowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy; romantycznem zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.” O co zatém najwięcéj Brodzińskiemu chodziło, prawdziwy klasycyzm został zupełnie pominięty, jak gdyby go nigdy nie było, a pseudoklasycyzm, na wzorach rzymskich głównie utworzony, do prawdziwego klasycyzmu przywrócony. Romantyczność wreszcie, nie obwijając w bawełnę, uznana nie za jakąś nową szkołę, za oddzielny rodzaj i styl poezyi, ale poprostu za jakiegoś jéj wyrodka, niby za grzyb na pniu zdrowéj sztuki wyrosły z zepsutych i zarażonych soków.

Stosownie do tego pojęcia traktuje Śniadecki poezyę romatyczną i romantyków, widząc w ich utworach jedynie brak rozumu, prawdy i przyzwoitości. Za przedmiot roztrząsań i naigrawania służy mu najwięcéj poezya dramatyczna, dla któréj wszystkiemi siłami pragnie zachować owe sławne trzy jedności: czasu, miejsca i działania, podane za prawidło niby jeszcze przez Greków, choć wistocie oni sami ich nie zachowywali, a przepisane niby przez Arystotelesa: choć Lessing dawno

już dowiódł, że je naprawdę wynalazł dopiero Boalo [1]). Cóż robią z teatrem pisarze romantyczni, pogardzający temi przepisami? Oto „wprowadzają dziś na scenę schadzki czarownic, ich gusła i wieszczby, duchów chodzących i upiorów, rozmowy dyabłów i aniołów i t. d. Cóż tu w tém nowego i dowcipnego? Wszystkie baby wiedzą dawno o tych pięknościach i mówią o nich ze śmiechem pogardy..." Romantyczni pisarze, przestawszy uważać teatr za szkołę obyczajów, bawią publiczność jak „kuglarze jarmarkowi," wprowadzając na scenę „głupstwa ledwo nie wszystkich ludów pogrążonych w barbarzyństwie." Przy téj sposobności dostało się także Getemu za jego Fausta, a mianowicie za za scenę, gdzie Bóg rozmawia z aniołem i dyabłem, co Śniadecki uważa za zniewagę majestatu religii, zapominając, że księgi Joba służyły autorowi Fausta za wzór do jego prologu.

Nakoniec przychodzi koléj także na Szekspira... Tutaj krytyk klasyczny miał pewne ułatwienie: Szekspir był już kiedyś osądzony przez Woltera... Śniadecki poszedł więc za Wolterem; przyznał Szekspirowi geniusz, ale dziki i nieokrzesany; nazwał go lwem, „który bez przewodnika torował sobie drogę po nieznanych puszczach i zaroślach," ale przytém oświadczył, że Szekspir nie miał „starannego wychowania i nauki," że pisał dla publiczności bez smaku, w wieku niewykształconym, że w jego dziełach niema żadnéj prawdziwéj tragedyi, „bo we wszystkich prawie wesołość, a często gruba i nieprzystojna żartobliwość, miesza się do rzeczy tkliwych i okropnych." Wreszcie rzucił także ciekawe, a dla romantyków zawstydzające i zabójcze pytanie: „czyby był Szekspir tak pisał, gdyby był znał przepisy Arystotelesa i Horacego; gdyby się był dobrze obeznał z dziełami Greków i Rzymian; gdyby był czytał Rasyna (!) i Moliera: zgoła gdyby był miał tyle nauki i światła, ile pisarze dzisiejsi?"

Uporawszy się w ten sposób z najpierwszemi powagami romantyczności, przekonawszy na drodze historycznéj, że poezya nową się mianująca jest tylko wynikiem czasów barbarzyństwa albo niedokończonego wykształcenia, bierze ją pod krytykę, albo raczéj stawia pod pręgierz rozsądku. Naturalnie, utwory romantyczne bez przepisów sztuki, puszczające imaginacyę naoślep, zaprawione do tego idealnością i mistycznością niemiecką, nie mogą wytrzymać téj krytyki,—zkąd autor przychodzi do wniosku, że ten „nowy rodzaj pisania jest otworzoną drogą do robienia szaleńców."

Ostateczny powód tego zboczenia umysłu ludzkiego widzi Śniadecki w nowéj filozofii niemieckiéj, w téj metafizyce, która odrzucała zasady Lokka, że wszystkie nasze pojęcia pochodzą od zmysłów, a przypisywała duszy jakieś idee wrodzone i utrzymywała, że drogą nadnaturalnéj intuicyi można dojść do prawdy i poznania. On, matematyk i naturalista, zwolennik materyalistycznych systemów Lokka i Condillaca, z całéj duszy nienawidził téj idealnéj filozofii, i to nietylko spirytualisty Szellinga, ale nawet realniejszego Kanta. Gdyby romantyczność nie miała była w sobie tyle pierwiastków téj filozofii, gdyby jéj misty-

[1]) Qu' en un lieu, qu' en un jour, un seul fait accompli,
Tienne jusq' à la fin théâtre rempli. (*L'art poetique*).

ka nie graniczyła tak blizko z niemiecką metafizyką, bezwątpienia Śniadecki nie byłby w téj sprawie zabierał głosu. Tak jednak jak rzeczy stały, bał się obałamucenia umysłów temi nowemi teoryami, i zapobiegając, aby za pośrednictwem poezyi nie wdarły się na pole nauki i umiejętności, wystąpił w szranki przeciw romantyczności i kruszył kopie za klasycyzmem... Ostrzegając przeto ziomków przed tém niebezpieczeństwem, zaleca trzymanie się bezwzględne dawnéj drogi, najściślejszy konserwatyzm umysłowy: „My Polacy! zostawmy obcym to pole chwały: bądźmy skromniejsi w naszych zamiarach, a trzymajmy się rozsądku. Słuchajmy nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, a prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia. Uciekajmy od romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy!“

Czytając te słowa po upływie przeszło pół wieku, przychodzi mimowoli na myśl pytanie, podobne do tego, które zadał Śniadecki względem Szekspira: czy bylibyśmy mieli dziś jakąkolwiek poezyę, gdyby literatura usłuchała była tych rad i téj przestrogi?... czy ów zachwalany „rozsądek“ nie byłby doprowadził literatury do nicości, do zera?... Rzeczy ludzkie idą niewstrzymanym pędem, żadna powaga niezgodna z duchem czasu ich nie utamuje, a głos napozór najczystszego rozsądku jest czasem głosem najnierozsądniejszym. Gdyby wolno było po odniesioném zwycięztwie naigrawać się z przeciwnika, gdyby zasługi Śniadeckiego, na innem położone polu, nie nakazywały dla jego osoby uszanowania, czyż nie możnaby jego, klasyka wierzącego tylko w rozsądek, porównać do owego arcyromantycznego i arcynierozsądnego rycerza z La Manszy, co wyruszał w świat do walki przeciw czarodziejom i strachom, we własnéj urojonym głowie?

W ten sposób zaczęła się głośna w dziejach naszéj literatury walka klasyków z romantykami. Hasła zostały wypowiedziane: ze strony romantyczności głosem jeszcze niepewnym i nieśmiałym, ze strony klasyczności—stanowczym i dumnym... jedni mieli przed sobą przyszłość mglistą i niewidomą; drudzy całą przeszłość za sobą i teraźniejszość, któréj byli panami.

Nie obwiniajmy Śniadeckiego, że miał zapatrywanie, które nam dzisiaj nierozsądném się wydaje; trudno mu było przewidzieć przyszłość, a przeczuć ją mogli ci tylko, którzy ją nosili w łonie. Tego zarzutu jednak uniknąć nie zdoła, że sobie zbytecznie ufał, że brał na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, choć zapewne sam nie czuł się na siłach, ażeby w téj sprawie wydawać tak absolutne wyroki. Nie należy także pominąć milczeniem, że w swoim czasie pismo jego dostało należytą odprawę. Tegoż samego jeszcze roku jakiś nieznany autor zgromił surowo i bez żadnego względu, w Pamiętniku warszawskim, niefortunne odezwanie się Śniadeckiego. (Uwagi nad J. Śniadeckiego rozprawą „O pismach klasycznych i romantycznych“).

Najsilniejszym i w treść rzeczy trafiającym zarzutem było to, że autor Uwag z rozprawy Śniadeckiego mógł wyciągnąć ten wniosek, „że się porwał na rzecz nieswoję... że zgoła nie znając literatury romantycznéj, wsiadł na Fausta (którego znał zapewne tylko z treści podanéj

w r. 1818 przez Pamiętnik warsz.)... że gdyby był czytał spisy tylko osób w tragedyach Szyllera, byłby się dowiedział, że tam niema ani dyabła, ani upiora, ani anioła..." Wobec téj nieznajomości przedmiotu, słusznie również dziwi się autor, jak Śniadecki mógł „dyktatorską powagą tak śmiało wyrokować," i nie czytając ich dzieł, ludzi obdarzonych geniuszem nazywać szaleńcami. Wreszcie trafną także daje mu przestrogę, że nawet dobro narodu, które miał na celu, usprawiedliwiać go nie może, bo chcąc narodowi w czém radzić, na rzeczy się znać potrzeba."

Pomimo téj doraźnéj, i co najmniéj, energicznéj odpowiedzi, rozprawa Śniadeckiego, przynajmniéj w oczach klasyków, nie straciła swojego znaczenia. Bardzo to im było na rękę, że człowiek uczony wyręczył ich, poetów, w obronie teoryj poetycznych, których byli wyznawcami. Przy znanym ich wstręcie do rozumowych dyskusyj wygodném było mieć zawsze na pogotowiu tego rodzaju maczugę na nieposłusznych i niejako wyrok najwyższego trybunału, który w każdéj chwili nad głową przestępcy można było odczytać. Że tak było, pokazuje się z téj okoliczności, że jeszcze w r. 1825 M. Mochnacki widział się zmuszonym pisać w Dzienniku warsz. „Niektóre uwagi nad poezyą romantyczną z powodu rozprawy J. Śniadeckiego: O pismach klasycznych i romantycznych," a co więcéj, że Mochnacki nazywa tę rozprawę „pamiętną w dziejach literatury polskiéj," jéj autora „największym nieprzyjacielem" romantyczności, i że wreszcie wyraźnie powiada, iż „stronnicy klasyczności w rozprawie J. Śniadeckiego, powabem stylu, jasnością i precyzyą wyrażeń, attyckim a częstokroć rubasznym ozdobionéj dowcipem, upatrują okazałe *non plus ultra* niewstrząśnionych dowodów, służących do wyśmiania wszystkiego, co z mniemaną ich w poezyi i literaturze prawowiernością nie jest zgodne..."

Zabierając się „rozwiązać to nader ważne i ciekawe pytanie: jak dalece rozprawa J. Śniadeckiego uchodzić może za wyrocznię niecofnioną w sądzie o rzeczach tyczących się poezyi i literatury, czucia i imaginacyi," wypowiada Mochnacki swoje pojęcie o poezyi wogóle, żądając od niéj przeniesienia się w świat idealnego złudzenia ze świata powszedniego... Pojęcie, jak widzimy, wcale nieokreślone, dosyć mgliste i nawskróś mistycznością romantyki przesiąknięte; wreszcie niezgodne w praktyce z wielu arcydziełami i geniuszami romantycznemi. Według téj zasady wykreślićby może należało z listy poetycznéj najprzód Szekspira, dla którego poezya była zwierciadłem natury, potém także i Getego, który w poezyi widział podniesienie rzeczywistości do ideału. Ten zatém zarzut Mochnackiego, którego tak bardzo gorszył w klasycyzmie ów „świętokradzki związek poezyi z duchem wieku," wątpię, ażeby mógł się utrzymać, choć autor starał go się umiarkować i usprawiedliwić tém, że duch wieku, o którym mówi, wieku XVIII-go, tchnął nazbyt prozaiczną rzeczywistością i pospolitym rozsądkiem.

Większéj wagi są inne jego dowody, że wpływ angielskiéj i niemieckiéj literatury, głębsze wykształcenie, wspomnienie przeszłości, a poniekąd i burze polityczne, musiały zrodzić potrzebę innéj literatury, któraby tak dobrze była w związku z duchem swego wieku, jak kla-

syczna z wiekiem XVIII. W konieczności czasu więc leżało, że zwrócono się ku nowéj, czyli raczéj w niepamięć puszczonéj poezyi, którą romantyczną nazwano. Że ta poezya nie była tylko dziełem szaleńców pozbawionych rozumu, prawdy i przyzwoitości, o tém w r. 1825 mógł Mochnacki na przykładach nawet literatury ojczystéj przekonać Śniadeckiego. Nie bez racyi przeto, i nie bez skutku zapewne, odesłał go w téj mierze do poezyi Mickiewicza.

Dowodzenie jednakże, iż poezya romantyczna ma prawo bytu, przez wykazanie jéj zalet niedostatecznym zapewne musiało być argumentem dla sceptycznych klasyków, którzy z góry ją potępiali i o niéj słyszéć nie chcieli. Dlatego jeśli dawniejszy krytyk Śniadeckiego, zarzucając mu bardzo słusznie nieznajomość literatury romantycznéj, mógł pomimo tego chybić celu, to silniejszym bezwątpienia był argument, jakiego użył Mochnacki przy końcu swéj rozprawy, że klasycy „nie rozumieją sprawy, którą tak gorliwie bronią, i ubiegają się za niepodobieństwem.“ Od czasów Lessinga nie było to już nowością, że ci, którzy się mienili klasykami, ducha prawdziwéj klasyczności po największéj części nie rozumieli; a od czasów romantyczności stawało się to coraz wyraźniejszém i silniejszém przekonaniem, że powrót starożytnéj klasyczności z nazbyt jasnych powodów historycznych jest niemożliwy i niepotrzebny. Upierać się przeto przy dawnéj formie poezyi, a do tego jeśli ta forma została przekształcona i spaczona, całkiem słusznie nazywa Mochnacki nierozsądkiem i krzywdą greckiéj klasyczności wyrządzoną, za którą ta mogłaby pseudoklasyków pociągnąć do ciężkiéj odpowiedzialności, z większém jeszcze prawem, niżli to według pewnéj wieści uczynił Wirgiliusz, przyzywając Blumanera przed sąd Jowisza za trawestacyę Eneidy.

Czytelnik przypomni sobie, że na tym samym argumencie, w trzy lata później, osnuł także Mickiewicz swoję piorunującą odezwę do krytyków warszawskich...

Odpowiedź dana przez Mochnackiego Śniadeckiemu przerzuciła nas o kilka lat naprzód,—powróćmy jeszcze do historyi kiełkującéj romantyczności.

Romantycy nie dali się zastraszyć groźnéj przemowie uczonego matematyka i młode pokolenie nie zraziło się do nowych pojęć pogardą, na jaką on je wystawiał. I w rozprawach literackich, i w utworach poezyi, szczególniéj tłumaczonych z zagranicznych poetów, nagromadzają romantycy coraz więcéj sił i zbierają broń do wyrugowania klasyków z ich stanowiska.

W tymże samym roku 1819 pisał Józef Korzeniowski, uczeń szkoły krzemienieckiéj, w Pamiętniku naukowym o idei i uczuciu nieskończoności, w duchu zatém téj metafizycznéj filozofii, którą Śniadecki tak ostro potępiał; w Pamiętniku zaś warszawskim znajdujemy znowu rozprawę (z francuzkiéj Minerwy z r. 1818 tłumaczoną): „O poetycznéj literaturze niemieckiéj“ z uwagami tłumacza nad poezyą polską. Autor tego artykułu nie życzy sobie, aby polska poezya była albo klasyczną albo romantyczną, twierdząc, że powinna być tylko narodową; dlatego żąda pozbycia się wpływu francuzkiego i wypowiada to przekonanie,

że gdyby nie zupełny upadek umysłowości za Sasów i nie bezwarunkowe naśladownictwo francuzczyzny za Stanisława Augusta, literatura polska byłaby przyszła o własnych siłach do téj doskonałości, do któréj teraz dążą Niemcy. Mniéj więcéj w tym samym sensie odzywa się rozprawa J. F. Królikowskiego „O literaturze,“ w tymże roku również w Pamiętniku warsz. umieszczona, a wykazująca potrzebę oparcia literatury narodowéj na prawdzie i naturze.

Myśl, rzucona przez Brodzińskiego, przebija w tych rozprawach, jednając sobie coraz więcéj adeptów przynajmniéj w teoryi. Jéj pierwszemu wyznawcy i twórcy pozostawioném było dać jéj przykład praktyczny. W r. 1820 ukazał się „Wiesław“ najprzód w Pamiętniku warszawskim. Poemat ten jest niezaprzeczenie wierném uplastycznieniem w formach sztuki tych przekonań estetycznych, które jego autor głosił w swojéj rozprawie. Nie odchodzi on od nich ani na krok ani wstecz, ani naprzód. Jest nowém zjawiskiem w poezyi polskiéj, podobnie jak nowemi były o niéj pojęcia autora. Nie jest utworem klasycznym tak dobrze, jak z drugiéj strony nie można go do romantycznych policzyć. Jest-to wogóle obraz takiéj polskiéj poezyi, jaki sobie w ideale Brodziński utworzył, obraz, musimy przyznać, z kolorytem dosyć bladym i niepewnym, nieporywający ani siłą uczucia, ani wyobraźni. Klasycy, choć się do niego przyznać nie mogli, nie mogli go także potępić; romantycy, choć nie był w ich guście, musieli mu oddać sprawiedliwość, że nie był w guście klasycznym... Była to pierwsza zorza wschodzącego słońca, na pograniczu dnia i nocy, jeśli wolno tu użyć takiego porównania, ale nie zrobił się jeszcze dzień... słońce jeszcze nie weszło.

W roku następnym wydał Brodziński pierwszy zbiór w dwóch tomach swoich poezyj oryginalnych i tłumaczeń, pomiędzy którémi zarówno mieściły się przekłady z Tybulla, jak i z Herdera i Szyllera.

Poezya polska przeto nie wydała jeszcze w tych czasach żadnego romantycznego utworu, bo i Brodzińskiego pochwalił Koźmian w Wierszu (wówczas niedrukowanym), że nie poszedł za pojęciami romantycznemi i „krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława.“ Oprócz kilku dotychczasowych rozpraw objaśniających teoretycznie i niezbyt dokładnie o tém, co to jest romantyczność, czytelnicy polscy jedynie z tłumaczeń zagranicznych poetów mogli miéć wyobrażenie, jak ci nowi poeci piszą i co tworzą. Mianowicie Szyller i Byron stawali się coraz więcéj znajomymi, coraz więcéj przekonywali o zaletach i wartości nowéj poezyi. J. N. Kamiński w Pamiętniku lwowskim umieścił 1816 r. „Ideały,“ a 1818 „Pieśń o dzwonie z Szyllera,“ w osobnym zaś przekładzie wydał tegoż poety Ballady i Pieśni (1818). W roku 1820 zapowiedziano wyjście sześciu poematów Lorda Byrona w Bibliotece powieści, romansów i podróży, a w Pamiętniku warsz. tegoż roku przetłumaczono tegoż poety: „Rozstanie się z żoną.“ W następnym roku publiczność polska usłyszała po raz zapewne pierwszy zdanie o Byronie, powtórzone w Pamiętniku warszawskim z niemieckich dzienników, a mianujące go „poetą XIX wieku,“ a w tłumaczeniu K. Brodzińskiego, który przełożył „Poema ostatniego Barda“ z Walter Skota (drukowane w Pamiętniku warsz.), poznawała znowu jednego z twórców poe-

zyi romantycznéj. Niektóre ustępy z Ossyana tłumaczono już dawniéj 1817 r. w témże piśmie.

Szyller przeto i Byron, jako téż Gete, choć w inny sposób, bo tłumaczenia jego utworów dotąd się nie pojawiały, najsilniejszy bezwątpienia wywarli wpływ na poczynającą się w Polsce nową epokę literatury. Tłumaczenia mianowicie dwóch pierwszych spotykamy w dalszym czasie coraz częściéj i bez przerwy, a że ich duch, ich sposób pisania udzielał się nawet niejednemu z najznakomitszych naszych poetów, o tém przekonywa późniejsza nieco historya poezyi polskiéj.

Równocześnie w Warszawie, na własnym gruncie klasyków, zbierał się coraz liczniejszy zastęp młodzieży, z pośród którego mieli niedługo wyjść oryginalni poeci i krytycy walczący za nowe idee. Jeszcze w r. 1818 przybyli do Warszawy wychowańcy Czackiego ze szkoły krzemienieckiéj: J. Korzeniowski, Karol Sienkiewicz i Tymon Zaborowski, autor późniéj wydanych Dum podolskich. Tworzyli oni osobne grono, którego organem było czasopismo „Ćwiczenia naukowe.“ W rok późniéj przybył z rodzicami z Galicyi młodziutki M. Mochnacki, który w kilka lat miał się stać jednym z najdzielniejszych obrońców nowego kierunku. Wreszcie w roku 1820 nadciągnęła także tak zwana późniéj „szkoła ukraińska”—trzéj młodzi ludzie, niemający więcéj jak po dwadzieścia lat wieku, a w uniwersytecie warszawskim szukający wyższego wykształcenia i wiedzy: Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski; Dom. Magnuszewski i Kon. Gaszyński byli podówczas studentami w lyceum warszawskiém.

Jednością dążeń i wyobrażeń połączona ta młodzież znalazła się po największéj części w jednėm kółku, tworząc swoje pieśni i poemata, rozprawiając gorąco o przeznaczeniu i istocie poezyi, pieszcząc się w swoich marzeniach widokiem nowéj i na rodzinnych podstawach opartéj literatury. Za patryarchów swoich, serdeczną sympatyą wiedziona, uważała ta garstka literatów, bez zasług dotąd i imienia, K. Brodzińskiego, który nietylko w swojéj rozprawie, ale także i prelekcyach uniwersyteckich (od r. 1822 był profesorem w uniwersytecie) zaszczepiał, chociaż zwolna i ostrożnie, nowe pojęcia,—jako téż Lelewela, który do r. 1821 nauczał w Warszawie, a po r. 1824 znowu do niéj z Wilna powrócił, otwierając w historyi widoki i rzucając poglądy na historyę, które z dążnością i pojęciami nowéj poezyi szły zupełnie ręka w rękę.

Mochnacki nazywa Lelewela w jego prelekcyach, gdzie z całym zapałem i bystrością ducha odtwarzał wieki minione, także „natchnionym poetą.”

O tym to patryarchalnym i przyjacielskim stosunku i o tych uroczych chwilach dla tworzących się wyobrazicieli nowéj literatury napisał w lat kilkadziesiąt Bohdan Zaleski kilka wierszy, które tu zapewne z przyjemnością dla czytelnika powtórzę:

„Okna domu Lelewelowskiego na rogu ulicy Długiéj i Freta wychodziły naprzestrzał, wprost ku dwom oknom pokoju Maurycego (Mochnackiego) koło Paulinów. Ile razy zacietrzewiliśmy się w rozmowie aż do poranka, brzęk szyb z naprzeciwka opamiętywał nas; pan Joachim groził palcem. Brodzińskiego takoż płoszyliśmy nieraz w nocnych

przechadzkach na Powiślu. Starsi wiekiem i poważni profesorowie: Lelewel i Brodzinski, acz obadwaj nie potakiwali marzycielstwu i zagorzalstwu młodych, byli jednak dla nas z uważaniem i miłością. Pod ich niejako błogosławienstwem rośliśmy i hodowali się w Warszawie."

Na ten stosunek profesorów, a szczególnie Brodzinskiego, do podrastającego pokolenia poetów inaczéj zapatrywali się klasycy. Dla nich było to prawdziwém zgorszeniem, że człowiek starszy, którego, lubo niechętnie, musieli liczyć do swego grona, nietylko pobłażał tym wybrykom młodzieńczym, ale [illegible] pewnego stopnia swojemi poglądami na literaturę, [illegible] wyjść z podziwienia (powiada Kaj. Kozmian w swych [illegible] ak K. Brodzinski, człowiek prawy, zacny, moralny, nie [illegible] ważył tego, co w ówczesnéj powszechnej dążności euro[illegible] ów było niebezpiecznego i zgubnego dla moralności..." [illegible] „poświęcił powszechną moralność chwilowemu uspos[illegible] y..." Dziwne zaślepienie stronniczego ducha! Kozmia[illegible] w to, że zacny i cnotliwy Brodzinski chce rzeczy pr[illegible] moralności, a w Ludwiku Osińskim, którego sam pr[illegible] ynika i epikurejczyka, widział wyobraziciela zdroweg[illegible] runku literatury...

Przypomnieć się równie go[illegible] na tém miejscu, że około 1820 r. Zoryan Chodakowski pracował także najusilniéj i najskuteczniej. W tym czasie wydał on pieśni małorosyjskie, zapoznajace świat wykształcony z poezyą ludowa, jako téż swoje rozprawy o mitologii słowianskiéj i o Słowianszczyznie przedchrześcijanskiéj, która była epoką przez romantyczność tak mile widzianą, a niesympatyczną i wcale niepojętą dla klasyczności.

Coraz większe chmury gromadziły się przeto na niebie klasycznem i coraz więcéj przybywało im przeciwników, których oni wrodzoną swoją słabością odeprzéć nie byli w możności. Ani roczniki Towarzystwa przyjaciół nauk, ani Ziemiaństwo Kozmiana, z którego wyjątki po jedenastu latach pracy nad tym utworem pojawiły się 1821 r. w Sybilli nadwislańskiéj, ani Barbara Felinskiego, chociaż się dla wspomnień przeszłości podobała, nie mogły utrwalić dobréj opinii i kredytu, które klasycyzm utracał w oczach publiczności patrzącéj na dążenia i objawy, acz nieliczne, nowego ruchu i poezyi.

Na domiar nieszczęścia powaga klasycyzmu zaczęła się także chwiać i była wystawioną na szturmy w jego własnéj ojczyźnie — we Francyi. W tym samym własnie czasie wystąpili tam: Lamartine ze swemi medytacyami poetycznemi i Wiktor Hugo ze swemi Odami i ze swoim dziennikiem „Conservateur literaire," w ktorym z całych piersi głosił pochwalę nowych angielskich poetów: W. Skota, Byrona, Moora.

Tymczasem, zanim się jakiekolwiek utwory w nowym kieruku pokazały, szły dalej swoją drogą rozprawy i artykuły po dziennikach, starające się rozjaśnic tę sprawę pod sąd publiczności wniesioną. W Sybilli nadwislanskiéj, redagowanej przez Fr. Grzymalę, spotykamy się (w r 1821) z artykułem, którego autor chciałby uniknąć zarówno Niemców jak i Francuzów, i w tym celu radzi się nawrócić do studyów nad dawną literaturą ojczystą—„a tak (dodaje) w ciągu niejakiego cza-

su mielibyśmy dzieła stosowne do wyobrażeń i gustu narodu..." Rada, jak widzimy, wcale nienowa i nienajlepiéj powtórzona. J. F. Królikowski w Mrówce poznańskiéj znowu dowodzi, że niekażda romantyczność przeciwna jest klasyczności; że owszem, ażeby literatura była narodową i celowi odpowiadającą, romantyczności wyrzekać się nie powinna... rozumie się, jeśli ta romantyczność pozbędzie się swojéj „zuchwałéj samowolności," swoich duchów, upiorów i t. d. i jeżeli potulniejszą się stawszy, „wystawiać będzie te lube, swobodą nas napawające, prawdziwe człowieczeństwa obrazy, które były rozkoszą ludów więcéj podobno niżeli my do natury zbliżonych: natenczas nie śmiałbym wątpić, czyli się do niéj skwapliwie nie przywiążemy."

Autor wyobrażający sobie romantyczność w tak idyllicznéj postaci, oświadczając daléj, że klasycyzm i romantyzm nie są antitezami, bo pierwszy oznacza stopień, a drugi rodzaj, pokazał najwyraźniéj, że nie rozumiał zgoła toczącéj się od niejakiego czasu walki i haseł obu obozów.

W obronie klasyczności podniósł także głos niejaki p. H. Kaliński, w artykule drukowanym w Astrei (1821) p. t. „Listy o literaturze polskiéj." Jedynym jego argumentem było to, że klasycyzm nie narzuca bynajmniéj więzów na poezyę, jak o tém głosi powszechna opinia.

Większéj wartości od tych rozpraw niesięgających głęboko, ani wznoszących się wyżéj, były bezwątpienia „Listy o literaturze" zamieszczone z początkiem 1822 r. w Pamiętniku warszawskim, wychodzącym już wówczas pod redakcyą K. Brodzińskiego i Fr. hr. Skarbka. Według podania Dmochowskiego, autorem tych bezimiennych Listów był K. Brodziński, a pisał je w kształcie korespondencyi, trochę nawet humorystycznéj, między dwoma obywatelami wiejskimi: panem Sieciechem i Żelisławem, pragnąc zapewne przez tę popularną formę ułatwić nowym pojęciom przystęp do szerszéj publiczności. Pan Sieciech, gdzieś widać w odleglejszéj parafii osiadły, zapytuje swojego przyjaciela, co ma znaczyć ta wojna literacka, która się od kilku lat zaczęła, „co teraźniejszy świat przez klasyków rozumie i co znaczy owa romantyczność?" Odpowiedzi p. Żelisława trafiają w sam rdzeń rzeczy i z klasykami nienajdelikatniéj się obchodzą. Klasycy, powiada on, są to w dzisiejszém rozumieniu nietylko pisarze starożytni, ale także ci wszyscy, którzy ich naśladują i którzy „nadto głębokie Arystotelesa przepisy w sztuce tak ściśle obostrzyli, jak tq zamiarem nawet poczciwego filozofa nie było..." „Tak się zawiązali (tłumaczy mu daléj) arystokraci literaccy, którzy prócz pamięci o przodkach, uprzedzenia i pewnych dworskich przyzwoitości, nic po nich nie odziedziczyli..." Z tak dokładną, sprawiedliwą i śmiałą definicyą ówczesnych klasyków dotąd nikt się podobno nie odezwał.

Romantyczność, czyli nową poezyę, również całkiem słusznie uważa p. Żelisław za wynik wieków, czyli za pewną epokę konieczną w naturalnym rozwoju poezyi. Gniewa go więc to, że przeciwny obóz, oprócz cokolwiek smaku i łatwéj znajomości prawideł nieposiadający nic więcéj, coby go nad mierność wznosiło, tonem wyższości i pogardy zwykł się odzywać o geniuszach, „które nowe tajemnice natury i serca

ludzkiego wyśledziły i tylko szkoły naszych krytyków nie znały." Robiąc wreszcie zastosowanie tego ruchu do poezyi polskiéj, obawia się, ażebyśmy nie nawrócili się do niego dopiero kiedyś, za przykładem Francuzów (u których, jak wiemy, także w tym czasie opozycya literacka już podniosła głowę), dlatego pragnąłby, aby naśladując postępowanie narodów germańskich, które do dawnych swoich wieków wróciły, poezya polska poszukała dla siebie źródła w dziejach niezliczonych plemion słowiańskich.

Ustawicznie przet[illegible]ony zwolenników romantyczności powtarzającą się pio[illegible]n do przeszłości. Że ta rada wypływała po najwięk[illegible]y, aby poezya polska nie popadła w niewolnicze naśl[illegible]w i Anglików, nie może ulegać wątpliwości. Pragniono [illegible] próby zrobionéj przez obcych, aby naśladując sposób, [illegible]m życiem natchnęli swoję poezyę, nie naśladować ic[illegible]dnakowoż była rzecz łatwiejsza dla teoryi niż dla prak[illegible]ą bardzo łatwo mogli z potrzeb poezyi wysnuć estetycy[illegible]którą bardzo trudno było wprowadzić w życie poeto[illegible]glicy zwrócili się ku dawnym wiekom... bardzo dobr[illegible] znajdowali?... Gotową poezyę wieków średnich, pieśni minnesengerów, bardów, poemata rycerskie i ludowe epopeje; mieli więc nietylko gotowe wzory, ale i materyał do tworzenia. Polacy cóż mogli znaleźć w przeszłości swojéj, a nawet całej Słowiańszczyzny? Zapewne kilka zabytków starosłowiańskiéj poezyi, która jednak dla ich poczucia była podówczas prawie tak obcą, jak utwory angielskie albo niemieckie. A zresztą co więcéj? Nawet zbioru pieśni ludowych jeszcze podówczas nie miano, pozostawały więc jedynie do użytku: Kilka podań z dziejów mistycznych zabarwionych fantazyą poetyczną i dzieje Polski od przyjęcia chrześcijaństwa. Materyał bogaty, ale w stanie całkiem surowym. Kiedy gdzieindziéj historya naprzykład średnich wieków była już przerobiona na poezyę, poeci polscy XIX wieku, chcąc się cofnąć w tę przeszłość, musieliby dopiero własnemi siłami rozpoczynać tę pracę. Czekało ich zatém zadanie bardzo ciężkie i niełatwe nie w zupełności mogli mu wydołać i nie tak prędko, nie odrazu mogli się zabrać do jego wykonania. Powoli tylko i częściami ta olbrzymia praca mogła być spełniona, dlatego do dziś dnia zostaje jeszcze wiele pola do rozwinięcia sił w tym kierunku. Jestto zachęcającém, poniekąd bardzo korzystnem dla poetów, bo podbudza ich zapał i otwiera szranki do zdobywania świeżych laurów, lecz zarazem wymaga to i wiele trudów i większej twórczości niż tam, gdzie przeszłość ma już oznaczony charakter poetyczny i dziedzictwem wieków przeszła na dzisiejsze pokolenia.

Poeci rozpoczynającéj się w Polsce romantyczności mieli przed oczami w utworach zagranicznych mistrzów gotowy taki świat poetyczny, do którego nęciły ich uroki téj poezyi, jéj koloryt silny i wyrazisty, wreszcie i geniusz jéj twórców, na których całe wieki się składały. Cóż dziwnego, że mimo napomnień i wskazówek teoretyków, nie mogli tak prędko zatrzéć w sobie doznanych wrażeń i oderwać oczu od tego widoku. Pierwotna romantyczność nie mogła odrazu stać się z tyc

powodów poezyą narodową oryginalną, musiała iść obcym torem, dopóki własnego sobie nie ubiła.

To szukanie nowéj drogi, dla któréj w literaturze własnéj dotąd nie było żadnego przewodnika, musiało się odbywać dość powolnie i nie z wielką pewnością. Koniecznością było niejako przytém, że musiano najprzód popaść w jednostronność albo w częściowość. Całości trudno było ogarnąć tam, gdzie ona nigdy przedtém przez nikogo nie była przejrzaną i przebytą. Dlatego to bezwątpienia upatrywano najprzód narodowość poezyi w jéj ludowym charakterze, jak gdyby ten jeden stan otrzymał był na to przywilej. Ale tutaj było pewne ułatwienie i lud sam się upoetyzował w swoich pieśniach, do których zbierania wkrótce potém skrzętnie się rzucili literaci i badacze przeszłości — na innych klasach społeczeństwa z dawnych czasów nie pozostało to znamię poetyczne, albo jeżeli było, to obce pierwiastki w znacznéj ilości przymieszały się do niego. Począwszy od wieku XVI, szlachta miała także swoję poezyę, ale wiemy bardzo dobrze, ile w téj poezyi było albo rzymskiego ducha albo francuzkiego gustu. Poezyę rodzimą tego stanu potrzeba było dopiero wydobywać, jak surową rudę z kopalni, ze starych kronik, z dawnych Silva rerum, z pamiętników takich naprzykład jak pamiętniki Paska, a szczerby i luki, jakie pozostawiła w niéj miniona przeszłość, dopełnić własną intuicyą.

Z téj także przyczyny dałoby się wytłumaczyć powstanie w początkach nowéj poezyi tak nazwanych szkół prowincyonalnych. Ogólnego charakteru poetycznego dla całéj Polski, jak go naprzykład miały germańskie i zachodnie ludy, bynajmniéj nie było. Należało go, jak powiedzieliśmy wyżéj, stworzyć w dalszym rozwoju poezyi,—zaczynano go więc stwarzać w ten sposób, jak w wiekach średnich budowano świątynie i tumy gotyckie: częściowo, stosownie do naglejszéj potrzeby i istniejących środków. Prowincye, w których żywioł poetyczny był najobfitszy, musiały najprzód rozpocząć pracę, wystawić, że tak powiem, pewną część budynku dla siebie...

Klasycy, niepojmujący tego narodowego charakteru literatury, oburzali się głośno na te, podług ich wyobrażenia, prowincyonalne zachcianki. Ich forma poetyczna była tak dogodną, że wszystko pod nią zarówno zmieścić się dało, a kosmopolityczny klasycyzm był zarazem centralizacyą umysłową w najściślejszém tego słowa znaczeniu. Z rozrzewnieniem przypominali sobie oni te czasy, gdzie cały ruch literacki obracał się, jak około słońca, około pseudoklasycznego ideału, którego jedyna świątynia stała w Warszawie... Wtenczas panowała zaiste karność i subordynacya w obozie literackim, słuchającym po całym kraju bez szemrania i z uległością komendy Boala i Laharpa.

Jakby przez ironię losu, pierwsza z tak nazwanych „szkół“ utworzyła się w samém sercu klasycyzmu, w Warszawie. Tutaj od roku 1820 przebywali jéj najcelniejsi wyobraziciele i tutaj najprzód pojawiały się ich utwory.

Najpierwszym z tych poetów i wogóle najpierwszym z nowych poetów, który się dał poznać, był B. Zaleski. Od początku r. 1822 drukował on swoje poezye po pismach peryodycznych, szczególnie w Pa-

miętniku warszawskim. „Ludmiła, duma z pieśni ukraińskiéj,“ „Nieszczęśliwa rodzina,“ „Lubor, ballada z powieści ludu,“ „Arab u mogiły konia,“ „Pieśń staroczeska z rękopisu Królodworskiego“ i „Triolety do Malwiny“ pojawiły się jeszcze w tym roku; w następnym znowu: „Wyjątek z rapsodu rycerskiego,“ „Dumka hetmana Kosińskiego,“ „Wzgórek pożegnania,“ ballada „Pielgrzym,“—w tym roku napisany był także: „Śpiew poety.“ Najstarszą datą jest rok 1820, podpisany pod dumką „Nieszczęśliwa rodzina,“ która w późniejszém przerobieniu otrzymała nazwę „Wzg ... “

Współcześnie, bo ... aczął St. Witwicki umieszczać w Pamiętniku warszaws ... mierne ballady i inne wiersze.

W wymienionych ... iego otworzył się nowy świat poetyczny dla czytelnik ... w nich postacie, jakich poezya polska po największéj ... ała: wiejska dziewczyna rozpaczająca nad śmiercią ... ły w bojach Lubor, dzielny, awanturniczego usposob ... acki, wreszcie i ten Arab opłakujący zgon swego ko ... i kochanki —były to zjawiska uderzające na pierwszy ... ą i aż nadto wyraźnie mówiące o sobie, że wzoru do ... yło znaléźć w pseudoklasycznéj i klasycznéj poezyi. Przedewszystkiém zaś musiał zwracać uwagę ich charakter ludowy, narodowy i pochwycony z natury. Ze wspomnień miejsc rodzinnych, z pieśni i opowiadań, które zasłyszał w ukraińskich chatach, dokąd w swéj młodości tak często zaglądał, utworzył je poeta.. A wrażenia te silne bardzo być musiały, gdy ich nie zagłuszyły ani pojęcia literackie panujące jeszcze w stolicy, ani téż z drugiéj strony wpływ romantyczności zagranicznej. Zaleski jest prawie jedynym z tych pierwszych a nowych poetów, który nie nastrajał swéj lutni na ton Szyllera, Byrona i innych romantyków, i nie potrzebował dopiero po niejakim czasie otrząsać się z naleciałości obcego ducha.

Z torbanem i taki młodziutki
Żegnałem się z tobą na wieki—

odzywa się do Ukrainy (w Oratorium wieszczém)... i jakim pożegnał się z nią, takim pozostał, można powiedziéć, na zawsze... do jego torbanu przylgnęły dźwięki rodzinne, i poszły za nim, i nie rozłączały się z nim nigdy—w świecie szerokim...

Słabe tylko, nieznaczne ślady tego obcego wpływu upatrywałbym na jego pierwszych utworach. Zakończenie naprzykład Ludmiły, kiedy w to narzekające dziewczę uderza piorun i Ludmiła zostaje przeniesioną w świat drugi, do boku kochanka, wydaje mi się być więcéj w duchu romantycznym niż w duchu ludowych pieśni i wyobrażeń. Podobnie także stary Lubor, który

. . . . . od wieków w jednéj postawie
Skamieniał, leżąc w ustroni;
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Nawpół dobyty miecz w dłoni—

i który tylko o północy, gdy zawyje burza, budzi się ze snu i oręż krwawy wyciąga,—ten Lubor także nasuwa na pamięć owych legendowych rycerzy średnich wieków, co czasami ze swych łoż grobowych się

podnoszą. Wreszcie i „Araba u mogiły konia“ utworzyło bezwątpienia jakieś więcéj romantyczne natchnienie, zamiłowane jak w średnich wiekach tak i we Wschodzie, czego najwymowniejszym przykładem stał się Byron.

Nie napotkałem nigdzie śladu, ażeby te pierwsze poezye Zaleskiego wywołały oburzenie u klasyków. Z tego, co wiadomo, zdaje się, że przeszły wówczas bez wielkiego wrażenia. Najprzód, było ich zamało (że tutaj arytmetykę w sprawy poezyi wprowadzić musimy), ażeby zrobiły jakiś rozgłos; powtóre, nie nosiły na sobie (co im swoją drogą za wielką zaletę policzyć się musi) widocznych śladów romantyki zagranicznéj, do których umysły z przykładów obcych się przyzwyczaiły i których spodziewały się w nowych utworach. Cudowności było w nich niewiele, tyle prawie, ile się jéj spotyka w poezyi ludowéj—klasycy mogli je przeto łaskawiéj przepuścić za pasportem niby téj poezyi, któréj wprawdzie nie uznawali, ale którą tolerować musieli, podobnie jak to przed niedawnym czasem stało się z Wiesławem Brodzińskiego.

Większe niezadowolenie i zgrozę musiały obudzić pierwsze utwory Witwickiego. Ale w tym wypadku słabość ich musiała być klasykom na rękę—pocieszali się tém, że romantyczność się kompromituje, tak jak kiedy późniéj Witwicki wydał cały zbiór swoich ballad, klasycy klasnęli w ręce z radości.

Wielki krzyk oburzenia podniósł się jednak, kiedy w Wilnie w r. 1822 wyszedł z druku pierwszy, a w r. 1823 drugi tomik poezyj Adama Mickiewicza. Romantyczność naprawdę stała się niebezpieczną, gdy tyle naraz wierszy wydała. Bano się jéj jako zarazy umysłowéj, lecz przytém miano błogą nadzieję, że jest tylko obłędem, który po chwili przejdzie i nie zapuści w umyśle narodowym korzeni. Teraz zobaczono, że się przerachowano—romantyczność tworzyła całe poemata, nad jakiemi klasycy długie lataby pracowali,—romantyczność wydała poetę, którego imię w krótkim czasie przebiegło kraj cały.

*Kraków, 1871.*

---

## KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Mało jest w naszéj literaturze imion otoczonych tak powszechną sympatyą i szacunkiem, jak to, które na czele niniejszéj pracy położyłem.

Podziwiamy w Brodzińskim niezmierną skromność obok wielkich zasług, jego poświęcenie się zupełne dla sprawy, około któréj chodził i za którą walczył—poświęcenie, które sprawiło, że rzadkim w literaturze i w świecie przykładem, zdołał wyzuć się z miłości własnéj, a nawet z tego egoizmu sławy, który jest jednym z najsilniejszych bodźców dla ludzi działających bądź na polu myśli, bądź na polu czynów. Jest-to postać wzbudzająca mimowolne uszanowanie—cicha i poważna; nie uderza majestatem wielkości, ale podbija serce jakąś jasnością duszy, spływającą z jéj czoła.

Lat temu właśnie szesćdziesiąt, jak imię Brodzińskiego po raz pierwszy zrobiło się głośniejszém w literackim warszawskim świecie. Dwudziestotrzyletni młodzieniec, pod górami Karpackiemi urodzony, miłością ojczyzny popchnięty pod Napoleońskie sztandary, kiedy te bitwa pod Lipskiem skruszyła i połamała, przybył niedawno i osiedlił się w stolicy. Od lat już kilku muza usmiechała się do niego, i do Warszawy nie przyszedł z próżnemi rękami. Przyniósł ze sobą dosc spory rękopis, zapełniony wrażeniami pierwszéj młodości i uczuciami, jakie miłość ojczyzny w mło [illegible] wzbudzała. Były tam i niezbędne u każdego poety [illegible] ienia młodocianego serca do ziemskich ideałów skier [illegible] i dawnych szkolnych i wojskowych przyjaźni, wreszc [illegible] ostatnich wielkich a groznych wypraw i bitew Napole [illegible] wyjątkiem wszystkie te utwory przeznaczone zostały p [illegible] go autora na zatratę i losu tego nie uniknęły. Ich prze [illegible] gło zrobić młodemu poecie sławę albo też przynajmn [illegible]

Wtedy zdarzyła s [illegible] smutna, ale wielka i chwalebna uroczystość narodowa. [illegible] wadzono do stolicy zwłoki nieszczęśliwego bohatera [illegible] sięcia Józefa Poniatowskiego. Okoliczność podobna mogła natchnąc poetów, jakoż wistocie trzech ich wydarzenie to uswietniło elegicznym wierszem: slawny Niemcewicz, znany powszechnie choc niebardzo ceniony Molski i dotąd nieznany zupełnie Brodzinski.

Ten ostatni w tych poetycznych zawodach odniósł zwycięstwo. W krótkim przeciągu czasu księgarz warszawski Dąbrowski zrobił trzy wydania tego wiersza, który publicznosc z ciekawoscią i zapałem odczytywała.

W ten sposób wszedł Brodzinski na widownię literacką i za pierwszém zaraz wystąpieniem oklaskiem został przyjęty. Dla młodego autora, mimo całéj jego skromnosci, musiało to byc bardzo zachęcającém.

Kiedy Brodzinski ten pierwszy występ odbywał, panował w literaturze smak tak nazwany wówczas francuzki, a pozniej pseudoklasyczny. Nowy jednak poeta bynajmniej tego smaku nie był zwolennikiem i nie podzielał zasad, jakie o poezyi ówczesni poeci i krytycy, największéj wziętosci używający, głosili. Brodzinski, wykształcony w szkołach galicyjskich, które w owéj epoce zupełnie niemieckiemi były, nauczył się w nich wczesnie języka niemieckiego i przez to otrzymał sposobnosc poznania literatury tego narodu. Kiedy po raz pierwszy mógł do téj literatury zajrzéc, własnie wtedy utraciła ona przed niedawnym czasem Szyllera a Getem jeszcze lat dwadziescia kilka cieszyc się miała. Były to zatém czasy nietylko jéj najswietniejszego rozwoju, ale i najzupełniejszéj dojrzałosci.

Oprocz tego młody nasz poeta, szczęśliwym i zbawiennym instynktem wiedziony, bardzo wczesnie zaczął się także rozczytywać w pismach Zygmuntowskich naszych pisarzy, którzy, jak wiadomo, położyli za fundament naszéj literatury starożytny klasycyzm wprzód zanim Francuzi mieli czas istotę jego przemienic i w nowéj formie podać go Europie jako wzór do nasladowania.

Z obu tych źródeł: z niemieckiéj i z naszéj Zygmuntowskiéj literatury, spływało na Brodzińskiego natchnienie różne od tego, jakie pobudzało do poetycznego tworzenia pisarzy epoki tak zwanéj księztwa warszawskiego. Z niemieckiego piśmiennictwa mógł on poznać, jaka jest dążność nowożytnéj poezyi, która wzorami francuzkiemi już się nie zadawalniała, a z Zygmuntowskich pisarzy przekonać się, jaką drogą piśmiennictwo polskie postępowało i nadal postępować było powinno, aby zachować i utrzymać swój odrębny narodowy charakter.

Wreszcie musimy zwrócić uwagę i na tę jeszcze okoliczność, że Brodziński był żołnierzem w legionach. Legioniści zaś w swoich szeregach mieli nietylko rycerzy, ale i śpiewaków, którzy o prawa gustu panujące na Parnasie warszawskim bynajmniéj się nie troszczyli i tworzyli swoje samorodne pieśni według tego, jak im kazało uczucie i gorąca miłość wolności. Prawda i naturalność były w tych pieśniach, chociaż nie było sztuki,—a to nie przeszkodziło im wcale, że niektóre z nich, np. ów mazurek Dąbrowskiego, stały się pieśniami narodu całego i sławniejszemi od wielu utworów z nieporównanie większemi artystycznemi zaletami.

Jakkolwiek jest to tylko przypuszczenie, można jednak prawie na pewne się domyślać, że przykład i wpływ tych poetów natury mógł działać także na rozbudzające się zdolności Brodzińskiego i do naśladowania z pewnemi modyfikacyami téj samorodnéj poezyi zachęcać.

Wszystkie te wpływy zewnętrzne utwierdzały w nim tylko jego narodowe usposobienie i rozwijały w nim to, czém jego duszę napoiły pierwsze wrażenia dziecinstwa i młodości, i wychowanie, jakie w domu rodzicielskim odebrał. Nie będę powtarzać tutaj znanych oddawna i często powtarzanyeh szczegółów o pierwszych latach jego życia. Urodził się i wychował na wsi, i to wskutek nieszczęśliwych dla niego stosunków rodzinnych, więcéj w chatach wieśniaczych niż w szlacheckim dworku swego ojca. Wiejskie kobiety były jego opiekunkami, którym, jak w swoich „Wspomnieniach“ wyznaje, zawdzięczał swoje początkowe wychowanie, a wiejskie chłopaki i dziewczęta stanowili przez długi czas jedyne jego towarzystwo. „Byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do jedenastego roku”—pisze w inném znów miejscu swoich „Wspomnień,” a to życie na łonie natury w pierwszéj młodości wyryło na jego charakterze i na jego usposobieniu poetyczném niezatarty ślad na cały jego wiek dalszy. Wieś ze swemi zwyczajami i obyczajami była dla niego zawsze jeśli nie najdoskonalszym, to najulubieńszym stanem społeczeństwa, a natura i prostota pozostała hasłem jego poezyi, którego nie wypierał się i wtenczas, gdy owionięty ówczesną atmosferą literacką wpływowi jéj ulegał i ideałowi własnemu się sprzeniewierzał.

Ze wsi przeto i z obozu wszedł Brodziński w to literackie koło warszawskie, którego główném siedliskiem był salon. W wyobrażeniach swoich literackich przeszedł on już tę epokę, za którą jego towarzysze nic już w przeszłości doskonalszego nie widzieli, a w znajomości piśmiennictwa ojczystego sięgał aż do wieku szesnastego, podczas gdy klasycy księztwa warszawskiego co najdaléj w literaturze Stanisława Augusta źródło swoje i początek widzieli.

Już zaraz w tym pierwszym drukowanym wierszu Brodzinskiego, o którym wyżéj była mowa, dała się czuć różnica odznaczająca nowego poetę. Podobał on się publiczności bezwątpienia dlatego, że odzywał się do niéj z głębi czującego serca. Autor, który służył pod rozkazami zgasłego bohatera, opiewał jego śmierć i wynurzał nad nią swe żale jak żołnierz, który kocha i uwielbia swego wodza; jego słowa nie były, pomimo klasycznego zakroju wiersza, szumną a zimną deklamacyą, ale z naturalnym zapałem wypowiadały to, co przy tém wydarzeniu czuł i myślał ogół narodu, a [illegible] rzysze broni zmarłego.

Klasyczną podob[illegible] j, nieraz zupełnie podobny do tonu ówczesnéj zfranc[illegible] także inny wiersz Brodzinskiego, w r. 1816 pisany, [illegible] nież w treści swojéj jest on mocno rewolucyjnym i z [illegible] mne strony panującego smaku uderza. Przeznaczenie[illegible] ak się zdaje, było zastąpić dawne poetyki i w formie [illegible] j nowe wygłosić poezyi zasady.

Jako najpierwszy [illegible] i na miejscu, które zajmowała w wyobrażeniach pseu[illegible] onwencyonalna sztuka, kładzie Brodzinski naturę, i z t[illegible] dła wyprowadza następnie inne poezyi przymioty, a mia[illegible], prostotę i uczucie.

Niech na wieki krainę poetów zaniecha,
Kto nie zna krain prawdy, komu obce serce,
W którem świat niezbadany ukrył się w iskierce.

To serce, ta uczuciem pojmująca świat cząstka człowieka, we współczesnéj poezyi małą odgrywała rolę, a Brodziński, odzywając się w obronie jéj praw, wyprzedził tylko więcéj sławne i powszechnie znane Mickiewiczowskie:

Miéj serce i patrzaj w serce.

Jest to zresztą główny, że tak powiem, akord, który rozbrzmiewa na rozmaite tony w tym wierszu. Tak naprzykład w tém miejscu, gdzie za pierwszy przymiot poety uważa znajomość serca ludzkiego i z tego złotą nić poezyi wysnuwać mu każe:

Znać tajniki serc ludzkich, to jest wieszcza cecha,
Śpiewak, co ludzi nie zna, niech rymu zaniecha...
W człowieku dla poezyi najpierwsza nauka.
Nie zna go, kto po księgach, po dworach go szuka,—
W tkliwém sercu są klucze do serca współbraci.

Nie trzeba jednak wyobrażać sobie z drugiéj strony, aby młody poeta zupełnie był chciał zerwać ze sztuką. Tego wszakże nie mogły go nauczyć wzory, które znał i tak wysoko cenił, wzory zarówno w literaturze narodowéj jak niemieckiéj zawarte, a przedewszystkiém musiał go od téj drugiéj ostateczności uchronić ów harmonijny świat greckiego piękna, dla którego uwielbienie i cześć najwyższą już wtenczas żywo okazywał. To téż ideałem doskonałéj poezyi jest już i w tym wierszu dla niego harmonia i zgoda najzupełniejsza pomiędzy temi dwiema potęgami, które twórczością poety kierują,—między naturą i sztuką:

Sama natura sztuce zdała swoje prawa,
Pod jéj różane pęta chętnie się poddawa,
Ale zgodę wzajemną wiecznie z nią zawarła,—
Bez niéj ta będzie dzika, owa obumarła.

W naturalném następstwie tych warunków i przymiotów poezyi, powinna ona była także według wyobrażeń Brodzińskiego porzucić ten kosmopolityzm, który się w niéj pod wpływem niewolniczego naśladownictwa wyrobił i który sprawiał, że utwory polskich pisarzy nie miały na sobie prawie żadnych cech charakterystycznych narodu, wśród którego i dla którego pisali.

Nie mogę się powstrzymać, abym nie przytoczył tu dłuższego nieco ale pięknego ustępu, w którym Brodziński gorąco i z wielką miłością ojczyzny zachęca swych braci po lutni, aby tylko ojczysty kraj i ojczystą przeszłość opiewali, bo te zaiste więcéj im mogły dać i prawdziwszego natchnienia, niż obce rzeczy i przedmioty: —

Na jakiéj ziemi, z jakim ludem żyjesz razem,
Takiego twoje pienia niech będą obrazem.
Niechaj inni śpiewają arkadyjskie gaje,
Krwawe brzegi Skamandru i Saturna kraje,—
Ty, ceniąc wszędzie piękność, własną śpiewaj ziemię,
Wspólne w czuciu, w przygodach i zwyczajach plemię;
Zagrodę, gdzie młodości przekwitły ci lata,
Za którą wszystkie kraje zbroczył krwią Sarmata,
Na któréj złożysz kiedyś uśnieżoną głowę,
Która grób twój umai w gałązki świerkowe.
Maluj to morze kłosów pod skałami Tatrów,
Ze skromnym gnąc się skarbem przed wściekłością wiatrów;
Wiecznie zielone lasy, zbożo pławne rzeki,
Stada błądzące w polach, sady i pasieki,
Ruiny, smutne świadki dawnéj duchów chwały,
Mogiły, co z ojczyzną synów pogrzebały.
Śledź zgasłych ojców czyny; łańcuchem niezłomnym
Sprzążdawną miłość kraju z plemieniem potomném,
W ziomkach ucz się znać ludzi, z nich czerpaj natchnienie,
Ich uczuciem wzbudzone im poświęcaj pienie.
Tego dzieła są drogie i chwała niepłocha,
Kto zna kraj jak Krasicki, jak Niemcewicz kocha.

Jedném słowem, już w pierwszych chwilach swego pojawienia się w literaturze, młody poeta, jak niegdyś Rousseau do społeczeństwa, wołał do polskich poetów: powróćmy do natury, któréj odbiegliśmy dla martwych formułek poetycznych, pojmujmy świat uczuciem, jeśli do serc ludzkich i do świątyni prawdziwéj poezyi chcemy znaléźć drogę; bądźmy poetami narodowymi wreszcie, bo inaczéj będziemy na zimno choć uczenie powtarzać tylko, co już raz i lepiéj od nas powiedzieli Francuzi lub Rzymianie, a praca nasza dla ojczyzny teraz i na przyszłość pozostanie bez pożytku i bez owoców.

Były to bardzo rozsądne i użyteczne rady, które trafiały w sam rdzeń słabości naszego pseudoklasycyzmu, i z powodu których Brodziński bardzo sprawiedliwie mógł sobie zasłużyć u ówczesnych. literatów na miano jakiegoś niewczesnego nowatora i malkontenta.

Ale w tym samym właśnie czasie, kiedy Brodziński podniósł

pierwszy głos, lubo skromny i dość nieśmiały, przeciwko panującemu duchowi piśmiennictwa, zanosiło się i u nas na nowatorstwo daleko więcéj głośne i groźne.

Od roku 1815 bowiem począwszy, zaczynają do Polski, mianowicie do jéj umysłowéj stolicy Warszawy, przychodzić coraz częstsze wieści o jakimś romantyzmie czy téż romantyczności, czyli, co na jedno wychodzi, o jakimś radykalnym przewrocie literackich pojęć, o jakiéj nowéj poezyi, jakiéj je[illegible] nie widziano. Co to było? co to być miało? o tém dokła[illegible] dział, i jakiś czas, można powiedzieć, cała wiadomość [illegible] rolucyi na Parnasie ograniczała się na kilku także nieba[illegible] razach: romantyczność, Szyller, Gete, Szekspir—[illegible] głośniejszy może z tych wyrazów: Byron...

Klasycy nie mogl[illegible] objaśnienia, czém jest i co ma oznaczać ten nowy ruc[illegible] ierwsze i po ostatnie razem dla tego, że sami o tym ru[illegible] brażenia. Dla nich literatura francuzka była alfą i o[illegible], a co się działo u innych narodów, to ich ani nie obc[illegible] néj wartości w ich oczach mieć nie mogło.

Może jeden tylko Brodziński z ówczesnych ludzi władnących piórem mógł był to uczynić; on bowiem znał literaturę zagraniczną, a mianowicie niemiecką, i tem samém mógł także znać historyę tego ruchu, który w Niemczech miał początek, jako też jego przyczyny i dążności. I w istocie Brodziński to uczynił.

Pamiętną na zawsze będzie w naszéj literaturze jego rozprawa, drukowana najpierw w Pamiętniku warszawskim roku 1818: „O klasyczności i romantyczności, tudzież uwagi nad duchem poezyi polskiéj" — od niéj bowiem rozpoczęły się spory prawie dwunastoletnie zwolenników obu szkół poetycznych, a co więcéj ona także pozostała wyraźnym dowodem, jak jasno i jak mądrze patrzył na rzeczy jéj autor w czasie, gdzie sprawa, w któréj występował, bynajmniéj jeszcze rozwikłaną nie była i gdzie tak łatwo stronniczość lub krótkie widzenie mogły były popchnąć ku jednéj albo ku drugiéj ostateczności.

Znany jest rezultat zastanawiań się Brodzińskiego nad tym przedmiotem. Krótko mówiąc, powiedział klasykom, czyli całemu ogółowi ówczesnych pisarzy, bo innych jeszcze w téj porze nie było, że się bardzo mylą, jeśli klasycyzmem nazywają literaturę francuzką z XVII i XVIII wieku, bo prawdziwym klasycyzmem jest co innego, mianowicie literatura starożytna grecka, a poczęści i rzymska, zatém że sami nie są bynajmniéj klasykami, tylko naśladowcami Francuzów; z drugiéj znów strony zawyrokował, że romantycznością jest dawna poezya wieków średnich u romańskich (ztąd jéj nazwa) i germańskich ludów, jako też i ta poezya, która w nowszych czasach u Niemców pod wpływem ich idealistycznéj, czyli jak ją nazywa, mistycznéj filozofii się rozwinęła, a z czego znowu wynika podobnyż wniosek, że dla polskiéj literatury nie ma ona ani ze swéj przeszłości, ani z teraźniejszości, żadnego znaczenia i za wzór, ani téż za podstawę lub punkt wyjścia dla niéj służyć nie może.

W ten sposób rezultat, do jakiego Brodziński doszedł, był na obie strony ujemny. I klasycyzm i romantyczność nacechowane zostały znamieniem cudzoziemszczyzny; pierwszy jako francuzczyzna, a druga jako niemczyzna. Ale w rozprawie niniejszéj doszedł on także do wniosków więcéj dodatnich. Zrobił przegląd dziejów polskiéj literatury, wykazał jéj początek, przeszedł jéj koleje aż do ostatnich czasów i z tego wyrobił sobie przekonanie, jaką być nadal powinna, jaką drogą ma daléj postępować i czego się trzymać.

Według tego przekonania poezya polska powinna była daléj rozwijać się w tym kierunku i kształcie, jakie jéj nadali pierwsi twórcy naszéj literatury, t. j. pisarze wieku Zygmuntowskiego, jako też ich nieodrodni następcy z czasów Stanisława Augusta. Miała zatém trzymać się i nadal tego szczęśliwego połączenia klasycznego smaku z duchem narodowym, jakie udało się utworzyć pisarzom XVI wieku i jakie zachowała w swych utworach także i epoka Stanisławowska. Obok tego literatura starożytna, czyli klasycyzm rzeczywisty, jak niegdyś tak i nadal miał służyć za wzór i wskazówkę.

Niedosyć na tém. Brodziński czuł dobrze, że duchowi czasu i postępowi wieku trzeba także poczynić niejakie ustępstwa i rozwoju ich nie krępować. Taki narodowy klasycyzm, jaki znalazł w historyi naszéj literatury, był według jego wyobrażeń najdoskonalszą i najodpowiedniejszą formą dla naszéj poezyi, ale z tém wszystkiém w świecie i w umysłach ludzkich pojawiały się nowe pragnienia, nowe uczucia i idee, które miały prawo znaléźć w poezyi swój wyraz, a nawet stać się dla niéj źródłem natchnienia. We formę, uświęconą przez trzy wieki naszéj literatury, niewszystkie te nowe rzeczy dałyby się zmieścić, należało ją zatém koniecznie rozszerzyć, a i tu i owdzie może nawet nieco przemienić. Z uwagi na to, Brodziński przypuszczał, że romantyczności można dozwolić pewnego przystępu do naszéj poezyi, o tyle mianowicie, o ile ona miała w sobie coś z ducha czasów i z postępu wyobrażeń, i o ile przez romantyczność rozumiano także wskrzeszenie z martwych zamierzchłéj przeszłości. Ale i w tym punkcie kładł jeden konieczny warunek: aby tę romantyczność zrobić narodową i w duchu naszéj historyi dawniejszéj i nowéj jéj poszukać. Jeżeli romantycznością poezyi niemieckiéj była rycerskość wieków średnich i nowożytna filozoficzna mistyka, to romantyczność dla polskiéj poezyi stosowną widział Brodziński w téj „tęsknocie“ (jest to jego własny wyraz), w tym smutku bolesnym lecz opromienionym nadzieją, jaki zapanował nad duchem narodu polskiego od czasu, gdy stracił ojczyznę i niepodległość. „Romantycznością naszą—odzywa się tym namaszczonym głosem, jaki często w jego słowach słyszéć się daje—są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła; smutne grody, w których nasi królowie przemieszkiwali, a do których murów teraz wieśniacy strzechy swoje przytykają; stolica, gdzie teraz na oddzielonéj ziemi śpi tylu naszych rycerzy; mogiły przodków, które po niwach naszych wszędzie napotykamy.“

A teraz gdybyśmy się zapytali, o co głównie w téj rozprawie Brodzińskiemu chodziło, jakaż byłaby odpowiedź? Czy o obronę tego kla-

sycyzmu, który zastał na ziemi polskiéj, lub jego potępienie, czy o obronę lub potępienie poczynającéj się romantyczności? Bynajmniéj. Głównym jego celem było tylko strzedz narodowości poezyi polskiéj. Widział tę narodowość zachowaną w poezyi wieku Zygmuntowskiego i Stanisława Augusta, i dlatego za wzór je polecał; przypuszczał zmiany w duchu romantycznym czyli nowożytnym, ale naprzód żądał, aby przy ich zaprowadzeniu szanowano charakter i dzieje narodu.

Takie były teoretyczne zasady i pojęcia o poezyi naszego autora. Ale równocześnie nie prz[illegible]kże i w praktyce poezyę uprawiać, i począwszy od ow[illegible]nego wiersza, który jego inauguracyę w literaturze sta[illegible] pisma peryodyczne, zwłaszcza warszawskie, dosyć czę[illegible] prace poetyczne z podpisem Brodzińskiego. Wreszcie [illegible] zebrał on je razem i wydał w Warszawie w dwóch [illegible]kach.

Poezye Brodzińsk[illegible]e z głoszonemi przez niego zasadami. Niepodobna i[illegible]wdziwego uczucia i prostoty, czém zaszczytnie mogły [illegible]od wymanierowanych i po największéj części na zimn[illegible]erszy naszych pseudoklasyków. Z tém wszystkiém, jakko[illegible]ogły one przynieść swemu autorowi, przyznać i to należy, że nie były zdolne sprawić jakiegokolwiek przewrotu na korzyść prawdziwéj poezyi. Mogły się podobać, ująć niejednego za serce, ale nie mogły wstrząsnąć duszami. Wobec nich, jak i bez nich, szkoła klasyczna mogła się ostać, nie tracąc nic ze swego znaczenia, coby jéj zagrażało, gdyby stanęły z nią do porównania utwory, różniące się od niéj wyraźnie swą formą i kolorytem, odskakujące od niéj na pierwsze wejrzenie swoim kontrastem. Brodziński nie miał po temu potrzebnéj siły; jego natchnienie jest, jak rzekłem, prawdziwe, płynie z serca, ale brak mu zapału i podniosłości i czuć wyraźnie, że ten poeta nie posiada tyle, ile mieć powinien, twórczéj fantazyi—tego przymiotu, za pomocą którego wieszcze najwięcéj zapewne ujmują sobie i podbijają serca.

Z prac poetycznych Brodzińskiego pozostanie na zawsze najważniejszą i najcenniejszą jego sielanka krakowska w pięciu pieśniach: „Wiesław," drukowana jeszcze poprzednio częściami w Pamiętniku warszawskim, a objęta także w pierwszym tomiku jego pism poetycznych. W czasach swego pojawienia się zdawała się ona osobliwością z tego szczególnie względu, że jéj autor pierwszy po „Krakowiakach i Góralach" Bogusławskiego miał odwagę wprowadzić wieśniaka polskiego na scenę poezyi. Klasycy, mimo swego szczególnego zamiłowania w poważnéj i górnolotnej poezyi ód i tragedyj, nie gardzili także sielanką, ale pod ich piórem musiała ona koniecznie przybrać kształt lepiéj lub gorzéj naśladowanéj idylli Wirgiliusza, a jéj bohaterowie koniecznie w słodko-sentymentalnych Korydonów i Lykorisów się przemienić. Zdawało się zatém podówczas wielką nowością i było rzeczą niesłychaną, że Brodziński porzucił te konwencyonalne sfery sielankowości, a stanął na gruncie rzeczywistym, a tém samém i narodowym.

Aby ocenić całą jego zasługę w téj mierze, należy na „Wiesława" patrzyć nie z dzisiejszego stanowiska, ale z tego, na jakiém znajdowało

się poczya przed ukazaniem się tego poematu. Dzisiaj wprawdzie, gdy nasza poczya przez te ubiegłe pół wieku obficie się już w źródle narodowości skąpała, musimy także „Wiesławowi" przyznać niemałe zalety, a jego twórcy to, że udało mu się pochwycić szczęśliwie niemało rysów z rzeczywistości i nieraz powlec swój utwór prawdziwie narodowym kolorytem, ale z drugiéj strony dzisiaj widzimy i to również, że pendzel jego nieraz był nazbyt nieśmiałym, zamało dosadnym, a czasem także i rysunek niezupełnie zgodny z prawdą.

W ocenieniu „Wiesława" nie bez znaczenia jest ta okoliczność, że poemat ten, choć był pewnego rodzaju wyłamaniem się z pod praw owoczesnéj poetyki, został jednak bez oburzenia i z pewném pobłażaniem przez klasyków przyjęty. Znane jest powszechnie zdanie jednego z nich, na pochwałę Brodzińskiego wyrażone, że „krakowskiego Maćka przerobił na Wiesława." Pomimo całéj różnicy, jaka pomiędzy nimi być mogła, klasycy czuli, i nie bez racyi, że coś z ich smaku pozostało jeszcze w „Wiesławie."

Jeśli oni byli idealistami aż do tego stopnia, że w sferze idealności w nicość poezyę roztapiali, i zrywając wszelki związek z rzeczywistością i prawdą, czynili z niéj tęczową mydlaną bańkę dla igraszki umysłów tak zwanym dobrym smakiem obdarzonych, to Brodziński był także idealistą, lubo nie ze szkolnych przepisów poetyki, ale z naturalnego usposobienia i wrodzonéj delikatności swego serca. Realizm tego życia nie docierał nigdy bezpośrednio do jego duszy i gazowa zasłona ułudy musiała mu zawsze jego szorstkości i jaskrawości osłaniać, a idealne piękno starożytności, które zawsze miał na oczach, kazało mu odrzucać wszystkie rysy i zagłuszać wszystkie dźwięki, które mogły być wprawdzie charakterystyczne i prawdziwe, ale nie spływały się w harmonijną melodyę.

To zapewne sprawiło, że tak Wiesław, jak i inne postacie tego pomatu, dla nas, przyzwyczajonych przez późniejszych poetów do naturalnéj prawdy i do realizmu, wydają się wogóle zbyt zidealizowane i niekiedy nawet podobne do owych stereotypowych figur klasycznéj idylli. O ile mi się zdaje, i co na korzyść autora wypada, to nienaturalność i brak prawdy uderzają nas czasami nie w tém, co i jak te postacie czują i myślą, ile raczéj w tém, jak się odzywają i co mówią, i jak sam poeta o nich niekiedy się wyraża, czyli innemi słowy, nie razi nas brak psychologicznéj prawdy, jak w dawniejszych sielankach, ale tu i owdzie niestosowny język tych ludzi i nieprawdziwe rysy, któremi poeta ich zwyczaje i obyczaje maluje.

Zapewne żadna wiejska dziewczyna nie odezwałaby się tak, jak mówi Halina do Wiesława przy pierwszém spotkaniu, częstując go „ciastem" i owocami z koszyka:

> O b c y w ę d r o w c z e ! Jużci przyjąć trzeba
> Naszych owoców i naszego chleba!

To wyrażenie „obcy wędrowcze," zastosowane do parobka, powracającego do niebardzo dalekiéj wsi z końmi, kupionemi na jarmarku, zbyt pompatycznie w ustach Haliny wygląda i jest zupełnie nieprawdzi-

wém. Tak samo nie można się zgodzić, jeśli poeta młodych wieśniaków nazywa „młodzieńcami," kiedy oni wistocie zowią się zawsze chłopakami albo parobkami.

W wierszach:

Halina pląsa z miną uroczystą,
Ol ułącz szatę ująwszy kwiecistą,
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

wyrazy rozstrzelone wydają mi się także nie na swojém miejscu, lubo znów to, co o Wiesławie jest powiedziane:

On tupnął, gł … emi—

bardzo jest trafne i praw

Największy zaś błąd … tam, gdzie jego krakowska sielanka trąci nawpół … mentalnością pastorałek klasycznych. Przytoczę kilka … zykładów. W pieśni 3-éj Wiesław, wynurzając się prz … nami, powiada między innemi:

Przy waszym … spokojny,
Anibym zazn … sem wojny.

W pieśni znów 4-é … bach, nalewając Halinie miodu do kubka, tak do niéj pr

Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
Piękna Halino! jak tobie słodyczy
Na całe życie serce moje życzy —

a nieco daléj znów jego swat, stary Jan, powiada o nim:

Że swoje serce jej sercu zostawił.

Wyliczyłem powyżéj prawie wszystkie usterki, których według mego zdania poeta się dopuścił. Z drugiéj strony winienem także zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej z tych charakterystycznych rysów, które tak trafnie pochwycił z życia wiejskiego i niemi naturę i zwyczaje naszego ludu określił.

Kiedy np. Halina, przyjąwszy podany od Wiesława kubek miodu,

.....pytającém okiem
Patrzy na matkę, odwraca się bokiem,
Białe odzienie zarzuca na głowę,
Tak zasłoniona wypełnia połowę—

powtarza ona wiernie to, co codziennie czynią nasze młode chłopki, wstydzące się pić, lub udające wstyd, zresztą całkiem niepotrzebny.

Wyborna jest także charakterystyka Wiesława, włożona w usta starego Jana:

Choć pracowity, choć posłuszny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
Zajechać drogę choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie,
Z karczmy roz, gdzie cesarskie wojaki.
Wyśmiać wędrownym góralom chodaki,
Toć były dotąd jego obyczaje.

Czyliż gdy czytamy te wiersze, nie staje nam przed oczyma rzeźka, zuchowata i trochę zawadyacka postać krakowskiego parobczaka, jakich jeszcze po dziś dzień niemało?

Jakże pięknym i prawdziwym jest znowu obrazek wsi krakowskiéj, niedługiemi słowy, ale misternie i ze zręcznością prawdziwego artysty skreślony:

Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska, jako ogród długi,
W kwitnących sadach nizkie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije;
A stary kościół z blaszanemi szczyty
Ponad wsią błyszczy lipami zakryty;
Wieża, z któréj dzwon o milę donosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.....

A daléj o kilka wierszy dokończenie tego obrazu:

Daléj przy miedzy naprzeciwko chaty
Stoi krzyż Pański, pochylony laty,
Wokoło wierzby i zielona trawka...

Wszystko to tak, jak jest prawie w każdéj wsi polskiéj, jak się nieraz własnemi oczami widziało. A to czyż to także nie jest prawie stały zwyczaj polskiego chłopa, ten ruch prawie jemu wrodzony, kiedy stary Jan, mając uklęknąć przed krzyżem, uwalnia sobie naprzód obie ręce, aby je swobodnie podnieść ku niebu i „o ziemię kij i czapkę rzuca?...” Któż tego nie widział przed naszemi kościołami, krzyżami i bożemi mękami?

Nie omylono się zatém, jeśli w „Wiesławie” zobaczono utwór narodowéj poezyi; pozostał on do dziś dnia takim, pomimo niejakiéj delikatności nie na swojém miejscu i sentymentalności, któremi poeta pragnął zbyt ostre naturalne rysy złagodzić.

Podobno niedługo po wydaniu tego zbiorku, około roku 1824 i 1825, zamyślał Brodziński o innym, obszerniejszym poemacie, który bodaj czy nie byłby zaletami swemi przewyższył „Wiesława.” O ile wiem, pierwszą wiadomość o tym utworze podał niedawno zmarły F. S. Dmochowski, który około kompletnego wydania pism Brodzińskiego, obecnie pod redakcyą Kraszewskiego wychodzącego, tak wielkie położył zasługi, w rozprawie „O życiu i pismach K. Brodzińskiego,” przed paru laty wydanéj. Pomiędzy innemi manuskryptami naszego poety, które miał w ręku, znalazł także ułamek, stanowiący początek poematu: „O dworze w Lipinach.” Z tego, co pozostało, podał on także zarazem krótką treść całego utworu. Otóż rzecz miała być taka, że dziedzic Lipin ma jedynaczkę córkę, o którą stara się Wacław, młody obywatel, i otrzymuje przyrzeczenie jéj ręki. Zaręczyny już się odbyły, ale wtém zaszła wyprawa Napoleona na Moskwę w roku 1812 i Wacław zamiast na ślubny kobierzec, idzie do obozu, aby, podobnie jak pan Tadeusz Mickiewicza, tam sobie na miłość narzeczonéj zasłużyć.

Brodziński dość daleko musiał już ten poemat doprowadzić; Dmochowski wspomina, że miał w ręku stronicę z napisem: księga trzecia. Szerokie także ramy miał mieć ten utwór, bo według znalezionych notatek Brodzińskiego, miał objąć wielkie wypadki historyczne z owéj epoki, opis kampanii 1812 roku, szturmu do Smoleńska, bitwy pod Możajskiem, pożaru Moskwy, odwrotu i przeprawy przez Berezynę, na

które to wypadki Brodziński sam niegdyś patrzał i brał w nich udział jako żołnierz.

Szczerze musimy żałować, że do napisania tego poematu nie przyszło, i uważać to za jednę z rzeczywistych strat naszéj literatury. Małe dochowane ułamki, a mianowicie sam początek poematu, świadczą, że byłaby to rzecz niepośledniéj, a może i niepospolitéj wartości. Zarówno dowodzą one także, że Brodziński, dobrze rozumiejąc powołanie narodowego poety, nie ścieśniał sobie bynajmniéj sfery działania, i jak w „Wiesławie" dał nam pierwszy wizerunek wiejskiego ludu, tak w tym „Dworze w Lipin [illegible] ay odmalować nam życie szlachty polskiéj i jego char [illegible] zcze, nim to uczynili Malczeski, Mickiewicz i inni.

Wistocie, nie ob [illegible] m się mylił, ale w niektórych ustępach tych fragment [illegible] ę, że słyszę dźwięki podobne do „Maryi" albo „Pana [illegible] dzic Lipna, chociaż widocznie jego losy nie miały być [illegible] przypominał mi starego Miecznika.

Oto spotykamy go [illegible] go, podobnie jak nieszczęśliwy ojciec Maryi, pod cienie [illegible] sińcu:

W podwórzu jest [illegible] tanowym cieniu,
Tam siedzi pan na Lipnie, Kazimierz po imieniu.
Możny niegdyś starosta, sławny niegdyś z dziadów,
Dziś imię poczciwego nosi u sąsiadów.
Krótki zielony kontusz pas okala lity,
Wierzch tylko głowy włosem sędziwym okryty;
Brew nad okiem, wąs bujny po licach rumianych,
Świadczą tylko o czasach dawno pamiętanych;
Na lewém ręku pierścień w kamienie oprawny
Świadczy herbem ród jeszcze od Chrobrego sławny.

Dokoła niego stoi czeladź domowa z odkrytą głową, słuchając rozporządzeń pańskich do jutrzejszéj pracy. Tymczasem córka jego Hanna, ponieważ to właśnie jest dzień imienin ojca, gotuje dla niego podarunki na wiązanie:

Z orzechowéj komody wyjmuje pas lity,
W sennych ojca godzinach pokryjomu szyty;
Wyjmuje dużą trzcinę, troskliwie tajoną,
Bo jeszcze od miesięcy czterech przywiezioną,
I sakiewki w osobnym papierze zwinięte.
Zielone, pierścionkami kunsztownie ściągnięte,
Które przywiózł ekonom do Brześcia wysłany.

Czeladź, odebrawszy rozkazy, odeszła; Hanna uważa tę chwilę za stosowną, aby przystąpić do ojca.

Pan na Lipnie sam został, siedząc zadumany;
Ale był dobréj myśli, bo tę pewność miała,
Gdy czapka wierzchem swoim naprzód się skłaniała,
W tył bowiem narzucona gniewny humor znaczy,
Bo ruchem ręki tajne uczucia tłumaczy.
Z tyłu zaszła i cicho za kasztanem stoi,
Bo modlitwy zaczętéj przerywać się boi....

Wogóle ten sam tu jest, co w Maryi, wzajemny stosunek ojca do córki, taż sama wzajemna znajomość siebie i ten sam wreszcie niepokój podeszłego ojca o przyszłość dziecka, pozbawionego już matczynéj opieki:

Przy ojcu podupadłym, daleko od świata,
Nieznana, w wsi samotnéj pędzisz młode lata.
Nie odwiedzą, jak dawniéj, sąsiadów sąsiedzi,
Każdy ze swoją troską w swym domu się biedzi.
Dzisiaj o wiano trudno i trudno o męża:
Nie do ślubów młódź śpieszy, tylko do oręża.

Brodziński, gdyby był ten poemat wykończył, byłby także wyprzedził Mickiewicza w przyswojeniu naszéj poezyi heksametru, którego, podobnie jak autor „Konrada Wallenroda” zamyślał użyć w opowiadaniu wyprawy wojennéj roku 1812. Dziesięć zachowanych i przez Dmochowskiego wydrukowanych wierszy tego fragmentu pokazują, jak dźwięcznym, jak blizkim Mickiewicza mógł być język tych rytmów.

I jeszcze raz powtarzam: szkoda, wielka szkoda, że nie mamy tego poematu! Literatura nasza byłaby bogatszą o jeden drogocenny utwór narodowéj epiki, a i sława Brodzińskiego jako poety byłaby przez niego wiele, może bardzo wiele się podniosła.

O innych poetycznych jego utworach, do tego, co już wyżéj powiedziałem, niewiele mam dodać. Zalecają się one, jeżeli nie prostotą uczucia, to filozoficznym, pełnym spokoju i rozumu poglądem na ten świat i jego wielkie i małe sprawy, albo téż gorącą miłością ojczyzny, która była jedném z najstalszych źródeł natchnienia dla naszego poety. Kochał on ojczyznę nietylko jako ideę i wspaniałą dziejową przeszłość, ale drogą mu była także jéj ziemia, niebo nad nią rozwieszone i jéj natura, chociaż skąpsza dla niéj, niż dla wielu innych krajów. Takie uczucia wypowiada w wierszu „Pobyt na górach karpackich” i one także tryskają z każdego wyrazu innego wiersza, „Powrót z Włoch,” pisanego w r. 1826 na stacyi w pewnéj wsi szwajcarskiéj. Klasyczna ziemia sztuki i wielkich historycznych wspomnień, najrozkoszniejsza w naszéj części świata, niezdolną była jednak shołdować całkowicie wędrowca, chociaż on umiał tak dobrze wszystkie jéj czary i uroki czuć i oceniać; z radością porzucał ją w nadziei, że ma własny swój kraj zobaczyć.

Już wy mnie nie znęcicie, hesperyjskie gaje!
Bez żalu, wasz hołdownik, z wami się rozstaję—
Wszędzie piękność, wesołość, natura i sztuka,
Lecz niema, czego serce Słowianina szuka:
Niema błogiéj szczerości i głębszego czucia,
Pełno zewnątrz obrazy, a wewnątrz zepsucia.
Pyszne Pana świątynie, lecz pobożność płocha.
U nas, w śniegach, lud prościéj lecz żywiéj Go kocha.
Tu wreszcie w gruzach przodków igrają weseli...
Nic z nimi moje serce wspólnego nie dzieli;
Czuléj w naszéj Północy kochają swą ziemię,
Choć tam skąpiéj natura posaży swe plemię;
Mniéj darów, ale duszę więcéj mają tkliwą...
Rzewniéj się jakoś kocha matkę mniéj szczęśliwą.

Ostatni ten wiersz jakby wyszedł z pod samego serca poety, i pięknością dorówna mu chyba zakończenie téj patryotycznéj elegii, kiedy ucieszony, że wraca do ojczyzny, przyrzeka sobie nigdy nie porzucać jéj, jakichkolwiekby doznawał w niéj losów.

Choćby przyszło z trapiącém kochać ją milczeniem,
Byle w niéj, byle dla niéj z czystém umrzéć tchnieniem.

W niespełna lat dziesięć po napisaniu tych serdecznych i tak czystych życzeń poety, niestety, tylko drugie z nich się ziściło.

Do jego ważniejszych prac wierszem należą nakoniec przekłady z Pisma świętego: „Hiob," drukowany dotychczas według niekompletnego i niewykończonego rękopisu, i „Sulennitha" czyli właściwie „Pieśń nad pieśniami“ króla Salomona. O ile ta ostatnia zyskała na tém przeobrażeniu,—bo w pieśni liryczncj, jaką jest, właśnie ten charakter archaiczny, jaki ma w Biblii, nie jest dla nas ponętny,—o tyle tragiczny i groźny, a prostotą swéj prozy zachwycający Hiob, stracił niemało przez to przelanie go w rymy.

Ale tak ostatnie te dwie prace, jako téż i elegia: „Powrót z Włoch," należą już do późniejszych utworów Brodzińskiego, powstałych w tym czasie, kiedy postać naszéj poetycznéj literatury zupełnie już się była odmieniła.

Brodziński nie miał dość sił, by zostać twórcą téj przemiany, lecz niedługo, bo w rok po wydaniu jego poezyj, wyszły w Wilnie pierwsze utwory Mickiewicza, które stanowczo naszą poezyę na drogę romantyczności popchnęły i zrobiły epokę w naszéj literaturze.

Brodziński, chociaż był poetą nowym w porównaniu z klasykami, chociaż pragnął reformy w poezyi i w pojęciach o niéj, nie mógł, jak już wiemy z jego rozprawy o klasyczności i romantyczności, wejść na tę drogę. Dla niego romantyczność była tak dobrze cudzoziemczyzną, jak i warszawski klasycyzm; on zaś pragnął poezyi narodowéj. Ruch romantyczny, który się w Niemczech zrodził, był zarówno dla niego wstrętny, jak dla Szyllera i Getego, którzy mu się wyraźnie opierali i których tylko zagranica, a pomiędzy innymi także i my, do romantyków najniesłuszniéj zaliczyliśmy. W pojęciach o literaturze i poezyi Brodziński pozostał na stanowisku tych dwóch genialnych mężów, którzy do liczby jego mistrzów należeli, i jakkolwiek wir romantyczny szybko wszystkich ogarnął, z wyjątkiem rozumie się zatwardziałych i niepoprawnych, lecz już także i z pola schodzących klasyków, nie dał mu się porwać i pozostał za jego obrębem, przypatrując się temu, co przed jego oczami się działo, nie jako nieprzyjaciel lub wielbiciel, lecz jako surowy choć sprawiedliwy sędzia.

Od téj chwili także działanie Brodzińskiego przenosi się przeważnie na inne pole.

Kilka już razy wspominana tutaj rozprawa o klasyczności i romantyczności miała dla swego autora i to także osobiste znaczenie, że otwarła mu karyerę profesorską. W miesiąc bowiem po jéj ogłoszeniu

zaproszony został przez ks. Kamińskiego, rektora konwiktu pijarskiego na Żoliborzu, do objęcia katedry literatury i języka polskiego w tymże zakładzie, a w parę lat późniéj, w r. 1822, otrzymał takąż samą katedrę na uniwersytecie warszawskim, chociaż ten sam przedmiot był tam już przez głównego wyobraziciela klasyczności, Ludwika Osińskiego, wykładany.

W uniwersytecie wykładał Brodziński głównie historyę literatury polskiéj, a obok tego estetykę i naukę o stylu. Kiedy Osiński w deklamacyjnych swoich i z wielką pompą odbywanych wykładach trzymał się przestarzałéj metody Laharpa, poprzestając na rozbiorze szczególnych autorów i wskazując podług tego prawidła smaku i sztuki, Brodziński przyjął sposób, jakiego używał Schlegel, a z nowszych francuzkich uczonych Villemaine i Guizot. Stosownie do téj metody, historya literatury musiała iść nierozłącznie w parze z historyą polityczną narodu i być nietylko zbiorem wiadomości o szczególnych pisarzach i ocenieniem ich dzieł, ale co więcéj jeszcze, dziejami rozwoju umysłowości polskiéj, o ile tenże w piśmiennictwie się pokazuje. Literaturę, a zwłaszcza poezyę uważał on za „żywicielkę i zwierciadło narodowości“ i najsilniéj był przekonanym o nierozerwalnym związku życia politycznego z umysłowém i o wzajemnym ich na siebie wpływie. Przez historyę literatury i za jéj pośrednictwem chciał on sięgnąć głębiéj i daléj—w umysł i serce narodu, i pokazać, jakie one były i jak się w różnych czasach i epokach kształciły, rozwijały i zmieniały. „Z tego to powodu nie możemy stanu nauk oddzielić od politycznego i moralnego stanu narodu. Uważając naród pod względem oświaty, uważamy go jako człowieka uczonego, którego nietylko pisma rozbieramy, ale publiczne i prywatne jego życie śledzimy; chcemy znać jego stan, charakter, stosunki, abyśmy dzieła jego, które z tychże wynikły, tém lepiéj uczuć i ocenić mogli.“

Z podobnego stanowiska zapytrywać się na literaturę, było to uczynić ją rzeczywistą umiejętnością i podłożyć pod nią silny a zarazem konieczny fundament. Na owe czasy była to wielka zdobycz naukowa, a dziś jeszcze należałoby przypomniéć niejednemu z tak zwanych historyków literatury, że tylko w taki sposób ten przedmiot traktować można.

Drugą nowością, choć również z natury rzeczy wynikającą, było to, że Brodziński zwrócił również uwagę na ten bezustanny związek, jaki zachodzi między naszą a zagraniczną literaturą. Kto zna choćby pobieżnie dzieje naszego piśmiennictwa, temu nie jest tajno, jak stanowczy i dotykalny wpływ wywierała zawsze Europa, mianowicie zachodnia, na rozwój naszych wyobrażeń i nasz smak literacki. Począwszy od téj pierwszéj chwili, kiedyśmy przez przyjęcie chrześcijaństwa rzymskiego wyznania weszli w rodzinę ucywilizowanych narodów, aż po dziś dzień, ulegaliśmy zawsze, wcześniéj czy późniéj, wszystkim tym przemianom i doznawaliśmy na sobie wszystkich tych przeobrażeń, jakie wskutek rozmaitych, bądź politycznych, bądź intelektualnych wypadków na wielkim europejskim świecie się pokazywały.

Charakter scholastyczny pierwszéj epoki naszéj literatury, stanowczy zwrot ku klasycyzmowi w wieku XVI, podobnie jak przewaga

smaku francuzkiego za Stanisława Augusta, i wreszcie pojawienie się u nas romantyczności—wszystko to są rzeczy, których nie podobna dobrze przedstawić i zrozumiéć, jeżeli ich się nie rozważy na tle stosunków literackich powszechno-europejskich. Źródła bowiem i przyczyny tych zjawisk zawsze nie u nas, ale gdzieindziéj szukać należy,—raz we Włoszech, drugi raz we Francyi, to znowu u narodów germańskich.

Oprócz należytego wyświecenia przyczyn, na naszę literaturę działających, miał Brodziński w tém ciągłém porównywaniu naszéj literatury z zagraniczną cel jeszcze drugi—cel, którego nigdy z oka nie spuszczał, t. j. aby przez porównanie okazać także „oddzielny smak," czyli, jak dzisiaj się mówi, oryginalność naszéj literatury.

Z wykładów uniwersyteckich Brodzińskiego, stanowiących z niewielkiemi przerwami prawie całą historyę literatury polskiéj, byłoby wiele rzeczy godnych uwagi i jaknajwiększego rozpowszechnienia. Był on badaczem i historykiem, jakich ten przedmiot niewielu u nas znalazł. Mieliśmy i mamy na tém polu ludzi pracowitych i niezmordowanych szperaczy, mieliśmy także pisarzy, obdarzonych światłem i poglądem szerokim. Ale Brodziński łączył w sobie oba te sprzeczne przymioty, a prócz tego posiadał jeszcze jeden warunek na dobrego historyka literatury, którego po nim (jeżeli prelekcyj o literaturze słowiańskiéj nie będziemy brać w rachubę) już podobno żaden z pisarzy tego rodzaju nie miał.

Chcę tutaj mówić o tém, że Brodziński był także pisarzem twórczym w literaturze, że był nietylko historykiem piśmiennictwa, ale i sam do jego tworzenia jako poeta należał. Według mego zdania, jest to rzecz niezmiernie wielkiéj wagi, i jeżeli za najlepszych historyków dziejów politycznych uważamy tych, którzy czynny udział w polityce brali i historyę tworzyli, to równém prawem musimy także twórców w literaturze za najlepszych i najprawdziwszych jéj sprawozdawców uważać. Boć przecie naturalną jest rzeczą, że inaczéj na literaturę będzie się zapatrywać ten, dla którego ona jest przedmiotem miłości i celem życia. Dla Brodzińskiego była téż literatura więcéj niż umiejętnością, bo była sztuką, któréj poświęcił całą swoję duszę, na któréj pojęcie i zbadanie obrócił wszystkie siły swego umysłu, nad którą długo rozmyślał i zastanawiał się, i dlatego także mógł znów lepiéj znać jéj tajemnice i lepiéj oceniać tych, do których sam był podobny i z którymi jednakową przechodził szkołę.

Pełno téż w jego historyi literatury poglądów, zdań i myśli, które rzucają na nią niezwykłe światło i które jego następcy mogą wziąć za pewniki, nieulegające żadnéj wątpliwości.

Jakże trafny naprzykład, i można powiedziéć, głęboko pomyślany, jest jego podział historyi literatury: „Literaturę polską na dwie główne części dzielimy. Pierwszą do Stanisława Augusta, drugą od tegoż aż do naszych czasów. Pierwsza epoka od wprowadzenia chrześcijaństwa aż do Zygmunta I jest dopiero rozwijaniem się narodu; niemasz w niéj jeszcze ojczystéj literatury, lecz tylko łacińska. Od Zygmunta I aż do Stanisława Augusta jest ta, którą właściwie dawną polską literaturą zo-

wiemy... Literatura dawna jest więcéj dla nas szkołą dziejów i obyczajów, nowsza jest i być powinna więcéj szkołą smaku. Pierwszą więc odnosić będziemy więcéj do dziejów i obyczajów ówczesnych... drugą część, to jest epokę Stanisława Augusta, wykładać będę więcéj krytycznie, to jest z odnoszeniem do zasad sztuki" — a nieco daléj jeszcze dodaje: „Wogóle całą literaturę dawną uważać należy za jednę rodzinną, narodową kronikę."

Nie obstaję przy tém, ażeby podział przez niego uczyniony zaprowadzić koniecznie w historyi literatury, może on jednak i powinien być ważną wskazówką dla tych, którzy jeszcze o tém nie wiedzieli, czego szukać w tych różnych epokach literatury i jak się na nie zapatrywać. Pomimo czterdziestu lat naprzód i całego postępu, jaki piśmiennictwo odtąd uczyniło, jak za czasów Brodzińskiego, literatura od Stanisława Augusta począwszy, z nielicznemi wyjątkami, może i dziś służyć za wzór pisania, i ztąd ze stanowiska estetycznego więcéj na nią zapatrywać się należy, podczas kiedy całą dawniejszą możemy tylko badać więcéj jako źródła historyczne do poznania naszéj przeszłości, a zatém ze stanowiska historyi.

Dużo musiałbym robić cytacyj, gdybym chciał powtarzać z jego historyi literatury wszystko, co mnie zastanowiło szczególnie w ocenieniu rozmaitych autorów. To jednak uważam za najzupełniejszą pewność, że niewielu znalazłoby się między naszymi badaczami, którzyby ich tak gruntownie znali i tak sumiennie i sprawiedliwie sądzili. Brodziński nie unosi się nigdy stronniczością, ani upodobaniem; częstokroć pisarz, któremu największe oddaje pochwały za jedno dzieło, za drugie najsurowszą otrzymuje od niego naganę; protestanci czy katolicy, równymi i jednakowymi są w jego oczach; nie sądzi ich według usług, jakie mogli oddać swym partyom, ale według tego, jak się zasłużyli narodowi, a w dalszém następstwie także i ludzkości. Bo też najwyższém jego kryteryum było to przekonanie, że literatura narodowa jest tylko owocem miłości ojczyzny: „Wszędzie miłość ojczyzny musi miłość sztuki poprzedzać," i że tylko ten literaturę godnie pojmuje, kto o jéj coraz wyższém dążeniu ku chwale i szczęściu ludzi jest przekonany.

Nie jest to nic innego, tylko piękny i czysty humanizm, którym dusza Brodzińskiego nasiąkła z ideałów greckiéj poezyi i z dążeń nowoczesnych mistrzów niemieckich. Ten sam humanizm, na który dzisiaj zaczynają niektórzy wzruszać ramionami, i podając go w podejrzenie, że jest w bliższém niżby kto myślał pokrewieństwie z materyalizmem i wolteryanizmem przeszłego wieku, chcieliby wyjednać u świata wyrok na zagładzenie go i powalenie o ziemię, podobnie jak paryzka komuna z kolumną Vendôme uczyniła. *Les extrêmes se touchent.*

Niektóre poglądy i zdania Brodzińskiego o literaturze dzisiaj już nie są żadną nowością, ale były nią wtenczas, kiedy on je objawiał, i dziwić się przychodzi, gdy to, co się wydało owocem niedawnych dopiero badań, było już znane i wypowiedziane przez niego. O rocznikach np. Orzechowskiego, stawiając je wyżéj nad dzieje Górnickiego, mówi prawie toż samo (t. III, str. 308, 309), co Wiszniewski; w Samuelu

Twardowskim i wogóle w całéj jego epoce widzi, czego dotąd jeszc[illegible] niewszyscy chcą przyznać, ślady romantyczności. O „Żywocie pocz[illegible]wego człowieka“ Reja powiada: „Cały wiek XVI w Polsce nie miał [illegible] to pożyteczniejszego i ważniejszego dzieła.“ Nie potrzebuję mówić, [illegible] uwielbia i nie ma dość słów na pochwałę Jana Kochanowskiego; zarz[illegible]cano mu téż, na co się w jednéj ze swych prelekcyj uskarza, że zb[illegible] obszernie mówił o tym poecie. Zarzut ten pochodził zapewne ze stro[illegible] jakiego zagorzałego zwolennika romantyczności, a ile był nierozsądn[illegible] każdy dzisiaj ocenić potrafi. Orzechowskiego Turcyki stawia obok De-mostenesa, a jego mowę na [illegible]unta I obok Bossueta. Surow[illegible] jednakowoż jest dla innych [illegible] mianowicie tych, które ska[illegible] fanatyzm: „Wogólności Orzech[illegible]ie jest Orzechowskim, gdy wy-stępuje na pole walk religij[illegible] podobnym sensie odzywa się o Quincunksie: „W tém dziwa[illegible]iele co do myśli, układu i stylu, widać obłąkanie rozpacz[illegible] pospolitém.“

Uwagi godne jest [illegible]nie o Skardze. Różni się [illegible] wiele od opinij, zwykł[illegible] wygłaszanych, chociaż i o tem wątpić nie można, że już [illegible] samo go sądził i tak o nim my-ślał, tylko nie miał tyle od[illegible]éj, co Brodziński, do wypowie-dzenia swego zdania. Z pi[illegible]ajwyżéj stawia kazania sejmo-we, potém niedzielne, wreszcie przygodne. „Inne dzieła Skargi tylko ze względu języka na wspomnienie zasłużyć mogą.“ W téj liczbie za[illegible]mieszcza jego dzieła polemiczne i ascetyczne: „O innych polemicznych i ascetycznych dziełach Skargi mówić nie widzę potrzeby, są one wszystkie bardzo miernéj wartości“ (t. III, str. 462). O Żywotach Świętych powiada: „Sam (Skarga) nie uznawał téj pracy za dobrą. Bez-wątpienia te Żywoty mogły być składem prawd moralnych i histo-rycznych, ale są często zbiorem podań niezgrabnych i twierdzeń niedo-wiedzionych, tak, że dla prawdy i powagi religii są najniezręczniej-szą posługą.“ Zresztą zarzuca Skardze nieumiarkowane napaście na in-nowierców, a pod względem języka—twarde często wysłowienia i obra-żające, nieprzyzwoite porównania.

Nikt dotąd tak obszernie jak on nie rozbierał utworów Samuela Twardowskiego, Sarbiewskiego i Opalinskiego, tudzież niektórych poetów z czasów Stanisława Augusta, mianowicie Krasickiego, który zapewne dlatego właśnie, że jest taką potęgą w literaturze, przez no-wszych krytyków prawie jest nietknięty. Wiele ciekawych wiadomości można wreszcie znaléźć w Brodzinskim o téj epoce najciemniejszéj w naszej literaturze, a następującéj bezpośrednio po upadku kraju w pierwszych latach tego wieku. Mówi on tutaj szczególnie o Godeb-skim Cypryanie, Korsaku, Molskim i Reklewskim, swoim towarzyszu broni i przyjacielu, którego wysoko ceni i w nim zdaje się widziéć ideał narodowego poety.

Z najbliższych siebie czasów nad innych podnosi Woronicza i ta-go w jedném miejscu pięknie charakteryzuje: „Wychowaniec saméj tyl-ko religii i narodu, z Biblią i kroniką w ręku, nie zwracając uwagi na postęp i zdanie nowego swiata, wzniosły w starożytnéj prostocie swojéj sam jeden stoi w swym czasie, jak nad gruzami starego kościołka sta

modrzew, wieczną zielonością i szumem swoim do dumania wzywając.”

Trzeba téż wiedziéć, że obok Kochanowskiego Woronicz był jedynym, którego Brodziński za prawdziwego poetę uważał. „Wiele musiałem pisać o polskich poetach, ale prawdziwymi poetami nazywam tylko Kochanowskiego i Woronicza.” Taka jest jedna z licznych jego myśli, zapisanych w notach, których przeznaczeniem było dopiero po jego śmierci światło dzienne oglądać. Nie uszła bowiem jego uwagi i ta w naszéj literaturze charakterystyczna okoliczność, że poezya zanadto lubiła przebywać w sferach politycznych wydarzeń i z nich natchnienie czerpać. „Kto miał cierpliwość — powiada — przeglądać dawne poezye polskie, uderzyć go musiała ta szczególna własność, iż prawie wszyscy poeci chwytali się szczególnie politycznych, czasowych wypadków... Cała historya polska przekonywa, że ich polityka więcéj była poetyczną, niżeli rachującą. Jak ich poezya była polityczną, tak poetyczną polityka; ztąd jedna i druga pozbawiały się swoich korzyści i chybiały właściwego stanowiska.“

Brodziński wykładał historyę literatury zawsze z tą myślą, jaka według znanéj sentencyi Cycerona kierować powinna każdym historykiem. W przeszłości minionéj i zmarłéj szukał nauki i wskazówki dla żyjącéj teraźniejszości i dla przyszłości, która z niéj miała się wyłonić. Wynalezienie charakteru narodowego i cech oryginalnych naszéj literatury, z całego jéj kilkowiekowego życia, było jego głównym celem. Ten drogi zabytek przeszłości otrząsł z pleśni i pokazywał go młodemu pokoleniu jako skarb narodowy, który należało z całém uszanowaniem zachować i nie porzucać go dla błyszczących i świetnych, ale często marnych i bezpożytecznych nowości, jakie przychodziły z zagranicy czy w formie pseudoklasycyzmu francuzkiego, czy téż germańskiéj romantyczności. „Dziś szczególniéj zajmują nas dwa cudzoziemskie stronnictwa, a do rozwiązania sporu może najwięcéj przyczynić się gruntowne poznanie własnéj literatury.“

Ale wyraźniéj jeszcze, niż w kursach historyi literatury, stanowisko jego do współczesnéj mu epoki określa się w jego wykładach estetyki, jako téż w niektórych rozprawach przez ówczesną walkę literacką wywołanych, a drukowanych w pismach peryodycznych.

O literaturze księztwa warszawskiego, którą reprezentowali tak zwani klasycy, Brodziński miał bardzo nizkie wyobrażenie i bynajmniéj z tém się nie taił. On to pierwszy wypowiedział, że epoka od r. 1795 do 1815 była czasem upadku, w któréj panowała zupełna prawie bezczynność umysłowa, a literatura była salonową zabawą“ (t. IV, str. 454) [1]; on także pierwszy, ile wiem, rozdzielił nową literaturę na dwie nierówne sobie co do zasług i ważności epoki i wielce od siebie różne, chociaż napozór nad obiema powiewa jeden i ten sam sztandar francuzkiego smaku, odłączając pisarzy Stanisława Augusta od ich bezpośrednich

---

1) Ile razy przytaczam słowa Brodzińskiego, czynię to według najnowszego wydania J. I. Kraszewskiego.

następców. „Już wtedy (t. j. za Stanisława Augusta) mocno przebijała szkoła francuzka, ale jeszcze czynne polityczne życie narodu nie dało jéj zupełnego przystępu. Po zupełnym upadku kraju, po nastąpionych bliższych związkach z Francuzami, aż do naszych czasów, leżała odłogiem prawdziwie narodowa poezya. Zaczęto tylko tłumaczyć lub naśladować i cenić najwięcéj zewnętrzny polor wiersza.“

Brak życia, jałowość, niewolnicze naśladownictwo i czczy formalizm zarzucał przeto bardzo słusznie téj literaturze, zarozumiałej jednak o sobie jak nigdy [illegible] Nie inną miał także opinię o mistrzyni naszych klasykó[illegible] francuzkiéj, którą uważał nie za następczynię lub nawe[illegible] [illegible]awdziwego klasycyzmu, ale za niezręczny zlepek średniowieczn[illegible] [illegible]antyzmu i przeistoczonéj poetyki Arystotelesa. „Był to dr[illegible] [illegible]yzmu południowego (za którego znamiona Brodziński [illegible] [illegible]ść i galanteryę obok lekkości uważał), odziany formą [illegible] Arystotelesa przepisów. My bez rozmysłu przyjęliś[illegible] [illegible]ensye do klasyczności za udoskonalony attycyzm... [illegible] [illegible]dli nasi uczeni z adoracyą Henryadę obok Homera [illegible] [illegible]bok Sofoklesa, a nawet wyżej, jako wierniejszych przepi[illegible] [illegible]sa.“

Co zresztą myślał [illegible] [illegible]ch i poetykach pseudoklasycznych, które podawały gotowe recepty nietylko jak tworzyć poemata, ale jak zostać poetą, to wyraźnie powiada znów na inném miejscu. „Przytém nie wypieram się mojego zdania, że idąc ściśle za przepisami Boala, tylko ujemnie dobrym poetą być można. Poprawność i regularność są uzupełnieniem sztuki, ale nie jéj istotą, i poeta, który utwory swego czucia i imaginacyi odmierza według skali naprzód przez kogoś podanéj, okazuje albo pokorę nie na swojém miejscu, albo mało zdoła rządzić się własnym rozsądkiem.“

Także i tragedya w szczególności, rodzaj poezyi, jak wiadomo, imponujący w klasycyzmie francuzkim, a za księztwa warszawskiego najgorliwiéj u nas uprawiany, nie uszła jego otwartéj a surowéj nagany. Chociaż uznawał niektóre zalety i pod pewnym względem doskonałość francuzkiéj tragedyi, czuł jednak i to, o ile ona w téj formie, jaką jéj Francuzi nadali, swojemu przeznaczeniu nie odpowiada. „Oświeceńsi Francuzi sami dziś wcale inaczéj mówią o swojéj poezyi dramatycznéj i o wieku Ludwika XIV.“ Szczególniéj miał jéj do zarzucenia to, że nie stwarza charakterów, i to właściwe zadanie swoje piękną ale częstokroć czczą deklamacyą zastępuje, w czem polscy poeci aż nazbyt wiernie szli za przykładem francuzkich wzorów. „To jest główna wada teraźniejszych tragedyj naszych, które powierzchownie sądzone z tyrad poklask zyskują, a które w oczach myślącego żadnej nie mają ceny.“ Dlatego też i krytyka Brodzińskiego o najcelniejszym utworze tragicznym owych czasów, o „Barbarze“ Felińskiego, jest raczéj zręczném wywinięciem się z trudnego położenia, niż wypowiedzeniem tego, co naprawdę o niéj myślał.

Wyraźnie więc i otwarcie mówił Brodziński klasykom, co o nich myślał, pomimo całéj powagi, jaka ich tak długo na Parnasie i ciągle jeszcze w stosunkach społecznych i towarzyskiego życia otaczała. Ta

jego śmiałość nietyle jednak na tym punkcie zadziwiać nas może; bądź co bądź, klasycy byli pobici, ustępywali z pola i sprawa ich w opinii powszechnéj już od niejakiego czasu była przegraną. Większéj odwagi potrzeba było, ażeby podnieść głos przeciw romantykom, którzy właśnie z całym zapałem młodzieńczym i niepospolitym zasobem sił i talentów, wśród sympatyi całego prawie ogółu, w szranki poezyi z tryumfem wjeżdżali.

A jednak Brodziński miał tę odwagę, i wyobrażeń swoich o romantyczności, jakie objawił już w pierwszéj swéj rozprawie o tym przedmiocie w tym czasie, kiedy romantyczność była znaną zaledwie ze słuchu i żadnego jeszcze owocu w naszéj literaturze nie wydała, bronił wytrwale przez całe życie i wtenczas nawet, kiedy romantycy mogli się już byli pochlubić i „Maryą,“ i „Rusałkami,“ i „Zamkiem kaniowskim,“ i „Dziadami,“ i „Grażyną,“ a wreszcie i takim utworem, jak „Konrad Wallenrod.“ Ale i to trzeba także naprzód powiedzieć, że inaczéj, z inném uczuciem wyrażał się o téj młodéj, rozkwitającéj dopiero poezyi, niż o martwym klasycyzmie; jeżeli czynił jéj zarzuty i dawał nagany, z drugiéj strony uznawał także wiele jéj przymiotów i nie szczędził jéj swych rad i przestróg, aby ją sprowadzić z bezdroża i uczynić tém, czém być powinna i mogła: zaszczytem i pożytkiem dla narodu.

Wielka różnica w zapatrywaniu się jego na obie szkoły leżała naprzód w tém, że zupełnie inném okiem patrzył na literatury, z których one wzór dla siebie i natchnienie czerpały. Wiemy, jak niezbyt wysokie miał wyobrażenie o pseudoklasycyzmie francuzkim,—przeciwnie cenił bardzo wysoko wszystkich tych pisarzy rozmaitych narodów i czasów, którzy dla romantyków byli mistrzami i prawodawcami. Nie potrzebuję powtarzać, jak wielbił Szyllera i Getego i całą ich wielkość uznawał, chociaż znając literaturę niemiecką i jéj dzieje lepiéj niż kto inny w Polsce, poetów tych bynajmniéj nie mieszał z romantykami. Ale równy także szacunek i podziw wzbudzali w nim Petrarka, Dante, bez kwestyi rzeczywiści reprezentanci romantyzmu, a przedewszystkiém wielki Szekspir. W sądzie o nim nie różnił się wcale od najgorliwszych jego czcicieli, widział w nim twórcę nowożytnego dramatu, potęgę równą w literaturze chrześcijańskich ludów téj, jaką dla starożytności był Homer; zachwycały go równie jego wielkie psychologiczne kreacye, jak i wspaniałe historyczne dramata, o których niezrównanéj wartości w jedném miejscu tak pięknie się wyraził: „Jest to książka podręczna królów i książąt... ten ciąg dramatów historycznych jest dla teraźniejszéj historyi tém, czém są roczniki Tacyta dla Rzymu“ [1]).

Co więcéj, nawet Byronowi, mimo całéj jego ekscentryczności i, powiedzmy otwarcie, ujemnego wpływu, jaki częstokroć bez swojéj winy na inne literatury wywierał, tworząc nierozsądnych naśladowców, umiał oddać sprawiedliwość i zrozumiéć jego niezwyczajny geniusz.

---

[1]) Przekonałem się późniéj, że to zdanie powtórzył Brodziński za Schleglem z jego Historyi dramatu.

Zdania, jakie o nim przy rozmaitych sposobnościach wypowiada, godne są uwagi nietylko jako dowód, jak się Brodziński na romantyczność zapatrywał, ale równie jako świadectwo jego trafnego sądu i głębokiéj krytyki. Trudno gdziekolwiek, tak w naszéj jak w innéj literaturze, spotkać się z sądami równie wytrawnemi i tak dobrze, bez przesady na jednę lub drugą stronę, malującemi charakter tego poety, co tem bardziéj zastanawiającą jest rzeczą, że Brodziński oceniał Byrona jeszcze za jego życia i w tym czasie, kiedy ten poeta wywoływał namiętne spory i najsprzeczni[illegible] opinie. „Co do mnie—powiada w swych wykładach est[illegible] i — [illegible]am ten geniusz jako nadzwyczajny, ognisty fenomen; nie [illegible]zy pogodę czy burzę zwiastuje. Zdumiewam się nad nim jak na[illegible]ńcem władzy niepojętéj; to samo powtórzę o każdym p[illegible]iuszu.“ Daléj znowu na innem miejscu, gdzie szeroko nad [illegible]ozwodzi i zkąd niektóre ustępy charakterystyczniejsze pr[illegible] naszych czasach zjawił się nadzwyczajny geniusz, Bajr[illegible] jest reprezentantem wieku, jak swojego był niegdyś Sz[illegible]ą mocą swego geniuszu przejął się nawskróś swoim w[illegible] stronę **wynaturzoną najnaturalniéj** malował... [illegible] tak delikatném i szlachetném zkądinąd czuciem, wystawił [illegible] u[illegible]dłego i szukającego swojéj ojczyzny anioła...“ „Jak Szekspir w swoim wieku, tak Bajron sam tylko mógł być takim, jakim był poetą.“

Wreszcie mamy także i na to dowody, że Brodziński znał ruch romantyczny w całéj jego rozciągłości, gdziekolwiek tylko się pojawiał. Nietylko głośne na całą Europę imię Byrona, który głównie służył za hasło romantykom, zwracało na siebie jego uwagę, ale między innemi miał on także w ręku i dzieła Wiktora Hugo jeszcze przed rokiem 30, to jest w czasie, gdzie zapewne nawet romantycy nasi nie wszyscy o tym poecie coś więcéj nad jego nazwisko słyszeli. Ciekawą było dla mnie rzeczą i będzie bezwątpienia dla każdego, czytać (t. V, str. 436) to najdawniéj zapewne w naszym języku wypowiedziane zdanie o jednym z najsławniejszych poetów tego wieku i dotąd jeszcze żyjącym. Niewiele wprawdzie Brodziński o nim powiedział, ale z tych kilku jego zdań zdaje mi się, że odczuł całego Wiktora Hugo, nietylko jakim był wówczas, ale jakim miał być w przyszłości.

W poglądzie na zagraniczną romantykę nie podzielał jednak bynajmniéj zapału, jaki nowa szkoła uczuwała dla epoki, która styl romantyczny stworzyła, to jest dla wieków średnich. Wiadomo, że tegowieczny ruch romantyczny, który naprzód Niemcy wywołali, zwracał się właśnie do tych czasów, jako do źródła i początku nowożytnéj poezyi; jakoż wistocie była to jedyna dotąd epoka, w któréj ludy europejskie, puściwszy w zapomnienie starożytny klasycyzm, niezależnie od niego wysnuły z zasobów swego ducha poezyę, tak pod względem treści jak i formy samodzielną i oryginalną. Brodziński, ożywiony hum[illegible]nitarnym duchem, mając ciągle na oczach skończony w sobie ide[illegible] greckiéj poezyi i sztuki, nie uczuwał najmniejszéj sympatyi dla tyc[illegible] wieków i widział jasno wszystkie ich strony ujemne. Nie były to dl[illegible] niego czasy, do których wzdychać należało, a témbardziéj życzyć sob[illegible]

ich powrotu w pojęciach i wyobrażeniach. Była to, według jego słusznego zapatrywania się, epoka daleko niższa w cywilizacyi i wydoskonaleniu sztuk od klasycyzmu, który tak pięknie zakwitnął w Grecyi i w Rzymie, i tyle wspaniałych owoców przyniósł na pożytek ducha ludzkiego i jego rozwoju. Wracać się do tych czasów nawpół barbarzyńskich i dzikich, a powierzchowną cywilizacyą osłoniętych, przeto wynaturzonych, do tych czasów fanatyzmu, feudalizmu i przesądów, byłoby to porzucać lepsze dla gorszego i cofać się wtył, zamiast iść naprzód.

Przyznawał on to, że ta poezya średniowieczna dla narodów romańskich i germańskich, których była swojskim wyrobem i własnością, pomimo jéj wad i niedoskonałości, miała niemałe nawet znaczenie, jako jedna karta z ich przeszłości, któréj teraźniejszość jest tylko dalszym ciągiem. Ale dla téj saméj właśnie przyczyny uważał za rzecz zupełnie niepotrzebną, nienaturalną i nierozsądną, ażeby polska literatura do tych czasów odwoływać się i w nich ożywczego pierwiastku szukać dla siebie chciała, skoro w całéj przeszłości romantyczność, jéj duch i pojęcia, były dla niéj rzeczą nieznaną i obcą. „Poznaliśmy — powiada po dłuższém zastanowieniu się nad charakterem wieków średnich i ich poezyi — iż to nie były czasy, do którychby w wieku dzisiejszym utęskniać należało, i że smak téj poezyi ani z obyczajami dzisiejszemi, ani ze zdrową krytyką połączyć się nie da. Jeżeli w obcych narodach są dzisiaj zapaleni tego wieku stronnicy, można ich przynajmniéj wymówić tém, że jeżeli odpowiada przynajmniéj ich uczuciom narodowym, obudzając miłe każdemu i dawne wspomnienia ojczyste, odpowiada także charakterowi tych narodów, u których egzaltowana imaginacya i pozostałości galanteryi (to bowiem Brodziński za główne znamiona średniowiecznéj romantyczności uważał) dotąd jeszcze nie znikły.“ Dlatego téż w dalszém następstwie nie widział w romantycznych utworach żadnych wzorów godnych naśladowania i oceniał bardzo sprawiedliwie te czasy, mówiąc: „Wydały one znakomite geniusze, lecz nie dzieła, mogące wytrzymać sąd wszystkich narodów i wieków.“

Takie mniéj więcéj pojęcia wypowiadał on już w pierwszéj swéj rozprawie o tym przedmiocie, r. 1818 ogłoszonéj, kiedy ostrzegał przed tém, aby niebacznie i zbyt skwapliwie w naśladownictwo nowego, zagranicznego smaku się nie rzucać. Ale co ważniejsza, i późniéj, kiedy panowanie romantyczności stało się u nas faktem dokonanym, nietylko nie łagodził, ale owszem w coraz ostrzejszéj formie też same opinie objawiał. Zdawało mu się, że zwrot, jaki się odbywał w naszéj literaturze, aż nadto go do tego upoważniał. W utworach nowych poetów widział tylko spełnienie się swoich obaw i te błędy, od których pragnął literaturę polską uchronić.

Podobnie jak klasycznego smaku, i téj nowéj poezyi cudzoziemszczyzna była główną w jego oczach wadą. Młodzi poeci, którzy nie czerpali natchnienia z ducha narodowego, a zatém i nie z siebie, kopiowali nierozmyślnie to średniowieczną romantykę, to nowożytny niemiecki mistycyzm, to znów egzaltacyę i ekscentryczność Byrona. Genialnością poetyczną i geniuszem zaczęło się nazywać to, co jaknajdal-

szém było od natury i prawdy, co grzeszyło afektacyą i co ze wszystkich sił sadziło się na jakąś rozmyślną a chorobliwą oryginalność; zaczęto też hojnie szafować na wszystkie strony tą nazwą i kreować mistrzów i wieszczów dla narodu z pośrodku tych właśnie, którzy w utworach swoich z charakterem i dziejami narodu rozbrat uczynili.

Chociaż nie jego własnemi słowy, powtórzyłem jednak wiernie za Brodzińskim to, co po wielekroć razy o nowéj poezyi i nowych poetach pisał i mówił. Obok braku narodowości, największém ich przewinieniem wobec jego sądu była ta głośno przez nich objawiona pogarda dla rozumu, który miały [illegible] one jakieś i niczém niehamowane uczucia. Ideał t[illegible] ał się Brodzińskiemu spaczonym pod względem m[illegible] nym i narodowym, a postacie przez nich tworzone [illegible] bawione i zdrowego rozsądku, i poetycznéj prawdy, [illegible] kteru. Na byronizm to i na prowincyonalizm, któ[illegible] bynajmniéj się nie zapierała, ale owszem nim się chl[illegible] są jego słowa w ustępie, który zaraz przytoczę. U[illegible] one się odnoszą, nie są wprawdzie wyraźnie wymie[illegible] się łatwo domyślić, że poezye Zaleskiego, Goszczyńs[illegible] i Mickiewicza, wywołały na siebie te skargi i zarzu[illegible]

Otóż o tych to [illegible] które wówczas miały już niezwykły rozgłos i powodzenie, a które i dzisiaj stosownie do ich zasług wysoko cenimy, pisał Brodziński: „Jak dawniéj mierni poeci tworzyli nudno-słodkich idealnych pasterzy, tak dzisiejsi, tak zwani romantyczni, tworzą najwięcéj jakichś ludzi z Bogiem i światem, a podobno rzeczywiście z rozumem poklóconych. Ci, jeżeli tak jak pasterze dawni czémś są dla serca, zrażają nadto imaginacyę przez swoję gminność albo przesadę. Niknąć się zdaje z poezyi to, co jest wzniosłe, szlachetne, albo przynajmniéj ujmujące, a popłaca to, co jest dziwaczne i przesadzone. Mimo np. całego szacunku dla talentów dzisiejszych, jakże nie wyznać, że owe upiory, wisielce i owi kozacy bohaterowie, lubo zabawić mogą imaginacyę, ale nigdy wyższych uczuć obudzić nie zdołają. Wolałbym z mniejszą hojnością bogactw poetycznych i w mniéj krzykliwych farbach widzieć w poematach Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, niż wszystkich Nalewajków, niż Tatarów, którzy walczą dla rozbojów, kochają wolność, ale tak jak dzikie zwierzęta." (T. V, str. 441).

Mówiąc wyraźnie, wszystkie utwory polskiéj romantycznéj poezyi uważał Brodziński co najmniéj za poronione płody, a jego niechęć ku niéj nie zmniejszała się, ale powiększała z każdym rokiem w miarę, można powiedzieć, powstawania coraz nowych poematów romantycznych. Z cierpkiego tonu, jakim się nieraz Brodziński odzywa, zdaje się, jakby go to gniewało, że na jego przestrogi nikt nie zważał, i jakby bolało go to, że rady jego nie mogły uchronić nikogo od niebezpieczeństwa. W jego artykule p. t. „O krytyce," pisanym już w r. 1830, znajduję także ustęp, z którego dla braku miejsca mogę tylko co ważniejsze i charakterystyczniejsze przytoczyć ustępy, a który doskonale także maluje jego stanowisko względem romantyczności: „Chęć nadzwyczajności, szukany entuzyazm, a razem niestosowne naśladownictwo

znamieniem usiłujących dążyć za nowemi wzorami... Zaledwo język poetyczny wyniósł się nieco nad prozę, już gardzi potrzebą, aby go śmiertelni rozumieli; zaledwo pozbył się galicyzmów, już naśladowcy nagradzają ten ubytek prowincyonalnemi wyrazy. Inni, ledwie wystąpiwszy za sferę francuzkiéj literatury, uganiają się po stepach arabskich, po skałach Skandynawii. Jeden talent dał uczuć piękności poezyi wschodniéj (nie potrzebuję dodawać, że mowa tu o Mickiewiczu), wnet sądzą inni, że poezya arabska jest dla nas stosowniejszą, niżeli dawni klasycy... Odzywa się głos próżniaczéj, obłędnéj tęsknoty (mówi tu Brodziński o niemieckim *Weltschmerz* i Byrońskiéj mizantropii, które tak bardzo, choć nieszkodliwie trapiły romantyków), którą dawniéj jakby z przeczucia pisarze nasi za synonimę nudów uznali. Z innéj strony podoba się nadzwyczajność, nie w naturze, ale za naturę posunięta, wrażenia okropne, które tylko zepsutą i dziecinną imaginacyę zajmują, ale ze zdrowém czuciem nic nie mają wspólnego... Istotnie, od Byrona począwszy, natchnienia częściéj prowadzą poetów do piekieł, między duchy złowrogie, upiory, jaskinie łotrów, aniżeli ku jasnym, niebieskim krainom, ku niewinnym aniołom, albo ideałom wzniosłych charakterów w dziejach przeszłości. Nowe i mniemane giganty, nie mogąc nieba dosięgnąć, rzucają się w przepaść; unikając światła, walczą przeciw porządkowi natury. Ta jest cecha wielu nowoczesnych we Francyi poetów; i u nas poczęła się zjawiać obok pięknych nowych utworów. Jest to rozpacz, rzucająca się do ostateczności — nowa maniera i rutyna."

Więcéj niż niezadowolenie i obawę, jak ówcześni poeci, bo rzeczywiste oburzenie wzbudzali w nim krytycy i estetycy owego czasu, jak szczególnie M. Grabowski i Mochnacki, którzy ze swojéj również strony nie szczędzili mu i zarzutów i przycinków na jego wykłady literatury i estetyki w uniwersytecie. Im to szczególniéj przypisywał winę rozszerzania błędnych teoryj, psucie estetycznego smaku i prowadzenie zarówno publiczności jak i poetów na bezdroża, przez to najwięcéj, że rozumowi odejmowali wszelkie prawo mieszania się do poezyi, a w egzaltacyi uczuć i namiętności jedyną poezyę widzieli. Z artykułów przez Brodzińskiego w téj materyi pisanych widać wyraźnie, jak naprężony był stosunek między nim a całą młodą literaturą, i jak przykre było rozdrażnienie naszego profesora, który, przepełniony najlepszemi chęciami dla młodzieży, napotykał w niéj brak wiary i nieposzanowanie.

Artykuł „Recenzenci i estetycy," pisany 1828 — 1829 r., jest tego rodzaju skargą, w któréj mieszają się z sobą i serdeczny żal i gorzka ironia. Z samego jego początku można już dobrze poznać i jego treść i jego ducha. „Zjawiło się w Warszawie od niejakiego czasu kilku (zapewne młodych, zapewne z prowincyi przybyłych) pisarzów, którzy część literacką naszych pism peryodycznych zająwszy, ogłaszają wyobrażenia o poezyi tak nowe i górne, że miejscowym prostakom w téj sztuce pozostaje tylko usta otworzyć i milczéć."

Jakoż z dalszego ciągu dowiadujemy się, a do historyi jego działania nie jest to wiadomość małego znaczenia, że wskutek tych pojęć nowych a niezgodnych z jego wyobrażeniami, zamilkł w rzeczy saméj,

jeżeli nie jako profesor i krytyk, to jako poeta. „Z przeproszeniem naprzód pochwalić się muszę, żem niegdyś i ja też rymował, i że mię w prostocie mojéj, jak tylu innych staroświeckich ludzi, Horacy i Wirgili zajmowali; chciałem niegdyś do rymów i rozumu, ile go było, wtrącić, ale że teraz to wszystko wyszło z mody, musiałem więc, sumiennie rachując się, mój zawód zaniechać.“ A daléj jeszcze, w tym samym sensie, ale z większą goryczą dodaje: „Dotąd, niech to moich szanownych kolegów nie obraża, byliśmy wszyscy wierszopisami. Trzeba albowiem i to wiedzieć, że teraz kto ma rozum, ten tylko rymuje, kto zaś nim gardzi, jest p [illegible]

Ażeby zrozumieć [illegible] i Brodzińskiego, trzeba pamiętać o tém, że młodzi e[illegible] klasykami księztwa warszawskiego, potępiali w cz[illegible] pisarzy, na których znać było jakiekolwiek ślady kla[illegible] że odmawiali poezyi i miana poetów nietylko pisarzom [illegible]sta, co już wielką było niesprawiedliwością, ale z un[illegible]akże i pisarzów okresu Zygmuntowskiego, a pomiędzy [illegible] Jana Kochanowskiego. Z przypadkowych wzmianek [illegible]rodzińskiego wiemy już, że mu to za złe miano, iż zby[illegible]ym poecie.

Takiéj niesprawi[illegible]éj nie mógł im Brodziński darować i wytknął ją też w[illegible]spomnianym artykule „O krytyce“ (rozumie się romantycznéj), w którym nadto skarcił ich surowo za to, że głoszą zgubną dla poezyi teoryę bezprawidłowości, że zamiast rozumnie rozbierać i oceniać nowe utwory, robią poprostu tylko reklamę kreowanym przez siebie geniuszom, i że wreszcie w pismach swoich daleko więcéj, niż to może znieść natura poezyi i umysłu polskiego, zadają się w metafizykę, którą się od Niemców zarazili.

Było wiele w tych zarzutach słuszności. Ten ruch poetyczny, który zwykle romantycznością nazywamy, a za którego granicę uważać można rok 1830, obok niezmiernych zasług, miał także dosyć wad, słabych stron i, powiedzmy sobie prawdę, nawet śmieszności. Do rzędu tych ostatnich należało zapewne wyobrażenie, jakie wówczas utworzyło się o poetach, a którego słabe echa bodaj jeszcze nie do dziś dnia błąkają się pomiędzy nami, z niemałą szkodą dla tych, którzy je za głos prawdy wezmą. Poeta romantyczny miała to być jakaś istota wyjątkowa, żyjąca ciałem na ziemi, a myślą w eterze, niepodległa prawom natury, a zwłaszcza temu, co zwykli śmiertelnicy rozsądkiem zowią. Geniusz, przebywający we wnętrzu téj wyjątkowéj istoty, miał jéj zastępować wszystko, a przez to *wszystko* rozumieć należy pracę i naukę. Tylko zwyczajny śmiertelnik mógł dbać i starać się o te rzeczy, geniusz słuchał tylko swojego natchnienia, szedł za jego popędem, a ono roztwierało mu naoścież krainy wiedzy i sztuki. Wprawdzie wiedza ta mogła być bardzo podejrzanéj wartości, a sztuka tym sposobem nabyta tworzyć dziwolągi i niedorzeczności — ale któżby na to uważał, gdy w ten sposób można się było uwolnić od zmudnego mozołu i nacechować swe utwory oryginalnością.

Ta zgubna teorya, któréj, rozumie się, tylko słabsze umysły się chwyciły, zabiła też niejednego romantycznego poetę, nawet ta[illegible] gdzi

był istotny talent, i dlatego niema się czemu dziwić, że dzisiaj, gdzie już dawno z zapałów romantycznych ostygliśmy, znajdujemy między tamtoczesnemi utworami niemało szychu bez wartości i odłączamy go od szczerego złota prawdziwéj poezyi. Smucić się raczéj należy, że do téj chwili jeszcze u nas niewszyscy, a przynajmniéj ogół nie może zrozumiéć, że nauka, praca i wykształcenie nie są rzeczą, którąby się z poezyą pogodzić nie mogła, ale owszem, bardzo dla niéj pożyteczną i potrzebną.

Brodziński, stojący tak pilnie na straży literatury i tego, aby młode talenta z korzyścią dla ojczyzny się rozwijały, nie mógł puścić płazem i tych także wybryków nowéj estetyki, i w artykule „O egzaltacyi i entuzyazmie,“ pisanym również w r. 1830, wystąpił z całą surowością przeciw głosicielom podobnych zasad i powiedział im otwarcie, co myślał o poezyi według ich wyobrażenia: „Jak filozofia, któraby tylko uczyła nas rozumować, dowodzić, a nie działać, byłaby martwą dla nas rzeczą, tak poezya saméj imaginacyi i namiętności, bez wodzy rozumu, byłaby tylko gminném widowiskiem szaleństwa albo pijaństwa.“

Ostatnie wyrazy téj cytacyi są bezwątpienia dosyć ostre i dla strony przeciwnéj niebardzo delikatne. Ale oburzenie Brodzińskiego musiało być głębokie i silne, kiedy ten cichy i spokojny człowiek w tym samym artykule użył jeszcze wielu innych, może nawet mniéj delikatnych wyrażeń, nazywając np. zwolenników téj egzaltowanéj i afektowanéj poezyi poprostu zagorzalcami i zapaleńcami, którzy sami nie wiedzą, czego chcą, i przewracają naturalny porządek zarówno w rzeczach moralności jak i sztuki.

Początek tego niebezpiecznego prądu, który zachwiał równowagę niejednego umysłu, wyprowadzał on od Byrona, a raczéj od nierozsądnego naśladowania go, bo wiemy zresztą jak wysoko cenił tego poetę. „Od Byrona począwszy, rozszerza się najzgubniejsze dla pojęć moralnych i poetycznych wyobrażenie, że człowiek, mocném czuciem obdarzony, tylko w gwałtownych żądzach może znaléźć swój żywioł.“

Zdaje się, że podobne walki z romantyczną krytyką najwięcéj przyczyniły się do tego, że Brodziński coraz więcéj od nowéj poezyi się usuwał i zajmował wobec niéj prawie nieprzyjacielskie stanowisko. Bo zresztą miał on dla niéj w początkach żywą bardzo sympatyę i niemałe w niéj pokładał nadzieje.

Wspomniałem już raz, że Brodziński widział bardzo dobrze i z całą przychylnością uznawał zalety romantyczności i to, co ona dobrego mogła przynieść naszéj poezyi. Mianowicie poznawał on w niéj ten pierwiastek duchowy zarówno w pojęciach religijnych jak i filozoficznych, którego brakowało martwemu i za formą ubiegającemu się klasycyzmowi, a bez którego żadna poezya żyć nie może, jak roślina bez wilgoci. Było to zapewne w pierwszych początkach naszéj romantyczności, około r. 1822 lub 1823, kiedy wygłaszał z katedry w wykładach historyi literatury to zdanie pełne otuchy i życzliwości dla nowéj szkoły: „Niech mówią co chcą przeciw teraźniejszemu dążeniu młodszych poetów... smak ten dzisiejszy jest wcale odrębnym od Kochanowskiego i jego blizkich następców, może być w części naśladownictwem Anglików

i Niemców, jak u nas dawniejszy był naśladownictwem naprzód Rzymian, późniéj Francuzów. Jednakże ma w sobie coś więcéj wzniosłego, coś nawet więcéj narodowego. Przebija w nim duch filozofii i religijności, bez któréj niemasz poezyi; przebijają szlachetne uniesienia, wynoszące człowieka nad zmysłowość. Gdy z temi zapasami połączy się głębsze badanie sztuki, większa znajomość dziejów i nauk, gdy zniknie afektacya stylu, zgoła gdy z temi przymioty połączy się jeszcze wykształcenie klasyczne według starożytnych pisarzy, możemy się pięknych owoców spodziewać.“

Z podobném zdaniem można się nietylko w tém jedném miejscu, ale i częściéj jeszcze spotykać (np. t. IV, str. 458), dlatego tém więcéj należy żałować, że Brodziński nie pozostał ciągłe z tém samém usposobieniem dla romantycznéj szkoły. Ale w utworach romantycznych, coraz częściéj się pojawiających, widział coraz większe odstępstwo od swojego ideału, a gdy to ganił choćby najdelikatniéj, wywoływał gniew i krzyki młodych krytyków, i musiało się zakończyć na tém, że pojednanie, z początku tak blizkie, zrobiło się niemożliwém. Ostre odpowiedzi albo gwałtowne napaści młodych pisarzy irytowały i gryzły wrażliwego Brodzińskiego. Dmochowski powiada, że po krytyce, jaką o artykule „O egzaltacyi i entuzyazmie“ napisał J. B. Ostrowski, przerwał w r. 1830 na pierwszym tomie, w którym ten artykuł między innemi się znajdował, rozpoczęte wydanie swoich pism, tak silnie był tą krytyką dotknięty. Lubo niezupełnie téj przyczynie wierzę, rozpoczęte bowiem wydawnictwo mogły także powstrzymać wypadki polityczne tego roku, w następujących zaś potém latach, a ostatnich swego życia, Brodziński był ciągle nękany chorobą, i o takiém kłopotliwém zajęciu myśléć mu się pewnie nie chciało.

Z tradycyi ustnéj, od jednego z byłych uczniów Brodzińskiego w uniwersytecie warszawskim, wiadomo mi, że Brodziński rozbierał na lekcyach także i świeżo wychodzące poemata romantyczne, z których mianowicie wymieniono mi szczegółowo „Zamek kaniowski.“ W ogłoszonych w ostatniém wydaniu jego wykładach nic podobnego się nie znajduje, dlatego nie możemy wiedziéć, jakie było jego zdanie nie w ogólności, ale w szczególe o naszych romantykach. Z tego, co jest wydrukowane w wykładach, można tylko wnosić, że Brodziński unikał starannie wszelkiego wymieniania nazwisk nietylko autorów, ale także ich dzieł. Obok pewnéj delikatności dla utworów, w których wogóle znajdował więcéj wad niż przymiotów, jest w tém także jakaś oznaka jego niechęci i rozmyślnego ignorowania. Raz tylko wymienia nazwisko B. Zaleskiego, wspominając o jego wierszu, drukowanym w „Pamiętniku warszawskim,“ i raz Mickiewicza, w następujących, bardzo obojętnych słowach: „Z późniejszych czasów wydał sonety Adam Mickiewicz r. 1826 w Moskwie; jeden z nich przytaczam“ (t. j. „Ajudah”). Zresztą bardzo jest umiarkowanym w pochwałach; o jednym Mickiewiczu tylko powiada wyraźnie (przytoczyłem powyżéj to miejsce), że to jest talent, ale też i nic więcéj. Za to gdzieindziéj znów spotykamy się z takiém ironiczném wyrażeniem: „Potrzeba jeszcze (to jest według zasad nowych estetyków), ażeby w każdym poecie, tak jak

w sonetach Mickiewicza, więcéj było wyobrażeń jak rymów, więcéj uczuć jak słów" (t. VII, str 235), a zapewne do Mickiewicza odnosi się następująca ironiczna aluzya: „My w naszém życiu rachującém, roztargnioném, w wielu względach wynaturzoném, tak właściwie często ten wyraz „natura" wspominamy, jak właściwie pisarzów szumnych ód i piosenek wieszczami zowiemy" (t. VI, str. 156). Wreszcie jego także ma bez wszelkiéj wątpliwości na myśli, kiedy pisze (t. VIII, str. 88) przeciw zbytecznemu zdrobnianiu rzeczowników: „Ale odrażającą przesycają słodyczą, bez wszelkiéj potrzeby w balladach naszych, piszczałeczki, duszeczki, ziareczka."

Z tego wszystkiego, co starałem się powyżéj przedstawić o stosunku Brodzińskiego do współczesnéj walki literackiéj, a mianowicie do szkoły romantycznéj, opierając się na najgodniejszych wiary świadectwach, bo na jego własnych słowach, musimy przyjść do przekonania, że w téj walce nie stał on bynajmniéj po stronie romantyków, owszem, walczył przeciwko nim dłużéj i uporczywiéj, niżeli nawet klasycy. Nie należąc również i do obozu tych ostatnich, za pierwszém prawie swojém wystąpieniem zerwawszy z nimi wszelkie przyjacielskie stosunki i solidarność, stanął Brodziński tym sposobem sam jeden, bez sprzymierzeńców i przyjaciół, jako trzecia strona wojująca.

Kto z pomiędzy tych wszystkich zapaśników miał słuszność? Historya wyrzekła, że romantycy, ponieważ oni wyszli zwycięzko z téj walki. I zaiste, my dzisiaj także nic innego powiedziéć nie możemy, bo wiemy i czujemy aż nadto, na jaką wdzięczność z naszéj strony ta burzliwa, namiętna i pełna młodzieńczego ognia epoka zasłużyła. Ale pozostaje jeszcze pytanie do odpowiedzi: czy człowiek tego rodzaju co Brodziński, tak światły, zdolny i wykształcony, mógł się tak bardzo mylić, aby sprzeciwiać się temu, co miało być dobrém i pożytecznóm,— i czy to, co romantyczności zarzucał, było w niéj rzeczywiście złém albo téż dobrém?

I na to dalsze dzieje naszéj poezyi dały nam już odpowiedź. Epoka prawdziwie romantyczna bardzo prędko u nas przeminęła, bo nie przetrwała powstania listopadowego, a poezya, jaka się z niéj wkrótce rozwinęła, pod wielu względami stała się do niéj niepodobną. To, co było naleciałością zagraniczną, pewne naśladownictwo, którego trudno zaprzeczyć, odpadło z niéj po największéj części, a pierwiastek narodowy w niéj spotężniał. Poezya i poeci po r. 1830 przestali się już nazywać romantycznymi; od uroków średniowiecznych piękności zwrócili się do teraźniejszości wzniosłéj choć bolesnéj i rzucili okiem w przyszłość zamgloną, ale na mgle swojéj noszącą różane brzaski przedświtu. Zamiast pożyczać jaskrawych barw z palety obcych mistrzów i geniuszów, zaczęli się starać o nadanie swym utworom kolorytu ojczystego nieba, a na miejsce bohaterów, którzy bądź co bądź w utworach romantycznych mają w sobie coś z niemieckiéj melancholii albo byronowskiéj mizantropii, stawiali z coraz świetniejszym rezultatem postacie swojskie, których charakter przechowała im historya albo przekazała żywa tradycya. „Konrad Wallenrod" i „Pan Tadeusz," to są zapewne najcelniejsi wyobraziciele tych dwóch epok, tak blizkich siebie czasem, a tak

dalekich od siebie duchem. Jeden i ten sam człowiek napisał oba te dzieła, ale gdy pisał „Wallenroda," kto się mógł domyśléć, czy on sam mógł to przeczuć, że w lat kilka napisze „Pana Tadeusza?"

Témbardziéj nie mógł tego przeczuć Brodziński, stojący poza kołem romantyków. Nie mylił on się bynajmniéj, jeśli wyrzucał romantyczności jéj grzechy, bo one były rzeczywistemi i romantyczność z nich sama się potém oczyściła, kiedy nabrała sił, aby stanąć samodzielnie jako poezya narodowa. Jeżeli śmiało i niezrażony powodzeniem przeciwników upominał ich w czém błądzili, spełniał zaszczytnie swój obowiązek, a że widział dobrze i poznawał ich błędy, to mu tylko chlubę przynieść może.

Jedynym jego błędem było może to właśnie, że widział zadaleko; kiedy należało spoglądać po teraźniejszości z większą pobłażliwością, przypominając sobie co chwila, jak wielkim była krokiem naprzód względem niedawnéj przeszłości, on przenosił wzrokiem czasy obecne i jak w tęczę trzymał wlepione oczy w obraz téj poezyi, która z chaosu romantycznego mogła się była kiedyś dopiero wyłonić.

Niema żadnego śladu na piśmie, co Brodziński pomyślał lub powiedział, gdy pierwszy raz wziął „Pana Tadeusza" do ręki. Ale za to można zaręczyć, że ujrzał w nim spełnienie swego ideału polskiéj poezyi i że powiedział, jak ów ewangeliczny starzec Symeon: „Teraz, Panie, puszczasz sługę twego w pokoju!"

W téj drażliwéj sprawie między romantykami a Brodzińskim jest jeszcze jeden szczegół, podany przez Dmochowskiego w notatach do ostatniego wydania, a rzucający na nią niemałe światło (t. VII, 237). Według tego objaśnienia młodzi recenzenci (a szczególnie trzeba tu myśléć o Mochnackim), dla celów politycznych, które musieli ukrywać, uderzali tak gwałtownie na Brodzińskiego, „gdy zalecał umiarkowanie i rozsądek w poezyi." Słowa te są bardzo ważne, a podług tego, co nam z historyi owych czasów wiadomo, muszą zawierać w sobie zupełną prawdę. Jeżeli się rzeczy tak miały, Brodziński jest całkiem usprawiedliwiony i wytłumaczony, bo w takim razie bylibyśmy przekonani, że młodzi recenzenci, egzaltując umysły i krusząc z takim zapałem kopie za poezyę, która o prawa rozumu się nie pytała, wychodzili nie z estetycznego, ale politycznego stanowiska. Można przypuścić wtedy śmiało, że w gruncie rzeczy podzielali oni zdania Brodzińskiego i przyznawali mu w duszy najzupełniejszą słuszność; walczyli zaś przeciw niemu i zbijali go z téj jedynie przyczyny, że im mieszał szyki w ich politycznych zamiarach. Chodziło im o rozgorączkowanie umysłów, o rozniecenie zapału w duszach, bo bez tego nie byłoby przyszło do wybuchu 29 listopada. Nie o poezyę zatém, ale o rewolucyę im chodziło.

Inaczéj było u Brodzińskiego; dla niego pomyślność literatury i powolny rozwój narodowéj oświaty był jedynym celem; szedł więc tą drogą i tę innym wskazywał, która do tego celu najprościéj wiodła. Do liczby konspiratorów nie należał, ich zamiary były dla niego zakryte, nic zatém dziwnego, że oburzał się i gniewał na to, że oni fałszywe teorye o poezyi głosili, nie domyślając się, że to był z ich strony

polityczny manewr dla uśpienia czujności rządu; chociaż gdyby był w ich zamysły wtajemniczony, zapewne byłby ich z tego rozgrzeszył.

Bo nie trzeba sobie wyobrażać, ażeby Brodziński, jakkolwiek był poważnym profesorem i wiekiem starszym od tych zuchwałych nowatorów, i jakkolwiek wszystkie swoje siły poświęcił pracy, w któréj się z całém zamiłowaniem i poświęceniem zakopał, był z rzędu tych literatów, dla których świat kończy się z krawędziami ich pulpitu. Nie znał on sztuki dla sztuki, a literatury dla literatury, i daleko wyższe przypisywał im przeznaczenie. Według niego poezya i całe piśmiennictwo powinny być sługą narodu i najpierwszą dźwignią do podniesienia jego oświaty. Może się to dziwném komu wydawać, ale tak było wistocie: za najpierwszy warunek i najcenniejszy przymiot literatury uważał on jéj użyteczność dla narodu. Za ten przymiot gotów jéj był darować wszelkie jéj błędy i wady, i dla osiągnięcia tego celu byłby chętnie poświęcił całą jéj artystyczną i zewnętrzną świetność, całą jéj wewnętrzną naukową wartość, mogącą wzbudzić podziw świata, i wszystką sławę jéj geniuszów, schlebiającą tak bardzo dumie narodu i osób. Literatura, któraby kształciła tylko pewną ilość umysłów, a zapominała o ogóle, któraby z wysokich swoich regionów wiedzy i sztuki nie zstępowała stopniowo w coraz niższe warstwy narodu i nie dawała wszystkim światła, i we wszystkich nie podnosiła ducha ku wyższym ludzkim celom, nie spełniałaby według jego pojęcia swéj szczytnéj misyi, a szczególnie u nas, w téj naszéj Polsce, która, zadłużywszy się tyle u przeszłości, tak wiele zaniedbawszy przez opieszałość lat dawniejszych, aby odzyskać stracone między ludami europejskiemi stanowisko, potrzebowała téż więcéj od innych pracy duchowéj i światła. Wszystko, co się nazywa nauką, co z duchem ludzkim i umysłem ma do czynienia, czy to sztuka, czy filozofia, czy polityka, czy religia wreszcie, w tym jednym celu powinny się zjednoczyć i zgodnie razem nad tém jedném tylko pracować, aby uczynić naród światłym, moralnym i szczęśliwym. „Mało zależy, czy oryginalnymi czy naśladowcami będziemy w literaturze. Użytek niech będzie pierwszą wartością... Nie o to nam iść powinno, abyśmy licznemi skarbami biblioteki uposażyli, ale o to, aby w rychły bieg poszły, aby wszystkich potrzeb dosięgły, aby ich cząstka rąk ostatniego wyrobnika dojść mogła... Nie życzyłbym nigdy narodowi mojemu ani mnóstwa filozofów Grecyi, ani erudytów niemieckich, ani wierszopisów paryzkich; niech ma kiedyś imię jako naród zamożny i moralnie wykształcony, mniejsza o to, chociaż jego uczeni nie będą zadziwiać postronnych... Śmiem tu jeszcze powtórzyć, że nie widzę zbawienniejszych celów prac uczonych, jak wyobrażenia polityczne, religijne i filozoficzne z interesem narodu połączyć... Cóż ich (naszych ojców) o niezgody i nieszczęście przywiodło? Brak téj mądrości i pracy, coby te zasady zbawienne jednoczyć umiała, rozdwojenie i nadużycie onych: polityka, wbrew narodowości, obcych królów na tron wynosząca, za którymi obce intrygi, zepsucie, niezgody i przywileje się wkradły; kościół tak często sprzeczny z narodowém dobrem i rzetelném oświeceniem, szkolna erudycya z rozsądkiem walcząca, przemieniająca obywatelów w wiecznych szkolników... Niechże dziś

u nas filozofia, religia, polityka i narodowość jednym tchnie duchem, jeden ma cel: posuwać naród do rzetelnéj oświaty" (t. V, 306—308).

Taką dążność i taki kierunek pragnął Brodziński nadać literaturze. Kiedy to czytam, zdaje mi się, że słyszę jednego z tych naszych pisarzy Zygmuntowskich, pełnych mądrości i obywatelskiego ducha, dla których jedyném hasłem była prawda i miłość ojczyzny, którzy więcéj niż wszystkie zagraniczne utopie i interesa stronnictw kochali swój naród, i muszę przyznać, że mało który z naszych pisarzy był tak dobrym patryotą i obyw kromny i cichy profesor warszawski.

Oby znalazł jak wców! Niech szczególnie młodzież rozczytuje się wzór dla siebie z nich bierze. Znajdzie w nich sumie ordowaną pracę, myśl trzeźwą i zawsze świeżą, a nad serce kochające i szlachetne.

—

Stanąłem już u k cy. Szczupłe ramy, jakie sobie zakreśliłem, nie mogły całéj działalności autora z tem znaczeniem, co Brodziński. Nie wspomniałem nawet słowem o jego dwóch pismach politycznéj treści. „O narodowości Polaków" i „Poselstwo..." których znaczenie w porewolucyjnéj literaturze wymagałoby osobnego studyum. Poprzestać musiałem tylko na kilku rysach, które szczególnie uderzyły mnie przy czytaniu pierwszego zupełnego wydania dzieł tego autora. Głównie zaś, jak to czytelnik zapewne spostrzegł, chodziło mi o określenie jego stanowiska w literackich sporach, jakie dały początek ostatniéj epoce naszego piśmiennictwa. Boto wprawdzie utartym już jest frazesem, że Brodziński był Janem Chrzcicielem, torującym drogę nowéj literaturze, ale dobrze i to wiedziéć, że o poezyi romantycznéj myśleć tutaj nie można, i że za Mesyasza, którego przyjście poprzedzał, nie uważał Brodziński z pewnością żadnego z poetów owych czasów, nawet wielkiego Mickiewicza. Metafory i porównania piękną mogą być rzeczą i stylowi niemałéj dodają ozdoby; gdybyśmy jednak na nich zawsze ograniczać się musieli, nie wyszlibyśmy nigdy z ogólników nic niemówiących albo bałamutnych.

Że dzisiaj lepiéj znamy Brodzińskiego, że działalność jego w całości ocenić możemy, zawdzięczać to mamy staraniom ś. p. Dmochowskiego i Kraszewskiego, którzy się kompletném wydaniem jego dzieł zajęli i połowę jego wielkich zasług niepamięci wyrwali. Kursa literatury i estetyki mianowicie w tém wydaniu po raz pierwszy na świat się pokazały. Jakkolwiek dzisiaj doszły do nas w niezupełnym ładzie i z lukami, na których znać ząb czasu, bo tylko z brulionów autora i z notat jego uczniów zebrane, rozbudzają przecież słuszny żal, że wcześn tak jak mogły być, nie zostały na widok publiczny wydane. Istniał k dyś rękopis tych kursów, pod okiem autora sporządzony i przed śmi cią jego do druku w Krakowie przeznaczony, ale w tych czasach cho by i dolegliwości Brodzińskiego, zanim do wydrukowania przy

w niewiadomy sposób zaginął. Przypadek, czy co innego, wyrządziły tym razem niezmierną szkodę naszéj literaturze, a zwłaszcza historyi literatury. Wykłady Brodzińskiego byłyby jeszcze przed laty czterdziestu nauczyły, jak traktować i jak pisać historyę literatury i jeszcze wtenczas byłyby znakomicie posunęły tę umiejętność. Po nich piśmiennictwo nasze byłoby bezwątpienia uniknęło wielu tych niedołężnych prób rozmaitego kalibru wypisywaczy i plagiatorów, którzy ani zbadać nic należycie nie chcieli, ani zrozumiéć dobrze nic nie mogli.

*Kraków, 1874.*

---

## GUSTAW I WERTER.

O Gustawie zatém i Werterze mam mówić — o dwóch ludziach, z których jeden zadał sobie śmierć fizyczną, drugi moralną, dlatego, że nie mogli zyskać u swych kochanek wzajemności. Może wybór podobnego przedmiotu niezbyt stosownym się komu wyda... Gustaw i Werter, mógłby ktoś bardzo łatwo zarzucić, nie są postaciami godnemi, aby bliżéj się nad niemi zastanawiać. To nie są bohaterowie, którzyby reprezentowali jakąś szczytną albo wyższą ideę, to nie są jacyś męczennicy poświęcenia dla ludzkości lub ojczyzny, głosiciele wzniosłych prawd, dobroczynnych zasad—to w najlepszym razie ofiary własnego egoizmu, które giną dlatego, że zaślepiły się w swojéj namiętności i marzycielstwie. Może być, powiedziałby kto także, że podobne rzeczy mogły być dobre dla dawniejszych czasów i musiały być dla nich dobremi, skoro tacy geniusze poświęcali im część swojego ducha i uczucia —ale dzisiaj świat zanadto już daleko odbiegł od tego rodzaju wyobrażeń, a sentymentalna historya nieszczęśliwych kochanków nie może go zajmować, jak nas nie bawią lalki, skoro przestaliśmy być dziećmi.

Świat nasz prędko się zaiste postarzał, jeśli w przeciągu lat kilkudziesięciu potrafił zrobić taki postęp. A nie jest to bynajmniéj jakiémś złośliwém tylko spostrzeżeniem, albo téż przypuszczalnym domysłem. Jest to prawdą najszczerszą—widzimy to codziennie prawie na wielkiéj scenie historyi i w szczupłém kole towarzyskiego życia. Brak uczucia, tłumienie go w sobie wszelkiemi możliwemi środkami stało się hasłem naszego wieku, jego znamieniem charakterystyczném, co więcéj nawet, można śmiało powiedziéć, jego chlubą.

Nieinaczéj, chlubimy się dziś z tego, uważamy za swój zaszczyt, za dowód postępu i większéj doskonałości, że w rachunkach naszego życia to, co nazywamy sercem, coraz mniejszym staje się czynnikiem... Będziemy zapewne bardzo zadowoleni, skoro zobaczymy, jak kiedyś zmniejszy się do zera...

Wobec takiego prądu wieku, takiego usposobienia umysłów, ryzykowną jest niemal rzeczą przypominać postacie, które oddawna uchodzą za kwintesencyę sentymentalności, i dlatego dzisiaj do pewnego stopnia uważane być mogą za Donkiszotów bez staréj zardzewiałéj zbroi i Rossynanta.

Na tym materyalizmie naszych czasów traci bezwątpienia bardzo wiele poezya. Jest dzisiaj przyjętym i niepodpadającym wątpliwości pewnikiem, że nasza epoka nie sprzyja powstawaniu nowych poetów, i niema ich téż podobno, a przynajmniéj w tych, którzy są, nie znać nowéj jakiéjś idei, któraby jch podniosła do godności wyobrazicieli umysłowych swojego wieku. Świat jednak bynajmniéj się tém nie nudzi i czeka cierpliwie, aż w duchu narodowym nie wytworzy się jakiś nowy zaród na to przyszłe pokolenie wieszczów i poetycznych kreacyj. Dawniejsi poeci również nie [illegible] zajmują. Powtarzamy jeszcze ich imiona, dla pewnéj [illegible] ajemy ich wyższość i zasługi, ale nie oddajemy im teg[illegible] wątpienia najwięcéj i jedynie mogliby żądać... Któż z[illegible] ezye? kto się rozkoszuje natchnionym utworem i śl[illegible] y w ich krainę ideałów?

Jesteśmy dzisiaj ta[illegible] wo, tak rozsądni i tak trzeźwi, że nie dopuścimy n[illegible] siebie, i skoro tylko coś podobnego w sobie uczujem[illegible] li przyjdzie nam na myśl, jak dalece te rojenia dalek[illegible] tości, i przetniemy złotą nić marzeń prozaiczną uwag[illegible]

Ludzie tak zwani [illegible] yczaili się uważać ją za rzecz błahą, nierozsądną, godną [illegible] ko dla umysłów na swoje nieszczęście dość jeszcze naiwnych, z tego powodu, że poezya nie prowadzi do żadnego realnego celu, że przez nią można stracić wiele z namacalnych przyjemności życia. W wirze dążeń i uciech chwilowych, zmysłowych i powszednich jest ona wistocie dysharmonią i jakby tym kamieniem na drodze, o który w szale innych myśli można niepotrzebnie utknąć nogą. Nie w lepszéj jednak cenie jest ona także i u tych, co z powołania lub obowiązku żyją wprawdzie w świecie umysłowym i zajmują się sprawami duchowemi, ale którzy nie pojmują, ażeby do tego świata można się dostać inną drogą, jak tylko przez badanie, naukę, umiejętność. I ci również patrzą na poezyę z góry, wzruszają niemal z lekceważeniem ramionami na jéj wspomnienie, bo im się zdaje, że to jest tylko zabawka, nieraz nawet niebezpieczna dla bardzo młodych albo niedoświadczonych umysłów, które nie pojęły jeszcze powagi życia i znaczenia pracy.

Jakże daleko dzisiaj od tych czasów, gdzie poezyę nazywano nauczycielką narodów! jak prędko zatarła się pamięć historyi, że wprzód nim Arystoteles albo Hipokrates był Homer i że on wprzód był mędrcem i prawodawcą swojego narodu, zanim inni pomyśleli o swych systemach i kodeksach!...

Dziwić się zaprawdę należy, jakim sposobem, pomimo tylu zasług oddanych przez poezyę ludzkości i każdemu szczegółowo narodowi, mogło się wyrobić takie niekorzystne dla niéj i upokarzające wyobrażenie. Dlaczego ma być ona niższą albo lżejszą od innych prac ducha, dlaczego ten, co bada, analizuje i ślęczy, ma więcéj i korzystniéj pracować, niż ten, co składa i tworzy? Przecież zdaje się być rzeczą aż nadto widoczną, że do napisania naprzykład Pana Tadeusza trzeba nie mniéj wiedzy, umiejętności i nauki, jak do jakiegokolwiek dzieła erudycyi— a oprócz tego jeszcze czegoś więcéj. Szekspir albo Molier, który badał

serce ludzkie i wykrywał najdrobniejsze w niém sprężyny, nie mniéj pracował jak anatom, który ze skalpelem w ręku odkrywa najcieńsze włókna naszych nerwów, i do poznania człowieka, jeśli kto zechce, nie więcéj, ale bez wszelkiéj wątpliwości nie mniéj się przyczynił. Różnica leży tutaj nie w istocie rzeczy, ale w sposobie pracy i zapatrywania się na świat. Jedni rozbierają i analizują trupa, drudzy badają i macają puls życia; dla jednych są źródłem wiedzy księgi i pergaminy spisane przez innych, dla drugich ta wiecznie otwarta księga natury i świata, któréj autorem jest sam Bóg; jedni patrzą w tajniki świata przez mikroskop albo teleskop, drudzy oczyma ducha. Kto z tych pracowników więcéj się dotąd dobadał, poznał i dopatrzył, na to mogłyby dać odpowiedź jedynie dzieje cywilizacyi ludzkiéj, a najskromniéj nawet licząc zasługi tych współzawodników na szczytnéj drodze do prawdy i dobra, podobno szala na stronę pierwszych się nie przeważy.

Z tém wszystkiém należy to do objawów społecznych naszego czasu, że u ludzi lekkich i poważnych, u nieuków i uczonych, poezya zarówno ma znaczenie rzeczy niepotrzebnéj i zbytkowéj. Mało, bardzo mało tylko serc zachowało dla niéj jeszcze dawny szacunek i tę wiarę, że przez nią uszlachetniają się, podnoszą i stają mędrszemi narody. Wszystko bowiem, co stanowi grunt istoty ludzkiéj, co jako myśl przepływa po naszym mózgu, jako uczucie wstrząsa naszém sercem,—wszystko również, co jako prąd czasu, jako idea wieku stanowi i rozstrzyga o losach ludzkości, znajduje swoje odbicie w poezyi i w jéj pięknych, dla każdego przystępnych i zrozumiałych formach nabiera widomych kształtów i otrzymuje życie. Poezya, w prawdziwém tego słowa znaczeniu, ma na dnie zawsze myśl żywotną i nieobojętną dla nikogo, co się człowiekiem nazywa, a chociaż niezawsze je rozwiąże, zadaje sobie przynajmniéj zawsze do rozwiązania jedno z tych zagadnień, które spoczywają w głębiach naszego ducha, jak na dnie morskiém ukryte perły i korale.

Na to nie trzeba dowodów; weźmy za przykład pierwsze lepsze dzieło prawdziwego poety; w każdém zobaczymy, że mieści w sobie albo wielką prawdę, albo téż straszną walkę, staczaną o dobicie się téj prawdy. Życie, w najszerszéj rozciągłości tego słowa, jest i było najogólniejszą treścią poezyi; a dla człowieka czyliż może istnieć ciekawsza zagadka, więcéj zajmujący przedmiot, jak dociekanie téj tajemnicy, którą czuje w sobie, widzi dokoła siebie, dotyka jéj prawie co chwila rękami, a która przecież wiecznie się zmieniając, w coraz nowéj postaci się jawiąc i uciekając przed nim, nigdy dostatecznie jego ciekawości zaspokoić nie zdoła?

Jednym z najpowszechniejszych objawów życia jest miłość; ze wszystkich uczuć jest ona najwięcéj kosmopolityczną i zarówno pod równikiem jak pod biegunami ma swoję ojczyznę. Ztąd to zapewne poszło, że w dziedzinie sztuki i poezyi uczucie to zajmuje tak wiele miejsca i należy do najsilniejszych dźwigni duchowéj twórczości. Błogo jest śpiewać poetom o tém uczuciu, które dla nich samych jest najdroższém i dla którego pewni są, że zawsze znajdą słuchaczy. Jest wiele rzeczy obojętnych i niezrozumiałych dla pewnych warstw towarzystwa albo

dla tłumu, na których głos stoją jak głusi, albo przechodzą mimo, ni zwracając nań uwagi, ale gdy się erotyczna lira odezwie, przechodn stają i natężają słuch, bo im się zdaje, że to jest pieśń o tych uczuciach które poruszają ich własną duszę, albo które drzemią w niéj przysyp ne mnogiemi laty jako najmilsze wspomnienia życia.

Miłość jednak niezawsze jest rajem, jakim ją zapewne my Stwórcy pierwotnie miéć chciała. Namiętność, kolizye ze światem z wnętrznym, kolizye z sobą samym i z obowiązkiem, czynią ją niem dla człowieka więcéj niż piekłem, bo przepaścią, w któréj przepad wszystko, co było n [illegible] szlachetniejszego w jego pier Wtenczas to, co mia [illegible] ó, staje się dla nas zgubą, a c miało wlać w naszę is [illegible] ie, staje się przyczyną śmierc albo ciała, albo strasz [illegible] ierci duszy.

Trzy są poemat [illegible] ajwięcéj znane, które opiewają tę tragiczną stronę m [illegible] odnoszą to uczucie do zenitu jego potęgi: „Romeo i J [illegible] perła między tragedyami Szekspira, Getego „Werter [illegible] iadów" część czwarta.

Szekspir bezwą [illegible] najpiękniejszy z tych hymnów miłości; w jego trage [illegible] dstawione zostało w największéj swojéj pełni i doskon [illegible], kochanków zarówno niem s przejęci, i nie brak ue [illegible] lwiek strony, ale jego nadmiar sprowadza katastrofę, tak, że giną, niby w płomieniach własnego ognia. Ta tragedya to niejako męczeńska glorya miłości. Pomiędzy dwoma innemi utworami, między Gustawem i Werterem, zachodzi wielkie podobieństwo w kolizyi i w ostatecznym losie bohaterów. Jedna z tych postaci wywołuje mimowoli drugą na pamięć, a że Werter o pół wieku wcześniéj powstał niż Gustaw, dlatego można się także często spotkać z tém zdaniem, że Mickiewicz był naśladowcą Getego, że, jak ktoś powiedział, Gustaw jest zmartwychwstałym Werterem.

Muszę przyznać, że to był także jeden z ważniejszych powodów, dlaczego wziąłem sobie za zadanie przedstawić te postacie czytelnikom, abyśmy się przypatrzyli, czyli lub o ile jest to prawdą, żeby Gustawa uważać za kopię Wertera.

Poeci tworzą najczęściéj z tego, co przeżyją. Wrażenia świata zewnętrznego, koleje życia i to, co one zrodzą w jego myśli lub sercu— to jest tym żelaznym kapitałem, z którego poeta czerpie w razie potrzeby, i tą kopalnią, z któréj wydobywa swoje bogactwa. Im dusza jest czulszą i dotkliwszą, tém więcéj nazbiera się w niéj takich wrażeń, a skarb uczuć i myśli będzie tém bogatszy... Gete był szczególnym mistrzem w przerabianiu tego surowego materyału, jaki mu podawał świat i życie, na utwory kunsztowne poezyi. Najmniejsza okoliczność, nadrobniejsze wydarzenie, na któreby kto inny nie zwrócił uwagi, wystarczyły, ażeby na nich osnuł całe pasmo swoich myśli i przemienił je w obrazy żywo do imaginacyi przemawiające. Pod ręką tego [illegible] poety stawało się wszystko plastycznem, wszystko krystalizow w jego duszy w prawdziwie drogocenne brylanty. Dla Getego [illegible] prawda, a zatém najprzód wszelki objaw życia stawał się poe odwrót poezya była dla niego tylko prawdą, tylko rzecz

odzianą w szaty ideału. Z téj to przyczyny do każdego prawie jego utworu można znaléźć najwierniejszy komentarz w jego życiu; treść tego lub owego poematu była zaczerpniętą z tego lub owego wydarzenia, jakie jego samego spotkało, lub stało się w najbliższém jego otoczeniu; ta znowu lub owa postać w jego dramatach lub powieściach jest poetyczną kopią osób, które znał, z któremi łączyły go stosunki przyjaźni albo miłości, z któremi rozmawiał, jadł i pił najprozaiczniéj w świecie; wreszcie jego liryka, jego nieporównane pieśni są tylko uśmiechami, westchnieniami albo téż bolesnym krzykiem jego własnéj duszy, historyą jego serca... Czego sam nie przeżył, nie przeczuł, nie widział, tego nie przenosił nigdy do swego idealnego świata. Ztąd ta potęga i niestrawiona czasem wartość jego poezyi, zbliżająca autora Fausta do uniwersalnych geniuszów Homera i Szekspira.

I Werter nie winny powstał sposób. Gete, nim go napisał, był sam najprzód Werterem.

Nasz poeta kochał się w życiu bardzo wiele razy; galerya jego kochanek jest bezwątpienia najliczniejsza ze wszystkich poetów. Szczególnie czas między 22-gim a 25-ym rokiem życia był bardzo obfity w tego rodzaju wrażenia. Raz po raz uderzały Kupidynowe groty w poetę, przemijały szybko jak błyskawica, ale téż jak błyskawica wstrząsały jego wrażliwym organizmem. Dopiero co rozłączył się z uroczą Fryderyką Brion, która była dla niego tak idyliczną, tak serdeczną miłością, dopóki widział ją na tle wiejskiego probostwa jéj ojca w Sesenheim, a straciła nagle tak wiele, gdy przez przyjazd Fryderyki do miasta musiał ją porównywać z damami dobrego tonu, ubranemi podług ostatniéj mody... Zaledwie więc ta Fryderyka zaczęła się zacierać w jego pamięci, gdy w Wetzlarze poznał szesnastoletnią Szarlottę Buff, wesołe, pełne prostoty, serdeczne dziewczę, które z rozumem nad swój wiek i z całém poświęceniem zastępowało w domu swojego ojca w gospodarstwie i w opiece nad młodszém rodzeństwem miejsce zmarłéj matki. Gete, jak był łatwym w pożyciu i umiał sobie ująć ludzi, z którymi się spotkał w życiu, stał się wkrótce członkiem niemal téj rodziny, która niedługo miała się powiększyć o jednę jeszcze osobę, bo Szarlotta od dwóch lat była zaręczoną... Na nieszczęście na tę osobę Gete jakoś nie zważał i ani się spostrzegł, że narzeczona innego zaczyna wywierać coraz większy urok na jego imaginacyę i serce. To dwójznaczne położenie, zwłaszcza, że był na stopie najszczerszéj przyjaźni z narzeczonym, stało się wreszcie nieznośném... trzeba było szukać ratunku. Wtenczas zjawił się w Wetzlarze przyjaciel Getego, Merk, anioł-stróż jego lat młodzieńczych, i namówił go na podróż po Renie... Gete usłuchał, choć nie bez boleści, i w nurtach wspaniałéj rzeki topił powoli swoje żale i wspomnienia... Niedługo pisał do Kestnera, owego narzeczonego Szarlotty: „Jestem już swobodny i tęsknię do miłości...” Tego rodzaju tęsknoty są już połową rzeczywistości... Jakoś wkrótce przypomniało mu się uczucie, albo raczéj nagle rozwinęło do dawnéj znajoméj, Maksymilianny Laroche, która właśnie wyszła za mąż za bardzo prozaicznego kupca w Frankfurcie. Gete i tutaj był wkrótce jak w domu, jakby należący do familii, i kiedy jego rola znowu dwójznaczną się stała,

gwałtownem postanowieniem uwolnił się od tych drażliwych stosunków.

Zdawałoby się, że Gete, przy tej ciągłej zmianie i puszczaniu w nie pamięć swoich kochanek, nie grzeszył zbytkiem uczucia, i że miłość była u niego więcej sprawą imaginacyi niż serca. Tego jednak nie można powiedzieć. Jego przyjaciel i rywal, ów (wspomniany wyżej) Kestner, pisze o nim w jednym ze swych listów z owego czasu: „Ognisty jest we wszystkich swoich przywiązaniach, jednakże wielką ma moc nad sobą..." Ta to moralna władza rozkazywania samemu sobie pozwalała Getemu wychodz wszystkich burz serdecznych i kiedy jego wnętrze pieniami, a duch upadał od boleści, jego postępki p że umiał zwyciężyć siebie i losy. Wszystkie te, na żebyte koleje miłości, pozostawiały w jego duszy śl mógł się kto domyśléć, patrząc na jego swobodę umy ciągłej pracy i zajmowanie się wszystkiém, co go ota

Gete wskutek t wistocie w stanie wewnętrznego rozstroju i zniechę stosunki serdeczne, zawiązywane tak prędko, prędzej często bardzo drażliwe, w gruncie dręczyły go i robił ánym. Z ognistém swojém uczuciem pragnął i szuka znalazł? czy znalazł ten ideał uczucia, o którym marzyła jego poetyczna wyobraźnia?... Bynajmniej. Znalazł miłość w tej i owej osobie, czuł ją również w sobie i to nie raz, nie drugi, ale tej prawdziwej, niezmiennej, idealnej miłości nie mógł znaléźć poczęści z winy innych, poczęści—i co go zapewne najwięcej bolało—ze swojej własnej. „Nic więcej, powiada w swojej autobiografii, nie sprawia zniechęcenia do świata, jak powrót miłości. Słusznie mówią, że pierwsza miłość jest jedyną; bo w drugiej i przez drugą gubi się najwyższe znaczenie miłości..." Więc i miłość przemija jak pory dnia albo roku... jest czémś, co było wczoraj, a będzie jutro,—więc powszedniem i niestałém...

Takie myśli, podsycane jeszcze wrażeniami odbieranemi z czytania melancholicznych angielskich poetów, wprawiły poetę nakoniec w apatyę i w rozpacz, od której uwolnić się chciał przez samobójstwo. Ten kochanek, od Fryderyki biegnący tak prędko do Szarlotty, od Szarlotty do Maksymilianny, chciał sobie odebrać życie dlatego, że nie znajdował miłości... Pisze sam o sobie, że wieczór kładł przy swojém łóżku dobrze wyostrzony sztylet, i, nim światło zagasił, próbował, czyby nie można tego ostrego końca zanurzyć kilka cali w pierś... Gdy nareszcie przekonał się, że to mu się nie udaje, porzucił te hipochondryczne mrzonki i postanowił żyć...

Naraz dowiaduje się w tym czasie, że niejaki Jeruzalem, którego znał z widzenia w Wetzlarze, piękny i niemałych nadziei młodzieniec, odebrał sobie życie wskutek nieszczęśliwej miłości do żony swego jaciela. Wydarzenie to było powtórzeniem, z wyjątkiem zakończ własnych doświadczeń Getego, i na jego przebudzenie się z apat warło skutek silnego strumienia zimnej wody. Oddawna już po poety krążyły tysiączne myśli i rozliczne obrazy poetyczne,

przez ostatnie wypadki i doświadczenia własne. Ale w tém wszystkiém był chaos, wszystko plątało się z sobą bezładnie... gdy nagle Gete dowiaduje się historyi Jeruzalema i równocześnie znajduje cały plan do poematu, w którym chciał zrzucić z siebie gniotący go długo ciężar— znajduje plan do swojego Wertera. Nieszczęśliwy Jeruzalem wytknął cel wszystkim jego dotychczas samopas idącym myślom i poeta mógł utworzyć z nich dzieło. W cztery tygodnie, prawie improwizując, bez żadnych wstępnych przygotowań, przywoławszy sobie tylko na pamięć najbliższe chwile swojego życia i zamknąwszy się szczelnie w domu nawet przed przyjaciółmi, napisał Gete tę książkę, która liczy już prawie sto lat istnienia, którą Bonaparte zaniósł w swoim tornistrze pod Pyramidy i siedm razy odczytał... napisał—źle powiedziałem: wylał ze siebie z całém gorącem serca, które, jak powiada, nie zna różnicy między poetycznem tworzeniem a rzeczywistością.

Ale jakkolwiek w sercu Getego mogło być gorąco, w głowie poety było jasno i trzeźwo. Całe wykonanie poematu przekonywa nas o tém, a szczególnie charakter bohatera wykończony jakby podług planu najchłodniéj obmyślanego.

Werter, zanim wystąpi w roli rozpaczającego kochanka i samobójcy, kreślony jest z całym spokojem homerycznego przedstawienia. Niktby się nie domyślił z tego pierwszego poznania się z nim jego dalszych losów. Przebywa on na wsi, dokąd się udał, aby usunąć się z oczu niejakiéj Leonorze, młodéj dziewczynie, któréj miłości nie mógł wzajemnością odpłacić. W téj samotni czuje się szczęśliwym i spokojnym. Natura mu wystarcza—całe godziny trawi, leżąc w wysokiéj trawie nad strumieniem i obserwując rojące się tam drobne stworzenia. Najmilszém zresztą dla niego towarzystwem są dzieci i ludzie prości. Z tymi rozmawia, żartuje, pomaga im datkiem i przysługą. Za miejsce zwyczajnych przechadzek obrał sobie pewien pagórek, tam kazał sobie przynosić stolik z blizkiéj oberży, tam pijał kawę i czytywał ulubionego Homera. Przytém nie był także od tego, aby się nie zabawić. Młodzi ludzie z okolicy wydawali bal, na który on także został zaproszony. Wybrał sobie tancerkę i z nią, jako też z jéj kuzyną, wyjechali powozem na miejsce zabawy. Po drodze mieli jeszcze wstąpić po znajomą tym paniom, a nieznaną całkiem Werterowi Szarlottę. Werter przed domem Szarlotty wysiadł i wszedł do mieszkania, aby ją zabrać. Gdy drzwi otworzył, ujrzał po raz pierwszy Szarlottę: stała otoczona sześciorgiem swoich młodszych sióstr i braci, w skromnéj białéj sukience, z różową kokardą na ramieniu i piersiach, i krajała dzieciom czarny chleb.

Werter na pierwsze wejrzenie zachwycony został jéj postacią, jéj zachowaniem się i anielską dobrocią dla dzieci—i zachwycał się nią daléj podczas drogi, kiedy Szarlotta mówiła tak rozsądnie i wytrawnie o książkach i autorach, jakich czytała. Z powozu wysiadł już rozmarzony i upojony czarnemi oczami nowéj znajoméj. Reszty dokończył bal, pełen życia taniec Szarlotty, na który patrzał, i walc, do którego przez szczęśliwy zbieg okoliczności został przez nią wybrany.

Jeszcze tego wieczora jedna z pań obecnych, widząc co się dzieje, pogroziła z uśmiechem Szarlocie i wymówiła imię „Albert," a niedługo

potém Szarlotta powiedziała także Werterowi, że to jest tak dobrze jak jéj narzeczony. Ale Werter w swojém upojeniu jakby nie rozumiał dobrze znaczenia tych wyrazów, zapomniał wkrótce o tém i kiedy na drugi dzień złożył jéj pierwszą wizytę, był tak szczęśliwy, że nie wiedział nic o świecie, „odtąd słońce, księżyc i gwiazdy mogą gospodarować sobie jak chcą, ja nie wiem, czy jest dzień czy noc, i cały świat dokoła mnie ginie.”

To szczęście stawało się coraz większém; Werter ubóstwiał Lottchen najczystszém pragnieniem, była ona dla niego doskonałością, świętością. Życie ne w nim wszystkie inne władze ducha, ale za to, koch świat obejmował swą miłością. „Nigdy nie byłem sz do swego przyjaciela, bo dwie pierwsze części Werte rmie listów) nigdy moje uczucie dla natury, aż do k awki, nie było tak zupełne i silne; a przecież—nie w yrazić — moja wyobraźnia jest słabą, wszystko rozp iewa przed moją duszą, że niczego nie mogę ująć W téj ekstazie miłości, podobnéj do zachwyceń inów indyjskich, upływały mu rozkoszne chwile zapo

Wtém przyjecha rzeczony Szarlotty—człowiek spokojny, stateczny i w stosunkach życia o tyle praktyczny, o ile Werter nim nie był. Pewnego rodzaju przyjaźń, oparta nie na sympatyi, ale na zobopólnym szacunku, zawiązuje się między nimi za pierwszém prawie widzeniem... Lecz od téj chwili i szczęście Wertera zginęło... Wtedy dopiero przekonał się, jak samochcąc i widząc całe położenie rzeczy tak jasno, krok za krokiem szedł coraz głębiéj w przepaść i postępował jak dziecko. Nagle przed jego duszą zapuściła się jakby zasłona, a widownia nieskończonego życia przemieniła się w przepaść wiecznie otwartego grobu [1]). Zamiast téj radości, jaką dotychczas znajdował w życiu, serce jego zajęła myśl o nicości, o téj niszczącéj sile, która leży we wszechświecie, a która nic nie stworzyła, coby i siebie i innych dokoła siebie nie pochłaniało i nie burzyło [2]).

Ten człowiek, tak wiele dotąd znajdujący powabu w życiu, tak silnie przywiązany do natury, do ludzi, do sztuki, stracił uczucie dla wszystkiego, jak umarły.

Gete jednakowoż, jako zręczny artysta, oddawna już pozwalał nam się domyślać możliwości podobnéj zmiany. Już nieraz przedtém znajdujemy wskazówki do poznania téj drugiéj, a bezwątpienia głębszéj strony charakteru Wertera. Jest on przedewszystkiém człowiekiem silnie czującym i biorącym wszystko namiętnie. Jest nieprzyjacielem wszelkiéj konwencyonalności, nienaturalności i chłodnego egoizmu. Jego krew młodzieńcza wre i buntuje się często przeciw jego woli. Werter jeszcze przedtém, nim poznał Lottchen, przyznaje się, że wpadał często w ostateczności: ze smutku i zmartwienia w szaloną wesołość, spokojnéj, słodkiéj melancholii w zgubną namiętność. Jeszcze prz

---

[1]) Słowa Getego.
[2]) Podług słów Getego.

przybyciem Alberta Lottchen łajała go, że we wszystkiém bierze zażywy udział i że przez to się zgubi. Werter, jedném słowem, żył cały uczuciem i sercem i to najwięcéj w sobie cenił, wyżéj daleko, niż swój artyzm, niż swoję wiedzę, i dziwiło go, jeżeli inni szacowali w nim więcéj rozum i talenta, „niż to serce, które jest moją jedyną dumą, które samo jest źródłem wszystkiego, wszelkiéj siły, wszelkiego szczęścia i wszelkich boleści. Ach, to, co ja wiem, może wiedzićć każdy — moje serce ja sam tylko mam."

Te ostatnie słowa są niejako kluczem do odgadnienia jego charakteru: człowiek, dla którego uczucie było wszystkiém, całém życiem duszy i normą, którą mierzył świat cały.

Trudno jednakże tę uczuciowość nazywać sentymentalizmem. Chociaż Werter nieraz nazywa swoje serce słabém, widzimy w nim tyle zasobów życia, tyle energii i rozwagi, jaką późniéj, przy kresie swego nieszczęścia rozwinął, że niesłuszną byłoby rzeczą zaliczać go do rzędu tych delikatnych, czułostkowych istot, które całéj powagi i grozy życia nigdy nie zrozumieją. Nie mamy do tego najmniejszego prawa, bo aż nazbyt często przypomina nam poeta, że jego bohater nietylko sercem, ale i rozumem świat pojmował i głęboko się nad nim zastanawiał. Lubo to pojęcie było szczególne i w swoim rodzaju—przebijała w nim zawsze ta przeważająca strona charakteru Wertera. Dla niego, co przedewszystkiém czuł, najwięcéj uderzającą w oczy rzeczą była nędza tego świata, to przeznaczenie ludzi być zawsze zamkniętymi w pewnych granicach i w pewnéj mierze — to, że człowiek na każdym punkcie musi wiecznie rezygnować; cała jego czynność i praca zmierza tylko do tego, aby przedłużyć swe istnienie; cała jego wiedza kończy się na tém, że musi się przyznać do swéj niewiadomości. I toż ma być cel życia, i taki cel może zadowolnić, uczynić szczęśliwym człowieka?... Werter nie uznaje takiego szczęścia i widzi, że tylko ci mogą na niém poprzestać, co żyją jak dzieci bezmyślnie, z dnia na dzień—kto potrafi, jak ów prostoduszny mieszczanin w swoim ogródku znaléźć raj; kto potrafi próżnością, tytułami pokryć swoje brudne dążności i pragnienia... kto to wszystko potrafi, może się czuć szczęśliwym w swojém ograniczeniu, zwłaszcza, że „w sercu pozostaje mu jeszcze to słodkie uczucie wolności, że więzienie swoje może opuścić, kiedy zechce."

Pomimo całéj mocy przekonania, Werter nie może się poddać warunkom takiego szczęścia. Nie widzi go zatém w życiu czynném, w zajęciu jakiegoś stanowiska w świecie, w oddaniu się użytecznéj pracy; nie widzi go również w świecie umysłowym, w nauce i umiejętności, bo wszędzie potrąca o te nieznośne granice, tamujące zapęd jego ducha. Cóż mu więc pozostaje?... rzucić się jeszcze w świat trzeci: w świat własny, którego z nikim nie podziela, którego jest nieograniczonym panem: w świat uczucia.

Tym sposobem, drogą zastanowienia się i rozumu, Werter dochodzi do tego samego pewnika, do którego wiodła go naturalna skłonność.

Nic dziwnego, że taki człowiek pragnął uczucia bez granic i w niém zatopił całą swoję duszę, że Werter ujrzał w Szarlocie całe i jedyne swoje szczęście. Nagle spostrzega, że ten skarb ma już innego właści-

ciela, że inny człowiek ma prawo wydrzéć mu to, w czém on pokładał wszystkie swoje nadzieje. Nie mając żadnéj moralnéj podstawy, ażeby się temu oprzéć, Werter traci równowagę wewnętrzną—to wybucha chwilami w szalony dobry humor, to popada w smutek i żałość, dla któréj jest jedyną, nędzną pociechą, jeżeli może wypłakać się na ręce Szarlotty, albo téż nie mogąc sobie dać rady, wybiega w pole, błąka się po najgęstszych zaroślach w lesie i wspina po górach... Myśl wstąpienia do klasztoru świta w jego głowie, a silniéj jeszcze przemawia do niego ta druga, że tylko grób m[illegible] ończyć.

Już przedtém i [illegible] przekonanie, że do wydobycia się na wolność z więzi[illegible] aje człowiekowi w ostatecznym razie jeszcze ta furtka [illegible] iało w jego głowie cały swój system teoretyczny, któ[illegible] je usprawiedliwienie w niezwyciężonéj sile namiętno[illegible] natury, że człowiek tylko do pewnego stopnia może [illegible] ieszczęścia; jeżeli ten ciężar jest zawielki, istota dźwię[illegible] złamać.

Nader charakter[illegible] owa jego z Albertem, w któréj roztacza te swoje te[illegible] a światło na jego zapatrywanie się i odrębną jego logi[illegible] wszczyna się z powodu pistoletów Alberta, które [illegible] bie pożyczyć od niego, mając zamiar odbyć krótką podróż. Albert powiada, że nie może sobie wyobrazić, jak człowiek może być tak niedorzeczny, aby się zastrzelić. Na to odzywa się Werter:

— Że téż wy ludzie, mówiąc o czémkolwiek, zaraz musicie powiedzićć: to jest niedorzeczne, to jest rozsądne, to jest dobre, to jest złe! I cóż to wszystko ma znaczyć? czyście już tym sposobem zbadali całą istotę jakiéjś czynności? czy umiecie podać z pewnością przyczyny, dla czego się coś stało, dla czego się stać musiało? gdybyście to wiedzieli, nie bylibyście tak skorzy w waszych wyrokach.

— Przyznasz mi—odpowiedział Albert—że pewne czynności są zawsze występnemi, bez względu, z jakiego powodu powstają.

Werter wzruszył ramionami i rzekł:

— Jednak, mój kochany, i tu są niektóre wyjątki. To prawda, że kradzież jest występkiem, ale czyż człowiek, który idzie kraść, ażeby siebie i rodzinę uchronić od grożącéj im śmierci z głodu, zasługuje na litość, czy na karę? Któż pierwszy podniesie kamień na męża, który w sprawiedliwym gniewie swą niewierną żonę i jéj uwodziciela zabije?... na dziewczynę, która w rozkosznéj chwili zapomnienia podda się niepokonanym uciechom miłości?... Nasze prawa nawet, te pedanty z zimną krwią, doznają wtenczas pewnego wzruszenia i zawieszają karę.

— To zupełnie co innego—odparł Albert—ponieważ człowiek porwany namiętnością uważany bywa narówni z pijanym i szaleńcem.

— Ah, wy rozumni ludzie! zawołał Werter, uśmiechając się.—Namiętność! Pijaństwo! Szaleństwo! Wy jesteście na to tak spokojni, tak was to nic nie obchodzi, was moralnych ludzi. Łajecie pijakowi, brzydzicie się szaleńcem, mijacie ich, jak ów kapłan, i dziękujecie Bogu, jak ów faryzeusz, że was podobnymi do nich nie uczynił. Ja nieraz byłem upojony, moje namiętności nie odbiegały nigdy daleko od szału,

a nie żałuję ani jednego, ani drugiego, ponieważ wyrobiłem sobie to przekonanie, że wszystkich niezwykłych ludzi, którzy coś wielkiego, coś zdającego się niemożliwém zrobili, zawsze za pijanych i szalonych okrzyczano. Ale także i w powszedniém życiu jest to nieznośną rzeczą, że prawie za każdym, co uczyni cokolwiek szlachetnego, niezwykłego, niezgadzającego się z przepisami świata, zaraz wołają: on nie przy zdrowych zmysłach, on nie ma rozumu! Wstydźcie się wy trzeźwi, wstydźcie się wy rozumni!

Ta apologia namiętności, w któréj Werter widział najdzielniejszą sprężynę wielkich i szlachetnych czynów na świecie, nie mogła się podobać chłodnemu i umiarkowanemu Albertowi. „Przesadzasz we wszystkiém (odpowiedział), a w tym wypadku przynajmniéj nie masz widocznie słuszności, porównywając z wielkiemi czynami samobójstwo, którego przecież nie można za nic innego uważać, tylko za słabość. Bo zaiste łatwiéj jest umrzéć, niż znosić mężnie nieszczęśliwe życie.“

Werter nie zniósł téj odpowiedzi tak cierpliwie jak Albert, zwłaszcza, że jak powiada, już nieraz słyszał ten argument i nieraz się na niego oburzał.

— Nazywasz to słabością?... zawołał rozdrażniony.— Proszę cię, niech cię pozór nie uwodzi. Naród, który jęczy pod niegodziwém jarzmem tyrana, czyż można słabym nazywać, gdy wreszcie się podniesie i swe kajdany rozerwie? Człowiek, który w obawie, że ogień jego dom ogarnął, czuje w sobie naprężone siły i z łatwością znosi ciężary, któreby zaledwie poruszył w spokojném usposobieniu; ten, który wściekły z odebranéj zniewagi porwie się na sześciu i pokona ich, czyż oni mają się nazywać słabymi? A jeśli natężenie nazywa się mocą, czyż wtenczas, gdy przejdzie nasze siły, ma być czémś przeciwném?...

Daléj, broniąc swojéj teoryi samobójstwa, tak ją wykłada: „Natura ludzka ma swoje granice: radość, cierpienie, boleść może znieść aż do pewnego stopnia i ginie, skoro one wyjdą ponad ten stopień. Tu zatém niema pytania, czy kto jest słabym czy silnym? ale czy może przetrzymać ciężar swojego cierpienia? czy ono jest moralném czy fizyczném; i zdaje mi się dziwném, jeśli mówią: ten człowiek, który sobie życie odbiera, nie ma odwagi,—jakby niestosowną rzeczą było nazywać tego niemężnym, kto umrze na trawiącą gorączkę.“

Nie można zaprzeczyć, że Gete tym sposobem widzenia rzeczy wypowiadał wojnę przyjętym przez społeczeństwo pojęciom o porządku moralnym. Bo najprzód występował w obronie namiętności, podczas kiedy moralność i prawodawstwo wspólnie je potępiają, zapobiegając, aby jednostka z ogólnych praw się wyłamywała i ponad ogół nie wystrzelała. A potém Gete bronił także samobójstwa od zarzutu niemoralności—przedstawiając go jako konieczność natury, jako ciężką chorobę duszy, która musi śmierć sprowadzić.

Dla nas, co jedynie ze stanowiska estetycznego rozważamy te rzeczy, w tych rozumowaniach Wertera to tylko może być ważném, iż wyraźnie widzimy, że nasz bohater stoi już na pochyłości, z któréj, czy wcześniéj czy później, musi stoczyć się w przepaść.

To téż to, co daléj następuje, nic prawie nowego nie dorzuca do

charakterystyki Wertera. Jego stan umysłowy, jego położenie. są już dla nas jasne od téj chwili. Fatum złamało już nad jego głową swoję laskę, albo raczéj mówiąc więcéj zgodnie z naszemi pojęciami, namiętność jego trafiwszy na przeszkodę zewnętrzną, zamiast się przed nią cofnąć, wezbrała tém silniéj i rozpoczęła z nią walkę. Kto w tym boju upadnie, łatwo nam się domyśléć, co znamy słabość natury ludzkiéj wogóle, a przedewszystkiém słabość Wertera, którego rozszalałe i rozbolałe serce nie umiało w sobie znaléźć żadnéj siły.

Werter jednak, [illegible] ek czujący przepaść pod swemi nogami, chce się ratow[illegible] rzewa u niego w stałe przedsięwzięcie w téj chwili, w[illegible] e się przekonał, że musi wyrzec się wszelkiéj nadziei, [illegible] nie może być jego... Stało się to podczas téj rozmow[illegible] ga w ogrodzie, kiedy posępność wieczoru, melancholij[illegible] a, wywołały w duszy Szarlotty wspomnienia o zmarły[illegible] zmarłéj jéj matce... Werter dowiedział się wtenczas, [illegible] Szarlotty z Albertem było ostatnią wolą umierającéj, [illegible] łożu śmiertelném odbyły się ich zaręczyny. Werter do[illegible] wał, że Lottchen Alberta tylko lubi, a jego kocha,—ja[illegible] e, – że w nim mogła jedynie znaléźć miłość, o któréj przy A[illegible] nawet nie pomyślała, ale zarazem poznał tę bolesną prawdę, że Lottchen obowiązku moralnego nie poświęci dla namiętności, że nie zerwie dla nowych uczuć związku błogosławionego przez matkę.

Zwykle w utworach poetycznych kochanki niewzajemne bardzo niewdzięczną odgrywają rolę i nie zyskują sobie sympatyi czytelników. Gete umiał uratować godność Szarlotty przez ten rys charakteru, tak wysoko moralny. Lottchen nie jest nieczułą, nie przez brak serca nie kocha, nie dlatego, żeby przez inny wybór zrobić los lepszy, zadowolnić swoję próżność, ale dlatego, że jéj kochać nie wolno. Pozbawiając szczęścia drugą osobę, i sama swoje własne składa w ofierze na tymże samym ołtarzu.

Werter ucieka więc z pośród tego małego światka, w który mógł wnieść nieszczęście i w którym dla siebie mógł się tylko złego spodziewać. Z życia marzeń i kontemplacyj przerzuca się w życie czynne, przyjmuje w inném mieście służbę przy ambasadzie. Jak każdy człowiek przeznaczony na zgubę, noszący zaród nieszczęścia sam w sobie, Werter napróżno chwyta się téj deski ratunku. Wstępuje bowiem w grono ludzi najprozaiczniejszych, rządzących się tylko rozumem, napełnionych najrozmaitszemi przesądami, któremi on brzydził się i pogardzał. Jego przełożony jest pedantem najkompletniejszym; najmniejsze słówko, nicnieznacząca partykuła w sprawozdaniach pisywanych przez Wertera, nietrafiające mu do gustu, dają powód do uwag i niezadowolenia. Inni zaś ludzie, towarzystwo miejskie, w którém Werter żyje, jest-to jakiś półświat arystokratyczny, z bardzo świeżemi herbami, ale z bardzo zastarzałemi pojęciami. Przychodzi do tego, że to towarzystwo daje Werterowi wyraźnie do zrozumienia, że gdzie się ono zgromadza i bawi, tam Werter, niebędący szlachcicem, nie może się znajdować.

Nowa rana dla uczucia Wertera, dla tego człowieka, który tak go-

rąco wszystko brał sobie do serca. Najprzód zranionym został tam, gdzie kochał, teraz tu, gdzie spoczywał jego honor. W innym świecie, w jakimś świecie patryarchalnym, który Werter tak lubił, mającym więcéj uczucia i naturalności, jego cierpienia miłosne przez sympatyę, przez przyjaźń możeby się złagodziły, znalazły balsam dla siebie i może byłby się wyleczył ze swéj choroby. Ten świat przez sam kontrast, jaki był między nim a naturą Wertera, drażnił go co chwilę, rozjątrzał, a wreszcie znieważył.

Werter wziął dymisyę i poszedł w świat, sam nie wiedząc dokąd i po co. Odwiedził dom rodzinny, w którym się urodził i wychował; miał zamiar iść na wojnę; przebywał jakiś czas u swego dobrego znajomego, i przy tém wszystkiém czuł się wędrowcem, pielgrzymem na ziemi. Skończyło się na tém, że postanowił zwiedzić jakieś kopalnie—dlaczego?.. bo niedaleko tego miejsca mieszkała Lottchen. Ona ciągnęła tego wędrowca, jak syrena w odmęt, tém zgubniejszy, że właśnie niedawno poślubiła Alberta...

I stało się, że Werter powrócił znów do tego domu, gdzie mieszkała jego kochanka ze swym mężem. Cóż go tam moglo czekać? Oto, że w téj, którą tak kochał, musiał widziéć obcą osobę, że obok niéj widział szczęśliwym innego człowieka. W tym domu był on zupełnie zbyteczny, dla niego nic tam nie było, oprócz przyjaźni chłodnéj i grzeczności, i téj niewidoméj dla niego miłości, którą Lottchen zagrzebała w swojéj piersi. Wszystkie pamiątki i wspomnienia chwil szczęśliwych bladły i zacierały się niszczone zębem czasu, wszystkie węzły z przeszłości były jakby ostrém żelazem raz na zawsze przecięte... Tymczasem serce Wertera płonęło i wrzało jak dawniéj, a nie znajdując nic, coby ten ogień podsycać mogło, zaczęło się trawić samo w sobie, więdnąć i uczuwać w sobie okropną, straszną próżnię, któréj nic wypełnić nie mogło, skoro jéj nie wypełniła miłość—jedyne uczucie i pragnienie Wertera—jedyny jego cel życia.

Cierpiéć takie męki i widziéć przed sobą człowieka, który jest ich przyczyną, tak szczęśliwym i spokojnym, jak Albert— to musiało podwajać jeszcze męczarnie. Zazdrość i wściekły gniew szarpały piersią Wertera, a widząc się tak opuszczonym przez Opatrzność, zrozpaczył o niéj: „Widzę to coraz wyraźniéj — pisał — że jéj na istnieniu jednego stworzenia nic nie zależy...“ Z obojętnością na twarzy, a z piekłem tych uczuć w sercu, Werter szalał, miewał wybuchy nieznośnego humoru, kompromitował Szarlottę, a wreszcie i począł gniewać Alberta oznakami swojéj niewygasłéj namiętności... Można było o nim powiedziéć, co wyrzekła Ofelia o Hamlecie: Co za wspaniały duch w ruinach!... Ten duch stanął już na ostatnim krańcu przepaści, kiedy poczuł, że zaczyna się obawiać sam siebie... Zamiar odebrania sobie życia dojrzewał wśród tych okoliczności w jego duszy: „Od czasu powrotu do Szarlotty był on jedyną jego nadzieją, ale powiedział sobie, że to nie ma być czyn pośpieszny, nagły, że go spełnić powinien z całém przeświadczeniem, z najspokojniejszą o ile możności rozwagą...“ „To nic jest rozpacz“—pisze Werter do kochanki,—krok podyktowany szałem jednéj chwili, to jest, można powiedziéć, logiczna konsekwencya jego

życia, siła wypadkowa wszystkich sił rządzących jego duszą. Żył dla miłości... nie mógł jéj mieć — musiał umierać... tylko dla wypełnienia niejako swojéj teoryi musiał dotrzéć do tych granic cierpienia, pozą które natura ludzka nie sięga, ażeby się nie zdawało, że on sam się zabija, kiedy to namiętność go zabiła...

Bolesną jest ta ostateczna chwila dlatego najwięcéj, że sama Szarlotta ją sprowadza i przyśpiesza. Pewnego dnia powiada mu, aby nie przychodził do nich znowu, aż za kilka dni na wigilię. Werter domyśla się co to znaczy, że Lotte [illegible] jego stanem, chce go pomału odzwyczaić od siebie, [illegible]éj saméj rozmowie zachęcała go daléj do rzucenia się [illegible]y, do zajęcia się inną osobą, nie szczędząc tego rodzaj[illegible]yby Werter już tego wszystkiego nie był próbował.

Werter nie wypełni[illegible] dozwalała na to duma miłości. Tegoż samego dnia [illegible]ił... Albert wyjechał z domu w interesie służby... nast[illegible]a... namiętna... straszna... Po téj scenie Werter czuł, ż[illegible]ko występnym i że drugi raz nie powinien już widziéć [illegible]

Na drugi dzień, po[illegible]erta pistoletem, który Szarlotta swą ręką zdejmowała dla niego ze ściany i sama mu go posyłała, o dwunastéj w nocy rozsadził sobie mózg.

Werter nie skończył przeto jako zapaleniec, ulegający szałowi jednéj chwili. Kropla po kropli wyczerpywał on życie swojéj duszy, a kiedy go już nie stało, zgasł jak lampa bez oleju. Namiętne uczucie przeszło w nim przez wszystkie stopnie i fazy, nurtowało powolnie ale coraz głębiéj jego umysł, aż podminowało go tak bardzo, że ten wspaniały gmach w gruzy musiał się rozsypać. Z zimną krwią, z namysłem, z planem, możnaby powiedziéć, brał on pistolet do ręki, w najgłębszém przekonaniu, że taki powinien być wypadek z rachunku jego życia.

Przypatrzmy się teraz, czy takim samym, czy podobnym do Wertera był Gustaw.

Najprzód jego początku należałoby poszukać w biografii jego twórcy, zwłaszcza, że wiemy, iż podobnie jak w Werterze Getego, tak i u Mickiewicza własne doświadczenie rozpaliło iskrę natchnienia.

O życiu Mickiewicza nie mamy tak dokładnych wiadomości; nie zapisywano u nas tak skrzętnie szczegółów z życia wielkich ludzi, jak się to gdzieindziéj dzieje, a co więcéj, Mickiewicz nie zostawił takiéj autobiografii, jak Gete, który wyspowiadał się z historyi wewnętrznéj swéj duszy, z rozwoju i postępu swego uczucia, wiedzy i twórczości. I owszem, Mickiewicz był w téj mierze aż do zbytku skrupulatny i milczący. W jego korespondencyi nie widzimy nigdy tego wylania się, w jakie zwykle wpadają artyści i poeci, mówiąc o swoich dziełach, a co bardzo często służy za najlepszy komentarz i klucz do zrozumienia jakiegoś utworu.

O sprawach zaś swojego serca Mickiewicz nawet w rozmowie był milczący, nie zwierzał się i nie wynurzał przed nikim, a o wydarzeniu, które wywołało czwartą część „Dziadów,“ i o bohaterce tego poematu

nawet zagadnięty nic nie odpowiadał i na inny przedmiot zwykle zwracał rozmowę.

Wiemy tylko tyle, że około r. 1820 Mickiewicz po raz pierwszy zakochał się w siostrze swego kolegi uniwersyteckiego, Maryi Wereszczakównie, i że ta niedługo potém wyszła za mąż za hr. Putkammera. Reszty szczegółów o początku i przebiegu téj miłości, o zachowaniu się i usposobieniu panny względem młodego poety, dopełnić sobie możemy jedynie z poematu samego. Nie można bowiem wątpić, że i w nim jest wiele prawdy, że więcéj jest prawdy niż zmyślenia, bo w podobnym razie najdrobniejsze nawet szczegóły, które pozornie wyglądają na utwór fantazyi, są tylko skopiowaniem rzeczywistości. Jestto przymiotem prawdziwéj poezyi, że hołdując bóstwu piękności, nie może zarazem wyrzec się złożenia hołdu prawdzie, a twórczość artystyczna, przejęta żywo przedmiotem wziętym z życia, tak bardzo splata się z nim i nim przesiąka, że poeta, chcąc czy nie chcąc, dla całości, dla doskonałości swego dzieła, nie może opuścić rysów, które mu same biegną pod rękę. Ztąd niesłuszne także bywają i skargi tych, którzy zobaczą się przeniesieni na ten obraz, a zwłaszcza w świetle niepochlebném. Sztuka, jak i natura, bywa czasami niemiłosierną i bez względu; co jéj się wydaje stosownym i dogodnym materyałem, tego się chwyta i to przerabia, bez żadnéj złéj intencyi, nie w zamiarze zadowolenia swéj złośliwości, ale dlatego jedynie, że ta lub owa sytuacya jest zajmującą, że ten lub ów charakter jest wybitny i oryginalny.

W ten sposób najwierniejsze wiadomości o sobie i życiu swojéj duszy Mickiewicz podał jedynie w swych dziełach poetycznych, gdzie serce jego otwierało się naoścież i gdzie nie mówił do ludzi, ale do narodu i ludzkości. Zresztą wierny był téj zasadzie, jaką późniéj w jednym ze swych listów wypowiedział: „zawsze w sobie troski zamykam i nikt nie wie, jak mi czasem żyć ciężko.“ Jedynym może niepoetycznym śladem jego usposobienia, w czasie kiedy pisał dzieje Gustawa, jest ustęp z listu, datowanego z Kowna w listopadzie 1822 r., do przyjaciela Fr. Malewskiego.

Oto, co poeta pisał:

„Będęż zawsze pisał o sobie tylko, jak czuję i myślę oddawna podobno o sobie tylko? co za skutek jeremiad żałosnych oprócz zasmucenia ciebie? Wiesz gdzie jestem, zgadniesz jak jestem. Nie lituj się jednak nade mną. Łatwiéj jest przywykać, aniżeli odwykać. Przywykłem do wielu rzeczy: Kowno staje się dla mnie domem, Wilno gościną, Nowogródek zagranicą. Dawniéj duszą byłem w Wilnie. Teraz nie mam tam chęci jechać. Przywykam do szkoły, bo mało czytam, mało piszę, często myślę i cierpię, a zatém potrzebuję zatrudnienia oślego. Wieczór gram w bostona w pieniądze, żadnych towarzystw nie lubię, muzyki rzadko słucham, bez pieniędzy nie mam interesu grać w karty. Byrona tylko czytam; książkę, gdzie w innym duchu pisano, rzucam, bo kłamstwa nie lubię; gdzie jest opis szczęścia życia familijnego, równie mnie oburza, jak widok małżeństw, dzieci—jest to jedyna moja antypatya.”

Tak na swéj posadzie nauczyciela w Kownie wegetował Mickiewicz w melancholii i apatyi; jedyną strawą jego duszy był poeta rozpa-

czy, a największą przyjemnością zapewne samotne przechadzki do cudnéj doliny Kowieńskiéj, która stała się powiernikiem jego bolów i poetycznych natchnień.

Jeśli więc Mickiewicz, jak Gete, „ognistym był we wszystkich swoich przywiązaniach," to nie można z równą słusznością o nim powtórzyć, „że wielką miał moc nad sobą."

Jakoż téj energii, téj elastyczności duszy, która czyni możliwém wyrwać się z pod każdego ciężaru, w autorze „Dziadów" nie było; nie mógł on sobie powiedzieć [illegible] nie chce cierpieć i uwolnić się od cierpienia, skoro to [illegible] wać działalność jego ducha. Gete miał może większe [illegible] wicz miał więcéj serca.

Nie pozostało téż to [illegible] samo dzieło.

Charakter Gustaw[illegible] się, nie rośnie, nie urabia się w naszych oczach, jak [illegible]. Kiedy w pierwszéj chwili Gustaw pokazuje się na s[illegible] już całkiem gotowy i skończony; ta scena jest już ostat[illegible] cie, a nawet jest raczéj jego epilogiem... O wieczorn[illegible] cznym stroju pustelnika, ze sztyletem zawieszonym n[illegible] trawą przylgłą na skroniach, na podobieństwo Ofelii—[illegible] do domu księdza... na pierwszy rzut oka szaleniec i marzyciel zrozpaczony.

Kilka rozrzuconych rysów w ciągu poematu szkicuje nam lekko, jakim był wprzódy, nim miłość doprowadziła go do tego stanu; jakim był, że tak się wyrażę, grunt jego duszy, na który uczucie rzuciło swoje zatrute ziarno. Według pierwotnego planu poeta w inny sposób zamyślał wystawić rzecz całą i to, co nazwałem epilogiem, poprzedzić całym dramatem. Dopiero z pośmiertnych papierów Mickiewicza wydano fragmenty części pierwszéj; części trzeciéj wistocie zupełnie brakuje, bo to, co się nią nazywa, jest już dalszym części czwartéj. W tych ułamkach pierwszéj części mamy niektóre rysy charakteru Gustawa jaśniejsze od tych, jakiemi się skreśla w stanie swojego szaleństwa. Tam więc trzeba po nie sięgnąć.

Gustaw na polowaniu odłącza się od swych towarzyszy i samotnie błąka po lesie. Dlaczego?... Z téj prostéj przyczyny, że toż samo robił w życiu. Inni byli to ludzie realni i praktyczni, on marzyciel i idealista. Inni chodzili po ziemi, on latał myślami po niebie:

Z jednym zawsze zamiarem i jedyną żądzą,
Na ziemi tropią zdobycz! tém lepiéj, im błądzą...

i co więcéj, czują się szczęśliwi!... zadowolnieni zabawą, żartami w wesołéj kompanii, lub lekką, przemijającą miłostką, nie mają innych pragnień i żądań od świata. Nie tak Gustaw; on jest w rozterce ze światem, a wrogiem rzeczywistości:

A ja—czemu nie jestem jak oni?
Wyjechaliśmy razem, cóż mię w pole goni?
Ah, nie zabawy ścigam, uciekam od nudy;
Nie rozkosze myśliwskie lubię, ale trudy.
Że się myśli, przynajmniéj, że się miejsca zmienia
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które nie wiem zkąd w oczach zaświecą,
Westchnień bez celu, które nie wiem kędy lecą;

Nie do sąsiadek pewnie, na wiatry, na gaje—
Ku marzeniom....

Te marzenia tak mocno przejęły duszę młodzieńca, że mu sprawiają złudzenia, rodzaj wizyj uczuciowych, przybierających kształty niebianek:

Myśl dziwna! Zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia.
Ileż razy w dzień cichy szeleszczą na łące,
Jakoby nimfy jakieś, stopki latające;
Spojrzę: chwieją się kwiaty i podnoszą głowy,
Jakby zlekka trącone. Nieraz śród alkowy
Samotny książkę czytam; książka z rąk wypadła:
Spojrzałem—i mignęła naprzeciw zwierciadła
Lekka postać; szepnęła jéj powietrzna szata.
Nieraz dumałem w nocy; gdy się myśl rozlata,
Wzdycham; i coś westchnieniem dawało znak życia,
Serce biło i czułem drugie serca bicia....

Nic to innego, tylko młodzieńcza tęsknota ku miłości, rozogniona utworami imaginacyi wprzód, nim spotkała rzeczywisty przedmiot swego pragnienia. Gustaw nieraz oskarża poetów i ich pieśni, że to oni stali się sprawcami jego nieszczęścia, odsłaniając mu kraje nadziemskie piękności i uczucia, i karmiąc go zatrutą słodyczą marzeń.

Lecz te marzenia, jak mgły poranne, muszą znaléźć dla siebie jakiś przedmiot, na którymby zawisły. Gustaw szuka niebianki, jakiéj ideał miał w duszy... szuka i nie znajduje... za pierwszą rozmową, za pierwszym uśmiechem jednéj z tych, na które już przelewał swoje marzenia, urok niknie... poezya przemienia się w najpoziomszą prozę i zmusza marzyciela do ironicznego wykrzyku:

O dusze miałkie, raczéj bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety;
Których żale, radości, zapały i chłody
Stosują się do nowych kalendarzów mody...

Zawiedziony w nadziejach, rozczarowany, już blizkim jest Gustaw tego, aby w zmysłowych uciechach zagłuszyć swe idealne pragnienia, kiedy nagle w téj chwili, gdy jak Herkules stał na rozstajnéj drodze, zjawia się nadziemska istota, nosząca na swéj postaci piętno marzonego ideału.

Gustaw wierzy w jéj boskość i świętość i w to przeznaczenie, że dusze ich dwojga stworzone były tylko dla siebie:

On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!
Wprzód, nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żałobą,
Wprzódy je powiązał z sobą!

Oto pojęcie miłości, jakiém się kieruje Gustaw — graniczące prawie z mistycyzmem, a przypominające owo mniemanie Platona i podobne do niego starodawne podanie Chińczyków, które powiada, że Bóg naraz stwarza dwie dusze i rzuca je w świat; jeśli się znajdą, są szczęśliwe.

Tak pojęta miłość Gustawa jest niewinną, jak pierwsze młodzieńcze marzenia, i jest tak dalece idealną, że odrzuca nawet religię i prawem uświęcone związki. Małżeństwo wydaje mu się profanacyą, moralnym grobem uczucia:

> Gdy na dziewczynę zawołają: żono,
> Już ją żywcem pogrzebiono—

oto słowa, wyrzeczone przez niego na seryo i z uniesieniem, a które odtąd tak często, lubo najczęściéj z lekkim uśmiechem, bywają powtarzane... Dla takiéj miłości r ozmawiać w altanie, czytać razem Russa, razem zry cać wędkę w strumyk, a nadewszystko być z nią ra stawa niewymownem szczęściem. Zatopiony w niéj rzyszłość, nie myślał o niéj, zapomniał o prawach rzą i wyobrażał sobie, że całe życie będzie taką „jedną c

Nagle, a dość pręd stało, jego Maryla powiada mu, że się z nim pożegn daje mu na pamiątkę gałązkę cyprysu i puszcza w św zdrów!

Kochanka rozumiał tość niż Gustaw. Rodzina jéj wymagała, aby oddała r u, nie pozostawało więc nic innego, jak rozstać się z marzycielem, który bynajmniéj nie był dobrą partyą. Maryla uczyniła to ze zbyt wielkiém poddaniem się, bez wstrętu, bez oporu, dlatego jéj postać nie ma téj godności, co Szarlotta w Werterze, a kolizya, stworzona przez dumę rodową i próżność, nie jest tak przejmującą nas i tragiczną, jak ta, w któréj się znalazła Szarlotta, walcząca z obowiązkiem i oddająca mu pierwszeństwo nad swém uczuciem. Również zapewne silniejsze wrażenie robi na nas sytuacya Wertera, który nie może nic zarzucić swéj kochance, od położenia, w jakiém się teraz znalazł Gustaw, kiedy miał zupełne prawo pogardzić istotą tak płochą.

To téż uczucie odezwało się w nim najprzód, gdy nagle ujrzał się strąconym ze swego nieba, i wybuchnął gorzkiemi słowy: „Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!“ Pomimo tego, pomimo tak widocznego przeniewierstwa i braku uczucia, Gustaw wychodząc ze swego mistycznego pojęcia miłości, nie wierzy, ażeby ona zerwać się miała. Łańcuch, który ich łączył z przeznaczenia Opatrzności, nie pęknął, tylko zamiast skować ich serca ku niebiańskiéj radości, przykuł do niéj jego serce, aby je skazać na piekielne męczarnie. Tém piekłem są najprzód dla Gustawa niegodne i występne uczucia, jakie zdrada kochanki w nim zrodziła: zazdrość, nienawiść i chęć zemsty.

„Zabiłaś mię, zwodnico!“—woła, i ja „nie puszczę bezkarnie“—ze sztyletem w ręku odgraża się jéj:

> „Błyskotkę niosę dla jasnych panów!
> Ot, tém wina utoczę na ślubne toasty!
> Ha, wyrodku niewiasty!
> Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojéj wieńce!
> Idę jak moję własność do piekła zagrabić,
> Idę....

W najwyższéj rozpaczy i gniewie przez szyby pałacowe widzi we-

selną ucztę, radość na wszystkich twarzach i we wszystkich ustach... napada go wściekłość, chce wysadzić drzwi, aby zaspokoić swą zemstę... i pada bez przytomności na ziemię, aby z niéj powstać i przebudzić się bez rozumu.

W przystępie szaleństwa, w chwili rozpaczy, Gustaw spełnia na sobie samobójstwo, ale nie jest to śmierć fizyczna, jaką Werter położył koniec swoim boleściom, tylko moralna, śmierć duszy... nieszczęśliwy kochanek umiera tylko dla świata, aby w wnętrzu swojém wieść daléj życie pełne smutku i cierpień. Jego dusza młodzieńcza, silna, wyrywająca się do świata pragnieniem czynów i sławy, łamie się i kruszy, skoro tchnienie kochanki „rozwiało te kształty olbrzymie,“ w których dawniéj jawił mu się i świat i on samemu sobie. Z jego życia pozostała tylko mara, cień, coś tak kruchego jak źdźbło, maleńkiego jak proszek... nieszczęsna miłość doprowadziła całą jego istotę do nicości. Na tle jego skonałéj duszy przesuwają się tylko wspomnienia przeszłości — to jest jedyny objaw w nim życia i to tém drugiém piekłem, na jakie skazała go niewierna Maryla i w którém cierpiéć będzie, dopóki związek ich dusz nie zostanie znów przywrócony. Bo, rzecz szczególna! miłość nie umarła w Gustawie; on jeszcze wierzy i widzi dla niéj przyszłość. Uczucie, poczęte w marzeniu, w marzeniach snuje się daléj i z tego świata przenosi się w świat idealny... Jest to bardzo logicznym rysem osobistości Gustawa i sprawia wielką zgodność w całym jego charakterze. Wyobraża on sobie, że kiedyś jego kochanka, która tu została żoną innego, należéć jeszcze będzie do niego... stanie się to wtenczas, kiedy ona umrze i związki ziemskie rozerwie, wtenczas za jéj śladem i duch Gustawa wkradnie się do nieba, i oboje połączą się miłością, którą tutaj odebrał im świat.

Tymczasem nim to nastąpi, Gustaw ze swemi wspomnieniami, źródłem swych rozkoszy i cierpień, ma się błąkać po ziemi, jak pokutujący duch...

W historyi swoich bohaterów obaj poeci skreślili jaknajwierniéj dzieje własnego serca. Gete powiada, że napisawszy Wertera, jakby po spowiedzi powszechnéj uczuł się lekkim i swobodnym, tak wyczerpał ze siebie wszystkie uczucia i myśli bolesne, i śmiercią Wertera zamknął zarazem raz na zawsze swoję Werterowską epokę... Mickiewicz pozostawił Gustawa na ziemi z rozpaczą, boleścią i smutkiem, tak jak i sam długo jeszcze potém nie mógł wyjść z zaczarowanego koła wspomnień i melancholii, i niezwykłych potrzeba było wydarzeń, wielkich wstrząśnień, aby dać apatycznemu Gustawowi serce dla milionów oddychającego Konrada.

Streszczając długie uwagi, jakie nasunąć mogą na myśl porównanie i różnice tych dwóch postaci tak widoczne w poematach i nasuwające się zapewne i czytelnikom, jeżeli zdołałem wiernie pochwycić i oddać ich rysy charakterystyczne, mogę powiedziéć jedném słowem: że Werter jest wyobrażeniem namiętności, a Gustaw marzycielstwa. Werter dlatego ginie śmiercią fizyczną, bo namiętność zarówno dosięga ciała jak i duszy, a Gustaw umiera tylko śmiercią moralną, bo tylko duch był dotknięty chorobą. Z tego powodu także, od-

poetów, możemy w podobny sposób ich określi
ocenialiśmy ich charaktery: Werter jest może w
staw ma w sobie więcéj poezyi. Pierwszy jest u
który łamie wszelkie przeszkody na drodze swéj
płynął z duszy uciskanéj ciężarem życia i znos
zygnacyą.

Tak Werter jak i Gustaw na swój czas wyw
Epoka, w któréj pisał Gete w Niemczech, i ta,
wicz w Polsce, mimo pięćdziesięciu lat oddalenia,
podobne. Konwencyonalność, lekkość albo pró
tyzm, próżna etykietalność, martwa formułkowato
w życiu i literaturze. Wielcy poeci temu zimne
rzucili rękawicę i upomnieli się o prawa prawd
poemata mówiły wprawdzie tylko o jedném uc
egoistyczném... ale to uczucie, jako powszechne, n
najłatwiéj było rozpalić. Kiedy płomień buchnął n
kcie, cały organizm duchowy rozgorzał i rozjaśnił
w ciemną głębię padnie światło jedną szczeliną i
jéj zakątki, albo kiedy jedna iskra zajmie się w
świecącéj się plamki przebiegnie ogniem po wszyst
a potém podpali i cały stos.

I nasze czasy dosyć są do owych epok podob
bnym byłby taki prąd elektryczny, coby wstrząsną
tę... To będzie zapewne zadaniem przyszłéj poezy
zmie do tego dzieła w ten sam sposób, czy w nasze
ci gorącą lawę uczucia, czy téż nasz organizm,
cony różnemi narkotykami, wyżre najprzód i oczy
satyrą, to jest pytanie, na które odpowiedzieć prz
ludzką.

Dość, że ta

# KONRAD WALLENROD.

Największym to jest poezyi zaszczytem i dowodem jéj prawdziwéj wartości, jeśli z idealnego, imaginacyjnego swego świata zestąpiwszy na ziemię, na tém zetknięciu się z prawdą i istniejącym porządkiem świata nic nie traci ze swojéj siły, i oko w oko zmierzywszy się z rzeczywistością, nie jest zmuszona ustąpić przed nią kroku, ale owszem obok niéj utrzyma się w swojém prawie i zmusi ją do uznania siebie za doskonalszy obraz tego, co w świecie istnieje jako niedokładne lub przypadkowe. Niekażdy utwór poetyczny zdolny jest wytrzymać tę próbę ogniową; niejeden pokruszy się w niéj, roztopi i rozpłynie w dym i mgłę, z któréj powstał przy swojém poczęciu. Prawdziwie poetycznym duchom, geniuszom, dozwolone jest tylko tworzyć dzieła, które wyjdą z tego ognia z nowym blaskiem i hartem — tak jak w metalach ruda podlejszego gatunku zetli się i zwęgli, a nietknięte tém zostanie tylko szlachetne złoto.

Wielcy poeci posiadają jeden skuteczny talizman do zapewnienia swym utworom téj trwałości, a talizmanem tym jest dar podpatrzenia natury. Co wyszło z łona téj jedynéj mistrzyni mędrców, myślicieli i poetów, to jedynie ma w sobie zdrowe soki żywotne i na takiém tylko dziele, czy nad nim pracowała ręka wieszcza, malarza czy muzyka, widać zdrową cerę, czuć pulsującą w żyłach krew, znać życie. Na widok podobnego dzieła mimowoli odzywamy się: to jest prawda, to jest obraz świata, to jest życie! Artysta przesuwa nam przed oczami postacie wylęgłe w tajnikach swego mózgu, wymarzone w swojéj fantazyi, a my wołamy: ta postać, to jest mój znajomy, to jestem ja, to jest człowiek! i tym naiwnym wykrzykiem, najmilszym bezwątpienia dla dumy artysty, składamy hołd jego twórczości czyli jego znajomości świata i ludzkiego serca. Takie postacie natchnione czepiają się naszéj duszy, lgną do naszéj pamięci i wyrabiają sobie w niéj prawo obywatelstwa, tak jak twarze naszych krewnych lub znajomych, jak dawniejsze lub teraźniejsze osobistości historyczne. Król Lir, Marya, Mickiewiczowski Gustaw lub Konrad, Faust albo Ofelia są nam równie dobrze, a czasem lepiéj znane niż Napoleon, Bolesław Chrobry lub Richelieu. Co więcéj, postacie te stają się z czasem zbiorowemi nazwiskami ludzi pewnego charakteru lub dążności, stają się typami dla wielu podobnych do siebie żyjących na ziemi istot. Te dzieci szczęśliwych rojeń imaginacyi, ulotne i nienamacalne jak powiew powietrza, stają się niejako regułą, pod którą podciągamy ludzi z ciałem i kośćmi. Dosyć w takim razie wymienić nazwisko jednéj z genialnych kreacyj poety, aby oznaczyć niém to, co w tym albo w owym człowieku jest najsilniejszą albo najwięcéj naprężoną stroną duszy. Dosyć jest powiedzieć o kim: to Otello, to Lowelas, to Werter, to Laura, aby go scharakteryzować jednéм słowem, zamiast długich wywodów o jego temperamencie, charakterze, przymiotach, cnotach albo występkach; tém jedném słowem określamy również jego naturę i życie tak dobrze, jak gdybyśmy go po-

równywali z jakąś prawdziwą osobistością, jak gdybyśmy powiedzieli: to Neron, to Wincenty à Paulo, to Sardanapal, to Kato.

Należy to bezwątpienia do największych tryumfów poezyi, jeżeli przejdzie w stosunki naszego życia nawet codzienne, jeżeli stanie się, że tak powiem, zdawkową dla nas monetą, któréj co chwila uczuwamy potrzebę i znajdujemy pod ręką. Poeta w chwili natchnienia napisał pieśn, a cały naród pochwycił ją i powtarza, bo ona odpowiada jego powszednim zwyczajom albo najgorętszym życzeniom, które się co dzień w nim odzywają [illegible] postać, charakter, a naród albo ludzkość ujrzała w ni [illegible] raz swych uczuć lub namiętności i odtąd ten Otello [illegible] ię dla nich zrozumialszym, dostępniejszym niźli abs [illegible] zazdrości lub sentymentalizmu; odtąd ta postać znal [illegible] tkich myślach i na wszystkich ustach — ta postać [illegible] va między nami i, niegdyś mieszkanka sfer idealnyc [illegible] e się obywatelką.

Postaci typowyc [illegible] kreślonych z taką dokładnością i prawdą przez sztul [illegible] wziąc raczéj za utwory natury i narówni z niemi p [illegible] nasza nie posiada w wielkiéj ilości. Nie mieliśmy [illegible] z którego mózgu, jakby z płodnego łona matki, wy [illegible] tyle istot idealnych ze wszystkiemi znamionami rzeczywistości i życia; nie mieliśmy takiego filozofa-poety jak Gete, co głęboko zapuszczał wzrok w tajemnice świata i ludzkiego istnienia; a do stworzenia takich typowych postaci, takich eterycznych istot z wszelkiemi pozorami ziemskości, nieodzowne są te dwa wielkie dary natury: olbrzymia wyobraźnia, zdolna objąć jednym rzutem oka wszystkie prawa psychiczne i nieskończoną rozmaitość objawów ducha ludzkiego, jako też głęboki rozum, wnikający w istotę rzeczy i zdolny dopatrzeć się wszystkich kółek poruszających tą skomplikowaną, tak sztucznie urządzoną machiną, któréj na imię: natura i człowiek.

W dawniejszéj naszéj literaturze jedna może opłakana przez genialnego ojca Urszulka urosła na postać wywołaną do życia promieniami poezyi. Ale bo też ten Jan z Czarnegolasu w samą głąb' serca sięgał po rysy i barwy do jéj odmalowania. Dopiero zatém od czasów tak zwanéj poezyi romantycznéj zaludnia się ojczysty nasz Parnas istotami, którym poeci dali życie i nazwisko. I nie mogło być inaczéj. Dopóki poezya nasza była jeszcze na nauce, dopóki kształciła się i wyrabiała w sobie siły w okresie swojéj niepełnoletności, a za taki należy uważać cały ten czas, w którym zostawała pod wpływem klasycyzmu, czy to w jego właściwéj, czy to na sposób francuzki zmienionéj postaci, dopóty jako niedojrzała, jako niedorosła, nie mogła wydawać płodów, któreby współzawodniczyły z naturą, o którychmożnaby powiedzieć, że są cząstką natury, ujętą w pewne kształty przez samoistną a wszechwładną sztukę. Dopiero w tym wieku, za czasów prawie naszego życia, zabrzmiały w polskich uszach nazwiska Maryi, Gustawa, Konrada, Mohorta, Irydyona, z których brzmieniem stają nam przed duszą postacie uosabiające nasze narodowe obyczaje i przymioty, nasze pragnie-

nia i myśli, postacie, w których mniej lub więcéj poznajemy siebie z naszemi ludzkiemi i rodzinnemi cechami.

Położenie nasze jest wyjątkowe i wskutek tego dla sztuki i poezyi niekorzystne. Wszystkie władze duchowego organizmu są w nas w jednym natężone kierunku, który ze sztuką ani z poezyą, o ile w niéj chcemy widziéć artyzm i filozoficzny na świat pogląd, nie mają nic wspólnego. Możnaby uczynić porównanie, że znajdujemy się w położeniu owego francuzkiego *ouvriera*, który nawet w niedzielę nie może otrząść z siebie pyłu i sadzy swego zatrudnienia, nie może skupić swego ducha i pomyśléć o lepszéj części swojéj istoty w spokojnym przybytku modlitwy, ani odetchnąć świeższém powietrzem, przypatrzyć się zieleni łąk i drzew poza obrębem ciasnych, hałaśliwych, napchanych ludźmi i końmi ulic swojego miasta. Na zarobek bowiem tego robotnika czeka w domu żona i dzieci, a kiedy wróci, zawołają na niego: chce nam się jeść, daj nam chleba! Podobne walki o codzienne potrzeby, o istnienie, staczają nietylko jednostki, ale wszyscy — a do tych walk, potrzeba skupienia wszystkich sił i myśli.

Nie dziwi nas zatém, jeżeli w rzędzie postaci, nakreślonych przez naszych poetów, znajduje się najwięcéj takich, które są wcieleniem pewnéj idei. Co bowiem jest codzienną strawą całego społeczeństwa, tém także muszą się karmić i przesiąkać umysły poetów. Żaden poeta nie jest swoim twórcą, ale jest nim jego naród.

Najwybitniejszą, najpopularniejszą między postaciami stworzonemi przez poezyę tego wieku jest niezaprzeczenie Konrad Wallenrod. To imię już oddawna stało się dla nas synonimem do pewnego kierunku politycznych ludzi. Jak pewne namiętności lub usposobienia wewnętrzne oznaczamy nazwiskiem Harpagona lub Hamleta, tak w Wallenrodzie widzimy uosobienie pewnéj idei, wallenrodyzmem mianujemy pewien system w polityce.

Ilekroć odzywały się przeciwko Mickiewiczowi niechętne głosy, zawsze prawie pomiędzy zarzutami znalazło się nazwisko Wallenroda jako jeden z grzechów wielkiego poety. Konrada Wallenroda uważano za najsłabszą stronę Mickiewicza, w którą pociski mogły go najłatwiéj ugodzić, pomimo ogromnych zalet i piękności, rozsianych po całém dziele, i tak dzisiaj jak i dawniéj przez wszystkich uznawanych. Wielom nie podobała się idea tego poematu i osobistość bohatera, pozbawiona, jak dowodzono, wszelkich cech charakteru polskiego i słowiańskiego.

Nie mam tu zamiaru występować za albo przeciw téj idei, bo przedewszystkiém chciałbym się zająć artystyczną, nie zaś etyczną stroną charakteru Wallenroda, a mianowicie przedstawić, z jakich pierwiastków i pod jakiemi wpływami tworzyła się ta postać w wyobraźni poety, z jakich materyałów i w jaki sposób powstawała, jedném słowem chciałbym podać jéj estetyczną genezę. To jednakowoż nie ulega wątpliwości, że w przeszłości naszéj nie mieliśmy Wallenrodów. Stosunki polityczne Polski i jéj dyplomacyę cechowały zawsze prawość, sumienność i otwartość, dochodzące bardzo często do zgubnéj dla nas dobroduszności. Zdrady, ani ukrytéj myśli polityka polska nigdy nie

znała, dopóki mogła rozstrzygać sprawy potęgą Rzplitéj lub orężem na otwartém polu. A nawet w czasach krytycznych i później, już po straceniu niepodległości, nauka Machiavela: kto nie może być lwem, niech będzie lisem, z naturą naszą zgodzić się nie mogła i u ogółu nie doznawała nigdy wzięcia. Naród uczuwał zawsze wstręt do ludzi, których ochrzcił przydomkiem Wallenroda; nie wierzył w ich chęci i zamiary, ilekroć okrywały się mrokiem tajemnicy i krętą drogą miały zmierzać do dobrego celu.

I Mickiewicz bez[illegible]o tém dobrze i nie chciał płynąć przeciw ogólnemu [illegible] przez długie wieki toczyły się dzieje Polski. Dlatego [illegible] potrzeby posądzać go o zamiar wszczepiania w [illegible]tyki, nauczania ich tego, czego dotąd nie umiały. [illegible]bie wyobrażać jako heroldów głoszących czyny dokon[illegible]stołów krzewiących nowe pojęcia; jako potężny gło[illegible]rają się myśli i uczucia ogółu, niż jako rozkaz, chociażb[illegible]nienia wydany narodowi albo ludzkości.

Najlepszym kon[illegible]w bywają okoliczności, wpośród których one powsta[illegible]ryczne, na którém poeta zarówno ze swoim czasem występuje i rozwija się. „Kto chce poetę zrozumiéć, niech idzie do jego kraju," powiedział niegdyś niemiecki wieszcz, i powiedział wielką prawdę.

Trzeci dziesiątek lat obecnego stulecia jest czasem rozmaitych związków i towarzystw, ustawicznych knowań i spisków po całéj Europie.....

W tym-to dziesiątku lat nawskróś konspiratorskim Mickiewicz zaczyna być poetą i dojrzewa. Ciężar ówczesnych wypadków, obdarzonych bez zaprzeczenia wielkim urokiem poetycznym, jaki w naturze posiada wpółjasne światło księżycowe, a w umyśle ludzkim wszelka tajemniczość, musiał niezmierny wpływ wywrzéć na wrażliwy umysł poety... Spiskiem żyje wówczas Polska w głośnych rozprawach sądowych i w publicznych rozmowach na ulicy, spiskiem także w tajemnych swoich myślach i zebraniach.

A poeta w tym czasie co czynił? jaki brał udział w ogólnym ruchu i w wypadkach zajmujących całą Polskę?

Mickiewicz, począwszy od r. 1824, przebywał w Rosyi. Jako należący do związku Filaretów, wyjechał z ojczyzny, ale przytém spotkał go los szczęśliwszy niż resztę współkolegów. Podczas kiedy inni zesłani zostali w głąb' Rosyi, Mickiewiczowi dozwolony był pobyt w Odesie, w Moskwie i w Petersburgu. Rosyanie w obu stolicach prześcigali się w grzeczności i uprzejmości dla młodego poety; najpierwsze salony stały mu otworem, książę Woroncow, Golicyn, księżna Wołkońska, hr. Laval minister spraw zewnętrznych, należeli do liczby jego protektorów i przyjaciół. Literaci rosyjscy przy odjeździe Mickiewicza z Moskwy do Petersburga ofiarowali mu puhar, Puszkin unosił się nad utworami polskiego wieszcza... Chwile przepędzone w Rosyi należą do najspokojniej-

szych, najswobodniejszych w życiu Mickiewicza; zabawy, rozrywki i doznawane owacye wypełniają je prawie całkiem; umysł poety znajdował się w stanie pewnego *dolce farniente* i stosunkowo nie był tak twórczym jak w czasie poprzedzającym opuszczenie Litwy, nie doznawał gwałtownych wrażeń i wzruszeń. „Mój dzień każdy idzie mi równo" pisał Mickiewicz z Moskwy do jednego ze swych przyjaciół.

Nic dziwnego, że ten pozorny stan poety, na którego wiele oczu było zwróconych, pobudził niechętnych do posądzenia go o upadek ducha, o epikureizm, a nawet o coś jeszcze więcéj, bo może o odstąpienie sprawy narodowéj, o zaparcie się młodzieńczych idej i wiary. W ten sposób tłumaczono sobie nieraz te szczególne względy i łaski, jakie zlewały się na Mickiewicza ze sfer arystokratycznych i rządowych w Rosyi. Na mniejsze pociski tego rodzaju poeta odcinał się z ironią. . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W naturze jest-to powszechném prawem, że wyziewy lub gazy ściśnięte w zamkniętém miejscu sprowadzają gwałtowną eksplozyę; podobny proces odbywa się w łonie ziemi, w któréj palne materyały wybuchają ogniem i lawą z kraterów wulkanicznych — coś podobnego wreszcie dzieje się i w duszy ludzkiéj. Myśli i uczucia przez dłuższy czas tłumione, osłaniane udaniem, ukrywające się w głębi sumienia, nakoniec wzbierają jak potok górski i wydobywają się na światło dzienne. Poeci częściéj od innych doświadczają tego wewnętrznego parcia, o ile w nich myśli i uczucia prędzéj i silniéj się rozwijają; i to właśnie jest przyczyną i źródłem najważniejszém ich twórczości. Gete używał na oznaczenie tego wywnętrzenia się z musu charakterystycznego nader wyrażenia, które trudno oddać w naszym języku, a ile razy gwałtowne uczucia, namiętności i bóle przepełniły jego duszę, zamykał się w pokoju, odosabniał od ludzi, siadał przy stoliku i pisał. Wtenczas powstawało dzieło, które było ulgą dla poety, zrzuceniem niejako z siebie gniotącego ciężaru.

I w piersi Mickiewicza, w któréj było nieraz duszno i ciężko, musiało przyjść do takiego wybuchu. Czuł potrzebę ulżenia sobie i pragnął pokazać ziomkom, że jest tym samym co dawniéj, że myśli i czuje jak oni, i podczas kiedy inni działali, on pochwycił za broń najstosowniejszą dla ręki poety, za tę broń, któréj, zabrawszy wszystko: wolność i miłość dla kraju, wydrzeć mu nie zdołano—pochwycił za lutnię i wyśpiewał Konrada Wallenroda... Był to niejako odzew poety na hasło przez naród wygłaszane, wypowiedziany głosem stłumionym, niewyraźnym, zostawiającym pole do domysłów.... Jak niegdyś Hamlet, że jeszcze raz użyję tu tego porównania, przybrał rolę szaleńca dla pokrycia swoich planów, tak poeta osłonił swoję myśl przyłbicą i szerokim płaszczem krzyżackiego rycerza.

Było to zapewne dziełem szczęśliwego wypadku, który poetom bardzo często w pomoc przychodzi, że Mickiewicz znalazł dla swoich myśli stosowną kanwę na krwawych kartach krzyżackiego zakonu. W istocie trudno byłoby znaléźć dla jéj wcielenia odpowiedniejsze sytuacye, osoby i tło historyczne. Nic nie mogło lepiéj wyobrażać pod

swoją postacią twardego despotyzmu, jak to państwo zbrojnych mnichów, gniotących na miazgę wszystko, co pod ich rękę żelazną się dostało, pozbawiających podbite ludy ziemi, wiary i narodowości, nieubłaganych w swojéj polityce, a osłaniających się pozorem religii i ludzkości,—jak to państwo, powtarzam, którego pokonanie należy do liczby zasług oddanych przez Polskę cywilizacyi; żaden téż kraj nie mógł w poecie wzbudzić więcéj żalu, współczucia i chęci zemsty, jak Litwa upadająca niegdyś pod ciosami Krzyżaków.

W dziejach krzyżackich napotkał Mickiewicz tajemniczą i zagadkową postać wielkiego Wallenroda, który rządził zakonem w pierwszych Władysława Jagiełły. Dawni kronikarze i późniejsi o nim pisali. Jedni wychwalali w nim łaskawość i dnych, drudzy oskarżali o dzikość i okrucieństwo d kał ludziom ręce obcinać; jedni wynosili jego sprawie erzał nawet najniższym, biorąc lud wiejski w opiekę a panów, drudzy zarzucali mu gwałty i bezprawia, ał się spełniać nawet na stanie duchownym. Dwojak pamięć jego dzieł wojennych: w dawnych kronikach em, którego sława postrachem napełniała sąsiednie niedołężnym i niedbałym wodzem, który w obozie wyprawiał łowe biesiady, oddawał się pijaństwu, otaczał blaskiem i przepychem, pragnąc nim zaćmić wszystkich swoich poprzedników. Podczas gdy dla jednych jest pilnym i zabiegliwym rządzcą kraju, dbałym o przemysł i handel, inne podania wystawiają go jako człowieka próżnego i zarozumiałego, bez żadnych zdolności. W podobny sposób skreślone są także przez krzyżackich kronikarzy najważniejsze dla wszystkich wielkich mistrzów sprawy polityczne zakonu, a mianowicie stosunki i wojny z Polską i Litwą. Przychylni Wallenrodowi kronikarze przyznają mu, że zręcznie i energicznie prowadził tradycyjną politykę wielkich mistrzów, że zaraz za objęciem rządów związał się z nieprzyjaciółmi Jagiełły: z księciem opolskim i Witoldem, w celu nowego oderwania kawałka ziemi polskiéj i rozerwania świeżo zawartego związku między Polską a wielkiém księztwem litewskiém. Zaraz w pierwszym roku uczynił on walną wyprawę na Litwę, któréj niepomyślny skutek nie pochodził bynajmniéj z jego winy. Obrońcy Wilna zniszczyli kraj na 5 mil wokoło, a 30,000 ludzi, połowa ogromnéj na owe czasy armii krzyżackiéj, padło ofiarą mrozu i głodu, jak w kilka wieków późniéj armia Napoleona pod Moskwą. Niedługo i Witold, porozumiawszy się z Jagiełłą, zdradził i oszukał wielkiego mistrza; pomimo tego Wallenrod przez dwa następne lata, aż do swojéj śmierci, nie przestawał trapić Litwę wyprawami. Kronikarze nieprzyjaźni Wallenrodowi całą winę niepowodzenia zwalają na jego niedbałość i opieszałość, pozwalając nawet w opisie swoim domyślać się czytelnikowi zdrady. Dla większego potępienia Wallenroda zmieniają nawet fakta, kładąc ową niepomyślną wyprawę na koniec jego rządów. Wallenrod miał wtedy po wspaniałéj biesiadzie rycerskiéj, która, według podania tych kronikarzy, kosztowała 5,000,000 marek, wyciśniętych z biednego ludu i księży, opuścić nagle obóz z niewytłu-

maczonéj przyczyny, zostawiając wojsko na los szczęścia. W nagłéj śmierci Wallenroda widzieli ci kronikarze palec boży; wewnętrzny ogień miał strawić jego siły i przyprawić o szaleństwo, tak, że wielki mistrz gryzł się z psami. W chwili jego śmierci zdarzył się wylew wody, połączony ze straszną burzą i piorunami — miała to być oznaka gniewu bożego na tyrana i heretyka, który ostatnie tchnienie wydawał. Bo Konrad był i o kacerstwo posądzony. Przy swoim boku chował on jakiegoś przybłędę z Francyi, doktora Leandra Albana, lekarza i matematyka, rodzaj średniowiecznego filozofa, który graniczył bardzo blizko z czarnoksiężnikiem. On to miał zarazić w. mistrza herezyą i pod jego okiem i protekcyą szerzył swoje kacerskie zasady według nauki Albigensów. Wpływowi tego Albana przypisywali kronikarze większą część złego, którego się Wallenrod dopuszczał.

Żaden z wielkich mistrzów nie podlegał tak surowym i sprzecznym wyrokom i nie był tak zagadkową postacią, która z jednéj strony przedstawiała obraz pełen jasności i światła, z drugiéj zaś była zaciemniona wadami i zbrodniami. Był-to twardy orzech dla historyków i niemało było potrzeba czasu, aby się przekonać, że zarzuty czynione Wallenrodowi były fałszem i zemstą za jego niezbyt wielką przychylność dla duchowieństwa i klasztorów. Poecie jednak wolno było patrzéć się na tę postać z tych obu punktów naraz, z których przeszłość na nią się zapatrywała. O ile Wallenrod był niezrozumialszym dla historyków, których obowiązkiem wyszukiwać prawdę, o tyle ponętniejszym dla poezyi, która w jego dwójznacznym, niepewnym i zagadkowym charakterze miała otwarte szerokie pole dla imaginacyi. Poezya w takim razie może domyślać się i przekształcać, dla pogodzenia uderzających przeciwieństw może przedstawiać motywa i pobudki, o których historya milczy, a które poeta w naturze ludzkiego serca, czyli, co prawie na jedno wychodzi, we własném swojém sercu wynajduje. Bo pomimo wszelkiéj przedmiotowości najobiektywniejszych poetów, jest to podobno prawdą, że wszyscy ich bohaterowie są tylko odbiciem różnych stron ich duszy. Gdybyśmy szukali pierwowzorów do Otella, Romea i Hamleta, znaleźlibyśmy je podobno wszystkie w jednéj i téj saméj duszy Szekspira, tak jak Wertera i Fausta w jednéj osobie Getego. Różnicę tych dusz od zwyczajnych i wielkość stanowi ta ich rozmaitość, gubiąca się nieraz w przeciwieństwach, ta różnorodność objawów w jednym i tym samym charakterze. Jest to bogactwo geniuszu.

Mickiewicz, napotkawszy tę postać mieniącéj się jak kameleon barwy, uczynił taki poetyczny domysł, za pomocą którego dała się rozwiązać historyczna zagadka i rozedrzéć otaczający ją mrok tajemnicy. Zdarzało się to nieraz w dziejach zakonu, że jeńcy wojenni z Prus albo Litwy, w młodym wieku uwożeni przez Krzyżaków, ochrzczeni i wynarodowieni przez nich, uciekali potém do ojczyzny i stawali się najzaciętszymi wrogami zakonu. Dlaczegóżby Konrad Wallenrod nie mógł być Litwinem, który przez podobne przeszedł koleje i po to tylko wrócił między Krzyżaków, po to został w. mistrzem, aby mając w ręku najwyższą władzę, użyć jéj za broń zemsty, aby zdradą i podstępem

zgubić wrogów, na których ojczyzna jego nie miała dosyć silnego miecza?

To przypuszczenie odkrywało tajemną sprężynę w niezrozumiałém postępowaniu tego człowieka i godziło wszelkie przeciwieństwa w jego charakterze. Wallenrod — Litwin z ukrytym zamiarem zemsty, mógł być albo wydawać się tyranem dla podwładnych mu członków zakonu, a ludzkim i sprawiedliwym dla ludu, dla tych starych Prusów, w których widział pobraty ... du; mógł być zarazem dzielnym wojownikiem i bo ... żonych zdolności, jako też złym wodzem z wyrachowa ... nym względem swych współtowarzyszy w zakonie, k ... a nienawidził i którymi pogardzał, a zarazem łagodn ... natury; mógł być wielkim mistrzem zakonu przelew ... w interesie religii, a być nieprzyjacielem téj wiar ... odbierano życie i wolność jego rodakom; mógł być v ... zną mieszaniną błędów i przymiotów, cnót i występ ... dstawiali kronikarze, a która według domysłu poety ... niną prawdy i fałszu.

Taki Wallenrod ... kiewiczowi w tym czasie, kiedy w Petersburgu i w Mosk... przebywał, taki Wallenrod był Mickiewiczem samym.

Z dwóch zatém części składa się charakter Wallenroda, tak jak go nakreślił poeta. Jedną z nich jest historyczny Wallenrod, w którym mieści się zarówno fałsz jak i prawda, według rozmaitych tendencyj podawane o nim przez kronikarzy; drugą zaś jest osobistość samego poety, w położeniu i nastroju współczesnym tworzeniu poematu, na który los kraju największy wpływ wywierał. Kitem wreszcie, który miał spoić te dwie części i z poety i z w. mistrza krzyżackiego zrobić jednę poetyczną postać, jest ów domysł, że Wallenrod był Litwinem i działał w zamiarach zemsty.

Do osiągnięcia tego celu potrzeba było zupełnéj równowagi między obiema częściami składowemi, aby żadna nie górowała nad drugą— tak się jednakże nie stało, harmonia została zniszczoną przez głośniejsze odezwanie się jednego z tonów.

Jak ze stanowiska politycznéj moralności potępiano nieraz charakter Wallenroda, tak pod względem estetycznym cięży na nim zarzut, który uczynił niegdyś Mochnacki, a którego dotychczas nikt nie odparł, a nawet odeprzeć się nie starał — tak wiele ma on za sobą słuszności. Charakter Wallenroda w poemacie nie jest wiernie przeprowadzony, albo przynajmniéj zbyt słaby, ażeby mógł być wyobrazicielem idei, którą mu poeta na barki włożył. Obok wielkich zamiarów politycznych ma ten człowiek równocześnie małe i osobiste cele na widoku; daje on zarówno dowody silnéj woli i twardego serca, jak i dziwnéj chwiejności i tkliwości uczuć, przypominającéj żywo sielankowych pasterzy; składa ofiarę z własnego szczęścia, poświęca się cały bez wahania i namysłu, a potém żałuje swego czynu, i wielkie widoki bliskiéj zemsty tracą wartość w jego oczach wobec drobiazgowych wspomnień

i pamiątek przeszłości. Dopóki Wallenrod stoi jeszcze, że się tak wyrażę, za kulisami poematu, jak to ma miejsce szczególnie w powieści Wajdeloty, jest on człowiekiem zdolnym do wypełnienia powierzonéj mu przez poetę misyi, — od chwili, kiedy staje na widoku, kiedy się zaczyna właściwa akcya poematu, przestaje nim być, wzbudza w nas nieufność do siebie, a zarazem zadziwienie, jakim sposobem wziął na siebie rolę tak niestosowną. Dopóki dąży do celu, jest pełen energii i hartu, zapomina o wszystkiém, co nie ma wspólności z jego zamiarami, na wszystko się odważa i na wszystko jest gotów, wszystko znosi cierpliwie albo zwycięża: opuszcza ubóstwianą żonę i wyrzeka się największego szczęścia: opuszcza swój kraj, aby tułać się między nieprzyjaciółmi; przywdziewa na siebie nienawistny płaszcz krzyżacki, oszukuje zakon przez tyle lat, fałszem wkrada się w zaufanie Krzyżaków, udaje się do Ziemi świętéj, bo mu potrzeba zabić prawdziwego Wallenroda; morduje go wreszcie, zabija człowieka, który nic mu nie był winien, dla przywłaszczenia sobie jego nazwiska — jedném słowem, wyzuwa się ze szczęścia, a sumienie obarcza zbrodniami, wystawia duszę swoję na wszystkie męczarnie niepokoju i zgryzot. Ale kiedy wreszcie po znojnéj drodze, okryty na twarzy zmarszczkami tajemniczych myśli i niejedną plamą na sumieniu, staje u celu swych życzeń, kiedy wdziewa płaszcz w. mistrza na siebie, mając teraz wszelką możność działania, popada w bezczynność; mogąc urzeczywistnić tyloletnie marzenia i zamiary, chciałby je jaknajdaléj od siebie odsunąć i może nawet o nich zapomnieć.

Motywem téj zmiany charakteru w poemacie jest ta okoliczność, że na krótki czas przed obiorem Konrada na w. mistrza, przybyła do Marienburga i w samotnéj wieży zamurować się kazała opuszczona niegdyś przez niego Aldona. Dawna miłość zmartwychwstaje w sercu Wallenroda. Jest to bezwątpienia najsłabszy motyw, jaki można było obrać do zwalenia z piedestału człowieka żywiącego w swych piersiach myśli zarazem tak wielkie i tak okrutne. Zmiana w jego charakterze byłaby łatwiejszą do pojęcia, gdyby naprzykład ten człowiek, który przez połowę prawie swego życia pracował tak usilnie nad pochwyceniem władzy w celach zemsty, nagle przyszedłszy do niéj, odrzucił nabok dawniejsze plany, i zamiast myśléć o odwetowaniu krzywd ojczyzny, pragnął używać swéj potęgi i znaczenia. W takim razie Wallenrod dopuściłby się nikczemności, byłby apostatą, nie popadłby jednakowoż w słabość tak niezgodną z jego planami i wszystkiemi temi środkami, jakich do osiągnięcia władzy używał, a do których liczyły się: fałsz, oszukaństwo i morderstwo. Lecz człowiek, który przez kilkanaście lat życia przechodził przez tak ciężką i straszną szkołę, zdolną uczynić duszę twardą jak kamień, ażeby mógł dla uczuć sentymentalnych, dla jakiéjś potrzeby serca, zrobić tak łatwo ofiarę z pracy swojego życia, tego nie można wytłumaczyć i usprawiedliwić, jak tylko tą okolicznością, że w wyobraźni poety charakter ten rozpadł się na dwie połowy zupełnie sobie obce i odrębne.

Ta słabość doprowadzona jest do ostateczności i to właśnie czyni ją grzechem niestartym w charakterze bohatera. Wallenrod mógł bo-

wiem kochać Aldonę, jéj przybycie mogło w nim odświeżyć długo tłumione pragnienie szczęścia, mógł marzyć o powrocie tych chwil, gdzieby wśród „cichéj pasterskiéj zagrody" zapomniał na jéj łonie, „że są na świecie narody, że jest świat jakiś," a obok tego nie potrzebował zapominać o swéj zemście i ślubie w młodości wykonanym. Cóż mu przeszkadzało, skoro był w. mistrzem, zniszczyć jedną i drugą wyprawą zakon, jak to po długiém ociąganiu się przynajmniéj w połowie uczynił, a spełniwszy w ten sposób swe postanowienie, zabrać Aldonę i powrócić z nią do pomszczonéj i ukochanéj Litwy? Dalsze i prawdziwe jego szczęście nie stało na [illegible]nom, przez nie przerywały się tylko jego wieczorne [illegible]mowy pod wieżą. Dla téj więc chwilowéj przyjemno[illegible]stę i swą przyszłość, było poprostu dowodem nierozsą[illegible]ysłu. Dlatego kolizya, w jakiéj niby Wallenrod się zn[illegible]łza naszéj sympatyi; nie jest ona bynajmniéj taką żelaz[illegible] któréjby nie można przełamać, bo widoczną jest rzecz[illegible] samochcąc stwarza sobie te trudności i walkę, którą [illegible], albo téż z łatwością, przez jeden krok energiczniejs[illegible]j zwycięzko. Nie jest to bynajmniéj żadna tragiczna [illegible]éj bohater nie może się wydobyć bez poświęcenia z jedn[illegible]trony tego, co mu jest najdroższe. Wallenrod mógł i zemścić [illegible] Aldonę, i z nią żyć szczęśliwie jak dawniéj—byleby tylko był chciał. Zamiast tego jednak wolał on stwarzać sobie nieszczęście właśnie w chwili, kiedy szczęście szło mu samo w ręce; wolał, zamiast być prawdziwym bohaterem, otoczyć skronie fałszywą aureolą cierpienia i zostać dobrowolnym męczennikiem.

To ociąganie się z zemstą nie jest nawet tak usprawiedliwione, jak wahanie się Hamleta, który już z natury nie był człowiekiem czynu, lecz filozofem. Hamlet stoi pod tym względem daleko wyżéj. Raz wyrzekłszy się wszystkiego, co dotąd wypełniało jego życie, poświęciwszy dla obowiązku nawet miłość Ofelii, pozostaje wierny przyjętemu posłannictwu i nigdy nie zwraca tęsknego wzroku ku tym skarbom, których się dobrowolnie pozbawił. Hamlet waha się i namyśla nie z jakichś ubocznych względów i powodów, ale z przyczyn leżących w samym jego zamiarze. Przez długi czas nie jest on pewny, czyli to jest istotną prawdą, że się mścić powinien, bo zbrodnia dokonana przez matkę i stryja była dla niego tajemnicą, a w słowach ojcowskiego ducha, który mu ją odkrywał, mógł widziéć złudzenie własnéj fantazyi i zmysłów; a potém, któż to są ci, na których ma wywrzéć zemstę? to brat ojca i matka. Zabić jednego, a ukarać drugą nie jest rzeczą tak łatwą dla człowieka połączonego z nimi związkami krwi. Tu nie można się dziwić, że Hamlet chciałby odwlec chwilę, na któréj wspomnienie musi się wzdrygnąć natura ludzka. Położenie Wallenroda jest całkiem inne: wie on aż nadto dobrze, jakie krzywdy zakon wyrządził jego ojczyźnie, a ci, na których się ma mścić, są wrogami jego narodu, którym źle czynić może bez naruszenia praw natury.

Ta strona ujemna charakteru Wallenroda jest do samego końca wiernie przeprowadzona. Powraca on z wyprawy, którą zadał zakono-

wi ogromną klęskę; Krzyżacy domyślają się zdrady, a sąd tajemny skazuje go na śmierć. Wallenrod jest o tym wyroku uprzedzony; przy środkach, jakie mu jego władza podawała, łatwo byłoby, zdaje się, uniknąć śmierci, i przedstawiwszy Aldonie grożące niebezpieczeństwo, nakłonić ją do ucieczki. Wallenrod obrał inny sposób. W zagadkowych wyrazach napomyka zaledwie Aldonie o zbliżającéj się katastrofie, a sam, wbrew naturalnemu instynktowi człowieka, zamyka się w strzelnicy i czeka na ciosy, któremi Krzyżacy przeszyją jego piersi. Oczekuje śmierci od wrogów, jak gdyby to nie było najsłodszą przyprawą zemsty: uczynić źle nieprzyjacielowi, a samemu wyjść bez szkody.

Wina tego spaczenia charakteru, téj nienaturalności niekiedy w roli bohatera, spoczywa w téj jednéj okoliczności, że poeta zawiele wmieszał w tę postać samego siebie. Gdyby w Wallenrodzie przebijało tylko to usposobienie Mickiewicza, jakie zrodziły w nim stosunki, i ta nienawiść, jaką musiał długo tłumić w swojém sercu, charakter Wallenroda, byłby wyszedł z pod jego ręki jednolity, skończony, z jednego odlewu. To, co mu pod tym jednym względem mogła dać osobistość poety, zupełnie wystarczało—wszystko inne było już zbyteczne. Ale poeta nie poprzestał na tém, nie zachował należytéj granicy: w bohatera, który, pieszczony w duszy przez czas dłuższy, stał się ulubioném dziecięciem, wcielił siebie całego, ze wszystkiemi właściwościami swéj poetycznéj natury i wyobrażeniami ówczesnéj poezyi. Dlatego stanął przed nami Wallenrod nietylko wyobraziciel wielkiéj politycznéj myśli, ale zarazem marzyciel podług przepisów romantycznéj poetyki, która, jak wiadomo, niebardzo troszczyła się o prawdę, na rzeczywistość i jéj wymagania z góry spoglądała i nie kładła sobie za zadanie z prozy życia wykrzesać poezyę, ale mgliste i senne swoje marzenia przenieść chciała w życie i uczynić je obowiązującém dla niego prawem. Kiedy Mickiewicz pisał Wallenroda, nie wydobył się jeszcze z objęć téj romantyki, która, obok wielkich swoich zasług i zalet, sprowadziła także niejedno złe do literatury, i dlatego, jako niepotrzebna nadal w piśmiennictwie europejskiém, prędko się ulotniła. W tym czasie wystarczyło dla poety najlżejsze potrącenie, aby mu usunąć grunt z pod stopy i rzucić na bezbrzeżne fale owéj romantyki, lubującéj się w nieokreslonych uczuciach, w postaciach o podwójném obliczu, w sentymentalizmie i nadnaturalnych charakterach. Skoro raz to potrącenie nastąpiło, Wallenrod bohater i mściciel ojczyzny mógł stać się zarazem Wallenrodem sielankowym kochankiem i marzycielem, tak jak u Byrona najszlachetniejsi ludzie są zarazem zbójcami i korsarzami.

Takiém potrąceniem, które bohatera poematu przechyliło w stronę przeciwną do jego dążności, a poetę sprowadziło z dobréj drogi, była postać Aldony. Pierwszy pochop do jéj utworzenia, podobnie jak do Halbana, dała poecie bezwątpienia historya, a mianowicie dzieje św. Doroty, która właśnie za rządów Wallenroda w ten sam sposób jak Aldona niedaleko Marienburga zamurować się kazała i niedługo po śmierci w. mistrza umarła. Postać ta, tworząca się w wyobraźni poety, zlała się z jego własnemi wspomnieniami; ujrzał on w niéj dawny przedmiot

swojéj miłości, z którym, lubo z innych zupełnie jak Wallenrod powodów, musiał się był także rozłączyć. Poeta, który jeszcze w jakiś czas po napisaniu Wallenroda, w czasie podróży po Włoszech śpiewał:

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę—

bawiąc w Moskwie i Petersburgu, musiał żywo mieć kochankę w pamięci i w sercu. Aldona jakby różczką czarodziejską wywołała do życia tę przeszłość, a Konrad Wallenrod, w którego wlał swą nienawiść i pragnienie zemsty, [illegible] dalszym ciągiem Gustawa w Dziadach, w nim t[illegible] się iskra, która nie zgasła jeszcze w piersiach poe[illegible] sercu Mickiewicza, powtórzyło się w Wallenrodzie. A[illegible]ła jednym z duchów panujących nad jego wolą i s[illegible] go ku marzeniom o błogiéj przeszłości, ku cichem[illegible]néj zagrodzie, tak jak znowu w przeciwną stronę c[illegible]h opiekuńczy, stary Halban, który kiedyś w młodo[illegible]enawiścią do zakonu.

Wszystko, co W[illegible]ała pod jednym albo drugim z tych wpływów, a n[illegible] w siebie. Dlatego rozdarty na dwie połowy, ma dość [illegible]zy na najsprzeczniejsze uczucia, myśli i zamiary. T[illegible]ném szczęściem miłości zatyka jego uszy na głos obowiązku, tak jak w sercu poety przerywała ona gorzkie myśli i wielkie marzenia o teraźniejszych i przyszłych losach ojczyzny. Gdyby kiedyś miłość poety szczęśliwie się była zakończyła, gdyby pragnienie jego zostało zaspokojone, wtedy i Wallenrod byłby wolny od tego bolesnego sentymentalizmu, który musi obudzać się w człowieku, ilekroć ma żal do przeszłości, że nie spełniła jego nadziei, ilekroć czuje, że los pozostał jego dłużnikiem, na którego słusznie skarżyć się może.

Tak to twórca i jego dzieło połączeni są z sobą ścisłym, nierozerwanym węzłem, a najmniejsze nieraz szczegóły z życia poetów odbijają się na ich utworach jako wady lub zalety. Koleje życia i przebyte doświadczenia są dla ich płodów temi żywotnemi sokami, które z rodzinnego gruntu wciąga w siebie wyrastająca roślina, i wyrośnie w takich kształtach i z takiemi barwami, na jakie dostarczy jéj materyału otaczająca ją ziemia i powietrze.

Pomimo téj niedoskonałości w nakreśleniu charakteru Wallenroda, widocznéj już za pierwszém pojawieniem się poematu, postać ta stała się popularną jak rzadko i jedną z najdroższych dla narodu kreacyj poetycznych. Różne przyczyny mogły się składać na to. Może ten urok wiersza, to bogactwo wyobraźni i świetność barw, jakie poeta na swoje obrazy nałożył, zachwyciły zmysły i umysł czytelników. Może właśnie ta słabość charakteru zjednała bohaterowi tak wielką i trwałą sympatyę, bo ujrzano w niéj obraz własnych słabości ludzkich i narodowych. Słabość niekiedy, podobnie jak siła, nader pomocną bywa bronią, szczególnie tam, gdzie chodzi o ujęcie sobie serc; wszakże od wieków tą bronią walczą kobiety z drugą połową rodzaju ludzkiego, a wia-

domo dostatecznie, jak wiele zdobyczy poczyniły, jak wiele zwycięztw odniosły. Dla nas Polaków szczególnie ta strona sentymentalna w Wallenrodzie, to odzywanie się w nim serca, kiedy tylko rozum powinien był głos zabierać, nie mogły pozostać bez wielkiego uroku. Wszakże w nas i u nas zawsze to samo się działo, co w Wallenrodzie; racya stanu, rozum polityczny, nigdy nie zdołały w nas zabić serca, albo sumienie przymusić do milczenia; jak on, pozwalaliśmy często unosić się fantazyi i robić wiele nie dla osiągnięcia realnych korzyści, ale dla bohaterstwa, dla pokazania światu wspaniałości swych uczuć; polityka sentymentalna należała i należy do przymiotów naszego charakteru i zawsze trudno nam przychodzi poświęcić ją dla zimnego rozsądku, dla interesu. Wallenrod, wytrwały w zemście, pragnący krwi jak Korsykanin, z zimném wyrachowaniem dążący do celu jak włoski dyplomata, nieubłagany i nieprzebierający w środkach jak jaki angielski gubernator w Indyach wschodnich, nie byłby tak przemówił do naszéj duszy, jak Wallenrod stworzony przez Mickiewicza. Poeta na ciemną postać w. mistrza rzucił promień światła tryskający ze serca i tym sympatycznym rysem starł z jéj oblicza wyraz wstrętny dla naszego uczucia.

W niejakiś czas po Wallenrodzie pojawił się inny poemat z tą samą ideą. Dzieło to wykonane wspaniale, mistrzowskiemi rysami nakreślone, bohater jego nie ma ani jednéj wady, którąby można zarzucić Wallenrodowi, od początku do końca wierny swojéj myśli, niezachwiany niczém, poświęcający wszystko dla spełnienia zemsty, nie wzdryga się przed żadnym środkiem, zagłusza w sobie głos sumienia, własnéj godności i szlachetności—jedném słowem, skończony ideał podstępnego mściciela, charakter ulany jakby z bronzu na podobieństwo dawnych greckich posągów—pomimo to imię jego nie stało się nigdy tak głośném, nie wzbudził on ani części téj sympatyi, nie nadał swego nazwiska idei przez siebie wyobrażanéj, ani ludziom podobnym do siebie— i dziś, ile razy o nich mówimy, tak samo jak przed pojawieniem się tego poematu, mówimy zawsze: Wallenrod, nie zaś: Irydyon.

Najgłówniejszą bezwątpienia przyczyną wielkiéj popularności Wallenroda jest ta okoliczność, że powstał na czasie i wcielił w siebie usposobienie chwili. Epoka lat 1820 — 30 pochwyciła z zapałem Wallenroda, a zapał ten udzielił się następnym pokoleniom. Po ulicach Warszawy rozdawano egzemplarze Wallenroda, a wiersze i wyrażenia poematu stały się niedługo hasłami gwałtownych przemian. W tenczas chodziło tylko o myśl, która pobudziła Konrada do przedsięwzięcia wielkiego zamiaru, a nie o spełnienie tych zamiarów, które jeszcze w przyszłości widziano; pochwycono ideę, która spoczywała w duszy bohatera i na dnie poematu, a nie wglądano w to, czy została i jak została wykonaną— dla ówczesnych ludzi wystarczyło to, że podstępem i zdradą można zgotować zgubę nieprzyjacielowi, że Wallenrod pragnął zemsty, że cierpiał i poświęcał się dla ojczyzny—to zaś, że Wallenrod kochał Aldonę, że tracił czas na rozmowach pod wieżą, że dla cichego szczęścia był gotów wyrzec się swéj myśli, że upadał pod ciężarem wielkiego zadania: to wszystko zostawiono naboku, jako epizody poetycznéj fantazyi, niemające nic

wspólnego z główną rzeczą. Krytyka odezwała się przez usta Mochnackiego; był to głos dla literatury, dla estetyki, ale nie głos dla ogółu, dla ludzi wciągniętych w wir wypadków—głos, który musiały zagłuszyć dalekie echa nadciągającéj burzy.

W ten sposób Wallenrod, stawszy się raz ideałem i stanąwszy jako posąg w wyobraźni narodu, jest nim do dzisiejszego dnia, i nie tak prędko ząb czasu chwyci się tego posągu. Bo jeśli poeta w tém albo w owém zgrzeszył p[illegible] psychologicznéj, jak się ona w pojedyńczych jedn[illegible]śli nie zadowolnił w zupełności wymagań artysty[illegible] głównego charakteru, to umiał dopatrzéć prawdy w [illegible] całego narodu.....

*Kraków, 1870*

---

## KILKA MYŚLI O „PANU TADEUSZU."

„Pana Tadeusza" tłumaczy pani Krasnohorska na język czeski z wielkiém zadowoleniem swych rodaków i obsypana od nich pochwałami; „Pana Tadeusza" pan Lipiner pięknie przestraja w niemieckie szaty i „anektuje" go do jednéj z najbogatszych literatur świata; „Pana Tadeusza" ołówek utalentowanego polskiego rysownika uplastycznia dla oka i potężnéj poezyi dodaje w pomoc, dla lepszego jéj uzmysłowienia w wyobraźni zwykłych śmiertelników, te środki i tę siłę, jakie posiada jéj siostrzana sztuka. Więc „Pan Tadeusz" zdobywa sobie coraz więcéj należne mu w świecie stanowisko. Dzięki tłumaczom, dostanie się on tam, gdzie jeszcze nigdy nie bywał; obce narody otworzą mu podwoje, i poznawszy go lepiéj i bliżéj, nie wątpimy, że z chęcią i przyjemnością stałą u siebie ofiarują gościnę, a pomiędzy swoimi, choć dawny i dobry znajomy, odnowi przyjacielskie związki i będzie z uprzejmością w odwiedziny zapraszany, choćby przez świeżą ciekawość oglądania go w tym nowym ozdobnym stroju, który na siebie przywdział, jakby na święto lub rodzinną uroczystość.

Jednèm słowem: dużo dzisiaj ludzi czyta „Pana Tadeusza:" i tacy, którzy nigdy przedtém o nim nie słyszeli; i tacy, którzy znali go tylko zdaleka i ze słychu; i tacy, którzy go umieją prawie na pamięć; i tacy, którzy tak dawno go czytali, że prawie już zapomnieli. Więc dlaczegóżby nie wziąć téj książki do ręki — książki, czytanéj po raz pierwszy w dzieciństwie, odczytywanéj później tyle razy to w całości, to w ustępach, któréj każda postać stoi żywo przed oczami, z któréj niejeden epizod umie się na pamięć, z któréj wiele wyrażeń stało się potocznemi przysłowiami w codziennéj rozmowie? Ale mimo to, kiedy się ją znowu czytać będzie, to wszystkie przymglone latami wrażenia w całej sile się

odświeżą, a kto wie, może jeszcze i nowe wycisną się na duszy, bo taka wielka jest potęga i tak niezliczone bogactwo prawdziwego poety, że może codzień nowe skarby rozdawać, a nigdy mu ich nie zabraknie. A wszakże to nie jest wszystko jedno przypominać sobie o tém rozkosznem uczuciu, jakie w skwarném lecie robi świeża kąpiel zdrojowa, albo w ciemnéj nocy wyobrażać sobie światłość słoneczną, a zanurzyć się znowu w kryształowéj fali strumienia, albo w czerwcowe południe spojrzéć na kwiaty i drzewa jasnością słońca oblane.

Więc skąpmy się w tym ożywczym zdroju poezyi, przypatrzmy się temu blaskowi, jaki geniusz ze siebie wydaje...

Skończywszy czytanie, odkłada się książkę z błogiem zadowoleniem i z uczuciem dumy. Zadowolenie pochodzi z tego, że przez jakiś czas, dzięki poecie, przebywało się w krainie piękna; uczucie dumy rodzi się ze świadomości, że język nasz posiada dzieło tak doskonałe, że literatura nasza ma epopeję.

A wieleż jest narodów, wiele literatur, które posiadają epopeję?— „Pan Tadeusz" jednakże nieprędko, ani odrazu przyszedł do téj sławy. Co Don Basilio w Cyruliku Sewilskim śpiewa o potwarzy, że z czasem coraz bardziéj rośnie a rośnie, i z małego potoku wzbiera w powódź, która zalewa rzeki i miasta, toż samo, jak przykłady uczą, dzieje się ze sławą dzieł sztuki, jeżeli wyszły zpod genialnéj ręki. Ani Homer przed trzema tysiącami lat, ani Szekspir przed trzystu laty nie byli tak sławni, jak są dzisiaj; ich wieńce wywrzynowe rozrastają się z postępem czasu, bo każde nowe pokolenie dorzuca do nich po świeżym listku i świat coraz więcéj cenić się ich uczy, widząc, jak mimo upływu tylu lat i wieków tak mało znalazło się współzawodników, mogących stanąć obok nich narówni, a ani jeden, któryby stanął wyżéj ponad nich, poznając, że geniusz, jak dyament, jest rzadki.

Sam twórca, może z poczucia skromności, a może i z tego, że sam dobrze nie wiedział, jak wielkie dzieło spłodził, ochrzcił Pana Tadeusza powieścią szlachecką. Z tych, co go pierwsi czytali, jedni zachwyceni byli jego pięknością, ale choć może czuli, że ten poemat jest zjawiskiem, na które wieki trzeba czekać i któremu podobne nie tak prędko się powtórzy, nie zdawali sobie z tego wyraźnie sprawy i wartości dzieła dokładnie oznaczyć nie mogli. Inni, bo byli i tacy, doznawali pewnego rozczarowania. W czasach blizkich romantyzmu, gdzie to przedewszystkiém było pięknem, co było nadzwyczajném, tajemniczém i cudowném, co lśniło się blaskiem i jaskrawością barw, niechaj nas podobne uczucie nie dziwi. Ludzie sentymentalnego usposobienia, ekscentryczni, a przytém niedość wysokiego wykształcenia, nie mogli u autora Konrada Wallenroda, Sonetów i Dziadów, pojąć téj prostoty, jaką widzieli w Panu Tadeuszu; nie mogli zrozumiéć, co ma być poetycznego w tych zwyczajnych, powszednich wydarzeniach i w tych prozaicznych ludziach, przeniesionych wprost i żywcem ze szlacheckiéj grzędy do ostatniego dzieła wielkiego poety. Z czasem dopiero i takim zwolennikom fantastycznéj albo schorzałéj poezyi powoli otwierały się oczy i ogólny za-

brzmiał okrzyk, że Pan Tadeusz jest drogocenną perłą w literaturze polskiéj.

Ale jakiego gatunku była ta perła, długo ludzie znowu porozumiéć się nie mogli. Jużci, nie było to epos, czyli poemat rycerski (co wówczas za równoznaczne wyrazy uchodziło), bo w Panu Tadeuszu niema ani rycerzy, ani wojen, ani oblężeń miast; niepodobny on zupełnie ani do Iliady, ani do Jerozolimy wyzwolonéj, ani do Orlanda Szalonego. Zdarza się wprawdzie w ciągu téj historyi jedna bitwa, ale jakże jéj daleko do tych [illegible]ów, które o losach narodów i o przyszłości świata [illegible] raczéj jest bójka przy ponczu i w zwadzie o kobiety [illegible]j przebieg, jak i rozstrzygnięcie sprowadzone prze[illegible]niem spróchniałej sernicy na przeciwników, bynajm[illegible] powagi, ani nie podnoszą do znaczenia walk stacza[illegible]roi lub Jerozolimy. Bohaterowie Pana Tadeusza z[illegible]dy i wieczerze, polują na zające i niedźwiedzie, z[illegible]się, umizgają się do podlotków i dobrze dojrzałych p[illegible], hałaśliwe sejmiki po zaściankach, a jeśli się kłócą [illegible]asto lub kraj, ale o stare, opustoszałe zamczysko, l[illegible]a szybsze nogi. I jakże takich ludzi postawić narów[illegible] Hektorem, z Godfrydem lub Karolem Wielkim? Jeżeli Pan Tadeusz ma być epopeją, to już chyba jakąś specyalnie naszą, nigdzie dotąd niebywałą epopeją szlachecką.

Taka klasyfikacya, było to już zapewne podniesienie Pana Tadeusza o jeden stopień wyżéj w hierarchii sztuki, ale nie było to jeszcze to, co mu się słusznie należało.

Szczęściem przypomniano sobie nareszcie, że obok Iliady istnieje jeszcze druga epopeja, niemniéj klasyczna i doskonała, przez znawców nawet za doskonalszą uważana i przypisywana temuż samemu poecie, który gniew Achillesa opiewał, że istnieje Odysseja. Przecież i w Odyssei niema wojen i walk, jéj przedmiotem nie jest żadne wydarzenie historyczne; są to przygody na lądzie i morzu, całkiem prywatnéj natury, wędrownika wracającego z wyprawy do domu i żony, i długi czas z powodu różnych przeszkód i awantur niemogącego przybić do rodzinnego lądu. Jest i tu bójka w obrębie domowéj zagrody się tocząca między panem domu a nieproszonymi gośćmi, którym zasmakowała cudza gospoda i gospodyni młoda. Więc jeśli Odysseja, która z historyą, z losami narodów i ich krwawemi zapasami nie ma nic wspólnego, przez cały świat i kodeks estetyczny uznana jest za prawowitą epopeję, dlaczegóż i „Pan Tadeusz“ nie miałby być już nie specyalnie szlachecką, ale bez żadnego dodatku i ograniczenia epopeją poprostu?

To porównanie otwarło dopiero krytykom oczy. Wielkie szczęście „Pana Tadeusza“ i jego twórcy, że kiedyś, ktoś, przed parą tysiącami lat, napisał Odysseję, inaczéj zapewne dotąd, a może i długo jeszcze w przyszłości, nie stałoby nikogo na tyle odwagi, bystrości oka i samo-

dzielnego sądu, ażeby ogłosić światu, że choć poemat Mickiewicza z treści i przedmiotu nie jest podobny do znanych w literaturze zagranicznéj poematów rycerskich, jest mimo to epopeją w prawdziwém tego słowa znaczeniu, i lepszą, i doskonalszą nawet od wielu oddawna już tém zaszczytném mianem ochrzczonych.

Umysł twórczy może zrobić samodzielnie, nie oglądając się na wzory i przykłady, rzecz dobrą, piękną i nową, bo on sam z siebie czerpie treść i formę, ale ci, co go mają sądzić i oceniać, potrzebują zawsze drogowskazów i ustalonéj miary. Jeżeli im przypadkiem braknie wskazanego kierunku i porównania (a im rzecz będzie nowsza i oryginalniejsza, tém trudniéj o nie), natenczas sąd ich wypadnie krzywo i niesprawiedliwie.

Pierwszym warunkiem prawdziwéj epopei jest prawda i realizm. Ażeby ona była tém, czém być ma: obrazem życia pewnego narodu w danéj chwili dziejowéj, musi poeta, jak malarz zdejmujący wizerunek z jakiéj osoby, mieć przed oczami żywy model i z natury brać rysy, jak i koloryt do swojego obrazu. Z tego powodu z pod uwagi naszéj usunąć się tutaj muszą te poemata religijne, które zewnętrzną tylko formą do poezyi epickiéj należą i które tylko z potrzeby, z braku gotowych a odpowiednich dla nich kategoryj, prawie gwałtem między epickie utwory zaliczono. Pominiemy zatém i nudną Mesyadę, któréj, z wyjątkiem profesorów literatury czyniących to zobowiązku, nikt więcéj do ręki bierze, i Raj utracony, natchniony gorącym duchem religijnym, i jedyne w swym rodzaju, ani przedtém, ani potém niebywałe arcydzieło: Boską Komedyę,—bo one wszystkie, choć nie w równym stopniu, są więcéj dziełem intuicyi i fantazyi swych twórców, niżli obserwacyi i znajomości świata. Gdzie rzecz odbywa się w nadziemskich regionach, gdzie przedstawiony jest stan i usposobienie ludzi i ludzkości w czasach, o których historya nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie motorem działania nie są właściwe ludziom cnoty i wady, namiętności i uczucia, ale metafizyczne prawdy i religijne dogmaty—tam zaiste niema gruntu dość stałego dla epopei, tam nie może żaden poeta ze słyszenia i widzenia, albo z żywéj tradycyi, dobierać sobie materyału i treści do poematu, któryby słusznem prawem epopeją się nazywał. Nie myślimy uwłaczać przez to ani gorącemu sercu Miltona, ani wzniosłéj, do wyżyn nieba sięgającéj duszy Dantego. Co oni stworzyli, jest znakomitém i wielkiém, ale nie jest to ani winą, ani błędem tych poetów, że ich dzieła są czém inném niż to, co się właściwie przez epopeję rozumie.

Rycerskie poemata Włochów, Jerozolima i Orland, również z naszym „Panem Tadeuszem" nie mogą być porównane. Mają one to wspólnego z wymienionemi wyżéj religijnemi eposami, że w nich zamało prawdy i realizmu, a zadużo własnéj fantazyi i fikcyi poetów. Tasso i Aryost zbyt byli odlegli czasem od rycerzy walczących pod wodzą Karola W. i Godfryda, opiewali rycerstwo w tych czasach, kiedy jego znaczenie i wielkość już dawno były przebrzmiałém echem w Europie.

To, co wiedzieli o swoich bohaterach, znaleźli jedynie w suchych średniowiecznych kronikach albo przestarzałych rycerskich romansach. Świata, który kreślili, nie mieli nigdy przed swemi oczami,—był on jedynie wytworem ich imaginacyi, podsycanéj z obcego źródła. Mitologia pogańska, starożytna poezya, a zwłaszcza rzymska, zmieszały się u nich w jeden konglomerat z pojęciami chrześcijańskiemi i poezyą romantyczną, i w ten sposób powstały dzieła, które wprawdzie epopejami się nazywają, ale którym ostrożna estetyka nie zapomina nigdy dodawać epitetu „sztucznych."

Jedynym utw[illegible] teraturze, który na jednéj wadze z „Panem Tade[illegible] końcowych pieśni Don Żuana Byrona) położony b[illegible] czytelnik łatwo to zgaduje — Getego „Herman i [illegible] wicz, kiedy jego epos zaledwie rodzić się poczęło, [illegible] między nimi pokrewieństwo, pisząc do jednego z [illegible] poema szlacheckie w rodzaju Herman i Dorote[illegible] dnak, jakby się z pozoru zdawało, nie można bra[illegible]. Słowa naszego poety, wzięte literalnie, tak jak [illegible] na niekorzyść jego utworu i, powiedzmy otwarc[illegible] ści. Zdawałoby się, na nich się opierając, że Mickie[illegible] śladowcę Getego, że ten poemat, co wypłynął mu [illegible] samorodnie jak potok górski ze źródła, począł się w chęci, aby iść śladami wielkiego niemieckiego poety i pod wpływem wrażeń z jego utworu odniesionych. Tak jednakowoż nie jest. Podobieństwo przedmiotu z tego względu, że w obu poematach przedstawione było życie prywatne ludzi, zbliżonych do natury (Mickiewicz, pisząc swoje dzieło, raz sielskim, to znów wiejskim poematem go nazywał), doprowadziło autora Pana Tadeusza do tego zbyt daleko sięgającego wyznania. Przytém, kiedy te słowa pisał, wnosząc z kilku urywkowych wynurzeń w jego korespondencyi zawartych, można prawie na pewno przypuszczać, że nie miał jeszcze jasnego wyobrażenia, w jakiéj formie i w jakich rozmiarach nowy jego poemat się ukształtuje. Kiedy miał gotową zaledwie pieśń czwartą, donosił przyjacielowi, że ma już trzy czwarte poematu, kiedy zaś piątą skończył, pisał, że „trzy jeszcze zostaje," a w końcu, jak wiemy, aż dwanaście ich się zrobiło. Nieodrazu zatém powstał „Pan Tadeusz" w jego duszy w tym kształcie, w jakim się na świat pojawił. Początkowo musiał mieć mniejsze rozmiary i szczuplejszy zakres, więcéj do ram obejmujących „Hermana i Dorotę" zbliżony. Stopniowo dopiero rozrastał się, widnokrąg nad nim się rozszerzał; nietylko sprawy sercowe młodego szlachcica, ale domowe zwyczaje na Litwie, obyczaje jéj mieszkańców, przyroda téj ziemi, a wreszcie i brzemienne w skutki wydarzenia z przeszłości i większe od nich dzieje chwili obecnéj weszły na ten poetyczny horyzont, jak coraz większe i piękniejsze obłoki podmuchem natchnienia przywiane.

Gete, jak zresztą wszystko, tak i „Hermana i Dorotę" wziął z życia. Nikt nie może się pomylić i ludzi w tym poemacie skreślonych wziąć za co innego jak są, to jest za mieszkańców małego niemieckiego miasteczka. Ich charakter narodowy i właściwa ich stanowi fizyogno-

mia oddane są z całą wiernością i prawdą. Ale tę treść rodzimą i oryginalną poeta przyodział w szaty klasyczne. Forma poematu jest wiernéni do najdrobniejszych szczegółów skalkowaniem poezyi homerycznéj, począwszy od heksametrycznego wiersza, aż do najskrupulatniejszego naśladowania klasycznéj epickiéj dykcyi. Potrzeba było ogromnego przejęcia się Homerem i niezrównanego znawstwa swojego wzoru, ażeby stworzyć podobne arcydzieło formy. Ale też dlatego podobno niekażdy na niém się pozna i niekażdy w niém zasmakuje tyle, ileby się należało. Kto nie ma klasycznego wykształcenia, dla tego zginie niejedna piękność w tym poemacie, cały poemat może nawet zachłodnym i zapośągowym się wyda, a Niemiec, który nie czytał Homera, dziwić się zapewne będzie, dlaczego syn gospodarza z pod Złotego Lwa, nadreński małomieszczanin, swojemu sąsiadowi aptekarzowi odpowiada *mit geflügelten Worten*.

Na „Panu Tadeuszu" znać również wpływ Homera, widać, że Mickiewicz rozumiał dobrze i miał przed oczami ten najdoskonalszy, jedyny, można powiedzieć, wzór epickiéj poezyi, i że trzymał się w ogólnych zarysach tych zasad i prawideł, jakie z niego, począwszy od Arystotelesa, filozofowie i estetycy różnych wieków wysnuli. Prostota zresztą i plastyka homeryczna odpowiadały tak dobrze i przedmiotowi przez niego opiewanemu i przymiotom jego własnego geniuszu. W zapatrzeniu się jednakowoż na swój wzór nie poszedł tak daleko, jak jego niemiecki poprzednik. Jeżeli Gete chciał pokazać w swoim poemacie, jakby wyglądał Homer, gdyby po niemiecku był pisał, to Mickiewicz dowiódł, że zdoła dla Polaków być takim poetą, jakim dla Greków był Homer. W „Panu Tadeuszu" niema nic takiego, czegoby każdy z nas, nawet taki, co nic więcéj nie umie, tylko czytać, nie mógł pojąć i ocenić. Każde powiedzenie, każdy obraz poetyczny są dla nas jasne i wyraźne, bo nam ich nie zaćmiewa forma obca i słowo przykrojone podług cudzéj, a z odległych czasów pochodzącéj modły. Mickiewicz odrzucił stałe *epitheta ornantia*, przykrócił długości rozmów i przyśpieszył wogóle tempo akcyi właściwe klasycznemu spokojowi, bo czuł, że te rzeczy albo z naturą naszego nowożytnego języka się nie zgadzają, albo naszemu nowożytnemu smakowi i więcéj nerwowemu usposobieniu nie odpowiadają. Najwięcéj uderzającém w oczy przypomnieniem Homera są niektóre stałe powtarzania pewnych ustępów. Zauważyć jednak potrzeba, że dzieje się to zwykle, nie jak z natury rzeczy wynika, w ważniejszych miejscach i chwilach, na które poeta szczególny nacisk chce położyć, ale przeciwnie, w ustępach mniejszego znaczenia, albo przy sposobności przedmiotów obojętnych i błahych, kiedy naprzykład pan podkomorzy uderza w złotą tabakierkę od króla Stanisława darowaną, albo kiedy dla braku czasu nie może się stać zadość Buchmanowéj radzie, która i bez tego, jako niepraktyczna, nie byłaby się na nic przydała. Możnaby posądzić Mickiewicza, że temi powtarzaniami, przy takich sposobnościach użytemi, chciał wywołać jedynie komiczne wrażenie przez delikatną, pełną uszanowania dla Homera i genialną parodyę sposobu przez niego w innych okolicznościach używanego,

Ale co najważniejsza, język, ten najpotężniejszy środek działania

w ręku poety, zupełnie nie przypomina Homera. Jest to słowo rodzime i swojskie, zgodne z charakterem narodowym i z charakterem każdéj w szczególności przemawiającéj nim postaci. Dykcya klasyczna, tak gdzieindziéj, jak i u Homera, ma zawsze jeden i ten sam ton i koloryt, bez względu na osobę, która jéj używa, bo tego wymagało idealne pojęcie piękna, starożytnym umysłom właściwe. Nowożytne ludy nie podzielają tego smaku i zapatrywania: im potrzeba języka barwniejszego, pełnego rozmaitości, niby wyrazistemi kolorami odznaczającego charaktery, usposobienia i stopień wykształcenia rozmaitych ludzi i warstw społeczeństwa. Jak ten język odmiennie wyg[illegible]ych osób, dość sobie przypomnieć, jak przemawia[illegible]szy,—jak Telimena, a Zosia,—jak sentencyonalny B[illegible]przykład wierzący tylko w argumenta swéj maczug[illegible]ównaniu do plastycznych jak rzeźba, ale jednostajn[illegible]ch rysów w homerycznéj epopei, i w wiernéra jéj n[illegible]„Hermanie i Dorocie," obrazy kreślone przez Mickie[illegible]jak płótna weneckiéj szkoły, jaśniejące bijącym w [illegible] rozmaitości ich tonów szukające artystycznéj harm[illegible]a Tadeusza" jest przez to także samodzielniejszym [illegible]od Getego, bo nie przyswajając sobie zkądinąd ob[illegible]ł dla swego dzieła formę własną, przy pomocy wła[illegible]ości i tego bogactwa językowego, jakie znalazł w ustach i w pismach swego narodu. Może ta forma, bezwzględnie biorąc, nie jest tak doskonałą, tak bez zarzutu piękną jak homeryczna, ale że jaknajlepiéj i lepiéj od homerycznéj do treści dzieła pasuje, to nie ulega wątpliwości.

Gdybyśmy wreszcie, zestawiwszy tak oba te poematy ze sobą i położywszy je na jednéj wadze, zapytali: który téż z nich jako cięższy na dół opadnie? to zdaje się, nie ściągając na siebie podejrzenia, że nas duma narodowa i miłość własna zaślepia, możemy sobie odpowiedzieć, że to po stronie „Pana Tadeusza" szala się więcéj przechyli. Gete w swoim utworze nie ujął tak w całości ducha niemieckiego i nie wyśpiewał go z taką siłą, jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" ducha polskiego. Choć Niemcy ten swój poemat, mniéj skrupulatni od nas, cośmy się dziełu Mickiewicza tak długo tę nazwę nadać wahali, nazywają epopeją,—dla zwyczajnych czytelników, tak w Niemczech, jak i za granicą, dla tych, którzy na jego kunsztowną epicką formę nie będą zwracać uwagi i rzecz będą sądzić według otrzymanego na uczucie wrażenia, pozostanie on podobno zawsze tylko historyą dwojga prostych serc z nizkiego stanu, obrazkiem drobnych rozmiarów, złożonym z kilku figur w jednéj chwili życia, poematem, w którym psychologiczna strona jednostki przeważa o wiele charakterystykę czasu i społeczeństwa, jedném słowem, pozostanie tylko idyllą.

---

Mickiewicz napisał rzecz wielką, stworzył epopeję, dlatego, że w dzieło swoje wcielił to, co widział i słyszał lub przejął w żywéj tradycyi od ludzi starszych od siebie w czasie swéj młodości lub później,

w ciągu tworzenia, od swych przyjaciół: Domejki, Witwickiego, Zaleskiego Bohdana i innych, że nakreślił cały szereg postaci sportretowanych z natury, a w martwą przyrodę swéj ojczyzny wlał to życie, jakiém ona żyje w wyobrażeniach i w uczuciach jego spółziomków. Zanim ten świat dawny, znikając z powierzchni ziemi, w proch się rozsypał i w mgłę rozpłynął, on siłą swojego geniuszu dla pamięci potomności skrystalizował go na długie a długie wieki. Niema już takich ludzi i takich obyczajów, jakie on nam wystawił, bo nic się na świecie nie ostoi posuwającéj się ciągle fali czasu i odmianom, jakie ona za sobą prowadzi! Niema już takich ludzi, a kto może powiedziéć, o ile i przyroda Litwy od tych czasów zmieniła swą postać i charakter, i jak prędko te bory i knieje litewskie, choć trwalsze od człowieka i od całych pokoleń ludzkich, zeszczupleją, zmaleją, a w końcu znikną z widnokręgu swego ojczystego nieba? Czas, a więcéj człowiek i jego kultura ciągle nad tém zniszczeniem pracują; ciekawość i chciwość ludzka dostają się w najnieprzystępniejsze zakątki, w najniebezpieczniejsze przepaście, a „siekiera kupiecka" i inna, na które się już poeta skarżył, jak nie oszczędzała, tak coraz bardziéj nie będzie oszczędzać tych „pomników naszych."

Szczęściem, ci ludzie i ta natura znaleźli już swego Homera i mają zapewniony trwalszy byt, niż gdyby byli ze spiżu.

Pomiędzy postaciami, których życie i czyny składają się na nasz poemat, któraż jest naczelną, górującą nad innemi i tworzącą punkt środkowy, około którego, jak koło słońca inne planety, cały ten świat fantazyjny się obraca — któraż jest tak nazwanym bohaterem?

Pomimo to, że poeta imieniem „Pana Tadeusza" utwór swój ochrzcił, nie trzeba na to było wielkiéj bystrości oka, aby dostrzedz, że ten młody szlachcic na tak wielką figurę bynajmniéj nie wygląda. Tadeusz niczém nie przerasta innych swych towarzyszy, żadnego ważnego czynu nie dokonywa, ani jako umysł, ani jako charakter nie posiada żadnych odznaczających przymiotów. Bardzo prędko zatém, jak mu się to należało, odsunięto go na drugi plan.

Powstałą ztąd lukę trzeba było zapełnić, więc zaczęto szukać rzeczywistego bohatera. Spostrzeżono, że w poemacie są dwie akcye, które się splatają z sobą i zaczepiają jedna o drugą przez tożsamość osób lub téż przez wydarzenia będące dla siebie nawzajem skutkiem lub przyczyną,—mianowicie, że oprócz dziejów serca pana Tadeusza, jego chwilowego obłędu i zapomnienia się, a potém szczeréj i serdecznéj miłości do Zosi, spór o stare zamczysko Horeszków i wynikły ztąd zajazd (poeta nie omieszkał téj dwoistości akcyi zaznaczyć już w tytule), jako też i to, co te zatargi poprzedziło, to jest nieszczęśliwa miłość Jacka Soplicy i jego krwawa zemsta na stolniku, są treścią, z któréj poeta działanie swojego poematu zbudował. W téj drugiéj części akcyi postacią, która dała początek wszystkiemu i stała się powodem różnych odmian w losie wielu osób i późniejszych zawikłań, jest, jak to na pierwszy rzut oka widać, nie kto inny, tylko Jacek Soplica, niegdyś „vulgo wąsal," a póżniejszy bernardyn Robak. Oprócz tego, tenże sam Jacek-Robak w tém, co stanowi historyczne tło poematu, co jest niejako trzecią

akcyą, zlekka tylko i w odległéj perspektywie przez poetę namalowaną, ale mimo to znaczeniem swojém przygłuszającą obie poprzednie i nadającą całéj kompozycyi jéj wyższy, patryotyczny nastrój i właściwy koloryt, tak jak słonce wysoko nad ziemią zawieszone jest sprawcą rozlicznych barw na jéj powierzchni i okalającym ją horyzoncie,—stanowi jednę z ważniejszych sprężyn, poruszającą się w ukryciu i tajemniczo, działającą jednak więcéj, niżli wszyscy inni ludzie, których na widowni poematu spotykamy. Z tych powodów w Jacku-Robaku ujrzano to, czego brakowało — szukanego bohatera.

Że tego bohate[illegible] było potrzeba, to już pierwsza okoliczność, którąby [illegible]ść powątpiewanie obudzić mogła. Nikt nie potrze[illegible]a Iliady ani Odyssei, wpada on odrazu sam w oczy, i [illegible]ę w jego oznaczeniu nie może. Powiedzmy zatém ot[illegible] nam się nie zdaje, aby Jacek-Robak był tym szuka[illegible]alezionym bohaterem. Co do Tadeusza, mogły jesz[illegible] prowadzić na błędne mniemanie, ale co do Jacka, [illegible] Mickiewicza poza poematem, ani rola i charakter, j[illegible]e naznacza, na ślad podobnego twierdzenia nie napro[illegible]jającéj się przed naszemi oczami akcyi poematu rol[illegible]st bardzo skromna i niewybitna, chociaż, jak powie[illegible]czeniu swojém ważna. Jest-to niby duch ojca Hamleta, który na głowę syna swego i wielu jeszcze innych ludzi sprowadza całą straszną tragedyę łez, nieszczęść i śmierci, ale sam, jako postać, jako charakter dramatyczny, do podrzędnych w szeregu teatralnych osobistości należy. Działanie Jacka jest, że tak powiem, zakulisowe i podziemne (nic to nie szkodzi, że tak z natury rzeczy wypada); zjawia on się zawsze niespodzianie, odzywa ogólnikowo lub dwuznacznie, znika natychmiast, skoroby jego obecność mogła nam co wytłumaczyć; kiedy celnym strzałem do niedźwiedzia ocalił życie hrabiemu, uciekł, „jakby go kto łowił;" z domu swojego brata skacze oknem do ogrodu, zamiast wyjść drzwiami; w ostatniéj dopiero chwili, tak oddawna przedtém będąc prawie codziennym jego gościem, przyznaje się sędziemu kim jest. Prawda, że to pokutnik, co ślady sromotnéj przeszłości chciał za sobą zatrzéć, i polityczny agitator, który w tajemnicy i w ukryciu działać musiał, ale także i nie bohater epiczny, który serce musi miéć jak na dłoni, a pierś jak ze szkła, abyśmy do głębi przejrzéc ją mogli i ruch każdego nerwu, każde silniejsze czy słabsze krążenie krwi natychmiast, bez odgadywania, bez domysłów i przypuszczeń zrozumiéć i zobaczyć mogli.

Wytłumaczenie i rozjaśnienie zagadki, któréj poprzednio mogliśmy się tylko domyślać, kim jest ksiądz Robak i kim był przedtém, dlaczego obecnie jest takim, jakim go widzimy,—jakie okoliczności wpłynęły na utworzenie się jego charakteru i pewien sposób postępowania mu nakazały,—znajdujemy dopiero w epizodzie, który w daleką przeszłość sięga i z tém, co się dzieje w poemacie, stoi tylko w takim związku, jak odległa przyczyna do swoich późniejszych następstw. W ostatnich swoich słowach na ziemi Jacek-Robak spowiada się nietylko ze swoich win i grzechów, ale także ze swych pojęć, uczuć i namiętności na jego

charakter się składających. W tém, co poza właściwym obrębem poematu leży, pojawia on się dopiero jako osobistość bezwątpienia nie czysto epiczna, ale z fizyognomią wyraźną i zrozumiałą. W téj także części jest on niezaprzeczenie bohaterem, około którego wszystko się skupia i gromadzi, i przez krwawy swój czyn staje się przyczyną tego stosunku, jaki się utworzył między Soplicami i Horeszkami, a zarazem pierwotnym motorem tego działania, téj akcyi poematu, na jaką już własnemi oczami patrzymy. Ale z tego nie wynika bynajmniéj, abyśmy mieli prawo bohaterem całego poematu go ogłosić. Głównym motorem tego, co Homer w Iliadzie opiewa, był bezwątpienia nie kto inny, tylko Parys, który przez porwanie żony jednemu z królów greckich, wywołał krwawy odwet i ściągnął wojnę i oblężenie na mury Troi, a przecież nikomu na myśl nie przyszło, aby w nim widziéć bohatera Iliady. W takim samym stosunku do ludzi i wydarzeń naszego poematu, jak i Parys do wojny trojańskiéj i do jéj z obu stron zapaśników, znajduje się Jacek Soplica. Dlaczegóż go więc mieścić na stanowisku Achillesa, kiedy ani układ poematu, ani wola poety téj roli mu nie przeznaczały?

A więc gdzież ów bohater?

Niema go, albo raczéj jest, ale odmiennéj całkiem natury od innych, zwykle w epopejach spotykanych, bohater bezosobisty, idealny, abstrakcyjny, mówiąc dokładnie.

W osądzaniu dzieł jakiegokolwiek poety i w rozjaśnianiu ich zawsze bardzo ważną jest rzeczą i pierwszym punktem wyjścia dla krytyki wchodzenie w intencye twórcy, odszukiwanie albo odgadywanie tego, jakiém on chciał swoje dzieło zrobić, co chciał przez nie wyrazić, i docieranie do źródła, zkąd i dlaczego, z jakiego psychicznego usposobienia poety i w jakim zamiarze utwór jego powstał. Jedném słowem, geneza poematu jest decydującym drogowskazem, w jakim kierunku i z jakiego punktu zapatrywać się nań należy.

Co zrodziło „Pana Tadeusza“ w duszy Mickiewicza?—powiedział nam to sam wyraźnie, wiemy o tém dawno wszyscy: miłość ojczyzny i tęsknota za nią.

Co chciał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" wypowiedziéć, kogo wysławić i opiewać? Litwę — ojczyznę.

I oto mamy jak palcem pokazanego bohatera poematu. Czuć, że poeta pragnął, ażeby w tym względzie nie było żadnéj wątpliwości, żeby każdy od samego początku wiedział, co znajdzie w poemacie, czego ma w nim szukać, a czego nie, i pierwszém zaraz słowem nazwał ten najdroższy przedmiot swych marzeń, tego ukochanego i wypieszczonego w gorącéj a tęskniącéj duszy bohatera, kiedy zawołał:

„Litwo! ojczyzno moja!“

Wyraźniéj i dobitniéj ani bohater Iliady, ani Odyssei, nie zostali wymienieni.

Takie wrażenie odbiera bezwątpienia każdy nieuprzedzony czytelnik „Pana Tateusza,“ bo na każdéj karcie, w każdym wierszu czuje, że poecie nie chodziło o nic innego, tylko o wskrzeszenie swoich najdroższych wspomnień, o przywołanie sobie żywo na pamięć, jaką była

ta ojczyzna, którą pożegnał tak młodo, a tęsknic za nią miał przez całe życie. Jego wyobraźni nie rozgrzała żadna górująca nad inne postać historyczna, żaden wielki lub oryginalny charakter, żaden mocarz lub rycerz z odległéj, mgłą fantazyi osłoniętéj przeszłosci, o jakich dosyc powieści i podań nasłuchał się w swoich młodych latach: nie, on nie chciał pomnażać rycerskich epopej, pisząc poemat o jakim Witenesie, Olgierdzie lub Giedyminie, bo serce jego ciągnęło więcéj i jedynie ku sobie to życie litewskich szlacheckich dworków, proste ich obyczaje i zwyczaje, ci ludzie niewyniesieni nad innych ani stanowiskiem, ani wielkością umysłu, ale drodzy dla niego, bo pośród nich spędził swe najszczęśliwsze lata, [illegible] wszystkiemi swojemi przywarami i śmiesznościam[illegible] niż wszyscy gigantyczni bohaterowie, których stwo[illegible]ka, albo którzy się sami w księdze historyi przez sw[illegible] A to niebo ojczyste pokryte różnokształtnemi obł[illegible]malowane zbożem rozmaitém," te drzewa szumiące g[illegible] borach, w których ciszy niegdyś tyle „upolował[illegible]owe sady z prostemi polnemi kwiatkami, ta świeża [illegible]amicznym zapachem napełniająca piersi — jakiż to [illegible]ok dla człowieka z tak czującém i wielkiém sercem[illegible] który wyrwany ze swéj ziemi w latach, gdzie na [illegible]ę przez czarodziejski pryzmat młodości, tak dawno j[illegible] jeżeli mógł mieć nadzieję kiedyś ją zobaczyć, to „tylko cudem."

Wszystko: ci ludzie z pod strzech słomianych, ich obyczaje trącące tradycyą dawnych czasów, ich zabawy niewymyślne, ich humor ze staropolskiém zacięciem, właściwości ich usposobienia, złe i dobre, takie, co ich czyniły dzielnym narodem, i takie, co ich miały zgubić; ta ziemia, co ich żywiła swemi płodami i chowała w sobie ich prochy; te lasy, które z nich wyrobiły namiętnych i nieustraszonych myśliwców, to powietrze ojczyste, słodsze dla nich nad wszystkie inne strefy i klimaty — wszystko to, w pamięci i sercu poety schowane i zapieczętowane jak siedmiu pieczęciami, poszło za nim w obce i dalekie kraje i złożyło się w jego duszy na jedno gorące i wielkie uczucie, na jedno pojęcie mieszczące w sobie wszystko, co było dla niego najdroższe: ojczyzna.

Poeta, piszący pod takiém natchnieniem i z taką intencyą, musiał sprawić pewne zamieszanie w istniejących prawach poetyki. Nie dziwimy się przeto, że „Pan Tadeusz" cokolwiek inaczéj wygląda, jak nietylko sztuczne epopeje nowożytne, ale nawet jak samorodne epopeje homeryczne. Jak one, powstał on samoistnie, ale że powstał wśród innego narodu, w innych czasach, w innych stosunkach świata, w innéj dobie cywilizacyi i wyobrażeń, musiał różną téż od nich przybrać szatę. Wartości jego i znaczenia bynajmniéj to nie osłabia; wychodzi mu tylko na zaszczyt i chwałę, że jest czémś oryginalném i odmienném od drugich.

A więc naprzód uderza tutaj brak uprzywilejowanego w epopejach bohatera (przypominamy, że go szukać było potrzeba). Mickiewicz, postawiwszy tak wysoko ideał ojczyzny w swym poemacie, dając w każdém niemal wierszu słyszeć ten brzmiący ton, który o niéj śpie-

wa, musiał tém samém wszystkie inne ludzkie i realne postacie cofnąć na plan drugi i w równym rzędzie ze sobą je postawić. Pomiędzy figurami poematu są ważniejsze i mniéj ważne, jedne wykończone zupełnie, a inne, wprawdzie potężnemi rysami, ale tylko naszkicowane, niema zaś ani jednéj takiéj, któraby drugie o głowę przerastała, któraby przedewszystkiém wzbudzała dla siebie naszą sympatyę. Akcya właściwa poematu już się nawet kończy, to, co było do rozwikłania, leży przed naszemi oczami już rozplątane: Tadeusz po różnych błędach i zboczeniach sercowych, po odbyciu za nie ekspiacyi przez zgryzoty i wyrzuty sumienia, jest już prawie zaręczony z Zosią i wiemy na pewne, że wyjąwszy jakiś niespodziewany i nieprzewidziany wypadek, z nią się ożeni; spór Horeszków i Sopliców, który głównie podżegał i podtrzymywał Gerwazy,—kiedy Jacek odbył spowiedź i z wielu na nim ciążących win się oczyścił, i kiedy stary klucznik podał mu dłoń przebaczenia i pojednania,—już się także zakończył; jedna wreszcie z ważniejszych postaci, wrzekomy bohater, już umarł i usunął się z widowni świata, a poemat jeszcze nie dobiegł do swego celu, jeszcze potrzeba mu było dwóch ostatnich pieśni, aby się zaokrąglił i wypowiedział wszystko, co było w jego założeniu. Jeszcze potrzeba było finału lub epilogu, mniejsza o to, jak kto chce to nazwać, aby najwyższe uczucie, silniéj od wszystkich innych ziemskich uczuć rozgrzewające serca bohaterów poematu, aby nadzieje wyższe nad wszystkie inne ich pragnienia, doznały zadowolenia i spełniły się, aby poeta tego rzeczywistego bohatera swego utworu pokazał, jeśli nie w gloryi tryumfu, to przynajmniéj oświeconego jutrzenką lepszych, upragnionych czasów i szczęścia.

Takim potężnym akordem, wstrząsającym do głębi serca i fikcyjnych bohaterów poematu i nas żyjących, gdy dzieje ich uczuć wyczytujemy z téj arcy-książki naszego piśmiennictwa, zamyka się dopiero poemat. Z błogiém uczuciem, z pociechą w duszy, rozrzewnieni nadzieją, rozstajemy się z nim, dziękując poecie, że nie odchylił przed nami zasłony tak prędko następionéj przyszłości, która miała znów zniszczyć wszystkie te nadzieje i na nowo zatruć serca większą jeszcze goryczą. Skończył się „Pan Tadeusz," skończyła się historya dusz prawych i prostych, wzdychających z utęsknieniem do swojego ideału i oglądających jego zstąpienie na ziemię.. Że ich zachwyt i szczęście niedługo trwały, że ten ideał był pomiędzy nimi gościem chwilowym i nazbyt prędko z nieutulonym ich żalem i krwawym bólem znów z oczu im się usunął, to już nie należało do zakresu tego „sielskiego poematu," téj epopei, któréj przeznaczeniem jest nie rodzić smutek i zwątpienie, ale wiecznie silną wiarę i wiecznie młodą nadzieję.

Częste wybuchy liryzmu w „Panu Tadeuszu" są także dalszém następstwem tego uczucia, w jakiém się począł i w jakiém był tworzony. Gete nie byłby się nigdy dopuścił podobnéj herezyi przeciw Homerowi i duchowi klasycznéj epopei, w któréj poeta i jego egotyczne uczucia znikały bez śladu i nie były widne poza bohaterami poematu. Mickiewicz, choć gdyby był chciał, byłby także téj saméj sztuki dokazał, bo tu o nic więcéj nie chodziło, tylko o trochę panowania nad so-

wzorów jak Homer, musiała tym potrzeb
zadość uczynić i odstąpić od formy przekaza
miała prawo to uczynić, któżby mógł zaprzec
dzaje poezyi to czynią. Liryka nowożytna j
wą i głębiéj w wnętrze ludzkie sięgającą niż
ki zawsze skłonna liryka starożytna. Nasz
o jego najnowszéj formie, ale poprzestając ch
w formie i duchowéj treści różni się od te
lub Sofokles, o ile więcéj się pogłębił, o ile zr
pulątniejszym w analizie serca ludzkiego! P
wego czyli lirycznego zdaje się być wogóle z
szy nowożytnych ludów. Mimo to nikt an
nowożytnego dramatu nie odsądzi od prawa
mi liniami granicznemi oznaczonych gatunk
tylko epopeja nie miała i nie mogła przybrać
kich z postępem czasu i zmianą wyobrażeń
poezyi? Nie miejmy jéj tego za błąd i wykro
jéj starsza wiekiem siostrą, zabarwi się gorące
ten rumieniec jest u niéj naturalny i konieczn
nerwów i szybszego krążenia krwi.

Z tegoż samego źródła wypłynęły także
szerokie opisy natury, te pyszne krajobrazy, kt
pszą część swego utworu uważał, choć my mo
krzywdę reszcie swojéj pracy czynił, bo w jéj c
rzeczy, tyle bogactwa geniuszu, że nie wiedzieć
się więcéj podobać. Klasyczna epopeja tylk
chcenia rzuca okiem na otaczającą człowieka n
ty ojczysta przyroda miała jednak większe
Była to dla niego ziemia obiecana i więcéj na
któréj z tęsknota

współziomków, których jego fantazya uczyniła bohaterami poematu, to niemniéj kochał on także tę ziemię, która tych ludzi wydała i wyhodowała, na któréj on sam się urodził, która mu była ojczyzną. Była to psychiczna konieczność, nie kaprys lub zamiłowanie artysty, że on tak długo, jakby się z tym widokiem rozstać nie mógł, tak przy każdéj sposobności wzrok swój na téj ziemi zatrzymywał i utkwiony w niéj trzymał. Uczucie silne i gorące rozsadziło znów więzy przepisów i formuł poetycznych — a czy słusznie, czy dobrze zrobiło, czy nie przysporzyło przez to téj poezyi piękności, czy nie dodało jéj oryginalnego piętna? Któżby z nas śmiał o tém powątpiewać?

Jak szczęśliwy był poeta, jak dobrze mu było, kiedy mu się zdawało, „że siedzi w Litwie," kiedy duchem „żył w lasach, w karczmach, ze szlachtą i żydami!" Najmniejszy szczegół miał dla niego wartość nieoszacowaną, najbłahsza rzecz, skoro z niéj wiała woń ojczystego powietrza, skoro o niéj mógł sobie powiedzieć: „widziałem ją kiedyś w ojczyznie, a potém nigdzie już więcéj," stawała się dla niego drogą jak relikwia i przybierała rozmiary najwyższych zagadnień społecznych. Dlatego też z jaką lubością i skrzętnością zbiera on te najdroższe perełki pamiątek po ojczystych zwyczajach i obyczajach, nie chcąc ani jednéj uronić i jaknajwięcéj zebrać ich i w spuściznie przekazać następnym pokoleniom, mniéj od niego szczęśliwym, bo niespotykającym ich już w życiu. Czy komu, kiedy to weźmie na uwagę, dziwném lub uderzającém się wyda, jeżeli wyczyta w poemacie, na czém polegał sekret robienia dobréj kawy w wiejskich dworach, albo całkowitą receptę, w jaki sposób robi się polski bigos, lub tajemnicę wojskiego, że do rosołu, aby był pożywny i krew czyścił, wrzuca się kilka perełek i sztukę monety. Małe to są rzeczy, należą do sztuki niemającéj nic wspólnego z poezyą, do sztuki kulinarnéj, a jednak mają one dla czytelników niezrównany powab swojskości, i niejeden, jeżeli przy czytaniu „Pana Tadeusza" zaleci go aromat litewskiego bigosu, przypomni sobie równocześnie swój dom rodzinny, wesołych towarzyszy młodości i lepsze czasy.

Kto kocha, powiadają, że kocha wszystko, co jest w drogim dla niego przedmiocie, zarówno wady jak cnoty. Jeżeli poeta co ukocha, niema tak błahéj, tak pozioméj rzeczy, któréjby nie podniósł do wyżyn poezyi. Nigdzie zaś podobno miłość nie odzywa się tak silnie, jak w tęsknocie. Dlatego potrzeba, zdaje się, poetom, aby serce ich opłakiwało jakąś stratę, jeżeli natchnienie ma zejść na nich. I Getego poematu nie inny był początek; i on w zawieruchach i chaosie francuzkiéj rewolucyi tęsknił za błogim stanem spokoju, gdzieby każdy mógł żyć bezpiecznie w swojéj chacie, uprawiać rolę, a nie drżéć co chwila o swoje życie i mienie. Więc rozhukanym żywiołom namiętności przeciwstawił w Hermanie i Dorocie cichą miłość dwojga młodych wieśniaków, w pracy i zadowoleniu serca widząc zadatek i przepowiednię lepszéj przyszłości. A kto wie, czy nie toż samo uczucie natchnęło niegdyś także i Homera? Czy jego nieśmiertelne pieśni nie były także takiém tęskném zwróceniem oka w minione cza-

sy świetności i chwały, w czasy, które wydawały ludzi tak mężnych jak Achilles i rozumnych jak Odysseusz?

Kto to wie? Gołosłownie temu zaprzeczyć trudno, a analogia mocno przemawia za tém.

Ale i tego możemy być także pewni, że ani Gete, ani Homer nie mieli tak silnych pobudek tęsknoty jak nasz poeta, bo jego nie trwożyło zagrażające dopiero niebezpieczeństwo, bo on nie żałował chwilowego przygaśnięcia świetności narodowéj, ale miał przed oczami upadek, zagładę i bezustanne sześćdziesięcioletnie klęski.

*Kraków, 1883*

---

## IDEA[illegible]CH POETÓW.

Odkąd Mickiewic[illegible]oich listów rodzącego się dopiero wówczas swojeg[illegible]skojarzył z „Hermanem i Dorotą" Getego, odtąd d[illegible]ię nawet mimowolnie w naszéj myśli i wzajemnie nasu[illegible]ć. Choć według dzisiejszych naszych zapatrywań do podobnego porównania Mickiewicz nie miał wiele słusznych przyczyn, choć całe podobieństwo tych utworów zaczyna się może i kończy na tém, że tak w jednym, jak i w drugim, mamy obraz prywatnego życia ludzi mniéj więcéj téj saméj sfery, a nie jakąś ważną polityczną akcyę, jak w dawniejszych epopejach i pseudo-epopejach, nie przeszkadza to jednak bynajmniéj, że ile razy zastanawiamy się nad „Panem Tadeuszem," ile razy staramy się ocenić go i wartość jego oznaczyć, przymierzamy go, jakby do skali porównawczéj, do dzieła niemieckiego poety, zestawiamy je oba ze sobą, wynajdujemy w nich podobieństwa i różnice dla lepszego objaśnienia rzeczy. Jak z wielu innych względów, jak to już nadmieniliśmy, czynimy to bez powodu, bo wistocie tak blizkiego pokrewieństwa między temi poematami niema, tak z drugiéj strony mamy słuszność dlatego, że są to dwa jedyne utwory nowożytnéj literatury, które pojęciu prawdziwéj epopei odpowiadają i z dziełem Homera mierzyć się mogą.

Ale nie o to nam chodzi. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę czytelnika na to, że wobec tego naturalnego i wynikłego z przyzwyczajenia kojarzenia się w naszym umyśle tych dwóch poematów, nie może nikogo zadziwić, jeżeli myśląc naprzykład o Zosisz „Pana Tadeusza," przypomnimy sobie zarazem Dorotę Getego i obie te postacie postawimy obok siebie w naszéj wyobraźni.

Obie są bohaterkami wielkich, pierwszorzędnych poematów, można zatém w nich szukać jakiéjś głębszéj treści; obie stworzone zostały przez wielkich poetów w okresie najwyższéj dojrzałości ich geniuszu, można zatém upatrywać w nich i widzieć ideały swoich twórców. W czasie, kiedy Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza," a Gete „Hermana i Dorotę," nie byli pod wpływem żadnego osobistego afektu; głęboka,

poetyczna prawda była dla nich duchowym bodźcem i mistrzynią, i ona tylko kierowała ich piórem. Gdyby w bohaterkach swoich nie widzieli tego, co istotę rzeczywistą czy wymarzoną ideałem uczynić może, nie byliby ich na ten piedestał stawiali. Upoetyzowana w „Sonetach“ Petrarki Laura, do szału ubóstwiana przez Gustawa Marylla w „Dziadach,“ mogły w rzeczywistości, jak niebo do ziemi nie być podobne do swych poetycznych kopij, a co więcéj nawet w swojém fantazyjném przybraniu, nawet tak upiększone i wywyższone, jak są przez swych kochanków, mogą nie być ideałami kobiecości i nie mieć prawa, aby je za nie uważano. Bo ci poeci, kiedy z nich poetyczne postacie stwarzali, kiedy z ubóstwieniem przed niemi zginali kolana, sami znajdowali się pod wpływem namiętności, szału, zapału lub uroku, które wzrok ich fałszowały i osobistemu uczuciu, egotycznym zachceniom i wyobrażeniom folgę dawać nakazywały. Ale gdy poeta o swéj indywidualności zapomni, gdy się od niéj oderwie i okiem geniuszu patrzy w świat zewnętrzny i przedmiotowy, gdy, jak naprzykład w danym wypadku, kreśli postać kobiety—dziewicy nie według tego szczególnego wzoru, który w nim sprawił silniejsze serca bicie i żywsze krwi krążenie, ale według tego, co za najpiękniejsze i najcharakterystyczniejsze w rodzaju kobiecym uważa, to z pewnością kreacya jego będzie odbiciem tego, co najczęściéj dokoła siebie w życiu spotykał, albo przynajmniéj poetyczną fikcyą tego, co jaknajczęściéj widziećby dokoła siebie pragnął. Jedném słowem, będzie to ideał zgodny z rzeczywistością, albo postać, która z poetycznego Olympu, gdzie ją umieścił poeta, przeniesiona na naszę ziemię, nie rozpłynęłaby się we mgle, jak zwykła fantastyczna mrzonka, ale znalazła w niéj drugą swoję ojczyznę i stała się jéj ozdobą.

Nie ulega żadnéj wątpliwości i tak téż o tém wszyscy sądzimy, że obaj w mowie będący poeci chcieli w bohaterkach swoich epopej przedstawić typy dziewic—kobiet swoich narodów, że zatém Dorota jest taką typową Niemką i ideałem niemieckiéj dziewicy, jak Zosia reprezentuje w ideale to, jaką jest polska dziewczyna i jaką być powinna, jeżeli doskonałości swojego typu ma dorównać.

W „Panu Tadeuszu“ jest jednakowoż druga jeszcze postać kobieca, która więcéj nawet miejsca w nim zabiera niż Zosia, traktowana jest równie *con amore* i w wyobraźni naszéj równie trwałemi zapisuje się rysami—jest ciocia Tolimena. Co ona robi w tym szlachecko-sielankowym poemacie? czy nie razi w nim, jak pstra gąsienica na czystéj zieleni murawy? czy może także nawpół z Zosią ma dzielić to idealne stanowisko typu i bohaterki, czy ma być jéj dopełnieniem? Wiadomo przecież, że niektórym ta postać poprostu wstrętną się wydawała, że uczuwali pewien żal do poety, iż w tym czystym jak łza utworze, w téj książce, co mieści w sobie wszystko, co nam kiedykolwiek było i jest drogie i święte, obok postaci szanownych dla swéj prawości, uczciwości i szlachetnego serca, postawił figurę, i do tego jeszcze kobiecą, dosyć wątpliwéj cnoty i z takiemi właśnie wadami, które nasze dawne, poczciwe i prostoduszne społeczeństwo ze zgrozą ze swego grona wykluczało i bez pardonu na nie rzucało anathema.

Jeżeliby kiedykolwiek tak wielki poeta jak Mickiewicz potrzebo-

wał obrony, możnaby na odparcie tego zarzutu dwa przytoczyć argumenty.

Najprzód ten, że Telimena nie jest tak z..., jak ją sobie nieraz wyobrażamy. Najcięższą jéj winą jest kokieterya, wypuszczająca swoje strzały na wszystkie strony, i obok tego... łatwość, z jaką się, Tadeuszowi przynajmniéj, poddaje. Już to samo istnienie w niéj dwóch wręcz przeciwnych grzechów daje do myślenia i pokazuje nam, że Telimena jest kokietką jedynie z konieczności, a nie z natury i z zasady, bo kokieterya tego rodzaju, kokieterya właściwa, wszystkie siły natęża właśnie w tym kierunku, aby [illegible] dłużéj nad przeciwnikiem mieć górę i wielbicieli utrz[illegible]oitéj a imponującéj odległości. Telimena chce bądźco [illegible]—to jest jedyna sprężyna i tajemnica jéj postępowa[illegible]ym wieku, gdzie podobne zamiary nie tak łatwo s[illegible]nej ziszczają, dlatego chwyta się środków niezwykł[illegible]ecich, dla tych, co obojętnie z boku się przypatruj[illegible]ego, któremu zagraniczna romansowość i romanty[illegible]ochę głowę, stara się chwycić na sentymentalizm; n[illegible]adeusza, nieznającego się należycie na konwenansi[illegible]ocenić, na co formy światowe pozwalają, a na co nie, [illegible]wałtownego i radykalnego, będąc o tém przekonaną, że taki środek na natury czerstwe i młode najskuteczniéj działa i że szczęśliwy kochanek w tym wieku tak silnym ogniem rozgorywa, że od niego można i pochodnię Hymenu zapalić... Zawiodła się na tém, prawda; ale gdyby nie przezorność księdza Robaka i pana sędziego, gdyby nie to, że z nią pod jednym dachem rosła Zosia, młodziutka i piękna jak jutrzenka, możeby była i tryumfowała.

Zresztą Telimena ma dobre serce. Widzimy to najprzód w stosunku jéj do Zosi, czego poeta nie omieszkuje jaknajwyraźniéj zaakcentować, mówiąc, że „prawdziwie kochała swą wychowanicę.” U kobiety starszéj a mającéj pretensye taka miłość do młodéj i powabnéj istoty, w któréj musi się widzieć swą naturalną rywalkę, nie jest rzeczą tak pospolitą i łatwą. O ten szkopuł rozbija się nawet, wprawdzie u osób bardzo lekkomyślnych, a więc gorszych od Telimeny, nieraz i miłość macierzyńska. Z nauk i przestróg, jakie Zosi daje, widać, że kocha ją po swojemu, że nie o grunt serca, ani o przyozdobienie umysłu, ale głównie o powierzchowność młodéj dziewczyny jéj chodzi; pomimo tego nie można zaprzeczyć, że niektóre z tych rad są całkiem na swojém miejscu i że przydadzą się Zosi, nieco nieogładzonéj i będącéj nazbyt dziecięciem natury jak na panienkę z szlacheckiego dworu.

W tragi-komiczném rozwiązaniu tak łatwo rozpoczętego romansu z Tadeuszem strona jéj uczuciowa także w korzystném pokazuje się świetle. Była to między niemi scena przykra i szarpiąca nerwy, kiedy Telimena przekonać się musiała, że nie jest już kochaną, że w sercu Tadeusza Zosia wszechwładnie panuje, i kiedy w końcu została przez niedawnego kochanka faktycznie znieważoną słowem, niestety, dowodzącém aż nazbyt wyraźnie całéj jego obojętności i pogardliwego lekceważenia. Czytelnicy przypominają sobie zapewne tę scenę, w któréj rola Telimeny jest tak niewdzięczną, że w chwili tak tragicznéj dla niéj zamiast

współczucia budzi w nas śmiech i to uczucie, że chcielibyśmy jéj powiedzićć: „dobrze ci tak, to ci się należało!" tę scenę wieczorną w ciemnéj sieni Soplicowskiego dworu, gdzie „cała w bieliźnie, długa, wysmukła i cienka," z ręką wyciągniętą naprzód zjawiła się przy blasku miesięcznym Tadeuszowi, jak mara, po to, aby stracić resztę wiary i złudzenia i zostać przez niego ostrém szyderstwem odepchniętą. Zawiedziona miłość, wstyd, złość i zemsta, wszystkie Furye, które w takim wypadku budzą się w sercu kobiecém, musiały zawrzéć w jéj wnętrzu. A przecież ona je wszystkie w jednéj chwili uspokoiła, gdy ujrzała, że biedny chłopiec, oszołomiony tém wszystkiém, niewiedzący co począć i jak wyjść z téj kolizyi, w którą się niebacznie zawikłał, biegnie wstronę stawu, aby na jego dnie wyrzuty sumienia i kłopoty swoje serdeczne pogrzebać. W téj chwili zapomniała o sobie i przelękła się o niego— „wistocie dobre serce miała"—dodaje poeta, podnosząc znowu ten rys szlachetny w jéj charakterze. Puściła się za nim w pogoń, podniosła ręce w rozpaczy i krzyczała:

> Stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie
> Czy jedź! tylko stój!

Kokietka z natury i rzemiosła pewnieby tak nie postąpiła. Bo przecież byłby to dla Telimeny tryumf niemały, znakomity, gdyby świat dowiedział się, że dla niéj i przez nią taki młody, dorodny chłopiec, jak Tadeusz, posunął się do samobójstwa. Kokietki prawdziwe skrzętnie notują podobne wypadki na kartach swojéj historyi, a ilość takich zamachów na własne życie, albo liczba odbytych pojedynków między rywalami, to tyleż nowych liści wawrzynowych w wieńcu ich (smutnéj zaiste!) sławy. Nie mówimy tego, żeby Telimena mogła była dopuścić do śmiertelnéj katastrofy, ale gdyby nie była miała „dobrego serca," gdyby z natury zdolną była panować nad sobą i na zimno obliczać, to mogła była doprowadzić rzeczy do niezbitego i wyraźnego faktu, do tego naprzykład, że Tadeusz byłby się dobrze skąpał w wodzie. Może sam byłby się w niéj ochłodził i wypłynął na wierzch, a gdyby tego nie zrobił, to jeszcze byłoby czasu dosyć, aby dopiero w téj chwili krzyk podnieść, zwołać ludzi na pomoc i wyłowić zrozpaczonego kochanka ze stawu, jako *spolia opima* wielkiego tryumfu. Telimena inaczéj zrobiła, i każdy przyzna, że zrobiła jak kobieta z sercem.

Drugi argument, którym jéj obecność w „Panu Tadeuszu" obronić można i wyjaśnić, dlaczego poeta nie wahał się takiego typu kobiecego do swego arcy-poematu wprowadzić, jest jeszcze ważniejszy. Na każdym kroku, przy każdéj sposobności poeta daje nam do zrozumienia i przypomina, z kim mamy do czynienia i jakiego to rodzaju jest postać. Cudzoziemczyznę czuć od Telimeny jak piżmo. Co chwila ona się w niéj przypomina: to bonońskim pieskiem, to książką francuzką, to wspomnieniami i pamiątkami z Peterburka, które tak skrzętnie przechowuje w swojém biurku. I ona się tego nie zapiera; owszem przyznaje głośno, szukając w tém chluby dla siebie, że to, co swoje i domowe, jest dla niéj wstrętne i niesmaczne. Pośród dziewiczych lasów litewskich ona unosi się nad pięknością włoskich gajów i naturą Południa:

> Mieszając tu i owdzie podróżnych zwyczajem
> Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

Ci ludzie, którzy ją otaczają, wychowani staroświeckim zwyczajem, prości i naturalni, a przytém poczciwi, są w jéj oczach nieokrzesanymi prostakami, śmiesznemi egzemplarzami nieucywilizowanéj przeszłości, bo prawdziwém życiem dla niéj i światem, za którym tęsknić nie przestanie, to wielka stolica ze swymi szambelanami, wielkimi łowczymi, ze swym polorem, blichtrem i blaskiem i tysiącznemi codzień komerażami. Nie chcielibyśmy popaść w szowinizm, ale zdaje nam się, że jeśli jest co w Telimenie dobr[illegible]rca, któréj poeta nie chciał jéj pozbawić, to tę doda[illegible]a téj okoliczności, że się kiedyś urodziła na litew[illegible]etrzem jakiś czas oddychała. Zresztą jest-to produk[illegible]a kosmopolityczna, ciekawa jako charakterystyczn[illegible]i, i w téj myśli przez poetę nakreślona. Takich Te[illegible]edy i więcéj, i po wszystkie czasy może ich zawsz[illegible]ale pomimo tego nie mogą one uchodzić za typy swoj[illegible]e można o nich powiedzieć, że są przedstawicielkami [illegible]atunku lub stanu kobiety polskiéj. Istoty takie po[illegible]pływem prądów obcych, wynaradawiają się i wy[illegible]łeczeństwa, jak nowe związki chemiczne powstałe z [illegible]h czynników. Tak było także i na Litwie z początkiem tego stulecia, gdzie wskutek ogólnego położenia kraju i wypadków politycznych, działały i tworzyły ze sobą rozmaite kombinacye dwa wielkie prądy, z dwóch przeciwległych stron Europy wiejące. Umysły słabsze, skłonne do naśladownictwa i nowości, mogły im się poddawać, a biorąc wszystko po wierzchu, przyswajając sobie rzeczy obce bez wyboru i myśli, stawały się tak uderzającemi w oczy swoją nienaturalnością i wyjątkowym charakterem, i mówiąc poprostu, komicznemi figurami, jak jest Telimena. Że ją poeta zrobił komiczną, to już dowodzi, że ją zaliczał do rzędu oryginałów, które pomiędzy zwyczajnymi, naturalnymi ludźmi, są zawsze rzadkością i anomalią.

Tego nie potrzeba dodawać, że pod względem artystycznym Telimena jest znakomitym kontrastem dla Zosi, że jest niejako tém ciemném tłem, na którém jasna postać litewskiéj dzieweczki tém silniéj się odbija.

Usunąwszy w ten sposób na bok Telimenę, przekonawszy się, że ona pod żadnym względem i pozorem nie może sobie rościć pretensyi, aby miała w sobie coś z tych rysów, z których składa się typowy charakter Polki, możemy już teraz bez przeszkody przybliżyć się do jego wcielonego przez poetę ideału. Jakim on jest, najlepiéj da się to zapewne poznać przez porównanie go z ideałem niemieckiego poety, z ową Dorotą, kojarzącą się w naszéj myśli z Zosią Mickiewicza.

Nie będziemy zastanawiali się nad tém, w czém one są do siebie podobne, bo te podobieństwa ich są właśnie temi przymiotami, bez których trudno prawie wyobrazić sobie jakąkolwiek młodą dziewczynę, będącą bohaterką poematu. Że ta, co wzbudza miłość, co kocha i jest kochaną w zwykłych warunkach tego świata, nawet i w życiu, nie-

tylko w poezyi, musi być istotą skromną, niewinną, oddaną całém sercem swemu kochankowi, że nie mogą ciężyć na jéj sumieniu grzechy, a jéj cnoty zaćmiewać skazy, to rzecz i naturalna i powszechnie wiadoma. Sama jéj nazwa dziewicy mieści już w sobie wszystkie te zalety, a jeżeli w rzeczywistości obok tych najważniejszych przymiotów znajdują się jakieś drobne ułomnostki i słabostki, jakieś nawyknienia, kaprysiki lub uporek, to w poezyi muszą się one skrzętnie chować gdzieś po kątach, aby ogólnego uroku postaci nie psuły i nie zmniejszały. Nie będziemy także zbytecznéj wagi przywiązywać do różnicy stanu, jaka zachodzi między Zosią a Dorotą, że jedna jest potomkiem rodu magnackiego, dziedziczką bogatych włości i wychowaną w zamożnym domu szlacheckim, a druga dziewczyną biedną, sierotą bez rodziny, przyprowadzoną wskutek przewrotów politycznych do tego, że musi w obcym kraju i domu nająć się za służącę. Bo w każdym stanie kobieta może być młodą i piękną i posiadać te przymioty serca i duszy, które z niéj bohaterkę poematu zrobić są zdolne. Chociaż z drugiéj strony nie zapomnimy na swojém miejscu i o tém, o ile zewnętrzne okoliczności, wychowanie, położenie socyalne i majątkowe wpłynęły na usposobienie ich umysłu i na zrobienie ich takiemi, jakiemi je poeci przedstawiają. Główną uwagę zwrócimy na różnicę widoczną u nich w tém, co stanowi właściwy powab kobiety dla mężczyzny, a co, stosownie do rozmaitych osobistości, w różnych kształtach i odcieniach się objawia.

Jeżeli mężczyzna zakochuje się w kobiecie, dzieje się to instynktowo, bez współdziałania refleksyi i rozwagi. Dlatego to miłość jest ślepą, i powiadamy, że nie wiemy zkąd i dlaczego się bierze. Kochanek nie rozważa i nie rozbiera (mówimy tutaj o pierwszych chwilach, kiedy miłość się rodzi), że przedmiot jego uczucia posiada takie a takie przymioty i zalety, ale ulega bezwiednie ogólnemu wrażeniu, jakie od niego odebrał. Że jego wybrana powinna być dobrą i cnotliwą, że kiedyś powinna być wierną i przywiązaną do niego żoną — o tém on nie myśli, to natenczas zbyteczną dla niego jest rzeczą, bo to uważa za naturalny i konieczny warunek, o którym się nawet nie mówi. Każda kobieta, która byłaby jego kochanką a późniéj żoną, musiałaby ten warunek posiadać, a jeżeli on z tysiąca innych tę właśnie a nie inną wybrał, to dlatego, że ta miała najwięcéj powabu, który go do niéj nęcił, że posiadała wdzięk, który mu się ze wszystkich najwięcéj podobał.

Ten powab wyraża się przez powierzchowność kobiety. Nie wynika jednak z tego, aby działając na zmysły, był tylko samą zmysłowością. Kochanek w ruchach swéj ulubionéj, w brzmieniu jéj głosu, w jéj geście i spojrzeniu, w kolorze nawet jéj oczu i włosów widzi pewną część jéj duchowego jestestwa. Te zewnętrzne oznaki, jak światło błyskawicy, rozwidniają mu raz jednę, drugi raz inną tajemnicę, jakich pełna jest każda dusza ludzka. Jeżeli prawdą jest, że mężczyzna i kobieta, a zwłaszcza młodzieniec i dziewica, są dla siebie nawzajem zagadkami, to wszystko to, co młody człowiek w uśmiechu kochanki, w tonie jéj głosu, w rzucie jéj oka, w poruszeniu jéj ręki spostrzega, jest niby coraz nowém słowem w rozwiązaniu téj zagadki, ale nierozwiązującém jéj zupełnie i budzącém coraz większą ciekawość. Natura

kobieca, tak różna od męzkiéj, pokazuje mu się w tych przemijających błyskach, aby znów pokryć się zasłoną tajemnicy, i nęci go do siebie, i wabi, i coraz nowym otacza urokiem. Temperament kobiety, jéj nastrój umysłowy, upodobania i humor—wszystko się przez te powierzchowne objawy wyraża, a ponieważ to, co one powiadają, i forma ich różne są po większéj części od tego, co w sobie czuje i widzi, lgnie z tém większą chciwością do istoty, będącéj niejako jego odwrotnym biegunem i dopełnieniem.

To „coś,“ co się [illegible], ten powab kobiecy, bywa najrozmaitszy, i niekai [illegible] yca i nęci. Wiadoma rzecz, że rozmaite są nasze ide [illegible] nienne także mają gusta i różne sobie tworzą wyobraz [illegible] powabie niewieścim, jak nas uczy doświadczenie ż [illegible] a i poezya różnych ludów.

Jaką jest Zosia, [illegible] w téj postaci stanowi, wiemy zaraz od samego poc [illegible] ch słów, któremi poeta o niéj wspomina. Jeszcze ni [illegible] rzed sobą, jeszcze nie pokazała się na widowni, a ju [illegible] oglibyśmy powiedzieć, jak wygląda, i z niego dopeł [illegible] ni cały jéj obraz. Tadeusz za przyjazdem do domu, [illegible] pomyłkę do kobiecego pokoju, staje w oknie, patrzy w ogród i między innemi rzeczami spostrzega:

„Blizko drzwi ślad... nóżki
Na piasku: bez trzewika była i pończoszki.
Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
Ślad wyraźny, lecz lekki; odgadniesz, że w biegu
Chybkim był zostawiony nóżkami drobnemi
Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.“

Jest-to jeden z tych mistrzowskich, mimowiednich pewnie rysów, jakiemi znakomici poeci najsilniéj własne utwory ryją na naszéj fantazyi. Jak nagłe zamilknięcie starców trojańskich, przy bramie Skiejskiéj, na widok zbliżającéj się Heleny, lepiéj niż wszelkie porównania i metafory maluje nam niezrównaną jéj piękność, tak ten „lekki ślad na piasku, w chybkim biegu drobnemi nóżkami zrobiony przez kogoś, co ledwie dotykał się ziemi“ na raz jeden, bez dalszych opisów, bez jéj obecności nawet stwarza nam w wyobraźni postać wdzięcznéj, lotnéj i unoszącéj się nad ziemię, jak Zefir, wiejskiéj dziewczki. Widzimy ją przed sobą od téj chwili i odtąd będzie ona się nam zawsze tylko taką a nie inną przedstawiać. Młodziutkie dziewczę, drobnego składu ciała, delikatne w każdym członku, zgrabne i elastyczne, stąpające po ziemi z wdziękiem i urokiem eterycznéj Sylfidy.

Swoją drogą poeta nie omieszkuje w dalszym ciągu przy każdéj sposobności dopełniać nam stopniowo tego obrazu, jaki za jego pierwszém potrąceniem w naszéj duszy powstał, i utrzymywać w nas ciągłém przypominaniem pierwszego wrażenia. Główny ten rys, jakby podstawowy akord w muzyce, powtarza się jeszcze częściéj, choć forma jego, jak tego rozmaitość poetyczna wymaga, jest czasem odmienna.

Kiedy hrabia po raz pierwszy, nie wiedząc, kto ona jest, ujrzał Zosię, to ona jemu wtenczas

„zdała się nie stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.“

Tak znów, gdy później Zosia przelękła się hrabiego i chciała uciekać, to

„Zrywała się lecieć, jak kraska spłoszona.
I już lekkie jéj stopy wionęły nad liściem.“

Innym razem, gdy stoi między swojém różnobarwném ptastwem i zsita rzuca mu „ręką, jak perły białą“ jęczmienne krupy perłowe, porównywa ją poeta do „bijącéj śród kwiatów fontanny,“ do tego rzutu wody z elastyczną siłą i lekkością tryskającego od ziemi ku niebu. Podobnéj natury jest także porównanie, kiedy poeta opisawszy toaletę Zosi na przyjęcie gości, w końcu, chcąc cały ten obraz ująć niby w ramy jednym wyrazem, powiada o niéj:

„I tak cała wygląda, jak biała lilija.“

Jest na oko pewne podobieństwo między fontanną a tym kwiatem. Lilia—to niby skrystalizowana fontanna w królestwie roślinném, i nietylko przez śnieżną barwę swego kielicha jest symbolem niewinności, lecz także królową wdzięku między kwiatami przez jego delikatną rzeźbę i wzniosłą, ponad ziemię z gracyą wznoszącą się postawę swéj łodygi.

Wreszcie, ażeby już do reszty wyczerpać te porównania i obrazy, przytoczmy jeszcze jeden, może najdosadniejszy i najnadobniejszy, wyjęty z téj saméj sceny, gdy Zosia zawołana przez Telimenę, porzucając swoich pierzastych wychowanków:

Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury:
Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,
Zdawała się najwyżéj bujać między niemi.
Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini rozkoszy.

Co za przecudny obraz i jaki wdzięk eteryczny nadany téj dziewczynie, lekkością i zwinnością przewyższającéj uskrzydlone stworzenia! A daléj jeszcze, czyż nie nasuwa się nam i ta myśl, że poeta przez niewyraźne, nawpół wypowiedziane porównanie chciał ją przyrównać do najrozkoszniejszéj z bogiń, że choć przelotny promień różanego światła Olimpu chciał rzucić na tę twarzyczkę czerstwą, lecz białą jak lilia?

Dodawszy do tego, że miała włos „jak len biały,“ który

„od słońca blasku
Świecił się, jak korona na świętych obrazku“—

że miała „błękitne oczęta,“ a mamy cały portret Zosi, skończony i żywy, jak w naturze. Pieszczotliwość, delikatność, lekkość i lotność—to główne jego znamiona. Trzeba zdaleka trzymać ręce, aby tego delikatnego tworu natury nie skruszyć lub nie zmiąć za dotknięciem.

Przypatrzmy się teraz z-kolei Dorocie.

Gete w tym poemacie, którego ona jest bohaterką, o powierzchowności innych osób wcale nic, albo (jak o Hermanie) bardzo niewiele powiedział. Dla jednéj Doroty uczynił tylko pod tym względem wyją-

tek. Widocznie miał w tém cel, łatwy do odgadnienia, i przywiązywał do tego wagę. Strona fizyczna u kobiety, bądźcobądź, zawsze będzie miała większe znaczenie niż u mężczyzny.

Pierwsze wyobrażenie o Dorocie daje nam poeta zapomocą tegoż samego środka poetycznego, co Mickiewicz. Jaką jest jéj osoba, widzimy, nie patrząc na nią samę, ale na jéj działanie. Gdy Herman spotkał ją raz pierwszy w tłumie wygnańców, uciekających przed okropnościami wojny, szła ona wtedy „silnym krokiem" (*mit starken Schritten*) i długim kijem kierowała dwa „potężne" (*gewaltige*) woły zaprzężone do wozu... To nie Zosia azu po przeczytaniu tych słów, to kobieta innego

I nie pom tępnie dwóm przyjaciołom rodzicielskiego domu, szczowi, aby ją między rzeszą wygnańców poznać erman o jéj „sklepionéj piersi," o jéj grubym i bujny musiał być czarnym, skoro na inném miejscu jest m ach Doroty, a wreszcie i o jéj dobrze zbudowanéj , która zapewne nie pozostawiałaby tak lekkich ak stopy biegnącéj Zosi. Jakiś czas obaj wysłańcy przesuwające się przed nimi tłumy, widzieli niej dna ze wszystkich nie zdała im się tą „wspaniałą" lub może raczej „okazałą" (*herrliche*) dziewicą opisaną przez Hermana. A gdy nareszcie ujrzeli i według danych wskazówek poznali Dorotę, to proboszcz na jéj widok nie mógł się wstrzymać od zrobienia uwagi: „Tak doskonałe (*vollkommener*) ciało pewnie i duszę czystą w sobie mieści, a silna i zdrowa (*üpige*) młodość szczęśliwą starość obiecuje"—od uwagi przypominającéj tak bardzo maksymę starożytnéj klasyczności, która w późniejszych, więcéj idealnych lub zdenerwowanych czasach, niezawsze znajdowała uznanie: *mens sana in corpore sano*.

Silną i czerstwą, budowy kształtnéj, ale wcale nie delikatnéj jest bohaterka niemieckiego poematu. Wszystkie jéj członki są rozwinięte na miarę posągów greckich bogiń, między któremi postacią swoją przypomina ona najwięcéj „wspaniałą" Junonę. Niema w niéj nic z owéj kruchości i wiotkości, które nieraz podziwiamy jako szczególny wdzięk w ciele kobiecém; nic z tego, co czyniąc kobietę nawpół dzieckiem, robi ją tém ponętniejszą dla niektórych. Krok u niéj pewny, ramię silne i członki jędrne zdrowiem. W téj mierze nie ustąpi ona nawet mężczyznie, nawet tak dzielnemu i w fizycznéj pracy zahartowanemu i cieleśnie wykształconemu młodzieńcowi, jak Herman. Jest ona nawet tego samego wzrostu, tak samo wysoka jak on, co u kobiet rzadko się zdarza i niewątpliwie daje nam wyobrażenie o niezwykłéj postawie Doroty. Gdy Herman wprowadzał ją do domu swych rodziców, i obaj przyjaciele i rodzice zadziwili się „nad postawą (*Bildung*) narzeczonéj, równą postaci narzeczonego; drzwi zdały się zamałe na przejście dwóch wysokich postaci, wstępujących razem na próg."

Dotychczasowe dzieje tych dwóch młodych istot odpowiadają w zupełności temu wrażeniu, jakie ich powierzchowność i fizyczność na nas sprawia. Świat zewnętrzny nie w równéj mierze działał na wyro-

bienie w nich świadomości, woli i energii; niejednakową, według dzisiejszego sposobu mówienia, staczały one dotychczas walkę o byt. Zosia raczéj téj walki całkiem nie doświadczyła i historya jéj życia daje się zamknąć w kilku słowach. Nie znała ona świata, bo znać go nie potrzebowała. Była dzieckiem, za które myśleli i o które starali się krewni, i, na jéj szczęście, dobrzy opiekunowie. W wiejskiéj swobodzie pozwalali oni jéj żyć, jak dziecku natury, bez przymusu, bez konwencyonalnych reguł życia, z którémi dopiero ciocia Telimena, zgorszona dzikością jéj manier, obznajamiać ją trochę poczęła. A że w domu starego kawalera, sędziego, towarzystwo zwykle z mężczyzn się składało, więc młoda dziewczynka, w braku innych towarzyszek, żyła, czyli mówiąc dokładniéj, bawiła się z wiejskiemi dziećmi, z kurami i gęsiami. Ludzi obcych prawie nie znała; gdy Telimena zapowiedziała jéj przybycie gości,

„Płakała i śmiała się naprzemian z radości."

Całe jéj życie dotąd i zatrudnienie ograniczało się na tych drobnych, przyjemnych zajęciach, które więcéj są zabawą niż pracą, zwłaszcza gdzie niema obowiązku stałego ich wykonania: podlewała kwiaty, pieła w ogrodzie, karmiła drób domowy. Była, jednêm słowem, naiwném dzieckiem bez troski, które na ścieżce życia ani jednego ciernia nie spotkało. Ta pogoda, ta jasność słoneczna, która świeciła z jéj uśmiechniętego oblicza i przezroczych oczu, pokazujących duszę aż do dna, przyświecała także stale, bez jednéj chmurki, na horyzoncie jéj życia. Żaden wietrzyk przeciwny nie zawiał na ten delikatny, w cudownym pączku młodości spoczywający kwiatek.

Inną, całkiem inną była dola Doroty. W tak młodym wieku doświadczyła ona już wiele, poznała życia kolce i głogi, przeszła prawie wszystkie z najboleśniejszych uczuć ludzkich. Była równie sierotą jak Zosia, ale może straciła rodziców nie tak, jak ona, w niemowlęctwie, ale w wieku, w którym wielkość téj straty, większéj od wszystkich na świecie, mocno i boleśnie uczuć się daje. Była przytém sierotą ubogą. Kto ma wyobrażenie o sieroctwie tego rodzaju, wie, jaki ogrom nieszczęścia w niém się mieści. Ci, co byli jéj najbliżsi, którym z natury rzeczy przypadało dać jéj opiekę, zapewne dać jéj nie mogli, bo sami byli biedni i potrzebujący. Aby nie zginąć i nie upaść, pozostawała jéj tylko praca, praca ciężka kobiety zarabiającéj na życie.

Wśród tych przeciwności Dorota zahartowała się i stanęła o swojéj sile. Mogła już nietylko pomagać sobie, ale być pomocą i innym. W czasie zamieszek wojennych pielęgnowała swego starego krewnego, mając nietylko nad nim pieczę, ale zapewne i dodając mu z własnéj kieszeni, i obowiązek ten spełniała aż do jego śmierci. Stan jéj i położenie często ją musiały zbliżać do biednych i nieszczęśliwych, miała więc dosyć sposobności poznać już za młodu tę odwrotną stronę medalu, którą łaskawa natura w pierwszych latach naszego życia zwykła przed nami w cieniu ukrywać. To wyrobiło w niéj energię i zmysł praktyczny. Dorota umie radzić sobie i drugim, nie cofa się przed żadną pracą, bo wie, że kto nic nie ma prócz dwojga rąk i głowy na karku, zginie, jeśli ich jak potrzeba nie będzie używał. W grabieży wo-

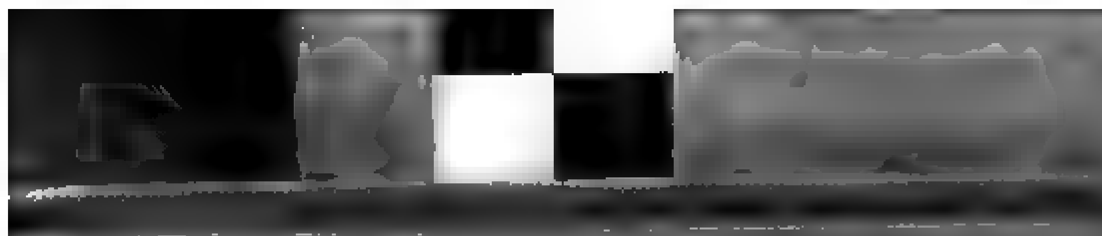
jennéj swoją przytomnością i odwagą wyratowała żonę bogatego właściciela, kobietę chorą, z nowonarodzoném dziecięciem, i odtąd przez całą uciążliwą i niebezpieczną drogę była ich opiekunką, zastępowała przy ich wozie miejsce woznicy, przerabiała dla nich darowane suknie, przynosiła czystą wodę ze źródła, gdy inną wszędzie ludzie niebacznie zmącili. Są to bezwątpienia także dowody jéj dobrego serca, ale równie i jéj energii i woli niełamiącéj się pod ciężarem przeciwności.

Ten hart ducha, ta siła odporna dochodzi u Doroty aż do bohaterskiéj fizycznéj odw [illegible] jny, która ją i wielu jéj wspólmieszkańców zrobiła [illegible] oru, gdzie Dorota została sama z innemi dziewczęta [illegible] ężczyzni wyruszyli na wojnę, wpadła, rabując, tł [illegible] kich maruderów. Widok powabnych dziewcząt r [illegible] ów, uderzają na swoje ofiary, ale odważna Dorota [illegible] mu z nich pałasz z pod boku wyrywa, tnie go i po [illegible] o nóg jéj upada. Potém męzkiemi ciosami broniąc [illegible] ąta, czterech jeszcze ugodzi, lecz ci przed śmiercią [illegible] vorzec zamknęła i zbrojna czekała na pomoc."

Może być, że te [illegible] rakterze Doroty jest zaśmiały, że przenosi ją zagwałto [illegible] j sfery do rzędu fantazyjnych heroin Tassa. Nie będziemy się oto spierać z poetą, razem z niektórymi krytykami niemieckimi, zarzucającymi temu bohaterstwu przesadę. W każdym razie, jeśli ta sytuacya jest nazbyt naprężoną, jeśli i liczba przeciwników, których Dorota pokonywa, jest, jak na siły dziewczyny, zawielką, poznajemy z tego rysu intencyę poety, że chciał przedstawić Dorotę nieulękłą przed niczém, gotową na odparcie nawet brutalnéj siły, co zwykle nie kobiety, lecz mężczyzny bywa udziałem. Zosia z pewnością tegoby nie dokazała i inaczéjby postąpiła. Gdyby w podobnym wypadku miała pojęcie, jakiego to rodzaju niebezpieczeństwo jéj zagraża, możeby bez przytomności padła na ziemię, albo gdyby się zdobyła na odwagę, to nie na to, ażeby napastnika trupem położyć, lecz na heroizm bierny, właściwy kobiecie, aby broń z jego rąk wydartą skierować we własne piersi.

Wreszcie, szukając różnic między naszemi dwiema bohaterkami, znajdujemy także i tę, że kiedy serce Zosi, nim Tadeusz je przebudził, spało jeszcze snem dziecka, pełnym spokoju, nie znając ni szczęścia, ni bólów miłości, Dorota przedtém kochała już innego i bolesną ranę z tego powodu odniosła. Młodzieniec, który był już jéj narzeczonym, uniesiony zapałem wolności, pobiegł do Paryża, zkąd jéj hasło usłyszał, i tam w bratobójczéj walce stronnictw znalazł śmierć straszliwą. Cios ten zniszczył Dorocie całą nadzieję szczęścia i przyszłości, dużo musiała cierpieć i boleć, ale zahartowana w twardéj szkole życia zniosła go mężnym umysłem, choć mocno kochała, choć długo jeszcze po śmierci kochała biednego męczennika idei i na pamiątkę jego nosiła ciągle, do ostatniéj chwili, obrączkę zaręczynową, która tyle w Hermanie, dopóki nie poznał prawdziwego stanu rzeczy, budziła zazdrości i czarnych myśli.

Dobre jak i złe, piękne zarówno jak brzydkie strony świata i lu-





dzi, były więc znane Dorocie; jéj praktyka życia nie może iść w żadne porównanie z naiwnością i niedoświadczeniem Zosi.

Jakiemi te dziewczęta będą niedługo dla swych mężów żonami, to łatwo odgadnąć. W téj mierze zachodzi pomiędzy niemi do pewnego stopnia podobieństwo; obie oddadzą się swoim ulubionym całą duszą, z poddaniem swéj woli pod kierownictwo ich rozumu, z uznaniem nad sobą mężowskiéj władzy.

„Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie,
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,—
Co pan urządzisz, na to całém sercem zgoda"—

powiada Zosia do Tadeusza, a my czujemy, że inaczéj powiedzieć nie może, iż ta obietnica posłuszeństwa i zdania rządów w ręce mężowskie jest naturalnym wynikiem téj świadomości, że w sobie nie czuje ani zdolności, ani siły po temu. Ona, dziecko niedoświadczone, miałaby zajmować się ważnemi i realnemi sprawami życia, ona, nieznająca świata, miałaby kierować innymi, gdy sama ciągłéj opieki i kierownictwa potrzebuje! Jéj natura jest nazbyt delikatna i idealna, ażeby zniżyć się do poziomu codziennego, prozaicznego życia. Ona swoim wdziękiem ozdobi życie męża, czarować go będzie powabami swego umysłu i dobrocią serca, ale on musi za to wziąć na swoje barki cały ciężar pracy i interesów, jeżeli nie chce, by w zetknięciu się z rzeczywistością zginął dla niego ten urok niewieści. Wierzymy temu, że Zosia nie będzie się ubiegała za zabawami, że nie będzie chciała błyszczéć na wielkim świecie zbytkiem i pięknością, że jéj do szczęścia wystarczy dwór Soplicowski i wieś, do któréj się od dziecka przyzwyczaiła i przywiązała, ale jeżeli powiada przyszłemu mężowi, że umie „nosić klucze," że obaczy, jak ona się gospodarstwa wyuczy, albo też, jak brzmi inny waryant:

„Obaczysz, Tadeuszu, nim kilka lat minie,
Będziesz miał z twojéj Zosi sławną gospodynię,"—

to czujemy, że ona tego nie mówi całkiem na seryo, że nie myśli o twardéj, obowiązkowéj pracy, bo jest przekonaną, że przy majątku i dostatkach, jakie posiadają, potrzebować tego nie będzie; że te klucze, zawieszone przy jéj eleganckim fartuszku, dodadzą młodéj, pięknéj gosposi nowego wdzięku, a niewiele rzeczywistych kłopotów przysporzą.

Odmienne pojęcie o swojém zadaniu i obowiązkach ma i musi miéć Dorota, stosownie do stanu własnego i przyszłego jéj męża, jako też do doświadczenia, nabytego przez całe życie. Ona, co przeszła przez ciężkie koleje, patrzy więcéj na stronę życia poważną i ciemną, i wie, że ono jest walką, do któréj i ona wspólnie ze swym mężem musi natężyć wszystkie siły. Jeszcze wprzódy nim mogła przeczuwać, że młodzieniec, który szlachetnie pośpieszył jéj z pomocą w nieszczęściu, będzie jéj mężem, roztoczyła przed nim cały, obszerny programat obowiązków, spoczywających na kobiecie, a streszczający się w jedném słowie: praca, praca ciągła i bez ustanku.

„Służyć (takie są słowa Doroty), jak każe jéj przeznaczenie, niech się zawczasu uczy kobieta, bo przez służenie tylko dochodzi wreszcie do panowania, do téj zasłużonéj władzy, która jéj się w domu należy. Przecież tak wcześnie siostra usługuje bratu i rodzicom, a jéj życie jest

ciągle wieczném chodzeniem tam i napowrót, albo podnoszeniem i dźwiganiem, przygotowywaniem i robieniem dla drugich. Szczęście dla niéj, jeśli się do tego przyzwyczai, że jéj żadna droga zaprzykra, godziny nocne równe godzinom we dnie, że jéj nigdy robota zamałą, a igła zacienką się nie zdaje, że o sobie całkiem zapomni, a w drugich tylko żyć umie! Bo jako matka, zaiste, potrzebuje wszystkich tych cnót, kiedy niemowlę zbudzi ją chorą i od słabéj zażąda posiłku, i tak do cierpień troski się jeszcze dołączą. Dwudziestu mężczyzn razem nie zniosłoby tych przykrości, i nie powinni ich znosić; lecz powinni ocenić je z wdzięcznością."

Nie przesadziliśmy, zdaje się, twierdząc, że Dorota ogarnia cały zakres działania kobiety, że bez złudzeń żadnych pojmuje swoje przeznaczenie i rolę na świecie. Częścią z własnego doświadczenia, częścią z tego, co widziała dokoła siebie, w tak młodym wieku, na progu życia prawie, ma ona już świadomość, że przeznaczeniem kobiety jest poświęcać się dla drugich, starać się o braci w domu, wysługiwać rodzicom, potém tak samo służyć i pomagać mężowi, a i późniéj jeszcze w drugiém, a nieraz w trzeciém pokoleniu, być zawsze gotową z pomocą i pracą dla swoich dzieci i wnuków. Zaledwie stając na kobiercu ślubnym, nie robi sobie żadnych iluzyj i przesadnych wyobrażeń o szczęściu, czekającém ją w nowym stanie. Zmysłem praktycznym, choć się spodziewa, że miłość i przywiązanie męża osładzać i zmniejszać ile możności jéj to będą, ogarnia wszystkie ciężary, trudy i przykrości przyszłego życia. Pojmuje bardzo dobrze, że aby dobytek, który jest, pozostał i pomnażał się w miarę wzrostu rodziny i jéj potrzeb, konieczną także z jéj strony jest pomoc i przyłożenie ręki do pracy. Ma ona głęboko wyrytą w sercu maksymę, że żona trzyma trzy węgły domu, a mąż tylko jeden, i pragnie gorąco, jest to jéj dumą i rodzajem przykazania, ażeby kiedyś sąsiedzi i przyjaciele powiedzieli o niéj, co powiedział nasz Jan Kochanowski: dobra żona—męża korona. I na tę nową drogę, najeżoną obowiązkami i trudami, wstępuje ona pełna ufności w swoje siły i dobre chęci.

W dalszém życiu, Dorota, znająca naprzód jego koleje i przygotowana na wszystko, niewiele się zapewne odmieni. Pewnym krokiem stąpać będzie po swojéj drodze, nie doświadczając rozczarowań, nie dziwiąc się przeciwnościom, spokojna, zapobiegliwa, licząca się z rzeczywistością i niedająca się ugiąć nieszczęściu, tak, jak nigdy w zbyteczne szczęście nie wierzyła i zawsze na świat trzeźwo i poważnie patrzyła. Jéj siły zahartują się może trochę więcéj, jéj członki zgrubieją nieco przy ciągłéj pracy, ale do końca życia, jak jéj to przepowiadał proboszcz, zachowa czerstwość i zdrowie. Będzie to kiedyś okazała matrona z imponującą postawą, na któréj synowie i wnuki jéj sąsiadów ślady dawnéj piękności czytać będą.

Zosia daleko większéj ulegnie zmianie. Zniknie najprzód jéj uśmiech dziecięcy, przyćmi się blask jéj turkusowych oczu, a twarz obleje się melancholicznym smutkiem, gdy jedna lub druga niepomyślna przygoda w domu, gdy nieszczęścia ogólne dotkną się brutalną ręką jéj delikatnego serca. Jéj postać straci kiedyś swą wiotkość i lekkość, jéj

stopa nie będzie zostawiać na piasku ledwie widzialnego śladu, ani w chyżości chodzić w zawody z gołębiami. Jak Dorocie jéj siła i praktyczność, tak Zosi pozostanie jednak na zawsze jéj wdzięk szlachetny i idealny kierunek umysłu. Będzie ona zawsze piękną, dystyngowaną kobietą i marzycielką ulatującą myślami ponad ziemię.

Obie te kobiety będą kiedyś matkami synów, i następne pokolenia odziedziczą po nich usposobienie i naturę ducha. I czy dziwić się można, że tych następców inne zupełnie czekają losy? Naturalną koleją rzeczy ludzkich stanie się potém, że wnukowie Zosi, słuchając natchnień swego rodzinnego demona, będą chodzili po ziemi z oczyma utkwionemi w niebo, że dadzą się unosić porywom szlachetnym lecz niepraktycznym, że nie będą zamiarów swoich obliczać podług sił, lecz siły według zamiarów, że słabi i nieliczni wyzwą do walki krociowe potęgi, że skorzy do poświęceń, ufający w bezwzględną sprawiedliwość, jakiéj ziemia nie daje przykładu, legną jako ofiary idei i gorącego zapału. Wnuków Doroty to nie spotka. Oni bacznie patrzéć będą dokoła siebie, nim jeden krok daléj postąpią; na zimno obliczą swoje plany i skupią wszystkie swe siły, nim się do wykonania zabiorą; rzeczy niemożliwych nie będą żądać ani od losu, ani od siebie; przejrzą naprzód wszystkie tajemnice i skrytości nieprzyjaciela, i upatrzywszy najlepszą sposobność, rzucą się na niego całą swą potęgą; nie będą wierzyć w zawodne prawo sprawiedliwości, lecz w siłę swojéj pięści; zbiorą miliony bagnetów i tysiące dział, i jednym żelaznym pierścieniem opaszą przeciwnika pod Sedanem, drugim pod Paryżem, zduszą go i rzucą do swych nóg. Potém podziękują Bogu za zwycięztwo...

Taką to dają nam wielcy poeci nieraz lekcyę historyi. W ich kreacyach, które bierzemy zwykle tylko za twory fantazyi przeznaczone na to, aby nas oczarować i naszym gustom estetycznym sprawić zadowolenie, mieści się bardzo często głęboka prawda, która może być nauką i dla tych, co historyę piszą, i dla tych, co historyę robią. I inaczéj być nie może. Wielki poeta—to żywe, zmysłowe objawienie ducha swojego narodu.

*Kraków, 1883.*

---

# BALLADYNA SŁOWACKIEGO.

„Ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem téj zimnéj, marmurowéj kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga — więc się lituj i pomyśl sobie, że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie.”

Temi słowy uniewinniał się Słowacki w jednym ze swych listów przed matką z tego — że był poetą... Przed jedyną istotą na ziemi, którą kochał ludzkiém, gorącém sercem, usprawiedliwiał się jakby z grzechu, że więcéj jeszcze nad nią umiłował coś innego, co nie było

z tego świata, co nie tak jak matka, która oddawała mu swoję spokojność i mienie, wymagało od niego ciągłych poświęceń i zaparcia się, co zimno i nieczule przyjmowało jego najgorętsze zapały i wysilki ducha i dopiero kiedyś — kiedyś po śmierci, miało mu odpłacić za wszystko łzą pamięci i uśmiechem sławy.

Nie można lepiéj określić stosunku Słowackiego do poezyi, jak to sam uczynił, nazywając się jéj kochankiem. Ten jeden wyraz mieści w sobie to wszystko: że jéj oddał całą swą duszę, że w niéj widział jedyny cel i szczęście życia, że ona była jego najwyższą rozkoszą i boleścią, ze był jéj wielbicielem i sługą, niekiedy męczennikiem i ofiarą, i że miał, jak trwożny bo czuły kochanek, z oblicza uwielbionéj nie zedrzéć nigdy zasłony, która chociażby nie w tym zawieszona celu, spełnia jednak tę służbę, że pokrywa niedostatki, a podwyższa ułudę.

Pod tym względem nawet między poetami Słowacki szczególném jest zjawiskiem. I najwięksi poeci, to jest ci, co służyli poezyi z boskiego powołania, bo na nic innego w świecie tylko na to się urodzili, oprócz swojéj muzy mieli jeszcze coś, co w niektórych przynajmniéj chwilach życia zajmowało ich duszę, i wzrok duchowy w inną kierowało stronę, i ze światem realniejszemi węzły łączyło. Mieli umiejętność i wiedzę, politykę i sprawy publiczne, honory i ambitne cele, mieli rodzinę, domowe ognisko i serdecznych przyjaciół, mieli chociażby rozkosze i przyjemności życia jak Byron. Słowacki nic z tego nie miał i nic nie ukochał. Wyrzekł się wszystkiego, co z tych rzeczy można miéć na ziemi. Nawet to, co zwykle u poetów większe niż u innych wzbudza pragnienie, nawet uczucie miłości nigdy nie ogarnęło wszechwładnie jego serca, nie przeniknęło go do głębi. Najdelikatniejsza z namiętności ziemskich jemu wydawała się może jeszcze zbyt realną, nazbyt przykuwającą eteryczne skrzydła Psychy do ziemi.

Posiadamy własne jego wyznanie, że dzieckiem będąc, modlił się do Boga często i gorąco, żeby mu dał życie poetyczne choćby najnędzniejsze, żeby był pogardzony przez cały wiek swój, i tylko żeby za to otrzymał nieśmiertelną sławę po śmierci. Ludzie innéj organizacyi duchowéj śmieją się późniéj z podobnych egzaltacyj dziecinnych, chociażby je sami byli popełnili, i podobnego programu życia nie biorą na seryo. Słowacki spełnił go do joty, nie ostygł w zapale i utrzymał go na całe swoje życie. Jak kapłan ślubujący u ołtarza służbę Bogu i wyrzekający się dla Niego wszystkiego, co się marnością świata nazywa, poświęcił on całego siebie dla jednego tylko bóstwa — „dla głodnego węża, co mnie gryzie,“ jak w inném miejscu swych listów powiada, a zkąd także widać, że bóstwo to musiało nieraz bardzo być wymagające i zazdrosne, że się żywiło najposilniejszemi sokami jego żywota.

Przez całe życie, od najrańszéj młodości do grobu, który go skrył tak wcześnie, Słowacki tylko dumał, marzył, tworzył i pisał. Od świata i jego powszednich zajęć odgraniczał się nieprzebytym wałem obojętności Gdy spoglądał na niego, to zawsze przez tęczowe szkła poezyi, nie żeby poznać jego rzeczywistość, lecz żeby go ustroić w girlandy swoich marzeń, oświecić bengalskim ogniem swojéj wyobraźni. Nad ludzi przenosił naturę, w niéj się zatapiał, upajał się jéj pięknościami

i szukał ulgi, odpoczynku. Od ludzi stronił, nie miał o nich dobrego wyobrażenia, nie umiał pojąć ich zabiegów, celów i namiętności, których przedmioty były dotykalne i praktyczne. Nawet ze swymi rodakami nie mógł dojść do harmonii. Obudzali w nim lekceważenie albo gniew, i nawzajem od nich odbierał téż obojętność, chłód, a niekiedy pogardę i nietajoną nieprzyjaźń. Żył więc jak innich oddany sam sobie, i wszędzie szukał chętnie samotności, czy to w Genewie, w pensyonie pani Patteg, który dlatego zapewne tak polubił, że był to dom odległy od miasta, leżący w ogrodzie między świerkami i sosnami,—czy w Sorrento, gdzie odłączywszy się naumyślnie od towarzyszów podróży (a byli to, trzeba wiedzieć, jego długo niewidziani krewni), miesiąc cały przepędził sam jeden, nie widząc ze swojego maleńkiego pokoiku nic, tylko gaj cytrynowy i morze, a za morzem we mgle oddalenia Wezuwiusz,—czy to na górach Libańskich, w klasztorze Belchesliban („Spoczynek umarłych" znaczy to w języku syryjskim), gdzie zamknął się przez czterdzieści pięć dni i dnie całe przepędzał na dumaniu, a wieczór szedł do małego źródła, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły czerpać wodę, i rozmawiał z niemi,—czy to wreszcie w stolicy nawet świata, w pełnym zgiełku, ruchu i wrzawy Paryżu, gdzie w swoich malutkich dwóch klateczkach na szóstém piętrze żyje jak na pustyni, zajęty w myśli nie tém, co ten Paryż dziś robi, ale marząc o tém, co się nad Ikwą działo przed stu laty, albo nad Goplańskiém jeziorem przed lat tysiącem.

Jakiéjże to wielkiéj potrzeba było siły umysłowéj, aby tak samemu sobie wystarczyć, jak wielkiego bogactwa wyobraźni, aby to marzące życie nie stało się z czasem jałowém i ckliwém! Niekiedy wprawdzie doznawał Słowacki takiéj pustszy w sercu, jaką sprowadzało w niém zamarcie uczuć powszednich i czysto ludzkich, ale wogóle czuł się z tém szczęśliwym i dziwném mu się zdawało, „jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą," i sądził, „że chleb, który spożywają, musi pachnieć nicością."

Tak jest, bo to, co on tak namiętnie ukochał; nie było rzeczą znikomą. Było to tworzenie dzieł, które miały przejść w dalsze pokolenia, była to nadzieja sławy, mającéj trwać o wiele dłużéj po śmierci, niż najdłuższe życie człowieka. Cała myśl, cała dążność jego i energia skupione są w tym jednym celu, ażeby przez przeciąg tego krótkiego życia ludzkiego wybudować sobie taki pamiątkowy grobowiec, na który kamyki składał nieutrudzenie w coraz nowych, raz po raz po sobie powstających pismach, i nie było dla niego większéj goryczy nad tę myśl, żeby kiedyś musiał przejść do kraju milczenia — zapomniany.

To życie w sobie samym i zamknięcie się w czarodziejskiém kole marzeń nadały jego poezyi właściwy charakter. Jest to niby fatamorgana afrykańskich puszcz, powtarzająca rzeczywistość, ale tylko w złudnéj, rozpływającéj się za bliższém przystąpieniem, a blaskami słońca cudownie ukolorowanéj mgle; jest to urocza, zachwycająca kraina, do któréj chętnie na pewien czas się podróżuje, ale w któréj trudno się zoryentować bez przewodnika i którą żeby stale pokochać, trzebaby się w niéj jak poeta zrodzić i wychować, bo tak mało przypomina

nam naszą ziemską ojczyznę, może mniéj piękną, niemającą ani tego blasku świateł, ani przepychu kolorów, ale droższą nam i milszą sercu, bośmy się do niéj od dziecinstwa przywiązywali i w niéj czujemy się jak w domu. Prawda życia uwidocznia się w téj poezyi najwięcéj jako wybuch pojedyńczego, namiętnego i egzaltowanego serca, a natura niewiele jéj daje ze swego wątku. Słowacki świetniéj może niż ktokolwiek inny przeprowadził tę paradoksalną teoryę poezyi, jaka szczególnie w początkach romantyzmu się pojawiła, że nie z życia i rzeczywistości należy wys[illegible] ycie trzeba przeobrazić w poezyę i urządzić je we [illegible] podyktuje. Cała jednak potęga jego talentu ni[illegible] zkody, z fałszywości téj teoryi wynikającéj. Był p[illegible] amysłów i podobno zawsze takim pozostanie. Jes[illegible] byt wykwintna, ażeby wszyscy mogli w niéj smakow[illegible] dni używać. Niezrozumiany i obojętnie słuchany [illegible], jako wielkość, że się tak wyrażę, swojego rodzaj[illegible] n i zawsze obudzać go umie, ale do serca ogółu [illegible] rzylgnie tak do niego jak naprzykład Mickiewicz, [illegible] est właśnie prawda i rzeczywistość.

Dziwna, że poeta z [illegible] usposobieniem powziął śmiały zamiar stworzenia dramatu narodowego. Na pierwszy rzut oka widoczna to rzecz, że jego natura arcypodmiotowa, jego umysł niekochający się w rzeczywistości, obrzucający przedmioty tego świata tęczą osobistych poglądów i urojeń, nie zgadzały się z naturą poezyi dramatycznéj, która wymaga rzetelnéj prawdy, bystréj obserwacyi świata i znajomości serca ludzkiego niemal tak dokładnéj, jak dokładnie zna biegły mechanik wszystkie sprężyny i kółka w zegarze. Za te wszystkie przymioty i zdolności, których zwykle od dramaturga się żąda, miała starczyć u Słowackiego zadziwiająca swoim obszarem i ruchliwością jego wyobraźnia, jako téż jego serce namiętne i pełne energii. One usposabiały go zaiste do pewnego, a nawet wcale wysokiego stopnia na poetę dramatycznego, a podnietą dodającą chęci i odwagi mogła być ta myśl, że właśnie to pole literatury, podczas kiedy inne tak skrzętnie były uprawiane i tak bogate już wydały plony, leżało prawie odłogiem i zdawało się czekać na rękę dzielnego i śmiałego pracownika. Dokazać tego, o co się jeszcze nikt nie pokusił albo dokazać nie mógł, to zdaje się leżało w charakterze Słowackiego, ambitnym, energicznym i lubiącym chodzić po nieutorowanych drogach.

Nie biorę tu w rachubę jego młodzieńczych utworów dramatycznych, jak Mindowe, Marya Stuart, ani nawet o wiele od nich późniejszego Mazepy. Wyraźnie i z wszelką pewnością, tak że się zaprzeczyć nie da, występuje ten zamiar dopiero przy Balladynie. W dedykacyi téj tragedyi Krasińskiemu zapowiada Słowacki całą seryę podobnych utworów, a sześć dramatów osnutych na dziejach przeszłości. Już całe tłumy różnorodnych postaci, rozmaite oblicza niebyłych nigdy bohaterów i bohaterek, jak widma powietrzne snuły się przed oczyma jego duszy, ażeby kiedyś ucieleśnić się natchnioném słowem poety... Żywio-

ły i pierwiastki, z których miał się ułożyć jego świat dramatyczny, istniały już, choć jeszcze w stanie chaosu.

Podobne plany poetyczne na długą metę rzadko się jednak udają. Z obrazami fantazyi dzieje się toż samo, co ze wszystkiemi obrazami na świecie, że z czasem tracą koloryt, płowieją i blakną. A poetę do czynu, to jest do tworzenia, pobudzić może tylko ten obraz tkwiący w jego duszy, co ma świeżość i żywość barw i wyrazistość konturów, który gwałtem w świat się wydziera.

Jakoż po Balladynie pojawiła się tylko jedna w podobnym duchu, choć na inny sposób napisana, Lilla Weneda. Dramat „Krakus," doszły do nas jedynie w małym ułamku i zapewne nigdy w całości nieistniejący, należał bezwątpienia także do téj seryi — lecz na tém już koniec. Więcéj tych „kronik dramatycznych" już nie powstało.

Nie znaczy to bynajmniéj, aby Słowacki przestał pisać dramaty. Owszem, pracuje nad tém ciągle i znać, że mu przyświeca zawsze chwalebna myśl dopełnienia tym sposobem skarbca narodowéj poezyi. Oprócz Balladyny, Lilli Wenedy i Krakusa, w ośmiu po sobie idących latach powstaje: Mazepa, Horsztyński, Wallenrod, Beatryx Cenci, dramat o Beniowskim, Walter Stadyon, Jan Kazimierz, Niepoprawni i Złota Czaszka — wcale pokaźna przeto liczba: dwanaście dramatów. Prawie wszystkich tych utworów nie drukował Słowacki za życia; prace jego nie rozchodziły się i rzadko wracały autorowi wyłożone na druk koszta; publiczność przyjmowała je obojętnie, teatra nie starały się o nie, a najprędzéj nic o nich nie wiedziały. Musiały więc zostać w tece, a gdy w lat kilkanaście, wtenczas, gdy w opinii o Słowackim zupełny zwrot nastąpił, na światło dzienne się pokazały, zaledwie dwa z tych dramatów doszły nas w całości, a z innych tylko ułamki i okruchy.

Okres ten dramatyczny jest wogóle dla Słowackiego najpiękniejszą jego epoką. Po latach pierwszych prób dochodzi on w tym czasie do téj najwyższéj doskonałości, do jakiéj mógł się wznieść jego talent. Oprócz wymienionych dramatów, z których na każdym znać tę dojrzałość autorską i z których niejeden do najlepszych jego utworów należy, wszystko bez mała, co najpiękniejszego mamy po Słowackim, i Anhelli, i W Szwajcaryi, i Ojciec zadżumionych i, romans Beniowski w téj bogatéj i szczęśliwéj powstało epoce. Późniéj, t. j. od r. 1842, świetny ten talent zaćmiewa się mrzonkami mistycyzmu; poeta, który przedewszystkiém stworzony był na artystę, wyrzeka się swego powołania, i przywdziewając niby jakąś kapłańską szatę, robi się czémś połowiczném, a w każdym kierunku niedoskonałém, i natchnienie swoje zaprzepaszcza w halucynacyach mesyanizmu.

Ale to są już późniejsze dzieje. Nas tutaj ma zajmować jeden z dramatów Słowackiego: Balladyna.

Bohaterką téj tragedyi jest zbrodnicza kobieta.

W sztuce i poezyi kobieta po wsze czasy zajmuje szerokie i ważne miejsce. W tém idealném odzwierciedleniu życia nie może, naturalnie, bez niéj się obejść, i jak w rzeczywistości, tak i tutaj jest ona jedną z najgłówniejszych sprężyn i pobudek działania i namiętności. Jak na świecie i utworom sztuki dodaje ona również tego, co zdaje się wy-

łącznym być jéj przywilejem, dodaje im wdzięku, rozlewa w nich jaśniejsze, łagodniejsze światło i powiększa żywość ich barwy. Bez kobiety sztuka i poezya byłyby poważniejsze, surowsze, nieco martwe i monotonne. Że tak jest wistocie, nie trzeba na to głębokich dowodów. Dosyć w tym względzie odwołać się do gustów ogółu, który naprzykład nie pojmuje sztuki teatralnéj bez występujących w niéj kobiet, który nad obraz przedstawiający same męzkie figury przenosi zwykle taki, gdzie jedna lub druga postać kobieca kontrastem swoim mile oko uderza, i obok energii, surowości i w obliczu mężczyzn się malujących, wprowadza także pewien pierwiastek miękkości i słodyczy. To wymaganie gustu publiczności jest tak ogólne, że pochodzi ono nietylko ze strony płci brzydkiéj (co byłoby może rzeczą łatwiejszą do zrozumienia), ale że podzielają je także same kobiety—a zatém strona, któréj o interesowność posądzić nie można—i to w wyższym może jeszcze od nas stopniu.

Sztuka i poezya umiały się téż kobiecie za te wszystkie od niéj otrzymane korzyści odwdzięczyć. Sztuki plastyczne podniosły jéj piękność cielesną, sztuki idealne jéj piękność duchową do ideału. Nie mówiąc już o innych, ileż sama poezya natworzyła pięknych postaci kobiecych! Od samego swego początku, w odległéj starożytności, czuła ona potrzebę i obowiązek przedstawić w kobiecie szczególnie to, co w niej jest najszlachetniejszém. Już Homer stworzył uroczą w swéj prostocie Nausikę i niezachwianie wierną Penelopę, a późniéj znowu inny wielki poeta taką Antigonę, wzór poświęcenia i ofiary, któréj urok przetrwał swój czas, przetrwał naród, śród którego ta postać powstała, i dziś po dwudziestu czterech wiekach tak samo silnie i potężnie na nas działa... W czasach chrześcijańskich, rozumie się, idealna wartość kobiety o wiele jeszcze musiała się podnieść. Ludy i wieki, które najwyższe wyobrażenie ziemskiéj doskonałości widziały w Pannie Przenajświętszéj, w Matce-Dziewicy, musiały część tego uwielbienia dla niéj przelać także na cały jéj rodzaj. I rzeczywiście, cała poezya wieków średnich brzmi pochwałami kobiety. Wszyscy ci poeci tamtych czasów, czy się zwali minstrelami, trubadurami, minnesängerami czyli bardami nawet, idealizują jéj serce i uczucia, śpiewają pieśni pełne czci i hołdu dla niéj, albo kreślą jéj charakter w najjaśniejszych barwach. Dwaj najwięksi z nich robią nawet więcéj: nie postacie wymyślone w swojéj fantazyi, ale biorą dwie żyjące osoby; jak bogowie olimpijscy niegdyś na Pandorę, zlewają na nie wszystkie przymioty swoich dusz wzniosłych, użyczają im wszystkich darów, któremi ich duch rozporządzał, i stawiają je na piedestale ideału, a odtąd jak dwa posągi niezrównanéj piękności świecą w krainie poezyi: Laura i Beatryx.

Od chwili budzącego się sceptycyzmu i realizmu na początku nowożytnéj historyi, i w wyobrażeniu o kobiecie widzieć się daje pewna zmiana. Duch badawczy wieku i tutaj zaczyna pokazywać pewne niedowierzanie i rozpoczyna, jak nad wielu innemi rzeczami, analizę serca kobiecego. Urok bezwzględny się rozwiewa, czar dawny traci na swéj mocy, chłodniejsza rozwaga dopatruje się plam na słońcu i odważa się niedyskretną ręką obnażać niewidziane przedtém słabości... I oto nie-

zadługo ten sam poeta, co śmiechem swoim dobił i pogrzebał średniowieczną szcwaleryę, wraz ze wszystkiemi jéj złemi i dobremi ekscentrycznościami, wymierza także satyryczny grot na kobietę, za przedmiot idealnych westchnień nieszczęsnego Don-Quixota obiera pierwszą lepszą dziewkę od krów, istotę z najrealniejszemi instynktami, i tym sposobem robi karykaturę owego nieograniczonego uwielbienia dla kobiety. Tak jest, ta pierwsza lepsza przez Don-Quixota spotkana Dulcinea z Toboso, z prostacką manierą, zmysłowemi pociągami, brudna na twarzy i rękach, to zjadliwa ironia, straszne szyderstwo dawnego kultu, które z żywym dowodem w ręku tryumfująco woła: „patrzcie, wy rycerze à la Don-Quixote, jeżeli wierzyć będziecie waszéj fantazyi, nawet taka Ducinea będzie dla was ideałem!“

Równocześnie na drugim końcu Europy, inny, większy jeszcze poeta, daleko większą nowość wprowadził. Między całym zastępem wdzięcznych i uroczych nad wszelki wyraz postaci kobiecych, pełnych słodyczy, czułego serca, nieograniczonego nieraz poświęcenia, słowem takich, że każdy pragnąłby, aby one ożyły i żeby wiecznie pośród nich żyć można, postawił także kilka figur takich, że wstręt i zgrozę w nas obudzają. Bo taka Goneryl i Regana, taka Lady Makbet—to są poprostu zbrodniarki.

I w tym punkcie Szekspir, który tyle stworzył, odkrył nowe światy. Zdarzało się to już nieraz i w dawniejszéj poezyi, że kobieta schodziła z drogi prawéj i dopuszczała się niegodziwego czynu. Fałsz, chytrość, podstęp, zdrożne namiętnosci—to bywały zwykłe występki, których między wadami natury kobiecéj się dopatrywano. Źródłem zaś ich, więcéj niżeli złość serca, była jego słabość i ułomność, uczucie źle pokierowane, namiętność, co się przedarła przez szranki przyzwoitości i moralności. Występki owe kobiece nie były popełniane z zimną rozwagą i z braku serca, lecz przeciwnie, rodziły się z kipiących warem uczuć, z krewkości wybujałych i nieokiełznanych natur. Ich ostateczną przyczyną było serce—to serce, które, złe czy dobre, zostanie zawsze wybitną cechą i własnością kobiecości. Kiedy Klytemnestra dochodzi do tego stopnia zbrodni, który już do rzędu złych czynów męzkich liczyć przywykliśmy, że spełnia zabójstwo na swoim mężu, czyni ona to nie przez chciwość władzy, nie dla zagarnienia skarbów i łupów wojennych Agamemnona, ale dlatego, że w czasie jego nieobecności oddała serce innemu, a teraz chce się pozbyć tego, którego kochać przestała. Kiedy Medea dopuszcza się najokropniejszéj zbrodni, o jakiéj w kobiecie pomyśléć można, kiedy zabija swoje dzieci, to pcha ją do tego czynu nie co innego, tylko zazdrość na widok przeniesionéj nad nią rywalki, tylko szał namiętnéj miłości do Jazona do rąk jéj podaje żelazo, pod którém zginą jego i jéj dzieci...

Szekspir w Lady Makbet i w dwóch córkach Lira pokazał, że w duszy kobiecéj może także gościć złe innéj natury, że kobieta może stać się występną także z braku serca, przez pychę, ambicyę, chęć znaczenia i przez zaparcie się najpierwszych, najnaturalniejszych uczuć.

Nie powiem tego, żeby Lady Makbet, mimo narzucającéj się prawie analogii, zrodziła w głowie Słowackiego Balladynę. Stosunek tych

postaci do siebie, jak to później zobaczymy, inaczéj mi się przedstawia, i pierwsza myśl zarodnia Balladyny w inny, podobno o wiele prostszy sposób powstała.

Słowacki powziął zamiar napisania dramatu narodowego—szukał przedmiotu i sięgał myślą w przeszłość przedhistoryczną. Sięgnął tak daleko dlatego, że w téj najdawniejszéj przeszłości żywioł rodzinny i ludowy nie zatarł jeszcze nic ze swoich cech pod wpływem cywilizacyi i obcych naleciałości, a zatém i dramatowi mógł użyczyć barwy czysto-swojskiéj i oryginalnéj. Zrobił on tym razem to samo, co robiła w swych początkach t romantyczna, sięgając do pieśni gminnéj, szukając formy, treści albo charakteru. Pomiędzy podaniami wpadła mu na myśl powieść, przerobiona już wtedy mantyków na balladę, o dwóch siostrach, które koc ałkiego pana, zdały się na los i postanowiły, że kt bierze, ta go dostanie za męża. Jedna z tych sióstr, éj dzban już pełny, a u niéj jeszcze mało, zabiła j go wielkiego pana.

Ta to siostra za fantazyę Słowackiego. W téj prostéj dziewczynie, łkości przez tak okropną zbrodnię, zobaczył coś de szył charakter zdolny w sobie pomieścić wielki zasób potężnych, prawdziwie tragicznych namiętności. I odtąd można uważać Balladynę za poczętą w głowie poety.

Każdy taki zarodek, embryon poetyczny, możnaby porównać do punktu świetlnego, od którego na wsze strony rozchodzą się promienie w duszy artysty, do kłębka zwiniętego, z którego potém z łatwością wysnuwają się coraz daléj nitki. Ta praca idzie prędzéj niż sobie zwykle wyobrażamy, i z trudów czekających przy tworzeniu dzieła poetę jest bezwątpienia najprzyjemniejszą. Coś, co nie było, o czém sam nie miał pojęcia, rodzi się w jego duszy—rodzi się jakby bez jego współudziału, samo, jak trawy i kwiaty na polu skrapiane rosą niebieską. Przez prawo kontrastu i logicznego następstwa jedna rzecz wysnuwa się z drugiéj—to, co jest, wywołuje to, co przedtém i potém być musiało; fakt dokonany nasuwa na myśl swoje motywa, charaktery osób wytwarzają akcyę i pojedyńcze sytuacye, i naodwrót, działanie nagina się mimowoli do charakterów.

Tak więc i tu być musiało. Dumna i dzika Balladyna wywołała jako przeciwieństwo swoje potulną, cichą, o gołębiéj duszy siostrę Alinę. Powieść ludowa robiła te dwie dziewczyny biednemi, trzeba je więc było wprowadzić pod strzechę wiejską, a że ojciec mógłby zawsze stanąć silniejszą zaporą wobec złych instynktów i czynów swego dziecka, więc bardzo stosownie uczynił je poeta córkami biednéj wdowy. Ta matka musiała także mieć w sobie coś, co takiemu a nie innemu rozwojowi charakteru starszéj zwłaszcza córki sprzyjało. Przy prostactwie umysłu musiało to być serce z wielkim zasobem miłości, z uczuciem jakiémś wyższém i delikatniejszém, takiém, że mogło dobrocią swoją rozpieścić i zepsuć dziecko, tak, jak się nieraz dzieci po pałacach psują, a potém, kiedy doznało od niego niewdzięczności, było zdolne odczuć ten cios w całéj jego okropności. Jeżeli daléj ten wielki pan, graf Kir-

kor, gotów był zniżyć się aż do wieśniaczéj chaty, to musiał on także wyjątkowy do tego posiadać charakter. Musiał to być człowiek nieambitny, bez dumnych aspiracyj w sercu, tego rodzaju, że więcéj mu chodziło o zadowolenie swoich uczuć niżli o honory i o podniesienie znaczenia i bogactw swego domu. To wszystko nakoniec, co następnie miało się rozgrywać w dramacie, te czarne i demoniczne zbrodnie głównéj bohaterki, a z drugiéj strony ta niewinność zawsze upadająca i pokonana, niemogąca się nawet doczekać tego, żeby ją ludzka sprawiedliwość pomściła, bo na to potrzeba było aż bezpośredniéj boskiéj kary, wymagały odpowiedniego dla siebie tła, tak jak najefektowniejszém tłem dla płomieni i pryskających iskier pożaru są czarne chmury rozwieszone na nocnym horyzoncie. Dlatego poeta umieścił działanie swego dramatu w epoce krwawéj dynastyi Popielów. Epoka ta w naszych mitycznych dziejach wygląda wistocie ponuro i przerażająco. Poeta wzmocnił jeszcze jéj koloryt, narzucił na nią więcéj cienia i zrobił czasem anormalnych stosunków społecznych i moralnych, czasem bezprawia i pogwałcenia wszelkich zasad, idącego z samego szczytu społeczeństwa. Rządzi więc wtedy Lechią król-uzurpator, który prawego władzcę a swego brata strącił z tronu, a jego rodzinę, żonę i dzieci pomordować kazał. Dalszy ciąg jego rządów odpowiadać musi temu początkowi; cały kraj przeto jęczy pod uciemiężeniem przywłaszczyciela i coraz nowe gwałty się popełniają.

Widzimy zatém, jak z faktów podanych przez powieść ludową, z kilku wierszy ballady, w sposób całkiem prosty mogły się rozwinąć bliższe okoliczności i przynajmniéj w ogólnych zarysach charaktery głównych postaci.

Daléj snuł już poeta z innego wątku. Porzucił dalszy przebieg akcyi i rozwiązanie, jakie znalazł w powieści, i dorobił inne, na szersze rozmiary, na większą skalę, jak tego mianowicie wymagał charakter bohaterki taki, jak on go sobie wyobraził. Dla porównania przytoczę tu jednak jak tę historyę opowiada ballada. Oto zbrodnicza siostra poślubia wielkiego pana i żyje z nim długo w dostatkach i honorach na jego zamku. Po latach dopiero kilku czy kilkunastu, spędzonych bez żadnych ważniejszych zdarzeń, gdy może i głos sumienia zaczął się w niéj przez czas już uciszać, zbrodnia wydaje się cudownym sposobem. Syn zabójczyni, biegając raz po gaju, z wierzby nad ruczajem rosnącéj ukręcił sobie dudkę. Jest to właśnie wierzba, pod którą matka niegdyś spełniła morderstwo, więc ta dudka śpiewa chłopcu ciągle smutną piosnkę o śmierci siostry zabitéj przez siostrę. Chłopiec śpieszy na zamek, chwali się przed matką tą cudowną piszczałką i zaczyna grać na niéj. Gdy matka piosnkę tę usłyszała,

„Jak stała, padła i umarła."

W tragedyi Słowackiego ta zbrodnia jest zaledwie pierwszym szczeblem drabiny, prowadzącéj coraz głębiéj w przepaść. Na drugi dzień po ślubie Kirkor opuszcza swą małżonkę i wyjeżdża gdzieś tajemniczo. Tak prędko?... w tak zagadkowy sposób?... to zadziwia Balladynę. Nie wie ona, że Kirkor tuż przed jéj poznaniem wziął na siebie ważny obowiązek, który jaknajprędzéj wypełnić musi. Brat panu-

jącego króla-przywłaszczyciela żyje bowiem dotychczas, ukryty w puszczy leśnéj pod szatą pustelnika. Kirkor spotkał go tam przypadkiem, poznał go i poprzysiągł, że mu tron powróci. Jego tajemniczy wyjazd po ślubie—to wyprawa na Gniezno, aby nagle i znienacka uderzyć na uzurpatora. Ale Balladyny sumienie drży przed najmniejszym pozorem, że własna jéj okropna tajemnica wydać się może. Z kilku słów męża, przypadkowo wyrzeczonych, przychodzi do wniosku, że Kirkor jest na tropie jéj zbrodni, że jedzie przekonać się, może odszukać ciało Aliny... Kto wie po co? ale dość, że już coś wie, że się czegoś domyśla. Balladyna ogląda się z ... uje jakiegoś silnego ramienia i spólnika—bo trzeba ... ygotować, i ona jest zdecydowana na wszystko. O ... e się podniosła, o tę wielkość, którą już ma, i o tę w ... rą w swéj duszy przeczuwa, gotowa walczyć z każ ... go zaprzeczał, a naprzód ze ze swym mężem. Te ... dla niéj? Tylko narzędziem, tylko jednym ze stop ... chce się piąć w górę.

Nie kochała go, ... bem w przesadnych słowach określiła swą miłość, ... naprawdę nie mogła — ich charaktery nazbyt są ... Kirkor w oczach Balladyny jest tylko starém dzie ... ém i miękkiém sercem, niewzbudzającém w niéj ... Czuje ona, że niezadługo byłby on tylko zawadą na jéj drodze, tak jak już dzisiaj zawadza jéj stara matka. Balladyna jest grafinią i chce nią być w całém tego słowa znaczeniu, chce w przyszłości być jeszcze czémś więcéj—a tu ta stara matka całą swą osobą, swą mową, swemi manierami ma wiecznie przypominać jéj i światu, że żona grafa była niedawno chłopianką, że tylko przez zbieg okoliczności, ślepym trafem (ach, bo świat nie wie przez jak ciężką zbrodnię!) wdarła się na ten wysoki stopień. Szereg więc nowych zbrodni zaczyna się od zaparcia się matki. Najprzód nazywa ją Balladyna swoją mamką i każe trzymać zdaleka od siebie zamkniętą na wieży. Ale staruszce, która nawet nie domyśla się uczuć złowrogich córki, tęskno za swoją pieszczochą, smutno samej w wieży, a także trochę głodno i chłodno, bo służalcy niebardzo pamiętają o kobiecie, która dla ich pani jest obojętna i niemiła. Matka przemocą dostaje się przeto do Balladyny—i nieszczęsna najgorszą do tego wybiera chwilę. Upojona swém nowém dostojeństwem i dumą, zasiada właśnie ta wyrodna córka w gronie najpierwszych osób z całego królestwa. W jéj towarzystwie znajduje się nawet król, wprawdzie niedawno dopiero przez nadgoplańskie Elfy przeobrażony w efemerycznego monarchę, chłop Grabiec, ale zawsze choć na ten krótki moment uchodzący w oczach wszyskich za ukoronowaną głowę. Balladyna nie wzdryga się przed najokropniejszą decyzyą: zapiera się przed wszystkiemi matki i jako natrętną, szaloną żebraczkę, każe ją z zamku wyrzucić na głód, nędzę i burzę.

Tymczasem znalazła i spólnika. Jest nim Kostryn, przybłęda niemiecki, wygnany ze swéj ojczyzny dla niecnych czynów. Pochlebstwem i nędznem kłamstwem, że jest wydziedziczonym synem książęcym, wkrada się do serca Balladyny, łaknącéj hołdów i czołobitności, i w zy-

sku obiecuje sobie posiąść jéj osobę i skarby. Balladyna odgaduje w nim duszę czarną, nieprzebierającą w środkach, gotową iść wszędzie, gdzie jéj zaświeci złoto, rozkosze i mamidła ambicyi. Ale tego jéj właśnie trzeba; szlachetne serce i czyste ręce do jéj zamiarów na nicby się nie przydały. Związek tych dwóch istot podobnych sobie, lubo tylko do pewnego stopnia, uświęca się niezadługo i ścieśnia przez wspólną zbrodnię Kostryn jest tym razem jéj inicyatorem. Z chytrego wyrachowania, że mu potrzeba mieć Balladynę w swéj mocy i odciąć jéj odwrót, umie tak zaniepokoić jéj sumienie, wzniecić obawy i pokierować jéj ręką, że Balladyna zabija Gralona, posłańca przybyłego od jéj męża, w tém mniemaniu, że ta śmierć przyczyni się do zachowania tajemnicy tak dla niéj niebezpiecznéj, t. j. zabójstwa siostry.

Wkrótce przekonywa się ona także, jak słusznie przewidywała, że wcześniéj czy późniéj przyjdzie jéj wystąpić przeciw mężowi w postawie nieprzyjacielskiéj i na własną rękę rozpocząć działanie. Właśnie w czasie owéj uczty pamiętnéj w dramacie przez oburzające wypędzenie matki, pamiętnéj także i przez widma dręczące Balladynę w postaci zabitéj Aliny, zdarzyło się, że przybył od Kirkora goniec z doniesieniem, iż cel wyprawy, tajemnicą przez niego dotąd osłanianéj, świetnie został osiągnięty, że Kirkor zwyciężył uzurpatora, pozbawił go tronu i życia, i że wreszcie przez wdzięczny lud królem za to okrzykniętym został. Gdyby goniec na tém był przestał, szczęście Balladyny nie znałoby granic, i kto wie, tu może byłby kres jéj niegodziwości. Ale Kirkor zrobił jeszcze coś, co ją do najwyższego stopnia oburzyło i najboleśniéj zadrasnęło jéj dumę: Kirkor nie przyjął ofiarowanéj korony, a między przyczynami podał i tę, że ożeniwszy się z chłopianką, wie naprzód, że panowie nie chcieliby kiedyś ulegać dzieciom z jego żony urodzonym. Najważniejszym jednak powodem, którego na razie Kirkor nie odkrył, było to, że on znał prawego dziedzica tronu, owego pustelnika żyjącego w lesie. Dlatego też ogłosił ludowi, że ten ma być królem, kto się pokaże w znanéj wszystkim koronie królewskiéj na głowie, w téj saméj koronie, którą za widzeniem się swojém z pustelnikiem w jego rękach oglądał. Kirkor nie wiedział jednak o tém, że tymczasem ta korona przeszła na głowę Grabca, gdzie ją umieścić kazała Goplana, kiedy pijanemu jéj kochankowi przyszedł ni ztąd ni zowąd kaprys do głowy, aby go goplańskie Elfy za króla dzwonkowego przebrały.

Oczy godowników obracają się więc na Grabca, niepojmującego nawet co się dzieje, bo na jego głowie błyszczy korona Popielów. Grabiec, król dzwonkowy, ma być tedy prawym królem Lechii. On?... czemu nie Kirkor, a z nim Balladyna?... Ale Grabiec dobrze podchmielony jest gościem w zamku Balladyny, zostaje w nim na noc—zostaje jakby w więzieniu, jeśli pani domu tak zechce, niby na jéj łasce. Sposobność sama się nadarza zrobić z nim i z jego koroną co się podoba. W nocy, z nożem w ręku idzie Balladyna do jego sypialni i zabija go. Tę samę myśl miał także i Kostryn, i on chciał dostać w swe ręce koronę, a z nią tron. Przyszedł nieco później, już po czynie, i pozostało mu tylko do zrobienia to, że zabrał koronę z sypialni Grabca, któréj Balladyna, dręczona strachami wyobraźni, znaléźć tam nie mogła. Korona ma zatém

dwóch niejako posiadaczy, z których każdy chciałby ją mieć dla siebie samego. Balladyna odgaduje myśl spólnika-kochanka, że dla korony chciał z nią zrobić toż samo, co ona przed chwilą z królem dzwonkowym zrobiła, i nienawiść skryta, ale tém wścieklejsza budzi się w tych zbrodniczych duszach ku sobie nawzajem. Interes jednak łączy je na chwilę jeszcze krótką. Kirkor dowiedział się bowiem tymczasem, że korona została skradzioną prawemu jéj właścicielowi, i ogłosił, że żelazem będzie ścigać każdego, ktoby się z nią pokazał. Trzeba więc zebrać i uzbroić wojsko przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i iść na bój z nim.

Pod murami Gniezna kończy się walka między Kirkorem z jednéj a Balladyną i Kostrynem z drugiéj strony. Kirkor ginie, jego wojsko pokonane, Balladyna zwycięża. Lud otwiera jéj bramy stolicy i wita królem. Kostryn jest jéj przeto już niepotrzebny, a niebezpieczny, bo zazdrości jéj korony, i co więcéj, zna wszystkie jéj tajemne zbrodnie, do których niedawno przyłączyła Balladyna i tę, że kazała zabić Pustelnika: prawego króla, jak wiemy, gdy on ze zbiegu poszlak domyślił się, że to ona zabiła Alinę niedaleko jego groty. Balladyna truje Kostryna chlebem, którym ją mieszkańcy stolicy przyjęli, przekroiwszy go nożem po jednéj stronie zatrutym. Ostatni człowiek, co znał jéj przeszłość, czarną i straszną, zeszedł z tego świata—dla niej może się zacząć nowe życie wielkości i chwały, niezamąconéj obawą ni wstydem przed ludźmi.

Według panujących zwyczajów, naród żąda, aby nowy król, w którym ze zdziwieniem poznano kobietę, rozpoczął rządy od sądzenia winnych. Stają oskarżyciele przed tronem: lekarz królewski, zanoszący skargę o otrucie Kostryna, pasterz Filon (figura epizodyczna, o któréj dlatego nie miałem sposobności dotąd wspomnieć) o zabicie Aliny, wreszcie wdowa, owa biedna wypędzona matka, skarżąca swoje dzieci o niewdzięczność. Kto jest oskarżonym o wszystkie te zbrodnie, aktorowie téj sceny nie wiedzą, ale my wiemy, że to taż sama, co ma sądzić i wyrok potępienia wydać... Przypominają sobie czytelnicy, jak się te sądy kończą. Kara dosięga Balladynę bezpośrednio z nieba. Za wszystkie swoje ohydne czyny, zwłaszcza za najohydniejszy ze wszystkich, za niewdzięczność i okrucieństwo na matce popełnione, zabija ją piorun.

To rozwiązanie w całém tego słowa znaczeniu będące tém, co się „deus ex machina" zowie, niekorzystne zarówno w czytaniu jak i na teatrze wywiera wrażenie. Wiemy jednak, że nie wyniknęło ono z tego, żeby poeta *inaczéj* sobie poradzić nie umiał, żeby tak był zawikłał węzeł dramatyczny, że go rozwiązać nie mógł i musiał przeciąć, uciec się do środka nadprzyrodzonego i cudownego. Owszem, rozwiązanie to odpowiada założeniu całego dramatu, temu jego charakterowi, o jakim poeta szczególnie w początkach myślał. Powiedzieliśmy, że Słowacki przedsięwziął napisać dramat przedewszystkiém narodowy, że w tym celu sięgnął w tak daleką przeszłość, że w pieśni gminnéj wyszukał dla siebie przedmiotu i żywioł ludowy wprowadził na scenę. Pieśń gminna zaś nigdy nie obchodzi się bez cudowności, lud nie pojmuje wydarzeń tego świata bez namacalnego wpływu nadprzyrodzonych potęg. Tak

dzieje się w pierwotnéj poezyi wszystkich narodów, tak i w Homerze bogowie i boginie osobiście i bezpośrednio mieszają się do każdéj ważniejszéj sprawy ludzkiéj. W dramacie zatém Słowackiego musiała się znaléźć także cudowność i wystąpić w téj roli, jaką jéj nadaje wiara ludowa i pieśń gminna, t. j. jako ta wyższa potęga, która jest początkiem i motorem ludzkich działań, a zarazem także i ich ostateczne rozwiązanie, wymiar nagrody i kary, w swojéj dzierży dłoni.

Te nadprzyrodzone potęgi nie były temu obce, gdy Balladyna po raz pierwszy na drodze występku stanęła. One, można powiedziéć, ułatwiły jéj ten krok pierwszy, naprowadziły ją na tę ścieżkę. Goplana, nimfa i królowa Goplańskiego jeziora, pokochała się w wiejskim parobczaku Grabcu, a wiedząc, że ten zwraca oczy na Balladynę, kiedy ona jeszcze tylko prostą wiejską dziewczyną była, z zazdrości postanowiła ten związek rozerwać. Najprostszy na to sposób: wydać dziewczynę za kogo innego. Kirkorowi wypadała właśnie wtenczas droga koło domu matki Balladyny, Goplana kazała więc swym służebnym duchom, by mu się w tém miejscu złamało koło, by wstąpił do chaty, ujrzał piękną Balladynę i pokochał. Nieszczęściem, instrukcya dana przez nią Skierce nie była dokładną. W domu wdowy były dwie córki, a Goplana nie powiedziała, w któréj z nich Kirkor ma się zakochać. Skierka, by wybrnąć z kłopotu, nie znalazł innéj rady nad tę, żeby Kirkor równocześnie do obu uczuciem rozgorzał. W jaki sposób wyjść z tego dylematu sercowego? Niema innego, tylko zdać się na los. Niech obie dziewczęta idą i szukają malin, która ich więcéj nazbiera, będzie żoną grafa... I tak Balladyna naprowadzoną została na drogę występku—cały impuls dalszéj akcyi wyszedł od tych wyższych potęg.

Drugi raz, lubo w sposób mniéj stanowczy, wpływają one na przebieg działania i losy Balladyny wtenczas, kiedy Goplana, dogadzając bezsensownemu kaprysowi Grabca, przedziergnęła go w króla dzwonkowego. Ale wtenczas przypadek, czysty przypadek, nieusprawiedliwiony niczém przez poetę, odgrywał niemniéj ważną rolę, bo Elfy Goplany włożyły na głowę Grabca koronę, która tylko przypadkiem przez Pustelnika została zostawioną, ową koronę Popielów, po któréj miał być poznany prawy władzca, która zbudziła piekielne pragnienie w Balladynie i tym sposobem dała pochop do nowych zawikłań w dramacie, do nowych zbrodni bohaterki.

Mając na uwadze ten żywioł cudowny, jego dosyć ścisłe wplątanie w akcyę i zależność od niego najważniejszych wypadków, możemy zrozumiéć przyczyny, które spowodowały poetę do zakończenia dramatu bezpośrednią interwencyą nieba. Wydaje nam się, że pisząc to zakończenie, musiał miéć na myśli setki podobnych rozwiązań w powieściach i pieśniach gminnych, bo czyż tam prawie nie zawsze zbrodniczy bohater lub bohaterka kończą swój żywot w ten sposób, że ich ogień niebieski pali... Na jedno trzeba tu było tylko uważać, — na to, że dramat nie jest pieśnią, ani gawędą, która się przy blasku łuczywa naiwnym słuchaczom opowiada. W dramacie uchodzi i znajdzie dla siebie miejsce taka cudowność, jaką przedstawiają figury Goplany, Skierki, Chochlika, mimo swéj wyższéj potęgi podobne chęciami i namiętno-

ściami do ludzi, ruszające się i mówiące jak oni, więc dla nich zrozumiałe,—ale piorun, bezcielesny i bezosobowy będzie zawsze na scenie zjawiskiem zbyt metafizycznem, nadzwyczajnem i niepojętem...

Kiedy Balladyna po raz pierwszy się pojawiła, inny znakomity poeta, Zygmunt Krasiński, zawołał na jéj widok: „Midsummernight dream!“ Słowacki sam w liście do matki przyznawał, że możnaby znaleźć pewne podobieństwo téj jego tragedyi do króla Lira; jeden z krytyków jego wreszcie, nié uznając ani podobieństwa do Snu nocy letniéj, ani do Lira, dopatrzył się wiele podobieństwa do Makbeta.

Podobno jednak jest prawdą, że wszyscy mieli słuszność, że w Balladynie mieści się i Sen nocy letniéj, i Lir, i Makbet.

Poeta téj miary co Słowacki, z tylu darami natury, z taką nieograniczoną władzą nad językiem i formą, z taką głębokością uczucia i bogactwem fantazyi, zdawałoby się, że powinien być oryginalny. A jednak wiadomo to oddawna, że zawsze zostawał pod wpływem jakiegoś potężniejszego geniuszu, że wielostrunna jego lutnia przypominała często tony zkądinąd już znane. Pokazuje się, że wyliczone dopiero przedmioty nie wystarczają, że aby zostać istotnie wielkim poetą, na jakiego potężny zakrój był w naturze Słowackiego, potrzeba jeszcze czegoś więcéj. Potrzeba zapewne pewnego samodzielnego poglądu na świat, pewnéj myśli filozoficznéj, w którejby fantazya poety z rzeczywistością świata się kojarzyła, potrzeba głębokiego rozumu i tego jasnowidzącego uczucia, któreby wszystko, co istnieje w żyjącéj i martwéj naturze jako piękność, jako boleść lub rozkosz, jako występek lub cnota, jako fałsz albo prawda, odczuło własném sercem, mocno i prawdziwie, bez sfałszowania jednéj nuty, bez chybienia w jednym rysie... Życie fantastyczne w kole marzeń, brak wielostronnéj obserwacyi i refleksyi nad tém, co go otaczało, to była bezwątpienia najgłówniejsza przyczyna, że Słowacki tak łatwo przejmował się duchem innych poetów, że nie umiejąc swych pomysłów ucieleśnić i urzeczywistnić, chwytał tak skoro gotowe formy, które inni wynaleźli i w nich skrystalizowali swoje natchnienie. Naśladownictwo jego sięga nawet do zadziwienia daleko, dalej niż wielu innych z nierównie mniejszym talentem poetów. Ten bogacz umysłowy, ten niedościgniony mistrz słowa, artysta, mający na swéj palecie takie bogactwo kolorów, popełnia, możnaby powiedzieć, rzecz nierozsądną, dziwactwo, jeśli zamiast własnych skarbów używać, pożycza i bierze od innych na własne wydatki. A jednak musiał on to czynić, bo w jego skarbnicy były wprawdzie brylanty, w jego śpiżarni najwybredniejsze łakocie, ale brakowało częstokroć monety zdawkowéj, powszechny kurs mającéj, brakowało powszedniego chleba. Dlatego on też chętnie przywłaszcza sobie podobne przedmioty, przejmuje zkądinąd zarysy całych charakterów, powtarza całe sytuacye i sceny, bo to są właśnie rzeczy, do których najlepsze modele można znaléźć tylko w rzeczywistości, za cenę długiego i mozolnego doświadczenia.

W chwili, w któréj napisał Balladynę, był Słowacki już od lat dwóch pod przeważnym wpływem Szekspira. „Szekspir i Dante — pisze do swéj matki — są teraz moimi kochankami; i już tak jest od dwóch

lat; im więcéj się w obydwóch wczytuję, tém więcéj widzę piękności.“ I rzeczywiście, uwielbienie to coraz więcéj rosło. W dwa znowu lata później, w czasie podróży po Wschodzie, gdy płynął łódką po Nilu, a dokoła siebie widział piramidy i obeliski, więc to, co do cudów świata się zalicza, porównał je w myśli z dziełami wielkiego dramaturga i nie zawahał się ani na chwilę, co zresztą bardzo jest sprawiedliwe, tym ostatnim przyznać pierwszeństwo i wyższość. Jest-to znana powszechnie apostrofa, w któréj Słowacki, najgoręcéj i najwymowniéj zapewne ze wszystkich poetów, wypowiedział swą głęboką cześć dla Szekspira i ukorzył się przed jego geniuszem:

Wyznam ci, że mi widać głębiéj i wyraźniéj
Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.
Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni:
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni!
Ludziom na nią wchodzącym błędną z trwogi twarze! —
Płaczesz nad piramidą nieszczęścia w Learze;
Z niczego — a zazdrością już szatana bliski
Otello — jak bodzące niebo obeliski.
Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,
Zkąd gwiazdy niebios człowiek wyśledzał tajemny:
W Szekspira gmachach równie zostawiona droga
Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Sprawiedliwie, powtarzam, nad te kolosy z ciosów i granitów, które wzrokowi ludzkiemu pomagały do ogarnięcia świata materyalnego, postawił wyżéj te olbrzymie postacie poety, w których jak w zwierciadle cała głębia ducha ludzkiego i praw moralnych świata się odbija.

To przejęcie się Szekspirem nie było dla Słowackiego, tak jak u niektórych innych się zdarzało, tylko punktem wyjścia i szkołą przed dojściem do samodzielności. Jak raz zapanował nad jego duchem, tak już nie wypuścił go z pod swéj władzy. Prawda, że później był znów Kalderon jakiś czas podobnym panem, ale było to już w innéj, dosyć smutnéj epoce, gdzie czynność literacka Słowackiego zeszła z właściwéj drogi. Tutaj zaś mam na uwadze szczególnie tę najświetniejszą jego epokę, w któréj przyświecała mu wyraźnie myśl stworzenia dramatu narodowego, myśl później dla innych, nieliterackich i nieartystycznych celów porzucona. We wszystkich dramatach w owym czasie powstałych roją się figury będące odbiciem Szekspira, uderza nasze ucho nastrój i ton tak żywo ten wielki oryginał przypominające. Dosyć będzie wspomnieć kilka wybitniejszych przykładów, jak: Szczęsny-Hamlet, Giani-Romeo, Anselmo-Lorenzo, Szaman-Prospero, a nawet Krak-królewicz Henryk i Harmider-Falstaff; dosyć porównać naprzykład gorący koloryt Beatryxy Cenci z południową atmosferą wiejącą od Romea i Julii.

Mówię o tém nie dlatego, ażebym czynił zarzut Słowackiemu, ale dlatego, że tak jest. Najwięksi potentaci umysłowi, taki Gete, Szyller, Wiktor Hugo, uginali się przed Szekspirem i nie taili się z tém, że się od niego uczą i z niego korzystają. Szekspir jest kulminacyjnym punktem nowożytnego dramatu; on go stworzył i dotychczas w nim niepodzielnie panuje. Kiedy się to panowanie skończy? któż może wie-

dzićć? W każdym razie potrzeba będzie do tego wielu zmian, wielu przejść w świecie umysłowym, może nawet kompletnego przewrotu i przeobrażenia się naszéj cywilizacyi. Może dopiero wtenczas, kiedy nasze pojęcia o świecie, o moralnosci i naturze ludzkiéj będą tak odległe od Szekspirowskich, jak były te, które on i jego czas posiadał, od pojęć starożytnego świata; może dopiero wtenczas, kiedy przyjdzie chwila będąca takim przełomem i zwrotem w dziejach powszechnych, jakim był wiek XVI, wiek reformacyi, wielkich odkryć, poczynającego się racyonalizmu i wszystkich z tego wypływających następstw, w porównaniu ze schodzącemi ze sceny historyi wiekami średniemi — może dopiero wtenczas zjawi się geniusz, który pochwyci i ujmie nowego ducha czasu w ten sposób jak Szekspir, na nowych psychologicznych i etycznych podstawach zbuduje nowy dramat i poetę Albionu przeniesie na to miejsce, które dziś zajmują klasyczni tragicy — na miejsce honorowe i dygnitarskie, ale pozbawione wpływu na obecność i to, co ona z siebie wydaje...

Zadaleko się zapuściłem, choć mi się zdaje, że te nawet tak odległe rzeczy są w pewnym związku z poetą i z dziełem, o których mówimy. Chciałbym jeszcze w tym przedmiocie dopowiedzieć słów kilka, których brak może tutaj bardzoby się uczuwać dawał. Twierdząc, że naśladownictwo Słowackiego było daleko sięgającém, że przechodzi nieraz prawie w kopiowanie i powtarzanie, nie chciałbym, aby znów moje zdanie nazbyt daleko sięgającém się wydawało. Nie zwykła to była, szczególna, trudna do zrozumienia nawet pod względem artystycznym natura. Naprzykład w punkcie, którym się teraz zajmujemy: olbrzymi talent, rzeczywista genialność, i robienie tego, co zwyle tylko niższe talenta robią, i znów robienie tego na swój własny, odmienny od innych sposób. Kiedy inny poeta spróbuje czegoś podobnego, kiedy naśladuje i powtarza jakiegoś mistrza, jakaż blada, martwa i niezkładna wychodzi zwykle z pod jego ręki robota. Widząc ją, powiemy zaraz: ten człowiek nie odczuwał tego, co tworzył, w nim nie było siły do oddania tego, o czém myślał. Przeciwnie u Słowackiego; u niego wszystko, i wtedy gdy naśladuje, wre życiem i gorącością serca; każdy rys kreśli on pewną ręką, z siłą i przekonaniem, że tak być powinno; w tym cudzym świecie, do którego wdarł się na chwilę, gospodaruje jak pan domu, któremu znany każdy kącik i zaułek i który ma tu nieograniczoną władzę. Słabsze talenta kiedy naśladują, to praca ich wygląda jak te kwiaty sztuczne, robione z papieru i gazy, na wzór róż i lilij oddychających powietrzem pól i łąk; Słowacki inaczéj postępuje; on robi tak jak ogrodnik, który egzotyczne rośliny do swego kraju, pod inną sferę przesiedla. To, co w nowéj ojczyznie wyrośnie, będzie to taż sama co dawniéj roślina, a jednak będzie w niéj i pewna różnica, do pewnego stopnia odmieni ona swą naturę, bo będzie wypielęgnowaną w innych warunkach, pod innym klimatem i w innéj ziemi, i od pracy i zdolności ogrodnika zależéć będzie, czy lepiéj czy gorzéj się uda. Pozostanie jéj tylko jeden przymiot wspólny z pierwotną rośliną, przymiot nieoszacowany — życie.

W Balladynie reminiscencyj Szekspirowskich i przyswojeń z niego jest daleko więcéj niż w którymkolwiek innym dramacie Słowackiego. Widać tu pierwsze wrażenie, pierwszą znajomość z mistrzem, który młodemu poecie przepełnił głowę swojemi obrazami.

Cała najprzód część cudowna, fantastyczna, jest wymodelowana podług Snu nocy letniéj. Goplana, to Tytania — cała jéj sytuacya, to, co się z nią dzieje, jest całkiem do losów Tytanii podobne. Szekspir jednak, jako poeta nawskróś dramatyczny, nie zapomniał dokładnie umotywować co w postępowaniu Tytanii jest niezwykłém i co dla nas stanowi główną cechę téj figury. Jak u Goplany tak u Tytanii nienaturalném się wydaje, wygląda na rzecz całkiem sprzeczną z temi postaciami czarujących bogiń, z ich poziomem umysłowym, i że tak powiem, z ich stanowiskiem hierarchiczném, że jedna zakochuje się w Spodku przemienionym w osła, który i bez tego nie byłby stosownym dla niéj Adonisem, a druga w gburowatym, ograniczonym i ciągle prawie podchmielonym Grabcu. Ale u Szekspira jest-to tylko chwilowy obłęd Tytanii, skutek zemsty wywartéj na niéj przez Oberona, a bynajmniéj nie wybór jéj serca. Skoro Tytania wyrwała się z mocy czaru na nią zesłanego, cały ten dziwaczny romans, przez nią niedawno prowadzony, wydaje jéj się snem, czémś niepodobném do prawdy, a widok Spodka obudza w niéj obrzydzenie. Goplana kocha się w Grabcu i ubóstwia go, choć według naszych wyobrażeń nietylko czyniéby tego nie powinna, ale nawet i czyniéby nie chciała, gdyby... gdyby nie kierowała nią samowolna chęć poety. Żaden czar, żadna obca wola na nią nie wpływa i my nie wiemy, zkąd jéj coś podobnego mogło przyjść do głowy. Jak na początku dramatu wchodzi na scenę zakochana, nie wiedząc zkąd i dlaczego, tak i schodzi z niéj w V-tym akcie kochająca, rozmarzona i oczarowana trywialną osobą Grabca.

To jest rzecz nienaturalna i nieprawdziwa. Usprawiedliwiéby ją można tylko jednym, zdaje mi się, dość śmiałym domysłem, że ta miłość do Grabca jest allegoryą.

To pewna, że Goplana jest czémś więcéj niżli fantastyczną, trochę kapryśną boginką, przebiegającą pola i niwy z zamiarem zrobienia sobie jakiéjś płochéj igraszki i zabawienia się czyim kosztem, najczęściéj biednych śmiertelników. Odsunąwszy na bok to, co jest naśladownictwem, wydaje mi się ona głębiéj pomyślaną, idealniejszą od Tytanii. Widać w niéj więcéj serca, los jéj, chociaż przeplatany wcale komicznemi wydarzeniami, wzbudza w nas żal i politowanie, nie uśmiech niewinnéj złośliwości, jak widok Tytanii. Dla Szekspira prócz tego, i to jest pewnie najważniejsza różnica, Tytania nie była niczém więcéj, tylko figurą mitologiczną, wskrzeszoną i na nowo puszczoną w świat na skrzydłach jego fantazyi. Słowacki nadał Goplanie szersze znaczenie, przelał w nią coś z tego, co mu najdroższém było i czém ta postać nas także tak mocno za serce chwyta. Goplana, królowa Gopła, jest nietylko królową Elfów i Chochlików, ale także duchem opiekuńczym nadgoplańskiego kraju. Łączy ją z nim ta miłość i przywiązanie, jakie się ma dla jednéj tylko ziemi na świecie, i dlatego to późniéj, gdy straszne wypadki, których ona, choć

niewinnie, pierwszą była sprężyną, zmuszają ją tę ziemię opuścić, tak ciężko jéj to przychodzi, tak tkliwie i serdecznie się z nią żegna.

Takie nadając Goplanie znaczenie, możnaby przypuścić, że ona w Grabcu kocha wyobraziciela tego kraju, w którym żyje, że w jego osobie kocha cały lud. A wtenczas pytanie, jakim sposobem kochać go może? dlaczego? będzie już całkiem zbyteczne.

To pogłębienie charakteru Goplany potrzebne wreszcie było, niemal konieczne, do harmonii całego dramatu. Sen nocy letniéj, to lekka, zabawna i pełna gracyi komedya, igraszka genialnéj fantazyi w chwilach weselszych, i dla niéj téż dobra jest taka Tytania, w któréj wdzięk jest najpierwszą cechą, a chwila śmiesznego obłędu najcięższą dramatyczną katastrofą. Balladyna zaś, to tragedya pełna okropnych namiętności i zbrodni; zbyteczna lekkość, nawet w eterycznych jak Goplana istotach, zaszkodziłaby jéj musiała i prędzéj możnaby żądać, żeby ten duchowy i czarodziejski świat był więcéj groźny, więcéj ponury. W Makbecie nadludzkie istoty, od których wychodzi niby impuls do krwawych katastrof, to są ohydne, przestrach wzbudzające czarownice, których cała fizyczna i duchowa natura czarności czynów spełnianych w téj tragedyi odpowiada. Goplana, odgrywająca szczególnie w początku podobną do nich rolę, za jedyny odcień tragiczności ma w sobie tylko tkliwą sentymentalność.

Co w pojedynczych sytuacyach, w całych scenach, w pewnych nieraz wyrażeniach i słowach z reminiscencyj Makbeta i Króla Lira wyniknęło, nad tém nie będę się tu zastanawiać. Każdy, kto czytał Szekspira, dostrzeże to bez trudu, chociażby nawet nie wiedział, że krytyka starannie i systematycznie wszystkie te podobieństwa już zebrała i wyliczyła. Wogóle mówiąc, od chwili, gdy poeta porzucił wątek w powieści gminnéj zawarty z końcem aktu I-go, przez akt II, III i IV snuje rzecz swoję najwięcéj na tém, co główną treść Makbeta i Lira stanowi: osiągnięcie korony przez morderstwo, niewdzięczność względem rodzica i wiarołomstwo małżeńskie. Akt znów V należy w całości do Słowackiego, a jak wiemy, oprócz otrucia Kostryna nie dodaje nic nowego do akcyi i mieści w sobie tylko rozwiązanie, tu i owdzie zbyt rozciągłe i epizodami przewleczone.

Dla przykładu jedynie, dla podsunięcia pamięci rzeczy dawno znanych, przypomnę ową wielką scenę zamordowania Grabca, w owéj chwili króla i właściciela korony Popielów, i większą jeszcze od niej scenę uczty wydanéj na swym zamku przez Balladynę, a wreszcie scenę zabicia Gralona. Sceny te nie istniałyby w Balladynie, gdyby ich wprzódy nie było w Szekspirze.

Że jednakże takie odtwarzanie, choćby najsamodzielniejsze i z największym talentem dokonane, pociąga za sobą koniecznie złe skutki w układzie dzieła, to widać bardzo wyraźnie na jednéj z wymienionych scen, mianowicie na scenie owéj uczty w zamku Balladyny. Scenie téj braknie jednolitości, bo dzieje się w niéj zawiele różnych rzeczy. Najprzód, jak w Lirze, Balladyna na téj uczcie wypędza swą matkę z domu, potém przychodzi wiadomość o zwycięztwie Kirkora nad przywłaszczycielem i o zrzeknięciu się przez niego korony, a wreszcie, jak w Mak-

becie duch Banka, pokazuje się Balladynie duch Aliny. Każda z tych rzeczy osobno wzięta wystarczyłaby, ażeby zapełnić sobą całą scenę, a bohaterka nie byłaby zmuszoną odbywać przed oczami widzów tylu rozmaitych zmian i przełomów psychicznych, między któremi trudno było poecie należyte przejścia poczynić. Z pognębiającego wrażenia, jakie na nią okropny jéj postępek z matką wywarł, musi przejść do energicznéj postawy, słysząc to, co goniec opowiada, a potém znów nagle popaść w zadumę i czarne myśli, których owocem jest zjawienie się ducha siostry... Podobny zarzut można wogóle uczynić całemu temu dramatowi. Jest w nim zawiele rzeczy nagromadzonych, a niema tego, co się ekonomią dramatyczną nazywa. Szekspir nigdy tak nie postępował, nawet wtenczas, kiedy zuchwałym ale pewnym siebie pociągiem swego pióra dwie różne powieści w jeden dramat zszywał. Wtedy czasami dwie akcye idą u niego obok siebie luzem, ale nigdy jedna drugiéj nie przytłacza, nie usuwa w kąt, nigdy jedna nie psuje wrażenia drugiéj. Zkądże coś przeciwnego daje się czuć w Balladynie? Podobno dałem już na to odpowiedź. Rodziła się ona w duszy poety nie dość organicznie, niedość samodzielnie, a oryginalne pomysły przerywane były co chwila obcemi reminiscencyami, naleciałościami zkądinąd. Było wiele bardzo pięknych rzeczy w Szekspirze, które zachwycały Słowackiego i na nieszczęście zbyt silnie zajęły jego fantazyę i gwałtem przelewały się w nowéj formie pod jego piórem. Łatwość powstawania tych obrazów kopiowanych z mistrza zrodziła ich mnóstwo, a mnóstwo stało się przeładowaniem.

Nowy a wyraźny dowód tego zobaczymy w charakterze Balladyny, złożonym podobnież z kilku różnych żywiołów.

Pierwszy jego zarys stworzyła, jak wiemy, pieśń gminna. Młoda, rozumie się samo przez się, piękna, niepanująca nad swém namiętném sercem i dlatego zbrodnicza wiejska dziewczyna, to ogólny kontur tego charakteru, jaki poeta znalazł w podaniu. Nie przypuszczam zatém, jak to już powiedziałem, aby Lady Makbet wywołała tę postać w wyobraźni Słowackiego. Ale w saméj już naturze tych figur było pewne blizkie pokrewieństwo; czyniło je mianowicie podobnemi do siebie jedno i toż samo źródło występku, t. j. duma, pragnąca się wywyższyć, i jednakowość spełnionéj zbrodni t. j. rozlanie krwi. Typ kobiety zbrodniarki przez pychę, tak wspaniale stworzony przez Szekspira, mógł bezwątpienia zachęcić albo przynajmniéj ośmielić do zrobienia czegoś podobnego. Od pierwszéj chwili uczuł on zapewne tę analogię między niemi istniejącą; Lady Makbet stanęła mu jako wzór przed oczami, podług którego mógł wycieniować ogólne kontury w balladzie znalezione. Co więcéj, i odtąd zaczyna się już wyraźny wpływ Szekspira na niego, czyny i losy Lady Makbet dały mu pochop do rozszerzenia charakteru Balladyny i do wwikłania ją w nową akcyę. Widzieliśmy, jak ta akcya jest prosta i jednolita w pieśni gminnéj. W dramacie, po zabiciu siostry i po zostaniu żoną grafa, obudzają się w bohaterce nowe i więcéj jeszcze żądające pragnienia, takież same, jakie czuła Makbet, t. j. pragnienie korony. Odtąd Balladyna przypomina całkiem

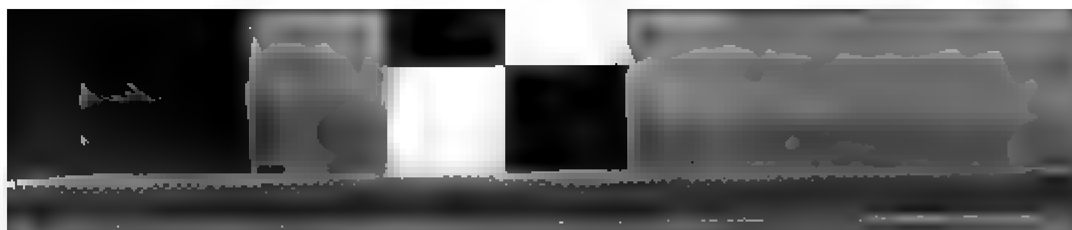
wielką swą poprzedniczkę i wiernie wstępuje w ślady postawione przez nią na drodze występku.

Ale pomimo to wielka jest między niemi różnica. Szekspir umiał doskonale zachować tę miarę psychologiczną, która nie dopuściła, ażeby tworząc nawet postać tak niezwykłą i wstrętną, zrobić z niéj potwór. Pomimo całéj ohydy jéj serca, pozostawił on Lady Makbet w granicach kobiecości; nie powiedział o niéj nic więcéj, tylko to, co zła i przewrotna natura kobieca uczynić jest zdolna. Lady Makbet jest zbrodniarką i spólniczką zabójstwa, ale obok tego nie mamy żadnéj racyi, aby jéj coś więcéj złego zarzucić. Według swojego rozumienia rzeczy jest ona dobrą żoną, i gdyby miała dzieci, byłaby podobnież dobrą matką. Zapewne łechce to jéj próżność, żeby kiedyś tytułowano ją królową i królewskie oddawano hołdy, ale na pierwszym planie widzi ona zawsze swego męża, dla niego szczególnie pragnie tronu, bo uważa, że dzielny, rycerski Makbet godniéjby na nim zasiadał, niż słaby i miękki Dunkan. A daléj znowu, jak mistrzowsko, jak zgodnie z naturą umiał się Szekspir zatrzymać na téj linii, na któréj zwykle kończy się zakres działalności kobiecéj! Lady Makbet nie jest sprawczynią krwawego dzieła—to mąż jéj zabija Dunkana... Dla niéj poeta zostawił rolę kusicielki, tę samą rolę, którą przed wiekami Pismo święte wyznaczyło pierwszéj istocie z jéj płci...

Balladyna zaś — złą jest żoną; udaje dla Kirkora miłość, któréj nie ma, a potém oszukuje go i zdradza, i ona to sama, własną ręką zabija Grabca — króla.

Ale — narzuci się tu zapewne każdemu refleksya — to dlatego, że Kirkor to nie Makbet, że w Kirkorze jak w Makbecie niema materyału na zbrodniarza, że on nie dałby się skusić do niczego złego. Nie usprawiedliwia to Balladyny, wartość jéj moralna nic się przez to nie podniesie, tłumaczy to jednak dalszy pochód dramatu i nowy jego wątek. Sytuacya Balladyny, wobec namiętnych pragnień wyniesienia się szarpiących jéj duszę, była inną niż Lady Makbet. We własnym domu, między najbliższymi sobie znajdowała ona przeciwników, t. j. w osobach męża i matki. Sytuacya szczególne znów znalazła podobieństwo do tego stosunku, w jakim córki Lira, a zwłaszcza jedna z nich, Goneryl, była do swego męża i ojca. Książę Albanii równie był szlachetny jak Kirkor, na niecne sprawki żony oburzał się i potém czynnie przeciw nim wystąpił, a stary Lir podobnież zawadzał Goneryli, bo dopóki żył i dopóki nie chciał zapomnieć, że jest królem, ona nie mogła być wszechwładną panią. I oto widzimy, jak nasz poeta obciąża znowu duszę Balladyny całą złością i wszystkiemi występkami córek króla Lira. Jak Goneryl z Edmundem, i w podobny sposób, zawiera Balladyna wiarołomne związki z Kostrynem, i jak te niewdzięczne królewny, wypędza ze swego domu starą matkę.

I znowu tutaj powtórzyć potrzeba, cośmy mówili o Lady Makbet, że nawet ta Goneryl, wyzuta z wszelkiéj uczciwości, ma w sobie jeszcze coś, co ją choć trochę od ostatecznego potępienia w naszych oczach ratuje. I ona także zachowuje jeszcze w sobie pewną cząstkę kobiecego serca, któréj z niemałym żalem u Balladyny nie znajdujemy. Nie





est-to wprawdzie żadna cnota, żaden przymiot, jest-to występna słabość, ıazywając rzeczy po imieniu, ale przecież rzecz taka, co pokazuje, że v téj kobiecie było coś ludzkiego, że się nie do ostatka swojéj natury cobiecéj zaparła. Goneryl zdradza męża, z zazdrości o Edmunda truje ıwą siostrę, ale ona przynajmniéj tego Edmunda, chociaż występnie, ıle prawdziwie i szczerze kocha i z miłością dla niego umiera. Balladyna, zgrzeszywszy wiarołomstwem przeciw mężowi i kochanka uważa ,ylko za narzędzie do swych celów, nie unosi się dla niego nawet występną namiętnością, i w końcu, aby nie dzielić z nim tronu i skarbów, truje go bezecnie.

Nic właściwego jéj płci, nic ludzkiego nawet nie zostawił poeta :éj postaci. To, co jest karą zbrodniarzy, a zarazem jakąś zabłąkaną pokutującą w nich resztą człowieczeństwa, wyrzuty sumienia nawet, ,eśli ściśle rzecz będziemy brali, są nieznane Balladynie. Wprawdzie :zasem czuje ona coś podobnego w sobie: nie może spać, wiatr na nią woła głosem zabitéj siostry, stare szczeble trzeszczą przeraźliwie w jéj ıszach, ale są to raczéj tylko chwilowe napady trwogi i lęku, z których ona prędko się otrząsa i nad niemi zapanowywa. Żalu i skruchy ɛa popełnione zbrodnie nigdzie w niéj nie widać; w zwierciadle sumienia nigdy nie widzi czynów w téj przerażającéj postaci, która naprzykład Lady Makbet o stratę zmysłów przyprawia, która nawet takiemu Ryszardowi III odbiera energię ducha i tym sposobem przyczyną jego zguby się staje. A ta zatwardziałość jéj nie jest bynajmniéj rzeczą wypadku, rzeczą nieobmyśloną przez poetę i, jak się to nieraz zdarza, :ylko przez jego nieuwagę lub nieumiejętność powstałą.

Owszem, on widoczny na to kładzie nacisk i uplastycznia nam środkami sztuki to niepojęte dla nas wnętrze Balladyny. Dwa razy jéj sumienie brane jest na próbę i oba razy pokazuje się twardszém od granitu. Raz, kiedy Goplana przybiera przed nią postać zabitéj Aliny,— lrugi raz, kiedy Pustelnik przyrzeka jéj, chcąc właśnie ją doświadczyć, :e zapomocą czarodziejskich ziół Alinę z martwych wskrzesi. Cóż na .o Balladyna? Ona nie chce, jak ją przez chwilę Goplana oszukuje, by éj zbrodnia była złudnym snem, nie chce powrotu do życia siostry, bo : tém zarazem zniknęłaby jéj wielkość zbrodnią okupiona.

„Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdéj twarzy trzy straszniejsze plamy,
Wolę je nosić aż do sądu Boga,
Niż...“—

ıiż to, żeby siostra ożyła.

Jakąś nadludzką, demoniczną siłę złego chciał poeta wlać w tę swoję bohaterkę. Szaleje ona i druzgocze wszystko, co spotka na drodze, jak huragan nieczujący i niewiedzący co robi, albo jak jaki Attyla spełniający bezwiednie przez mordy i pożogi swoję dziejową misyę. Po wszystkich tych okropnościach, po zabiciu siostry i Grabca własną ręką, po śmierci Pustelnika powieszonego z jéj rozkazu, i po śmierci męża, któréj sobie życzyła i na którą wpływała, kiedy korona uwieńczyła już jéj skronie, ta straszna bohaterka myśli i spodziewa się, że całą przeszłość swą będzie mogła rzucić w przepaść zapomnienia, że od-

tąd zacznie się dla niéj nowe życie, szczęśliwe, spokojne, może cl
lebne i cnotliwe, że ona, co tyle złego na świecie zrobiła, będzie m
odtąd ludziom robić dobrze, żyć na łonie ludzkości tak samo jak te
nigdy przeciw niéj nie zawinił. Jéj się zdaje, że to było jéj pow
niem, przeznaczeniem, ażeby wyjść wysoko, aż na stopnie tr
a wszystko, co w tym celu zrobiła, było tylko jakąś koniecznością,
lizmem, za który ona nie odpowiada, bo los tylko winien, że kaz
się urodzić w chłopskiéj chacie, w nizkości, z któréj stopniami
wyżéj musiała się wznosić przez morderstwa, zdradę, fałsz i zaparci
wszelkich ludzkich uczuć.

„Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu,
Będę, czém dawno byłabym zrodzona
Pod inną gwiazdą. Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona, —
Przeszłość odpadła, jak od płytkiéj stali,
Którą po stronie jednéj ośliniła
Żmija...“

Gdyby ta demoniczna strona w charakterze Balladyny była
życie usprawiedliwioną i wytłumaczoną, gdyby jasno był postaw
cel, do którego ostatecznie zmierzała, i ta jakaś myśl prawdopod
głębsza i potężna, choćby w gruncie fałszywa, która nią kierowała
stać ta zyskałaby wiele pod względem poetycznym i dałaby się ła
zrozumieć, chociaż dla dramatu, lubiącego przestawać w gran
czystéj natury ludzkiéj, byłaby wtenczas nazbyt gigantyczną, n
kolosalnych rozmiarów. Ale my domyślać się tylko możemy, że w
ladynie ponad myślą: aby zostać żoną grafa, a nawet ponad żądz
nu, były jeszcze jakieś wyższe, niezrozumiałe dla tłumu i wyjąt
chęci i cele, dla których można się było poświęcić na to, żeby n
wien czas z konieczności położenia zostać zbrodniarzem. My d
ślamy się zaledwie tego, i to ze słabych wskazówek na samym k
dopiero podanych w téj tyradzie Balladyny, z któréj przed chwilą
wierszy słyszeliśmy. Jeżeli poeta chciał w téj myśli tę postać przepr
dzić, a jest-to podobno jedyna, któraby była zdolna zrobić ją prawd
tragiczną figurą, powinienby był w tym punkcie rzucić na nią w
światła i od samego początku kazać nam przeczuwać w Balladyn
kie jéj nadzwyczajne demoniczne posłannictwo, jak to naprzy
uczynił Szyller w prologu do Dziewicy Orleańskiéj, kiedy mu ch
ło o pokazanie zkąd i w jaki sposób mogła powstać w biednéj pas
myśl, że jéj missyą jest oswobodzenie ojczyzny. Tymczasem Balla
przy tém właśnie pierwszém wstąpieniu na scenę niewiele nam
wiada. Widzimy dorodną, krewką, z pospolitemi zachceniami (
dectwem na to Grabiec) i ze złém sercem dziewczynę — i więcéj
żaden demon się nie zjawia, ażeby jéj pokazać drogę krwawą i ci
stą, a na jéj końcu, dla pokusy choćby jakieś mamidła wielkich i
zwykłych idej.

W ciągu dalszéj akcyi dopiero ten charakter rozrasta się i n
ra znaczenia, którego po nim nie spodziewaliśmy się, do któreg
widać w nim było zdolności, jakby tylko pod ciężarem wypad

przypadkowo, a nie z tego zarodu moralnego, który każdy w sobie nosi i z którego się jego istota, jak roślina z nasienia, rozwija i wykształca.

Główna wartość i charakter dramatu mieści się zwykle w głównéj jego figurze, bo ta przez to właśnie staje się bohaterem lub bohaterką, że myśl zasadniczą dzieła na sobie dźwiga. Byłoby jednak niesprawiedliwością, gdybyśmy nie przyznawszy Balladynie tego zaszczytu, że jest skończonym i doskonałym charakterem dramatycznym, nie postawili zarazem na widoku dwóch innych głównych postaci w tym utworze, które bez porównania świetniéj się poecie udały: Kirkora i Wdowy.

Kreślić charaktery szlachetne i cnotliwe, jak to powszechnie wiadomo, nierównie jest trudniéj od przedstawienia charakterów złych i serc miotanych namiętnościami. Wartość moralna lub utylitarna stoi najczęściéj w odwrotnym stosunku do wartości, jaką te lub owe przedmioty pod względem estetycznym mają dla artysty. Biała, czysta ściana, tak miła dla oka i potrzebna w życiu praktyczném, albo gładkie zwierciadło morza, pożądane dla żeglarzy, są mniéj malownicze i trudniejsze do oddania, jak stary, omszały mur, ze śladami deszczu i spieki słonecznéj na sobie, albo jak wichrem rzucane bałwany. Pomimo to Kirkor znakomicie się udał Słowackiemu, chociaż to człowiek szlachetny w każdym celu, lechicki Bayard *sans tache et sans reproche.*

Poeta stworzył w nim niby chodzącą doskonałość, niby wcielony ideał człowieka — rycerza, i miał o nim zupełnie toż samo wyobrażenie, które wypowiada Król-Pustelnik:

> Czyli przyrodzenie
> Nim stworzy, długo o człowieku marzy,
> Długo próbuje, naprzód tworząc kurczę,
> A potém ludzi jak Kirkor?

I w szeregu postaci z tego samego stanu, z téj saméj sfery społecznéj skreślonéj przez Słowackiego, jest-to bezwątpienia najpiękniejsza i wyjątkowa. Postaciom téj kategoryi, chociaż w gruncie dobrym i zacnym, dodawał on zwykle pewne rysy ujemne, pewne słabości i słabostki, które jakkolwiek nieznaczne, skrzywiały proste linie rysunku, i tam, gdzie był zarys na bohatera, wykluwało się niespodzianie coś, co trąci trywialnością, humorystyką nie na właściwém miejscu, albo téż dowodzi nawet pewnego spaczenia umysłu lub serca. W Kirkorze niema nic z tych cieniów, ani z tych barw krzyczących — w jego duszy niema miejsca ani na słabości głowy, ani na pyszałkowatą junakieryę, ani na urojenie o swéj wyższości, ani na rubaszność, ani na prywatę. Jest-to dusza z kryształu, czysta i hartowna jak kryształ.

Kirkor, wielki pan z rodu, zdaje się nie czuć swéj wielkości i nic o niéj nie wiedzieć. Niema w nim żadnéj ambicyi, żadnego pragnienia honorów i godności. Na dworze panującego króla znalazłoby się dla niego niejedno dobre i wysokie miejsce, ale on odsuwa się od tego dworu, bo czuje, że nie miałby nic do roboty tam, gdzie wprawdzie znalazłby dla siebie względy i łaski, ale nie znalazłby cnoty. Jego pragnie-

niem w tym czasie rozmaitych nieprawości jest tedy osiąść w swojém wiejskiém ustroniu i w jego zaciszy spokojny żywot prowadzić. Postanawia wybrać sobie żonę, i odrazu przystaje na radę Pustelnika, żeby téj żony wyszukać między prostotą, pod słomianą strzechą. Poślubia Balladynę i kocha ją i kochać będzie aż do śmierci, jak gdyby była równą mu stanem i urodzeniem, jakby mu wniosła majątki i skarby do domu, jakby przez nią wszedł w korzystne i świetne koligacye. A razem z żoną przygarnia i jéj matkę do serca; nie uważa na to, że to prostaczka, co ani mówić, ani zachować się po pańsku nie potrafi; szanuje w niéj siwe włosy, jéj [illegible] godność macierzyńską.

Ale ten cichy i be[illegible]ek, lubiący mierność i prostotę, zdolny zakopać się w [illegible] bożym nie wiedzieć, ma wielką duszę, a gdy potrzeba, [illegible]éj hart i energię niezłomną. Ma przytém głębokie pocz[illegible]iązku; wie, że jest rycerzem, że oręż ma na to przy bok[illegible]nych; wie, że „rycerz“ nie powinien gnuśnie przy[illegible]u, które się dzieje na świecie, lecz stawać w obroni[illegible] Gdy Pustelnik opowiada mu o tém, jak niegdyś [illegible], on w naiwném uniesieniu woła:

> „Czemuż [illegible] na Golgocie,
> Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą,
> Zbawiłbym Zbawcę!...“

To prostoduszne zapomnienie się, ten dziecinny prawie entuzyazm odsłania w sposób tak charakterystyczny, tak pociągający za serce, całą szlachetność téj duszy.

To też gdy dowiaduje się od Pustelnika, że on jest prawym władzcą, w téj chwili postanawia położyć koniec bezprawiu. Nie rozbiera trudności, nie zważa na nic, i do ciężkiego dzieła bierze się z całą energią, z całym zapałem, zapominając o sobie, a mając tylko na oczach wielki i święty cel. Na drugi dzień po ślubie rozłącza się ze swą żoną: nie zdołają go wstrzymać jéj prośby i smutki — udane wprawdzie, ale to nic nie znaczy, bo on o tém nic nie wie — i ze spokojnego swego zamku, gdzie mógł dnie rozkoszne przepędzić, idzie na niebezpieczeństwa i trudy wojny, niewołany, nieobowiązany do tego, tylko przez własne swoje przekonanie. Zwycięża. Dają mu koronę. Mógłby ją wziąć, ale wie, że ona mu się nie należy. W połowie drogi Kirkor nie ustaje; myśli, że nic nie zrobił, jeśli nie wytrwał *usque ad finem!* Choć Król-Pustelnik sam go namawia, aby wytchnął trochę i zamek swój odwiedził, on wydziera się na pole walki. Miękkość nie przystoi rycerzowi, egoizm na bok, gdzie idzie o rzecz powszechną. On wytchnie sobie, ale wtedy, gdy „całą pańszczyznę“ odrobi. Wtedy Kirkor, który tyle zdziałał wielkich rzeczy, będzie się dopiero czuł godnym nagrody. A jakaż to będzie nagroda? Nagroda Cyncynata i Waszyngtona: szczęście i spokój na łonie mierności, przy ognisku domowém. Wtedy on tego króla, dla którego teraz wszystko poświęca, gdy nie będzie mu już potrzebny, opuści z lekkiém sercem, nie będzie wyglądał z jego ręki zapłaty za swe czyny—skarbów i dostojeństw, jakieby mu się słusznie najpierwszemu należały, ale zostawi wszystkie te nagrody in-

nym, a królowi cały ciężar panowania, a sam zakopie się znowu w swoim zamku jak przedtém, szczęśliwy, że dopełnił obowiązku, że zrobił dobrze. Jakże rzewne, jak sielankowe są marzenia o tém przyszłém szczęściu Kirkora, u którego pod pancerzem rycerza, biegnącego na bój, nie przestaje bić i bije żywiéj nad wszelką żądzę sławy proste i ciche serce ziemianina! Marzenia, jakby wyjęte żywcem z jakiéj pieśni Jana z Czarnolesia, któremu o nic mniéj nie chodziło, jak o światową wielkość.

Niechby mi dościgał
Sad owocowy — niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje na ręku kołysał —
O to się modlę!

A gdyby miał to, czego jedynie pragnie, od króla żąda tylko, ażeby mu choć raz do roku przysłał od siebie, z wielkiego świata wiadodomość, jednę z tych,

Co budzą uśmiech i sen pod lipami
Dają smaczniejszy —

a wtedy on czuje, że szczęśliwszy jest od samego króla, wtedy

Król mi pozazdrości
Żony, i dziecka, i lipy, i chłodu,
I snów pod lipą, i złotego miodu.

Ten człowiek tak dzielny, tak szlachetny, z tak dobremi dla świata chęciami, ginie, nie dokonawszy tego, co sobie zamierzył. Ginie niewinnie, jako jedna z ofiar rozszalałéj Balladyny. Całą jego nagrodą jest to, że nie domyślał się nawet, kto kierował wymierzonym na niego zabójczym ciosem, i nie dowiedział się nigdy jaką miał żonę. Umarł z tém przekonaniem, że była najlepszą i najzacniejszą; wszystkie jéj zbrodnie zostały na wieki dla niego tajemnicą.

Poeta miał wyraźną intencyę, ażeby tę jedyną pociechę i nagrodę zachować dla Kirkora. Na jedném miejscu Pustelnik objawia toż samo życzenie:

Bogdajbyś ty nigdy
Nie znał, Kirkorze, z jakiéj matki się urodzą
Twoje dzieci —

a w słowach tych widocznie czuć chęci samego poety. Chodziło mu o to tak bardzo, że ta to okoliczność wpłynęła bezwątpienia w pewném miejscu dramatu na danie akcyi innego obrotu, niżby z naturalnego toku rzeczy wypływało, na stworzenie sytuacyi, która już niejednego swoją niestosownością raziła. Mówię tu mianowicie o téj chwili, kiedy Kirkor, zwyciężywszy przywłaszczyciela, ogłosił, że ten jest prawym królem, kto się z koroną Popielów pokaże. Po tém ogłoszeniu mógł wystąpić Pustelnik z koroną będącą w jego posiadaniu, jako prawy władzca. Bardzo byłoby rzeczą naturalną, żeby najpierw zajechał na zamek Kirkora, któremu tyle zawdzięczał, któremu powinien był zrobić podobną łaskę. Tam zaś nowy król i jego korona, wypuszczona dobrowolnie z rąk Kirkora, byliby obudzili żądzę Balladyny i byłoby się stało to, co się stało z Grabcem, ale o wiele naturalniéj, o wiele sto-

sowniéj do powagi tragedyi. Ale wtenczas i Kirkor musiałby się dowiedzićć o téj i innych zbrodniach swéj żony. Chcąc zapewne tego uniknąć, poeta inaczéj akcyą pokierował i z tego powstała tu dosyć niesmaczna sytuacya, że Balladyna z całą grozą tragiczną zabija Grabca, który po pijanemu, przez cudaczne swe zachcenie i przez powolność nad miarę Goplany, został na chwilę fantastycznym królem dzwonkowym. Jak sobie zresztą wytłumaczyć i pozycyę wobec innych tego dzwonkowego króla? Cała ta królewska rola Grabca jest niejasna. Jakim sposobem inni mogli w nim widzićć jakiegokolwiek króla? Sam jego ubiór był tak dziwaczny i niedorzeczny, że ani Balladyna, ani żaden z jéj gości, dostojnych panów, nie mogli przecież brać go na seryo, a prócz tego Grabiec pokazywał jaknajwyraźniéj za każdém słowem, w każdym ruchu, kim jest naprawdę. Wszyscy ci ludzie, jeżeli widzieli w jego królewskości coś więcéj niż maskaradę, musieli chyba być zaczarowani. Ale o tém nic a nic nie wiemy.

Najdzielniéj wykonaną, pomyślaną najoryginalniéj i wykończoną ze wszelką subtelnością jest postać matki Balladyny, Wdowy. A trudności miał tutaj poeta jeszcze większe i niezwykłe, i trzeba było wielkiego poczucia swéj siły, ażeby podobną postać pchnąć w wir tragicznych wydarzeń i zrobić, ażeby ona nie psuła harmonii całości i ażeby sama, kiedy to kolćj przyjdzie na nią, stała się tragiczną. Wdowa z natury swojéj jest bowiem niby figurą wyciętą z jakiegoś flamandzkiego obrazu i wstawiona między inne postacie z charakterem tragicznym i fantastyczną eterycznością, nie pasuje do nich na pierwszy rzut oka. Pomimo sympatyi, jaką dla jéj zacnego gruntu uczuwamy, widać w niéj pewne rzeczy, które obudzają w nas uśmiech pobłażliwości i komiczne do pewnego stopnia sprawiają na nas wrażenie. Poeta bardzo skrupulatnie zbierał podobne rysy; zapewne, tworząc tę postać, miał na myśli jakąś znaną przez siebie, widzianą kiedyś wiejską kobietę, żonę gospodarza zamożnego i mającego w gromadzie poważanie, która przy téj lub owéj sposobności otarła się o dwór, albo jaką mieszczkę z małego miasteczka, która dumna ze swego obywatelskiego stanowiska, w porównaniu do tych, co nie mają zaszczytu być mieszkańcami miasta, czuje się jeśli nie całą, to przynajmniéj jakąś pół-szlachcianką. Wdowa ma prawie wszystkie słabości ludzi téj sfery i tego rodzaju. Jest w niéj i chęć wywyższenia się, i próżność, i naiwna adoracya dla wszystkiego, co się świeci i co jéj imponuje, i znowu z drugiéj strony chęć pokazania, że to na niéj nie robi wrażenia, że to dla niéj chleb powszedni. Jéj córki są obie piękne, a szczególnie Balladyna, która „ma małą nóżkę,“ jest „biała jak śniegi“ i „pod rzęsą ma węgle;“ wciąż też staréj matce roi się po głowie, że muszą los świetny zrobić, nieraz o tém marzy, że przed jéj wdowią chatę

Jaki królewicz — niech i kuchta dworu
Albo koniuszy zajeżdża karetą —

a o tém nie myśli, żeby je wydać za równego, za jakiego dziarskiego i pracowitego parobczaka, tylko koniecznie za kogoś, co wyżéj od nich, co się choć o wyższych ociera.

Kiedy nagle szczęśliwym wypadkiem staje Kirkor w jéj chacie, to

jéj w oczy wpadają najprzód jego bogate szaty, złoto i brylanty. Od pierwszéj chwili, z tém zabiegliwém matczyném wyrachowaniem, stara się zwrócić jego uwagę na córki, bo są tak urodne, a nużby mu która w oko wpadła? A jaka przy tém przyjęciu robi się z niéj światowa kobieta, jak się sadzi na to, aby zabawić gościa rozmową, aby mu pokazać, że nie jest ot tak sobie swojego chowu, ale choć w chacie wiejskiéj, coś przecie lepszego, jeśli nie z pańska, to chociaż z waszecia. Mniejsza o to, że jéj suknia Kirkorowi grubą się wydaje, ona mu odpowie na to, że to są „ornaty," które niekażdy może przywdziać na siebie.

Od pierwszéj chwili widzimy téż w niéj, że ma szczególną słabość do Balladyny. Żałuje jéj białych rączek i chce ją w pracy drugą córką wyręczyć; dla niéj szczególnie pragnie tego jakiegoś świetnego losu, na nią zwraca szczególnie uwagę Kirkora, i potém, kiedy dziewczęta już poszły zbierać maliny, spodziewa się, bo sobie tego życzy w głębi serca, że Balladyna pierwsza z pełnym dzbankiem powróci. Dlaczego to wyróżnienie, to przenoszenie jednéj córki nad drugą? Alina z pewnością więcéj godna miłości, bo sama więcéj matkę kocha, jest dla niéj tak uległą, tak potulną, z takim zawsze szacunkiem; i zresztą jest-to serce wolne od wszelkich złych instynktów, dobre dla każdego, niepojmujące jakby można komukolwiek coś złego uczynić. Tych cnót nie widać całkiem w Balladynie. Musiała ona zawsze być dla matki szorstką, opryskliwą, nieraz przykrą, i biedna wdowa pewnie niejednę już gorzką łzę z jéj powodu połknęła. Mimo to Alina jest rodzajem Kopciuszka, a Balladyna kochaną namiętnie i z zaślepieniem, gotowém wszystko wybaczyć. Jest w tém pewna niesprawiedliwość téj ambicyi rodzicielskiéj, która każe kochać więcéj nie to dziecko, które więcéj na to zasługuje, ale to, które natura i los więcéj swemi darami wyposażyły. Wdowa przeczuwa instynktem, że jeśli która z jéj córek zrobi los, do czegoś lepszego jest przeznaczona, to pewnie nie Alina z anielską twarzyczką i gołębiem sercem, ale ta dumna, harda i posągowa, a przytém mająca więcéj głowy niż serca Balladyna. Rozumem, nieugiętym charakterem, temperamentem namiętnym ona jéj imponuje; matka widzi w niéj wyższą jakąś istotę, odróżniającą się od innych dziewcząt wiejskich, wyrosłą ponad swoję sferę, i szczęśliwa, że jest matką podobnéj córki, kocha ją zapamiętale i ubóstwia.

Ta wielka miłość macierzyńska, posunięta do słabości, a zawiedziona późniéj tak okropnie w swych nadziejach i marzeniach, jest w niéj właśnie tém, co ją w danéj chwili do wysokości tragicznéj podnosi. Wdowa, kochając córki, a szczególnie tę wybraną córkę, tak całą duszą, tak namiętnie, żąda także w tym samym stopniu wzajemności i wie bardzo dobrze o tém, że ma zupełne prawo tego wymagać. Jakkolwiek jéj córka wyszła wysoko, została żoną grafa, ona chce, ażeby wszystkie korzyści tego nowego stanu spłynęły także na nią, ażeby ona również się podniosła i z ubogiéj wieśniaczki zrobiła się matką grafiny. Różnicy między nią a sobą, rozdziału jakiegoś ona nie pojmuje. Miałożby się nie spełnić to, o czém w cichości swéj dumy nieraz tak rozkosznie roiła?— Więc i ona chciałaby tego szczęścia, téj nowéj wielkości cokolwiek użyć, chciałaby się zabawić, pokazać się światu i pochlubić się taką córką,

wielką panią. Przymawia się też o to u niéj delikatnie, ale tym tonem, który powiada, że tak być powinno. Bo zresztą czyż ta córka dla niéj nie jest zawsze tém, czém była niedawno, nie jest tą istotą, która w jakimkolwiek wieku, na jakiémkolwiek stanowisku, jest zawsze dla matki tém samém dzieckiem, które się całuje, głaszcze po twarzy, do którego przemawia się zdrobniałemi, pieszczotliwemi wyrazami?

Srogi zawód, na który nie była nigdy przygotowaną, spotyka ją. Balladyna jéj się zapiera. Wdowa z początku jéj złego przyjęcia, jéj ostrych wyrazów nie r ... a się do czego zmierzają, bo to prosta, a przytém zac ... ie pomyślała nigdy, ażeby podobna niegodziwość i ... otrzeba, ażeby córka wyraźnie powiedziała: „Ja ciebi ... eta nie jest moją matką“—dopiero wtenczas pojmu ... ém oburzeniem:

> ... lzo.
> Ah, c ... ciebie
> Nie z...

Lecz zaraz potém zn ... dy ją służący chcą na rozkaz pani za drzwi wyrzu ... że ciemno, deszcz pada i pioruny bić będą. Obawa ... nieprzyjemności przygłusza w niéj ból duszy. Jest-to rys nadzo szczęśliwy i charakterystyczny, który nawet w tak naprężonéj tragicznéj sytuacyi zwyczajny poziom umysłowy téj postaci przypomina. Ta biedna matka, tak srodze dotknięta w swych uczuciach—to kobieta, i kobieta prosta — to nie Lear, mężczyzna i król, wyzywający w takiéj saméj bolesnéj chwili wściekłe żywioły na swoję głowę:

> „Grzmijcie pioruny, lej dżdżu, pryskaj ogniu!“

Dopiero gdy widzi, że Balladyna, mimo téj prosby, niewzruszona ponawia rozkaz i, jak żebraczce, na odczepne raczéj niż przez litość, na drogę kawał chleba dać rozkazuje, ucieka od niéj z przekleństwem.

> „Bodaj cię chleb ten zadławił, zadławił!
> O! to czarta
> Córka!—nie moja, nie moja, nie moja!“

Czy ten gniew, to święte oburzenie długo trwać będą? Bardzo krótko. Biedna matka poszła gdzie ją oczy poniosą, tułała się po lesie głodna i przeziębła i od błyskawicy straciła wzrok. Czy te dolegliwości, to nowe nieszczęście z przyczyny córki na nią spadłe, rozjątrzyły jéj serce, rozogniły jéj zapalczywość? Przeciwnie, ona prędko ochłodła z uniesienia, gniew i boleść ustąpiły, a ich miejsce zajął tylko żal, że ta córka tak ukochana nie mogła, nie chciała jéj równie kochać. I roztkliwiła się nieszczęśliwa, jak ptaszek postrzelony przez myśliwca, i rozwodzić poczęła żale ze łkaniem, ze szlochaniem, nie nad złością córki, ale nad stratą jéj serca. Prześliczna to nuta w roli Wdowy ten smutek macierzyński, miękko, łzawie i rzewnie brzmiąca pośród groźnych i tragicznych wydarzeń, jak głos fletu przy ponurych organach, a tak naturalna, tak jedynie stosowna dla téj postaci, którą dopiero nieszczęście stawia na koturnie i która przedtém nie zdawała się

mićć w sobie nic takiego, coby zdolne było obudzić dla niéj owo tragiczne spółczucie, jakie upadająca wielkość albo cnota obudza.

Z uporem tych ludzi, co patrzą a widzićć nie chcą, biedna matka nawpół nie dowierza temu, co się z nią stało, i wyobraża sobie, że ta córka, co tak z nią postąpiła, kochać ją jeszcze może i kocha. Kiedy Król, Pustelnik spotyka ją w lesie, nie chce ona nawet wyjawić imienia téj okrutnicy, bo się wstydzi za nią, chciałaby występek jéj pokryć i ma nadzieję, że córka po chwili zapomnienia wspomni ją sobie, pożałuje matki i będzie jéj wszędzie szukać. Tak pragnie gorąco téj miłości, że wierzy w nią mimo tak strasznych przeciwnych dowodów. To też kiedy następnie Pustelnik jéj przyrzeka, że znajdzie opiekę u króla, ona powiada o co go będzie prosić—nie o to, żeby jéj wymierzył sprawiedliwość, żeby dopomógł w biedzie i nieszczęściu, ale żeby to zrobił, żeby ją córka kochała:

„Powiem Jemu: ja biedna matula
Do nóg się rzucam: Królu, złoty panie!
Każ córce, która złota ma obfitość,
Niechaj mię kocha!

I takie ma naiwne wyobrażenie, spólne gminowi i dzieciom, o nadnaturalnéj nawet wszechmocy króla, taką wiarę, że to niepodobieństwem jest, żeby dziecko mogło być tak wyrodne i na zawsze matkę kochać przestało, że pewna jest, iż się to ziści:

„A król z tronu wstanie
I poprowadzi mię do serca córki!"

Bo też ona, co jeszcze niedawno z rozpaczy powiesić się w lesie chciała, ta matka wypędzona przez córkę na burzę, głód i nędzę, oślepła z jéj powodu, tak mocno, z takiém niczém nieugaszoném, instynktowo-zwierzęcém uczuciem ją kocha, że jeszcze teraz, po tém wszystkiém, dumna jest nietylko z téj pięknéj, rozumnéj, bogatéj grafini, swojéj córki, jak gdyby ona była czémś najlepszém w świecie, ale dumną jest nawet z piękności jéj imienia (matki zrozumią, co to znaczy), a samo jéj brzmienie, przywołujące jéj na pamięć całą tę osobę, przez nią tak nieograniczenie ukochaną, wypieszczoną, ubóstwianą z zaślepieniem, z wściekłą namiętnością, bez uwagi na nic, na rozsądek, na słuszność, na wszelkie przeciwne przyczyny, wprawia ją w jakiś rozkoszny zachwyt.

„Ah! gdybyś ty mnie z grobu chciał ocucić,
Wołaj: Balladyna!"—

mówi do Pustelnika, to jest wymień to, com miała na świecie najdroższego, najświętszego, co mnie najwięcéj do życia przywiązywało, w czém była cała moja dusza...

Niedługo złoży ona krwawy dowód téj miłości. Wiemy już, że miała zamiar udać się do króla z prośbą, aby ją zaprowadził do serca córki. Teraz zasłyszała, że na tronie zasiadła młoda i piękna królowa, kobieta — tém raźniéj więc śpieszy do stolicy, bo kobieta prędzéj wejdzie w jéj położenie, zrozumie lepiéj jéj uczucie tak czysto kobiece i uczyni zadość życzeniom. I staje biedna matka przed tronem w chwili,

gdy odbywają się sądy. Oskarża swoje dzieci o niewdzięczność. Używa wyrazu najsłabszego, ale zarazem najdobitniejszego w tym wypadku, bo ją nic tak nie boli, nic jéj tak nie dokuczyło: ani głód, ani wichry, ani pioruny, jak to, że u dzieci nie znalazła serca, jakiego pragnęła i na jakie zasłużyła. Skarży zarówno Alinę, o któréj niegdyś Balladyna, zabiwszy ją, skłamała, że uciekła z jakimś młokosem, chociaż ona mogła zawinić względem niéj tylko lekkomyślnością, jak i drugą córkę, która z nią postąpiła jak najgorszy wróg i okrutnik. Imienia téj córki wdowa nie powiada, tak jak je zataiła przedtém przed Pustelnikiem, ale z pewną chełpliwością, z zadowolnieniem, które w jéj bolesném położeniu, przy roli, jaką w obecnéj chwili odgrywa, jaskrawym odbija się kontrastem, nie zapomina dodać tego i powtarza to po kilka razy, że ta córka niewdzięczna wyszła za grafa, że ją graf pojął za żonę, bo jeszcze i teraz cieszy ją to i jest z tego dumna, że ma córkę, co mogła dostąpić tego zaszczytu, co chociaż była złą dla niéj, nie jest czémś zwyczajném, ale wielką panią. Ta w innych warunkach komiczna próżność, na tém miejscu, w jéj ustach, wywołuje uśmiech, ale ze łzami najgorętszego pożałowania i można o niéj bez ironii powiedzieć: *sancta simplicitas!*

Prawa Lechitów przepisują karę śmierci na wyrodne dzieci, chociażby na najwyższém były stanowisku. Biedna matka nie wiedziała o tém, ale jéj powiedział to kanclerz przytomny sądom i zażądał od niéj wymienienia nazwiska córki. Wdowa, jak gdyby piorun padł pod jéj nogami, przerażona, wyrzeka się wszystkiego i cofa od wszystkiego:

„Co? Śmierć na córkę?... Panie! bądź mi zdrowy!
Żegnaj królowo! ja wracam do boru,
Będę żyć rosą"—

nie chce sprawiedliwości, ani pomocy ludzkiéj, gotowa w nędzy tułać się jak dotąd po lesie, jeżeli to, coby dla niéj stało się dobrego, córka śmiercią opłacić miała. Ona nigdy nie pomyślała o tém, żeby tę córkę karać za jéj występki, ona chciała tylko jéj serca i za tę cenę ona już wszystko jéj przebaczyła. Dla niéj nie byłoby większéj boleści nad tę, gdyby jéj córkę co złego spotkało, więc jakże miałaby na nią sama je ściągać? Własne nieszczęście, choć tak okropne, zniesie z ochotą, ale téj pięknéj, ukochanéj Balladynie, téj rozkoszy i pieszczoszce matczynéj, niechaj włos z głowy nie spadnie, niech pył jéj oczu nie zaprószy, niechajby była sto razy jeszcze gorsza dla matki. Córka niech opływa w szczęściu i dostatkach, niech ją wszyscy ludzie szanują i wielbią,—dla matki będzie ta myśl pociechą jeszcze w chwili, gdyby już z głodu gdzie pod gołém niebem konała.

Ale prawo jest nieugięte. Kto raz wniósł skargę, nie może od niéj odstąpić; winowajczyni musi być ukarana, a jeśli wdowa nie chce dobrowolnie powiedzieć, kto to jest,— zostanie wzięta na tortury i tam wszystko wyzna. Na tę straszną zapowiedź matka nie mięknie, po trzykroć odpowiada: „Nie!"—ja nie powiem czego żądacie — zapewnia wreszcie, że ta córka jest niewinna, że jéj oskarżenie było fałszywe i tylko z bojaźni przed męczarnią rzuca się do stóp królowy i błaga ją o litość. Balladyna milczy. Serce jéj musiało zadrgnąć spazmatycznie,

musiało je coś przeszyć jak zimne żelazo, ale myśl, coby mogło nastąpić, gdyby się wmieszała w tę sprawę, obawa o siebie, zamknęła jéj usta. To straszne milczenie jest potępieniem dla matki... Niedługo słychać bolesny, przeraźliwy jęk, i wdowa umiera na torturach, choć jednėm słowem wybawić się mogła; umiera, aby ocalić córkę, która się jéj zaparła, wygnała ze swego domu, a teraz milczeniem swojém skazała na męczarnie i zabiła.

Na zaszczyt rodu ludzkiego trzeba powiedzieć, że taka córka jest nieprawdopodobną, ale takich matek świat zawsze dużo posiada. Słowacki w charakterze Balladyny, jako poeta i znawca serca ludzkiego, dopuścił się grubéj, rażącéj przesady, doprowadził rzeczy do niemożliwéj ostateczności; ale w charakterze Wdowy, może w kolosalniejszych rozmiarach, może widzianą przez pryzmat poezyi, pochwycił jednak szczerą naturę.

Dochodzimy do kresu. Starałem się przedstawić dramat o Balladynie w głównéj jego treści i najważniejszych postaciach, a zarazem powiedzieć, co o nim myślę. Wypowiedziałem moje przekonanie bez żadnych osłon i ogródek, nie unosiłem się fałszywym pietyzmem dla poety, lecz zdrugiéj strony nie obniżałem jego wartości i mierzyłem go, jak on to sam przy innéj sposobności powiedział: „nie na miarę krawca, ale Fidyasza.“ Prawdziwa zasługa i znakomitość nie jednodniowa, ale mająca trwać wieki, nie potrzebują duszących kadzideł; można o nich mówić poprostu według ewangelicznéj zasady: „niech mowa wasza będzie *tak* albo *nie*,“ bez czczych wykrzykników, bez eufemicznych omówień i gorszych jeszcze od nich, bo śmiesznych, superlatywów, a na wartości swojéj nic nie stracą—owszem, powiedziałbym, wtedy ona dopiero w całéj pełni się pokaże.

Jeżeli sąd o nich, choćby najsurowszy, był prawdziwy,—szala przeważa się u nich zawsze na stronę dobrego, choćby na drugiéj, jak w każdéj rzeczy ludzkiéj, i niejedno złe się znalazło; jeżeli zaś ten sąd był fałszywy, zaszkodzi nie im, ale tylko temu, co go lekkomyślnie i niebacznie wydawał. Mówmy więc o naszych wielkościach nie jak o półbogach, nie jak o istotach nieomylnych i bezbłędnych, ale jak o ludziach, w których ceni się gorące chęci i szczytne dążenia, ale którym w udziale od natury nie dostała się doskonałość. Tym sposobem zamiast ściągać ich niekiedy z olimpijskiego nimbu bogów, podniesiemy ich zawsze na piedestał, na którym stoi to, co w ludzkim świecie, zresztą tak ułomnym i słabym, jest najlepszém albo najpiękniejszém.

Po tym obrachunku z poetą, może niezupełnie dokładnym i ścisłym, możnaby się zapewne zapytać, czyli osiągnął swój zamiar, czyli, jak to było jego myślą, stworzył w Balladynie dramat narodowy?

Ale tutaj nasuwa się najprzód pytanie, co to jest dramat narodowy? Definicya byłaby dosyć trudną, zadaleko nas prowadzącą, dlatego lepiéj odwołać się do przykładów, jakie daje historya literatury.

W nowożytnym świecie mamy dwa narodowe dramaty: hiszpański i angielski. Na czémże narodowość tych dramatów polega? Nie na formie, bo ta z małemi różnicami jest jedna i taż sama: wszędzie jéj istotą jest dyalog prowadzący do akcyi lub mieszczący w sobie akcyę,

wszędzie jest podział na sceny i akty. Treść nie stanowi również narodowości dramatu, bo tak Szekspir, jak i hiszpanscy dramatycy, brali ją z dziejów i powieści najrozmaitszych narodów. Jedynie więc tylko cechą nadającą poezyi dramatycznéj odrębność i oryginalność może być to, co rzeczywiście jest jéj najpierwszym ożywczym i duchowym pierwiastkiem, to jest ten lub ów sposób patrzenia na świat, takie lub owakie pojęcie o porządku świata i o moralnéj istocie człowieka. Z tego powodu Kalderon różni się stanowczo od Szekspira, a dramat hiszpański jest tak dobrze oryginalnym i narodowym, jak angielski, bo Kalderon w czém inném niż Szekspir widzi sprężyny czynności ludzkich i według innych zupełnie praw sądzi i wyrokuje o nich. Pierwszy stoi na gruncie wyłącznie hiszpańskim i katolickim, drugi jest uniwersalny i humanitarny, to jest czysto-ludzki w swych etycznych pojęciach. U Szekspira Otello zabija żonę, bo ją kocha, bo zazdrość, to uczucie, które zna dobrze Hottentot jak i Europejczyk, doprowadziła go do szału; u Kalderona Don Gutyere czyni toż samo, ale dlatego, aby zmazać plamę ze swego imienia, aby być „lekarzem swego honoru," którego pojęcie nigdzie do tak wysokiego stopnia się nie wyrobiło, jak w owe czasy w Hiszpanii. Szekspirowski Hamlet, a z nim, możemy śmiało powiedzieć, i Szekspir, żyjący w epoce walk i dysput religijnych, wątpi o wszystkiém; Kalderon, przeciwnie, jest pewny, że nawet zbrodniarz, który najohydniejszych występków się dopuścił, może być zbawiony, jeśli ma wiarę, jeżeli stosuje się do jéj przepisów.

Oryginalnością poetów dramatycznych więcéj niż jakichkolwiek innych jest zatém to, co duch czasu, co ta lub owa forma, co ten lub ów stopień cywilizacyi za sobą przynosi. Dotknąłem już tego punktu, lubo z innéj strony, wtenczas, gdy mówiłem o tém, dlaczego Szekspir dotąd wszechwladnie w dramacie panuje i kiedy możnaby przypuszczać, że ktoś inny to berło po nim w spuściźnie otrzyma. Podobnéj oryginalności żądać od pojedyńczych ludzi, wymagać od tego lub owego poety, aby sam jeden dał ze siebie to, co jest pracą milionów, byłoby rażącą niesprawiedliwością i nierozsądkiem. I od Słowackiego, mimo całéj jego genialnéj natury i hojnego, jak rzadko, uposażenia w poetyczne przymioty, nie mamy prawa tego żądać, a jeśliby on sam był nałożył na siebie taki obowiązek, możemy go z lekkiém sercem, a z uczuciem dla pięknych chęci i marzeń, od niego uwolnić...

Poprzestańmy na tém, że w Balladynie dał nam bardzo piękny dramat, w naszym języku napisany i po większéj części z naszych podań i obyczajów wysnuty, a w późniejszym czasie kilka jeszcze innych dramatów, niemniéj cennych i drogich. Nie dochodząc do wysokości tak rzadkich w literaturze świata twórców dramatu, przez to, co w tym rodzaju napisał, może się mierzyć z najgłośniejszymi w którymkolwiek narodzie dramaturgami. W wykończeniu formy i w historyozoficznéj głębokości ustępuje on Szyllerowi, choć przewyższa go żywością akcyi i gorącością uczucia, od Wiktora Hugo zaś jest bez wszelkiéj wątpliwości wyższy o całe niebo.

Jeszcze słowo. W tym samym czasie, kiedy Słowacki tak usilnie pracował nad dramatem i jemu głównie swoje zdolności poświęcał, inny

z naszych wielkich poetów rozmyślał także nad tym samym przedmiotem i teoretycznie rozbierał, jakim powinienby być dramat słowiański i czysto-polski. Ślady i dowody tych rozmyślań mamy w kursach literatury słowiańskiéj Mickiewicza. Na jedném miejscu, głęboki i doświadczony wielce w rzeczach literackich ten umysł, wyłuszczywszy swoje pojęcia o dramacie wogóle, tak się wyraża:

„Z tego, cośmy powiedzieli, można wnosić, jak trudno jest napisać dramat słowiański, dramat, któryby obejmował wszystkie żywioły poezyi narodowéj, nigdzie nie ukazujące się tak licznie i tak rozmaicie. Dramat ten powinienby być lirycznym i przypominać urocze dźwięki pieśni gminnych; powinienby naśladować opowiadania, jakich wyborny wzór mamy w poematach Serbów i Czarnogórców; powinienby przytém przenosić nas w świat nadziemski."

Innemi słowy, czego chce Mickiewicz? Widać to na pierwszy rzut oka: oto rozbicia formy dramatycznéj, rozłożenia na składowe pierwiastki téj pięknéj i kunsztownéj kompozycyi, nad któréj złożeniem całe wieki pracowały. Tém samém, co Mickiewicz za ideał dramatu słowiańskiego sobie przedstawił, był przed paru tysiącami lat dramat grecki w swojém dzieciństwie, kiedy przy ołtarzu Dionysosa śpiewano hymny i dytyramby i wygłaszano nadzwyczajne przygody tego boga w jego wędrówkach po Indyach i innych odległych krajach; tém samém były także i pierwociny nowożytnego dramatu, rodzącego się pod sklepieniami kościołów i krużganków klasztornych, po których kroczyły procesye, odśpiewujące pieśni na cześć Zbawcy, a gdy stanęły na chwilę, słuchające rozmaitych epizodów jego męki. Mickiewicz myślał zatém o budowie dramatu słowiańskiego od samych fundamentów, jak gdyby na tym placu nie było nic, żadnych gmachów, żadnych nawet podwalin. Tę pracę, którą już przebyły inne narody, musielibyśmy odrabiać na nowo, nie zważać nic na roboty innych i nic z nich nie korzystać. W obecnym stanie cywilizacyi, nauki i wiadomości, byłoby to rzeczą poprostu niemożliwą. O tém, co dotychczas zrobiono, a co znamy i o czém wiemy, nie moglibyśmy zapomnieć. Możemy tylko to, co jest, przerabiać, przekształcać, i jeśli się da, doskonalić i na téj drodze własnych swych plonów i własnéj zasługi się dorabiać.

Tak uczynił Słowacki. Jego artystyczny instynkt praktyczniejszą mu pokazał drogę od téj, którą wskazywała teorya Mickiewicza, będącego w owéj chwili, kiedy ją stworzył, nie natchnionym' piewcą Wallenroda i Pana Tadeusza, ale abstrakcyjnym myślicielem. Słowacki nie rozpoczął pracy od składania materyałów, od wynajdywania najpierwotniejszych pomysłów,—co znalazł gdzieindziéj gotowego, obrócił na swój pożytek, zaczerpnął od innych nauki, nie wahał się nawet szukać u innych pomocy i przyjąć ją. Tym sposobem, nie kusząc się o bezwzględną oryginalność, zdołał napisać kilka znakomitych dramatów, które mogą być przedstawiane na teatrze i dzisiejszym wymaganiom scenicznym odpowiadają,—podczas kiedy Mickiewicz dla dramatu, według jego teoryi pisanego, z góry i bardzo słusznie wyrzekał się wszelkich pretensyj do przedstawienia na teatrze. Wielka, niczém nie powe-

towana strata! Bo czémże jest martwe słowo dramatu, uwięzionego w książce, bez téj sztucznéj areny życia, która się sceną nazywa?

Tam, gdzie utwory dramatyczne Słowackiego były przedstawiane, doznawały zawsze najgorętszego przyjęcia. A najszczęśliwszą była podobno Balladyna. Trudno rozstrzygać, czy ona wistocie jest najlepszym jego dramatem, bo na takie oznaczenie wartości niema, zdaje się, dość skrupulatnéj i czułéj wagi, ale to pewna, że od publiczności otrzymała palmę pierwszeństwa i nad posągową i dlatego trochę chłodną Lillą Wenedą, i nad obcemi dla nas z treści Maryą Stuart i Beatryxą Cenci, i nad Mazepą, goniącym gwałtownie za efektem teatralnym i nad Niepoprawnymi, których [illegible] i nie przez każdy umysł mogą być pochwycone [1]). I[illegible] a na scenie, porywa za sobą rączym potokiem swéj [illegible]ią charakterów, różnorodnością żywiołów i stanów, [illegible]aniną komizmu i tragicznéj grozy, wielkością namię[illegible]zero-polskim humorem, wreszcie tym czarem wiers[illegible]a nerwach słuchaczy robi tak rozkoszne wrażenie, jak [illegible]iéj muzyki. Widz zachwycony, olśniony, oszołomio[illegible]ym artystycznym przepychem, a porywany coraz daléj [illegible]akcyi, roztargniony jéj rozmaitością, nie ma czasu [illegible]wiać się i przypominać sobie, czy zawsze w tém wszystk[illegible]wana należyta miara, czy ten lub ów charakter jest zgodny z prawdą i naturą, czy téj postaci lub téj sceny nie widział już gdzieindziéj, u innego poety, i może jeszcze lepiéj wykonanéj. Całość przemawia do niego życiem i barwnością, wszystkie części, bez względu na to zkąd pochodzą, składają się szykownie i zrastają z sobą w jeden organizm, nawet zbyteczne naprężenie tonu nie razi go, bo całe dzieło dyszy jakimś tytanicznym i demonicznym nastrojem. Widz, jedném słowem, wobec Balladyny czuje się na zupełnie inném stanowisku i w wielu względach inne od niéj odbiera wrażenie niżeli jéj czytelnik, co weźmie książkę do ręki, czyta ją między czterema głuchemi ścianami powoli i rozważnie, nie da się niczém gwałtownie unieść, porównywa jedno z drugiém, robi sobie uwagi krytyczne i estetyczne, a dla lepszéj pewności, gdy zechce, może obok położyć Szekspira i coś sobie z niego przypomniéć.

Ta druga rola, chłodniejszego i więcéj sceptycznego czytelnika, dostaje się niestety wszystkim, którzy o jakimkolwiek poecie pisać lub mówić mają. Jest-to niewdzięczne zajęcie, a wszystkie jego nieprzyjemności najprzód i najlepiéj przez tych bywają uczuwane, którzy mu się oddają. Zamiast zapału—chłód, zamiast entuzyazmu—analiza, zamiast chwili uniesienia i zapomnienia—gorzkie chwile rozwagi, jest-że mój sąd sprawiedliwy, jest-że moje zdanie słuszne? Jest-to podobne położenie, jak wtenczas, kiedy zamiast cieszyć się i ochocić z serdecznym przyjacielem, wypadnie nam dawać mu rady i robić uwagi. Zasługa

---

[1]) I „Horsztyński," wystawiony w ostatnich czasach na scenie, nie wydarł Balladynie téj palmy. Obok przecudownych miejsc widać w nim pewną chorobliwość, od któréj Balladyna całkiem jest wolna. Niema w nim także tego bogactwa i rozmaitości scenicznych obrazów, jak w Balladynie.

może w tém większa, ale obowiązek przykry. Jedyną jego nagrodą może być tylko pożytek, jeżeli kto przynieść go zdoła. Pożytek—jaki? Odświeżania w pamięci i przypominania wielkich imion i szlachetnych prac. Dla nich bowiem i dla tych, co o nich zapominają, niema nic gorszego jak ta niepamięć. Ci, co umarli, żyją, kiedy o nich myślimy i mówimy. Mówmy więc o nich, jak komu dyktuje przekonanie, na ile komu starczy wiedzy i zdolności, mówmy choćby niesprawiedliwie lub fałszywie—przyjdzie czas, że ktoś nas poprawi i znajdzie prawdę. Milczenie tylko jest śmiercią.

Słowacki nieraz bolał na tę głuszę dokoła siebie. Nie poddawał się jéj przecież, walczył z nią, tworząc coraz więcéj dzieł, któremi spodziewał się kiedyś przemówić do potomności i znaléźć w niéj sympatyczne echo. Przeczuwał także, że ta uparta walka doda mu kiedyś blasku, jak bohaterska aureola, i że czas późniejszy będzie dla niego sprawiedliwszy i szczodrobliwszy: „Walka z obojętnością ludzi podobna jest do walki Tytanów... Rzuca mi na czoło wielkie światło pioruna—będę pięknym kiedyś."

Tak wołał z głębi duszy do swéj matki, któréj wszystkie swoje tajemne bóle i tęsknoty odkrywał, ten kochanek poezyi, marzący o laurowym wieńcu na martwéj skroni tak rozkosznie, jak oblubienica o różanym wianku ślubnym...

On go już ma—ten laurowy wieniec po śmierci... wygląda w nim piękny i szlachetny... spełniły się jego pragnienia.

*Warszawa, 1879.*

---

# IRYDYON Z. KRASIŃSKIEGO.

Od kilku miesięcy na zachodzie Europy padają gromy, które wstrząsają całym światem. Ich przeciągłe echa dochodzą do nas, a my bacznėm okiem zwracamy się w stronę zkąd pochodzą, i śledzimy każdy ruch téj tytanicznéj walki, która nas napawa zgrozą i trwogą.

Trwożymy się, i słusznie, bo tu nie chodzi tylko o dwa narody stojące naprzeciw siebie z mieczem, ale o losy niemal całéj ludzkości, o porządek, jaki ma zawładnąć całym naszym globem. Tam ścierają się nie chwilowe interesa i sąsiedzkie niesnaski, ale dwie ideje, a która z nich zwycięży, ta będzie rządczynią świata.

Widok to jest wspaniały, lecz zarazem okropny. Po całéj Europie szamoczą się dusze tą myślą: co z tego wyniknie, jaka przyszłość nas czeka? W zawieszeniu są wszystkie nadzieje i obawy, gorączka niepewności trawi narody, ich nerwy drżą z oczekiwania.

A któż więcéj od nas, od tego narodu, który obecnie nie ma nic, nie jest niczém, może więcéj drżéć o przyszłość i więcéj być ciekawym, co chowają losy w swoich tajnikach? Więc jeśli widzimy, że historya staje na progu nowéj epoki, słusznie i bardzo słusznie ze skupieniem ducha, z sercem pełném trwogi i z powagą umysłu zastanawiamy się nad

tém, co nam Opatrzność zgotuje. Będzie-li lepiéj czy gorzéj? Może jeszcze gorzéj! któż może przewidziéć i odgadnąć?

I na tę myśl dziwny żal nami owłada. Mieliśmy wiarę, że ludzkość wciąż idzie naprzód, a teraz wierzyćby potrzeba, że się zatrzymuje albo cofa; spodziewaliśmy się tryumfu sprawiedliwości, a możemy patrzéć na jéj ucisk nowy; myśleliśmy, że nienadaremne są te krwawe prace, jakie świat od tysiąców lat podejmuje, a tymczasem jedna chwila może nam pokazać, że marnie poszły owoce tylu trudów i katuszy.

Zaiste, historya przedstawia bardzo często widok, zdolny rozedrzéć każde serce mocniéj i szlachetniéj czujące. Rozpacz i zwątpienie ogarnia nieraz nasze piersi, jeśli w dziejach ludzkości zmuszeni jesteśmy widziéć tylko cmentarze i pobojowiska narodów, gdzie wszystko, co powinno się było wznieść—upadło, wszystko, co powinno było żyć—skonało. Tyle krwi, potu i znoju bez tryumfu; tyle szlachetności i cnót bez nagrody, tyle poświęcenia bez uznania—a nad tém wszystkiém brutalna siła, zdrada i nikczemność rozciągają swój sztandar, na którym napisano: *Vae victis!*—biada zwyciężonym!

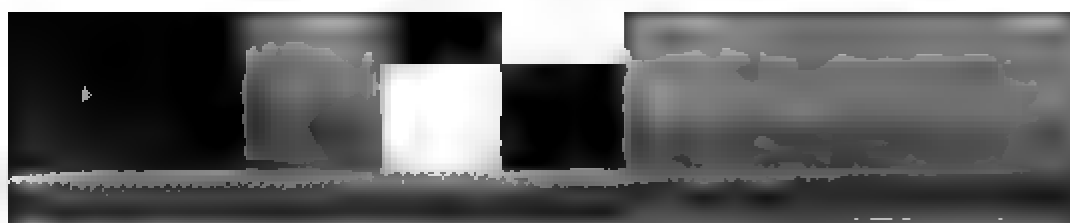
Wtenczas szlachetni i cnotliwi pochylają ze smutkiem głowy, jak Izrael nad rzekami Babilonu, a z niejednego zbolałego serca wyrywa się ku niebu jęk bluźnierczy, jak z ust poety, który w podobnéj chwili pokuszenia zawołał:

Kłamca, kto ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko... mądrością!...

Słyszeliśmy wszyscy o tém, że na miejscach, na których grzebią ciała zmarłych, na miejscach zatém zgnilizny i śmierci, w czasie nocy unoszą się fosforyczne ogniki, powstałe z miazmów nieboszczyków. Na wielkim cmentarzu dziejów, na którym leżą pokonane narody i polegli zapaśnicy idei, powtarza się także to zjawisko—i z tego placu krwawego boju, wpośród pomroki ogarniającéj ziemię, wzlatują w górę nakształt owych ogników swobodne i jasne myśli mędrców i poetów. To, co w rzeczywistości zginęło, w nich zapłodniło nowe życie,—to, co pochłonęły ciemności podziemne, w nich pokazało się jasném, widzialném światłem. Wpośród zniszczenia naokoło, wpośród cieniów nieskończonych, jest-to jedyny jeszcze dowód życia; wpośród głuchego milczenia jedyny głos, który nas pokrzepia i myśli nasze podnosi tam, gdzie jest wieczne źródło dobrego i złego, jakie napełnia ziemię. Te głosy natchnione, czerpiące swoje siły w idejach dobra i prawdy, mówią nam, iż tak, jak się często dzieje na świecie, dziać się nie powinno, albo téż prorokują, że kiedyś dziać się będzie inaczéj.

W chwili, jak obecna, która, może być, sprowadzi smutną katastrofę w dziejach, w chwili trwogi i zwątpienia, zbawienną jest rzeczą ujrzéć jedno z takich tajemniczych świateł, ulatujących nad manowcami dziejów, ażeby nabrać do serca pewnéj otuchy, że ponad porządkiem, który zaprowadzają w świecie fakty dokonane i zimny, niemiłosierny rozum dyplomatów, jest jeszcze porządek inny, wyższy, trwalszy i nieśmiertelny.

Domyślacie się zatém, czytelnicy, dlaczego przedsięwziąłem





sobie mówić o Irydyonie. Skłoniła mię do tego pewna analogia między tym poematem a wypadkami, roztaczającemi się przed naszemi oczyma, a więcéj jeszcze chęć przypomnienia wam idei, zawartéj w tym poemacie, która może być na czasy dzisiejsze, twarde i groźne, pociechą i lekarstwem w smutku.

Poezya polska bieżącego stulecia ma wiele utworów, których treścią i myślą jest rozwiązywanie bolesnych zagadek, jakie Opatrzność zadaje narodom. Spoglądanie w przyszłość i szukanie w niéj pomyślności i szczęścia ojczyzny stało się dla naszych poetów żywém źródłem natchnienia. Upadli i poniżeni, odarci z dawnéj świetności, cierpiący niesprawiedliwość, staliśmy się narodem proroków, niby dawnymi Hebreami pośród nowożytnéj Europy. Z pomiędzy wszystkich jednak poetów żaden tak stale, tak głęboko nie zapuszczał swojego wzroku w przyszłość nietylko swojéj ojczyzny, ale całéj ludzkości, jak ten, który na swoich dziełach nie kładł nigdy swego nazwiska, a którego nazwisko położył naród w rzędzie największych swoich ludzi.

Dla Zygmunta Krasińskiego poezya była przedewszystkiém widzeniem przyszłości, jak w jednym ze swoich listów powiada: „apokalipsą, odbywającą się w duszy ludzi od ośmiu tysięcy lat,—znakiem niezawodnym, że jest związek, że jest wspólność między nami a tém, co będzie na końcu“ [1]. Jest-to nietylko szczytne, ale w ostateczném jéj zadaniu i jedynie prawdziwe pojmowanie poezyi, bo jeśli ona ma w sobie obejmować to, bez czego byłaby niczém, t. j. ideał, to musi przenieść się tam, gdzie go znaléźć można w pełnéj rzeczywistości. Tak starożytni na swój sposób widzieli ideał w przeszłości, w złotych wiekach i czasach bohaterskich, gdzie między człowiekiem a bóstwem panowała jedność i wspólność,—my, ludzie nowożytni i chrześcijanie, musimy go widzieć w przyszłości, gdzie się możemy spodziewać przeniknięcia świata myślą bożą.

W tę to przyszłość tajemniczą i nieujętą, a przecież niemal konieczną, lubił Krasiński spoglądać oczyma duszy, zarówno w swoich poetycznych marzeniach, jak i filozoficznych dociekaniach, a tak przeczucie serca, jak i logiczne rozumowania, prowadziły go do jednego pewnika, że świat nienapróżno powtarza codzień w swojéj modlitwie: „Przyjdź królestwo Twoje.“ Ta wędrówka ducha po dziejach świata, po epokach i narodach, nie była jednak usłana kwiatami; jakkolwiek na ostatecznym krańcu świeciła poecie zorza szczęśliwéj przyszłości, to aby tam dojść, trzeba było przejść drogę pełną krzyżów, krwi i boleści. „Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło,“ powiada o sobie, a tém piekłem mieni zapewne nie tyle osobiste swoje cierpienia, jak widok tych katuszy, daremnych walk i upadków, przez które przechodziła jego ojczyzna i ludzkość—to jest to, co on najwięcéj na świecie ukochał. Utwór Krasińskiego, o którym tu mam mówić, jest takim poetycznym obrazem odwiecznych cierpień i walk ludzkości.

Któż to jest ten Irydyon?

[1]) Z listów do Edw. Jaroszyńskiego.

... podczas kiedy autor Wallenroda s
dnego tylko kraju, do Polski, i do jednéj prawie (
lozoficzny umysł Krasińskiego, lubiący mieć prz
zont wieków, poszedł daléj, rozszerzył i uogólnił
dyon nie jest tylko mścicielem Polski, ale wszy
ludzkości. „Imię jéj nadam (powiada o swojéj
dam, i choć poczęta w Rzymie, dzień, w któr
będzie jéj ostatnim. Ona trwa, dopóki ziemia i z

W Irydyonie zatém wcielona jest ta odwie
wiekowi opozycya przeciwko niewoli, opór pr
przeciwko barbarzyństwu, jakimkolwiek zewnę
trość ludzka go powlecze. Irydyon jest nieśmiert
i spiskowcem, uosobieniem téj części wszelkiego s
która występuje do podziemnéj i otwartéj walki z
odpowiada wyższemu przeznaczeniu człowieczeń
ludzkiego znamię jego godności, wyryte tam p
wreszcie idealista walczący z materyalizmem i gna
kształcenia świata podług wzoru nieśmiertelnéj do
ta powtarzała się i powtarza zawsze na świecie, a l
ralnemi wynikami dziejów, jak skutek po przycz
się sprężyny, kiedy nastąpiło naciśnięcie, albo je
jak choroba, kiedy są wszelkie warunki, ażeby odj

Ulpianus, surowy Rzymianin staréj daty, wó
ciężyły spiskowców, pyta jednego z nich:

— Odpowiadaj mi w obliczu imperatora.
spisek zawiązany?—Scypio: Od wieków.—Ulpia
Nie żartuj, niewolniku!—woła obrażony—czy
w innych miastach państwa?— Scypio: Wszędzie
z pomiędzy nich ...

delikatny zmysł poety, bo ta albo owa narodowość bohatera nie była to rzecz obojętna, i na całość dzieła, na jego doniosłość niezmierny wpływ musiała wywierać. Gdyby ten mściciel swojéj ojczyzny nie był Grekiem, ale jakim Negrem, Mohikanem lub Eskimosem, bezwątpienia przyznalibyśmy mu równie słuszność i czulibyśmy dla niego sympatyę, bo jakikolwiek byłby kolor jego skóry, jakikolwiek stopień jego inteligencyi, miałby on za sobą prawo naturalne człowieka i widzielibyśmy w nim tę szlachetność, że czuje krzywdy swéj ojczyzny i poświęca się za nie. Ale Irydyon jest Grekiem, synem téj Hellady, która nietylko miłowała swoję wolność, ale szanowała ją u innych narodów, nie splamiła się podbojem, a do swojéj wielkości w historyi doszła nie mieczem i fizyczną potęgą, ale mocą swojego ducha i dobrodziejstwami cywilizacyi, którą rozszerzała naokół i którą się przez długie wieki żywiła cała ludzkość. Przez to, że Irydyon występuje jako mściciel Hellady, a nie innego kraju, zyskuje on sam nieskończenie wiele w naszych oczach i podnosi się na piedestał, który mu przez swoje zasługi i ważność w historyi zbudowała jego ojczyzna. Zamiarowi zemsty, jaki ma Irydyon, przyznajemy tém większą słuszność, tém wspanialszym on nam się wydaje, im więcéj widzimy, że to, za co on mścić się pragnie, rzeczywiście jest tego godném. Zemsta Irydyona uszlachetnia się przez to, bo poznajemy, że nim kieruje nie zwyczajne prawo odwetu, nie sama tylko narodowa nienawiść, ale że w jego złowrogich krokach przyświeca mu wyższy ideał. On żył chęcią zemsty za Helladę, ale może dlatego, że Hellada była tak wspaniałomyślną, tak mądrą, tak dobroczynną dla ludzkości, a w ucisku, jakiego doznała, została pokrzywdzoną i obrażoną nietylko ona sama, ale cała ludzkość. Postać świata możeby inaczéj wyglądała, gdyby Hellada, jako kraj niepodległy, nie została zmuszoną ustąpić z jego sceny; ta ziemia brzmiąca pieśniami swych poetów, pokryta arcydziełami swych artystów, napełniona dumaniami i mądrością swych myślicieli, mogła była stać się wzniosłym prototypem dla ludzkości!...

To wszystko, cała świetność przeszłości, wolność i zdobycze ducha, a nadto wielka misya między narodami, zostały wydarte i zniweczone przez Rzym.

Irydyon zatém jako Grek i jako człowiek nienawidzi Rzymu i przysięga mu zemstę.

Bo czémże był Rzym? czy on był zdolnym zastąpić Helladę w jéj dziejowém posłannictwie, dać światu tyle, ile dawała mu Hellada?

W chwili, kiedy rzecz poematu się odbywa, Rzym jest zgnilizną i znikczemnieniem, „Cezar i motłoch—oto Rzym cały"—narodu rzymskiego niema. Przedstawicielami Rzymu są: rozpustnik i tyran, niewieściuch z okrutną duszą, cezar Heliogabal, i taki nadworny jego błazen Eutychian, pieczeniarz i pochlebca z wiecznym konceptem na ustach, a daléj w głębi kohorty pretoryanów, którzy za pieniądze mordują i wynoszą na tron imperatorów,—gladyatorowie, którzy borykają się z bestyami za kawałek chleba,—i małoduszny senat, który klęka przed „boskim" cezarem.

Takim był Rzym, kiedy trzymał w jarzmie i upodleniu narody—

innym, ale nie lepszym, wtedy, kiedy je ujarzmiał. Wielka ta potęga świata wyrosła przez żelazo i fałsz. Odkąd Rzymianie stali się panami Italii, polityka ich nie znała żadnego hamulca moralności. Od kraju do kraju idąc, podbijali ludy, aby je zamienić w swych niewolników, i w tym celu nie wzdrygali się przed żadnym środkiem. Podburzali naród na naród, waśnili współobywateli jednéj ojczyzny, książąt jednego kraju, pochlebiali namiętnościom, aby zaślepionych wtrącić tém łatwiéj w przepaść; wyłudzali od królów testamenty, które ich czyniły dziedzicami państw, zapomocą złota i trucizny przeprowadzali swoje plany.

Z takiego stanowiska patrzał się na dzieje rzymskie poeta, bezwątpienia zanadto stronniczo. Ale zważywszy na jego poetyczny zamiar—musimy go z téj stronniczości rozgrzeszyć. Potrzeba mu było stworzyć dwa przeciwieństwa, między któremi zawiązałaby się pełna dramatyczności walka: szlachetną, jasną jak promień słońca Helladę, i nikczemny, zbrodniczy Rzym. Cel swój osięgnął w zupełności, a dla poezyi musi to zostać rzeczą obojętną, czyli nakreślił obraz Rzymu mniéj albo więcéj prawdziwemi rysami, czy brał je tylko z dziejów rzymskich, czy także z innych—dość, że stworzył trafny wizerunek zaborczéj polityki, potęgi ugniatającéj inne ludy prawem silniejszego, jakich świadkiem po wielokroć już była historya. Upadek moralny świata, wielka nędza ludzkości nie mogły być lepiéj wystawione, jak pod postacią tych dwóch narodów, tak niepodobnych do siebie i doznających tak odmiennego losu. (Grecya jest niewolnicą, a z nią razem pokonane wszystko, co jest najlepszém w ludziach i narodach: szlachetność, uczucie, wolność, humanizm i wysoka inteligencya: Rzym tryumfuje, a z nim razem: zimny rozum, egoizm, siła fizyczna, fałsz i zepsucie. Zniszczyć Rzym, a pomścic się za Grecyę, to znaczy pomścić się za całą ludzkość i wrócić jéj utraconą godność.)

Ta to prawdziwa humanistyczna idea nadaje Irydyonowi jego wielkie powszechno-narodowe znaczenie, choć i to przyznać trzeba, że z tego także powodu najwięcéj nie doznał on nigdy téj wziętości i popularności, jak Konrad Wallenrod, którego poeta w ściślejszych zamknął granicach.

Z tą wielką potęgą Rzymu Irydyon musiał walczyć tylko siłą ducha i podstępem. Siłę ducha czerpał on z wielkości swojéj myśli i przeszłości ojczyzny; podstęp i zdrada narzucone mu zostały przez okoliczności, jako jedyna broń słabych i uciśnionych. Jako typ spiskowca i mściciela — jest on charakterem skończonym i wykończonym w najdrobniejszych szczegółach. Począwszy od zewnętrznéj powierzchowności, jest w nim wszystko, co znamionuje podobnych ludzi. Posępne on nosi czoło, „czarna jego źrenica dziwne sieje połyski," nigdy nie znać młodzieńczéj otwartości na jego licach, życie pędzi w niezwykłéj surowości, stroni od zgiełku świata i ludzi—i wnętrze swoje starannie przed ich oczyma zamyka — otacza go pewna tajemniczość. Kiedy zaś myśli jego przechodzić mają w czyn, niema sprężyny, którejby nie poruszył, niema środka, o którymby zapomniał, ani ofiary, któréjby z siebie nie zrobił. Z natury szlachetny, staje się hipokrytą, ludzi i oszukuje wszystkich—wyzuwa się ze wszystkich ludzkich uczuć, które stają w drodze

jego planom; ani razu słabość duszy nie paraliżuje jego zamiarów, a wszelkie jéj pokusy zwalcza siłą woli i przypomnieniem sobie myśli o zemście. Wkrada się w ufność cezara, straszy go widmem senatu i pretoryanów, aby jednych kazał rozpędzić, a drugich wyciąć; jedna sobie przychylność niewolników i gladyatorów, i sposobi ich do mordu Rzymian; równocześnie, dopóki mu to jest potrzebne, staje po stronie Aleksandra Sewera, który podniósł rokosz przeciw Heliogabalowi; wreszcie schodzi do katakomb, między chrześcijan, i tam zagrzewa ich do walki za Chrystusa przeciw pogańskiemu Rzymowi. Wszędzie i wszystkim przedstawia Rzym jako śmiertelnego wroga, wszystkich staje się stronnikiem i wyznawcą, nie dając poznać, że ich używa za narzędzie do ukrytego celu swéj zemsty. Ze wszech stron gromadzi chmury nad światowładne miasto, aby zniszczyć je w chaosie rozhukanych żywiołów. We wszystkiém postępuje ostrożnie, przezornie i chłodno.)

Ten spokój lodowaty, nadludzki, Irydyon zachowuje nawet wtenczas, kiedy mu się serce rozdziera. Z rezygnacyą bogów poświęca on swojéj zemście siostrę, „boską niebieskooką" Elsinoe i oddaje na pastwę cezarowi jéj dziewiczość i szczęście. Z zaparciem się najświętszych uczuć serca poświęca również Kornelię Metellę. Kocha on ją, ale swojéj moralnéj przewagi, jaką mu miłość dawała używa na to, aby zająć przy Metelli miejsce szatana kusiciela, wtrącić ją w przepaść rozpaczy nietylko o szczęście ziemskie, lecz i zbawienie duszy. Irydyon rozbudza w niéj ludzkie namiętności, w niéj, któręby pragnął widzieć tak spokojną i świętą, dlatego, aby się zaparła Chrystusa, jego nauki miłości i przebaczenia, i z włosem rozpuszczonym, z obłąkaném okiem biegała po korytarzach katakomb, wołając na swych współwyznawców: „do broni!"—do broni przeciw Rzymowi, na którym Irydyon chce się mścić...

Z tém wszystkiém Irydyon jest człowiekiem. Poeta nie chciał mu odjąć tego charakteru, aby go tém milszém uczynić dla nas zjawiskiem. Ludzkie uczucia mają siedlisko w jego piersi,—więc nieraz drży w głębi serca nad okropnością myśli, którą wykonać przysiągł umierającemu ojcu i sobie. Kiedy spełnia na Metelli ten akt nadludzkiéj srogości, gdy wkradłszy się w jéj serce, sieje w niém fałszywe nauki i pojęcia, gdy gubi jéj duszę, obejmuje go żal i litość—waha się i chwieje w swém postanowieniu. Pomimo całéj mocy nad sobą, pomimo poświęcenia się dla swéj myśli i bohaterstwa, z jakiém ją spełnia—pomimo nienawiści, jaką pała przeciw Rzymowi, wszystko, co czyni, jest dla niego bolesném wysileniem, czuje on w swojéj piersi piekło i męczarnie; są nawet chwile, gdzie chciałby się zabić i tym sposobem zrzucić z siebie obowiązek, który go dręczy, a od tego kroku wstrzymuje go tylko ta myśl, że duch jego, nie spełniwszy swego powołania, i poza grobem tych samych doznawałby katuszy.

Irydyon zatém ugina się niekiedy pod ciężarem swéj idei i walczy z nią i z sobą. Podnosi się wprawdzie zawsze i nigdy nie upada. Ale już ta sama walka, to chwilowe zwątpienie i rozpacz narażają na szwank ideę, którą wyobraża. Skoro widzimy, że ona czasem się chwieje, musimy myśléć, że nie jest dość silną.

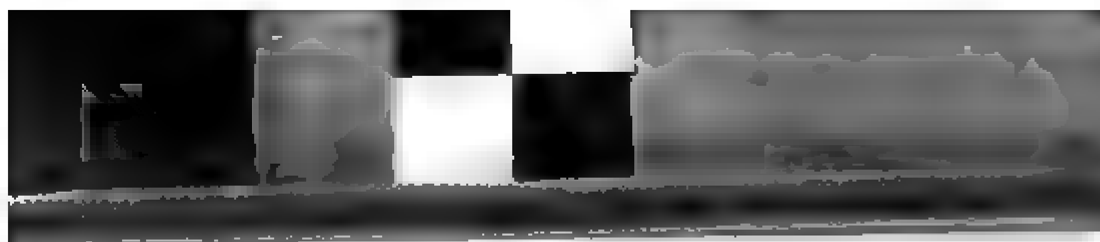
Bez pewnego podparcia, bez dania jéj pewnego stałego, niewzru-

temi modyfikacyami, które sprowadza za sob
mo dzieje się często, gdy poeta zamierzył so
rze jednę z namiętności, władających człow
namiętność była silną, w człowieku jednak
potrzeba zatém drugiéj figury, któraby był
ustawicznie ją w bohaterze podżegała. W tal
Mefistofeles, obok Otella Jago, obok Wallenr
powiedziéć: obok Hamleta duch jego ojca—w
Irydyona umieścił poeta Massynisę.

Massynisa dopełnia Irydyona—jest on w
rego nie jest domieszaném nic, co z tém ujem
dza. Ilekroć ludzkie uczucia biorą górę w Ir
jego duszę piekielnym żarem; on go zachęca d
rzeń, a wejścia na drogę czynu, on go podniec
do oszukiwania chrześcijan, do rozbudzenia w
być jeszcze większym fałszem: „Na to, byś wci
mi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty."

To, co nazywamy „złem" w świecie, poet
Massynisy; krótko mówiąc, jest on szatanem,
stwa. Staje on się przyjacielem Irydyona, dopo
nie dlatego, ażeby zarazem podzielał szlachetne
ludzkości, która Irydyona nienawiścią przeciw
z téj przyczyny, że jest wrogiem wszelkiéj mił
dy. To, co jest piekielnego w zamiarach Iryd
i to pragnie Massynisa rozniecić w jaknajwięk

Takie znaczenie ma ta postać w poem
jeszcze drugie, niezależne od głównego bohate
uczucie zemsty wypływa z głębokiego poczu
i obraca się tylko przeciwko ludziom, którzy
ciwko pewnemu ...





dzaju kreacye poetyczne, jak owego greckiego Prometeja, co urągał potędze Zeusa, albo biblijnego Joba, który za cierpienia ludzkości powoływał swojego Stwórcę do sądu. Poeta wyobraził w nim to uczucie, jakie się obudza w ludzkości pod wpływem nieszczęść i boleści; kiedy świat, cierpiąc a nie wiedząc nawet dlaczego cierpi, zżyma się i bluźni Opatrzności, nabiera do serca bezwzględnéj nienawiści przeciw wszystkiemu i w potokach krwi, w powodzi pożarów chciałby ją ukoić i pomścić się za swoje krzywdy. Uczucie to zrodziło się na świecie, odkąd na nim zrodziła się niesprawiedliwość — to jest odkąd on istnieje: dlatego Massynissa nazywa siebie nieśmiertelnym; nie ma ono żadnych względów ludzkich, litości, ani przebaczenia, dlatego jedyną potęgą w duchu Massynisy jest rozum wielki i silny, który nie pokaże nigdy żadnéj słabości, nie uczyni dla przeciwnika żadnego ustępstwa. Serca w nim niema, bo go strawiły ból i nienawiść.

Jakże anielsko obok téj strasznéj postaci wygląda Irydyon! i jak wspaniale wyobraził poeta w obu tych figurach dwojakiego rodzaju uczucia, jakie kierują w historyi tymi, co gdziekolwiek wszczynają walki o wolność narodów i powstają z hasłem zemsty za pokrzywdzoną ludzkość. Tam zemsta dla zemsty i z nienawiści Boga i ludzi—tu zemsta z boleści duszy, z ofiary dla wyższego ideału.

W spisku Irydyona były one obie, było zatém wszystko, co mogło zapewnić zwycięztwo przedsięwzięciu. Rzym pod potęgą rozumu Massynisy i ofiarnego i natchnionego ducha Irydyona, powinien był upaść w gruzy. Walka, podjęta w imię wolności narodów i prowadzona z takiém poświęceniem i energią, powinna była zniszczyć despotyzm i powrócić światu swobodę.

Tak się jednakże nie stało. Irydyon uległ, został zwyciężony, a z nim jego idea podniesienia wolności przez nienawiść i zemstę narodową.

Któż pokonał Irydyona, kiedy dobywszy miecza i rzuciwszy na Rzym pałące się głownie, szedł prosto do celu swéj zemsty?

Nie pokonał go cezar Heliogabal, ani senat, ani pretoryanie, ani Aleksander Sewerus—bo to wszystko był świat dawny, który się przeżył, nie miał w sobie ducha i przeznaczony był na to, aby niedługo utonąć w przeszłości. Despotyzm starożytny, wyobrażony przez Rzym, nie zwalczył wojownika wolności, ale zwalczyli go chrześcijanie.

Irydyon pewnym był, że wyznawcy Chrystusa pośpieszą mu z pomocą i połączą się z nim przeciw wspólnemu wrogowi. Od ich przybycia na czas oznaczony zależało wszystko. Irydyon czeka i nadsłuchuje „czy w lochach nie odezwały się szelesty? czy od katakomb nie zbliżają się kroki?“ Ale tam cicho i głucho. Nareszcie wchodzi posłannik i donosi, że „na progach Eloimu biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych, śpieszących ku miastu.“

Czego nie uczyniły miecze pretoryanów, uczynił bezbronny, nad grobem stojący starzec, słowem Chrystusa: „królestwo moje nie jest z tego świata.“ Dwie ideje starły się z sobą: idea zemsty i idea miłości głoszonéj przez Chrystusa. Kiedy Irydyon chciał zbawić ludzkość przez zniszczenie Rzymu, przez miecz i ogień,—biskup Wiktor pozostawił mi-

łości dokopanie tego wielkiego dzieła, mówiąc: „Miłość przemoże nareszcie." Świat miał przemienić się w swojéj postaci nie przez gwałtowne czyny, nie przez krew i wojny narodów, ale przez rozszerzenie królestwa ducha. Ludzkość przez miłość i pokój zdążać miała do swojego celu. Chrześcijaństwo miało zawładnąć pogańskim światem nie przez siłę fizyczną, ale przez potęgę moralną. Rzym nie miał upaść pod ciosem zemsty Irydyona, ale istnieć jak przedtém, tylko dostać za panów tych, którzy głosili przebaczenie i miłość.

Druga zatém epoka w dziejach świata rozpoczęła się, ale nie była ona tém, co było ideałem Irydyona. Do tego potrzebném było, aby cały świat się z gruntu odrodził, a tymczasem nastąpiło tylko pewne połączenie się i pojednanie sprzecznych żywiołów.

Na samym początku tych dziejów nowożytnego świata zaszły wydarzenia, które już z góry skazywały je na tę niedoskonałość. Kiedy chrześcijaństwo wydobyło się z pod katakomb, stało się to przy pomocy cezaryzmu i nawzajem dopomogło ono cezaryzmowi do utrwalenia się i do nabrania nowéj powagi między ludami. Tym sposobem pierwiastek pogański w znacznéj ilości wszedł w skład chrześcijańskiego społeczeństwa. Ludzkość nie mogła się otrząść zupełnie z przeszłości, bo ją uświęcała nowa forma i nowa powaga. Stało się więc, że istnieć miały obok siebie dwa przeciwieństwa: w teoryi prawo miłości Chrystusa, w praktyce pogański duch i niewola. W tym stanie rzeczy nauka ewangelii nie mogła przejść w życie narodów: w polityce i w swych wewnętrznych i zewnętrznych stosunkach rządziły się one prawem dawném, prawem siły, przemocy i wzajemnéj nienawiści—ewangeliczna miłość pozostawiona była dla życia rodzinnego i towarzyskiego, obowiązywała ona jednostki, ale nie narody i państwa, znalazła swoje uznanie u filantropii, ale nie u polityki.

Wejście historyi na tę drogę oznaczone jest w tym poemacie, w którym wszystko tak mądrze i artystycznie jest pomyślane, przez sojusz Aleksandra Sewera z chrześcijaństwem. Zwycięża on Heliogabala, a następnie także Irydyona, bo znajduje poparcie u chrześcijan, bo jego matka jest chrześcijanką, a biskup Wiktor w chwili stanowczéj nakazuje modły za jego sprawę: „Módlcie się za Aleksandra Sewera, on będzie cezarem."

Rzym zatém i cezar mają istnieć... Męczarnie i trudy Irydyona były nadaremne — nie pozostaje mu nic innego, jak rzucić się na stos, na którym przed chwilą spłonęło ciało jednéj z jego ofiar, Elsinoi, aby razem z nim zginęła myśl, która była tylko marzeniem....

Gdyby poeta pozwolił był spalić się na stosie Irydyonowi, poemat jego byłby się zakończył bolesnym dysonansem i wykrzykiem rozpaczy,—razem z Irydyonem musielibyśmy zwątpić o losach ludzkości i w jego dziejach widzieć ukaranie marzycielstwa i utopii; musielibyśmy sobie powiedzieć, że przeznaczeniem świata jest cierpieć, i to, aby kuł i nosił kajdany, aby uciemiężał i był uciemiężany.

Ale obok stosu Irydyona wstaje z pod ziemi Massynisa i porywa go z sobą, bo zawód jego „nie skończył się jeszcze." Historya nie dobiegła jeszcze do swego kresu, a nowa postać, jaką Rzym przybrał, nie

jest ostatniém słowem dziejów. Dopóki to się nie stanie, Irydyon ma spać snem niepamięci przez długie wieki, nie patrząc na te czasy, które były nową próbą i czyścem dla ludzkości. Kiedyś jednak on się znowu przebudzi, a będzie to w chwili, kiedy będzie mógł ujrzéć spełnienie swojéj zemsty.

Tutaj Massynisa kreśli Irydyonowi obraz dziejów świata w drugiéj jego epoce, w któréj przepowiada panowanie Chrystusa na ziemi i niebie. Idea przebaczenia i miłości głoszoną będzie po świecie, ale niewola i ucisk zostaną na nim, jak dawniéj. Ta druga epoka skończy się jednak także i to, co było jéj dziełem, upadnie, dlatego że nie wypełniła swojego posłannictwa i słowa bożego nie przemieniła w czyn. Nadużycie nauki i imienia Chrystusa dla celów ziemskich i dzieł nienawiści stanie się przyczyną słabości i upadku téj drugiéj epoki, a jakie było pod tym względem zapatrywanie się poety, najlepiéj zapewne uczynię, jeśli przytoczę własne jego słowa, które kładzie w usta Massynisie, kiedy ten szatańską apostrofą odzywa się do Chrystusa: „Wrogu! ty wiesz, że ich duch (to jest duch ludzki) obłąkany od pierwszéj wiosny ziemi. Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona twoje.

„W imieniu twojém będą zabijać i palić. W imieniu twojém gnić i milczéć. W imieniu twojém uciskać. W imieniu twojém powstawać i burzyć!

„Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennéj pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy."

Takie błędy i winy sprowadza koniec téj drugiéj epoki i przyjdzie czas, kiedy upadnie Rzym, który z rąk Irydyonowéj zemsty wyrwało chrześcijaństwo, i

> Kiedy na forum będą prochy tylko!
> Kiedy na cyrku będą kości tylko!
> Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

Wtedy Irydyon się przebudzi i za taką chwilę rozkoszy przysięga Massynisie oddać mu swą duszę i wyrzec się tego Boga, którego najwyższém prawem było przebaczenie. Nędza i znikczemniałość ludzkości tak wielką sprawiały mu boleść, miłość jego dla świata była tak nieograniczoną, że skazuje siebie samego na wieczne potępienie, aby tylko widziéć upadek tego, co jest złém na ziemi i jéj nieszczęściem.

Chwila ta następuje „dzisiaj," jak powiada poeta, przepowiadając tym sposobem w czasach najbliższych nadejście trzeciéj epoki w historyi. Z wiekowego letargu przebudzony Irydyon wchodzi do Rzymu i widzi dokoła zniszczenie, pustkę i ruiny. Dawnéj świetności i wielkości Rzymu już niema; miasto, które panowało nad całym światem, ma za mieszkańców nędzarzy i niedołężnych starców; nie widać już w niém: senatorów, liktorów i książąt. Tam, gdzie się wznosiły tryumfalne łuki, posągi i portyki, teraz tylko prochy i gruzy.

„W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców— na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli—wsiedli do powozu—czarne,

schorzałe konie ich ciągną—i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającém z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty. Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. „To następcy cezarów, to rydwan kapitolinskiéj fortuny,“ rzekł przewodnik, a syn Grecyi spojrzał i klasnął w dłonie.“

Zemsta Irydyona została nasyconą: ujrzał moralny i materyalny upadek Rzymu. Ale zarówno z ustąpieniem jego nienawisci budzi się w nim lepsza cząstka jego istoty: miłosc dla ludzkosci, która znajduje współczucie nawet dla nieszczęść, jakich wróg jego doznał. (Razem z Massynisą stoją oni w téj chwili wpośród cyrku, gdzie niegdys męczennicy wylewali krew za Chrystusa. Na środku areny stoi czarny, drewniany krzyż i rzuca spokojne cienie na ziemię. Przed duszą Irydyona jawi się wspomnienie Kornelii, chrzescijanki, téj istoty, która jedynie kiedyś na świecie mogła była wydrzéć z jego serca żądzę zemsty, a zasiać w niém naukę Chrystusa o przebaczeniu. To zjawisko napełnia Irydyona bolesną tęsknotą, bo on wie, że z duchem kochanki nigdy się nie zobaczy i nie połączy. Ona ma mieszkanie w niebie, bo służyła miłości i królestwu ducha, on zaś jest potępiony, bo oddał się duchowi zemsty, Massynisie, i poświęcił się dobru ziemskiemu ludzkości.

Potępienie jednak Irydyona byłoby potępieniem wszelkich dążeń do wolności ludów, czego poeta również dopuscić się nie chciał i nie mógł. Zbrodnicza myśl Irydyona wypływała ze szlachetnego źródła; pobudką jego zemsty nie była nienawiść, ale boleść. Musiał on zostać oczyszczony i zbawiony.

(Więc o jego duszę rozpoczyna się u stóp krzyża na cyrku spór między piekłem a niebem. Massynisa upomina się o swoje prawa i woła: „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył zemście, on nienawidził Romy.“ Lecz równocześnie ponad głową Irydyona wzlatuje jego duch dobry, duch Kornelii, i wznosi modlitwę do nieba: „O, panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę.“ Walka dwóch przeciwnych potęg trwa czas jakiś i kończy się przegraną Massynisy. „W mgle zarannéj coraz posępniéj mdleją kształty jego. On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku,“ a z nim razem od boku Irydyona odstępuje duch zły, nienawiść i żądza zemsty, pozostaje zaś w nim to, co go od potępienia wybawiło—miłość.)

Idea chrześcijańska zatém odnosi zwycięztwo, przez nią uszlachetnia się wyobrażona w Irydyonie dążność do wolności i miłość ojczyzny. Jednakowoż idea ta ze swojéj strony ma się także przyczynić do spełnienia téj doskonałości i szczęścia świata, dla jakich Irydyon poświęcił siebie za życia i po śmierci. Idea ta ze swojéj sfery nadziemskiéj ma przejść w życie i w czyn, ma się wcielić na ziemi i stać się prawem dla narodów, które nie pozwoli na to, aby nawzajem się uciemiężały, albo uciemiężane były przez despotów. W imię téj chrześcijańskiéj miłości dzieje świata nie mają byc historyą mordów i męczarni, ale pochodem coraz dalszym na drodze cywilizacyi, doskonałości i podniesienia godności ludzkiéj.

Myśl o tém ostatecznném przeznaczeniu człowieczeństwa jest, można powiedziéć, przewodnią gwiazdą Krasińskiego w jego zawodzie poetycznym. Wszędzie i zawsze, jak powiedziałem wyżéj, patrzy on w przy-

szłość i w téj przyszłości widzi zorzę lepszych losów dla świata. Jest-to u niego ta „najwyższa absolutna wola, czyn, realność“ w trzeciéj epoce historyi; jest-to ów kościół św. Jana, następujący po kościele św. Piotra, a ogarniający świat miłością; jest-to ów pocieszyciel, który ma uleczyć boleści świata. W jednym ze swoich prywatnych listów [1]) pisze także w téj myśli poeta: „Czyż sądzisz, że Chrystus nadaremno obiecywał Pocieszyciela? I czyż epoka tego Pocieszyciela nie nadchodzi? trzecia, ostatnia na planecie, korona historyi, dopełnienie się proroctw i żądzy nieskończonéj ducha ludzkiego?“

Takie jest ostatnie słowo poety. Szczęście ludów i wolność jest według niego ostatecznym kresem historyi, do którego ludzkość dojdzie pomimo wszelkich zawad, jakie jéj mogą stawiać na drodze despotyzm, polityczny machiawelizm, ciemnota i wsteczne dążenia.

Czy się spełnią te szczytne marzenia poezyi? Musimy wierzyć, musimy mieć nadzieję. Poeci i myśliciele nie są wprawdzie prorokami, bo nikt nie może widzieć przyszłości. Ale mają oni rozum wyższy i uczucie, którém ogarniają całe wieki i narody, i nie mają na oczach swoich tego zaślepienia egoizmu i namiętności, które innym ludziom nie pozwala często patrzéć w daleką odległość i widziéć jasno. Ich umysł bliższy jest ideału, zna się lepiéj na tym porządku boskim, jaki panuje w świecie, nic więc dziwnego, że mogą często powiedziéć to, co jest rzeczą zupełnie naturalną i prawdziwą, choć długi czas przez świat niewidzianą albo nieuznawaną.

Możemy zatém z ufnością przyjmować te pociechy, które nam przynoszą. My, co stoimy w pośrodku wypadków, co patrzymy na rzeczy groźne i okropne, musimy nieraz dać do serca swego przystęp zwątpieniu i rozpaczy. Ale my mierzymy historyę krótkością życia swojego,—nieszczęścia, które na nas się zwalają, uważamy za złe, które odtąd ciążyć będzie na całéj ludzkości. Tak jednakowoż nie jest. Kataklizmy, które mogą pochłonąć jedno pokolenie, przed których groźbą drży wiek jeden, mogą w wieku następnym przewalić się, jak wielki bałwan na morzu, i utonąć bez śladu w niezmierzonym oceanie dziejów, a ludzkość pójdzie daléj swoją drogą, jak idzie od wieków, coraz więcéj naprzód, coraz bliżéj swego ideału, aż dojdzie do mety, do nagrody tak krwawo zapracowanéj: do szczęścia!...

*Kraków, 1870.*

---

[1]) Do Ed. Jaroszyńskiego.

# DRAMATY HISTORYCZNE JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

„Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem Prób dramatycznych? Jego Aniela często mi przychodzi na pamięc, jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedziéc, czy zawsze pracuje, czy może pracowac i nad czém pracuje? Jest-to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności, potrzebaby mniéj być w pochwałach oszczędnym.“

Tak pisał Juliusz Słowacki do swéj matki, z Genewy, na początku 1835 r., zapytując ją o Józefa Korzeniowskiego. Dziewięć lat już właśnie upływało od czasu, kiedy mógł był czytać Anielę (Próby dramatyczne wyszły w r. 1826), która tak miłe i niezatarte na jego umysle zrobiła wrażenie, a oprócz tego z osobistością autora, o którego się dopytywał tak ciekawie, łączyło go może jakie drogie wspomnienie z lat dziecinnych, choćby w postaci jakiéj tradycyi rodzinnéj, bo kilkanaście lat przedtém ojciec jego Euzebiusz był nauczycielem, a młodziutki Korzeniowski jednocześnie uczniem sławnéj krzemienieckiéj szkoły.

Nie mamy śladu w dalszym ciągu korespondencyi, czy Słowacki otrzymał na to zapytanie odpowiedź. Czuła i we wszystkiém tak uprzedzająca dla niego, tak dogadzająca mu matka, może i pod tym względem zaspokoiła jego ciekawość w jednym ze swych listów, które jednakże do wiadomości powszechnéj nie doszły. Lecz może i nie, a to z téj prostéj przyczyny, że o Korzeniowskim sama może nic nie wiedziała. W owéj chwili głucho o nim było i cicho wistocie; nazwisko jego w kołach literackich mniéj może wtenczas miało rozgłosu, niżeli dawniejszemi nawet laty, gdy zbierał jeszcze studenckie laury w szkole, albo w ćwiczeniach naukowych z estetycznemi rozprawami po raz pierwszy na widownię publiczną występował. Po owych pierwiosnkach dramatycznéj muzy, po Klarze i Anieli, Korzeniowski ogłosił tylko kilka wierszy w Meliteli i w r. 1830 dramat Mnich. Nastąpiło potém kilka lat literackiego milczenia. Nie z braku chęci i natchnienia zapewne, nie z jakiegoś choćby chwilowego wyczerpania sił, bo w dalszym czasie pokazał dowodnie, jaki wielki ich zasób posiadał, i to już w tym wieku nawet, gdzie inni zaczynają się starzéć i piórem z trudnością i ciężko powłóczą, — ale z poczucia twardego i koniecznego obowiązku.

W młodym wieku ożeniony, i w téj porze życia, gdzie wielu innych jeszcze różowe goni po niebie mamidła, już ojciec rodziny, nie mając nic prócz własnéj pracy, musiał Korzeniowski nałożyć cugle fantazyi, ściągnąć swego ducha ze sfer poetycznych, przykuć go do prozaicznéj, ale nieuniknionéj rzeczywistości, i pracować, pracować dla teraźniejszości i przyszłości drogich mu istot, pracować nad tém i w tém,

co im i teraz i późniéj kawałek powszedniego chleba zapewniało. W tym czasie, kiedy fantastyczny Juliusz, żyjący tylko w poezyi i dla poezyi, uwalniający się dla niéj od wszystkich zwykłych obowiązków życia, tak jak i dla niéj pozbawiający się wszystkich jego uciech i materyalnych celów, zapytuje matkę o autora Prób dramatycznych i wieniec sławy chciałby na jego skronie włożyć,—ten autor, dźwigający już obowiązki męża i ojca familii, przestawszy być profesorem w Krzemieńcu, uczy właśnie w Kijowie łaciny i starożytności rzymskich w języku rosyjskim, wyrabia sobie stanowisko profesorskie, albo przynajmniéj na niém się umacnia, a o laurach poetycznych jeżeli myśli, to chyba w przedsenném marzeniu, kiedy całodzienną pracą znużony z utęsknieniem wzdychał do tych czasów młodzieńczych rojeń o zasłudze, wielkości i chwale, które się nie liczą z wymaganiami życia i nie chcą wiedzićć o tém, że człowiek nie samém tylko słowem żyje na ziemi.

Lecz dajmy temu pokój. Nie zamierzyliśmy sobie tutaj kreślić biografii Korzeniowskiego, ani śledzić rozwoju jego ducha. Zapytanie Słowackiego, na pierwszy rzut oka dosyć uderzające, wywołało tych kilka słów objaśnienia. Powiedzieliśmy więc, dlaczego Słowacki mógł się w ten sposób o Korzeniowskiego zapytywać. Ale co jest rzeczą szczególniejszą i dlaczego to zapytanie położyliśmy właśnie, niby tekst z ewangelii, na czele naszéj pracy, że było ono uczynione jakby w jakiémś proroczém widzeniu przyszłości. Boć zaprawdę, dzisiaj po latach 46 możemy powtórzyć ze Słowackim: „Co się dzieje z autorem Prób dramatycznych?... Jest-to jeden z ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności."

Co się dzieje?... O tém wiemy wszyscy. Nie żyje od lat kilkunastu. Ale co się dzieje z tą jego cząstką, która nie umiera, co się dzieje z utworami jego ducha, z płodami jego myśli i marzenia, co się dzieje z uznaniem jego zasług, z ocenieniem jego pracy, z położeniem dla niego w narodowym Panteonie pomnika i niezatartéj pamiątki?

O tém prawie tak głucho i cicho, jak było o żyjącym Korzeniowskim, kiedy Słowacki o niego zapytywał. Nie mówi się o nim i nie pisze, stosunkowo do jego zasług, tyle, co o wielu innych. Autor, którego dzieła jeszcze przed laty dwudziestu były w rękach wszystkich czytających, którego każda nowa pojawiająca się książka powszechną obudzała ciekawość i chciwie była rozchwytaną, który w powieściopisarstwie stał jako mistrz doskonały między najcelniejszymi, nikomu pierwszego miejsca nie ustępując, a jako pisarz dramatyczny w jednym tylko Fredrze miał godnego współzawodnika na wszystkich scenach polskich, dzisiaj, zanim jeszcze nowa generacya na świat wystąpiła, stracił, zdaje się, swój wpływ i znaczenie, przestał należćć do rzędu tych, którzy są zaszczytem i ulubieńcami narodu.

Jakaż tego może być przyczyna? Czy może dzieła jego przestarzały się i przeżyły, czy tyle od tego czasu zjawiło się nowych i większych talentów, że zniknął zaćmiony ich blaskiem? czy w literaturze naszéj wyrobiły się jakieś nowe kierunki, świeże dążności i ideały, że

droga, po któréj on stąpał przed kilku dziesiątkami lat, dzisiaj już przez stopę ludzką nie jest uczęszczana?

Podobno nic z tego wszystkiego. *Habent sua fata libelli et... autores.* W fatalność jakąś rzeczywiście trzeba uwierzyć, myśląc o Korzeniowskim. Przez długie lata mozolnie i ciężko dobijał się sławy autorskiéj—wypłynął wreszcie na wierzch w wieku, który już blizko graniczył ze starością; kiedy z głowy utrudzonéj myślami opadł mu włos, a wzrok osłabiony okularami trzeba było wzmocnić, stał się głośnym i sławnym, czytanym i podziwianym w całéj Polsce, aby niedługo potém umrzéć w cichości i bez wywołania swą śmiercią wrażenia i żalu.

Korzeniowski doznał w życiu dużo przeciwności i nieprzyjazni ludzkiéj. Nawet wtedy, gdy sława jego stała u zenitu, potrafił go dosięgnąć cios bolesny i najmniéj zapewne zasłużony i spodziewany. Krytyka niesprawiedliwa, nie mogąc znaléźć w jego dziełach innéj słabéj strony, uderzyła w jego pojęcia społeczne i polityczne. Wywody jéj były zręczne, dzielném piórem pisane, ale rzecz podziwienia godna, jak mogły znaléźć u kogokolwiek wiarę, jak mogły autorowi tak dalece zaszkodzić—do tego stopnia są nieprawdziwe, bezpodstawne i gwałtem za włosy naciągane. A na takiéj kruchéj podstawie ugruntowano ciężkie przeciw niemu oskarżenie: posądzano go o obojętność dla własnéj ojczyzny, o odstępstwo od narodowego sztandaru, — posądzano o to wszystko autora, z którego każdéj książki, z każdego wiersza wieje przywiązanie do kraju i narodowych tradycyj; który całego swego artyzmu i natchnienia nie poświęcał nigdy egotycznym uczuciom i estetycznemu sybarytyzmowi, ale staraniu i trosce o dobro ogółu; który zawsze i wszędzie miał tylko na oku moralne udoskonalenie swych rodaków i pomyślność ojczyzny. Zaiste, czytając bez uprzedzenia Tadeusza Bezimiennego i Krewnych, trudno wyjść z podziwienia, jak z losu bohaterów tych powieści można było wyciągnąć tak niezasłużone wnioski, i trzeba uwierzyć w prawdę tego, co o podobnego rodzaju zarzutach powiada Don Basilio w Cyruliku sewilskim.

Późniéj, gdy nastąpiły gorące czasy, żądano, ażeby ten człowiek podeszły i spracowany, a mądrzejszy od wielu długiém myśleniem i doświadczeniem lat mnogich, podzielał ten zapał i marzenia, które po młodych głowach się roiły. Ale i ten zarzut był niesłuszny. Na swój sposób, zgodnie ze swém powołaniem i zdolnościami, Korzeniowski rwał się także duchem do lepszéj przyszłości, i dla niéj, jako pedagog i wychowawca przyszłych pokoleń, gorliwie, z narażeniem swego zdrowia pracował. A nawet co więcéj, on, którego posądzano o obojętność, o odsuwanie się, o nieprzyjanie wszystkiemu, co wówczas się działo i robiło, nakazawszy może milczenie swemu przewidującemu rozumowi, zapomniawszy o przykrém doświadczeniu i przestrogach przeszłości, dał się unieść sercu i słodkim a niebezpiecznym złudzeniom, któremi się wówczas społeczeństwo upajało. Mamy w ręku list pisany przez niego do Józefa Kremera, 20 marca pamiętnego 1861 roku, z Warszawy, i czytamy w nim następujące słowa: „Przebyliśmy wielką chwilę, która nie może przepaść, jak nie przepada taka siejba czasu, która tylko pięknem, choć może spóźnionem żniwem napełni śpichrz naszych dzie-

jów; która odbije się w życiu naszém wysoką pieśnią, może nie zaraz wesołą i skoczną, ale zawsze poważną, głośną i dla wszystkich ludów zrozumiałą. Winszuję sobie, żem chwilę tę widział, bo powiadam Panu, że to było coś takiego, co tylko taki artysta, jak Bóg, mógł pojąć, ułożyć i skombinować! Dziwiliśmy się rozumowi Włochów, zazdrościliśmy rozumu i umiarkowania Węgrom, aż oto i my mamy to samo, dorośliśmy do wielkości innych, do miary, jakiéj czas obecny wymaga. Nie jest-że to nowe objawienie ducha bożego? nie są to Zielone Świątki dla wszystkich ludów?"

Tak pisał Korzeniowski w pierwszym miesiącu warszawskich demonstracyj, a późniéj w krwawym i nieszczęsnym 1863 r., a ostatnim swojego życia, poszedł jeszcze daléj. Taka bowiem jest myśl łabędziego jego śpiewu, poematu Nasza prawda, znanego nam, lubo spoczywającego dotąd w manuskrypcie w rękach rodziny.

Korzeniowski, tak jak wielu innych, jak ogół ówczesny, mylił się i w téj nadziei; nie przeczuł, że ona ma być źródłem nowych i cięższych nieszczęść, ale do tego błędu zawiodło go tylko jego obywatelskie, gorące serce.

Czas więc zapewne byłby już skończyć z temi urojonemi posądzeniami i niechęciami względem jego osoby; czas oddać mu w pełni to, co mu się jako jednemu z naszych największych talentów należy, na co zasłużył,—aby nie powtarzała się skarga uczyniona niegdyś przez Słowackiego: „Jest-to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności!"

Mówić o Korzeniowskim i o jego dziełach, to zadanie nie tak łatwe, a zwłaszcza bardzo rozległe. Przedstawić działalność człowieka, który na polu literatury pracował z małemi przerwami przez lat czterdzieści, a pracował usilnie, niestrudzenie i z wielką płodnością,—przedstawić w całości obraz autora sześćdziesięciu mniejszych i większych utworów dramatycznych i ze dwudziestu, nieraz parotomowych powieści,—tego tutaj nie możemy sobie zamierzać. Chcemy zatém z wieńca, który potomność, bądźcobądź, musi włożyć na jego skronie, z wieńca, który on sam własną pracą i talentem uwił dla siebie, uszczknąć tylko jeden listek, chociaż może jeden z najcenniejszych.

Nie będziemy mówić ani o sentymentalnéj nieco, ale prawdziwie poetycznéj Anieli, która tak roztkliwiała Słowackiego, ani o Żydach, którzy należą do najlepszych dotychczasowych komedyj polskich, jako nadzwyczaj charakterystyczny obraz czasu i obyczajów, w pewnych mianowicie stronach Polski; ani o Karpackich góralach, skreślonych z wielką prawdą i znajomością ludu, i dlatego posiadających w sobie na długie jeszcze czasy niespożytą żywotność; nie będziemy wreszcie zastanawiać się ani nad powieściami Korzeniowskiego wogóle, ani nad żadną z nich w szczególności, choć temat to bardzo sympatyczny i niejednemu z czytelników nader miłe mógłby przypomniéć wrażenia. Naszym zamiarem jest powiedziéć kilka słów o dramatach historycznych Korzeniowskiego. Należą one do najmniéj znanych jego utworów, a nadto, jako najtrudniejszy rodzaj sztuki, mogą być najlepszym kamieniem probierczym siły i zdolności autora.

Tych dramatów jest tylko dwa; liczba niestosunkowo mała w porównaniu z mnogiemi scenicznemi pracami poety, ale wstrzemięzliwość jego pod tym względem zrozumie każdy, komu znane są zewnętrzne warunki, pod jakiemi literatura nasza w tym wieku się rozwija, kto przypomni sobie mianowicie ostracyzm cenzury i ubóstwo większéj części naszych teatrów, tak co do sił artystycznych jak i wystawy.

Pierwszym z dramatów jest Mnich, o którym wspomnieliśmy już, że został wydany w 1830 r., a więc należy do najdawniejszych prac autora, poprzedzających epokę, w któréj jego twórczość i talent do największego doszły rozkwitu. Na owe czasy jednakże był on niepospolitém zjawiskiem, jako pierwszy historyczny dramat polski, zwiastujący nowe pojęcia o sztuce, odpowiedniéj charakterowi, jaki nowożytnéj dramaturgii nadał Szekspir, a późniéj, zwłaszcza w dramacie historycznym, do pewnego stopnia przeobraził i rozwinął Szyller, których wielbicielem i pilnym czytelnikiem od młodzieńczych swoich lat był Korzeniowski.

Dotychczas, oprócz kilku tragedyj skopiowanych podług konwencyonalnéj formuły francuzkiego klasycyzmu, nie mieliśmy nic, coby historyczną naszą przeszłość na deskach teatralnych przedstawiało. Tragedye te, wobec nowego kierunku, świetnego polotu ku wyższéj doskonałości całéj naszéj poezyi, już się wtenczas przeżyły i nadal nie były możliwe. Zeszedłszy ze sceny, utraciły także i swoje znaczenie w literaturze, jako owoc przemijającego smaku, który nie ma już bezwątpienia żadnéj przyszłości przed sobą. Do pojęć i form klasycznych, chociażby nawet w najlepszym gatunku, w duchu klasyczności starożytnéj, podobno już nigdy świat nie powróci, a zwłaszcza nie zapanują one nigdy w teatrze i na scenie. Tymczasem droga, którą Szekspir dramatowi nowożytnemu utorował, zdaje się drogą jeszcze w daleką nieskończoność; ulepszają ją, zastosowują do nowych wyobrażeń i wymagań, ale nie schodzą z niéj, nie odstępują od tradycyj i wzorów, jakie stworzył wielki poeta Albionu, i czynić tak będą długie jeszcze czasy, może długie wieki, dopóki inny a podobnie wielki twórca razem ze stanowczym zwrotem całéj cywilizacyi na świecie się nie zjawi. Dlatego też i historya naszéj literatury, zapisawszy na swych kartach jako chwilowy objaw tragedyę klasyczną, dzieje i rozwój dramatu polskiego śledzić będzie pilnie i skwapliwie od téj zapewne dopiero chwili, kiedy on duchem nowożytnym przejmować się począł, kiedy jako swego mistrza i pierwszego wychowawcę uznał Szekspira, a w takim razie Próby dramatyczne jako też Mnich Korzeniowskiego będą zapewne pierwszemi utworami, od których dramat polski dnie swojego bytu liczyć rozpocznie.

Bohaterem Mnicha jest Bolesław Śmiały, pokutujący pod nędzną szatą wygnańca w Ossyaku, za zbrodnię spełnioną na biskupie krakowskim. Do tego oddalonego od świata zakątka przybywa rycerz polski Szreniawita, wspólnik niegdyś i główny doradca królewski w jego niecnych czynach, przybywa w tym celu, aby odszukać króla, o którym na Węgrzech mu powiedziano, że w te strony się udał, i wyjednać sobie u niego przebaczenie za tę ciężką winę, że króla pchnął w przepaść

złego. Szukając uspokojenia zgryzot i wyrzutów, taką otrzymał radę od tajemniczego głosu, który wyszedł z grobu świętego męczennika. Równocześnie w tym samym klasztorze zjawia się druga osoba, która ma nadać pęd akcyi dramatycznéj. Przychodzi ksiądz, przysłany od biskupa dyecezyi, z rozkazem ogłoszenia klątwy na króla polskiego, bo według obiegających wieści ma on się w tych okolicach znajdować. Domysły i podejrzenia zakonników padają odrazu na tajemniczego mnicha, który już przedtém dziwném i zagadkowém zachowaniem się obudził ciekawość i baczność na siebie. Stanowczy dowód składa Śreniawita, gdy zeszedłszy się w obecności całego zakonu z tajemniczym mnichem, poznaje w nim swego króla, i choć niewinnie zdradza go i pozbawia ostatniego przytułku. W sercu króla, który chroni się teraz do przerażającéj groty, uważanéj za przeklętą, tém większa wzmaga się nienawiść ku Śreniawicie. On ma mu do wyrzucenia wszystkie przestępstwa i zbrodnie swoje i cały swój haniebny, niesłychany upadek. Z drugiéj strony Śreniawita potrzebuje jego przebaczenia, aby uciszyć głos swego sumienia na ziemi i okupić sobie zbawienie na drugim świecie. Między tymi dwoma przeciwnikami, trudnymi do pojednania, przedzielonymi przepaścią zbrodni i nieszczęść, musi stanąć jakiś niezwykły pośrednik, z siłą większą od ludzkiéj, aby zdolny był zmiękczyć serce króla. I oto w głębi pieczary odzywa się głos zabitego biskupa,—głos z za grobu, i woła: Przebacz mu!... Lecz i to jeszcze nie wystarcza dla króla, bo względem niego Śreniawita tak wiele, tak strasznie zawinił. Więc duch męczennika staje widocznie przed oczami króla i powtarza swój rozkaz. Wtedy dopiero król roztwiera ramiona swemu wrogowi:

Wszystko ci przebaczam
Szczerze, jak pragnę, by mi Bóg zapomniał.

— Idź za mną! — odzywa się znowu duch i w ciemnéj nocy prowadzi go do kościoła, gdzie zakonnicy w chórze śpiewają.

Niezbadana moc, wyrzut sumienia i wspomnienie spełnionéj w takiém miejscu zbrodni nie dopuszczały królowi nigdy wstępu do świątyni Pańskiéj. I teraz zatrzymuje się na progu, wołając z boleścią:

— Daléj nie postąpię!

Ale duch każe iść daléj, więc iść musi; idzie przed sam ołtarz i klęka, a duch mówi do niego:

Jużeś zakończył dni swe opłakane!
Jakeś przebaczył, tak ci przebaczono.

Król upada twarzą na stopnie ołtarza i umiera.

— I lepiéj nie mógł skończyć — mówi przeor, oprzytomniony po chwili z tego, co widział:

Wielki Boże!
Daj mi śmierć taką i w podobnéj chwili.

Takim jest w głównych zarysach przebieg dramatu. Widzimy z niego, że autor w dosyć szczupłe ramy ujął swój obraz, że nie ogarnął całości wypadków odegranych niegdyś na widowni historycznéj, że jego dramat nie jest całkowitym obrazem téj nieprzyjaźni, walki i krwawéj

kolizyi, jakie zachodziły między królem Bolesławem a biskupem krakowskim, ale właściwie tylko epilogiem tego dramatu. Jak się ta sprawa niegdyś w rzeczywistości odbyła, o tém historya bardzo skąpe ma wiadomości; naprawdę nie mamy o niéj nic więcéj nad kilka słów kronikarza; najusilniejszym szperaniom późniejszych badaczy nie udało się dotychczas wyjaśnić jéj i nie ulega wątpliwości, że wszelkie poszukiwania i nadal pozostaną bezowocnemi. Przez analogię tylko z tém, co się spółcześnie w reszcie Europy działo, przez analogię z owym sporem kościoła i państwa, który tak potężnie rozpoczął i z taką nieugiętą energią prowadził Grzegórz VII, jesteśmy poniekąd uprawnieni do domysłu, że i ta walka między biskupem a królem w naszym kraju była jednym z odłamów owéj powszechnodziejowej rywalizacyi dwóch najwyższych potęg i stanów na ziemi.

Autor nie zużytkował tego materyału, nie dopełnił fantazyą czego brakowało historyi, chociaż jako poeta miał do tego prawo, a nawet obowiązek, nie chciał się domyślać, chociaż widoczną jest rzeczą, że tu domyślać się można wiele, a z warunków jego sztuki wynikało, że domyślać się było potrzeba, aby nakreślić pełny obraz bohaterów, zajrzéć do głębi ich dusz i poznać psychiczne pobudki ich działania, aby stworzyć zrozumiałe i skończone charaktery i w braku historycznéj zdobyć, i przedstawić poetyczną prawdę. Walki władzy świeckiéj z duchowną, walki politycznych czynników niema śladu w jego dramacie, a król który w niéj stracił koronę i państwo, występuje tylko jako człowiek pokutujący za prywatne zbrodnie. Biskup krakowski upominał króla o srogą i tyrańską zemstę na zbiegłém z Kijowa rycerstwie, a król zabił go za to w przystępie gniewu — oto jedyna pobudka tego krwawego królewskiego czynu, pobudka czysto-prywatnéj natury, ani z królewskością, ani z ówczesnym stanem i duchem kościoła niemająca nic wspólnego. Aby głębsze, silniejsze nadać temu wydarzeniu znaczenie, potrzeba było głębszy i ważniejszy wynaléźć dla niego powód, niżeli chwilowe uniesienie. Bo wistocie, gdyby nic więcéj tylko to było przyczyną targnięcia się króla na poświęconego przedstawiciela kościoła, można prawie być pewnym, że nie pociągnęłoby tak nieszczęsnych i strasznych za sobą skutków dla Bolesława. Gdyby nic więcéj nie był zawinił, gdyby zbrodnia jego nie była polityczną, nie byłby poniósł tak surowéj kary, że stracił tron, został rzucony na wygnanie i zginął marnie, bez wieści nawet gdzie.

Dramat Korzeniowskiego obficie za to czerpał z legendy. Schronienie się króla do Ossyaku, odbywana tam pokuta i zaszła tam jego śmierć, a więc to, co ogólną treść Mnicha stanowi, należą właśnie do takich legendarnych i najpóźniejszych podań. Za złe bynajmniéj mu tego nie bierzemy. Poeta ma wolny wybór, w czém i jak chce brać materyał dla siebie, a legenda jest jednym z najlepszych materyałów poetycznych, jako rzeczywistość przepędzona już przez filtr fantazyi, a częstokroć i uczuciowości. Jedno chyba dałoby mu się z tego powodu zarzucić, że w jego dramacie gra zbyt przeważną rolę cudowność, z realizmem dramatycznéj poezyi, a zwłaszcza historycznéj wcale nielicująca. Całe rozwiązanie, jak widzieliśmy, rzecz w dramacie zapewne

najważniejsza, następuje przez odezwanie się ducha, a potém nawet przez jego zjawienie się. I duch ten nietylko jest widomy królowi, co byłoby łatwiejszém do pojęcia jako wyrzut sumienia, jako głos jego duszy, ale wszystkim obojętniejszym nawet świadkom, za jakich śmiało można uważać zakonników, odmawiających podczas téj sceny zwykłe swoje pacierze w kościele. Dodać jednak potrzeba, że cały nastrój dramatu i wszystko prawie, co się w nim przedtém dzieje, przygotowuje nas do takiego a nie innego rozwiązania. Głos z grobu już przedtém przemawiał do Śreniawity, król już nieraz w czasie swéj pokuty słyszał przerażające go słowa ducha, a duch ten zjawiał mu się już przedtém i powstrzymywał od samobójczéj śmierci; i tak więc, skoro on był najpierwszą sprężyną i motorem całego działania, oczekujemy jego przybycia także w chwili najbardziéj stanowczéj, a pojawienia się jego przy rozwiązaniu nie witamy bynajmniéj jako prostego *deus ex machina*.

Co jednak zasługuje na wielką pochwałę, to węzeł dramatyczny, którym autor związał ze sobą trzy najważniejsze postacie swego dramatu. Wskutek zaszłych wypadków dzieli je od siebie nawzajem przepaść niezgłębiona i król nienawidzi całém sercem Śreniawitę, tego złego ducha swojego, tego węża kusiciela; między królem a biskupem jest przedział, jaki rozłącza kata od jego ofiary, przedział, jaki jest między piekłem, na które król ma być skazany, a między niebem, w którém króluje męczennik; zdaje się, że nic téj przepaści wyrównać nie zdoła, nic tego rozdziału zniweczyć. Nieprawda! jest coś, coś stanowiącego najszlachetniejszy rdzeń nauki Chrystusa, co zdolném jest tego niepodobieństwa dokonać. Jest-to przebaczenie. Myśl jego wyszła najprzód od tego, który miał największe prawo okazania miłości i swojéj wyższości moralnéj jako niewinna ofiara obcych namiętności. „Idź, szukaj króla, niech ci on przebaczy, a będą ci darowane twoje grzechy" — odezwał się głos męczennika z grobu do Śreniawity. „Przebacz mu, bo i twoje zbawienie od tego zawisło" — przemówił duch do króla, a gdy on to uczynił, przebaczył mu zbrodnię na sobie spełnioną, przebaczył jako przedstawiciel wyższéj, niebieskiéj miłości i wyższych praw moralnych rządzących światem, w téj saméj prawie chwili, kiedy władza ziemska skazywała go na wieczne potępienie. Pomysł ten powziął poeta w wysokiém, prawdziwie poetyczném natchnieniu, które się wzbija ponad znikome i ułomne warunki tego świata, i uczynił go piękną, szlachetną ideą swego dramatu, tak podobną do prostych a świętych słów najpiękniejszéj na świecie modlitwy: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

W plastyczném wykonaniu najgłówniejszą rzeczą dramatu są charaktery. Jest-to dusza, nowożytnego zwłaszcza dramatu, według któréj natury i jakości kształtuje się także ciało, wszystkie jego ruchy i cała powierzchowność. Wielkich, typowych charakterów Korzeniowski nie stwarzał, bo i w całéj literaturze świata niewielu jest poetów, na palcach jednéj ręki możeby ich zliczyć się dało, którzy się na coś podobnego zdobyli. Ale postacie jego posiadają mimo to ten niższy stopień charakterystyki, któryby można nazwać indywidualnością sceniczną, to jest, że są takiemi osobami, iż aktor wie, co zrobić z niemi na scenie, że

im może nadać pewną odrębną cechę, że podług słów, które autor kładzie im w usta, wie jak ułożyć swoję fizyognomię, swoje ruchy i głos, jednem słowem, że może z nich stworzyć na scenie postać naturalną i żywą, a odróżniającą się od innych. Nasza tragedya klasyczna, a podobno i nie nasza tylko, bardzo mało posiadała tego przymiotu; u niéj wszystkie postacie na jeden ton zwykle nastrojone i wszystkie rozpływały się w bezbarwnéj deklamacyi.

U Korzeniowskiego zaraz od samego początku znać dobroczynny wpływ Szekspirowskiéj szkoły, na któréj się kształcił i z któréj wyrósł. Nawet takie osoby, jak postacie zakonników w Mnichu, stojące na drugim planie, a oprócz tego już przez samo swoje powołanie przytłumiające rygorem i przepisami reguły rozwój indywidualności, przeznaczone, jakby się zdawało, na to, aby według ogólnego szablonu były traktowane i na charaktery różniące się między sobą pojęciami, poglądem i pragnieniami nie wyrastały, mają przecież pewne swoje szczególne znamiona i pod suknią zakonną, która ich czyni jednakowymi i podobnymi do siebie, czuć u nich rozmaite drgania serca ludzkiego. Jeden z zakonników (Adalbert) jest człowiekiem otwartym, skłonnym do litości nad nieszczęściem, a nawet nad grzechami bliźniego; nie znając świata, rwie się do niego całym młodzieńczym zapędem i swój mniszy habit pragnąłby zamienić na zbroję rycerza; drugi (Wacław), przeżywszy wiele na świecie zanim wszedł w ciszę klasztorną, z dawnego życia zachował skłonność do intrygi, chytrość i serce twarde na niedolę drugich. Przeor pamięta o tém dobrze, że jest nietylko człowiekiem, lecz i przełożonym zgromadzenia; dobry i litościwy z natury, daje chętnie przytułek przybłąkanemu nie wiedzieć zkąd cudzoziemcowi, ale gdy się dowiedział, że na nim cięży klątwa kościelna, z całą surowością wypełnia swój obowiązek i wypędza go za próg klasztoru. Ksiądz wreszcie, przynoszący klątwę od biskupa dyecezyi, zgodnie ze swoją misyą jest zimny, nieugięty i bez litości dla przestępcy, jak litera prawa, którego jest wykonawcą.

Postać króla pozbawiona jest politycznego charakteru, dlatego, jak powiedzieliśmy, że akcya jego ograniczona jest do roli pokutującego winowajcy. Nie zwykły to jednak pokutnik i nie powszedni grzesznik. Pod grubą siermięgą, pod którą się ukrywa, czuć króla. Nie zdołał on, mimo wszystkiego co przeszedł, pozbyć się dawnéj natury; jego wielkie grzechy i niezwykła zbrodnia nie wyrobiły w nim pokory. Czuje on swoję winę, czuje ją mocno i głęboko, ale to uczucie nie stało się u niego skruchą, przez którą człowiek korzy się przed wyższą potęgą, błaga jéj litości i przebaczenia i spodziewa się ich od nieprzebranéj dobroci. Przed światem i ludźmi odział się on w nieprzeniknioną dumę, która sama jedna pozostała mu z dawnéj królewskiéj wielkości; nie prosi o nic nikogo, nie zwierza się, nie szuka rady i pociechy; przeciwnie, odgranicza się od wszystkich milczeniem; tajemnicą pokrywa swoje imię, stan i pochodzenie; jak od miesiąca bawi już w klasztorze, tak do nikogo nie przemówił słowa, chyba w pierwszéj chwili, kiedy żądał przytułku. Wstyd go przyznać się do swojéj zbrodni, ale również i do kary, którą za nią poniósł — do swojego upadku. Z tą okropną

przemianą swoich losów pogodzić on się nie może. Mimo całego przekonania o swojéj winie, czuje pewien żal do najwyższéj sprawiedliwości, że mogła zrobić sobie z niczego taką igraszkę. To uczucie wyradza w nim obojętność na wszystko, obojętność zwłaszcza na karę czekającą go w przyszłém życiu, bo ta kara, któréj doświadczył na ziemi, jest dla niego tak straszną, tak upokarzającą: on, król, został wygnańcem, tułaczem, żebrakiem, zawisłym od woli i łaski pierwszego lepszego. Łagodniejsze uczucia nie mają więc przystępu do jego piersi. Dawniéj był srogim, popędliwym, gwałtownym, nieznającym innéj woli nad swoję, i dzisiaj pozostało w nim jeszcze wiele z tych dzikich pierwiastków natury ludzkiéj, a nawet zamiast pod ciosami nieszczęścia zmięknąć i złagodniéć, on zdziczał jeszcze więcéj, jak każdy duch uporny i zawzięty. Życie jest dla niego, bez dawnego blasku i wielkości, najcięższą karą i męczarnią. Nie zdobył się na tyle żalu i skruchy, aby to nędzne istnienie swoje ofiarować niebu jako pokutę za występki; chciałby je skrócić i odebrać je sobie, i tylko zjawienie się ducha jego ofiary powstrzymuje go od samobójstwa. Z takiemi nosząc się myślami, przebywa najchętniéj w głębi kniei, gdzie go ludzkie oko nie dopatrzy, wspina się po niedostępnych urwiskach skał, zwiesza nad przepaścią, igrając ze swojém życiem i za najmilszą towarzyszkę obierając sobie dziką jak jego dusza naturę. Modlitwa jego nawet ma zawsze w sobie krzyk rozpaczy. Nie wierzy w to, ażeby mógł kiedykolwiek otrzymać przebaczenie. Jeśli spokojniejsza myśl, cierpliwsze uczucie zapanuje na chwilę w jego duszy i zbliży się do progu świątyni, natychmiast odrzuca go ztamtąd przekonanie, że dla niego niema już litości; nie może dojrzéć na ołtarzu łagodnego sędziego i ojca ludzi, ale widzi przypomnienie swojéj, na podobném miejscu niegdyś spełnionéj zbrodni, widzi na ścianie ślady krwi przez siebie wylanéj, i bezsilny, zwątpiały, zrozpaczony upada bez przytomności na kamienie przed kościołem.

Nic dziwnego, że taki człowiek nie umie także przebaczać drugiemu, zwłaszcza kiedy widzi, że kara nie w równéj mierze między winnych rozdzielona została. Możnaby téż wistocie poczytać za błąd autorowi, że jego poetyczna sprawiedliwość zbyt łagodnie ze Śreniawitą się obeszła. Według skarg króla i własnych jego zeznań, Śreniawita jako ów wąż zdradziecki winien był wszystkiemu, bo on króla kusił, podszczuwał, utrwalał w złém i zgubił. I to wszystko uszło mu prawie bezkarnie. Uczuwa on wprawdzie zgryzoty sumienia, czuje się obowiązanym do pokuty, ale ani moralne jego katusze nie są tak straszne, ani pokuta tak ciężką. Dla zmazania swych grzechów wybiera się na wojnę do Ziemi świętéj, jak to wielu innych dla mniejszych daleko przyczyn robiło, i według rozkazu męczennika szuka po świecie dla wyjednania sobie przebaczenia tego, którego przywiódł do upadku. Zresztą nie widać żadnego śladu, aby w jego stanowisku społeczném zaszła jaka zmiana, owszem król, czując tę niesprawiedliwość losu, wyraźnie się skarży, że kiedy jego stan tak pod każdym względem jest okropny, Śreniawita „przebywa z ludźmi pełen czci i chwały." Tymczasem król utracił tron, został wygnańcem, tułaczem bez dachu i chleba, został wyklęty, a co więcéj, skazany na tak straszne cierpienia du-

szy. Gdyby ścisła sprawiedliwość miała być zachowana, rzecz powinnaby się mieć odwrotnie; tak, jak jest przedstawiona, liczyć się musi za wadę nietylko w nakreśleniu postaci Sreniawity, ale w całéj wogóle sytuacyi dramatycznéj. Widząc bowiem, że Sreniawita jest przyczyną wszystkiego złego, dziwić się musimy, zkąd cała kara i odpowiedzialność spada na nieszczęśliwego króla i zkąd jego sumienie tak srodze siebie samo dręczy.

Może ta zazdrość króla do szczęśliwszego wspólwinowajcy przyczyniła się także do podniecenia tém silniejszéj ku niemu nienawiści, lubo i bez tego nienawiść ta była nieubłaganą i nieugiętą. Człowiek, dla którego ziemia i niebo były bez litości, nie będzie litościwym dla drugich, a ten, co stracił o sobie nadzieję, nietylko tu, ale i w przyszłém życiu nie będzie chciał drugich robić szczęśliwymi. Zadaniem duchów upadłych i potępionych jest ściągać wszystkie inne dusze do swojéj przepaści, jak nam to także i Pismo święte o charakterze i przeznaczeniu szatanów tłumaczy. Dlatego konieczną była interwencya jakiegoś czystszego i świętszego ducha, aby dzikie serce króla, niezdolne wznieść się do abnegacyi i do ewangelicznéj nauki o miłości, złagodzić, uczynić więcéj ludzkiém i własnym przykładem nauczyć.

Tak pojęty charakter króla ma na sobie jakieś znamię demoniczności, które go czyni ze stanowiska estetycznego zajmującą, potężną i piękną postacią.

Szesnaście lat przegradza Mnicha od wydanego w roku 1846 Andrzeja Batorego. *Grande mortalis aevi spatium* — wielka to przestrzeń w życiu człowieka i w zawodzie artysty. To téż i niemała różnica między temi dwoma utworami. Śmielszy krok, większa pewność siebie, silniejsze przyłożenie ręki i rozleglejszy widnokrąg w Batorym. Poeta dociera tutaj bliżéj do téj realnéj prawdy życia, która jest kardynalnym warunkiem i najcelniejszą ozdobą dramatu. Wyzwolił się od patetyczności, która często jeszcze w Mnichu słyszeć się daje; dyalog toczy się w sposób naturalny, słowa proste, dosadne, niegardzące nawet językiem potocznego życia, wychodzą z ust działających osób. Barwa dramatu nabywa przeto wybitności i jaskrawości, która na scenie pożądaną jest rzeczą, a i charaktery wychodzą tym sposobem wyrazistsze i do natury więcéj zbliżone. Dramat wreszcie jest obrazem nierównie pełniejszym i rozleglejszych rozmiarów. Rozwija się w nim cała akcya polityczna, akcya, w któréj rozgrywają się losy narodu, stającego do ostatniéj walki z wrogiemi sobie żywiołami.

Na tronie księztwa siedmiogrodzkiego siedzi Zygmunt Batory, niegodny synowiec wielkiego króla polskiego. Oprócz osobistéj, żołnierskiéj odwagi, nie posiada żadnego zresztą przymiotu. Jest okrutny i podejrzliwy; z prywatnéj zawiści i zemsty, a pod pozorem publicznego dobra, kazał zamordować w zamku Ujwar jednego ze swych braci, Baltazara; jest zuchwały i pyszny, dopóki nie trafi na opór, bo wtedy staje się aż do podłości słabym i podległym; a przytém próżny, zamiłowany w okazałości zewnętrznéj, w błyskotkach i świecidełkach, aż do śmieszności, aż do dzieciństwa. Niestałego charakteru, zmienny i kapryśny, nie wie, czego chce i dokąd dąży; zmienia swoje zamiary i pla-

ny bez celu, nie wiedzieć po co, aby za chwilę znowu bez żadnéj rozsądnéj przyczyny na dawną drogę powrócić. Do żony swojéj, pięknéj i młodéj, powziął wstręt niczém niewytłumaczony; znęcał się nad nią i dręczył ją przez rok cały, a wreszcie, niby w więzieniu, osadził w samotnym zamku.

Sprzykrzyły mu się rządy Siedmiogrodu, znużył się panowaniem, a choć w czasie niego nic nie zrobił, i szukając odpoczynku, oddał swój kraj cesarstwu niemieckiemu za spokojne księztwa raciborskie i opolskie, do których w dodatku żądał Złotego runa i kardynalskiego kapelusza, aby tym sposobem utraconą świetnośc monarszą sobie wynagrodzic. W nowéj siedzibie niedługo wydało mu się nudno i samotnie i cichaczem wrócił do Siemiogrodu, ale już we dwa tygodnie zląkł się swojéj zuchwałości, zastraszyła go odpowiedzialność, jaką brał na siebie przez ten czyn wobec Turków i cesarza, i znowu

> Do duchownego stanu zaczął wzdychać,
> I ciało swe oblókłszy w fiolety,
> Przywłaszczył sobie godność kardynalską.

Władzę książęcą, zrywając dawniejszy układ z cesarzem, zdał wtedy na swego brata Andrzeja, a stany siedmiogrodzkie chętnie się na to zgodziły. Miał więc znowu swobodny czas bawić się w kardynała, a choć mu papież odmówił téj godności, dla niego to nie stanowi żadnéj różnicy. Ubrany w fiolety, ale nie zapominając i Złotego runa zawiesić na szyi, po całych dniach wertuje mszały i ćwiczy się w teologii. Jak dziecko cieszy się, gdy mu przytomny téj scenie jezuita O. Kariglio powiada, że nie będzie potrzebował uczyć się na pamięć tych wszystkich ewangelij, hymnów, i epistoł. Zdaje mu się, że za pół roku będzie już ukończonym teologiem i naprzód myśli już o reformach, które zaprowadzi w kościele, gdy kiedyś zostanie papieżem.

Ważną dla niego kwestyą jest, czy kardynał może nosić Złote runo, czy nie? bo gdyby nie, byłby w wielkim kłopocie, czego z dwojga się zrzec, i całéj dyalektyki, na jaką go stać, używa na to, ażeby dowieść, że tak być może. Gdy O. Kariglio objawi w czém przeciwne mu zdanie, on, jak gdyby sam był bakałarzem, a jego interlokutor niedorosłym żakiem, bierze go, żartując, za ucho. Kiedy tak cały zdaje się być zajęty tylko swém nowém powołaniem i przyszłemi planami, kiedy niedawno dobrowolnie i dla własnéj tylko wygody ustąpił bratu władzy, słyszy okrzyki na ulicy, któremi lud wita Andrzeja. To go razi i gniewa; przypomina sobie, że przedtém on podobne hołdy odbierał,—żal mu i zazdrośc tego, co sam bratu oddał; wybiega na ulicę, chcąc doświadczyć swego znaczenia i pokazać, że on także jest księciem, a gdy go nikt nie wita, nikt *vivat!* nie woła, łaje lud i laską strąca czapki z głowy, sam czyniąc sobie oznaki uszanowania. Rozdrażniony takiém przyjęciem, nie pojmując, że kiedy zrzekł się monarszéj godności, i przywiązanych do niéj atrybucyj posiadać nie może, gdy Andrzéj w zamkowéj sali obraduje z panami,—zrzuciwszy fiolety, a przywdziawszy znowu strój książęcy, z nieodstępném Złotém runem na piersiach, wchodzi blady, drżący od gniewu, wyrzuca bratu niewdzięczność, niegodne ze sobą

postępowanie, zapomnienie o winnych względach, i kończy tém, że co, dał, to teraz odbiera: „Precz więc z mego miejsca, ustąp!"

Kapelusz kardynalski i papiezka tyara w przyszłości wywietrzały mu w jednéj chwili z głowy; on czuje się znowu żołnierzem i brak tego przymiotu z pychą bratu wytyka:

Dziś nam żołnierza trzeba, a nie księdza,
Idź więc do chóru, a ja z mieczem w ręku
Na pole bitwy i krwi was powiodę.

Przytomni téj scenie panowie siedmiogrodzcy surową dają mu odprawę, piętnując jego nierozsądek i gniew dziecinny, a on znowu nagle spokorniał, jak każdy słaby i zuchwały duch, gdy napotka opór, i na rozumną racyę nie ma odpowiedzi, i ze spuszczoną głową słucha rozkazu brata, który wydala go ze stolicy i na mieszkanie przeznacza zamek Ujwar, ten sam, gdzie niegdyś Baltazar był z jego rozkazu zabity. Nie śmiałość, ale strach, że znajdzie się w tém miejscu, wyciska mu z ust słowa opozycyi:

— Ujwar?... Ja nie chcę!

Milknie jednak, gdy Andrzéj energicznie odpowiada:

— Ja tak chcę... i dosyć!

„Co za mieszanina zuchwałéj mocy i słabości" — mówi o nim Andrzéj na jedném miejscu. „Histrio!" — odzywa się o nim przy innéj sposobności. Wistocie Zygmunt to nawpół szaleniec, nawpół arlekin.

Biada ludowi, którego losy dostaną się w ręce podobnego człowieka! To téż Siedmiogród przywiedziony został przez niego nad brzeg przepaści. Cesarz, mając już raz ten kraj sobie przyrzeczony, tém usilniéj zapragnął go posiadać, kiedy przez zerwanie układu doznał obrazy. Z drugiéj strony sułtan uważał go za zdobycz do siebie należącą i ogromne wojsko postawił na granicy. Wreszcie hospodar wołoski miał także chętkę i nadzieję skorzystania coś w tém zamieszaniu, i łudząc Siedmiogrodzian przyjaźnią, gotów był pomagać bądź cesarzowi, bądź sułtanowi, gdzieby tylko zysk był pewniejszy.

W tém groźném położeniu, kiedy ze wszech stron nadciągała powódź nieprzyjaciół potężnych lub chytrych, aby zalać małe księztwo Siedmiogrodu, za poradą Jana Zamoyskiego, jako na jedynego opiekuńczego anioła zwróciły się oczy Siedmiogrodzian na Andrzeja Batorego, brata Zygmunta. Daleko, na ostatnich kresach Polski od zachodu, przebywał on wtenczas. Wezwano go, przybył i objął rządy, którym brat jego podołać nie mógł.

Andrzéj jest zupełném przeciwieństwem Zygmunta.

Rozum, nauka i szlachetność serca,
Udatne kształty ciała, siła, męztwo,
Wszystko się łączy w tym rzadkim człowieku.

Tak opisuje go jedna z osób dramatu, a ten wizerunek usprawiedliwia położone w nim przez naród zaufanie. Nigdy przedtém nie pomyślał on, że kiedyś wystąpić mu będzie potrzeba jako rządca i zbawca ojczyzny. Zanim rodacy do tego obowiązku go powołali, był bisku-

pem warmińskim i kardynałem. Pod osłoną potężnéj wówczas Polski siedział spokojny i bezpieczny na swéj biskupiéj stolicy w Heilsbergu. Zajmowały go uczone księgi, piękne malowidła mistrzów, zachwycał się wierszami Flakka i Marona, i sam, idąc w ich ślady, wylewał nieraz na papier w klasycznym języku:

> Słodki wiersz, któremu
> Janicki chętnie dałby prym przed swoim.

Wtém nagle nieprzewidziane wypadki, szaleństwo brata i chciwość sąsiadów, powołują tego spokojnego sługę ołtarza, tego miłośnika muz i mądrości, w sam wir zażartéj walki o śmierć i życie, każą mu kapelusz kardynalski przemienić na hełm, a pastorał na miecz. Należałoby się spodziewać, że się będzie wzdragał, lękał i wahał. Bynajmniéj. Od pierwszéj chwili, skoro tylko usłyszał, że go tam potrzeba i po co go potrzeba, był gotów iść na tron książęcy, to jest na ratunek ojczyzny, na ciężki i krwawy bój o niepodległość. Zagrała w nim „krew rycerska" Batorych; ten kapłan, tak godnie odpowiadający swemu powołaniu, nie zleniwiał, nie ociężał, nie zobojętniał dla świata przy cichych obowiązkach swego zawodu, i duch wojowniczych przodków żył ciągle w jego piersiach. Ale rycerskość możeby nie była dość silną pobudką do tak ryzykownego kroku. Andrzéj nie jest krewkim junakiem, młodym zapaleńcem, który się nie liczy z okolicznościami, i rzucając się naoślep, nie patrzy przed siebie. On ogarnia bystrym wzrokiem całą grozę położenia, rozumie doskonale, że ojczyzna jego rozpoczyna walkę nierówną i rozpaczliwą, w któréj zguba pewniejszą jest od tryumfu; zna i siły własnego kraju i siły nieprzyjaciół; wie, jak ciężką odpowiedzialność na siebie bierze wraz z mitrą książęcą—ale ojczyzna go potrzebuje, ojczyzna wzywa jego pomocy, a więc pójdzie na jéj ratunek, chociażby sam przy tém zginął.

> Płakać na bezpiecznym
> Brzegu, gdy matka tonie, jest niegodném
> Syna. Właściwe jego miejsce na dnie,
> Jeśli jéj nie mógł wyratować.

To jest głębsza i prawdziwa pobudka, że tak skoro chwyta za miecz. Nie żądza sławy, nie chęć panowania prowadzi go z Heilsberga do Siedmiogrodu, ale czysta miłość ojczyzny. To postanowienie jest z jego strony tylko poświęceniem siebie dla jéj dobra i honoru. On nie przeczuwa, ale przewiduje, że koniec téj ciężkiéj sprawy będzie nieszczęśliwy; lecz obok tego widzi również wielką ufność i przywiązanie ziomków do siebie, i dla tych uczuć gotów jest złożyć ofiarę z własnego szczęścia i własnéj osoby. Z gorącego to serca, z zapału podniesionego do entuzyazmu, wydobywa mu się ten wykrzyk, którym odpowiada na witające go księciem głosy Siedmiogrodzian: „Za taką miłość życiem wam zapłacę!" I widać w nim coś więcéj niż rozigraną krew rycerską, bo widać bohaterską rezygnacyę na przyjęcie wszystkiego złego, które go czeka, które go ominąć nie może, jeżeli spełni to, czego ojczyzna wymaga.

Ten olimpijski spokój w niebezpieczeństwie i nieszczęściu, wobec

niezawodnéj zguby, a przy wewnętrznem przeświadczeniu, że się robi jak trzeba, jak obowiązek każe, jest pięknym i przeważającym tonem w charakterystyce téj postaci i w dalszém jéj przeprowadzeniu nieraz się jeszcze powtarza.

Andrzéj, objąwszy tron, miał dwa szczególnie zadania: usunąć przeszkodę, jaką mu w jego czynnościach szaleństwo brata stawiało, i zwalczyć nieprzyjaciół, grożących od zewnątrz. Widzieliśmy, jak uskromił Zygmunta swą wyższością umysłu i energią. Ale dla niego niedosyć było zamknąć nierozsądnego zuchwalca w oddalonym od świata zamku, i nie dla zwiększenia jego kary, nie dla udręczenia go przypomnieniem zamordowanego Baltazara posłał go do Ujwaru, ale w tym celu, by ten człowiek szkodliwy dla kraju, pyszny i gwałtowny, lecz więcéj słaby niż zły, miał tam sposobność wejść w siebie, żałować za winy przeszłości i poprawić się do nowego życia, choć już nie na książęcym tronie, to przynajmniéj w zaciszu domowego życia. Jakkolwiek wiele złego Zygmunt wyrządził ojczyźnie, dla któréj Andrzéj wszystko poświęcał, nie mógł on zapomnićć, że był jego bratem, że wrodzone uczucie nakazywało mu z utęsknieniem oczekiwać téj chwili, kiedyby mógł podać temu winowajcy dłoń bratnią, przebaczyć mu jego grzechy i występki i przycisnąć do swojéj piersi. I tak się stało. Zygmunt, wystawiony na tę ciężką próbę walki z wyrzutami sumienia, odbył ją wprawdzie po swojemu, jako duch słaby i trwożliwy, którego straszy lada stuk, lada silniejszy powiew nocnego wiatru, ale oczyścił się w niéj, przyszedł do upamiętania, spokorniał i skłonnym do skruchy się zrobił. Kiedy Andrzéj po niejakim czasie zjawił się przed nim w strasznem zamczysku, wyspowiadał mu się na kolanach ze wszystkich swoich występków, okazał niekłamany żal i otrzymał przebaczenie w gorącym uścisku brata. Z taką pociechą w duszy udał się do Polski, do swojéj siostry, aby tam dalszą czynić pokutę. W ten sposób, najszlachetniejszy jaki być może, uwolnił Andrzéj ojczyznę od niebepiecznego wichrzyciela, a jego samego moralnie uratował.

Polityczny horyzont znowu to zachmurzał się bardziéj, to rozpogadzał na chwilę. Hospodar wołoski, poprzysiągłszy wprzódy lenność i wiarę, zdradził już wyraznie, a wojska cesarskie, lubo nie przeszły granic, ale w dwuznacznych jakichś zamiarach zbliżyły się do Wołochów. Nadeszły jednak niedługo i pocieszające wiadomości, że papież wysłał pośrednika w osobie Malespiny, biskupa Cezarei, i że jest nadzieja, że cesarz do zgody się skłoni,— z drugiéj znowu strony, że siły siedmiogrodzkie się pomnożyły, bo Szekely zebrał już kilka tysięcy wojska i wkrótce więcéj go jeszcze zbierze. W tych wiadomościach było to prawdą, że papież, będąc przywiązany do rodu Batorych i ceniąc wysoko Andrzeja, miał jaknajlepsze intencye i dał Malespinie wyrazne polecenie wszelkich sił użyć, by pojednanie przyszło do skutku. Ale świat ówczesny zanadto był przesiąknięty machiawelistyczną polityką, aby te czyste, chrześcijańskie zamiary się spełniły. Niemcy bądz cobądź chcieli mićć Siedmiogród. Zaczęła się więc tajemna gra i poruszanie podziemną maszyneryą. Dla świata poddano się woli papiezkiéj i sformułowano przystępne nawet warunki zgody, pocichu zaś

objawiono wolę, że Batory powinien zginąć. Na jego zgubę nasadzony był hospodar za obiecane dożywocie Siedmiogrodu, pośrednikiem zaś w téj sprawie był Malespina, który za tę przysługę, za sprzeniewierzenie się rozkazom swojego mocodawcy, miał otrzymać kapelusz kardynalski po Andrzeju. Więc znowu druga ważna przyczyna, ażeby ta głowa spadła.

Andrzéj był zawsze przygotowany na wszystko; kiedy widział niebezpieczeństwo i niemożebność ratunku, nawet i wtedy miał mocną wolę iść naprzód, chociaż mógł liczyć tylko na bohaterstwo, które nieszczęście wyradza, i na Opatrzność. Teraz, gdy nagle tak dobrze wszystko się układać poczęło, uwierzył pozorom i fałszowi. Dlaczegóż nie miał uwierzyć? Dusze szlachetne i prawe wierzą zawsze, nie domyślają się zdrady i nie przypuszczają u drugich podłości, któréj nie znają same. Nagle z trzech groźnych nieprzyjaciół, w jego mniemaniu, pozostał tylko jeden i to najmniéj niebezpieczny, bo i sułtana spodziewał się ułagodzić i odwieść od wojny. Hospodara zaś łatwo zwyciężyć, bo choć silniejszy liczbą, osłabił się krzywoprzysięztwem i walczyć będzie z nieczystém sumieniem. Nadzieja więc wstąpiła w duszę Andrzeja; nie dojrzawszy sieci intryg, w którą go oplątano, oddał się błogiemu marzeniu o lepszéj przyszłości ojczyzny i o własném także osobistém szczęściu.

Przed niedawnym jeszcze czasem nie miałby przedmiotu do tego ostatniego marzenia. Ale los chciał, że Andrzéj poznał kobietę, którą pokochał. Była to żona jego brata, ta nieszczęśliwa Marya Krystyna, skazana przez Zygmunta na zmarnowanie swoich młodych lat w zamku Kuwar. Skoro tylko tron objął, Andrzéj chciał także naprawić i tę krzywdę, wyrządzoną kobiecie i księżniczce z cesarskiego domu. Udał się do jéj mieszkania, aby ją przeprosić za to, co złego przez jego poprzednika doznała, i przywrócić jéj te wszystkie honory i wygody, które się jéj urodzeniu i stanowi należały. Uczucie sprawiedliwości i szlachetności kierowało tylko jego krokami, nie żadne inne. Że ta kobieta młoda i piękna, znosząca z godnością swoje nieszczęście, a przedtém przez nikogo niekochana i nikogo niekochająca, wywarła na nim wrażenie, które naturę jego uczucia zmieniło, to nie stało się z jego wyrachowania, z naprzód powziętéj myśli, a więc i nie z jego winy. Kardynał, który przypasał miecz do boku, mógł się zapomnieć, zwłaszcza gdy to zapomnienie nie przekroczyło szranek najidealniejszego platonicznego uczucia. Poeta delikatnemi nadzwyczaj rysami i z wielkim wdziękiem skreślił tę miłość, którą poczuły do siebie te dwa serca, tak wielu przeszkodami rozdzielone i tak szlachetne. Żaden trubadur średniowieczny, żaden uczeń Danta lub Petrarki nie mógłby kochać z większą dyskrecyą i z większą adoracyą drogiego przedmiotu, jak Andrzéj. Miłość jego nie wybucha nigdy namiętnym płomieniem, nie zdradza się nawet żadném wyrazistém słowem. Jest cicha i głęboka, ukrywa się jakby ze wstydem na samém dnie serca i pokazuje się tylko na świat rozmarzoném uwielbieniem, szacunkiem i troskliwością na każdym kroku o ukochaną osobę. Mimo to Andrzéj widzi w tém uczuciu coś nagannego, coś, co innych może zadziwić i co nie powinnoby istnieć.

Wszczyna się więc walka w jego sercu, walka, w której jednak znać, że uczucie chciałoby oszukać i pokonać wszelkie argumenta rozumu, a nie ma dosyć odwagi, ażeby szalę zwycięztwa na swoję stronę przechylić. Andrzéj, nie dowierzając własnemu sądowi i zdaniu, pragnąłby, żeby ktoś drugi oświecił go, jak sobie postąpić, a prawdę mówiąc, ażeby z cudzych ust wyszła po raz pierwszy ta myśl, że za głosem serca iść powinien. W tym celu za powiernika bierze sobie senatora Gezzi, starca stojącego nad grobem, wypróbowanéj cnoty i prawości. Z nieśmiałością wstydliwéj dziewicy, z długiemi wstępami, krążąc zdaleka około przedmiotu, a kładąc na pierwszém miejscu dobro kraju i potrzebę następcy tronu, zasięga jego rady, czy będąc księciem, ma do śmierci zostać kapłanem?...

Gezzi nie ma czasu odpowiedzieć, bo w téj chwili wchodzący dworzanin zapowiada Malespinę. Efekt wistocie szczęśliwy i silny dla nas, co znamy już wszystkie plany Malespiny, co wiemy, że on trzyma w swym ręku sieć intryg, gotujących Andrzejowi zgubę i śmierć. Ten główny sprawca nieszczęścia, co ma spaść na Andrzeja, zjawia się w chwili, gdy on marzy o spokoju i pomyślności ojczyzny, gdy widzi w niedalekiéj przyszłości zniknięcie wszystkich chmur i burz politycznych z widnokręgu i rozpalającą się na nim jasną gwiazdę własnego szczęścia, niespodziewanego, nieprzeczuwanego nigdy przedtém.

Za tą złowrogą postacią zjawia się téż niezwłocznie i nieszczęście. Przychodzi wiadomość, że hospodar zabił w drodze posłańca, wysłanego przez Andrzeja do sułtana, a listy kompromitujące, które ten wiózł ze sobą, posłał natychmiast do Wiednia. Wszystkie plany Batorego pokrzyżowane i zniweczone. Ogarnia go przerażenie i pewność zguby staje mu jasno przed oczami, lecz patrzy na nią śmiało i nieustraszenie, jak w pierwszéj chwili, kiedy zabierał się do trudnego dzieła:

Tak jedna ściana domu mego w gruzach;
Ruina, pani ostateczna wszystkich
Robót człowieka, ma obszerny wyłom;
Wkrótce téż może cały gmach ogarnie...

A zwracając się do Gezzego, którego ostatni krewny był właśnie owym zamordowanym posłańcem, dodaje z przerażającą rezygnacyą: „Twoje i nasze plemię wkrótce zniknie z ziemi!...“

Przy tym nowym zwrocie okoliczności miecz tylko mógł rozstrzygnąć. Andrzéj wyszedł na czele wojska w pole przeciw Wołochom, przyjął bitwę pod Hermanstadem, i stało się jak powiedział: został pobity. Ceklerowie zdradzili i uciekli z placu boju. Z obnażoną z hełmu głową, z mieczem w ręku wchodzi Batory na scenę. Jego pierwsze słowa są wyrazem rozpaczy i zwątpienia o wszystkiém, co dotąd najwyżéj cenił na świecie: o rozumie, o szlachetnych dążnościach, o wyższym celu życia ludzkiego.

Wszystko przepadło!...
Nic nie pomogło męztwo, nic duch dzielny,
Nic myśl rozumna, nic szlachetne chęci,
Wysokie cele! Siła, siła tylko—

To rozum ziemi. Jak naczynie z gliny,
Los nas potrącił, rozbił, nie zważając,
Że w niém był napój zdrowy i zbawienny.
O, przyjacielu! jakąż my w tém życiu
Nikczemną, głupią farsę odgrywamy!
Nędzni Roscyusze, pysznim się w szkarłacie,
Póki trwa rola; gdy się kończy, milcząc,
Z rozpaczą w sercu idziem spać do grobu!
Wartoż to pracy?

Zaprawdę, w podobnéj chwili mógł i musiał tak mówić, gdy widział tysiące rodaków poległych śmiercią bohaterską, ale bezowocną; gdy widział świętą sprawę w upadku, a chciwość i zdradę w tryumfie; gdy widział, że męztwo, zapał, poświęcenie rozbiły się o przeważające tłumy bezrozumnego żołdactwa; że ci, co szli na łup i grabież, zostali zwycięzcami, a on, który bronił swojéj najdroższéj własności, został pokonany. W sercu człowieka na taki widok zrywa się szalona burza, a w głowie przewraca cały porządek tego świata; choćby kto nawet był tak spokojnym z natury, tak przygotowanym na wszystko i czystym w sumieniu jak Andrzéj, musi w takiéj chwili zawołać jak Brutus pod Filippi, gdy na własny miecz się rzucał: O! cnoto, jesteś czczém słowem i podłą niewolnicą fortuny!

Że Andrzéj chciał wrócić na pole walki i zginąć, to rzecz naturalna. Towarzysze broni zaledwie wstrzymali go od tego, bo w nim jeszcze jedyna, chociaż odległa nadzieja Siedmiogrodu. Batory ucieka do Polski. I w téj ucieczce poznajemy w nim znowu dawnego człowieka: ten umysł wyższy, nieupadający pod przeciwnościami, pogodny i cierpliwy, czerpiący siłę w przekonaniu o własnéj szlachetności, w wierze w Opatrzność.

Jest noc ciemna, Batory z jedynym towarzyszem ks. Brzeskim, przyjacielem od dawnych szczęśliwszych lat w Heilsbergu, błąka się po głębokim i głuchym lesie. Ich przewodnik Cekler odszedł, napozór by odszukać drogę, w istocie zaś, by naprowadzić na Andrzeja nasadzonych przez hospodara zbójców. Ks. Brzeski, upadły na duchu, przeczuwa jakieś nowe nieszczęście, trwoży się co chwila i dziwi się, że Andrzéj tak mężnie wszystko znosi. Z uśmiechem biorąc go za rękę, jakby rozmawiali ze sobą w bezpiecznéj i wygodnéj komnacie heilsberskiego pałacu, odpowiada mu cytacyą łacińską, ogólnikiem uznanym przez wszystkich za prawdę, maksymą, na którą, zdaje się, nie może być przeciwnego argumentu: *Vae victis!...* Cóż dziwnego?

Jam chrześcijanin. Jednak, pomnę, miałem
Chwilę okropną. Widok tylu trupów,
Jęk przeraźliwy, co huk dział przygłuszał,
I ta myśl straszna, że to wszystko na nic,
Grzeszną rozpaczą serce me zalały.
Dziś już to przeszło. W gruncie duszy jestem
Spokojny.

Spokojny jest, bo teraz już chodzi tylko o niego samego.

Jeśli niebo nam pozwoli
Przebyć te dzikie strony i pod dachem
Polskim odetchnąć, podziękuję Bogu.

Jeśli nie — *fiat!* Wszak Horacy mówi:
*Semel calcanda est via leti.*

I usiadłszy na ziemi w oczekiwaniu na złowrogiego przewodnika, zwraca się myślą w przeszłość, do cichego i bezpiecznego Heilsberga, do swych ksiąg poukładanych w pięknéj symetryi, do obrazów porozwieszanych przez niego w jaknajlepszém świetle. Ks. Brzeski płacze na to wspomnienie, w przeczuciu, że już tych miejsc, ani tych rzeczy więcéj nie zobaczą, a Batory, nie pytając o przyczynę, któréj się domyśla, uspakaja go tylko:

Przestań, księże Brzeski!
Wszystko porzucić musim, co lubimy,
Za nami idzie tylko... Nie pamiętasz,
Jak to Horacy mówi? zdaje mi się,
W odzie do Posthuma?

Zimno im dokucza i na zaspokojenie głodu nie mają ni kawałka chleba. Ale Batory prędko o tém zapomina i pamięcią przenosi się znowu do swego pięknego i wspaniałego kościoła w Heilsbergu; widzi się tam w świetnym orszaku duchowieństwa, w zgromadzeniu pobożnéj rzeszy, bo jest dla niego wyrzutem, że będąc kapłanem, pod pozorem dobra kraju powziął miłość do kobiety. „Może téż za to—dodaje— Bóg, co czytał w duszy, zesłał mi karę..."

Czy za to? ośmielamy się powątpiewać i, mówiąc otwarcie, wolelibyśmy, żeby poeta tych kilku wierszy nie był napisał, albo gdy mu je chwila fałszywego natchnienia podyktowała, wymazał je potém. Za co ma być ta kara? Że Andrzéj czystą, piękną miłością pokochał kobietę? Kiedy się tak stało, był już świeckim władcą, rycerski miecz przypasał do boku i niedługo miał iść na pole walki, gdzie go czekało spełnienie obowiązku wcale niekapłańskiego. W nowém jego położeniu my już zapomnieliśmy prawie, że był kiedykolwiek kapłanem, a historya nas uczy, iż zdarzały się wypadki, że papież osobom duchownym powracał ich charakter świecki, gdy tego dobro ogółu wymagało, jak tego, nie szukając daleko, przykładem nasz Jan Kazimierz. Na podobne względy kościoła mógł i Andrzéj z pewnością liczyć, przy znanéj mu zwłaszcza przychylności ze strony papieża. Wina więc jego nie była bynajmniéj tak wielką, jak on mniema, a przypuściwszy to, że po pokonaniu nieprzyjaciół, po utrwaleniu się na tronie, musiałby przestać być księciem kościoła, a zostać księciem świeckim, możemy przyznać, że jéj nie było wcale.

Nie kładlibyśmy jednak na tę okoliczność takiego nacisku, gdyby nie zdawała nam się fałszywym rysem, który to, co tragiczność téj postaci stanowi, z gruntu przemienia i o wiele obniża. Jakto, więc dlatego dosięgła go tragiczna Nemezis, że pokochał? Wszak widzieliśmy, że wyobrażenie jego o tém nie miało rzetelnéj podstawy, a potém, w jakimże związku jest ta jego miłość z całą jego działalnością i z tém, co jego charakter dramatyczny stanowi? Jest ona tylko epizodem, rzeczą prawie przypadku i na główną akcyę nie ma żadnego wpływu. Przypomnijmy sobie pierwsze wystąpienie Andrzeja. Ojczyzna go woła na ratunek, a on śpieszy za jéj głosem, wiedząc naprzód, że ocalić jéj

nie zdoła, ale mając to przekonanie, że syn płakać bezczynnie nie powinien, gdy matka tonie; że jeśli wyratować jéj nie zdoła, to jego właściwe miejsce — na dnie. On się poświęca zatém, poświęca swoję spokojność, bezpieczeństwo i życie. Czyni to z całą świadomością, ale zarazem z tém uczuciem, które z fanatyzmem miłości graniczy. Gdyby był rozsądny,—widząc, co go czeka, byłby się cofnął i nie poświęcał. Gdy jednak miłość ojczyzny postawił wyżéj nad wszystkie bezwątpienia mniéj szlachetne, zimne, ale nieubłagane prawa rozumu, zgrzeszył tém samém przeciwko porządkowi tego świata. I to jest jego tragiczna wina, za to spotkała go kara, za to poszedł na dno. Zbytek afektu gubi zwykle tragicznego bohatera, i nie potrzeba żadnego czynu, który czy to nazwiskiem zbrodni, czy występku, czy winy napiętnowany jest, bądź w prawie pisaném, bądź w moralném naszém poczuciu, ażeby sprowadzić ten upadek. Afekt ten sam przez się może być rzeczą najlepszą, namiętność może być czysta i szlachetna, ale ich nadmiar nie zgadza się ze zwykłą normą rzeczy ludzkich, wysadza człowieka z powszedniéj kolei i strąca w przepaść. Takimi po większéj części są bohaterowie Szekspira. Co winien Romeo, Lear albo Hamlet, że giną? Nic więcéj, tylko, że zeszli z wygodnéj, udeptanéj ścieżki życia, że stracili miarę i równowagę i osobistemu swemu uczuciu, bez względu na otaczający ich świat, porwać się dali.

Tak zginął i Andrzéj Batory. Tak go pomyślał i z wielką sztuką przedstawił od początku do końca dramatu poeta. Te kilka wierszy tylko są dysonansem, przypadkowym, przez nieopatrzność jakąś autora powstałym, a łatwym do usunięcia, bo proste ich wykreślenie wystarczy, ażeby zniknął bez śladu. Ale podobno tylko w ten sposób pojęty ten charakter, z tą, a nie żadną inną tragiczną fatalnością, stanie przed nami w całéj swojéj piękności, i będziemy mogli powiedziéć, że nie był to zapewne człowiek wielki, żaden głęboki polityk, że może nawet nie dorósł do wysokości wypadków, że nie zdołał dostrzedz konieczności historycznéj, która drobne państwo, wtłoczone między dwie wielkie a nieprzyjazne sobie potęgi, musiała oddać w ręce jednéj z nich dwóch, ale że to była piękna i szlachetna dusza do tego stopnia, że zbytek szlachetności ją zgubił.

Czyż potrzebuję dopowiadać reszty?... Kula położyła trupem Andrzeja, a on przyjął śmierć jako dawno na nią przygotowany, bez żalu i z tym samym olimpijskim spokojem, jak niegdyś, gdy mu dopiero groziło niebezpieczeństwo. I konając, przypomniał sobie ów wiersz Horacego; w ostatniéj chwili, gdzie człowiek wrodzonym instynktem wiedziony myśli tylko o sobie, aby zachwycić jeszcze tę resztkę uciekającego życia, on, wyższy nad wrodzony, zwierzęcy instynkt, myśli o odzie do Posthuma, o tém, co ktoś powiedział przed kilkunastoma wiekami, i powtarzając:

*Linquenda tellus*
*Et domus et placens....*

z temi słowami umiera.

A teraz, gdyśmy dwa te dramaty Korzeniowskiego przebiegli w główniejszych zarysach, i uprzytomniając sobie ważniejsze w nich po-

stacie, odświeżyli sobie w pamięci, jak wielki i jakiego rodzaju był talent autora, powróćmy na chwilę do tego, od którego wspomnienia naszę rzecz rozpoczęliśmy — powróćmy do Słowackiego. On to sam, który tak gorąco ujmował się za oddaniem sprawiedliwości Korzeniowskiemu, przyczynił się niemało do ujęcia mu w naszych czasach sławy. Stało się to w sposób najniewinniejszy, bez jego chęci i współudziału, ale się stało. Słowacki, skoro podobnież jak nasz autor po długim trudzie dobił się laurowego wieńca, skoro aż dopiero po śmierci, gdy został lepiéj poznany, zrobił się wielkim, zaćmił Korzeniowskiego. Jak przy blasku nagle zjawiającego się meteora, stale już wtedy na firmamencie naszéj poezyi, ale nie tak jaskrawém światłem błyszcząca, zbladła gwiazda Korzeniowskiego i szczęśliwy współzawodnik usunął go na drugi plan. Słowacki został pierwszym dramaturgiem polskim, kiedy przez długi czas zaszczyt ten zdawał się Korzeniowskiemu należéć.

Nie myślimy wcale téj palmy pierwszeństwa odbierać autorowi Balladyny, wiemy bardzo dobrze, o ile jako poeta wyższym jest od Korzeniowskiego. Ale zdaje nam się, że gdybyśmy go za sędziego w téj sprawie powołali, powiedziałby bez wahania: „Byłem bardzo bogaty w skarby duchowe, lecz chciałbym był posiadać także niektóre te przymioty, które miał Korzeniowski." Wistocie, wiele z tych zdolności byłoby mu się bardzo przydało i dopełniło może do całkowitéj miary jego wielki talent. Słowacki miał bujną i świetną fantazyę, która stwarzała mu plastyczne, krwią i życiem drgające postacie; miał brylantowy język, którym rozsiewał wszystkie kolory tęczy przed oczyma widza; miał uczucie cierpień ludzkich głębsze i silniejsze i silniéj targał za struny naszego serca, — ale byłby jeszcze większym niż jest, gdyby jak Korzeniowski posiadał zmysł otwarty na zjawiska i warunki rzeczywistości, gdyby rozumem więcéj był panował nad swém uczuciem i imaginacyą, gdyby miał wsobie tę miarę i równowagę, które utworom poezyi dodają siły muskularnéj do przetrwania sądów różnych głów i czasów, gdyby jak autor Andrzeja Batorego liczył się był więcéj z wymaganiami sceny, a wreszcie, gdyby jak on, wziąwszy sobie Szekspira za mistrza, nie kopiował częstokroć aż zanadto jego figur i sytuacyj, czego Korzeniowski podobno nigdy się nie dopuszczał.

Dla poety dramatycznego nie są to bynajmniéj przymioty mniejszéj wartości. Owszem, może to właśnie są te, które go od poetów lirycznych i epickich najwięcéj odróżniają, a zatém grunt jego specyalnéj zdolności stanowią. Podziwiajmy zatém Słowackiego, zwłaszcza, że on tak gwałtem podziwiać się i kochać każe, ale nie zapominajmy także o innych. Nasz Parnas narodowy jest dość obszerny i dużo na nim bohaterów ducha się pomieści. Korzeniowski powinien tam zatrzymać zawsze to miejsce, które mu się z prawa należy.

*Kraków, 1861.*

# CHARAKTERY KOBIECE W POEZYI POLSKIÉJ.

Gete powiedział, że Homer w swoich epopejach wyczerpał wszystko, co o charakterze mężczyzn powiedzieć można, że zatém nowożytnym poetom pozostały jeszcze tylko charaktery kobiece. Jakkolwiek orzeczenie to może być zanadto ogólne i bezwzględne, przyznać jednak trzeba, iż wistocie epik heleński stworzył dwa ideały męzkie, na dwóch przeciwnych sobie krańcach stojące, w których zawarte jest wszystko to, co dodatnim sposobem o charakterze męzkim powiedzieć można. Achilles, mężny i rycerski, to jedna z tych postaci; Odysseusz, mądry i rozsądny, to druga znowu postać—a obie przedstawiają w sobie dwie najwybitniejsze cechy rodu męzkiego: odwagę osobistą i rozum, to jest te właśnie rzeczy, których zawsze i wszędzie w mężczyznie szukamy i z których bądź jednę, bądź drugą musimy w nim znaléźć, abyśmy mogli powiedzieć, że jest godnym swojego nazwiska.

Dzisiaj nie będziemy się tém zajmować, o ile nowożytni poeci dodali jeszcze coś świeższego do charakterystyki mężczyzn, o ile udało im się wynaléźć takie jeszcze struny w naturze, których ręka Homera nie dotknęła—dzisiaj mamy na celu przypatrzyć się temu, a zwłaszcza na utworach naszéj poezyi, o ile wywiązali się z tego zadania, które im Gete wyznaczał—z kreślenia charakterów kobiecych.

Musimy na początku zaraz uczynić sobie tę uwagę, że to zadanie nie jest bynajmniéj łatwe i że trudności, które poeci przy tém napotykają, leżą w naturze rzeczy. Jakże to często dają się słyszéć ze strony płci pięknéj skargi na fotografię — i należy przyznać, że skargi po największéj części nader słuszne i uzasadnione; tak samo ma się rzecz i z malarzami, którzy podejmują się trudnego obowiązku przeniesienia na płótno rysów kobiecych; i oni także bywają bardzo często w kłopocie, jak znaléźć na swojéj palecie farby, któreby oddały świetność i jasność kobiecéj cery, i jakiéj sztuki mają użyć, ażeby przez umiejętne rozdzielenie światła i cienia wydać całą delikatność rysów. Otóż jeżeli sztuki plastyczne, jeżeli taka sztuka jak fotografia, gdzie wspólnie z człowiekiem pracuje natura, muszą walczyć z trudnościami w oddaniu saméj już strony zewnętrznéj, fizyognomii i rysów, o ileż cięższe, trudniejsze i niebezpieczniejsze jest zadanie poetów, którzy przedsiębiorą zdejmować wizerunki nie ciała, ale duszy,—którym chodzi o to, ażeby pokazać na swoich portretach nie tę grę światła i cieni, która się odbywa na alabastrowych czołach i w błyszczących się źrenicach, ale te świetlane blaski i te cieniste obłoki, które są w sercu kobiecém ukryte.

Ukryte—zdaje mi się, że dobrze powiedziałem, i równie słusznie możnaby jeszcze dodać: starannie ukrywane. Nie wdając się bowiem w powody i przyczyny, które w znacznéj większości wypływają z natury rzeczy, z usposobienia właściwego kobiecie i jéj stanowiska w społeczeństwie, to zapewne można przyjąć za fakt nieulegający wątpliwości, że charaktery męzkie rysują się zwykle wyraźniejszemi liniami, że łatwiejsze są do przeniknięcia i do zrozumienia, i że mężczyźni częściéj

noszą swoję historyę wypisaną na czole, niżeli kobiety, które lubią pisać hieroglifami, albo téż zasłaniać widok jakiemiś obłoczkami iluzyi i tajemniczości.

Jeden z autorów, któremu pod tym względem nie można odmawiać powagi, bo autorem tym jest pani Georges Sand, powiedział: że kobieta jest otchłanią; inny znowu, podobno największy znawca serca ludzkiego, bo Szekspir, powiedział: że kobieta jest falą... Otchłań i fala!... zaiste, nie można sobie wyobrazić rzeczy trudniejszych do zbadania i do ujęcia. Jakże wymagać od malarza, ażeby malował otchłań, gdy wzrok jego nie może przebić tych ciemności, które się w niéj roztaczają? jak można żądać od niego, ażeby narysował falę, która ucieka przed jego oczami w kształtach coraz to innych, zmieniających się co chwila, niepochwytnych, raz odbijając na sobie smugę słonecznego promienia, to znowu kryjąc się w cieniach pędzących za nią towarzyszek?...

Po zwróceniu uwagi na te największe trudności w kreśleniu kobiecych charakterów, prawda i słuszność każą także dodać, iż niezawsze i wszędzie one się zdarzają, i że kobieca dusza nie jest zawsze taką nieprzejrzaną otchłanią, ale częstokroć także pali się jasném światłem, które rozświeca dokoła siebie cały widnokrąg—i niezawsze jest znikomą, niestałą falą, lecz bardzo często także opoką, na któréj bezpiecznie spoczywać może spokojność domowego ogniska, a nieraz i szczęście społeczeństwa.

Najpierwszy z poetów naszéj epoki, Mickiewicz, dał nam także najpierwsze wizerunki postaci kobiecych. Ich szereg rozpoczyna Maryla, którą z wszelką słusznością możnaby policzyć do rzędu tych istot zmieniających się nakształt fali. Tkliwa i uczuciu miłości przystępna dziewica prawie w jednéj chwili przemienia się w kobietę, która może złamać duszę człowieka i przyprowadzić ją do rozpaczy, kiedy nagle ujrzy, że z przedmiotu jego uwielbienia, jakby liście z kwiatu za podmuchem mroźnego wichru, opadają wszystkie zalety i cnoty, a to serce, niedawno gorące, wystyga w jednéj chwili i staje się martwym głazem.

Poeta w półcieniu zostawił tę postać—może dlatego, że wzrok jego nie był jeszcze zdolnym przejrzéć jéj do głębi, a może téż od narzucenia jej wyraźniejszemi barwami wstrzymała go litość nad nią i... nad sobą.

W całym blasku za to niewieściéj cnoty przedstawił dwie inne swoje bohaterki: Grażynę i Aldonę. Poświęcenie, ta najzaszczytniejsza ze wszystkich cnót i najwłaściwsza kobietom, jest wspólném tłem ich charakteru. Bohaterska Grażyna naraża życie i przyjmuje śmierć dla odwrócenia od męża hańby, któraby spadła na niego, gdyby z nieprzyjaciółmi ojczyzny sprzymierzył się przeciwko swoim rodakom. Aldona niemniéj wielką czyni ze siebie ofiarę; w rozkwicie wdzięków i młodości zamyka się w samotnéj wieży, skoro mąż jéj opuścił Litwę, ażeby w obcych krajach przyprowadzić do skutku swój zamiar zemsty nad nieprzyjaciółmi. Jak Konrad nie mógł znaléźć w domu szczęścia, kiedy go nie było w ojczyźnie, tak i dla Aldony skończyło się życie, kiedy nie mogła go dzielić z tym, którego jéj serce nazawsze

wybrało. Rysami cudnéj prostoty nakreślona jest ta postać w pierwszéj połowie dziejów Wallenroda, przed jego oddaleniem się z Litwy. Ta córka książęca, kiedy w jéj sercu budzi się uczucie dla tego, którego kochać ma przez całe życie, przypomina nam prostotą i naturalnością niewieście postacie, kreślone przez Homera:

„Zkądże, pomyślał Kiejstut, nagła w méj córce odmiana?
Gdzie jéj dawna wesołość, gdzie jéj dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem—
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosną:—
Jéj z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,
Senna nie widzi co robi—wszyscy mi to powiadają.
Wczoraj postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem;
Jakże mogłaby wiedzieć, kiedy jéj oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają?
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Zkąd powraca? z doliny; cóż w téj dolinie? młodzieniec
Ogród dla niéj zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy
Niźli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich pongta).
Nie ogródek to wabi. Zimą widziałem jéj okna;
Cała szyba tych okien, co obrócona do Niemna,
Czysta jakby śród maju, lód nie zaciemniał kryształu...
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącém westchnieniem lody na szybach stopiła.

W dalszym ciągu poematu, należy to przyznać, Aldona, podobnie jak Wallenrod, traci cokolwiek z tego uroku. Poeta obciążył tutaj obie postacie grzechem sentymentalizmu, który łamie hart duszy i energię Wallenroda, a w Aldonie zagłusza naturalne instynkta serca, bo trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego Aldona nie chce opuścić swéj wieży, ażeby widzieć się z Konradem i razem z nim uciekać z nienawistnéj ziemi Krzyżaków na Litwę. W tym wypadku nie wystarczą nam zapewne te romantyczne prawdziwie powody, że oboje, zobaczywszy się po kilkunastu latach niewidzenia, zostaliby nagle rozczarowani i straciliby wzajemny dla siebie urok. Ta sentymentalna kokieterya, że ją tak nazwę, nie jest na swojém miejscu u serc tak głęboko czujących jak Aldona, i tém więcéj potępiać ją należy, że ona właśnie sprowadziła katastrofę i naraziła Konrada na to, że zostawszy pomiędzy Krzyżakami, upadł pod ciosami ich zemsty. Nawet tém, że jéj po tém wydarzeniu serce pęka, nie usprawiedliwia Aldona swojego fałszywego postępku.

Całkiem z natury, z rzeczywistego życia pochwycone są dwa kobiece typy w Panu Tadeuszu, to téż będą one zawsze zniewalać dla siebie serca i umysły wszystkich czytelników, i dzisiaj bardzo mało jest zapewne w kole czytających takich ludzi, którymby Zosia i Telimena nie stały żywo na oczach. Szczególnie mistrzowsko nakreśloną jest Telimena i możnaby powiedzieć, że to jest charakter kobiecy najlepszy, najwięcéj wykończony w naszéj poezyi—wszystko w nim jest tak zgodne z psychologią i najmniejszy rys tak plastycznie oddany, począwszy od zewnętrznéj postaci, aż do najtajemniejszych myśli wyrafinowanéj kokietki. Telimena nosi zapewne na sobie niektóre znamiona swo-

jego czasu — tak nazwanych czasów cesarstwa, ale pomimo to jest w niéj tyle ogólnéj prawdy, że nazawsze pozostanie typem swojego rodzaju.

Zaraz za pierwszém jéj wystąpieniem na scenę przeczuwamy cały jéj charakter. Na wiejską wieczerzę w domu swojego brata przychodzi wyróżowana, wygorsowana i ubrana wykwintnie tak, że to zwraca wszystkich uwagę na siebie. W jéj chodzie, w jéj ruchach i całém zachowaniu się jest taż sama przesada. Telimena nie *idzie*, ale *biegnie*, *toczy się*, jak poeta się wyraża, nakształt bilardowéj kuli; przy stole nie je, ale wachluje się i od niechcenia poprawia włosy. Największą byłoby dla niéj krzywdą, gdyby ją ktoś posądził, że lubi wieś i że na wsi została wychowana. Wyższém swojém wykształceniem popisuje się dlatego przy każdéj sposobności: mówi po francuzku, rozprawia o literaturze i sztukach pięknych z wielkim zapałem i górnolotnemi frazesami, unosi się nad pejzażami hrabiego i nad piękną naturą Włoch, których może nie widziała; nareszcie co chwila ma na języku wspomnienia z Petersburga, z wielkiego świata stołecznego, gdzie miała niejednę romantyczną przygodę i tak wiele wysokich znajomości.

Ta skłonność do romantyczności, w jéj komiczno-sentymentalném znaczeniu, jest wybitnym rysem w charakterze Telimeny. Lubi ona używać wieczornego chłodu, wyszedłszy na ogród z książką w ręku, rozumie się, przy blasku księżyca; miała niegdyś ulubionego pieska bonończyka, którego śmierć przyprawiła ją o spazmy i palpitacyę serca. Koroną jéj romantycznego usposobienia są jéj przechadzki do „Świątyni dumania;“ jest-to mały gaik na wzgórku, u stóp którego płynie zlekka szemrzący strumyk—temu miejscu nadała Telimena nazwę tak uroczyście brzmiącą i tam to szuka ona samotności do rozmyślań i marzeń; i kiedy inni zajęci są naprzykład tak prozaiczną rzeczą, jak zbieraniem grzybów, ona odłącza się od towarzystwa, i położywszy się na podesłanym swoim czerwonym szalu, szuka poetycznych natchnień z francuzkiéj książki w swojéj „Świątyni.“

Łatwo się domyśléć, że całe to poetyczne, marzące, nawpół ekscentryczne usposobienie, jest tylko udaniem. Telimena egzaltuje się zawsze na zimno i w głębi duszy robi zawsze ze sobą porachunek, jaki to uczyni efekt i czy może zwrócić na nią uwagę. Celem jéj ostatecznym jest zawracać głowy, ile możności najwięcéj, i w jednéj z tych zawróconych głów znaléźć męża. Uczucia w niéj niema ani odrobiny, i dlatego téż może na raz jeden zastawiać sidła aż na trzech kandydatów do stanu małżeńskiego. Najstarszego z nich wiekiem, pana regenta, zostawia w odwodzie, na wszelki przypadek, ale zarówno także w wyborze między dwoma młodymi ludźmi: Tadeuszem i hrabią, nie kieruje nią uczucie, ale najzimniejszy, a przytém, można jéj tę sprawiedliwość oddać, najrozsądniejszy rachunek. Telimena, ważąc się jakiś czas na jednę i na drugą stronę, obu dając oznaki swojéj sympatyi, zanim się stanowczo ku jednemu z rywalów przechyli, rozpoczyna swoje strategiczne kroki od rozważania tego, ile sama jest warta. Staje w tym celu przed zwierciadłem, przypatruje się sobie i ma na tyle

rozsądku i pewnego rodzaju cywilnéj odwagi, iż nie waha się przyznać saméj sobie, że hrabiego nie zdoła usidlić na czas dłuższy, bo niestety wdzięki jéj cokolwiek spłowiały. Łatwiejszą i pewniejszą zdobyczą będzie Tadeusz, chłopiec młody, niedoświadczony, nieznający świata, „prostaczek," jak sobie Telimena w duchu z niemałą dla siebie pociechą powiada.

Ale wkrótce musiała Telimena się przekonać, że się bardzo przerachowała. W Tadeuszu rozbudziło się uczucie do Zosi, które tylko przez nieporozumienie, nadzwyczaj zręcznie przez poetę pomyślane, na jakiś czas ku Telimenie się skierowało. Inna kobieta, którąby sama żywo i prawdziwie czuła, w tym wypadku byłaby dała za wygranę i dumą i udaną obojętnością pokryła cierpienia swojego serca. Ale Telimena z doświadczenia zapewne wiedziała i o tém, że czego nie można pozyskać dobrą wolą, to można wymódz sztuką i tym gwałtem, który się nazywa kobiecemi łzami. Wiedziała ona, że ma w ręku takie środki, których nie ma i używać nie może naiwna i niewinna Zosia. Pędzona niby rozpaczą, biegnie więc do Świątyni dumania, aby tam wylewać łzy samotne; w rzeczy zaś saméj wiedząc dobrze, że Tadeusz znajduje się niedaleko w lesie i widzi ją doskonale. Ten fortel się udał—nieszczęściem, na bardzo krótko, bo piegi i zmarszczki na jéj twarzy, tudzież brak dwóch zębów, który teraz Tadeusz dostrzegł, do reszty go rozczarowały i strasznie kwaśnym zrobiły. Telimena poznała, że tylko gwałtownym szturmem może jeszcze zrobić wyłom w jego sercu. Tadeusz właśnie objawił stryjowi swój zamiar udania się w szeregi narodowe i wychodził od niego z pokoju, kiedy w kurytarzu zastąpiła mu drogę jakaś długa, wysmukła i cienka mara. Była to Telimena. Jak zawsze, tak i teraz, w stosownéj do okoliczności tualecie, cała w bieli, z tragicznem podniesieniem ręki do góry, zatrzymuje Tadeusza, mówi do niego cichym głosem, łka, szlocha i jęczy. Zgadza się już i na to, ażeby ją opuścił, i pragnie tylko tego, ażeby jéj jeszcze raz powtórzył, że ją kochał. Tadeusz nawpół z litości, nawpół zaś ażeby jéj się pozbyć, powiada, że ją wistocie bardzo lubił, czy też kochał. Telimenie dosyć jest na tém, bo jéj nie chodzi o prawdę uczucia, tylko o pozory; chce uratować swój honor, więcéj nic. Uszczęśliwiona pada Tadeuszowi na szyję, dziękując mu, że jéj przywrócił życie, bo już była gotową—i to dziś właśnie—zabić się. Wymógłszy więc na Tadeuszu prawie gwałtem jakie takie wyznanie, nie wierząc sama w jego szczerość, wmawia w niego, że ją kocha i że nigdy już się nie rozłączą, że ona odda mu majątek i wszędzie za nim pójdzie:

> Każdy świata kątek
> Będzie mi z tobą miły; z najdzikszéj pustyni
> Miłość, wierzaj mi, ogród rozkoszy uczyni.

Naturalnie Tadeusz wtedy zmuszony jest wypowiedzieć jéj otwarcie całą prawdę, że sobie tego bynajmniéj nie życzy. Teraz dopiero przemaga natura nad sztuką i udaniem: Telimena pokazuje się w prawdziwéj postaci: wybucha gwałtownym gniewem, wyrzuca Tadeuszowi, że dla niego odrzuciła cały szereg innych konkurentów; przeklina

go, nazywa kłamcą, człowiekiem podłym i t. d., a z tego wszystkiego jasno widać, że doskonale wiedziała, że Tadeusz kochał Zosię i że cała ta scena czułości była tylko komedyą, przez którą miała nadzieję zrobić efekt na sercu młodzieńca i chociaż temi słabemi kajdanami przykuć go do siebie.

Straciwszy tę nadzieję, Telimena zwróciła się stanowczo do hrabiego i wkrótce umiała rzeczy tak daleko doprowadzić, że hrabia gotów był już się z nią ożenić, gdyby honor nie był powołał i jego także na plac boju, w szeregi Napoleona. Nie potrzeba zapewne przypominać, że Telimena, pragnąc po wielu burzach swojego życia jaknajprędzéj zawinąć do portu, skorzystała z jego nieobecności i postanowiła uszczęśliwić swoją osobą zapomnianego dotąd regenta. Téj ostatniéj deski ratunku chwyciła się tak silnie, że kiedy hrabia za powrotem począł jéj wyrzuty czynić, zagroziła mu, że gdyby przeszkadzał temu małżeństwu, wydrapie mu oczy... Temu zapewnieniu można już dawać wiarę—nie było to już żadne udanie.

Najzupełniejszém przeciwieństwem Telimeny jest Zosia, i jeżeli w tamtéj razi nas co chwila fałsz uczucia i pobudza do śmiechu źle odgrywana komedya, to postać tego dziewczęcia, przeniesionego żywcem na papier ze szlacheckiego dworca, chwyta nas za serce urokiem czystéj, niezamąconéj niczém natury. Zosia jest tak dalece szczerą naturą, że nie znać na niéj nawet tych śladów, jakie mimowolnie wyciska na człowieku każde społeczeństwo, na jakimkolwiek stopniu cywilizacyi będące.

Wszystko sprzyja temu, ażeby temu polnemu kwiatkowi zachować jego woń przyrodzoną, a najwięcéj zapewne, lubo całkiem bezwiednie, przyczynia się do tego ciotka Telimena, która z własnego interesu dorastającą panienkę trzyma zdaleka od ludzi i towarzystwa. Zosia rośnie więc na słońcu, jak te bławatki i maki, w które się stroić lubiła, pomiędzy indykami i kurami, w towarzystwie wiejskich dzieci i prostaczków. Czasami chodzi boso, a zawsze w najprostszém wiejskiém ubraniu. Jéj maniery nie są bynajmniéj dystyngowane i wierzymy zupełnie, że ciocia Telimena miała słuszne powody gorszyć się niemi i burczyć ją za to, że nie umie się patrzéć, ani dygać, że się rusza jak chłopiec. Zosia w całém swojém postępowaniu jest trochę dzika. Kiedy pierwszy raz spostrzegła Tadeusza, uciekła przed nim, nie przemówiwszy ani słowa. Toż samo mniéj więcéj powtórzyło się późniéj z hrabią, kiedy ją niespodzianie naszedł w ogrodzie. Górnéj i szumnéj apostrofy romantycznego hrabiego nie mogła ona na żaden sposób zrozumiéć i odpowiadała mu całkiem prozaicznėm pytaniem: „Czego tu po grzędach szuka pan dobrodziéj?" a kiedy spostrzegła, że jego pytania zachodzą zadaleko, daléj niż prosta grzeczność pozwala, urwała nagle rozmowę i oddaliła się, prosząc go jedynie, czyby nie zechciał wypędzić w zbożu rozbiegłych gęsi.

Z tego ostatniego rysu już widać, że w braku innych zasad i przepisów, Zosia posiadała wrodzone instynkta kobiecości. Że tak było wistocie, wypowiedziała to wyraźnie cioci Telimenie, kiedy ją ta za jéj niestosowny układ i zachowanie się karciła:

> Ale poczekaj, ciociu, niechno się pobawię—
> Trochę z ludźmi, obaczysz, jak ja się poprawię,

i zarazem przyznała się przed nią, że jéj się już sprzykrzyło towarzystwo z kurami i indykami, i że chciałaby widzićć już raz gości.

Kiedy to wyznanie czyniła, myślała zapewne o Tadeuszu. Widziała go ona dotychczas kilka razy i bezwątpienia patrzyła na niego sympatycznie. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawy, bo nie wiedziała o tém, może nawet nigdy nie słyszała, że na świecie się ludzie kochają. Dopiero kiedy przypadkiem podsłuchała, jak Tadeusz przed stryjem oświadczał, że ją kocha, poczuła pierwsze drgnienie serca i odjeżdżającemu na wojnę Tadeuszowi przyniosła relikwie z ołtarzyka, ażeby go broniły i przypominały mu Zosię. W jaki sposób utrwaliła się w niéj następnie miłość, o tém ze spuszczonemi oczami mówiła sama Tadeuszowi w dniu ich zaręczyn:

> Przed odjazdem, jeśli pan pamięta,
> Kiedy umarł ksiądz Robak w owę burzę nocną,
> Widziałam, że pan, jadąc, żałował nas mocno,
> Pan łzy miał w oczach. Te łzy, powiem panu szczerze,
> Wpadły mi aż do serca; odtąd panu wierzę,
> Że mię lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
> Za pana powodzenie, zawsze przed oczami
> Stałeś pan z temi dwiema błyszczącemi łzami...

Co rozpoczęły łzy Tadeusza, tego dokończyła tęsknota za nieobecnym i wystawionym na wszystkie niebezpieczeństwa wojny. W ten sposób mogło się zrodzić stałe uczucie i przywiązanie, które wytrwało i wystarczyło do śmierci.

Nie będzie to zapewnę dziwić czytelniczek, jeśli tuż obok Zosi postawię dwie bohaterki „Ślubów panieńskich," tego arcydzieła między komedyami polskiemi. Aniela i Klara bowiem do pewnego stopnia podobne są do niéj i w nich przedewszystkiém naiwność stanowi grunt charakteru. Jest-to już jednak naiwność innego rodzaju. U Zosi jest ona całkiem naturalną, wypływa z zupełnéj nieznajomości świata i życia. Przeciwnie, bohaterkom „Ślubów panieńskich" *wydaje się*, że znają i jedno i drugie, i z tego fałszywego ich mniemania wynika ich naiwny a zarazem nieprawdziwy pogląd na świat. Dwie młode panienki patrzyły przez jakiś czas w domu swoich krewnych na niezbyt zgodne i szczęśliwe pożycie małżeńskie, prócz tego przeczytały kilka okropnych romansów, przedstawiających świat w barwach jaskrawych i przesadzonych, jak np. „Męża Kloryndy życie wiarołomne," i z tego przyszły do wniosku, że wszyscy mężczyzni bez wyjątku są potworami, że nie mają uczucia, tylko sporą dozę próżności, że jest nieszczęściem dla kobiety, jeśli się do którego przywiąże. Postanowiły przeto nie pozwolić nigdy na to, ażeby mężczyzna odniósł tryumf nad ich sercem, przyrzekły sobie być nieczułemi, nienawidzićć i pogardzać rodem męzkim, i nigdy się nie kochać:

> Przyrzekam na kobiety stałość niewzruszoną
> Nienawidzićć ród męzki, nigdy nie być żoną—

taka jest rota uroczystéj przysięgi, którą obie przed sobą nawzajem składają. Dla pewnego jednak zadosyćuczynienia potrzebom serca, wymyślają sobie sposób dość szczególny, ale podobno przez młode serca nieraz praktykowany:

Jedna dla drugiéj kochankiem się stanie—

powiadają sobie i pewne są, że wszystko, co uczyniły, stało się jaknajlepiéj.

Te „śluby panieńskie" nie są bynajmniéj rzeczą tak nienaturalną i bezsensową, jak się na pierwszy rzut oka wydają, i owszem, można śmiało powiedziéć, że komedya ta oparta jest na bardzo głębokiém spostrzeżeniu psychologiczném zjawisk, powtarzających się od wieków i tak często na świecie. Klara i Aniela nie są bynajmniéj ekscentrycznemi oryginałami między płcią swoją, i gdyby nawet nie były widziały przykładów złego małżeństwa, gdyby nie były czytały nierozsądnych romansów, mogły były z popędu własnego serca uczynić podobne śluby. Jedném bowiem z tych napozór dziwnych zjawisk natury jest i to, że miłość nie istnieje bez pewnego rodzaju walki, którą mianowicie rozpoczyna zawsze płeć piękna. Młode serce, kiedy po raz pierwszy uczuje nad sobą moralną władzę drugiéj istoty, zaczyna najprzód walkę ze samém sobą, naturalnym jakimś instynktem opierając się obcemu wpływowi; potém ta walka przenosi się na inne pole i rozpoczyna się bój z przeciwnikiem, który, ażeby posiadł nawet to, co jemu poddać się pragnie, musi zawsze dobijać się o to i zdobywać. Jest-to więc walka tylko napozór, w któréj z góry prawie jest zapowiedziane, że się ma skończyć zobopólném zadowoleniem, i dlatego może służyć i służyła już nieraz za bardzo dobry temat dla komedyi. Autor „Ślubów panieńskich" podniósł ją zaś do wysokiéj komiczności przez to, że to, co zwykle bywa komiczném, co się ukrywa w głębi serca, tutaj wygłoszone zostało wyraźnie i otwarcie jako zasada, a co więcéj uświęcone powagą przysięgi.

Pierwszą myśl do tego heroicznego czynu podała Klara. Jest-to charakter więcéj czynny, energiczny; Klara ma dobre serce, ale nie można wątpić, że się i gniewać umie; przytém jest wesoła, trochę kapryśna i trochę uparta, i lubiłaby zawsze postawić na swojém.

Do téj walki wogóle, którą wydaje rodowi męskiemu, ma ona stosowne usposobienie i niemały zapas siły, a wszelkie zabiegi przeciwnéj strony mogą bardzo łatwo rozbić się o jéj ironiczne żarty i upodobanie w dręczeniu innych. Odmienną od niéj jest Aniela; z natury czuła, tkliwa i sentymentalna, przytém delikatna i nieśmiała, jeżeli zdecydowała się należéć do tego spisku, to tylko przez swoje więcéj bierne usposobienie i z obawy narażenia się swéj kuzynce.

Przypominają sobie czytelniczki, że Gustaw, ażeby nasze bohaterki zmusić do złamania uczynionego ślubu, obrał środki tak dla jednéj jak i dla drugiéj z nich całkiem skuteczne. Kapryśną i upartą Klarę postanowił złamać najprzód obojętnością, niezważaniem na to, co ona mówi, o co się pyta, co robi—a potém powiększając dozę, wzbudzeniem w jéj sercu zazdrości. Klara zmuszona jest gniewać się o to, że

Gustaw ją ignoruje, drażliwa jest na każdy przytyk, który jéj robi, oburza się na to, że Gustaw przemawia do niéj żartami i z ironią, i w ten sposób co chwila wypada ze swojéj roli i traci swą powagę, bo właściwie należałoby się podług uczynionego ślubu, ażeby ją to wszystko nic a nic nie obchodziło, aby nie wymagała od mężczyzny téj grzeczności, téj chęci podobania się i delikatności, które mężczyźni zwykle dla kobiet pokazują, a które w oczach Klary napozór są godne jedynie pogardy. Gniewa ją więc to, że jéj się usuwa sposobność dokuczania i pokazania swojego lekceważenia, bo jéj maksymą kardynalną jest to, że „mężczyzna winien kochać zawsze, ale jedynie dlatego, ażeby poznał, jak kobiety gardzą."

Jéj drażliwa sytuacya pogorsza się jeszcze bardziéj, kiedy się dowiaduje, że ojciec postanowił wydać ją za starego Radosta, a Albin, ów Albin, dotąd tak powolny i zakochany, na którym szczególniéj chciała doświadczyć siły swoich wdzięków, nagle się przeniewierzył i obrócił swoje afekta ku Anieli. To wszystko jest intrygą wymyśloną przez Gustawa, ale Klara uwierzyła temu i musiała uznać się za zwyciężoną, musiała wyznać Gustawowi, że Aniela go kocha, a co więcéj, że ona sama jest gotowa oddać rękę Albinowi.

Innym zupełnie sposobem rozbroił Gustaw uczuciową Anielę. Zrazu chciał wzbudzić w niéj litość nad swoim nieszczęśliwym stanem, do którego jéj obojętność go przyprowadziła. Ale to się nie udało, bo był to atak zbyt jawny i nie mógł zachwiać w Anieli postanowienia pozostać wierną ślubowi. Spostrzegł to Gustaw, że inną drogą trzeba trafić do jéj serca. Nie chciała się litować nad kochankiem, niechaj uczuje litość nad człowiekiem! Więc Gustaw bierze ją za swoję powierniczkę, za przyjaciółkę i wyznaje, że bardzo jest nieszczęśliwy, kochając jakąś inną Anielę, i że straciwszy nadzieję, postanowił się zabić. To przeraża Anielę, która zaczyna drżéć o życie Gustawa, a obraz miłości zawsze ku téj innéj Anieli, jaki jéj Gustaw kreśli, roztkliwia jéj serce i rozbudza w niém pragnienie uczucia. Aniela zaczyna wątpić, czyli dobrze postąpiła, że się wyrzekła miłości:

> Jestżem szczęśliwsza, że w miłość nie wierzę?
> Jednak ta miłość jest, trwa, dowiedziona....
> O Boże! serca nie czuję śród łona!

Po tym szczerym monologu można być pewnym, że śluby zostaną złamane, chociaż Aniela, łudząc sama siebie, wyprzysięga się przed Klarą:

> O! jak cię kocham, ja ich nienawidzę!

Najwięcéj zapewne wstyd wymógł na Anieli to zapewnienie, ale wszelkie refleksye i postanowienia skruszone zostały do szczętu przez coraz gorętsze słowa Gustawa, który nie przestawał dręczyć serca i wyobraźni Anieli obrazami tego uczucia, którego doznawał kochając tę drugą Anielę:

> Ah! być kochanym wszyscy szczęściem głoszą,
> Mém zdaniem, kochać jest większą rozkoszą,
> Los kilku istot zrobić swoim losem,

Czuć i żyć tylko drugich dusz odgłosem,
Dla dobra innych cenić własne życie,
Dla nich poświęcić każde serca bicie;
Światem uczynić najmniejszą zagrodę,
Tam mieć cel życia i życia nagrodę,
I kończąc cicho wytknięte koleje,
Za grób swój jeszcze przeciągnąć nadzieje—
Otóż są szczęścia rzetelne zalety—
I ty, ty wyrzec chcesz się ich niestety!?

To był zasilny raz na serce Anieli. Z uniesieniem odzywa się: Nigdy, przenigdy!... a lubo jeszcze téj saméj chwili się miarkuje, doszła już do tego przekonania, że nierozsądkiem jest nienawidzieć, kiedy niema o co, i że to nie jest rzeczą tak łatwą.

Owa sławna scena z listem, którą dość jest wspomnieć, ażeby nam stanęła żywo przed oczami, jest prawdziwie genialnym fortelem Gustawa. Aniela co chwila wybucha uczuciem, któreby chciała ukryć, co chwila się zdradza i zapomina swojéj przybranéj roli, poczęści nawet przyznaje się do sympatyi, jaką ma dla Gustawa. Jéj dusza została rozkołysana marzeniami, serce rozpłomienione; wyszły jéj z pamięci śluby i przysięgi, kiedy miała niejako naoczny dowód, że przez nie chciała się jedynie wyrzec i pozbawić szczęścia. Nic więc dziwnego, jeśli potém, kiedy Gustaw przyznaje się do fortelu, Aniela mu powiada, że jéj serce nie milczy, że głos natury przezwyciężył nierozsądne postanowienie.

Widzieliśmy dotychczas postacie kobiece, może najwięcéj wykończone w naszéj poezyi, ale gdyby nam przyszło powiedzieć, która z nich jest najidealniejszym wizerunkiem polskiéj kobiety, bezwątpienia na wszystkich ustach znalazłoby się wtenczas imię Maryi, bohaterki nieśmiertelnego poematu Malczeskiego. Poeta wystawił ją w idealném oświetleniu anielskiéj rezygnacyi. Jéj dusza stworzona była do wyższego szczęścia, niemającego nic wspólnego z poziomością tego świata. Gdyby go była dostąpiła, byłaby łagodna i cicha, jaką jest w nieszczęściu,—żadna myśl płocha i znikoma nie byłaby w niéj zagościła nawet wtedy, gdyby los był ją jaknajwięcéj obsypywał i psuł swojemi darami. Szczęście jéj wydarto, a ona została spokojną i nieporuszoną, i całą boleść ukryła w głębi swego serca:

Piękna, szlachetna postać do aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona,
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień;
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza...

A daléj znowu, nie mogąc się od tego uroczego obrazu oderwać, mówi poeta:

Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu w jéj mglistém spojrzeniu;
Oh, nie! przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłéj nadziei grobowiec spokojny;
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła, i swym dymem całą twarz zaćmiła.

W czém Marya szukała tego szczęścia? Na to można bez wahania odpowiedzieć: w szczęściu drugich. To, co bezwątpienia stanowi najzaszczytniejsze przeznaczenie kobiety: być aniołem-stróżem domu, pocieszycielką i ozdobą dla tych, których walka z ludźmi i z przeciwnościami goryczą napełnia, to nietylko Marya uważała za swój obowiązek, ale za najchlubniejsze swoje prawo. Pragnęła być pociechą samotnych dni starego, znękanego wiekiem i zgryzotami ojca, i nawet wtedy, kiedy sama cierpiała, znajdowała jeszcze dla niego uśmiech nadziei i radości. Miłość jéj dla męża nie miała granic, i możnaby powiedzieć, była tylko jednym aktem poświęcenia. Marya nie pojmowała swojéj istności bez niego i czuła się o tyle sobą, o ile w nim się widziała, bo kochając go, oddała mu całą swoję duszę. Ze stanowiska dzisiejszych, niezbyt jasnych dotychczas i niezawsze prawdziwych pojęć o emancypacyi, możnaby zarzucić Maryi, że się uniża aż do zapomnienia o swojéj godności kobiecéj, tak dalece wyrzeka się ona wszelkiéj odrębności i znaczenia w życiu. Mówiąc obrazowo: chciałaby ona być jedynie echem téj pieśni życia, która ma być dziełem jéj męża—w nim zatopiła całą swą istność i dla niego jéj się zaparła ochotnie, bez żalu, a z rozkoszą dla siebie:

Czy Marya ciebie kocha? pytaj się jéj cienia.
Czém dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czém dla Maryi świat przyszły bez twego wspomnienia?
Nieraz w zmysłów zamknięciu nad tą dużą księgą,
Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
Gdym chciała ciebie skłonić modlitwy pociechą,
Zaraz mi brzmiało jakby twego żalu echo!..
Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
Nie myśléć, tylko o tém, w czém tobie dogodzić;
Być twoich chwil osłodą, czasem ich ozdobą,
Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą
I w téj ostatniéj chwili, choć w cierpień natłoku,
Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku,
A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojéj pamięci—
To Maryi cała miłość, wszystkie Maryi chęci...

Marya ani na chwilę nie pozbywa się téj czystéj kobiecości—uczucia nigdy w niéj nie przemaga rozum, albo jakiekolwiek światowe względy. Nie chce ona nigdy być bohaterką kosztem swojego serca. Kiedy Wacław ma się udać na wyprawę przeciw Tatarom, wolałaby, ażeby tam nie szedł, i tylko zapewne to przekonanie, że nie może swojéj chęci stawiać wyżéj nad obowiązek męża, powstrzymuje ją od wyraźnego objawienia swéj myśli. Ale i wtenczas nie zapomina go upomniéć, ażeby zbytecznie się nie narażał: chce go widzieć zwycięzcą, z laurem na szyszaku, ale nie chce, ażeby sławę opłacał życiem:

Nieprawdaż, mój Wacławie? ty będziesz odważny,
Stały, wytrwały, dzielny, ale i uważny.

Możeby kto powiedział, że podobnych kobiet nie potrzeba dzisiaj, przy obecnych luźniejszych stosunkach towarzystwa, ale trudno sobie wyobrazić innego ideału niewieściego w czasach, kiedy bohaterowie różnego rodzaju, rycerze ducha i miecza występowali swoją osobą w za-

pasy z przeciwnikami. Któżby im wtedy otarł pot ze skroni po zwycięztwie, albo kto rozbudził nadzieję w sercu, gdy zwyciężeni upadli pod przewagą nieprzyjaciół?....

W galeryi tych portretów, którą mieliśmy do przejrzenia, jest wiele jeszcze prac innych naszych wielkich poetów: Krasińskiego, a szczególnie Słowackiego. Posiadają one prawie wszystkie bardzo wiele poetycznego uroku albo wdzięku, ale zarazem w znacznéj części odbiegają od prawdy i życia, a jeśli może nie w ich całości, to w ich pojedynczych rysach trudno jest dopatrzéć się realnego gruntu i na uczynku pochwyconéj natury, na co, bądź jak bądź, najwięcéj zważać należy wtenczas, kiedy jest mowa o charakterach.

Mianowicie z natury talentu i utworów Krasińskiego wypływało, że tak samo charaktery kobiece jak i męzkie są raczéj abstrakcyjnemi postaciami, wyobrazicielami idej, które poeta w dziełach swych przedstawić i przeprowadzić pragnął, niżeli żyjącymi i żywymi ludźmi ze wszystkiemi znamionami i skłonnościami swego rodzaju. Ogólnie jednak można to o kobietach Krasińskiego powiedziéć, że są pojęte duchowo i idealnie, i jeśli w porównaniu z ziemskiemi córkami Ewy wyglądają zbyt eterycznie, zbyt podniośle, to bezwątpienia są także pięknemi prototypami kobiecéj doskonałości, o jakiéj mogą śnić wyższe umysły i jaka niezaprzeczenie wciela się niekiedy i na ziemi, a jeśli nie jest w całéj swojéj piękności widzianą i poznaną, to pewnie tylko dlatego, że ją zawsze okrywać musi ciasna i znikoma powłoka materyi, która albo zaślepia nasze oczy, albo téż duchowéj swojéj treści nie oddaje tak wyraźnie i jasno, jakby to uczynić powinna.

Postacie kobiece Krasińskiego mają serca nieograniczonéj dobroci i łagodności i przez te cnoty stają się często dla dusz męzkich gwiazdami przewodniemi na drodze dobra i wielkości. Myśli szlachetne, ideje zbawcze dla ludzkości, znajdują w nich apostołki i ofiary gotowe do zaparcia się siebie i poświęcenia. Taką jest siostra Irydyona, Elsinoe, oddająca się dla miłości ojczyzny na pastwę tyranowi; taką Metella, kiedy najprzód dla miłości Irydyona gotowa skazać własną duszę na potępienie, a więcéj jeszcze potém, kiedy swoją miłością jego samego wybawia ze szatańskich szponów Massyniey; taką nareszcie jest i żona hrabiego w Nieboskiéj komedyi, kiedy nie mogąc dorównać duchowi swojego męża, nie mogąc, jakby pragnęła, obdarzyć go szczęściem, nie usiłuje złamać i ściągnąć do swego poziomu jego ducha, ale woli paść jego ofiarą.

Łatwo również sobie wytłumaczyć, że i Słowacki nie mógł dać wiernych i naturalnych obrazów charakteru kobiecego. Do tego trzeba było stać na téj wysokości, na któréj stali Szekspir, Gete albo Mickiewicz—trzeba było miéć niezamącony pogląd na świat i umiéć rzeczywistość pogodzić z fantazyą poetyczną, co bezwątpienia w całém zadaniu i pracy poety lub artysty najtrudniejszą jest rzeczą, i z wielorakiego doświadczenia powszechnie jest to wiadomém, że nierównie łatwiéj utworzyć jest bezwzględną doskonałość albo bezwzględną złość, niżeli jednę z tych istot, które stoją w pośrodku między temi ostatecznościami, mają świadomość dobrego i złego, skłonności do jednego i drugiego,

a które to istoty nazywają się ludźmi. Dlatego człowiek, takim jakim jest wistocie, jest największą tajemnicą i najwyższém zagadnieniem wszelkiej sztuki na ziemi.

Kobiece postacie Słowackiego stoją zwykle na jednym albo na drugim z tych ostatecznych krańców. Są to albo anioły i posągowe boginie, jak Amelia lub Lilla Weneda, albo też szatany i duchy z demoniczną potęgą, jak Balladyna, Roza Weneda, Gwinona. Najlepszém studyum kobiecego serca w dziełach Słowackiego jest bezwątpienia Marya Stuart, jedna z tych natur kobiecych, do których możnaby zastosować to, o czém na początku wspomniałem, że są zarazem otchłanią i falą: urok anielski, słodycz serca, a obok tego szatańskie instynkta i to szczególne upodobanie krążenia nad przepaścią....

Mając teraz przed oczami i w świeżéj pamięci te rozmaite kreacye poetów, których znacznéj jeszcze liczby nawet po imieniu wspomnieć nie mogłem, czyliż moglibyśmy oprzéć się temu przekonaniu, jak wielkim jest wpływ, a nawet współudział kobiety w dziedzinie poezyi? Wszystkie te postacie, które żyją dzisiaj idealném życiem w dziełach poetów, kiedyś, w chwilach swojego powstania, mniéj albo więcéj zrodziły się z natchnienia albo impulsu nadanego twórcom przez jakieś żyjące istoty. Jakoż widzimy to w całych dziejach poezyi i sztuki, że po owych wielkich ideach Boga, ludzkości i ojczyzny, kobieta jest najżywszém i najsilniejszém źródłem dla twórczości i pomysłów artystycznych. Urok jéj postaci, przymioty jéj serca, a nawet ujemne strony jéj natury, obudzają żywy interes i zajęcie w drugiéj połowie rodu ludzkiego i zmuszają umysły twórcze do zaludniania niemi swojéj fantazyi, do tworzenia sobie z nich obrazów, które potém wylewają na papier, na płótno, albo przekuwają w marmurze. Dopomaga do tego nawet ta napozór przeciwna okoliczność, że kobieta pod wielu względami jest i pozostanie tajemnicą dla mężczyzny. Umysł bowiem ludzki nie lubi zagadek i każdą tajemnicę stara się przejrzéć i wybadać, i chociażby miał przeczucie, że nigdy do jéj rozwiązania nie przyjdzie, nie przestanie go ona mimo tego témbardziéj zaciekawiać i nęcić do siebie.

Dlatego możnaby myśléć, że kobiety powinny być zupełnie zadowolone ze swéj roli, jaka im na polu sztuki i poezyi przypadła. Wprawdzie dotychczas nie pokazały tutaj zbyt wiele twórczych zdolności, i największe talenta niewieście nie mogą się mierzyć z tém, co utworzył geniusz męzki. Ale gdyby nawet nazawsze tak pozostać miało, czyż i wtenczas mogłyby słusznie skarżyć się, że ręka Opatrzności skąpszą się dla nich przy rozdzielaniu darów pokazała? Zdaje się, że nie. Bo jeżeli same nie tworzą arcydzieł, to jakże często przez swój wpływ moralny przyczyniają się do tego, że je mistrzowie tworzyć mogą. Podział więc i pod tym względem zdaje się być równy, choć przeznaczenie całkiem inne, i jeżeli jest zaszczytem dla ludzkiego ducha być natchnionym, to niemniejszy zapewne przynosi zaszczyt być natchnieniem.

*Kraków, 1672 r.*

———

# KILKA SŁÓW O POEZYI.

Pojawienie się książki zapełnionéj wierszami w dzisiejszych czasach nie jest rzeczą zwracającą uwagę publiczności, ale zadziwiającą bibliografów i krytyków.

Tak jest, odwykliśmy dzisiaj od poezyi, a jeśli utwór tego rodzaju na świat się pokaże, witamy go jakby wędrownego ptaka, który spóźniwszy się w odlocie za innemi, w niezwykłéj porze pomiędzy nami się błąka. Świat dziś zapoważny, aby się miał rozkoszować dźwiękami lutni, zaciężki, aby się podnieść w wyższe sfery ideału.

Ale bądźmy bezstronni. Część winy spada także na samych poetów. Obecne pokolenie nie udowodniło jeszcze tego natchnienia, przez które generacya dawniejsza podniosła i uświetniła naszę poezyę. Publiczność czuje to, wie o tém i nie dowierza dzisiejszym poetom, z lekceważeniem spoglądając na ich płody, nim jeszcze wzięła je do ręki.

Na polu zatém poezyi jest dziś zastanie się i cisza, któréj nie mogą rozerwać odzywające się kiedyniekiedy nawet powabniejsze głosy,— chwila spoczynku, w któréj duch poetyczny, zanim daléj postąpi, zbiera swą uwagę i oczy naprzód posyła, upatrując, jaką drogę obrać mu wypadnie.

Podobne zjawisko leży w naturze rzeczy i jest logicznym wypadkiem w pochodzie naszéj poezyi. Starajmy się pochwycić nić dziejową jéj rozwoju, a będzie ono dla nas zupełnie jasném i wytłumaczoném; poznamy wtenczas, dlaczego dzisiaj publiczności i poetów nie wiąże wzajemna sympatya, dlaczego widoczne nawet talenta w bezowocnéj walce swoje siły marnują.

Najnowsza generacya poetów zastała poezyę na drodze do ostatecznego celu, gdy z przyjętych przez siebie przekonań ostatnie wypowiedziała słowo. Jakkolwiek będziemy się zapatrywać na poezyę zrodzoną u nas przez wpływ romantyczności i cokolwiekbądź powiemy o niéj, a mówić można bardzo wiele i z najrozmaitszych względów, dążność jéj i charakter dadzą się ostatecznie streścić w słowach poety, wyrzeczonych w najpierwszych chwilach jéj powstania:

„Miéj serce i patrzaj w serce!“

To jest istotna i główna zasada téj poezyi, najogólniejsze określenie ożywiającego ją ducha. W tym wyłącznie kierunku postępowała ona przez parę lat dziesiątków. Kierunku tego nie można nazwać jednostronnym, albowiem nie przypuszczamy, aby droga poezyi naszéj zupełnie już była ukończoną; nie chcielibyśmy nadto nadawać jéj epitetu, do którego bywa zwykle przywiązywane pewne ubliżające wyobrażenie. Ale tego również nie można zaprzeczyć, że był on jedynym i wyłącznym, że poezya miała tylko na oku uczucie i spowinowacone z niém objawy ducha, pomijając zupełnie inne przymioty i prawa natury ludzkiéj, zasługujące niemniéj na uznanie. Świat i jego stosunki oddane zostały li-tylko pod kryteryum serca i uczucia, a pogląd na nie kierowany był nie doświadczeniem i przykrą nieraz nauką wypadków dziejowych, ale raczéj szlachetném pragnieniem ducha i bezwzględną wiarą w Opatrzność. Natchnienie to, żyjące tylko idealném oderwaniem się od ziemi, utonę-

cól. J. 4.



ło wreszcie i znalazło swój grób w mistycyzmie. Tu kończy się już poezya. Wezbrane uczucie rozsadziło swoje naczynie, a jego rozprężenie przeszło w mgliste, apokaliptyczne marzenia.

Tak jednakże być musiało. Mówiąc to, dalecy jesteśmy od świętokradzkiéj myśli obwiniania twórców i geniuszów naszéj poezyi. Mówimy tu więcéj o jéj duchu niżeli o nich samych, więcéj o téj treści wewnętrznéj, którą wyrabiają czas i okoliczności, niżeli o sposobie i jakości jéj oddania. W warunkach, pod jakiemi wzrosła, poezya ich nie mogła być inną. Z drugiéj przecież strony nie chcielibyśmy także, aby nas posądzono o fałszywe pojęcie ducha poetycznego i jego stanowiska wobec świata. Już to dawno powiedziano, że poeci nie rządzą się powszednim praktycznym rozumem, ale mądrością wypływającą wprost z ducha ludzkiego, a będącą odbiciem mądrości bożéj, jakiéj cząstkę tchnął Stwórca w człowieka, stwarzając go na swoje podobieństwo. Wobec tego zdania, które bez wahania przyjmujemy za prawdę, upada całe powyżéj wyrzeczone twierdzenie, a mianowicie ten zarzut, jakiby można ze słów naszych wyciągnąć, że poezya nadała zbytnią przewagę uczuciu, będącemu, bądźcobądź, w takiém pojęciu, w jakiém go używali nasi poeci, wyrazem właśnie téj prawdziwéj mądrości.

Tak jest w rzeczy saméj — natchnienie tych poetów jest prawdą wiekuistą, wydobytą z zasadniczych praw, na jakich porządek świata spoczywa. Ale jest-to prawda bezwzględna i dlatego niezawsze dająca się do pewnych czasów zastosować. Musimy bowiem brać rzeczy także i ze stanowiska czysto-ludzkiego, w jakiém je widzimy w rozwoju dziejowym. Niedarmo nazwano historyę nauczycielką życia,—ma ona także swoje prawa, których nie można lekceważyć. To, co ze stanowiska filozoficznego powinno być prawdą, pokazuje się nieraz w historyi fałszem, czyli raczéj znajduje w niéj zaprzeczenie. Czyż wolno nam jednak, kiedy przeznaczeni jesteśmy żyć na świecie i pod warunkami, jakie on na nas wkłada, zapoznawać zupełnie jego wymagania i koleje, odrzucać naukę historyi i doświadczenia?

Bezwątpienia na to są dane duchowi ludzkiemu jego przedwieczne prawa, aby podług nich świat przetwarzał i kształtował; ale czyż nie jest zarówno jego obowiązkiem zwracać uwagę na każdy okres, na każdą chwilę tego ciągle odbywającego się przekształcenia, aby umiał do nich się zastosować i nie czynił gwałtownych przeskoków w postępie, za każdym razem bacznie przyglądając się temu miejscu, na którém stanął, na którém ma postawić nogę, dążąc do coraz wyższych szczebli?

Każda prawda postawiona jest dla wszystkich wieków i obowiązująca po wszystkie czasy. Życie jednak nasze, wiek, w którym żyjemy, jest tylko jedną cząstką życia ludzkości, jedną chwilką wieczności. Cóż z tego wynika? Oto, że całéj prawdy nie posiędziemy nigdy, że przestać musimy na téj jéj części, która nam się w udziale dostanie, i tę uczynić swego życia prawidłem, które późniéj rozszerzą i wydoskonalą następne pokolenia.

Nie tak postępowała nasza poezya, albo raczéj umysły czytających nie umiały jéj w należyty sposób spożytkować; wzięły one zbyt dosłownie wszystko, co poeci pod postacią wypowiedzieli, odniosły do swoich

czasów wszystko, co oni w proroczém widzeniu kilka może wieków naprzód oglądali. Wskutek tego dobrowolnego zawodu powstało w ludziach pewnego rodzaju rozczarowanie i nieufność do poezyi; z żalem zadawali sobie pytanie: i gdzież te światy, które nam przedstawiali?.... Rzeczywistość zbyt się różniła od marzenia; poezya musiała złamać swoję czarodziejską laskę i zamilknąć, albo raczéj odpocząć.

To jest, że tak powiem, wyrozumowany dowód, że poezya, rozpocząwszy swą drogę w jednym wyłącznie kierunku, musiała ją przerwać, bo daléj postępować było niepodobieństwem. Ale dzieje jéj saméj dostarczają nam jeszcze innego faktu historycznego, który ma za sobą nieprzepartą powagę.

Przez tę poezyę, o któréj, mówimy, rozumie się zwykle trójcę naszych wielkich poetów. Oni ją wypielęgnowali i wykształcili; ale niewszyscy pozostali wiernymi jéj zasadom. Jeden z nich, Słowacki, domieszał do poezyi żywioł nieznany swym współtowarzyszom, a mianowicie ironię. Obdarzony najbujniejszą, kapryśną nieraz fantazyą w artystycznem tworzeniu i wykonywaniu dzieł swoich, posiadał jednak w poglądzie na świat i historyę najbystrzejsze i najchłodniejsze oko. Jego to najwięcéj uderzała różnica między prawdą życia a ideałem marzeń, i dostrzegając ułomności i wady świata, zerwał tym sposobem z bezwzględnym optymizmem i uczuciowém pojmowaniem rzeczy, a natomiast pozwolił się głośniéj odezwać zimnemu rozsądkowi. Niech nas nie łudzi zewnętrzna postać jego utworów, pełna zapału i tryskająca ogniem; pod tą wrzącą lawą ukrywa się ważący ściśle rozum i cierpkie doświadczenie wieków. Wprawdzie i on powiedział, że „sercem gryzie,” ale chcąc gryźć, nietyle trzeba słuchać serca, ile głosu przekonania, będącego wypływem rozwagi i obejrzenia się wokoło siebie. Przeciwnie zaś poezya dwóch innych poetów trzymała się pod tym względem tradycyi swego pochodzenia, według któréj, podobnie jak w idealnéj filozofii niemieckiéj, niemały wpływ na rozwój nowszéj poezyi wszędzie wywierającéj, z własnego wnętrza tworzyła światy na podobieństwo swego ducha. Czyli mówiąc przyjętemi w filozofii wyrażeniami: Słowacki poddał podmiotową prawdę poezyi pod sąd przedmiotowéj rzeczywistości. Takie podobno a nie inne ma znaczenie ironia jego i takim sposobem odstąpił Słowacki z pod sztandaru, na którym napisane było wspomniane wyżéj romantyczne godło. O ile zaś był w tém oryginalnym, albo o ile wstępował w ślady Byrona, to nie należy tutaj do rzeczy, bo nam nie chodzi o ocenienie poetów, lecz o wskazanie kolei, jakie poezya przebywała.

Takie było ostatnie słowo tego okresu poezyi, który do pewnego stopnia stoi dziś przed nami jako skończona całość. Właściwém jego zakończeniem, jego finałem, był, jak wspomnieliśmy, mistycyzm; ale ironia była ostateczném słowem zwróconém ku przyszłości, rzuconém jakby ziarno późniéj nastąpić mającego plonu.

Najnowsza generacya poetów, lub mających chęć być poetami, na takiém stanowisku znalazła poezyę. Stanowisko to nie daje im jednak żadnéj trwałej podstawy do dalszéj działalności. W duchu poezyi Mickiewicza i Krasińskiego nie można daléj tworzyć, bo duch ten strawił

się sam w sobie, zgorzał jak Herkules samowolną śmiercią na stosie. Rola jego się ukończyła i ustąpił wśród grzmotu oklasków ze sceny. Również ironia Słowackiego nie może być zapładniającym pierwiastkiem przyszłéj poezyi w takim stopniu, jak uczucie romantyczne było dla przebrzmiałéj przed niedawnemi laty. Poezya bowiem jest radykalną, potrzeba jéj oznaczonych i wyłącznych żywiołów, na którychby mogła się rozwinąć i zakwitnąć, a zwykle w silnym rozwoju swego życia rzuca się w ostateczności. Ironia zaś jest tylko czémś pośredniém, jest przeciwieństwem, wywołaném przez zbytek uczucia, ale istniejącém obok niego. Może zatém tworzyć punkt zaczepienia między dwoma okresami, dwoma światami, ale samodzielnie żadnego nie zbuduje.

Jakiż więc charakter ma przybrać poezya w obecnéj chwili, albo na przyszłość, jeżeli pragnie wypełnić swe zadanie, t. j. być wyrazem swego czasu? Musi się ona zmienić koniecznie, bo świat tego wymaga, bo zmieniły się okoliczności, pod których wpływem pozostaje. To jest pewne; ale oznaczyć dzisiaj jéj kierunek i wskazać drogę, przechodzi podobno możność i poetów i otaczającego ich społeczeństwa. *Spiritus flat ubi vult*, a któż może powiedzieć zkąd i jak przyjdzie natchnienie? Wolno nam jednak wyciągać wnioski z przeszłości i tworzyć przypuszczenia, które, jeżeli nie zostaną poparte przez prawdę historyczną, są jednak w każdym razie prawdopodobieństwem logiczném.

Mniemamy, że nikt nie weźmie tego za zuchwalstwo, jeśli ośmielimy się zrobić podobne przypuszczenie; nie jest ono ani osobistém, ani tak dowolném, jak się może wydaje, owszem, wypłynęło z zastanowienia się nad rzeczą samą i z tego ogólnego poczucia, jakie, obejrzawszy się około siebie, tu i owdzie spostrzedz się daje.

Poezya skończona dotychczas, pomimo ogromnych swoich zalet i wiekami niestrawionéj sławy, ma jednak pewne grzechy swego żywota, świat może jéj niejeden błąd zarzucić. Jeśli zatém mamy posiadać poetów i poezyę, jeśli to, co za nią uchodzi, nie ma pędzić skarłowaciałego i bezsilnego życia, ale wystąpić przed ludzi w całéj mocy i świetności zniewalającéj umysły, winna poezya uzupełnić swoje jednostronnie dokonane dzieło i tym sposobem wynagrodzić swoje niedostatki. Jéj źródłem w latach minionych było serce, jéj polem świat nadziemski; może niezadługo usłyszymy przez jéj usta głos rozumu, może z swych sfer fantazyjnych przejdzie na nasz ziemski padoł.

Aleź to zupełne zniszczenie poezyi! może niejeden się odezwie. Nie sądzimy. Ducha ludzkiego nie można dzielić na jakieś komórki i przegródki, niemające ze sobą styczności i wzajemnego związku. Jest on jednolitym. W rozumie przeto znajdzie się i uczucie, bo nie można pojąć istoty rozumnéj bez serca — tak samo jak w sercu, o czém wyżéj mówiliśmy, przebywa prawdziwy rozum i mądrość. Chodzi tylko o to, którą przeważnie z tych władz naszéj duszy będziemy świat ogarniać. Nie straci on przez to bynajmniéj swego przedmiotowego bytu, a zatém w obu razach zarówno może obudzić natchnienie.

Użyjemy tutaj małego porównania. Jeżeli patrzymy na otaczające nas przedmioty przez dwa szkła różnego koloru, przedmioty te, cho-

ciaż barwa ich się odmienia, nie tracą jednakże nic ze swoich istotnych własności, my tylko sami zmieniamy sposób ich widzenia.

Jednėm słowem, przyszłego genialnego poetę, który w omdlałą dzisiaj istotę poezyi wleje siły nowego życia, wystawiamy sobie z poważną grozą myśli na czole. Może to będzie jaki Voltaire XIX-go wieku, który wyśmieje niejedno z naszych marzeń, który zburzy wiarę w niejeden sen uroczy i obruszy się nawet na chwilowy szał i entuzyazm swych poprzedników. Może to będzie jaki nieustraszony anatom serca ludzkiego, który ze wzruszeniem wewnętrznėm, choć ręką pewną, bez zadrżenia zapuści skalpel w łono społeczeństwa, a my, choć zepchnięci z piedestału, na który nas podniesiono, będziemy musieli zawołać: jak on przejrzał nasze dusze, jak zbadał naszę naturę! Może to wreszcie będzie poeta, który odwróci oczy od przykréj teraźniejszości, i utopiwszy myśl swoję w ubiegłych wiekach, wyśpiewa o tych czasach, istniejących tylko w krainie idealnéj, pogodną, pełną posągowéj prawdy epopeję. Jakikolwiek on jednak będzie, pogodzi bezwątpienia nieprzyjaznie naprzeciw siebie stojące uczucie i rozum, i stanie się wyrazem łączącéj w sobie te ostateczności—myśli.

*Warszawa, 1867.*

